JILLY COOPER

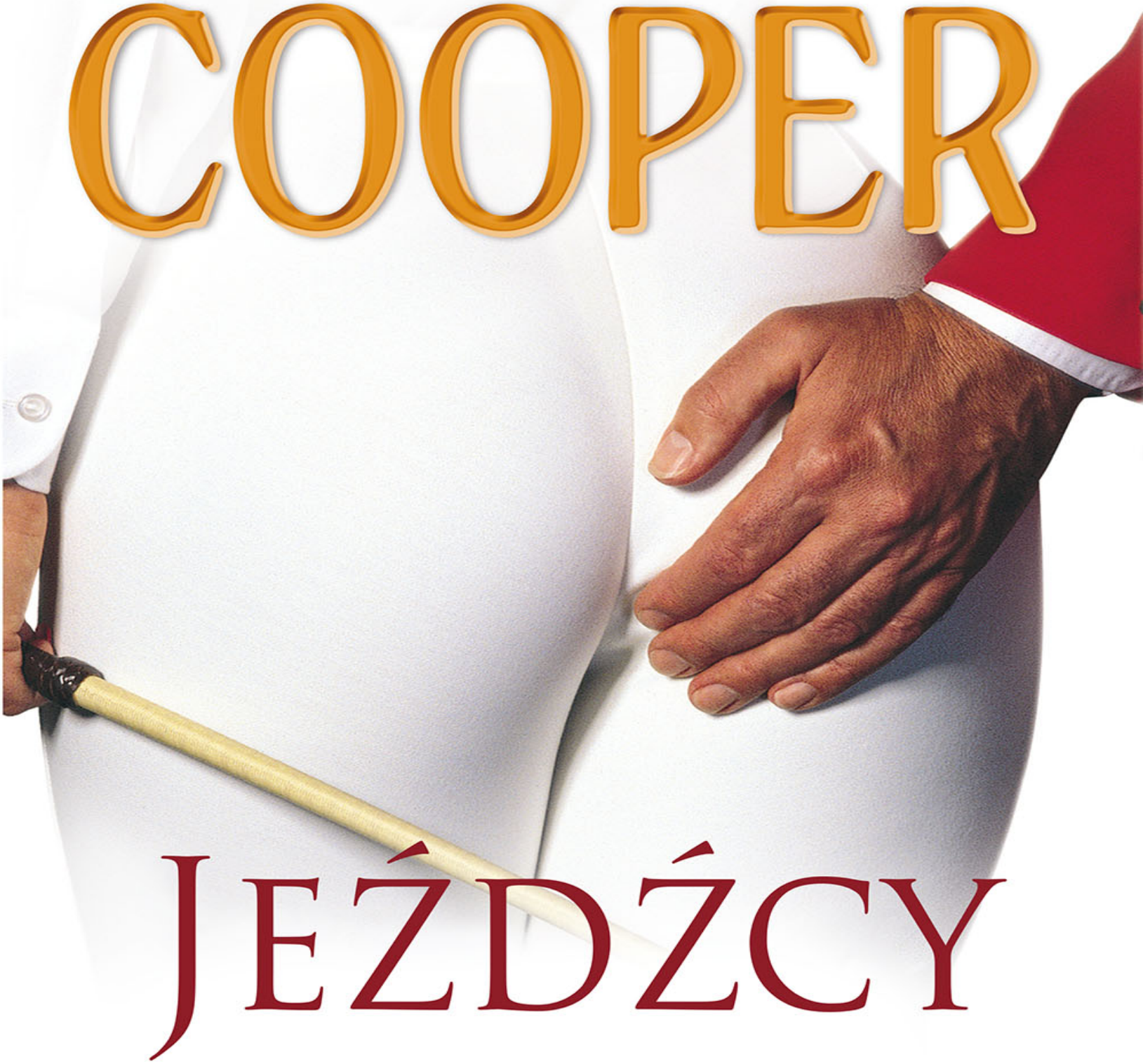

JEŹDŹCY

„Przenikliwa i zabawna".
Helen Fielding

„Legenda mojego pokolenia".
Jenny Colgan

Jilly Cooper

JEŹDŹCY

Przełożyła
Katarzyna Krawczyk

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Jilly Cooper
Jeźdźcy

Tytuł oryginału
Riders

ISBN 978-83-8116-514-3

Copyright © Jilly Cooper 1985
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., 2018

Cover photography © Beverley Le Barrow

Redakcja
Marta Stołowska

Opracowanie graficzne i techniczne
Barbara i Przemysław Kida

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Wstęp
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23

57
58
59
60
61
62
63
Epilog

Dla Beryl Hill,
Artura Rubinsteina klawiatury,
z miłością i wdzięcznością

Wstęp

Jeźdźcy ukazali się po raz pierwszy w 1985 roku. Jestem więc zachwycona, że Larry Finlay, dyrektor mojego cudownego wydawnictwa Transworld, wyświadczył mi ten zaszczyt i na trzydziestą rocznicę powstania książki przygotował piękne nowe wydanie.

Pisanie *Jeźdźców* zajęło mi piętnaście lat, a pomagała mi w nim rzesza ludzi. Wszyscy są specjalistami w swoich dziedzinach. Ponieważ jednak jest to fikcja, podążałam za ich radami o tyle, o ile pasowało to do mojej fabuły, więc dokładność informacji w żaden sposób nie odzwierciedla ich wiedzy.

Ci ludzie to: Harvey Smith, John i Michael Whitakerowie, David Broome, Malcom Pyrah, Ann Martin, Alison Dawes, Andrew Parker Bowles, Caroline Silver, Alan Smith, Brian Giles, Michael Clayton, Alan Oliver, Bridget Le Good, John Burbridge, Diana Downie, doktor Timothy Evans, Heather Ross, Caroline Akrill, Dick Stilwell, Sue Clarke, Sue Gibson, Tory Oaksey, Marion Ivey, Elizabeth Richardson, Elizabeth Hopkins, Julia Longland, Kate O’Sullivan i Marcy Drummond.

Niestety, od rozpoczęcia tej podróży w 1969 roku niektórzy z moich doradców zmarli. Są to świętej pamięci: Ronnie Massarella, John Oaksey, Douglas Bunn, Raymond Brooks-Ward, doktorzy Hubert i Bessie Crouch, Rosemary Nunneley, Susan Blair i Sighle Gogan.

Przepraszam, jeśli nie ujęłam wszystkich, którzy zmarli, a ja o tym nie wiem. Byli jednak dla mnie tak życzliwi, że na pewno poszli do nieba i zasługują na podziękowanie.

Pod względem redakcyjnym muszę podziękować, niestety, nieżyjącym już, Paulowi Schererowi i Alanowi Earneyowi, obu z Corgi Books, którzy w 1986 roku wydali *Jeźdźców* w miękkiej oprawie z doskonałą okładką Johna Mundaya. Pragnę również wyrazić wdzięczność dla świętej pamięci Toma Hartmana i cudownej, żyjącej Lindy Evans za to, że byli i są rzadkim typem ludzi, na których redakcję autor książki się cieszy.

Nagroda za rycerskość należy się dziewięciu paniom, które długie godziny okresu bożonarodzeniowego spędziły nad odcyfrowywaniem mojego okropnego charakteru pisma i przepisywaniem 340 tysięcy słów manuskryptu. Są to: Beryl Hill, Anna Gibbs-Kennet, Sue Moore, Margaret McKellican, Corinne Monhaghan, Julie Payne, Nicky Greenshield, Patricia Quatermass i moja wspaniała sekretarka, Diane Peter.

Lwia część mojej wdzięczności należy się nieżyjącemu Desmondowi Elliottowi. Jego firma Arlington Books wydała *Jeźdźców* w twardej okładce, a on sam doskonale zapanował nad całą operacją, jak również jego załodze w Arlington, która ciężko pracowała, by w czasie krótszym niż pięć miesięcy wydać tak obszerną książkę.

Naprawdę brakuje mi słów, by wyrazić wdzięczność dla mojego nieżyjącego męża, Leo, wydawcy, który wiedział, że pisarze potrzebują ciągłego wsparcia przerywanego okazjonalnym kopniakiem na zachętę! Bez Leo i moich dzieci, Felixa i Emily — bez ich wsparcia, pogody ducha i nieustannego poświęcenia *Jeźdźcy* na pewno nie dotarliby do mety.

1

PONIEWAŻ W SOBOTĘ musiał wstać bardzo wcześnie, Jake Lovell wielokrotnie budził się w nocy, prześladowany przez napawające trwogą sny o tym, że się spóźnił. W pierwszym śnie nie mógł znaleźć spodni, kiedy steward wyścigów wywołał jego numer; w drugim nie mógł złapać żadnego z kucyków szkółki jeździeckiej, żeby zabrać je na pokaz; w trzecim Afryka wyślizgnęła się z ogłowia i uciekła; w czwartym zaś, najbardziej przerażającym, wrócił do domu dziecka, wrzeszcząc i czepiając się zamkniętych żelaznych wrót, podczas gdy Rupert Campbell-Black objeżdżał High Street na Afryce, a potem, odwróciwszy się z tym swoim nienawistnym, drwiącym uśmieszkiem, zawołał: „Teraz nigdy nie wydostaniesz się stąd, Gyppo, to jest twoje miejsce!”.

Jake obudził się ze szlochem, z walącym szaleńczo sercem, zlany potem, sparaliżowany lękiem. Dopiero po pół minucie zdobył się na to, by sięgnąć do włącznika lampki nocnej. Drżącą dłonią zapalił papierosa. Stopniowo z mroku wyłaniały się znajome przedmioty: reprodukcje grafik Lionela Edwardsa na ścianach, sfatygowane egzemplarze czasopisma „Horse and Hound”, książki o skokach końskich beznadziejnie zagracające półki, umywalka, spłowiałe zdjęcia matki i ojca. W szafie wisiał płaszcz jeździecki w kratkę, dość niechętnie ofiarowany mu na dwudzieste pierwsze urodziny przez panią Wilton. Pod nim stała para zadrapanych, lecz lśniących używanych butów z brązowymi zakończeniami, które kupił w zeszłym tygodniu.

Z dołu dobiegały parskanie konia i trzask, kiedy inny koń kopnięciem przewrócił swoje wiadro z wodą.

Panika ustępowała, chociaż zbyt wolno. Szkoła i Rupert Campbell-Black należeli do przeszłości. Był rok 1970; cztery lata minęły od opuszczenia domu dziecka. W ciągu dnia Jake zwykle o tym zapominał; wspomnienia wracały tylko w nocnych koszmarach. Poczuł dreszcz; pościel nadal była wilgotna od potu. Budzik wskazywał czwartą trzydzieści; za cienkimi żółtymi zasłonkami widać było pierwsze promienie światła. Do pobudki zostało jeszcze pół godziny, ale Jake był za bardzo przestraszony, żeby znów zasnąć. Słyszał uderzenia deszczu o dach i kapanie wody z rynny, tłumiące świergot wróbli.

Próbował skupić się na czekającym go dniu, ale to nie poprawiało mu nastroju. Jednym z najgorszych obowiązków związanych z pracą w szkółce jeździeckiej była konieczność zabierania uczniów na zawody jeździeckie. Niewielu z nich potrafiło zapanować nad znudzonymi, złamanymi kucykami. Wiele dzieciaków było krnąbrnych, inne, przestraszone, jeździły tylko dlatego, że ich despotyczne matki za pomocą jazdy konnej próbowały wspiąć się na szczyt w hierarchii społecznej, korzystając z okazji, by na tylnej półce jaguara położyć kask do jazdy, a na przedniej szybie nakleić logo zawodów.

Powód, dla którego Jake czuł się niemal chory ze strachu, był jednak inny: mianowicie bez wiedzy swojej szefowej, pani Wilton, miał zamiar zabrać Afrykę na zawody i zgłosić ją na otwarty konkurs skoków. Pani Wilton nie pozwalała mu brać udziału w zawodach, gdyż woda sodowa mogłaby mu uderzyć do głowy. On miał być tylko niańką dla uczniów, a nie za jej plecami skakać na cennych koniach.

Pani Wilton zwykle pojawiała się na zawodach po południu i przechadzała, gawędząc z matkami. Dzisiaj jednak wybierała się do Brighton, by umizgiwać się do bogatego bezdzietnego wujka, więc nie

przyjedzie na konkurs. Jeśli Jake nie wystartuje na Afryce dzisiaj, kolejna okazja trafi się dopiero za wiele tygodni.

Afryka była bardzo żywym koniem, znajdowała się pod opieką szkoły, ale jej właścicielem był aktor o nazwisku Bobby Cotterel, który kupił ją w porywie zapału, po zagraniu roli słynnego rozbójnika, Dicka Turpina. Kilka tygodni później aktor zakupił ferrari; nadal płacił za utrzymanie Afryki, ale zupełnie o niej zapomniał, co dało Jake'owi szansę, by na boku szkolić tę klacz.

Afryka miała zaledwie sześć lat, ale Jake każdego dnia przekonywał się, że ma zadatki na doskonałego konia do skoków. Nie tylko ze względu na jej temperament i odwagę, fantastyczne przyspieszenie i wysokie skoki. Klaczka miała również zdolność do wyciągania się z kłopotów, co równoważyło jej impulsywność.

Jake ją uwielbiał bardziej niż którąkolwiek poznaną do tej pory inną osobę czy zwierzę. Gdyby pani Wilton dowiedziała się, że zabrał Afrykę na konkurs, prawdopodobnie by go zwolniła. Myśl o utracie pracy, która po raz pierwszy od lat dawała mu poczucie bezpieczeństwa, napawała go panicznym strachem, ale perspektywa rozstania z Afryką była jeszcze gorsza.

Na dźwięk budzika Jake podskoczył. Wciąż padało; powrócił lęk z koszmarnego snu. A jeśli Afryka poślizgnie się przy skoku lub lądowaniu? Chłopak ubrał się, uniósł klapę w nogach łóżka, zszedł schodami do magazynku na uprząż, wdychając zapach ciepłej skóry, mydła do konserwacji siodeł i nawozu, które zawsze budziły w nim ciepłe uczucia. Słysząc, jak miesza karmę, konie zaczęły wystawiać głowy z boksów, wołać go, chrapać i tupać.

Mlecz — łaciaty kucyk, największy żarłok w całej stajni, ze słomą w grzywie i na grzbiecie, zarżał przeraźliwie, domagając się karmienia.

Dodając witamin, orzechów i owsa do pojemnika Afryki, Jake pomyślał, że doskonała forma klaczy nie powinna dziwić przy takim karmieniu. Gdyby pani Wilson dowiedziała się o tym, zapewne wpadłaby w furię.

Kiedy oczyścił i nakarmił konie, minęło już wpół do ósmej. Afryka skończyła jeść, po czym mrugając dużymi, granatowymi oczami, w promieniach wschodzącego słońca wystawiła głowę z boksu i za każdym razem, kiedy Jake ją mijał, łapała go wargami za rękaw, potrząsając delikatnie i nigdy nie szczypiąc w skórę. Pani Wilton poprzedniego wieczoru była na proszonej kolacji, więc na pewno nie zjawi się w stajni wcześniej niż o wpół do dziewiątej, Jake miał więc godzinę na wyczyszczenie Afryki.

Podwinął rękawy, cały czas przemawiając do niej czułymi słówkami, i zabrał się do roboty. Afryka była pięknym koniem: ciemnobrązowej maści, która w cieniu przybierała niemal odcień indygo, z dwiema białymi skarpetkami, strzałką na czole, piersią jak komin parowca, szerokim kłębem i tułowiem nad żylastymi tylnymi nogami. Cały czas strzygła i obracała uszami wrażliwymi jak radary.

Jake podskoczył, kiedy tłusty pręgowany kot stajenny z długimi wąsami wskoczył na drzwi stajni, zerknął na dwa gołębie szukające ziarna, po czym zeskoczył na słomę i zwinął się na jeszcze ciepłej derce Afryki.

Nagle klacz podrzuciła głową; coś usłyszała. Zdenerwowany Jake wyszedł z boksu; zasłony w domu pani Wilton były wciąż zasunięte. Chciał zapleść Afryce grzywę, ale w końcu się nie odważył. Potem sierść będzie falista i wszystko się wyda. Wrócił do pracy.

— Chyba nie zabiera pan Afryki na zawody? — zapytał przenikliwy głos. Jake podskoczył, Afryka znów zarzuciła gwałtownie głową, uderzając go w nos.

Zza przegrody boksu ledwie wystawała głowa jednej z jego uczennic, Fenelli Maxwell, o piegowatej twarzy i słomianych włosach wymykających się spod gumek.

— Co ty tu robisz, do cholery? — zapytał Jake z załzawionymi od uderzenia oczami. — Mówiłem, że do dziesiątej nikomu nie wolno tu wchodzić, a jest przed ósmą. Zmykaj do domu.

— Przyszłam pomóc — powiedziała Fenella, spoglądając na niego wielkimi, błękitnymi oczami o gęstych jasnych rzęsach. Niezmieszana przesunęła landrynkę do drugiego policzka. — Wiem, że dopóki nie przyjdzie Alison, jest pan sam. Wyczyszczę Mlecza, dobrze? — zapytała. — Chcę, żeby wyglądał tak pięknie jak Afryka.

— Zamknij się — syknął Jake. — I spadaj.

— Proszę, niech pan pozwoli mi zostać. W domu nie ma nic do roboty. Nie mogłam spać. Pomogę. O, czy Dymek nie wygląda słodko na tej derce? Naprawdę chce pan zabrać Afrykę?

— Pilnuj swojego nosa — odparł Jake.

Fen wyjęła landrynkę z ust i podała ją Mleczowi, śliniącemu się nad drzwiami boksu obok, po czym pocałowała go w nos. Koszula już jej wychodziła z dżinsów, które nałożyła na bryczesy dla ochrony przed brudem.

— Czy pani Wilton wie? — zapytała.

— Nie — odparł Jake.

— Nie powiem jej — obiecała Fen, huśtając się na drzwiach boksu Afryki. — Ale Pattie Beasley może powiedzieć. Sally-Ann też, zawsze węszy, na co mogłaby donieść. Co prawda są chyba zbyt tępe, żeby coś zauważyć — mówiła dalej. — Może zrobić panu herbaty? Cztery łyżeczki cukru, prawda?

Jake złagodniał. Fen była dobrym dzieciakiem, energicznym i wesołym, z wyczuciem do koni i wiedzą bardzo szeroką jak na dziewięciolatkę.

— Możesz zostać, jeśli nie będziesz gadać — pozwolił. — Nie chcę obudzić pani Wilton.

Fen rozlała większość herbaty na spodek, przywiązała Mlecza w przejściu przy boksie Afryki i zaczęła myć jego białe łaty, rozlewając więcej wody na siebie niż na kuca.

Jake słuchał półuchem, kiedy dziewczynka bezustannie paplała o swojej siostrze, Tory, która właśnie weszła w świat socjety, ale nie polubiła przyjęć i która rano często miała oczy zaczerwienione od płaczu.

— Później przyjedzie na konkurs.

— Czy twoja matka wie, że tu jesteś? — zapytał Jake.

— Nie zauważyłaby, że mnie nie ma. Znalazła sobie nowego faceta, pułkownika Cartera. On sam nazywa siebie „Kaaateh”. Cały czas się śmieje, kiedy rozmawia z mamą, ma wielkie żółte zęby jak Mlecz, ale u konia takie zęby wyglądają lepiej. Też przyjadą na zawody. Pułkownik Carter przywiezie żołnierzy i armaty na pokaz po konkursie skoków. Potem z mamą i Tory idą na lunch do pałacu. Mama specjalnie kupiła sobie śliczną nową niebieską sukienkę, ale Tory mówi, że była bardzo droga, więc chyba nie dostanę jeszcze kucyka. Zresztą mama twierdzi, że pierwszy sezon Tory w towarzystwie kosztuje ją fortunę.

— Szampon i odżywka, mały — odezwała się dziewczynka do kucyka dwadzieścia minut później, wkładając ogon Mlecza do wiaderka z gorącą, spienioną wodą. — O, niech pan spojrzy, Afryka robi miny, jakie słodkie, prawda? — W tym momencie Mlecz trzepnął ogonem, odganiając się od muchy, i ochlapał pianą Fen, derkę Afryki i kota, który oburzony wycofał się od razu.

— Na miłość boską, skup się! — warknął Jake.

— Zdjęcia mamy znów będą w „Tatlerze” — oznajmiła Fen. — Pokazują ją znacznie częściej niż biedną Tory. Tory musi w przyszłym tygodniu iść na dietę, żeby schudła na koktajl party za miesiąc. O rany, pani Wilton odsuwa zasłonki w kuchni.

Jake szybko nakrył Afrykę derką i wyszedł z jej boksu.

W kuchni, pod baldachimem z wiciokrzewu, widać było panią Wilton, o ciemnoczerwonej twarzy jeszcze zarumienionej po wczorajszej zakrapianej kolacji, wrzucającą alka-seltzera do szklanki z wodą. Boże, Jake miał nadzieję, że szefowa jednak wyjedzie do Brighton i nie będzie się tu kręcić. Wziął szczotkę i zgrzebło, po czym zabrał się za czyszczenie jednego z kuców.

Pani Wilton wyszła z domu, za nią człapał jej dotknięty reumatyzmem labrador; pies sztywno podniósł łapę przy podeście do wsiadania na konia, po czym dla formalności pogonił kilka kroków za kotem stajennym.

Pani Wilton nigdy nie widziano w siodle. Przysadzista, z twarzą płaską jak u buldoga, miała włosy koloru soli z pieprzem, karnację w ciemne plamy i głęboki basowy głos. Pomimo swojego męskiego wyglądu cieszyła się sporym powodzeniem u płci przeciwnej.

— Jake! — wrzasnęła.

Jake wyszedł ze zgrzebłem i szczotką w dłoniach.

— Tak, pani Wilton — odezwał się, chociaż szefowa wielokrotnie kazała zwracać się do siebie po imieniu.

Patrzyli na siebie z niechęcią osób wzajemnie od siebie zależnych. Pani Wilton wiedziała, że po stracie rodziców i spędzeniu większości życia w domu dziecka Jake nade wszystko ceni sobie bezpieczeństwo pracy połączonej z zakwaterowaniem. Ponieważ jej mąż bardzo często wyjeżdżał służbowo, pani Wilton nieraz proponowała, by Jake przeniósł się do domu, gdzie będzie mu wygodniej. Jednak świadomy, że musiałby wówczas

dzielić z nią łazienkę, a jeśli szefowa się uprze, także sypialnię, Jake uparcie odmawiał. Pani Wilton mogłaby być jego matką.

Pomimo nieprzystępności i rezerwy Jake'a ocierających się o arogancję szefowa musiała przyznać, że konie nigdy nie były tak zadbane. Dzięki encyklopedycznej wiedzy na temat dzikich roślin i niewiarygodnym cygańskim lekarstwom swojego pracownika od jego przyjazdu nie musiała płacić za weterynarza. A ponieważ Jake bał się stracić tę namiastkę domu, godził się nawet na najniższe zarobki. Pani Wilton zaś robiła coraz mniej. Nie miała ochoty znów wstawać o szóstej rano i oprzątać kilkunastu koni, miło też było wyrwać się gdzieś jak dzisiaj, nie martwiąc się o stajnię.

Jake chociaż z końmi radził sobie cudownie, kompletnie lekceważył rodziców, dzieci, nie chciał im nadskakiwać, a co głupszych traktował wręcz nieuprzejmie. Wielu z nich zrezygnowało i przeszło do szkółki pani Haley po drugiej stronie doliny, mimo że tam ceny były dwukrotnie wyższe.

— Ile kuców zabierasz? — zapytała.

— Sześć — odparł Jake, kierując się do pomieszczenia na uprząż i modląc się, by za nim poszła.

— Pani Thomson przywiezie kantary i wiadra na wodę. Spróbuj być dla niej miły, chociaż wiem, jak ciężko ci to przychodzi.

Jake wbił w nią wzrok. Miał dziwnie nieruchomą twarz — wszystko we właściwym miejscu, ale bez życia. Zwykle ogorzały, dzisiaj był bledszy, pełne usta zacisnął w zdeterminowanym grymasie. Lekko skośne, tajemnicze czarne oczy spoglądały spod zmarszczonych brwi, praktycznie schowanych pod gęstwiną niemal czarnych włosów. Był niski, miał mniej niż metr siedemdziesiąt wzrostu, i chudy — doskonała sylwetka dżokeja. Jedyną mniej poważną cechą wyglądu Jake'a były złote kółka w uszach. Jego czujność i samokontrola kłóciły się z młodym wiekiem.

Pomimo gorącego dnia kołnierz koszuli miał postawiony, jakby chronił się przed wyimaginowaną burzą.

— Wracam jutro — powiedziała pani Wilton, obrzucając wzrokiem rząd boksów. Nagle jej oczy rozjaśniły się na widok Afryki. — Co ona robi wewnątrz?

— Przyprowadziłem ją rano — skłamał Jake bez mrugnięcia okiem. — Jeśli się ją rozdzieli z Mleczem, rży na całe gardło, a myślałem, że będzie pani chciała pospać.

— Przed wyjazdem wyprowadź ją na dwór. Nie chcę, żeby się opychała do nieprzytomności.

„Chociaż to Bobby Cotterel płaci za jej utrzymanie, i to niemało” — pomyślał Jake.

Szefowa zerknęła do boksu; przez jedną pełną grozy chwilę Jake miał wrażenie, że zaraz uniesie derkę.

— Dzień dobry pani! — zawołała Fen. — Niech pani przyjdzie obejrzeć Mlecza. Ładnie umyty, prawda?

Pani Wilton odwróciła się od Afryki.

— Dzień dobry, kochana, ranny ptaszek z ciebie — powiedziała. — Rzeczywiście dobrze wygląda; nawet kopyta mu natarłaś olejkiem. Może wrócisz z nagrodą.

— Chyba nie — odparła ponuro Fen. — Ostatnio Mlecz zeżarł wszystkie ziemniaki w wyścigu ziemniaków.

— Uf, o mały włos — odetchnęła Fen, kiedy samochód pani Wilton, z głową labradora wystającą przez okno, zniknął za zakrętem.

— Chodź — powiedział Jake — zrobię ci śniadanie.

Później, przebierając się przed wyjazdem na zawody, Jake przeniósł pokruszony i spłowiały kwiat wrotyczu z lewego gumiaka do lewego buta do jazdy konnej. Wrotycz odstrasza zło. Jake wierzył w przesądy; w końcu

w jego żyłach nie na darmo płynęła krew królewskiego rodu romskich Lovellów.

2

W POŁUDNIE SŁOŃCE BEZLITOŚNIE ŚWIECIŁO na bezchmurnym niebie, nagrzewając brunatne kamienne ściany Bilborough Hall, śniącego nad ciemnozieloną fosą. Po prawej stronie tarasu wielkie cisy przycięte na kształt pawi robiły wrażenie, jakby miały za chwilę pójść sobie wystrzyżonym trawnikiem do doliny, w której zielononiebieskie pola pszenicy przechodziły w łąki pokryte srebrnozielonym sianem. W parku drzewa o anielskiej miękkości wiosennych pędów wyglądały tak, jakby deszcz nie tylko je obmył, ale i polał odżywką. Czerwone buki i klony dodawały im koloru.

Po lewej arenę już otaczał podwójny pierścień samochodów, a kolejne długim lśniącym wężem wciąż powoli napływały przez bramę główną, flankowaną po obu stronach przez dwa kamienne lwy stojące na tylnych łapach, w paszczach trzymające czerwono-białe proporczyki.

Brygada mamusiek wyległa w pełnej sile, zaskoczona pierwszym upalnym dniem roku; ramiona w sukienkach bez rękawów były jeszcze blade, pośladki w jedwabiu wylewały się z rozkładanych stołków myśliwskich; kobiety krzyczały do siebie, wypakowując z samochodów kosze piknikowe. Teriery ujadały, labradory dyszały. Jedzenie dla psów, nietknięte z powodu gorąca, przyciągało muchy do misek.

Za samochodami tłumy kłębiły się wokół stoisk sprzedających wszystko, co związane z końmi, od czasu do czasu ustępując zawodnikowi z numerem na plecach przejeżdżającemu konno. Dzieci bezmyślnie pochłaniały chipsy, domagały się lodów, balonów z helem i przejażdżek na kucykach. Ojcowie kręcili się wokół z aparatami, ubrani w pogniecione letnie garnitury

roztaczające zapach naftaliny, żałując, że nie mogą schronić się w biurze i dla pocieszenia mierząc wzrokiem hordy czternastoletnich podlotków z długimi falistymi włosami, ubranych w bardzo obcisłe bryczesy — takie nastolatki chyba zawsze przychodzą pokazać się na zawodach konnych.

Właścicielem Bilborough Hall był sir William Blake, niespokrewniony z poetą, ale w szkole przezywany „Tygrysem”. Wmieszany w tłum gawędził ze znajomymi, uniesieniem kapelusza witał się z nieznajomymi i wszystkim opowiadał, że w dwudziestoletniej historii zawodów w Bilborough padało tylko raz. Jego żona, sędzina w zwisających tweedach i filcowym kapeluszu, której pasją był ogród, westchnęła bezgłośnie na widok trawnika poszarzałego i zrytego kopytami. Na szczęście każdego roku przyroda dbała o to, by usunąć ślady konkursu w Bilborough. Pani domu już poleciła młodszemu ogrodnikowi, ku jego wielkiemu zakłopotaniu, by przeszedł się wokół ze szpadlem i pozbierał koński nawóz, zanim zostanie wdeptany w ziemię.

— O, jesteś, Williamie — odezwała się do męża, który wesoło zgadywał, ile waży prosię. — Goście na lunch już się zjeżdżają, więc powinniśmy wracać do obowiązków.

Nieco dalej, przy koniach, Jake Lovell przywiązywał mocniej żarłocznego szarego kucyka i powoli osiągał stan, w którym zaczyna się wrzeszczeć. Rodzina beznadziejnej Pattie Beasley, z których nikt nigdy nie siedział w siodle, przyszła przebrana w bryczesy. Przerażająca matka Sally-Ann Thomson cały czas kręciła się w pobliżu, rozmawiając pełnym głosem, tak że wszyscy inni zawodnicy odwracali się ze śmiechem, słysząc te wynurzenia.

— Kochanie, zwycięstwo się nie liczy — mówiła właśnie do Sally-Ann. — Liczą się współzawodnictwo i dobra zabawa.

„Co za cholerne brednie — pomyślał Jake. — Jeśli nie zmieszczą się na podium, wszyscy się dąsają”.

Kiedy kucyk Sally-Ann poniósł ją wreszcie, a wierzchowiec Pattie Beasley zaczął się kopać z bezcennym zwycięzcą pokazu w klasie poniżej 13,2, wywołując nerwowe reakcje, Jake zabronił reszcie dzieci jazdy na kucach do popołudniowego konkursu skoków. O mało nie wywołał tym buntu.

— Dlaczego nie mogę poćwiczyć na Syropie?

— Dlaczego nie mogę pojechać na Gwiezdnym Pyle po lody?

— Auć, Śnieżek stanął mi na stopie.

— Jak ocenia pan szanse Sally-Ann w konkursie juniorów? — zapytała pani Thomson, pocąca się w szmaragdowym kostiumie.

— Nie istnieją — warknął Jake.

— A według Joyce Wilton Sally-Ann to najlepsza młodociana amazonka w Surrey.

— Czy Pattie może wziąć udział w wyścigu ziemniaka? — zapytała pani Beasley.

— Jeśli chce tracić pieniądze... namiot sekretarza jest tam.

Matka Sally-Ann wznowiła atak.

— Zapłaciliśmy za cały dzień. — Pani Wilton liczyła 12 funtów za konkurs. — Moja córka powinna jeździć tyle, ile zechce.

Jake poczuł, jak w głowie mu huczy od prób opanowania toczących się wokół rozmów. Gwar ciągle rozbrzmiewał, ogłuszający, przenikliwy i natrętny. Równie dobrze Jake mógł się zatrudnić jako niańka. Nic dziwnego, że psy pasterskie przeżywały załamanie nerwowe. Nic dziwnego, że matki biły dzieci, a dzieci biły matki. Jake miał ochotę wyłączyć dźwięk jak radio, położyć się w bujnej trawie nad rzeką i zasnąć.

Przebiegł wzrokiem po rzędzie znudzonych, przygnębionych kuców stojących na trzech nogach, bezskutecznie oganiających się ogonami od much, czasami kładących uszy na głowie, kiedy chciały się nawzajem nastraszyć. „Nie mogą się stąd wydostać, tak jak i ja” — pomyślał.

Jego twarz złagodniała, kiedy podszedł do małej Fenelli Maxwell, stojącej na wiaderku i zaplatającej grzywę nad wyraz cierpliwego Mlecza po raz trzeci. Dobry z niej dzieciak. Zadziwiające, że nie zepsuła jej paskudna matka, która zapewne teraz popija z bogaczami szampana w wielkim domu.

Jego spojrzenie złagodniało jeszcze bardziej, kiedy spoczęło na Afryce. Klaczka nie przysypiała jak inne kuce, lecz rozglądała się wielkimi oczami, chłonąc otoczenie, wciąż się upewniając, że Jake jest obok.

Perspektywa konkursu skoków i ryzyko, jakie podejmował, przyprawiały go o coraz silniejsze mdłości. Zapalił kolejnego papierosa.

Po chwili podjechał olbrzymi samochód do przewozu koni, wysiadł z niego stajenny, wysunął platformę i wyprowadził pięknego siwego kuca o splecionej grzywie, pocącego się pod szkarłatną derką z granatową listwą. Podeszła do niego dziewczyna w białej koszuli, czarnym płaszczu, obcisłych bryczesach i wysokich czarnych oficerkach; zmierzyła konia krytycznym wzrokiem. Miała dumną, białoróżową twarz. Jake pomyślał, że niektóre kobiety w stroju do konnej jazdy wyglądają bardzo atrakcyjnie, a surowość i prostota owego stroju kontrastują z ich szalonym temperamentem. Wyobraził sobie długie uda dziewczyny rozrzucone w ekstazie, podczas gdy jej kapelusz, krawat i dumna białoróżowa twarz pozostają niezmienne i na miejscu. Wyobraził sobie, jak kładzie ją na sianie, kuszącą jak świeżo posłane łóżko.

Jakby świadoma spojrzenia Jake’a dziewczyna się odwróciła. Jake szybko spojrzał w bok, nie chcąc dawać jej satysfakcji płynącej ze

świadomości, że mu się spodobała.

— Lavinia! — Przystojny ciemny chłopak, którego białe zęby kontrastowały z opaloną twarzą, zatrzymał obok niej kasztanowego konia.

— Chłistopheł, cześć! Myślałam, że jesteś w Małbelli.

— Właśnie wróciłem.

— Chodź na dłinka — nie wymawiała „r”. — Mama zapałkowała przy skrzydle.

— Chętnie — odparł chłopak i pojechał dalej.

„Cholerne klasy wyższe — pomyślał Jake — i cholerny ten ich hałas”. Miał dość swojej taniej marynarki do jazdy konnej i marnych butów, które już zaczęły go cisnąć. Chciał mieć przyczepę do przewozu koni, stajennego wyprowadzającego konie z boksów jak magik wydobywający kolorowe chusteczki z cylindra, pomieszczenie na uprząż ze ścianą pełną nagród konkursowych oraz piękną różowobiałą dziewczynę pytającą go z szacunkiem, ile kroków jest od muru do stacjonaty na parkurze.

Na ziemię sprowadził go przenikliwy głos.

— Kupiłam panu lody — odezwała się Fenella Maxwell. — Musi pan coś zjeść. O, wynoszą przeszkody do konkursu juniorów. Wiem, że zawiodę Mlecza. Mama i Tory się spóźnią, jeśli nie przestaną się opychać.

W Bilborough Hall Tory Maxwell, starsza siostra Fenelli, oglądała wielki obraz Rubensa, na którym potężna, różowa, pulchna Wenus uciekała przed połową populacji satyrów starożytnej Grecji, adorujące zaś cherubiny podtrzymywały jej faliste perłowe włosy.

„Jest znacznie grubsza ode mnie — pomyślała Tory z żalem. — Dlaczego nie urodziłam się w siedemnastym wieku?”

Dziewczyna miała wielkie szare oczy i długie, proste, ciemnoblond włosy, które wskutek nalegań matki nosiła sczesane z czoła i skroni do tyłu, spięte w kok na czubku głowy. W tej fryzurze jej okrągła, błagalna,

czerwona twarz wydawała się jeszcze większa niż zwykle. Dziewczyna była dość wysoka, mocno zbudowana, z dużym biustem podskakującym przy chodzeniu. Niezależnie od tego, jak i kiedy stawała na wadze, ważyła siedemdziesiąt kilogramów.

Właśnie trafiła ją comiesięczna klątwa, dlatego Tory czuła się jeszcze grubsza; niezależnie od tego, ile warstw podkładu nałożyła na twarz, wielka czerwona krosta na podbródku świeciła jak latarnia morska. Robiło się jej coraz bardziej gorąco, ale nie mogła zdjąć czerwonego żakietu, gdyż spódnica trzymała się niepewnie tylko na agrafce. Kostki dziewczyny spuchły; Tory zdjęła buty na wysokich obcasach, a teraz zastanawiała się, czy w ogóle da radę znów je nałożyć. Zadawała sobie pytanie, czy kiedykolwiek czuła się aż tak nieszczęśliwa, ale po chwili z ukłuciem bólu przypomniała sobie tańce z poprzedniego wieczoru i uznała, że właściwie ma sporo szczęścia.

W ciągu tygodnia chodziła do londyńskiej szkoły dla panien z dobrych domów; uczyła się tam gotować, pisać na maszynie i układać bukiety, wpychając łodygi rabarbaru w siatkę. Wieczorami ćwiczyła się w sztuce podpierania ścian, chodząc na przyjęcia taneczne i koktajle i starając się robić wrażenie, jakby należała do wesołych grup rozgadanych, roześmianych podlotków i ich wielbicieli. Czasami gospodyni ulitowała się nad nią i przyprowadzała niechętnych, apatycznych młodych mężczyzn, którzy przez chwilę porozmawiali uprzejmie lub zatańczyli jeden taniec, a potem odpływali.

Im gorzej się czuła, tym więcej jadła. Ale nigdy na imprezach, nigdy przy matce. Czekała, aż wszyscy pójdą spać, potem pożerała trzy miski płatków zalanych gęstą śmietaną. Poprzedniego dnia zjadła całe pudełko czekoladek, które matka dostała od wielbiciela, a potem musiała pobiec do

sklepu po kolejne takie samo, żeby podłożyć je w miejsce poprzednich przed powrotem matki.

Dlaczego nie może być podobna do Fen i znaleźć sobie jakieś hobby, coś, co by ją pochłonęło i sprawiło, że zapomniałaby o obżarstwie? Dlaczego w taki piękny dzień musi siedzieć w czterech ścianach? Wolałaby wyjść na dwór i urządzić piknik z Fen i Jakiem. Na myśl o Jake'u, ogorzałym i nieprzewidywalnym, do którego nigdy się nie odezwała, czuła słabość w żołądku i suchość w ustach. Och, Jake! Nocami pisywała do niego długie, namiętne listy, które potem zawsze darła. Drobni mężczyźni podobno lubią duże kobiety, wystarczy spojrzeć na D.H. Lawrence'a i Stanleya Spencera. Może brak rodziców i dzieciństwo spędzone w domu dziecka sprawiły, że szuka matki — chociaż, jak na razie, nic na to nie wskazywało.

Matka Tory, Molly Maxwell, doskonale bawiła się na lunchu. Cieszyła się tym zaproszeniem. Pułkownik Carter, który jej towarzyszył, także dobrze się bawił. Świetnie, że mogła przedstawić go sir Williamowi — znaleźli wspólny temat: wojnę. Ukradkiem przeczesała włosy; w tym tygodniu Gerald naprawdę się przy nich postarał. Dlaczego Tory snuje się wokół z miną cierpiętnicy? Synowie sir Williama również są tu obecni, wszyscy skończyli Eton, są przystojni i tak odpowiedni, a Tory nie odezwała się do żadnego z nich ani słowem przez cały posiłek; siedziała jak mruk, a kiedy myślała, że matka nie widzi, nabierała sobie dokładkę deseru.

„Biedna Molly — wyobrażała sobie komentarze otoczenia — biedna Molly, że trafiła się jej taka kluska".

— Nie, dziękuję za wino, sir Williamie. — Nie chciała poczerwienieć na twarzy. Jej nowa sukienka na jedwabnej podszewce i jaskrawoniebieski żakiet doskonale na niej leżały. Po południu zapewne zdejmie żakiet; ramiona ma wciąż szczupłe, już lekko opalone.

Naprawdę cieszyła się pierwszym sezonem Tory w towarzystwie. „Jennifer’s Diary” opisał ją w tym tygodniu jako wyjątkowo elegancką i atrakcyjną matkę Tory Maxwell. Przynajmniej jeden przystojny, bogaty młody człowiek i kilku ojców oświadczyło, że zakochali się w niej bez pamięci. A teraz pułkownik Carter coraz bardziej się angażuje i dwa razy w tygodniu przysyła róże.

Na dodatek poprzedniego wieczoru usłyszała dwóch młodych arystokratów dyskutujących na temat Tory.

— Ciekawe, czy warto byłoby się z nią ożenić dla jej kasy — powiedział pierwszy.

— Na pewno ożeniłbym się z nią dla jej mamy — odparł drugi. — Molly Maxwell to naprawdę laska.

Ona uznała to za wyjątkowo zabawne. W tej chwili Molly nieco brakowało gotówki; jej raczej flegmatyczny mąż płacił bardzo wysokie alimenty, ale kiedy jak na złość zmarł, wszystkie swoje pieniądze zostawił, nie wiadomo dlaczego, w powiernictwie dla Tory. To kolejny powód do urazy; po co Tory pięć tysięcy funtów rocznie?

Tory stojąca pod przeciwną ścianą spojrzała na matkę.

„Wyszłam z jej brzucha, a nienawidzę jej, nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę — pomyślała. — Za jej kostki jak u gazeli, wysokie elastyczne podbicie, szczupłe arystokratyczne nogi, wymalowaną złośliwą twarz, przenikliwy, urywany głos, nawet podobny do Fen! O, proszę, jak sir William pochyla się nad nią”.

— Nie, naprawdę — mówiła Molly — czy to Ferneley? Fascynujące. Nie, proszę mi powiedzieć.

I jeszcze ten okropny pułkownik Carter — raczej podrabiany pułkownik — przystojny jak starzejący się amant filmowy, błądzący po okolicy w przedpołudniowym rozleniwieniu, idealne wcielenie szowinizmu, z dużymi

żółtymi zębami błyskającymi przyjaźnie spod siwiejących wąsów, który nawet za złą pogodę winił socjalistów.

— Nie, moja młodsza córka Fen będzie startować — powiedziała Molly do sir Williama. — Szaleje na punkcie koni, wstaje o świcie, żeby je oprzątać, nigdy nie mogę jej nakłonić do założenia sukienki. O, widzę, że też kupuje pan „Tatlera”; właściwie prenumeruję go nie dla artykułów, tylko jestem ciekawa, kto ze znajomych dostał się na okładkę w tym tygodniu.

— Nie, nie jest jedynaczką — usłyszała Tory dalsze słowa matki. — Tam jest Tory; tak, bardziej przypomina ojca. Tak, właśnie skończyła osiemnaście. O, jak to miło z pana strony. Tak, wyszłam za mąż raczej młodo.

— Nie wolno mi pani zawłaszczać — powiedział sir William, wstając z krzesła, zauważywszy czającego się w pobliżu pułkownika Cartera. — Proszę podejść, Carter, nie mogę mieć do pana pretensji.

Po chwili sir William spieszył przez pokój na powitanie dwóch sędziów — Malise’a Gordona i panny Squires, którzy w nawale zajęć mieli czas tylko na szybką przekąskę. Malise Gordon, przyjąwszy kieliszek słabej whisky z wodą, nie chciał już wina. Nałożył sobie małą porcję łososia, bez ziemniaków — nie dlatego, że bał się przytyć, ale lubił zachowywać ascetyzm.

Pułkownik Gordon — były oficer kawalerii, obsypany medalami za służbę na wojnie — nie tylko zajmował się uprawą roli. Latem sędziował na wszelkich krajowych konkursach końskich, a zimą działał w lokalnym kole myśliwskim. Na polowaniach z dużymi sukcesami wprowadzał wojskową dyscyplinę; jeśli ludzie rozmawiali przy podchodzeniu zwierzyny, deptali pola lub nie zamykali bramek na polach za sobą, bez ogródek walił im w oczy, co o nich myśli. Na dodatek do tych zajęć grał na

flecie, w wolnym czasie konserwował obrazy, pisał poezje i książki z historii wojskowości. Właśnie skończył pięćdziesiąt lat, był wysoki, szczupły, o przystojnej jastrzębiej twarzy, wysokich kościach policzkowych i ciemnych, ledwie przyprószonych siwizną włosach.

„To z pewnością najbardziej atrakcyjny mężczyzna przy tym stole” — pomyślała Molly Maxwell, mierząc go z namysłem wzrokiem, przyjmując przyciężkawe komplementy pułkownika Cartera i co jakiś czas wybuchając perlistym śmiechem. Malise Gordon rozmawiał właśnie z żoną sir Williama, lady Dorothy. „Co za bezguście” — oceniła Molly Maxwell. Okropny płowy kardigan z plamami, sznurowane buty i jakaś powyciągana tweedowa spódnica, w której można ewentualnie karmić kury.

W nadziei, że zostanie przedstawiona Gordonowi, Molly wstała i podszedłszy niedbale do lady Dorothy, podziękowała jej za wyśmienity lunch.

— Absolutnie pierwsza klasa — przyświadczył pułkownik Carter, który poszedł za nią.

— Chciałby pan obejrzeć ogród? — zapytała lady Dorothy.

Malise Gordon spojrzał na zegarek.

— Lepiej chodźmy na skoki juniorów — powiedział do panny Squires.

— O, moja córka w nich startuje — wtrąciła Molly Maxwell, obdarzając go olśniewającym uśmiechem. — Mam nadzieję, że przymknie pan oko, jeśli coś zrzuci. Byłoby cudownie, gdyby wróciła do domu z nagrodą.

Malise Gordon nie odpowiedział jej uśmiechem. Słyszał jej śmiech trochę za często i uznał ją za głupią gęś.

— Na szczęście przy skokach nie ma miejsca na faworyzowanie kogokolwiek.

Pułkownik Carter, zdając sobie sprawę, że jego ukochaną właśnie spotkał afront, uznał, że Malise Gordon wymaga lekkiego prztyczka.

— Jaka jest kolejność popołudniowych zawodów? — zapytał.

— Skoki juniorów, otwarty konkurs skoków, bieg z przeszkodami na parkurze numer trzy, potem pana pokaz na parkurze drugim, Carter.

Jako zaangażowany rezerwista pułkownik Carter organizował wystawkę wojskową połączoną z salwą armatnią.

— Mamy zacząć o siedemnastej — warknął pułkownik Carter. — Mam nadzieję, że do tej pory zakończy pan już swoje skoki, Gordon. Moi ludzie lubią zaczynać punktualnie.

— Mam nadzieję, że nie zrobicie nic głupiego jak wystrzały, kiedy na arenie będą konie — odparł Malise szorstko. — To może być bardzo niebezpieczne. — Dorothy, dzięki za wspaniały lunch — dodał, całując lady Dorothy w policzek. — Ogrody wyglądają przepięknie.

Pułkownik Carter spurpurowiał. „Co za arogancki dupek” — pomyślał, wbijając gniewny wzrok w szerokie, proste jak struna plecy Malise’a, który szybkim krokiem wszedł za panną Squires do salonu. Cóż się dziwić, kawaleria zawsze zadziera nosa. Wcześniej, w trakcie odprawy, Malise miał czelność zauważyć, że zawody jeździeckie to nie miejsce do sprowadzania tłumu ludzi niemających do roboty nic lepszego niż zabawa w żołnierzy.

„Ja mu pokażę!” — pienił się pułkownik Carter.

Na teren zawodów podjeżdżały dorożki ciągnięte przez konie unoszące wysoko nogi, ozdobione rozetkami i wstążkami spływającymi z naczółków, podczas gdy młodzi jeźdźcy wpadali kucami na przeszkody ćwiczebne. Wskutek jakiegoś kolosalnego niedopatrzenia organizatorzy konkursu zaprosili trójkę celebrytów — wszyscy oni przybyli na rozdanie nagród i wszystkimi trzeba było się zająć.

Początkowo zadanie to miał wykonać Bobby Cotterel, właściciel Afryki, ale w ostatniej chwili wyjechał do Francji, a w panice towarzyszącej poszukiwaniu zastępstwa znaleziono i potwierdzono udział trojga innych

celebrytów. Pierwszą z nich była pani burmistrz, która otworzyła zawody i obeszła cały teren, a teraz została wywieziona na inspekcję. Drugą była Miss Bilborough z roku 1970, której całodniowy makijaż nie wytrzymał upału. Trzecim był celebryta radiowy o jednolicie siwych włosach i ciemnym słodkim jak melasa głosie; nazywał się Dudley Diplock. Zagrał kiedyś lekarza w tasiemcowym serialu, a teraz rozmawiał najgłośniej, jak potrafił, w nadziei, że zgromadzeni go rozpoznają. On zawładnął mikrofonem podczas konkursu skoku juniorów.

Fen czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Przeszkody wydawały się ogromne. Pierwsza bramka przypominała las Epping.

„Proszę, Boże, niech koń nie odmówi mi skoku, nie pozwól mi zawieść Mlecza”.

— O, idzie Tory — powiedziała dziewczynka do Jake’a, pomagającego jej w siodłaniu konia. — Wczoraj w nocy poszła na tańce, ale chyba nie bawiła się za dobrze; rano miała bardzo czerwone oczy.

Jake przyglądał się pulchnej Tory o przygnębionej twarzy, w obcisłych butach, drepczącej ostrożnie po zrytym końskimi kopytami gruncie. Nie wyglądała na dziewczynę, która czymkolwiek w życiu się cieszyła.

— Dobry był obiad? Na pewno podali truskawki! — zawołała Fen, wspinając się na siodło i zbierając wodze. — Poskaczę na Mleczu na padoku ćwiczebnym. To moja siostra, Tory — dodała.

Jake spojrzał na dziewczynę z taką samą porcją niechęci, którą miał zawsze zarezerwowaną dla obcych.

— Bardzo gorąco — wyjąkała Tory.

— Bardzo — przyświadczył Jake.

Na tym skończyły się tematy do rozmowy. Na szczęście Tory uratował mikrofon — ktoś wzywał zawodników na padok.

— Panie Lovell, nie mogę dopiąć popręgu Gwiezdnego Pyłu, brzuch jej spuchł! — jęknęła Pattie Beasley.

Jake podszedł i z rozmachem wbił kolano w brzuch klaczy.

Nadjechała Fen po swoich skokach ćwiczebnych. Mlecz natychmiast pochylił głowę i spróbował skubnąć trawy.

— Ty prosiaku! — pisnęła Fen, zeskoczyła z siodła i wydarła mu z pyska źdźbła. — Dopiero cię czyściłam! Gdzie mama? — zapytała siostrę.

— Ogląda ogród z lady Dorothy — wyjaśniła Tory.

— Pewnie się nudzi — stwierdziła Fen.

— Nie, patrz, jest po drugiej stronie parkuru.

Spojrzały na przeciwległy skraj areny — pani Maxwell stała obok matki Sally-Ann Thomson, a pułkownik Carter poprawiał jej leżak.

— Pułkownik Carter został u nas na noc — powiedziała Fen z obrzydzeniem. — Nie mogłam spać, o piątej rano wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak odjeżdża. Spojrzał w okno sypialni mamy i posłał jej wielkiego mlaskającego całusa. Wyobraź sobie całować się z kimś, kto ma tak okropnie wielkie, zwisające wąsy. No ale gusty są różne, jak widać.

— Fen! — przywołała ją do porządku Tory, oblewając się rumieńcem. Kątem oka zerknęła na Jake’a, sprawdzając, czy nie dojrzy na jego twarzy zaskoczenia lub rozbawienia, ale jego mina nie zmieniła się ani trochę.

— Numer pięćdziesiąt osiem! — wywołał steward zawodów.

Do startu podjechała dziewczyna w granatowym kostiumie, siedząca na lśniącej gniadej klaczy. Ruszyła — i przeszła czysto całą trasę. Kilku podchmielonych gości w bentleyu, których bagażnik uginał się pod ciężarem alkoholu, głośno zatrąbiło klaksonem.

— Jak udała się wycieczka po ogrodzie? — zapytał pułkownik Carter.

— Obejrzałam chyba każdy płatek — odparła Molly Maxwell.

— Na pewno byłaś najpiękniejszym kwiatem — powiedział pułkownik, stawiając swój leżak możliwie jak najbliżej. — Moja rodzina miała piękny ogród w Hampshar.

Słynna osobowość radiowa, Dudley Diplock, dorwał się do mikrofonu i bawił się teraz na całego.

— A oto mistrzyni juniorów hrabstwa Surrey! — obwieścił. — Panna Cock, panna Sarah Cock dosiadająca Topsy.

Podjechała dziewczyna z króliczymi zębami. Pomimo gorączkowego poganiania nogami jej kuc trzy razy zarył w ziemię przed pierwszą przeszkodą.

— Pech, Topsy — skwitowała osobowość radiowa. — Och, przepraszam, to panna Sarah Cock na Topsy.

Podjechała dziewczyna na mocno obandażowanym jabłkowitym koniu i przeszła czysto całą trasę. Po niej na starcie stanęła Sally-Ann Thomson.

— A to moja córka — powiedziała pani Thomson, przerywając na moment rozmowę o kapeluszach z panią Maxwell. — Zastanawiam się, czy Gwiezdny Pył pójdzie lepiej w wytoku.

Gwiezdny Pył uznała, że jednak nie pójdzie i trzy razy odmówiła skoku przez pierwszą bramkę.

— Naprawdę powinniśmy jej kupić konia — powiedziała pani Thomson. — Nawet najlepsi jeźdźcy niewiele zdziałają na tych szkolnych chabetach.

Pani Maxwell puściła oko do pułkownika Cartera.

Runda następowała po rundzie; wszyscy zgodnie uznali, że poziom zawodów jest beznadziejny.

— Kolejna zawodniczka ze szkoły jeździeckiej Brook Farm, panna Pattie Beasley na Szmuglerce.

Szmuglerka niechętnie podreptała do startu, przewracając oczami i stąpając na cienkich nóżkach; wyglądała jak koń ze średniowiecznego

gobelinu. Potem jak samochód, któremu skończyła się benzyna, stanęła tuż przed pierwszą przeszkodą.

Jake uniósł oczy do nieba.

— Jezu Chryste — wymamrotał.

Trzecia odmowa skoku okazała się zbyt wielkim wyzwaniem dla ojca Patty, który specjalnie na tę okazję kupił sobie bryczesy. Mężczyzna ruszył przez trawnik w stronę konia, wymachując złożonym stołkiem.

— No ruszaj! — wrzeszczał.

Przerażona klacz wykonała skok godny jelenia; odbiła się od twardej ziemi i przeleciała nad przeszkodą; Patty spadła i wybuchnęła płaczem.

— Kolejny zawodnik ze szkoły Brook Farm odpadł — stwierdził Dudley Diplock.

— Uczą ich spadać, nie? — odezwał się ktoś.

W tłumie rozległy się chichoty. Jake zacisnął zęby. Czuł obecność Tory obok i był wdzięczny za jej wyczuwalne współczucie.

— Twoja kolej — powiedział, podchodząc do Fen i sprawdzając popręg Mlecza. — Powoli podjeżdżaj do podwójnej bramki. Pozostali za szybko wychodzili z zakrętu, nie dali sobie dość czasu. No już! — dodał, delikatnie pociągając konia za ucho.

„Proszę, Boże, już nigdy nie będę niemiła — modliła się Fen. — Nie będę paskudna dla Sally-Ann i nie będę nazywać Patty nudziarą ani pyskować mamie. Tylko pozwól mi przejechać trasę”.

Nie słuchając okrzyków z życzeniami, desperacko starając się przypomnieć sobie wszystkie rady Jake’a, Fen wjechała na parkur z pełną determinacji twarzą.

— Panna Fenella Maxwell ze szkoły jeździeckiej Brook Farm! — zaanonsowała osobowość radiowa. — Przywitajmy brawami naszą najmłodszą zawodniczkę!

Węsząc sromotną porażkę, tłum niemrawo zaklaskał. Mlecz dobrodusznie bryknął; jego białe i brązowe łaty lśniły jak zbyt wcześnie otwarty kasztan.

— Czy to pani córka? — zapytała pani Thomson.

— Owszem — odparła Molly Maxwell. — O, spójrzcie, jej koń zdecydował się pójść do toalety. Te zwierzęta naprawdę nie mają wyczucia chwili.

Pierwsza bramka wyrosła wysoko jak zabójczy Becher's Brook[1] na gonitwie krajowej; Fen z całej siły ścisnęła konia nogami, a Mlecz wyskoczył w niebo i przeleciał trzydzieści centymetrów nad przeszkodą.

Fen zachwiała się w siodle i nie zdołała odzyskać równowagi na tyle, by odpowiednio naprowadzić konia na drugą stacjonatę. Mlecz zwolnił i odmówił skoku; kiedy dziewczynka trzepnęła go szpicrutą, tylko zatoczył oczami, machnął ogonem i zaczął się paść. W tłumie rozległy się śmiechy; Fen spurpurowiała.

— Biedactwo — zamruczała współczująco Tory.

Fen uniosła głowę konia, żeby przyjrzał się przeszkodzie. Mlecz zawęszył, uznał, że jest nieszkodliwa, podrzucił tłustym zadkiem, przeskoczył i poszedł, brykając do kolejnej przeszkody, przy której Fen wysunęła się stopa ze strzemienia, potem przeskoczył następną stacjonatę, przy której amazonka zgubiła kolejne strzemię. Na zakręcie do domu Mlecz przyspieszył. Fen powściągnęła go, kask spadł jej na nos, a koń w podskokach zbliżał się do znaku zakazu wjazdu. Starając się uwolnić ściąganą wodzami głowę, Mlecz uderzył w przeszkodę, ale nie zrzucił drążka.

„Nie mogę na to patrzeć" — pomyślała Tory, zamykając oczy.

Fen zgubiła także kask i powiewając kitkami, mknęła w kierunku triplebara.

Jake obserwował, jak napięła wszystkie mięśnie, by dobrze się odbić. Mlecz przeskoczył nad przeszkodą z zapasem ledwie centymetrów i galopem opuścił parkur przy głośnym aplauzie widzów.

— Panna Fenella Maxwell na Mleczu, tylko trzy punkty karne za odmowę; całkiem niezły przejazd — wycharczał mikrofon.

— Nie miałam pojęcia, że tak się poprawiła — powiedziała Tory, odwracając do Jake’a zaróżowioną, zachwyconą twarz.

Fen podjechała do nich kłusem, uśmiechnięta od ucha do ucha.

— Mlecz był wspaniały, prawda? — powiedziała, zeskakując na ziemię, po czym otoczyła ramionami szyję konia, okryła go pocałunkami i zaczęła karmić kostkami cukru.

Potem spojrzała pytająco na Jake’a.

— I jak?

— Między twoimi kolanami a siodłem można było dojrzeć połowę terenu, poza tym za szybko podjechałaś do stacjonaty... ale nieźle — odparł.

Po raz pierwszy tego dnia się rozchmurzył; Tory uznała go za bardzo miłego.

— Muszę iść pogratulować Fen — powiedziała pani Maxwell, ostrożnie mijając kupki łajna, których Manners jeszcze nie zebrał.

— Doskonale, kochanie! — zapiszczała przenikliwie, na co wszystkie konie w pobliżu się wzdrygnęły. — Dobry konik! — dodała, dłonią w rękawiczce ostrożnie głaskając nos Mlecza. — To chłopiec, prawda? — przechyliła głowę, żeby sprawdzić.

— Świetny konkurs — powiedział pułkownik Carter. — Moja siostra skakała w Hampshar.

Pani Maxwell odwróciła się do Jake’a i owiała go mdlącym obłokiem perfum Arpege.

— Fen naprawdę się rozwinęła. Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu jej ciągłe przesiadywanie w stajni, ale naprawdę całkowicie oszalała na punkcie koni. Każde zdanie zaczyna od „Jake powiedział, Jake mówi”... w naszym domu pełni pan niemal rolę wyroczni.

— Och, mamo! — jęknęła Fen.

Jake uznał kobietę za idiotkę, a ponieważ nie potrafił wymyślić sensownej odpowiedzi, więc milczał.

„Co za gbur” — pomyślała Molly Maxwell.

Po skończonym konkursie juniorzy wjeżdżali na ring odebrać rozetki.

— Numer osiemdziesiąt sześć! — zawołał steward. — Numer osiemdziesiąt sześć!

— To ty, Fen! — powiedziała podniecona Tory.

— Niemożliwe, przecież koń odmówił mi skoku.

— Masz czwarte miejsce — powiedział Jake. — Jedź.

— Niemożliwe.

— Po raz ostatni: numer osiemdziesiąt sześć! — wrzasnął steward.

— To ja! — powiedziała Fen, wdrapała się na Mlecza, nasadziła kask na głowę i bez płaszcza pokłusowała na miejsce, gdzie trzy razy podziękowała miss Bilborough za rozetkę. Sukces uderzył Mleczowi do głowy, gdyż rundę honorową koń uznał za wyścigi i rzucił się do przodu, wyprzedził pozostałą trójkę zwycięzców, wyniósł Fen z terenu jazdy i przegalopował połowę trasy konkursowej, zanim amazonka zdołała zatrzymać go tuż przed Jakiem. Ten z dezaprobatą pokręcił głową.

Fen zachichotała.

— Czy nie byłoby pięknie, gdyby Afryka też taką dostała?

---

[1] Becher’s Brook — jedna z najtrudniejszych przeszkód w brytyjskiej gonitwie Grand National (przyp. tłum.).

3

POPOŁUDNIE MIJAŁO, robiło się coraz cieplej. Pani burmistrz, spocona w swoich szkarłatnych szatach, po wąchaniu lilii lady Dorothy miała jaskrawożółty nos. Przy trybunach zespół grał Land of Hope and Glory. Rozstawiano przeszkody do otwartego konkursu skoków, słońce lśniło w mosiężnych instrumentach. Pani Thomson i pani Maxwell przesunęły leżaki na prawo, w słońce, i zgodnie stwierdziły, że Jake jest niewychowany.

— Porozmawiam sobie o tym z Joyce Wilton — zapowiedziała Molly Maxwell.

— Konie, konie, konie — dodała pani Thomson.

— Nigdy nie udało mi się nakłonić Fen do nałożenia sukienki; nigdy nie interesowały jej lalki — pożaliła się Molly Maxwell, wciąż chwaląc się rozetką zdobytą przez Fen.

— Cieszę się, że Sally-Ann nie straciła dziewczęcości — powiedziała pani Thomson.

— Zadziwiające, ilu ludzi czyta „Tatlera” — stwierdziła pani Maxwell.

— Pani Squires proszona do namiotu sędziów! — oznajmił głośnik.

— Panna Squires, panna Squires — warknęła pani sędzia w siatce na włosach, przechodząc w kierunku namiotu.

— Czy Mlecz nie był cudowny? — zachwycała się bezustannie Fen.

Tory czuła pot spływający jej między piersiami i po żebrach. Zdjęła już czerwony żakiet i wyjęła na spódnicę białą koszulę, zakrywając agrafkę.

Zawodnicy mający brać udział w otwartym konkursie skoków wkładali wysokie czarne buty, kobiety wsuwały włosy pod siatki i rozgrzewały konie na torze ćwiczebnym. Nagroda wynosząca sto funtów sprawiła, że

konkurencja z sąsiednich hrabstw była znaczna. Dwoje znanych skoczków, Lavinia Greenslade i Christopher Crossley, którzy brali udział w konkursach na Wembley i należeli do brytyjskiej kadry juniorskiej, miało również startować, ale miejscowi pokładali nadzieję w synu sir Williama, Michaelu, jadącym na sześcioletnim siwym koniu o imieniu Prescott.

Pod górę zaczęły podjeżdżać wozy pancerne i czołgi — miały się zaprezentować na pokazie rekrutacyjnym i dać salwę. Spoceni w swoich battledressach żołnierze ustawiali armatki na arenie numer dwa.

— Chryste, nadjeżdża cyrk Cartera — powiedział Malise Gordon do panny Squires. — Mam nadzieję, że Carter zdoła nad nim zapanować.

— Moi chłopcy już tu są — odezwał się pułkownik Carter do pani Maxwell. — Pójdę sprawdzić, czy u nich wszystko w porządku.

Jake przetarł Afrykę po raz ostatni. Tory, zauważywszy jego kredowobiałą twarz, drżące dłonie i szczękające zęby, bardzo mu współczuła. Jake wsunął stopę w strzemię i wskoczył na siodło.

„Gdybym tylko nie bała się tak bardzo koni, może nie bałabym się życia” — pomyślała Tory. Wzdrygnąwszy się, podeszła do linowego ogrodzenia, żeby znaleźć się jak najdalej od tych wielkich, prychających stworzeń o wielkich żelaznych kopytach, emanujących siłą płynącą z lśniących, potężnych kłębów.

Orkiestra skończyła grać i wyszła żegnana brawami, po czym ku rozczarowaniu wszystkich wróciła. Jake podjechał do Tory i zeskoczył.

— Czy możesz ją przez chwilę potrzymać? — zapytał, rzucając jej wodze.

W ostatniej chwili wpadł do toalety.

Spojrzał w głęboką, ciemną przepaść przenośnej toalety, a poczuwszy w nozdrzach zapach jej zawartości, znów gwałtownie zwymiotował. Musi wziąć się w garść, bo Afryka wyczuje jego zdenerwowanie. Pani Wilton się

nie dowie; dzieciaki przez pół godziny poradzą sobie same na przeszkodach. Jak już wjedzie na arenę, będzie dobrze. Przeszedł trasę; nie ma na niej niczego, z czym Afryka by sobie nie poradziła, o ile ją dobrze poprowadzi. Oparł się o ogrodzenie, zastanawiając, czy odważy się na jeszcze jednego papierosa.

Tory nie była zadowolona. Podniecona mikrofonem, obecnością wozów pancernych i tłumami Afryka ciągnęła wodze, przebierała nogami i truchtała w tę i z powrotem.

— Dziękuję ci bardzo — powiedział Jake, odbierając od niej wodze.

Tory spojrzała na jego pobladłą twarz i zrobiło się jej go żal.

— Tak samo czuję się przed tańcami — wyrzuciła z siebie.

Jake uśmiechnął się lekko.

— Zabierz swoich partnerów do izby tortur — poradził, znów wskakując na siodło.

Siedział bardzo wysoko, niemal jak dżokej wyścigowy, skulony na koniu jak kot, opadając na skrzypiącą skórę siodła. Afryka szarpała głową we wszystkie strony, usiłując ją wyswobodzić. Pod jej lśniącą sierścią prężyła się siateczka żył. Próbując zaskoczyć jeźdźca, tańczyła na trawie, odskakując od namiotu z napojami, damskiej toalety, flag. Jake nie poruszył się w siodle.

Christopher Crossley, przystojny chłopak na kasztanie z czterema białymi skarpetkami, przekłusował obok i przestraszył Afrykę, która wierzgnęła i trzepnęła ogonem. Jake zaklął pod jego adresem.

— Jake naprawdę umie jeździć, prawda? — westchnęła Fen.

Nawet niewprawne oko Tory widziało, że chłopak faktycznie dosiadał cudownie lekko i kierował ledwie widzialnymi ruchami rąk. Jake odjechał dalej od tłumu i przeskoczył kilka przeszkód treningowych.

Pułkownik Carter usiadł obok Molly Maxwell i oznajmił, że jego chłopcy nie mogą się doczekać, kiedy będą mogli zacząć. W tej chwili tuż przed nim przystanął zawodnik na wielkim siwku, kierując się do znajomych. Siwek natychmiast wysunął penisa. Pani Maxwell przechwyciła spojrzenie pułkownika i zaczęła chichotać.

— Ach, te końskie maniery...

Pułkownik zarechotał z zażenowaniem. Pani Maxwell nie mogła przestać; ze śmiechu łzy popłynęły jej z oczu, rozmazując mascarę. Orkiestra grała melodie z *Wesołej wdówki*.

— *Delio, och Delio*... — zanucił pułkownik Carter, nogą w wojskowych spodniach przesuwając po jej jedwabistym udzie. — Dasz radę znów wyjść dzisiaj wieczorem? — zapytał.

Molly przestała chichotać i czknęła.

— Och, Tory zajmie się siostrą, przynajmniej do tego się nadaje. Ojej, nie chciałam być złośliwa.

— Nigdy o nikim źle nie mówisz.

„Nie — pomyślała Molly — może nie”.

Pułkownik zerknął na zegarek.

— Pół godziny do wystrzału — powiedział. — Mam nadzieję, że Malise Gordon zabierze się do roboty.

Razem ustawiono dziewięć przeszkód: płot z trzciny, stacjonatę z desek, bramkę, drążki, szlaban ze znakiem „zakaz wjazdu” podniesiony do ryzykownej wysokości półtora metra, kolejną stacjonatę z hydrą, rów z wodą wychłeptaną przez psy, mur i triplebar.

Dwie gwiazdy konkursu — Lavinia Greenslade i Christopher Crossley — stały obok siebie, w oddali od reszty zawodników.

— Przeszkody są za niskie i chwiejne — oceniła Lavinia. — Zanosi się na liczne otałcia. Chyba spędzimy tu przynajmniej godzinę, a tak chciałam

wpaść na dłinka do Henłietty...

— I tak słaba konkurencja — odparł Christopher, dodając do stajennej trzymającej mu konia: — Cindy, mogłabyś poprawić ten pasek?

Wyjechała pierwsza zawodniczka — otyła dziewczyna z wielkim biustem.

— Przy każdym skoku pewnie podbija sobie cyckami oko — powiedział Christopher.

Dziewczyna przejechała czysto.

— Mówiłam ci, że będą otałcia — powiedziała nadąsana Lavinia.

— Nic nie widzę, nic nie widzę! — pokrzykiwała Fen przenikliwym głosem.

— No to chodź tutaj — powiedział mężczyzna ze składanym krzesełkiem, odsuwając się na bok; Fen przyciągnęła straszliwie zakłopotaną Tory do ogrodzenia z lin. Wjechał kasztan dosiadany przez chłopaka z dużym nosem, który nad każdą przeszkodą mocno szarpał konia za głowę.

— Dobrze skacze — powiedziała Tory.

— Ale to wszystko robi koń — odparła Fen. — Jeźdźca powinno się odstrzelić. O cholera! — dodała, kiedy chłopak przeszedł czysto całą trasę.

Mężczyzna na składanym krzesełku, który wpuścił ją obok siebie, spojrzał na dziewczynkę już nieco mniej przychylnie.

Następna skakała Lavinia Greenslade; jej siwek zalotnie zerkał spod długiej grzywy, a nad długimi rzęsami tulił uszy w sposób charakterystyczny dla araba.

— Ojciec Lavinii wydaje fortunę na konie dla niej — oznajmiła Fen. — Ten zdobył trzecie miejsce na zeszłorocznym Konkursie Konia Roku.

Jak było do przewidzenia, siwek, jak piłeczka pingpongowa, bez problemu przeskoczył przez wszystkie przeszkody. Następny startował syn

sir Williama, który również zaliczył czysty przejazd.

Ku uldze twórców toru na arenę wjechał mężczyzna na koniu, który miał na sobie taką liczbę rzemieni, że wyglądał jak ofiara sadysty — i zdemolował całą trasę. Przez czekających na swoją kolejkę zawodników przebiegła fala przerażenia i kolejnych kilkunastu po kolei zaliczyło zrzutki. Za każdym razem trzeba było pracowicie odbudowywać mur, największy postrach jeźdźców.

Pułkownik Carter spojrzał na zegarek. Jeszcze pięć minut. Czas i pułkownik nie będą czekać na Malise'a Gordona.

Na arenę wjechał chłopak Lavinii, Christopher, i przełamał zły urok szybkim i czystym przejazdem. Jake z zazdrością patrzył, jak zawodnik niedbale rzuca stajennemu swoją szpicrutę, zsuwa się z siodła i wraca na widownię, do Lavinii, żeby obejrzeć resztę przejazdów.

Kolejna jechała starsza kobieta w siatce na włosy, o mocno umalowanej twarzy, ze szkarłatną szminką na ustach i z różem na przywiędłych policzkach.

— Waży zaledwie czterdzieści cztery kilogramy — powiedział mężczyzna, który przepuścił Fen.

— A połowa z tego to tapeta — wymamrotała Fen.

Starsza pani jechała tak, jakby prowadziła rolls-royce'a. Jej wierzchowiec pokonał wszystkie przeszkody bez widocznego wysiłku.

— Potem jedzie Jake — powiedziała Fen, kiedy dziewczyna z włosami upiętymi w kok, wymykającymi się spod siatki, wjechała na nędznej klaczy na start, ruszyła i zaczęła przewracać każdą przeszkodę. Kiedy dojechała do muru, klacz uderzyła w niego kopytami i wspięła się ponad metr nad przeszkodę, a gdy cegły się rozsypały, spłoszona zeskoczyła i rozwaliła triplebar.

— Och, biedny Jake! — użaliła się Fen, kiedy w nieskończoność czekali na naprawę toru.

W końcu wywołano numer sto dziewięćdziesiąt pięć. Z tłumu wyjechał Jake. Jego twarz przypominała szarą maskę. W przeciwieństwie do niego Afryka pląsała i błyszczącymi radośnie oczami wodziła po otoczeniu; jej marszcząca się na mięśniach skóra lśniła jak reklama pasty do mebli. Klacz była uosobieniem beztroski.

— Jake Lovette! — ogłosił Dudley Diplock. — Ze szkoły Brook Farm.

— No nie, jeszcze jeden! — jęknął pod nosem Malise Gordon.

Tory widziała poruszające się usta chłopaka przemawiającego do Afryki.

— On rozmawia tylko z końmi — mruknęła Fen.

Wjechawszy na tor, Jake momentalnie się uspokoił. Skrócił wodze i uniósł się w strzemionach. Afryka podskokami ruszyła ku pierwszej przeszkodzie.

— Za szybko — wymamrotała Fen.

Afryka jednak bezpiecznie pokonała przeszkodę, Jake zaś już utkwił spojrzenie w palikach i słupkach przed sobą — kolejną przeszkodę przeskoczyli z łatwością. Przy bramce Afryka dojrzała balon w tłumie, zdekoncentrowała się i mocno uderzyła pęciną w przeszkodę. Bramka zakołysała się, ale jakimś cudem nie spadła.

— Ma nauczkę — stwierdziła Fen, kiedy Afryka kolejne kilka kroków przebiegła, powłócząc nogą.

— Dobrze jeździ — odezwał się głos z widowni. — A to nie jest łatwy koń.

— Czy to nie Jake Lovell? — zapytała Molly Maxwell.

Afryka zwolniła nieco przed murem, po czym zmieniła zdanie i gwałtownym, godnym kota wyskokiem pokonała przeszkodę. Większość jeźdźców spadałby przy tym z siodła.

„Nie widziałem tego chłopaka — pomyślał Malise. — Bardzo dobrze radzi sobie z koniem, a to trudny wierzchowiec”. Z narastającą przyjemnością przyglądał się, jak Afryka przeskakuje jedną i drugą stacjonatę, a potem niemal przefruwa nad rowem z wodą i murem.

Jednak kiedy Jake zwrócił się w kierunku triplebara, Malise uświadomił sobie, że przeszkoda jest nienaturalnie wysoka. Jeden ze stajennych, który przeżywał zawód miłosny i całe popołudnie spędził w namiocie z piwem, właśnie zobaczył, jak ukochana przechadza się pod rękę z rywalem i uniósł górny drążek na wysokość metra osiemdziesięciu.

Malise Gordon wysunął się do przodu, by przerwać konkurencję, ale było już za późno. Afryka zakręciła i popędziła w kierunku przeszkody, tętniąc kopytami o ziemię, wciąż starając się wyswobodzić głowę.

— Spokojnie, kochana — powiedział Jake śpiewnie.

Górny drążek, odbijający się bielą od szarozielonej murawy, znajdował się powyżej uszu Afryki. Przez moment klacz wahała się, skróciła krok, po czym jak helikopter uniosła się na tylnych nogach i wykonała gigantyczny skok. Przyglądający się oniemiali widzowie mieli wrażenie, że uniosła się w niebo jak ptak.

— Chryste! — zawołał Malise.

W tej chwili sir Williams skierował lornetkę na Afrykę i sprawdził program. Niewiarygodne, koń ze szkoły Brook Farm. Może się nadawać dla Mikeya na przyszły sezon.

Tłum westchnął z podziwem i zaczął wiwatować.

Pułkownik Carter spojrzał na zegarek.

— Cholernie dobry przejazd — stwierdził Christopher Crossley.

Jake zeskoczył z siodła i pogłaskał Afrykę, za wszelką cenę nie chcąc okazać zalewającej go fali radości.

— Koniec — powiedział Malise Gordon do zgromadzonych przy arenie. — Ograniczamy zawody do sześciu skoków, podnieście drążki nad pierwszą przeszkodą i nad bramką, na murze ułóżcie jeszcze jeden rząd cegieł, a triple na półtora metra. Pospieszcie się, bo Carter zacznie strzelać z armat.

— Czyli mamy siedem czystych przejazdów — podsumowała Fen, licząc na palcach.

Pułkownik Carter dźwignął się z leżaka.

— Idziesz? — zapytała Molly.

— Nieprzyjaciel nie zaczeka, prawda? Za dziesięć minut moi ludzie zaczynają pokaz — odparł pułkownik, mijając Malise’a.

— Nie bądź pan kretynem — warknął Malise. — Jeśli przed końcem skoków wystrzeli chociażby jeden z was, wywołacie chaos, a wtedy nietrudno o wypadek.

— Dam panu kwadrans, powinien wystarczyć.

— Przyślę wam kogoś, jak będziecie mogli zaczynać.

Pułkownik Carter zazgrzytał dużymi żółtymi zębami. Był zmęczony. Poprzednia noc z Molly, chociaż wspaniała, raczej go wymęczyła. Nie wyspał się, skutki gościnności sir Williama już przeszły, a najbardziej irytujące było absolutne lekceważenie pokazu przez Malise’a.

Na arenie numer trzy, niedaleko kasztanów, zaczynał się już wyścig z przeszkodami; zagrzmiała też muzyka do zabawy w gorące krzesła.

— Proszę pana, pomoże mi pan osiodłać Szmuglerkę? — zapytała Pattie Beasley.

— Daj mi kwadrans — poprosił Jake.

Konie czekały na boku doprowadzane do szaleństwa przez muchy, upał i odległe dudnienie grzmotów.

— Jeśli pan wygra, powie pan o tym pani Wilton? — zapytała Fen.

— Boże, absolutnie nie. Gdyby wiedziała, jak dobra jest Afryka, przekonałaby Bobby’ego, żeby ją sprzedał. Sam bym ją kupił, ale najpierw musiałbym wygrać w totka albo ożenić się z bogatą panną.

— Niech się pan ożeni z Tory — zachichotała Fen. — Pewnego dnia będzie okropnie bogata. Mógłby pan trzymać dużo koni, a ja mogłabym z wami mieszkać.

— Fen! — zgromiła ją Tory, oblewając się rumieńcem.

„To naprawdę mistrzyni rumieńca” — pomyślał Jake.

Fen spoglądała na Sally-Ann Thomson, która w podskokach biegła wziąć udział w gorących krzesłach.

— Dobrze, że pani Wilton jest w Brighton — stwierdziła. — Byłaby bardzo zła, gdyby widziała, że nie pilnuje pan jej ukochanych uczennic.

Pani Wilton sunęła drogą. Dzień nie należał do udanych. Jej bogaty wuj, homoseksualista, zirytowany temperamentem i buntowniczością swojego przyjaciela, fryzjera, przy lunchu był w tak podłym nastroju, że kobieta wyszła obrażona. Rzuciwszy jedno spojrzenie na plażę w Brighton, pełną ludzi spędzających dzień na słońcu, postanowiła wracać wcześniej, żeby uniknąć korków w godzinach szczytu. Jechało się tak szybko, że postanowiła zajrzeć na konkurs w Bilborough. Nie zaszkodzi wpaść tam bez ostrzeżenia; przynajmniej Jake będzie wiedział, że jest pilnowany. Sięgnęła do torebki po szminkę i pomalowała usta, nawet nie patrząc w lusterko.

Pułkownikowi Carterowi ciśnienie rosło wraz z temperaturą. Niech szlag trafi Malise’a Gordona. Nie tylko straci szacunek żołnierzy czekających w upale, ale też straci sporą część widowni, która przyszła o siedemnastej w nadziei na wybuchy, a teraz powoli opuszczała.

— Sir, ludzie znudzili się czekaniem — odezwał się adiutant.

— Zanieś to pułkownikowi Gordonowi — powiedział pułkownik Carter, podając mu kartkę.

„Działa wystrzelą o 17.20. Carter”.

„Jak szarża lekkiej brygady” — pomyślał młody żołnierz, wracając po dwóch minutach z tą samą kartką, na odwrocie której Malise Gordon nabazgrał: „Macie czekać na koniec ostatniego przejazdu. Gordon”.

Pułkownik Carter z wściekłością podarł kartkę.

Dziewczyna z wielkim biustem miała siedem punktów karnych, syn sir Williama osiem. Koń, którego jeździec wciąż ciągnął za wodze, w końcu miał dość i odmówił skoku — dwa razy przy płotku, raz przy stacjonacie — i został wyeliminowany. Następna jechała starsza pani z mocnym makijażem; ona z kolei strąciła cegłę z muru i jeden drążek z triplebarem.

Pani Wilton zaparkowała; z tego, co było widać, konkurs otwarty jeszcze trwał. Pułkownik Carter sprawdził godzinę.

Christopher Crossley szykował się do startu.

— Podzielimy się nagrodą, Lavinio — zagadnął — jeśli oboje będziemy mieli czyste przejazdy?

— Ognia! — w dusznym, pełnym komarów powietrzu zabrzmiała ostro komenda.

Dwudziestopięciofuntówki wypaliły, a wśród koni zapanował chaos; zwierzęta zaczęły się płoszyć, stawać dęba i skakać w tłum, strasząc ludzi.

Siwek Lavinii Greenslade skakał i rzucał się wściekle. Jake zeskoczył z Afryki i z całych sił trzymał ją za uzdę, próbując uspokoić.

Pobladły z gniewu Malise Gordon zostawił pannę Squires przy stole pokrytym zielonym suknem i pobiegł na arenę numer dwa, gdzie dołączył do niego sir William.

— Co się dzieje, do cholery? — pytał.

— Ten megaloman Carter — odparł Malise, podchodząc do pułkownika Cartera.

— Co pan, do licha, wyprawia? Niech pan natychmiast zatrzyma tę kanonadę!

Odpowiedź pułkownika Cartera zagłuszyła kolejna salwa.

Tuż obok przebiegł koń, który pozbył się jeźdźca; strzemiona i wodze powiewały w powietrzu; za nim zaś przegalopowała dziewczyna z dużym biustem, którą wierzchowiec również poniósł.

— Spójrz pan tylko! — powiedział Malise. — W każdej chwili może się zdarzyć poważny wypadek.

— Wasi ludzie chyba potrafią zapanować nad końmi? — odwarknął pułkownik Carter. — Jeśli nie umiecie dostosować się do harmonogramu, musicie ponieść konsekwencje.

Wystrzeliło kolejne działo.

— Chyba może pan poczekać pięć minut, Carter — wtrącił sir William. — Zostały tylko trzy konie.

— Niech pan wstrzyma ogień, pułkowniku! — poleciła pani burmistrz, zatykając sobie dłońmi uszy.

Carter musiał przyznać, że został pokonany.

— No dobrze, jeśli chcecie zrobić farsę z pokazu, poczekamy jeszcze dziesięć minut.

— Wariat! — ocenił Christopher Crossley, którego koń tańczył, jakby ktoś podpalił mu trawę pod kopytami, a nozdrza miał czerwone jak piwonie.

Jake, próbując opanować spoconą, rozdygotaną Afrykę, z podziwem obserwował, jak Christopher wjeżdża na start i pięknie pokonuje trasę, zrzucając tylko jedną cegłę z muru.

Siwek Lavinii Greenslade, całkowicie wytrącony wystrzałami z równowagi, ruszył na tor jak huragan — i tak też wyglądały przeszkody po jego przejeździe.

Jake znów musiał czekać na naprawę toru; napięcie coraz bardziej dawało się we znaki zarówno jemu, jak i Afryce.

— Pech — skomentował Christopher Crossley, kiedy Lavinia z rozwścieczoną miną zjeżdżała z toru.

— Złożę skargę — zapowiedziała.

Molly Maxwell podeszła do pułkownika Cartera.

— Zawieszenie broni? — zagadnęła, chichocząc.

— Cholerny Gordon musi skończyć swoje skoki.

— Mieliście zacząć pół godziny temu — powiedziała Molly. — Ja bym się nie zgodziła na opóźnienie. Wellington nigdy nie wygrałby pod Waterloo, gdyby tak zwlekał.

— O Boże! — zachłysnęła się Fen na widok pani Wilton przeciskającej się energicznie przez tłum. — Patrz, Tory, kto przyjechał. Pani Wilton się wścieknie, jak zobaczy Jake’a. Musimy ją czymś zająć. Dzień dobry, pani Wilton, miała pani być w Brighton?

— Postanowiłam wrócić. Jak minął dzień?

— Mam czwarte miejsce w skokach juniorów.

— Twoja pierwsza rozetka, doskonale! Ktoś jeszcze coś zdobył?

Fen pokręciła głową.

— A gdzie Jake?

— Pewnie przy skokach — powiedziała Tory rozpaczliwie.

— Tak, na pewno. Chodźmy do niego, a po drodze pokażę, jak Mlecz pięknie wygląda z rozetką — podchwyciła Fen, czepiając się czerwonej dłoni pani Wilton. — A potem zaprowadzę panią do mamy, chciała

postawić pani drinka. Na pewno jest pani gorąco po tej jeździe — paplała; poczucie winy miała wypisane na twarzy.

— Co się działo na konkursie?

— Skończył się — odparła Fen.

Odbudowa toru została zakończona.

— Proszę ruszać — powiedział steward opiekujący się torem.

Jake wjechał spokojnie na arenę.

„Ładny koń” — pomyślał Malise.

— O, jeszcze jeden zawodnik — stwierdziła pani Wilton.

— Przyjdzie pani zobaczyć Mlecza? — dopytywała się Fen gorączkowo.

— Ależ to Jake! — krzyknęła z gniewem pani Wilton. — I to na Afryce!

Afryka podbiegła do pierwszej przeszkody, napięta jak katapulta gotowa do wystrzału.

Dziesięć minut upłynęło.

— Ognia! — zawołał ponownie pułkownik Carter.

Zagrzmiał wystrzał.

Na arenę wskoczył pies, ujadając zawzięcie, jakieś dziecko upuściło lody i zaniosło się histerycznym płaczem. Afryka wyskoczyła gwałtownie, zataczając przerażonymi oczami, po czym wylądowała, jednym skokiem dopadła kolejnej przeszkody i przeleciała nad nią, niemal się ocierając.

Jake opadł na siodło i próbował ją opanować. Działo znów wystrzeliło. Afryka wpadła na bramkę i oderwała jedno skrzydło, które poleciało w bok.

Widzowie przyglądali się bezradnie. Tory i Fen zamarły z przerażenia, a oszalała klacz skręciła, mimo gorączkowych prób jeźdźca, który na próżno ściągał wodze, świadomy jedynie tętentu kopyt na suchej ziemi i pobladłych, przerażonych twarzy migających z boku.

Kiedy klacz skierowała się do triplebara i znalazła kilka metrów przed przeszkodą, rozległ się kolejny wystrzał. Jake próbował uspokoić konia, ale

klacz zmyliła krok i wyskoczyła w zupełnie niewłaściwy sposób, na ukos, zahaczając nogą o bok przeszkody. Widzowie jęknęli głucho.

Afryka leżała pod trzema drążkami przeszkody, machając nogami jak gąsienica, rozpaczliwie usiłując się podnieść. Jake stanął chwiejnie: przed oczami migały mu gwiazdy. Modląc się wbrew nadziei, by Afryka nie złamała jednak żadnej kończyny, rzucił się ku niej, wciąż trzymając wodze.

Znów zagrzmiał wystrzał. Afryka zrzuciła z siebie drążki i z trudem się podniosła. Stała, drżąc na całym ciele i unosząc tylną nogę.

Malise podbiegł do konia i jeźdźca.

— Czy coś się panu stało? — zapytał.

Jake pokręcił głową.

— Ale nie wiem, co z koniem, nie może stanąć na nodze.

Malise ujął uzdę Afryki, pogładził ją łagodnie i pociągnął do przodu. Afryka zrobiła krok, utykając, po czym stanęła. Malise przesunął dłonią po jej pęcinie. Klacz zadrżała, lecz pozwoliła się dotknąć.

— Nie ma złamania, ale możliwe, że to naciągnięte ścięgno. Lepiej wezwać weterynarza.

Znów rozległ się wystrzał. Afryka wzdrygnęła się, ale już nie uciekała.

— Przykro mi — odezwał się Malise. — Naprawdę doskonale przeszła pierwszą rundę. — Niech pan usiądzie na trawie — dodał, widząc, że Jake zaczyna się chwiać.

Jednak w tej chwili podeszła do nich pani Wilton z miną znacznie bardziej marsową niż pułkownik Carter.

— To tak się zabawiasz, jak mnie nie ma! — krzyknęła. — Jak śmiałeś dosiadać tego konia?! Jak śmiałeś?!

Jake spojrzał na nią. Przez mgłę bólu przebijała jej czerwona, rozgniewana twarz przypominająca kawał wołowiny, rozpływająca się i tańcząca przed oczami.

— Niech go pani zostawi — warknął Malise. — Nie widzi pani, że jest w szoku?

Pani Wilton rozwścieczona rzuciła się na niego.

Jake się nie odezwał, spojrzał tylko na nogę Afryki i wyprowadził ją z areny. Pani Wilton szła za nim, wrzeszcząc. Chętnie zwolniłaby go od razu, ale nie mogła sobie na to pozwolić, gdyż wtedy do opieki nad końmi nie miałaby nikogo oprócz tępej Alison, która pracowała tylko na część etatu. Ciężko było o stajennych. Będzie musiała poprosić brata pracującego w reklamie o stworzenie chwytliwego ogłoszenia do „Horse and Hound”. Zapewne to jej wina, była dla chłopaka zbyt wyrozumiała; nie powinna była zapraszać go wieczorami na drinka.

Kiedy Jake zszedł z areny, podbiegła do niego Fen.

— Biedny pan Jake! Nic się panu nie stało? Może ma pan wstrząs mózgu? Pamięta pan, jaki dzisiaj dzień tygodnia i co pan jadł na obiad?

Po chwili podbiegła do nich rozwścieczona pani Thomson.

— Nikt nie pomógł Sally-Ann na zakręcie, spadła i zraniła się w rękę! Och, wróciłaś, Joyce — dodała z ulgą. — Teraz już wszystko pójdzie łatwiej.

Tory naprawdę żal było Jake’a, poszarzałego, drżącego i ganionego przez panią Wilton i panią Thomson.

W tej chwili przejechał obok Christopher Crossley udający się po odbiór pierwszej nagrody. Na moment zatrzymał swojego kasztana.

— To był naprawdę ogromny pech — powiedział — a to świetny koń. Gdybyś kiedyś chciał ją sprzedać, mój numer znajdziesz w książce telefonicznej North Hampshire, nazwisko Crossley. Ci cholerni żołnierze powinni sami ustawić się przed swoimi armatami.

Jake pokiwał głową.

Kiedy podeszli do rzędu koni, Fen wydała okrzyk.

— nie ma mlecza!

Ruszyła przed siebie. Ogłowie Mlecza wciąż było przywiązane do barierki.

— Teraz, z nagrodą, to cenny koń! — jęknęła. — Pewnie go porwali!

Po kwadransie, gdy pani Wilton chodziła za Jakiem, obrzucając go wszelkimi możliwymi wyzwiskami, odnaleziono Mlecza w nowym wspaniałym świecie, czyli w ogrodzie warzywnym lady Dorothy. Koń zdążył już zdewastować grządki z ziołami, zniszczyć świeżo podlany trawnik, podeptać krzewy róż i pozbawić ogród jego charakteru, teraz zaś galopował po ogrodzie, błyskając białkami oczu, z wielką marchewką sterczącą z pyska jak cygaro.

Kiedy Jake lub Fen starali się do niego zbliżyć, odbiegał i skubał coś smakowitego.

— Wygląda jak wcielenie Hamleta — stwierdziła Fen, chichocząc histerycznie.

Zanim Jake go złapał, na jego głowę spadła lawina wyzwisk ze strony lady Dorothy, pani Wilton i pani Thomson.

Wreszcie nadszedł czas powrotu do domu. Afryka została zbadana przez weterynarza, który stwierdził mocne naciągnięcie ścięgna, ale nic poważniejszego, i zalecił odpoczynek. Malise Gordon pospieszył do domu, gdyż wybierał się do teatru. Fen zdobyła drugie miejsce w wyścigu z ziemniakiem i była w siódmym niebie. Miss Bilborough umówiła się na randkę z jednym z ludzi pułkownika Cartera. Dudley Diplock został poproszony o autograf przez trzy osoby, ale nikt nie podziękował mu za komentowanie konkursu.

W szkole jeździeckiej Brook Farm wciąż oszołomiony Jake oporządzał kuce.

— Podobno nieźle się naraziłeś — powiedziała Alison, Irlandka pomagająca w stajni w weekendy. — Stara Wiltonka wyszła z siebie. Wiedziałam, że prędzej czy później cię przyłapie.

Jake nie odpowiedział. Smarował Afrykę balsamem. Już wmasował w jej nogę jedno ze swoich cygańskich lekarstw (maść z kwiatów prawoślazu). O wpół do dziesiątej wreszcie zamiatał stajnię, kiedy pojawiła się pani Wilton. W świetle nagiej żarówki w pomieszczeniu na uprząż jej twarz przybrała nieapetycznie fioletową barwę, a z ust wydobywał się odór whisky.

— Chcę z tobą porozmawiać, Jake — powiedziała powoli, by udowodnić, że jest trzeźwa. — Czy zdajesz sobie sprawę, że zniszczyłeś reputację szkoły Brook Farm?

— Jaką reputację? — odpalił Jake. — Z piwnicy nie można już zejść niżej.

— Nie bądź bezczelny; nie musisz pyskować.

Jake zamiatał słomę z podłogi, podczas gdy nad jego głową przelatywały wyrażenia takie jak „kompletny chaos”, „narażanie najlepszego konia w stajni” i „zobowiązania wobec młodych uczennic”. Jego twarz przybrała wyraz niemal całkowitego oderwania od rzeczywistości.

„Dlaczego on nigdy nie okazuje skruchy? — pomyślała pani Wilton. — Gdyby chociaż raz przeprosił, dużo by to zmieniło”.

I kontynuowała swoje wywody.

„Wykorzystanie sytuacji, zastanawiam się, kto tu dla kogo pracuje, mój dom to dla ciebie hotel, po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam...” Jake powtarzał sobie bezgłośnie jej słowa.

Boże, zbliża się do niego; miał nadzieję, że nie będzie niczego próbowała.

— Bardzo mnie rozczarowałeś, Jake — ciągnęła pani Wilton. — Naprawdę ci ufałam, powierzyłam odpowiedzialne zadania, a ty

odpowiedziałeś mi kopniakiem w zęby. A jednak wciąż w głębi serca czuję, że naprawdę mnie lubisz. — przez moment jej głos przybrał niemal obscenicznie pojednawczy ton.

— Nie — odparł Jake bez ogródek. — W głębi serca czuję coś znacznie gorszego.

Panią Wilton zatkało, ale prawie natychmiast w jej myślach zapłonęła żądza zemsty. Wyciągnęła asa z rękawa.

— Wylecz nogę Afryki, bo niedługo się z nią pożegnamy.

Jake spojrzał na nią przymrużonymi oczami.

„Wreszcie go zabolało” — pomyślała usatysfakcjonowana pani Wilton.

— Właśnie dzwonił sir William. Myślałam, że zmyje mi głowę za ogród lady Dorothy, ale on pytał tylko o zdrowie Afryki i o to, czy bylibyśmy skłonni ją sprzedać. Chce ją kupić dla najmłodszego syna na przyszły sezon myśliwski. Z przyzwoitym jeźdźcem ten koń może sobie dobrze radzić.

Pani Wilton odwróciła się i chwiejnym krokiem wyszła. Jake był wyczerpany i zrozpaczony, miał ochotę się rozpłakać.

Opuściwszy pomieszczenie na uprząż, przeszedł wzdłuż rzędu pustych boksów do Afryki. Chociaż klacz właśnie jadła, odeszła od żłobu i podeszła do niego, prychając z radości i sięgając do jego kieszeni. Otoczył ją ramionami za szyję, a ona przytuliła pysk do jego policzka. Co za czułostkowość; klacz mogła tak stać godzinami, oddychając cicho, podczas gdy on drapał ją za uszami.

Jake wciąż wracał pamięcią do wspaniałej pierwszej rundy, a zwłaszcza cudownego, zadziwiającego ostatniego skoku. Afryka to gwiazda, nie może jej oddać, teraz wie już na pewno, że może zostać tylko skoczkiem, nikim innym. Od ponad roku, pracując dla pani Wilton, zdawał sobie sprawę z nieubłaganego pędu czasu, który upływał mu bezużytecznie. Jake wyszedł z domu dziecka w wieku osiemnastu lat, dwa lata spędził w stajni koni

wyścigowych. To wtedy odkrył, że trudne konie łagodnieją, kiedy on ich dosiada i że łatwiej mu się porozumieć z końmi niż z ludźmi. Nawet pierwszy raz z dziewczyną — i potem kolejne — nie przyprawił go o taki zawrót głowy, jak nagły przełom, kiedy koń spisany już na straty jako beznadziejny przypadek zaczynał reagować na jego dotyk, i w końcu radość ostatnich miesięcy płynąca z odkrycia Afryki i stopniowego uświadamiania sobie jej talentu. Warto było znosić te okropne dziewczynki i ich przerażające rodzicielki. „Moja matka nigdy tak wokół mnie nie skakała” — pomyślał gorzko.

A teraz zepsuł wszystko; zwolnienie to tylko kwestia czasu. Pewnie uda mu się znaleźć pracę stajennego, ale nie jeźdźca. Afryka delikatnie pocierała go pyskiem.

„Wciąż jeszcze tu jestem” — zdawała się mówić.

— Ale już niedługo — westchnął Jake — chociaż będę o ciebie walczył.

Tory Maxwell leżała na łóżku, wstydząc się z powodu trzech porcji truskawek ze śmietaną, które zjadła. Rozejrzała się po swoim wyjątkowo schludnym pokoju i pożałowała, że nie ma zdjęcia Jake’a. Zza okna wpływał do wewnątrz zapach bzów i konwalii, a Tory wciąż o nim myślała. Co prawda w ogóle jej nie zauważył. Przemknął po niej wzrokiem takim, jakim mężczyzna przebiega artykuł o modzie w swojej gazecie, wiedząc, że nic go w nim nie zainteresuje.

Matka wyszła z tym sadystycznym mordercą, pułkownikiem Carterem. Po tym, co facet zrobił Jake’owi, Tory nie mogła się zmusić, by z nim rozmawiać. Jak matka może z nim sypiać? Pułkownik zapewne wspina się na nią jak wielki dinozaur.

Spojrzawszy w lustro, Tory wypróbowała inny kolor szminki i przyłożyła dłonie do pulchnych policzków. Gdyby schudła, mogłaby być ładna. Przez

okno na jaśniejącym szafirowo niebie widziała srebrzysty księżyc w nowiu i podążającą za nim gwiazdkę.

„Tak samo ja ganiam za Jakiem — pomyślała. — Proszę, daj mi Jake’a Lovella, a ja kupię mu wszystkie konie, jakie mu się spodobają” — wysłała niemą modlitwę.

Pułkownik Carter i pani Maxwell popijali trzecią kolejkę ginu z tonikiem w barze Grand Hotelu w Guildford. Skrytykowali Malise’a i Jake’a, ponarzekali na sir Williama i lady Dorothy, czym wprawili się w dobry nastrój i pogratulowali sobie, że na siebie trafili.

— Wyglądasz dzisiaj wyjątkowo ślicznie — stwierdził pułkownik Carter.

„Zawsze tak mówi, ale może to prawda” — pomyślała Molly. W różowawym lustrze nad barem uchwyciła swoje odbicie. W co mogłaby się ubrać na swój ślub? Może szary jedwab z szykownym kapeluszem; tę samą kreację miała na przyjęciu Tory.

Pułkownik na pewno będzie w stanie płacić w przyszłości jej rachunki.

W kącie pianista z nienaturalnie pomarańczowymi włosami grał *Someone to watch over me*.

— *Jagniątko zagubione w lesie*... — podśpiewywał pułkownik.

Miło znów adorować atrakcyjną kobietę. Zawsze zdradzał Jennifer, swoją żonę, ale jej śmierć była dla niego szokiem. Żona zrobiła dla niego naprawdę bardzo wiele.

— Po śmierci Jennifer byłem bardzo samotny — powiedział.

— Tak jak ja po śmierci Alastaira — odparła Molly. Nie widziała powodu, by wyjaśniać, że rozwiedli się sześć lat przed śmiertelnym wypadkiem samochodowym eksmęża. Bardziej romantycznie jest być wdową niż rozwódką.

Kelner podał im wielkie karty, które przestudiowali zbyt uważnie (pułkownik Carter zwracając uwagę zwłaszcza na ceny) jak na parę

zakochanych.

— Cieszę się, że postawiłem się temu dupkowi, Gordonowi — powiedział.

— Chciałabym wiedzieć, gdzie popełniłam błąd przy wychowaniu Tory — odparła Molly Maxwell.

Nieco dalej za pokojem Tory, w swojej sypialni leżała Fen. Posłano ją na górę w niełasce, gdyż zarzuciła pułkownikowi Carterowi przestraszenie wystrzałami Afryki. Leżała w łóżku zasypanym okruszkami, po raz setny czytając *The Maltese Cat* przy latarce. Przeniosła snop światła na biało-niebieskie rozetki, potem spojrzała za okno, na księżyc w nowiu.

„Pomóż mi zostać najlepszą amazonką na świecie” — pomyślała.

4

Dla Tory Maxwell niedziela zaczęła się źle. Dziewczyna nie mogła spać, słyszała skrzypienie podłogi przed swoim pokojem, kiedy pułkownik Carter wykradał się o świcie z domu. Wrócił jednak o wpół do pierwszej, przebrany w świeży strój, z przyczesanym wąsem i butelką ginu, po czym usiadł z Molly Maxwell na tarasie i razem popijali martini, podczas gdy Tory przygotowywała lunch.

— Skoro tyle mnie kosztują jej kursy gotowania i maszynopisania — stwierdziła Molly — mogę mieć z tego jakiś pożytek.

— Uroczy ogród — zauważył pułkownik.

— Trzeba by skosić trawnik — podsunęła Molly Maxwell — ale tego lata wciąż brakuje mi czasu.

Biały sos do kalafiora miał grudki, bo Tory robiąc go, jednocześnie czytała artykuł w kolorowym magazynie o przystojnych kawalerach do wzięcia. Opisywano w nim między innymi Ruperta Campbella-Blacka. Po trzech latach w drużynie niebieskich teraz był zbyt zajęty zdobywaniem reputacji w konkursach skoków, by pokazywać się na przyjęciach w towarzystwie, jednak kiedy już się tam pojawił, zawsze wywoływał zamieszanie.

„Święte słowa” — pomyślała Tory, dolewając mleka do sosu.

Ona sama wielokrotnie padła ofiarą ciętych uwag Ruperta.

Facet do perfekcji dopracował minę absolutnej obojętności. Widok jego zimnej, aroganckiej twarzy i owo spojrzenie przyprawiały ją o mdłości, zwłaszcza że matka uważała go za uroczego i wciąż namawiała Tory, by

zadzwoniła i sprawdziła, czy na pewno dostał zaproszenie i przyjdzie na imprezę.

Tory cierpła na myśl o przyjęciu. Miała wrażenie, że nikt nie przyjdzie, poza tym starczało jej wrażliwości, by zdawać sobie sprawę, że chociaż niektórzy ojcowie i młodzi mężczyźni flirtowali z jej matką, kobiety uważały Molly za zbyt nachalną parweniuszkę.

O wpół do drugiej zasiedli do lunchu, chociaż Fen jeszcze nie wróciła ze stajni. Pułkownik Carter pokroił mięso. Przyzwyczajony do wojennych oszczędności kroił bardzo cienkie plastry. Jak zauważyła Tory, podając talerz matce, dotknął jej dłoni. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że jej obecność im przeszkadza. Matka krytykowała wszystko. Biały sos był za rzadki i miał grudki, mięso rozgotowane, a pieczone ziemniaki mokre. Chcąc utwierdzić pułkownika w przekonaniu, że jada jak wróbelek, Molly odsunęła swoje ziemniaki na brzeg talerza.

— Nie chcę ci suszyć głowy — powiedziała do Tory — ale pewnego dnia wyjdziesz za mąż i będziesz musiała gotować dla jakiegoś mężczyzny, a on będzie oczekiwał przyzwoitego jedzenia.

„Zawsze to jakaś nadzieja” — pomyślała Tory.

Zaniosła naczynia do kuchni i zjadła dwa ziemniaki zostawione przez matkę i jeszcze dwa, które pozostały na półmisku. Kiedy weszła matka, obciążona sosjerką, której użyła jako wymówki, by w kuchennym lustrze przypudrować nos, Tory musiała je szybko przełknąć.

W połowie deseru, gdy Molly narzekała, że przypomina on raczej toffi, weszła Fen z ubrudzoną buzią i rękami, w tej samej koszuli, w której chodziła dzień wcześniej, narażając się na matczyną reprymendę, która nie zrobiła na niej większego wrażenia. Pułkownik wciąż mówił o brydżu.

— Dobre są te pieczone ziemniaki — powiedziała Fen. — Zostały jeszcze?

— W rondlu były dwa — odparła Molly.

Tory się zarumieniła.

— Wyrzuciłam je.

— Na pewno zjadłaś — warknęła Molly. — Naprawdę, Tory, chcesz na swoim przyjęciu wyglądać jak armata?

— Jak się jeździło, Fenello? — zapytał pułkownik Carter.

— Niezbyt dobrze — odparła Fen. — Jake był w fatalnym nastroju.

— Nic nowego — stwierdziła Molly. — Masz ochotę na stiltona, Bernardzie?

— Nic dziwnego — poprawiła Fen, gniewnie zerkając na pułkownika Cartera. — Być może Afryka już nigdy nie będzie skakać.

— Zamilcz — warknęła matka.

— Malise Gordon wpadł zobaczyć, jak się miewa Afryka, ale Jake mówi, że zarówno on, jak i sir William chcą ją tylko kupić. Co za pech. Jake ciężko nad nią pracował. Nikt nie poradzi sobie z nią tak dobrze jak on. A dzisiaj po południu ma najgorszą grupę dorosłych grubasów, którzy nie potrafią jeździć. I jeszcze w tym upale zarezerwowali sobie całe dwie godziny. Po obiedzie wracam, żeby mu pomóc.

— Nie, nie wracasz — powiedziała stanowczo Molly Maxwell. — Za dużo czasu tam spędzasz. Jedziesz z nami do Braithwaite’ów.

— Po co? — jęknęła Fen.

— Bo nas zaprosili.

— Tory też?

— Nie. Tory ma zadanie domowe do zrobienia i listy z podziękowaniami do napisania.

— To niesprawiedliwe! Nie znoszę Melanie Braithwaite. Jest wredna i nie w moim wieku.

Molly Maxwell jednak się uparła; gdyby nie zabrali Fen, musiałaby w drodze powrotnej wstąpić do domu pułkownika i spędzić z nim godzinę w łóżku. To właśnie ją męczyło w mężczyznach — zawsze chcą łóżka, a ona wolała flirt, adoracje i kolacje.

Tory przyglądała się Fen, umytej, ze zbuntowaną miną, ale w nowej sukience, specjalnie na wizytę u Braithwaite'ów. Potem swoim starannym, okrągłym pismem napisała pięć kartek z podziękowaniami i przyjęła cztery zaproszenia. Jako pulchna i niełądna nie stanowiła konkurencji dla bardziej urodziwych panien, a ponieważ sporo matek dziewcząt na wydaniu znało i lubiło jej ojca, otrzymywała zaproszenia na wiele przyjęć. Każde z nich wróżyło katastrofę.

„Jestem jak okropna pierwsza noc, ale pierwsza noc zwykle się kończy, a ja wciąż od nowa powtarzam klęskę" — mówiła do siebie.

Skończywszy pisanie listów, zabrała się do lekcji; wpatrywała się w stronę stenogramu, aż grube i cienkie linie zaczęły się jej rozpływać przed oczami. „Otrzymaliśmy Państwa łaskawą wiadomość, z szacunkiem, z poważaniem" — napisała.

Och, na pewno szanowałaby i poważała Jake'a. Napisała jego imię symbolami: ciemny ukośnik schodzący w dół i lekkie poziome „K" na linii, dwa przecinki pod spodem wskazujące, że to imię własne. Potem napisała nazwisko: Lovell. Zapisywało się je tym samym symbolem co słowo „lovely". O tak, Jake jest śliczny. Tory usiłowała przywołać jego twarz, ale w wyobraźni pojawiało się tylko jego ciało i rozmazana plama. Opanowało ją nieznośne podenerwowanie. Sny na jawie przerwał dźwięk telefonu. Może jakimś cudem to on? Ale nie, to tylko matka z wiadomością, że Braithwaite'owie zaprosili ich na brydża i nalegali, by zostali na wcześniejszą kolację, więc wrócą do domu około dziesiątej. Poprosiła też, żeby Tory przygotowała Fen drugie śniadanie na następny dzień i

sprawdziła, czy siostra ma czystą tunikę i trykot. „Biedna Fen, złapana w pułapkę” — pomyślała Tory.

Miała przed sobą cały długi wieczór. Jake zapewne już wrócił z jazdy i zajmuje się końmi. Tęsknota stała się zbyt dojmująca; zbiegnie do stajni pod pozorem szukania szpicruty, którą Fen być może tam zostawiła.

Tory szybko umyła głowę. Matka lubiła, kiedy zaczesywała włosy do tyłu, ale dzisiaj je rozpuści, niech powiewają. Gdyby jeszcze miała wyszczuplającą czarną sukienkę... Zdaniem matki jednak jest na to jeszcze za młoda, zresztą nie wejdzie do stajni ubrana jak na pogrzeb. Modne są poncha, ale nie zakrywają wszystkich krągłości. Zresztą poncho zsuwało się jej z ramion, ukazując ramiączka stanika, a jeśli zdjęła stanik, biust jej podskakiwał. Gdyby miała talię, mogłaby nałożyć długą spódnicę i zakryć pulchne nogi; jednak w długich spódnicach wygląda jak beczka. W końcu poddała się i włożyła granatowy T-shirt na dżinsy. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że nie mogła zapiąć perełek na szyi, więc zrezygnowała z biżuterii. W akcie niechęci do samej siebie polała się perfumami matki. Na dworze mżyło, więc narzuciła biały trencz z paskiem modnie zawiązanym z tyłu. Nieważne, że płaszcz nie dopinał się na biuście.

Kiedy Tory mijała kościół, ludzie wychodzili z wieczornego nabożeństwa i rozkładali parasole. Na wiejskim skwerku miłośnicy krykieta stłoczyli się niezadowoleni w pawilonie z nadzieją, że brzoskwiniowa poświata na horyzoncie oznacza rychły koniec deszczu i będą mogli powrócić do gry.

Pomieszczenie gospodarcze szkoły Brook Farm było przeładowane, ale bardzo schludne; siodła i uzdy zajmowały jedną ścianę, pojemniki na paszę drugą, a lekarstwa, głównie przygotowywane przez Jake’a według cygańskich receptur, kolejną. Znalazło się miejsce na kilka spłowiałych rozetek i stare kalendarze. Książka zamówień leżała otwarta. Niedziela,

pełna wpisów, została przekreślona. Poniedziałek był raczej luźny oprócz grupy dzieci chcących pojeździć po szkole. Jake siedział na chybotliwym krześle, czyszcząc ogłowie i czytając kolorowy dodatek do gazety poświęcony Rupertowi Campbellowi-Blackowi. Ten drań najwyraźniej ma zamiar zrobić karierę w skokach, podczas gdy Jake'owi świat się właśnie rozpadał, a on sam osuwał się po drabinie, bez szansy na uchwycenie się chociażby ostatniego szczebla. Po dwóch godzinach jazdy Jake był wykończony, w głowie mu dudniło, a wszystkie mięśnie bolały po wczorajszym upadku.

Nocny odpoczynek i balsam z prawoślazu sprawiły, że Afryka prawie nie utykała. Pani Wilton ze złośliwą satysfakcją opowiedziała rano o zainteresowaniu Malise'a i ponownym telefonie sir Williama. Na razie nic nie da się zrobić, gdyż Bobby Cotterel do końca tygodnia jest we Francji, ale to tylko kwestia czasu.

Na dźwięk kroków spojrzał przez zasnute pajęczynami, zakurzone okno i zobaczył nadchodzącą pulchną siostrę Fen. Tego mu tylko potrzeba. Teraz przystanęła i czesze włosy. W końcu jej duża, zarumieniona twarz przypominająca ser holenderski ukazała się w drzwiach.

— Tak? — zapytał niezachęcająco.

— Czy... chodzi mi o to... zastanawiałam się... — wyjąkała — czy Fen nie zostawiła tutaj szpicruty.

Zdając sobie sprawę z niewiarygodności wymówki, zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

— To było... ee... dostała ją od babci pod choinkę, więc się martwi.

— Nie widziałem niczego. Ale Fen jest roztargniona, może zgubiła ją po drodze do domu.

„Jaki on wymęczony, ma cienie pod oczami" — stwierdziła Tory. Czerwona koszula w kratę i czarne włosy tylko podkreślały jego bladość.

Współczucie przeważyło nad nieśmiałością.

— Przykro mi, że ktoś chce kupić Afrykę. Fen mi powiedziała.

Jake pokiwał głową. Tory przestąpiła z nogi na nogę, a Jake’a owiała fala zapachu Molly, nieniosąca przyjemnych wspomnień.

— Jak jej noga, lepiej?

— Już dobrze.

Dlaczego nadal stoi jak słup? Jake wstał, zwilżył gąbkę pod kranem i zanurzył ją w mydle do siodeł, powtarzając:

— Szpicruty tu nie ma.

Tory spojrzała na swoje stopy, kręcąc guzikiem przy płaszczu. Wtedy zauważyła gazetę.

— O, Rupert Campbell-Black. Jest okropny.

Jake spojrzał na nią nieco bardziej przychylnie. Tory znów się zarumieniła.

— Przepraszam. To twój kolega?

Zapadła cisza.

— Nienawidzę go — powiedział Jake.

— Ja też — przyznała Tory. — Jest zły, wszystkimi gardzi i... i jest taki agresywny. Jak go poznałeś?

— Chodziliśmy razem do szkoły.

Tory spojrzała zdziwiona.

— Podstawówka — wyjaśnił Jake. — Chodziłem tam tylko na lekcje. Mama była kucharką, więc dyrektor pozwalał mi uczyć się za darmo.

— O Boże, już wtedy musiał być toksyczny.

Jake wziął gwóźdź i wydłubał kawałek mydła, który utkwił w dziurce paska ogłowia.

— Toksyczny — przytaknął. — Przy nim Eichmann to prawdziwa dobra wróżka.

— Jest bogaty — ciągnęła Tory — dlatego wiele matek go ściga, ale jego interesuje tylko jedno.

— Co takiego? — zapytał Jake, żeby ją wprawić w zakłopotanie.

Tory przełknęła.

— No wiesz, łóżko i te sprawy. Jest okropnie rozpustny — wymówiła to jak „rospusny” — i nigdy nie odpisuje na zaproszenia. Po prostu zjawia się na przyjęciu z aktualną dziewczyną i jeśli się znudzi, wychodzi po półgodzinie. Tak właśnie się zachował na pokazie sztucznych ogni u królowej Charlotty. Lady Surrey była wściekła.

— Jak widać, nie zmienił się — rzekł Jake. — A myślałem, że Harrow lub armia trochę go ustawią.

— Jeśli się zmienił, to tylko na gorsze — westchnęła Tory. — Otoczył się kółkiem kumpli i jest jeszcze bardziej wredny.

Nic tak ludzi nie łączy jak wspólne narzekanie. Jake pozwolił się dziewczynie wygadać, podczas gdy sam składał ogłowie i wieszał je na ścianie. Potem postanowił znów posmarować Afrykę balsamem. Tory poszła za nim, tęsknie spoglądając, kiedy czule przesuwał dłońmi po klaczy, gładząc ją po lśniącym kłębie i gładkich nogach z widocznymi żyłkami. Afryka potarła go nosem, aksamitnymi nozdrzami, wydychając swoją miłość i zaufanie do niego.

— Jest taka piękna — powiedziała tęsknie Tory.

Opuchlizna prawie zeszła. Jake na nowo owinął nogę bandażem i poprawił derkę. Chciał, żeby Tory wreszcie poszła i pozwoliła mu pożalać się nad sobą. Kiedy wychodził ze stajni i zamykał drzwi, stwierdził, że deszcz przestał padać. Popatrzył na okrągłą, niespokojną twarz dziewczyny, jej umyte powiewające włosy i ogromny biust wypełniający granatowy T-shirt. Z jej spojrzenia przebijała życzliwość. Jake sprawdził, która godzina.

— Chodźmy na drinka.

Tory spojrzała na niego tępo.

— Drinka — powtórzył kpiąco. — Puby są otwarte. Masz osiemnaście lat, prawda?

— Tak, oczywiście. O rany, wielkie dzięki.

Kiedy szli do pubu, Jake zauważył, że krzewy głogu już lekko czerwienieją, ale wciąż jeszcze pachną jak świeże mydło. Mokre, gorące pokrzywy wydzielały uderzający do głowy aromat. Gracze wybiegali z powrotem na boisko do krykieta, żeby przez ostatnie pół godziny jeszcze pograć, ile się da.

Tory po raz pierwszy została zaproszona przez mężczyznę do pubu, w ogóle po raz pierwszy mężczyzna zaprosił ją gdziekolwiek z własnej woli. „Moja pierwsza randka” — pomyślała podniecona. Starsza kobieta kupiła guinessa i wkładała go do czarnej płóciennej torby. W rogu dwóch mężczyzn o zaczerwienionych od słońca twarzach, z żonami w białych kardiganach z akrylu i mnóstwem taniej biżuterii, postanowiło zrobić sobie przerwę w podróży powrotnej do Londynu i piło likier pimm’s. Co ona ma zamówić? Nie znosiła piwa, według matki gin z tonikiem to zbyt pospolity drink, a buck fizz zawiera szampan, który jest drogi. Poczuła kompletną pustkę w głowie, rozejrzała się rozpaczliwie.

— Poproszę likier Pimm’s — powiedziała.

Jake westchnął. Miał nadzieję, że Tory zamówi coś taniego jak cydr, a jeszcze lepiej sok pomarańczowy. A teraz będzie musiał wypić piwo zamiast podwójnej whisky, której tak bardzo potrzebował.

Tory usiadła, czując, jak futrzane obicie ławki drapie ją w uda. W pubie było chłodno, ciemno i panowała atmosfera relaksu; otwarte boczne drzwi wychodziły na ogródek pełen pnączy, irysów i jasnoróżowych klematisów wspinających się na paliki.

Początkowo rozmowa kulała, gdyż oboje byli spięci, ale po dwóch likierach język Tory się rozwiązał i nagle, jak z pralki otwartej w trakcie prania, popłynęły z niej zwierzenia. Opowiadała o tym, jaka z niej niezdara, jak nie znosi swojej szkoły dla panien z dobrych domów, jaki okropny jest pułkownik Carter i jak źle się jej układa z matką.

— Mama lubi Fen, bo jest ładna, zabawna i jeszcze mała, a ja przynoszę jej wstyd, poza tym stanowię żywy dowód na to, że skończyła czterdzieści pięć lat.

— Każe ci chodzić na te wszystkie przyjęcia, bo szuka ci męża — powiedział Jake. — Myślisz, że sama już sobie znalazła?

— Mam nadzieję, że nie — odparła Tory. — To pozer. Ostatnio wieszał dla mamy obraz, walnął się młotkiem w kciuk i powiedział „kuźwa”.

Jake przed wyjściem nawet nie przyczesał włosów, ale one same ułożyły się tak, jak trzeba. Tory marzyła o tym, by ich dotknąć. Była całkowicie pod urokiem Jake’a. Czuła się, jakby tonęła. W panice zauważyła, że on skończył swojego drinka. Czytała o ruchu Women’s Lib i kobiecie nazwiskiem Germaine Greer. Obecnie kobieta może postawić drinka mężczyźnie. Tory wyjęła z torebki pięć funtów i podała Jake’owi.

— Leć — powiedziała, chichocząc — jesteśmy równoprawni.

Jake wzruszył ramionami i poszedł do baru. Gracze w krykieta zakończyli grę i weszli gromadą do pubu, a barmanka podawała im wielkie dzbany piwa, więc Jake dostał swoje zamówienie dopiero po kilku minutach. Tory siedziała w obłoku błogości. Im dłużej zajmie mu kupno drinków, tym więcej czasu spędzą razem. Przyglądała się, jak stoi oparty o bar tuż obok tęgich miłośników krykieta. Szkoda, że nie może go podkarmić. Na pewno nie narzekałby na przysmażoną wołowinę albo nieodcedzone ziemniaki. Na drzwiach niedaleko damskiej toalety wisiała

tarcza do strzałek, w które grała grupka mężczyzn. Oj tak, Kupidyn trafił w samą dziesiątkę, prosto w jej serce.

Jake wrócił z drinkami i paczką chipsów.

— Nie wiem, po co ci to wszystko mówię — powiedziała Tory. — Przecież to ja cię powinnam pocieszać. Ale ty umiesz słuchać.

— Mam dużą wprawę. Kiedy zabiera się głupie kobiety na długie przejażdżki, uczy się udawać zainteresowanie, co nie zawsze oznacza, że się słucha.

Tory posmutniała.

— Przepraszam — powiedziała pokornie, sięgając po chipsy. — Nie chciałam cię zanudzić.

— Nie nudzisz — odparł Jake z irytacją.

— Kto cię nauczył jeździć? — zapytała.

— Mój ojciec. Posadził mnie na konia, gdy zaczynałem chodzić.

— Kiedy umarł?

— Nic mi nie wiadomo, żeby umarł.

Tory się zdziwiła.

— Był Cyganem. Poznał moją matkę, kiedy chwytał się różnych prac dorywczych. Jej ojciec był gospodarzem w dużym domu. Tata próbował się osiedlić z mamą i znaleźć pracę na stałe, ale to było jak zamykanie skowronka w klatce. Pewnego dnia tęsknota za podróżą stała się zbyt silna, więc odszedł, kiedy miałem jakieś osiem lat.

— Pewnie za nim tęskniłeś.

— Tęskniłem. — Trzecie piwo rozwiązało mu język; świat stał się bardziej przyjazny. — Moja mama też. Dużo płakała. Zamykała się wtedy w pokoju, a mój dziadek przejrzał wszystkie albumy rodzinne i wyciął ojca ze zdjęć.

— Więc jest możliwe, że kiedyś na niego wpadniesz?

— Wątpię — powiedział Jake, chociaż w rzeczywistości nie zdarzało mu się przejść obok taboru lub wesołego miasteczka bez rzucenia spojrzenia na ludzi.

— Był przystojny?

— Według matki tak. Dwa lata po jego odejściu mama wyprawiła mnie do szkoły, powiedziała, że niedługo też tam przyjdzie, znaczy do kuchni. Potem położyła się przed piecykiem gazowym. Pamiętam tylko, że nauczyciele i chłopcy byli wyjątkowo źli, bo tamtego dnia miał być deser karmelowy.

Nagle Jake spojrzał z gniewem na Tory, której oczy wypełniły się łzami. Po co on to wszystko opowiada tej sentymentalnej krowie! Od lat nie opowiadał nikomu o matce.

Tory nie mogła tego znieść. Nie dość, że chłopak stracił matkę i ojca, to teraz jeszcze straci Afrykę.

— Myślisz, że Bobby Cotterel naprawdę ją sprzeda? — zapytała.

— No pewnie. W ogóle mu na niej nie zależy. Niedawno narzekał, bo pani Wilton zapowiadała, że podniesie opłaty za utrzymanie koni.

Pub powoli się wypełniał, zaczynało się robić gwarno i głośno. Tory spojrzała na obscenicznie różowy stosik kiełbasek lśniących tłuszczem pod pokrywką przy barze. Jak wspaniale móc spoglądać na jedzenie i nie czuć przy tym głodu.

— Co zrobisz, jeśli Afryka odejdzie?

— Poszukam innej pracy.

— Tutaj?

— Nie, gdzieś na północy. Pani Wilton raczej nie da mi referencji.

— Nie możesz! — zaprotestowała przerażona Tory. — Znaczy... na północy jest tak zimno. Muszę iść do łazienki.

Wstała i z trudem szła, obijając się o stoły i potrącając graczy w krykieta. Zachowywała się jak słoń w składzie porcelany.

„O cholera, wstawiła się” — pomyślał Jake, kiedy ledwie uniknęła przelatującej strzałki.

Tory opadła na toaletę i uświadomiła sobie, że czuje pod sobą zimną płytę. Uniosła ją szybko.

„Jeśli uda mi się wysikać przez dwadzieścia sekund, Jake znów się ze mną umówi” — powiedziała do siebie. Wiercąc się i wijąc, zdołała doliczyć przynajmniej do dwudziestu dwóch sekund.

Kiedy stwierdziła, że włożyła torebkę do umywalki i umyła nad nią ręce, wiedziała, że naprawdę się upiła. Nie zniesie wyjazdu Jake’a. Przyłożyła rozgrzane czoło do lustra.

— Cygański Jake — zamruczała.

I nagle wszystko stało się jasne: musi kupić Afrykę. Ma pieniądze.

Jake ją spłaci, może też jeździć jako dżokej, a ona będzie właścicielką. Już widziała siebie w dużym żółtym kapeluszu, prowadzącą Afrykę do grupy zwycięzców z dwoma konnymi policjantami po obu stronach. Nie za bardzo wiedziała o tym, co się dzieje na konkursach skoków. Przejrzała książkę telefoniczną, ale nie znalazła Bobby’ego Cotterela. Widocznie ma zastrzeżony numer telefonu. Przypomniała sobie, że kiedyś dom należał do rodziny Mayhew. Tory długi czas szukała nazwisk zaczynających się na „M”. Przecież ta litera jest po „L”, prawda? Boże, brakuje jednej strony. Nie, zaraz, to pierwsze nazwisko na kolejnej stronie. Sir Edward Mayhew, Bandits Court. Ręka dziewczyny drżała tak mocno, że ledwie udało się jej wykręcić numer.

— Halo — odezwał się ochrypły głos.

Zaskoczona straciła mowę.

— Jeśli chcecie mnie napaść — mówił dalej głos — jestem tu z piętnastoma psami, możecie się walić.

— Nie, nic takiego — powiedziała. — Czy to pan Cotterel?

Musi mówić bardzo powoli i starać się robić wrażenie rzeczowej i konkretnej.

Jake wypił piwo i zamówił dużą whisky, po czym zerknął na swoje odbicie w lustrze w mahoniowej ramie otoczonej odwróconymi do góry butelkami. Nie miało to nic wspólnego z próżnością. Spoglądał w lustra tylko z powodu tożsamości. Zbyt wiele niedziel spędził w domach dziecka, mając wyszorowaną do błysku buzię i włosy przylizane na wodę, mając nadzieję, że oczaruje jakiegoś odwiedzającego, który zaopiekuje się nim lub zaadoptuje, by łudzić się co do swojej atrakcyjności.

— Często tu wpadasz? — zapytała barmanka, która w niedziele pracowała w pubie, żeby sobie dorobić i być może znaleźć nowego chłopaka.

— Nie — odparł Jake.

Zerknął na zegarek. Tory była nieobecna od prawie kwadransa. Miał nadzieję, że głupia krowa nie odleciała. Potrzebowałby wózka widłowego, żeby zanieść ją do domu. Wyszedł jej szukać. Stała przy telefonie w przejściu, boso.

— To dobrze — mówiła, starannie wymawiając wyrazy.

Gdyby Bobby Cotterel nie wrócił z południowej Francji z powodu kosztów i po powrocie nie zastał zawiadomienia o ogromnym podatku dochodowym, może nie byłby tak skłonny do ugody. Afryka ciążyła mu na sumieniu podobnie jak klatka świnki morskiej jego córki. Gdy dziewczynka wracała do szkoły z internatem, sprzątanie klatki było obowiązkiem Bobby’ego.

Nie był nieuprzejmy. Sądząc po głosie, dziewczyna pochodziła z wyższych sfer i bardzo zależało jej na tym, żeby kupić Afrykę za czterokrotnie wyższą cenę, niż za nią zapłacił. Ponadto nie musiałby pokrywać kosztów prowizji dla pani Wilton.

— Kolejne trzy tygodnie utrzymania są zapłacone — powiedział.

— Ja je przejmę — zaproponowała Tory.

— Nie, nie, z przyjemnością ci je przekażę, kochanie.

— Czy możemy teraz przyjść z czekiem?

— Oczywiście. Przyjdźcie na drinka. Tylko, na miłość boską, nikomu nie mówcie, że wróciłem.

Tory przeżyła właśnie pierwszą randkę, została nazwana kochaną i zaproszona na drinka przez Bobby'ego Cotterela. Z błyszczącymi oczami odwróciła się do Jake'a.

„Gdyby schudła ze dwadzieścia kilogramów, byłaby całkiem ładna. Z czego ona tak się cieszy, do licha" — pomyślał kwaśno.

— Wszystko dobrze?

— Wspaniale. Właśnie kupiłam Afrykę.

— Po co? Nie lubisz koni.

— Oczywiście dla ciebie. Możesz mnie spłacać powoli, funt tygodniowo, albo założymy spółkę. Ja będę właścicielką, a ty będziesz jeździł.

Na twarzy Jake'a rozlał się ciemny rumieniec.

— Zwariowałaś. Ile zapłaciłaś?

— Zaproponowałam osiemset funtów, a on się zgodził. Właśnie dostał zawiadomienie o podatku. Powiedziałam, że za chwilę zaniesiemy mu czek, zanim pani Wilton zacznie gadać o sir Williamie i Gordonie.

— Masz tyle pieniędzy?

— O tak, na urodziny dostałam pięć tysięcy i udziały.

— Twoja matka się wścieknie.

— I dobrze — stwierdziła Tory.

— Powie, że cię spiłem.

— Nie, nie ty. Sama to zrobiłam na własny rachunek, jak ci krykieciarze przy barze.

Odbiła się od wieszaka na kapelusze i wyszła na zewnątrz. Jake’owi trudno było tak szybko wydobyć się z głębin rozpaczy.

„Mógłby chociaż podziękować” — pomyślała Tory.

Poszli do Bobby’ego Cotterela i przekazali mu czek. Uzbrojony w pokwitowanie Jake odprowadził Tory do domu. Szli wzdłuż białych linii wyznaczających środek drogi. Przez gałęzie drzew po bokach drogi przebijały się promienie księżyca, oświetlając szarozielone pnie. Na szczęście w domu było wciąż ciemno.

— Dobrze — powiedziała Tory. — Będę mogła odwiesić płaszcz mamy, zanim się zorientuje, że go wzięłam. Jutro jadę do Londynu. Mam dwa okropne przyjęcia, potem w środę tańce, ale w czwartek wracam. Mama i pułkownik Carter idą na kolację, muszę się zająć Fen. Może po ich wyjściu mógłbyś przyjść i zastanowimy się, co dalej robić.

— To może być nieco trudniejsze — odparł Jake.

Wziął od niej klucz, otworzył drzwi i zapalił światło w korytarzu. „Boże” — pomyślała Tory, gdy na stole w pełnym świetle, obok kwitnącej wazy różowych piwonii, zauważyła szpicrutę Fen. Jake odwrócił się do niej z lekkim uśmiechem. Czy to pogarda, litość czy szyderstwo?

— Bardzo ci dziękuję — powiedział i wyszedł.

W pierwszej chwili Tory była rozczarowana, że nie starał się jej pocałować, ale po chwili uświadomiła sobie, że może to i lepiej. Zapewne poczułby od niej smak chipsów cebulowych.

5

PONIEDZIAŁKOWE I WTORKOWE PRZYJĘCIA były dla Tory wystarczająco straszne, ale środowe tańce okazały się koszmarem. Na wcześniejszej kolacji posadzono ją obok Ruperta Campbella-Blacka. Po prawej miała superatrakcyjną Melanie Potter, która bardzo się naraziła uczestniczkom przyjęcia. Melanie przebiła je wszystkie, przychodząc na imprezę odbywającą się w kilka tygodni po rozpoczęciu sezonu z opalenizną po miesiącu spędzonym na Bahamach.

Rupert przyjechał spóźniony i zaparkował brudnego rolls-royce'a z przyciemnionymi szybami w poprzek chodnika. W środku kolacji zażądał ketchupu i zalał nim swojego dorsza, co wszyscy oprócz gospodyni i Tory uznali za niezwykle zabawne. Oczywiście przez całą kolację ignorował Tory. Jednak w szerokich plecach ubranych w czerń i pięknej kształtnej blond głowie czaiło się jakieś zagrożenie, całkowicie zwodnicza ociężałość kryjąca rozbuchaną seksualność. Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby klepnęła go w ramię i oznajmiła, że jest właścicielką konia wartego osiemset funtów.

Potem pojechali na tańce. Tory jakimś cudem znalazła się w rolls-roysie Ruperta. Jechała ulicami Chelsea wysadzanymi złotokapem i bzem. Musiała usiąść na kolanach jakiegoś chłopaka, próbowała postawić stopy na podłodze i utrzymywać na nich cały ciężar ciała, ale i tak słyszała potem, jak żalił się Rupertowi, że kolana mu całkiem zdrętwiały i nóg nie czuje.

Gospodyni była życzliwa, ale zbyt zaskoczona nieproszonymi gośćmi, by przedstawić Tory więcej niż dwóm mężczyznom, którzy jak zwykle zatańczyli z nią raz, a potem odprowadzili i oparli o kolumnę jak stary

parasol, po czym zniknęli pod pozorem pójścia po drinka lub konieczności tańca z gospodynią. Ciągłe myślenie o Jake’u nie pomagało dziewczynie w tej niezbyt przyjemnej dla niej sytuacji, wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej pogarszało jej samopoczucie. Najwidoczniej to niemożliwe, by Jake’owi kiedykolwiek zaczęło na niej zależeć. Skoro nikt jej nie chce, to dlaczego on miałby ją polubić? Czując się niemal tak pożądana jak choinka po świętach, Tory samotnie stała pod ścianą sali balowej, kiedy podszedł do niej przystojny chłopak. Chwila wytchnienia.

— Przepraszam — odezwał się.

— Tak, jasne, proszę — powiedziała Tory.

— Jeśli nikt tu nie siedzi — powiedział — czy mógłbym pożyczyć? — Po czym wziął stojące obok krzesło i zaniósł je do rozwrzeszczanej grupy otaczającej Ruperta Campbella-Blacka i usiadł z nimi. Kiedy tylko dotarli na tańce, Rupert porzucił swoich znajomych, z którymi przyjechał, i razem z Melanie poszedł się napić. Towarzyszył im nieodłączny kumpel Ruperta, Billy Lloyd-Foxe, który przyjechał z innego przyjęcia. Teraz siedział z cygarem przylepionym do kształtnych ust, w pierzastym boa należącym do Melanie, podczas gdy ona sama siedziała mu na kolanach, zanosząc się śmiechem. Za uchem miała różowy goździk z jego butonierki.

Później Billy Lloyd-Foxe minął Tory, gdy szedł do łazienki, a w drodze powrotnej, poruszony wyrzutami sumienia, poprosił ją do tańca. Tory lubiła Billy’ego, jak wszyscy; lubiła go za jego błyszczące oczy, złamany nos i ogólną postawę człowieka, którego życie nieco przygniata. Jednak kiedy Rupert i Melanie weszli na parkiet, wszystko się zawaliło.

Rupert, z błyszczącymi zawadiacko niebieskimi oczami, udawał, że boa to jego ogon i kręcił nim jak kot z pantomimy, po czym zaczął tańczyć za plecami Tory, robiąc miny i nadymając policzki, by upodobnić się do grubej dziewczyny. Billy się śmiał.

Tory uciekła do łazienki. Zastała w niej córkę gospodyni poprawiającą makijaż i półgłosem omawiającą z kilkoma przyjaciółkami bezczelność Melanie Potter.

— Jej matka specjalnie to zrobiła. Jakie mamy szanse przy tak opalonej skórze? Na przyjęciu u państwa Pately pojawiła się w dżinsach. Lady Surrey była wściekła.

W tym momencie wkroczyła Melanie Potter. Podeszła do lustra i zaczęła sobie oglądać wielką malinkę na barku, po czym próbowała zamaskować ją pudrem.

— Nie masz pewnie niczego silniejszego? — zwróciła się do Tory.

Tory pokornie podała jej korektor.

— Och, cudownie, jak miło! Przy kolacji siedziałaś obok Ruperta, prawda? — zapytała, krzywiąc się, kiedy zamazywała czerwone ślady zębów. — Co za prostak. Właśnie wysypałam mu na głowę wiaderko lodu za to, że mnie tak pogryzł.

Oddała korektor Tory i sczesała sobie zalotnie pasmo blond włosów na jedno oko.

— Razem z Billym zabierają mnie do Trampów. Może pojedziesz z nami? Będzie tam David Bailey. Rupert chce, żeby mi zrobił zdjęcia.

Kiedy zaś Tory odmówiła, wymawiając się bólem głowy i koniecznością powrotu do domu, z ledwością przekonała Melanie, by nie kazała Rupertowi jej odwieźć.

Niestety, zbyt szybko taksówką wróciła do mieszkania — wypożyczonego przez Molly od znajomych na lato — już o wpół do dwunastej. Zastała matkę i pułkownika na sofie, przy czym pułkownik miał na sobie znacznie więcej szminki niż matka.

Tory poszła do swojego pokoju i możliwie jak najciszej płakała, dopóki nie zasnęła. Obudziła się, podobnie jak przez ostatnie cztery dni, z

paraliżującym przeświadczeniem, że matka dowie się o kupnie Afryki.

Wróciła do domu wieczorem, żeby zająć się siostrą, po czym poszła do siebie, żeby się przebrać i wziąć kąpiel. Wciąż panował nieznośny upał.

— Nie zużyj całej wody! — zawołała matka. Przez szczelinę w drzwiach Tory widziała ją leżącą sztywno na brzoskwiniowej kretonowej narzucie z maseczką na twarzy.

Tory była tylko w bieliźnie. Miała nadzieję, że nieco schudła, gdyż od randki z Jakiem prawie nie jadła. W tej chwili usłyszała dzwonek telefonu i matkę mówiącą swoim sztucznie uwodzicielskim głosem:

— Halo! — po czym zmieniwszy ton na bardziej rzeczowy, dodała: — O, dzień dobry pani Wilton.

Nastąpiła długa pauza, po czym Molly powiedziała:

— Nie, niemożliwe. Tory śmiertelnie boi się koni. Maxwell to dość popularne nazwisko. Proszę zaczekać, zamknę drzwi.

Tory poczuła, że po kręgosłupie ścieka jej lodowata strużka potu. Kusiło ją, by wyskoczyć oknem i uciec stąd. Zamiast tego jednak poszła do łóżka, naciągnęła kołdrę na głowę i leżała, cała drżąc.

Pięć minut później do pokoju wpadła matka i zerwała z Tory nakrycie. Wciąż miała na sobie maseczkę, co upodabniało jej twarz do maski mima wieszczącej katastrofę. W pierwszej chwili gniew nie pozwolił jej sformułować zdań.

— Czy to ty w niedzielę dzwoniłaś do Bobby’ego Cotterela i kupiłaś Afrykę? — w końcu wyrzuciła z siebie ze złością.

— Nie wiem, o czym mówisz — wymamrotała Tory.

— Nie kłam! Kto cię do tego namówił?

— Nikt. To moje pieniądze, mogę sobie kupić konia, jeśli chcę.

— A ja nie mogę kupić małej Fen nawet kucyka — parsknęła Molly z wściekłością. — Wstawaj, grubasko! — chwyciła Tory za włosy i postawiła

ją na nogi. — To ta świnia Jake, prawda?

— Nie.

— To na pewno on! — Molly Maxwell potrząsała córką tak gwałtownie, że Tory miała wrażenie, jakby głowa miała jej za chwilę odpaść. — Ma obsesję na punkcie tego konia, spędza z nim cały czas. Ale niedługo się to skończy — dodała, a jej oczy nagle błysnęły mściwą radością. — Pani Wilton właśnie go zwolniła.

— O nie! — wyrwało się przerażonej Tory. — To nie miało z nim żadnego związku. To ja zadzwoniłam do Bobby'ego Cotterela, sama wszystko zrobiłam.

— Ale dlaczego? — syknęła Molly. Z jej twarzy osypywał się proszek; to maseczka wysychała. — Zadurzyłaś się w tym chłopaku. Widziałam w sobotę, jak się na niego gapisz. Dlatego tak nie radzisz sobie na tańcach, nie próbujesz poderwać tych wszystkich chłopaków, chociaż to świetne partie. Bo wolisz się napalać na zwykłego stajennego. No cóż, nie przekupisz go drogimi prezentami.

Tory nie mogła już patrzeć na matkę, której drgająca, rozpadająca się na kawałki biała twarz stanowiła potworny kontrast z zaczerwienioną z gniewu szyją. Spojrzała na stopy matki, na jej świeżo pomalowane szkarłatne paznokcie i waciki między palcami.

— To przyjaciel — wyszlochała. — Nic więcej.

— No cóż, nie dostanie Afryki. Koń wraca.

— To klacz, a nie koń, i nie wraca.

— Sir William i pułkownik Gordon są gotowi przebić twoją ofertę. A ja pójdę do Bobby'ego Cotterela i namówię go, żeby podarł ten czek.

Molly od razu wyobraziła sobie, jak w nowej sukience — dość wydekoltowanej — jedzie do sąsiada i przemawia do niego błagalnie: „Moja córka nie odpowiada za swoje czyny". A Bobby Cotterel, który, jak

podejrzewała, akurat jest chwilowo samotny, naleje jej mocnego drinka i pocieszająco odpowie: „Proszę mi o tym opowiedzieć, najlepiej przy kolacji”. Z zamyślenia wyrwał ją szloch Tory.

— To moje pieniądze i mogę z nimi robić, co chcę!

— A jak masz zamiar zadbać o konia? — syknęła Molly. — Nie będziesz go trzymać w altanie, a Jake Lovell po utracie pracy wyniesie się gdzieś indziej.

Ogarnięta rozpaczą Tory ledwie słyszała tyradę matki o wydatkach i wysiłku, jaki włożyła, żeby zapewnić jej wejście w towarzystwo, która w końcu, przez przypadek zobaczywszy swoją twarz przypominającą pokruszoną ziemię z wyschniętej rzeki, uświadomiła sobie, że powinna zmyć maseczkę. Gwałtownie otworzyła drzwi, za którymi zastała Fen, niecierpliwie podglądającą przez dziurkę od klucza. Molly wpadła na nią i o mało nie przewróciła się. Fen zachichotała i machając do wtóru na pół zjedzonym lodem, zaczęła podśpiewywać: *Mama nie kazała mi się bawić z Cyganami w lesie*.

— Zamknij się! — zawyła Molly. — To twoja wina, wciąż przesiadujesz w stajni! Dzisiaj tam nie pójdziesz. Do pokoju! Odrób lekcje i nie rozmawiaj z Tory. Ja muszę zadzwonić do Bernarda. Po tym wszystkim nie dam rady pojechać na brydża.

— Założymy się, że jednak pójdzie? — zapytała Fen, kiedy matka weszła do swojego pokoju i z trzaskiem zamknęła drzwi.

Od razu rozległ się sygnał telefonu, po którym zabrzmiały kolejne piśnięcia.

Molly nie dodzwoniła się do Bobby’ego Cotterela, ale skoro nie mogła go przekonać, by podarł czek, zawsze może odsprzedać Afrykę sir Williamowi lub Malise’owi. A taka sytuacja też stwarza pewne możliwości. Chętnie znów spotkałaby się z sir Williamem, a wobec Malise’a Gordona

odczuwała tęsknotę osoby całkowicie odrzuconej. Widziała siebie przy nim, tym razem w delikatniejszym makijażu i mniej wyciętej sukni niż dla Bobby'ego Cotterela; jastrzębia twarz Malise'a łagodnieje, mężczyzna ujmuje ją za rękę i mówi: „Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem w Bilborough, uznałem cię tylko za ładną twarzyczkę".

W końcu pułkownik Carter nie zadał kluczowego pytania. Niech poczuje odrobinę zazdrości.

Jak przewidziała Fen, pułkownik namówił matkę, żeby jednak poszła z nim na kolację.

— Przyjaciele Bernarda bardzo się starali i przygotowali mnóstwo jedzenia. Będą rozczarowani, jeśli w ostatniej chwili odwołamy wizytę — oświadczyła zimno Molly córce, jakby wychodziła z wielkim wysiłkiem, po czym dodała, że na pewno nie będzie się dobrze bawić, skoro ma tyle zmartwień na głowie.

Tory wciąż siedziała na łóżku tylko w bieliźnie, jakby skamieniała.

— Słyszałaś mnie, Tory? Liczę na twój honor. Nie będziesz rozmawiać z Fen ani dzwonić do nikogo. Nie wolno ci też wyjść z domu, kiedy mnie nie będzie.

Powtórzyła te słowa trzykrotnie, ale nie była pewna, czy dotarły do córki.

Jake siedział w pomieszczeniu na uprząż, odpalając jednego papierosa od drugiego i przyglądając się przez okno niemal pełnemu księżycowi. Okrągły przypominał mu twarz Tory. Biedny dzieciak. Miał nadzieję, że ta krowa, jej matka, nie ujeżdża po niej zbyt mocno. Chętnie by się z nią skontaktował i dowiedział, jaki był wynik potyczki, ale nie śmiał dzwonić. Afryka czuła się znacznie lepiej. Na kilka godzin Jake wypuścił ją na zewnątrz i właśnie skończył wykładać boks klaczy grubą warstwą czystej słomy. Miał już przyprowadzić Afrykę z powrotem, kiedy usłyszał kroki na zewnątrz i w drzwiach stanęła nieśmiało Tory. Boże, miała twarz w

czerwone i białe plamy. Podeszła do Jake’a i rozpłakała się w jego ramionach.

— Przepraszam, że przeze mnie straciłeś pracę!

— To nic i tak miałem odejść. Świat się nie kończy na Brook Farm.

— Ale nie masz dokąd iść.

— Pani Wilton nie może mnie wyrzucić, dopóki kogoś nie znajdzie, jest zbyt leniwa, żeby pracować, a już za późno, żeby wysłać ogłoszenie do najbliższego numeru „Horse and Hound”, więc mam trochę czasu. Matka zmieszała cię z błotem?

Tory pokiwała głową.

— Uparła się, żeby oddać Afrykę albo ją sprzedać.

Drżała tak mocno, że Jake posadził ją na chwiejnym krześle i zrobił mocną kawę z czterema łyżeczkami cukru. Tory zwykle nie słodziła kawy, ale tym razem słodycz ją nieco uspokoiła.

Jake przystanął obok kosza z jedzeniem i przyglądał się dziewczynie.

— Słuchaj — powiedział, upuszczając na pół wypalonego papierosa do zlewu — dlaczego kupiłaś mi tego konia?

Tory spuściła wzrok.

— Bo cię lubię — wyszeptała.

Jake ujął jej wilgotne i zimne dłonie.

— Jak bardzo? — zapytał łagodnie.

Tory uniosła wzrok. Był tak piękny ze swoją szczupłą, czujną twarzą i migoczącymi w uszach kolczykami.

— Bardzo — odparła.

I nagle, jak koń, który po długim pobycie w stajni przez otwarte drzwi wypada na pole koniczyny, znów przyszła mu do głowy myśl, z którą walczył przez cały tydzień. Potrzebuje bogatej żony. Nie bardzo bogatej, ale na tyle majętnej, by kupiła mu kilka koni i pomogła wystartować, żeby

mógł wspiąć się na szczyt i zetrzeć pyszny uśmieszek z twarzy Ruperta Campbella-Blacka.

Czuł się jak pływak, który zatyka nos i skacze do wody, po czym stwierdza, że jest ona przyjemnie ciepła. Wtem uświadomił sobie, że obejmuje ciasno Tory. Dziewczyna go całowała, ssała jak wielki odkurzacz. Boże, za chwilę wyssie mu zęby. Jej ramiona również go objęły, a wielkie przyjazne piersi przycisnęły się do niego.

— Och, Jake, Jake!

Chłopak sprawnie rozpiął guziki jej sukienki i wyłączył światło, po czym upadli na grubą warstwę czystej słomy, oświetleni promieniami księżyca przesączającymi się przez świetlik w suficie. Jake rozpiął stanik Tory, spod którego wylały się wspaniałe piersi, miękkie, o słodkim zapachu, jak rzeka rozsadzająca tamę.

Jak na małego i drobnego mężczyznę Jake był całkiem dobrze wyposażony, ale mimo wszystko spędził długą chwilę, drażniąc palcem miejsce, które Tory później odkryła jako swoją łechtaczkę. Dziewczyna była tak śliska z pożądania, że praktycznie nie poczuła bólu przy pierwszym mocnym pchnięciu. Zawsze słyszała, że pierwszy raz jest okropny, ale nawet słoma drapiąca w gołe plecy jej nie przeszkadzała. Tory czuła jedynie uniesienie.

— Teraz wiem, po co wolny boks — powiedział Jake, odsuwając się od niej i wycierając garścią siana z paśnika.

— W każdej chwili Afryka może tu wejść i zapytać, kto spał w jej łóżeczku — odparła Tory, chichocząc.

— Za bardzo nie pospaliśmy — powiedział Jake.

Oparł głowę na jej piersiach. Bez ubrania dziewczyna wydawała się znacznie mniej tłusta; była raczej postawna.

— Nie bolało cię?

— Nie, nie, było wspaniale.

— Lubisz mnie? — zapytał.

Tory pokiwała w ciemnościach głową, po czym pocałowała go namiętnie i z bezkrytycznym uwielbieniem, jak pies witający wracającego do domu pana.

— Na tyle, żeby za mnie wyjść?

Tory zachłysnęła się i przerwała pocałunki.

— Wiem, że na koniach mogę zarobić duże pieniądze — powiedział Jake. — Potrzebuję tylko czegoś na start.

— Pomogę ci — zapewniła Tory podniecona. — Mam pięć tysięcy rocznie.

Spora część tej kwoty zapewne poszła na kupno Afryki, matka Tory też brała pieniądze na nowe ubrania i urządzanie przyjęć. Ale jeśli Tory wyjdzie za Jake’a, nie będzie już musiała chodzić na koktajle i tańce.

„Pięć tysięcy rocznie. To co najmniej sto tysięcy w banku” — pomyślał Jake. Gdyby udało mu się dostać te pieniądze do ręki, mógłby kupić stajnię i kilkanaście koni.

— Musimy znaleźć jakieś miejsce do mieszkania — powiedział. — Nie ma sensu brać byle czego. Potrzebujemy stajni i przynajmniej czternastu akrów pola. Sam dom może być mały.

— Mogłabym go pomalować — zaproponowała Tory.

— A ja zbudowałbym przeszkody na torze — dodał Jake.

Tory czuła, jak chłopak rozgrzewa się z emocji.

— Jedyny problem w tym, że teraz mam w banku tylko półtora tysiąca funtów. To za mało na dom. Resztą pieniędzy zarządza powiernik, dopóki nie skończę dwudziestu jeden lat.

Jake znów zanurzył się w czarnej otchłani rozpaczy. Nic z tego nie wyjdzie. Opadł z powrotem na siano. Wtedy uświadomił sobie, że Tory ma

mnóstwo pomysłów na to, jak wcześniej dobrać się do pieniędzy.

— Kapitał jest mój, w końcu tata mi go zostawił. Po prostu sobie czeka. A kiedy babcia umrze, będzie dużo wyższy.

Mówiła takim tonem, jakby chodziło o zbiór fasolki szparagowej w ogrodzie i drugi podobny zbiór za kilka miesięcy.

— Nie mogę tak po prostu wziąć twoich pieniędzy — zaoponował Jake.

— Pewnie, że możesz — zapewniła go Tory. — Płaczę tylko dlatego, że jestem bardzo szczęśliwa. Pojedziemy do babci Maxwell, ona nam pomoże.

Próbowali utrzymać w tajemnicy wizytę u babci Maxwell. Tory umówiła się z nią na kolejną sobotę. Alison, dziewczyna pomagająca w stajni, miała pożyczyć im samochód, żeby dojechali do Warwickshire. Molly jednak, która nie ufała zbyt łatwemu ustępstwu Tory, odgadła, że coś się święci i przejęła list od Tory do Jake'a, który wypadł z kieszeni Fen w drodze do stajni.

List mówił o ich ślubie i wizycie u babci Maxwell. Po jego odczytaniu rozegrały się sceny straszliwe. Histeria Molly nie znała granic. Jak Tory może być tak niewdzięczna i głupia, żeby rzucać się na tego chłopaka, gołego jak święty turecki i będącego nikim? Molly uświadomiła sobie nagle, że córka przestanie już służyć jej jako bezpłatna opiekunka do dziecka, kucharka, sprzątaczka i osoba na posyłki. Nie będzie na kim wyładowywać złości, na kogo narzekać i z kogo ciągnąć pieniądze. Traciła chłopca do bicia i ani trochę się jej to nie podobało.

Wysłała niechętnego pułkownika Cartera, żeby pogadał z Jakiem jak mężczyzna z mężczyzną. Ponieważ Jake postrzegał pułkownika jako potwora, który niemal zniszczył Afrykę, spotkanie okazało się klapą.

„Arogant" — tak określił go pułkownik. Chłopak po prostu gapił się w okno i czytał gazetę, trzymając ją do góry nogami. Ale czy można spodziewać się rozsądku po kimś noszącym kolczyki i włosy do ramion?

Molly uznała, że pułkownik ją zawiódł. Malise Gordon na pewno znacznie lepiej by sobie poradził.

W obliczu buntu Tory Molly przełknęła dumę i zadzwoniła do babci Maxwell, byłej teściowej, której nie znosiła i którą podejrzewała o spiski przeciwko sobie.

— Tak, widzę, że wydaje się niezbyt dobrą partią — przytaknęła babcia Maxwell — ale wolę sama to ocenić. Tory przyjedzie z nim do mnie w sobotę.

Molly musiała opanować wzbierający w niej potok inwektyw. Teściowa ją uciszyła i spławiła. Fen, chociaż przerażona tym, że zgubiła list, bardzo emocjonowała się całą sprawą.

— Szkoda, że nie mam tyle lat, żeby za niego wyjść. Masz szczęście, Tory. Poszliście już do łóżka? Nie wiem, dlaczego mamie tak bardzo przeszkadza, że jest z niższej klasy.

Fala upałów trwała. Droga do Warwickshire była długa i nieprzyjemna. Słońce grzało przez dach samochodu, oboje bardzo się pocili. Tory marzyła, żeby uciec na polanę w lesie lub na piknik nad krętą rzeką. Białe kwiaty kasztanów rozświetlały dolinę, niebieskie dzwonki pięknie kontrastowały z szafranową barwą młodych dębów. Wzdłuż drogi rosła bujnie trybula, ale Jake nie zwracał uwagi na krajobraz. Ciężko było mu prowadzić samochód Alison; wciąż zgrzytały biegi, a hamowało się przy akompaniamencie szarpania i podskoków. „Pewnie nie ma wprawy” — pomyślała Tory, spoglądając na jego dłonie z obgryzionymi paznokciami obejmujące kierownicę. Na wszelkie jej pytania Jake odpowiadał monosylabami, więc w końcu dziewczyna dała spokój. Przerażeniem napełniała ją myśl o perspektywie spotkania z babcią, która potrafiła być bardzo niemiła i trudna. Jeśli Jake nadal będzie w takim nastroju, na pewno się nie dogadają. „A jeśli ona nam nie pomoże, to jeszcze Jake nie zechce się ze mną ożenić”

— pomyślała Tory w panice. Ale właściwie co ona wie o tym dziwnym milczącym młodym mężczyźnie, z którym ma nadzieję spędzić resztę życia? Jedynie tyle, że odkąd go poznała, schudła cztery i pół kilograma i teraz z łatwością wchodzi w spódniczkę rozmiar 16.

Zdrzemnęła się, potem obudziła i stwierdziła, że właśnie minęli Cirencester. Spojrzała na mapę.

— Nie zjechaliśmy z drogi?

— Nie — odparł Jake lakonicznie, wciskając pedał gazu.

Wjechawszy na szczyt stromego pagórka, zjechał na pobocze.

— Wyjdę na minutę — oznajmił.

Przed nimi rozciągał się przepiękny widok na dolinę, w której wśród buków wznosił się złocistoszary pałacyk. Przed domem ciągnął się bujny park poprzecinany potokami i kępami drzew o okrągłych koronach, w których cieniu chroniły się konie, oganiając się ogonami od much. Po lewej widać było plac budowy i wykopy. Jednak jeden duży skrawek pola został nietknięty, a poustawiano na nim wszystkie możliwe rodzaje kolorowych przeszkód do skoków. Jake przez lornetkę przyjrzał się dokładnie całej okolicy.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Tory.

Ostatni drogowskaz tonął w krzakach trybuli.

— Penscombe. — Jake nagle jakby stężał; na policzku zadrgał mu mięsień. — Posiadłość Ruperta Campbella-Blacka.

Jake wrócił do samochodu, zebrał śmieci z podłogi i popielniczek przepełnionych niedopałkami, i wysypał wszystko za murem na terenie Ruperta. Jeden z niedaleko pracujących mężczyzn pogroził pięścią odjeżdżającemu samochodowi.

— Dobrze mu tak — zachichotała Tory. Jednak kiedy spojrzała na Jake’a, stwierdziła, że on się nie uśmiecha.

Babcia Tory mieszkała ponad sto kilometrów dalej w równie pięknie położonym, ale bardziej osłoniętym domu ze spadzistym dachem, o rdzawych ścianach, wyglądającym spod zmierzwionej grzywy dzikiego wina jak yorkshire terrier.

Na ich spotkanie zza zakrętu wybiegła sfora ujadających pekińczyków i mopsów. Mimo pięknej pogody babcia Maxwell siedziała w salonie i oglądała wyścigi w telewizji. Usiłowała też czytać „Horse and Hound", powieść *Somerville and Ross* oraz książkę o ogrodnictwie jednocześnie. Na szyi wisiały jej czarne trapezy trzech par okularów. Babcia miała ostre rysy, szerokie czoło, zakrzywiony do dołu nos i brązowe oczy migoczące władczo spod czarnych brwi, wokół zaś szerokich ust głębokie bruzdy. Na głowie miała siwozieloną perukę z lokami, lekko przekrzywioną i sklejoną taśmą.

— Masz na sobie tylko koszulę nocną, dziecko — powiedziała, spoglądając na powiewną białą sukienkę Tory. — Podobają mi się twoje niebieskie majtki. — Po czym wyciągnęła pomarszczoną dłoń z zaniedbanymi paznokciami w kierunku Jake'a. — A to, jak sądzę, jest ten niewłaściwy kandydat — dodała z lekkim rechotem.

— Babciu! — upomniała ją Tory, rumieniąc się.

Jake uśmiechnął się szeroko.

— Siadaj, siadaj. Nie, nie tam — dodała, kiedy Jake o mało nie został ugryziony przez rozłożonego na krześle wiekowego teriera o załzawionych oczach.

Wszystkie pekińczyki i mopsy rozłożyły się zdyszane u jej stóp. Babcia miała na sobie staroświecki kardigan, koronkową koszulę, wyraźnie noszoną już drugi lub trzeci dzień, oraz tweedową spódnicę o opadającej, miejscami odprutej listwie.

„Zapewne obie z lady Dorothy mają tego samego krawca” — uznał Jake. Jednak na starczych dłoniach połyskiwały akwamaryny i brylanty, a perły na szyi miały wielkość jagód jemioły.

— Zapewne masz ochotę na drinka; obecnie młodzi ludzie piją o najdziwniejszych godzinach. Panie Lovell, w lodówce jest piwo w puszce. Chyba że woli pan coś mocniejszego? Zatem przynieś je, Tory.

Pokój był zatłoczony po przenosinach z większego wiejskiego domu. Jake opierał dłonie na grzywie rzeźbionego lwa. Dywan stanowił układ różowości i zieleni godnych obrazu impresjonisty.

Kiedy Tory wyszła, babcia Maxwell zmierzyła wzrokiem Jake’a, ukradkiem przyglądającego się koniom ustawiającym się na linii startu. Przynajmniej chłopak nie bawi się rękami.

— Epsom — odezwała się, podając mu gazetę. — W tej gonitwie już obstawiłam. Masz jakieś propozycje na trzecią trzydzieści?

Jake zerknął na zawodników.

— Postawiłbym piątkę na Mal le Maison.

— Dziwne, że nie wybrałeś Małżeństwa z Rozsądku. Albo może Pogoń za Fortuną? — dodała złośliwie.

— On ma sto do jednego. — Jake spojrzał na nią niewzruszenie. — Trzymałbym się Mal le Maison — odparł. — A gdybym chciał postawić na kogoś z zewnątrz, to na Wietrzne Zaloty.

— Znacie się z Tory od niedawna, prawda?

— Od niedawna, ale lubię outsiderów.

„Przynajmniej się mnie nie boi” — pomyślała babcia Maxwell; już samo to było nowością. Stara, znudzona życiem i oczekująca na śmierć kobieta wiedziała, że rodzina odwiedza ją jedynie w chwilach kłopotów finansowych. Czasami miała wrażenie, że przy życiu trzymały ją tylko kłótnie i możliwość tyranizowania innych.

Tory wróciła z puszkami piwa oraz szklanką i natychmiast została odesłana na pogawędkę z panią Maggs, która porządkowała kredens

— Zrobiła dla ciebie kruche ciasto i pierniczki do herbaty. Myśli, że wciąż masz osiem lat. Wyglądasz na bardzo zmęczoną, dziecko — dodała łagodniejszym tonem — i sporo schudłaś.

Odwróciła się do Jake’a.

— Weź swoją szklankę piwa i chodź ze mną na spacer do ogrodu — powiedziała, wstając z trudem. Szła bardzo sztywno i trzeba jej było pomóc w przejściu przez próg.

— Reumatyzm — wyjaśniła. — Trudno być miłą starszą panią, kiedy wszystko cię boli.

Oderwawszy kilka główek różowego geranium, ruszyła ścieżką wzdłuż ziołowych grządek. Przemierzali wspaniały ogród, w którym piwonie walczyły o słońce z orientalnymi makami, łubinem i irysami, a nierozwinięta jeszcze kocimiętka muskała nogi przechodzących.

Biegło za nimi stadko ujadających, zdyszanych psów.

— To jest według mnie piękny ogród — odezwał się Jake.

— A jaki ogród taki nie jest?

— Ogród matki Tory. Każdy kwiat rośnie osobno na własnym kawałku ziemi, w równych rzędach. Nie dotykać eksponatów.

— Jak w parku — powiedziała babcia Maxwell.

Obok nich przeleciał ptak, żółty jak złotokap.

— Trznadel — stwierdziła babcia.

— Raczej chyba wilga — sprzeciwił się Jake. — Bardzo rzadka w tych okolicach. Zawędrowała tu pewnie przez ten upał.

Nagle do stada psów dołączył kundel o pręgowanej sierści; przebiegł w podskokach przez trawnik i został powitany radosnym ujadaniem i oznakami radości zwłaszcza ze strony małego białego pekińczyka, który

zaczął energicznie machać ogonem. Babcia Maxwell odwróciła się do Jake’a.

— W czasach mojej młodości nazywaliśmy je psami rzeźnika, bo biegały za wozem rzeźnika. Właściciele bardzo się denerwują, kiedy kundle próbują się połączyć z ich rasowymi psami. Zapewne dlatego moja synowa robi tyle zamieszania z twojego powodu. Ja też narobiłam zamieszania, kiedy mój syn zakochał się w Molly. Jej ojciec był fryzjerem. Pamiętaj o tym, jeśli kiedykolwiek o niej pomyślisz.

— Próbuję nie myśleć — odparł Jake.

— Nigdy nie zapomniała o tym, że była kiedyś ozdobą towarzystwa.

— Teraz zostały jej tylko ozdoby na szyi.

Pani Maxwell zachichotała ochryple.

— Opowiedz mi o sobie. Miałeś w dzieciństwie polio?

Jake pokiwał głową.

— Kiedy miałem sześć lat, spędziłem półtora roku w szpitalu, ucząc się chodzić na nowo. Została mi po tym niesprawna noga.

— Oraz zapewne paląca chęć udowodnienia swojej wartości — dodała sucho babcia Maxwell. — A twój tata był Cyganem?

Jake pokiwał głową.

— Rodzina mojej matki starała się skłonić go do osiedlenia, ale jemu brakowało wędrówek i koni. Był geniuszem w kwestii obchodzenia się z końmi. Krótko po moim wyjściu ze szpitala zniknął.

— A twoja matka popełniła samobójstwo. Zapewne winiłeś za to siebie?

— Wydaje mi się, że zawiodła się na facecie, z którym żyła po odejściu ojca, ale wtedy tego nie wiedziałem.

— Co się stało po jej śmierci?

— Szkoła, do której chodziłem, przyjęła mnie do internatu. Nie znosiłem jej, więc uciekłem i dołączyłem do cygańskiego taboru. Oni nauczyli mnie

wszystkiego, co potrafię, kłusować, zajmować się końmi, szkolić psy. Była tam też staruszka. Przekazała mi to, czego nauczyła się od swojej prababci na temat ziołolecznictwa.

Jake ujął pod rękę babcię Maxwell i sprowadził ją kilka stopni w dół, do sadzawki pełnej irysów i kaczeńców. Babcia zagryzła z bólu wargi.

— Napar z liści klematisa czyni cuda w leczeniu reumatyzmu — odezwał się Jake. — Mogę pani zrobić na próbę albo jeśli pani woli, można nosić przy sobie skórkę żaby.

Babcia Maxwell przyglądała się psom z hałasem pijącym wodę z sadzawki. Kundel wskoczył do wody, pił, chlapał i pływał.

— Czuję niemal wyrzuty sumienia, gdy pomyślę o Cyganach — westchnęła. — To jedna z tych niepotrzebnych tragedii postępu. Nie trzeba było zmuszać ich do osiedlania się i handlowania złomem. Ale dzisiaj policja i rolnicy zawsze powtarzają te same oskarżenia o nagabywanie. Przed wojną Cyganie rozbijali się na naszym terenie i pracowali sezonowo. Mój ojciec często zatrudniał ich od marca do Bożego Narodzenia. Brakuje mi ognisk o zmierzchu, wspaniałego zapachu potrawki z królika, ich jaskrawych ubrań suszących się na sznurkach, kudłatych koni i cichych, chudych psów. To były naprawdę mądre psy.

Jake się nie odezwał, ale zalała go fala emocji, niemal miłości, silniejszej niż kiedykolwiek dotąd czuł do drugiego człowieka.

— Jak długo byłeś u Cyganów?

— Trzy lata. Potem znalazła mnie policja i oddała do domu dziecka.

— Na pewno było kiepsko.

— Ale lepiej niż w szkole, dzieciaki były mniej wredne. Nawet twierdzili, że mam akcent z wyższych sfer.

Poszli razem przez spalony słońcem trawnik.

— Naprawdę potrzebujemy deszczu. A co to za koń, którego podobno Tory kupiła?

Na samą myśl o Afryce twarz Jake’a nabrała koloru.

— To najlepszy koń, jakiego w życiu dosiadałem. Ma wielki potencjał i przesłodki charakter.

— Na pewno nie kochasz jej bardziej niż Tory?

Jake zamyślił się na chwilę, marszcząc czoło, po czym przemówił:

— Nie wiem, ale jeśli o Tory będę dbał tak samo, jak dbam o Afrykę, to na pewno Tory nie wyjdzie na tym źle. Zresztą nie będzie jej gorzej niż w tej chwili z jej paskudną matką. Jeszcze kilka takich eleganckich przyjęć i dziewczyna załamie się nerwowo. To jak wystawianie w gonitwie konia pociągowego i bicie go za to, że nie wygrał.

— Jak rozumiem, Molly ma nowego przyjaciela, jakiegoś pułkownika?

— To palant. Tory tylko im przeszkadza.

— W takim razie dlaczego nie chcą pozwolić jej odejść?

— Molly lubi mieć kogoś pod ręką do ostrzenia pazurów. Tory to jej drapak.

Starsza kobieta pochyliła się, żeby wyrwać kępę starca, potem poprosiła Jake’a, żeby usunął gałąź powoju dławiącą łubin.

— Paskudna jest starość, teraz mogę przycinać kwiaty tylko na siedząco. A co ty z tego masz? — zapytała.

— Nie mógłbym się z nią ożenić, gdyby nie była bogata. Muszę jakoś zacząć. Tory i ja chyba możemy dać sobie szczęście. Żadne z nas nie miało prawdziwego domu.

To była najdalej posunięta obietnica, jaką mógł złożyć staruszce.

— Czy nie za bardzo liczysz na tego konia? Może wygrywać, ale może też złamać jutro nogę.

— Kupię kolejne. To dopiero początek. Żeby przebić się jako zawodnik w skokach, trzeba mieć przynajmniej sześć świetnych koni i cały czas uzupełniać je nowymi. Cyganie nauczyli mnie, jak rozpoznać dobrego konia, umiem też na nich jeździć, no i mam cierpliwość.

— Wracajmy na gonitwę o wpół do czwartej — powiedziała babcia Maxwell.

Mal le Maison przybiegł drugi, a Wietrzne Zaloty w ogóle się nie zmieścił w klasyfikacji. „To koniec” — pomyślał Jake. W tej chwili weszła Tory z tacą.

— Babciu, chcesz już podwieczorek?

— Postaw tacę na tym stoliku przede mną, dziękuję, a teraz usiądź. Mam wam coś do powiedzenia.

Przez minutę babcia mierzyła ich spojrzeniem.

— Nie mam zamiaru dać wam pieniędzy, młodzi powinni sami na siebie zarobić. Tory ma całkiem spory dochód, niedługo zaoszczędzicie na to, żeby kupić kilka koni.

Jake siedział z nieruchomą twarzą. To koniec. Wszystkie jego nadzieje legły w gruzach.

— Nie mam zamiaru łamać warunków powiernictwa — ciągnęła babcia Maxwell, unosząc jasnego pekińczyka i przewracając go na plecy — dopóki nie przekonam się, że Tory będzie z tobą szczęśliwa. Za trzy lata i tak dostanie te pieniądze. Jednakże...

Jake zesztywniał, starając się nie wzbudzać w siebie wielkich nadziei, a babcia Maxwell z denerwującym, wystudiowanym spokojem zaczęła nalewać herbatę, pytać, kto chce mleko, cukier i cytrynę, rozdawać talerzyki i proponować kanapki.

— Jednak — podjęła — w połowie lipca pan Binlock się przeprowadza, co oznacza, że opróżni się Mill House w Withrington. To jakieś trzydzieści

parę kilometrów na północ stąd. Możecie tam zamieszkać.

Tory zbladła.

— Ale babciu, tam są stajnie i pola — wyjąkała.

— Zgadza się, ale wszystko dość zapuszczone i bardzo wilgotne. Mam nadzieję, że nie chorujesz na oskrzela — dodała, zwracając się do Jake’a — ale jeśli chcecie, bierzcie ten dom.

— Babciu kochana! — zawołała Tory, podbiegła do niej i zarzuciła jej ramiona na szyję.

— Nie uduś mnie, dziecko. I nie ma powodu do płaczu. A skoro chyba nie macie żadnego pojazdu, w prezencie ślubnym kupię wam porządny samochód do przewozu koni.

Jake pokręcił głową.

— Nie wierzę — powiedział.

— Ale jest jeden warunek — zachichotała babcia Maxwell. — Kiedy po raz pierwszy wystąpisz na Wembley, kupisz mi bilet w pierwszym rzędzie. Jestem znudzoną starą kobietą. Z czasem, jeśli będziesz sobie dobrze radził, może kupię ze dwa konie, żebyś na nich jeździł.

— Jeśli naprawdę chce nam pani kupić samochód — powiedział Jake — muszę nauczyć się prowadzić i zdać egzamin.

6

SZEŚĆ DŁUGICH MIESIĘCY po przyjeździe do Londynu w 1972 roku Helen Macaulay poznała Ruperta Campbella-Blacka. Pochodząca z Florydy Helen, najstarsza córka wziętego dentysty, uważana była w rodzinie za najbardziej błyskotliwą. Jej matka, gorąca miłośniczka wszystkiego, co angielskie, córka pastora prezbiteriańskiego, wciąż przypominała otoczeniu o swoim pochodzeniu — jej odległy przodek przybył do Ameryki może nie na „Mayflower”, ale zapewne kolejnym rejsem. Pani Macaulay szczyciła się tym faktem i od maleńkości zachęcała swoją córkę do czytania angielskiej prozy i poezji oraz podziwiania wszystkiego, co angielskie. Helen studiowała literaturę angielską na uniwersytecie w Tampa i oczekiwano, że świetnie zda dyplom.

Niepoprawna romantyczka czuła się przytłoczona sztywnością swojej szacownej rodziny. Jedynym dowodem, że jej rodzice w ogóle uprawiali seks, była czwórka ich córek. Helen nigdy nie słyszała, by rodzice się kłócili, ale i nie widziała ich nago. Matka, która zawsze chodziła do lekarek, a nie lekarzy, nie rozmawiała o seksie — jedynie z jej półsłówek można było wnioskować, że to coś złego i poniżającego. Żadne z rodziców nie pochwaliło urody córki. Rodzina wyznawała zasadę, że należy ciężko pracować, aby nie wpadać na grzeszne pomysły, a lenistwo powinno wywoływać poczucie winy.

Do ukończenia dziewiętnastu lat Helen nie sprawiała rodzicom najmniejszych kłopotów. Udzielała się w szkole, pomagała w domu, nie miała trądziku, nie przytyła, nie pyskowała. Jednak na początku lat siedemdziesiątych w Tampa zetknęła się z ruchem kobiecym. Matka była

tym oburzona, uznając, że miejsce kobiety jest w domu, ale popierała feministyczny pogląd, że kobieta nigdy nie powinna pozwolić, by traktowano ją jak obiekt seksualny czy też podziwiano za ciało, a nie za umysł.

Rodzice Helen byli przerażeni, gdy ta zaczęła się udzielać w protestach studenckich, demonstracjach przeciwko wojnie w Wietnamie i marszach popierających prawa obywatelskie. Co gorsza, w czasie wakacji wygłaszała pełne potępienia uwagi na temat prezydenta Nixona. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Na trzecim roku Helen przeżyła załamanie nerwowe, kiedy zaszła w ciążę z profesorem angielskiego, Haroldem Mountjoyem. Żonaty, ale przyzwyczajony do łatwych podbojów wśród studentek Harold Mountjoy nie był przygotowany na burzę emocji, jaką wywołał w Helen Macaulay. Przypominało to powtórkę z romansu Jane Eyre i pana Rochestera lub przywodziło na myśl Charlottę Brontë i jej profesora — z tą różnicą, że Helen była naprawdę piękna. Jedynie ogromny zapał i zaangażowanie powstrzymywały ją dotąd przed zejściem z wąskiej i stromej ścieżki cnoty. Na campusie nazywano ją Lodową Księżniczką. Harold Mountjoy obiecał sobie, że ją roztopi. Jej wpatrzone w niego ogromne piwne, lśniące bursztynowo oczy powinny go ostrzec, ale on pewnego dnia po wykładzie został z Helen w sali, by odpowiedzieć na skomplikowane pytanie dotyczące *Paracelsusa* Browninga.

Rozmawiając o roli ambicji w życiu, Harold rzucił cytat: „To ja jestem tym, co aspirował do wiedzy, a ty?” — na co Helen natychmiast i niemal rozpaczliwie odpowiedziała cytatem: „Ja wolałabym kochać bez końca i być kochaną!”.

Harold Mountjoy uświadomił sobie, że jest na dobrej drodze do kolejnego podboju i zaprosił ją na drinka. Nastąpiły sekretne spotkania, ostrożne listy pełne aluzji do postaci literackich, a w końcu Helen straciła

dziewictwo w motelu czterdzieści kilometrów za campusem. Potem było ogromne poczucie winy, kolejne schadzki w motelach i jeszcze większe wyrzuty sumienia. Ponadto Helen przejęła radykalne poglądy Harolda i w czasie wakacji jeszcze bardziej zaskakiwała nimi rodziców.

W końcu pod koniec letniego semestru zemdlała na zajęciach. Jej współlokatorka, która regularnie podczytywała dziennik Helen, mimo jej prób zachowania go w tajemnicy, poszła do dziekana. Ten niezmiernie ucieszył się z możliwości wyrzucenia Harolda Mountjoya, na co czekał od lat, gdyż uważał go nie tylko za człowieka o niskiej moralności, ale przede wszystkim intelektualnie podejrzanego.

Wezwano rodziców Helen. Przerażeni zabrali ją z uczelni. Ojciec, jako dentysta, miał znajomości, które umożliwiły mu zorganizowanie dyskretnej aborcji. Helen i Haroldowi zabroniono spotkań. Mountjoy przerażony możliwością utraty pracy i tym, że jego żona może się dowiedzieć o całej sprawie, zastosował się do żądania. Jeśli chodziło o Helen, była to kropla, która przelała kielich goryczy. Dla niej utrata dziewictwa oznaczała całkowite oddanie; dziewczyna spodziewała się, że Harold każe jej zatrzymać dziecko i rozwiedzie się z żoną.

Rodzice, którzy bardzo się o nią martwili i byli dobrymi, choć zasadniczymi ludźmi, wysłali ją do Anglii w nadziei, że jej druga miłość — Anglia — pozwoli zapomnieć o pierwszej. Helen miała tam zostać co najmniej rok. W rozpaczy dziewczyna zadzwoniła do Harolda, który zachęcił ją do wyjazdu, obiecał korespondencję i z czasem kolejne spotkanie. Twierdził, że być może uda mu się w sierpniu przyjechać do Anglii. W końcu Helen się zgodziła.

Dziekan napisał do swoich londyńskich wydawców, dał Helen doskonałe referencje, wychwalając jej pilność — dzięki temu załatwił jej pracę: czytanie przysyłanych do redakcji rękopisów, pisanie notek na okładki i

korektę. Znalazł jej również zakwaterowanie u pisarki w Hampstead. Helen posklejała więc złamane serce i w październiku przyjechała do Anglii, mimowolnie przejęta perspektywą zwiedzenia katedry św. Pawła, gdzie głosił kazania John Donne, oraz Wimpole Street, gdzie Robert Browning zalecał się do Elizabeth Barrett. Liczyła, że może nawet uda jej się pojechać do Lake District, by zwiedzić dom Wordstworthów, lub dom sióstr Brontë w Haworth.

Niestety, Anglia ją rozczarowała. Wychowana na słonecznej Florydzie Helen przyjechała na początku najsurowszej zimy od lat. Nie mogła się przyzwyczaić do chłodu. W dzień kostniała w redakcji, wieczorami w swoim pokoju, zresztą okropnym. Autorka okazała się starą lesbijką, która obserwowała każdy jej ruch. Na piętrze mieszkał obleśny lokator, który przy posiłkach spoglądał na nią znacząco i nachodził w pokoju, wymyślając coraz to nowe wymówki dla tych wizyt. Mieszkanie było brudne i śmierdziało kocurem, którego gospodyni nie chciała wykastrować. Ponadto używała tej samej ścierki do mycia kocich misek i talerzy dla ludzi. Jedzenie było okropne. Anglicy jadali chyba tylko węglowodany. Helen zaczęła jeść ciastka i słodycze, żeby obronić się przed zimnem, przytyła pięć kilogramów i wpadła w panikę.

W weekendy marzła na wycieczkach krajoznawczych — trzęsła się przemarznięta w Stratfordzie, w Tower, w pociągu do Hampton Court i rozlicznych galeriach sztuki.

Mężczyźni również nie spełnili jej oczekiwań. Żaden z nich nie wyglądał jak pan Darcy, Rochester lub Heathcliff, Burgo Fitzgerald czy Sebastian Flyte. Nie myli włosów. Helen nie ośmieliła się zajrzeć im w uszy w pociągu metra. Poza tym zimno chyba wyprało ich z wszelkiego pociągu seksualnego, gdyż nigdy nie oglądali się za nią ani nie gwizdali na ulicy. Helen zresztą nie należała do dziewcząt, które robią pierwszy krok. Dni

mijały, ona czuła się coraz bardziej samotna. Harold Mountjoy znów sprawił jej zawód. Po jednym liście, w którym napisał: „Kochanie, wybacz, że piszę w pośpiechu, ale jesteś zbyt cenna, by pisać do ciebie krótkie listy. Miesiąca nie wystarczy, by Ci opisać, co do Ciebie czuję, a ja nie mam czasu” — nie odezwał się na Boże Narodzenie, zapomniał o jej urodzinach, a nawet o walentynkach. Na początku marca Helen miała dość swojej stancji. Tego samego dnia, kiedy gospodyni zamieszała potrawkę z wołowiny łyżką oblepioną zaschniętą kocią karmą, a kocur wpadł do pokoju Helen i po raz setny oznaczył jej maszynę do pisania, dziewczyna przeniosła się do Regina House, pensjonatu dla kobiet w Hammersmith, który przyjmował tylko studentki, ale był przynajmniej czysty i ciepły.

Praca w wydawnictwie okazała się niewypałem. Początkowy entuzjazm płynący z faktu, że płacono jej za całodzienne czytanie, wkrótce minął w obliczu przerażającej jakości nadsyłanych maszynopisów. Helen pisała do autorów uprzejme listy odrzucające ich prace, na co oni odpisywali i przysyłali kolejne nieopublikowane powieści, po czym prześladowali ją prośbami o druk. W końcu, wzorem innych redaktorów, Helen ograniczyła się do króciutkich notek o odrzuceniu maszynopisu.

Jej dwóch szefów permanentnie przedłużało sobie przerwy obiadowe, a długie weekendy spędzało w domach na wsi. Syn jednego z dyrektorów, który na co dzień ignorował ją w biurze, zaprosił Helen na kolację, a w samochodzie w drodze powrotnej rzucił się na nią tak gwałtownie, że musiała dać mu w twarz. Po tym incydencie facet znów nie zwracał na nią uwagi.

Jedynym wolnym mężczyzną w redakcji był zbliżający się do trzydziestki absolwent nauk ścisłych o imieniu Nigel, wegetarianin o płowych włosach sczesanych na czoło, krzaczastej brodzie i cienkiej jak u gąsiora szyi. Nosił okulary. Przez kilka miesięcy krążyli wokół siebie —

Helen z samotności, on z pożądania. Prowadzili długie dyskusje polityczne i narzekali na swoich kapitalistycznych szefów. Nigel zapoznał Helen z Orwellem i zarzucił ją literaturą lewicową.

Nigel był również żarliwym aktywistą ruchu przeciwko polowaniu na lisy. Spędzał weekendy w interesujący sposób, czyli na protestach, ratowaniu lisów i zajęcy z pazurów krwiożerczych psów myśliwskich, gazem łzawiącym rozpraszając imprezy myśliwskie i skacząc z helikoptera prosto w środek polowań. Wciąż wisiał na telefonie, rozmawiając z kumplami, Paulem i Dave'em, i organizując nocne spotkania odblokowujące energię ziemi. W poniedziałki często przychodził do pracy z podbitym okiem lub zabandażowanym nadgarstkiem po potyczkach ze zwolennikami polowań. W piątek pod koniec marca zaprosił Helen na lunch. Miał na sobie żółty płaszcz ze sztruksu i czarną koszulę. Umył włosy i dzięki temu wyglądał mniej nieatrakcyjnie niż zwykle.

— Uważają nas wszystkich za lewaków albo studentów-mieszczuchów na zasiłku — powiedział, zrywając okulary z nosa. — A my pochodzimy z najróżniejszych środowisk. Widzisz — mówił dalej ze swoim monotonnym północnym akcentem — lisy, te piękne, nieczyste zwierzęta, ścigane przez ludzi, psy, nagonkę, jeźdźców, konie, teriery, potrzebują przyjaciół, żeby chociaż trochę zrównoważyć liczbę wrogów.

Wielkie oczy Helen wypełniły się łzami. Przez moment natchniony posłannictwem Nigel przypomniał jej Harolda Mountjoya.

Mężczyzna nabił na widelec kawałek faszerowanego bakłażana.

— Może pojechałabyś jutro z nami? Jedziemy do Gloucestershire, żeby namieszać trochę w Chalford i Bisley. To ostatnie polowanie sezonu. Dave zdobył sporo rakiet, zapowiada się niezły dzień.

Helen, nie mogąc znieść myśli o kolejnym samotnym weekendzie spędzonym w galeriach sztuki lub w domach dawno zmarłych pisarzy,

zgodziła się chętnie.

— A potem możemy zjeść obiad w Oxfordzie — dodał Nigel. — W centrum otworzyli dobrą restaurację wegetariańską.

Teraz Helen jechała autostradą M4 do Gloucestershire, zastanawiając się, dlaczego, do licha, zgodziła się na tę wycieczkę. Rozklekotanego grata prowadził młody, brodaty, już łysiejący absolwent zoologii z watą w uszach o imieniu Paul. Obok niego siedział Nigel. Obaj mieli na sobie kalosze i ubrania polowe w kolorze khaki, który, jak uznała, absolutnie nie pasował do Nigela.

Co gorsze, Helen musiała usiąść z tyłu obok dziewczyny Paula, Maureen, potężnej, lekceważąco traktującej wszystkich wokół, i dość agresywnej. Maureen miała ciemne i niestety brudne włosy, brudne paznokcie. Na lśniącej bladej twarzy nie było śladu makijażu. Między cholewką wysokich sznurowanych butów a spodniami khaki widać było kilka centymetrów niewydepilowanych nóg. Dziewczyna miała też na sobie obszerny kożuch z owcy, który śmierdział, gdy schnął. Przypominało to siedzenie obok dużego, nieprzyjaźnie nastawionego psa. Co najgorsze jednak, Maureen z uporem nazywała swoją sąsiadkę „Ellen”. Rzuciwszy okiem na jej sztruksowe spodnie włożone w lśniące brązowe kozaki, ciemnozielony golf z kaszmiru i brązową kurtkę w prążki, stwierdziła:

— Chyba jeszcze nigdy nie brałaś udziału w demonstracji, Ellen.

Helen dość zimno odparła, że uczestniczyła w kilku protestach przeciwko wojnie w Wietnamie, na co Maureen, Nigel i Paul zaczęli żarliwie krytykować Amerykę, Nixona i aferę Watergate oraz amerykańską korupcję. Zirytowali tym Helen do żywego. Ona może sobie pozwolić na takie uwagi, ale Brytyjczykom od tego wara.

Nadąsana zagłębiła się w artykule pełnym spekulacji dotyczących tego, czy księżniczka Anna wyjdzie za kapitana Marka Phillipsa. Helen z lekkim

zawstydzeniem śledziła sprzeczne doniesienia o ich romansie. Mark Phillips był wyjątkowo przystojny z lśniącymi ciemnymi włosami, starannie ostrzyżonymi, w przeciwieństwie do zaniedbanego Nigela i Paula. W Ameryce ich fryzury już dawno wyszły z mody i nosili je tylko podstarzali hippisi.

Teraz zjechali już z autostrady. Droga wiodła wzdłuż żywopłotów, pod którymi rosły pierwiosnki. Ostre kontury konarów łagodziły pierwsze rozwijające się pączki liści na tle czystego nieba. Ze świeżo zaoranych pól zrywały się jak chmury dymu stada gołębi. Helen znów poczuła łzy napływające do oczu.

— *Wraca wiosna, lecz mój miły nie* — zanuciła smutno, przypominając sobie Harolda.

— Jak mi się wydaje, trzeba jednak ograniczać liczebność lisów — odezwała się głośno, starając się zabrać głos w dyskusji. — Przecież zabijają kury.

— Bzdura — warknęła Maureen. — Kury trzyma się teraz bezpiecznie na fermach.

— Poza tym, Ellen — dodał Paul — tylko pięć procent lisów w ogóle dotyka kur.

Helen nagle stanął przed oczami obraz pięciu procent z nożami i widelcami w łapach, zasiadających do potrawki z kurczaka w winie.

Maureen, Paul i Nigel przeszli już do równania z ziemią kogoś, kogo nazywali R.C.B.

— Kto to jest R.C.B.? — zapytała Helen, na co dowiedziała się, że jest to Rupert Campbell-Black, najbardziej znienawidzony przez demonstrantów osobnik.

— Szowinistyczna męska świnia najgorszego rodzaju — powiedziała Maureen.

— Dupek z wyższych sfer, przy którym Hitler wydaje się kaszką z mleczkiem — dodał Paul.

— Zawsze wjeżdża w nas konno — dołożył Nigel. — Zeszłej jesieni złamał Paulowi nadgarstek swoją szpicrutą.

— Nige, pamiętasz ten bal myśliwych, na którym rozbił butelkę szampana i groził ci nią? — zapytała Maureen.

— A kim on jest z zawodu? — zapytała Helen.

— Skacze przez przeszkody na poziomie międzynarodowym — wyjaśnił Paul. — Podobno bije swoje konie. Ale jest tak bogaty, że nie musiałby w ogóle nic robić.

Helen zauważyła na tylnym siedzeniu zwinięte gazety, „New Statesman” i „Tribune”, oraz wystający z kieszeni płaszcza Maureen zniszczony egzemplarz Bertolta Brechta. „To są ludzie, którym na czymś zależy — zgromiła samą siebie. — Muszę postarać się ich polubić”.

— Co zrobimy na miejscu? — zapytała.

— Podstawowe założenie, Ellen — wyjaśniła Maureen — to naśladowanie wszystkiego, co robią myśliwi. Przywozimy własne rogi, Paul zresztą gra na rogu w orkiestrze, i za ich pomocą rozpraszamy sforę psów. Nauczyliśmy się myśliwskich zawołań, którymi zawiadamia się o wyjściu lisa, poza tym spryskujemy psy specjalną mieszaniną zwaną anti-mate, co jeszcze bardziej je dezorientuje.

Nigel zerknął na zegarek, który nosił na wewnętrznej stronie ręki i który spieszył się o dziesięć minut.

— Już dojeżdżamy — powiedział.

Helen wyjęła lusterko, nałożyła nieco różu na swoje blade, piegowate policzki, przesunęła grzebieniem po lśniących ciemnorudych włosach obciętych na pazia i poprawiła szylkretową przepaskę na głowie.

— Nie idziesz na imprezę — zgromiła ją Maureen.

Helen wyzywająco skropiła się perfumami.

— Niezły strzał — odezwał się Paul, marszcząc długi nos. — Ellen, a znasz ten kawał o irlandzkich sabotażystach? Cały dzień próbowali torpedować polowanie bez lisa, ze sztuczną przynętą.

— Nie opowiadaj dowcipów etnicznych — upomniał go Nigel, ale na jego wąskich ustach pojawił się uśmiech.

Na drodze zaczęli się pojawiać jeźdźcy i konie zmierzający na polowanie. Ładna blondynka na niespokojnym kasztanie przepuściła ich machnięciem ręki.

— Maleńka, nie masz pojęcia, co ci szykujemy — roześmiał się złośliwie Nigel.

Wkrótce na poboczu zagęściło się od przyczep. Paul specjalnie przyspieszał, kiedy trafiał na głębokie kałuże pełne brązowej wody, żeby ochlapać jeźdźców w czystych białych bryczesach stojących na trawie przy drodze. Teraz zaś wściekał się, bo utknął za dużą przyczepą wiozącą konie i zawadzającą dachem o konary jesionów. Nie mógł więc jechać szybciej niż piętnaście kilometrów na godzinę.

Spotkanie odbywało się w jednej z sennych wiosek w Cotswold, z zielonym skwerem otoczonym przez szare domy, omszonym kościołem, wokół którego rozrosły się wysokie do kolan żonkile oraz z pubem Pod Kozą w Butach. Na placu zebrał się spory tłum gapiów przyglądających się, jak jeźdźcy w czarno-szkarłatnych płaszczach wsiadają na siodła, pilnują wyładunku koni i narzekają na kaca.

A kiedy wyszło słońce, Helen stwierdziła, że to uroczy zakątek. Jednak demonstranci nie mieli czasu na zachwycanie się urokami wsi. Paul zaparkował samochód na skraju placu, pasażerowie wysiedli i pospieszyli wymienić uściski dłoni oraz porozumiewawcze spojrzenia z innymi sabotażystami. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety mieli na sobie kurtki w

kolorze khaki lub moro jako kamuflaż, ale zwłaszcza mężczyźni ze swoimi szarymi twarzami, długimi zmierzwionymi włosami i brodami i tak odstawali wyraźnie od świeżo ogolonych, starannie uczesanych miejscowych.

— Masz tu swoją broń zniechęcającą — powiedział Nigel, wrzucając jej do kieszeni płaszcza dwie puszki z aerozolem. — Pryskaj psy lub jeźdźców, gdy tylko będziesz miała ku temu okazję.

Helen z irytacją stwierdziła, że puszki zrujnują krój jej płaszcza, a kiedy Nigel uparł się, by przypiąć jej do poły płaszcza dwie odznaki z hasłami „Psy, precz od zwierząt” i „Tylko półludzie polują”, zastanawiała się, czy naprawdę musi tak mocno i długo przyciskać chude dłonie do jej piersi. Może broń zniechęcająca przydałaby się na Nigela.

Obok nich przeszło dwóch ponurych mężczyzn z czterema małymi, ujadającymi psami o lśniących oczach.

— To teriery używane do wyciągania lisów z jamy — szepnęła Maureen.

Helen zauważyła też kilku wojskowych o czerwonych twarzach i chichoczące damy zajmujące rozkładane krzesełka i rzucające jej niechętne spojrzenia. Obok land-rovera stała grupka mężczyzn w kurtkach myśliwskich i marynarkach w kolorze obornika.

— Płacą im, żeby nas sabotowali — wyjaśniła z oburzeniem Maureen. — Jak tylko dadzą radę, zablokują drogę i wjadą w nas tą swoją terenówką.

Helen zaczęła się czuć nieswojo. Odsunęła się nieco od grupy sabotażystów, jednak powiedziała sobie stanowczo: „Jestem pisarką. Trafia mi się doskonała sposobność, żeby przyjrzeć się Brytyjczykom w trakcie jednego z ich najbardziej prymitywnych rytuałów”.

Słuchając niespokojnego rżenia z samochodów, wdychała ostry zapach spoconych koni, gnoju i wilgotnej ziemi. Właściciel pubu na srebrnej tacy roznosił darmowe napoje, a żona rozdawała kanapki i paszteciki z

kiełbaskami. Helen, która nie jadła śniadania, miała ochotę rzucić się na przekąski, ale uznała, że jako przedstawiciel wrogich sił nie powinna ulec pokusie.

Nigel i Maureen nie mieli jednak takich skrupułów.

— Niezły tłum — ocenił Nigel, biorąc z tacy trzy kanapki. — No nie, to szynka! — dodał z oburzeniem, po czym wyjął ją z kanapki i pogardliwie rzucił na ziemię, skąd natychmiast porwał ją przechodzący akurat labrador.

Złocista wskazówka zegara na wieży kościoła zbliżała się do jedenastej i w tłumie rozległy się podniecone szepty, gdyż na plac wjechał granatowy porsche.

— To on — syknęła Maureen, kiedy z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn.

Helen zdołała dojrzeć lśniące blond włosy i dumną, opaloną twarz, po czym wyższy z przybyłych zniknął otoczony grupą rozwrzeszczanych nastolatków wyciągających ku niemu kartki i zeszyty z prośbą o autograf. Inni stali na maskach samochodów lub wspinali się na ramiona sąsiadów, żeby zrobić zdjęcie lub mieć lepszy widok.

— Gorszy niż ten drań Jagger — prychnęła starsza pani, którą pędząca młodzież prawie przewróciła. Z tłumu wytoczyła się dziewczyna o twarzy niemal tak jaskraworóżowej jak okładka zeszytu trzymanego przez nią w dłoni. Pół minuty później wyszła za nią koleżanka.

— Podpisał się tym długopisem — westchnęła rozmarzona. — Już nigdy nie będę nim pisać.

Tłum zaczął rzednąć i Helen w końcu mogła przyjrzeć się stojącemu w środku. Mężczyzna miał gęste blond włosy zaczesane do tyłu, a nad uszami tworzące dwa skrzydła, które podkreślały linię czystego, gładkiego czoła i piękny kształt głowy. Jego twarz z greckim nosem, wysokimi kośćmi policzkowymi i wąskimi, niebieskimi jak dżins oczami nie robiła wrażenia

zniewieściałej dzięki kwadratowemu podbródkowi i bardzo zdecydowanemu krojowi ust.

Nie zwracając uwagi na zamieszanie, jakie wywołał, opierał się o swój samochód, bez przerwy rozmawiając, lecz niemal nie poruszając ustami. Jego rozmówcą był przysadzisty młody mężczyzna o kręconych jasnych włosach, złamanym nosie, sennych oczach i zielonkawej cerze. Blondyn tak mechanicznie podpisywał zeszyty i podawał je swojemu towarzyszowi, że kiedy w końcu kolejka się skończyła, odruchowo wyciągnął rękę po kolejny długopis i zeszyt.

— Co za przystojniak! — powiedziała Helen bez tchu.

— Owszem. I wie o tym — parsknęła Maureen. — To właśnie R.C.B. i jego cień, Billy Lloyd-Foxe.

Barman przecisnął się obok z tacą napojów.

— Dzień dobry, Rupe, dzień dobry Billy. Macie ochotę na jednego?

— Boże, pewnie! — Przysadzisty szatyn wyciągnął rękę po dwie szklaneczki, jedną z nich podał Rupertowi. Potem wyjął z kieszeni dziesięć funtów oraz dwie piersiówki i wręczył je barmanowi, dodając: — Mógłbyś łaskawie nalać do nich brandy, Les? Nigdy nie przebiję się przez wielbicieli Rupe’a.

— Kiepski dzień, Billy? — zapytał barman.

— Okropny. Jeśli otworzę oczy, wykrwawię się.

Nieco dalej stajenny opuszczał klapę samochodu i wyprowadzał piękną gniadą klacz, pocącą się pod granatową derką ze szmaragdowym wykończeniem i inicjałami R.C.B. w rogu. Klacz obracała głowę w kierunku wnętrza samochodu i rżała. Rupert się odwrócił.

— Co tam z nią, Frenchie?

— Trochę się zdenerwowała, proszę pana — odparł chłopak. — Przyda się jej trochę ruchu.

Zdjął derkę ze spoconej klaczy i wrzucił na nią siodło. Klacz zaczęła nagle wyginać w podnieceniu grzbiet i tańczyć w miejscu. Nadjechała grupa myśliwych w szkarłatnych żakietach, na lśniących koniach, którym towarzyszyła gromada pełnych energii psów machających maniacko ogonami, biegających w kółko i bez obroży.

Helen poczuła, jak serce jej rośnie — to była naprawdę piękna i widowiskowa scena.

— Małe ludki wskakują na wielkie konie i mają się za bogów — wycharczał jej w ucho Nigel. — Tych psów nie karmiono od trzech dni.

Jednak Helen patrzyła na Ruperta Campbella-Blacka, który zdjął granatowy sweter i narzucił na siebie czerwony płaszcz. Rany, gość był naprawdę świetnie zbudowany. Mężczyźni o tak długich nogach mają zwykle krótki tułów, lecz Rupert, od szerokich ramion po wąskie, sprężyste biodra i silne uda, miał idealne proporcje.

Kiedy razem z Billym wsiadali na konie, nadszedł miejscowy fotograf i przepchnął się przez krąg wielbicieli.

— Cześć, Rupert, mogę zrobić ci z Billym zdjęcie?

— OK — odparł Rupert, bez uśmiechu spoglądając w obiektyw.

— Nie wyglądam najlepiej — narzekał Billy. — Nie umyłem włosów.

— Świetna okazja, żeby zabłysnąć w mediach — odezwała się Maureen i przecisnąwszy się przez ludzi, podała Rupertowi ulotkę o ruchu przeciw polowaniom.

— Bardzo dziękuję — odparł ten uprzejmie. — Czy mogę prosić o jeszcze jedną dla Billy’ego?

Stojąca między dwoma jeźdźcami Maureen odwróciła się do aparatu.

— Pożyczysz zapalniczkę, Billy? — zapytał Rupert, po czym podpalił obie ulotki i płonące upuścił u stóp Maureen.

— Nie jesteś na tyle mężczyzną, żeby to chociaż przeczytać — powiedziała wściekła.

Rupert zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

— Ciężko stwierdzić, jakiej ty jesteś płci — powiedział przeciągle — ale na pewno nie wyglądasz na tyle dobrze, żeby mieć tak ekstremalne poglądy. Odejdź, płoszysz mi konia.

Tłum wybuchnął śmiechem, a Maureen cofnęła się do Helen.

— Co za drań. Słyszałaś?

Przez sekundę spojrzenie Ruperta napotkało wzrok Helen nad głową Maureen. Potem mężczyzna obojętnie odwrócił wzrok. „Mają rację. On jest toksyczny” — pomyślała dziewczyna.

W tej chwili piękna, lecz przesadnie umalowana kobieta w czarnym żakiecie opinającym doskonałe ciało podeszła do Ruperta z miną właścicielki.

— Kochanie, jak się czujesz? Udało mi się dotrzeć.

Jednocześnie przyszedł barman z dwiema pełnymi butelkami. Kiedy podawał je jeźdźcom, kobieta chwyciła jedną i upiła spory łyk.

— Nie wypij wszystkiego — warknął Rupert.

— Kochanie — odparła kobieta czule, zakręcając butelkę i podając ją mężczyźnie — możesz potem przyjść do mnie i wypić tyle, ile tylko zdołasz.

Rupert wysunął do przodu długą nogę w wysokim bucie i podciągnął strzemiono.

— Nie wiem, czy Monty’ego też będę potrzebował — powiedział do stajennego. — Z tymi cholernymi sabotażystami może nam się nie udać polowanie. Jeśli nas zgubisz, czekaj Pod Łaciatą Krową.

I myśliwi ruszyli. Helen ze zdziwieniem zauważyła Nigela, który nagle wyskoczył zza krzaku głogu i prysnął sprayem w kierunku psów. W tej

samej chwili podbiegła do niego mała dziewczynka i kopnęła go w kostkę tak mocno, że chłopak z wrzaskiem upuścił aerozol.

— Przestań! To okropne! — zawołała.

Przejeżdżający akurat Rupert Campbell-Black obdarzył dziewczynkę szerokim uśmiechem.

— Dobra robota, aniołku. Jak dorośniesz, ożenię się z tobą.

Sabotażyści wskoczyli do pięciu samochodów.

— Uważajcie na lisy — syknął Paul.

Nigel wciąż narzekał na obolałą kostkę.

Pomknęli polną drogą, potrącając gałązki z baziami. Znaleźli w końcu psy w zagajniku ledwie zazielenionych modrzewi. Sabotażyści zaparkowali nieco dalej i po chwili oddział wypadowy złożony z Nigela i Paula przeskoczył przez ogrodzenie i uzbrojony w spray zniknął za nimi. Sądząc po przekleństwach i wymachiwaniu pięściami, wywołali chaos w zagajniku. Prowadzący polowanie postanowił ruszyć dalej.

— Z drogi! — zawołał władczo do grupy dziewcząt na koniach. — To nie wycieczka szkółki jeździeckiej. Zresztą i tak pewnie przyjechałyście tylko popatrzeć na Ruperta Campbella-Blacka.

Sabotażyści również ruszyli w poszukiwaniu kolejnych okazji. Zaparkowali w zatoczce przy drodze, żeby spryskać krzewy, po czym utknęli w błocie. Wypchnęło ich dwóch przechodniów nieświadomych, komu pomagają.

Kolejne dwie godziny przypominały wyścig; aktywiści wciąż gnali przed siebie popędzani komendami. Za każdym razem, kiedy psy złapały trop, udało im się je zmylić.

W końcu Maureen i Helen przystanęły. Oparły się o ogrodzenie i przyglądały się, jak leniwy strumień przepływa pod zwisającymi nisko witkami i puszystymi baziami. Spomiędzy suchych liści wychylały się już

grube kwiaty glistnika. Helen napawała się wiosennym słońcem przenikającym przez jej ciemnozielony sweter.

— Czy sabotażyści sprzeciwiają się także łowieniu ryb? — zapytała.

— O tak! — odparła żywo Maureen. — Według niektórych bardziej ekstremalnych członków naszej grupy to okrucieństwo wobec robaków.

Żołądek Helen zaburczał złowróżbnie.

— Umieram z głodu — stwierdziła Maureen. — Chwała Bogu, że zjadłam porządne śniadanie. O pierwszej wszyscy spotykamy się w pubie Pod Łaciatą Krową.

Helen, która była na czczo, a poprzedniego wieczoru zjadła tylko jajecznicę, oczami duszy ujrzała gin z tonikiem, stek i cynaderki w potrawce. Zaorane brązowe pola przypominały ładnie podsmażony kotlet. Może na obiad dostaną potrawkę pasterską?

W końcu jednak zatrzymali się w wiejskim sklepie, gdzie kupili pomarańcze i wodę mineralną.

— Nie możemy marnować funduszy na jedzenie i picie — oznajmił Nigel, podając jej swoją butelkę wody.

Helen nagle przyszło do głowy, że znacznie chętniej podzieliłaby się butelką brandy z Rupertem Campbellem-Blackiem. Gdyby to z nim była, prawdopodobnie znalazłaby się pod znacznie lepszą opieką.

Sabotażyści stali przy pubie Pod Łaciatą Krową, kiedy minęli ich myśliwi. Jechali z kwaśnymi minami, co zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że przedpołudnie nie przyniosło im oczekiwanej rozrywki.

— Przygazuj trochę — wyszeptał Paul. — Przestraszymy psy.

Po drugiej stronie kolejnego zagajnika widzieli kapelusze jeźdźców przesuwające się nieustannie we wszystkich kierunkach.

Z prawej nadbiegli kolejni aktywiści, wydając okrzyki nagonki, które miały zmylić psy, po czym rzucili między nie kilka fajerwerków, a te do

reszty spłoszyły już i tak podenerwowane konie.

— Pa, pa, pa, pa... — rozległ się delikatny, melancholijny dźwięk rogu.

— O, dobrze. To znaczy, o rany! — zawołała Helen. — Znaleźli lisa.

— To Paul — wyjaśniła zadowolona Maureen. — Umie grać na rogu jak prawdziwy myśliwy.

Tuż obok zaparkowały dwie kobiety w zielonych płaszczach i tweedowych spódnicach.

— Cholerni aktywiści — powiedziała jedna z nich, bezsensownie wygładzając nalepkę z rezerwatu przyrody przyklejoną na przedniej szybie.

— Słyszałaś, jak się udały tańce u Paigntonów-Laceyów? — zapytała ją koleżanka.

— Rano Fiona jeszcze spała, ale widziałam Primrose. Mówiła, że bardzo się udały. Przyszło więcej mężczyzn niż kobiet. Miła odmiana. Rupert Campbell-Black jak zwykle się skompromitował. Zniknął z Gabriellą. Podobno na kilka godzin. Charlie szalał. Są dopiero rok po ślubie.

— To i tak lepiej niż u Marcii — odparła pierwsza. — Tam gość się spił i powycinał ogony wszystkim pawiom z żywopłotu, a te krzewy rosły dosłownie przez setki lat. Ja bym go podała do sądu.

— Jemu się zawsze upiecze — stwierdziła pierwsza kobieta — bo jest zabójczo atrakcyjny.

Nagle kobieta wrzasnęła wściekle, gdyż na pobocze wbiegli Nigel i Paul, umazani błotem, z rękami podrapanymi do krwi od przedzierania się przez poszycie, ścigani przez paru osiłków.

Sabotażyści dopadli samochodu i wskoczyli do środka. Paul natychmiast ruszył i oderwał się od goniących, po czym przystanął na skraju zagajnika bukowego i spojrzał w głąb doliny. Na tylnym siedzeniu Nigel hałaśliwie wysysał sok z pomarańczy. Helen wysiadła i wstrzymała oddech, gdyż przed sobą ujrzała wolno podjeżdżającego pod górę Ruperta Campbella-

Blacka. Jego gniada klacz i czerwony płaszcz stanowiły jedyne plamy koloru na tle zieleni i brązów. Jeździec wdrapał się na górę i przystanął, starając się odgadnąć, którędy pobiegną psy. Słońce, dotąd kryjące się za kulisami jak aktor czekający na swoje wejście, przebiło się przez chmury i ogrzało brązowe pola. Nigel wysiadł z samochodu i wytarł dłonie o spodnie.

— *Kto nazbyt długo w mieście był więziony* — zacytował pompatycznie, zbliżając się do Helen — *ten w lica niebios spogląda radośnie* [1].

Helen, dla której znacznie bardziej słodki byłby widok pięknej twarzy Ruperta Campbella-Blacka, znów się odsunęła.

— Chyba będą próbowali w tym zagajniku — powiedział Nigel, znikając wśród buków.

Paul poszedł za nim.

Zaszczekał pies; potem zabrzmiał triumfalny chór, po którym zabrzmiał autentyczny róg myśliwski. Nagle, zagrzewane przez prowadzącego polowanie, psy wielką łaciatą gromadą pobiegły w dolinę. Za nimi nadjechali myśliwi, galopując, przeskakując ogrodzenia i szczękając strzemionami. Wśród nich był Rupert, o klasę wyżej od reszty, dosiadający konia swobodnie i płynnie; przeskakując przez wysoki żywopłot, niemal uniósł konia ze sobą, prawie ujmując ucho klaczy w usta.

— Drut po drugiej stronie! — wrzasnął do Billy’ego, który zebrał do skoku swojego czarnego wierzchowca i przeskoczył z równą łatwością.

Rozległ się stukot kopyt, kiedy jeźdźcy wskoczyli na drogę i znów z niej zeskoczyli, spiesząc w kierunku bukowego zagajnika, dokładnie spryskanego gazem pieprzowym i środkiem odstraszającym. Kiedy wjechali do zagajnika, Nigel i Paul stanęli na pobliskim płocie i zagrali koncert na rogach, całkowicie dezorientując psy, które już ogłupione

pieprzem i sprayem zaczęły biegać w kółko, skomląc z frustracji i próbując odzyskać trop.

Helen nagle poczuła złość na Nigela i Paula. Jakie mają prawo, by psuć innym cały dzień? Razem z Maureen stały w polu otaczającym zagajnik, kiedy nagle wyskoczył z niego Nigel, a zaraz za nim Paul. W następnej minucie spomiędzy drzew wypadł galopem Rupert Campbell-Black i zaszarżował na nich z płonącą furią w oczach.

— Nie dotknie dziewczyn! — wrzasnął Nigel, szybko zawieszając swój róg na szyi Helen, na jej nowym ciemnozielonym kaszmirowym swetrze. Naciągnął taśmę na szyi i zniknął za żywopłotem. — Jest dżentelmenem! — zawołał jeszcze przez ramię.

Mimo że dżentelmen, Rupert jednak jej dotknął. Podjechał prosto do Helen, ściągnął wodze niespokojnej klaczy i zanim dziewczyna zdołała go zatrzymać, pochylił się, ciepłą dłonią dotknął przodu jej swetra i zdjął róg.

— Ale aktywistka — powiedział z kpiącym zdziwieniem. — Nie sądziłem, że to zobaczę. Co taka ładna dziewczyna robi z popaprańcami w rodzaju Nigela?

— Jak śmiesz! — zachłysnęła się Helen, unosząc dłoń do piersi, jakby ją ktoś gwałcił.

— Jak ty śmiesz — odparł Rupert. — To teren prywatny, weszłaś tu bezprawnie. Wracaj do Londynu i nie zadawaj się z lewakami, którzy w kilku wynajmują jedno mieszkanie.

— Wszystko w porządku, Helen? — upewnił się Nigel, wynurzając się z zarośli.

— Nie za bardzo pomagasz damie, ty szczurze — powiedział Rupert. — Ale dama ma naprawdę doskonałe ciało.

Helen oblała się rumieńcem i świadoma, jak kiepsko to wygląda przy rudych włosach, wbiła wzrok w wypolerowany do połysku but Ruperta.

— Nie obrażaj mojej dziewczyny! — rzucił Nigel, podchodząc bliżej i otaczając Helen ramieniem.

Dziewczyna równie wściekła strząsnęła jego ramię.

— Wręcz przeciwnie — powiedział Rupert, chowając róg do kieszeni. — Byłem wyjątkowo uprzejmy, gdyż powiedziałem jej, że to jedyna przyzwoicie wyglądająca dziewczyna, jaką z wami widziałem. — skinął głową w kierunku Maureen. — A do czego używacie tamtej? Do wyłamywania drzwi, jak się winda zatnie?

Wypuścił klacz, jakby chciał natrzeć na Nigela, który cofnął się do żywopłotu, po czym obrócił wierzchowca i odjechał.

— Policzę się z tobą! — wrzasnął Nigel.

Kiedy odjeżdżali, Helen jak ogłuszona zajęła swoje miejsce z tyłu.

Rupert był najwyraźniej najmniej odpowiednią pod względem charakteru, lecz najbardziej romantyczną osobą, jaką kiedykolwiek poznała. Przerażające było to, jak bardzo ją do niego ciągnęło. Wciąż czuła ciepło jego leniwej dłoni i pamiętała spojrzenie jaskrawoniebieskich oczu przesuwające się po niej badawczo, wchłaniające dane jak komputer.

— *Nienawiść moją pierwszą pokochałam* [2] — wyszeptała.

Kiedy Rupert kłusował do myśliwych — tych, którzy pozostali — dogoniła go Gabriella, która wcześniej poczęstowała się brandy z jego piersiówki.

— Ooo, kochanie, gdzie byłeś?

Według Ruperta jedną z dodatkowych nieprzyjemności, które wyniknęły z obecności sabotażystów, był fakt, że nie dało się uciec od Gabrielli. Zeszłej nocy, jeszcze jako należąca do innego, z imponującym białym biustem wychylającym się z czarnej koronki, była znacznie bardziej atrakcyjna. Wziął ją w zacisznej sypialni zawieszonej gobelinami. W pewnym momencie długi sznur pieszych uczestników polowania tańczył,

nieświadomy tego, co się działo, przechodząc wręcz przez ich pokój, wrzeszcząc i wyjąc, przyprawiając ich o bezgłośny śmiech. Dzisiaj Gabriella z czerwoną po winie twarzą, rozmazanym makijażem, włosami posklejanymi od lakieru i potężnymi udami w zbyt obcisłych bryczesach straciła swój urok, ale zachowała poziom libido. Rupert nagle zapragnął wiotkiej sabotażystki o włosach koloru zbrązowiałych paproci.

— Co za popieprzony dzień — powiedział na głos.

— Możemy go całkowicie odmienić — odparła Gabriella jadąca obok niego. — Wskoczmy do domu. Charlie poszedł na polowanie.

— Pewnie chętnie by mnie ustrzelił — powiedział Rupert, zerkając na zegarek.

— Dopiero za kwadrans trzecia, mamy jeszcze godzinę.

Z ulgą zobaczył Billy'ego wyjeżdżającego z lasu, z głową na końskiej szyi, uchylającego się przed niskimi gałęziami.

— Już mi lepiej — odezwał się Billy. — Właśnie zwymiotowałem za ostrokrzewem. Została ci jeszcze brandy, Rupe?

— Niewiele. — Rupert podał mu flaszkę. — Skończ to.

Oburzające zachowanie Ruperta wkrótce stało się przedmiotem ożywionej relacji przekazanej reszcie aktywistów. Helen, niezdolna, by wzbudzić w sobie chociaż ślad oburzenia, zebrała bukiecik pierwiosnków i owinęła je chusteczką zwilżoną w kałuży. Paul i Nigel na chwilę stracili psy z oczu, ale znów je znaleźli ujadające na jakimś ogromnym ogrodzonym murami terenie. Nie mogli dostać się tam do nich, więc rzucili do boju swoją najcięższą broń i rozpętali prawdziwe piekło za pomocą rakiet, świec dymnych, jęku rogów i gwizdów.

— Wielki Boże! Jacyś palanci strzelają w zagajniku. Zawołajcie psy! — wrzasnął jeden z myśliwych.

Helen schowała się za jesionem, odmawiając modlitwy, sabotażyści zaś atakowali dalej, wrzeszcząc, wyjąc, ślizgając się na mokrych liściach, potykając się o gałęzie malin i długie srebrzyste korzenie buków. Psy zupełnie straciły głowę. Helen słyszała już tylko skomlenie. Nigel wspiął się na mur i spojrzał.

— Stracili nad nimi kontrolę — stwierdził z zadowoleniem.

Od lewej zbliżały się land-rovery wypełnione groźnie wyglądającymi osiłkami. Paul złapał Helen i wepchnął ją na przednie siedzenie samochodu.

— Spadamy — zarządził.

— Gdzie Maureen i Nigel?

— Mo jest w innym samochodzie — Paul wcisnął pedał gazu w podłogę — a Nigel ma jakiś superplan, ale nie mogę o tym mówić. Wziął samochód Fiony, ma do nas dołączyć później.

Rozpadało się na dobre; starsze panie pospieszyły do domów, osłaniając głowy chusteczkami. Kobiety wybiegły do ogródków i zaczęły zdejmować pranie.

— Nie zapięłaś pasa, Ellen — zauważył Paul. — Nie chcę, żeby atrakcyjnej młodej damie coś się stało.

Włączył program trzeci radia i zaczął podśpiewywać do sonaty Beethovena. Helen miała wrażenie, że chłopak cieszy się z nieobecności pozostałych.

— Jesteś dziewczyną Nigela? — odezwał się ochryple.

— Nie jestem — odparła Helen zirytowana. — Nic nas nie łączy.

— O, to spora różnica. Nie chciałbym nadeptywać komuś na odcisk. Wiesz, w przyszłą sobotę gram koncert w Festival Hall. Może chciałabyś przyjść? A potem skoczymy do indyjskiej restauracji.

Helen nienawidziła curry. Odrzekła, że sprawdzi swój kalendarz, co wydawało się zupełnie wystarczającą odpowiedzią. Paul rozgadał się o

swojej orkiestrze i pracy na temat ryjówek, którą akurat pisał, oszczędzając Helen trudu podtrzymywania rozmowy oprócz okazjonalnych chrząknięć. Dziewczyna zapatrzyła się w brzoskwiniowe światło zmierzchu i zastanawiała, co teraz robi Rupert Campbell-Black.

Rupert i Billy jechali w deszczu, rozmawiając o koniach, które chcieli zabrać na piątkowe spotkanie wielkanocne w Crittleden. Billy, który uniósł kołnierz i odwrócił kapelusz tyłem do przodu, żeby ochronić kark przed deszczem, próbował zapalić papierosa.

— Widziałeś tę dziewczynę od aktywistów? — zapytał Rupert zwodniczo swobodnym tonem pokrywającym zainteresowanie.

— Trochę chuda — odparł Billy.

— Ale miała piękną twarz. Chyba nie Angielka. Ciekawe, skąd Nigel ją wytrzasnął.

— Może poleciała na jego umysł.

— Na nic więcej by nie poleciała...

Wyjechali zza zakrętu i kilkadziesiąt metrów przed sobą zobaczyli Nigela pracowicie spuszczającego powietrze z kół przyczepy końskiej Ruperta. Siedzący na skraju drogi mężczyzna jeszcze ich nie zauważył.

— Zostaw to mnie — powiedział Rupert cicho.

Zsunął się z siodła, rzucił wodze towarzyszowi, po czym pobiegł drogą i z rozpędu rzucił się na Nigela, przygniótł go i przydusił do ziemi, pozbawiając tchu. Natychmiast potem powlókł go po trawie na poboczu, okładając pięściami. Odciągnął go dopiero Billy.

— Na miłość boską, wystarczy. Nie chcesz chyba siedzieć za morderstwo.

W tej chwili Frenchie, stajenny, obudził się z drzemki poobiedniej i przecierając oczy, stanął w drzwiach przyczepy.

— Gdzie ty byłeś, do cholery? — warknął Rupert. — Pewnie piłeś, jak zwykle. Bierz konie i daj mi jakiś sznur.

Zerwał z szyi chusteczkę, wepchnął ją Nigelowi w usta, po czym zaczął go rozbierać, z obrzydzeniem patrząc na białe, chude ciało. W czasie wiązania rąk i nóg zapasowymi rzemieniami od ogłowia Nigel jęknął i zaczął się wyrywać.

— Myślisz, że nic mu się nie stanie? — zapytał Billy.

— Niestety nie, głupi palant — odparł Rupert, kopiąc Nigela w żebro. — W pół godziny doczołga się do drogi. Będzie jeszcze jasno, kiedy ktoś go znajdzie. Szkoda, że wieczór jest taki ciepły.

Wziął kurtkę mundurową Nigela i z wewnętrznej kieszeni wyjął notes z adresami. Przeglądał go, a pozostali podłączyli przyczepę do niebieskiego porsche.

— Okropne — odezwał się Rupert. — Gość ma telefon Fiony, mój, twój też. Jak on mówił do tej dziewczyny? Chyba Helen. Jest tu jakaś Helen. Helen Macaulay, Regina House, W.14. Gdzie to jest, do cholery?

— Shepherd’s Bush albo Hammersmith.

— Beznadziejne dzielnice — stwierdził Rupert. — Ciekawe, czy to ona.

Helen wróciła do domu około północy. Pasta z orzechami i twarogiem oraz wegetariańskie curry były paskudne. Prawie nic nie zjadła, lecz wciąż oszołomiona spotkaniem z Rupertem Campbellem-Blackiem wypiła zdecydowanie za dużo taniego wina z czarnego bzu.

Maureen cały wieczór wbijała w nią wściekłe spojrzenie. Nigel nie wrócił do domu, a Paul jakimś sposobem zorganizował odwózkę tak, by najpierw zostawić Maureen, a dopiero potem zawieźć Helen do Regina House.

— Nie, Mo, nie wejdę na kawę. Pewnie jesteś zmęczona.

Helen wątpiła, czy Maureen faktycznie jest zmęczona — w swoim włochatym futrze przypominała raczej niezadowolonego owczarka pirenejskiego.

— Mogę cię pocałować, Ellen? — zapytał Paul przed Regina House i przysunął się do niej. Jego broda ją połaskotała, zalatywało od niego potem, a z ust śmierdziało mu curry.

Helen straciła cierpliwość.

— Ty cholerny świętoszku! Świetnie się bawiliście w gliniarzy i złodziei, jesteś zadowolony z siebie, a ja mam ochotę zgłosić was do organizacji ochrony zwierząt za prześladowanie psów! — I wyskoczywszy z samochodu, trzasnęła mu drzwiami przed nosem.

Helen siedziała w swoim pokoju, wstydząc się swojego zachowania i wpatrując się w zdjęcie Harolda Mountjoya, które straciło cały swój urok. Teraz dopiero zauważyła wyraz jego twarzy znamionujący człowieka rozpieszczonego i raczej słabego, włosy zaczesane na bok, by zakryć zmarszczki na czole i kurze łapki przy oczach.

— *Nienawiść moją pierwszą pokochałam* — wyszeptała. Nigdy już nie zobaczy Ruperta. Na pewno uganiają się za nim stada dziewczyn, zresztą to człowiek zepsuty do szpiku kości. Helen spojrzała na pierwiosnki w kubku do mycia zębów. Kwiatki miały środki w kolorze ochry i pastelowe płatki. Musiałaby go umieścić w swojej powieści, wtedy mogłaby o nim marzyć. Rozebrała się powoli, patrząc na swoje ciało w lustrze. Nigdy dotąd nie przyglądała się sobie; on twierdził, że jest piękna. Po chwili stwierdziła, że włożyła koszulę na lewą stronę — podobno to przynosi szczęście. Podskoczyła, kiedy ktoś nagle zapukał głośno do drzwi. Była to kierowniczka pensjonatu w szlafroku z wielbłądziej wełny i siatką na włosach.

— Telefon — warknęła. — Podobno to pilne. Nie wiem, co może być aż tak pilne.

Helen westchnęła. To na pewno Nigel. Może go aresztowano i prosi o wpłacenie kaucji albo będzie marudził, że Paul odjechał bez niego. Przynajmniej nie może jej oskarżyć, że poleciała na Paula.

Przy telefonie ktoś zostawił egzemplarz wierszy Lorki. Helen podniosła słuchawkę.

— Halo?

— Czy mogę mówić z Helen Macaulay? — odezwał się głos w słuchawce.

Wszędzie rozpoznałaby ten lekko przeciągający głoski ton. Dłonie się jej spociły, kolana ugięły.

— Przy telefonie.

— A z tej strony wróg, Rupert Campbell-Black.

— Skąd masz mój numer?

— Długa historia.

— Nigelowi nic się nie stało?

— Absolutnie nic. Co robisz jutro?

— Rano idę do kościoła.

W tle słychać było dźwięki muzyki i zabawy.

— Zamknijcie się, palanty! — wrzasnął Rupert. — Słuchaj, zabiorę cię do kościoła, a potem na lunch. Przyjadę po ciebie o wpół do jedenastej.

Podobało się jej, jak wymówił godzinę: „półdjednastej”.

---

[1] Fragment wiersza Johna Keatsa w tłumaczeniu Jana Kasprowicza (J. Keats, *Poezje wybrane*, Warszawa 1962) (przyp. tłum.).

[2] Cytat pochodzi z *Romea i Julii* W. Szekspira w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego (W. Shakespeare, *Romeo i Julia*, *Makbet*, *Hamlet*, Kraków 2009 (przyp tłum.).

7

LEKCEWAŻĄC MARUDZENIE KIEROWNICZKI wciąż kręcącej się po korytarzu, Helen pobiegła na górę do pokoju i pospieszyła do lustra — chciała się przekonać, że to wciąż ona i że naprawdę to się zdarzyło.

— Zadzwonił — wyszeptała — naprawdę zadzwonił.

Pomimo tylu wielbicielek zadał sobie trud, by wydobyć od Nigela numer jej telefonu. Helen zanurzyła twarz w pierwiosnkach, napawając się ich lekkim zapachem, po czym padła na łóżko.

Musi wziąć się w garść. Rupert to drań, któremu zbyt łatwo przychodzi zdobywanie kobiet, bez wątpienia zostawia za sobą szlak zniszczenia, jak Macheath[1]. I ta jego okropnie seksistowska odzywka do Maureen, a jeszcze mężatka Gabriella, z którą zniknął na dwie godziny w czasie balu. Może nie powinna z nim iść; jej serce jeszcze nie zagoiło się po Haroldzie Mountjoyu, drugie rozstanie będzie znacznie trudniejsze. Ale myśl o tym, że miałaby go nie zobaczyć, sprawiła, że osłabła z przerażenia. Czuła, że traci kontrolę i poddaje się biegowi wypadków jak gałąź rzucona w wartki nurt.

Poza tym nie ma sposobu, by skontaktować się i powiadomić, że zmieniła zdanie; no i czy ma szansę zostać pisarką, jeśli nie doświadczy życia?

Miała za sobą długi dzień. Jeśli nie chce wystąpić rano z podkrążonymi oczami, powinna się przespać. Zamiast tego jednak usiadła do maszyny i na sześciu stronach opisała cały dzień. Wpięła je w teczkę zatytułowaną „Anglia 1973”. Potem przez dwie minuty myła zęby, każdy z osobna nicią dentystyczną, i uklękła, żeby odmówić pacierz. Wstała, po czym jako

zaprzysięgła zwolenniczka ekologii, wierząca w oszczędzanie surowców naturalnych, z przerażeniem odkryła, że nie zakręciła kranu.

Obudziła się rozemocjonowana, ale uniesienie wkrótce ustąpiło miejsca panice, w miarę jak podłogę zwykle uporządkowanego pokoju zaczęły pokrywać warstwy ubrań.

Nakładała i zdejmowała kolejne: szarą sukienkę z angory, najbardziej pasującą do włosów, lecz zbyt ciepłą, jeśli pójdą do zatłoczonej restauracji. Następnie żółtą jak krokusy jedwabną koszulę podkreślającą kolor oczu Helen, lecz w zestawieniu z szarym kostiumem zamieniała ją w sekretarkę. Rdzawoczerwony kostium był zbyt jesienny, wełniana stalowoniebieska sukienka śliczna, ale w stresie Helen pociła się tak mocno, że obawiała się kłopotliwych ciemnych plan pod pachami. W końcu zdecydowała się na spódniczkę w szkocką kratkę i dopasowany beret oraz zielony aksamitny płaszcz ze Scotch House, a do tego białą koszulę z falbankami.

A makijaż? Wiedziała, że do kościoła nie wypada się przesadnie malować, ale co za dużo dla Boga, może się okazać niewystarczające dla Ruperta. Trudno ubrać się dla obu naraz, to jakby jednocześnie siadać do kolacji z Bogiem i diabłem. Perfumy też nie nadawały się do kościoła, zbyt kojarzyły się ze stylem Delilah, więc zamiast nich Helen wylała na siebie pół flakonika wody kolońskiej. Właściwie wbrew swoim zasadom wzięła tabletkę na uspokojenie, które jej podawano po rozstaniu z Haroldem Mountjoyem. Nie poczuła żadnego efektu. Kiedy przyłapała się na tym, że wciera dezodorant w policzki, a krem nawilżający pod pachy, uświadomiła sobie, że naprawdę traci głowę.

Kwadrans po dziesiątej czekała już gotowa w ciemnym hallu z boazerią na wysoki połysk. Wokół kręciły się zaniedbane inteligentki szykujące się, by wyjść do muzeów lub galerii. Gdyby chociaż jedna z nich powiedziała

jej, że ładnie wygląda; jednak kobiety nauki nie zwracają uwagi na tak nieistotne szczegóły.

Helen rzuciła ukradkowe spojrzenie w duże lustro i nagle uznała, że w berecie i spódnicy w szkocką kratę wygląda jak stewardesa. Pobiegła na górę i przebrała się w szarą sukienkę z angory. Boże, ma na niej plamę ze szminki. Helen zakryła plamę broszką z perłami, która wyglądała absurdalnie tuż nad jej lewym sutkiem. Świeżo umyte włosy po kolejnych zmianach odzieży rozsypały się całkowicie, więc dziewczyna założyła szarą aksamitną przepaskę.

Nie mogła powstrzymać drżenia. Była już za dwadzieścia pięć jedenasta. Początkowo minuty się wlokły, ale potem przyspieszyły mocno. Już nie przyjdzie, jest za dziesięć jedenasta. Może Helen źle go usłyszała, ale była pewna, że powiedział „wpół do jedenastej”. Próbowała przeczytać w „Sunday Times” długą analizę kryzysu Watergate, ale słowa tańczyły jej przed oczami, więc dała za wygraną i zapatrzyła się w okropne, jaskraworóżowe hiacynty, podrygujące na zimnym wietrze.

Może w stanie niepoczytalności, o jaki przyprawił ją jego telefon, źle wytłumaczyła mu drogę? Może powiedziała, że ma skręcić w lewo zamiast w prawo? Za dwie jedenasta — nie wolno płakać, bo jej mascara spłynie, ale co to ma za znaczenie, skoro on i tak nie przyjedzie? To tylko jakiś diabelski spisek, żeby nabrała nadziei, a potem spadła z hukiem na ziemię — zemsta na sabotażystce.

Sekretarka klubu właśnie powiesiła na tablicy jadłospis obiadowy, a kilka mieszkanek podeszło, starając się nie okazywać przesadnego zaciekawienia, powstrzymując ślinkę napływającą do ust na myśl o befsztyku i biszkopcie na deser, które ożywią ich nudne życie. W ostatecznej rozpaczy, ledwie powstrzymując łzy, Helen już odwróciła się, żeby pójść na górę. Kiedy zegar stojący w kącie wybił godzinę jedenastą,

drzwi się otworzyły i wkroczył Rupert, idąc w jej kierunku tym swoim cudownym, sprężystym krokiem sportowca. W przeciwieństwie do większości nie ściszał odruchowo głosu, wchodząc do jakiegokolwiek publicznego miejsca.

— Kochana, kochana, bardzo mi przykro. Musiałem po drodze zajrzeć do konia w Newbury, a korki były ogromne! — skłamał. — Wszystko dobrze? Bałaś się, że nie przyjadę?

Podszedł do niej, ujął Helen za rękę i pocałował w policzek.

Helen uniosła na niego wzrok, nie mogła wydobyć z siebie choćby słowa. Przez noc Rupert w czerwonym płaszczu przybrał w jej wyobraźni postać diabła; teraz jednak stał przed nią młody mężczyzna w typie eleganckiego studenta, który na pewno spodobałby się jej rodzicom. Doskonale skrojony ciemny garnitur, koszula w paski i niebieski krawat jedynie uwydatniały jego olśniewający wygląd. Promień bladego słońca wpadający przez okno pozłocił gładkie blond włosy, a ciemny hall jakby nagle rozjaśniła zapalona lampa. Nawet zaniedbane akademiczki oderwały się od tablicy ogłoszeń i zmieniły obiekt pożądania, przyglądając się Rupertowi bez cienia wstydu.

— Chciałaś iść do kościoła, prawda?

Helen pokiwała głową, wciąż niezdolna, by się odezwać.

— Jeszcze nie jest za późno. Pewnie uciekł nam pierwszy film i reklamy, ale zdążymy na pokaz główny — powiedział, biorąc ją pod ramię.

— Nigdy dotąd nie byłem w Hammersmith — powiedział, otwierając jej drzwi samochodu.

— To fascynująca mieszanka kultur — odparła żywo Helen.

Na tylnym siedzeniu porsche, na wielkim stosie nieotwartych listów, gazet i starych egzemplarzy „Horse and Hound” siedział, rozciągając pysk w przyjaznym grymasie, czarny labrador.

— To Borsuk — przedstawił Rupert. — Jedyna istota na świecie, która uważa mnie za ideał.

Borsuk zaczął radośnie bić ogonem w siedzenie, rozrzucając listy, po czym pochylił się do przedniego siedzenia i obdarzył Helen entuzjastycznym, mokrym psim pocałunkiem.

— Nie uprzedzaj mnie, Borsuk — powiedział Rupert, ruszając tak szybko, że pies o mało nie spadł między fotele. — Borsuk uparł się, żeby dzisiaj ze mną jechać — mówił dalej Rupert. — Chciał sprawdzić, czy jesteś tak ładna, jak mu opowiadałem.

— Nigdy nie otwierasz poczty? — zapytała zakłopotana Helen.

— Staram się nie otwierać. Zawsze ktoś chce moich pieniędzy albo mojego życia.

Szybko dojechali do Guards Chapel. Kiedy wślizgnęli się do tylnej ławki, Helen od razu padła na kolana. Rupert, siedzący lekko bokiem, bo nie mieściły się jego długie nogi, zauważył, że dziewczyna naprawdę się modli — zamyka oczy i porusza wargami. „Z góry wyznaje grzechy, które popełni po południu” — pomyślał sarkastycznie. Przyglądał się jej piegowatym dłoniom o szczupłych nadgarstkach i paznokciach pomalowanych bezbarwnym lakierem, potem przeniósł spojrzenie na drobny nos podobny do dzioba ptaka, bardzo czyste uszy, szminkę niedocierającą do krawędzi warg, żeby pomniejszyć duże usta, przerażającą opaskę odsuwającą z twarzy wspaniałe, ciemnorude włosy koloru bardziej przypominającego lisa niż zeschłą paproć. Zastanawiając się, czy na dole też ma rude włosy, puścił wodze wyobraźni. Później wleje w nią trochę alkoholu i zawiezie do swojej matki. Kiedy usiadła, zauważył doskonałe kostki, lekko piegowate pod jasnymi rajstopami.

— Ładny zapach — wyszeptał.

Przez sekundę dziewczyna patrzyła na niego wielkimi, szeroko rozstawionymi oczami z plamkami jak na gruszce konferencji, po czym uśmiechnęła się nieśmiało.

„Boże, ona jest przesłodka” — pomyślał. Wchodząc, specjalnie nie wziął śpiewnika mszalnego, żeby móc korzystać z niego razem z Helen. Kiedy ich dłonie się zetknęły, dziewczyna podskoczyła jak oparzona, po czym, uświadamiając sobie, że zareagowała przesadnie, spróbowała się uspokoić.

— *Czterdzieści dni i czterdzieści nocy, kuszony, nie ugiął się*... — głośno zaśpiewał Rupert, fałszując.

W trakcie kazania Helen stwierdziła, że jej myśli rozpływają się, a spojrzenie błądzi po purpurowo-złotych chorągwiach z małymi złotymi lwami w koronach. Wdychała zapach stojącego niedaleko bukietu lilii i narcyzów. Wśród wiernych znalazło się kilku mężczyzn w ciemnych garniturach, o szczupłych, rzeźbionych twarzach i prostych jak strzała plecach, którym towarzyszyły konserwatywnie ubrane kobiety o kościach policzkowych na tyle dobrych, że nie psuły im wyglądu turbany lub kapelusze kryjące włosy. Ołtarz przykryto fioletowym obrusem — był Wielki Post. Helen z przerażeniem uświadomiła sobie, że zastanawia się, jak by wyglądała w sukience takiego koloru. Musi się skupić.

Rupert nie miał takiego zamiaru. Przez kilka minut przypatrywał się księdzu spod półprzymkniętych powiek, po czym wyjął z kieszeni wzornik kolorów i zaczął się im przyglądać, w końcu zaznaczył krzyżykiem błękit pruski. Wreszcie wyciągnął z kieszeni wieczorne wydanie sobotniej gazety i zagłębił się w wynikach wyścigów.

— Hura! — wyszeptał. — Wygrałem pięć dych. Wystarczy na obiad.

Helen próbowała nie zwracać na niego uwagi i utkwiła wzrok przed sobą. Jednak po jakimś czasie, kiedy kazanie zaczęło się przeciągać, rozległo się nagle przeciągłe chrapnięcie. Rupert zasnął, a jego głowa

opadła na ramię dziewczyny. Kilku panów w garniturach i kobieta w czerwonym turbanie rozejrzało się wokół z dezaprobatą. Helen ostro szturchnęła Ruperta w żebra. Chłopak obudził się gwałtownie, rozejrzał wokół zdziwiony, po czym uśmiechnął do niej szeroko i bez śladu skruchy. Uśmiech nieoczekiwanie złagodził jego arogancką i zwykle nieruchomą twarz, wywołał zmarszczki przy niebieskich oczach, a Helen doprowadził do stanu paniki. Harold Mountjoy nigdy tak na nią nie działał.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, kiedy organy zagrały ostatnią pieśń, po której wierni wyszli na światło słońca. Rupert kiwnięciem głowy pozdrowił kilka osób, ale nie zatrzymał się na pogawędkę, dopóki jeden z mężczyzn w garniturach go nie zawołał.

Wtedy przystanął.

— Cześć, Tommy — przywitał się i przedstawił Helen.

Po szybkiej wymianie zwykłych ploteczek Tommy powiedział:

— Świetnie ci idzie, chciałem cię zaprosić na drinka do Olympii. Słuchaj — dodał, zniżając głos — w koszarach jest koń, który mógłby cię zainteresować. Kupiłem go w Irlandii tuż przed świętami. Będzie doskonały do najtrudniejszych skoków.

— Mogę po lunchu wpaść go obejrzeć?

— Około czwartej.

Helen zastanawiała się, czy jej też dotyczy zaproszenie; poczuła wielką ulgę, gdy usłyszała odpowiedź Ruperta:

— Będziemy.

Przed lunchem Rupert uparł się wyprowadzić Borsuka na spacer. Był prawdziwie wiosenny dzień: na tle nieba koloru niezapominajek pokazywały się coraz liczniejsze purpurowe pączki; brzegi rzeki znaczyły krokusy tego samego postnego koloru co obrus na ołtarzu. Kępa złocistych żonkili, których kwitnienie opóźniła ostra zima, właśnie osiągnęła pełnię.

Helen z przyjemnością pochodziłaby sobie bez pośpiechu, jednak nie miała szansy na samotną wędrówkę. Rupert ruszył jak prawdziwy żołnierz i narzucił ostre tempo. Helen, goniąc go na wysokich obcasach wbijających się w trawę, wkrótce straciła dech.

— Kupiłeś tego konia, którego oglądałeś rano? — zapytała.

— Ten koń już nie skacze — odparł Rupert. — Na zawodach przewrócił cztery przeszkody, po czym nagle zachciało mu się powrotu i poniósł mnie prawie do samego Londynu. Nie mogłem go zatrzymać, a siły mi nie brakuje.

— I co dalej?

— Na szczęście ekspres z Londynu do Newbury przejechał nam drogę, koń zdecydował, że jeszcze nie chce dać się przerobić na marmoladę i przystanął. Muszę przyznać, że bałem się jak cholera.

Helen, wychowana w przekonaniu, że dżentelmen nie przeklina w obecności damy, nie była zachwycona takim językiem.

— Umieram z głodu — powiedział Rupert. — Chodźmy na lunch.

— To będzie coś bardzo eleganckiego? — zapytała Helen.

— Dopiero po naszym przyjściu — odparł Rupert.

Restaurację z zewnątrz obłożono workami z piaskiem chroniącymi przed bombami podkładanymi przez IRA; wewnątrz jednak stały bardzo eleganckie krzesła i stoliki z ratanu, podłoga była w czarno-białą kratę, a masa lśniących roślin tropikalnych tworzyła prawdziwą dżunglę. Z kuchni dochodził aromat czosnku i ziół, a z sali powtarzające się „moi kochani” przerywane wybuchami śmiechu uczestników udanej imprezy. Podbiegł do nich kierownik sali.

— Pan Campbell-Black! Nie dokonał pan rezerwacji — powiedział z wyrzutem.

— Nigdy tego nie robię — odparł Rupert.

— Ale ja nie mam stolika.

— Na pewno znajdziesz nam jakiś miły zaciszny kącik. Nie chcemy towarzystwa.

— I nie można wprowadzać psów. Inspektorzy sanitarni mnie zabiją.

— Borsuk to co innego — odparł Rupert. — To pies przewodnik pijanego do nieprzytomności. Luigi, ruszaj się, nie będziemy czekać.

I faktycznie po chwili Luigi przywołał ich do siebie. Przejście przez salę z Rupertem i Borsukiem było swoistym doświadczeniem. Obracały się ku nim wszystkie głowy, wyciągały szyje, wymieniano szturchańce. Goście spoglądali najpierw na Ruperta, potem na Helen, starając się odgadnąć, kim ona jest i czy coś znaczy. Restaurację zapełniali urodziwi ludzie, dziewczyny w modnych szerokich spodniach spływających do samej ziemi i zakrywających całe buty, z czerwono pomalowanymi paznokciami u dłoni bębniących o szczupłe uda, odrzucające do tyłu włosy z pasemkami i pozdrawiając Ruperta, kiedy je mijał.

Luigi posadził ich przy stoliku oddzielonym od reszty restauracji ciemnozieloną ścianą roślin. helen natychmiast udała sie do toalety. W swojej szarej sukience czuła się nijaka, a dodatkowo w lustrze ujrzała bladą twarz prawie bez makijażu. Gwałtownym gestem podkreśliła kredką oczy, dodała koralowy róż na policzkach, pomalowała usta i wylała na siebie tyle Miss Dior, że zapach aż zakręcił w nosie i kichnęła.

Tymczasem Rupert zamówił butelkę szampana Dom Perignon i zdjął krawat. Leżący u jego stóp Borsuk uderzył ogonem w podłogę. Wdychając świeży zapach Miss Dior, Rupert zwrócił uwagę na poprawiony makijaż. Same dobre oznaki.

— Od wieków nie byłem w niedzielę w Londynie — powiedział. — Miło tu. I pierwszy raz mam okazję porządnie ci się przyjrzeć; widok

jeszcze ładniejszy. Naprawdę jesteś olśniewająca. Co ty, do licha, robiłaś z Nigelem?

— Pracujemy razem.

— W wydawnictwie?

— Czytam maszynopisy i piszę notki do książek. Właściwie — dodała Helen, rumieniąc się — pracuję też nad powieścią.

— Mogę przeczytać?

— To dopiero szkic.

— No to musisz mnie tam umieścić. Będę księciem z bajki. Nigel może zostać ropuchą. Chyba nie jesteś jego dziewczyną?

— Nie — odparła Helen nieco ostrzej. — Po prostu wczoraj zaprosił mnie na ten wyjazd. Jak zdobyłeś mój numer telefonu?

— Razem z Billym przyłapaliśmy Nigela na spuszczaniu powietrza z kół naszego samochodu, więc potrząsnąłem nim trochę, potem zostawiłem związanego jak świątecznego indyka i przejąłem jego książkę adresową. I jak ci się podobała wycieczka?

— To okrutne. Ludzie gonią biednego bezbronnego lisa i rozrywają go na kawałki dla zabawy.

— A widziałaś kiedyś kurnik po wizycie lisa? Kury zostawione z poodgryzanymi głowami? Lisy też zabijają dla zabawy.

— Ale lis nie ma żadnej szansy — zaprotestowała Helen. — Gonicie go, a jak się schowa, szczujecie go psami.

Rupert wzruszył ramionami.

— Rolnicy nie pozwoliliby nam polować na swojej ziemi, gdyby nie było wyników. — Dolał dziewczynie szampana, chociaż wypiła tylko pół kieliszka, i spojrzał na nią z namysłem. — Polowanie przypomina cudzołóstwo — powiedział. — Niekończące się czekanie przerywane

gorączkowymi momentami podniecenia. Jest drogie i moralnie nie do obrony.

— No to po co to robisz? — zapytała Helen sztywno.

— Poluję czy cudzołożę? Bo to lubię. Od czasu do czasu lubię się przespać z cudzą żoną. Lubię galopować po polach i wyciskać z konia, ile się da, bo to najlepszy sposób, żeby go nauczyć skoków przez wszystkie możliwe przeszkody, a starsze konie trzymają wtedy formę. Konie to uwielbiają, psy też, tak samo ludzie, którzy przyjeżdżają na polowania. Chyba po prostu przeszkadza wam, że inni dobrze się bawią.

— A ja wciąż uważam, że nie należy się stroić dla przyjemności zabijania — zaprotestowała Helen żarliwie.

— Kochana, aktywiści mieli wczoraj znacznie lepszą zabawę od nas. Billy, mój kumpel, zawsze twierdzi, że jeśli kiedyś zakażą polowań na lisa, to on dołączy do przeciwników.

Helen, przypominając sobie swój atak na Paula poprzedniego wieczoru, musiała przyznać, że Rupert ma rację.

— Ale Nigel ma zasady — powiedziała. — Jest zaprzysiężonym weganinem.

— I zapewne cały dzień pierdzi w biurze — odparł Rupert, ziewając.

Helen zarumieniła się, ale nie pozwoliła zbić się z tropu.

— Nigel — mówiła z przekonaniem — od dziesięciu lat nie zjadł niczego, co się porusza.

— Nawet galaretki? — zapytał Rupert.

Helen próbowała zrobić pełną dezaprobaty minę, ale zachichotała.

— Jesteś niemożliwy.

— „Niemoużliwy”? — odparł Rupert, przedrzeźniając jej wymowę. — No cóż, na pewno nie przechodzi się obok mnie obojętnie.

Podszedł do nich Luigi z kartą. Jak zauważyła Helen, nie było w niej cen.

— Co zjesz? Luigi na pewno potrafiłby ci zrobić płonący kotlet z orzechów, ale może zdobędziesz się na prawdziwą dekadencję i zamówisz duży krwisty befsztyk?

Luigi polecił im krewetki scampi w sosie śmietanowym z anyżówką lub filet z dzikiej kaczki w sosie z jagód jałowca.

— Nie, nie chcemy twoich wyrafinowanych bzdur, Luigi. Mój gość chciałby... — Rupert odwrócił się do Helen.

— Och, pâté, mały stek i sałatkę z zielonych warzyw.

— A ja wezmę wędzonego łososia i jagnięcinę z grilla, bardzo lekko wysmażoną, smażone ziemniaki. Możesz też przynieść jeszcze befsztyk dla Borsuka? Lubi dobrze wysmażone. Do tego butelka numeru szóstego, i druga na czekanie.

Podczas gdy Rupert zamawiał, Helen podziwiała piękny i czysty zarys jego twarzy. W przeciwieństwie do większości Anglików, zwłaszcza tych, którzy dużo czasu spędzają na dworze, nie miał zaczerwienionej cery; nawet bez opalenizny jego twarz miałaby odcień oliwkowy. Rupert rozejrzał się i przechwycił jej spojrzenie.

— No i jak? — zapytał.

— Jesteś bardzo opalony.

— W zeszłym miesiącu byłem na nartach.

— Podobno jesteś znany w jeździectwie.

Rupert uśmiechnął się szeroko.

— Można to tak ująć. Sezon właśnie się rozkręca, w przyszły weekend będą zawody w Crittleden. Może przyjdziesz w sobotę?

Poruszyła go radość, z jaką Helen przyjęła zaproszenie.

— Z przyjemnością. Bardzo chciałabym zobaczyć, jak skaczesz.

— Przy odrobinie szczęścia może poskaczę dla ciebie wcześniej — odparł, uśmiechając się do niej ze swoim szelmowskim, niebezpiecznie

bezpośrednim spojrzeniem.

Helen zignorowała podtekst jego słów. Czy jej nogę pod stołem muska Borsuk, czy Rupert?

— Jak znalazłaś ten swój paskudny dom czarownic?

Helen spojrzała na niego z dezaprobatą.

— Regina House to bardzo szanowane miejsce. Założono je specjalnie dla kobiet, które chcą coś w życiu osiągnąć.

— A, to w tym problem — odparł Rupert. — Wszystkie przypominały mi to straszydło, z którym wczoraj byłaś, no tę, która ma więcej opon niż fabryka Firestone.

Pod wpływem wina Helen rozluźniała się coraz bardziej i coraz mniej uwagi zwracała na pełne podtekstów uwagi Ruperta. Przyniesiono pierwsze danie, a przy nim opowiedziała mu o swojej poprzedniej kwaterze, kocurze i obleśnym współlokatorze.

— Przybyło mi dziesięć funtów.

— Ale chyba poszły we właściwe miejsca — stwierdził Rupert, spoglądając na jej biust. Jadł bardzo szybko, skończył swojego łososia, kiedy Helen nie dotarła nawet do połowy przystawki.

— Pâté jest doskonały — wymówiła słowo jak „parteej”.

Rupert leniwie zaczął się zastanawiać, czy jej akcent zacznie mu działać na nerwy.

— Chyba nie dam rady skończyć, bardzo mi przykro.

„Traci apetyt — pomyślał Rupert — kolejny dobry znak”.

— Teraz czas na zaproszenie dobrych piesków, żeby pomogły zjeść parteej — powiedział, pokroił pasztet i podał go pod stołem Borsukowi, który pochłonął jedzenie na raz.

Przy drugim daniu Helen spróbowała skierować rozmowę na bardziej ambitne tematy. Czy Rupert lubi czytać?

— Nie przepadam. Najbardziej podobała mi się *The moon's a balloon*.

— Chodzisz do teatru?

— Raz byłem — przyznał Rupert.

Helen powstrzymała się od zrobienia wstrząśniętej miny — pisarka musi akceptować różnorodnych ludzi.

Rupert zajął się teraz kośćmi, odrywając od nich mięso mocnymi, białymi zębami — wyjątkowo ładnymi jak na Anglika, uznała Helen.

— Masz rodzeństwo?

— Co?

— Braci lub siostry — wyjaśniła.

— Jednego. Ma na imię Adrian. Bardzo zdolny, ulubieniec matki. Prowadzi galerię sztuki.

— O, którą? — zainteresowała się Helen.

— Bellingham, specjalizuje się w sztuce współczesnej.

Helen przyznała, że często tam zaglądała.

— Beznadziejne, nie sądzisz? — zapytał Rupert. — Adrian strasznie się wkurza, kiedy mu mówię, że Borsuk namalowałby coś lepszego, jakby mu ogon zanurzyć w farbie.

Wszystkie te uwagi wygłaszał beznamiętnym tonem i z całkowicie kamienną twarzą. Helen nie wiedziała, czy jej nie prowokuje.

— No to przynajmniej na pewno chodzisz do kina.

— Nie — odparł Rupert. — Szczerze mówiąc, jeśli ma się niemal trzydzieści koni, a tyle ich mamy z Billym, z czego wiele to nowicjusze, które trzeba ujeździć, albo konie z najwyższej półki, które muszą trzymać formę, nie ma się czasu na nic innego. Mamy stajennego i trzy dziewczyny do opieki nad końmi, ale i tak wstajemy o wpół do siódmej i rzadko wychodzimy ze stajni przed dziewiątą lub dziesiątą wieczorem. W weekendy też trzeba się zająć zwierzętami. Poza tym musimy się

orientować w rynku, żeby nie przepuścić dobrej okazji. Niemal przez cały rok jeździmy z zawodów na zawody. Nie dociera się do szczytu, chodząc na francuskie kino niezależne czy wernisaże sztuki.

— Przepraszam. — Helen poczuła się skarcona. — A jeździsz na te same zawody co Mark Phillips?

— On jeździ na pokazy, ja na zawody. Nasze zawody są poważniejsze, jego klasa to uzdolnieni amatorzy.

— Znasz go? — zapytała Helen lekko zażenowana.

— Tak, to bardzo sympatyczny gość.

— Myślisz, że ożeni się z księżniczką Anną?

— Tak mi mówił — odparł Rupert, dolewając jej do kieliszka.

Helen spróbowała ukryć wrażenie, jakie zrobiły na niej jego słowa.

Drugiego dania też nie skończyła. Rupert dał jej befsztyk Borsukowi.

— To bardzo drogie danie, przepraszam — tłumaczyła się Helen zawstydzona.

— Nie szkodzi, to tylko befsztyk — zakpił Rupert, przedrzeźniając jej wymowę.

— Chodziłeś do Eton? — zapytała Helen.

— Nie, do Harrow.

— Lord Byron się tam uczył! — stwierdziła Helen z ożywieniem. — To był doskonały poeta.

— I poderwał kilka doskonałych dziewczyn.

— Pisał fascynujące listy.

— Podobno zaliczył swoją przyrodnią siostrę.

Luigi przyniósł brandy dla Ruperta i kawę z czekoladkami miętowymi dla Helen.

— Nie, dziękuję — powiedziała dziewczyna. — Rzuciłam słodycze na czas postu.

— A ja rzuciłem kobiety — odparł Rupert, biorąc ją za rękę — oprócz ciebie.

Jak na zawołanie do osłoniętego roślinami boksu wpadła przepiękna dziewczyna o długich, granatowoczarnych włosach.

— Niedźwiadku Rupercie! — zawołała. — Dlaczego się ukryłeś w tej dżungli? Boisz się dzikich zwierząt? — zwróciła się do Helen, lecz zanim ta zdołała odpowiedzieć, dziewczyna mówiła dalej: — Nicky Cripps jest na ciebie wściekły, Rupe. Zarezerwował ten stolik dwa tygodnie temu, a ty sprzątnąłeś mu go sprzed nosa. Może postawisz mi drinka, niedźwiedziu, przez wzgląd na stare czasy?

— Odejdź — odparł Rupert lodowatym tonem.

— W takim razie sama się poczęstuję — odparła dziewczyna i drżącą ręką sięgnęła po kieliszek Ruperta, po czym wypiła go do dna.

Nagle spod stołu rozległ się hałas, wyłonił się Borsuk i wtulił pysk w krocze dziewczyny.

— Cześć, Borsuk — powitała go zdławionym głosem. — Zawsze lubiłeś mnie bardziej niż niedźwiedź Rupert.

Helen zerknęła na minę Ruperta i spróbowała ratować sytuację.

— Dlaczego nazywasz go niedźwiedziem? — zapytała.

Dziewczyna spojrzała na nią z politowaniem.

— Nie wiesz? Niedźwiedź Rupert, bo nie może utrzymać łap przy sobie i rzuca się na każdą. — dziewczyna wzięła w rękę krzyżyk, który Helen miała na szyi. — To cię przed nim nie uchroni. Nie zdołasz mu się oprzeć, żadnej się to nie udało. A potem facet cię wypluje jak pestkę winogrona.

Rupert wstał.

— Wynoś się — powiedział tonem, od którego Helen przeszył dreszcz. — Jesteś pijana i nudzisz nas.

Dziewczyna załkała i wybiegła. Helen uciekła do łazienki, czując, że robi się jej niedobrze. Twarz miała zarumienioną, oczy zaczerwienione. Kiedy przed lustrem poprawiała makijaż, weszły dwie dziewczyny, zajęły dwie kabiny i zaczęły rozmawiać przez ściankę.

— Bianca właśnie urządziła popis przed niedźwiedziem Rupertem — zaczęła jedna. — I to przed jego nową dziewczyną.

— W przyszłym tygodniu już nie będzie nowa — odparła druga. — Będzie jego byłą jak my wszystkie.

Kiedy Helen wróciła do stolika, czekał na nią Rupert, który już zapłacił rachunek.

— Co się stało? Cała się trzęsiesz.

— Chcę do domu.

— Nie bądź śmieszna. — Ujął ją za rękę i poprowadził do samochodu. — No to powiedz, co się stało.

— W toalecie podsłuchałam dwie dziewczyny.

— Co mówiły?

Helen opowiedziała. Rupert znów ujął ją za ręce i mocno uścisnął.

— Słuchaj, na pewno cię to zdenerwowało, tak jak słowa Bianki. Ale jeśli między nami ma coś być, a wydaje mi się, że to możliwe, musisz nauczyć się ignorować plotki. Jeśli jest się kimś w rodzaju celebryty jak chyba Billy i ja, ludzie zawsze będą plotkować. Jeśli cię nie znają, coś zmyślą, jeśli wrzaśniesz na strażnika miejskiego, bo właśnie zmarła ci matka, od razu przypną ci łatkę gbura. Przez krótki czas spotykałem się z Bianką, ale zerwałem. Z drugiej strony dziewczyny, których nie poderwaliśmy, podejrzewały mnie i Billy’ego, że jesteśmy gejami. Słuchaj mnie i nikogo więcej. Jasne?

Helen skinęła głową, gdyż zabrakło jej słów.

— Jesteś niesamowicie słodka. — Rupert pochylił się i bardzo delikatnie ją pocałował.

W pierwszej chwili Helen się opierała, potem jednak rozchyliła usta, a wtedy Rupert się odsunął.

— Chodź, musimy obejrzeć tego konia.

---

[1] Macheath — postać nieodpornego na wdzięki kobiet gangstera z *Opery za trzy grosze* Bertolta Brechta (przyp. tłum.).

8

— BOŻE, TOMMY — powiedział Rupert kwadrans później, kiedy ze stajni wyszedł ze stukotem kopyt wielki czarny koń z białą strzałką na pysku, ciągnąc za sobą bezradnego, przerażonego żołnierza — chcesz mi wcisnąć słonia?

— To dobry koń — odparł Tommy. — Przeskoczyłby przez Harrodsa nawet ze związanymi nogami.

Podszedł do przebierającego nogami, przewracającego oczami i odsłaniającego zęby zwierzęcia i złapał za uzdę z drugiej strony. Razem z żołnierzem udało mu się unieruchomić konia.

— Podejdź i sam go obejrzyj — powiedział.

Z bezpiecznej odległości Helen przyglądała się, jak Rupert wprawnymi dłońmi przesuwa po bokach konia, jego nodze, podnosi kopyto, zagląda w zęby, ogląda z przodu i z tyłu.

— Ma piękną głowę — powiedział Tommy, uchylając się pospiesznie przed zębami zwierzęcia.

— Skąd pochodzi?

— Klacz rasy Irish Draught, ojciec czystej krwi wygrał kilka zawodów w Irlandii. Dostaliśmy go od Jocka O’Hary.

— Zwykle nie pozbywa się dobrych koni — powiedział Rupert, znów obchodząc zwierzę dookoła.

— Jego żona akurat rodziła, był bardziej roztargniony niż zwykle.

— I chcecie go sprzedać? Co z nim nie tak?

— Szczerze mówiąc, nie nadaje się. Poniósł niemal wszystkich z oddziału, którzy próbowali go dosiąść, na paradach nie stoi spokojnie, nie

umie iść w szeregu, próbuje gryźć i nie słucha rozkazów.

Rupert się roześmiał.

— I ja mam go kupić?

— Zawsze radziłeś sobie z trudnymi końmi, a ten naprawdę umie skakać. W zeszłym tygodniu poniósł żołnierza na King’s Road, akurat przejeżdżała tamtędy furgonetka z mleczarni. Szatan stanął dęba i przeskoczył ją z zapasem kilku centymetrów. Widziało to kilku świadków. On naprawdę coś w sobie ma.

— No dobrze — oznajmił Rupert, zdejmując płaszcz — przygotujcie go do jazdy.

Na środku ujeżdżalni stał nerwowy żołnierz, czekając na polecenia Ruperta. Tommy i Helen obserwowali z widowni, ku uldze dziewczyny. Początkowo Szatan szedł niewinnie i posłusznie, rzucając jedynie spojrzenia na boki i machając lekko ogonem. Biały pysk i jedna biała skarpetka sięgająca nad pęcinę nadawały mu komiczny wygląd. Rupert zaczął kłusować, koń w kilka sekund przebiegł tor, po czym nagle zebrał się w sobie i po drugim zakręcie zaczął wierzgać tak gwałtownie, że zrzuciłby najlepszego jeźdźca w rodeo.

Helen zachłysnęła się i zakryła dłońmi oczy.

— Nic się nie stało — uspokoił ją Tommy. — Wciąż trzyma się w siodle.

— Dobrze — powiedział Rupert do żołnierza — postawcie wszystkie przeszkody na metr czterdzieści.

Tommy wyjął srebrną papierośnicę i podsunął ją Helen, lecz dziewczyna pokręciła głową.

— Niech pani patrzy — powiedział.

Szatan podbiegł do przeszkody, Rupert wstrzymał go idealnie w miejscu, z którego powinien się wybić, a koń przeskoczył trzydzieści centymetrów nad nią. Tak samo pokonał stacjonatę.

— Podnieście do metra siedemdziesięciu — polecił Rupert.

— Od dawna zna pani Ruperta? — zapytał Tommy.

— Nie — odparła Helen — i sądzę, że w tym tempie nie ma szans na dłuższą znajomość — dodała nerwowo.

Tymczasem Szatan pogalopował w kierunku stacjonaty, po czym zatrzymał się gwałtownie. Rupert zaczął go okładać.

— Biedny Szatan — wymruczała Helen.

Rupert znów zawrócił konia. Szatan z zapasem przeskoczył stacjonatę, potem niedbale, patrząc na gołębie na dachu, uderzył w oxera tak mocno, że tylko niezrównane umiejętności Ruperta pozwoliły mu utrzymać się w siodle i ochroniły jeźdźca i konia przed upadkiem.

— Podnieś do metra osiemdziesięciu! — zawołał do żołnierza, już białego jak prześcieradło.

— Szalony — przyświadczył Tommy — ale zawsze lubił ryzykować.

Tym razem Rupert dojechał spokojniej i Szatan przeskoczył przez przeszkodę z kilkunastocentymetrowym zapasem. Rupert spiął konia, który teraz, pod koniec, wyraźnie spokorniał. Jeździec zsunął się z siodła, sięgnął do kieszeni płaszcza wiszącego na drzwiach, wyjął paczkę miętusów i podał kilka Szatanowi, który najpierw zerknął na niego podejrzliwie, a potem zjadł, wywijając górną wargę.

— Chyba się zaprzyjaźnimy — ocenił. — Biorę go, Tommy. Wypiszecie go jako niemożliwego do opanowania, prawda? A ja porozmawiam sobie z pułkownikiem Corym w Melton Mowbray.

Helen czuła się zawstydzona tym, jak bardzo podniecał ją widok Ruperta panującego nad wielkim, na pół dzikim koniem. Może Rupert nie znał François Truffaut ani Kandinskiego, ale jeśli chodzi o konie, był najwyraźniej geniuszem. Nagle poczuła ukłucie czystej zazdrości;

niezależnie od tego, jak bardzo się pociła nad swoją powieścią, nigdy nie osiągnie takiego radosnego, spontanicznego poziomu talentu jak Rupert.

Słońce zachodziło, oblewając ogniem okna koszar. Ludzie spacerujący z psami wracali z parku do domów. Rupert dogadywał z Tommym szczegóły sprzedaży, a Helen po raz kolejny poprawiała makijaż. Włączyła radio w samochodzie i znalazła środkowe takty koncertu fortepianowego Schumanna. Wsłuchując się w romantyczną, falującą muzykę, zerknęła zakłopotana na stos listów na tylnym siedzeniu. Wiele kopert miało kolor purpurowy, miętowy lub jaskraworóżowy. Niektóre były zaadresowane: Rupert Campbell-Black, najprzystojniejszy mężczyzna w Anglii.

„I tak jest” — pomyślała Helen, przyglądając się, jak Rupert wraca z Borsukiem do samochodu. Wydawał się bardzo zadowolony.

— To naprawdę świetny koń. Jeśli mnie nie zabije, zabiorę go na olimpiadę. Pojedźmy na drinka do mojej matki.

— To miłe — odparła Helen, chociaż nie czuła się jeszcze gotowa na spotkanie z matką Ruperta. Musiałaby rozmawiać z nią, niemal nie otwierając ust, żeby ukryć zapach alkoholu.

Rupert przez minutę słuchał koncertu.

— To pewnie taką muzykę lubisz?

— Tak — odparła Helen. — Czy twoim rodzicom udało się małżeństwo?

— Tak — odparł Rupert.

— To wspaniale — powiedziała Helen.

— Ale nie ich wspólne. Moja matka ma w tej chwili trzeciego męża, a ojciec czwartą żonę.

— Bardzo cierpiałeś, kiedy rodzice się rozeszli? — zapytała Helen.

Rupert zrobił zdziwioną minę.

— Wcale. Zostałem z mamą i nianią.

— Ale na pewno miałeś mnóstwo kolejnych wujków i cioć?

— Co takiego?

— Przybranych matek i ojców.

— Całe setki.

— Bardzo źle cię traktowali?

— To raczej ja bardzo źle ich traktowałem. W dzieciństwie byłem niezłym palantem. Oni w zamian nie zabierali mnie do domu na ferie.

— Cały czas spędzałeś w szkole? — zapytała Helen ze łzami w oczach.

— Od czasu do czasu niania przyjeżdżała pociągiem i przywoziła mi placek z owocami. Większość ferii i wakacji spędziłem u Billy'ego.

— A Adrian?

— Och, on był pupilkiem matki, zdecydowanie za delikatny i wrażliwy na szkołę z internatem.

Rupert mówił bez goryczy i użalania się nad sobą. Nie miał refleksyjnej natury, nie uważał, że postępowanie rodziców wpłynęło na jego życie.

Helen, która studiowała psychologię, miała inne zdanie. Wciąż jeszcze lekko oszołomiona szampanem i w sentymentalnym nastroju poczuła nagłą falę współczucia dla biednego Ruperta. Rodzice, którzy go nie kochali, przybrani rodzice, którzy go zaniedbywali, matka, która wolała młodszego brata... nic dziwnego, że tak bardzo ściga się z innymi i pragnie wygranej; że uwodzi kobiety, by podnieść sobie samoocenę, a kiedy sprawy przybierają poważny obrót, rzuca je, nieprzyzwyczajony do długotrwałego związku pełnego miłości. „Mogę go zmienić — pomyślała serdecznie. — Mogę powstrzymać jego upadek i pokazać, co to jest prawdziwa miłość".

Matka Ruperta mieszkała w jednym z dużych białych domów z epoki edwardiańskiej wychodzących na szmaragdowy trawnik otoczony balustradą. W ogródku rosły szafirki, cebulice i narcyzy. Migdałowiec już zrzucał różowe płatki na krótko przycięty trawnik. Okna były zasłonięte

okiennicami. Rupert otworzył drzwi kilkoma kluczami i skoczył do środka wyłączyć alarm.

— Twojej matce na pewno nie grozi włamanie — stwierdziła Helen.

— Nie, ale tobie tak, mój skarbie — odparł Rupert pod nosem.

Poszli do salonu. Rupert zapalił światło, a Helen krzyknęła z zachwytu.

— Jaki piękny!

Ściany i dywany miały kolor pastelowej żółci, jedwabne zasłony — starego złota, a kanapy i fotele nakrywało jasnobłękitne i różowe płótno. Dwa stoliki z jasnoróżowymi serwetami zastawiały tabakierki. Na ścianach wisiały portrety przystojnych mężczyzn o aroganckim wyrazie twarzy oraz pięknych kobiet, których twarze rozjaśniały sznury dużych pereł. Posmak egzotyki wnosiły wazony z orchideami. Na przykrytym fortepianie stały zdjęcia. Na jednym z nich widać było matkę Ruperta z czasów panieńskich, na pozostałych mężczyzn w mundurach, zapewne kolejnych wujków. Na jednym z nich Rupert siedzący na koniu odbierał puchar od księżniczki Małgorzaty. Oko przyciągało zdjęcie przepięknego młodzieńca, bardzo podobnego do Ruperta, lecz o delikatniejszej budowie.

— To mój młodszy brat — wyjaśnił Rupert. — Napijesz się czegoś?

Helen pokręciła głową. Rupert nalał sobie duży kieliszek brandy, Helen zaś dojrzała sąsiedni gabinet o ścianach zastawionych oszklonymi półkami z książkami.

— Mogę zerknąć?

— Oczywiście. Większość z tych po lewej stronie to pierwsze wydania.

— Tu jest *Endymion* Keatsa i *Prometeusz wyzwolony* Shelleya i *Mansfield Park*! — zawołała podniecona Helen. — Niesamowite! Twoja matka musi być kobietą o wielkiej wiedzy.

Te słowa chyba rozbawiły Ruperta.

— Nie przeczytała ani jednej z tych książek — odparł.

— To okropne. Macie gdzieś klucz?

— Gdzieś jest...

Helen niechętnie podniosła się z podłogi. Na biurku leżał wielki stos listów.

— Twoja matka też nie otwiera poczty?

— Wada rodzinna.

— Niedługo wróci?

— Nie ma jej tutaj — odparł Rupert, dopijając swoją brandy. — Uciekła na Bahamy przed poborcą podatkowym.

Helen spojrzała na niego wstrząśnięta.

— Muszę iść. Gdybym wiedziała, że jej tu nie ma, nigdy bym tu nie przyszła.

— Jeszcze nie wszystko widziałaś, kochanie — powiedział Rupert cicho, biorąc ją w ramiona — ale wkrótce czekają cię kolejne wrażenia, zapewniam.

Niemal przytłoczyły ją bijące od niego ciepło i siła, tak inne niż u Harolda Mountjoya, który był raczej cherlakiem.

— Nie! — zawołała.

— Tak — powiedział Rupert z ustami przy jej włosach. — Potrzebujesz materiału do powieści.

— Nie powinieneś dawać mi do zrozumienia, że twoja matka tu jest.

Próbowała się wyrwać.

— Nie mówiłem nic takiego. Zresztą na wojnie i w miłości wszystkie chwyty są dozwolone, a my chyba nie zamierzamy się bić. — pochylił się i ją pocałował.

Helen przez kilka sekund trzymała się sztywno, jednak po chwili uległa i odpowiedziała pocałunkiem, unosząc dłonie do jego gładkich, zaskakująco

jedwabistych włosów. Rupert pociągnął ją na kanapę w spłowiałoróżowym kolorze.

— Odkąd cię zobaczyłem, nie przestaję o tobie myśleć — powiedział.

Przesuwał dłońmi po jej plecach, oceniając ilość bielizny i planując kolejny atak. Szara sukienka nie miała zamka, więc trzeba będzie zdjąć ją z dziewczyny przez głowę, co może ją przestraszyć, jeśli nastąpi zbyt szybko. Nad ramieniem Helen Rupert napotkał rubaszne spojrzenie jednego z przodków. „Tak trzymaj!” — wydawało się mówić.

— Nie! — sprzeciwiła się Helen, próbując oderwać jego dłoń, która znalazła się na jej lewej piersi.

— Powtarzasz się, aniołku. Chyba już wiesz, że jestem niezrównoważony jak kot twojej poprzedniej gospodyni.

Lewą dłonią wprawnie rozpiął jej stanik przez sukienkę, a kciukiem prawej zaczął muskać sutek.

— Nie jestem taka.

— Jaka? — wyszeptał Rupert. — Chcesz spędzić resztę życia w zamknięciu, nietknięta jak te książki?

Helen wybuchnęła płaczem. W pierwszej chwili płakała tak rozpaczliwie, że Rupert nie rozumiał, co mówiła. Potem pierwsza fala szlochów przeszła w rozdzierające łkanie i stopniowo dziewczyna przez łzy opowiedziała całą historię: o szanowanej rodzinie, o straszliwym wstrząsie, jakim było zajście w ciążę z żonatym mężczyzną i oblanie egzaminów końcowych. O tym, jak rodzice wspierali ją i wysłali do Europy, żeby doszła do siebie.

— Dzisiaj po południu wydawało się, że już całkiem doszłaś do siebie — stwierdził Rupert. — Może powinienem posłać rachunek twojemu ojcu. Powtórz jeszcze raz nazwisko tego żonatego faceta.

— Harold Mountjoy.

— Powinien się nazywać MountHelen.

Helen pociągnęła nosem.

— To bardzo znany pisarz — powiedziała karcąco. — Dziwne, że o nim nie słyszałeś.

— Chyba już wiesz, że się na tym nie znam — odparł Rupert.

— Kochałam go — powiedziała Helen. — Myślałam, że Harold też mnie kocha, ale on tylko raz do mnie napisał. Zapomniał o Bożym Narodzeniu, moich urodzinach, walentynkach...

— Dniu Matki? — zapytał Rupert z szerokim uśmiechem.

— Ciążę usunięto — odparła Helen z godnością.

— Zapewniam, że nie dam ci zajść w ciążę — powiedział Rupert poważnie.

— Nie o to chodzi. Nie chcę być traktowana jak obiekt seksualny.

— Bo odrzucasz seks?

— Przestań dowcipkować! — jęknęła Helen.

Rupert wyjął jedwabną niebieską chusteczkę i starł tusz, który spłynął dziewczynie na policzki. Miał dość doświadczenia z kobietami, by wiedzieć, że jeśli przy pierwszej okazji się wycofa, okazując zrozumienie i życzliwość, przy drugiej dziewczyna sama wpadnie mu w ręce.

Co ważniejsze, nagle poczuł się bardzo zmęczony. Dzięki fenomenalnej wytrzymałości mógł przez długi czas obywać się bez snu, ale uświadomił sobie, że oprócz dwugodzinnego maratonu z Gabriellą w piątkowy wieczór, w łożu z baldachimem, od trzech dni nie położył się do łóżka. Wieczorem czekała go jazda do domu do Gloucestershire, gdyż rano przyjeżdżał sprzedawca koni. Rupert chciał szybko kupić Szatana, zanim wojsko zacznie piętrzyć wszelkie biurokratyczne przeszkody. Wieczorem następnego dnia miał zabrać całą grupę nowicjuszy na zawody w krytej ujeżdżalni.

— Dobrze — powiedział, podnosząc się — wracaj do swojej powieści. — Tylko włożę sweter i odwiozę cię do twojej jaskini.

Helen wpadła w rozpacz przekonana, że go straciła. Słońce zachodziło, drzewa i domy zaczęły ciemnieć i zamazywać się na tle turkusowego nieba.

Po drodze do Regina House Rupert nie odzywał się i nie wspomniał ani słowem o wyjeździe do Crittleden. Uznał, że trzeba dać jej czas. Niech zacznie się niepokoić. Helen czuła się coraz gorzej. Może go zraniła, mówiąc, że nie prześpi się z nim, gdyż go nie kocha, ale dla niej było na to jeszcze za wcześnie.

Kiedy podjechali pod Regina House, we wszystkich oknach paliły się światła. Na rosnącym w pobliżu platanie siedział kos i śpiewał. Helen siedziała przez chwilę przytłoczona zmęczeniem i przygnębieniem, czując łzy znów wzbierające pod powiekami. Ruch kobiecy zawsze namawiał do asertywności i trzymania mężczyzny na dystans, ale w praktyce nie było to łatwe.

— Przepraszam — powiedziała zdławionym głosem — nie chciałam wykorzystywać twojej uprzejmości.

Rupert ziewnął.

— Wręcz przeciwnie, kochana, to ja chciałem wykorzystać ciebie.

Wysiadł z samochodu, ale zanim zdążył podejść do drzwi od strony pasażera, Helen już wysiadła, więc stanęli twarzą w twarz.

— Dobranoc — powiedział szybko. Miał zamiar od razu wsiąść do samochodu i odjechać, ale zachodni wiatr przyniósł dźwięk dzwonów z pobliskiego kościoła. Rupert zadrżał w szarym zmierzchu na nagłe wspomnienie pustej szkoły w niedzielne wieczory, dzwonu wzywającego na nabożeństwo, po którym następowała kolacja złożona z zimnego mięsa i chleba z margaryną oraz powrót innych uczniów stęsknionych za domem

po weekendzie z rodzicami. Rupert nigdy nie miał domu, za którym mógłby tęsknić.

— Spo... spotkamy się znów? — wyjąkała Helen.

W półmroku zmierzchu jej twarz o wielkich, lśniących od łez oczach z rozmazaną mascarą straciła wszelki kolor. Rupert ujął ją w dłonie.

— Oczywiście, mój ty mały rudy lisku. Tym razem cię puściłem, ale w końcu cię złapię. Jeśli zakopiesz się pod ziemię, zablokuję ci wyjście z nory, jeśli pójdziesz jeszcze głębiej, poślę teriery, żeby cię znalazły.

Błysnął białymi zębami, pochylił się i ją pocałował. Helen poczuła dreszcz. Jednocześnie bała się i już tęskniła.

— Nie słuchaj Nigela — powiedział, wsiadając do samochodu. — On nie jest moim wielbicielem. W tygodniu zadzwonię do ciebie i umówimy się do Crittleden.

Po czym odjechał.

Helen stała w zapadającym zmierzchu, nasłuchując dzwonów, myśląc o ślubach i o przyciąganiu się przeciwieństw.

Rupert jechał autostradą M4, rozmyślając o Szatanie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zajechać po drodze do Newbury, żeby spotkać się z przyjaciółką, której mąż akurat wyjechał, ale zmęczenie go przemogło. Przy wyjeździe numer piętnaście poczuł, że dalej nie da rady prowadzić, więc kiedy tylko zjechał z autostrady, wjechał na parking, przesiadł się do tyłu i obejmując Borsuka, który świetnie grzał, zasnął.

Dolina Frogsmore często jest uznawana za najpiękniejszy zakątek Cotswolds. Po obu jej stronach pola przerywane murami z jasnego kamienia i bujnymi zagajnikami oraz gdzieniegdzie zabudowaniami gospodarstw opadają ostro ku soczyście zielonym, podmokłym łąkom, które przecina strumień Frogsmore.

W górze doliny zaokrąglonej jak podkowa leży stara wieś Penscombe. W niej od stu dwudziestu lat mieszkała rodzina Campbellów-Blacków, na zmianę gorsząc i podbijając serca miejscowych swoimi wybrykami. Na dwudzieste pierwsze urodziny Ruperta, miesiąc przed zakończeniem służby wojskowej, Edward Campbell-Black przepisał na niego dom zwany Penscombe Court oraz dwieście akrów ziemi. Powód tej hojności był prosty: Edward po raz kolejny zgorszył otoczenie, zostawiając swoją żonę dla pięknej włoskiej żony jednego ze znajomych myśliwych z Gloucestershire. Poza tym uznał, że nudzi go utrzymywanie posiadłości wciąż przynoszącej ogromne straty, a jego piękna przyszła żona uznała, że nie służą im zimne zachodnie wiatry przemierzające Kanał Bristolski i hulające zimą po dolinie Frogsmore i wokół Penscombe. Para zamieszkała więc na południu Francji.

Młody Rupert wywołał skandal we wsi, gdyż wprowadził się do domu z przyjacielem, Billym Lloydem-Foxem, stadem psów i kształtnych dziewcząt pracujących w stajni. Co gorsza, Rupert zawziął się, by posiadłość zaczęła przynosić dochody, więc wkrótce splantował słynny ogród różany i sad, postawił stajnię na trzydzieści koni, a pole do krykieta, na którym regularnie grywali miejscowi, zamienił w arenę do zawodów. Za stajniami postawił krytą ujeżdżalnię chroniącą je przed zimnym wiatrem.

W ciągu kolejnych czterech lat narzekania ustały. Rupert i Billy zaczęli wygrywać i często pojawiali się w telewizji, przeskakując wysokie przeszkody i odbierając srebrne puchary z rąk członków rodziny królewskiej. Dziennikarze i ekipy telewizyjne zjeżdżały do Penscombe i zachwycały się urokiem wsi i całej doliny. Penscombe nagle dorobiło się dwójki bohaterów i pojawiło się na mapie.

Na szczęście dwór Penscombe Court stał na północnym krańcu doliny, prawie kilometr za wsią, więc wszelkie nocne zabawy tłumiły okoliczne

zagajniki, chroniąc sen mieszkańców wsi i sąsiednich gospodarstw. Ruperta na ogół oskarżano o kapryśność i arogancję, lecz Billy, który uwielbiał ploteczki i dużo czasu spędzał w wiejskim sklepie i pubie, gawędząc z miejscowymi, był bardzo lubiany. Uznano więc, że bliski przyjaciel Billy'ego nie może być zły. Poza tym miejscowi znali Ruperta od dziecka, byli świadkami niepokojąco regularnego pojawiania się i znikania kolejnych wujków, a jako wyrozumiali i wielkoduszni ludzie starali się znaleźć w tym usprawiedliwienie dla jego charakteru. Zresztą zdawali sobie także sprawę, że podobnie jak reszta rodziny Rupert nie przejmował się opinią innych, więc dezaprobata mieszkańców Penscombe nie zrobi mu żadnej różnicy.

Tuż przed północą Rupert obudził się z drzemki na poboczu i ruszył do domu. Na widok drogowskazu do Penscombe jak zawsze poczuł falę radości. Kiedy jechał wzdłuż południowego zbocza doliny, obudził się Borsuk i zaczął niuchać z ożywieniem, wystawiając nos przez lekko otwarte okno. W świetle księżyca lśniła wieża kościoła w Penscombe. Było już po północy, kiedy Rupert zerknął na północne zbocze doliny. Zaklął z irytacji, widząc, że połowa okien w domu jest oświetlona. Billy znów poszedł spać pijany i ich nie pogasił.

Wjeżdżając z rykiem w kasztanową aleją zasadzoną jeszcze przez pradziadka, widział bladozielone liście otwierające się jak małe spadochroniki. Za białymi barierkami drzemały trzy konie przykryte tradycyjnymi derkami; obudziły się, kiedy je mijał, i spojrzały na niego, mrugając. Opony zazgrzytały na pokrytej żwirem alejce przed domem. Rozległo się głośne szczekanie i ujadanie. Kiedy nowo przybyły otworzył drzwi wejściowe, dwa teriery, springer spaniel, jasny labrador i żółtawy kundel z ciasno zwiniętym ogonem rzuciły się na niego radośnie, skomląc i walcząc między sobą o dostęp do pana. W końcu zaczęły obszczekiwać

Borsuka zazdrosne o to, że jako jedyny był na przejażdżce. Rupert odsunął je delikatnie nogą. Walizka nadal stała w hallu, tam gdzie ją rano zostawił. W salonie ogień na kominku przygasł, na sofie walały się porozkładane magazyny niedzielne i formularze zgłoszeniowe. Jeden z psów poszarpał krawat na polowania i zostawił strzępy na dywaniku przed kominkiem.

— Boże — powiedział Rupert, z trzaskiem zamykając drzwi.

W kuchni Billy usiłował czytać „Horse and Hound”, czyścić brązowe cholewki czarnych butów, pić whisky i wyławiać ostrygi z puszki jednocześnie.

— Cześć — powitał go, unosząc wzrok. — Jak poszło? Dołączyłeś do aktywistów?

Billy nie był przystojny, miał złamany nos, a zaspane ciemnobrązowe oczy rzadko było widać spod zmarszczek mimicznych, ale jego uśmiech mógłby roztopić arktyczne lody. Jednak Rupert nie był w nastroju do poddawania się urokowi Billy’ego.

— To śmietnik — warknął, wskazując na zlew, w którym wznosił się stos talerzy, szklanek i psich misek. — Nie umiesz nawet powkładać naczyń do zmywarki?

— Jest pełna — odparł Billy spokojnie.

— Ani wyrzucić śmieci — mówił dalej Rupert, wskazując puste puszki po psiej karmie i kartony po mleku walające się na półce.

— Też jest pełny — odparł Billy.

— Jeden z twoich psów narobił w hallu.

— To był jeden z twoich — odparł Billy niewzruszony. — Poza tym byłem cholernie zajęty.

— Piłeś whisky i czytałeś gazety?

— Akurat. A przy okazji, „Observer” zamieścił o tobie pochlebny kawałek.

— Co piszą?

— Jakieś pochwalne bzdury, że jesteś najlepszym skoczkiem w Anglii.

— Nie próbuj mnie ugłaskać. Dlaczego zdjąłeś słuchawkę z telefonu?

— Żeby nie słuchać co chwilę dzwonka. A to Bianca, a to Gabriella, a to Bóg wie kto.

Rupert położył słuchawkę, po pięciu sekundach telefon zadzwonił.

— Widzisz?

Rupert odebrał. Obaj usłyszeli trzask. Rupert odłożył słuchawkę na kredens obok i zamknął drzwi.

— W każdym razie byłem cholernie zajęty — powtórzył Billy z szerokim uśmiechem.

— Czym?

— Zająłem się sam całą stadniną. Nawet sprzedałem ci dwójkę koni.

— Ile dostałeś?

— Dziesięć tysięcy za Padwę, a osiem za siwka z owczą szyją.

— Za mało — odparł Rupert, nieco ułagodzony.

— Dla ciebie zawsze jest za mało. Poza tym przygotowałem wszystko, czego będziemy jutro potrzebować. Fakt, rano miałem takiego kaca, że u każdego konia widziałem dwie pary uszu.

Billy wyłowił kolejną ostrygę.

— Chyba wreszcie odkryłem, dlaczego Byk wciąż przystaje. Boi się wody.

— Tak jak ja — odparł Rupert — chyba że jest w niej whisky.

Wziął butelkę, rozejrzał się za czystymi szklankami, nie znalazł żadnej, więc nalał sobie do filiżanki.

— Gdzie, do licha, podziała się Diane?

— Mówi, że dopadło ją przekleństwo, wytrzymała dwie godziny i poszła się położyć.

— Bzdury — stwierdził Rupert. — Miała okres dwa tygodnie temu. Gdybym tu był, pewnie by przepracowała cały dzień. A Tracey?

— Ma wolne.

— Marion?

— Przyniosła wypowiedzenie i odmówiła przystąpienia do pracy. Była wkurzona, bo zapomniałeś zabrać ją na jakąś imprezę w sobotę wieczorem. Cały dzień wydzwaniała do działu ogłoszeń o pracę w „Horse and Hound", jeszcze zostawiła gazety na wierzchu, żebyśmy na pewno je znaleźli.

Podał Rupertowi magazyn otwarty na ogłoszeniach.

— „Pogodna, zdolna pomoc stajenna" — przeczytał Rupert z niedowierzaniem. — Pogodna! Niemożliwe! Blackpool w czasie awarii prądu jest bardziej pogodne od niej. „Praca dla doświadczonej stajennej na polowania i do pracy z końmi. Możliwość zdobywania wiedzy o koniach". Nie musi się niczego uczyć o hodowli. Cholera, niech sobie idzie, mam dość jej humorów.

— To głównie z twojego powodu ma humory — odparł Billy rozsądnie. — Doskonale wiesz, że Mayfair i Belgravia, nie wspominając o Byku i Kitchenerze, zejdą na psy, jeśli ona odejdzie. Nie możemy sobie na to pozwolić na początku sezonu.

Podsunął swoją szklankę Rupertowi.

— Pamiętaj też, jak świetnie radzi sobie z klientami. Faceci tak się gapią na jej cycki, że nawet nie spojrzą w nasze papiery.

— Podoba ci się czy co? — zapytał Rupert.

— Nie, moje serce należy w całości do Mavis — powiedział Billy, spoglądając na jasnego kundelka, który teraz skulił się u niego na kolanach, przymknął skośne oczy i oparł mu głowę na obojczyku.

— No dobrze — uznał Rupert — zaraz do niej pójdę.

— Teraz już pewnie śpi.

— Nie ona. Zapewne przewraca się na łóżku trawiona pożądaniem i frustracją.

W komórce obok pralka zatrzymała się z łomotem. Billy otarł dłoń z pasty do butów w jasną sierść Mavis i delikatnie odstawił ją na podłogę. Otworzył pralkę, wyjął kłąb mokrych krawatów, koszul, bryczesów, skarpetek i bokserek, po czym wrzucił je do suszarki.

Rupert z dezaprobatą rozejrzał się po niskiej kuchni z belkami na suficie, kamienną podłogą i oknami wychodzącymi na dolinę. Z haka na mięso zwisała uprząż, każda półka uginała się pod ciężarem pełnych popielniczek i nieotwartych rachunków.

— Musimy znaleźć jakąś gospodynię. Mam dość tego bałaganu.

— To nie ma sensu — sprzeciwił się Billy. — Zatrudniasz tylko ładne dziewczyny, potem nie możesz się im oprzeć, zaliczasz je, a one się wściekają. Rano przyjdzie pani Burroughs, posprząta tutaj.

— Ale w weekendy chcę też mieć porządek. Może powinniśmy ściągnąć nianię.

— Dostałaby zawału, gdyby zobaczyła, co tu się wyprawia. Może się ożeń. Podobno żona powinna się tym zajmować. Jak tam twoja rudowłosa aktywistka?

— Interesująca, ale bardzo sztywna.

— Nie taka łatwa zdobycz, jak się spodziewałeś?

— Trafiłeś w sedno — odparł Rupert, dopijając whisky — a to więcej, niż mnie się udało. Jest urocza, ale przerażająco ambitna. Chciała rozmawiać o książkach i teatrze.

— To cię wymęczyła. Spotkasz się z nią znów?

— Może i tak. Nie lubię niedokończonych spraw. Przy okazji przywiozłem z koszar świetnego konia. Nikogo nie było, więc Tommy pozwolił mi go przez chwilę wypróbować. Nigdy nie widziałem, żeby tak

duży koń tak świetnie się prezentował. Pomimo swojej wielkości skacze jak kuc. Ale trzeba go będzie nieco ustawić.

— Nie dobijaj mnie, ja już wystarczająco poustawiałem jak na jeden dzień — powiedział Billy, biorąc na ręce kundla. — Mavis i ja idziemy spać. Do zobaczenia rano.

— A ja pójdę ugłaskać Marion — odparł Rupert.

Poszedł na górę, umył zęby, przyczesał włosy, a potem wyprowadził psy na dwór.

Na końcu trawnika przysiadły dwa krzaki cisu jak dwa wielkie pozłacane kocury. Za domem zaczynał się las, który ciągnął się przez kilkaset metrów. Przed nagimi jeszcze bukami wznosiły się cztery cyprysy przypominające wieżyczki katedry. Dolinę zalewało światło księżyca, posrebrzając jezioro i bieląc pierwsze żonkile. Po drugiej stronie samochód jadący górą w kierunku Penscombe oświetlał drzewa rosnące przy drodze jak wielki robaczek świętojański. Rupertowi serce pęczniało z dumy i miłości. To jego dom i ziemia, może z nimi robić, co chce. Żeby je utrzymać, żeby je wciąż ulepszać, nadal musi wygrywać.

Psy kręciły się wokół, unosiły łapy przy krzakach róż i młodych drzewkach. Ze stajni dochodziło czasami parsknięcie lub uderzenie kopytem. Rupert musiał się powstrzymać, żeby nie wejść i nie obudzić koni. Jak się spodziewał, w oknie Marion nad pomieszczeniem z uprzężą wciąż paliło się światło. Zamknął psy w domu.

Marion długo nie otwierała drzwi.

Była blada, oczy miała zapuchnięte, lecz nie ujmowało to niczego zmysłowej figurze i długim nogom widocznym spod przylegającej do ciała koszuli nocnej z groźnym obrazkiem Snoopy’ego na przodzie.

— Czego chcesz? — spytała zdławionym głosem.

— Ciebie — odparł Rupert.

— Łotr. — Snoopy uniósł się i opadł w rytm oddechu unoszącego piersi.

— Tak się nie zwraca do szefa.

— Już nie jesteś moim szefem. Złożyłam wypowiedzenie. Billy ci nie mówił?

— Owszem. — Rupert przysunął się do dziewczyny i wsunął dłoń między jej nogi. — A ja go nie przyjąłem.

— Nie dotykaj mnie — zaszlochała.

Jednak kiedy Rupert rozłożył palce i nacisnął mocniej, opadła w jego ramiona.

9

NASTĘPNY TYDZIEŃ był dla Helen wyjątkowo męczący. Myślała jedynie o Rupercie, co uniemożliwiło jej sen, pracę i praktycznie w ogóle egzystencję.

Wieczorami w Regina House zaczytywała się poezją miłosną i puszczała sobie koncert fortepianowy Schumanna — jedyny utwór łączący ją z Rupertem. Słuchała go wciąż od nowa, bardzo cicho, przy uchylonych lekko drzwiach, żeby na pewno dobiegł ją dźwięk dzwoniącego na dole telefonu.

W dzień za to musiała tolerować Nigela, który w poniedziałek kulejąc, wszedł do biura z podbitym okiem i dwoma pękniętymi żebrami. Helen przeraziła jego szczegółowa relacja o brutalnym pobiciu. Kiedy jednak Nigel opisał, jak napastnicy zostawili go nagiego i związanego za żywopłotem, nagle przypomniała sobie uwagę Ruperta o sprawieniu świątecznego indyka i musiała odwrócić głowę do okna, żeby kolega nie zauważył, że się śmieje. Na szczęście przejęty sobą Nigel wziął jej drżące ramiona za oznakę płaczu.

Teraz Helen uświadomiła sobie, jak ciężko było Julii kochać przedstawiciela rodu Montekich, znajdując się wśród Kapuletich. Stwierdziła, że podskakuje i oblewa się szkarłatnym rumieńcem za każdym razem, kiedy Nigel, który zapadł na ostrą telefonozę, relacjonował oburzający postępek Ruperta. Opowiedział o zdarzeniu nie tylko Dave’owi, Paulowi i Maureen, ale również wszystkim członkom ruchu antymyśliwskiego w całym kraju. Padły odważne propozycje pozwania Ruperta za pobicie, ale jak zauważyli rozmówcy, bajecznie bogaty Rupert

mógł wynająć najlepszego adwokata w Londynie, a Nigel, przyłapany na spuszczaniu powietrza z jego opon, w dodatku przy świadkach w osobie Ruperta, Billy'ego i potem stajennego, nie miałby solidnej podstawy do oskarżenia.

— Co gorsza, Helen — dodał Nigel, błyskając zdrowym świńskim okiem spoza grubych szkieł — R.C.B. przywłaszczył sobie mój notes z kontaktami.

— O rany — odparła Helen z ogromnym poczuciem winy. — Znajdzie w nim jakieś ważne numery?

— Najważniejsze — odparł Nigel przemądrzale. — Numery do wszystkich wojowników ruchu w Wielkiej Brytanii, którzy pozornie należą do wspólnoty myśliwskiej, ale sercem są z nami i dostarczają nam bezcennych informacji. Fiona Westbury, córka prowadzącego sobotnie polowanie, to klasyczny przykład, jak również sekretarka przewodniczącego Brytyjskiej Federacji Sportów Piłkarskich, która od lat należy do naszego ruchu. Dysponując tym notesem, R.C.B. może rozbić całą naszą sieć. Na pewno pobił mnie właśnie po to, żeby mi go odebrać.

— Zupełnie jak w Watergate — odparła Helen, znów tłumiąc gwałtowną chęć chichotu.

W miarę jak powoli mijały kolejne dni, czuła narastający niepokój; siadała przy maszynie do pisania, wróżąc sobie „kocha, nie kocha" do wtóru kropel nieustannych kwietniowych deszczów. Nie była w stanie nawet wystukać „Drogi Panie", gdyż jedyny pan, który był jej drogi, wciąż nie dzwonił.

Z gazety dowiedziała się, że zawody w Crittleden zaczynają się w Wielki Piątek i potrwają przez całą Wielkanoc.

W czwartkowe południe, przewidując randkę z Rupertem, Helen wyszła na miasto i wydała niemal trzy tygodniowe wypłaty na mięciutką beżową

sukienkę midi z zamszu. Wchodząc do biura, ujrzała Nigela trzymającego w dłoni słuchawkę telefonu i wpatrującego się w nią z ponurą miną.

— Pyta o ciebie jakiś facet z obcym akcentem, podobno to rozmowa osobista.

Helen poczuła, jak kolana się pod nią uginają, a policzki płoną. Z trudem przeszła przez pokój, wzięła słuchawkę, po czym z rozczarowania straciła oddech, gdyż po drugiej stronie odezwał się Paul.

— Udałem francuski akcent, żeby zmylić Nigela — powiedział, śmiejąc się serdecznie. — Może poszłabyś w sobotę na koncert?

Niemal we łzach Helen odparła, że wyjeżdża na cały weekend.

— Szkoda — powiedział Nigel, kiedy odłożyła słuchawkę. — W niedzielę wybieram się na spotkanie ruchu w Hyde Parku, miałem nadzieję, że pójdziesz ze mną.

„A ja miałam nadzieję, że spotkam się z R.C.B w Crittleden! Ale z tego też nici!” — miała ochotę wrzasnąć Helen.

W Wielki Piątek nieszczęśliwa poszła na trzygodzinne nabożeństwo, modląc się, lecz starając się nie prosić Boga, by przypomniał Rupertowi, że miał zadzwonić.

W sobotę po południu zeszła na dół i zasiadła na twardym krześle w pokoju telewizyjnym. Próbowała obejrzeć zawody w Crittleden, ale musiała przeczekać film z Charliem Chaplinem na innym kanale, zanim mogła przełączyć. Przez ten czas BBC skończyła transmisję zawodów i przeniosła się na jakieś hałaśliwe wyścigi samochodowe. Na widok zbolałych min uczonych koleżanek Helen wyjaśniła, że jej przyjaciel skacze w Crittleden i zaraz powinna rozpocząć się transmisja.

W końcu znów pojawił się tor skoków. Z nieba lały się strugi deszczu. Dopiero po przejeździe pięciu zawodników, którzy zdemolowali przeszkody — żaden z nich nie był Rupertem — prezenter oznajmił, że

zwyciężył zawodnik niemiecki, który jako jedyny przejechał bezbłędnie. Drugie miejsce zajął Irlandczyk z czterema punktami karnymi, trzecie przedstawiciel Wielkiej Brytanii, Rupert Campbell-Black, z ośmioma punkami karnymi. Billy Lloyd-Foxe i trzech innych zawodników zajęło czwarte miejsce, gdyż mieli po dwanaście punktów karnych.

Rozmyty deszczem tor w Crittleden, mówił dziennikarz, zamienił się w mokradło i każdy jeździec, któremu udało się pokonać trasę, zasłużył na gratulacje. W strugach ulewy na arenę wjechał zawodnik niemiecki, za nim Irlandczyk w ciemnozielonym płaszczu. Helen poczuła mocniejsze bicie serca, w ustach jej zaschło, kiedy pojawił się Rupert na wielkim kasztanie. Czarny kołnierz czerwonego płaszcza miał postawiony, białe bryczesy znaczyły plamy błota. Zwycięzcy stanęli w szeregu, a w ich stronę podeszła atrakcyjna blondynka w średnim wieku, zwinnie omijając kałuże. Mężczyzna w tweedowym garniturze i meloniku trzymał nad nią otwarty parasol. Inny mężczyzna, również w meloniku i tweedach, szedł za nimi, niosąc wielki srebrny puchar i połą płaszcza osłaniając tacę z rozetkami.

— Oto lady Pringle, sama doskonała amazonka, wręcza nagrody zwycięzcom — powiedział prezenter.

Helen widziała, że Rupert śmieje się i rozmawia z Billym, po czym, kiedy nadeszła jego kolej, zdejmuje kapelusz, pochyla się i całuje kobietę w oba policzki.

— Lady Pringle i Rupert Campbell-Black są najwyraźniej dobrymi przyjaciółmi — stwierdził dziennikarz, kiedy Rupert przyjmował żółtą rozetkę. — Na pewno cieszy ją fakt, że w pierwszej trójce znalazł się jeździec z Wielkiej Brytanii.

— Czy to nie ten młody mężczyzna przyjechał po ciebie w zeszłą niedzielę? — zapytała studentka antropologii, zmieniając okulary, by lepiej widzieć.

Jednak Helen uciekła już na piętro, padła na łóżko w swoim pokoju i zaniosła się szlochem. Jak Rupert może być tak zadowolony i beztroski, kiedy ona przechodzi piekło, czekając na jego telefon?

— Lady Pringle, też coś! — wyjąkała. Sięgnęła po zdjęcie Ruperta, które niepostrzeżenie wycięła z magazynu Nigela i schowała do pamiętnika. Podarła je na drobne kawałki. Co za flirciarz.

Zapłakana nie dosłyszała pukania do drzwi.

— Telefon! — odezwał się głos. Zeszła na dół — dzwonił Rupert.

— Skarbie, przepraszam, że nie dzwoniłem. Zostawiłem twój numer w domu, dopiero sobie przypomniałem, jak nazywa się pensjonat, w którym mieszkasz. Byłem na zawodach w południowym Lancashire, samochód nam padł, ledwie zdążyliśmy na konkurs główny.

— Jak ci poszło? — zapytała Helen. Za nic się nie przyzna, że oglądała go w telewizji.

— Nieźle, byłem trzeci, Billy czwarty. Musieliśmy wyprowadzić konie z samochodu prawie prosto na tor, było paskudnie, przed każdą przeszkodą błoto. Przyjedziesz?

— Nie wiem — odrzekła Helen, przypominając sobie o swoich podpuchniętych oczach i niedospanych nocach. — Dzisiaj nie mogę.

— To jutro. Odebrałbym cię z domu, ale rano mam zajęcia. Weź taksówkę.

— Ale to daleko! — powiedziała Helen, przerażona na myśl o fortunie, jaką już wydała na sukienkę.

— To tylko godzina drogi z Londynu. Ja płacę — odparł Rupert. — Podjedź pod główne wejście, zostawię pieniądze i bilet komuś na bramce.

Rupert zapewne ocenił czas jazdy do Crittleden zupełnie inaczej niż taksówkarze. Bez wątpienia od samego wjazdu na autostradę przyspiesza swoim porsche do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, domyślała

się Helen, nerwowo obserwując taksometr, pokazujący co chwilę kolejną kwotę. Dwadzieścia pięć funtów, trzydzieści pięć! Taksówkarz na pewno nie przyjmie amerykańskiego czeku, a do swojego banku nie mogła zadzwonić, gdyż była niedziela. Dziewczyna przeszukała portmonetkę i wygrzebała z niej zaledwie funta i trzydzieści centów. Może kierowca przyjmie w zastaw jej złoty zegarek, a ona pobiegnie szukać Ruperta. Co gorsza, na kilka kilometrów przed Crittleden ugrzęźli w wielkim korku. Po sobotniej ulewie nastał łagodny, piękny dzień, młode listki i źdźbła trawy skrzyły się po deszczu, więc wszyscy ci, którzy nie dotarli na zawody poprzedniego dnia, wybrali się na wycieczkę. Po raz tysięczny Helen sprawdziła w lusterku, jak wygląda. Włosy w porządku, zamszowa sukienka wydobywa ciepły bursztynowy odcień oczu, ale na twarzy wciąż widać było zmęczenie.

— Wpadła pani po uszy, co? — zagadnął taksówkarz, kiedy trzecia porcja Miss Dior w ciągu dziesięciu minut przebiła się przez opary diesla. Wsiadająca do taksówki dziewczyna wyglądała na zamożną, sukienka na pewno sporo kosztowała, a Amerykanie na ogół mieli przy sobie gotówkę. — Była pani kiedyś w Crittleden?

Helen zaprzeczyła.

— Zaprosił mnie jeden z zawodników. Może pan zna nazwisko. Rupert Campbell-Black.

— Rupert Campbell-Black... — powtórzył kierowca. — Znam Ruperta, kiedyś wiozłem jego i jego kumpla, Billy’ego. Niezłe ziółko. Widziała go pani w dorocznym pokazie koni, ostatniego dnia, na zajęciach? Wystrojony jak Miss World, w kieszeniach miał kokosy. Przy skoku mu wypadły, ludzie oklaskiwali go na stojąco. To jest dopiero zawodnik. Dostałem od niego autograf dla mojej żony, szaleje za nim.

„Tak jak lady Pringle, Gabriella i Bianca” — pomyślała Helen ponuro.

W końcu dojechali do wejścia prowadzącego na teren zawodów.

„Pomocy!” — zawołała Helen w bezgłośnej panice. Przy bramie kręciło się z pół tuzina mężczyzn w żółtych płaszczach.

Taksówkarz nie miał skrupułów, otworzył okno i zawołał:

— Hej, mam tu pannę do Ruperta!

Jeden z żółto ubranych mężczyzn natychmiast przyskoczył do samochodu i zajrzał do środka.

— Mogłem się domyślić — uśmiechnął się, ukazując szczerbatą szczękę. — Rupert zawsze miał dobry gust.

Wyjął z kieszeni plik dziesięciofuntówek i podał go Helen.

— Chyba dał mi większość swojej wczorajszej wygranej. Poczekaj kwadrans, kolego, znajdę ci klienta na powrót do Londynu.

Kiedy Helen zapłaciła sześćdziesiąt funtów, co wydawało się sumą wręcz niebotyczną, mężczyzna w żółci zaprowadził ją do Ruperta. Ścieżka zamieniła się w błoto i Helen cieszyła się, że włożyła kozaki.

— Trochę się spóźniłam — przyznała.

— Nic dziwnego, takie korki. Dzisiaj mamy tu tłumy, chociaż znów może się rozpadać. — wskazał na ciemne chmury gromadzące się na horyzoncie nad zagajnikiem bladozielonych wiązów.

Znaleźli Ruperta na torze ćwiczebnym. Bardzo powoli kłusował na wspaniałym gniadoszu, niepomny spojrzeń tłumu złożonego w większości z atrakcyjnych nastolatek wbijających w niego wzrok.

Mężczyzna w żółtym płaszczu już chciał zawołać, ale Helen go powstrzymała.

— Chciałabym się przez chwilę poprzyglądać — powiedziała. — Bardzo dziękuję.

Rupert miał na sobie zielone sztruksy wpuszczone w kalosze, granatową pikowaną kamizelkę na granatowym swetrze, nie nałożył kasku.

— Mówiłam ci, że jest śliczny — powiedziała nastolatka jedząca lody.

— Ale nie sądziłam, że aż tak — odparła jej koleżanka.

— To jego stajenna, Marion — dodała dziewczyna, wskazując na blondynkę o nachmurzonej twarzy, stojącą obok przeszkody. — Dziennikarz z „Honey” przeprowadził z nią wywiad o tym, jak się pracuje dla Ruperta. Powiedziała, że się nie wysypia.

Rupert coś powiedział, na co obrażona blondynka, która miała na sobie czerwony T-shirt z napisem „Sypiam tylko z najlepszymi” na piersi, uniosła drążek na wysokość półtora metra. Rupert przeskoczył bez wysiłku.

— Chciałabym być tym koniem — westchnęła dziewczyna o falistych włosach.

Helen miała dość.

— Rupert! — zawołała, kiedy jeździec ją mijał.

Pocieszające było to, że jej widok wydawał się sprawiać mu przyjemność. Od razu zeskoczył z siodła, podał wodze blondynce, przeszedł pod ogrodzeniem i podszedł do Helen. Natychmiast rzucili się do niego łowcy autografów.

— Odwalcie się — warknął Rupert. — Nie widzicie, że jestem zajęty? — Objął Helen ramieniem i niecierpliwie przecisnął się przez tłum. — Jak u ciebie? — zapytał.

— Cudownie — odparła Helen, uświadamiając sobie, że faktycznie czuje się cudownie.

— Tak właśnie wyglądasz — powiedział Rupert, przesuwając dłonią po jej ramieniu w zamszu. — Piękna sukienka. Ma taki sam meszek jak Belgravia tuż po przycięciu. Ale nie podoba mi się ta cholerna przepaska grzecznej dziewczynki — dodał. Zdjął jej przepaskę z włosów i rzucił do najbliższego śmietnika.

Helen krzyknęła, podbiegła do kosza i zajrzała — przepaska wpadła między resztki hamburgerów i kurczaka z KFC.

— To była moja ulubiona przepaska! — zawołała oburzona.

— I twoja ostatnia — odpalił Rupert.

Obrócił ją twarzą do siebie, przesunął dłońmi po włosach Helen, które miękką gęstwiną spadły jej na czoło i otoczyły twarz.

Helen przez chwilę patrzyła na niego buntowniczo, po czym się roześmiała.

— Boże — powiedział Rupert. — Zapomniałem, jaka jesteś piękna. — po czym na oczach wszystkich przyciągnął ją do siebie i pocałował prosto w usta.

— Nie możemy tutaj — odparła, odsuwając się i oblewając gorącym rumieńcem.

— Możemy wszędzie — odrzekł Rupert. — Chodź do mojej przyczepy na drinka. — Zerknął na zegarek. — Za półtorej godziny mam zawody.

Po drodze mijali stajnię; konie wyciągały szyje ponad drzwiami, żuły drewno desek, kładły uszy po sobie, przyglądając się sąsiadom i przechodniom.

Przed jednym z boksów zebrała się grupka ludzi.

— To Belgravia — przedstawił Rupert.

Podszedł do drzwi boksu; zebrani odsunęli się z szacunkiem, ale koń zatoczył oczami i wyciągnął głowę, żeby uszczypnąć Ruperta w rękaw.

— Niewdzięczny drań — stwierdził Rupert, klepiąc konia po szyi. — Nie lubi mnie, kojarzę mu się z ciężką pracą. Żebyś mi tylko był w formie dzisiaj po południu!

Zostawiwszy konie, poszli przez błoto pod górę, gdzie stały przyczepy, w których na czas zawodów mieszkali jeźdźcy. Przyczepa należąca do Ruperta była największa i jako jedyna pomalowana na granatowo w

szmaragdowe wzory. W oknie wisiały na sznurku rozetki zdobyte w poprzednich zawodach.

— Poranek był udany — odezwał się Rupert.

W przyczepie Borsuk zaczął radośnie merdać ogonem, przecisnął się do Helen i zaczął ją obwąchiwać. Na stole siedział Billy Lloyd-Foxe, na kolanach miał kundelkę, Mavis, którą karmił jajkiem wielkanocnym. Na ławce siedział mężczyzna o mysich włosach, dużych uszach i otwartych ustach, drugi gruby, z krótkimi nogami, oraz ładna brunetka z notesem. Wszyscy oglądali na wideo sobotnie zawody.

Koń Billy'ego podbiegł do oksera i zrzucił drążki.

— Zatrzymaj — polecił mężczyzna. — Billy, podjechałeś za blisko.

— Za mały rozpęd — dodał Rupert. — Musiałeś przeskoczyć jeszcze dodatkowe trzydzieści centymetrów błota. Moglibyście przestać zbierać się w mojej przyczepie? To jest Helen Macaulay.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

— A to — mówił dalej Rupert — mój koński towarzysz, Billy Lloyd-Foxe.

Billy uśmiechnął się szeroko.

— Cześć. Widziałem cię na polowaniu, ale niestety, Rupe był pierwszy.

— To Joanna Battie z „Chronicle", przeprowadza wywiad z Billym — ciągnął Rupert, wskazując dziewczynę — oraz Humpty Hamilton. — gruby mężczyzna kiwnął głową. — A to Ivor Braine, do którego nie pasuje nazwisko, bo tępak z niego.

Mężczyzna o dużych uszach jeszcze szerzej otworzył usta.

Rupert wyjął dwa kieliszki i kolejną butelkę.

— Przestań karmić tego psa moim jajkiem. Dostanie alergii.

— I zamieni się w dalmatyńczyka — dokończył Billy. Mavis przewróciła się na plecy, rozłożyła łapy i oparła głowę o ramię pana. — Szkoda, że nie

działam tak na kobiety — dodał i uśmiechnął się do Helen.

Kiedy Helen dostała drinka, zebrani przestali zwracać na nią uwagę i wrócili do oglądania nagrania z zawodów, szczegółowo omawiając wszelkie potknięcia zawodników; dzięki temu dziewczyna miała okazję rozejrzeć się po przyczepie. Była bardzo luksusowa, wyposażona w piecyk, lodówkę, pralkę, ławki do siedzenia oraz podwójne łóżko, które składało się całkowicie. Było też dużo szafek.

Pod koniec nagrania Rupert zajął się wyścigami, po czym wziął do ręki gazetę i spojrzał na swój horoskop.

— „Dobry dzień na zakupy” — przeczytał. — Może powinienem kupić tego siwka. „Wieczorem czeka cię romans” — uśmiechnął się do Helen. — Mam nadzieję.

W tej chwili weszła Marion, wciąż z obrażoną miną. Żuła gumę, co nadawało jej wyjątkowo arogancki wygląd.

— Zadzwoniłaś do Ladbrokes? — zapytał Rupert.

— Nie miałam czasu — warknęła Marion. — Lepiej się zbieraj, bo nie zdążysz na pierwszą rundę.

— Postawiłem piątaka na Czerwonego Chaffincha — powiedział Billy.

— No to już, William — odezwała się Joanna Battie, biorąc ze stołu swój notatnik. — To będzie szybki wywiad. Czy jest coś, a może ktoś, czego nie lubisz w skokach?

— Trzeba było zabrać się za Ruperta — odparł Billy, odwijając z fioletowego papierka czekoladkę wyjętą z jajka i podając ją Mavis.

— Ja wam opowiem o problemach ze skokami — powiedział Rupert, dolewając Helen do kieliszka. — Na dużych zawodach najlepsi skoczkowie powinni mieć stajnię za darmo. Bydło i owce nie płacą za obory na pokazach. Należałoby też nam umorzyć opłatę wstępną, a nawet płacić za

występy. Nasze twarze są najlepszą reklamą. Tłumy przychodzą dlatego, że występuje Billy, Humpty, Ivor i głównie ja.

— Jaki skromniś — zadrwiła Joanna.

— Jeszcze jedno — ciągnął Rupert z coraz większym ożywieniem. — Francuzi, Niemcy i Irlandczycy za każde zwycięstwo za granicą dostają nagrody pieniężne, my nie widzimy złamanego centa. Nigdy nie wyprzedzimy Niemców, dopóki nie zaczną nam uczciwie płacić.

— Zgadzasz się z tym, Billy? — zapytała Joanna.

— Nie odczuwam tego aż tak mocno jak Rupert, pewnie dlatego, że nie jestem w reprezentacji.

— Albo nie martwisz się o pieniądze — warknął Rupert. — Ci, którzy twierdzą, że nie interesują ich pieniądze, zawsze doskonale sobie radzą z wydawaniem cudzych.

— Jeśli chcesz być najlepszy — odparł Billy, puszczając oko do Helen — nie musisz dobrze jeździć, wystarczy osiągnąć olimpijski poziom w narzekaniu.

Marion odłożyła słuchawkę po rozmowie z Ladbrokes.

— Nie poznałaś jeszcze Helen Macaulay, Marion — zwrócił się do niej Rupert z lekką nutą złośliwości w głosie.

— Poznałam jej imiennika — odparła Marion kwaśno. — Zawarliśmy znajomość w piątek rano, od tego czasu ugryzł mnie już trzy razy.

— Mój imiennik? — zapytała Helen zdziwiona.

— Czarny koń, którego kupiłem od wojska. Walczyli z Marion o władzę. Postanowiłem go nazwać Macaulay.

Helen oblała się rumieńcem.

— Jak miło z twojej strony.

— Zrobisz nam coś do jedzenia? — zapytał Rupert.

— Nie mam czasu — odparła Marion. — Za trzy kwadranse zaczynają się zajęcia. Muszę pomóc Tracey ubrać Belgravię i Byka. W lodówce jest wędzony łosoś, w pojemniku ciemny chleb — powiedziawszy to, dziewczyna wypadła z przyczepy i trzasnęła drzwiami.

— Co za słodki charakterek — odezwał się Humpty, wstając. — Chodźmy, Ivor. Dzięki za drinka.

— Idę z wami — powiedziała Joanna. — Pewnie musisz się przebrać. Zakładam, że wieczorem wszyscy idziecie na imprezę do Granii Pringle. No dobrze, porwę cię na pół godzinki, Billy. Powodzenia dla was obu.

— Mam wyjść, kiedy będziesz się przebierał? — zapytała Helen.

— Nie, o ile nie przeszkadzają ci bokserki — odparł Rupert.

— Zrobię ci kanapki. — Helen podeszła do lodówki pełnej drogich pasztetów, wędzonego łososia, wędzonego indyka i butelek szampana. Zauważyła też wiele pustych butelek w koszu na śmieci.

— Chleb jest w pojemniku po prawej — podpowiedział Rupert. Uniósł jej włosy, pocałował w kark, a kiedy dziewczyna szybko się odwróciła, pocałował ją w usta, rękami sięgając do jej piersi. Helen próbowała odskoczyć, ale została przyparta do piecyka. Rupert roześmiał się i ją puścił.

— Nie mogę sobie podnosić ciśnienia przed zawodami.

Helen smarowała kromki chleba niesłonym masłem i kładła na nie wędzonego łososia, czerwoną paprykę, a po wierzchu pryskała cytryną, przy okazji puszczając wodze fantazji — jakby to było mieszkać z Rupertem w przyczepie jak para włóczęgów, co wieczór gotować mu oryginalną kolację na kuchence, zapominając o reszcie takiego świata, oprócz Billy’ego. Jak uznała, Billy jest naprawdę miły.

— Jak się ma Nigel? — zapytał Rupert.

— Cierpi na nadmiar adrenaliny — odparła Helen, odcinając skórki z chleba — i bardzo się martwi, że ukradłeś mu notes z numerami telefonów, więc masz dane wszystkich podziemnych sabotażystów.

— Jedyny kontakt, na jakim mi zależało — powiedział Rupert, przedrzeźniając jej akcent — to był twój numer. Kiedy go znalazłem, wrzuciłem notes do Tamizy, więc ryby bez wątpienia uzyskały dostęp do najciemniejszych danych sabotażystów, które zapewne opublikują w „Wiadomościach Wędkarskich”.

Helen obróciła się z talerzem kanapek w dłoni i ujrzała, że Billy już ma na sobie spodnie i koszulę, a teraz zawiązuje biały krawat, Rupert zaś nie ma na sobie absolutnie nic. O mało nie upuściła talerza na podłogę. Postawiła go na stole, odwróciła się, żeby posprzątać i stwierdziła, że wkłada okruchy do lodówki.

— Bardzo smaczne kanapeczki — stwierdził Rupert. — Poczęstujesz się, Billy?

— Nie, dzięki — odparł Billy, zapalając papierosa. — Nigdy nie zrozumiem, jak możesz jeść przed ważnymi wydarzeniami. Mnie podchodzi do gardła wczorajsza kolacja.

— Nigel miał dwa złamane żebra, podbite oko i mnóstwo siniaków — powiedziała Helen karcącym tonem.

— Mogłaś mi przynieść kolorowe zdjęcie — odpowiedział Rupert, wkładając buty do jazdy konnej.

Ktoś załomotał do drzwi. Był to Humpty Hamilton.

— Za pięć minut możemy przejść się po torze — powiedział. — Jedno bagno.

— Dzisiaj na pewno umówię się z Lavinią Greenslade — postanowił Billy, wciągając na siebie czerwony płaszcz.

— Będziesz musiał zabrać też jej rodziców — odrzekł Rupert, po drodze do wyjścia zgarniając jeszcze dwie kanapki.

10

HELEN WYPIŁA TRZY KIELISZKI WINA na pusty żołądek i czuła, że chwieje się na nogach. Cieszyła się, kiedy Rupert ujął ją pod ramię.

— Pamiętasz, kiedy skaczę? — zapytał przyjaciela.

— Jesteś piętnasty — odparł Billy. — A ja dopiero trzydziesty, naczekam się. Jestem ostatni. Boże, zobaczcie tę stacjonatę.

Zostawili Helen na trybunie, a sami poszli obejrzeć tor. Dziewczyna dojrzała Joannę, poważną reporterkę z „Chronicle”, jak wskazuje ją któremuś z dziennikarzy; ten roześmiał się i wzruszył ramionami. Żałowała, że nie zabrała płaszcza, gdyż zamszowa sukienka nie chroniła przed zimnem.

Przyglądała się, jak jeźdźcy rozjeżdżają się po szmaragdowozielonej arenie. Było między nimi kilka dziewczyn w czarnych lub granatowych płaszczach, Irlandczycy w mundurach wojskowych lub w zieleni, ale większość miała na sobie czerwień podobną do maków noszonych w Dzień Pamięci. Niektórzy z nich liczyli kroki, które dzieliły ich od przeszkody, jak sekundy w pojedynku, inni potrząsali drążkami na przeszkodach, sprawdzając, na ile mocno się trzymają, jeszcze inni mierzyli wzrokiem zakręt lub kąt podjazdu do przeszkody, oceniając, czy ścięcie go lub ostrzejszy najazd będą bezpieczne.

Kilku zawodników wspięło się na słynny brzeg Crittleden przypominający miąższ awokado, żeby zbadać przeszkodę w połowie stoku. Tor wymagał naprawdę olbrzymich skoków. Humpty Hamilton, w pikowanej kamizelce jeszcze bardziej przysadzisty, nawet nie był w stanie dojrzeć połowy z przeszkód.

Billy wyjął kolejnego papierosa, ponuro przyglądając się przeszkodzie z wodą, a Mavis, spragniona po tylu wielkanocnych jajkach, piła łapczywie, próbując obniżyć poziom wody w rowie. Ciemne chmury przetoczyły się po niebie, zostawiając po sobie jasny błękit nad kwaśnozielonym zagajnikiem przeciętym ledwie kilkoma smutnymi, szarymi pręgami znaczącymi drzewo, które uschło wskutek choroby wiązu. Na szczycie skarpy widać było lśniące karoserie samochodów i wioskę przyczep, które razem tworzyły kolorową gąsienicę.

Helen głównie obserwowała Ruperta, który więcej czasu spędzał, przerzucając się docinkami z rywalami, niż sprawdzając trasę. W przeciwieństwie do pozostałych nie miał krzywych nóg ani nie był przysadzisty, nie wydawał się też niski, kiedy nie siedział w siodle. Wokół trasy zbierali się widzowie z lornetkami. Helen niechętnie wyobrażała sobie, że wszystkie spojrzenia kierowały się na Ruperta.

Dwóch mężczyzn w kraciastych marynarkach i melonikach, zarumienionych po obiedzie, wchodziło do loży sędziowskiej.

Kiedy jeźdźcy, nerwowo chichocząc i żartując, wyjechali na tor, pojawili się operatorzy telewizyjni, większość w dżinsach, i zebrali się przy rowie z wodą. Na tor wyruszyła postawna kobieta z wielkim biustem i taśmą, mierząc wysokość każdej przeszkody.

Tracey i Marion wjechały na padok, jedna na ciemnym gniadoszu o imieniu Allenby, którego przezywano Bykiem, a druga na kasztanie o imieniu Belgravia.

— Boże, nie cierpię Rupe’a przed zawodami — odezwała się Marion. — Po dziesięć razy wszystko sprawdza i ciągle się czepia. Przestań, potworze! — warknęła, kiedy Belgravia objedzony owsem zaczął się kręcić i odwracać głowę za wszystkimi przechodzącymi, roztrącając widzów wielkim zadem.

— Wydaje się bardzo pewny siebie — orzekła Tracy.

— Też bym tak chciała — powiedziała Marion ponuro. — Nie widziałaś nowej podrywki Ruperta.

— Jak wygląda?

— Właściwie nie w jego typie, ruda, sucha, roztrzęsiona i nerwowa jak Belgravia. Mam wrażenie, że on szaleje za jej rudymi włosami, a ona szaleje za nim, ale rozpaczliwie usiłuje to ukryć.

— Wydaje się podobna do całej reszty — orzekła Tracey.

— Nawet gorzej. Nazywa się Macaulay.

— O cholera — odparła Tracey, pochylając się nad końską szyją i po raz ostatni zdzielając szpicrutą Byka. — Nigdy dotąd nie nazwał konia na cześć dziewczyny. Nie martw się, skończy jak cała reszta. Nie mogła aż tak wpaść mu w oko, skoro wczoraj w nocy urwał się z Granią Pringle.

Do Helen dołączyli Rupert, Billy i Mavis.

— Mógłbyś zostawić tego kundla, Billy — powiedział niezadowolony steward.

— Ale ona przynosi mi szczęście.

— Może ci przynosić szczęście zamknięta w przyczepie.

Pierwsi zawodnicy zaczęli już ćwiczyć na arenie szkoleniowej pod dębami. Widzowie wyciągali ręce i dotykali swoich bohaterów w kolorowych derkach, kiedy ci ich mijali.

— Jak tam tor? — zapytała Helen.

— Cholernie trudny. Między drążkami podwójnej stacjonaty można zaparkować autobus — powiedział Rupert. — Między drążkami jest miejsce tylko na dwa i pół kroku, a mur jest słabszy, niż się wydaje. Jeśli się potkniesz w drodze do góry, masz przegwizdane.

— Rów ma co najmniej sześć metrów — dodał ponuro zawodnik z Niemiec.

Billy zzieleniał i zapalił kolejnego papierosa.

Mężczyzna w filcowym kapeluszu z długimi pejsami i łobuzerską miną przystanął w drodze do stanowiska komentatora.

— Hej, chłopcy! — zawołał starannie modulowanym, sztucznym głosem. — Rupert, znów im pokażesz, prawda?

— Może i tak, o ile po moim wjeździe na tor nie opiszesz mnie jako najlepszego młodego zawodnika, bo wtedy zdobędę wynik godny krykieta.

Mężczyzna się roześmiał.

— Pójdę na górę, za dwie minuty wchodzimy na wizję. Jak tam sprawdzanie trasy?

— Niezbyt dobrze. Nie lubię stromych podjazdów na głównej trasie i na arenie, ale może lepiej pojedzie, niż pójdzie — odparł Rupert.

„Nie połknął przypadkiem zaimka?” — pomyślała Helen.

— Kto to? — zapytała, kiedy mężczyzna poszedł dalej.

— Dudley Diplock, zawsze komentuje zawody. To palant, w ogóle nie zna się na skokach.

Zapadła cisza, kiedy na tor wjechał pierwszy zawodnik.

— Wczorajszy zwycięzca, Ludwig von Schellenberg na Brahmsie, wspaniałym wierzchowcu, doskonale wyszkolonym.

— Teraz patrz — powiedział Billy do Helen. — To najlepszy jeździec na świecie, w zeszłym sezonie praktycznie nie do pobicia.

— Niemieckie konie wysysają posłuszeństwo z mlekiem matki — orzekł Rupert.

Jednak Brytyjczycy nie nabrali otuchy, kiedy wielki Ludwig miał po przejeździe aż dwanaście punktów karnych.

— To tylko pokazuje, jak cholernie trudna jest trasa — powiedział Rupert.

— Nam wpadnie po pięćdziesiąt punktów — dodał Billy.

— A teraz wjeżdża postrach klubu kucyków — powiedział Rupert, kiedy po Ludwigu na tor wjechał Humpty Hamilton na koniu Porky Boy.

Humpty dosiadał konia w zdecydowanie nietypowy sposób. Wypinał pierś jak tokujący gołąb, wysoko trzymając ręce i kierując palce stóp w dół jak baletmistrz, a kiedy unosił się w siodle przy skoku, ukazywał pod sobą szeroki kawał błękitnego nieba. Mimo wszystko na bardzo trudnej trasie dał sobie nieźle radę, gdyż jego wierzchowiec zrzucił tylko dwa drążki i wskoczył jedną nogą do wody, uzyskując tyle samo punktów karnych co Ludwig. Potem jednak wszystko się posypało. Nastąpił jeden katastrofalny przejazd za drugim, co bardzo spowolniło zawody, gdyż za każdym razem trzeba było stawiać przeszkody od nowa. Rupert wstał.

— Może pójdę im pokazać, jak się to robi — powiedział i cmoknął Helen w policzek. — Zaraz wracam, kochanie.

Bez bijącego od niego żaru Helen nagle przeniknął chłód. Ostry wiatr rozwijał flagi i rozwiewał końskie ogony. Na ekranie telewizora zawody przypominały zabawę dziecięcą z figurkami koni i przeszkód. Kamera nie oddawała sprawiedliwości rozmiarom wielkich przeszkód, łomotowi kopyt, heroicznej postawie i wielkości koni, które gnały przed siebie jak na bitwę. Nagle Helen zaczęła bać się o Ruperta.

— Nie denerwujecie się?

— Jesteśmy przerażeni — odparł Billy, przytulając do siebie Mavis i zapalając kolejnego papierosa — zwłaszcza że właśnie przyjechał Malise Gordon i zaparkował niedaleko od nas.

— Kto to?

— Jeden z selekcjonerów i nowy szef ekipy. Jest kierownikiem reprezentacji brytyjskiej i jeździ z zawodnikami za granicę, żeby ich pilnować.

— Jaki on jest? — zaciekawiła się Helen, podziwiając orli nos i rzeźbione rysy, oliwkową cerę i ciemne włosy siwiejące na skroniach.

— Trochę choleryk, maniak dyscypliny, zawsze się kłóci z Rupem, no wiesz, nigdy nie wiadomo, co Rupe za chwilę wymyśli. Pójście spać na trzeźwo, wcześnie i samemu nigdy nie było jego mocną stroną. Chociaż jestem pewny — dodał szybko Billy, bojąc się, że uraził Helen — że teraz, skoro cię poznał, to się poprawi. Poza tym, skoro Rupe jest tak dobry, Malise nie może sobie pozwolić na to, żeby go stracić.

Helen przyglądała się, jak Rupert swobodnym krokiem przekracza betonową ścieżkę, po czym przeskakuje ogrodzenie i zmierza na arenę ćwiczebną. Boże, musi być niezwykle wysportowany. Podszedł do Marion i Belgravii, schylił się i poprawił opaski na przednich nogach wierzchowca.

— Naprawdę jest taki dobry? — podjęła Helen, która chciała wciąż o nim rozmawiać.

— Boże, tak. Nie ma nerwów, przed każdym przejazdem jest chłodny jak lód, jeździ szybko i idealnie najeżdża na każdą przeszkodę. Umie ocenić ryzyko. I ma instynkt zabójcy. Nawet wśród juniorów zawsze jemu najbardziej zależało na wygranej.

Ivor Braine był właśnie w środku dobrego przejazdu. Tuż za nim biegł zwinnie operator z kamerą na wysięgniku, rejestrując chrapnięcia i parsknięcia konia.

— Przypomina relację z seksu na żywo — podsumował Billy. — Zawsze mówimy, że to wielkie uszy przenoszą Ivora nad przeszkodami.

Po Ivorze jechał przystojny Francuz w niebieskim płaszczu ze szkarłatnym kołnierzem, który również zaliczył mnóstwo zrzutek. Kiedy zbliżył się do rowu z wodą, koń nagle wyhamował, Francuz zaś wyleciał z siodła, wywinął wdzięcznego kozła i wylądował z wielkim plaśnięciem.

— *Il est tombé dans l’eau*[1] — stwierdził Billy. — To właśnie czeka mnie i Byka. Teraz będą musieli zrekonstruować tor, a Belgravia nie lubi czekać.

Koń stojący obok toru zaczął się niecierpliwić, toczyć oczami, rozdymać nozdrza i rzucać głową, rozpryskując pianę wokół.

Kiedy przez czerwony ceglany łuk na tor wjechał Rupert, rozległy się wiwaty. Widzowie w lożach prywatnych wychodzili na balkony, trzymając w dłoniach gin z tonikiem. Helen była pewna, że słyszy piski jak na koncercie Beatlesów. Belgravia stał nieruchomo na tyle długo, że Rupert mógł zdjąć kapelusz, chociaż koń przebierał niespokojnie nogami, spiesząc się do działania.

Obok Helen przysiadł Humpty Hamilton.

— Belgravia wydaje się bardzo zdenerwowany. Billy, to prawda, że jego przyrodni brat zajął drugie miejsce w Grand National?

Belgravia wierzgnął mocno trzy razy. Rupert roześmiał się, ale nie poruszył w siodle. Rozległ się przejmujący pisk klaksonu, koń ruszył do przodu.

— Jaki niecierpliwy — wymamrotał Humpty. — Da się go opanować, ale nie da się zatrzymać.

„Temu koniowi przydałoby się jeszcze trochę ujeżdżenia. Gdyby nie ogromna siła Ruperta, koń wymknąłby się całkowicie spod kontroli” — pomyślał z dezaprobatą Malise Gordon.

Belgravia przeskoczył nad bramką, nad drążkami, nad murem, podwójnym okserem poganiany erotycznymi pchnięciami bioder Ruperta. Kiedy dotarł do wielkiej stacjonaty, przefrunął nad nią, jakby to był drążek leżący na ziemi.

Przy bramie wejściowej, na której duże czerwone litery układały się w napis „Crittleden”, najechał na przeszkodę zbyt szybko, poślizgnął się, lecz złapał równowagę, po czym przeskoczył, mocno uderzając o drążek, który

przez moment chwiał się niebezpiecznie. Kibice Ruperta wydali głośne westchnienie, ale on nawet się nie rozejrzał. Na swoich długich nogach Belgravia pokonał podwójną stacjonatę trzema skokami i już docierał do zakrętu. W następnej chwili Helen zobaczyła rude uszy Belgravii wyłaniające się znad skarpy, potem jego piękną głowę z białą gwiazdką, a później Ruperta. Stanęli na szczycie, przeskoczyli nad niską bramką, potem zbiegli po przeciwnej stronie, Belgravia przysiadł na tylnych nogach. Jedynie nadludzka siła Ruperta powstrzymała konia przed stoczeniem się na przeszkodę na dole. Znów przeskoczył. Tłum zaczął wiwatować. Jeszcze mur i kombinacja — też pokonane czysto. Rupert zmusił Belgravię do galopu, przefrunął nad rowem z wodą i ściągnął wodze do ostatniej potrójnej przeszkody.

— Za szybko — powiedział Billy zdenerwowany. — Uderzy.

Helen zamknęła oczy, wsłuchując się w tętent kopyt, czekając na przerażający szczęk spadających drążków i jęk widzów. Zamiast tego rozległy się ogłuszające wiwaty. Helen otworzyła oczy.

— Au! — zawołał Billy.

Helen spojrzała na swoje ręce, którymi ściskała go z całej siły za ramię.

— Bardzo przepraszam!

— Nie przejmuj się. Świetny przejazd, prawda?

— Cudowny!

Helen przyglądała się, jak zadowolony Rupert puszcza wodze i powoli sprowadza Belgravię z toru, klepiąc go po spienionej szyi i radośnie pociągając za uszy. Ciemnobrązowa, lśniąca od potu sierść wierzchowca przypominała surową wątróbkę.

— Teraz jestem drugi *ex aequo*, co oznacza pięć stów, ale zostało jeszcze piętnastu zawodników — podsumował Humpty.

Helen zauważyła, że Rupert arogancko zignorował wiwaty, zsunął się z siodła, jeszcze raz pogłaskał konia i odwrócił się w kierunku innych jeźdźców. Po drodze zatrzymali go wielbiciele, a on uniesiony radością był gotów nawet rozdawać im autografy.

— Skoro już ktoś przejechał czysto, inni sobie uświadomią, że to możliwe i będzie takich więcej — powiedział Billy. — Jeśli jeszcze obejrzę jakiś przejazd, wpadnę w panikę — zapalił kolejnego papierosa. Mavis przymknęła skośne oczy, chroniąc je przed dymem.

— Od jak dawna twój wierzchowiec cierpi na hydrofobię? — zapytała Helen.

— Co? — zaniepokoił się Billy.

— Boi się wody.

— O, odkąd go mam. Może jako źrebak topił się w jakimś strumieniu, bo naprawdę reaguje histerycznie. W zeszłym tygodniu udało mi się przeskoczyć na nim potok o szerokości prawie dwóch metrów, ale potem trząsł się przez pół dnia. Nie wiem, jak sobie dzisiaj poradzi. A to taki świetny koń! — mówił dalej, twarz mu się rozjaśniła. — Łagodny, ale nie odpuszcza, prędzej wpadnie w kłopoty, niż zrezygnuje. I jest bardzo inteligentny. Wiele razy najeżdżałem nim źle na przeszkody, a on się zatrzymywał w ostatniej chwili, a potem skakał jak ptak. Jest pogodny, nie ma złych nastrojów i tak łagodny, że dziecko mogłoby go zaprowadzić do Londynu na sznurku jak pieska.

Helen się uśmiechnęła.

— Mavis chyba zaczyna być zazdrosna — zauważyła.

— Mavis wie, że jest moim ukochanym psem — odparł Billy. — A tam jedzie moja ulubiona dziewczyna. — wskazał na blondynkę o różowobladej cerze siedzącej na siwku i czekającej na wjazd. — Patrz, jej cholerny tatuś każe Lavinii uderzyć konia przed rowem z wodą, a mama tego zabrania.

Biedna dziewczyna dostaje głupawki. Mógłbym jej pomóc — dodał tęsknym tonem. — Powodzenia, kochana! — krzyknął do niej.

Lavinia uniosła wzrok, pomachała mu szpicrutą i uśmiechnęła się. Rodzice wyglądali na wściekłych.

„Jaki on miły i to najbliższy przyjaciel Ruperta” — pomyślała Helen. Skoro Ruperta stać na taką przyjaźń, nie może być zły. Billy zmartwiony przyglądał się, jak biedna Lavinia skacze nerwowo i niepewnie przez kolejne przeszkody, po czym nad rowem z wodą tak jak Francuz wylatuje z siodła i ląduje na ziemi.

— Przynajmniej nie będzie musiała myć głowy przed randką z tobą — odezwał się rozbawiony głos. Był to Rupert. Jadł lody.

— Gratulacje — powiedziała Helen.

— Cholernie dobrze — dodał Billy.

— To powinno zakończyć sprawę — powiedział Rupert, rzucając z ukosa spojrzenie na przyjaciela. — Chyba nikomu już nie uda się zaliczyć czystego przejazdu.

— Wielkie dzięki! — odparł Billy. — Ja jeszcze czekam na przejazd. O, zobaczcie, biedna Lavinia się rozpłakała.

— Wygląda jak foka — zakpił Rupert. — Może po płostu ocieka wodą, a nie płacze. Lavinia — dodał, zwracając się do Helen — nie wymawia „r”.

— Do czasu rowu z wodą dobrze sobie radziła — zaprotestował Billy.

— Ta dziewczyna nie potrafi porządnie zamknąć drzwi w taksówce — zaśmiał się Rupert. — Powinni jej płacić za to, żeby nie pokazywała się na zawodach.

Billy wstał.

— Potrzymasz Mavis? — zwrócił się do Helen.

— Powodzenia — powiedział Rupert.

Billy zszedł na dół, pies zaczął skomlić i wyrywać się, by pobiec za swym panem.

— Zamknij się — warknął Rupert.

Mavis rzuciła mu oziębłe spojrzenie, wskoczyła na kolana Helen i z westchnieniem męczennicy ułożyła się na nich. Chociaż Helen nie była miłośniczką psów, cieszyło ją ciepło bijące od zwierzęcia. Widząc, jak drży, Rupert zarzucił jej na ramiona swój czerwony płaszcz. Ciepło jego ciała, które przechował materiał, było z kolei jak pieszczota. Do trybuny co chwilę podchodzili jeźdźcy, wielu z nich miało już dwanaście punktów karnych. Gratulowali Rupertowi. Ten promieniał, dopóki nie podszedł do nich Malise Gordon i nie usiadł po drugiej stronie. Rupert już miał przedstawić mu Helen, kiedy Malise się odezwał:

— Niezły przejazd, ale trochę na oślep.

Rupert zacisnął wargi, jego twarz straciła wszelki wyraz.

— Belgravii przydałoby się jeszcze sporo treningów na płaskim terenie — mówił dalej Malise — i znacznie mniej paszy.

— Według mnie nic mu nie groziło — odparł Rupert chłodno.

— Przy bramie miałeś mnóstwo szczęścia, tak jak przy drążkach na zboczu, a do potrójnej podjechałeś o wiele za szybko. To dobry koń, ale nie za każdym razem uda ci się go wyciągać z kłopotów.

Rupert z kamienną miną wpatrywał się w przestrzeń.

— Warto zacząć go szykować na olimpiadę albo mistrzostwa świata — dodał Malise nieco bardziej pojednawczo.

— Belgravia na pewno się sprawdzi — odparł Rupert, również lekko się rozluźniając. — Na mistrzostwach świata — wyjaśnił Helen — czwórka finalistów musi wymienić się końmi. Belgravia to taki drań, że nikt nie zdoła go opanować.

— To nie fair — dodał Malise.

— Pewnie — odparł Rupert bezczelnie. — Przecież mówimy o zawodach sportowych.

— A przy okazji — dodał Malise — poznałeś zawodnika o nazwisku Lovell? Skacze w obwodzie północnym. Jest bardzo dobry.

Rupert przez moment się zastanawiał.

— Nie. Jest na tyle dobry, żeby wejść do reprezentacji?

— Za rok czy dwa na pewno.

— Billy byłby znacznie lepszy — wtrącił szybko Rupert.

— Billy musi mnie przekonać, że ma instynkt walki — odparł Malise, wstając. — Pewnie zobaczymy się u Granii.

Helen miała właśnie okazję się przekonać, dlaczego między tymi dwoma mężczyznami tak łatwo dochodziło do spięć i niesnasek.

Na dole Billy podszedł do Lavinii Greenslade, by ją pocieszyć.

— Po prostu mam pecha — powiedział. Już miał ją zaprosić na randkę, kiedy podeszła jej matka.

— Gdybyś nie zawołał Lavinii tuż przed jej wyjazdem, byłaby bardziej skoncentrowana — warknęła kobieta. — Zupełnie wybiłeś ją z rytmu.

— Przepraszam — wymamrotał Billy.

Mrugnął do Lavinii, podszedł do Byka, który zarżał radośnie i wetknął mu głowę za pazuchę. Budową przypominał dąb: szeroki w obwodzie, o krótkim tułowiu, szeroko rozstawionych kształtnych nogach i zaskakująco drobnych kopytach; tylko szerokie czoło i małe oczy upodabniały go do byka. Biała strzałka na czole sprawiała, że zawsze wyglądał na zadowolonego.

— Jak się czuje? — zapytał Tracey.

— Doskonale — odparła. — Jak zawsze. Rupert prowadzi?

Billy wskoczył na siodło i ruszył, starając się opanować zdenerwowanie. Rupert był zawsze tak zadowolony z siebie, że Billy poczuł ukłucie ostrogi

— musi spróbować go przewyższyć. Inni zawodnicy, którzy już przejechali tor, byli aż nadto chętni do udzielana dobrych rad. Na tym etapie nie warto jednak słuchać obcych, tylko mącą w głowie. Przez lata Billy nauczył się sam sobie radzić z problemami.

Na trasę wyjechał drugi niemiecki zawodnik, Hans Schmidt. Po nim miał być Irlandczyk, a potem Billy.

— Jak ci poszło? — zapytał Hansa.

— Nie chczał zatszymacz szę pszy wodzie — odparł Niemiec niechętnie — i sszucił dronszek i szciane, jesztem drugi z Ludwigiem i Humptym.

— Świetnie — powiedział Billy.

— Byk wygląda szwietnie, poprawił kondycję.

— Dzięki — odparł Billy.

Steward wywołał jego numer. Z boków rozległy się życzenia udanego występu. Billy był bardzo lubiany.

Kiedy czekał na przejazd Irlandczyka, mała dziewczynka wyciągnęła rękę i pogłaskała Byka po nozdrzach.

— Powodzenia, Byku — powiedziała nieśmiało.

Billy uśmiechnął się i podziękował jej, żałując, że siłą woli nie może uspokoić wzburzonego żołądka. Nie pamiętał nawet, od której przeszkody powinien zacząć. Jednak Byk nie okazywał lęku, szedł żwawo z postawionymi do góry uszami i uniesionym ogonem, błyskając wesołymi oczami. Najwyraźniej podobało mu się całe otoczenie.

— Billy, kask! — wyszeptał steward.

Tłum wybuchnął śmiechem, kiedy Billy podskoczył, gwałtownie ściągnął kask, odsłaniając wilgotne kędziory przylegające do czoła. W vipowskiej loży Malise przerwał rozmowę z Granią Pringle.

— Chcę obejrzeć ten przejazd — powiedział. — Muszę przyznać, że Byk wygląda świetnie.

— W przeciwieństwie do Billy’ego — odparła Grania. — Biedak jest zielony.

„Powoli. Jeśli przejedziesz czysto, choćby z gorszym czasem, masz drugie miejsce” — powtarzał sobie Billy.

— Jesteś najlepszy, jesteś najlepszy — wyszeptał Bykowi w ucho, pochylił się i ruszył kłusem na dźwięk klaksonu.

Byk przestraszył się nieco przed pierwszymi trzema przeszkodami, pokonał je z ledwie kilkucentymetrowym zapasem, po czym się uspokoił, kłusował wesoło, przebierając krótkimi nogami jak mechaniczna zabawka, skacząc pod idealnym kątem i z idealnym zapasem.

— Boże, ten koń się poprawił — powiedział Malise, kiedy Billy przeskoczył przez podwójny okser. — Billy naprawdę się przy nim napracował.

Helen wstrzymała oddech, kiedy Byk wspinał się na zbocze, które po tylu przejazdach było już bardzo wyślizgane. Na górze Billy go uspokoił. przez moment wydawało się, że Byk zwątpił w siebie. widzowie trzymali kciuki, żeby się nie cofnął, co oznaczałoby odmowę i trzy punkty karne dla Billa, ale koń wystawił głowę nad przeszkodą, ześlizgnął się po drugiej stronie, po czym wyskoczył ze wszystkich sił w górę nad cienkim drążkiem, parskając z dezaprobatą, kładąc uszy po sobie i powiewając ogonem.

— Nie podobało mu się — zaśmiał się Humpty. — Zobacz, jak mu ogon łopocze. Rupert, mówiłeś, że kim była jego matka?

— Pewnie krową — odparł Rupert.

Helen zachichotała.

Byk nie przestraszył się kombinacji złożonej z trzech murowanych bramek.

— Jest szybszy od ciebie — stwierdził Humpty z niejaką satysfakcją.

— Wiem — odparł Rupert zimno.

Została tylko woda i końcowy triplebar. Billy zawrócił wierzchowca i pogalopował w dół. Na tle różnokolorowego tłumu jego ubranie odcinało się ostrą krwistą plamą.

— Dawaj, Billy! — wrzasnął Rupert.

Billy zobaczył przed sobą migoczącą wodę, szeroką i niebieską jak jezioro w Hyde Parku. Po obu stronach przysiedli fotografowie, czekając na trzeci skok.

— Dawaj, dawaj — wyszeptał Billy — ty mój gwiazdorze. Dasz radę, damy radę.

Poczuł, jak Byk się spręża. „Pewnie wydaje mu się, że ma z pięć metrów” — pomyślał Billy. Przez sekundę koń się wahał, po czym nagle się rozluźnił i zaufał jeźdźcowi.

„Skoro dla ciebie jest dobrze — wydawał się mówić — to spróbujmy”.

Ci, którzy stali najbliżej, do dzisiaj przysięgają, że Byk zamknął oczy. Wspiął się na tylne nogi, wybił mocno, wyskoczył na prawie dwa metry w powietrze i wylądował metr za taśmą po drugiej stronie. Widzowie twierdzą, że tak długiego skoku jeszcze nie widzieli. Kiedy wylądował, rozległy się okrzyki zachęty:

— Dawaj, Billy! Dasz sobie radę! Dawaj!

Został mu jeszcze tylko triplebar, który nikomu nie sprawił kłopotów. Jednak ku powszechnemu zaskoczeniu Billy nagle ściągnął wodze, zatrzymał Byka i objął go za szyję, po czym zaczął głaskać po grzywie i wychwalać.

— Jeszcze jedna przeszkoda! — wrzeszczeli fotografowie.

— Ostatnia bramka! Wracaj, masz jeszcze czas! — zawołał steward, ten sam, który przypomniał Billy’emu o zdjęciu kapelusza.

— Wiem — odparł Billy, uniósł bicz w kierunku sędziów, dając znać, że zakończył, po czym powoli zjechał z areny na oczach osłupiałych widzów.

Rupert wyszedł mu naprzeciw, biały z wściekłości.

— Ty cholerny idioto, w co ty, do cholery, pogrywasz? Właśnie wyrzuciłeś w błoto tysiąc albo siedem i pół stówy! Tylko my dwaj mieliśmy czyste przejazdy!

— Wiem — odparł Billy — ale Byk był tak przerażony, a skoro pięknie przeskoczył przez wodę, uznałem, że dam mu na dzisiaj spokój, żeby pamiętał, jak świetnie sobie poradził.

Rupert spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Oszalałeś!

Billy ześlizgnął się z siodła, przytulił twarz do lśniącego brązowego kłębu, objął konia i pogłaskał po piersi.

— Dobry koń. Mądry konik.

Rupert nagle zauważył, że Billy ma oczy pełne łez. Podbiegła do nich Tracey, ściągnęła z ramion koc i narzuciła go na Byka.

— Co się stało? — zapytała zaniepokojona. — Zranił się?

Billy pokręcił głową.

— Nie — odparł zdławionym głosem, wyjmując paczkę miętusów i podając je wszystkie koniowi. — Tak się ucieszyłem z jego pięknego przejazdu, że nagle przestało mi zależeć na wygranej.

Rupert westchnął.

— Obawiam się, że Malise Gordon może mieć inne zdanie na ten temat — powiedział. — Zdajesz sobie sprawę, że właśnie pogrzebałeś swoje szanse na wyjazd do Rzymu?

Objął przyjaciela za ramiona.

— Mimo wszystko to był świetny przejazd. Miałeś prawie mój czas.

Podeszła do nich Marion z Belgravią.

— Rupert, wołają cię na arenę.

Rupert pojechał odebrać pierwszą nagrodę, a Billy odwrócił się do Tracey.

— Przepraszam — powiedział pokornie. — Może nie powinienem był...

— Oczywiście, że powinieneś. On ma przed sobą jeszcze wiele lat startów w zawodach. Zobacz, jaki jest zadowolony.

W następnej minucie wpadli prosto na Malise’a Gordona, który wziął Billy’ego z Bykiem na bok.

— To było cholernie nieprzemyślane — zaczął.

Billy zwiesił głowę.

— Przepraszam. Ale on po raz pierwszy przeskoczył rów z wodą, i to tak pięknie.

— Dobrze, nie rób tego więcej — powiedział Malise, głaszcząc konia. — Muszę przyznać, że wygląda doskonale. Nie przesadzaj więc i nie przetrenuj go w ciągu następnych trzech tygodni. Na pewno będę go potrzebował w Rzymie, jeśli nie w Madrycie.

Billy z niedowierzaniem uniósł wzrok.

— Co pan powiedział?

— Nie rozpowiadaj wszystkim, ale chciałbym, żebyś go przywiózł do Rzymu — powtórzył Malise, po czym pogłaskał Byka jeszcze raz i odszedł.

— Co on ci nagadał? — zapytała Tracey, po czym, widząc łzy w oczach Billy’ego, dodała: — Zrugał cię?

— Nie... tak... nie... nie wiem — odparł oszołomiony Billy. — Chyba sam odprowadzę Byka do stajni.

Po wygraniu większych zawodów Rupert był zwykle wniebowzięty, jednak tego dnia miał wrażenie, że to Billy został bohaterem dnia. Uwagi Malise’a Gordona zirytowały go tak jak i aluzja, że Belgravia zwyciężył dzięki szczęściu. Gdyby Billy tak głupio nie powstrzymał konia, Rupert

mógłby udowodnić, że Malise się myli, bijąc jego czas. Zresztą chciałby zobaczyć, jak Malise czy ktokolwiek inny próbuje zapanować nad Belgravią. A te uwagi na temat ujeżdżania koni... ujeżdżanie to tylko zabawa jak programy taneczne w telewizji.

Równie mocno zirytował go Billy. Chłopak bez namysłu wyrzucił siedemset pięćdziesiąt funtów nagrody, a jednak zachowywał się tak, jakby Malise pocałował go pod jemiołą. Rupert był przywiązany do przyjaciela, ale często irytowała go niejasna nadzieja Billy'ego, że Bóg albo Rupert Campbell-Black zawsze rzucą kasą. Jak wielu hojnych ludzi, Rupert lubił mieć monopol na szczodrość. Siedemset pięćdziesiąt funtów nagrody mogłoby pokryć większą część kosztów odmalowania stajni. Rupertowi nawet nie przyszło do głowy, że Billy mógłby go pobić.

Po zawodach porządnie się rozpadało, więc dziennikarze i inni zawodnicy schronili się przed deszczem w przyczepie Ruperta. Jednak po wzniesieniu toastu szampanem i wypiciu zdrowia zdobywcy srebrnego pucharu okazali znacznie więcej zainteresowania zadziwiającym skokiem Byka i rezygnacją Billy'ego niż zwycięzcą. Rupert kochał Billy'ego, ale nie lubił schodzić na drugi plan. Mógł okazywać obojętność wobec zachwytów tłumu, ale lubił, kiedy go uwielbiano, żeby móc to ignorować.

Zostawił ich z drinkami, a sam zabrał pod prysznic pół butelki szampana. Kiedy bębnienie deszczu o dach przyczepy zagłuszało szum ciepłej wody, poczuł ogarniającą go żądzę, która zawsze dopadała go po dużych zawodach. W normalnych warunkach przeleciałby Marion w tyle przyczepy do przewozu koni, ale wątpił, czy dziewczyna zgodzi się na szybki numerek, gdy w pobliżu była Helen. Zresztą nie miał ochoty na Marion, a zaskoczyło go to, jak gwałtownie pragnie Helen. Musi ją wkrótce zaciągnąć do łóżka. Tylko wtedy odbuduje w sobie miłość własną i pozbędzie się bólu w podbrzuszu. Już powiadomił Billy'ego, żeby znalazł sobie miejsce na

nocleg, gdyż potrzebuje przyczepy dla siebie i Helen. Jednak chociaż widział, że dziewczyna jest nim zainteresowana, wątpił, czy zgodzi się na krótkotrwałą przygodę. Będzie musiał wzbudzić w niej zazdrość. Wiedział, że Grania Pringle mu w tym pomoże.

Helen z kolei była głęboko nieszczęśliwa. Wiedziała, że Rupert jest zajęty, że to jego świat, ale miał denerwującą cechę: w jednej chwili był nią pochłonięty, a po sekundzie o niej zapominał. Odkąd wygrał puchar, całkowicie się odsunął. Teraz wszyscy ci ludzie wypijali jego alkohol, rozmawiali o koniach, a ją ignorowali. Jedynie Hans Schmidt, reprezentant Niemiec o lodowatych oczach szaleńca, próbował ją zabawić. Jednak nie znał żadnych niemieckich filmów, które tak podziwiała, a kiedy przeszła do książek, było jeszcze gorzej.

— Uwielbiam Brechta — oznajmiła entuzjastycznie.

— Ja tesz uwielbiam brechtacz — odparł Hans, rozjaśniając się i zerkając na jej biust.

— Nie, Brecht to pisarz.

— Ja, ja — odparł Hans. — Pobrechtacz, poszmakowacz, małe pierszi, duże pierszi, panie tesz mogą lubicz pierszi.

Helen się zaczerwieniła i szybko przeszła do Günthera Grassa. Chyba czyniła postępy. Niemiec wydawał się wyraźnie zainteresowany, dopóki nie zapytał:

— Czo to jeszt gras? Czy to jakasz pasza, którą Rupert karmi konie?

Helen dała za wygraną, a Hans odwrócił się do Humpty’ego Hamiltona kłócącego się z dziennikarzem z „Daily Telegraph” o alergię na kurz.

Billy wciąż udzielał wywiadu Joannie Battie z „Chronicle”, która zdradzała żywe zainteresowanie dziennikarza będącego na tropie naprawdę dobrej historii, więc mógł tylko uśmiechać się do Helen od czasu do czasu i podsuwać jej butelkę.

Nieświadoma zwykłej małomówności i nieufności ludzi koni wobec obcych, Helen uznała, że chyba straciła swój seksapil. Nie wiedziała też, że zebrani zbyt bali się Ruperta, by otwarcie zagadywać jedną z jego dziewczyn. Marzyła o tym, by wziąć prysznic i przebrać się przed imprezą u lady Pringle. Nigdy dotąd nie poznała nikogo z brytyjskiej arystokracji. Zastanawiała się, czy wypada jej dygnąć i jak powinna się do niej zwracać. Matka zawsze podkreślała wagę odpowiedniego zwracania się do ludzi. Czy ma do niej mówić „milady", „jaśnie pani" czy jeszcze inaczej? Chętnie zapytałaby Joannę lub Marion, która właśnie wróciła wykończona po oporządzeniu koni, ale obie kobiety patrzyły na nią wrogo. „Do diabła z nimi wszystkimi — pomyślała Helen, dolewając sobie kolejny raz. — Jako pisarka muszę obserwować życie i wsłuchiwać się w rozmowy Brytyjczyków".

Jeden z dziennikarzy dzwonił do swojej gazety z telefonu Ruperta.

— Na pewno był przyrodnim bratem Arktycznego Księcia — mówił Humpty.

— Był jego rodzonym bratem — upierał się nadąsany Ivor.

— Przybranym!

— Rodzonym! Jeździłem na nim, więc wiem!

— Muszę skorzystać z telefonu i zadzwonić do działu wiadomości — powiedział mężczyzna z „Daily Telegraph".

W tej chwili spod prysznica wyszedł Rupert z granatowym ręcznikiem wokół bioder; jasne włosy miał ściemniałe od wody i gładko przylizane.

Helen poczuła łaskotanie w brzuchu.

— Chcę się przebrać, więc możecie wszyscy spieprzać? — zapytał zimno.

— Nie przeszkadzaj sobie — odparł Humpty. — Nigdy się tym nie przejmowałeś. Czy Polarny Pete nie był przybranym bratem Arktycznego

Księcia?

— Nie obchodzi mnie to. Wynocha, wszyscy. I odklej się od mojego telefonu, Malcolm.

Wyszarpnął wtyczkę z gniazdka.

— Rozmawiałem z gazetą! Chwaliłem cię! — oburzył się Malcolm.

— Nie obchodzi mnie to. Spadaj.

Mamrocząc z niezadowoleniem, goście wyszli w ulewę, naciągnęli płaszcze na głowę i pobiegli, a w przyczepie zostali tylko Billy i Helen. Rupert znów podłączył telefon, który natychmiast zadzwonił. Na przyzwalające kiwnięcie Ruperta Billy podniósł słuchawkę. Rupert podszedł do Helen i pocałował ją. Smakował pastą do zębów i pachniał wodą kolońską. W towarzystwie Billy'ego Helen czuła się bezpieczniej, więc pozwoliła sobie wtulić się w Ruperta, oddając jego pocałunki, aż ledwie mogła się utrzymać na nogach. Rupert położył dłoń na jej piersi.

— Czuję, jak bije ci serce — powiedział cicho. — Wali jak na wyścigu.

— Hm — chrząknął Billy. — Przykro mi, że przeszkadzam, ale dzwoni Dick Brandon. Chce wpaść na drinka.

— Cholera! No dobrze, powiedz, żeby przyszedł. Idź wziąć prysznic, kochanie, woda jest gorąca.

— Czy dzisiejsza impreza będzie bardzo elegancka?

— Nieszczególnie.

— Mam włożyć spodnie?

Rupertowi oczy rozbłysły. Coś się zaczęło dziać.

— Absolutnie nie — odparł.

Helen z ulgą stwierdziła, że w przeciwieństwie do Regina House z prysznica od razu poleciała gorąca woda. Jednak w drzwiach nie było zamka. Helen wyobraziła sobie wpadającego do łazienki Ruperta, więc umyła się w gorączkowym pośpiechu. Włożyła czarną jedwabną sukienkę z

dyskretnym wycięciem na plecach i jasnoszare pończochy przylegające do wciąż mokrych nóg.

Zauważyła, że rozłożono podwójne łóżko. Razem z dwiema ławkami tworzyło ogromną powierzchnię. Na granatowej kołdrze leżał Rupert ubrany w koszulę w paski i szare spodnie. Na samym skraju przysiedli Billy i mężczyzna w lekkim garniturze w kratkę, o rumianej, poznaczonej żyłkami twarzy, workach pod oczami i siwiejących blond włosach. Wypili już trzy czwarte butelki szampana i oczy Ruperta zaczęły lekko lśnić.

— Skoro to tak cholernie dobry koń, to dlaczego ją sprzedajesz? — zapytał Brandon.

— Jestem dla niej za ciężki, a ona dla mnie zbyt wrażliwa. Wiesz, co myślę o klaczach.

Nagle wszyscy zauważyli Helen, której biała skóra, zaróżowiona po prysznicu, i lśniące rude włosy nad czołem stanowiły kontrast z czarną sukienką. Mężczyzna w garniturze zagwizdał.

— O rany — powiedział. — Chodź tu, kochanie. — Kiedy podeszła, przesunął dłonią po jej nodze w perłowoszarych pończochach, jakby Helen była koniem. — Za tę mogę naprawdę sporo zaoferować.

Rupert się roześmiał, wyciągnął rękę do Helen i przyciągnął ją do siebie, po czym podał jej swój kieliszek. Potem zmierzwił jej włosy, zaglądając w wielkie, nieśmiałe, podkrążone oczy.

— Ona akurat na pewno nie jest na sprzedaż, Dick — powiedział.

„Boże, co za szczęściarz z tego Ruperta. Ona pięknieje z minuty na minutę” — pomyślał Billy.

---

[1] *Il est tombé dans l’eau* (fr.) — Wpadł do wody.

11

PO KOLEJNEJ BUTELCE SZAMPANA, kiedy deszcz ustał, wyszli na imprezę do Granii Pringle.

Zachodzące słońce zapalało błyski w kałużach i kąpało ociekające wodą drzewa w łagodnym różowym blasku.

Rupert i Billy, obaj już lekko podchmieleni i w doskonałym nastroju, szli po obu stronach Helen, przy zwałach błota ujmując ją pod ramiona i przenosząc nad nimi.

— *Gdzie moja przyczepa stanęła, kwiaty ci zostawiam na trawie...* — zaśpiewał Billy drżącym barytonem, kiedy mijali pole kempingowe pełne przyczep.

Mavis pobiegła przodem, unosząc jasną głowę jak kucyk, delikatnie stawiając łapy pomiędzy kałużami.

Po drodze zajrzeli do koni, które drzemały na dwucentymetrowej podściółce z wiórów. Byk wystawił głowę nad bramką, Mavis wdrapała się na deski i polizała go po nosie. Helen nie umknęło radosne rżenie, jakim Byk i Kitchener powitali Billy'ego, trącając go w kieszenie w poszukiwaniu miętusów, ale zarówno Belgravia, jak i Mayfair oraz młodsze, nowe konie położyły uszy po sobie i odsunęły się od zbliżającego się Ruperta.

— Musiałem im pokazać, kto tu rządzi — powiedział lekko Rupert, ale okrył Belgravię dodatkową derką, twierdząc, że robi się zimno.

— Nie zapomnij odmrażacza — podsunął Billy i znów zaczął śpiewać. — Dzisiaj wieczorem mam zamiar uderzyć do Lavinii Greenslade — dodał.

— I potem sponiewierać ją w łododendłonach — zakpił Rupert. — Już to widzę. Dam ci dziesiątkę, jeśli w ogóle dotrzesz do pierwszej bazy.

Pringle’owie mieszkali w dużym domu z początku dwudziestego wieku, stojącym za zagajnikiem wiązów w Crittleden. Okna domu wychodziły na jezioro i sad wiśniowy, którego białe kwiaty nabrały delikatnie różowego odcienia w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Helen westchnęła z zachwytu.

— *Najpiękniejsze z drzew, wiśnia* — zadeklamowała z uczuciem — *obwieszone kwieciem na gałęziach*[1].

— Mnie się to białe wiszące na gałęziach kojarzy inaczej — odparł Rupert, drocząc się z nią. — Przypomina mi się niania. Jak się nazywały te wielkie pantalony, które nosiła niezależnie od pory roku?

— Reformy — podsunął Billy.

— Właśnie. Kiedy w dniu prania wieszała je na sznurku, zawsze się nam wydawało, że byłyby w stanie unieść w powietrze cały dom, jak balon.

Obaj zgięli się wpół ze śmiechu. Helen próbowała dołączyć, żeby nie wyjść na sztywniaczkę.

Hałas dochodzący przez drzwi dowodził, że impreza już trwała w najlepsze. Kiedy Helen zmieniała zabłocone kozaki na czarne szpilki, przystojna blondynka, z której rozcięcia w dekolcie wydobywał się zapach przypominający kadzidełka, wyszła im na powitanie.

— Rupert, mój drogi, jak miło cię widzieć!

Objęła go ramionami w bransoletkach. Nad jego ramieniem jej mocno wymalowane tuszem oczy zmierzyły resztę grupy, z równym entuzjazmem patrząc na Helen i na Mavis.

„To Grania Pringle. Z bliska nie robi wrażenia damy” — pomyślała Helen.

— Musisz tu sprowadzać to zwierzę? — Grania zapytała Billy’ego.

— Kochaj mnie i mojego psa — odparł Billy niezmieszany. — Przepraszam, Granio, ale kiedy ją zamykam w przyczepie, wyje na całą

okolicę.

— Ciebie mogę kochać bez problemu, ale kochanie Mavis to już przesada.

— Nie znasz jeszcze Helen Macaulay — włączył się Rupert, wydobywając się z objęć gospodyni. — Pochodzi z Florydy, gdzie podobno trzecim filarem gospodarki są pomidory.

— Pomidory — powtórzyła lady Pringle. — Nadzwyczajne. Przy naszym ostatnim spotkaniu twoja matka dała mi wspaniały przepis na pomidory po prowansalsku, Rupercie. Wszyscy śmierdzieliśmy czosnkiem jeszcze przez kilka tygodni, ale naprawdę smakowała doskonale. — kobieta odwróciła się do Helen. — Też jesteś koniarą?

— Chwała Bogu nie — odparł Rupert — pracuje w wydawnictwie. I ma absolutnie dość wysłuchiwania dyskusji o rodach końskich, bo Humpty Hamilton, Ivor Braine i Billy omawiali je przez całe popołudnie. Zaprosiłaś może jakichś intelektualistów, żeby mogła z nimi porozmawiać?

— Jest tylko Malise Gordon — odparła Grania. — Pisze książki. To bardzo błyskotliwy gość, musicie się poznać. Ale w tej chwili przyskrzynili go rodzice Lavinii Greenslade i próbują go przekonać, żeby zabrał Lavinię do Rzymu.

— Chyba oszaleli — odparł Rupert. — W Hawwods nie potrafiła nawet usiedzieć na brykającym koniu.

— Przymknij się — powiedział Billy, uśmiechając się szeroko.

— Billy to fan Lavinii — wyjaśnił Rupert. — Marzy o tym, żeby ją zgwałcić.

— Wtedy tata Lavinii się wścieknie i przejedzie mnie swoim łols-łoyce’em — dodał Billy.

Grania zaniosła się śmiechem. Zaczynała poważnie działać Helen na nerwy.

— Chłopcy, jesteście okropni. Chodźcie się napić.

— Jeśli mama i papa Greenslade’owie osaczyli Malise’a, to Lavinia ma chwilową swobodę, a w takim razie uciekam — powiedział Billy i zniknął w pokoju obok.

— Obawiam się, że whisky jest schowana, Rupercie — powiedziała Grania. — Wiesz, co za prosiaki z tych ludzi. Ale w bibliotece znajdziesz jedną flaszeczkę, a drugą w kuchennym kredensie.

Jednak whisky była tylko dla Ruperta. Helen musiała się zadowolić kieliszkiem bardzo średniego wina musującego. W następnej chwili Grania odciągnęła ją od Ruperta i zaprowadziła do głośno spierającej się grupy złożonej z kilku zawodników i Joanny Battie.

— Joanno — powiedziała Grania żywo — nie możesz monopolizować tych wspaniałych mężczyzn. Chłopcy, to jest Helen Macaulay, przerażająco bystra i pracuje w wydawnictwie w Londynie. Wiem, wy wszyscy piszecie swoje autobiografie, więc może załatwicie z nią, żeby je wydała? Rupert, chodź, moja siostra bardzo chce cię poznać.

I odeszła, zostawiając Helen zaczerwienioną z zakłopotania.

— Cześć — wymamrotała do Joanny. — Wszyscy piszecie książki? — zapytała stojących w kółku mężczyzn.

— Jesteśmy zbyt zajęci — odparł jeden z nich, z zaczesanymi do przodu włosami i bladą, chudą, niezadowoloną twarzą, popijając sok pomidorowy. — Joanna robi to za nas, prawda? Tylko wszystko miesza.

— Nigdy nie spotkałem dziennikarza, który nie myli faktów — powiedział Humpty Hamilton. — W zeszłym tygodniu „Telegraph” podał, że Porky Boy pochodzi od Sally, a przecież wszyscy wiedzą, że jego matką jest Windsor Lass.

— Zamknij się, Humpty — warknął pierwszy mężczyzna. — Już to wczoraj mówiłeś.

— Chyba powinieneś nieco odpuścić dietę, Driffield — odpalił Humpty. — Przez nią robisz się nerwowy.

— Straciłem sześć kilogramów, czego nie można powiedzieć o tobie, Humpty. W tym swetrze wyglądasz, jak byś był w piątym miesiącu.

— Jak myślisz, ile waży Rupert? — zapytał Ivor Braine, gapiąc się na Helen z otwartymi ustami.

— Helen powinna wiedzieć — odparła kwaśno Joanna.

— Jakieś siedemdziesiąt pięć kilogramów, jak przypuszczam — odparł Humpty.

— Z czego siedemdziesiąt to karteczki z numerami telefonów dziewczyn — dołożyła Joanna.

Helen znów się zaczerwieniła. Nie znosiła Joanny, jej pozbawionego wyrazu, cichego głosu i włosów sczesanych do tyłu. Miała jeszcze bardziej nieruchomą twarz niż zawodnicy.

— Od jak dawna jesteś na diecie? — zapytała Driffielda.

— Od miesiąca.

— Musisz bardzo nad sobą panować...

— Nie! — przerwał jej w pół słowa, zwracając się do Humpty’ego — przejechał czysto!

— Nieprawda, miał cztery punkty karne i czas o przynajmniej ćwierć sekundy gorszy od Ruperta.

Helen zazgrzytała zębami. Po drugiej stronie wypełnionego gwarem rozmów pomieszczenia widziała Ruperta rozmawiającego z Dickiem Brandonem, otoczonego kobietami chichoczącymi tak samo jak Grania. Co kilka minut Grania przyprowadzała kolejną i dolewała Rupertowi do kieliszka. On z kolei zerkał w jej stronę i pytał bezgłośnie, czy wszystko w porządku. Duma nie pozwalała Helen zareagować inaczej niż kiwnięciem głowy.

Była przekonana, że Grania celowo ustawiła ją przy grupie niskich mężczyzn, nad którymi górowała w swoich szpilkach. Stojąc z dala od Ruperta, chciałaby się znaleźć w centrum uwagi, chciałaby, żeby wszyscy ją zagadywali, ale czuła się mniej więcej tak atrakcyjna jak dog niemiecki w stadzie terierów.

Teraz zebrani dyskutowali o koniach, które kupili zimą, omawiając te zapowiadające się najbardziej obiecująco. Podszedł do nich Hans Schmidt ubrany w nieco zbyt obcisły i nieco zbyt jaskrawoniebieski sweter, stuknął obcasami i pocałował Helen w rękę.

— Hee, Heleno Trojanszka — powitał ją.

Helen odwróciła się do niego z wdzięcznością, ale on natychmiast został przechwycony przez pozostałych i zaczął opowiadać o jakiejś niemożliwej do opanowania klaczy hanowerskiej.

W kącie Billy zwisał z poręczy fotela, na którym siedział z Mavis i Lavinią Greenslade. Po kąpieli na torze dziewczyna umyła i znów zakręciła włosy. Jasnoniebieska sukienka z paskiem uwydatniała jej wąską talię. Drobna ręka spoczywała na głowie Mavis. „Będą mieli bardzo kędzierzawe dzieci” — pomyślała Helen. Chciałaby, żeby Rupert też się tak nią opiekował. Musi wziąć się w garść i nieco otworzyć na ludzi.

Otaczający ją mężczyźni przeszli do omawiania najlepszych tras dojazdowych na kolejne zawody odbywające się w zachodniej Anglii.

— Znacznie szybciej jest jechać A40 — stwierdził Humpty Hamilton.

Nagle przystanęła przy nich zadziwiająca kobieta koło sześćdziesiątki. Przysadzista, z wyraźnym ciemnym wąsikiem nad górną wargą. Miała na włosach siatkę, ubrana była w czerwony szlafrok flanelowy i kapcie. Helen skojarzyła się z prezydentem Nixonem w przebraniu drag queen.

— Cześć, chłopcy — odezwała się głębokim głosem. — Jeśli za chwilę nie podadzą nam czegoś do jedzenia, będziecie musieli odnieść mnie do

domu.

Już miała pójść dalej, kiedy dostrzegła Helen. Spojrzała na nią z entuzjazmem, jakiego przez cały wieczór nikt dziewczynie nie okazał, i dołączyła do grupy.

— Kto to? — wyszeptała Helen, wyciągając kieliszek do przechodzącej kelnerki.

— Monica Carlton — odszepnął Humpty. — Jest prawem sama dla siebie. Hoduje kuce walijskie, zawsze przychodzi na przyjęcia w szlafroku, potem pije na umór i wtedy nie musi się przejmować rozbieraniem, kiedy wróci do przyczepy.

— Skoro kelnerka już tu podeszła, może mi też nalać — stwierdziła panna Carlton, podając kieliszek Humpty'emu. — My się znamy — zwróciła się do Joanny Battie.

— Spotkałyśmy się w Olympii podczas zeszłorocznych świąt — odparła Joanna. — Piszę do „Chronicle".

— Szmatławiec — zagrzmiała panna Carlton, odbierając napełniony kieliszek — ale przydaje się do wycierania szczenięcych sików.

Helen zachichotała. Czując jej zainteresowanie, panna Carlton odwróciła się do niej.

— Co za słodka istota — powiedziała. — My się na pewno nie znamy. — Z aprobatą zmierzyła dziewczynę wzrokiem. — Nie jesteś z żadnym z tych nudziarzy, prawda? Mogłam się domyślić, jesteś dla nich za dobra.

— Protestuję! — powiedział Humpty. — Ile razy odnosiłem cię po imprezie do domu, Monico?

— No dobrze, może jesteś lepszy niż inni. A skąd ty jesteś, ślicznotko? — zapytała, skupiając całą uwagę na Helen. — Jutro też będziesz?

— Nie wiem — zająknęła się Helen.

— Jeśli tak, to zabiorę cię na przejażdżkę moją bryczką. Spodoba ci się. Moja dwójka ciągnie jak smoki.

I zaczęła opowieść, rozwodząc się nad zaletami swoich dwóch kuców, które najwyraźniej zdobyły wszystkie możliwe nagrody w Anglii. Rozmawiając, przesuwała spojrzeniem po ciele Helen, a ręką wolną od kieliszka przy każdej okazji obejmowała ją w talii. Helen zdała sobie sprawę z tego, że zawodnicy krztuszą się ze śmiechu. Nikt z nich nie miał zamiaru jej uratować.

— Wszystko w porządku? — zapytała przechodząca obok Grania.

— Podziwiamy pani antyki! — zawołała Helen desperacko. — Uwielbiam chippendale.

— Och, wy Amerykanie zawsze szalejecie za starociami. Musisz poznać mojego męża. Widzę, że już poznałaś niegrzeczną Monicę. — musnęła palcami szorstki policzek panny Carlton. — A przy okazji: wyżerka jest na dole — dodała.

— Dzięki Bogu — odparł Humpty. — Umieram z głodu. Chodźcie.

Rupert dogonił Helen w drzwiach do jadalni.

— Wszystko w porządku, kochanie? Przepraszam, że cię zaniedbuję, właśnie sprzedaję konia.

— W porządku — odparła Helen, ledwie wydobywając z siebie głos. — Wszystko dobrze.

— Pewnie jesteś głodna, zaraz znajdę ci talerz.

Chwilę później dopadła go duża kobieta w czerwieni, pytając, co się stało z jakimś koniem, którego sprzedała mu rok wcześniej. Po chwili otoczyła go większa grupa. Helen odwróciła się i zobaczyła pannę Carlton zmierzającą w jej stronę z dwoma wielkimi talerzami wypełnionymi kurczakiem i ryżem.

— Tutaj! — zawołała.

Helen w panice uciekła w przeciwnym kierunku, gdzie Billy, Mavis i Lavinia znów przysiedli na jednym fotelu. Będzie musiała zabawić się w przyzwoitkę.

— Proszę — powiedziała, podbiegając do nich — mogę z wami porozmawiać? Ruperta złapała jakaś kobieta, a panna Carlton wkroczyła na wojenną ścieżkę.

— Oczywiście. — Billy wstał. — Nie poznałaś jeszcze Lavinii, prawda? Bardzo źle się bawisz?

— Rupert mi jakoś umyka — odparła Helen, starając się ukryć gorycz.

— Wiem, przykro mi. Wciąż dobija targu z Dickiem Brandonem, poza tym to pierwsze zawody w tym sezonie. Ludzie od dawna się nie widzieli, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Muszą się nagadać.

— Billy, kochanie — wtrąciła Lavinia — zapomniałam sosu flancuskiego do sałatki. Czy możesz mi przynieść? I spławdź, czy jest jeszcze ten pyszny chleb czosnkowy.

Na sekundę Helen i Billy skrzyżowali spojrzenia, ale udało im się powstrzymać śmiech.

— Dobrze, ale jeśli pojawi się Monica, musisz chronić Helen.

— Jest przemiły, pławda? — powiedziała Lavinia rozmarzonym tonem. — Mamie się nie podoba, bo przyjaźni się z Łupełtem. Oczywiście Łupełt jest bałdzo przystojny — dodała pospiesznie — ale mama uważa, że spłowadza Billy’ego na manowce. Czy to wasza piełwsza łandka?

— Nie — odparła Helen, która wciąż przeżuwała ten sam kawałek kurczaka — druga.

— Coś takiego! — zdziwiła się Lavinia, otwierając szerzej porcelanowoniebieskie oczy — to chyba łekołd.

Wrócił Billy, po chwili dołączyli do nich Humpty i Ivor Braine z butelką czerwonego wina.

— Wiesz, Helen — zagadnął Humpty, różowiejąc — podbiłaś Monicę.

— O rany — odparła Helen, rumieniąc się.

— Twierdzi, że tak ładnej klaczki nie widziała od lat — dodał Ivor i wybuchnął śmiechem. — Podobno jutro chce cię zabrać swoją bryczką na wycieczkę.

— Nie daj się jej połwać — wtrąciła Lavinia. — Kiedyś goniła mnie po całej szopie na uprząż.

— Uważaj — dodał Billy — ona hoduje kuce górskie i podobno nawet nie potrzebuje ogiera.

— Jest na pewno lepsza niż Driffield — mruknął Ivor. — Odkąd przestał pić, chodzi wciąż wkurzony.

— Jak wielki elf — powiedział Humpty. — Wrzućmy go do jeziora po kolacji.

W tej chwili podszedł do nich Hans z pucharkiem deseru.

— Uważaj na mojego psa — ostrzegł Billy, kiedy Niemiec ciężko zawisł nad fotelem i śpiącą Mavis.

Hans uniósł oczy do nieba.

— Sawsze to samo, ci Anglicy. Piesz szpi na kszeszle czy łószku, a monsz szpi na podłodze. Fraulein Helen, pani jeszt Amerykanką. Czy to nie wariaci? Nie lepiej wróczicz ze mną do Niemiec?

— Hans, nie narażaj się — wtrącił Humpty. — Bo Monica wyzwie cię na pojedynek.

— Może także Rupert będzie miał ci co nieco do powiedzenia — dodał Billy, podając Mavis resztki swojego kurczaka.

— Nie, Rupert to nie problem. Mogę go pobicz, jak to mówicze? Na czasz? Ale Monica to inna rzecz, to superman. Jeszli Monica wchodzi do gry, ja mogę panią tylko kochacz s daleka.

Helen nagle poczuła radość. Mimo wszystko nie zmarnowała tej okazji. Na swój niezgrabny sposób zwracali na nią uwagę, akceptowali ją, docinając tak, jak docinali sobie nawzajem.

— A niech to — odezwała się Lavinia — idą łodzice. Stłasznie długo łozmawiali z Malise'em. Helen, zagaduj mnie. Gadaj, ile możesz. A ty, Billy, gadaj, ile możesz z Humptym i Hansem i Goeffem. Może się nie domyślą. Helen, gdzie kupiłaś tę śliczną sukienkę?

— W Bust Stop — odparła Helen. — Moja mama nie lubi, kiedy noszę czarny kolor.

— Moja też nie — przytaknęła Lavinia. — Jeśli będziesz tu jutło, musisz wpaść na hełbatę do naszej przyczepy. Nie jest tak wspaniała jak Łupełta.

Helen znów poczuła falę radości, zwłaszcza kiedy Driffield ni stąd, ni zowąd przyniósł jej talerzyk sałatki owocowej.

— Ta chwila przejdzie do historii — orzekł Humpty. — Po raz pierwszy w życiu Driffield zrobił coś dla kogoś innego. Gdzie Joanna? Musi to opisać dla „Chronicle".

— Dobrze się czujesz, Driffield? — dopytywał Billy.

— Przedawkował sok pomidołowy — dodała Lavinia.

Driffiel poczerwieniał, wydawał się jednocześnie zadowolony i rozdrażniony. Wszyscy się śmiali. Helen rozejrzała się i cały jej dobry nastrój prysnął: obok kanapy stał Rupert, dając autograf jakiejś dziewczynie, wciąż rozmawiając z siedzącym na kanapie Dickiem Brandonem. Obok Brandona Grania rozmawiała z inną kobietą. Helen zamarła, widząc, jak gospodyni przesuwa dłonią po wewnętrznej stronie uda Ruperta — tego pięknego umięśnionego brązowego uda, które widziała wcześniej. Rupert nie reagował. Grania głaskała dalej. Helen zerwała się, zrzucając sałatkę na dywan i na Mavis, po czym wybiegła z pokoju.

— Kochanie! — zawołał Rupert, kiedy go mijała. Dogonił ją w hallu. — Dokąd to? — po czym, widząc jej wstrząśniętą minę, dodał: — Co się stało?

Wziął ją za rękę i pociągnął do najbliższego pokoju — jak się okazało, gabinetu z biurkami, księgami, a na ścianie kalendarzem ze zdjęciami długonogich koni wyścigowych.

Rupert oparł się o drzwi.

— O co chodzi? Myślałem, że dobrze się bawisz.

Helen cofała się, aż w końcu opadła na druciany kosz.

— Mam dość tego, że wszyscy traktują cię jak wspólną własność — powiedziała.

Rupert wzruszył ramionami.

— Wróć ze mną do przyczepy, a do samego rana obiecuję ci sto procent mojej uwagi.

— Na pewno! Za pięć minut zapuka ktoś, kto akurat chce sprzedać ci konia albo poprosi o autograf dla babci.

Rupert się zaśmiał.

— Cóż... Przykro mi, że cię tak denerwują.

— Te kobiety, które cię obsiadły jak osy słoik miodu, były aż niesmaczne.

Rupert mógł triumfować. Strategia zadziałała — Helen faktycznie była zazdrosna.

— Mam dość ich wszystkich. Gabrielli, Bianki i tej passskudnej Joanny — powiedziała, przeciągając głoskę „s”. — Marion, która przez całe popołudnie ma ochotę zabić mnie wzrokiem. Ale najgorsza jest Grania. Jeśli ona jest lady, to ja jestem królową Saby.

— Nie wygłupiaj się. Nikt nie wziąłby jej za arystokratkę. Jej ojciec zbił fortunę na środkach przeczyszczających. Poważnie myślisz, że mi się

podoba? Przypomina podstarzałego kanarka.

— Inaczej myślałeś dwie minuty temu, kiedy głaskała cię po udzie jak tarantula na haju.

— Byłem w potrzasku. Po prawej wielbicielka z prośbą o autograf, po lewej potencjalny kupiec na konia. Nie mogłem jej tak po prostu odtrącić. Dick Brandon mógłby się rozkojarzyć. Zdajesz sobie sprawę, że właśnie zarobiłem dwadzieścia tysięcy?

— Gratulacje, ale straciłeś również dziewczynę.

Rupert przechylił głowę i uśmiechnął się do niej szeroko.

— Dziewczynę? Straciłem? — zakpił, ale po chwili dodał łagodniej: — Nie bądź taka sztywna. — Podszedł bliżej i przyparł ją do stołu, odcinając Helen drogę ucieczki. — Teraz ty znalazłaś się w pułapce. I jak, podoba ci się? — powiedział, przyciągając ją do siebie, po czym przytulił mocno do swojego ciała, gładkiego i twardego, przylegającego do niej jak ekskluzywne mydło. Na sekundę Helen stopniała, poddając się tęsknocie i uldze, jaką poczuła w jego ramionach. Rupert delikatnie zsunął jej sukienkę z ramienia i zaczął całować w obojczyk.

Drugą rękę przesunął po jej pośladkach.

— Mała, masz na sobie figi.

— Figi? Owoce?

— A co to jest według ciebie? — pociągnął za gumkę.

— Majtki — odparła szybko.

Rupert westchnął.

— Dzieli nas bariera językowa — stwierdził.

Helen nagle zrozumiała, o co mu chodzi.

— Wyobrażałeś sobie, że przyjdę na przyjęcie bez bielizny? — zapytała zdławionym głosem.

— Miałem taką nadzieję, skoro i tak później masz ją dla mnie zdjąć...

— Nie — odparła Helen, starając się uwolnić. — Nie mam zamiaru zostać twoją kolejną przegryzką, którą wyplujesz jak gumę do żucia, bo straciła smak.

Rupert zaczął się śmiać.

— Przegryzka, cóż za ciekawe wyrażenie. Kojarzy się z przegryzaniem kantara. A gumy do żucia nie lubię, niania zawsze twierdziła, że jest pospolita.

— Dlaczego wszystko tak trywializujesz? — jęknęła Helen. — Po prostu nie chcę być poganiana.

— Jaaasne — zadrwił Rupert, przeciągając sylaby. — Może umówimy się na randkę w roku dwutysięcznym? Piątego stycznia czy może wolisz szóstego? Obawiam się, że siódmego nie mogę. Może sprawdzisz w swoim kalendarzu?

— Daj spokój, po prostu nie chcę wskakiwać do łóżka z kimś, komu w ogóle na mnie nie zależy.

— Nie dałaś mi jeszcze szansy. Nie możesz przecież oczekiwać, że na drugiej randce przysięgnę ci dozgonną miłość.

— Nie — zaszlochała Helen. — Naprawdę nie. Ale nie chcę znów cierpieć. Harold Mountjoy...

— Rany, kolejne kazanie na temat Harolda? O to chodzi? Idziesz do łóżka tylko z żonatymi? Jeśli się z kimś ożenię, mogę cię przelecieć?

— Nie używaj takiego języka.

— Co w tym złego? Przecież o tym właśnie mówiliśmy, prawda? Porzuć tę cholerną pozę klasy średniej.

— Ale ja jestem z klasy średniej.

— Uważam, że znacznie gorszym słowem jest podpuszczanie. W takim razie po co tu przyjechałaś?

— Chciałam cię zobaczyć.

— Możesz mnie zobaczyć w całej okazałości. Chodź ze mną do przyczepy.

— Nie! — wrzasnęła Helen. — Wracam do Londynu.

— Jak? — zapytał Rupert.

— Gdzie jest stacja kolejowa?

— Jakieś piętnaście kilometrów stąd. I szczerze mówiąc, nie mam zamiaru cię odwozić. Nie pożyczę ci też konia, chociaż może któreś dziecko Granii pożyczy ci rower. Albo może Monica odwiezie cię do domu bryczką.

Helen wybuchnęła płaczem. Biegnąc do drzwi, wpadła prosto na Granię Pringle.

— O, tutaj jesteś, kochana. Rupert, wszędzie cię szukałam. Mogę cię prosić na sekundę?

Helen zaniosła się płaczem i pobiegła korytarzem, wpadła do łazienki i zasunęła skobel. Dwa razy ktoś podszedł i szarpał drzwiami, po czym znów odszedł. Na dole grzmiała impreza, sądząc z okrzyków i gwizdów, przenosiła się także do ogrodu. Helen umyła twarz i przyczesała włosy, gotowa popełnić samobójstwo.

Po cichu wyszła na korytarz. Wyjrzawszy ostrożnie, zobaczyła wielkie plecy Moniki Carlton w czerwonym szlafroku. Monica rozmawiała z panią Greenslade. Przerażona Helen rzuciła się w przeciwnym kierunku i otworzyła pierwsze drzwi po lewej.

---

[1] Wiersz autorstwa Alfreda Edwarda Housmana (przyp. tłum.).

12

HELEN PCHNĘŁA DRZWI i znalazła się w bibliotece ze ścianami obstawionymi półkami, w których jedyne przerwy wypełniały potężne portrety rodzinne. W kącie stał na podstawie wielki globus odwrócony w jej stronę Ameryką, w której granice stanów zacierały się, a mapa ze starości przybrała kolor sepii. Ogień płonący na kominku emanował słodkim, ostrym zapachem jabłoni, przywołując wspomnienia domu dziadków w górach i napełniając nostalgią tak wielką, że musiała zdławić szloch i kilka razy wydmuchać nos w kilkakrotnie użytą chusteczkę.

Instynkt powiódł ją w kierunku książek. Przeszła już połowę pokoju, kiedy uświadomiła sobie obecność mężczyzny czytającego w fotelu przed kominkiem.

— Przepraszam — powiedziała zdławionym głosem. — Nie chciałam przeszkadzać.

— Nie przeszkadza pani. Ukrywam się.

— Przed panią Greenslade?

— *Et alia*. Chyba się jeszcze nie poznaliśmy... Malise Gordon. — mężczyzna wyciągnął rękę.

— Helen Macaulay — wymamrotała Helen.

— Proszę usiąść, naleję pani brandy.

— Proszę nie robić sobie kłopotu.

Mężczyzna bez słowa podszedł do barku na kółkach. Miał na sobie garnitur w prążki, nieco wyświecony, ale doskonale skrojony w ramionach, spodnie z mankietem i zegarek na dewizce. Zauważyła jego wojskową postawę, cienkie usta, whisky z Brytyjskiej Korporacji Stali. Był to typ

angielskiego dżentelmena, jakiego widuje się na starych filmach wojennych, jak Trevor Howards lub Michael Redgrave, którzy wszelkie emocje kryją za powściągliwym tonem głosu i twarzą pokerzysty oraz zawsze zachowują zimną krew.

— Co pan czytał? — zapytała Helen.

— Ruperta Brooke'a.

— Och — odparła Helen zaskoczona — wspaniale. Uwielbiam jeden wiersz Ruperta Brooke'a. Jak to było? *Ci, którzy rzucili świat* — zaczęła cicho — *wylewając słodkie czerwone wino młodości; oddali lata pracy i radości, i tę pogodną rezygnację, którą zwiemy wiekiem... i ci, którzy byliby ich synami. Tych oddali, swoją nieśmiertelność*. — głos się jej załamał pod wpływem nagłego ukłucia żalu za dzieckiem Harolda Mountjoya, które straciła. — To taki piękny i smutny wiersz — podjęła.

Na moment twarz Malise'a straciła wszelki kolor, po chwili jednak mężczyzna podał Helen kieliszek brandy.

— Nadzwyczajne — powiedział. — Właśnie ten wiersz czytałem. Mój ojciec chodził do szkoły z Rupertem Brookiem.

— Jaki on był?

— Mama twierdzi, że bardzo sympatyczny.

— Pana ojciec na pewno miał wiele do opowiadania o tej znajomości.

— Zapewne tak. Niestety, zginął w 1918 roku, już pod koniec wojny.

— To okropne, nigdy nie poznał pan ojca. Czy pan też chodził do Rugby?

Malise pokiwał głową.

— Tak lubię poetów z tej szkoły — powiedziała Helen. — Walter Savage Landor, Clough, Arnold... wszyscy mają w sobie tyle melancholii, która bardzo do mnie przemawia. Pisałam magisterkę o poetach wiktoriańskich. Zdecydowanie najlepszy jest Matthew Arnold.

Przyglądając się jej skulonej na kanapie, bez butów, które zrzuciła, oświetlonej światłem płomienia migoczącym na twarzy, Malise pomyślał, że nigdy nie widział piękniejszej dziewczyny. Miała tak cienkie kostki, że z trudem można było uwierzyć, iż są w stanie unieść ciężar ciała — podobnie z długą, szczupłą szyją, która powinna uginać się pod masą wspaniałych tycjanowskich włosów. Drżąca z rozczarowania Helen przypominała liść buka porywem wichru nagle rzucony na ścianę. Mężczyzna miał wrażenie, że w następnej chwili kolejny powiew znów ją zabierze. Chętnie by ją namalował, właśnie tak, siedzącą na spłowiałej złocistej sofie.

— Gdzie Rupert? — zapytał.

— Zabawia swoich wielbicieli. Właściwie chyba właśnie pożyczyła go lady Pringle.

— Nigdy nie miała wielkich skrupułów w tym względzie.

— Jest raczej elegancka, ale bardzo stara — odparła Helen, po czym, uświadomiwszy sobie, że Grania jest na pewno młodsza od Malise’a Gordona, dodała pospiesznie: — Jak na kobietę, a raczej na lady.

— Jaka tam z niej lady — odparł Malise, powtarzając słowa Ruperta.

— Tak, wiem o środkach przeczyszczających — przytaknęła Helen — ale przecież ci przodkowie... — zatoczyła ręką wokół.

— Wszystko sfabrykowane — odparł Malise, odcinając końcówkę cygara. — Zajmuję się hobbystycznie odnawianiem obrazów. Tamta prababka Granii — wskazał postawną damę z czasów wiktoriańskich — została namalowana w 1963 roku.

Helen zachichotała, nagle nastrój się jej poprawił.

— Pokłóciliście się z Rupertem?

Helen pokiwała głową.

— O co?

— Chce pójść na maksa.

Malise uniósł brwi.

— W Anglii mówi się na to „pójść na całość”.

— A, tak. — Arogant. Cały wieczór mnie ignorował, sprzedawał konia, a potem oczekuje, że pójdę z nim potulnie do przyczepy na całą noc. Powiedziałam, że wracam do Londynu, kazał mi znaleźć sobie transport. Nie wiem, co robić.

— Ja panią zawiozę, wieczorem wracam do Londynu.

— Ale ja mieszkam w Shepherd’s Bush, to chyba bardzo na uboczu. Rupert mówił, że nigdy nie słyszał o tej dzielnicy.

— Rupert czasami mocno mija się z prawdą. Mieszkam półtora kilometra dalej, więc będzie mi nawet po drodze.

Przerywając jej wymamrotane podziękowania, zaczął wypytywać Helen o nią, o Stany, jej rodzinę, uniwersytet, ambicje pisarskie i pracę. Jak się okazało, znał nawet jej szefa.

— Miły człowiek. W życiu nie przeczytał książki.

— Ale tutaj chyba nikt nie interesuje się książkami — westchnęła Helen, biorąc do ręki tom Ruperta Brooke’a. — To pierwsze wydanie, nikomu nie chciało się nawet przeciąć stron. Nie rozumiem Brytyjczyków. Mają na wyciągnięcie ręki najwspanialsze dzieła sztuki i w ogóle ich one nie obchodzą. Połowa mojego biura nawet nie była w katedrze Świętego Pawła, a przecież wygłaszał tam kazania John Donne. U matki Ruperta widziałam półki pełne pierwodruków. Nikt ich nie czyta. Trzymają te książki za kratkami, jakby to były niebezpieczne zwierzęta o wywrotowych poglądach. Nie wiedzą nawet, kto namalował portrety ich przodków.

— Chyba że to Gainsborough, bo wtedy wystawią go w Christies za pół miliona — podpowiedział Malise. — Wtedy nagle przybywa im bystrości.

— Ci tutaj potrafią rozmawiać jedynie o koniach — odparła gorzko Helen.

— Nie można mieć do nich pretensji — powiedział Malise. — Przez większość sezonu, który niestety trwa teraz przez dużą część roku, spędzają z końmi dwadzieścia cztery godziny na dobę, uczą się ich, szkolą je, martwią o ich zdrowie, przewożą z jednych zawodów na drugie. Ci, których pani tutaj poznała, przebili się na szczyty przez najbardziej brutalną konkurencję. Nie było im łatwo. Jesteśmy w środku recesji, ceny benzyny szybują w górę, koszty utrzymania są olbrzymie. W skokach panuje ostra konkurencja, tylko nielicznym udaje się przebić, a jeśli przestaną wygrywać, pójdą na dno.

Wstał, podszedł do globusa i zakręcił nim, po czym wskazał spłowiałą różową plamkę — Anglię.

— Większość nigdy nie wyjechałaby z wiosek, w których się urodzili, gdyby nie ich doskonałe zdolności jeździeckie. Teraz dzięki tym zdolnościom królują na salonach, są sławni, zostali ambasadorami swoich krajów na świecie. Dzisiaj Rzym, jutro Madryt, pojutrze Nowy Jork, wciąż występują w telewizji, a przecież większość z nich nawet nie zdała egzaminów gimnazjalnych. Często można słyszeć, jak zwycięzca zawodów mamrocząc do swojego konia przez całą trasę, zachęca go do biegu. A jednak jeśli potem w wywiadzie telewizyjnym zapytać o ten przejazd, straci rezon. To są ludzie pracujący fizycznie i myślący kategoriami fizycznymi, z końmi zaś czują się znacznie swobodniej niż z ludźmi. Nie ufają nikomu z jakimkolwiek wykształceniem, bo przy nim czują się gorsi. Ale niech ich pani nie bierze za prostaków. Nie są wymowni, ale to nie oznacza, że nie są zdolni do głębokich uczuć — przerwał, zmarszczył brwi i spojrzał na nią, po czym się uśmiechnął. — Przepraszam, nie chciałem wygłaszać wykładu. Wiem, przez co dzisiaj pani przechodzi. Odkąd w zeszłym roku mianowano mnie szefem drużyny, próbuję przełamać ich nieufność. Nie można po prostu wprowadzić dyscypliny wojskowej i spodziewać się, że nagle się do

niej nagną. To głębokie indywidualności, często ludzie nerwowi i nadwrażliwi. Pomimo kamiennych twarzy przed ważnymi zawodami wszyscy trzęsą się jak galareta. Kiedy jednak cię zaakceptują, możesz liczyć na ich poparcie, chyba że zrobisz coś głupiego.

Uznał, że pora zmienić temat.

— Szykujecie coś przyzwoitego do wydania latem?

Wrócili do dyskusji o literaturze, co Malise czynił z przyjemnością, gdyż Helen ujmowała go słodką pompatycznością i zaangażowaniem oraz dlatego, że widział, jak się odpręża i nabiera pewności siebie. Już samo obserwowanie jej pięknej twarzy sprawiało mu przyjemność. Kusiło, by poprosić ją o pozowanie mu do obrazu.

— Chciałabym poznać kogoś w rodzaju Ruperta Brooke'a — mówiła dziewczyna. — To chyba najbardziej charyzmatyczna osobowość ówczesnego pokolenia.

Malise Gordon skrzywił się i dołożył do ognia.

— Twoje pokolenie chętnie nadużywa wielkich słów.

Helen roześmiała się.

— W takim razie Rupert był zapewne najbarwniejszą osobowością swojego pokolenia.

— Moje imię wymawiane nadaremno? — odezwał się głos. W drzwiach stał Rupert z pozbawioną wyrazu twarzą.

— Nie — odparł Malise Gordon. — Rozmawialiśmy o innym Rupercie, o poecie.

— Moje przeciwieństwo — stwierdził Rupert lekkim tonem. — Helen wie, że żaden ze mnie intelektualista, prawda, skarbie? — obrócił się do Helen, wciąż z uśmiechem na twarzy, ona widziała jednak, że pod miłą powierzchownością był zły. — Zastanawiałem się, dokąd uciekłaś.

— Rozmawiała ze mną, skoro Grania cię ee.. pożyczyła.

— Jak miło — stwierdził Rupert. — Bez wątpienia omówiliście każdą wystawę, sztukę i film zagraniczny, jaki leci teraz w Londynie. Może nawet dotarliście do Henry’ego Jamesa.

— Do niego jeszcze nie dotarliśmy — odparł Malise.

— Będzie musiał zaczekać do następnego razu — powiedział Rupert. — Chodź zatańczyć — zwrócił się do Helen. Był to jednoznaczny rozkaz.

Zanim jednak dziewczyna zdołała się ruszyć, powietrze rozdarły wrzaski i nawoływania, zagłuszając głośną i rytmiczną muzykę. Hałas dochodził z zewnątrz. Malise odsunął ciężkie, ciemnozielone aksamitne zasłony. Przez sad oświetlony światłem księżyca biegła grupa mężczyzn, niosąc coś, co wyrywało się gorączkowo jak owca przed strzyżeniem.

— Chcą wrzucić Driffielda do jeziora — wyjaśnił Rupert.

— Czy ono nie jest brudne? — zapytała zaniepokojona Helen.

Rupert się roześmiał.

— Zabrudzi się, kiedy wrzucą Driffielda. — ujął Helen za rękę. — Chodź, kochanie.

Malise wyjął zegarek z kieszeni kamizelki.

— Powinniśmy się zbierać do domu — powiedział.

— Powinniśmy? — powtórzył Rupert, zaciskając palce na nadgarstku Helen.

— Pułkownik Gordon wraca dzisiaj do Londynu i bardzo uprzejmie zaproponował, że mnie odwiezie — odparła dziewczyna pospiesznie.

— To niedorzeczne.

— Nie mam gdzie spać.

— Grania cię przenocuje. Impreza się jeszcze nie rozkręciła.

— Wydarzenia zadają kłam tym słowom — powiedział Malise, gdyż znad jeziora napłynęły wrzaski, plusk i śmiechy. — Mam nadzieję, że Driffield się nie przeziębi, to nie jest pogoda na nocne kąpiele. A co do

noclegu dla Helen, jestem pewien, że wszystkie kanapy i łóżka w domu są już przeciążone. Idziemy? — odwrócił się do Helen.

Ta pokiwała głową, niezdolna wydobyć z siebie głos. Po części chciałaby zostać z Rupertem; nigdy nie widziała nikogo tak rozgniewanego. Jego niebieskie oczy zmieniły się w szparki, twarz pobielała jak alabaster. Rupert wyjął z wazonu białego narcyza i przyjrzał się jego pomarańczowemu środkowi.

— Odwiozę cię do Vagina House — zaproponował.

— Nie wygłupiaj się — zgasił go Malise. — Jutro od rana masz zawody, a już za dużo wypiłeś. O tej porze policja na pewno będzie sprawdzała samochody na drodze z Worthing do Londynu. Nie warto ryzykować prawa jazdy, nie możesz sobie pozwolić na uziemienie przez rok.

— Jestem w stanie prowadzić — odrzekł Rupert przez zaciśnięte zęby.

— A potem czeka cię jeszcze droga powrotna. Bądź rozsądny.

Rupert odwrócił się do Helen.

— Naprawdę chcesz jechać?

— Chyba tak.

Rupert opuścił wzrok na narcyza, którego obrał z płatków; został ostatni.

— Nie kocha — powiedział.

— Pójdę po płaszcz — odezwała się Helen.

Uciekając z pokoju, omal nie przewróciła się o Monicę Carlton, twardo śpiącą w swoim czerwonym szlafroku, przytuloną do gongu. Na kolanach kobieta miała talerzyk z musem czekoladowym, który wyjadała właśnie Mavis.

Helen wpadła do pokoju, w którym zostawiła płaszcz i kozaki. łóżko skrzypiało pod jakąś parą.

— Billy, musimy uważać — odezwał się głos. — Mama się wścieknie, jak nas złapie.

„Billy jednak wygra te dziesięć funtów” — pomyślała Helen. Złapała swoje rzeczy i wyszła z pokoju. Mavis przemknęła jej pod nogami, dołączając do zabawy. Za drzwiami natknęła się na chwiejącego się Hansa Schmidta.

— Fraulein Helen! — powiedział triumfalnie — Chocz, zatańcz ze mną.

Już miał ją pociągnąć w kierunku, skąd dobiegała muzyka, kiedy z biblioteki wyszli Malise i Rupert, obaj z kamiennymi twarzami. Co gorsza, Hans uparł się, by wyjść z nimi do samochodu. kiedy odkrył, co się stało, wybuchnął grzmiącym śmiechem.

— Rupert, traczisz powodżenie! — powtarzał.

— Odwal się — warknął Rupert, a do wsiadającej do samochodu Helen powiedział: — w przyczepie zostały twoje rzeczy.

— Tylko zamszowa sukienka — odparła Helen.

— Każę Marion wysłać ją do ciebie pocztą — powiedział Rupert, po czym, nawet się nie żegnając, obrócił się na pięcie i wszedł do domu.

— Naprawdę nie ma powodu do płaczu — powiedział Malise, kiedy reflektory samochodu oświetliły trawnik i jasnozielone, wiosenne liście drzew. — Zdecydowanie wygrałaś trzydzieści do zera.

— Myśli pan, że on jeszcze kiedyś zadzwoni? — pociągnęła nosem Helen.

— Oczywiście. Dla Ruperta to zupełnie nowe doświadczenie. Ktoś mu się oparł. Dobrze mu to zrobi.

I włączył kwintet Beethovena. Helen oparła się o fotel, napawając się muzyką i myśląc, jak bardzo nie podobałaby się ona Rupertowi. Utkwiła wzrok w przestrzeni przed sobą, w ciemności rozbłyskiwały oczy kotów, które mijał samochód.

— Wszystko dobrze? — zapytał Malise.

— Jasne. Właśnie sobie pomyślałam, że tym kotom oczy się jarzą jak dziewczynom na widok Ruperta.

— A Rupert nigdy nie zmienia świateł na krótkie — odparł Malise.

— Czy to warto? Warto się z nim umówić, jeśli w ogóle do mnie zadzwoni?

— To zależy, czy już dotarłaś do etapu, na którym nie jesteś w stanie mu odmówić. Wtedy każda rada będzie zbędna.

— Niech mi pan o nim opowie — poprosiła Helen.

— Słyszę o nim mnóstwo plotek od ludzi, którzy prawie go nie znają. Jego rodzinę znam od lat, matka była przepiękna, ale bez mózgu. W ogóle nie dawała sobie rady z dzieckiem, zostawiła go nianiom, które Ruperta psuły, bo się go bały albo litowały się nad nim. Za wcześnie w życiu chłopak nauczył się tego, że będąc niemiły, może wywalczyć to, co zechce. Jedyną przyzwoitą relację nawiązał z nianią Heald, to była piastunka jego ojca, więc oczywiście nie zajmowała się nim zbyt długo. Z kolei matka Ruperta przepadała za Adrianem, jego młodszym bratem, który był słodki, miał kędziorki, pulchną buzię, zawsze dobry humor i oczywiście wyrósł na przerażającego mięczaka. Dlatego właśnie sądzę, że Rupert w gruncie rzeczy nie lubi kobiet. Z pewnością im nie ufa. Podświadomie prawdopodobnie cieszy się, pomiatając nimi, odpłacając całej płci za rozczarowanie, jakiego doznał od nich w dzieciństwie. Ale jest inteligentny i wyjątkowo utalentowany. Zabawne, ale być może uratowałoby go właśnie udane małżeństwo. Tylko że to musiałaby być wyjątkowa dziewczyna, która by się przed nim nie ugięła.

Wjechali na autostradę. Malise przycisnął pedał gazu.

— Czy nie byłoby łatwiej — powiedział — znaleźć sobie szanowanego obiecującego prawnika lub młodego, świetnie się zapowiadającego redaktora?

Helen wzruszyła ramionami.

— Zapewne tak, ale on naprawdę uzależnia. Ma pan z nimi sporo kłopotu. Ma pan własne dzieci?

— Mamy córkę, skacze na pokazach.

— Aha — odparła Helen — tak jak Mark Phillips, w przeciwieństwie do Ruperta.

— Właśnie tak.

— A macie synów?

— Nie. — Malise przerwał, po czym podjął równym, celowo rzeczowym tonem: — mieliśmy. W zeszłym roku zginął w Irlandii Północnej.

— Och — powiedziała przerażona Helen — tak bardzo mi przykro.

— Wjechał w bombę pułapkę, zginął na miejscu, może to i lepiej.

— Ale nie dla rodziców — odparła Helen. — Nie mogliście się z nim pożegnać.

„A niech to. Dlatego czytał ten wiersz Brooke’a. A ja spadłam mu na głowę z moimi problemami” — pomyślała.

— Byliście blisko? — zapytała.

— Chyba tak. Najgorsze, że nie jestem pewny, czy naprawdę chciał iść do wojska. Po prostu czuł, że skoro mój ojciec tak odznaczył się na wojnie, to i on...

— I dostał pan Krzyż Wojskowy, Billy mi mówił.

— Ale Timmie był raczej buntownikiem. Okropnie się pokłóciliśmy. Jakaś kelnerka zaszła z nim w ciążę, uznał, że powinien się z nią ożenić. Nie kochał jej, po prostu miał zasady. Próbowaliśmy mu to wyperswadować. Jego ostatnią przepustkę spędziliśmy na kłótniach, żona dostawała histerii.

— A co się stało z dzieckiem?

— To był fałszywy alarm. Ironia losu. Teraz chciałbym, żeby jednak było dziecko. Przynajmniej coś by nam po nim zostało.

Dojechali już do Londynu. Kiedy dotarli do Regina House, Malise również wysiadł z samochodu. Kilka gwiazd zdołało się przebić przez rdzawą mgiełkę wiszącą nad miastem. W świetle latarni za plecami Malise wydawał się młodszy, na jego twarzy nie było widać zmarszczek. Helen przełknęła ślinę, odetchnęła głęboko, żeby pokonać nieśmiałość, po czym wymamrotała:

— Zawsze wyobrażałam sobie, że tacy są właśnie brytyjscy mężczyźni, a dopiero po pół roku w tym kraju znalazłam takiego. — Po czym położyła mu dłoń na ramieniu i szybko pocałowała w policzek. — Bardzo dziękuję za odwiezienie. I mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

— Co do tego nie ma żadnych wątpliwości — odparł Malise. — Młody Rupert od razu wkroczy na ścieżkę wojenną. Ale posłuchaj starego wojaka, rozegraj to na zimno, nie pozwalaj mu dyktować warunków.

Malise wszedł do swojego mieszkania na Lowndes Street i wyłączył alarm. Było to dość ponure miejsce. Jego żona miała konwencjonalny gust, lubiła nijakie tapety, lampy na suficie i wzory w kwiatki jak z piżamy. Teraz przebywała poza miastem, razem z córką, która miała skakać na pokazie. Małżeństwo im się nie udało. Byli razem ze względu na dzieci, ale teraz została im tylko Henrietta. W bawialni na plandece stała sztaluga, a na niej olej przedstawiający scenę polowania, który Malise właśnie odnawiał. Mógłby skończyć obraz w dwie godziny, nie czuł zmęczenia. Jednak zamiast tego nalał sobie brandy i usiadł, myśląc o przepięknej rudej dziewczynie. Szkoda jej dla Ruperta. Nie był pewny swoich motywów, kiedy zaoferował jej podwiezienie do Londynu. Czy kierowała nim chęć utarcia nosa Rupertowi, czy może nie mógł znieść myśli o tym, że Rupert miałby spędzić z nią noc, obsypując pijackimi komplementami i

przystawiając się do niej? Przez moment wyobrażał sobie, jak maluje dziewczynę w swoim atelier, nie przejmując się zapaleniem światła, kiedy zapadnie zmierzch, a potem zabiera ją do wąskiego łóżka w kącie i kocha się z nią powoli i tak łagodnie, że do samego końca Helen nie uświadamia sobie, jak jej jest dobrze.

Zganił się za głupotę. Ma pięćdziesiąt dwa lata, o trzydzieści lat więcej od niej, pewnie ona widzi w nim odrażającego starucha. A jednak obudziła w nim najsilniejsze uczucia od wielu lat.

Pasowałaby do Timmiego. Wziął zdjęcie z fortepianu. Uśmiechała się do niego twarz bardzo podobna do jego własnej, ale mniej surowa i ponura, o błyszczących i ufnych oczach.

Czy Rupert, Billy i Humpty mieli tylko zastąpić mu Timmiego? Czy dlatego został szefem drużyny? Po pół roku ból wciąż go jeszcze zaskakiwał, niemal oburzał. Malise odłożył zdjęcie, opadł na sofę i ukrył twarz w dłoniach.

Helen weszła do Regina House akurat w chwili, kiedy zadzwonił telefon.

— Psst, psst — szeptała, biegnąc do aparatu. Uniosła słuchawkę, zanim sięgnęła po nią rozzłoszczona kierowniczka w swojej siatce na głowie.

— Jest pierwsza w nocy — syknęła — nie wolno dzwonić tak późno!

Helen nie zwróciła na nią uwagi, skuliła się nad telefonem, odcinając się od świata. Modląc się z całej siły, przyłożyła słuchawkę do ucha.

— Halo — odezwał się lekko bełkotliwy głos — czy mogę rozmawiać z Helen Macaulay?

— Tak, oczywiście, przy telefonie.

— Cholerna suka — powiedział Rupert — uciekłaś akurat z jedynym facetem, któremu nie mogę dać w nos.

Helen radośnie oparła się o ścianę, nie zwracając uwagi na gestykulującą wiedźmę w siatce.

— Wszystko dobrze? — pytał dalej Rupert.

— Tak, gdzie jesteś?

— W mojej okropnej przyczepie, sam. Mam tu twoją sukienkę. Jak skóra zrzucona przez węża. Cała pachnie tobą. Szkoda, że cię tu nie ma, żeby ją wypełnić.

— Też tego żałuję — powiedziała Helen. Na odległość czuła się swobodniej i mogła znów flirtować.

— Słuchaj, w tym tygodniu i przez większość przyszłego jestem w rozjazdach. Jeszcze się nie do końca zorganizowałem, ale pod koniec tygodnia zadzwonię i spróbuję przyjechać do Londynu w przyszły poniedziałek lub wtorek.

— Rupercie — powiedziała błagalnie Helen — nie chciałam jechać z Malise’em. Tylko że ty cały wieczór byłeś zajęty innymi ludźmi.

— Próbowałem wzbudzić w tobie zazdrość, ale nie wyszło. Minie trochę czasu, zanim znów zastosuję tę metodę.

13

PRZEZ KOLEJNE KILKA TYGODNI Rupert rozpoczął wojnę podjazdową, całkowicie dezorientując Helen. Z jednej strony ucieleśniał to, czego nie pochwalała. Nonszalancko podchodził do wszystkiego, z wyjątkiem swoich zwycięstw, zepsuty, niekulturalny, hedonistyczny i niemoralny oraz bardzo prawicowy. Jadł pomarańcze z RPA na ulicy tylko po to, by jej dokuczyć, ponieważ jej matka wbijała Helen do głowy, że nie wolno tego robić. Z jednej strony randki, które udało się im zorganizować pomimo szalonego harmonogramu zawodów Ruperta i pracy Helen, zawsze kończyły się kłótnią o to, że dziewczyna nie chce się z nim przespać. Z drugiej strony Helen mocno wzięła sobie do serca uwagi Malise'a o smutnym dzieciństwie Ruperta i możliwości naprawy jego charakteru w udanym małżeństwie. Czy to nie ona mogłaby się okazać osobą, która przemieni szalonego łobuza w największego zawodnika swoich czasów? W jej naturze leżała silna skłonność do reformowania ludzi i pęd do czynienia dobra.

Księżniczka Anna akurat ogłosiła swoje zaręczyny z Markiem Phillipsem, a wszystkie panny w Anglii kochały się w przystojnym kapitanie tak męsko wyglądającym w mundurze, który niezbyt dobrze wypadał w telewizji, ale najwyraźniej genialnie radził sobie na koniu. Księżniczka Anna wydawała się absolutnie szczęśliwa. Biorąc pod uwagę, że Rupert urodą dorównywał kapitanowi Phillipsowi, za to w wywiadach wykazywał się wielką swadą, czy to ważne, że nie mogą porozmawiać o Sartrze i Henrym Jamesie? — zastanawiała się Helen, przewracając się w swoim wąskim łóżku w Regina House przy lekturze A.E. Housmana i

Matthew Arnolda. Rupert jest młody. Jeszcze się wiele nauczy. Zdaniem Malise’a jest inteligentny.

Zresztą całe to zamartwianie się nie miało sensu, gdyż Rupert nie wspomniał o ślubie ani nie wyznał jej miłości. Jednak dzwonił do Helen z Europy, a co jakieś dwa tygodnie urywał się na wieczór, nawet jeśli był bardzo zajęty, poza tym zaprosił ją do Lucerny na konkurs na początku czerwca, miała więc wielkie nadzieje.

W tym czasie w Londynie bardzo aktywnie działała IRA, podkładając bomby. Panowała nerwowa atmosfera, a matka pisała do Helen długie listy, przekonując, że nie musi spędzać w Anglii całego roku, że zrobiło się niebezpiecznie i może wróciłaby do domu. Helen, która zimą natychmiast skorzystałaby z tej szansy, odpisała, że czuje się dobrze i ma nowego wielbiciela.

Rupert siedział z nogami na balustradzie w swoim pokoju hotelowym z widokiem na Lasek Buloński. Po zawodach w Paryżu, które skończyły się o północy poprzedniego dnia, jadł późne śniadanie. Miał na sobie tylko ręcznik, ramiona już mu brązowiały. żuł croissanta z dżemem brzoskwiniowym i próbował czytać *Wojnę i pokój*.

— Nie rozumiem tej cholernej książki! — krzyknął w kierunku pokoju. — Wszyscy mają po dwa nazwiska!

— Ty też — odparł Billy, wychodząc na balkon ociekający wodą, również w ręczniku. Zerknął na grzbiet książki.

— Może byłoby ci łatwiej, gdybyś zaczął od pierwszego tomu.

— Niech to szlag — odparł Rupert, rzucając książkę w cień lasu, omal nie zabijając przy okazji dwóch wiewiórek — tak się kończy proszenie Marion o wypożyczenie książek z biblioteki.

— Po co to w ogóle czytasz?

Rupert nalał sobie kolejną filiżankę kawy.

— Helen uważa mnie za filistra.

— Myśli, że jesteś Żydem? — nie zrozumiał Billy. — Nie wyglądasz.

— Myślałem, że to ma jakiś związek z Sodomą i Gomorą, ale potem sprawdziłem znaczenie — wyjaśnił Rupert. — Oznacza, że jest się ciemniakiem pozbawionym kultury i się nie czyta.

— Czytasz „Horse and Hound” — zgorszył się Billy — poza tym horoskopy, wyniki wyścigów i Dicka Francisa.

— Dolicz jeszcze „teater”, jak ona to wymawia.

— Tego wolałbym nie liczyć po tej szmirze, na którą nas ostatnio zaciągnęła. Poza tym w zeszłym tygodniu byłeś w klubie striptizu w Hamburgu. Ludzie różnie o tobie mówią, ale nikt nie nazywa cię głupim.

Schylił się po szczotkę, którą upuścił na ziemię, i skrzywił się.

— Nie wiem, co nam dolali do tych wczorajszych drinków, ale mam ochotę paść i nie wstawać.

— A ja mam ochotę na Helen — odparł Rupert. — Wczoraj cały wieczór próbowałem się do niej dodzwonić. Znalazłem książkę telefoniczną Londynu, ale nie było w niej Vagina House.

— Bo nie szukałeś pod hasłem „cipa” — odparł Billy.

Rupert zaśmiał się, lecz jego twarz przybrała wyraz determinacji.

— Ja jej pokażę. Napiszę do niej list godny intelektualisty. — wyjął z portfela list od Helen, całe dziesięć stron. — Ledwie go rozumiem, same długie słowa. — Wygładził pierwszą stronę.

— Ma nadzieję, że pójdziemy do Comédie Française i Luwru, a potem pisze, że mój widok ją rozpala. Boże, w co ja się władowałem?

— Nie zapomnij wpisać na kopercie „Sz.P.” — podpowiedział Billy.

— Marion zdobyła dla mnie nawet książkę z cytatami — powiedział Rupert, otwierając szufladę i wyjmując ze skórzanej teczki kilka hotelowych kartek do korespondencji.

— No dobrze, mam się do niej zwracać „droga” czy „najdroższa”?

— Na żywo cały czas zwracasz się do niej „kochanie”.

— Nie chcę się skompromitować na papierze. — Rupert wziął do ręki książkę. — Cholera, przebiję ją cytatami. Sprawdźmy, co jest pod „Helen”. — przesunął palcem po indeksie. — „Helen, oto jesteśmy”, „Chciałbym wiedzieć, gdzie leży Helen”... niestety, nie przy mnie. „Słodka Heleno, obdarz mnie pocałunkiem nieśmiertelności”... to jak dla mnie stanowczo za mało.

— Masz zamiar kupić kasztana od O’Hary? — zapytał Billy, który próbował obciąć sobie paznokcie u prawej ręki.

— Nie za tę cenę, której żąda. Bardzo kiepsko się zatrzymuje. „Helen, twa uroda to dla mnie...” to już brzmi bardziej obiecująco. — przewrócił kartki książki w poszukiwaniu źródła. — „Helen, twa uroda to dla mnie kwiaty hiacyntów”. Hiacynty są różowe albo niebieskie, ona ma włosy innego koloru. Rany, ci poeci naprawdę już nie mają co wymyślać.

— Może po prostu napisz, że za nią tęsknisz? — podsunął Billy rozsądnie.

— Ona to właśnie chce usłyszeć. Gdybym zdołał zaciągnąć ją do łóżka, mógłbym o niej zapomnieć.

— Mądra dziewczyna — uznał Billy. — Wie, że jeśli ulegnie, to cię straci. Trudno mieć do niej pretensje, nie słyniesz z wierności.

— Bzdury! — sprzeciwił się rozzłoszczony Rupert — byłem wierny Biance przynajmniej przez dwa miesiące!

— Z Marion jako odskocznią.

— Stajenne się nie liczą. Istnieją tylko dla rozrywki jeźdźców. Jeśli dobrze się przyjrzeć, Helen nawet nie jest w moim typie. Ubiera się okropnie. Jak wszystkie Amerykanki nosi spodnie o dwa numery za duże.

— A ja myślę, że ta panna trochę za mocno ci się opiera. Może dasz sobie spokój?

— Tak łatwo się nie poddam! Zawsze udało mi się zdobyć kobietę, której pragnąłem.

— A co z tą zakonnicą w Rzymie? — zapytał Billy, zapalając papierosa.

— Zakonnice się nie liczą.

— Tak jak stajenne? „Słodka Heleno, obdarz mnie pocałunkiem nieśmiertelności”... — przeczytał Rupert. — „Jej usta wysysają mi duszę. Heleno, proszę, oddaj mi ją”.

— To trochę za mocne — stwierdził Billy. — Kto to napisał?

— Gość o nazwisku Marlowe. Zresztą wolałbym, żeby Helen ssała mi coś innego niż duszę.

Billy wybuchnął śmiechem i zakrztusił się papierosem. Rupert rzucił mu świdrujące spojrzenie.

— Williamie, może po prostu wyrzuć wszystko z paczki na talerz i zjedz te papierosy nożem i widelcem. Powinieneś ograniczyć palenie — powiedział i wrócił do książki. — To jest nieco lepsze: „Jesteś wspanialsza niż wieczorne powietrze, przybrana w piękno tysiąca gwiazd”. Bardzo ładne. Przypomina mi Penscombe w gwiaździstą noc. — zapisał sobie cytat swoim zamaszystym, niewyraźnym, królewskim charakterem pisma. Zdanie zajęło niemal pół strony. — To ją podbije. Zresztą w Lucernie chyba wreszcie się do niej dobiorę. Przyjeżdża na cały tydzień.

— Wiesz, co ja myślę? — zapytał Billy.

— Nie wiem, dopóki mi nie powiesz.

— W przeciwieństwie do większości dziewczyn, z którymi się prowadzałeś, Helen jest poważna. Szaleje za tobą, jest w tobie autentycznie zakochana, a nie pójdzie z tobą do łóżka nie dlatego, że chce cię

przetrzymać, ale dlatego, że naprawdę uważa to za coś złego. To Amerykanka z klasy średniej, a oni zwykle bardzo się szanują.

— Myślisz, że ona za mną szaleje?

— Tak przypuszczam. Boże, Rupe, ty się zaczerwieniłeś!

Po chwili Rupert odzyskał równowagę.

— Co robimy wieczorem? — zapytał.

— Zdaniem Malise'a powinniśmy iść spać wcześnie i na trzeźwo. Jutro mamy Puchar Narodów.

— Pieprzyć to — odparł Rupert, wkładając list do koperty. — „Tatler" przysłał olśniewającą dziewczynę, która ma się zająć stroną eee... towarzyską naszych zawodów. Ja z kolei chętnie zajmę się właśnie nią. Chyba powinniśmy pokazać jej Paryż.

— Pewnie — westchnął Billy — przywiozła ze sobą fotografkę o urodzie psa, ciekawe, kto skończy, zajmując się nią? Jaka szkoda, że Malise nie wybrał Lavinii na wyjazd do Lucerny.

— Wdraża nam pruską dyscyplinę i stara się utrzymać czystość w szeregach, więc na pewno tego nie zrobi — odparł Rupert i zerknął na zegarek. — Mamy trzy godziny. Pójdę poćwiczyć na Byku.

— Tracey może to zrobić. Chodźmy na godzinę do Luwru.

Po kilku dobrych przejazdach, w których obaj dostali się na podium, Rupert i Billy mieli ochotę poświętować. Udali, że posłusznie o jedenastej poszli spać, odczekali pół godziny, po czym cichaczem zeszli tylnymi schodami, dzięki pomocy pokojówki. Niestety, Malise, który wstał bardzo wcześnie, żeby wybrać się na zwiedzanie Paryża, przyłapał Ruperta wychodzącego z pokoju dziennikarki „Tatlera".

W kolejnych zawodach tego dnia Rupertowi szło fatalnie, w każdym przejeździe zebrał ponad dwadzieścia punktów karnych. Wieczorem Malise wezwał go do siebie i zrugał jak nigdy przedtem. Powiedział, że jest

nieodpowiedzialny, niesubordynowany, niezdyscyplinowany, źle wpływa na drużynę i kompromituje swój kraj.

— Co więcej — grzmiał Malise — nie będę cię tolerował w zespole, dopóki nie zaczniesz się zachowywać jak należy!

Helen siedziała w Bibliotece Londyńskiej, sprawdzając cytaty w maszynopisie tekstu o Disraelim przed posłaniem go do druku. Boże, autorzy naprawdę nie dbają o dokładność! Ten akurat pomieszał wszystko, zmieniał słowa, opuszczał duże fragmenty tekstu, przerabiał długie akapity tak, by pasowały do jego argumentacji. Mimo wszystko cieszyła się, że mogła wyjść z biura. Nigel, który niedawno odkrył, że Helen spotyka się z Rupertem, zatruwał jej życie, oczerniając go, jak tylko mógł. W letnie upały Biblioteka Londyńska była najchłodniejszym miejscem na West Endzie, poza tym Helen zawsze czerpała natchnienie z atmosfery ciszy i skupienia. Rzędy wspaniałych książek, zdjęcia słynnych literatów na klatce schodowej: T.S. Eliot, Harold Nicolson, Rudyard Kipling... Jeśli będzie wytrwale pracować nad swoją powieścią, pewnego dnia może do nich dołączy.

Jednakże spełnienie ambicji literackich ustępowało w tej chwili bardziej palącemu pragnieniu spotkania się z Rupertem. Od dwóch tygodni się nie odzywał, nie zadzwonił ani nie napisał. W poniedziałek miała lecieć do Lucerny, żeby spędzić z nim cały tydzień, a była już środa. Poprosiła o tydzień urlopu. Już widziała drwiącą minę Nigela, kiedy oświadczy, że jednak nie jedzie. A jeśli on faktycznie zadzwoni, a ona pojedzie, czy się nie skompromituje? Czy w odurzającym powietrzu Szwajcarii będzie w stanie trzymać go na dystans? Boże, życie jest trudne. O szybę trzepotała się uparcie mucha. Przy pobliskim biurku ohydny podstarzały facet, pocący się w kraciastym wełnianym garniturze, z brwiami wielkimi jak wąsy, rzucał jej obleśne spojrzenia. Nagle Helen poczuła nienawiść do uczonych

— paskudnych mięczaków z kozią bródką i rozdmuchanym wyobrażeniu o swoim seksapilu, jak Nigel i Paul, a nawet Harold Mountjoy. Chciałaby się wydostać i zacząć żyć, tymczasem tkwiła w pułapce jak ta mucha.

— Macie jakieś książki o kopulacji? — odezwał się głos.

— Nie pracuję tutaj — odparła Helen, a w następnej chwili podskoczyła gwałtownie, gdyż tuż przed nią, opalony i absolutnie niepodobny do naukowca, stał Rupert.

Następna myśl, jaka jej przyszła do głowy, była następująca: to niesprawiedliwe, że zastał ją z włosami niemytymi od dwóch dni, błyszczącą twarzą i bez makijażu. Chwilę później była już w jego ramionach.

— Aniołku — powiedział, całując ją — dostałaś mój list?

— Nie, wyszłam rano, zanim przynieśli pocztę.

— Psst! — odezwał się potępiającym tonem mężczyzna z krzaczastymi brwiami. — Tu się pracuje!

— Wyjdziesz się napić? — zapytał Rupert, tylko trochę ściszając głos.

— Z przyjemnością. Muszę jeszcze sprawdzić jeden cytat, będę za dziesięć minut.

— Pochodzę tu sobie — powiedział Rupert.

Helen znalazła cytat i gdy czesała za kolumną włosy i pudrowała nos, usłyszała głośny, dobrze znany głos:

— Dzień dobry, czy to Ladbrokes? Numer mojego konta to 8KY85982. Chciałbym postawić dychę na Miedzianą Małpę w gonitwie Kempton o drugiej i dwadzieścia na Boba Martina, zakład typu each way w gonitwie o wpół do trzeciej. A, chyba go wykreślili, prawda? No to zmieniam na Sama Szpiega, ale tylko dziesięć funtów, each way.

Purpurowa z zażenowania Helen marzyła o tym, żeby zapaść się w szufladę z fiszkami. Jak Rupert śmie przerywać ciszę w świątyni wiedzy?

— Pracujesz w dziwacznych miejscach — odezwał się, kiedy wyszli na słońce. — Ale Nigel zapewne czuje się tam jak u siebie. Chodźmy do Ritza.

Usiedli w barze na dole. Helen piła napój Buck’s Fizz, Rupert zamówił whisky.

— Nie leć się znowu tapetować — powstrzymał ją, kiedy chciała się wymknąć do łazienki. — Czasami podobasz mi się bez makijażu. Wtedy widzę, jak prawdopodobnie wyglądasz rano. — przesunął palcami po jej policzku. — Tęskniłem.

— Ja też. Jak było w Paryżu?

— Nie za dobrze.

— Czytałam w prasie. Belgravia nie był w formie.

— Coś w tym stylu. Kupiłem ci prezent, ostatni krzyk mody w Paryżu.

Była to jedwabna bluzka w kolorze kości słoniowej wiązana pod biustem.

— Wspaniała! — powiedziała Helen. — Nigdy jej nie zdejmę!

— Hm, zobaczymy.

— Cóż za piękne wykonanie! — zachwycała się Helen, oglądając bluzkę. — Będzie idealna na Lucernę. Nakupiłam tyle ubrań. Mam nadzieję, że pogoda będzie nam sprzyjać.

Rupert zabębnił palcami w ladę, przywołał barmana i zamówił dolewkę.

— Nie będzie Lucerny.

— A dlaczego? — zapytała Helen, niezdolna ukryć rozczarowania.

— Wyrzucili mnie — odparł Rupert ponuro.

— Za kilka złych przejazdów w Pucharze Narodów? To szaleństwo. Przecież to nie twoja wina.

— Właściwie to była moja wina. Malise kazał nam wcześnie chodzić spać. Nigdy nie mogę spać przed zawodami, więc zabrałem Billy’ego na

balety. Popiliśmy ostrzej, niż chcieliśmy, i następnego dnia wszystkie podwójne przeszkody widzieliśmy jako poczwórne.

— Rupert — jęknęła Helen — jak mogłeś tak postąpić? Przecież skakałeś dla Wielkiej Brytanii! Nie mogłeś jednego wieczoru iść wcześniej spać? I jeszcze wciągać w to Billy’ego! Malise na pewno był bardzo rozczarowany.

Rupert spodziewał się współczucia, a nie wyrzutów graniczących z potępieniem.

— Biedny Malise, kogo wystawi za ciebie?

— Nie wiem i nie chcę o tym rozmawiać.

Helen widziała, że jest wściekły, ale nie mogła się powstrzymać.

— To duże rozczarowanie, tak bardzo chciałam pojechać do Lucerny.

— Pojedziemy innym razem. Słuchaj, jutro rano jadę do Plymouth. To targi rolnicze i kwiatowe, tylko dwa duże konkursy dziennie, nie będę miał za dużo zajęć. Może weźmiesz sobie wolne na resztę tygodnia i pojedziesz ze mną?

Helen naprawdę kusiło, żeby się zgodzić.

— Kiedy chciałbyś wyjechać?

— Teraz. Chcę uniknąć korków, wieczorem mam sporo do nadrobienia po trzech tygodniach nieobecności.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— O trzeciej mam spotkanie w redakcji, a do piątku muszę oddać ten maszynopis. Chciałam wszystko wyczyścić przed wyjazdem do Lucerny.

— A ja spieprzyłem ci wypad. Przepraszam — powiedział, chociaż jego głos wcale nie brzmiał przepraszająco.

Helen dopiero się rozpędzała.

— Poza tym w przeciwieństwie do ciebie ja czuję się odpowiedzialna wobec moich współpracowników. Pójście na popijawę w przeddzień Pucharu Narodów to dziecinada. Malise mówił, że mógłbyś być najlepszym zawodnikiem w kraju, gdybyś traktował to nieco bardziej poważnie.

— Czyżby? — odparł Rupert niebezpieczne cichym głosem. Wychylił kieliszek do dna, wyjął dziesięć funtów z portfela i podał je barmanowi. — To nie jest twoja pieprzona sprawa. Ani Malise'a.

Wstał. Helen uświadomiła sobie, że posunęła się za daleko.

— Malise chce dla ciebie jak najlepiej — wyjąkała.

— Jak miło z waszej strony — stwierdził Rupert. — Udanego spotkania. Najwyższy czas, żebyś zajęła się znów Nigelem. Pasujecie do siebie.

I wyszedł.

Rupert wrócił do Penscombe o ósmej rano następnego dnia, kiedy Marion i Tracey ładowały furgonetkę przed czterogodzinną podróżą do Plymouth. Wyglądał okropnie i od razu zaczął krytykować wszystko wokół, potem poszedł do domu wziąć kąpiel i po dwudziestu minutach wyszedł, niezwykle blady, ale znacznie bardziej opanowany.

— Co mu odbiło? — zastanawiała się Tracey.

— Pewnie znów się poprztykał ze swoją ognistowłosą dziewicą — odparła Marion.

Jej podejrzenia się potwierdziły, kiedy Rupert zaczął zmieniać kolejność wprowadzania koni do przyczepy.

— Kogo stawiacie obok Byka?

— Macaulaya. Może wtedy będzie spokojniejszy.

— Nie nazywajcie go tak. Nie będzie nosił imienia tej suki. Może być znów Szatanem, to bardziej do niego pasuje.

Billy prowadził, a Rupert przespał większość drogi do Plymouth. Tor zawodów leżał około kilometra za miastem. Dzień był piękny.

Olśniewające białe obłoczki wesoło przemykały po błękitnym niebie, a po migoczącym oceanie w kolorze akwamaryny równie radośnie sunęły łódki z kolorowymi żaglami. Schodzące rampą konie unosiły głowy i zadowolone wciągały słone powietrze. Rupert wszedł do przyczepy kampingowej, którą przyprowadziła Marion, i nalał sobie dużą szklaneczkę whisky.

— Przeczuwa kłopoty — zwróciła się Marion do Tracey.

Po drodze do namiotu sekretarza, w którym rejestrowano zawodników, Billy opowiedział Rupertowi o ostatniej porażce Ivora Braine'a.

— Wybierał się do sklepu, poprosiłem, żeby mi kupił paczkę papierosów. Powiedziałem: „Jeśli nie będzie rothmansów, weź cokolwiek", a on wrócił z pasztecikiem wieprzowym!

Billy nagle uświadomił sobie, że stracił słuchacza. Obejrzał się — na twarzy Ruperta zagościł czujny, drapieżny, niebezpiecznie spokojny wyraz. Podążając za spojrzeniem Ruperta, dotarł do opalonej blondynki w bladoróżowej sukience bez rękawów. Na oko trzydziestopięcioletnia kobieta rozkładała zielone płótno na stole.

— Wspaniała — zamruczał Rupert.

— Mężatka — uprzedził Billy.

— I dobrze — odparł Rupert. — Mam dość dziewic z odzysku.

Blondynka uniosła wzrok. Billy uznał, że naprawdę jest bardzo ładna. Rupert uśmiechnął się do kobiety. Ta odwzajemniła uśmiech, lekko zdziwiona, lecz na widok znajomej twarzy założyła, że się znają.

W drodze powrotnej z rejestracji zobaczyli kobietę wyjmującą z samochodu wielki puchar Challenge Cup. Na stole stały już inne puchary.

— Może ja! — zaoferował się Rupert, zrywając się do biegu i przejmując od niej puchar.

— Och! — kobieta podskoczyła — jak miło. A, to pan. — kiedy uświadomiła sobie, kim jest Rupert, oblała się rumieńcem. — Pewnie później go pan zdobędzie.

— Mam nadzieję — odparł Rupert, stawiając puchar na zielonym płótnie, po czym zerknął na napis. — Ten jest dla myśliwych kategorii lekkiej. Jestem na pewno myśliwym — rzucił jej pochwalne spojrzenie — kiedy trafię na atrakcyjną zwierzynę... ale nie aż takim lekkim.

Kobieta wydawała się zachwycona tekstem, miło widzieć, że kogoś śmieszą jego żarty.

— Czy nie powinien pomagać pani mąż? — Rupert podał kobiecie kolejny puchar.

— Jest w Madrycie, jakiś problem z zamówieniem. Musiał lecieć dzisiaj rano.

„Coraz lepiej” — pomyślał Rupert, przesuwając spojrzeniem po zarysie jej okrągłych, jędrnych pośladków, kiedy kobieta zaglądała na tył samochodu.

— Niech to — powiedziała. — Miałam zabrać duży bukiet groszku pachnącego, żeby postawić na stole, musiałam go zostawić na werandzie.

— Może wpadł pod przednie siedzenie — zasugerował Rupert z nadzieją na kolejny ładny widok.

— Nie! — kobieta wynurzyła się z samochodu, potargana i zarumieniona. — O nie, a miałam związać je wstążką i zrobić bukiet dla pani burmistrz.

— Pojadę po nie i przywiozę.

— Nie da pan rady. To naprawdę spory kawałek drogi.

Rupert pogłaskał ją po ramieniu.

— Proszę zostawić to mnie. Znajdę bukiet.

Poszedł do przyczepy, wypił dwie kolejne whisky, a potem ruszył na polowanie. Zajrzał do namiotu ogrodniczego, panowały w nim mrok i chłód, pachniało jak w szklarni, a porozstawiane bukiety odcinały się tęczowymi plamami. W głębi widział grupę sędziów pochylonych nad dyniami, które podawali sobie z rąk do rąk.

Po krótkiej chwili znalazł to, czego szukał: bukiet wielkich, karminowych róż z bilecikiem dla zdobywcy pierwszej nagrody i wizytówką z nazwą zawodów obok. Niezauważony przez nikogo Rupert złapał bukiet i wyślizgnął się z namiotu. W pobliżu nie było nikogo oprócz potężnej kobiety w kapeluszu, która tresowała swoje dwa rottweilery.

Rupert wrócił do przyczepy i włożył róże do dużego dzbanka.

— Skąd ty je wytrzasnąłeś? — zdziwił się Billy, który akurat wkładał spodnie.

— Nieważne.

— Skaczesz z kwiatka na kwiatek — skomentował Billy, podczas gdy Rupert ułożył kwiaty, a potem nalał sobie kolejną szklaneczkę whisky.

— Lepiej sobie odpuść — ostrzegł Billy. — I nie daj się ponieść. Mamy zawody za trzy kwadranse.

— Proszę — powiedział Rupert do blondynki.

— Jakie piękne! — ucieszyła się kobieta. — To chyba odmiana Ena Harkness, a pachną niebiańsko. Mam nadzieję, że nie kupił pan tego bukietu?

Rupert wydał z siebie nieartykułowany dźwięk.

— Czyli jednak pan kupił i zmiażdżył łodygi różom, żeby nie zwiędły. W samochodzie mam wstążkę, na razie postawię je w cieniu. Muszę się panu zrewanżować. Zapraszam na drinka po zawodach. Przy okazji, nazywam się Laura Bridges.

Rupert obiegł tor, na którym zawodnicy rozgrzewali konie.

— Słyszałem, że Ruperta odrzucili — odezwał się Driffield do Billy’ego z nutą satysfakcji.

— Czy to pławda, że Malise złapał go w łóżku z łepołtełką „Tatleła”? — zachichotała Lavinia. — Jest okłopny.

— Na miłość boską, tylko nie wspominajcie mu o tym — poprosił Billy. — Jest w nie najlepszym nastroju.

— A co z tą rudą ślicznotką? — wtrącił Humpty. — Sam bym do niej uderzył.

— Ja też — dodarł Driffield — ale jak rozumiem, nie jest łatwa.

— Zamknijcie się — powiedział Billy — właśnie idzie.

Rupert przykłusował na Macaulayu, roztrącając przechodniów.

— To nowy koń — stwierdził Humpty.

— Gdzie go kupiłeś? — zapytał kpiąco Driffield. — Na świńskim targu?

Zebrani wybuchnęli śmiechem, ale miny im zrzedły w połowie trasy, kiedy Rupert przejechał bez jednego punktu karnego. Osiągnął właśnie poziom upojenia alkoholowego, w którym jeździł idealnie, gdyż brak zahamowań łączył z doskonałym wyczuciem czasu. Odkrył także, że Macaulay uwielbia tłumy. Przyzwyczajony do podziwu i pochwał, kiedy jeździł w oddziale ulicami Londynu, naprawdę nabierał wiatru w żagle i zamieniał się w zupełnie inne zwierzę z chwilą, kiedy wchodził na arenę i słyszał oklaski.

— Jeśli będziesz tak świetnie sobie radził, może nieuczciwie będzie wracać do imienia Szatan — powiedział do niego Rupert, zjeżdżając z trasy i głaszcząc z zadowoleniem wierzchowca.

Nad głowami tłumu widział przyjazd pani burmistrz, która otoczona przez urzędników zmierzała ku nakrytemu zielonym płótnem stolikowi Laury Bridges, niewątpliwie po to, by odebrać swój bukiet. Rupert zeskoczył z siodła, podał wodze Marion i pobiegł rzucić okiem.

Harold Maynard, król ogrodników z Plymouth, od pięciu lat zdobywał pierwszą nagrodę za swoje róże. Wszedł do namiotu, pewny, że czeka go szósta wygrana i... zamarł, kiedy nie zobaczył bukietu swoich najlepszych kwiatów. Już miał zgłosić stratę sekretarzowi pokazu, żeby ogłoszono ją przez głośniki, kiedy nagle zobaczył swoje tak wypieszczone kwiaty odmiany Ena Harkness, przewiązane szkarłatną wstążką, wręczane pani burmistrz przez dygającą harcerkę.

— Co za przepiękne kwiaty — powiedziała uprzejmie pani burmistrz, która szczyciła się swoim podejściem do dzieci. — Nigdy nie widziałam tak wspaniałych róż.

Pan Maynard wrzasnął rozwścieczony, przepchnął się przez tłum widzów i chwycił bukiet.

— Ukradliście moje róże! To Ena Harkness! — zawołał.

Pani burmistrz się skrzywiła.

— Właśnie otrzymałam je od tej panienki.

— A ty gdzie je dostałaś? — pan Maynard odwrócił się gniewnie do przestraszonej dziewczynki.

— Pani Bridges mi je dała — wyszeptała.

— A to kto? — zagrzmiał pan Maynard, wymachując bukietem róż jak pałką policyjną.

— To ja — odparła Laura Bridges. — Niech pan nie krzyczy na to biedne dziecko.

Rupert zastał Laurę Bridges, Harolda Maynarda, paru jego przyjaciół ogrodników, kilku urzędników zawodów i panią burmistrz w samym środku zażartej kłótni. Harcerka płakała na całe gardło.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Ta pani ukradła moje róże! — wrzasnął pan Maynard, zabijając wzrokiem Laurę Bridges.

W tej chwili Rupert chwycił go za kołnierz.

— Nie odzywaj się tak do niej, ty pieprzony kutasie! Nie ukradła ich, przeproś panią!

— To moje róże, a ty uważaj na język! Wezwę policję! — wrzeszczał pan Maynard.

— Nikogo nie wezwiesz! — odparł Rupert, chwycił pana Maynarda i wepchnął go za siebie, do pobliskiego namiotu z kwiatami i produktami rolnymi.

W następnej sekundzie czterech kolegów Maynarda skoczyło na Ruperta. Ten odepchnął ich od siebie i zanurkował do namiotu za panem Maynardem, po czym złapał blachę ciasta i wycelował prosto w czerwoną, rozzłoszczoną twarz przeciwnika. Rupert odwrócił się i zaczął bombardować ciastkami z kremem kolegów Maynarda, którzy przypuścili atak na namiot. Ciasto z bitą śmietaną przeleciało nad ich głowami i trafiło prosto w twarz pani burmistrz. Oddział działkowców ruszył do zmasowanego ataku na Ruperta, groźnie wymachując wielkimi dyniami, ale w tej chwili przybyły posiłki w postaci Billy’ego, Humpty’ego, Ivora Braine’a i Driffielda, którzy złapali, co im wpadło pod rękę i zasypali pociskami ogrodników. Marchewki, rzepa, kapusta, ciasto z rabarbarem i kremem krzyżowały się w powietrzu.

— Co się tu dzieje, do cholery? — zapytał Humpty. — Za kilka minut startujemy.

W tej chwili placek z wiśniami i czekoladą, rzucony przez pana Maynarda i wycelowany w Ruperta, trafił Humpty’ego prosto w czoło. Wyjąc jak prawdziwy byk, wycierając krem z oczu, Humpty skoczył na Maynarda i zaczął okładać go pięściami. Driffield z bezpiecznego schronienia za długim białym stołem rzucał w gąszcz biszkopty, od czasu do czasu robiąc sobie chwilę przerwy na spróbowanie kęsa. Trzech

ogrodników przygwoździło Billy’ego do ziemi i biło wielkimi maczugami pietruszki.

— Przestańcie, tchórze! — zawołała Lavinia Greenslade. — Trzech na jednego to nie w porządku! — po czym kopnęła każdego po kolei w pośladki, ujęła krzesło i zaczęła walić nim rywali po głowach.

Nagle rozległo się wycie syren policyjnych.

— Lepiej spadajmy — stwierdził niechętnie Humpty.

— Chodźcie — poparł go Driffield, wpychając kawałki kruchego ciasta do kieszeni i ruszając biegiem do wejścia namiotu.

Jednak było już za późno, gdyż we wnętrzu zaroiło się od policjantów. Zawodnicy i ogrodnicy zaczęli się powoli zbierać z podłogi.

— Kto rozpoczął walkę? — zapytał sierżant, wyjmując notes. — Dzień dobry, panie Lloyd-Foxe, dzień dobry, panie Hamilton.

Przez moment nikt się nie odzywał. Potem w kącie coś się poruszyło, ktoś wspierając się na stole z krzyżaków, wstał z trudem. Był to Rupert.

— To ja, panie władzo — powiedział, machając im ręką. — Ale on mnie sprowokował — dodał, wziął ostatnie nagrodzone ciasto i rzucił je w pana Maynarda.

Niestety, nie trafił, ciasto zrzuciło kask z głowy policjanta.

— Spisać go — polecił sierżant.

— Nie możecie! — zaprotestował Humpty z oburzeniem, wycierając czekoladę z włosów. — On ma za chwilę skakać!

Nastąpiła głośna wymiana zdań zakończona groźbą policjantów, że spiszą wszystkich zawodników.

— Nie możecie tego zrobić! — powtórzył przerażony sekretarz konkursu. — Publiczność przyjechała specjalnie dla nich. Mają jeszcze dwa duże pokazy.

— Jego zatrzymuję — stwierdził sierżant, zakładając kajdanki Rupertowi. — Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś tak przeklinał.

Po drodze do wyjścia zatrzymała go Laura Bridges.

— Tak mi przykro, to wszystko moja wina.

Rupert uśmiechnął się szeroko.

— Nie przejmuj się nic a nic, skarbie.

— Wyciągnę cię z tego — obiecał Billy.

— Nie teraz — podpowiedział Humpty. — Wykupisz go po zawodach.

Wczesnym wieczorem Billy i Laura Bridges, którzy poruszyli niebo i ziemię, dotarli na komisariat. Policja zgodziła się wypuścić Ruperta, pod warunkiem że ten stawi się w sądzie rankiem następnego dnia. Zastali go trzeźwiejącego w celi, grającego w pokera z dwoma konstablami, którzy przypadkiem byli fanami skoków. Historia trafiła do wieczornych wydań gazet, więc na widowni i przed wejściem zaroiło się od dziennikarzy. Ruperta przemycono tylnym wyjściem.

Pomimo upału trząsł się jak przemoczony szczeniak. Wyglądał okropnie.

— Chodź ze mną do domu — powiedziała Laura. — Ukryjesz się przed dziennikarzami i przynajmniej porządnie się wyśpisz.

Billy, który chciał się spotkać z Lavinią, poszedł z powrotem na arenę. W samochodzie Rupert opadł na siedzenie i przymknął oczy.

— Jak się czujesz?

— Trochę mnie głowa boli. Nie wiem, czy to kac, czy te latające warzywa.

— Czyli to ty zabrałeś róże z namiotu?

— Tak.

Laura pogłaskała go po kolanie.

— Jakie to słodkie.

— Mogę wziąć kąpiel? — zapytał, kiedy dojechali do niej do domu. — Muszę zmyć ciasto z włosów.

Kiedy zszedł już przebrany w sweter i dżinsy dostarczone przez Billy’ego, zastał Laurę w kuchni. Ona też przebrała się w jasnoniebieską bawełnianą sukienkę na ramiączkach ukazującą piękne brązowe ramiona.

— Kiedy ostatnio jadłeś? — zapytała.

— Nie pamiętam.

Podała mu szklankę zimnego mleka.

— Dobrze ci zrobi — powiedziała, po czym wyjęła ze spiżarni spory stek. — Przyłóż na oko, jeśli chcesz, albo ci go usmażę.

Rupert uznał, że jednak umiera z głodu.

— Dwie gazety dzwoniły w czasie twojej kąpieli — oznajmiła Laura, włączając grill. — Powiedziałam im, że pojechałeś do przyjaciół mieszkających w Exeterze.

Rupert podszedł do niej i pocałował w nagie ramię.

— Przemiła z ciebie dama.

Zjedli w półcieniu ogrodu w przyjaznym milczeniu. Potem Rupert zawędrował do bawialni. Tam przyjrzał się zdjęciu mężczyzny na biurku.

— To twój mąż?

Laura pokiwała głową.

— To mój Charlie.

— Przystojniak. Jesteś z nim szczęśliwa?

— Bardzo.

Laura miała również trójkę dzieci, najmłodsze właśnie poszło do gimnazjum.

— Kocham je, ale po trzynastu latach małżeństwa cudownie jest mieć dom tylko dla siebie.

Kołysała się łagodnie w hamaku. Za każdym razem, kiedy przesuwała się w jego stronę, jej jasne włosy lśniły w świetle lampy przebijającym przez szybę. Rupert chętnie usiadłby obok niej, ale bał się, że kołysanie przyprawi go o mdłości.

— Nie nudzi się wam seks?

Laura pokręciła przecząco głową.

Rupert ujął ją za rękę i pociągnięciem postawił na nogi. W jego dłoniach była miękka jak miód i miło jędrna. Zsunął dłoń na jej szyję z zawiązanym ramiączkiem sukienki.

— Chyba nie powinieneś — powiedziała Laura. — Po tej walce na pewno kiepsko się czujesz.

— Ale po tym na pewno poczuję się lepiej.

Rupert powoli rozwiązał supeł, sukienka zsunęła się na ziemię. Pod nią Laura była naga. Na ciepłych, złocistych piersiach widział delikatne niebieskawe żyłki. Miała pełne uda i zaokrąglone biodra. Za kilka lat jej ciało zwiędnie jak piwonia, ale teraz wyglądało imponująco. Świadoma tego kobieta patrzyła na niego bez zakłopotania.

Rupert przyciągnął ją do siebie.

— Chcę, żeby ci było fantastycznie — zamruczał. — Powiedz, co cię podnieca.

O trzeciej nad ranem zadzwonił telefon. Laura wyciągnęła rękę.

— Charlie, kochanie, gdzie jesteś? — zapytała, udając zaspany głos. — O, świetnie. Możesz dolecieć do Plymouth, wyjadę po ciebie. Też godzina na przylot! Na pewno jesteś wykończony. Tak, u mnie dobrze. Pokaz bardzo się udał. Kocham cię, skarbie, wszystko ci opowiem, jak się zobaczymy. Pa.

— Gdzie on jest? — zapytał Rupert.

— W Madrycie. Będzie za trzy godziny, przyleci swoim samolotem.

— Dobrze, że nie zeskoczył nam nagle na spadochronie — roześmiał się Rupert.

— Po drodze podrzucę cię na teren zawodów.

Rupert wtulił się w jej piersi.

— Chodź do mnie, nie mamy czasu do stracenia.

Nastał kolejny piękny dzień. Kobaltowe niebo wisiało nad ciemnozielonymi dębami. Wyszli z domu tuż po świcie. Rupert wciągnął zapach kurzu, róż i nadchodzącego deszczu.

— Lauro — odezwał się, kiedy dotarli na przedmieścia Plymouth — wczoraj, kiedy się spotkaliśmy, byłem naprawdę w kiepskim stanie. Byłaś dla mnie bardzo dobra. Chyba powinienem napisać do Charliego liścik z podziękowaniem.

— Masz stałą dziewczynę? — zapytała Laura. — Oprócz tego stada, które za tobą biega.

— Właśnie się rozstaliśmy.

— Dlaczego?

— Jest zbyt poważna i nie chce iść ze mną do łóżka.

— Zwariowała. Jesteś ósmym cudem świata.

— Przy tobie tak. — Rupert wsunął dłoń między jej nogi i lekko nacisnął. — To chyba najlepsze bzykanko w moim życiu. Gdybym nie był tak rozwalony, zaciągnąłbym cię do przyczepy na powtórkę. Wyjeżdżasz czasami do Londynu albo Gloucestershire? — zapytał, kiedy Laura zahamowała przy terenie wyścigów.

— Czasami, na ogół z Charliem.

— No to zostaje przyszłoroczny pokaz.

— W przyszłym roku Charlie pewnie przyjedzie ze mną.

Rupert ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

— Jakoś się jeszcze spotkamy, tak szybko cię nie zapomnę.

Laura odprowadzała go wzrokiem, kiedy szedł przez pokrytą rosą trawę swoim wspaniałym, sprężystym krokiem sportowca, z czerwonym płaszczem przerzuconym przez ramię. Kiedy odwrócił się, żeby jej pomachać, ucieszyła się, że Charlie wraca. Temu mężczyźnie trudno się oprzeć. Pod pozorami macho był naprawdę bezbronny. „Mogłabym go wyprostować” — pomyślała tęsknie.

Rupert ruszył do stajni. Chyba nigdy jeszcze nie czuł się tak zmęczony. O dziewiątej miał się stawić w sądzie, musi przedtem przespać się chociaż kilka godzin. Miał nadzieję, że prasa nie rzuci się na tę historię jak sępy na padlinę. Mogą go zawiesić nawet na rok. Malise się ucieszy.

Wszyscy jeszcze spali. Belgravia i Mayfair leżały na ziemi, jednak Macaulay, któremu brakowało wojskowego życia, cieszył się z każdej rozrywki, teraz wystawił głowę i zaczął trącać Ruperta w nadziei na miętusy.

— Z tego co pamiętam — powiedział do niego Rupert — wczoraj cholernie dobrze skakałeś. Przez kolejne kilka miesięcy musimy naprawdę pokazać Malise’owi Gordonowi, ile jesteśmy warci, tak, żeby nie miał wyjścia i przyjął nas znów do drużyny. Chyba trzeba ci wymyślić nowe imię, może Bridges?

Jednak wlokąc się w kierunku przyczepy, przypomniał sobie dzień, kiedy kupił Macaulaya i poczuł ucisk w lędźwiach z tęsknoty za Helen. To zapewne ze zmęczenia poddaje się sentymentom. Cholera, w przyczepie pali się światło. Billy znów poszedł spać pijany. Rupert znalazł klucz za lewym przednim kołem, tam gdzie zawsze. Wszedł ostrożnie — może Billy ukrył się tutaj z Lavinią.

Przez chwilę miał wrażenie, że śni. Na podwójnym łóżku, widocznie naga, przykryta po piersi granatową kołdrą, leżała Helen. Pod oczami miała silne cienie, najwyraźniej płakała. Wydawała się bardzo krucha i

przerażona. Przez kilka sekund Rupert przyglądał się jej z nieruchomą twarzą.

— Jak się tu dostałaś? — zapytał ozięble.

Jednak kiedy po jej policzkach zaczęły spływać łzy, przeszedł przez pomieszczenie i objął ją ramionami. Po postawnej Laurze Helen wydawała się krucha jak dziecko.

— Kochanie, wszystko dobrze.

— Tak strasznie przepraszam! — wyszlochała Helen. — Wiedziałam, że się upiłeś i wdałeś w tę okropną bójkę, bo przedwczoraj naprawdę potraktowałam cię bardzo źle.

— Nieprawda.

— Właśnie że tak. Byłeś przygnębiony, bo wyrzucili cię z drużyny, a ja tylko ci dołożyłam, obwiniając i prawiąc kazania. Powinnam była bardziej cię wspierać, byłam niemiła. Masz rację, jestem hipokrytką. Wcale nie kocham Harolda. Kocham ciebie, głupio nie przyznawać się do tego.

Teraz płakała już na całego. Rupert wyjął chusteczkę, ale niepewny, czy nie wytarł nią Laury Bridges, schował ją szybko i złapał garść chusteczek higienicznych z pudełka stojącego obok łóżka.

— Możesz się ze mną kochać, kiedy tylko masz na to ochotę — zaoferowała Helen.

— Tylko jeśli ty tego chcesz — odparł Rupert łagodnie.

— Chcę — jej wargi zadrżały — chcę najbardziej na świecie. Tylko tak bardzo boję się, że cię stracę.

Rupert objął ją mocniej.

— Nie stracisz.

— Tak bardzo cię pragnę — błagała Helen.

„Jezu, wracam do domu śmierdzący jak stary lis i tak wykończony, że niezdolny do niczego” — pomyślał Rupert.

Wziął ją za ręce.

— Za bardzo cię szanuję, żeby cię zmuszać — powiedział poważnie.

— Nie musisz być uprzejmy. Naprawdę tego pragnę.

— Ale to byłoby nie w porządku.

Nagle go oświeciło.

— Pobierzmy się.

— Pobierzmy? — wyszeptała z niedowierzaniem Helen.

— A czemu nie? To coś innego.

— Na pewno nie jesteś jeszcze...

— Pijany? Absolutnie. Od wczoraj w południe nie wypiłem ani kropli.

Rupert zdjął buty i opadł na łóżko obok Helen. Potem zdjął z palca sygnet i wsunął jej na palec, na którym nosi się obrączkę.

— To musi na razie wystarczyć, póki nie kupię ci pierścionka zaręczynowego.

Helen spoglądała na sygnet niezdolna wypowiedzieć słowa, obracając go na palcu.

— Naprawdę tego chcesz?

— Naprawdę. — Rupert opadł na łóżko i roześmiał się. — Wczoraj rano byłem na ciebie tak wściekły, że zmieniłem imię Macaulayowi. A teraz ty zmienisz nazwisko, więc może powinienem go nazwać Campbell-Black. Boże, jaka ty jesteś piękna. Przez resztę życia mogę zasypiać, licząc twoje piegi.

Po chwili spał już głęboko. Obudziła go Helen na godzinę przed sprawą w sądzie.

— Boże! — zawołał zaskoczony. Potem na widok sygnetu na jej palcu stopniowo przypomniał sobie wydarzenia ostatnich kilku dni.

— Rupercie — powiedziała Helen, gorączkowo obracając sygnet na palcu — kiedy wróciłeś rano, oświadczyłeś mi się. Ale szczerze, jeśli

zmieniłeś zdanie, zrozumiem.

— Kochanie. — Rupert przyciągnął ją do siebie, poczuł zapach pasty do zębów i umytego ciała. Helen na pewno wstała kilka godzin temu. — Oczywiście, że tego chcę. Jest tylko jeden problem...

— Jaki? — zapytała Helen, blednąc.

— Nie przypominam sobie, żebyś przyjęła oświadczyny.

Helen otoczyła go ramionami i zaczęła gwałtownie całować.

— Tak, tak, proszę! Obiecuję, że będę cię wspierać. Nauczę się wszystkiego o koniach i będę ci pomagać w robieniu kariery.

Rupert zrobił zaniepokojoną minę.

— Nie musisz posuwać się aż tak daleko... muszę się wysikać.

Kiedy wrócił, ramiona Helen zacisnęły się wokół niego z siłą imadeł. Odsunął ją.

— Poczekaj, chcę ci się najpierw przyjrzeć.

Helen zawstydzona schyliła głowę, a on podziwiał jej szczupłe ramiona, wąską talię, wystające kości biodrowe. Delikatnie pogłaskał drobne, białe piersi.

— Są piękne — zamruczał.

— Za małe — wymamrotała Helen. — Chciałabym mieć imponujący biust, tak ze sto centymetrów w obwodzie, jak poduszki, na których można zasnąć.

— Niania zawsze nam powtarzała, że zdrowiej dla kręgosłupa jest spać bez poduszki — odparł Rupert, po czym, uświadomiwszy sobie, że to nie czas na żarty, pocałował kasztanowe sutki, czekając, aż stwardnieją pod jego językiem.

Z uczuciem obezwładniającego triumfu popchnął ją na łóżko i zaczął przesuwać się w dół, całując po żebrach, a potem po brzuchu.

— Nie — zachłysnęła się, łapiąc go za głowę.

Stanowczo odsunął jej dłonie.

— Milcz, teraz jesteś moja, mogę z tobą robić, co chcę. — czując, jak Helen drży z pożądania, zsuwał się ustami w dół, ku rudemu puszkowi. Nagle natknął się na sztywną, lakierowaną masę przypominającą jeża.

— Co do cholery? — zawył. — Chcesz mnie otruć?

— To tylko dezodorant intymny — wymamrotała Helen.

— To nie żaden dezodorant, kochanie, przez pomyłkę spryskałaś się lakierem!

Mimo jej krzyków wziął ją na ręce, zaniósł pod prysznic i trzymał pod wodą, dopóki nie spłukał się cały dezodorant, wtedy rzucił ociekającą wodą dziewczynę na łóżko.

— Wyjaśnijmy sobie jedno, lubię twój smak. Nie chcę, żeby mi go zacierały jakieś pieprzone dezodoranty. Chociażbym miał to przypłacić życiem, oduczę cię tego amerykańskiego purytanizmu.

W sądzie Rupert wywinął się solidną grzywną. Jego adwokat, przyzwyczajony do kłopotów, w które Rupert regularnie się pakował, przyjechał w nocy. Zeznał, że poprzedniego dnia pan Campbell-Black pokłócił się z dziewczyną, co tak wytrąciło go z równowagi, że się upił. Kochankowie się pogodzili i para planuje ślub, a jego klientowi jest bardzo przykro. To się już nie zdarzy. Dziennikarze byli tak oczarowani, że skupili się na pierścionku zaręczynowym, a nie na bójce.

Później, między przejazdami, Rupert wpadł na Laurę, która przedstawiła mu swojego męża, Charliego. Porozmawiali bardzo przyjaźnie. Kiedy Charlie odszedł do znajomych, Laura odezwała się cicho:

— Tak się cieszę, że chcesz się z nią ożenić.

Rupert uśmiechnął się szeroko.

— Podarujesz mi w prezencie ślubnym kolejną noc?

Laura spojrzała na niego z naganą.

— Twojej nowej żonie to się nie spodoba.

— Oj tam — odparł Rupert lekko — musi mnie zaakceptować takim, jaki jestem.

14

NIEMAL DWA LATA PÓŹNIEJ Helen stała na środku swojej sypialni w Penscombe, zastanawiając się i próbując zdecydować, co spakować do Rzymu, a potem do Madrytu. Wyjeżdżali z Rupertem na prawie trzy tygodnie, więc będzie potrzebowała przynajmniej trzech walizek, żeby zmieścić garderobę na zwiedzanie, pływanie, opalanie, zawody, w których wystąpi Rupert, oraz na mnóstwo przyjęć i kolacji zawsze towarzyszącym ważnym zawodom za granicą. Zaczęła studiować kolejną listę, potem zgniotła kartkę. Jednak nawet ubrania zaścielające wszystkie powierzchnie pokoju nie były w stanie przesłonić jego urody — wysokiego sufitu, wielkiego łoża z baldachimem, ścian w kolorze spłowiałego różu, zasłonek w bladożółte i różowe paski oraz puszystego bursztynowego dywanu. Na toaletce obok łóżka stały wielkie bukiety żółtych irysów. Nastrój wschodu słońca doskonale podkreślał karnację i kolor włosów Helen. Tak przynajmniej stwierdziła dziennikarka „House and Garden”, która tydzień wcześniej przyjechała sfotografować dom i ogromne zmiany wprowadzone przez Helen.

Na szezlongu w kolorze pierwiosnków leżało najnowsze wydanie „Vogue” ze zdjęciami nowych piękności. Najpiękniejsza była niewątpliwie pani Rupertowa Campbell-Black — zdjęcie ukazywało Helen z szeroko otwartymi oczami i łabędzią szyją, z rozwianymi przez wentylator tycjanowskimi włosami, z brylantami od Ruperta w uszach i na szyi. Obok czasopisma leżały przewodniki po Rzymie i Madrycie oraz rozmówki włoskie i hiszpańskie. Helen bardzo poważnie traktowała swoje zagraniczne wycieczki, starała się jak najwięcej zobaczyć i nauczyć języka.

Obok książek leżał dziennik — ten sam ciemnozielony zeszyt, który miała jeszcze w Regina House. Ze wstydem musiała przyznać, że od ślubu z Rupertem zapisała mniej niż połowę notatnika, jedynie wspominając o wydarzeniach ostatnich lat, zdecydowanie najciekawszych w jej dotychczasowym życiu. Była jednak zbyt zajęta rzeczywistością, by jeszcze o niej pisać.

Pamiętała dzień, w którym Rupert się jej oświadczył. Po południu siedziała na trybunie z Doreen, żoną Humpty'ego Hamiltona, jeszcze od niego grubszą i bardziej nerwową, matką dwójki dzieci. Wspólnie kibicowały Rupertowi i Humpty'emu. Helen, oszołomiona szczęściem, nie mogła się powstrzymać, by nie podzielić się nim z Doreen. Ta zareagowała z wielką radością i szybko zabrała Helen do baru na drinka, po czym udzieliła jej kilku dobrych rad.

— Jeśli wyjdziesz za koniarza — powiedziała wtedy — zaangażuj się w jego karierę możliwie jak najmocniej i kiedy tylko możesz, wyjeżdżaj z nim, nawet jeśli miałabyś sypiać w samochodach czy przyczepach albo podrzędnych hotelach. A jeśli nagle mąż zadzwoni do ciebie z wyjazdu i poprosi, żebyś przyjechała do Rzymu albo do Windsoru, albo do Crittleden, to ruszaj od razu, nawet jeśli akurat umyłaś głowę i założyłaś wałki albo położyłaś dziecko spać. Jeśli tego nie zrobisz, zawsze jakaś trzecia chętnie wskoczy na twoje miejsce.

W uniesieniu wywołanym odwzajemnioną miłością do Ruperta Helen nie wyobrażała sobie, by mógł on zakochać się w innej, albo żeby inna kobieta uganiała się za małym, grubym Humptym, mimo to jednak poszła za radą Doreen i starała się jak najczęściej wyjeżdżać z Rupertem. Nie wymagało to wielkiego poświęcenia, gdyż jego przyczepa była luksusowa, a kiedy jechali za granicę, Rupert zawsze upierał się przy porządnych hotelach. Często zatrzymywali się też u jego bogatych znajomych, których miał

chyba w każdym kraju, a ci zawsze chętnie ich gościli. Jednak z tego powodu Helen stale musiała wyglądać jak najlepiej.

Podeszła do okna otoczonego kaskadą aromatycznych, leciutko różowych kwiatów powojnika i spojrzała na dolinę, szmaragdowozieloną po tygodniach ulewnych deszczów. Przypomniała sobie chwilę, w której po raz pierwszy ujrzała ten dom. Rupert i Billy po wygranej w ważnych zawodach w ostatnim dniu Royal Plymouth postanowili zostać jeszcze na wieczornym przyjęciu. Po kilku godzinach szaleńczej zabawy Rupert odwrócił się nagle do Helen i powiedział:

— Chyba czas, żebyś poznała moją garsonierę.

Załadowali więc konie na przyczepę i wyruszyli do Gloucestershire. Helen siedziała w środku, grzana przez obu mężczyzn.

— Płat świeżutkiego wędzonego łososia między kromkami starego chleba — skwitował Billy.

Helen zasnęła i obudziła się dopiero w dolinie, kiedy zbliżali się do Penscombe. Słońce właśnie wstało, rysując purpurowe linie na powoli płowiejącym niebie i zalewając czerwienią łany trybuli po obu stronach drogi. Nagle konie zaczęły przebierać kopytami, Mavis i Borsuk, leżące na kolanach Billy’ego i Helen, obudziły się i zaczęły węszyć z podnieceniem.

— Au! — zawołał Billy. — Borsuk, przygniotłeś mi krocze. Rupert, może wreszcie obetniesz mu pazury?

Helen spojrzała na miodową sylwetkę domu spoczywającego na tle bladozielonych buków.

— Co za piękny budynek — powiedziała zaskoczona. — Kto tam mieszka?

— Ty — odparł Rupert. — To twój nowy dom. — po czym obaj z Billym roześmiali się na widok jej oszołomienia.

— Nie wierzę — wyszeptała. — Jest tak stary i piękny... prawdziwa rezydencja.

— Z bliska może się okazać nieco mniej imponujący — przyznał Rupert, zwalniając.

Wjechał furgonetką prosto do stajni, gdzie Marion i Tracey, które przyjechały dzień wcześniej z przyczepą kempingową, czekały, żeby wyprowadzić konie.

Rupert zostawił przyjacielowi dopilnowanie rozładunku, a sam zaprowadził Helen do domu, wyjął butelkę szampana, dwa kieliszki i wyszedł z dziewczyną na taras. Pod nimi leżała dolina, biała od porannej rosy, otulona leciutką mgiełką unoszącą się znad płynącego środkiem strumienia. Na przeciwległym zboczu promienie słońca przesiewały się przez gałęzie drzew, które z kolei rzucały długie, popielate cienie na pola. Spomiędzy promieni, jak w baśni, wyszły leniwie trzy gładkie, piękne konie krwi angielskiej należące do Ruperta — dwa siwki i jeden kasztan. Zarzuciły głowami, ruszyły galopem i pobiegły radośnie doliną, znikając we mgle jak istoty ze snu.

Helen oparła się o balustradę i chłonęła widok całą sobą. Las za jej plecami wypełniały dzwonki, drozdy śpiewały w kępie białych bzów po lewej. Borsuk, zmęczony długą jazdą, wędrował po ogrodzie, podlał żółte irysy, po czym szczęśliwy rzucił się do sadzawki.

— Nie widziałam nic piękniejszego — powiedziała Helen cicho. — Nie jesteś jakimś księciem, co? Czuję się jak żebraczka z wiersza o królu Cophetui.

— Jakim królu? — zapytał Rupert, opierając się biodrem o omszałą balustradę i otwierając szampana. Korek poleciał w powietrze i wylądował w różach.

— Czy to wszystko twoje?

— Do tej wsi po prawej. — nalał szampana do kieliszka i podał dziewczynie. — Zresztą teraz to także twoje, kochana, każdy cal.

Helen uniosła wzrok i zobaczyła, że Rupert się uśmiecha. Nawet leciutki zarost i worki pod łobuzersko lśniącymi oczami nie ujmowały nic jego urodzie.

— Tak jak każdy cal twojego ciała należy teraz do mnie — dodał cicho.

W tej chwili Helen uświadomiła sobie, że Rupert nie kojarzy się jej z królem Cophetuą, ale z szatanem kuszącym Chrystusa na pustyni słowami „To wszystko może być twoje”.

Przeszył ją dreszcz niepokoju i przeczucie kłopotów. Wtedy Rupert trącił się z nią kieliszkami, wypił i powiedział:

— Chodźmy do łóżka.

— Nie możemy — zająknęła się Helen. — Co sobie inni pomyślą?

— Że poszliśmy do łóżka — wyjaśnił Rupert.

Na górze wyciągnął wtyczkę telefonu z gniazdka, ale nie zamknął drzwi na klucz.

— Przynajmniej zasłonię okna — powiedziała Helen.

— Ja bym tego nie robił — odparł Rupert.

Jednak ona szarpnęła energicznie za ciężkie bordowe zasłony, które razem z karniszem spadły jej na głowę, wzbijając ogromną chmurę pyłu. Rupert uwolnił ją, zaśmiewając się do łez.

— Mówiłem, żebyś nie ciągnęła! — powiedział, po czym zerknął na jej głowę i dodał: — Boże, w jedną noc osiwiałaś. To chyba dlatego, że zgodziłaś się za mnie wyjść.

Pociągnął ją pod baldachim nad łóżkiem i zaczął rozpinać koszulę. Nagle drzwi się otworzyły. Helen o mało nie zemdlała. Na szczęście był to tylko Borsuk ociekający wodą po kąpieli. Pies przymierzył się do skoku na łóżko.

— Koszyk! — warknął Rupert. — I mógłbyś zamknąć za sobą drzwi, do cholery — dodał, zamykając je kopnięciem.

Kiedy Rupert doszedł, czemu towarzyszyły zamaszyste, energiczne pchnięcia kojarzące się Helen z symfonią Beethovena, od razu zapadł w głęboki sen.

Helen leżała w jego ramionach zbyt spięta i zdenerwowana, by czerpać jakąkolwiek przyjemność z seksu. Rozejrzała się po pokoju, omiotła wzrokiem głowy lisów spoglądające na nią ze ścian, obrazy Munningsa i Lionela Edwardsa, w kącie na pewno wisiał Stubbs, któremu zdecydowanie przydałoby się czyszczenie. Pokój był umeblowany pięknymi antykami, one jednak bardzo potrzebowały renowacji, a krzesła i sofę koniecznie trzeba by obić na nowo. Na obrazach zgromadziły się grube warstwy kurzu, po pajęczynach zwisających w kątach mogliby się wspinać żeglarze. Sądząc po kolorze, pościel od tygodni nie widziała pralki. Helen zaczęła czuć swędzenie i wysunęła się z objęć Ruperta. Poruszył ją widok *Wojny i pokoju* na szafce nocnej. Przynajmniej chłopak stara się uzupełnić wykształcenie. Napisała w kurzu „kocham cię” i poszła szukać łazienki.

Najpierw znalazła toaletę i już z mniejszym wzruszeniem stwierdziła, że na ścianie wisi oprawione w ramki zdjęcie Ruperta na koniu odbierającego puchar od Granii Pringle. Pod zdjęciem widniał podpis: „Tak się cieszę, że cię dosiadłam, uściski, Grania”. „To pójdzie na sprzedaż” — zdecydowała Helen, zdejmując zdjęcie ze ściany.

Na widok łazienki omal nie zemdlała. Wielka biała wanna kilkanaście centymetrów uniesiona nad podłogą, na lwich łapach, nosiła ciemny pierścień brudu jak sweter rugbisty. Nad nią ze ściany trysnął najpierw gejzer kurzu, a potem wrzątek. Sufit był czarny od brudu i pokryty łuszczącą się farbą upodabniającą go do powierzchni księżyca. Na kolejnej

pięknej komodzie zniekształconej przez wilgoć stały puste butelki, kubki i dwie przepełnione popielniczki.

Helen znalazła sobie w miarę czysty ręcznik, potem spędziła niemal godzinę, doprowadzając wannę do porządku, wzięła kąpiel i poszła zwiedzać dom. Odkrywała kolejne pokoje pełne wspaniałych mebli, dywanów i porcelany, z licznymi łóżkami noszącymi ślady używania, ale niepościelonymi. Na końcu korytarza znajdował się pokój najwyraźniej zajmowany przez Billy'ego. Na komodzie stało duże zdjęcie Lavinii Greenslade i jeszcze większe Mavis. Przy łóżku walały się szklanki, a wszystkie powierzchnie pokrywały kółka pozostałe po szklankach i kieliszkach.

Z łoża z baldachimem zwisała uzda. Na ścianie wisiały stare grafiki ze scenami sportowymi, a dodatkowo jeszcze w ramkach zdjęcia koni przy skoku, w galopie, nieruchomych przy dekoracji rozetkami. Na komodzie piętrzyła się sterta zamkniętych brązowych kopert i przepełnionych popielniczek.

Schodząc imponującą klatką schodową z grubym bordowym sznurem przypiętym do ściany, służącym jako poręcz, Helen podziwiała wiszący w hallu wielki portret Borsuka. Pod nim walczyły dwa teriery. Potem dziewczyna uwolniła dwa zamknięte w bawialni spaniele. Każdy piękny, spłowiały fotel i kanapa wydawał się dodatkowo obity psią sierścią. Jaśniejszy prostokąt na ścianie wskazywał miejsce po sprzedanym obrazie. Pozostałe ściany zajmowały obrazy Romneya, Gainsborougha, Lely'ego i Thomasa Lawrence'a. Tuż obok mieściła się biblioteka z książkami nieodmiennie schowanymi za siatką. Nic dziwnego, że Ruperta nie obchodziła kultura — otaczała go, więc się do niej przyzwyczaił i przestał ją cenić. Rozglądając się wokół po pajęczynach i wszechobecnym kurzu,

Helen poczuła się przez chwilę jak w domu pani Haversham z *Wielkich nadziei*. Po czym nadepnęła na coś, co dziwnie plasnęło.

— Boże! — wrzasnęła.

— Co się dzieje? — zapytał Billy, wchodząc ze stertą formularzy zgłoszeniowych i książeczką czekową.

— Jeden z tych cholernych psów zrobił sobie łazienkę w salonie.

Nie rozumiała, dlaczego Billy wybuchnął tak głośnym śmiechem.

— To nie jest śmieszne! — zaprotestowała. — Nigdy nie widziałam takiego brudu. Czy nikt tu nigdy nie sprząta? To koszmar dla arachnofobika. Marion i Tracey to straszne niechluje, skoro doprowadziły ten dom do takiego stanu.

— Chyba faktycznie trochę tu nieporządnie — odparł Billy przepraszająco. — Ale rzadko przebywaliśmy w domu w ciągu dnia, a w nocy nie widać kurzu. Mieliśmy sprzątaczkę. Nie była zbyt dobra, ale Rupert ją trzymał, bo go bawiła. Według niego miała charyzmę. Pewnego dnia po powrocie zastał ją w jednym z pokoi gościnnych. Leżała na łóżku przykryta kocem elektrycznym i popijała gin. Po tym musiał ją zwolnić, więc od sześciu tygodni nikt tu nic nie robił.

— Mam wrażenie, jakby nikt tu nie sprzątał od sześciu lat — odparła Helen, wycierając but o żwir przed domem.

— Chodź obejrzeć stajnie, to ci poprawi nastrój. Rupert śpi?

Helen pokiwała głową.

— Wiem, potworny tu bałagan — powiedział, biorąc Helen pod ramię i prowadząc ją przez trawnik obok przerośniętych krzaków róż, których od lat nikt nie przycinał, oraz pachnących różowych piwonii opadających na trawę. — Ale byliśmy bardzo zajęci i nie mieliśmy czasu zająć się domem. Dlatego właśnie Rupert tak bardzo potrzebuje żony — dodał, ściskając jej

dłoń. — Nie tylko jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką widzieliśmy, ale też naprawdę potrzebujemy twojej opieki.

— Dzięki — odparła Helen. — Czyli tak naprawdę wyjdę za mąż za dwóch jeźdźców, czterech stajennych, trzydzieści koni, milion psów i kota stajennego. Czuję się jak Milly w *Siedmiu narzeczonych dla siedmiu braci*. Ale to tak piękny dom, można go naprawdę uświetnić.

— Jestem przekonany, że będziesz w stanie to zrobić — odparł Billy radośnie.

Stajnie postawiono z tego samego kamienia o barwie miodu co dom, a drzwi pomalowano na ten sam granatowy kolor, który Rupert wybrał w kościele na ich pierwszej randce. Konie z ciekawością wystawiały głowy nad drzwiami, zadowolone z rozrywki. Ceglaste geranium kwitło w biało-niebieskich doniczkach. Nigdzie nie było ani źdźbła trawy, ani pyłka kurzu. Na środku rosła stara morwa otoczona okrągłym, doskonale wykoszonym trawnikiem. Całość wyglądała jak miniaturka.

Billy przedstawił Helen młodsze stajenne, Susie i Janis, dwie ładne i kształtne blondynki. Tracey i Marion miały wolne popołudnie — obie padły na łóżka. Marion, jak podejrzewała Helen, poszła się wypłakać. Od chwili, kiedy Rupert oznajmił dziewczynom o swoim ślubie, Marion nie odezwała się do niego ani słowem.

Billy zaprowadził Helen do pięknie utrzymanego pomieszczenia na uprząż. Ciemna uprząż lśniła, metalowe elementy błyszczały, ściany były zawieszone rozetkami. Helen wciągnęła zapach skóry, oleju lnianego i mydła do siodeł.

— Czegoś tu nie rozumiem — przyznała. — Tutaj wszystko lśni. Dlaczego dom jest w takim stanie?

Billy wzruszył ramionami.

— Tutaj toczy się życie. Na twoim miejscu wprowadziłbym się do boksu Macaulaya. Przynajmniej miałabyś czyste siano i regularne posiłki.

Po porządnie przespanej nocy Helen czuła się na siłach radzić sobie z wydarzeniami. Następnego dnia pojechała do Regina House i biura. Mimo protestów Ruperta uznała, że powinna załatwić wszystko uczciwie i do końca. Na wiadomość, że wychodzi za Ruperta, Nigel wpadł w jeszcze większą wściekłość.

— Zachowujesz się tak, jakby Rupert był generałem Franco albo Oswaldem Mosleyem — powiedziała z goryczą.

— Prawie — syknął Nigel. — Wstyd mi za ciebie, Helen.

Następnego dnia IRA wysadziła w powietrze sklep i bar z hamburgerami w Londynie niedaleko biura Helen. Rupert skakał akurat na zachodzie kraju, ale natychmiast zadzwonił do Helen.

— Kochanie, wszystko w porządku? Jezu, jak się martwiłem! Słuchaj, nie będziesz już mieszkać w Londynie. Wprowadź się do mnie. Nie zniosę kolejnej nocy z dala od ciebie.

— Ale co będę robić przez cały dzień?

— Możesz mi zorganizować życie.

— Mogę ci odnowić dom?

— Jeśli to ci sprawi przyjemność, tak, pod warunkiem że pozwolisz mi spalić twoje ubrania i obiecasz, że nigdy nie wybierzesz się na zakupy beze mnie. W przyszły poniedziałek nie skaczę — mówił dalej. — Moglibyśmy wziąć ślub.

Wzięli więc ślub w urzędzie stanu cywilnego w Gloucester. Helen miała na sobie szarą jedwabną sukienkę wybraną przez Ruperta, świadkami byli Billy i Humpty.

W podróż poślubną wyjechali do Yorkshire. Zatrzymali się w starym pubie na wrzosowisku. We wtorek Rupert pojechał oglądać konia, którego

jednak nie kupił. W czwartek powiedział, że ma dość pubu, zna lepszy w Górach Pennińskich.

Po drodze Helen zauważyła tablice z literami „AA” i ogłoszeniem o rozpoczynającym się wielkim konkursie hrabstwa Lancashire.

— Czy Billy tam jedzie? — zapytała Ruperta.

— Tak — odparł Rupert, całując ją — my też.

Na miejscu zastali Billy’ego i Tracy, nieco onieśmielonych, Marion o twarzy pokerzysty oraz — co za niespodzianka — Mayfair, Macaulaya i strój jeździecki Ruperta. Helen rzuciła okiem na niezwykły, wielki pierścionek zaręczynowy z szafirami i szmaragdami i przypomniała sobie słowa Doreen Hamilton o tym, jak wygląda życie żony zawodnika, po czym roześmiała się, zamiast wybuchnąć płaczem.

„Kochana mamo — napisała wieczorem w liście do domu — w poniedziałek wyszłam za mąż. Mój mąż nazywa się Rupert Campbell-Black. Jest naprawdę przystojny i bardzo znany w Anglii, bo świetnie skacze konno przez przeszkody. W Anglii to bardzo popularny sport, mniej więcej jak baseball. Rupert ma cudowną rezydencję niedaleko miejsca urodzin Szekspira. Oszalejesz z zachwytu. Dom jest stary, a wieś obok wygląda tak, jakby nic się w niej nie zmieniło od czasów Elżbiety I. Załączam zdjęcia domu i Ruperta. Wiem, chciałaś, żebym wyszła za mąż na Florydzie, w białej sukni, ale mamo, zapewniam cię, jestem naprawdę bardzo, bardzo szczęśliwa. Nigdy nie sądziłam, że jeszcze tak się zakocham. Rupert ma za sobą ciężkie dzieciństwo, dziwi mnie, że nigdy nie przeszedł żadnej terapii, ale jest najzupełniej normalny. Jego matka mieszka na Bahamach, ma trzeciego męża, a jego ojciec ma czwartą żonę. Jeszcze ich nie poznałam, ale niedługo spotkam się z byłą nianią Ruperta. Tak naprawdę to ona go wychowała i zapewniła mu poczucie bezpieczeństwa. Jest dla niego bardzo ważna. Chcę mu dać szczęście. Kocham go.

Chciałabym, żebyś go poznała, ale latem Rupert jest zajęty. W tej chwili skacze na zawodach cały tydzień, także w weekendy, ale obiecuję, że kiedy tylko trafi się wolny weekend, przylecimy do was. Całuję, Helen”.

Rupert poznał rodziców Helen dopiero w sierpniu, ale nie było to udane spotkanie. Zgodnie z planem Helen miała polecieć bezpośrednio na Florydę, Rupert zaś, po obejrzeniu kilku koni w Kentucky, miał do niej dołączyć kilka dni później. Ponieważ był to środek sezonu jeździeckiego, jak wyjaśniła Helen rodzicom, Rupert będzie w stanie zostać tylko przez weekend, a potem musi lecieć do Europy na zawody w Dublinie. Malise wreszcie mu wybaczył i będzie reprezentował Wielką Brytanię. Jednak przynajmniej będzie miał okazję poznać jej rodziców.

Po przyjeździe do domu Helen z przerażeniem przekonała się, że jej matka zorganizowała wesele na trzystu gości, którzy mieli poznać przystojnego angielskiego męża Helen. Sprowadzono nawet pastora, żeby przeprowadził ceremonię i pobłogosławił szczęśliwą parę.

— Jakoś mam wrażenie, że ślub cywilny nie jest tak samo ważny — przyznała matka.

— Rupert oszaleje! — protestowała Helen. — Nie zabrał nawet marynarki, nie mówiąc o smokingu.

— Zawsze może wypożyczyć albo wziąć od taty — odparła mama.

Helen obserwowała przygotowania z rosnącym niepokojem. Jej matka była tak świetnie zorganizowana, że w piątek po południu znalazła nawet chwilę, by z czwórką córek wymknąć się na plażę obok domu na kilkugodzinne opalanie. Trzy siostry Helen, gibkie i piękne, z wielkim zaciekawieniem oczekiwały przyjazdu Ruperta. Zaskoczyła je przemiana, jaką przeszła Helen, uznały, że jest piękna, szczęśliwa i znacznie pewniejsza siebie.

— Spójrzcie na ten jacht! — zawołała Esme, młodsza siostra Helen.

Niedaleko brzegu halsowała właśnie duża łódź o jaskrawoniebieskich żaglach, zatłoczona opalonymi, półnagimi ludźmi. Nagle jeden z nich skoczył do wody i ruszył przez płyciznę, niosąc walizkę. W pewnej chwili odwrócił się i uniósłszy rękę z walizką, zamachał nią w kierunku łodzi.

— Dzięki za podwózkę! — zawołał.

— Jesteś na to gotowa? — zapytała zaskoczona Milly, druga siostra.

— To Rupert! — zawołała Helen.

Był równie jasnowłosy i opalony jak większość chłopaków na plaży, a na sobie nie miał niczego oprócz dość małej flagi amerykańskiej owiniętej wokół bioder.

— Boże! — dodała Claudia, trzecia siostra.

— Nie klnij, Claudio — zwróciła jej uwagę pani Macaulay.

Helen pobiegła w kierunku wody, zarzuciła Rupertowi ramiona na szyję i mało nie spuściła flagi amerykańskiej do połowy masztu.

— Kochanie, spodziewaliśmy się ciebie dzisiaj wieczorem.

— Kumple mnie podwieźli. Tęskniłem za tobą.

Na plaży Palm Beach, pełnej pięknych ludzi, Rupert i tak był najpiękniejszy.

— Mamo, to Rupert — przedstawiła Helen.

Pani Macaulay była na tyle próżna, że nie ucieszyła się ze spotkania z zięciem na plaży, gdzie leżała spocona i zaczerwieniona od słońca. Wolałaby rozsunąć pnącza glicynii na tarasie, wyjść w ładnej sukience, ze świeżo ułożoną fryzurą, w lekkim, ale perfekcyjnym makijażu. Wiedziała jednak, że dama umie znaleźć się w każdej sytuacji, więc powitała go, emanując wdziękiem.

— Dzień dobry, Rupercie — powiedziała, wyciągając dłoń śliską od olejku do opalania i omijając wzrokiem flagę amerykańską. — Tak się

cieszę, że witam cię jako naszego syna. Mam nadzieję, że będziesz mnie nazywał mamą.

Szczerze mówiąc, Rupert w ogóle się do niej nie zwracał. Nawet jej nie pocałował, gdyż oboje czuli, że nie byłoby to miłe, skoro tak się spocili. Jedynie spojrzał na jej przystojną, sztywną, zdeterminowaną twarz o siwiejących rudych włosach. Przesunął spojrzeniem po dobrze utrzymanej figurze w stroju kąpielowym ze spódniczką, zauważył złoty krzyżyk na pomarszczonym dekolcie, wstrząsnął się i przysiągł sobie, że nigdy nie dopuści, by Helen zmieniła się w kogoś takiego. Pani Macaulay spuściła wzrok i zauważyła, że Rupert nie ma na palcu obrączki. Ojciec musi mu coś znaleźć na jutro.

— Nie mam zamiaru wypożyczać żadnego smokingu i robić z siebie pingwina — warknął Rupert, kiedy w końcu został sam z Helen w sypialni — ani nie pozwolę, żeby błogosławił mnie jankeski pedzio. Pobraliśmy się w Anglii, dla mnie to wystarczy.

— Ciszej, kochanie, usłyszą cię. Warto się poświęcić, dostaliśmy tyle prezentów ślubnych.

— Tylko się im przyjrzyj. Sześć pojemników na gazety, dwa komplety wysokich szklanek z monogramem, dwanaście kieliszków do jajek, tuzin nożyków do steków w rogowej oprawie. Boże! Dwa komplety kieliszków z naklejkami zawodników polo. Polo!

— Ach, to od ciotecznej babci Grace. Dla niej skoki przez przeszkody i polo to jedno i to samo. Chciała jak najlepiej. Ale jest też piękny serwis obiadowy i kilka ślicznych osłonek na doniczki i szkło. Ciekawe, jak zawieziemy to wszystko do domu.

— Będziemy musieli wynająć samolot i mieć nadzieję, że rozbije się zaraz po starcie.

Helen zachichotała, ale czuła się w obowiązku bronić rodziców i przyjaciół. Jeśli tylko Rupert będzie się dobrze zachowywał na ślubie, wszyscy go pokochają.

Rupert nachmurzony podszedł do okna.

— Boże, tęsknię za Borsukiem. Dlaczego twoi rodzice nie mają psa? Nie mam zamiaru bawić się w to wszystko. A jeśli nawet, to włożę co najwyżej garnitur.

— Dobrze — odparła uspokajająco Helen. — Ale skarbie, proszę, bądź miły tylko ten jeden raz. Mama od kilku tygodni organizuje to wszystko. Milly zaśpiewa *Czymże jest życie bez ciebie*, mama uczy ją tego od dawna, a tata specjalnie kupił sobie strój z Ascot, łącznie ze spodniami w paski. Ty masz tylko przyjść i być miły.

W trakcie ceremonii Rupert zachowywał się raczej przyzwoicie. Później wszyscy wylegli na trawnik, a po godzinie czy dwóch popijania szampana najstarszy męski krewny wstał, by wygłosić mowę pochwalną na cześć Helen i powitać Ruperta w rodzinie. Po przemówieniu nastała chwila ciszy.

— Mów! Mów! — rozległy się głosy wszystkich krewnych i przyjaciół oraz sporej grupy pacjentów pana Macaulaya, błyskając pięknie zrobionymi zębami.

Rupert, w ciemnym garniturze i nadal bez obrączki, którą teść wmusił mu rano, powstał i przemówił:

— Przez całe to wspaniałe przyjęcie serce podchodziło mi do ust — odezwał się czarującym tonem — ale niania zawsze mnie uczyła, żeby nie mówić z pełnymi ustami, więc nie powiem nic więcej, tylko podziękuję państwu Macaulay. Mógłbym rzucić jakiś dowcip o irlandzkich dentystach gejach, ale chyba nie spodobałoby się to mojemu teściowi. Dziękuję za wszystkie wspaniałe prezenty — i z tymi słowami cicho osunął się pod stół.

— Przecież nie byłeś pijany! — powiedziała Helen zła jak osa, kiedy samolot do Anglii oderwał się od ziemi.

— Wiem, ale naprawdę się nudziłem. Kochana moja, jedyne stosunki, jakie lubię, to stosunki seksualne.

— I nie zabrałeś obrazów cioci Marthy.

— Wiem — przyznał Rupert. — Bałem się, że przestraszą psy.

Rodzice Ruperta napisali do Helen cudownie niejasne listy. Matka Ruperta przesłała jej broszkę z brylantem i zepsutym zamkiem, a ojciec słoik kawioru. Oboje obiecali, że kiedyś ich odwiedzą — zapewne wtedy, gdy będą potrzebowali pożyczki, skwitował Rupert — i życzyli im szczęścia.

Spotkanie Helen z nianią Ruperta nie wypadło wiele lepiej.

— Co mam włożyć? — zapytała Helen Billy’ego.

— Spódnicę w poziome paski. Nanny zwraca uwagę tylko na szerokość bioder, bo to świadczy o możliwości rodzenia dzieci.

Domek niani w Wiltshire kupiła i umeblowała rodzina Campbellów-Blacków. Powstawiali do niego meble ze swoich rozmaitych domów, zdecydowanie za duże, więc przejście przez salon przypominało bieg z przeszkodami. Nanny, niemal największy element domu, mierzyła metr osiemdziesiąt wzrostu, miała duże uszy, pooraną zmarszczkami twarz porośniętą pojedynczymi włoskami, szczękę godną boksera i przenikliwe, twarde brązowe oczy upodabniające ją do Henryka VII. Miała na sobie świecącą granatową sukienkę z wysokim białym kołnierzem i wyglądała w niej jak w mundurze. Pomimo upału niania oglądała w czarno-białej telewizji pokaz sztucznych ogni. Ogrzewanie w domu działało pełną parą, a okna były pozamykane. „Może lata spędzone w surowych warunkach Campbellów-Blacków i ich obojętność na zimno podziałały jej na psychikę” — pomyślała Helen. Wszystkie powierzchnie w pokoju

pokrywały zdjęcia niemowląt w długich białych sukienkach. Oprócz nich były jeszcze tylko zdjęcia Ruperta na różnych etapach kariery: jako poważnego niebieskookiego malucha, w szkole St. Augustine’s, Harrow, w mundurze wojskowym i przede wszystkim skaczącego konno. Niania nie dała po sobie poznać, że cieszy ją wizyta wychowanka.

Zdawkowo podziękowała mu za sześć butelek swojej ulubionej, obrzydliwie słodkiej sherry, które jej przywiózł. Nalała trzy kieliszki, najmniejszy podała Helen.

— Czy Helen nie jest piękna? — zapytał Rupert.

Niania zmierzyła dziewczynę wzrokiem i pociągnęła nosem.

— Piękna twarzyczka — przyznała.

— Figurę też ma piękną — zaprotestował Rupert ze śmiechem. — Wiedziałem, że cieszyłabyś się tylko wtedy, gdybym przyprowadził flamandzką klacz rodzącą synów co osiem miesięcy.

Niania parsknęła i zaczęła strofować Ruperta za jego wyczyny w Paryżu i aresztowanie w Plymouth oraz ślub bez porządnego wesela. Rupert słuchał jej zadziwiająco spokojnie.

— Przepraszam, nie zaprosiliśmy cię na wesele, ale w ogóle nie zapraszaliśmy gości. Nie miałem ochoty widzieć wszystkich moich wujków przepychających się na wyścigi. A moja matka tylko by się nudziła, bo sama przeżyła tyle własnych ślubów.

— Kim jest obecna żona twojego ojca? — zapytała niania.

— To jakaś włoska dziwka — odparł Rupert.

— Pewnie musieliście się pobrać? — zapytała znów.

— Nie, wcale nie.

— A co się stało z Bianką? I Melanie Potter? To była fajna dziewczyna.

— Ma męża i dwie córki, mówiłem ci ostatnio.

Niania wiedziała o nim wszystko i oglądała wszystkie konkursy, w jakich startował przez ostatnie dwa lata.

— Twoja mama pamiętała o moich urodzinach — odezwała się oskarżycielsko. — A ty nie. Twój brat Adrian też pamiętał. Podobno ma dziewczynę.

— Naprawdę? — zapytał zaskoczony Rupert. — Nie wydaje mi się.

— Przecież nigdy nie był biseksualny — odpaliła niania.

Helen nie ośmieliła się spojrzeć na Ruperta.

— Helen jest Amerykanką — wyjaśnił Rupert.

— Tak, czytałam — odparła niania. — Nigdy nie przypuszczałam, że skończysz z cudzoziemką. Czytałam o aferze Watergate — dodała, zwracając się do Helen, jakby obciążała ją osobistą odpowiedzialnością za skandal.

Helen zgrzała się tak bardzo, że zdjęła sweter, odsłaniając szczupłe brązowe ramiona i talię.

— Niewiele ma ciała, prawda? — zapytała niania. — Pewnie anorektyczka.

W końcu, kiedy Helen zaczęła się obawiać, że zaraz zemdleje z gorąca, odezwała się:

— Chyba powinniśmy już jechać, Rupercie.

Niania bynajmniej się nie zmartwiła, nawet nie odprowadziła ich do drzwi. Helen pożegnała się szybko i uciekła na świeże powietrze, ale jeszcze zdążyła usłyszeć słowa niani:

— Pewnie ma pieniądze? To chyba jedyny powód, żeby się ożenić z cudzoziemką.

— Prawdziwy klejnot, prawda? — zagadnął Rupert w drodze do domu.

— Potwór rodem z Machiavellego — odparła Helen.

— Nie ma złych intencji, niedługo kończy osiemdziesiąt lat. Nie mogę się doczekać, kiedy urodzisz dziecko, wtedy wyciągniemy ją na świat, żeby się nim zajęła.

Jednak w miarę upływu miesięcy stawało się coraz bardziej oczywiste, że Rupert i Helen się różnią. Rupert był zepsuty, drażliwy i nie wahał się okazywać zmiennych nastrojów. W życiu kierowało nim pragnienie postawienia na swoim i wdeptania przeciwników w błoto. Często zdarzały mu się chwile frustracji i nudy, ale nigdy nie wątpił w siebie.

Helen z kolei aż nazbyt często przepełniały wątpliwości. Uważała, że nie tylko należy wciąż starać się doskonalić siebie i innych, ale też, że praca naprawdę chroni przed złem.

Zaczęła więc od heroicznych prób wzbudzenia w sobie zainteresowania końmi i nauki jazdy, ale w siodle była zbyt spięta i zdenerwowana, co koń wyczuwał, poza tym wstrzymywała oddech, czym z kolei denerwował się Rupert. Potem Marion (Helen nigdy się nie dowiedziała, czy było to celowe działanie) posadziła ją na jednego z nowych koni, który poniósł ją przez zagajnik z nisko zwisającymi gałęziami, a w końcu zrzucił na wiejskiej drodze. Helen mocno się poobijała i zrezygnowała z nauki jazdy konnej.

Jednak wciąż interesowała się jeździectwem i dużo o tym czytała oraz wyszukiwała w prasie wiadomości z torów. Zaczęła nawet czytać o ujeżdżaniu i omawiać swoje teorie z Rupertem, próbując wskazywać mu jego błędy. Ruperta to nie bawiło. Nie miał ochoty wysłuchiwać nieproszonych dobrych rad na temat tego, że Macaulay mógłby lepiej biegać w wytoku, a Belgravii przydałaby się nauka trawersowania.

— Słuchaj — powiedział do niej ostro — w końcu przecież to ja jeżdżę na tych pieprzonych koniach, a nie ty, więc się zamknij.

Przez niekończące się godziny nieobecności Ruperta i Billy’ego, kiedy obaj zajmowali się końmi, Helen zainteresowała się domem i wkrótce

zapełniła go ekipami murarzy, hydraulików, elektryków i malarzy.

— Myślałby kto, że stawiają piramidy — mamrotał Rupert.

Stopniowo jednak wilgoć i pleśń zaczęły ustępować. Zainstalowano nowe ogrzewanie i elektrykę. Pastelowe barwy zastąpiły purpurę i ciemną zieleń tapet oraz stary brokat. Wystrzępione jedwabie i pogryzione przez mole gobeliny ustąpiły miejsca nowym jasnym jedwabiom, woskowanym perkalom we wzory oraz obrazom kwiatów Laury Ashley.

Helen zatrudniła też porządną sprzątaczkę, panią Bodkin, dała jej przyzwoitą pensję i zdołała ją zatrzymać. Pani Bodkin podziwiała Helen. Uznawała ją za sztywną, trzymającą dystans i niechętną plotkom, ale też życzliwą i prostolinijną. Helen wysłuchiwała cierpliwie opowieści o jej problemach i była gotowa pomagać w sprzątaniu.

A naprawdę było to potrzebne. Rupert i Billy byli okropnymi bałaganiarzami. Obaj rzucali ubrania na podłogę w miejscu, gdzie je zdjęli, nigdy nie znosili na dół filiżanek i kieliszków, a jeśli nie mogli znaleźć łyżki do butów tuż przy drzwiach, to nie zdejmowali obuwia w ogóle i zostawiali ślady błota w hallu i na nowym dywanie, za nimi zaś ciągnęła zawsze gromada psów o brudnych łapach.

Psy niezmiernie irytowały Helen: gubiły sierść, szczekały, walczyły między sobą i o względy Ruperta. Poza tym w miarę narastania chłodów — a ta zima była wyjątkowo mroźna — coraz więcej psów usiłowało wskoczyć im do łóżka. Rupert, który zasypiał, jak tylko padł na poduszkę, nie zauważał Borsuka leżącego mu na nogach ani spaniela przytulonego do jego pleców. Helen, którą byle co wybijało ze snu, spędzała bezsennie kolejne noce, zrzucając psy na podłogę i słuchając, jak się wylizują lub bezustannie drapią w trzeszczących koszykach. Robiło się coraz chłodniej, wiatry hulały nad Kanałem Bristolskim, w domu nie zainstalowano jeszcze ogrzewania — w końcu biedna, wychowana na Florydzie Helen nabawiła

się suchego kaszlu. Rupert, który jak większość zdrowych ludzi nie żywił współczucia dla chorego, zaproponował jej, żeby zaczęła zarabiać, kaszląc między taktami w radiu BBC 3.

To był kolejny problem. Jeśli chodzi o kulturę, bardzo się różnili. Za każdym razem, kiedy Helen chciała posłuchać muzyki poważnej, Rupert włączał program pierwszy. Ona co tydzień uparcie czytała dodatek literacki do „Timesa", „Encounter" i „New Society". Zaczęła czytywać „New Statesmana", ale Rupert anulował prenumeratę — jak stwierdził, nie pozwoli psuć psów wywrotowymi trockistowskimi bzdurami.

Kolejną sprawą był rysunek Augustusa Johna. Po długim zastanawianiu się, jaki prezent ślubny sprawiłby Rupertowi największą przyjemność, Helen wydała całe oszczędności na rysunek konia autorstwa Augustusa Johna.

Rupert był zachwycony.

— To chyba ten obleśny staruch, który kiedyś prowadzał się z moją babką.

Studiował uważnie rysunek, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Był to człowiek do pralki. Kiedy Helen wróciła kwadrans później, Rupert oparł rysunek o oparcie kanapy i przyglądał mu się z zadowoloną miną.

— Tak jest lepiej.

— Co? — zapytała Helen, po czym na widok ołówka i gumki w dłoni Ruperta krzyknęła przerażona: — Co ty zrobiłeś?

— Przerobiłem pęcinę od tej strony. Facet zupełnie sobie z nią nie poradził.

— Ale nie wolno poprawiać prac wielkiego artysty — powiedziała Helen zgorszona.

— Wolno, jeśli artysta nie umie rysować — odparł Rupert.

Chociaż uparł się, żeby całkowicie wymienić jej garderobę, bo chciał, żeby wyglądała — jak powiedział Billy’emu — na arystokratkę, którą najwyraźniej nie jest, ogólnie akceptował zmiany wprowadzone w domu przez Helen. Jednak postawił granicę przy matach pod kieliszkami, które miały chronić meble, oraz zdarł firanki w sypialniach na piętrze i w toalecie na parterze, a sztuczne kwiaty, którymi Helen usiłowała rozjaśnić ciemny korytarz, spalił w piecu.

Jednak najostrzejsza kłótnia wybuchła wtedy, kiedy Helen wrzuciła tabletki dezynfekujące do zbiorników na wodę w toaletach, które zabarwiły wodę na niebiesko. Rupert wpadł wściekły do kuchni z tabletką w ręce, chlapiąc niebieską wodą na podłogę.

— Co to jest, do cholery? — zagrzmiał. — Oszalałaś? Chcesz potruć psy?

— Nie powinny pić z toalety! — zawołała Helen. — Potem idą lizać ludzi, to obrzydliwe! Mają wodę w miskach w kuchni, w korycie i w sadzawce. Po co im jeszcze toaleta?

— Bo zawsze stamtąd piły. Nie pozwolę ci więcej wprowadzać tu tej amerykańskiej tandety, za chwilę zainstalujesz grające dzwonki u drzwi i grający papier toaletowy. Jak wrócę do domu, woda ma być czysta, a jeśli któryś z psów się pochoruje, doniosę na ciebie do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami! — po czym wybiegł, trzaskając drzwiami.

Helen i pani Bodkin usunęły niebieskie tabletki.

Biedna Helen nie zdołała podnieść poziomu kultury życia codziennego Billy’ego i Ruperta. Marzyły się jej kolacje przy świecach i srebrnej zastawie, adamaszkowe serwetki, kulturalne rozmowy i długie siedzenie przy kawie i likierze. Jednak Rupert i Billy nigdy nie wiedzieli, ile czasu zajmie im opieka nad końmi i kiedy wrócą. Po trzech próbach zrobienia wołowiny w cieście francuskim, która po zbyt długim czekaniu stała się

twarda jak podeszwa, Helen przekonała się, że obaj najbardziej marzyli o kiełbaskach i purée lub potrawce irlandzkiej jedzonej przed telewizorem z talerza trzymanego na kolanach. Zwykle kłócili się przy tym o kolejne konkursy lub o konia, którego mieli zamiar kupić. Rupert przełykał posiłek, praktycznie nie zauważając tego, co je. Helen nieraz kusiło, żeby podsunąć mu psią karmę. Często obaj byli tak wyczerpani, że zasypiali w połowie posiłku.

Jednak niezależnie od zasypiania przed telewizorem Rupert zawsze się budził i chciał seksu, kiedy szli do sypialni, a potem rano, i jeszcze w ciągu dnia, kiedy wpadał do domu, o ile akurat nie skakał na pokazach.

— Jestem zadowolony, kiedy dosiadam — mawiał — a ciebie nie można minąć obojętnie, kochana.

Jeśli się pokłócili, Rupert starał się pogodzić, gdyż chciał spać z Helen. Jeśli Helen uważała jego apetyty za przesadne, a ona sama często nie osiągała orgazmu, nigdy o tym nie wspominała. Jednak niemal po roku małżeństwa wciąż chwytała za ręcznik, kiedy Rupert wchodził do sypialni i zastawał ją nagą. Zawsze zamykała się w toalecie na zamek, a seks tak naprawdę lubiła tylko zaraz po kąpieli. Zawstydzało ją nieukrywane uwielbienie Ruperta dla jej ciała. Nie mogła samej siebie przekonać, że Rupert naprawdę lubi doprowadzać ją do orgazmu na te wszystkie sposoby, które tak chętnie jej demonstrował, więc często udawała, że szczytuje, a później wstydziła się tego udawania. Jednak nie umiała mu się oprzeć i potrzebowała ciągłych awansów jako dowodu, że Rupert wciąż jest w niej zakochany.

Miała ogromną konkurencję. Gdziekolwiek pojechali, za Rupertem biegały tłumy dziewczyn, domagając się autografu, osaczając go na przyjęciach, a nawet wyrywając na pamiątkę włosy z ogonów jego koni. I chociaż jako żona Ruperta wszędzie, gdzie się pojawiła, była serdecznie

witana, a oboje byli przedmiotem podziwu jako piękna para, to jednak ludzie ciągnęli do nich głównie po to, żeby zobaczyć Ruperta.

Marion także ją martwiła. Helen marzyła o tym, żeby Rupert zwolnił dziewczynę, czym zawsze groził, ale takt nie pozwolił jej powiedzieć o tym głośno. Pamiętała jednak zaczerwienione oczy Marion, zwłaszcza po ich ślubie. Usiłowała być dla niej wyjątkowo miła, dała jej na urodziny piękny czarny kaszmirowy sweter, którego Marion nigdy nie włożyła. Za pośrednictwem Ruperta zapraszała ją na kolację i podpowiadała mężowi, żeby zaprosił atrakcyjnych młodych mężczyzn, których Marion mogłaby poznać. Jednak dziewczyna uprzejmie odmawiała i trzymała się na dystans, śledząc Helen wrogim wzrokiem jeńca wojennego.

Billy wytłumaczył Helen, że Marion doskonale radzi sobie z końmi i dlatego warto znosić jej humory. Chłopak był nieoceniony. Po ślubie Helen i Ruperta zaproponował, że się wyprowadzi, ale żadne z nich nie potrafiłoby się bez niego obyć. W końcu od ósmego roku życia byli z Rupertem nierozłączni, razem prowadzili interesy, a Rupert potrzebował kogoś, z kim mógł rozmawiać o koniach. W miarę upływu czasu Helen uznała, że Billy to najsympatyczniejszy człowiek, jakiego poznała w życiu. Był życzliwy, zabawny, wyluzowany i — pochlebiała sobie — odrobinę w niej zakochany. Jeśli akurat pokłóciła się z Rupertem, Billy jej bronił. Jeśli Rupert miał zły humor, bo konie źle skakały, mogła wyżalić się Billy’emu, wiedząc, że on nie posądzi jej o nielojalność, gdyż sam kochał i rozumiał Ruperta, ale jednocześnie doskonale zdawał sobie sprawę z jego wad. Na razie wszystko układało się doskonale, Billy najwyraźniej nie myślał poważnie o Lavinii Greenslade i nie ożeni się jeszcze przez kilka lat.

Czasami Rupert narzekał, że zamienił się w nudnego ziemianina, ale razem z Billym wkrótce zaczęli doceniać fakt, że wszystko w domu chodziło jak w zegarku, że ich stroje na zawody wracały na czas z pralni, że

zawsze mieli wystarczająco dużo czystych białych koszul, krawatów i bryczesów, buty były naprawiane, w domu panował porządek, formularze zgłoszeniowe były wypełnione, a nieskończone prośby o przemówienia lub otwarcie imprezy albo supermarketu spotykały się z uprzejmą odmową.

Dzięki temu Rupert i Billy mogli się skupić na koniach, a bardzo tego potrzebowali. Trzydniowy tydzień roboczy wprowadzony dla oszczędności energii powodował dodatkowe koszty, zwłaszcza ceny benzyny wystrzeliły w górę. Przewidywano kilkuletni kryzys gospodarczy, socjaliści doszli do władzy, pojawiły się złowróżbne pogłoski o podatku od zamożności, co zmniejszyłoby dochody Ruperta. Ciągłe zwycięstwa nabrały jeszcze większej wagi — ale faktycznie zwyciężali. Niewątpliwie Rupert i Billy ustatkowali się od ślubu Ruperta z Helen i obaj regularnie występowali w reprezentacji narodowej.

Teraz więc Helen, w przeddzień wyjazdu do Rzymu i Madrytu, spoglądała na zieloną dolinę. Naprawdę cieszyła się na tę wycieczkę. Po raz pierwszy nie bała się, że w czasie jej nieobecności robotnicy zniszczą dom. Uwielbiała jeździć za granicę, wybierać antyki i meble, odwiedzać galerie i muzea, uczyć się języków. Wyjazd oznaczał też odpoczynek od sfory psów w łóżku, a ponieważ za granicą Rupert był znacznie mniej znany, nie prześladowały ich groupies (czy „Rupi”, jak nazywał je Billy). Jechał też Malise Gordon, a Helen zawsze lubiła z nim spędzać czas. Na wyjazdach chodzili razem do galerii i muzeów, budząc lekką irytację Ruperta. Był zazdrosny o wspólne doświadczenia Helen i Malise’a, których on nie mógł jej dać — dlatego wciąż ich wyśmiewał.

Helen spojrzała na wszystkie piękne ubrania kupione jej przez Ruperta. Zdawała sobie sprawę, jak ważne było dla niego, że inni mężczyźni ją podziwiali i uwielbiali, ale podobnie do miśnieńskiej porcelany w szklanej serwantce uwielbienie trzeba kontrolować. W zeszłym roku w Rotterdamie,

kiedy w klubie mocno podpity Holender poprosił ją do tańca, tylko nelson Billy’ego powstrzymał Ruperta od przerzucenia admiratora przez pomieszczenie. Nieco bardziej nachalny wielbiciel na przyjęciu towarzyszącym zawodom w Dublinie miał mniej szczęścia i skończył z pękniętą szczęką.

15

JAKE LOVELL leniwie jechał przez pole. Kiedy docierał do żywopłotu lub muru, spinał siwego wałacha do skoku, ale nie spieszył się. Rano przeszkolił już wszystkie nowe konie, a te wyższej klasy odpoczywały po trzydniowych zawodach. Dzień był piękny, w niedalekim zagajniku leszczynowym wydzierała się kukułka. Wilk, kudłaty chart Jake'a, gonił króliki, ale nie oddalał się zbyt daleko od uwielbianego pana, a Jake mógł pomyśleć.

Minęło niemal pięć lat od jego ślubu z Tory i od chwili, kiedy babcia Maxwell podarowała im dom w Withrington. Chociaż były to lata wypełnione ciężką pracą i ustawiczną walką, Jake wiedział, że nigdy dotąd nie był tak szczęśliwy. Wprowadzili się do domu dość zniszczonego, ale stopniowo wspólnie z Tory odmalowali pokoje, a potem uzbierali dość pieniędzy, żeby rozebrać starą stajnię i postawić nową, teraz zaś mieli dwanaście koni.

Bywały chwile straszliwego pecha. Dwa lata wcześniej w maju po raz pierwszy wybrano go do reprezentacji narodowej, ale w dniu, kiedy miał wyjechać, Afryka stanęła na zardzewiały gwóźdź, co wyeliminowało ją ze skoków na kilka miesięcy. Jeden z nowych nabytków, bardzo obiecujący koń krwi angielskiej wyskoczył z areny, uciekł na autostradę, wpadł pod ciężarówkę i musieli go dobić. Potem, skoro Tory akurat weszła w posiadanie swojego kapitału, a Afryka nie mogła skakać, Jake wydał raczej za dużo na najwyższej klasy konia, który miał zapełnić lukę, jednak ten złamał nogę i trzeba było go dobić w pierwszych zawodach, na jakich wystąpił. Inne sprawy też nie poszły zgodnie z planem. Tuż po ślubie Tory

pracowała jako sekretarka lokalnego adwokata i to głównie dzięki jej pensji ona, Jake i konie nie pomarli z głodu. Miesiącami żywili się odgrzewaną wieprzowiną w cieście i fasolką kupowaną za jej kupony obiadowe. Jednak po piętnastu miesiącach Tory zaszła w ciążę i w lipcu następnego roku urodziła syna. Nazwali go Isa, co było skrótem od Isaac, imienia zaginionego ojca Jake'a. Jake, który na początku bardzo się obawiał, niezbyt lubił dzieci i nie czuł się absolutnie gotowy na rolę ojca, stwierdził, że synek go podbił. Może dlatego, że był jego jedynym krewnym, a może dlatego, że chłopiec był śliczny — miał wielkie czarne oczy i jasne włosy, a może dlatego, że był tak silny, radosny i pogodny. Wydawał się rozkwitać w chłodnym i wilgotnym domu lub w ciągłych wyjazdach na zawody.

Miłym zaskoczeniem było to, że tak łatwo ułożył sobie życie z Tory, która okazała się idealną żoną dla skoczka. Nigdy nie wpędzała go w poczucie winy, kiedy spóźniał się, wracając z konkursów lub po całonocnej opiece nad chorym koniem. Po powrocie zawsze zapewniała mu dobry posiłek, pełne zrozumienia wysłuchanie i seks, jeśli chciał, ale jeśli nie chciał, nigdy nie czuła się urażona. Rozumiała jego wielkie zdenerwowanie przed ważnymi zawodami oraz milkliwość i wycofanie, kiedy akurat układał sobie relacje z konkretnym koniem. Zajmowała się papierami, płaciła rachunki i wysyłała formularze na zawody. Kiedy się pobrali, śmiertelnie bała się koni, jednak Jake pomógł jej przemóc strach i chociaż nigdy nie stała się doskonałą amazonką, wkrótce nauczyła się podstaw karmienia i opieki nad stadem, zajmując się każdym zwierzęciem tak, jakby była jego matką. Konie były więc zadowolone, a gospodarstwo działało jak w zegarku, nawet kiedy Jake był na wyjeździe.

Tory szczyciła się również wszelkimi dokonaniami męża i radośnie wieszała jego nowe rozetki — teraz pokrywały już całą ścianę pomieszczenia na uprząż. Co najważniejsze, rozumiała charakter Jake'a

przypominający bezpańskie psy uratowane ze schroniska w Battersea. Ciągłe podróże z jednych zawodów na kolejne zaspokajały żyłkę włóczęgostwa kryjącą się w jego duszy, ale tylko dzięki świadomości, że potem wróci do bezpiecznego domu i kochającej rodziny. Jak wielu wędrowców tylko wyjeżdżając, mógł sprawdzić, czy po powrocie dom nadal będzie na niego czekał.

Dwa lata wcześniej uśmiechnęło się do niego szczęście: wybrał się na aukcję koni w Warwick, co nie było jego ulubionym zajęciem. Starał się nie uczłowieczać koni, ale takie aukcje zawsze przypominały mu dom dziecka. Konie — zdezorientowane, przerażone, wyrwane ze swojego środowiska, często wcześniej pieszczone i kochane lub przeciwnie, po latach ciężkiej pracy sprzedawane na ubój albo ludziom, którzy nie umieli się nimi zajmować lub którzy będą wykorzystywali ich uległość.

Klacz, na którą Jake się szykował, została sprzedana za cenę znacznie przekraczającą jego możliwości, jednak nagle dobiegło go przeraźliwe rżenie. Zwierzę wydawało się błagać, by je zabrać z tego okropnego miejsca. Jake przeszedł się wzdłuż rzędu koni i natrafił na zagłodzonego, brudnego, siwego wałacha zżeranego przez pchły, z bardzo jasnymi oczami, dużymi kopytami, grubą głową, wielkimi uszami jak u muła i żebrami wystającymi wyraźnie spod skóry. Był na pewno najbrzydszym zwierzęciem, jakie Jake widział, w dodatku wyraźnie głodował. Jednak zajrzawszy mu w zęby, Jake ze zdziwieniem stwierdził, że koń ma ledwie sześć lub siedem lat. Wyglądał na dużo więcej, ale nogi miał czyste i silne, a kiedy Jake go pogłaskał i podrapał za uchem, wałach przestał rżeć i przyjął pieszczotę z wyraźną przyjemnością.

— Skąd on się wziął? — Jake zapytał sprzedawcę, który przeprowadzał konia po ścieżce.

— Jakiś stary wariat kupił go dla żony, która i tak już się wybierała na tamten świat. Nazwali go Żeglarz. Któregoś dnia koń nagle zatrzymał się na podwórku, kobieta spadła, uderzyła głową o podnóżek do wsiadania i dwa dni później już było po niej. Gość był niepocieszony, ale ze skąpstwa nie zabił konia, tylko zostawił go na podwórku i praktycznie zagłodził. W końcu zmarł, a kiedy ludzie znaleźli jego ciało, znaleźli też konia. Do picia miał tylko zardzewiałe wiadro z paroma centymetrami deszczówki, w której pływały martwe osy. Jak pan widzi, to sprawa o znęcanie się nad zwierzęciem, ale nie można pozwać nieboszczyka.

Przez moment Jake czuł, jak dławi go wściekłość.

— Biedaku — odezwał się, głaszcząc brzydką szarą głowę — życie cię nie rozpieszczało, prawda?

Musiał zapłacić sto pięćdziesiąt funtów, żeby przebić ceną tych, którzy chcieli kupić konia na rzeź — a na taką kwotę ledwie mógł sobie wtedy pozwolić. Po powrocie zaczął dokarmiać Żeglarza, a w ciągu dnia wypuszczał go na dwór z Afryką. Po trzech miesiącach zabrał go na polowanie i przeżył jeden z najlepszych dni w życiu. Żeglarz wciąż wyglądał tak, że nikt trzech groszy by za niego nie dał, nie można było go zmusić do przestrzegania reguł, ale przeskakiwał wszystko, co stało mu na drodze. Jake poczuł dreszcz podniecenia, jakiego nie doświadczył od czasu pierwszego skoku na Afryce.

Jake wiele razy sprzeczał się z babcią Maxwell, gdyż nie chciał wystraszać koni i nie ujeżdżał ich zbyt szybko. Jednak z Żeglarzem nie trzeba było czekać. Do końca następnego sezonu koń był zaklasyfikowany w każdej kategorii, w jakiej startował, i dotarł do klasy A. Zawodnicy z północy kraju, twardzi ludzie, którym niełatwo było zaimponować, śmiali się z Żeglarza, kiedy po raz pierwszy zobaczyli tak wyjątkowo

niepozornego konia, ale po jego przejeździe przez tor całkowicie zmienili zdanie.

Żeglarz był również najbardziej inteligentnym koniem w stajni. Kiedy mu się nudziło, otwierał skobel swoich drzwi, wychodził i wędrował do domu, tam zaś wsuwał pocięty przez pchły łeb do kuchni przez okno w nadziei na jabłko lub kawałek czekolady — tylko mlecznej, nie dotykał deserowej — ale tak samo był zadowolony z pogłaskania. Nigdy nie wychodził poza podwórko. Można było pomyśleć, że nie dowierza swojemu szczęściu. Był również wyjątkowo łagodny, oddany Afryce, Wilkowi i terierowi Tory o imieniu Horace, który sprowadzał go z pola, zębami pociągając za zwisające wodze. Żeglarz okazał się również wspaniałym opiekunem dla Isy. Jak przekonała się Tory, mogła spokojnie zostawić dziecko w boksie, a ono bawiło się przy żłobie albo przywierało do nóg konia, czasami zaś wstawało, przytrzymując się dość cienkiego ogona. Jeśli Isa przewrócił się i zaczynał płakać, Żeglarz delikatnie trącał go głową i chuchał na niego, aż w końcu chłopczyk rozchmurzał się i wstawał.

Tego wspaniałego dnia Jake pędził Żeglarza po polach, sprawdzając, czy wszystkie ogrodzenia stoją. Miał przeczucie, że wreszcie zaczyna mu się powodzić. Afryka doszła do zdrowia i skakała jak kangur, tydzień wcześniej wygrała dwa duże konkursy w Birminghamie, czasowo pokonując nawet wielkiego Humpty’ego Hamiltona, a Żeglarz trzy razy dostał się do czołówki. Pomogło również to, że wreszcie mógł sobie pozwolić na zatrudnienie stajennej, dziewczyny o imieniu Tanya, równie dobrej w jeździe, jak i w zarządzaniu. Według założeń Jake miał się teraz skupić na szkoleniu i zawodach, ale wciąż ciężko mu było uwierzyć, że ktoś inny równie dobrze zrozumie konie i zajmie się nimi jak on, więc z trudem oddawał swoje obowiązki innej osobie.

Przez ostatnie cztery lata jeździł na północ i do Midland, lecz nigdy nie odważył się ruszyć na południe ze względu na koszty benzyny, ale też dlatego, że nie lubił nocować poza domem, a poza tym nękała go obawa, że jeszcze nie jest gotów pokonać Ruperta Campbella-Blacka.

Jake obsesyjnie oglądał jego występy w telewizji, czytał wszystkie prasowe doniesienia o kolejnych skandalach. Podejrzewał, że w maju wybrano go do reprezentacji tylko dlatego, że Rupert i Billy zostali wyrzuceni za wybryki w Paryżu i późniejszą bójkę na zawodach w Plymouth. On sam zresztą też nie pojechał na zawody z powodu Afryki.

Wkrótce potem, jakby zdając sobie sprawę, że posunął się za daleko, Rupert nagle się ożenił z przepiękną rudą Amerykanką, która chyba zmieniła jego zachowanie. Czasy imprezowania i picia minęły. Rupert coraz rzadziej pojawiał się w rubrykach plotkarskich, a coraz częściej w kolumnach sportowych, zwyciężał na zawodach w całej Europie, regularnie występował w reprezentacji, a nawet przebąkiwano o jego udziale w reprezentacji olimpijskiej w przyszłym roku. Jake zazgrzytał zębami. Miał wrażenie, że Rupert coraz bardziej wysuwa się na prowadzenie i nigdy nie uda mu się go dogonić.

Jednak dzień był zbyt piękny, żeby przejmować się Rupertem. Przed sobą Jake widział Mill House otoczony bladozielonymi wierzbami, z cegłami wypłowiałymi do koloru truskawki, ze splątaną grzywą białych róż, których nikt nie miał czasu przycinać. Dom był długi i niski. W lewym skrzydle mieszkał Jake z Tory, Isą i Tanyą, w prawym mieścił się stary młyn z magazynami i ogromnym młyńskim kołem, które przed pięćdziesięciu laty wprawiał w ruch strumień, wciąż przepływający pod domem, przecinający ogród i wpadający do rzeki Trent.

Za domem, w tej chwili niewidoczna, stała stajnia, a za nią pierścień dębów o olbrzymich omszonych pniach — te drzewa chroniły ich przed

mroźnymi wiatrami z północy.

W tym roku Jake postawił sobie za cel zbudowanie krytej ujeżdżalni. Zimą zbyt często ciemne poranki, długie wieczory lub śliskie albo rozmiękłe drogi uniemożliwiały trening na zewnątrz. Nadszarpnął już tyle z kapitału Tory, że będzie musiał wziąć kredyt w banku. Jednak od czasu wprowadzenia ograniczeń w korzystaniu z prądu, dojścia do władzy socjalistów i ponurych perspektyw dla gospodarki banki zaostrzyły wymagania i przerażająco podniosły oprocentowanie. Jake nie chciał już sprzedawać akcji, które stanowiły ich ostatnie zabezpieczenie na wypadek kłopotów albo konieczności kolejnej pożyczki.

Był tak zamyślony, że dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, iż Żeglarz nastawił obwisłe uszy, Wilk popędził naprzód, a z domu nawołuje go Tory. Jake spiął konia, przeskoczył strumień i pobiegł trawnikiem przypominającym łąkę, gdyż nikt nie miał czasu kosić trawy.

— Telefon! — wrzeszczała Tory. — Pospiesz się!

Stała pod wierzbą, która moczyła liście w potoku. Tory była w ósmym miesiącu drugiej ciąży i niemal tak gruba, jak wtedy, kiedy się poznali. Twarz jej poróżowiała z emocji.

— Kto dzwoni? — zapytał Jake, zeskakując z siodła.

— Malise Gordon z Londynu. Ja go wezmę. — Jake podał żonie wodze i pobiegł do domu na tyle szybko, na ile pozwoliły mu nogi. Nie może robić wrażenia zbyt gorliwie czekającego na wiadomość. Malise zapewne chce go tylko zawiadomić o swoim przyjeździe na północ na rekonesans, może chce zobaczyć, jak Jake skacze. Telefon stał w hallu, który Tory w lutym pomalowała na niebiesko. Spod farby już ukazywały się plamy wilgoci. Może kiedyś będą mogli pozwolić sobie na wykładzinę dywanową.

— Halo — rzucił krótko.

— Halo, co słychać? — zapytał Malise swoim energicznym, żołnierskim tonem i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: — Podobno dobrze ci poszło w Birminghamie. Cieszę się, że Afryka wróciła do formy. Humpty zdenerwował się porażką, ale był pod wrażeniem jej skoków.

— Dzięki — odparł Jake, czując, jak Wilk kładzie mu się u stóp, jednocześnie przeglądając ułożone na stoliku koperty ze starannie wypisanymi na maszynie adresami. Tory rozsyłała zgłoszenia do biur konkursów.

— Nie możesz wciąż chować swojego światła pod korcem — dodał Malise nieco bardziej serdecznym tonem. — Powinieneś spróbować pojechać dalej na południe.

— Chciałem wystąpić w lipcu w Crittleden, a w październiku na Wembley.

Malise się roześmiał.

— Miałem na myśli południe. Może wybrałbyś się do Madrytu?

O tej chwili Jake marzył od dawna. W ustach poczuł suchość i musiał się przytrzymać chwiejnego stolika.

— Do Madrytu? — wychrypiał.

— Tak. Przepraszam, że dzwonię w ostatniej chwili. Konie Ivora Braine’a dostały kaszlu, a Driffield w weekend złamał rękę, więc pomyślałem, że może byś go zastąpił.

Jake nie odpowiedział, gdyż ogarnęły go jednocześnie przerażenie i uniesienie.

— Halo, jesteś tam?

— Ledwie — odparł Jake. — Tak, chciałbym pojechać do Madrytu — powiedział i w ostatniej chwili dodał: — Dziękuję bardzo.

— Reszta drużyny leci z Rzymu — wyjaśnił Malise — tylko Humpty poleci z Heathrow, a jego stajenny pojedzie pociągiem z końmi. To

piekielna podróż, trzy albo cztery dni, więc proponuję, żebyś zrobił tak samo. Twoje konie i stajenny mogą jechać przyczepą Humpty'ego. Bridie zabierze twoich po drodze, pojadą samochodem do Dunkierki, a stamtąd pociągiem. Ty mógłbyś polecieć do Madrytu z Humptym — ciągnął — i tam odebrać konie. Nie ma sensu, żebyście wszyscy dotarli wyczerpani.

— Nie — odparł Jake ostro — chcę pojechać z końmi.

— To nie jest dobry pomysł.

— Zresztą i tak nie mogę wysłać stajennej. Tory niedługo rodzi i nie jest w stanie zająć się wszystkim sama.

— Na pewno? Nie spodoba ci się ta podróż.

— Nie ma znaczenia. — Jake nigdy dotąd nie jeździł za granicę i perspektywa pozostawienia drogocennych koni samych na obcej ziemi napełniała go przerażeniem.

— Przywieziesz Valeriana i Afrykę? — zapytał Malise.

— Valerian złapał jakiegoś wirusa, ale mam znacznie lepszego konia. Zakwalifikował się do czołówki w trzech konkursach w Birminghamie.

— OK — zgodził się Malise — znasz swoje konie. Jeśli będziemy cię potrzebować do Pucharu Narodów, pojedziesz na Afryce.

W kuchni Jake zastał Tory rozmawiającą z Wilkiem siedzącym obok stołu kuchennego i otwierającą butelkę szampana.

— A to skąd się wzięło? — zapytał, wstrząśnięty taką rozrzutnością.

— Babcia Maxwell dała mi ją tuż przed śmiercią. Powiedziała, że mam ją otworzyć dopiero wtedy, kiedy dostaniesz się do reprezentacji. Ona też w ciebie wierzyła. Och, Jake. — Tory odstawiła butelkę i zarzuciła mu ramiona na szyję. Poczuł na policzkach jej łzy. — Jestem z ciebie taka dumna!

Przez cały kolejny tydzień Jake miał zbyt wiele zajęć, by się denerwować. Pomimo częstych przypomnień Tory dotąd nie wyrobił sobie

paszportu, uznając, że dopóki faktycznie nie dostanie się do reprezentacji, będzie to kuszenie losu. Teraz musieli pociągnąć za wszelkie możliwe sznurki w federacji jeździeckiej i wielokrotnie jeździć do biura paszportowego. Afryka i Żeglarz również potrzebowały paszportów, w których trzeba było narysować ich wizerunki. Jake wielokrotnie poprawiał portret Żeglarza, który wciąż przypominał raczej starego kozła. Konie musiały przejść badania krwi, trzeba im było pozałatwiać zaświadczenia weterynaryjne, odwołać kilka konkursów oraz spakować siebie i konie. Łącznie z czterodniową podróżą w jedną i w drugą stronę wyjeżdżali na niemal trzy tygodnie. Jake chętnie zadzwoniłby do Humpty'ego i wypytał go o procedury celne oraz zapytał, jakie ubrania najlepiej zabrać, lecz duma mu na to nie pozwoliła. W tym czasie miejscowy krawiec nocami wykańczał dla niego czerwony płaszcz.

Jake przymierzył płaszcz wieczorem przed wyjazdem. żałował, że nie jest wyższy i szerszy w ramionach. Przynajmniej jak Humpty, nie ma czerwonej twarzy, która kontrastowałaby z ubraniem. Tory kładła Isę do łóżka. Wilk siedział drżący, z podwiniętym ogonem, na walizce Jake'a jak uosobienie smutku. Zwykle jeździł z panem na wszystkie zawody, ale teraz szósty zmysł podpowiadał mu, że zostanie w domu.

Do pokoju wszedł Isa w niebieskiej piżamie z obrazkiem Wombla z kreskówki na przodzie i policyjnym hełmem na głowie, który nosił ostatnio całymi dniami i nocami. Lewy nadgarstek miał przykuty kajdankami do dużego pluszowego misia. Akurat uczył się nowych słów i powtarzał wszystko, co usłyszał od Jake'a i Tory.

— Tatuś idzie na polowanie — oznajmił na widok czerwonego ubrania.

— Niezupełnie — odparł Jake. — Na kilka dni jadę do Hiszpanii, musisz zająć się mamusią.

— A wrócisz, zanim mamusia wyjmie z siebie dziecko? Przywieziesz mi prezent?

Jake odwrócił się plecami do lustra, żeby obejrzeć płaszcz z tyłu. Żałował, że nie wie, jakich upałów może się spodziewać.

— A co byś chciał?

— Nową ciężarówkę.

— Masz już dziesięć! — powiedział Jake. — Na miłość boską, nie dotykaj tej teczki!

— Gdzie jest Pain? — zapytał Isa, ignorując słowa Jake'a i rozkładając wyjęte z teczki banknoty.

— Za granicą. Powiedziałem, nie dotykaj!

Bardzo rzadko krzyczał na Isę i nie znosił tego, ale dawało o sobie znać zdenerwowanie.

— Tatuś napije się whisky — poradził Isa, dla którego drink był lekarstwem na wszystkie dolegliwości i zdenerwowanie dorosłych.

— Idź poszukać mamusi. — Jake podniósł pieniądze i dokumenty weterynaryjne.

— Mamusia płacze — powiedział Isa.

Jake poczuł irytację. Czuł się winny, że zostawia żonę, ale co mógł na to poradzić? Tory chciała, żeby robił karierę, więc dlaczego teraz płacze?

Zastał ją w łazience, ociężale pochylała się nad podłogą, podnosiła plastikowe kaczki, łódki i przemoczone ręczniki. Spuchnięte kostki niemal wylewały się z butów.

— Co się stało? — warknął Jake.

— Nic. — Tory skupiła się na wykręcaniu flaneli.

— Co się dzieje, do cholery? Muszę jechać. — poczucie winy sprawiło, że mówił ostrzej, niż zamierzał. — Dla mnie to też nie będzie zabawa; ponad dwa tysiące kilometrów pociągiem w upale i z dwoma końmi.

Przed ślubem uzgodnili, że Tory nigdy nie będzie się nad nim znęcać emocjonalnie ani zdradzać swojej desperackiej zależności od niego.

— Przepraszam — wymamrotała. — Bardzo się cieszę, że jedziesz. Nie wiem, co mnie naszło.

Wargi jej zadrżały. Jake otoczył ją ramieniem, czując twardy zarys dziecka w jej brzuchu przyciśniętym do niego. Na moment Tory przylgnęła do niego, zrzucając maskę.

— Będę bardzo za tobą tęsknić.

— Szybko minie — pocieszył ją. — Zadzwonię do ciebie od razu po przyjeździe do Madrytu.

W tej chwili dobiegł ich donośny łoskot i szczekanie Wilka. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyli Tanyę, która najwidoczniej stała na wiadrze i wyglądała przez maleńkie, wysokie okno z pomieszczenia na uprząż.

— Czy ktoś mnie stąd wypuści? Wasz synalek właśnie mnie zamknął!

Jednak następnego dnia rano, o pierwszym brzasku, kiedy promienie słońca muskały wierzby i mlecznobiałe pola, Jake, wstając, spojrzał na swój dom i zadał sobie pytanie, czy w ogóle jest w stanie go opuścić. Tanya już od dwóch godzin była na nogach i szykowała konie. Pożyczyła nawet dwie kanki na mleko z pobliskiego gospodarstwa, żeby Jake’owi nie zabrakło wody w pociągu.

— Przykro mi, że nie jedziesz — powiedział do niej.

— Zabierzesz mnie następnym razem — odparła.

— Jeśli będzie następny raz — powiedział Jake, zapalając papierosa.

— Zdenerwowany?

Jake pokiwał głową.

Afryka pierwsza dosłyszała warkot samochodu, którym jechał Humpty. Przez te lata zmieniła się, przybyło jej mięśni i siły, grzbiet za siodłem się wypełnił. Miała większe wymagania i mniej lubiła towarzystwo, zdarzały

się jej złe nastroje i wybuchy niecierpliwości, zwłaszcza w czasie rui. Teraz, przeczuwając, że coś się dzieje, podbiegła do drzwi boksu, żeby wyjrzeć, wytrzeszczyła oczy i położyła po sobie uszy, depcząc po sianie i przebierając przednimi kopytami. Pozostałe konie wystawiły głowy z boksów, gotowe okazać zazdrość z powodu wycieczki, na którą ich nie zabierano. Jedynie Żeglarz się nie ruszył, z niewzruszonym spokojem kończąc paszę. Żeglarz działał na Afrykę uspokajająco, ale jej wielką miłością był Jake.

Tory i Tanya poczuły ulgę na widok Bridie, stajennej Humpty'ego, która okazała się niełądna. Pulchna, z mysimi loczkami i tłustą cerą. „Takie moje szczęście, że mam cztery dni tkwić z nią w wagonie" — pomyślał Jake.

W samochodzie dojrzeli trójkę koni Humpty'ego; pierwszy stał wspaniały Porky Boy z lśniącą kasztanową sierścią. W porównaniu z nim drepczący po rampie Żeglarz wyglądał tak, jakby się wybierał w ostatnią podróż. Przynajmniej Afryka, ciemna piękność, rżąca i tańcząca na podeście, nieco ratowała reputację stajni.

— Chyba nie musisz się martwić, że Jake skoczy w bok z tym czymś — stwierdziła Tanya, kiedy ciężarówka przejeżdżała przez most, potrącając gałęzie wierzby.

— Zapowiadają okropną pogodę — oznajmiła pogodnie Bridie w samochodzie. — Chyba czeka nas ciężka przeprawa przez kanał.

Jak się okazało, cała podróż była koszmarna. Ciężarówka dla koni poruszała się w ślimaczym tempie. Na środku kanału złapał ich sztorm i statek omal nie zawrócił. Jake spędził cały czas z końmi, uspokajając je. Przepłynięcie La Manche zajęło im tyle czasu, że spóźnili się na pociąg w Dunkierce i musieli czekać dwanaście godzin na kolejny, który bez problemu zawiózł ich na hiszpańską granicę. Tam mieli kłopoty zarówno z celnikami francuskimi, jak i hiszpańskimi, którym nie spodobał się wydany

w trybie pilnym paszport Jake’a. Jake nie znał żadnych języków obcych, Bridie — zaledwie kilka słów po hiszpańsku, więc oboje zostali odstawieni na bocznicę na półtora dnia. Wkrótce szybko zaczęło im się kończyć jedzenie. Bridie, przyzwyczajona do takich opóźnień, zabijała czas lekturą powieści Millsa i Boona oraz flirtowaniem z przystojnymi celnikami, których najwyraźniej nie odstraszały jej rozmiary.

Jake omal nie oszalał, chodząc tam i z powrotem, paląc paczkami papierosy i próbując dodzwonić się do Anglii.

— Za granicą zawsze trafiają się przestoje — stwierdziła filozoficznie Bridie. — Trzeba do nich przywyknąć.

„Cały jest spięty — pomyślała. — Za chwilę pęknie”.

W końcu Jake zdołał dodzwonić się do Tory, która z kolei namierzyła Malise’a w Rzymie, ten zaś pociągnął za kilka sznurków i w końcu załatwił im miejsce w kolejnym pociągu do Madrytu. Czekając na odjazd, Jake również zaczął również czytać Millsa i Boona, nie zdając sobie sprawy, że prawdziwy koszmar dopiero się zaczyna.

Jak się okazało, podstawiono dla nich wagony bydlęce — dla trzech koni i Bridie jeden, a dla Jake’a, Afryki i Żeglarza drugi. Nie było w nich okien, tylko wywietrzniki i drzwi przesuwne.

— Biedny Porky Boy, nie spodoba mu się tutaj — powiedziała Bridie. — Jest przyzwyczajony do światła w czasie jazdy.

Po kolejnych przepychaniach i obijaniu o wagony, aż Jake miał wrażenie, że wszystkie kości mu skrzypią, doczepiono ich do ekspresu pasażerskiego. Kiedy pociąg ruszył, stracili kontakt ze światem zewnętrznym. Nie mieli z kim porozmawiać, otoczyła ich całkowita ciemność przerywana błyskami świateł, kiedy pociąg mijał stacje. Szyje trzeszczały im od ciągłego podskakiwania. Jake miał dokładne wyobrażenie o tym, jak się czuje martini potrząsane w shakerze.

Kiedy zwolnili przed jakąś dużą stacją, Jake usłyszał, jak w wagonie obok ktoś się rzuca z hałasem, a potem Bridie zaczęła walić w ścianę.

— Porky Boy szaleje! — zawołała. — Nie mogę go utrzymać na tyle długo, żeby dać mu zastrzyk!

Ryzykując życie, a co najmniej pozostanie w interiorze hiszpańskim, Jake wyskoczył z wagonu i pobiegł do Bridie. wskoczył w ostatniej chwili i od razu omal nie został stratowany przez szalejącego Porky Boya. Jakimś cudem, z latarką w zębach, zdołał napełnić strzykawkę, wbił ją w przerażone zwierzę i przywarł do niego, głaszcząc i przemawiając łagodnie, aż w końcu koń się uspokoił.

Bridie dziękowała mu ze łzami w oczach. Szalejący z niepokoju o Afrykę i Żeglarza Jake musiał zaczekać, aż mlecznobiałe światło ukaże łagodne wzgórza poznaczone gajami oliwnymi, które wkrótce ustąpiły miejsca równinom otaczającym Madryt. w końcu pociąg zwolnił na tyle, by Jake mógł wrócić do koni. Był dumny. Afryka przecięła sobie kolano, gdyż upadła, oba konie były wyraźnie zasmucone jego nieobecnością, ale tym radośniej go witały. Kiwały się rytmicznie, by nie stracić równowagi. Jake pomyślał, że gdyby mogły, pewnie wyszłyby i same pociągnęły wagony.

Kiedy dotarli do Madrytu, znaleźli się na peronie pasażerskim. Jake i Bridie zobaczyli tłum eleganckich podróżnych w urzędowych strojach. dojeżdżający do pracy ludzie z zaskoczeniem spoglądali na dwójkę sponiewieranych wędrowców i ich wymęczone konie.

16

PO TEJ PIEKIELNEJ PODRÓŻY Jake szykował się na stajnie dla koni dorównujące standardem kurnikom, jednakże madryckie tereny zawodów były wyjątkowo luksusowe, miały własny klub, basen i korty do squasha oraz olbrzymi teren do skoków tuż obok jeszcze większej areny do ćwiczeń, na której stało ponad pięćdziesiąt różnych przeszkód.

— Humpty twierdzi, że warto tu przyjechać chociażby po to, żeby na nich poćwiczyć — powiedziała Bridie, wyprowadzając zesztywniałego ze zmęczenia, ale spokojnego Porky Boya.

Każda zagraniczna drużyna miała własne zaplecze ze wspaniałymi boksami. Tuż obok z Rzymu dotarła właśnie zwycięska ekipa Niemców i rozładowywała swoje wielkie konie, hałasując przeraźliwie. Jake rozpoznał Ludwiga von Schellenberga i Hansa Schmidta, dwóch jeźdźców, których uwielbiał od lat. Z dreszczem przerażenia uświadomił sobie, że następnego dnia zmierzy się z nimi w zawodach.

Po chwili kolejny problem sprawił, że Jake zapomniał o obawach. Boksy wyłożono grubą warstwą siana, które dla żarłocznego Żeglarza było zaproszeniem do posiłku. Koń zawsze wyjadał swoją ściółkę, przyprawiając się o gazy. Jake zużył już po drodze wszystkie wióry. Jak miał wyjaśnić uroczym, uśmiechniętym, lecz nierozumiejącym Hiszpanom, czego potrzebuje? W słowniku Bridie znaleźli słowo „drzewo”, ale nie „wióry”. Jake poczuł ogromne znużenie.

— Mogę pomóc? — odezwał się głos.

Był to Malise Gordon, który właśnie dotarł z Rzymu. zwykle rumianą twarz miał jeszcze bardziej opaloną, ubrany był w lekki garnitur, wyglądał

atrakcyjnie i emanował autorytetem. Jake jeszcze nigdy nie ucieszył się tak bardzo z czyjegoś widoku.

Malise natychmiast zaczął rozmawiać płynnie po hiszpańsku i wszystko pozałatwiał.

— Wyglądasz na wykończonego — powiedział do Jake’a. — Przykro mi, że tak ci dopiekła podróż, ale ostrzegałem. Jednak dobrze, że wczoraj byłeś na miejscu i zająłeś się Porky Boyem. A jak twoje konie, w porządku?

Podczas gdy hiszpańscy stajenni rozsypywali wióry dla Żeglarza, Jake pokazał Malise’owi kolano Afryki, które na szczęście nie spuchło.

— A drugi koń gdzie?

— Tutaj. Szykowali mu boks.

Żeglarz, który zawsze jadał bardzo niechlujnie, wysypał paszę na wióry i teraz wybierał ją pracowicie. Rzucił Malise’owi spojrzenie swoim zamglonym okiem — po czterodniowej podróży wyglądał naprawdę paskudnie.

„Boże — pomyślał Malise — ten koń stanie się pośmiewiskiem wszystkich, a my razem z nim”. Jednak pocieszył się zaraz myślą, że nawet jeśli Jake dotrze do startu w Pucharze Narodów, zawsze może pojechać na Afryce. W każdym razie chłopak wyglądał na wykończonego. Nie ma sensu teraz poruszać tego tematu.

— Zabiorę cię do hotelu, prześpisz się. — Malise zerknął na zegarek. — Jest dopiero dziesiąta, reszta dojedzie po południu. Proponuję, żebyśmy spotkali się w barze około dwudziestej pierwszej. Możemy zjeść razem kolację, poznasz wszystkich.

Jake, który nigdy nie mieszkał w hotelu, uznał pokój za ósmy cud świata. Miał łazienkę z prysznicem, wanną i toaletą, darmowe mydło i płyn do kąpieli, jak również czepek do kąpieli i trzy białe ręczniki. W sypialni stały telewizor, radio, telefon i ogromne podwójne łóżko. Jake marzył o kawie,

ale nie odważył się podnieść słuchawki, bojąc się, że go nie zrozumieją. Okna balkonowe wychodziły na taras, z którego rozciągał się widok na park. Po lewej, jeśli się wychylił, widział ulicę pełną sklepów i kafejek ze stolikami na ulicy. Z kuchni napływały już zapachy oliwy, papryczki pimento i szafranu. Jake zasunął grube fioletowe zasłony, zdjął tylko buty, nie przejmując się resztą garderoby, i padł na zaskakująco twarde łoże. Przed oczami zamajaczył mu jeszcze wiszący na ścianie obraz przedstawiający matadora w obscenicznie różowych obcisłych spodniach, który wbijał w kark byka coś, co przypominało szpilki — po czym zasnął.

Jednak pomimo zmęczenia spał niespokojnie.

Sny o katastrofalnych przejazdach na zawodach przerywały mu nagłe wybuchy muzyki flamenco lub krzyki dzieci bawiących się w parku. O szóstej miasto się obudziło po sjeście, a wtedy Jake porzucił nadzieję na dalszy sen. Ulice zaroiły się od samochodów zgrzytających na kocich łbach; ich kierowcy w ogóle nie przejmowali się światłami ani gorączkowo gwiżdżącymi policjantami. Stoliki na chodniku zaczynały się zapełniać, a ulicami przesuwały się tłumy.

Jake spojrzał na park. małe dziecko biegnąc za czerwoną piłką, potknęło się o psa, upadło na nos i płakało wniebogłosy. Niemal od razu podbiegła do niego ładna, ciemnowłosa kobieta, rzuciła przekleństwo w kierunku psa i podniósłszy dziecko, pokryła je pocałunkami.

Jake nagle poczuł przygniatającą tęsknotę za Isą i Tory.

Marzył o tym, żeby zadzwonić do domu, ale nie wiedział, jak to zrobić. Dotąd nie zebrał się na odwagę, by podnieść słuchawkę i zamówić kawę czy herbatę.

Dręczyło go pragnienie, więc wypił kilka kubków wody z kranu, potem rozpakował się, wziął prysznic i owinięty tylko jednym z białych ręczników wyszedł na balkon, jednak natychmiast się cofnął, gdyż na balkonie obok

piękna dziewczyna malowała sobie na koralowo paznokcie u nóg i łapała ciepło promieni słońca schodzącego ku zachodowi.

Była niemożliwie szczupła, miała długie nogi i ręce, które pomimo piegów już zaczynały pokrywać się twarzową opalenizną w kolorze słabej herbaty. Na sobie miała żółte bikini, jej włosy skrywał duży żółty ręcznik. Obok niej leżały katalog jakiejś galerii sztuki, słownik hiszpański, książka wyglądająca na zbiór poezji oraz stała do połowy wypełniona szklanka soku pomarańczowego. Najwyraźniej ona potrafiła się dogadać z recepcją. Sprawiała wrażenie cudownie rozpieszczonego konia wyścigowego. Kiedy przeciągnęła się swobodnie, ciesząc się ciepłem i życiem, Jake poczuł ukłucie pożądania. Dlaczego w Warwickshire nie widuje się takich dziewcząt? Chciałby, żeby zaczęła dłubać w nosie albo podrapała się w krocze, albo zrobiła cokolwiek, co uczyniłoby ją normalniejszą i mniej godną pożądania.

Nagle w korytarzu rozległ się hałas, dziewczyna podskoczyła.

— W porządku, w barze około dziewiątej! — Z korytarza dobiegł męski głos.

— Kochanie, jak dobrze cię widzieć! — zawołała dziewczyna w bikini. Mówiła z amerykańskim akcentem.

Nastąpiła długa przerwa. Potem głos mężczyzny zabrzmiał wyraźniej. Był to niski, charakterystyczny głos, który Jake rozpoznałby wszędzie, a na jego dźwięk poczuł, że kolana się pod nim uginają, a włoski na karku stają dęba.

— Cholernie ciężka podróż — powiedział mężczyzna. — Wciąż nam się samochód przegrzewał. Trzydzieści sześć godzin w trasie.

— Kochanie — powiedziała dziewczyna — bardzo mi przykro. Pewnie jesteś wykończony.

Nastąpiła kolejna chwila przerwy, po czym mężczyzna powiedział ostro:

— Nieważne, do cholery, jak jestem zmęczony, ściągaj to bikini.

Dziewczyna zaczęła protestować, ale nie trwało to długo. Po chwili rozległy się odgłosy kochającej się pary, łóżko zaczęło obijać się o ścianę tak gwałtownie, że Jake poczuł się znów jak w wagonie bydlęcym. Na szczęście trwało to tylko pięć minut. Kolejne dowody niespożytych możliwości Ruperta zapewne wykończyłyby Jake’a do reszty. Jeszcze gorsze były odgłosy pluskania i śmiechu, kiedy para brała wspólną kąpiel. Wciąż panował nieznośny upał. Jake starannie pościelił łóżko, zlany potem wziął kolejny prysznic, a potem zmienił koszulę, żeby mieć coś do zrobienia. Chętnie uprałby bieliznę i koszule i wywiesił je na balkonie, ale już wyobrażał sobie pogardliwe komentarze Ruperta.

Później słyszał, że piją drinka na balkonie.

„Też powinienem łyknąć kilka szybkich, żeby Malise nie wziął mnie za alkoholika”.

O dwudziestej pierwszej Jake był już tak spięty z nerwów towarzyszących czekaniu, że nie mógł się zmusić do zejścia na dół. Z pokoju wyciągnął go dopiero telefon Malise’a, który powiedział, że siedzą już w barze i pytał, czy Jake nie zaspał.

Malise czekał na niego przy windzie. Na widok ściągniętej twarzy i cieni pod oczami oraz wyraźnego napięcia zawodnika odezwał się:

— Nie martw się, oni naprawdę nie gryzą.

Wszyscy byli dla Jake’a bohaterami. Humpty Hamilton, zaczerwieniony od słońca, popijał lagera. Lavinia Greenslade, którą pamiętał z pierwszego konkursu w Bilborough, była jeszcze ładniejsza, gdyż rozjaśniła lekko włosy, podcięła je i zakręciła. Po jej bokach, jak psy obronne, siedzieli rodzice: matka obwieszona zbyt dużą ilością taniej biżuterii i ojciec z rudymi bokobrodami i brzuchem wylewającym się nad spodniami. Nie uśmiechali się. Lavinia sama niedawno dołączyła do drużyny, więc trudno

się było dziwić, że jeszcze nie wita z entuzjazmem nowych członków. Billy Lloyd-Foxe od czasów szkolnych nieco się wypełnił i złamał nos, ale poza tym niewiele się zmienił. Śmiał się, rozmawiając z przepiękną rudowłosą dziewczyną w czarnych powiewnych spodniach i białej jedwabnej koszuli związanej pod biustem, ukazującej gładki nagi brzuch. Po piegowatych ramionach i koralowych paznokciach u nóg Jake rozpoznał dziewczynę z balkonu. Rupert stał odwrócony tyłem, płacąc za kolejkę drinków i dając autograf barmanowi, jednak Jake natychmiast rozpoznał gładkie blond włosy i szerokie ramiona w koszuli w niebieskie paski. Poczuł falę niechęci i obaw.

— To Jake Lovell — oznajmił Malise. — Na pewno zna was wszystkich.

Rupert obrócił się na pięcie i uśmiechnął. W opalonej twarzy błyszczały oczy niebieskie jak skrzydła sójki.

— Cześć — powiedział. — Witamy wśród alkoholików, bynajmniej nie anonimowych. Podobno miałeś jeszcze gorszą podróż niż my, co wydaje się niemożliwe. Czego się napijesz?

Jake, który tyle razy przeżywał tę chwilę w myślach i miał zamiar zachować lodowatą wyniosłość, całkowicie rozbrojony tak przyjaznym powitaniem wymamrotał, że napiłby się szkockiej. Billy wstał i podał Jake’owi rękę.

— Ty szalejesz na północy, a ja nieczęsto tam bywam, bo za łatwo oberwać.

— W Birminghamie miałeś dobrego konia — odezwał się Humpty, poklepując siedzenie obok siebie — jak się nazywał, Australia?

— Afryka — odparł Jake.

— Wygląda na konia pełnej krwi. Jakiego ma ojca?

— Nie wiem.

— A matkę?

— Też nie wiem.

— Przymknij się, Humpty — wtrącił Rupert, podając Jake’owi wielką szklankę whisky, na widok której Malise zmarszczył się lekko.

Rupert uniósł swoją szklankę w kierunku Jake’a.

— Witamy w drużynie brytyjskiej — powiedział. — Mam nadzieję, że czeka nas jeszcze wiele spotkań.

— Dzięki — odparł Jake. Upił łyk whisky tak mocnej, że do oczu napłynęły mu łzy. Od razu odstawił szklankę na stolik, żeby reszta nie dojrzała, jak bardzo drży mu ręka.

— Lavinia sześć razy była w reprezentacji Wielkiej Brytanii — wtrąciła jej matka zapalczywie.

— Mamo, płoszę!

— Powinnaś być z tego dumna! — odparła matka. — Jesteś jedyną dziewczyną w drużynie.

— A Driffield? — zapytał Rupert. — Zawsze mi się wydawało, że jego płeć jest nie do końca jasna.

— Nie jest — odparł Humpty. — Mieszkałem z nim w jednym pokoju.

— Wystarczy! — powiedział Malise.

— Byłeś po południu w Prado? — zapytała go Helen.

Malise pokręcił głową.

— Spędziłam tam kilka godzin — powiedziała Helen. — Płótna Velasqueza są nie z tego świata, co za moc! Udało mi się zwiedzić tylko dwa pomieszczenia, ale zajrzałam też do katedry. Nawa jest wspaniała.

Rupert stłumił ziewnięcie.

— Wolę oglądać pępki — stwierdził, przesuwając ręką po brzuchu żony. Po czym zsunął w dół jej czarne spodnie i zaczął przesuwać palcem po jej brzuchu. — Zwłaszcza twój.

Był to wyraźny gest posiadacza, na dodatek Rupert uśmiechnął się do Jake’a z tą swoją tak dobrze mu znaną szyderczo-taksującą miną.

Humpty odwrócił się znów do Jake’a.

— Przy okazji, dziękuję, że zająłeś się Porkym w podróży. Bridie mówi, że gdyby nie ty, koń mógłby pokaleczyć poważnie i siebie, i ją.

— Maszynistę tamtego pociągu powinno się zastrzelić — odparł Jake.

— Hiszpanie nie lubią zwierząt — wtrącił Humpty. — Porky jest faktycznie bardzo nerwowy, ma to po matce.

Po czym Humpty zaczął rozwlekłą, niezrozumiałą opowieść o genealogii Porky Boya. Jake udawał zainteresowanie, jednocześnie przyglądając się pozostałym. Państwo Greenslade nad głową Lavinii omawiali konie, na których powinna skakać, ona zaś rzucała ukradkowe spojrzenia na Billy’ego. Billy zaś spierał się przyjaźnie z Rupertem o to, czy warto sprzedać jakąś klacz i ile mogą za nią dostać. Helen i Malise, wyczerpawszy temat Velasqueza, przeszli do omawiania poezji hiszpańskiej. Jake uznał Helen za olśniewająco piękną dziewczynę, ale zbyt kruchą dla Ruperta. Nie wyobrażał sobie, żeby Rupert przez dłuższy czas traktował kogoś z uwagą i troską.

— Uwielbiam Lorcę — mówiła Helen. — Za jego najprostsze, silne uczucia, na przykład ten wiersz, który zaczyna się *Najzieleńszej chcę zieleni*...

— Billy mógłby to powtarzać — wtrącił Rupert. — Tylko u niego byłoby to Głeenslade, chcę mojej najzieleńszej Głeenslade...

— Zamknij się — syknął Billy, rzucając nerwowe spojrzenie w kierunku matki Lavinii.

— Pod warunkiem, że postawisz mi drinka — odparł Rupert, podając Billy’emu swoją pustą szklankę.

— OK. — Billy wstał. — Kto chce dolewki?

— Jake — odparł Rupert.

Jake nie miał możliwości ani nawet ochoty przerywać opowieści Humpty’ego, więc pozostało mu tylko sączyć whisky, na co miał mnóstwo czasu. Od trzydziestu sześciu godzin nic nie jadł, więc poczuł, że alkohol mocno na niego działa. Zanim jednak zdołał zaprotestować, Rupert porwał jego szklankę i podał ją Billy’emu.

— Ale słabszą niż poprzednia — ostrzegł stanowczo Malise. — Tamta była poczwórna.

— Wiesz, on nie ma osiemnastu lat — odparł cicho Rupert.

— Ile masz lat? — zapytał Humpty.

— Dwadzieścia sześć — odpowiedział Jake.

— Tyle co ja i Rupe — zauważył Billy, machając do kelnera.

— Ciekawe, że dotąd o tobie nie słyszeliśmy — wtrąciła Lavinia. — Stłasznie łomantycznie, że cię tak nagle wybłali.

— Późno zacząłem — wyjaśnił Jake.

— Ale ja na pewno już cię gdzieś widziałem — powiedział Billy zdziwiony, podając podwójne whisky Jake’owi i Rupertowi.

— Pewnie w „Hołse and Hound” albo w jakimś czasopiśmie jeździeckim — rzuciła Lavinia.

„Jednak nie” — pomyślał Billy. Coś w zachowaniu Jake’a przyprawiało go o niepokój, poruszało warstwy wspomnień, obierało je jak cebulę do tych najmniej przyjemnych, które spycha się w podświadomość i próbuje o nich nie pamietać.

Zjedli kolację w tawernie kilka ulic dalej. Na ścianach wisiały wachlarze, kastaniety i obrazki przedstawiające kobiety w mantylkach. W kącie otyły tenor w brudnej, białej koszuli z falbankami i włosami przypominającymi lakierowaną skórę bez zapału brzdąkał na gitarze. Wyskoczył do nich właściciel, podał rękę Malise’owi, Humpty’emu, Rupertowi i Billy’emu, po

czym pociągnął ich do ściany i pokazał ich zdjęcia z autografami, a w końcu zaczął się zachwycać urodą Lavinii. Rude włosy były w Madrycie rzadsze niż jasne, a Helen była nieco zbyt szczupła jak na hiszpańskie gusty.

Jake zaczął się czuć wyjątkowo dziwnie, musiał koniecznie coś zjeść. Kiedy usiadł, po lewej miał Lavinię, a po prawej panią Greenslade. Na stole pojawiły się butelki, Rupert od razu napełnił kieliszki. Podano im całkowicie niezrozumiałe karty.

— Co to jest gazpacho? — zapytała Lavinia.

— Zupa pomidorowa — wyjaśnił Rupert.

Danie wydawało się łagodne i przyjazne dla podrażnionego żołądka.

— A polpi?

— Jakiś makaron — powiedział Rupert.

— Poproszę — zdecydował Jake.

Nagle zauważył, że dłoń Billy'ego pod stołem gładzi udo Lavinii, oczywiście tak, żeby nie widzieli tego jej rodzice. Podszedł kelner, aby zebrać zamówienia. Jake stanowczym głosem powiedział:

— Poproszę gazpacho i polpi.

— Dla mnie duży stek i frytki — odezwał się Humpty.

— Dla mnie też — dodał Billy — ale bez frytek, tylko sałatkę. Spodnie zaczynają się robić okropnie ciasne. A na przystawkę krewetki śródziemnomorskie.

— Powinieneś mniej pić — powiedział do niego Rupert, dolewając mu do kieliszka.

Helen odwróciła się do kelnera i zaczęła rozmawiać z nim po hiszpańsku.

— Na miłość boską — odezwał się Rupert z irytacją — oni znają angielski.

— Hiszpański jest rodzimym językiem około dwustu milionów ludzi na świecie — odparła Helen, lekko się rumieniąc.

— Chyba aż tak źle nie jest...

— Przynajmniej będzie mogła ci przetłumaczyć horoskop z hiszpańskiej gazety — wtrącił Billy.

— Przydaje się też przy odprawie celnej — dołożyła pani Greenslade, która podziwiała Helen.

— Od tego mamy Marion — powiedział Rupert. — Ma wielkie cycki, a ten język celnicy rozumieją najlepiej.

Oprócz głaskania nogi Lavinii Billy starannie unikał jej wzroku ze względu na rodziców, dziewczyna więc odwróciła się do Jake’a.

— Jak ci poszło w Rzymie? — zapytał ją. — Nie czytałem gazet.

— Byłam długa i trzecia. Łupełtowi poszło najlepiej, wygłał dwa łazy i miał czysty przejazd w Pucharze Nałodów. Ale i tak łozbili nas Niemcy i Flancuzi. Chyba nigdy z nimi nie wygłamy. Ludwig i Hans Schmidt działają jak komputeły, płogłamują swoje konie i lecą na pewniaka.

Jake zjadł chleb, chcąc zagryźć czymś alkohol. Gruby śpiewak flamenco najpierw potupał przez dłuższą chwilę, a potem rozpoczął jakąś rzewną melodię.

— Prawie jak w Grand Hotelu — stwierdził Rupert.

Teraz, po kilku drinkach, spojrzenie Jake’a nieustannie wędrowało w kierunku Ruperta, który przyciągał jego uwagę jak magnes. W żołądku czuł ten sam nerwowy ucisk co kiedyś. Rupert bynajmniej nie złagodniał. Jake wiedział, że niedługo on zostanie obiektem jego drwin. Znów sobie uświadomił, jakim złym człowiekiem jest Rupert pod swoją maską nonszalanckiego wesołka.

W restauracji panowało gorąco i Jake pocił się niemiłosiernie.

— Wszystko dobrze? — zapytał Malise. — Niedługo powinni przynieść jedzenie. To jedna z irytujących rzeczy w Hiszpanii, wszyscy jadają kolację po dwudziestej drugiej. Przynajmniej nie będziemy się jutro musieli zrywać o świcie.

— Jutło łano idę się opalać — oznajmiła Lavinia.

— Na pewno nie — sprzeciwił się jej ojciec — musisz przerobić te kroki na Burzy Śnieżnej. Nie możemy ryzykować, że znów przestraszy się przeszkody.

W końcu zaczęto przynosić jedzenie. Jake dostał talerz zupy, a kiedy poczuł dolatujący znad niego silny aromat czosnku, poczuł gwałtowny protest żołądka. Bóg wie, czego oni tam nakładli. W zupie pływały kawałki smażonego chleba, zielonej papryki i ogórków.

— Cóż za interesująca paella — mówiła Helen, nabijając na widelec dużą małżę.

Czując lekkie mdłości, Jake wziął łyżkę zupy i z trudem się powstrzymał, by jej nie wypluć. Była zimna jak lód i bardzo mocno przyprawiona czosnkiem. Jake odłożył łyżkę i wypił potężny łyk wina, a potem zjadł kawałek chleba, żeby zatrzeć czymś smak zupy.

Co miał zrobić? Czy to jakiś szatański plan Ruperta? Czy rywal namówił kelnera do przyniesienia zimnej zupy, żeby potem móc się naśmiewać, kiedy Jake będzie ją jadł?

— Co się dzieje? — zapytał Malise.

— Nic — odparł Jake. Nie wolno mu okazać słabości. Wypił kolejny łyk i o mało nie zwymiotował. Podniósłszy głowę, napotkał zamyślone spojrzenie Ruperta.

— Dobre gazpacho? — zapytał Rupert.

— Jeśli chcesz wiedzieć, jest zimne jak lód — odpowiedział Jake. — Zapomnieli go podgrzać.

Rupert uśmiechnął się szeroko.

— Takie ma być — powiedział łagodnie. — Powinienem był cię uprzedzić. To narodowa potrawa hiszpańska, którą bez wątpienia uwielbia około dwustu milionów ludzi na świecie.

Jake ujął talerz w obie dłonie. Przez moment zalała go taka fala nienawiści, że omal nie rzucił talerzem w twarz Ruperta.

— Ja wezmę gazpacho — wtrącił Billy, przechylił się, odsunął talerz Jake’a i podał mu krewetki śródziemnomorskie.

— Będziesz spał sam — ostrzegł Rupert.

— I tak nie mam chyba wyjścia — odpowiedział Billy, uśmiechając się blado do pani Greenslade i nieco mocniej ściskając udo Lavinii.

Rupert zaczął rozmawiać z Humptym Hamiltonem o korridzie.

— Pójdziemy obejrzeć w tygodniu.

— Ja nie! — oznajmiła Lavinia. — To okłutne widowisko.

— A widziałaś już korridę? — zapytał Rupert.

— Nie.

— Jesteś taka sama jak Helen. Kiedy ją poznałem, była z aktywistami na demonstracjach przeciwko polowaniu.

„Ona przypomina lisa — pomyślał Jake. — Pięknego, nerwowego, płochliwego lisa, z przerażonymi żółtymi oczami, oswojonego lisa, gotowego czmychnąć w każdej chwili”.

— Płótna El Greca są wspaniałe — mówiła Helen do Malise’a. — Sam wyglądasz jak El Greco, taki jesteś szczupły i stylowy.

Jake zauważył, że Malise zarumienił się, ale nie wyglądał na niezadowolonego.

— Jutro rano też się tam wybieram. Może pójdziesz ze mną? — ciągnęła Helen.

— Jutro, mój aniele — powiedział Rupert z wyraźną irytacją w głosie — spędzisz poranek ze mną w łóżku.

Przyniesiono drugie danie. Jake czuł, jak majonez i krewetki niechętnie mieszają mu się w żołądku z whisky i winem. Makaron na pewno dobrze mu zrobi. W tej chwili przed nim pojawił się talerz, na którego widok Jake o mało nie wywrócił stołu — talerz był pełen ośmiornic!

— Nie zamawiałem tego!

— Si, señor, polpi.

Jake oblał się ciemnym rumieńcem.

— Mówiłeś, że to makaron — syknął do Ruperta.

— Co za głupi błąd! — powiedział powoli Rupert. — Oczywiście, polpi, ośmiornice, zapomniałem. Szkoda, że nie zapytałeś Helen albo Malise'a.

— Rupert, świnia z ciebie — odezwał się Billy. — Przepraszam — zwrócił się do kelnera — może pan to zabrać z powrotem i przynieść risotto? A może wolałbyś stek?

Jake pokręcił głową, czuł się okropnie.

— Chyba już mi wystarczy.

— Weź mój łyż z kułczakiem — zaproponowała Lavinia, przerzucając danie na wolny talerzyk Jake'a. — Jest napławdę dobły, ale nigdy nie uda mi się go zjeść. Wiesz, że w dłużynie hiszpańskiej jest dwóch mężczyzn o imionach Angel i Maria?

Kolacja wlokła się niemiłosiernie. Jake czuł się coraz gorzej. Pogrzebał w talerzu z ryżem od Lavinii, ale niewiele udało mu się zjeść. Znów ogarnęła go taka tęsknota za domem, że o mało się nie rozpłakał. Gdyby był teraz w domu, pewnie właśnie wróciłby z zawodów. Czekałaby na niego Tory, oboje poszliby na górę i cieszyli się widokiem śpiącego Isy.

— Ktoś chce deser? — zapytał Malise.

— Ja chętnie jakieś owoce — powiedziała Helen. — Mają może świeże owoce?

— Po angielsku precyzuje się, o jakie owoce ci chodzi — wtrącił Rupert przez zaciśnięte zęby. — Truskawki, maliny, agrest?

— Na pewno mają truskawki. — Malise uśmiechnął się do Helen. — A ty, Jake?

Jake pokręcił głową i wstał.

— Dziękuję za kolację. Idę spać — powiedział. — Mogę się z wami rozliczyć rano?

— To jest na koszt reprezentacji — odparł Malise.

— Dziękuję — powiedział Jake.

— Śpij dobrze — pożegnał go Malise. — Zamów śniadanie w recepcji, oni tam mówią po angielsku. I na miłość boską, nie pij wody z kranu.

— Idziesz spać? — zapytał zdziwiony Rupert. — Przepraszam za polpi i gazpacho. Płacisz frycowe, wiesz, jak jest.

— Wiem — odparł Jake ponuro — aż za dobrze.

Na widok jego zaciętej, białej twarzy Billy nagle doznał olśnienia. Lovell J. Oczywiście! Wiedział już, gdzie go wcześniej widział. To był cygański chłopak ze szkoły St. Augustine’s, Gyppo Jake, którego razem z Rupertem prześladowali niemiłosiernie, aż pewnego dnia chłopak uciekł. Tego Billy zawsze się wstydził. Chciał teraz coś powiedzieć, przeprosić za żarty przy kolacji, ale było już za późno. Jake wyszedł.

Jake pojechał do kwatery taksówką. Na szczęście pamiętał o przepustce, więc nie miał kłopotu z wejściem. Zdawał sobie sprawę, że jest bardzo pijany.

Wielka Niedźwiedzica nad głową rozpadała się na kawałki i znów składała jak rój świetlików. Jake zatrzymał się przy arenie treningowej i zwymiotował za dużym kasztanowcem. Zasypując ślady piaskiem, pozwolił

sobie na nadzieję, że następnego dnia poślizgnie się na nich jeden z koni Ruperta.

Gnój, gnój, gnój, wcale się nie zmienił. Frycowe, też coś. Jake znów poczuł mdłości. Oparł się o dąb, czując zawroty głowy. W końcu jakoś doczołgał się do stajni. Miło było widzieć, jak cieszą się na jego widok Afryka i Żeglarz. Konie mrugały sennymi oczami, pachniały sianem i zadowoleniem. Jake otoczył ramionami ich szyje, przylgnął do nich, desperacko poszukując pocieszenia. To jego konie, z jego stajni.

— Jutro — zapowiedział im — rozniesiemy wszystkich w pył.

17

NIGDY SIĘ NIE DOWIEDZIAŁ, czy był to skutek spotkania z Rupertem, czy picia wody z kranu, ale nad ranem powalił go gwałtowny atak grypy żołądkowej. Przez kilka pierwszych dni konkursu był w stanie jedynie z trudem zwlec się z łóżka i dojść do stajni, żeby zająć się Afryką i Żeglarzem. Później albo odpadał, albo kończył przejazdy z ogromną liczbą punktów karnych po każdej rundzie. Przeszkody były wielkie i ciężkie, drążki mocno tkwiły w podporach, a konkurencja silna. Afryka i Żeglarz po podróży nie doszły jeszcze do siebie, Jake wciąż był spięty i przekazywał zdenerwowanie koniom, które w miarę upływu czasu skakały coraz gorzej.

Jakby tego było mało, zawody nie zaczynały się wcześniej niż o piętnastej, a wieczorny pokaz o dwudziestej trzeciej. Końcowy hymn odgrywano zwykle dopiero około trzeciej nad ranem. O czwartej Jake padał na łóżko, z przyzwyczajenia budził się o szóstej, ale był nieprzytomny, potem zaś nie mógł zasnąć.

Wezwano doktora, który zapisał mu lekarstwa i doradził dwudniowy odpoczynek. Jednak dla pracoholika Jake’a to było niemożliwe. Nie dał się oddzielić od koni, jedynego łącznika z domem. Nie miał ochoty zwiedzać miasta z Malise’em i Helen ani przesiadywać przy basenie z resztą drużyny, opalać się i znosić pogardliwą minę lśniącego brązem, przystojnego Ruperta Campbella-Blacka.

Zatem kiedy pozostali spędzali czas na miłym nieróbstwie, Jake oglądał wszystkie przejazdy innych zawodników i ćwiczył na arenie treningowej, kiedy tylko mógł. Cały czas się uczył, niestety, niewiele mu z tego przyszło. Otaczało go zbyt wielu bohaterów, których wpływom ulegał, a on był coraz

bardziej zdezorientowany, gdyż próbował najpierw jeździć w stylu włoskim, potem naśladował przystojnych Hiszpanów, wreszcie potężnych Niemców.

Reszta drużyny, z wyjątkiem Ruperta, zachowywała się przyjaźnie i chciała służyć pomocą. Wszyscy czuli ulgę, że Jake nie okazał się jednak zbawcą, za jakiego miał go Malise. jednak kiedy po kolejnych katastrofalnych przejazdach Jake coraz bardziej zamykał się w sobie i coraz mniej odzywał, dali za wygraną.

Z kolei Rupert okazywał mu jawną wrogość. Następnego poranka po przyjeździe do Madrytu objeżdżali z Billym arenę treningową, kiedy Billy się odezwał:

— Wiesz, ten nowy...

— Ten smakosz i mistrz konwersacji? — odparł Rupert pogardliwie.

— Nie poznałeś go? To ten sam Gyppo Lovell, który chodził z nami do St. Augustines.

— Niemożliwe.

— A jednak. Nie pamiętasz, że jego matka była kucharką? Pani Lovell? Zabiła się.

— Nic dziwnego, skoro trafił jej się taki kurdupel jako synek. A potem przydzielili mu miejsce w internacie, prawda?

— Tak — przytaknął Billy ponuro. — Spał w naszym pokoju. Tak mu uprzykrzaliśmy życie, że uciekł.

— Powinniśmy powtórzyć eksperyment, jeśli będzie nam sprzyjało szczęście, może znów ucieknie.

— Wczoraj wieczorem nie popisałeś się uprzejmością — warknął Billy. — Cała ta sztuczka z ośmiornicami. Biedak nigdy dotąd nie był za granicą.

— Na pewno nie wie, jak się zachować w hotelu — odparł Rupert. — Rano przyłapałem go, jak ścielił łóżko.

Przez kilka minut jechali w milczeniu.

— Wydaje mi się, że trzeba jakoś mu wynagrodzić to, że tak paskudnie go traktowałem w St. Augustines.

Rupert udawał, że gra na skrzypcach.

— Nie popadaj w sentymentalizm, tacy nieudacznicy zasługują na to, żeby po nich pojeździć. Ciekawe, jak w ogóle, do cholery, udało mu się zacząć skakać.

— A, tu się robi ciekawie. Pamiętasz tę wielką dziewczynę, Tory Maxwell?

Rupertem wstrząsnął dreszcz.

— Aż za dobrze. Maxwell wielka jak transatlantyk, nie potrafiła się obrócić bez pomocy holownika. — zerknął z ukosa na Billy’ego i z ulgą zobaczył, że przyjaciel się śmieje. — I dość bogata.

— Właśnie o nią mi chodzi. Jake Lovell ożenił się z Tory i dzięki jej pieniądzom zaczął jeździć.

— Nic dziwnego, że jest taki mały, ona go musi porządnie przygniatać. Chodzi do łóżka z walcem. Kto ci o tym powiedział?

— Malise, wczoraj wieczorem. Uważa, że Lovell jest świetny.

— No to się myli. Lovell jest akurat tak bezbarwny jak desery jego matki. Przez jego rzyganie Helen i ja nie mogliśmy spać w nocy.

Jednak najbardziej przygnębiało Jake’a, że pozostali zawodnicy skakali dobrze i zdobywali nagrody, zwłaszcza Rupert, który trzeciego dnia wygrał skuter Vespa i uparł się, żeby objechać na nim z rykiem teren zawodów, ku rozbawieniu i irytacji wszystkich. Tylko u Jake’a w pomieszczeniu na uprząż brakowało rozetek zwycięzcy.

Rupert nigdy nie tracił okazji, by dokuczyć Jake’owi. Trzeciego dnia tuż przed konkursem namówił Marion, żeby schowała wszystkie bryczesy i

czerwony płaszcz Jake’a, a zamiast nich podłożyła mu do walizki frywolną bieliznę.

Marion z chęcią dała się namówić. Chodziła po terenie zawodów w różowych obcisłych szortach i różowej koszulce bez rękawów, uwydatniając swoje krągłości i budząc zachwyt otoczenia, wiodąc za sobą rój hiszpańskich wielbicieli, prowokując zaczepki i komplementy zawodników z innych krajów.

Jake, zazdrosny o to, że Rupert oprócz przepięknej żony ma także ładną stajenną, ignorował Marion, do czego ta nie była przyzwyczajona.

— Szalał, kiedy zobaczył, że nie ma ubrań — powiedziała z uciechą Marion do Ruperta. — Nie jest wcale taki niewzruszony, za jakiego chce uchodzić.

Chociaż Marion szybko zwróciła mu ubrania, Jake zdenerwował się jeszcze bardziej, kiedy stwierdził, że kwiatek wrotyczu, który nosił na szczęście w pięcie lewego buta, dziwnym trafem zniknął. Bez tego talizmanu Jake czuł, jakby osaczył go jeszcze większy pech i stracił resztki wiary w siebie.

Najbardziej doskwierały mu ciągłe docinki Ruperta na temat Żeglarza — że to na pewno muł albo wielbłąd, więc nic dziwnego, że przestraszyli się go celnicy, pewnie pomyśleli, że Jake wwozi do kraju dinozaura. Jake był bardzo opiekuńczy wobec Żeglarza, którego kochał głęboko, więc tylko się utwierdził w swojej nienawiści do Ruperta.

Piątego dnia Malise ogłosił skład drużyny brytyjskiej: Rupert, Billy, Humpty Hamilton i Lavinia, Jake miał być rezerwowym. Wieczorem Malise zaprosił go na drinka i wyjaśnił, że w tej chwili, biorąc pod uwagę formę Jake’a, nie może zrobić nic innego.

— Nie martw się — pocieszył go, wyciągając oliwkę ze swojego bardzo wytrawnego martini. — To się często zdarza nowym członkom drużyny.

— Ale nie idzie im aż tak fatalnie — odparł Jake, wbijając ponure spojrzenie w szklankę wody. Wciąż jeszcze czuł się źle, nawet nie mógł palić. Oczy mu się zapadły, skórę miał poszarzałą i poznaczoną zmarszczkami z wyczerpania, stracił kilka kilogramów.

— To błędne koło — odezwał się łagodnie Malise. — Cały czas wbija się wam do głowy, że musicie mieć instynkt walki, idziecie, by wygrać, ale wtedy tak się spinacie wewnątrz, że konie to wyczuwają i zaczynają się bać jak cholera. Wiem, przeszkody wydają ci się ogromne i boisz się na nie najechać, ale musisz zdobyć się na większą agresję. Możesz je pokonać, jedynie atakując. Dokładnie pilnuj najazdu, ale jedź cały czas. Te wielkie ciężkie drągi są na tyle dobrze przymocowane, że możesz sobie pozwolić nawet na potrącenie ich kopytem. Afryka i tak powinna nad nimi przefrunąć.

Jake nie okazał żadnych emocji. Nad głowami brzęczała im mucha. Malise odgonił ją egzemplarzem „Timesa”.

— Hiszpańska mucha — odezwał się Jake nagle z cieniem uśmiechu. — Podobno to afrodyzjak, prawda?

Malise się roześmiał.

— Nigdy tego nie sprawdzałem, to raczej działka Ruperta. Wydaje mi się, że tęsknisz też za domem, za Tory i dzieckiem, a dodatkowo dobiło cię zajmowanie się końmi. Zdziwisz się, jak ci się poprawi po pierwszej wygranej.

— Jeśli to w ogóle nastąpi.

— Chłopcze drogi, widziałem, jak skaczesz, kiedy jesteś w dobrej formie. Wiem, że jesteś świetny. Musisz się jedynie uspokoić.

Jake nagle poczuł coś w rodzaju uniesienia. Mógłby ruszyć z Malise’em do bitwy bez chwili namysłu. Gdyby miał w dzieciństwie takiego ojca, a nawet ojca jak pan Greenslade, który cały czas dyrygował córką, gdyż mu

na niej zależało. Właśnie kupował sobie drinka w barze, za chwilę miał do nich dołączyć.

— Zrobię coś nietypowego — powiedział Malise, podając Jake’owi flakonik z czerwonymi pastylkami. — Będziesz po nich spał, padniesz jak ścięty. Nie mów pozostałym, że ci je dałem. Mocno osłabiają refleks, ale nie startujesz jutro ani w Pucharze Narodów, a dwie porządnie przespane noce pomogą ci lepiej się przygotować do Grand Prix w sobotę. I nie mów mi, że nie uznajesz tabletek nasennych, ja też ich nie stosuję, ale to stan wyższej konieczności. Jutro nie wolno ci się zbliżać do stajni. Marion i Tracey zajmą się Afryką i Żeglarzem, a ty możesz jechać z resztą drużyny na wycieczkę.

Po czternastu godzinach snu Jake obudził się w znacznie lepszym stanie. Nie wiedział, czy Malise porozmawiał z pozostałymi, ale wszyscy byli dla niego wyjątkowo mili, kiedy następnego dnia wyjechali z Madrytu starym autobusem przez zapylone równiny przypominające skórę wielkiego byka, potem między łagodnymi wzgórzami poznaczonymi drzewami oliwnymi i gajami pomarańczowymi. Droga była wyboista. Każdy podskok autobusu dla kręgosłupa Jake’a był jak uderzenie młotem. Rupert siedział obok Helen z ramieniem na oparciu jej fotelu, ale nie dotykał jej, gdyż było zbyt gorąco. Billy usiadł przed nimi, wciąż gadając, łagodząc spory i popierając Helen. Lavinia Greenslade siedziała z ojcem. Humpty usadowił się obok Jake’a i wciąż opowiadał mu o Porky Boyu.

Jedynie Rupert nie odpuścił drwin. Każdy osioł i muł lub smutno wyglądający koń, jakiego mijali, przypominał mu Żeglarza lub Żarcik Jake’a, jak go nazwał.

Zjedli obiad w doskonałej restauracji przy stole pod platanami. zamówili cochinellę lub młodego prosiaka. Był to pierwszy porządny posiłek, który Jake zdołał strawić od czasu przyjazdu. Przy kawie podeszła do nich

wyjątkowo odrażająca stara Cyganka, próbując przepowiedzieć im przyszłość.

— Powiedz swojej paskudnej krewnej, żeby sobie poszła, Jake — odezwał się Rupert.

Helen, piękna, promienna i zakochana w Rupercie, była zaskoczona jego tak chamskim zachowaniem wobec milkliwego przybysza. Próbowała rozmawiać z Jakiem i pytać go o konie, on jednak, czując, że jest traktowany protekcjonalnie, burknął coś w odpowiedzi i zostawił ją w pół zdania.

Po posiłku przeszli się na farmę byków i próbowali sił z młodymi bykami i jałówkami, którym doczepiono rogi. Rupert i Billy, którzy przy obiedzie nie żałowali sobie drinków, wyrywali się jeden przez drugiego. Humpty, ponieważ zjadł za wiele (według Ruperta mógłby pęknąć, gdyby byk chociaż trącił go rogiem), odmówił zejścia na arenę. Jake poszedł za jego przykładem.

Tuż obok siebie, przepełnieni zupełnie innymi emocjami, Jake i Helen przyglądali się, jak Rupert, żylasty i wysoki, z wrodzonym talentem do wszystkich sportów, uchyla się przed nacierającym na niego niewielkim bykiem. Zawsze chciał wypaść najlepiej i już zaczął traktować zabawę jak zawody. Billy, kręcący się obok, śmiał się na cały głos i w końcu, podrzucony przez byka, wylądował na piasku. Rupert odciągnął go na bok w ostatniej chwili. W końcu Rupert pozwolił się ściągnąć z areny tylko dlatego, że Malise przypomniał im o korridzie, na którą mieli iść w Madrycie o osiemnastej. Przed walką pokazano im jeszcze kaplicę, gdzie matadorzy się modlili.

— Przydałoby się tu wpaść przed jutrzejszym konkursem po południu — stwierdził Billy. — Dobry Boże, pomóż nam pokonać Niemców.

Korrida przyprawiła Jake’a o mdłości, zwłaszcza kiedy na arenę wjechali pikadorzy na żałosnych, byle jakich, nieodpowiednio okrytych koniach. Jak opowiadał Humpty, jeśli konie odniosły rany, opatrywano je na szybko i wysyłano z powrotem do walki. Były tak chude, że właściwie nie zdołałyby uciec. Także sposób, w jaki pikadorzy wbijali piki w kark byka, żeby poprzerywać mu mięśnie, przypominał Jake’owi o metodach stosowanych przez Ruperta.

Cochinella już jeździła mu po żołądku.

— Wiesz, Jake — zabrzmiał głos Ruperta siedzącego nieco dalej — te konie pikadorów przypominają mi Żeglarza, a tobie nie? Gdybyś wpadł wieczorem na Plaza de Toros, na pewno zaproponowaliby ci za niego kilka peset.

Jake zacisnął zęby i milczał.

— Łacja — wyszeptała Lavinia siedząca obok. — Nie daj się spławokować. Tylko tak można sobie poradzić z Łupełtem.

Jej słowa podniosły Jake’a na duchu, zwłaszcza kiedy po chwili Lavinia pociągnęła go za rękaw i zapytała:

— Mogę się przecisnąć obok ciebie? Niedobrze mi.

— Idę z tobą — odparł Jake.

Żadnemu z nich nie było niedobrze, ale w drodze powrotnej do woli pożywali sobie na Rupercie. Reszta drużyny udała się na przyjęcie do ambasady, Jake zaś za radą Malise’a znów poszedł wcześnie spać.

Rano w dniu Pucharu Narodów Jake obudził się z lepszym samopoczuciem fizycznym, ale nie psychicznym. Widok listów od wielbicieli i zaproszeń przepełniających przegródkę na korespondencję Ruperta i wylewających się z przegródek Humpty’ego i Lavinii po obu stronach przyprawił go o kolejne silne ukłucie zazdrości.

Za to we własnej przegródce znalazł list od Tory, co napełniło go jednocześnie skruchą i tęsknotą za domem.

„Kochany Jake’u — pisała Tory swoim okrągłym, dziecinnym charakterem pisma. — Isa, Wilk, wszystkie konie, Tanya i większość mnie (a może «ja»?) bardzo za tobą tęsknimy. Powtarzam sobie jednak, że to wszystko dla naszego dobra, z kiedy dostaniesz ten list, na pewno inni już wiedzą, na co cię stać, zwłaszcza Rupert. Czy wciąż jest tak okropny, czy małżeństwo trochę go złagodziło? Wiem, że doskonale sobie poradzisz”.

Jake nie mógł czytać dalej, zwinął list i włożył do kieszeni na piersi. Zrezygnował ze śniadania, za to poszedł prosto do stajni. Chciał potrenować, zanim nastanie największy upał. Wchodząc do pomieszczenia drużyny brytyjskiej, spiął się przygotowany na kolejny złośliwy żart, jaki wymyślił prześladowca, jednak wszystko było w porządku. Był to dzień Pucharu Narodów, więc wszyscy byli zbyt przejęci. Stajenni chodzili zdenerwowani i roztargnieni, konie tupały niespokojnie, jakby wiedziały, że coś się szykuje. Jake poćwiczył na obu swoich wierzchowcach i z radością stwierdził, że Żeglarzowi przeszła kolka, na którą cierpiał kilka dni wcześniej, a noga Afryki znacznie się poprawiła.

Po zjeździe z areny schłodził nogi Żeglarza wodą z węża. Rozbawiła go rozanielona mina, jaką przybrał koń. Niedaleko Tracey myła Bykowi ogon. Za nią stajenna Ruperta, Marion, stała na beli siana i zaplatała grzywę wielkiemu Macaulayowi, pokazując długie opalone nogi w bladobłękitnych miniszortach i utyskując na ilość pracy. Macaulay był tak zdenerwowany, że nie chcąc go przegrzewać, Rupert postanowił pojechać na paradzie przed zawodami na Belgravii, zostawiając drugiego wierzchowca na sam konkurs. Dla Marion oznaczało to przygotowanie dwóch koni.

Jake, który uważnie obserwował konie Ruperta, uważał, że dostają za wiele owsa. Nikt nie mógł odmówić Rupertowi talentu do jeździectwa, ale

jego konie nie były szczęśliwe. Jake ukradkiem przyglądał się, jak Rupert zabiera Mayfair, Belgravię i Macaulaya do oddalonego kąta parkuru, każe Tracey i Marion trzymać górny drążek przeszkody i gwałtownie unosić go przy skoku konia, uderzając go w pęciny, niezależnie od tego, jak wysoko koń skoczył. Miało to nauczyć zwierzę podnoszenia wyżej kopyt przy następnym skoku. Praktyka ta była w Anglii zakazana. Jake jednak najbardziej interesował się Macaulayem. Był to doskonały koń, wciąż młody i niedoświadczony, a według Jake'a za szybko go ujeżdżano.

Na podwórku z radia grzmiał hiszpański pop.

— Jak mi brakuje radiowej jedynki! — powiedziała Tracey.

Minęli je włoscy zawodnicy, wszyscy mieli świetne fryzury i nosili idealnie dopasowane dżinsy. Przystanęli, żeby poprzerzucać się docinkami z Marion i Tracey.

Jake wycierał nogi Żeglarza, a koń zaczął go trącać w kieszeń w poszukiwaniu miętusów.

— Ile mamy czasu? — zapytała Tracey Marion.

— Jakieś półtorej godziny do parady.

— Boże! — zawołała Tracey i przyspieszyła splatanie grzywy. — Nigdy się nie wyrobię. Byku, no już, nie ruszaj się.

Koń spojrzał na nią łagodnymi, błyszczącymi oczami.

— Pomóc ci? — zapytał Jake. — Prawie już skończyłem z Żeglarzem.

— Nie skończyłeś — odezwał się głos za jego plecami.

Był to Malise Gordon, elegancki nawet w tym upale, w jasnoszarym garniturze, ale wyjątkowo ponury.

— Będziesz jednak musiał skakać — powiedział. — Ten kretyn Billy wyskoczył rano z Rupertem jeszcze raz spróbować korridy i dał się znokautować.

Tracey jęknęła i upuściła szczotkę. Byk podrzucił głową.

— Nic mu nie będzie, przeżyje — powiedział z irytacją Malise. — Według lekarza to nic groźnego, ale na razie Billy nie wie, jaki jest dzień tygodnia, nie ma szans, żeby wystartował.

Tracey wybuchnęła płaczem. Marion przerwała zaplatanie warkoczyków i otoczyła ramieniem Tracey, gromiąc Jake'a wzrokiem, jakby to była jego wina.

— Ma twardą głowę, nie martw się — powiedziała uspokajająco Marion.

— Daj spokój — odezwał się Malise łagodnie. — Weź się w garść. zaprowadź Byka do boksu i zabierz się za konia, na którym pojedzie Jake. Zapewne na Afryce.

Jake pokręcił głową.

— Noga się jej jeszcze nie zagoiła. Nie podejmę ryzyka, pojadę na Żeglarzu.

Malise zawahał się na moment.

— Nie chciałbyś pojechać na Byku?

Jake przechwycił wyraz przerażenia na twarzach Tracey i Marion i pokręcił głową. Jeśli nawet istnieje najmniejsza szansa, że spełni oczekiwania drużyny, na pewno nie dopuści, żeby ktoś przypuszczał, że to dzięki innemu koniowi.

— Dobrze, przebieraj się. Za godzinę masz przejść po trasie, ale ma przyjechać generał, a jak dołożymy do tego hiszpańską manianę, to nie możemy być pewni, o której się to zacznie.

Na szczęście Jake nie miał czasu na panikę. Tracey naszyła mu na płaszcz małą flagę brytyjską. Normalnie miotałby się po pokoju w poszukiwaniu skarpetek, bryczesów, koszuli i białego krawatu, który miał na sobie przy ostatnim zwycięstwie. Jednak od tak dawna nie wygrywał, że zapomniał, który zestaw ubrań ostatnio działał. Twarz miał szarą, a w porównaniu z białością koszuli budził skojarzenia z reklamami prania przed

użyciem persilu i po nim. Dłonie tak mu się trzęsły, że ledwie zdołał zawiązać krawat, a czerwony płaszcz, dopasowany przy wyjeździe z Anglii, teraz zwisał na nim luźno. Nagle, szukając upuszczonej pęsety pod pojemnikiem na paszę, znalazł swój kwiat wrotyczu, lekko zgnieciony, ale nietknięty. Przepełniony radością wsunął go do buta. Świadomość lekkiego wybrzuszenia pod stopą sprawiała, że poczuł, jakby szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło.

Rupert przyjechał na tor w paskudnym nastroju. Właśnie dostał reprymendę od Malise'a za ćwiczenie korridy tuż przed Pucharem Narodów. Martwił się o Billy'ego i uświadomił sobie, że bez niego jakiekolwiek szanse na podium spadły niemal do zera. Zwykle nie musiał się specjalnie relaksować przed ważnymi zawodami, ale paplanina Helen o El Grecu i Goi oraz jej wycieczce do Toledo i o starych domach na tle nieba działały mu na nerwy i niepotrzebnie na nią syknął.

Helen miała nadzieję, że podbije go nową sukienką — białą, od Laury Ashley, w żółte jaskry, a do niej wielki żółty kapelusz słomkowy — ale on jedynie parsknął:

— Po cholerę się w to wystroiłaś?

— To najnowsza moda à la mleczarka — odparła Helen.

— Wolę whisky od mleka, a w tym kapeluszu zasłonisz widok kilkunastu osobom. Nie, nie ma czasu się przebierać, już jesteśmy spóźnieni.

— Boże, jak gołąco! — powiedziała Lavinia Greenslade.

Pocili się w nieubłaganym upale, czekając, aż pozwolą im wejść na tor. Lavinia oczy miała podpuchnięte i zaróżowione od płaczu spowodowanego kontuzją Billy'ego. Malise Gordon musiał użyć całej swojej siły przekonywania w połączeniu z argumentami rodziców, by przekonać ją do startu.

Humpty pocił się tak obficie, że pod pachami jego czerwonego płaszcza i wzdłuż kręgosłupa pokazały się wilgotne plamy.

— Szkoda, że nie możemy skakać w koszulach — powiedział.

— Nie przed genełałem — odparła Lavinia. — Podobno stłasznie przestrzega płotokołu.

Jake zacisnął zęby, żeby pozostali nie słyszeli, jak mu szczękają. Przejście toru nie zmniejszyło jego zdenerwowania. Czternaście przeszkód, wszystkie olbrzymie, wyższe od niego, z ogromną kombinacją w środku i doublebarem na końcu w niewygodnym odstępie — albo na trzy małe kroki między pierwszą a drugą przeszkodą, albo na dwa długie. Próbował się skupić na słowach Malise'a, kiedy odmierzali krokami odległości.

W Pucharze Narodów czwórka jeźdźców z każdego kraju skacze na czterech koniach, przejeżdżają dwie rundy na tym samym torze. Kolejność, w jakiej skaczą reprezentanci krajów, jest losowana. Tego dnia była to Francja, Włochy, Hiszpania, Niemcy i na końcu Wielka Brytania, co oznaczało, że pierwszy skakał Francuz, drugi Włoch, trzeci Hiszpan, czwarty Niemiec, a w końcu jeździec z Wielkiej Brytanii. Potem miał skakać drugi jeździec z Francji, po nim drugi Włoch i tak dalej, dopóki nie przejechali wszyscy. Dla każdego kraju podliczano wyniki trzech najlepszych skoczków, odrzucając wynik najgorszy. Kraj z najmniejszą liczbą punktów karnych wysuwał się na prowadzenie, po czym powtarzano całą kolejkę, w tej samej kolejności. Znów zliczano trzy najniższe wyniki, a kraj z najmniejszą liczbą punktów karnych wygrywał. W przypadku dwóch jednakowych wyników przeprowadzano dogrywkę. Zawody Pucharu Narodów organizuje się w całej Europie latem i jesienią, a drużyna, która w ciągu roku zdobędzie najwięcej punktów, wygrywa. Przez ostanie dwa lata Puchar Narodów zdobywali Niemcy.

Malise przekazał drużynie kolejność skoków: Humpty, Lavinia, Rupert, Jake.

— Jeśli dwa razy przejedziesz na czysto — powiedział Humpty do Jake’a, kiedy schodzili z trasy — dostaniesz za darmo czerwony płaszcz.

— Chyba nawet nie zdołam zużyć tego, który mam — odparł Jake.

Kilka sekund później jeszcze utwierdził się w tej opinii, gdyż Lavinia pisnęła radośnie i skoczyła do Billy’ego, który stał przy wejściu, lekko się chwiejąc. Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję.

— Lavinia! — wrzasnęli jednym głosem jej rodzice.

Lavinia nie zwróciła na nich uwagi.

— Dobrze się czujesz? Nie powinieneś był wychodzić w ten upał. Jak twoja biedna głowa, boli?

Billy, śmiertelnie blady, oparł się o Lavinię i z zakłopotaniem uśmiechnął do Malise’a.

— Bardzo przepraszam.

— Super! — ucieszył się Rupert. — Możesz jednak pojechać.

— Nie może — powiedział stanowczo Malise. — Idź usiąść w cieniu, Billy, weź też mój kapelusz. — zdjął z głowy panamę i podał Billy’emu.

— Na miłość boską! — sarknął Rupert, w ogóle nie starając się ściszyć głosu. — Billy nawet ze wstrząśnieniem mózgu jest lepszy niż Lavinia albo Jake. Oni tracą głowę, kiedy robi się poważnie.

— Dzięki, Łupełt! — powiedziała Lavinia, odrywając się od Billy’ego. — Gdyby nie to, że to wbłew intełesom mojego kłaju, życzyłabym ci, żebyś spadł.

— Dajesz do zrozumienia, że Lavinia sobie nie poradzi? — zapytała pani Greenslade, czerwieniejąc.

— Tak — odparł Rupert bez śladu skruchy. — A Jake nie poradzi sobie na pewno.

— Zamknij się, Rupert — powiedział Malise, tracąc cierpliwość. — Zachowujesz się jak cham.

— Jeśli chcesz, żebyśmy znów zajęli ostatnie miejsce, to już twoja sprawa — odpalił Rupert.

— Szczerze mówiąc, nie czuję się na siłach jechać — wtrącił Billy uspokajająco. — Widzę was w sześciu egzemplarzach.

Na szczęście uniknęli niemiłej sceny, gdyż na trasę wbiegł luźny koń, powiewając wodzami i z zsuwającą się z grzbietu płachtą na muchy. Rżąc z radości, pobiegł prosto do Jake’a, po czym wsunął mu nos za pazuchę i zaczął trącać. Był to Żeglarz, z naoliwionymi kopytami, wyczyszczoną sierścią, zaplecioną grzywą i cienkim ogonem wysuwającym się spod niebieskiej taśmy.

Po chwili dołączyła do niego zdyszana, roześmiana Tracey.

— Na twój widok od razu mi się wyrwał.

— Niesamowite, że dla kogoś jesteś atrakcyjny — odezwał się Rupert.

— Wystarczy, Rupert — powiedział lodowatym tonem Malise. — Humpty, idź się rozgrzać przed paradą.

18

ZGODNIE Z HISZPAŃSKĄ TRADYCJĄ generał się spóźnił, więc parada rozpoczęła się bez niego. Pierwsza przejechała słynna czwórka z Niemiec: Hans, Manfred, Wolfgang i Ludwig. Złoci medaliści olimpijscy, którzy przez dwa dni nie stracili Pucharu Narodów, mieli powód do chluby. Jechali dumnie na swoich równie słynnych koniach — czterech pięknych hanowerskich wałachach o satynowo błyszczącej sierści i wygiętych szyjach, w eleganckich ochraniaczach na nogach. Kiedy mijali widownię, ich stajenni chwycili za ogrodzenie i zaczęli wiwatować. Za Niemcami jechali wystrojeni Francuzi na lżejszych i mniej posłusznych koniach, potem Włosi w nieskazitelnie skrojonych płaszczach z niebieskimi kołnierzami, siedząc w siodłach z niedbałą elegancją, w tym dwóch z papierosem. Potem rozległy się przeraźliwe wiwaty, którym towarzyszyła fala czosnku wypuszczona gremialnie przez publiczność, gdyż na arenę wjechała drużyna hiszpańska. Przystojni jeźdźcy na pięknych, silnych koniach o swobodnie spływających grzywach — jednak hiszpańskie konie nie szły tak równo jak niemieckie. Dla widzów mimo wszystko były najwspanialsze, gdyż przez cały czas ich przejazdu towarzyszyły im piski, wiwaty i okrzyki: Magnifico! i Olé!

Ostatnia wjechała drużyna brytyjska. Rupert dosiadał wspaniałego Belgravii, którego kasztanowa sierść lśniła w słońcu. Koń, na którym dotąd Rupert w ogóle nie jeździł (Marion nie miała nawet czasu go przeprowadzić), rzucał się i wyrywał, a tłum, zwłaszcza kobiety, dziwił się, że przystojny Anglik niemal nie rusza się w siodle, podczas gdy koń tańczy pod nim gwałtownie. Po lewej stronie Ruperta jechał Humpty na Porky

Boyu, potem Lavinia na Śnieżnej Burzy, którego sierść już błękitniała od potu, a na końcu człapał Żeglarz, który wyglądał, jakby za chwilę miał wydać ostatnie tchnienie i dotrzeć najwyżej do trybuny głównej. Widzowie zaczęli się podśmiechiwać, gwizdać i wytykać go palcami.

Jake zacisnął zęby. On im jeszcze pokaże.

Czas ciągnął się w nieskończoność. Drużyny stanęły przed trybuną główną, wszyscy oprócz Lavinii zdjęli kapelusze, kiedy rozległy się dźwięki hymnów narodowych. Orkiestra, pewna zwycięstwa Niemców, ćwiczyła hymn niemiecki, ale kiedy powinien zabrzmieć hymn brytyjski, zagrali amerykański, co wszyscy uznali za bardzo zabawne, oprócz wąsatego kapelmistrza, który zapłonął czerwienią.

Tymczasem konie szalały w upale, z wyjątkiem Żeglarza, który stał półsenny, z tylną nogą podkurczoną, głową zwieszoną, marszcząc pogryzioną przez pchły skórę, na którą siadały muchy, a chwilami kładąc ostrzegawczo uszy w kierunku Belgravii, który wciąż kręcił się niespokojnie. Jake omijał wzrokiem przeszkody. Kobiety na widowni wachlowały się broszurkami z programem. W świetle słońca migotały medaliony zawieszone na czarnych owłosionych piersiach mężczyzn.

Na trybunie zawodników, tuż obok areny dla jeźdźców, Helen pocieszała przygnębionego Billy’ego.

— Szaleństwem byłoby skakać w twoim stanie — mówiła.

— Faktycznie głowa mi pęka. Czuję się tak, jak wygląda koń Jake’a — przyznał Billy.

Drużyny wyjechały na arenę, Żeglarz na samym końcu, powłócząc nogami, ze zwieszoną głową. Helen zerknęła na zaciętą twarz Jake’a. Od przyjazdu nie widziała na niej uśmiechu. „Rycerz Smętnego Oblicza” — pomyślała.

— Przypomina Don Kichota — powiedziała do Billy’ego — a ten biedny zmarnowany koń mógłby być Rosynantem.

Billy nie zainteresował się aluzjami literackimi.

— Co za głupota zrobić coś takiego — powiedział. — Malise się wściekł.

— Nie wygląda na wściekłego — odparła Helen, spoglądając na Malise’a w ciemnych okularach, z kwiatem gardenii w butonierce jasnoszarego garnituru. Z niezmąconym spokojem przechadzał się między zawodnikami, mając dla nich słowa zarówno zachęty, jak i pociechy.

— Lavinia nie ma nic pod tym czarnym żakietem — westchnął Billy.

Kiedy drużyna brytyjska wjechała na arenę, Malise podał Helen notatnik z kolejnością startową do zapisywania wyników. Generał jeszcze nie dotarł, ale postanowiono zaczynać bez niego. Na arenie zapanowała kompletna cisza. Otworzyła się biała bramka, wjechał pierwszy jeździec z Francji i zdjął kapelusz na powitanie sędziów. Kiedy przejechał linię startu, zaczął tykać zegar. Wkrótce, kiedy zawodnik strącał kolejne drążki i cegły, stało się jasne, że trasa z pewnością nie należy do łatwych. Włoch, który jechał następny, również porozrzucał przeszkody i zaliczył dwadzieścia osiem punktów karnych.

— *Viva España!* — rozległ się okrzyk tłumu, kiedy wjechał pierwszy zawodnik hiszpański. Chociaż poprzednich jeźdźców oklaskiwano uprzejmie, tego powitano ze szczególnym entuzjazmem.

— Jak dla mnie nie wygląda zbyt *magnifico* — stwierdził Rupert, kiedy koń przekoziołkował nad drążkiem, wpadł na mur i po raz drugi na doublebar, zgubił jeźdźca i w końcu został odprowadzony, bo mocno kulał.

— Już mi wystarczy — powiedział Humpty, zbiegając po schodach do koni.

Wspiął się na Porky Boya w chwili, kiedy na tor wjeżdżał swobodnie pierwszy zawodnik niemiecki. Hans Schmidt był drugim najlepszym zawodnikiem reprezentacji Niemiec, ale jego ciemnobrązowy wierzchowiec również nie polubił się z trasą i skończył, co było u niego niezwykłe, z dwunastoma punktami karnymi. Kiedy schodził z toru, z żalem kręcąc blond głową i mamrocząc *Dummkopf*, został niemal przewrócony przez Humpty'ego, który właśnie w podskokach wjeżdżał na trasę. Wesoły Porky Boy z postawionymi uszami i zarzucając głową oraz bijąc się po pulchnych bokach czarnym ogonem, ruszył na pierwszą przeszkodę. Widzów bawił i koń, i jeździec, który przy skokach tak wysoko unosił się w siodle, że można się było zastanawiać, czy trafi na nie z powrotem. Mimo wszystko Humpty przejechał tylko z dwunastoma punktami karnymi. Po nim miał skakać drugi Francuz.

Nikt nie zaliczył jeszcze czystego przejazdu, jedna runda następowała po drugiej, każda bardziej katastrofalna od następnej. Kilka koni przewróciło się i zostało wyeliminowanych. Jeden z hiszpańskich wierzchowców przeciął sobie żyłę; po kilku godzinach skrócono jego cierpienie. Pomimo pesymistycznych przepowiedni Ruperta Lavinia przejechała dobrze, tylko z dwunastoma punktami karnymi, co oznaczało, że Niemcy i Anglicy zdobyli taki sam wynik — dwadzieścia cztery punkty karne — po drugiej rundzie, pozostali zaś mieli ich znacznie więcej. Kolejny Niemiec, Manfred, miał osiem punktów karnych i był to najlepszy przejazd jak dotąd. Po nim skakał Rupert, ale nie poszło mu dobrze. Jak Belgravia, tak i Macaulay, przekarmiony owsem i niewystarczająco rozćwiczony, przed startem wystraszył się trzech głośników grzmiących mu nad głową. Był to koń wyjątkowej siły i Rupert naprawdę musiał się starać, żeby powstrzymać go przed ucieczką z toru. Jakimś cudem jechali czysto, dopóki nie dotarli do stacjonaty, którą Macaulay, źle poprowadzony, uderzył. Przez moment

drążek chwiał się, po czym spadł. Macaulay, wytrącony z równowagi, wyskoczył za wcześnie i wpadł jedną nogą w wodę. Rupert zjechał z toru z ponurą miną.

„Marzy o tym, żeby porządnie zbić konia” — odgadł Jake. Spojrzał na Helen pięknie wyglądającą w żółtym kapeluszu, która zagryzała z rozczarowania usta przy wpisywaniu ośmiu punktów obok nazwiska Ruperta. Jake nie miał ochoty znaleźć się w pobliżu Ruperta wracającego z toru, zresztą widział już dość przejazdów.

Chętnie umknąłby do kościoła matadorów, żeby się pomodlić. Słyszał ogłuszające wiwaty, które witały wjeżdżającego na tor Hiszpana i jęki zawodu, kiedy zawodnik zrzucał kolejne przeszkody. Nadeszła kolej na wielkiego Ludwiga von Schellenberga, najlepszego jeźdźca na świecie. Miał pokazać wszystkim, jak to się robi. I faktycznie pokazał, nie strącił niczego, ale poniosła go doskonałość i poezja własnej jazdy, więc zdobył półtora punktu karnego za czas.

Zawodnik zszedł z toru, jednocześnie uśmiechając się i klnąc. Trzeba było pecha, że kiedy miał wystartować Jake, ostatni w rundzie pierwszej, przybył generał, a cały stadion zamarł. Dwuszereg żołnierzy z automatami utworzył straż honorową, orkiestra kilka razy zagrała hymn Hiszpanii, przedstawiono dygnitarzy, nastąpiło podawanie sobie rąk i kiwanie głowami, aż w końcu generał zajął miejsce.

— Pech — powiedział Malise, kiedy oczekiwanie Jake’a wydłużyło się do dwudziestu minut. — Bardzo mi przykro. Mogą cię wezwać w każdej chwili. Postaw sobie za cel czysty przejazd, wyluzuj i najeżdżaj na przeszkody w środku.

Na trybunach dla zawodników Helen dokonywała obliczeń.

— Jeśli Niemcy policzą przejazdy Ludwiga, Manfreda i Hansa, bez Wolfganga, będą mieli dwadzieścia jeden i pół punktu karnego —

powiedziała. — U nas Rupert ma osiem, Humpty dwanaście i Lavinia dwanaście, razem trzydzieści dwa.

— Nie uda się zejść niżej — odparł Rupert. — Jake na pewno odpadnie.

Do trybuny podszedł Ludwig von Schellenberg.

— Pięknie pani w tym kapeluszu, panno Helen — powitał ją, całując w rękę i stukając obcasami.

— To nie jest panna, tylko mężatka, ty pomylony szwabie — i trzymaj ręce z dala od niej — wtrącił Rupert, ale przyjaznym tonem.

Ludwig był jednym z niewielu zawodników, których Rupert lubił i podziwiał.

— Numer dwadzieścia osiem! — zawołał steward.

Jake cicho wjechał na arenę. W trakcie długiego oczekiwania policzył warkoczyki Żeglarza — było ich piętnaście. Liczba ta przynosiła mu pecha, więc szybko je porozplatał, a wtedy rzadka grzywa Żeglarza rozsypała się i sfalowała jak włosy jednego z braci Marx, co bynajmniej nie dodawało wierzchowcowi urody.

Kiedy biedny, zapchlony Żeglarz z pochyloną głową wszedł na trasę, Ludwig roześmiał się i odwrócił do Ruperta:

— Czy bieszecie terasz konie od rakarza?

— Mogę być z tobą szczery? — odparł pytaniem Rupert. — To najbrzydszy koń, jakiego kiedykolwiek widziano.

Helen spojrzała na Jake’a i powtórzyła swoją uwagę o Rycerzu Smętnego Oblicza, zwracając się do Malise’a, ale on również jej nie słuchał, modlił się.

Widownia traciła zainteresowanie. Po niewielu czystych przejazdach Niemcy tak bardzo wysunęli się na prowadzenie, że prawdopodobnie nikt, a już na pewno nie Hiszpanie, nie miał szansy ich dogonić. Generał

rozmawiał z ministrem do spraw energii o cenach ropy. Nikt nie zwracał uwagi na Żeglarza kłusującego w stronę pierwszej przeszkody.

„Walka z wiatrakami” — pomyślała Helen ze współczuciem.

— Nigdy nie przeskoczy — stwierdził Rupert.

Nagle jednak stara, brzydka szkapa wstrząsnęła się jak stary aktor z musicalu, który wychodzi na scenę, koń prychnął radośnie i uniósł głowę.

— Boże, patrzcie na to! — zawołał Humpty Hamilton, kiedy Żeglarz przeskoczył czysto pierwszą przeszkodę.

— I na to! — dodał Billy, kiedy Jake pokonał kolejną.

— I na to! — dopowiedział Malise, powstrzymując się, by nie zacząć wiwatować, kiedy Jake przeskoczył trzecią przeszkodę.

— I na to! — dołożyła Helen.

— Jezu, on naprawdę potrafi skakać! — stwierdził Billy. — Patrzcie tylko, jak podwija kopyta pod siebie.

Widzowie, znudzeni słabymi występami Hiszpanów, nagle zaciekawieni niezwykłym koniem, najpierw się śmiali, potem zaczęli klaskać i wiwatować.

— Jeśli nie będzie uważał, dorobi się punktów za czas — powiedziała pani Greenslade, kiedy Jake powstrzymał Żeglarza przed kombinacją, po czym przeskoczył ją czysto.

— Boże! — zawołał Humpty. — Ten koń naprawdę ma w sobie dobrą krew.

— Czo to za koń, Malise? — zapytał Ludwig. — Jak szę zdaje, nie wolno szkakacz na mułach. Złożę szkargę.

Żeglarz pokonał już rów z wodą, została mu tylko podwójna stacjonata. Kiedy Jake zakręcił ostro, chcąc odzyskać nieco czasu, skracając przejazd, słońce zaświeciło mu prosto w oczy i oślepiło. Musiał zdać się na Żeglarza. Drużyna brytyjska gremialnie wstrzymała oddech; koń podbiegł drobnym

kroczkiem, ustawił się starannie i pięknie przefrunął nad obiema przeszkodami. Kiedy schodził z toru przy wtórze ogłuszających oklasków, niektórzy na trybunie zawodników przysięgliby, że mrugnął do nich swoim okiem w plamki. Jake z nieprzeniknioną twarzą pochylił się do przodu, pociągnął go pieszczotliwie za uszy i kilka razy przeciągnął dłonią po falistej grzywie.

— Szczęście początkującego — powiedział Rupert.

— Ten koń nie jest początkujący — odparł Billy. — To raczej weteran.

— Ma pół punktu karnego za przekroczenie czasu — podsumowała Helen, stawiając literę „C” — jak „czysto” — obok nazwiska Jake’a. — Wysuwamy się na prowadzenie.

Na części toru dla zawodników Żeglarz z filozoficznym spokojem poddawał się ekstatycznym uściskom Bridie i Tracey, lecz bardziej interesował się wydobyciem trzech miętusów od Jake’a, który z kolei próbował ukryć uniesienie. Odruchowo sprawdził nogi wierzchowca, czy nie spuchły ani nie są obite, rozluźnił popręg i narzucił mu na grzbiet plandekę chroniącą przed owadami.

— Dobra robota — powiedział Malise. — Aż trudno uwierzyć, że ten koń nie widział wcześniej toru.

Humpty, Billy, Lavinia i jej rodzice pospieszyli do Jake’a z gratulacjami.

— Bardzo się cieszę, że tak mu dobrze poszło — dodał Malise. — Miałeś rację, że w niego wierzyłeś. Niech Tracey pochodzi z nim w cieniu i uspokoi, a ty chodź na colę albo coś innego.

Jednak Jake nie mógł zostawić Żeglarza. Wziąwszy przyniesione przez Tracey wiaderko z wodą, umył gąbką głowę konia, jego szyję i brzuch między tylnymi nogami, żeby go schłodzić. Potem osłonił dłonią oczy Żeglarza, spryskał mu głowę i uszy środkiem na muchy, a ponieważ koń nie

powinien po wysiłku za dużo pić, dla odświeżenia zwilżył mu pysk mokrą gąbką.

— Belgravia odgryzłby ci głowę, gdybyś to zrobił — powiedziała Marion oprowadzająca po padoku Macaulaya. — Dobrze skakał — dodała, głową wskazując na Żeglarza.

„Czyżby początek rozmów pokojowych?” — pomyślał Jake. Marion, jedna z satelitów zza żelaznej kurtyny, nagle zaczęła dyplomatycznie wyciągać rękę w kierunku Zachodu.

— Dzięki — odparł.

Druga połowa konkursu była znacznie trudniejsza. Opóźnienia zaczęły dawać się koniom we znaki i szarpały nerwy jeźdźcom. Upał był obezwładniający, muchy dokuczały jeszcze bardziej. Popijając lodowatą pepsi, Jake siedział w sektorze widowni przeznaczonym dla zawodników i próbował zachować spokój.

— Po raz pierwszy od dawna Niemcy nie prowadzą po pierwszej połowie — stwierdziła pani Greenslade. — Ale doskonale potrafią wyjść na swoje z dolnych pozycji.

— Zapowiada się zabawa — powiedział Rupert, zerkając na Helen, która poróżowiała.

Niemcy faktycznie zaczęli walczyć. Humpty przejechał nieźle, ale udało mu się ograniczyć liczbę punktów karnych do ośmiu. Lavinia miała cztery punkty, co wprawiło jej rodziców w ekstazę.

— Łupełt, pilnuj się — powiedziała, zjeżdżając z toru.

Jednak dwóch pierwszych Niemców miało jedynie po cztery punkty karne.

Potem Manfred zakończył przejazd tylko z ośmioma punktami.

— Rupert musi przejechać czysto — powiedział Billy, zerkając na zapiski Helen i licząc na palcach. — Boże, jaka szkoda, że nie zdawałem

matematyki na maturze.

Przy wjeździe na tor Malise powtarzał Rupertowi to samo, co przedtem Jake’owi:

— Macaulay to duży i odważny koń. Da sobie radę, jeśli zachowasz spokój i dobrze go poprowadzisz.

Jednak Rupert wciąż kipiał wściekłością na Jake’a i Malise’a, a także na Lavinię za to, że tak się cieszyła ze swoich czterech punktów karnych.

Macaulay był dużym, silnym koniem, ale już ucierpiał z powodu złości Ruperta, teraz znów wyczuł jego gniew i stracił równowagę. Zmuszając go do skakania przez niepotrzebnie wysokie przeszkody, Rupert mocno pobił go po pęcinach. Macaulay był odważnym koniem, ale nie lubił, kiedy się go zmuszało do czegokolwiek.

Rupert przeskoczył gładko sześć przeszkód, po czym dotarł do siódmej, wielkiego oksera — tam skręcił koniem zbyt ostro, źle naprowadził go na przeszkodę i poderwał o krok za wcześnie. Pomimo wielkiego i heroicznego skoku Macaulay nie poradził sobie i zrzucił drążek. Wtedy stracił ducha przed kolejną kombinacją. Walcząc o zachowanie równowagi, omal nie poniósł Ruperta, zrzucił wszystkie trzy drążki, wskoczył jedną nogą do wody i skończył z wynikiem dwudziestu punktów karnych.

Brytyjska drużyna jęknęła. Ten przejazd będą musieli wyeliminować. Nie mogą oczekiwać, że Jake powtórzy swój świetny występ. O mało nie pokonali Niemców, a teraz zwycięstwo wymykało im się z rąk. Rupert zjechał od razu z areny, nie zwracając uwagi na okrzyki współczucia dobiegające z widowni, minął Marion, wyjechał na zewnątrz i skierował się do stajni.

Ludwig wjechał na start, pogonił konia i, jak się spodziewano, przejechał czysto bez straty czasu. Teraz wszystko zależało od Jake’a. Jeśli nie zaliczy zrzutki, wygrają połową punktu za czas. Widownia była rozczarowana, że

to nie Hiszpan zwycięży, ale podziwiano odwagę cygańskiego chłopaka i jego niepomiernie brzydkiego konia — i przyjęli go jak swojego.

— *Magnifico!* — wrzeszczeli na pół z ironią, kiedy wjechał na start.

— Cholera, uda nam się — wyszeptał Jake w ucho Żeglarza, pochylając się i skracając wodze.

Koń wierzgnął trzy razy, pokazując, że nie zasnął. Na widowni zerwały się wiwaty.

Żeglarz przeskoczył pierwszą przeszkodę. Pomimo oślepiającego bólu głowy Billy poczuł rzadko spotykaną falę radości, która wygrywa z zazdrością, a towarzyszy narodzinom nowej gwiazdy.

— Masz rację — zwrócił się do Malise'a. — Jest świetny.

Malise, niezdolny wydobyć z siebie słowa z powodu nerwów i emocji, tylko pokiwał głową.

Billy nagle poczuł, że ktoś go ciągnie za rękaw. Była to Marion. Jedno spojrzenie na jej przerażoną twarz sprawiło, że poszedł za nią po schodach.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Rupert chce zabić Macaulaya.

— Gdzie on jest?

— W jego boksie w stajni. Zamknął drzwi na skobel.

Billy rzucił się biegiem do odległej o prawie trzysta metrów stajni, po drodze rejestrując ogłuszający wrzask, który wydawał się unosić w niebo. Jake najwyraźniej przejechał bezbłędnie.

Obok biegła, szlochając, Marion.

— Co za drań, co za drań! To jego wina!

— Leć osiodłać Belgravię. Rupert musi na nim pojechać na paradzie.

Rozpalony biały kamień stajni wydawał się palić oczy Billy'ego. Przez moment Billy poczuł zawroty głowy, miał wrażenie, że za chwilę się przewróci. Wtedy dotarło do niego rżenie przerażonego konia i potworne

klaśnięcia bicza o skórę. Poszedł niepewnie przez podwórko — oba skrzydła boksu Macaulaya były zamknięte.

— Rupert, wpuść mnie!

— Odpieprz się!

— Do cholery, wpuść mnie! — wrzasnął Billy, mocnym ramieniem napierając na drzwi.

— Pilnuj swojego nosa!

Billy odsunął się i z rozpędu uderzył w dolną połowę drzwi, które zaczęły się poddawać. Potem ramionami naparł na górną część, drzwi ustąpiły, o mało nie odcinając mu głowy. Przez moment nie widział nic w ciemności, ale po chwili skoczył do środka i wylądował na Rupercie, przyłożył mu w dołek i przewrócił na podłogę.

— Pieprzony koń! — wydyszał Rupert. — Oddaj mi bat, bo ty też oberwiesz!

— Nawet nie próbuj! — Billy z trudem wstał.

Macaulay przedstawiał sobą opłakany widok. Stał w kącie pokryty pianą zmieszaną z krwią, ze skórą na kłębie poznaczoną czerwonymi pręgami, jedną z nich tuż nad nozdrzami, rozdętymi i czerwonymi jak maki. Oczy miał oszalałe z przerażenia, żyły mu nabrzmiały, boki unosiły się ciężko.

— Biedaku — powiedział Billy, podchodząc do niego.

Przerażony koń odsunął się.

— Wszystko w porządku — powiedział Billy, chwytając wodze. — Już po wszystkim.

Rupert wstał z rozwścieczoną miną.

— Daj mi bat, jeszcze nie skończyłem!

— Źle nim kierowałeś — powiedział cicho Billy. — Brakowało ci jeszcze kroku, żaden koń nie przeskoczyłby tego oksera. No już, wszystko

dobrze. — pogłaskał Macaulaya po drżącej szyi. — Wszystko w porządku. Ty idioto — rzucił przez ramię — mógłbyś za to mieć prokuratora na karku.

— Będę traktował swoje konie, jak zechcę — warknął Rupert i już miał zanurkować po bat, kiedy na zewnątrz rozległy się kroki i stukot końskich kopyt.

To szła Marion z Belgravią.

— Idź — popędził Billy Ruperta. — Wygraliśmy, nie rozumiesz? Jake przejechał czysto.

— No to co?

— Jedź po puchar. Ty też go zdobyłeś, wiesz? W pierwszej rundzie miałeś tylko osiem punktów. No leć, Belgravia czeka.

— Nie idę.

— Nie zachowuj się jak dzieciak — powtórzył Billy słowa Malise’a. — Czy może wszyscy mają cię uznać za żałosnego niedojdę?

Przez moment miał wrażenie, że Rupert zamachnie się na niego batem, ten jednak wybiegł przez drzwi i wskoczył na grzbiet Belgravii.

— Kapelusz! — zawołał za nim Billy.

Marion wzięła kapelusz i podała Rupertowi.

— Ty łajdaku — syknęła. — Zwalniam się.

Państwo Greenslade’owie, Malise i stajenne wiwatowali jak dzieci, kiedy brytyjska drużyna wjechała na padok. Nawet Helen, która już doszła do siebie po dwudziestu punktach karnych Ruperta, podskakiwała i machała żółtym kapeluszem. Żeglarz, bohater popołudnia, szedł od strony zewnętrznej, jednym okiem zerkając podejrzliwie na tłum, ale przyjmując powódź poduszek, kwiatów i chusteczek, którymi go obrzucono. Jake’owi udało się złapać dwa różowe goździki, które wsunął za ogłowie Żeglarza.

Kiedy stanęli w szeregu przed lożą generała, w powietrzu przeleciała poduszka. Rupert musiał się przed nią uchylić. Jake odwrócił się do niego.

— Przypomina mi to walki na poduszki w internacie St. Augustine — powiedział cicho. Rupert rzucił mu spojrzenie przepełnione czystą nienawiścią, które spopieliłoby większość ludzi, ale Jake już się na to uodpornił. — W St. Augustine starali się wychować uczniów na porządnych nieudaczników — powiedział i roześmiał się w twarz Rupertowi.

Drużyna brytyjska stała na przodzie, pozostałe półkolem za nią. Jake siłą woli powstrzymał napływające do oczu łzy, kiedy flaga Wielkiej Brytanii, podskakując co chwilę, wjechała na górę masztu i po raz drugi tego popołudnia zabrzmiał hymn, zagrany bardzo źle i tym razem w tonacji moll.

— Bóg powinien chłonić naszą kłólową przez zagłanicznymi ołkiestłami — stwierdziła Lavinia.

Potem musieli z lekką obawą przejść obok szpaleru dział na spotkanie bardzo dystyngowanego generała, który pomimo zaawansowanego wieku i nieznośnego upału wstał i przywitał ich w doskonałej angielszczyźnie. Jak się wydawało, Ruperta już znał, gdyż zapytał go o jego piękną matkę. Jednak zanim Rupert zdążył odpowiedzieć, Żeglarz po raz drugi tego popołudnia wywołał zamieszanie, gdyż ciągnąc za sobą pechowca, który miał go trzymać, przyszedł za Jakiem i niezrażony obecnością uzbrojonych strażników poszedł za swoim panem do połowy schodów.

Na szczęście generał miał poczucie humoru, więc przy pomocy dwóch ochroniarzy zszedł po schodach i pogłaskał Żeglarza po pysku. Jake się uśmiechnął, generał też. Żeglarz trącił generała w kieszeń, jakby sprawdzając, czy on też jest uzbrojony. Fotografowie szaleli.

„Żeglarz wśród żołnierzy” — głosiły nagłówki porannych gazet następnego dnia. Było to wydarzenie, gdyż od dwóch lat nikt nie pokonał Niemców. Ci zaś, pełni sportowego ducha, podeszli uścisnąć Jake’owi rękę.

— Chyba trzeba będzie się postarać, nie? — zagadnął Hans.

— Nie myślałeś o sprzedaży tego konia? — zapytał Ludwig.

Kiedy w końcu przegalopowali areną, powiewając wstążkami od rozetek i z taśmami na lewym ramieniu, Jake jako najlepszy zawodnik ściskał w dłoni sporego srebrnego niedźwiedzia, herb Madrytu.

— Mów sobie, co chcesz — powiedział do niego Humpty, wypinając pierś przy kolejnych wiwatach — ten koń musi mieć w sobie dobrą krew.

— Muszę zadzwonić do Tory — powiedział Jake, kiedy zjeżdżali do wyjścia. — Boże, nie cierpię tych tutejszych telefonów.

— Mama ci pomoże — pocieszyła go Lavinia. — Mówi po hiszpańsku.

Przy wyjeździe czekał na nich Billy.

— Dobra robota! — pogratulował Jake’owi. — Szczęśliwie się złożyło, że dostałem w głowę, bo ja nigdy bym nie przejechał dwóch rund na czysto.

Wieczorem przy kolacji omówili szczegółowo każdą przeszkodę w każdej rundzie i wielokrotnie wznosili toasty Pucharem Narodów. I wszyscy, nawet Billy, który łagodził ból głowy czterema tabletkami anadinu, poczuli ulgę, kiedy Rupert i Helen wyszli wcześniej, tłumacząc się, co było zresztą prawdą, że generał zaprosił ich na kolację.

Znacznie później i nie całkiem trzeźwy Jake poszedł do stajni sprawdzić, jak się mają konie. Wcześniej dodał do paszy Żeglarza soli i elektrolitów, gdyż koń po południu bardzo się spocił i odwodnił. Teraz po wejściu Jake zastał wiadro na wodę puste i przewrócone, więc znów je napełnił i starannie obłożył nogi wierzchowca maścią, żeby uśmierzyć ból po tak ciężkim przejeździe.

Potem zajrzał do swojej ukochanej Afryki i wyprowadził ją na spacer. Jej noga ładnie się goiła, na Grand Prix następnego dnia powinna być już zupełnie zdrowa. Nie mógł się oprzeć pokusie wejścia do pomieszczenia na uprząż i oświetlenia latarką czerwonej rozetki, którą wygrał, przesunięcia

jej błyszczącą wstążką po twarzy, pocałowania twardego tekturowego środka.

„Sentymentalny głupiec” — pomyślał, ale wciąż unosił się pół metra nad ziemią.

Wychodząc, dojrzał światło w boksie koni Ruperta. Podkradłszy się bliżej, zajrzał przez górną część drzwi i zobaczył Marion przemywającą pręgi na skórze Macaulaya. Jake skrzywił się z niesmakiem. Grzbiet konia wyglądał tak, jakby ktoś grał na nim nożem w kółko i krzyżyk. Macaulay pierwszy dojrzał intruza i wcisnął się w kąt. Marion odwróciła się gwałtownie, odruchowo naciągając derkę na ranę.

— Co ty tu robisz, do cholery?

— Zajrzałem do moich koni. To pewnie dzieło Ruperta?

Przez sekundę Marion wahała się między dyskrecją a oburzeniem, w końcu oburzenie zwyciężyło.

— No pewnie, że to ten drań. — zsunęła derkę i wróciła do smarowania ran maścią.

— Mam coś lepszego — powiedział Jake, wrócił do swojej skrzynki w pomieszczeniu na uprząż i wyjął z niej słoik balsamu, który rozpłynął się w upale.

— Co to? — zapytała podejrzliwie Marion.

— Stary romski przepis — odparł Jake, otwierając słoik. — Spokojnie, po tym poczujesz się lepiej — powiedział do konia i delikatnie zaczął wcierać balsam w pręgi.

Macaulay zadrżał, ale nie odsunął się, jakby rozumiał, że Jake chce mu pomóc.

— Rupertowi nigdy by na to nie pozwolił — odezwała się Marion.

— Kto go powstrzymał?

— Billy.

— Malise wie?

— Nie i przy szczęściu Ruperta może się nie dowie. Jutro Macaulay i tak cały dzień spędzi w boksie, bo Rupert startuje w Grand Prix na Belgravii, a wcześniej na Mayfair. Potem rano od razu lecimy do Anglii. Macaulay to piękny koń, ale Rupert go zmarnował, teraz go sprzeda, bo jego widok będzie budził w nim poczucie winy, a on tego nie znosi. Helen się wścieknie. Macaulay to dla niej jedyny interesujący koń, bo dostał imię po niej.

Jake skończył smarować ostatnią ranę i pogłaskał konia, po czym, może dlatego, że jednak był dość mocno pijany, odezwał się:

— Daj mu odpocząć, chodź na drinka.

Marion spojrzała na jego nieruchomą twarz. Przypominał kartkę urodzinową bez tekstu, którą wypełniało się według własnej inwencji.

— OK — odpowiedziała. — Przepraszam, że schowałam ci ubranie.

— W porządku. Pewnie Rupert cię podpuścił.

— Naprawdę cię nie znosi.

— No to jest nas dwóch, ja też go nie znoszę.

Nie dotarli do baru.

— Rupert naprawdę by mnie zwolnił, gdyby mnie teraz zobaczył — powiedziała Marion.

— Na pewno cię usłyszą, jeśli nie ściszysz głosu, bo są w pokoju obok.

Marion się zaśmiała.

— I tak dzisiaj dałam mu wypowiedzenie.

— Odchodzisz? — zapytał Jake, rozpinając jej białą koszulę.

— Tyle razy to robiłam, że pewnie mi nie uwierzył.

Jake, który przez ostatnie pięć lat miał do czynienia tylko z obfitym ciałem Tory, ledwie mógł uwierzyć w szczupłość ud Marion i sprężystość jej piersi, które nie rozlewały się poza pachami, kiedy dziewczyna się

położyła. Przez kilka chwil gładził jej ciało z zadziwieniem, jakby była koniem wartym pięćdziesiąt tysięcy funtów, a kiedy ją pocałował, zauroczył go entuzjazm jej reakcji. Odsunęli się od siebie. Marion uśmiechnęła się i dotknęła jego złotego kolczyka.

— Naprawdę jesteś Cyganem?

— W połowie — odparł Jake.

Dziewczyna przesunęła językiem po linii życia na jego dłoni.

— Przecinam ci dłoń śliną.

Był to kiepski żarcik, ale oboje musieli ukryć twarze w poduszce, żeby stłumić śmiech. Oboje czerpali dodatkową satysfakcję ze świadomości tego, jak wściekłby się Rupert, gdyby ich w tej chwili zobaczył. Jake był drobny, chudy i nie grzeszył urodą, ale jego dłonie miały magiczny wpływ na Marion, łagodząc wszelkie napięcia i frustracje, jakie narastały w niej od czasu ślubu Ruperta z Helen. Rupert zwykle kochał się z nią agresywnie, czuła się jak pod wiertarką — nazywała go kiedyś swoim Campbell-Black-Deckerem, od firmy produkującej narzędzia. Seks z nim podobał się jej tylko ze względu na niezwykłą urodę Ruperta, przez co Marion miękła przy najlżejszym jego dotyku. Jake zaś był delikatny, uważny, ale z drugiej strony wydawał się niezwykle odległy.

W rzeczywistości Marion wyjątkowo pociągała Jake’a. Chłopak cieszył się, że dzięki wcześniej opracowanemu planowi zdołał powstrzymać się od zbyt wczesnego finału.

Kiedy potem leżeli nasyceni i objęci, Marion odezwała się:

— To było wspaniale. Kto by przypuszczał... nie szukasz przypadkiem stajennej?

— Nie mógłbym płacić ci tyle, co Rupert, poza tym za bardzo byś mnie rozpraszała.

— Przez cały tydzień kompletnie nie zwracałeś na mnie uwagi.

— Celowo. Nie znosiłem cię, bo należałaś do otoczenia Ruperta, poza tym jesteś tak ładna, że doprowadzałaś mnie do szału.

— Ładniejsza niż Helen?

— O wiele. — Wiedział, że tym zdaniem ją podbije.

— Szkoda, że ten drań Rupert ma inne zdanie.

— Jest jej wierny?

— W tej chwili tak. Chyba sam się upaja własną wiernością, to dla niego nowość. Ale od ślubu są nierozłączni, a ona czepia się go jak pijawka. Zobaczymy, co się stanie, jak Helen zajdzie w ciążę i nie będzie mogła wszędzie z nim jeździć. Wtedy zaczną się kłopoty, on nie może bez tego żyć.

— Ani ja, jak widać — wymamrotał Jake. — Słuchaj — dodał, odsuwając jej włosy z czoła — lubisz Macaulaya, prawda?

— Uwielbiam go.

— Wystarczy, żebyś mi dała znać, kiedy Rupert będzie go sprzedawał.

— Nigdy nie sprzeda go tobie.

— Może nie, ale przecież mógłby go kupić ktoś podstawiony.

— Jest dla ciebie za silny. Rupert ledwie może go utrzymać, a w stajni w ogóle szaleje.

— Nie panuję nad końmi samą siłą — odparł Jake — a zgaduję, że pod nim ten koń już nie skoczy.

— Czy twoja żona jest miła? — zapytała Marion z nadzieją, że Jake znów wróci do seksu.

— Bardzo — odparł Jake.

— Rupe mówił, że ożeniłeś się z nią dla pieniędzy.

— Co nie przeszkadza temu, że jest miła.

— I nie czujesz wyrzutów sumienia?

— Nie — odparł Jake. — To moja nagroda za podwójny czysty przejazd.

19

MIESIĄC PÓŹNIEJ Jake Lovell jechał w ciepły czerwcowy wieczór, dokonując w myślach obliczeń. Późnym wieczorem Marion zadzwoniła do niego z budki i opowiedziała o koniu zwanym Zemsta.

— Jest ciężki, ale świetny, lepiej się pospiesz, bo Rupert też na niego poluje.

Nie tracąc czasu, Jake pojechał aż do Surrey, żeby obejrzeć konia — i spodobało mu się to, co zobaczył. Rzadko dawał się nabierać przy kupnie koni. Sporo się nauczył w czasie pobytu u Cyganów, którzy pokazali mu, jak handlarze ukrywają fakt, że koń kuleje, specjalnie źle podkuwając drugą nogę, albo gorącym drutem wypalają ciemne znaki na jego zębach, żeby uchodził za sześciolatka, a nawet smarują mu odbyt musztardą, a wtedy podskakującego z uniesionym ogonem konia można uznać za wyjątkowo energicznego. Oni też nauczyli go nigdy nie dać się zwieść wyglądowi zwierzęcia.

Jake musiał jednak przyznać, że Zemsta to najładniejszy koń, jakiego w życiu widział. Rudawy kasztan z zygzakowatą strzałką, grzywą i ogonem, które wyglądały jak wybielone, roztaczał aurę wyjątkowej pewności siebie. Początkowo kupił go milioner dla ukochanej córki, która nagle postanowiła zacząć skakać, jednak ogier okazał się zdecydowanie zbyt silny dla dziewczyny. Całkowicie pozbawiony dyscypliny nauczył się jednocześnie wierzgać i obracać. Kiedy Jake go trzymał, usiłował go zawlec pod nisko zwisające gałęzie dębów w górze stoku. Ale bez wysiłku przeskoczył szereg wysokich przeszkód, lądując jak kot i pokazując nie tylko umiejętność wychodzenia z kłopotów, ale i niewiarygodne przyspieszenie.

Jake był obolały po tym, jak koń trzy razy go zrzucił, ale i tak chciał go kupić. Niestety, George Masters, handlarz, chciał pięć tysięcy funtów, których Jake nie miał. Właśnie sprzedał dwa najlepsze nowe konie, żeby wpłacić zaliczkę za krytą ujeżdżalnię. Rozliczenie będzie dopiero na koniec lata.

Darklis, mała córeczka, była śliczna, ale dołożyła Tory sporo pracy. Isa, zazdrosny i marudny, też wymagał poświęcenia mu więcej uwagi, więc Tory miała coraz mniej czasu dla koni. Jake naprawdę potrzebował drugiej stajennej, ale żeby móc ją zatrudnić, musiał jeździć na kolejne konkursy i wygrywać. Do tego z kolei potrzebował jeszcze jednego konia klasy A, na którym mógłby jechać, gdyby Afryka i Żeglarz nie mogli startować. „Na koncie masz dziurę, kochany Jake'u" — powiedział do siebie.

W drodze do domu, głęboko zamyślony, źle skręcił i znalazł się na drodze wiodącej przez Bilborough. Pojawił się przed nim Bilborough Hall, rdzawy i subtelny w zachodzącym słońcu — miejsce pierwszego występu Afryki. Gdyby teraz tam skakał jako członek reprezentacji brytyjskiej, czy zaproszono by go na lunch we dworze z całym tym towarzystwem z wyższych sfer? Minął szkółkę jeździecką Brook Farm, czując aż mdlącą ulgę na myśl, że już nie pracuje dla pani Wilton. Oto wiejski skwer w centrum, kościół i dom Molly Maxwell.

Teraz to już Molly Carter, żona pułkownika. Po narodzinach Isy Molly i Tory znów nawiązały stosunki dyplomatyczne, ale wciąż nie były one swobodne. Jake nigdy nie wybaczył pułkownikowi wypalenia z dział, Molly nigdy nie wybaczyła Jake'owi tego, że zabrał jej córkę, a co gorsza — dał jej szczęście.

Małżeństwo Molly z pułkownikiem Carterem nie należało do udanych. Wkrótce po powrocie z podróży poślubnej do hotelu w Bretonii, w którym podawano angielskie jedzenie, mąż zorientował się, z jaką kobietą ma do

czynienia. Wiek i duma nie pozwoliły mu się rozwieść i oboje utkwili we wzajemnej niechęci. Po przejściu pułkownika na emeryturę i jego przeprowadzce na wieś jeszcze więcej czasu spędzali razem. Molly szukała ucieczki w niekończących się partiach brydża. Pułkownik próbował kontrolować wydatki Molly i bawił się giełdą. Fen w wieku jedenastu lat wysłano do szkoły z internatem i zniechęcano do wakacyjnych odwiedzin u Jake'a i Tory z powodu nieuzasadnionych obaw Molly, że Jake ją uwiedzie.

Przejeżdżając powoli obok domu, Jake widział, jak w salonie teściowa gra w brydża z trzema innymi harpiami. W domu założono alarm, werandę porastał krzak żółtej róży, a z tyłu zbudowano basen, więc pułkownik mógł przepływać swoje dziesięć długości co rano, jak stary mors.

Nagle Jake poczuł głód. Nie jadł obiadu, a do domu miał jeszcze ponad dwieście kilometrów, więc zdecydował się zajechać do najbliższego pubu. Był wczesny wieczór, więc pub był niemal pusty, ale zamawiając piwo i wieprzowinę w cieście, usłyszał znajomy wybuch śmiechu. Nie odwracając się, przesunął się nieco dalej wzdłuż lady — i w lustrze za butelkami zobaczył swojego teścia przypominającego golden retrievera, pochylonego nad złocistą blondynką, która na pewno nie była teściową Jake'a.

Jake z rozbawieniem przyglądał się, jak pułkownik kładzie rękę na dłoni blondynki, po czym unosi ją do ust, czemu towarzyszył brzęk bransoletek. „Głupi cap" — pomyślał. Wziął swój kufel i ukradkiem podszedł do stolika.

— Cześć, Bernardzie — powiedział cicho.

Pułkownik Carter puścił rękę blondynki, jakby to była osa, i spurpurowiał. Nagle poczuł, że wzorzysta chustka na szyi jest zdecydowanie za ciasna.

— Hej, Jake — powiedział z wielką serdecznością. — Kopę lat! Co cię sprowadza w te strony?

— Szukam konia.

— Świetnie ci idzie w tym roku. Pojawiasz się w prasie, raz nawet widziałem cię na podium. Jedziesz do Crittleden, prawda? Żeglarz wciąż dobrze jeździ?

— Oczywiście — odparła blondynka. — Dobrze sobie poradził w Madrycie, prawda? Dwa czyste przejazdy, kiedy Billy, łobuz, walnął się w głowę. Chociaż Macaulay nie był w formie. Rupert Campbell-Black jest wyjątkowo okrutny.

Jake stwierdził, że spogląda w mocno podmalowane oczy autentycznej wielbicielki skoków. Lśniąca niebiesko-biała sukienka odsłaniała sporo pomarszczonego brzucha, paski sandałów wbijały się w tłuste kostki, biła od niej fala tanich perfum, ale twarz miała łagodniejszą niż Molly.

— Przedstawisz mnie, Bernardzie? — zapytała.

— Jak pewnie wiesz, to mój zięć, Jake Lovell — powiedział pułkownik jeszcze bardziej serdecznie — a to Vivienne, wielka przyjaciółka mojej świętej pamięci żony, Jennifer.

Według Jake’a Vivienne nie wyglądała na wielką przyjaciółkę czyjejkolwiek żony.

— Dołączysz do nas? — zapytała.

— Dobrze, tylko na minutę, o ile Bernard nie ma nic przeciwko temu — odparł Jake złośliwie. — Co u Fen?

— Niezbyt dobrze — odpowiedział pułkownik. — Wpada w zmienne nastroje, nie czesze się, kłóci się z Molly, rozrzuca ubrania po całym domu. Molly w zeszłym tygodniu sprzedała jej kuca — powiedział, po czym na widok miny Jake’a dodał obronnym tonem: — to zwierzę wciąż nam uciekało z pastwiska, nieraz w środku nocy trzeba było po niego jeździć.

— Pewnie było samotne. Czy Fen o tym wie?

— Jeszcze nie.

— Będzie to bardzo przeżywać — stwierdził Jake.

— Biedactwo — użaliła się Vivienne.

— Jak jej idzie w szkole?

Pułkownik pokręcił głową.

— W ogóle nie chce nic robić. Tylko rysuje konie i wygląda przez okno. Tak naprawdę to nie jest dobre dla niej miejsce, nie ma możliwości jeżdżenia, ale Molly się uparła.

— Nie wiem, po co ludzie mają dzieci, skoro potem je odsyłają do internatu — stwierdziła Vivienne zadowolona, że może skrytykować Molly. Zwracając się do Jake'a, dodała: — Szkoda, że Fen nie może zamieszkać u was, skoro tak szaleje za końmi.

Jake, który był tego samego zdania, przeczekiwał. Fen miała dopiero trzynaście lat, ale już dobrze się zapowiadała. Gdyby udało mu się wziąć ją pod swoje skrzydła, mógłby ją odpowiednio przysposobić, a ona bardzo by się przydała do pomocy przy koniach. Może nawet udałoby się uniknąć zatrudniania kolejnego stajennego.

— Czego się napijecie? — zapytał.

— Teraz ja stawiam — powiedział pułkownik.

— Poproszę gin z cinzano, dużo lodu — odpowiedziała Vivienne, chwytając w lot okazję, przyzwyczajona do skąpstwa pułkownika.

— Skoro nalegasz, to ja poproszę whisky z wodą — dodał pułkownik, który przedtem pił piwo.

— Przystojniak, prawda? — usłyszał słowa Vivienne, kiedy szedł do baru. — Szkoda tej małej. Powinna zamieszkać z nimi.

— Molly przejmuje się tym, co pomyślą znajomi — wymamrotał pułkownik. — Lubi uchodzić za oddaną matkę.

— Ale przecież Fen niedługo podrośnie na tyle, by stanowić dla niej konkurencję. A kiedy menopauza Molly zbiegnie się z okresem dojrzewania

Fen, nie będzie miło — powiedziała Vivienne ze sprytnym uśmieszkiem.

Pułkownik wydawał się podzielać jej zdanie.

— Opowiedz nam o tym koniu — zachęciła go Vivienne, kiedy Jake wrócił z drinkami.

— Nazywa się Zemsta — zaczął Jake — ma przyspieszenie godne ferrari, bosko skacze, ale jest rozpieszczony, niecierpliwy i nabrał złych nawyków.

— Ile za niego chcą? — zapytał pułkownik.

— Pięć tysięcy. Zastanawiam się, skąd, do licha, wziąć tyle.

Z zastanowieniem spojrzał na pułkownika i Vivienne.

— To śmiesznie tanio — odezwała się Vivienne. — Trzy większe wygrane i odzyskasz pieniądze.

Pułkownik nagle poczuł zawrót głowy. Molly mocno nadszarpnęła jego męską dumę, oskarżając go o to, że do pieniędzy odnosi się jak starsza pani. Teraz jej pokaże. Czas, żeby lew zaryczał.

— Kupię ci tego konia, Jake — powiedział. — Czas im pokazać.

Vivienne z głośnym brzękiem klasnęła w tłuste dłonie.

— Świetny pomysł! A potem możecie się podzielić wygraną.

Jake nie zareagował, za wszelką cenę nie chcąc zdradzać podniecenia. Uprzedził, że nad koniem trzeba będzie popracować, nie można go poganiać, więc pułkownik może dopiero po roku odzyska pieniądze.

— Bernardzie, nie wahaj się, zarobisz na tym. Zawsze chciałeś mieć konie wyścigowe.

— Co powiemy Molly? — zapytał Jake bez ogródek. — Ostatnim razem, kiedy członek waszej rodziny kupił mi konia, nie była zachwycona.

— Powiemy, że wpadłem na ciebie — odparł pułkownik — i zdecydowałem się ci pomóc.

Przez kwadrans omawiali kwestie techniczne; uznali, że jeśli Rupert przebije ich ofertę, będą musieli zrezygnować.

Jake zerknął na zegarek z obrazkiem kaczora Donalda na tarczy, był to prezent urodzinowy dla Isy, ale Tory uznała, że synek jest na niego za mały.

— Powinienem wracać, Tory czeka z kolacją.

— Do zobaczenia, Jake. Mogę prosić o autograf? — zapytała Vivienne.

— Miła kobieta — stwierdził Jake, kiedy pułkownik odprowadzał go do samochodu.

— Stara przyjaciółka — wymamrotał pułkownik.

— Jest też przyjaciółką Molly? — zapytał Jake.

— Nie musimy chyba wspominać o niej Molly?

— Nic nie widziałem — zapewnił Jake. — Zobaczyłeś mnie w drzwiach pubu, przystanąłeś, żeby się przywitać i poszliśmy się napić.

— Dobry chłopak — powiedział pułkownik, dość ostrożnie głaszcząc Jake’a po ramionach. — Zawsze było mi przykro z powodu tej sprawy z Tory. O Fen też się martwię. Naprawdę zrobiłbyś jej dużą przysługę.

Jake wsunął dłoń do kieszeni i przesunął palcami po czeku pułkownika.

— Pomyślę nad tym.

Odczekał do rana i zadzwonił do Mastersa. Nie chciał wydawać się zbyt zainteresowany koniem. Zaproponował cztery tysiące.

— Żartuje pan — odparł agent. — O jedenastej Rupert Campbell-Black przyjeżdża go obejrzeć. Ponieważ pierwszy zainteresował się koniem, powinienem dać mu pierwszeństwo.

— Jeśli nikt nie oduczy go tych paskudnych nawyków, koń wkrótce nie znajdzie żadnego nabywcy — ostrzegł Jake. — Ja oferuję cztery tysiące i ani pensa więcej. Jeśli Rupert zaproponuje więcej, niech go bierze. Po południu jadę do Cheltenham obejrzeć innego konia i chcę wiedzieć, czy

zostaną mi pieniędze, żeby go kupić, więc byłbym wdzięczny, gdyby dał mi pan znać, co postanowi Rupert.

— Zadzwonię, jak tylko będę coś wiedział — obiecał rozmówca. — Proszę nie spieszyć się z tą drugą transakcją.

Potem zaś Jacke spędził ranek na obgryzaniu paznokci. Poluzowanie nieco liny, by to ta druga osoba mogła ją skrócić, to proces pożerający nerwy. Kiedy Masters znów zadzwonił, Jack kazał Tory powiedzieć, że nie ma go w domu, ale oddzwoni, lecz nie oddzwonił. Masters zatelefonował ponownie.

— Ten bałwan, Campbell-Black, w ogóle się nie pojawił, nawet nie zadzwonił. Koń jest pana, jeśli pan chce.

— Cztery tysiące — powiedział Jake.

— Cztery i pół.

— Cztery tysiące dwieście pięćdziesiąt.

— Zgoda.

— Zaraz po niego przyjadę.

Jake odbył kolejną nużącą podróż w upale. Ulokowanie Zemsty w samochodzie wymagało sił trzech stajennych, George’a Mastersa i Jake’a, ich umiejętności przekonywania i wielu przekleństw. Ruszając w drogę powrotną, Jake słyszał, jak koń kopie i rzuca. Zastanawiał się, czy kupno zwierzęcia nie było szaleństwem.

Po trzech kilometrach wjechał w wąską wiejską drogę obrośniętą kaczeńcami i czarnym bzem, nagle zza zakrętu wyjechało pędem granatowe porsche. Jake w ostatniej chwili uniknął zderzenia czołowego, skręcając na pobocze i omal nie tratując krzewu dzikiej róży.

Kierowca, blondyn w ciemnych okularach, zaklął i pojechał dalej. Jake bez trudu rozpoznał Ruperta, ale siedząca obok niego brunetka była mu

obca. Może to z jej powodu Marion do niego zadzwoniła.

— I po co się spieszysz, nic już dla ciebie nie zostało — powiedział do siebie, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Zemsta znów zaczął kopać i wierzgać. — A ty lepiej bądź dla mnie miły! — zawołał do tyłu. — Nie wiesz nawet, jakie masz szczęście, że nie trafiłeś do tego łajdaka!

Całą drogę do domu, znaczoną coraz większą liczbą owadów rozbijających się na przedniej szybie, Jake zaśmiewał się, aż w końcu o zachodzie słońca zobaczył lśniące wierzby i różowoczerwone ściany Mill House. Jak zawsze zalała go fala radości, gdy wracał do domu. Boże, ledwie żył ze zmęczenia. Małą Darklis wciąż trzeba było karmić co cztery godziny, więc spali z przerwami. Następnego dnia Jake'a czekała wczesna pobudka i wyjazd na zawody w Yorkshire, a w kolejnym tygodniu na królewski pokaz w Stoneleigh.

Na jego spotkanie wyszła Tory z Wilkiem, który pogonił naprzód.

— Dostałeś go? Pewnie padasz z nóg.

Kiedy opuścili platformę ciężarówki, koń stał wciśnięty w kąt, drżąc jak w gorączce, pomimo upalnego wieczoru.

— Biedak, miał ciężką podróż. Ale piękny, prawda? — powiedziała Tory.

Jake podszedł do niego, ale Zemsta wyszczerzył zęby i wystrzelił głową w jego kierunku, przypominał atakującą kobrę.

— Niezłe z niego ziółko — stwierdził Jake. — Przez następny dzień albo więcej nikomu oprócz mnie nie wolno do niego podchodzić.

Przywiązawszy mocno konia, Jake wytarł go, okrył derką, dał paszę i wodę. Zemsta jednak w ogóle nie wydawał się zainteresowany jedzeniem. Kiedy tylko poczuł swobodę, zaczął chodzić po boksie.

— Zostawmy go — powiedział Jake. — W końcu się uspokoi.

„Dzięki Bogu za Tory" — pomyślał, wchodząc do domu. Panował w nim porządek; zabawki zalegające korytarz, kiedy wyjeżdżał rano, znikły.

Jedynym dowodem obecności dzieci był stos poskładanych miękkich pieluszek w korytarzu. Z kuchni dobiegał kuszący zapach zapiekanki pasterskiej.

— Jak tam dzień?

— Dobrze, tylko Isa wrzucił wszystkie formularze zgłoszeniowe do ubikacji. Na szczęście wypełniłam je na maszynie, a nie długopisem, więc się nie rozpłynęły. Suszą się w komórce. A przy okazji — dodała Tory, kiedy podała mu szklankę piwa (na wino wciąż pozwalali sobie tylko przy wielkich okazjach) — Fen tu jest.

Jake uniósł wzrok.

— Uciekła ze szkoły?

— Tak. Dowiedziała się, że mama sprzedała jej konia.

Jake zastał Fen wciąż ubraną w mundurek i szlochającą na łóżku.

— Jak ona mogła to zrobić? Najpierw zapomina o moich urodzinach, a dzień później sprzedaje Aksamitkę. Nawet nie chce mi powiedzieć, kto ją kupił.

— Pewnie znalazła dobry dom. Dowiemy się — obiecał Jake. — Zresztą ona była dla ciebie już za mała.

— Wiem. Naprawdę starałam się nie przytyć, żeby nie było jej za ciężko, ale miałam tylko ją. Tak bardzo ją kochałam.

Jake pogłaskał dziewczynkę po ramieniu. Fen rozszlochała się tak mocno, że nie mogła wydobyć z siebie słowa, w końcu wydusiła:

— Nie znoszę szkoły! To pustynia bez koni i bez psów, bez końca! — Po czym wyciągnęła rękę w kierunku Wilka, który wskoczył na łóżko i próbował zlizywać łzy z jej twarzy. — I nie chcę już mieszkać z mamą. Nienawidzę jej i nie znoszę jego. Proszę, nie odsyłajcie mnie.

Jake był bardzo zaskoczony jej wyglądem. Widział ją rok wcześniej — była wtedy dziewczynką. Teraz zamieniła się w nastolatkę z tłustymi,

pozlepianymi włosami, krostkami i bladą twarzą poznaczoną wągrami. Fen była bardzo szczupła, ale pod zielonym szkolnym sweterkiem rysowała się już krągłość piersi.

— Proszę, pozwólcie mi zostać u was — wyszlochała. — Nie będę sprawiać kłopotów. Będę się zajmować dziećmi i wcześnie wstawać i pracować w nocy i w weekendy.

Jake pogładził ją po włosach.

— Porozmawiam z Tory. Chodź na dół, zjesz coś.

— Nie mogę, naprawdę. Zrobi mi się niedobrze. Jake, tak cię przepraszam. Pewnie ledwie żyjesz, a jeszcze masz mnie na głowie. Ale wciąż myślę o Aksamitce... — twarz znów się jej zmarszczyła. — Na pewno jest samotna i nie wie, co się dzieje.

— Zadzwonię do twojej matki — powiedział Jake.

— Fen jest u nas — usłyszała dziewczynka jego głos, kiedy zszedł na dół do telefonu. — Nie, teraz lepiej z nią nie rozmawiaj, śpi jak zabita. Pewnie większość drogi przeszła piechotą.

Następnego poranka Jake zaspał. Ubrał się i zszedł na dół, sprawdzić, jak Zemsta przetrwał noc. Wkładając w kuchni buty, słyszał, jak Afryka kopie swoje wiadro na wodę, a Żeglarz niecierpliwie chodzi po boksie.

„Gdzie moje śniadanie!” — zdawał się mówić.

— No dobrze, już dobrze — wymamrotał Jake — idę!

Wyszedł na zewnątrz i zamarł z przerażenia: obie połówki drzwi do boksu Zemsty były otwarte. Isa, zafascynowany końmi, nabrał okropnego zwyczaju wchodzenia na wiadro, otwierania drzwi i pakowania się do boksów. Z bijącym mocno sercem Jake pobiegł przez podwórze tak szybko, jak tylko pozwalały mu nogi. W boksie zastał Fen obejmującą Zemstę za szyję, karmiącą go marchewkami i całującą w pysk.

— Dobry konik, dobry konik. Spodoba ci się tu, zobaczysz, zostaniesz wielkim i słynnym zawodnikiem. Jake się o to postara.

— Fen — odezwał się Jake, z wszystkich sił starając się mówić równym, spokojnym głosem — wyjdź stamtąd.

Fen z anielskim uśmiechem spojrzała na niego.

— Jest przesłodki. Będę mogła później na nim pojeździć?

Zemsta rzucił Jake'owi gniewne spojrzenie, uniósł groźnie przednie kopyto i wielkimi białymi zębami kłapnął w kierunku jego ramienia.

— Przestań! — powiedziała Fen stanowczo, ujmując rzemień ogłowia w rękę i potrząsając nim. — Tak nie wolno. Nie gryzie się swojego pana.

Zemsta zastanawiał się nad tym przez chwilę, zataczając oczami.

— Nie! — powtórzyła Fen jeszcze bardziej stanowczo. — Ty się tylko popisujesz, a tak naprawdę jesteś słodziakiem.

Zemsta, który uznał, że może to i prawda, trącił Fen w kieszeń, poszukując marchewek.

— Jak on ma na imię? — zapytała dziewczyna.

— Zemsta.

Fen uśmiechnęła się szeroko.

— To naprawdę przesłodki koń.

W tej chwili Jake zdecydował się ją zatrzymać.

— Skoro tak ci się spodobał, to daj mu jeść i wyprowadź.

— A co on jada? — zapytała Fen.

— Głównie stajennych — odparł Jake — ale spróbujemy go tego oduczyć.

Rupert jechał do domu wściekły. Wszelkimi sposobami próbował nakłonić Mastersa, by ten podarł czek, ale Masters się upierał, że dał nabywcy pokwitowanie i nie chciał podać jego nazwiska. Wtedy Rupert dostał szału i nastąpiła niemiła wymiana zdań.

W drodze do domu Rupert wyżył się na Sarah, brunetce, którą poznał na zawodach kilka dni wcześniej. Był na siebie zły, że rano wskoczył z nią do łóżka. Akurat wracał z kolacji w Londynie i telefonicznie uprzedził Helen, że wróci późno, gdyż skręci do Surrey, gdzie miał obejrzeć konia. Skręt zahaczał też o dom Sarah. Seks z nią absolutnie mu się nie podobał. Rupert zasnął wkrótce potem, ale przez to straszliwie spóźnił się na spotkanie z Mastersem. Poza tym głupio zaryzykował, przecież Masters mógł zadzwonić do domu, Helen wyczułaby pismo nosem i niepotrzebnie by się przejęła. Rupert nie czuł się przesadnie winny z powodu zdrady, ale zdenerwował go fakt, że przez własną głupotę stracił dobrego konia. Będzie musiał uruchomić swoich szpiegów i wytropić Zemstę. Kiedy koń pogryzie jeszcze kilka osób, może stanieje. Od Madrytu Macaulaya można było właściwie spisać na straty — wierzchowiec nie wrócił już do dawnej formy i pewności siebie. „Jego też trzeba będzie się pozbyć” — pomyślał Rupert, zatrzymując się, żeby Sarah wysiadła.

— Kiedy znów się spotkamy? — zawołała za nim dziewczyna z niepokojem.

Rupert jednak odjechał bez słowa. Nawet widok Penscombe w pełni letniej urody nie ułagodził jego rozdrażnienia. Stroje Helen, jej niekończące się plany zagospodarowania ogrodu — tutaj ścieżka wśród bzów, tam mały podgrzewany basen, siedemnastowieczny posąg nimfy — to wszystko kosztowało fortunę. Billy pracował ciężko, ale jego utrzymanie również było drogie, gdyż przyjaciel nieustannie stawiał innym drinki i karmił Mavis kurczakiem. „Wszystko na mojej głowie — pomyślał Rupert nadąsany. — Muszę wciąż wygrywać, żeby na to wszystko starczyło”.

Podjechał prosto do stajni. Billy’ego zastał trenującego jednego z nowych koni na przyległym polu. Podziwiał cierpliwość przyjaciela, ale

dlaczego w tym tygodniu Byk i Kitchener odpoczywają, zamiast zarabiać na zawodach?

Billy wstrzymał konia, zawrócił i podjechał do Ruperta, ocierając pot z czoła.

— Dostałeś go?

— Już go sprzedali.

— Cholera, a to pech. Kto go kupił?

— Nie chcieli powiedzieć.

— Może byłoby z niego więcej kłopotu niż pożytku. A tak przy okazji, ten koń świetnie się zapowiada.

— Dobrze. Czas, żeby zaczął na siebie zarabiać.

Rupert zastał Marion w pomieszczeniu na uprząż. Dziewczyna czyściła siodło. Nie podniosła wzroku, kiedy wszedł. „Wciąż obrażona” — pomyślał Rupert. Przez moment podziwiał piersi bez stanika, rysujące się pod obcisłym niebieskim T-shirtem, oraz jędrne uda w dżinsowej spódniczce zapiętej tylko tak, żeby nie opadła.

— Nie kupiłem go — odezwał się. — Już go sprzedali.

— Komu? — Marion nachyliła się nad łękiem, żeby Rupert nie zauważył jej rumieńca.

— Masters nie chciał powiedzieć.

— I dobrze. Wolę zachować obie ręce i obie nogi.

— Zwłaszcza kiedy te nogi są takie ponętne.

Dziewczyna spojrzała na niego.

— Ostatnio nie widziałam, żebyś je zauważał.

— Zawsze je zauważam.

— Jak tam Sarah? — był to strzał na oślep, ale trafiła.

Rupert nie zmienił wyrazu twarzy, ale nie mógł się oprzeć, żeby nie zażartować.

— Przypomina katedrę w Coventry, z zewnątrz oszałamiająca, ale po wejściu do środka rozczarowuje.

Marion zaczęła chichotać.

— Jesteś okropny!

Rupert podszedł do niej od tyłu i pogłaskał po karku. Dziewczyna oparła się o niego, wściekła na samą siebie za uginające się pod nią kolana.

— Rupert, kochanie! — dobiegł ich głos.

— Tutaj! — odkrzyknął Rupert, odsuwając się od Marion i odwracając do kart z jadłospisem.

Była to Helen, również ubrana na granatowo, w sukience wartej zapewne pięćdziesiąt razy więcej niż spódnica i T-shirt Marion. Helen wydawała się blada, świeżo umyte włosy spadały jej na ramiona, wokół niej unosił się subtelny zapach Miss Dior, a wysokie obcasy niebieskich butów wpadały w szczeliny podłogi.

„Zupełnie tu nie pasuje. Jak lilia na grządce kapusty” — pomyślała Marion.

— Kochanie, jak poszło?

— Już idę — odparł Rupert. — Jestem bardzo brudny, przynieś mi drinka do wanny.

Kiedy Helen weszła do łazienki, Rupert czytał „Horse and Hound”, leżąc w gorącej, aromatycznej wodzie. Uznał za dziwne, że nawet po dwóch latach w takiej sytuacji odwróciła wzrok.

— Ładna sukienka.

— Mogę ją oddać, jeśli ci się nie podoba.

— Podoba. Za minutę będziesz mogła ją zdjąć.

— Tu masz drinka — powiedziała Helen pospiesznie, z nadzieją, że go tym rozproszy.

Rupert łyknął potężny haust i wrócił do czytania komentarza Audaksa o derbach.

— Może namydlisz mi ptaka?

Helen oblała się rumieńcem.

— Billy wróci za chwilę.

— No to co? Tutaj nie wejdzie. Chodź do mnie.

Helen usiadła na toalecie i upiła mały łyczek ze swojej szklanki.

— Dlaczego pijesz wódkę? — zapytał Rupert.

Zwykle Helen pijała sherry.

— To perrier.

— Dlaczego, do licha?

— Byłam dzisiaj u doktora Bensona.

Rupert szybko uniósł wzrok.

— Jesteś chora?

— Nie. — Helen wzięła głęboki oddech. — Będę miała dziecko.

— Co takiego? — Rupert momentalnie wyskoczył z wanny jak wielki ociekający wodą wieloryb i porwał ją w ramiona, przy okazji mocząc całkowicie. — Kochanie — powiedział zdławionym głosem — jesteś pewna?

— Absolutnie. Rupercie, zmoczysz mnie.

— Boże, to fantastycznie! Niewiarygodne!

— Wspaniale, prawda?

— Musisz odpocząć. Nie wolno ci nosić ciężarów. Jesteś pewna, że dasz radę unieść tę szklankę z wodą? Od kiedy o tym wiesz? Kochanie, powinnaś była mi powiedzieć.

— Chciałam się upewnić.

— Myślałem, że bierzesz pigułkę.

— Przestałam. — nagle do oczu Helen napłynęły łzy. — Po usunięciu poprzedniej ciąży — omal nie zadławiła się tym słowem — naprawdę się bałam, że nie uda mi się zajść w kolejną. Potem w Madrycie zaczęłam mieć mdłości. — usiadła na toalecie.

— Nie mówiłaś mi. — Rupert, wciąż mokry, przysiadł obok niej, obsypując ją pocałunkami.

Helen bardzo się cieszyła z radosnej reakcji Ruperta, ale wolałaby, żeby się ubrał. Ta niekrępowana nagość wydawała się jakoś nie pasować do chwili tak wielkiej wagi.

W końcu Rupert się podniósł.

— Ojciec się ucieszy. Jak go nazwiemy? Eddie?

— Może to będzie dziewczynka.

Rupert zaczął obliczać.

— Kiedy skończy dwadzieścia cztery lata, będzie mógł wystartować na olimpiadzie w dwutysięcznym roku. — podszedł do okna w sypialni i je otworzył.

— Billy! Billy!

— Załóż coś na siebie — ponagliła Helen, owijając go ręcznikiem.

— Billyyy!

Billy wjechał na skraj trawnika, wciąż na siwku.

— Tak?

— Na miłość boską, chodź tu szybko!

— Nie po trawie! — jęknęła Helen. — Pan Higgins się wścieknie!

— Helen będzie miała dziecko!

Billy wyrzucił czapkę wysoko w górę i wjechał w ostróżki.

— Fantastycznie!

— Możesz być chrzestnym z bajki! — powiedział Rupert — i pomyśl tylko, jaka to superokazja, żeby przywieźć nianię, niech się zajmie

dzieckiem.

„Po moim trupie” — pomyślała Helen.

W tej chwili do sypialni zawędrował jeden z terierów i zwymiotował na dywan kilka źdźbeł trawy w pianie.

„Kiedy urodzi się dziecko, żaden pies nie będzie już miał wstępu do domu — powiedziała sobie Helen. — Na pewno nie wpuszczę ich do pokoju dziecinnego”.

20

FEN NIE PRZYPUSZCZAŁA, że będzie tak ciężko pracować. Jesienią Jake skończył budowę krytej ujeżdżalni, a to oznaczało, że mimo coraz krótszych dni wstawała o piątej i mogła jeszcze przez dwie godziny obrządzać konie, zanim szła do szkoły. Po powrocie biegła coś przegryźć, byle jak odrabiała lekcje i wracała do ujeżdżalni, skąd wychodziła późnym wieczorem. Często zasypiała w ławce. Wychowawczyni zadzwoniła do Tory ze skargą, tłumaczyła, że Fen nie jest głupia, tylko przemęczona i całkowicie zdemotywowana. Mamy dwudziesty wiek, dzieci już nie wysyła się do pracy. Jednak jej słowa pozostały bez echa. Tory łagodnie upomniała Jake'a i próbowała zagonić Fen do łóżka o dziesiątej, ale często kończyli dopiero o północy.

Jake był bardzo wymagającym trenerem. Fen była wysoka jak na swój wiek, więc nie miało sensu uczenie jej jazdy na kucu. Powinna trenować od razu na koniu, a ponieważ miała współzawodniczyć z dziećmi, które jeździły po arenie od siódmego roku życia, było sporo do nadrobienia.

Najtrudniejsza okazała się dla niej nauka cierpliwości. Fen chciała już tylko skakać, ale Jake upierał się, by zacząć od podstaw i rzadko się zdarzało, by pozwolił jej przejechać cały padok, nie sprawdzając, czy dobrze siedzi. Kazał jej prostować plecy i bardziej osadzać się w siodle, codziennie dawał jej lekcje jazdy na lonży, bez wodzy i strzemion. Musiała zakładać ręce za siebie i trzymać ramionami kij, żeby się prostować. Zimno ich nie zniechęcało. Czasami jeździli na dworze nawet w mróz. Konie, którym wiatr dmuchał w ogony, czasami wierzgały, a Fen, pozbawiona

wodzy i strzemion, wylatywała w powietrze i wynurzała się z krzaków biała jak bałwanek.

Codziennie wracała podrapana, z pokrwawionymi kolanami i łokciami, czując ból we wszystkich kościach. Rzadko narzekała, gdyż nade wszystko bała się perspektywy odesłania do domu.

Ogólnie była jednak zadowolona, gdyż czuła, że robi postępy. Tak jak Jake uwielbiała przytulną rodzinną atmosferę tworzoną przez Tory. Kochała dzieci, Wilka i konie, a Jake stał się jej bohaterem. Jednak najbardziej przywiązała się do Zemsty. Wszystkie wolne chwile spędzała w jego boksie, rozmawiając z nim i uspokajając konia. W jakiś sposób oboje uczyli się życia w nowym miejscu. Tak jak i Fen, Zemsta po przyjeździe czuł się przerażająco zagubiony i traktował wszystkich podejrzliwie. Stopniowo oboje odzyskiwali pewność siebie.

Zemsta nigdy nie trenował dwa razy na tym samym terenie. Wyjątkowo nerwowy, kapryśny przy jedzeniu nie znosił nieznanych boksów i każdą obcą stajnię mógłby bez trudu zdemolować. Do szaleństwa zakochał się w Afryce i chodził za nią wszędzie, ku irytacji Żeglarza. Kiedy zabierano ją na zawody bez niego, rżał długo i uporczywie. Jake szkolił go niewiarygodnie powoli, nigdy nie starając się go ujarzmić, co chwilę dawał mu odpocząć, skakał powoli, ale pewnie, żeby koń z każdym czystym skokiem nabierał pewności siebie. Nie stresował go też, skacząc na czas.

Zemsta wciąż jeszcze od czasu do czasu zaskakiwał wierzgnięciem lub gryzł Fen, jeśli akurat miał zły dzień. Jednak Fen broniła go zawsze jak lwica.

— On ma naprawdę dobre serce! — tłumaczyła. — Zawsze, kiedy kogoś zrzuci, czeka i sprawdza, czy wszystko w porządku.

Relacje między Tory i Fen układały się dobrze, choć towarzyszyły im nieuniknione napięcia. Fen pomagała w stajni, ale i w domu dokładała

bardzo dużo pracy. Była bałaganiarą, rzucała ubrania na podłogę w miejscu, w którym je zdjęła, zapominała znieść na dół pranie, godzinami suszyła w łazience włosy lub wpatrywała się w swoją twarz w zaparowanym lustrze, po czym zostawiała łazienkę brudną, a wylot wanny zapchany włosami. Wciąż chodziła zamyślona, z nosem w książce lub w magazynie o koniach, a jeśli trzeba było pozmywać naczynia, zawsze znalazła sobie coś do zrobienia w stajni. Tory próbowała nie tracić cierpliwości i znosić jej zmienne nastroje, jak również powstrzymać się od zazdrości o to, że tyle czasu spędza z Jakiem.

Fen uwielbiała Jake'a, lecz w przeciwieństwie do Tory dostrzegała jego wady. Tory godzinami przygotowywała zapiekanki i paszteciki dla Jake'a, kiedy wyjeżdżał na zawody, ale on rzadko ich tykał, gdyż był zbyt zdenerwowany. W końcu dojadała je Tanya, żeby Tory nie było przykro. Jake nigdy nie śmiał się z dowcipów Tory, rzadko na nią reagował czy odpowiadał na jej pytania. Uwagi Fen nie umknął sposób, w jaki Tory zwykle kończyła pytania — słowem „prawda?" — chcąc wymusić na nim jakąś odpowiedź, nigdy też mu się nie sprzeciwiła. Z kolei Fen kłóciła się z Jakiem zawzięcie.

Pewnego pochmurnego listopadowego dnia Fen czuła się wyjątkowo zmęczona. Wychowawczyni wyrzuciła ją z lekcji, akurat przechodziła dyrektorka i jeszcze na nią nakrzyczała. W każdej chwili dziewczyna miała dostać okres, trądzik nasilił się wyjątkowo, Fen czuła się gruba i poirytowana. Jake z kolei czepiał się wszystkiego. Następnego dnia miał jechać z Tanyą do Wiednia i Amsterdamu na dwa ważne konkursy, trzeba było wszystko spakować i przygotować. Nie było zimno, więc Tanya przywiązała Zemstę na podwórzu, by umyć jego ogon. Wokół nich unosiły się suche liście.

Tanya właśnie skończyła, a Fen, która nakarmiła już pozostałe konie, przygotowała paszę dla Zemsty, kiedy nagle przypomniała sobie, że nie dodała do niej witamin i marchwi, które miały zachęcić konia do jedzenia. Odstawiła wiadro obok drzwi boksu Żeglarza, pobiegła z powrotem do magazynku, tam zaś jej spojrzenie przyciągnął najnowszy numer „Riding", w którym znalazł się artykuł o jej bohaterze, Billym Lloydzie-Foxie. Żeglarz jednak, będący na diecie i wciąż głodny, na widok wiadra szybko otworzył drzwi. Właśnie pochłonął całą porcję Zemsty. Wchodzący Jake zastał go z zadowoleniem oblizującego się. Jake się wściekł.

— Fen! — zagrzmiał.

— Tak? — odparła nerwowo, wychodząc z magazynku z marchewką w jednej ręce i czasopismem w drugiej.

— Cholera, czy ty na minutę nie możesz się skupić? — zapytał Jake z gniewem. — Wciąż tylko marzysz o Wembley, jeździe w drużynie z Rupertem i odbieraniu nagród od królowej. Nigdy nie spełnisz tych marzeń, jeśli nie zejdziesz na ziemię!

— Przepraszam.

— I co mi z tego przyjdzie? Żeglarz właśnie wyjadł paszę Zemście. Jesteś do niczego!

Fen straciła cierpliwość.

— Nienawidzę cię! Haruję tu jak niewolnica!

Rzuciła pismo i marchew na ziemię, po czym pobiegła przez podwórko i odwiązała Zemstę. Wskoczyła na siodło i ruszyła galopem, przeskoczyła przez bramę na pole. Pokonując jedno ogrodzenie za drugim, skierowała się ku wzgórzom.

— Wracaj! — zawołał Jake. — To cenny koń!

— Mam to gdzieś! — odwrzasnęła Fen, podrywając konia, który potknął się o kamień, po czym pogalopowała dalej, aż znalazła się jakieś siedem

kilometrów od Mill House.

Mijając stos kamieni, uświadomiła sobie nagle, że się ściemniło. Nieoczekiwanie jak koc spadła na nią mgła. Fen zawróciła i pojechała po własnych śladach, aż dojechała do rozstaju. Po prawej widziała podmokły grunt, skręciła więc w lewo, pod górę. Ścieżka musi ją gdzieś doprowadzić. Wtedy zamarła z przerażenia, gdyż uświadomiła sobie, że znalazła się na skraju przepaści i o mało w nią nie spadła. Zaszlochała z przerażenia. Wiedziała, że całkowicie się zgubiła. Stopniowo, z całą jasnością dotarła do niej waga jej występku. Zemsta przecież nawet nie należał do Jake’a, tylko do pułkownika Cartera, mógł to być najlepszy koń w stajni, a ona wyprowadziła go na pustkowie w środku zimy.

— Co robić? — zawołała, obejmując ramionami szyję konia, wstrząsana dreszczami, gdyż miała na sobie tylko cienki, wilgotny od mgły sweter. — Boże, Zemsto, pomóżcie!

Przez kilka sekund koń chwytał zębami krótkie źdźbła trawy. Potem zawęszył i ruszył pewnym krokiem. Fen próbowała go kontrolować przerażona perspektywą kolejnych przepaści, ale on szedł zdecydowanie przed siebie. Dotarli do mokradeł. Fen, sztywniejąc na myśl o utonięciu na bagnach, czuła, jak jego kopyta zapadają się w wodzie i wydobywają z niej z plaśnięciem. Podskoczyła, kiedy w nogi musnęły ją trzciny. Teraz koń brnął wąskim strumieniem, szedł przed siebie, omijając kamienie, skały i starannie sprawdzając, czy przed nim nie ma rozpadliny. Fen wsunęła zmarznięte dłonie w jego jasną grzywę i przylgnęła do Zemsty, grzejąc się jego ciepłem i poddając się jego prowadzeniu. Niemożliwe, żeby znał drogę, gdyż nigdy nie znalazł się tak daleko od domu. Nie trafią z powrotem. Mgła wydawała się rzednąć. Fen widziała już drzewa poniżej. Boże, czy to ten sam stos kamieni, który mijała wcześniej? Kręcą się w kółko.

Zaszlochała rozpaczliwie, wierzchowiec zaś skręcił i zaczął ostrożnie schodzić stromym zboczem. Wydawało się to trwać w nieskończoność, w każdej chwili dziewczyna mogła spaść i potoczyć się na sam dół. Nagle mgła się uniosła i Fen zobaczyła przed sobą przyćmione światła.

Jake w Mill House szalał z niepokoju. Wyjechał na poszukiwania jednym z nowych koni, przeczesał okolicę, krzycząc, wołając Fen, ale bez rezultatu. Gęsta mgła tłumiła wszelkie dźwięki. Za każdym razem, kiedy widział samochód jadący powoli drogą, nasłuchiwał pisku hamulców i krzyków.

Wrócił do domu, lecz i tu nikt nic nie wiedział.

— Cholerna idiotka. Co jej strzeliło do głowy?

Tory wzięła głęboki oddech.

— Jake, jesteś dla niej zbyt surowy. Ona ma dopiero trzynaście lat.

— Nie ma czasu na przesądy — warknął Jake i ruszył dalej w noc.

Tory westchnęła i wróciła do domu, dochodziła dwudziesta pierwsza. Darklis płakała niewątpliwie obudzona przez Isę, też martwiącego się o Fen. Ułożyła dzieci do spania, kiedy z podwórka usłyszała głębokie rżenie Afryki. Reszta koni natychmiast pobiegła do drzwi swoich boksów i wystawiła głowy, spoglądając na piękną gwiaździstą noc. Suche liście szeleściły w podmuchach wiatru. Konie odwróciły się, by podreptać po słomie, po czym znów wróciły do drzwi i zaczęły nasłuchiwać, parskając z coraz większym ożywieniem.

Nagle Tory dosłyszała stukot kopyt. Afryka zarżała radośnie w kierunku ciemności, pozostałe konie zaczęły prychać i trącać drzwi kopytami. Zemsta nie odpowiedział rżeniem, gdyż jeszcze nie dokończył zadania. Pięć minut później wszedł na podwórko.

Tory wybiegła na dwór.

— Dzięki Bogu, wróciłaś!

Fen wybuchnęła płaczem.

— To Zemsta, to on mnie przyprowadził. Przepraszam, bardzo przepraszam!

Z magazynku wybiegła Tanya i złapała dziewczynkę spadającą z siodła.

— Mała, jesteś przemarznięta. No już, nie płacz. Jesteś bezpieczna.

— To Zemsta — wymamrotała Fen.

Zemście nie zależało na powitaniu godnym bohatera. Nie zwracając uwagi na pozostałe konie, wierzchowiec przeszedł obok, parsknięciem wyrażając swoje zdanie na temat głupich nastolatek, które gubią się w polu i przez które porządny koń spóźnia się na kolację. Pachniał mgłą, potem i zmęczeniem. Poszedł prosto do swojego boksu, jęknął przeciągle, i zaczął się tarzać, machając nogami w powietrzu.

— Gdzie jest Jake? — zapytała Fen, gorączkowo szczękając zębami.

— Pojechał cię szukać. Chodź, przygotowałam ci kąpiel.

Nawet po kąpieli było jej zimno, więc włożyła szlafrok i trzy swetry, po czym rozejrzała się po swoim pokoju. Zielona tapeta Laury Ashley w delikatny wzór kwiatów i liści, położona specjalnie dla niej przez Tory, już została zawieszona plakatami Billy’ego Lloyda-Foxe’a i Ludwiga von Schellenberga. Półki uginały się pod ciężarem książek o koniach oraz powieści sióstr Pullein-Thompson o koniach, a resztę miejsca zajmowały stłoczone porcelanowe figurki koni; ścieranie z nich kurzu zajmowało Tory naprawdę dużo czasu. Na toaletce stał jeż z ostu, którego Jake zrobił jej na urodziny. Oni są dla niej tacy dobrzy, a ona tak im odpłaciła.

Jake właściwie miałby pełne prawo odesłać ją do mamy i pułkownika. Fen wzięła do ręki swojego sfatygowanego misia Lestera, który zawdzięczał imię legendarnemu dżokejowi, Lesterowi Piggottowi, i przytuliła go do siebie. Serce w niej zamarło na dźwięk kopyt na mostku. To wracał Jake.

Będzie wściekły. Rano wstał o piątej, a potem jeszcze zginął mu najlepszy koń. Przez szczelinę w zasłonach Fen patrzyła, jak Jake zeskakuje z dużego czarnego wałacha, oddaje go Tanyi i wchodzi do boksu Zemsty. Wyprowadził konia na zewnątrz i sprawdził stan jego nóg, polecając Tory przeprowadzić go w jedną i drugą stronę.

Fen zadrżała przerażona, że koniowi coś się stało, jednak Jake krótko kiwnął głową i ruszył w kierunku domu. Dziewczyna odsunęła się od zasłony. Po chwili usłyszała jego kroki na schodach i skrzypienie desek podłogi przed pokojem. „Nie będę płakać — pomyślała rozpaczliwie. — Łzy go nudzą”.

— Bardzo przepraszam — wymamrotała.

— Chyba powinnaś — odparł Jake posępnie. — Trudno popełnić większą głupotę. Mogłaś zabić siebie i konia.

— Nie pomyślałam. — Fen zwiesiła głowę.

— Czas zacząć. Nie możemy sobie pozwolić na darmozjadów.

— Proszę, nie odsyłajcie mnie. — na jej dłoń spadła łza. Gdyby dziewczyna uniosła wzrok, zobaczyłaby, że twarz Jake’a łagodnieje.

Wiedział, że jeśli powie Fen, iż traktuje ją tak surowo tylko dlatego, że zdaje sobie sprawę z jej zdolności, wbiłby ją w pychę. Położył jej dłoń na ramieniu.

— No już dobrze, nic złego się nie stało. Zemsta jest cały i zdrów. Widocznie mu się tu podoba, w końcu przecież wrócił.

Fen uniosła zalaną łzami twarz.

— Naprawdę! Jest taki mądry! Ja się zupełnie pogubiłam, a on przyprowadził mnie do domu jak Lassie.

Zapadła chwila ciszy.

— Kiedy zaczynasz ferie?

— Osiemnastego.

— Możemy cię zwolnić dwa dni wcześniej, pojedziesz ze mną do Olympii.

Fen spojrzała na niego z niedowierzaniem. Przez moment nie mogła wydobyć z siebie głosu, potem zarzuciła Jake’owi ramiona na szyję.

— Jake, dziękuję, dziękuję! — wyszlochała. — Kocham cię!

Helen naprawdę chciała pojechać na londyńskie zawody w Olympii. Miała jeszcze kilka rzeczy do kupienia przed Bożym Narodzeniem. Po południu mogła skorzystać z okazji i obejrzeć kilka wczesnych przedstawień, wieczorami zaś pokibicować Rupertowi. Znajomi, którzy wyjechali na narty, wypożyczyli im penthouse z widokiem na Holland Park zaledwie kilka minut od hali Olympii. Helen była poruszona i nawet lekko zawstydzona radością, z jaką Rupert przyjął wiadomość, że pojadą razem. Od długiego czasu nie towarzyszyła mu na zawodach. Początkowo bardzo źle się czuła i szybko męczyła, a kiedy w lipcu na zawodach międzynarodowych fala wielbicielek Ruperta przewróciła ją i omal nie stratowała na śmierć, Helen postanowiła na razie dać sobie spokój z wyjazdami.

Przez ostatnie pięć miesięcy Rupert występował głównie za granicą. W czasie rozłąki Helen czuła się samotna i spędzała noce bezsennie, martwiąc się, czy nie poroni lub czy dziecko nie urodzi się upośledzone. Bardzo poważnie traktowała ciążę, jadła zdrową żywność, odpoczywała, z nabożną gorliwością uczestniczyła w zajęciach szkoły rodzenia i całkowicie zrezygnowała z alkoholu. Radosne spotkania po powrocie Billy’ego i Ruperta ze zwycięskich zawodów, kiedy nawet ona lekko nadużywała drinków, przeszły do historii.

Helen przygotowała się z determinacją na to, by jakoś wytrzymać nieobecność Ruperta. Tęskniła za nim, ale podświadomie szukała innych obszarów zainteresowań. Wydała fortunę na ubranka dla dziecka i

urządzenie pokoiku dziecięcego w kolorze żonkili i bieli, na piecyk, pralkę, suszarkę i małą lodówkę, które wstawiła do pokoju obok oraz leżącego za nim pokoju dla niani — wszystko ze sklepów Laury Ashley.

Podobało się jej także to, że mogła do woli oglądać w telewizji programy dla jajogłowych, słuchać muzyki klasycznej i nie musiała gotować wielkich posiłków, kiedy miała mdłości.

Potem wracał Rupert, przywożąc ze sobą nie tyle czułość, ile srebrne puchary i całe walizki brudnych ubrań. Po powrocie zawsze chciał maratonu w łóżku. Ginekolog zapewnił ją, że seks nie zaszkodzi dziecku. Rupert był jednak gwałtowny, więc Helen mimo wszystko bała się poronienia. Miała też wrażenie, że Rupert nie wspiera jej wystarczająco. Stanowczo odmówił uczestnictwa w zajęciach szkoły rodzenia i w porodzie.

— To już zbyt zalatuje Islingtonem[1], żeby w ogóle się nad tym zastanawiać — powiedział, jakby się tłumacząc. — Uczestniczyłem w porodach cieląt i źrebaków, ale niech mnie szlag, jeśli mam wyciągać z ciebie moje własne dziecko. Znalazłem ci najlepszego ginekologa w kraju, załatwiłem prywatny pokój w szpitalu Gloucester, niech oni się tym zajmą.

Kiedy zastał Helen słuchającą Beethovena i Vivaldiego, żeby zapewnić dziecku odpowiednie bodźce, skwitował to gromkim śmiechem.

— Chcesz urodzić kwartet smyczkowy?

W listopadzie i grudniu wyjechał na pełne sukcesów, ale męczące tournée do Genewy, Wiednia i Amsterdamu. Po powrocie miał tylko jedną dobę przed wyjazdem do Olympii. Mimo to znalazł jeszcze czas na seks. W Amsterdamie wygrał dodatkowo polaroid i chciał napstrykać jak najwięcej aktów Helen.

— Odkąd zaszłaś w ciążę, twoje cycki wyglądają fantastycznie.

Helen, świadoma pęczniejącego brzucha, w ogóle nie potrafiła wejść w nowy rytm życia. Nie lubiła również pozować do zdjęć zaraz po przebudzeniu i bez makijażu.

— To nie twoja twarz mnie interesuje — odparł Rupert, kładąc zdjęcia na toaletce, żeby stopniowo nabrały ostrości i koloru.

W końcu tak się podniecił, że zaciągnął ją do łóżka.

Potem, wyszedłszy z łazienki w ręczniku, Helen zastała nagiego Ruperta z uciechą wpatrującego się w jej zdjęcia.

— Na miłość boską, schowaj to. Co się stanie, jeśli znajdzie je pani Bodkin? — poprosiła.

— To jest najlepsze, zobacz.

Helen zbliżyła się nieufnie, po czym jej zakłopotanie zamieniło się we wściekłość, kiedy zobaczyła, że Rupert podziwia nie jej urodę, lecz zdjęcie odwróconego do góry nogami Borsuka szczerzącego radośnie zęby z koszyka teraz wystawionego poza sypialnię.

— Muszę to pokazać Billy’emu — stwierdził Rupert.

— Może Mavis też zrobisz zdjęcie? — warknęła Helen.

Miała absolutnie dość przeklętych psów i koni. Nie czuła się tak, jakby grała drugie skrzypce, raczej w ogóle nie należała do orkiestry.

Później Rupert i Billy spotkali się z sekretarką, panną Hawkins, nadrabiając zaległości w korespondencji i sprawdzając, czy powysyłali zgłoszenia na zawody na kolejne miesiące. Kiedy Helen zeszła na dół z praniem, znalazła swój granatowy kalendarz na kolejny rok leżący na stole w kuchni. Zapewne Rupert i Billy wpisywali daty zawodów w pierwszym półroczu. Znalazła kartkę z dniem siódmym marca, najważniejszą dla niej datą — przewidywanym dniem narodzin dziecka. Jednak ku swojej wściekłości stwierdziła, że pierwsze osiemnaście dni marca zajęły wpisy: Antwerpia, Dortmund, Mediolan połączone czerwonymi strzałkami

biegnącymi przez całe strony, co oznaczało, że Billy i Rupert nie będą wracali do Anglii między zawodami. Helen nie wierzyła własnym oczom. Ruperta nie będzie przy niej w najważniejszym dniu jego życia? Wpadła do salonu, gdzie nalewał sobie i przyjacielowi przedobiednie drinki.

— Billy, czy możesz wyjść? — powiedziała złowróżbnie spokojnym głosem. — Chcę porozmawiać z Rupertem.

— Tak, psze pana, już idę, psze pana — odparł Billy, uśmiechnął się szeroko i znikł.

— O co chodzi, do licha? — zapytał Rupert. — Nie jesteś chyba zła o zdjęcie Borsuka? Chcesz drinka?

— Wiesz, że nie piję, odkąd zaszłam w ciążę. Chciałabym się dowiedzieć, co to znaczy. — Helen rzuciła kalendarz Rupertowi. — Sprawdź marzec.

Rupert otworzył go i sprawdził wpisy.

— Tak? A, przykro mi, że wyjeżdżam na trzy tygodnie, ale to wszystko dobrze płatne konkursy, poza tym w styczniu i lutym będę często w domu.

— Nie masz pojęcia, co jeszcze ma się wydarzyć w marcu?

Rupert spojrzał na nią zdziwiony.

— Nie mam pojęcia.

— Ma się urodzić nasze dziecko!

Rupert jęknął niemile zaskoczony.

— Boże, aniołku, tak mi przykro! Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Nie martw się, jak tylko zaczniesz rodzić, wskoczę w samolot, a jeśli faktycznie uważasz, że urodzi się siódmego — zerknął do kalendarza — mogę później wylecieć do Antwerpii. Dopiero trzeciego dnia będą tam zawody o porządne nagrody.

Po raz pierwszy od ślubu Helen naprawdę się wściekła, zaczęła krzyczeć i z poczerwieniałą twarzą, z rozwianymi rudymi włosami obrzucać Ruperta

wyzwiskami.

Ten spojrzał na nią, nie rozumiejąc.

— Na pewno nie piłaś?

Helen, doprowadzona do ostateczności, zaczęła rzucać w niego, czym popadnie. Obrazek Augustusa Johna przeciął powietrze i z głośnym trzaskiem uderzył w ścianę. Helen sięgnęła do półki z książkami. *Ziemiaństwo* Burke'a niemal trafiło w cel, za nią poleciał *Przewodnik jeździecki* Ruffa, a potem u stóp Ruperta lądowały kolejno tomy *Raju utraconego* i *Piekła* Dantego oraz *Zmierzchu i upadku* Gibbona. Rupert ze śmiechem uchylał się przed pociskami, co jeszcze wzmagało wściekłość Helen. Kiedy górna półka opustoszała, rozległo się pukanie do drzwi. Weszła pani Bodkin w kapeluszu i płaszczu, drżąc z ciekawości.

— Czy coś jeszcze?

— Tak — odparła Helen. — Poproszę o dzbanek soku pomarańczowego.

Dwie minuty później pani Bodkin, sapiąc, wniosła tacę z dzbankiem i dwiema szklankami.

— Dziękuję pani. To wszystko, do jutra — powiedziała Helen, stanowczo zamykając za nią drzwi, po czym wzięła dzbanek do ręki, rzuciła nim prosto w twarz Ruperta i ze szlochem padła na kanapę.

Żadne jego słowa nie były w stanie jej uspokoić. Jeśli nie będzie go przy niej przy porodzie, to ona nie jedzie na cholerne zawody. Kiedy po południu Rupert z Billym wyjeżdżali na zawody, Helen wciąż się do niego nie odzywała. Rupert, który dotąd wierzył, że pokój pełen róż i złota bransoletka ułagodzą każdą kobietę, był lekko zaskoczony.

---

[1] Islington — dzielnica Londynu słynąca z lewicowości (przyp. tłum.).

21

ZAWODY W OLYMPII są zawsze ostatnie przed Bożym Narodzeniem i zwykle udziela im się świąteczna atmosfera końca semestru. Większość zawodników robi sobie po nich przerwę do połowy stycznia, a cały blichtr tej dyscypliny skupia się w krytej ujeżdżalni. Stewardzi zawodów i kierownik stajni na sto pięćdziesiąt boksów z coraz większym trudem panują nad podnieconymi zawodnikami, w miarę jak rosną emocje przed startem. Przez cały tydzień trwają imprezy i zawodnicy płatają sobie figle.

Jednak ani Rupert, ani Billy nie mieli nastroju do zabawy, kiedy na dzień przed zawodami wjeżdżali na parking dla przyczep z końmi. Billy martwił się, gdyż miał wrażenie, że Lavinia Greenslade przeniosła swoje uczucia na przystojnego francuskiego hrabiego, Guy de la Toura. Rupert wciąż przeżywał bunt Helen. Korki wywołane przedświątecznymi zakupami w sklepach doprowadzały ich do szału.

— Pieprzyć ten plebs! Cholerny plebs! — wołał Rupert, opierając się o klakson i trąbiąc nieustannie.

Billy wpadł w jeszcze większy dołek na widok wielkiej, bijącej w oczy niestarannie zaparkowanej niedaleko ciężarówki z ogromnym napisem „Guy de la Tour, République Française”.

— Chodźmy się napić — zaproponował.

Następnego dnia nastrój Ruperta jeszcze się pogorszył, kiedy mijając padok, zobaczyli Fen prowadzącą Zemstę.

— Ładny koń — zauważył Billy.

Chociaż przez ostatnie pół roku Zemsta dorobił się stalowych muskułów i zdecydowanie silniejszej sylwetki, wciąż można go było rozpoznać po

zygzakowatej strzałce i dwóch wysokich białych skarpetkach. Na moment obaj mężczyźni przystanęli, żeby się mu przyjrzeć.

— Nie rozpoznaję stajennej — stwierdził Billy.

— Hej, kochana! — zawołał Rupert.

Fen odwróciła się gwałtownie i oblała purpurą. Nie wierzyła, że zwracają się do niej.

— Jak się nazywa ten koń?

— Zemsta.

— Do kogo należy?

— Do Jake’a Lovella.

— Cholera, to tam trafił... — powiedział Rupert. — Ten kurdupel mnie wyprzedził. Ciekawe, od kogo się dowiedział.

„Kochany Panie Boże, proszę, niech moje pryszcze znikną, daj mi porządny biust i nie daj mi się zakochać w Rupercie Campbellu-Blacku” — modliła się Fen żarliwie.

Na początku tygodnia padok obiegła pogłoska o dwóch włoskich koniach, które uciekły i radośnie galopowały sobie po głównej drodze. Potem tematem plotek stały się romans Guy de la Toura z Lavinią i nowy koń Jake’a Lovella. Za każdym wejściem Zemsty na arenę po południu lub wieczorem zbierali się widzowie, chcąc mu się przyjrzeć. Na początku zawodów reflektory i tłumy płoszyły konia, który chodził półprzytomny i skakał pół metra nad przeszkodami, a wyglądał przy tym jak rudy pająk o włochatych nogach. Po dwóch dobach Zemsta odzyskał równowagę.

Jednak drugiego dnia koń w chwili złego nastroju wierzgnął potężnie akurat w chwili, kiedy Jake włożył stopę w strzemię. Jake upadł prosto w kupę końskiego łajna.

— Wreszcie znalazłeś swój poziom, Lovell! — zawołał kpiąco Rupert, przejeżdżając obok.

Jake odpowiedział równie obscenicznie i Fen musiała użyć całego swojego taktu, żeby go uspokoić.

— Zamoczę ci bryczesy w odplamiaczu — powiedziała. — Wszystkie plamy zejdą.

Los uwziął się też na Billy'ego. Właśnie wtedy, kiedy zależało mu na odzyskaniu Lavinii, miejscowy fryzjer obciął go zdecydowanie za krótko i wyjątkowo nietwarzowo.

— Nie przyglądałem się, co robi, bo czytałem „Playboya" — jęczał później Billy.

Co gorsza, przy kombinacji drugiego dnia zawodów Billy zbyt ostro skręcił na Byku i zmusił konia do gwałtownego hamowania. Jeździec przeleciał nad głową wierzchowca, spadł na drążek i wybił sobie dwa przednie zęby, co nie dodało mu urody. Nie miał czasu na wstawianie koronek i musiał poczekać i zrobić to po świętach.

Bez Helen przy boku Rupert zaczął oglądać się za dziewczynami. Codziennie organizowano nowe rozrywki: a to wojsko rozstawiało namioty, a to amazonki dały pokaz ujeżdżania czy szkółka jeździecka kucyków wystawiła *Królewnę Śnieżkę i siedmiu krasnoludków*. Początkowo rozbawiony biegunką, na którą cierpiał koń Śnieżki, Rupert zwrócił uwagę na piękną dziewczynę, Tiffany Bathgate, która grała Marudę. Przez cały tydzień kupował jej drinki i zagadywał. Ofiarował jej nawet w prezencie świątecznym złoty zegarek kupiony u Garrarda za sto pięćdziesiąt funtów. Dziewczyna założyła go na nadgarstek i zaczęła wyciągać rękę jak pies chorą łapę, żeby wszyscy widzieli upominek.

Przed finałami Fen padała z nóg. Ledwie miała siłę umyć głowę na wieczorną imprezę. Przez cały tydzień żywiła się gotowymi daniami, więc jej trądzik się nasilił. Marzyła, żeby zostać zawodniczką albo chociaż dostać się do elitarnej grupy dziewcząt stajennych, które znały się

nawzajem, wymieniały plotkami i miały czas na zakupy, z których wracały z ładnymi ubraniami ze sklepów Biby albo Bus Stop. Z daleka podziwiała przystojnego Guy de la Toura, który zawładnął sercem Lavinii. Dziewczyna jeszcze wypiękniała przy nowej miłości. Ścięła długie kędziory i teraz z krótkimi jak u chłopaków włosami była uosobieniem francuskiego szyku. Połowa wielbicielek zawodników, które kręciły się po terenie w bryczesach w nadziei, że ktoś weźmie je za zawodniczki, poszła za jej przykładem i również pościnała spływające na plecy włosy. Fen widziała też, że Billy naprawdę cierpi. Szkoda jej go było. Co prawda wcześniej tego wieczoru Billy nieco się rozchmurzył, kiedy razem z Rupertem wygrał sztafetę w przebraniach. Billy jechał z fajką w ustach i w prochowcu przebrany za premiera, Harolda Wilsona, Rupert zaś dreptał w butach na wysokich obcasach, czerwonej sukience i blond peruce, z pomarańczową skórką w zębach — on przebrał się za Marcię Falkender, sekretarkę Wilsona. Publiczność szalała.

Teraz wszyscy stajenni szykowali konie do ostatniego konkursu — Grand Prix radia Rentals. Fen, która musiała przygotować Żeglarza i Zemstę, nie wiedziała, w co ręce włożyć. Zewsząd dobiegały rozpaczliwe okrzyki: Dajcie mi szczotkę! Ktoś widział moją gąbkę? Boże, już nas wołają!

Mróz i ciemność na dworze, wiatr wyje ponuro... grzmiały głośniki. Orkiestra grała *Hi ho, hi ho* dla klubu kucyków. Rupert z Billym siedzieli obok siebie na trybunie zawodników, z długimi nogami opartymi o siedzenia przed sobą, obserwując Marudę.

— Czyż nie jest świetna? — zapytał Rupert z zadowoleniem. — Umówiliśmy się dzisiaj wieczorem

— Ile ma lat? — zapytał Billy.

— Szesnaście, przynajmniej tak twierdzi.

— Nie powinna grać Marudy, uśmiecha się jak kot z Cheshire — stwierdził Billy, kiedy Tiffany Bathgate przemknęła kłusem obok nich; jej kuc powiewał ogonem. — Doniosę na nią drużynowemu.

— Przyprowadzi ze sobą Gapcia. Spotkamy się w mieszkaniu. Wyobraź sobie taką potrójną randkę...

— Powinieneś się wstydzić! — powiedział ostro Billy.

— Może też wpadniesz?

— Idę na przyjęcie, muszę porozmawiać z Lavinią. Cały tydzień mnie unikała. Jej rodzicom odbiło na punkcie Guy, bo to hrabia.

— Hrabiowski wypierdek — podsumował Rupert.

— To też — przyznał Billy.

— Ciekawe, czy papa Greenslade zdaje sobie sprawę, że hrabia jest goły jak święty turecki — powiedział Rupert. — Potrzebuje pieniędzy Greenslade'ów, żeby utrzymać swoją posiadłość we Francji. Jeszcze wczoraj mi mówił, że go nie stać na „hogrzewanie pokojów", tak powiedział. Jak myślisz, czy powinienem podarować Helen na gwiazdkę setera angielskiego?

— Nie — odparł Billy.

Śnieżka ze świtą kłusem zjechała z areny. Maruda otwarcie uśmiechała się do Ruperta, a pracownicy techniczni wykańczali ustawienie przeszkód do Grand Prix. Teraz różowe kotary rozchyliły się teatralnie, wpuszczając po kolei zawodników w gryzących się z kolorem zasłon szkarłatnych płaszczach. Zawodnicy obeszli tor do dźwięków jazzowej wersji *Oh, come all ye faithful*.

Padok był miejscem bardzo niebezpiecznym; Belgowie skakali na przeszkodach, krzycząc: *Numero huit, numero sept!* do swoich stajennych i wybierając miejsce na kolację. Rupert kłócił się z zawodnikiem z Irlandii (o

przezwisku „Obojczyk” z powodu długich, pałąkowatych nóg), gdyż obaj próbowali jednocześnie przeskoczyć stacjonatę.

Fen prowadziła swoje dwa konie po obrzeżu, starając się unikać kłopotów. Żeglarz uspokajał Zemstę, który był tak urodziwy jak Żeglarz szpetny. Fen wciąż jeszcze drżała z przejęcia, bo po raz pierwszy od czasu ucieczki z domu spotkała się z matką i pułkownikiem Carterem. Jako właściciele przyjechali na zawody kibicować Zemście. Molly była wściekła na Bernarda, kiedy odkryła, że wydał pięć tysięcy funtów na konia dla Jake’a i to za jej plecami. Ponad miesiąc nie wpuszczała pułkownika do sypialni. Stopniowo jednak zaczęła doceniać korzyści płynące z faktu posiadania konia zdobywającego nagrody. W zgodnej opinii ogółu Zemsta miał duże szanse zakwalifikować się do reprezentacji olimpijskiej. Molly już planowała swoją garderobę na sierpniowe igrzyska w Kolumbii. Podobało jej się, że może siedzieć na trybunach dla zawodników i głośno rozprawiać o „swoim koniu”. Z ulgą też zauważyła, że Fen całkowicie straciła atrakcyjność.

Zawody z pewnością należały do Jake’a. Afryka, Żeglarz i Zemsta wygrały ważne konkursy. przyczepa zapełniła się srebrnymi pucharami. Żeglarz zyskiwał na popularności, gdyż widzowie oszaleli na punkcie „Starego Muła”, jak go przezwali, o cienkim ogonie i zwieszonej głowie, który po wejściu na arenę całkowicie się przeistaczał. Teraz Jake natychmiast po wyjściu z przyczepy stawał się obiektem ataków łowców autografów. Dodatkowo Fen opowiedziała mu, że w damskiej toalecie ktoś napisał na ścianie „Kocham Jake’a Lovella”, a pod spodem sporo osób dopisało „ja też”. Joanna Baltic przeprowadziła z nim wywiad dla „Chronicle”, wychwalając jego romantyczną cygańską urodę. Jake udawał niechęć, ale tak naprawdę był zachwycony i kilka razy czytał wywiad. Po zjeździe z toru udzielił nawet wywiadu Dudleyowi Diplockowi. Fakt, że

prawie nie wydobył z siebie słowa, nie miał znaczenia. Uśmiechnął się, a kiedy Jake uśmiechał się publicznie, co zdarzało się raz na pięć lat, świat topniał.

Rozległ się dzwonek i zawodnicy zeszli z toru. Z daleka dochodziły rozpaczliwe krzyki mężczyzn przy bramie, którzy usiłowali spóźnionym wcisnąć program zawodów. Halę zalewało światło reflektorów koniecznych do transmisji telewizyjnej. Wsiadając na Belgravię, Rupert wypluł gumę do żucia.

— Ja ją chcę! — zawołała nastoletnia wielbicielka, rzucając się do przodu.

Rupert wjechał na tor, a z trybun podniosła się ogłuszająca wrzawa.

„Nic na to nie poradzę. Jest zły, ale superprzystojny” — pomyślała Fen.

Rupert bez problemu zaliczył czysty przejazd i zjeżdżając, minął się z Ivorem Braine’em. Steward padoku, cierpiący na ból głowy po zbyt wielu drinkach do lunchu, sztorcował spóźnialskich.

— Idę złożyć raport do Brytyjskiej Federacji Skoków na Ruperta za to, że nazwał mnie gnojem — powiedział ponuro. — Ty też się spóźniłeś — dodał do Humpty’ego, który miał skakać następny.

— No to zejdź mi z drogi, gnojku — odparł Humpty. — Jesteś gorszym upierdliwcem niż moja żona.

Humpty również przejechał czysto.

Czekający na swoją kolejkę Billy był bliski samobójstwa. Lavinia wciąż go unikała. teraz na padoku był już hrabia Guy, skacząc przez przeszkodę treningową, udając, że nie rozumie wymówek stewarda z powodu spóźnienia.

— Ten facet to kutas — powiedział przeciągle Billy do Lavinii, jadąc w kierunku różowych zasłon.

— Powodzenia, aniołku! — odparła Lavinia, posyłając mu całusa.

Ciemnobrązowy ogier hrabiego Guy jednak nie zaprzyjaźnił się z kotarami przy wejściu, spłoszony wpadł w grupę oficjeli w prążkowanych garniturach, na moment starł im z twarzy pełne zadowolenia uśmiechy i zmusił do ucieczki. Guy obrzucił wierzchowca stekiem galijskich wyzwisk, wjechał na tor i kontynuował dzieło zniszczenia.

— A to pech, kochanie! — skwitowała Lavinia, kiedy zjeżdżał, dramatycznie wzruszając ramionami, opuściwszy wodze, obracając do nieba obie dłonie.

— Cholerny żabojad — wymamrotał Billy, mijając go w drodze na tor. Jednak był tak wytrącony z równowagi, że źle skakał i zaliczył dwanaście punktów karnych.

— Drzazga mi weszła — powiedziała Marion.

Rupert nie zwrócił na nią uwagi i poszedł do zawodników obserwujących kolejne przejazdy. Słuchając grupy niemieckich jeźdźców gawędzących za jego plecami, swoje myśli skierował ku Tiffany Bathgate, która ze swoją przysadzistą przyjaciółką w tej chwili powinna się myć (na ile to możliwe w łazienkach hali Olympii) dla niego. W mieszkaniu chłodziły się dwie butelki szampana. Może po wejściu zaproponuje im porządną kąpiel; ciekawe, do czego to może doprowadzić.

Po chwili zapomniał o dziewczynach, gdyż na tor wjechał Jake na Zemście. Przejechał nierówno, ale naprawdę imponująco. Zemsta między przeszkodami trochę marudził, ale skacząc, faktycznie podwijał pod siebie nogi.

— Chcę tego konia — powiedział Rupert ponuro. — Ma wszystko, co lubię, mózg, temperament i urodę.

Nagle uświadomił sobie, że siedząca po jego prawej stronie kobieta krzyczy.

— Pamiętasz mnie? — zwróciła się bezpośrednio do niego.

— Nigdy nie zapominam takiej twarzy, ale jestem beznadziejny, jeśli chodzi o zapamiętywanie imion — odparł gładko Rupert. Była to jego standardowa odzywka.

— Jestem Molly Carter, przedtem Maxwell. Moja córka, Tory, wchodziła w towarzystwo w 1970. Ty byłeś wtedy najgorętszą partią, uwielbiały cię dziewczyny, ale ich matki również.

— Tory. Oczywiście, że pamiętam. Bardzo nieśmiała, każdego mężczyznę traktowała tak, jakby miał ją za chwilę ukamienować.

— Wiesz, wyszła za Jake’a Lovella. Początkowo było to dużym zaskoczeniem, ale on naprawdę świetnie sobie poradził.

— Z pomocą pieniędzy Tory, rzecz jasna — stwierdził Rupert.

— Och, oczywiście. Bez niej nigdy by mu się nie udało — Molly roześmiała się krótko — ostatnio zaś pomaga mu mój mąż.

— Naprawdę? — zainteresował się Rupert, którego mózg nagle ruszył z kopyta.

— Zemsta to nasz koń.

Rupert nawet drgnięciem mięśnia nie zdradził zainteresowania.

— Wasz koń?

— W czerwcu Jake nie miał pieniędzy, a bardzo mu zależało, żeby szybko kupić Zemstę, bo szykował się na niego ktoś inny. Bernard wyłożył pieniądze. Wtedy byłam wściekła, ale jak widać, inwestycja się opłaciła. Wygrał już dwa razy tyle, ile kosztował. Chociaż Jake naprawdę bywa irytujący.

— Tak?

Pod spojrzeniem niebieskich oczu Ruperta Molly zaczęła zdradzać więcej, niż powinna.

— Mógłby wygrywać znacznie częściej, ale Jake wciąż go oszczędza, bo nie chce go naciskać. Uważa, że jeszcze nie powinien skakać na czas.

— Bzdura — orzekł Rupert. — Tak dobrego konia jak ten trzeba zmuszać do wysiłku.

— Naprawdę? — odparła Molly. — O, przyjechała księżniczka. Jaka piękna suknia!

Wszyscy wstali, jak zwykle hałasując podnoszonymi siedzeniami. Orkiestra zagrała hymn, po czym nastąpiły przejazdy. Tylko Ludwig i Jake na Żeglarzu nie mieli zrzutek.

— W marcu Helen rodzi — powiedział Rupert, podnosząc się. — Nieczęsto wychodzimy, ale musimy się jakoś umówić na kolację.

— Byłoby wspaniale — odparła Molly i podała mu swój numer telefonu. — W środy rano Bernard jeździ zwykle do Londynu na spotkanie ze swoimi maklerami, ale ja zawsze jestem w domu.

— Zapamiętam — odparł Rupert znaczącym tonem.

Molly uśmiechnęła się do siebie, kiedy Rupert ruszył schodami w dół. Zawsze uważała go za wyjątkowo atrakcyjnego. Miło, że nie straciła zdolności postępowania z mężczyznami.

Do finału przeszło sześciu zawodników. Jake spojrzał na tor. jak na krytą halę o ograniczonej powierzchni był ogromny, kończył się przeszkodą o wysokości metr siedemdziesiąt dwa.

— Nie biorę Zemsty — powiadomił pułkownika Cartera.

— Nie bądź głupi. To gra o cztery tysiące funtów.

— Nie obchodzi mnie to, dla niedoświadczonego konia to za dużo. Zemsta pięknie pojechał w poprzedniej kolejce, to mu wystarczy.

Pułkownik spojrzał na niego wzrokiem pełnym wściekłości.

— Nie dowiesz się, na co go stać, dopóki nie spróbujesz.

— Ma za sobą ciężki tydzień.

Na twarzy Molly pojawił się grymas.

— Jake, bardzo głupio postępujesz. Właśnie rozmawiałam z Rupertem Campbellem-Blackiem, Bernardzie, powiedział mi, że na pewno pojechałby na Zemście na czas.

— Dodatkowy powód, żebym tego nie robił — warknął Jake.

— Racja — dodała z irytacją Fen. — To młody koń, jeśli straci pewność siebie, powrót do formy zajmie mu kilka miesięcy.

— Fenello, naprawdę — zgromiła ją Molly — nikt nie pyta cię o zdanie.

Minął ich Rupert w drodze na padok.

„Co za kretyn” — pomyślał, słysząc ich kłótnię.

— Ten cholerny krasnal — szepnęła Molly do Ruperta — za nic nie chce pojechać na Zemście.

Rupert wzruszył ramionami.

— Ja wyraziłem swoje zdanie.

— I tak będę szósty — odparł Jake. — Wygramy pięćset funtów. Powiedziałem, że będę go trenował na mój sposób, musicie to przełknąć.

Rupert zdenerwował wszystkich, ustanawiając praktycznie niemożliwy do pobicia wynik 29,3 sekundy.

Nikt nie zdołał go przebić. Ludwig miał czas o sekundę gorszy, Lavinia zrzuciła drążek, Humpty ani Hans Schmidt również nie dali rady przejechać szybciej.

— Cztery tysiączki mamy już prawie w garści — powiedział Rupert do Billy’ego. — Może nawet zabiorę dziewczyny do Annabeli.

Jake poczuł mdłości. Mierząc wzrokiem sześć przeszkód, zastanawiał się, jak, do licha, ma pobić wynik Ruperta. Ruszył. Przed drążkami z surowego drewna, do których wszyscy inni zawodnicy podjeżdżali od strony muru, on skręcił z drugiej strony i przeskoczył je pod kątem. Widzowie zaczęli krzyczeć, gdyż nagle zdali sobie sprawę, że Jake ma szansę na dobry przejazd — i okrzykami zagrzewali go do samej mety. Za

ostatnią przeszkodą Jake popatrzył na zegar — udało mu się! O jedną piątą sekundy szybciej niż Rupert. Uściskał Żeglarza, który wierzgnął potężnie trzy razy, o mało nie zrzucając jeźdźca. Widownia oszalała.

— Świetna robota, przyjacielu — powiedział Ludwig, klepiąc Jake'a po plecach.

Była to największa wygrana. Oprócz Ruperta, Molly i pułkownika Cartera znajomi podbiegli z gratulacjami.

Arena przypominała teraz plażę po upalnym dniu wolnym od pracy podeptaną kopytami. Kilka kobiet w futrach i sukniach balowych z rozetkami i wielkim srebrnym pucharem wyszło na tor, omijając kupki nawozu. Na ich spotkanie wyjechali zwycięzcy. Jake dosiadał Żeglarza i prowadził Zemstę. Księżniczka uśmiechnęła się do niego i zagadnęła. Powiedziała, że śledzi karierę Żeglarza, niestety, nie ma przy sobie miętusów, ale Zemsta też doskonale pojechał, prawda? Jake poczuł falę szczęścia.

Na padoku panował już nastrój przedświąteczny. Dwa kucyki walijskie zaprzęgano do sań, na które mężczyzna w czerwonym ubraniu ładował choinki. Dawna wielbicielka Helen, Monica Carlton, w trójgraniastym kapeluszu i surducie przyklejała sobie sztuczne wąsy.

Orkiestra zagrała *Wszystkie ładne dziewczyny kochają żeglarzy*, a Żeglarz w świetle reflektorów ruszył w rundę honorową, dumny jak lokaj prezentujący srebra rodowe. Jake celowo jechał powoli, wiedząc, że Rupertowi trudno będzie powstrzymać Belgravię.

— Na litość boską, rusz się — warknął Rupert, wpadając na niego.

„Pięknie. Jake dostaje cztery tysiące plus dwieście pięćdziesiąt, a ja ledwie dwieście pięćdziesiąt" — myślał ponuro pułkownik.

Przy zjeździe z areny Rupert zerknął na zegarek. Za pół godziny Tiffany Bathgate będzie w mieszkaniu, powinien się pospieszyć. Potem obrzucił

wzrokiem padok i poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach. Przez tłum przeciskała się w jego kierunku bardzo blada, ale przepiękna, w futrze kryjącym ciążę — Helen. Jak zwykle przy niej wszystkie inne kobiety wydawały się pospolite. Rupert natychmiast zeskoczył z Belgravii, podał wodze Marion i objął Helen.

— Kochanie, tak cię przepraszam. To wszystko moja wina — powiedziała Helen.

— Nie, to przeze mnie — odparł Rupert, przytulając ją do siebie, jednocześnie zastanawiając się, co zrobić.

Spojrzał w dół — od futra z lisa odbijały się rude włosy i wielkie oczy wypełnione łzami.

— Tak za tobą tęskniłam! — powiedziała Helen. — Już byłam gotowa jechać od razu do mieszkania i zrobić ci tam niespodziankę.

Rupertowi zrobiło się słabo. To by dopiero było powitanie dla Tiffany Bathgate i Gapcia.

— Na co masz ochotę? — zapytał, zmuszając swój talent organizacyjny do dodatkowego wysiłku. — Zaraz będzie zabawa, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona, a potem możemy iść na kolację.

Musi za wszelką cenę utrzymać Helen z dala od mieszkania, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

— Jestem trochę zmęczona, ale nie chcę psuć wam zabawy.

— Skoczę tylko zapytać Billy’ego o jego plany — powiedział Rupert. — Muszę porozmawiać z Malise’em. O, są Humpty i Ivor. Zaraz wracam!

— Cześć, nieznajoma — powitał ją Humpty, całując w policzek.

Kiedy wszyscy zebrali się wokół, by ją powitać, Helen uświadomiła sobie, jacy są dla niej mili i jak źle postąpiła, uznając ich za pochłonięte obsesją nieczułe potwory.

Rupert podszedł do Billy’ego, który właśnie przyniósł sobie z baru potrójną whisky.

— Helen przyjechała.

— Widziałem. Nieźle się władowałeś. Nie wiem, skąd ta zadowolona mina.

— Kocham moją żonę — powiedział Rupert głosem bez wyrazu. — Słuchaj, musisz iść do mieszkania i poczekać na te dziewczynki, zabaw je jakoś. Zabierz je na kolację, wyjaśnij, że przyjechała Helen.

— Dlaczego ja mam to robić, do jasnej? Muszę porozmawiać z Lavinią.

— Impreza potrwa kilka godzin, po kilku drinkach Lavinia chętniej cię wysłucha. Słuchaj, ja płacę, ale obiecałem Tiffany wyjście na miasto i powrót do mieszkania. Bądź kumplem, zapewnij im rozrywkę, powiedz Tiffany, żeby się zdobyła na cierpliwość do następnego razu.

Billy nie wyglądał na przekonanego.

— Chyba nie chcesz zrujnować mojego małżeństwa! — poprosił Rupert. — Nie można denerwować Helen w tym stanie. Nie wolno narażać jej na stres, to może zaszkodzić dziecku.

Billy westchnął.

— No dobrze. Zajmę się nimi i odwiozę do hotelu czy gdzie się tam zatrzymały, a potem wrócę na zabawę.

W drzwiach mieszkania Billy o mało nie padł powalony zapachem ciepłych ciał, świeżo umytych włosów i pełnej oczekiwania bujnej młodości. Obie dziewczyny były bardzo rozczarowane, ale też zdecydowanie nie osiągnęły jeszcze wieku, w którym seks z nimi nie pociągałby konsekwencji prawnych. Tiffany zresztą wygadała się później, przyznając, że za dwa lata będzie zdawała maturę. W końcu Billy miał zbyt miękkie serce, by je po prostu odwieźć, więc zaprosił dziewczyny na wystawną kolację z

mnóstwem szampana, który w większości wypił sam, a kiedy zauważył, że Tiffany zerka na złoty zegarek, powiedział:

— To nie była wymówka, szczerze. Naprawdę przyjechała Helen.

— Dasz mu mój numer telefonu, dobrze? — poprosiła dziewczyna.

W stajniach Olympii pogaszono już światła, a konie drzemały w swoich boksach. Jakiś pijany uczestnik zabawy o zapędach egalitarnych biegał między nimi, wyciągając siano z siatki Belgravii i rozdając koniom, które go nie miały.

Impreza wkrótce się rozkręciła. Tym razem gospodarzem był Humpty, do którego przyczepy przyszli goście z butelkami. Jak było do przewidzenia, Driffield przyniósł odświeżacz do powietrza.

— Pomyślałem, że ci się przyda, Humpty — powiedział, nalewając sobie whisky. — Śmierdzi tu jak pod pachą zapaśnika.

Litry alkoholu nasiliły chęć do żartów. Za swoje napuszone zachowanie w trakcie zawodów steward padoku został wrzucony do koryta z wodą. Później ładna kelnerka z baru Olympii, podpuszczona przez członków drużyny brytyjskiej i niemieckiej, poprosiła Humpty’ego o pokazanie jej Porky Boya. Słyszała, że koń lubi cukierki Maltesers i specjalnie dla niego je kupiła. Zadowolony, że może się pochwalić swoim pupilem, zarumieniony Humpty zaprowadził ją do boksu Porky Boya, za nim zaś w bezpiecznej odległości szli pozostali. Pierwsza do boksu zajrzała kelnerka.

— Ojej — powiedziała, odwracając się do Humpty’ego — Porky Boy chyba się skurczył.

Humpty skoczył do przodu, gotów do obrony swojego ukochanego wierzchowca — i ku swojemu przerażeniu odkrył, że w boksie Porky Boya, beznamiętnie pożerając jego siano, stoi jeden z szarych szetlandzkich kucyków, które ciągnęły powóz ślubny Śnieżki. Na moment zabrakło mu słów.

— No proszę — stwierdził Rupert, zaglądając przez górną część drzwi — biedny stary Porky. Nie wyprałeś go przypadkiem w pralce? A na metce była wyraźna informacja „prać ręcznie”...

— Pszyjacielu, przeszadziłeś z dietą — dodał Ludwig. — No i koń ci zbiedniał.

— A może Połky stosuje ten kłem Pondsa, po któłym znikają płyszcze — podsunęła Lavinia.

Rozległ się gromki śmiech.

Humpty napęczniał z wściekłości.

— Kto ukradł Porky Boya?! — wrzasnął. — Ktoś mi ukradł konia! Nie śmiejcie się, zaraz dzwonię na policję!

Już wykręcał numer 999 z najbliższej budki, kiedy zza ściany więdnących gwiazd betlejemskich wynurzył się Porky Boy, bardzo niezadowolony z tego, że przepadła mu kolacja i pospieszył prosto do swojego pana, przewracając stół i wzbudzając irytację pań z Brytyjskiego Stowarzyszenia Sportów Konnych, które pakowały do pudeł gumowe zielone spodnie.

Humpty wskoczył na Porky Boya i zaczął gonić Ruperta, Ludwiga i Hansa wokół stoisk, a potem po arenie. Ivor Braine radośnie pił na umór z Obojczykiem, słomianowłosym zawodnikiem z Irlandii.

— Poderwij sobie kogoś, chłopcze, dobrze ci to zrobi — mówił Ivor, dolewając Irlandczykowi do kieliszka.

Dudley Diplock narzekał Malise’owi, że telewizja już nie transmituje uroczystości rozdania nagród.

— A tego przecież chcą widzowie — powiedział.

Malise jednak go nie słuchał. Spoglądał na Helen Campbell-Black przypartą do stosu bel z sianem przez Monicę Carlton, która wciąż miała na sobie wąsy i trójgraniasty kapelusz.

— Przepraszam — powiedział i ruszył na ratunek Helen.

— Odwal się, Malise — powitała go Monica. — Rzadko mam okazję porozmawiać z tą piękną istotą.

— Ja też — odparł Malise. Zauważył, że Helen źle wygląda, zapewne to zmęczenie ostatnich tygodni ciąży.

Na szczęście Monica zajęła się ładną kelnerką.

— Wszystko dobrze? — zapytał Malise, lekko zniżając głos.

— Świetnie — odparła Helen pogodnie.

— Obejmuję ojcowską troską także żony moich zawodników — wyjaśnił głosem aż nienaturalnie serdecznym, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

— Chciałabym, żeby Rupert po ojcowsku troszczył się o nasze dziecko — powiedziała Helen gorzko.

— Zapewne to zazdrość — wyjaśnił Malise — i obawa. Widzi zbliżające się wyzwanie dla jego tożsamości i zmianę w życiu osobistym. Czułem się tak samo, ale jak dzieci się już urodziły, zakochałem się w nich.

— Mam nadzieję, że w jego przypadku też się tak stanie — westchnęła Helen.

Przyglądali się wspólnie, jak Lavinia pod rękę z hrabią de la Tourem zmierzają w ich stronę, mijając ludzi.

— Podoba mi się nowy baronet Lavinii — stwierdziła Monica Carlton, ruszając wąsem. — Ale szkoda, że zdecydowała się na tego żabojada.

— Nie wiedziałam — odparła zaskoczona Helen. — To coś poważnego?

— Chyba tak — powiedział Malise.

— Biedny Billy — zmartwiła się Helen. — Lavinia chyba by do niego nie pasowała, chociaż pewnie żadna dziewczyna nie jest wystarczająco wyjątkowa dla Billy’ego.

— Może dzięki temu chłopak się wybije — powiedział Malise. — Na razie jest zbyt miękki, żyje pod kloszem chroniony przez twojego męża, poza tym za dużo pije.

— Już wychodzimy — zwróciła się Lavinia do Helen i dodała czule: — Guy nie lubi tutejszych przyjęć, gdyż nie może łozmawiać po flancusku. Chciałam go tylko przedstawić.

— *Ach, la belle Hélène* — odezwał się cicho hrabia, ujął rękę Helen, uniósł ją do ust, a następnie spojrzał dziewczynie w oczy. — Słyszałem o twojej urodzie, ale nikt nie oddał ci sprawiedliwości. Teraz rozumiem, dlaczego Rupert cię ukrywał.

— Kiedy masz tełmin? — zapytała Lavinia dość znacząco.

Helen odpowiedziała, Guy zaś, któremu, jak widać, w ogóle nie przeszkadzała konieczność mówienia po angielsku, zaczął się zachwycać jej nadal szczupłą sylwetką, a potem wygłosił długi wykład o tym, jak powinna się odżywiać i opowiedział o swojej ciotce Hortensji, która właśnie urodziła szóste dziecko, po czym zakończył zaproszeniem do zamku, jeśli będzie w Paryżu przy okazji najbliższych zawodów.

— Muszę zamienić słowo z Jakiem Lovellem — przeprosił Malise.

— Myślałam, że chcesz *aller*, Guy — odezwała się Lavinia rozdrażnionym tonem. — Bierzemy ślub — zwróciła się do Helen.

— Och, bardzo się cieszę.

— Chodź, kochanie. — Lavinia pociągnęła za sobą opierającego się Guy.

Helen też chętnie by sobie poszła, czuła się wykończona.

Stojący niedaleko Obojczyk próbował sprzedać Humpty’emu irlandzkiego konia.

— Ale po kim on jest? — dopytywał Humpty.

— Ach — odparł Obojczyk z czarującym uśmiechem — a kogo byś sobie życzył jako jego rodziców?

Malise znalazł Jake’a w kącie rozmawiającego z Hansem i Ludwigiem. Obok nich na beli siana spała Fen.

— Masz świetnego konia, Jake — powiedział Malise.

— Którego? — zapytał Hans Schmidt. — Oba szą szuperdobre.

— Zemstę — uściślił Malise. — Chyba powinieneś zacząć go szykować na olimpiadę.

— Za mało jeszcze biegał — odparł Jake bez ogródek.

— Ja tak nie sądzę. Widziałem, kiedy rzucał Annie Buscott po całym parkurze, poprawa jest niewiarygodna.

Jake lekko się zaróżowił.

— Igrzyska będą dopiero we wrześniu — dodał Malise.

— A Żeglarz?

— To świetny koń na Puchar Narodów, ale nie wiem, czy ma posturę olimpijską. Nie, nie obrażaj się. Wiem, jak go lubisz, ale on ma krótszy oddech i na dużej wysokości, jak w Kolumbii, nie będzie się czuł dobrze. Afryka to świetny wierzchowiec, ale widzę, że coraz bardziej lubi łatwiejsze trasy. Dopiero dzisiaj wieczorem dowiedziałem się, że Zemsta należy do twojego teścia.

— Kto to wypowiada imię mojego konia nadaremno! — wtrącił pułkownik Carter, który podsłuchiwał rozmowę. — Myślisz, że naprawdę ma zadatki na konia olimpijskiego?

— Na pewno bym tego nie wykluczył.

— Co z nim teraz zrobisz? — zwrócił się pułkownik do Jake’a. Po takiej ilości alkoholu zaczynał się robić zaczepny.

— Dam mu ze dwa miesiące odpoczynku, potrzebuje przerwy.

— Nie dawaj mu odpoczywać zbyt długo — ostrzegł Malise. — Musi nabierać doświadczenia. Ale gratuluję ci, Jake, Zemsta przynosi ci chlubę.

Tak jak ona — spojrzał na śpiącą Fen. — Obserwowałem ją na padoku. Mieszka teraz u was, prawda?

Jake pokiwał głową.

— Za kilka lat sama zacznie skakać — powiedział Malise.

Jake sprawdził, czy Fen na pewno śpi.

— Dobrze jej idzie — powiedział.

Impreza w najlepsze trwała dalej. Obojczyk z Ivorem śpiewali *Danny Boy*, kiedy o drugiej w nocy Billy wreszcie wrócił. Rupert od razu odciągnął go na bok.

— Wszystko dobrze?

— W porządku — odparł Billy. — Odwiozłem je bezpiecznie do domu, możesz wracać. — drżącą dłonią nalał sobie resztkę whisky.

— Jak tam mała Tiffany? — zapytał Rupert.

— Zmartwiła się, ale nie tak bardzo jak ja. Właśnie widziałem Lavinię na ulicy z Guy de la Tourem. Całowali się. Widzę, że naprawdę zawrócił jej w głowie.

— Tobie też zaraz zawróci, jeśli nie przestaniesz pić. My z Helen wracamy, chodź z nami.

— Czy Lavinia coś mówiła? — zapytał Billy.

Rupert spojrzał mu prosto w oczy.

— Tak. Niestety, powiedziała, że bierze ślub z Guy. Słuchaj, przykro mi, ale stać cię na kogoś lepszego.

Wychodząc, Billy wpadł na Malise’a. Na widok jego miny Malise powiedział:

— Może wejdziesz do mnie na kawę?

— To bardzo miłe, ale wolę być sam.

— Na pewno? Dokąd idziesz?

— Nie wiem. Trochę mną wstrząsnęło. Chciałem się jej oświadczyć, a tu nagle wyskoczył ten Guy.

Billy był mocno pijany, ale pomimo okropnej fryzury i wybitych przednich zębów zdołał zachować aurę urażonej godności. Z kieszeni płaszcza wypadały mu banknoty dziesięciofuntowe. Malise zebrał je z podłogi.

— Wygrana za maskaradę — wyjaśnił Billy.

— Przechowam je — obiecał Malise. — Chodź. Gdzie mieszkasz?

— W Addison Gardens, z Rupertem.

Mijając męską toaletę, dosłyszeli, jak Ivor nadzoruje wymiotującego Obojczyka.

— No już, zrzucaj to, zrzucaj. Wszystko dobrze, dopóki idzie we właściwą stronę.

— Odprowadzę cię — zaofiarował się Malise.

— Przepraszam, ale chcę zostać sam — odparł Billy.

— Dobrze — odparł Malise. — Słuchaj, Billy. Lavinia to sympatyczna dziewczyna, nie wydaje mi się, żeby jej związek z Guy przetrwał długo, jeśli to cię pocieszy. Ale naprawdę zasługujesz na kogoś lepszego. Jak powiedziała Helen, jesteś wyjątkowy.

Billy pokręcił głową.

— Kochałem ją, ale jej rodzice byliby zapewne okropnymi teściami. Dobranoc.

Na zewnątrz panował przenikliwy chłód. Lodowaty wiatr zakręcił kartkami z programem, torebkami po chipsach, numerami i tasiemkami oraz długimi źdźbłami słomy, rzucając mu je pod nogi.

— *W ponury zimowy wieczór*... — zaśpiewał Billy — *jęczy zimny wiatr*...

Głos mu się załamał, a po policzkach pociekły łzy i Billy chwiejnym krokiem ruszył w kierunku Addison Gardens.

22

PO POWROCIE DO MILL HOUSE, zgodnie z przyrzeczeniem, Jake dał koniom odpocząć. Cieszył się, że wyraźnie smakuje im karma, nawet Zemsta się zaokrąglił i zaczął przypominać emeryta, którego zabiera się już tylko na polowania. W lutym ogłoszono program dla starających się o kwalifikacje do drużyny olimpijskiej. Zawodnikom nie wolno nadwerężać koni, w czerwcu mają wziąć udział w kwalifikacjach w Bath, Well i Crittleden. Po tych konkursach zostaną wybrani kandydaci, którzy w lipcu będą poddani próbom na wielkich, trudnych przeszkodach w niemieckim konkursie w Aachen. Po nim wybranych zostanie czterech zawodników reprezentacji olimpijskiej i jeden rezerwowy.

Jake’owi oficjalnie przekazano, że Komitet Olimpijski interesuje się zarówno Żeglarzem, jak i Zemstą. Nieoficjalnie Malise zadzwonił do Jake’a z pytaniem, czy byłby w stanie wypożyczyć Zemstę Rupertowi, a skakać na Żeglarzu, gdyby któryś z innych zawodników, na przykład Rupert, zakwalifikował się do reprezentacji bez przyzwoitego konia. Jake odpowiedział krótko i przecząco. Jeśli Zemsta poczyni postępy na tyle, by zakwalifikować się na igrzyska, nikt inny na nim nie pojedzie, a już na pewno nie Rupert. Malise rozumiał jego odczucia i przekazał odpowiedź Komitetowi Olimpijskiemu, którego członkowie odnieśli inne wrażenie. Pułkownik Roxborough, przewodniczący komitetu, mistrz z Westerham, brązowy medalista sprzed wojny, który nie kiwnąwszy palcem, zdobył pięć żon, nie był jedynym, który uznał zachowanie Jake’a za wyjątkowo niesportowe. W końcu Belgravia i Mayfair, zmęczone po licznych zawodach, nie były już tak sprawne jak kiedyś, a Macaulay po doskonałym

początku nagle stracił formę. Z drugiej strony Komitet Olimpijski nabrał otuchy, gdyż Billy Lloyd-Foxe wreszcie osiągnął szczytową formę. W swoich staraniach, by zapomnieć o Lavinii, Billy unikał imprez, na których mógł ją spotkać, ograniczył również picie alkoholu, skupił się na koniach, co przyniosło bardzo wyraźne zmiany w jego wynikach. Byk, a często Kitchener, wracały z wygranymi z każdych zawodów, na których występowały. Oba konie typowano do udziału w olimpiadzie.

Pozostałymi kandydatami byli Humpty, Driffield, Ivor Braine i Lavinia de la Tour, która w marcu wyszła za Guy. Billy zdołał na czas ślubu wyjechać za granicę, jednak w prezencie przesłał im podwójną kołdrę, dodając krótki osobisty liścik do Lavinii: „Skoro nie mogę spędzić reszty życia, leżąc na tobie, niech przynajmniej dokona tego mój prezent”.

Świeżo upieczona żona, usiłując podołać olbrzymim wymaganiom Guy, straciła formę. Billy cierpiał, widząc ją z nim na torze, ale stwierdził, że serce nie boli go tak bardzo, jeśli wygrywa z nimi na zawodach.

W marcu, kiedy Rupert jechał samochodem z Dortmundu do Wiednia, Helen zaczęła rodzić. Jego ciężarówka utknęła na ośnieżonej górskiej drodze i przez trzydzieści sześć godzin nie było z nim żadnego kontaktu. Przyleciawszy prosto do Gloucestershire, dowiedział się, że Helen omal nie umarła w trakcie długiego i bardzo ciężkiego porodu, a dziecko znajduje się na oddziale intensywnej terapii. Na widok jej twarzy bledszej od poduszki, rudych włosów pociemniałych od potu Rupert poczuł przytłaczające poczucie winy. Jak mógł jej to zrobić!

— Jak widać, niania miała trochę racji, kiedy zwracała uwagę na biodra dobre do porodu — powiedział, biorąc Helen za rękę.

Helen nie zganiła go nawet jednym słowem, lecz w jej wielkich oczach Rupert zobaczył żal. Wiedział, że jego nieobecność zostanie później wykorzystana przeciwko niemu. Kiedy siedział przy niej w jednoosobowej

sali, wchodzili lekarze, by zamienić z nim kilka słów, zaglądały pielęgniarki, by rzucić na niego okiem. Siostra opiekująca się Helen była bardzo ładna, jednak po trzech godzinach Rupert ziewał z nudów i w końcu włączył telewizor. Akurat leciał Benny Hill, który zawsze go bawił, jednak kiedy spojrzawszy na Helen, zobaczył, że płacze, wyłączył odbiornik. Cieszył się bardzo, że ma syna, zwłaszcza kiedy jego wymowny i drogi lekarz rodzinny, doktor Benson, zapewnił go, że zarówno dziecko, jak i matka powinni wrócić do zdrowia.

— Jednak według mnie naprawdę powinieneś trochę z nią zostać, Rupe. Przeszła bardzo ciężkie chwile, cały czas cię wołała.

— Doceniam dobrą radę — odparł chłodno Rupert.

— Chyba stać cię na coś więcej — odpowiedział Benson równie chłodno. — Lepiej idź za tą radą, chyba że chcesz stracić Helen.

Rupert zadzwonił do Billy'ego, powiadomił go, że nie przyjedzie do Wiednia i poprosił przyjaciela o przywiezienie koni.

— Jak wygląda mały? — zapytał Billy.

— Ma rude włosy, więc wiadomo, że to dziecko Helen.

Potem Rupert zasiadł do korespondencji, zgłaszając Marcusa Ruperta Edwarda do St. Augustine's i Harrow. Kiedy spoglądał na maleństwo o twarzy koloru wysuszonej cytryny z brązoworudym meszkiem na głowie, trudno mu było uwierzyć, że kiedykolwiek dorośnie na tyle, by pójść do tych szkół.

Wieczorem Rupert pojechał do Penscombe i przespał czternaście godzin, potem jednak skrupulatnie codziennie odwiedzał Helen. Ona była aż żałośnie wdzięczna za jego troskę, lecz martwiła się, gdyż nie mogła karmić dziecka piersią.

— A jakie to ma znaczenie, do cholery? — zapytał Rupert. — Jak myślisz, na czym właściciele Cow and Gate dorobili się milionów?

Myślałem, że chcesz odzyskać figurę.

Jeszcze bardziej irytowała go przyjaźń, jaką Helen zawarła z inną matką — Hilary Stirling. Trzydziestokilkuletnia Hilary starannie ukrywała swoją niezaprzeczalną urodę, nie stosując makijażu i związując ciemne włosy w kok. Entuzjastyczna zwolenniczka ruchu feministycznego, wegetarianka nieużywająca dezodorantu, z nieogolonymi nogami i pachami, niedawno siłami natury urodziła swoje drugie dziecko, Kate, nazwane tak po Kate Millett. Jak opowiadała Helen, naturalny poród to niesamowicie poruszające przeżycie.

Mąż Hilary, Crispin, który najwyraźniej zajmował się domem — gotował, sprzątał i opiekował się Germaine, starszym dzieckiem — był obecny przy porodzie. Poważny, z długimi rzednącymi włosami i rozwichrzoną brodą, odwiedzał Hilary z Germaine w nosidełku na jego szyi, która miała jedenaście miesięcy. Helen uznała go za wyjątkowo nieatrakcyjnego, ale w przeciwieństwie do Ruperta Crispin troszczył się o żonę i wspierał ją.

Rupert odnosił wrażenie, że przy każdej wizycie u Helen, kiedy przywoził jej szampana, jajka mew, wędzonego łososia i bukiety wiosennych kwiatów z ogrodu, Hilary siedziała na łóżku Helen, karmiąc piersią swoje obrzydliwe dziecko i ukazując owłosienie pod pachami.

Trzeba przyznać, odnosiła się do niego wyjątkowo uprzejmie.

— Jakie to miłe ze strony Helen, że pozwala mi schronić się u siebie w sali, chociaż nam nawet nie śniłoby się korzystanie z prywatnej służby zdrowia.

I od razu, mimo protestów Helen, wychodziła z pokoju.

— Zostawię was, kochana. I tak rzadko masz Ruperta dla siebie. Wrócę, jak pojedzie. — Każde jednak słowo niemal wypluwała z pogardą.

Helen uważała Hilary za wspaniałą osobę.

— Ma talent plastyczny, spójrz tylko na ten szkic. Dzisiaj rano mnie narysowała.

— Wyglądasz, jakbyś obierała cebulę.

— Och, Rupercie, nie wygłupiaj się. Jest też wykształcona, ma kilka stopni naukowych.

— Ze wszystkich mniej niż zero — warknął Rupert.

Pomiędzy wizytami u Helen nie próżnował. Trenował nowe konie i nadal szukał konia na olimpiadę, co pociągnęło za sobą kolację z pułkownikiem Carterm, a nawet wymuszony flirt z odrażającą Molly.

Po dwóch tygodniach Helen wypuszczono do domu. Małego Marcusa zainstalowano w starej kołysce Ruperta, świeżo obitej białymi falbankami, ustawionej w uroczym żółtym pokoiku dziecięcym obok sypialni Ruperta i Helen. Stara niania Ruperta, która już się wprowadziła do pokoju po drugiej stronie, miała się zająć dzieckiem. Rupert uważał, że to nie ma sensu.

— Jak Billy i ja możemy chodzić po domu bez ubrania, jeśli niania mieszka dwa pokoje dalej? Jeśli Billy wróci wstawiony, co mu się zdarza, może przez pomyłkę wejść do niej. Dziecko powinno mieć pokój na górze, razem z nianią, jak kiedyś Adrian i ja.

— Ale wtedy w ogóle bym go nie widywała — zaprotestowała Helen. — Chcę go mieć przy sobie. Nie możesz wymagać od biednej starej niani, żeby przy każdym jego płaczu przechodziła cały korytarz i jeszcze piętro po schodach.

Helen wracała do sił fizycznych, ale wpadła w depresję poporodową. Miała nadwrażliwe uszy, przy każdym beczeniu jagnięcia na polu wydawało się jej, że to Marcus płacze, i pędziła na górę. Rupert kazał przenieść owce z jagniętami daleko na pastwisko, ale Helen wciąż reagowała nerwowo na każdy dźwięk. Rupert próbował ją nakłonić, by sypiała z nim, i wpadł w gniew, kiedy podpuszczona przez Hilary Helen

odmówiła. Między nią a nianią również zaczęła się walka o władzę. Często obie spotykały się nad kołyską, niemal stukając się głowami, jak dwie kule bilardowe, kiedy Marcus zaczynał płakać w nocy. Niania uparcie ubierała go w długie białe koszulki i nie zgadzała się na jednorazowe pieluchy. Była również zwolenniczką ścisłej dyscypliny, gdyż od samego początku należy dziecku pokazać, kto tu rządzi. Helen, znów podburzana przez Hilary i panią Bodkin, uważała, że dziecko trzeba karmić na żądanie i często przytulać. Jeśli nie może spać, trzeba je wziąć do siebie do łóżka — wtedy zaś niania rozpoczynała przerażające opowieści o dawnych paniach Penscombe, które zrobiły to samo i udusiły swoje niemowlęta.

Pewnego dnia, podczas nieobecności Ruperta, Marcus zaniósł się płaczem i nie chciał przestać, twarz mu poczerwieniała, niemowlę wypełniało hałasem cały dom. Jak takie maleństwo może tak głośno krzyczeć?

— Zostaw go, niech się wypłacze — upierała się niania.

Helen, przerażona, że dziecku coś się stanie, poza tym mająca już dosyć wąsatej staruszki wciąż wiszącej nad dzieckiem i rządzącej nim według własnego uznania, wezwała lekarza.

Doktor Benson, sam zakochany w Helen, z radością potwierdził jej obawy.

— Mały jest głodny, trzeba go częściej karmić.

Po jego wizycie wybuchła wielka awantura i niania spakowała walizki. Przerażona, że Rupert się wścieknie, Helen zadzwoniła do Hilary, która miała dla niej tylko słowa pochwały.

— Nie mogłaś podjąć lepszej decyzji. Ta szowinistyczna męska świnia nie może tobą rządzić.

Rupert wszedł do pokoju dziecinnego w chwili, kiedy Helen zmieniała pieluszkę, lecz szybko wyszedł. Naprawdę nie mógł gorzej wywiązać się z

roli ojca.

Lekko drżącą ręką Helen przypudrowała dziecko i dość niezdarnie założyła mu jednorazową pieluszkę, zapięła dwie niebieskie agrafki, ułożyła małego w kołysce i pocałowała. Z zadowolonym gulgotem Marcus od razu zasnął, najwyraźniej nie tęskniąc za nianią.

Rupert czekał za drzwiami.

— Dlaczego, do cholery, ty to robisz? Czy niania ma wychodne?

Helen zaczerpnęła powietrza.

— Rano ją zwolniłam.

— Co takiego?!— zagrzmiał Rupert. — Gdzie ona jest?

— Wyjechała.

— Zwolniłaś nianię, nie pytając mnie o zdanie?

— To nie ma nic wspólnego z tobą! — odparła Helen, tracąc cierpliwość. — Ciebie nigdy nie ma, nie interesujesz się Marcusem!

— Bzdury! Od porodu prawie cały czas jestem w domu!

— Dopiero od trzech tygodni! — wrzasnęła Helen, idąc do swojej sypialni.

— Tak po prostu ją wyrzuciłaś?

— Jest za stara i ma przestarzałe metody.

— Była nianią moją i mojego ojca, wyrośliśmy na zdrowych ludzi. Nie może być taka zła.

— No to wystaw ją na targu staroci. Nie pozwolę, żeby denerwowała panią Bodkin, poza tym Hilary opowiadała mi o udanym rodzicielstwie.

— Tylko mi tu nie cytuj tej cholernej idiotki! Udane rodzicielstwo, też coś. Kto się teraz zajmie dzieckiem?

— Dziecko ma na imię Marcus! I ja się nim zajmę. Przecież większość matek zajmuje się swoimi dziećmi. Nie chcę, żeby tak jak ty przywiązał się bardziej do niani niż do mnie.

— A jak chcesz wyjeżdżać? W przyszłym tygodniu jest Crittleden, potem Rzym.

— Tory Lovell wozi ze sobą dziecko.

— Boże, szkoda, że tego nie widziałaś! Cała przyczepa w pieluchach, Tory wpycha smoczek wyjącemu maluchowi, on wszystko wypluwa, potem wrzeszczy przez całą noc i nikt nie może spać.

— No to zostanę w domu — zaszlochała Helen.

Nagle z pokoju obok rozległo się kwilenie.

— Idź się nim zająć — warknął Rupert. — Pożałowałaś już, że zwolniłaś nianię?

Na szczęście akurat w tej chwili Billy przyjechał z Wiednia z rozetkami i końmi Ruperta, chcąc jak najszybciej zobaczyć dziecko, więc kłótnia tymczasowo przycichła.

— Jest śliczny! — powiedział Billy, biorąc płaczącego Marcusa od Helen. — Jaki słodki, spójrzcie tylko na te rączki. No już, cichutko, kochanie, tak się nie zachowujemy, zdenerwujesz mamusię.

Co zadziwiające, Marcus ucichł i spojrzał na Billy’ego zamglonym wzrokiem, ciesząc się jego ciepłem i delikatnością.

— Śliczny! — powtórzył Billy.

— Może powinieneś przekwalifikować się na nianię — zauważył Rupert z lekką nutą irytacji w głosie. — Nie będziemy musieli wydawać pieniędzy na ogłoszenie w „The Lady”.

Helen po raz tysięczny pomyślała, jak bardzo się cieszy, że Billy nie ożenił się z Lavinią Greenslade. Tak bardzo jej pomagał.

— Zostaniesz ojcem chrzestnym? — zapytała.

Billy się zarumienił.

— Oczywiście, chociaż nie jestem pewny, czy będę go wychowywał po chrześcijańsku. Kogo jeszcze pytaliście?

— Jak dotąd moją nową przyjaciółkę Hilary — odparła Helen, rzucając Rupertowi wyzywające spojrzenie. — Nie mogę się doczekać, aż się poznacie. Na pewno się polubicie.

Przez kolejny tydzień co noc budził ich płacz Marcusa, co bardzo irytowało Ruperta.

— No to sobie pospałem — mamrotał, po czym dwie minuty później już zapadał w głęboki sen.

Helen wstawała, karmiła Marcusa, tuliła go do snu i leżała bezsennie do rana.

W kwietniu Billy i Rupert wyjechali do Crittleden, zostawiając Helen z Marcusem samych w wielkim domu, w którym spały jeszcze stajenne. Rupert się uparł. Pełna urazy do męża Helen przelała całą swoją miłość na delikatnego chłopczyka. Na szczęście Hilary mieszkała tylko kilka kilometrów dalej, więc mogły spotykać się co drugi dzień, rozmawiać o książkach, teatrze, malarstwie, dzieciach i oczywiście o Rupercie.

Dla Jake’a Lovella ten rok był udany jak żaden dotąd. Jego konie wygrywały. Zemsta, odkarmiony na trawie, grubszy i niemal nie do poznania, wrócił do formy i odbudował muskulaturę. Nawet Jake widział w nim potencjał na olimpijczyka — ale za cztery lata.

Jednak Tory i Fen z wielkim entuzjazmem powitały nadejście formularza dla Jake’a, w którym trzeba było wpisać jego wymiary do uszycia stroju na igrzyska — blezeru i spodni na podróż i uroczystość otwarcia. Świadomy, że takie formularze rozesłano do wszystkich możliwych kandydatów, Jake nie miał zamiaru kusić opatrzności, postanowił odesłać formularz, dopóki nie zostanie potwierdzona jego kandydatura. Z przerażeniem dowiedział się, że Tory, jak zwykle zorganizowana, wypełniła go i wysłała.

Pomimo to pierwsze kwalifikacje w Bath i Wells poszły mu dobrze. Zarówno Żeglarz, jak i Zemsta skakały doskonale. Wygrał Zemsta o

siedemnaście setnych sekundy. Humpty był czwarty, Driffield piąty, Ivor Braine szósty, a Rupert dopiero siódmy — nawet nie zakwalifikował się do finału. Przed drugimi kwalifikacjami — czerwcowymi zawodami w Crittleden — Jake był znacznie bardziej spięty. Pułkownik Carter cały czas wisiał na telefonie, docierając do swoich kontaktów, próbując organizować karierę Zemsty, aż Jake stracił cierpliwość i wysłał go do diabła.

Co gorsza, Jake zauważył nieznanego paszkota śpiewającego w wierzbie obok stajni na dzień przed wyjazdem do Crittleden. Spłoszył go, ale ptak wrócił i śpiewał dalej. W czasie jego pobytu w taborze paszkot cały dzień śpiewał przy wozie starej babci. Babcia cieszyła się dobrym zdrowiem, ale następnego dnia zmarła. Jake wierzył w znaki i cały dzień martwił się o dzieci — Isę i małą Darklis, która w wieku trzynastu miesięcy wyrastała na uroczą Cyganeczkę o czarnych włosach i oczach. Była oczkiem w głowie Jake’a.

Posunął się nawet do tego, że sam odebrał Isę z przedszkola. Nie wspomniał Tory o swoich obawach. Uznali, że nie będą wieźli dzieci do Crittleden, gdyż Jake i Fen musieli się wyspać przed kwalifikacjami, a dzieci mogłyby ich rozpraszać.

— Na pewno nie przeszkadza ci, że zostaniesz w domu? — upewnił się Jake.

— Będę was oglądać w telewizji — odparła Tory. — Zresztą tak bym się denerwowała, że jeszcze bym cię dodatkowo stresowała. Wiem, że pójdzie ci doskonale.

Jake bardzo niechętnie ich zostawiał. Czy kiedykolwiek pozbędzie się tej przytłaczającej tęsknoty za domem, która ogarniała go przy każdym wyjeździe? Wyruszali w ponaddwustukilometrową drogę w ulewie i przy akompaniamencie śpiewu paszkota. W Crittleden było jeszcze bardziej

mokro i zimno. Jake i Fen spędzili sporo czasu, zatykając dziury w ścianach stajni.

W drodze do namiotu sekretarza zawodów, żeby zapisać się na konkurs następnego dnia, Jake wpadł na Marion, jak zwykle wściekłą na Ruperta.

— Teraz może jeździć tylko na Mayfair. Tak tłukł Belgravię po pęcinach, że koń dostał zakażenia i wypadł na dwa tygodnie. Chce używać elektrod na Mayfair, koń jest kłębkiem nerwów.

— A Macaulay? — zapytał Jake.

— Sprzedał go arabskiemu szejkowi, którego poznał przy kartach w Claremont. Biedak pojedzie gdzieś na bliskowschodnią pustynię. Wiesz, co to oznacza?

— Tak — odparł Jake ponuro. — Raz zrzuci synka, dziedzica szejka, po czym odeślą go do kamieniołomów. Możesz zdobyć adres?

Marion obiecała spróbować, ale Rupert trzymał transakcję w sekrecie z powodu Helen, która i tak już była rozdrażniona, mogłaby się dodatkowo zdenerwować zniknięciem konia.

— Co prawda w tej chwili interesuje się wyłącznie Marcusem.

Jake pokręcił głową.

— Dlaczego wciąż u niego pracujesz? — zapytał.

Marion wzruszyła ramionami.

— Chyba uzależniłam się od drania, poza tym mogę nieco ulżyć jego koniom.

Cały następny dzień lało jak z cebra. Zawodnicy postawili kołnierze i trzęśli się z zimna. Po przejściu toru Jake’a zaczepił reporter miejscowej gazety.

— To najcięższy tor, jaki zbudowano w Crittleden, Jake. Masz coś do powiedzenia?

Jake szedł dalej.

— Przepraszam, ale nie mogę rozmawiać przed zawodami.

— Ale mnie czas goni — jęknął reporter. — Arogancki dupek — dodał gniewnie.

Jake jednak go nie słyszał, a mijając Humpty’ego i Driffielda, tylko kiwnął głową, próbując się odizolować i opanować zdenerwowanie. Dotarł do Fen trzymającej Zemstę i Żeglarza — cała trójka przypominała zmokłe szczury. Żeglarz, który nienawidził zimna, wyglądał bardziej żałośnie niż zwykle.

— Wszystko dobrze? — zapytał.

Fen pokiwała głową.

— Jak tam tor?

— Nie za dobrze — odparł Jake. — Wszędzie błoto. Wszystkie drążki będą o kilkanaście centymetrów wyższe.

W zacisznym schronieniu, po dobrym obiedzie, członkowie Komitetu Olimpijskiego palili cygara i czekali. Jake, który miał dalszy numer startowy, przyglądał się, jak jeden zawodnik po drugim zjeżdża pognębiony z toru, co bynajmniej nie pomagało mu się opanować. Zauważył, że farba jego taniego czerwonego płaszcza spływa na bryczesy. Jeśli uda mu się przetrwać tę próbę, na pewno kupi sobie płaszcz nieprzemakalny.

Jedynie Porky Boy i Byk nie zrzuciły drążków. Zemsta jechał z numerem dwudziestym i pomimo dodatkowych dwunastu kilogramów ołowiu dla wyrównania wagi Jake’a, mniejszej niż u innych zawodników, przeskoczył lekko i z pewnością siebie, jedynie lekko wpadając kopytem w wodę, co kosztowało go cztery punkty karne. Jednak zarówno pułkownik Carter, jak i siedząca obok niego w loży Molly, która nie chciała wychodzić na deszcz i niszczyć sobie świeżo ułożonej fryzury, wyglądali na bardzo rozczarowanych.

Następny jechał Rupert. Przejechał chaotycznie, ale czysto, zjechał jednak z niezadowoloną miną. Za nim jechał Driffield, który pomimo wcześniejszego, iście olimpijskiego bólu żołądka zdołał ukończyć trasę tylko z czterema punktami karnymi.

Kiedy Fen zdjęła derkę z Żeglarza, koń wydawał się jeszcze bardziej zmęczony, jednak trącił Jake'a w żebra, jakby mówiąc „Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, więc miejmy to już za sobą".

— Słyszałam, jak Rupert mówił, że środek po drugiej stronie stacjonaty przypomina lodowisko — uprzedziła Fen — więc skacz od prawej.

— Tak jest, sir! — odparł Jake, starając się powstrzymać szczękanie zębów.

— Twoje spodnie przypominają zachód słońca — zauważyła Fen.

— Mam nadzieję, że to nie będzie symbol mojej kariery — odparł Jake.

Zmarznięty żeglarz rozgrzał się dopiero po pierwszych czterech przeszkodach. O mało nie przyprawił Jake'a o zawał, kiedy mocno trącił nogą okser, jednak drążek podskoczył, ale nie wypadł z uchwytu. Jake zdołał wyprowadzić konia daleko od lodowiska przy stacjonacie. Chociaż zdawał sobie sprawę z ogromnego wysiłku, na jaki musi się zdobyć wierzchowiec przy każdej przeszkodzie, niosąc dodatkowo ciężar ołowiu, zakończył przejazd bez kłopotów.

Jake'a przepełniła wdzięczność. Nie ma wspanialszego konia. Głaszcząc go z zachwytem, podał mu połowę paczki miętusów i zastanawiał się, czy podświadomie nie powstrzymywał Zemsty, gdyż tak bardzo chciał zabrać Żeglarza do Kolumbii.

— Okryj go ciepło i pilnuj, żeby nie zmarzł — powiedział do Fen i poszedł sprawdzić tor finałowy. Zastał wszystkich czterech jeźdźców, którzy przejechali czysto, zażarcie kłócących się z sędziami zawodów.

— Na miłość boską! — mówił Rupert. — Nie mamy punktów karnych. Czy to tym palantom nie wystarczy? Skaczemy jak na ruchomych piaskach.

— Porky Boy może się w każdej chwili poślizgnąć — dodał Humpty.

— To cholerny tor — przyświadczył Billy.

Jednak sędziowie nie ustępowali: Komitet Olimpijski żąda jeszcze jednej kolejki. Tym razem Porky Boy zaliczył trzy zrzutki, Rupert i Driffield po dwie, a Jake i Billy po jednej.

— Nie mogą zmusić nas do dalszych skoków — uśmiechnął się Billy do Jake’a. — Przynajmniej mamy po tysiaku.

— Żeglarz jest wykończony — powiedział Jake. — Nie przeskoczyłby nawet drążka leżącego na ziemi.

Billy pokiwał głową.

— Nie martw się, aż takimi wariatami nie są.

Jednak Komitet Olimpijski, a raczej pułkownik Roxborough, który kiedyś zdobył brązowy medal, uparli się, by rozegrać pojedynek na śmierć i życie.

— To trochę ekstremalne żądanie, skoro koń Jake’a niesie na sobie tyle ołowiu — zaprotestował Malise. — Warunki są fatalne.

— W Kolumbii będą równie złe — odparł pułkownik. — Prowadzimy kwalifikacje olimpijskie, tak czy nie? Złotego medalu nie da się podzielić.

Malise musiał zejść i zawiadomić Billy’ego oraz Jake’a, że powinni skoczyć jeszcze raz, nie przekazując im własnych poważnych wątpliwości.

— Nie pojadę na Żeglarzu — oznajmił Jake.

— W takim razie pozbawiasz się szansy na udział w igrzyskach — odparł Malise. — Po prostu jedź bardzo powoli.

Żeglarz ze zmęczenia nawet nie okazał niechęci, kiedy Jake przyprowadził go w ulewnym deszczu z powrotem na padok. Jake nie mógł

się zdobyć na obserwowanie Billy’ego, ale słyszał przytłumione oklaski, kiedy jeździec zakończył trasę z dwunastoma punktami karnymi.

Malise podszedł do Jake’a, z jego kapelusza równym strumieniem kapały krople wody.

— A teraz powoli, naprawdę powoli.

— Nie ma innego wyjścia, po tym, do czego go zmusiliście — warknęła Fen.

Malise wiedział, że powinien ją upomnieć, ale dziewczyna mówiła prawdę.

Jake cierpiał, prosząc Żeglarza o jeszcze jeden przejazd. Wjeżdżając powolnym kłusem na arenę, czuł się jak morderca. Tory na pewno ogląda go w telewizji i również się martwi. Gdyby chociaż ten cholerny paszkot zamknął dziób. Deszcz padający pod kątem pięćdziesięciu stopni zmniejszał widoczność niemal do zera.

— Przepraszam, kochany, przepraszam... — Jake uspokajająco przesunął dłonią po ociekających wodą szarych splotach Żeglarza.

Tym razem ustawiono tylko siedem przeszkód. Żeglarz zdołał przeskoczyć pierwszą i drugą, lecz ziemia była tak rozmiękła, że przy wyskoku do trzeciej — muru — poślizgnął się i rozrzucił cegły, o mało nie lądując na ziemi. Przypominało to jazdę po podłodze kuchennej, na którą rozlano gorący olej. Przestraszony Żeglarz zrzucił okser i potrącił stacjonatę, której drążek zadrżał, ale jak poprzednio nie spadł. Może jednak sprzyjało im szczęście. Jake’owi jakoś udało się przeprowadzić konia przez kolejną przeszkodę, po czym skierował go do potrójnej stacjonaty. Pomimo poślizgu cudem przeskoczył wszystkie trzy elementy. Została ostatnia stacjonata. Żeglarz położył uszy po sobie, z irytacją bił ogonem po bokach — i przez sekundę robił wrażenie, jakby chciał się zatrzymać.

— Jedź, jedź, kochany — mruczał Jake.

Żeglarz przygotował się do końcowego wysiłku, napiął tułów pod poprzęgiem, po czym z dodatkowym odbiciem i jękiem rzucił się na przeszkodę.

Osiem punktów karnych. Wygrali. Choć dalej lało, z widowni rozległy się huczne oklaski, kiedy Jake, głaszcząc Żeglarza cały czas, przyhamował nim do stępa. Wtedy, przed samą trybuną selekcjonerów, jak w przerażającym koszmarze, Żeglarz nagle się zatrzymał, spróbował ruszyć, a potem skurczył się pod Jakiem i padł w błoto. Jake, którego zdrowa noga utknęła pod koniem, wyswobodził się dopiero po kilku sekundach. Pozbierał się, wstał cały ubłocony i kulejąc, podszedł do głowy Żeglarza i ujął ją w ramiona. Koń leżał nieruchomo, po chwili otworzył swoje oko w plamki, spróbował unieść głowę, wydał z siebie zdławione rżenie i głowa opadła mu na ziemię.

— Żeglarz — wyszeptał Jake. — Wszystko dobrze, kochany. Za minutę będziesz zdrowy. Gdzie weterynarz?!— wrzasnął, gorączkowo rozglądając się po przerażonych, zamglonych deszczem widzach.

W tej chwili przez deszcz wbiegł na tor weterynarz z torbą.

— Szybko, pewnie coś z sercem, niech pan coś zrobi! — błagał Jake.

Weterynarz otworzył oko Żeglarza i pokręcił głową.

— Obawiam się, że nic nie można zrobić. Nie żyje.

— Niemożliwe — wyszeptał Jake zbielałymi, drżącymi wargami. — Nie mógł umrzeć, nie on, nie Żeglarz! — Twarz mu się skurczyła i popłynęły po niej łzy, mieszając się z kroplami deszczu. — Żeglarzu — wyszlochał, klękając i otaczając ramionami szyję konia — nie umieraj, proszę, nie możesz! Nie umieraj!

W tej chwili ruszyła niezrównana organizacja zawodów w Crittleden. Przez błoto jechał z padoku ciągnik z przyczepą, na arenę wbiegła obsługa techniczna i rozstawiła wokół Jake’a i wierzchowca wysokie na metr

osiemdziesiąt ekrany, z głośników zaś zaczęła grzmieć muzyka z południowego Pacyfiku.

Tłum stał ogłuszony, w bezruchu. Z trybuny zszedł pułkownik Roxborough, z padoku nadbiegł Malise, ale pierwsza dopadła go Fen, objęła ramionami Jake’a i Żeglarza, przytuliła ich i również wybuchnęła płaczem.

— Jest nadzieja? — zapytał Malise.

Weterynarz pokręcił głową.

— Niestety, atak serca.

Fen obróciła się.

— To wasza wina! — wrzasnęła do Malise’a i pułkownika Roxborough. — To wszystko przez was! Jake nie chciał na nim skakać! I co udowodniliście?

Malise podszedł i położył jej rękę na ramieniu.

— Bardzo mi przykro, to naprawdę nieszczęśliwy zbieg okoliczności, ale to się mogło zdarzyć wszędzie.

— Nie dotykaj mnie! — syknęła Fen, strząsając z siebie jego dłoń. — Mordercy!

Malise podszedł do Jake’a, który wciąż tulił do siebie głowę Żeglarza, wstrząsany gwałtownymi szlochami.

— Wszystko przez paszkota! — powtarzał nieprzytomnie. Wydawał się tracić kontakt ze światem.

— Chodź, Jake — odezwał się łagodnie Malise. — To naprawdę straszliwy pech, ale trzeba znieść Żeglarza z toru.

Trzech ludzi z obsługi musiało odciągać Jake’a od konia, a reszta załadowała Żeglarza na przyczepę.

Połowa widzów i wszystkie stajenne płakały. Zawodnicy byli wyraźnie wstrząśnięci. Organizatorzy gorączkowo usiłowali ustalić, kto wygrał.

— Zasady federacji jeździeckiej mówią wyraźnie. Jake nie siedział w siodle, schodząc z areny — powiedziała Grania Pringle, która miała wręczać nagrody.

— Zatem zwycięzcą zostaje Billy — orzekł pułkownik Roxborough. — No to już, odwróćmy uwagę widzów, dajmy im coś radośniejszego. Jak dobrze, że to się stało dzisiaj, pomyślcie tylko, co by było, gdyby koń padł w Kolumbii. Po to właśnie są kwalifikacje.

Grania Pringle odwróciła się do niego z rozmazanym od łez makijażem na pięknej twarzy.

— Zamknij się, do cholery, Roxie. Nie bądź takim niewrażliwym dupkiem.

Kiedy ciągnik ze swoim przygnębiającym ładunkiem zjechał z areny, do Jake'a podjechał Billy, sam bliski płaczu.

— Że też coś takiego musiało się zdarzyć! Wszyscy wiemy, jak byłeś do niego przywiązany. Ale nie przyjmę pierwszej nagrody, Malise. Jake ją zdobył, powinien ją dostać.

— To bardzo miłe, Billy, ale musimy trzymać się zasad.

Spojrzał na Jake'a, na którego obliczu trudno było odróżnić łzy od deszczu. Deszcz zmył wszystkie ślady błota z białej, ściągniętej twarzy.

— Drań — warknął do Malise'a i odwrócił się do swojej ciężarówki.

Nagle zawrócił.

— Dokąd zabieracie Żeglarza? — zapytał.

— Nie martw się tym — odparł Malise. — Przebierz się w coś suchego.

— Nie zrobicie z niego karmy dla kotów.

— Nie pójdzie na karmę dla kotów — odparł rozsądnie Malise. — Zabiorą go do schroniska dla psów myśliwskich.

Jake rzucił mu spojrzenie pełne czystej nienawiści.

— I to ma być niby lepsze? Zanieście go do mojej ciężarówki.

Fen wytarła Zemstę i nakarmiła go, a Jake zaprowadził dwa nowe konie do ciężarówki. Nie mogła patrzeć, jak ładował Żeglarza, więc poszła do telefonu i zadzwoniła do Tory z wiadomością, że wracają do domu. Kiedy wychodziła z budki, wpadła na czekającego na nią Malise'a. Chciała minąć go bez słowa, lecz on się odezwał:

— Słuchaj, wiem, co oboje czujecie.

— Raczej wątpię — odparła chłodno Fen. — I nie próbujcie mówić Jake'owi, że to tylko koń, bo on go kochał bardziej niż jakiegokolwiek człowieka. — Po czym dodała nagle z mądrością osoby znacznie starszej: — Czuł, że obaj są brzydcy, są pośmiewiskiem, inni nimi gardzą i odrzucają. Obaj chcieli pokazać światu, na co ich stać.

Malise spojrzał na nią zamyślony.

— Ma wielkie szczęście, że ma ciebie. Nie mogłabyś powstrzymać go przed prowadzeniem samochodu w takim stanie? To po prostu niebezpieczne.

— O bezpieczeństwo Żeglarza jakoś się nie martwiliście, co? — warknęła Fen. — Więc chyba nie powinien pan tego osądzać. W takim stanie Jake potrzebuje przede wszystkim Tory.

Jake przez całą drogę do domu nie odezwał się ani słowem. Fen nie mogła znieść tego, że Zemsta trąca ciało Żeglarza, spodziewając się, że mądry stary przyjaciel podniesie się.

O północy dotarli do Mill House. Jake pojechał prosto do sadu. Deszcz przestał padać, noc była jasna i czysta. Księżyc świecił na ociekające wodą jabłonie i grób, który już wykopał rolnik z sąsiedztwa. Sąsiad czekał na nich, pomógł wyładować konia — bardzo się przydał, gdyż Żeglarz był już sztywny i bardzo ciężki. W świetle księżyca można było dostrzec plamki na jego pogryzionej przez pchły sierści i wciąż schludnie zaplecioną grzywę. Jake okrył Żeglarza biało-rdzawą derką i pogłaskał na pożegnanie. Z twarzą

zaciętą i pozbawioną wyrazu przysypał ciało ziemią i uklepał ją schludnie. Później, po tym, jak wyładował i oporządził pozostałe konie, zbił z desek krzyż i postawił go na grobie.

Wyjątkowym wysiłkiem woli Tory zdołała powstrzymać się od łez przy Jake'u, a kiedy wreszcie o czwartej nad ranem padli do łóżka, Jake tylko jęknął, położył głowę na jej ciepłej, przyjaznej piersi i zasnął.

Następnego dnia długi czas wykopywał dzikie kwiaty i sadził je wokół grobu Żeglarza. Z pozoru wydawał się spokojny, ale Tory wiedziała, że wewnątrz krwawi. Po południu zadzwonił Malise. Jake nie chciał podejść do telefonu.

— Jak on się czuje? — zapytał Malise.

— Dobrze — odparła Tory — ale nie chce o tym rozmawiać.

— Może pocieszy go, kiedy się dowie, że razem z Zemstą zakwalifikował się do Aachen. Pewnie jeszcze jest w szoku. Za dzień czy dwa dojdzie do siebie.

Zadzwonił po dwóch dniach.

— Upewniam się tylko, czy Jake i Zemsta mogą jechać do Aachen.

— Trochę niezręczna sytuacja — powiedziała Tory.

— Daj mi go do telefonu.

— Niestety, nie chce z tobą rozmawiać. I w ogóle zniechęcił się do pomysłu wyjazdu na igrzyska.

— Ale to by dało mu zajęcie, najlepsza terapia — zaoponował Malise. — Nie może pozbawiać kraju takiego konia.

Pułkownik Carter był mniej powściągliwy, dzwonił co chwilę, narzekając, że Jake nie chce zabrać Zemsty do Aachen, a biedna Tory, na którą spadł obowiązek odbierania telefonów, wysłuchiwała ciągłych pretensji.

— To oburzające! Jake to mięczak, który załamał się i rozpłakał na arenie. Nie ma w nim woli walki.

W końcu Tory straciła cierpliwość.

— Nie rozumiesz, że złamali mu serce?!

Wieś przysłała wieniec na grób Żeglarza, zewsząd napływały wyrazy współczucia.

„Wszyscy go kochaliśmy — napisała jakaś kobieta. — Dla nas Żeglarz uosabiał sport jeździecki”.

„Przesyłam wam moje kieszonkowe — pisała pewna dziewczynka. — Pewnie inne konie tęsknią za nim, może chciałby Pan im kupić miętusy”.

Rano w czwartek po śmierci Żeglarza Fen przeżuwała właśnie tost z marmoladą po spędzeniu dwóch godzin w ujeżdżalni z nowymi końmi i przed wyjściem do szkoły skrobała wypracowanie o Merkucju, kiedy Wilk zaczął ujadać, a na moście rozległo się skrzypienie kół. Fen wybiegła z domu. Z zaparkowanej niedaleko ciężarówki wysiadała pulchna blondynka o okrągłej, słodkiej twarzy oraz dwóch mężczyzn.

— Tak? — zapytała Fen.

Wszyscy mieli lekko zakłopotane miny.

— Jestem Petra, nowa stajenna Ruperta Campbella-Blacka — odezwała się blondynka. — Przyjechaliśmy po konia.

— Jakiego konia?

— Zemstę.

Fen z jękiem wbiegła na górę, żeby obudzić Tory i Jake’a. Jake długo nie mógł zasnąć i w końcu z pomocą tabletek udało mu się to około szóstej rano. Zszedł na dół jak zombie, z podpuchniętymi oczami, powiekami ciężkimi od snu, tylko w jeansach. Na widok jego wystających żeber Fen uświadomiła sobie, jak bardzo ostatnio schudł.

— Co mówiłaś?

— Przyjechali po Zemstę.

— Nie wygłupiaj się — powiedział Jake, idąc do tylnych drzwi.

— Odwalcie się wszyscy!

Dziewczyna poróżowiała.

— Podobno pan wie.

— O czym?

— Wczoraj Rupert Campbell-Black kupił Zemstę.

Jake znieruchomiał.

— Jest pani pewna?

Dziewczyna ze współczuciem pokiwała głową. Od dawna wielbiła Jake’a, był jednym z jej bohaterów.

— Nie wierzę — warknął Jake. — To jakaś idiotyczna gra Ruperta. Idę zadzwonić do Bernarda.

Pułkownika nie było w domu, odebrała Molly, z trudem ukrywając zadowolenie.

— To prawda?

— Tak. Rupe od miesięcy starał się kupić Zemstę.

Teraz to dla nich Rupe, nie Rupert? Jake oparł się o stół, dławiąc się nienawiścią.

— Odkupię go. Sprzedajcie mi go.

— Chyba nie przebijesz jego oferty.

— Ile?

— Czterdzieści pięć tysięcy — odparła Molly ze złośliwą satysfakcją.

— Oszaleliście. On tego konia zajeździ w pół roku.

— To nie ma znaczenia, skoro Bernard dostał pieniądze — odpowiedziała Molly. — Zresztą Rupert na pewno zadba o Zemstę, zabiera go na igrzyska. Bernardowi bardzo na tym zależy. Wczoraj wieczorem

chcieliśmy o tym z tobą porozmawiać, bo dobiliśmy targu, ale nie podszedłeś do telefonu. O, właśnie wszedł Bernard. Porozmawiaj z Jakiem.

Pułkownik przejął słuchawkę.

— Niestety, to prawda, Jake. Miałem wrażenie, że stchórzyłeś przed olimpiadą, że to dla ciebie za duże wyzwanie. Wiesz, do odważnych świat należy. Campbell-Black podejmuje ryzyko.

— To sadysta! — krzyknął Jake.

— Bzdura. To świetny i bardzo doświadczony jeździec. Niesprawiedliwe jest ciągłe trzymanie Zemsty na uboczu.

Jake rozłączył się i zadzwonił do Malise'a.

— Rupert mi powiedział. Próbowałem go przekonać, ale on już dobił targu. Bardzo mi przykro, Jake, ale nie mogę nic zrobić. To koń Carterów.

Jake ubrał się i wyszedł na podwórko. Stała tam Fen z wiatrówką, ze szczerzącym zęby Wilkiem u boku, broniąc dostępu do boksu Zemsty.

— Nie zbliżajcie się do tych drzwi — syczała. — To nasz koń. Jeśli go choćby tkniecie palcem, nafaszeruję was ołowiem.

— Naoglądałaś się za dużo westernów, dziewczynko — odezwał się wyższy z dwóch mężczyzn, ale nieco się odsunął.

Jake przeszedł przez podwórko.

— Fen, odłóż to.

— Nie! Nie mogą nam go zabrać, to nie ich koń!

— Niestety, ich — powiedział Jake. — Bernard sprzedał go Rupertowi.

Tego dla Fen było już za wiele. Zemsta był jej dzieckiem, przeobraziła go ze znerwicowanego, agresywnego wraka w kochającego, szczęśliwego i pracowitego wierzchowca. Z hałasem upuściła wiatrówkę i podbiegła do mężczyzn.

— Proszę, nie zabierajcie go — zaszlochała. — W sobotę straciliśmy Żeglarza, nie zabierajcie nam Zemsty.

— Kochana, bardzo mi przykro. Wiem, że to trudne, ale tak nam kazano.

Jake odwrócił się do Tanyi.

— Idź po Zemstę.

Narzucenie na konia derki Ruperta i nałożenie jego ogłowia zajęło tylko kilka minut. Jake poszedł do zeszytu trzymanego w magazynku, w którym zapisywał wszystkie upodobania i rzeczy nielubiane przez konie, przebieg ich szkolenia, rodzaj paszy oraz lekarstwa, które im podawał. Tępo zastanawiał się przez chwilę, czy przekazać te informacje Rupertowi. Na pewno wyszłoby to koniowi na dobre. Potem uznał, że ma to gdzieś, wyrwał kartkę z zeszytu, zmiął i rzucił do kosza.

Poczuł przeszywający ból, kiedy Zemsta radośnie i pewnie wchodził po rampie do ciężarówki, sądząc, że jedzie na konkurs. Po przyjeździe tak bardzo nie cierpiał boksu, a teraz pod każdym względem wyglądał na konia wartego czterdzieści pięć tysięcy.

Jake podszedł do niego, pogłaskał i dał kilka kęsów karmy. Poczuł jeszcze większy ból na myśl, jak Zemsta zareaguje po przybyciu na miejsce, kiedy nie powita go Fen. Nie mógł patrzeć na odjeżdżającą po moście ciężarówkę, która wkrótce znikła za wierzbami.

Afryka pierwsza zauważyła nieobecność Zemsty. Od powrotu Jake’a szukała Żeglarza, przeżuwała garść karmy ze żłobu, po czym porzucała jedzenie, podchodziła do drzwi ze zdziwieniem na czarnym pysku i wołała przyjaciela. Teraz zniknął również Zemsta, więc poirytowana i zdenerwowana chodziła w kółko po boksie, podnosiła pyskiem słomę, ale nie zjadała jej, a źdźbła zwisały jej z pyska. Jake podszedł do niej i objął za szyję, hamując płacz.

„Też za nimi tęsknię — wydawała się mówić mu swoimi mądrymi, łagodnymi oczami — ale wciąż masz mnie. Proszę, kochaj mnie, bo ja zawsze najbardziej cię kochałam”.

Nagle Jake poczuł wstyd. Afrykę — najlepszą, najwierniejszą, najłagodniejszą z nich wszystkich — ostatnio zaniedbał, gdyż Żeglarz i Zemsta wydawały się znacznie ważniejsze. Poszedł do magazynku i obejrzał rzędy rozetek. Po przeciwnej stronie podwórka, w salonie domu, stały srebrne puchary starannie polerowane przez Tory. Miejsce honorowe zajmował ten wygrany na Żeglarzu w Olympii. Wtedy Jake czuł się jak król. Teraz znów spadł na samo dno — została mu tylko Afryka i szóstka nowych koni. Spojrzał na szafkę pod przeciwległą ścianą, w której pod kluczem trzymał swoje cygańskie medykamenty: belladonę, lulek na pęcherze, cykutę i zmielone muchomory, które w małej dawce mogły leczyć kolkę lub przeczyszczały chorego konia. W starej srebrnej tabakierce schował muchomory czerwieniejące. Gdyby choć jedna spora zagnieździła się w gardle Ruperta, wywołałaby objawy podobne do gruźlicy, lecz po kilku tygodniach kończące się śmiercią. Miła perspektywa. Jednak Jake wolał pobić Ruperta w inny sposób.

Poszedł na górę, do pokoju Fen, po drodze zauważając, że po dywanie snują się nitki.

Tory desperacko próbowała uspokoić siostrę.

— Biedna Fen, najpierw Aksamitka, teraz Zemsta.

Jake położył dłoń na policzku Tory i pogłaskał ją. Ta zaskoczona spojrzała na niego, rumieńcem witając nieoczekiwany wyraz czułości i z ulgą stwierdzając, że nie jest tak załamany, jak się obawiała.

— Fen — odezwał się — mam pomysł. Chyba czas, żeby Afryka miała źrebaka.

Fen nie zareagowała, leżała bezwładnie, tylko ramiona jej podskakiwały.

— Najwyższy też czas, żebyś miała własnego konia — mówił dalej Jake. — Chyba ci nawet takiego znalazłem. Ma tylko pięć lat, to deresz, nie

przepadam za tym kolorem, ale jej matka była kucem do polo, więc umie obrócić się w jednym miejscu i już skacze jak świerszcz.

Fen niemal nie patrząc, wyciągnęła rękę do Jake’a.

— To takie strasznie, strasznie miłe — wyszlochała — ale to na nic. Nie potrafię zapomnieć o Zemście.

23

IM WIĘCEJ RUPERT JEŹDZIŁ na Zemście, tym bardziej go lubił. Nigdy nie dosiadał tak zwinnego, dobrze wytrenowanego konia. Czuł się tak, jakby po grze na starym banjo dostał stradivariusa. Dopasowali się od pierwszej chwili, kiedy Rupert wskoczył na siodło. Zemście łatwiej było nieść ważącego siedemdziesiąt sześć kilogramów Ruperta niż Jake'a plus dwanaście nieruchomych kilogramów ołowiu. Koń uwielbiał również skakanie na czas. Wygrał już jeden konkurs Royal Highland, gdzie pokonał wszystkich kandydatów na igrzyska. Teraz, w Aachen, przed ostatecznymi kwalifikacjami, budził ogromne zainteresowanie światowej prasy. Jak koń Gyppo Jake'a pod Rupertem pokona tak wielkie przeszkody?

Ale Rupertowi i tak się mocno dostało. Po tragicznej śmierci Żeglarza widownia uznała za bardzo niesprawiedliwe, że drugi koń, którego Jake z takim wysiłkiem i tak długo szkolił, został mu nagle odebrany. Kiedy tylko Marion dowiedziała się, że Rupert kupił Zemstę, złożyła wypowiedzenie. Tym razem naprawdę, po czym poszła prosto do gazet i przekazała im, ile Rupert zapłacił za konia — chciwy pułkownik nie mógł odrzucić takiej oferty. Dołożyła jeszcze kilka ciekawostek o okrutnych metodach szkoleniowych Ruperta. Gazeta „News of the World" uznała materiał za zbyt skandaliczny, by go opublikować, ale „Private Eye" nie miało takich skrupułów. Rozeszły się plotki.

Od Jake'a reporterzy nie mogli się doczekać jakiegokolwiek komentarza, osaczyli więc Ruperta.

— Owszem, Jake to dobry trener — powiedział im dyplomatycznie — ale koń potrzebował doświadczonego jeźdźca. Wygrywają ci, którzy

podejmują ryzyko. Jake nie chciał zabrać go do Kolumbii. A co do oskarżeń o okrucieństwo, to zbyt wielka niedorzeczność, żeby je w ogóle omawiać. Koń nie skoczy, jeśli nie chce.

Teraz, w przeddzień kwalifikacji, Rupert doskonale wiedział, że jeśli Zemsta pobije resztę zawodników zagranicznych oraz innych angielskich kandydatów i zostanie wybrany na igrzyska w Kolumbii, ludzie szybko zapomną, w jaki sposób dostał się w jego ręce. Helen tak zajęła się małym Marcusem, że w ogóle nie zauważała całego zamieszania. Rupert miał nadzieję, że zostawi dziecko z panią Bodkin i poleci z nim do Aachen, ale ona wciąż wydawała się bardzo zmęczona i twierdziła, że nie czuje się na tyle pewnie, bo zostawić małego.

Rupert pocieszał się nową stajenną, Petrą, którą przezwał Pulpetem. Cieszył się z odejścia Marion, miał dość jej humorów i paciorkowatych oczu nieustannie wodzących za nim. Pulpet natomiast, o pulchnym tułowiu i nogach, chociaż nie tak wyrafinowana i urodziwa jak Marion, miała ładną gładką skórę i zawsze uśmiech na twarzy, konie zaś uwielbiała bardziej niż samego Ruperta. Zemsta oczywiście początkowo tęsknił za domem. Każdy koń tak rozpieszczany jak podopieczni Jake’a czułby różnicę po przeprowadzce. Jednak Pulpet robiła tyle zamieszania wokół koni, że po kilku dniach kopania w ściany boksu i grymasów przy jedzeniu Zemsta przyzwyczaił się do nowego otoczenia.

W przeddzień zawodów w Aachen Rupert sprawdził, czy konie dobrze się czują, po czym razem z Billym wziął taksówkę do hotelu. Atmosfera pokoju hotelowego budziła w Rupercie chęć zamówienia butelki szampana i pięknej dziewczyny, z którą mógłby ją wypić.

— Co robimy wieczorem?

Billy odsunął ubrania Ruperta zaścielające oba łóżka i opadł na swoje posłanie.

— Idę wcześnie spać. Mam absolutnie dość.

— Ludwig robi grilla.

— Nie chcę mieć jutro kaca.

— Pomyśl o tych niemieckich placuszkach. — Rupert podszedł do okna i wyjrzał na schludną ulicę, po czym powiedział nonszalancko: — dzisiaj wieczorem mógłbym wziąć Pulpeta.

— Och, na litość boską, zostaw ją w spokoju. Wiesz, jak to zepsuło twoje relacje z Marion. Szkoda, że nie ma tu Biblii jak w niektórych hotelach, mógłbym ci przypomnieć siódme przykazanie.

— W tej chwili nie mam zbyt wiele pożytku z żony. Jest tymczasowo zamknięta jak autostrada M4.

Billy zasłonił rękami uszy.

— Nie chcę tego słuchać! Wiesz, że uwielbiam twoją żonę.

Zadzwonił telefon; Rupert podniósł słuchawkę.

— Cześć, kochanie, właśnie rozmawiałem o tobie z Billym. — nagle rozleniwiony uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Marcus — wyszlochała Helen. — Jest w szpitalu. Nie może oddychać, jest siny na twarzy! Rupercie, on umrze! Proszę, wracaj!

— Wsiadam w najbliższy samolot. Gdzie jesteście, w szpitalu Gloucester? Nie martw się, kochanie, da radę. My, Campbellowie-Blackowie, jesteśmy twardzi.

Zadzwonił do Malise’a, który od razu przyszedł.

— Musisz natychmiast wracać.

— Przykro mi, ale Helen się rozsypała.

— Trudno się dziwić. Takie choroby małych dzieci to naprawdę przerażająca rzecz. Pamiętam, jak przechodziliśmy przez to z Henriettą i — urwał na chwilę — z Timmym. Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. Przekaż Helen nasze pozdrowienia.

Rupert miał szczęście, gdyż od ręki dostał bilet na samolot i o północy dotarł do szpitala. Nawet się nie przebrał, wciąż miał na sobie wysokie buty, bryczesy i tweedowy płaszcz na białej koszuli z krawatem.

— Moje nazwisko Campbell-Black — powiedział do recepcjonistki. — Po południu przyjechała tu moja żona z naszym synem, Marcusem. Może być na sali operacyjnej.

Drżącą ręką odsunął włosy z czoła. Dziewczyna spojrzała na papiery, żałując, że rano nie chciało się jej umyć głowy. Pamiętała Ruperta sprzed kilku miesięcy, kiedy wywołał zamieszanie po porodzie Helen.

— Marcus leży na oddziale dziecięcym na czwartym piętrze.

Windę zajmowało łóżko z pacjentem wiezionym z sali operacyjnej, więc Rupert pobiegł schodami. W przejściu natknął się na pielęgniarkę.

— Mój syn, Marcus Campbell-Black... — wydyszał.

— A tak. — denerwująco powoli siostra wróciła do dyżurki, żeby sprawdzić kartę.

— Jest w sali numer dwadzieścia pięć.

— A czy on, czy on... — Rupertowi głos uwiązł w gardle — czy wyzdrowieje?

— Oczywiście. Miał atak krupu.

— Co to jest?

— Nikt nie wie, skąd się to bierze, dziecko sinieje i nie może oddychać. Rodzice zwykle przypuszczają, że coś połknęło i obawiają się, że za chwilę zadławi się na śmierć, a jemu wystarczy inhalacja wilgotnym powietrzem. Dzisiaj w nocy zatrzymamy go w inhalatorze. Zdaniem doktora Bensona jutro będzie zdrowy. Dobrze się pan czuje? — zapytała, widząc zmienioną twarz Ruperta. — Musiał pan przeżyć wstrząs. Pani Campbell-Black bardzo się ucieszy, że pan wrócił. Była zupełnie wytrącona z równowagi, ale doktor Benson dał jej coś na uspokojenie. Może zaparzyć panu herbatę?

„I po to ściągała mnie tu taki kawał drogi? — pomyślał Rupert. — W samym środku kwalifikacji olimpijskich!” W sali numer dwadzieścia pięć zastał zadowolonego Marcusa leżącego w wielkim namiocie z celofanu, wdychającego balsam ziołowy z inhalatora. Helen siedziała na brzegu łóżka, bawiąc się jego paluszkami. Na widok Ruperta wstała i podbiegła do niego.

— Jak się cieszę, że przyjechałeś! Tak się bałam. Już myślałam, że umrze.

Rupert machinalnie pogłaskał ją po ramieniu. „Niania rozpoznałaby krup” — pomyślał ponuro. Za nią widział leżącego w łóżku swojego syna i dziedzica, zarumienionego, gaworzącego, wbijającego różowe paluszki w kocyk — i poczuł zalewającą go wściekłość.

— Spójrz — powiedziała czule Helen, wsuwając rękę pod namiot i sadzając Marcusa. — Sam trzyma już główkę. Chcesz wziąć go na ręce?

— Na pewno przyda mu się spokój — odparł Rupert.

Wysłuchał ją, podczas gdy Helen wylewała swoje zmartwienia, starając się nie nawiązywać do niewinnych rozrywek, jakie by teraz przeżywał w Aachen, lekkiego pijaństwa z Billem na grillu u Ludwiga. Mówiła o przerażającym świecie chorób dziecięcych i duszącej intensywności swojej miłości do synka.

— Przykro mi, że cię tutaj sprowadziłam — ciągnęła Helen. — Ale byłam przerażona. Bałam się, że umrze przed twoim przyjazdem. Tak bardzo cię potrzebowałam! Przepraszam, ostatnio byłam oschła, ale przecież warto było przylecieć chociażby po to, żeby go zobaczyć. Jest taki słodki, prawda? Jak myślisz, urósł?

— Muszę się napić — powiedział Rupert.

W tej chwili wszedł doktor Benson.

— Witaj, Rupercie — powiedział serdecznie. — Pewnie bardzo się denerwowałeś, ale jak widzisz, wszystko w porządku. Nie ma się czym martwić. Chcesz się napić? Chodź, siostra przełożona na pewno ma coś w szafce.

Benson najwyraźniej chciał porozmawiać. Siostra przełożona miała tylko słodką sherry, ale zawsze był to alkohol. Benson od razu poruszył temat Helen.

— Trochę się o nią martwię. Ma dopiero dwadzieścia cztery lata, jest taka młoda, a musi radzić sobie z dużym domem i dzieckiem. Wiesz, ona za tobą tęskni.

— Ja też za nią tęsknię — odparł Rupert z rozdrażnieniem — ale ona nie chce jeździć ze mną na konkursy. Zatrudniłem doskonałą nianię, a Helen od razu ją zwolniła. Prosiłem, żeby przyjechała do Aachen, jutro mam kwalifikacje olimpijskie. Będę musiał rano lecieć.

Benson wydawał się rozczarowany.

— Już jutro?

— Muszę zarabiać na życie.

— Wiem — powiedział doktor łagodnie. — Chyba bardzo byś jej pomógł, gdybyś znalazł nianię, ale młodą, pogodną dziewczynę, przy której Helen nie czułaby się zagrożona. Wtedy z czasem nabierze pewności siebie i zostawi Marcusa.

— Potrzebuje odpoczynku.

— Najlepszym odpoczynkiem będzie dla niej widok zdrowego i silnego dziecka. Jednak obawiam się, że Marcus może się okazać astmatykiem.

— Boże, jest pan pewny?

— Dość. Skoro tu jest, zrobimy badania. Jak wiesz, w takim stanie dziecku nie pomaga niepokój matki. Przy odrobinie szczęścia mały może z tego wyrośnie, a przynajmniej nauczy się z tym żyć, jak będzie starszy.

Rupert dopił swoją sherry i skrzywił się.

— Chcesz jeszcze? — zapytał Benson.

Rupert pokręcił głową. Czuł się zupełnie wyzuty z sił, był na nogach od piątej rano.

— Jakie masz plany?

— Jutro kwalifikacje, potem zawody międzynarodowe w Londynie. A jeśli wybiorą mnie do Kolumbii, krótki odpoczynek dla koni i wylot.

— A czy potem będziesz mógł zabrać Helen i Marcusa na długie wakacje?

Rupert pokręcił głową.

— W środku sezonu to praktycznie niemożliwe. Po zbyt długim odpoczynku konie tracą precyzję skoku.

Benson pokiwał głową.

— Rozumiem twój problem. Mam pacjentów tenisistów. A czy Helen ma przyjaciółkę, u której mogłaby pomieszkać?

Rupert pomyślał o Hilary, ale to chyba ona mieszała między nimi.

— Nie za bardzo. Będę musiał znaleźć nianię. Mogę zabrać Helen do domu na noc?

— Świetny pomysł, małemu nic już nie grozi. Dobrze jej zrobi oderwanie się od dziecka.

Helen była przerażona, kiedy Rupert oznajmił jej, że rano wraca na zawody. Leżała w wielkim podwójnym łożu ze ściągniętą, wyzywającą miną róży tkniętej przymrozkiem. Potem, kiedy przyszedł do niej Rupert, przekręciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit. Chciała, żeby ją głaskano, pocieszano i chwalono za to, że tak doskonale sobie radzi.

Rupert pocieszał ją w jedyny znany sobie sposób — próbując zainicjować seks. Po kilku minutach Helen się rozpłakała.

— Jezu, co się znów dzieje?

— Tak się martwię o Marcusa! Nie potrafię się wyłączyć i o nim zapomnieć, poza tym zaraz wyjeżdżasz.

— Kochanie, jutro po południu mam konkurs.

— Wciąż tylko te konie i konie! — nagle jej głos nabrał odcienia histerii. — Przecież Marcus jest chyba ważniejszy niż konkurs jeździecki?

„To rzecz do dyskusji” — pomyślał Rupert, ale głośno powiedział:

— Według Bensona nie ma się czym martwić.

Rupert wyjechał o dziewiątej rano i trafił na złą pogodę; dotarł na miejsce akurat na czas, żeby przejść tor. Znów uderzył go kontrast między śliczną, uśmiechniętą twarzą Pulpeta a zaciętą miną męczennicy, z jaką żegnała go rano Helen.

— Jak Marcus? — zapytała Pulpet. — Tak się cieszę, że dobrze się czuje. Wszyscy się bardzo martwiliśmy. Tęskniliśmy za tobą razem z Zemstą. Wczoraj wieczorem był niespokojny, więc spałam w jego boksie. Pewnie to po mnie widać.

— Szczęściarz z Zemsty — odparł Rupert. — Wygląda kwitnąco.

— Jest w doskonałej formie, wystarczy tylko, żebyś wskoczył na siodło.

„Jaka różnica między nią a Marion” — pomyślał Rupert.

Po raz pierwszy w życiu czuł, że zżerają go nerwy — to zapewne zmęczenie. Z chęcią napiłby się wódki, ale Pulpet zrobiła mu dużą filiżankę mocnej czarnej kawy. Wjeżdżał na arenę ze świadomością, że obserwują go reporterzy z całego świata.

Obawy Ruperta były nieuzasadnione. Zemsta skakał jak anioł, wręcz przefruwał nad wszystkimi przeszkodami. Po konkursie selekcjonerzy zbili się w grupkę na naradę. Wniebowzięty, niemal pewny kwalifikacji Rupert poszedł zadzwonić do Helen, która wróciła do leżącego w szpitalu Marcusa. Przez pierwsze pięć minut starannie wypytywał o samopoczucie

jej i małego, po czym przekazał, że Zemsta wygrał konkurs, szedł jak marzenie, wygrał nawet z Ludwigiem i zachwycił krytyków.

— Bardzo się cieszę — powiedziała Helen pełnym napięcia głosem.

— Kto jest z tobą? — zapytał Rupert.

— Hilary z dziećmi — odparła Helen. — Wiezie mnie i Marcusa ze szpitala, zostanie na noc. Bardzo mi pomaga.

Kiedy się rozłączyli, do Ruperta podbiegł dziennikarz niemieckiej gazety.

— Panie Black, Anglicy szadko szwycięszają sz Niemczami w tym kraju, nie?

— Nie — odparł zimno Rupert — chyba zapomniał pan o ostatnich dwóch wojnach światowych. — Po czym odszedł sztywno.

Czując, jak schodzi z niego całe uniesienie, Rupert poszedł do stajni, gdzie uszczęśliwiona Pulpet mówiła do Zemsty, przygotowując go do snu.

— No zobacz, jak ci cudownie poszło, kochany! Jedziemy do Kolumbii! Będzie trzeba zrobić ci kapelusz, żeby cię osłonić od much!

— Nie dziel skóry na niedźwiedziu — ostrzegł Rupert, sprawdzając bandaże Zemsty.

— Wyglądasz na zmartwionego — powiedziała Pulpet. Po czym dodała z rumieńcem na twarzy: — Na pewno wczoraj wieczorem ani dzisiaj rano nic nie jadłeś. Zrobiłam ci zapiekankę na kolację. Chyba nie jest zbyt smaczna, pewnie wolałbyś wyjść z Billym...

Rupert zamknął za sobą połówkę drzwi boksu.

— Wolę zostać tutaj, właśnie tutaj — powiedział cicho, przyciągając ją do siebie — a zapiekankę uwielbiam.

— Nie możemy! — pisnęła Pulpet. — Nie tutaj, na oczach Zemsty.

— Założysz się? — zapytał Rupert, przypierając ją do ściany.

Jake Lovell usłyszał wiadomość w radiu, kiedy wypełniał karty żywienia koni. Fen, która czyściła uprzęże, nie ośmieliła się na niego spojrzeć.

— Po udanych kwalifikacjach w Aachen w Niemczech — powiedział spiker — na igrzyska olimpijskie w Kolumbii wybrano następujących jeźdźców i konie: Charles Hamilton na koniu Porky Boy, Billy Lloyd-Foxe na Byku, Rupert Campbell-Black na Zemście...

Fen zachłysnęła się wstrząśnięta.

— Brian Driffield na Temperance oraz Ivor Braine jako rezerwowy.

Fen podeszła do Jake’a i objęła go.

— Tak strasznie mi przykro — powiedziała. — To ty zrobiłeś z niego wielkiego konia. Rupertowi tylko wystarczyło na niego wsiąść.

Molly Carter, zachwycona wyborem Ruperta do reprezentacji, uznała, że powinna się wybrać do Kolumbii.

— Przed wyjazdem musimy zorganizować przyjęcie na cześć Ruperta i Helen. Zadzwoń do niego, Bernardzie, dowiedz się, kiedy jest wolny, a wtedy zaprosimy resztę. I wypytaj go o hotele w Bogocie, powiedz, że na pewno postaramy się o bilety na konkurs, w którym będzie skakał Zemsta.

Pułkownik Carter odłożył słuchawkę purpurowy na twarzy.

— Dziwne. Rupe twierdzi, że Zemsta należy teraz do niego i nie ma mowy, żeby przychodził na jakiekolwiek przyjęcie.

— Och, Bernardzie — warknęła Molly. — Wiesz, jak Rupert lubi żartować. Na pewno cię podpuszczał. Ja do niego zadzwonię.

— Rupercie — powiedziała stanowczo dwie minuty później — Bernard zapewne źle cię zrozumiał. Chcemy wydać przyjęcie na twoją cześć.

— Na mnie nie liczcie — odparł Rupert krótko. — Nigdy nie mieszam interesów z rozrywką, rozmowa z pułkownikiem to był tylko interes.

— Jak możesz tak mówić! — zawołała Molly. — Po tym, co dla ciebie zrobiliśmy?

— Mogę — odpowiedział Rupert. — Wydajcie czterdzieści pięć kawałków na kupno nowych przyjaciół, bo tylko tak możecie ich zdobyć.

Billy nie wierzył, że znalazł się w reprezentacji olimpijskiej. Przez kilka dni unosił się nad ziemią w obłoku szczęścia. Szkoda mu było Lavinii, której nie wybrano, ale dla niego to lepiej. W Kolumbii nie będzie się denerwował jej obecnością.

Cała drużyna nie wypełniła formularzy ubraniowych, gdyż nie chciała kusić losu, więc teraz szyto je w ostatniej chwili. Rupert robił przy tym mnóstwo zamieszania.

— Nie założę swetra kajakarzy i to jeszcze z odznaką! — parsknął pogardliwie, rzucając niebieskim olimpijskim blezerem. — A w tych spodniach wyglądamy jak stado Wombli z kreskówki.

Billy się nie przejmował. Tak bardzo cieszył się z wejścia do reprezentacji, że zgodziłby się włożyć nawet spódniczkę z trawy. Jedynym elementem mącącym jego zadowolenie było napięcie w małżeństwie Ruperta. Billy nie lubił Hilary. Według niego była apodyktyczna, zasadnicza, siała zamęt w domu i miała bardzo zły wpływ na Helen. Teraz wciąż przebywała w pobliżu, karmiąc dziecko piersią w salonie albo ładując łyżeczką brązowy ryż do buzi małej Germaine. Choć nie pochwalała paskudnych kapitalistycznych nawyków Ruperta, bez skrupułów częstowała się jego napojami i całymi dniami używała jego pralki. Nie można było uprać bryczesów, bo w pralce wciąż wirowały pieluchy.

Wymówką ciągłej obecności Hilary był portret Helen. Podobnie jak wcześniejszy jej szkic pokazała Helen jako nieszczęśliwą ofiarę, chudą, z ogromnymi oczami i łzami spływającymi strumieniem po zapadłych policzkach. Rupert, który jak większość bogatych nie cierpiał wolnych strzelców, tak się tym irytował, że pewnego wieczoru po wypiciu połowy butelki whisky zakradł się do pokoju i domalował portretowi wielkie czarne

wąsy i brodę oraz dymek wychodzący z ust Helen, w którym napisał „Monica Carlton pierwsza mnie wzięła”.

Billy padł ze śmiechu, Helen była wściekła. Hilary zrobiła zbolałą minę, przyjęła postawę „przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią” i zaczęła kolejny portret. Rupert nie osiągnął niczego.

Pewnego dnia, kiedy Helen podawała Marcusowi wieczorną butelkę, Billy spróbował do niej zagadać.

— Aniołku, nie chcę się wtrącać, ale według mnie powinnaś pojechać do Kolumbii.

— Nie mogę zostawić Marcusa.

— No to weź go ze sobą.

— Jest za mały, nie poradzi sobie w tamtejszym klimacie.

Billy spróbował innego argumentu.

— Wiem, że Rupe wydaje się twardy z wierzchu, ale potrzebuje czułości, przede wszystkim od ciebie. Duma nie pozwala mu prosić, ale wiem, że bardzo mu zależy na tym, żebyś z nim pojechała. Hilary mogłaby się zająć Marcusem.

Helen z przerażoną miną mocniej przytuliła Marcusa do siebie.

— Kiedy miał krup i bałam się, że umiera, obiecałam sobie, że nigdy go nie zostawię.

— Masz również męża.

Jednak Helen była nieugięta.

Ostatnim konkursem przed igrzyskami były królewskie zawody międzynarodowe. Rupert i Billy zostawili Byka i Zemstę na zasłużony odpoczynek w Gloucestershire, a do Londynu zabrali Kitchenera, Belgravię i kilka nowych koni. W środę Billy na Kitchenerze wygrał Puchar Króla Jerzego V, męskie zawody w skokach, jedne z najbardziej prestiżowych na świecie.

Następnego wieczoru, podczas gdy kobiety rywalizowały o Puchar Królowej Elżbiety, cała brytyjska drużyna olimpijska, oprócz Ruperta, który miał jakieś niesprecyzowane plany, wyszła na miasto. Zaczęli od pubu Pod Złotym Lwem w West Endzie. Ivor, Billy i Humpty postawili po kolejce i specjalnie opóźniali wyjście, sprawdzając, czy uda im się nakłonić Driffielda, by również sięgnął do kieszeni.

— To moje — powiedział Billy, kiedy barman próbował sprzątnąć drugą połówkę jego toniku. — Mam nadzieję, że ktoś mi postawi drugą połowę.

Spojrzał znacząco na Driffielda i włożył sobie butelkę z tonikiem do kieszeni na piersi. Nadal dochodził do siebie po wygranej, ludzie wciąż go zaczepiali i gratulowali zwycięstwa oraz zakwalifikowania się na igrzyska. Rozejrzał się wokół i uświadomił sobie obecność kilku pięknych dziewcząt w letnich sukienkach, które śledziły go wzrokiem z widocznym entuzjazmem. Billy chętnie umówiłby się z którąś. Był piękny lipcowy wieczór, zachodzące słońce oświetlało zakurzone platany na skwerze, drzwi baru stały otworem, ludzie pili na ulicach.

— Pić mi się chce, Driff — oznajmił.

— Mnie też — dodał Humpty.

— Nie wiedziałem, że chce ci się jeść — powiedział zaskoczony Ivor.

— Mówiłem, że chce mi się pić, Driff — powtórzył Billy, mrugając do pozostałych.

Rzucił niedopałkiem w kierunku otwartych drzwi, ale nie trafił i papieros wylądował na kolanach dziewczyny w ciemnoróżowej sukience, siedzącej na pobliskiej ławce.

— Boże! — Billy podbiegł do niej w pośpiechu. — Strasznie przepraszam! — kiedy jednak pochylił się, żeby zdjąć niedopałek, butelka z tonikiem wypadła mu z kieszeni i jej zawartość wylała się na sukienkę dziewczyny.

— Na miłość boską, człowieku, uważaj! — warknął towarzysz dziewczyny.

— O cholera! — zmartwił się Billy. — Bardzo przepraszam!

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

— Nic się nie stało, za moment wyschnie. Jest tak gorąco, że spontaniczny prysznic to sama przyjemność.

Billy spojrzał na jej twarz i poczuł, jak serce mu przyspiesza. Z pewnością była to jedna z najładniejszych dziewczyn, jakie widział w życiu. Miała gładką brązową skórę, lekko zaróżowioną na kościach policzkowych, skośne ciemnobrązowe oczy, zadarty nos, grzywę ciemnych włosów z jaśniejszymi pasemkami i pełne usta, gładkie i purpurowe jak pączek fuksji. Różowa sukienka ukazywała przynajmniej dziesięć centymetrów szczupłego brązowego uda oraz wspaniały rowek na dekolcie.

Billy nie mógł oderwać od niej wzroku.

— Bardzo, bardzo przepraszam — powtórzył oszołomiony.

— Naprawdę nic się nie stało — odparła dziewczyna, ciesząc się wrażeniem, jakie na nim wywarła.

Billy wziął się w garść. Wyjął jedną z niebieskich jedwabnych chusteczek Ruperta i zaczął wycierać popiół, ale tylko go rozmazał.

— A niech to, wygląda jeszcze gorzej. Słuchaj, kupię ci nową sukienkę.

— Nie ma potrzeby — wtrącił ostro towarzysz dziewczyny. Miał około trzydziestu pięciu lat i bladą, spoconą twarz, jeszcze bardziej wygniecioną niż jego szary garnitur.

— No to postawię wam po drinku. Na co macie ochotę?

— Dość kłopotu narobiłeś — odparł mężczyzna. — Może sobie pójdziesz?

— Nie bądź niemiły, Victorze — wtrąciła dziewczyna swoim miękkim, lekko ochrypłym głosem. — Z przyjemnością się napijemy.

Mężczyzna zerknął na zegarek.

— Spóźnimy się. Stolik jest zamówiony na dziewiątą, a oni nie lubią czekać.

— Na mnie poczekają — powiedziała dziewczyna lekko.

— Każdy by poczekał — dodał Billy. — Jednego szybkiego?

Mężczyzna jednak wstał.

— Nie, bardzo dziękuję — powiedział wyniośle.

— Muszę do łazienki — odezwała się dziewczyna. — Vic, idź po taksówkę.

Billy czekał, aż dziewczyna wyjdzie z łazienki, przy wtórze kpinek i dopingu reszty jeźdźców. „Co zrobiłby w tej sytuacji Rupert?” — zadał sobie pytanie. Zapewne podszedłby do niej i zdobył numer telefonu, ale nie mógł tego zrobić z wiszącym mu nad głową przerażającym Victorem.

Kiedy wyszła, uderzyła go nowa fala upajającego zapachu. Dziewczyna jeszcze bardziej nastroszyła czuprynę i mocniej pomalowała usta. Billy miał ochotę scałować całą karminową szminkę, może wtedy te pełne usta rozwiną się jak pączek fuksji. Zaczerpnął powietrza.

— Nie chcę się narzucać, ale jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem.

— To miłe — odparła.

— Nazywam się Billy Lloyd-Foxe.

— Wielki skoczek — odezwała się drwiąco. — Wiem. Wczoraj wygrałeś Puchar Króla.

Billy się zarumienił.

— Bardzo chciałbym znów się z tobą spotkać.

Uśmiechnęła się. Zauważył szczelinę między białymi, nieco nierównymi zębami oraz malinowy język świadczący o dobrym trawieniu.

— Spotkamy się. — pogłaskała go dłonią po policzku. — Obiecuję. O, zobacz, Victorowi udało się złapać taksówkę. Wspaniale!

Wybiegła na ulicę, a on nawet nie zapytał jej o imię. Zero punktów na dziesięć za inicjatywę. Gdyby Rupert to zobaczył, zlinczowałby go. Ale gdyby Rupert tu był, dziewczyna odeszłaby z nim.

Resztę tygodnia Billy spędził na zawodach, nie mogąc usiedzieć na miejscu, modląc się o pojawienie się dziewczyny z pubu. Po Lavinii przysiągł sobie, że nigdy już nie pozwoli, żeby jakakolwiek kobieta zaszła mu za skórę — a oto znów nabił sobie głowę marzeniami o nieznajomej. Nawet w gorączce przygotowań olimpijskich nie potrafił o niej zapomnieć.

W tygodniach przedolimpijskich Jake’a Lovella dopadło wielkie przygnębienie. Potem, nie czując się na siłach stawiać czoło zamieszaniu i fali histerycznego szowinizmu towarzyszącej igrzyskom, poleciał na Bliski Wschód w poszukiwaniu Macaulaya. Znalazł szejka, który go kupił, ale kiedy dotarł na miejsce, po żmudnym wyciąganiu informacji z niechętnych informatorów, dowiedział się, że Macaulay faktycznie zszargał sobie opinię, zrzucając samego szejka i mniej niż sześć tygodni przed przyjazdem Jake’a został sprzedany handlarzowi, który nie prowadził rejestrów i nie mógł, a zapewne i nie chciał pamiętać, do kogo trafił.

Jake zwrócił się do ambasady brytyjskiej, ale oni nie palili się do pomocy. Właśnie kończyli zawieranie dużej umowy o sprzedaż ropy i nie chcieli psuć sobie stosunków z kontrahentem. Po wielu namowach wysłali Jake’a do panny Blenkinsop prowadzącej w stolicy schronisko dla koni i — z tego, co Jake widział — stanowiącej cierń w oku władz, gdyż wiodła samotną wojnę przeciwko okrutnym praktykom stosowanym na Bliskim Wschodzie i obojętności wobec losu zwierząt.

Panna Blenkinsop okazała się chudą, żylastą kobietą pod sześćdziesiątkę, całkowicie pozbawioną sentymentalizmu, o rzeczowym, aseksualnym

sposobie bycia osoby, która zawsze wolała zwierzęta niż ludzi.

Dała Jake’owi listę z sześćdziesięciu paru adresami, pod którymi mógł znaleźć konia.

— Mam nadzieję, że masz silne nerwy, bo zobaczysz nieprzyjemne sceny. Arabowie uważają, że zabicie konia przynosi pecha, więc zmuszają je do pracy, póki same nie padną, nie uznają też przesadnego karmienia i pojenia. Twojego konia zapewne sprzedali na północ. To jak szukanie igły w stogu siana, ale masz tutaj szkółki jeździeckie i kamieniołomy, najbardziej prawdopodobne miejsca w promieniu siedmiu kilometrów od miasta. Jeden z moich chłopców będzie ci służył za tłumacza. To mały krętacz, ale mówi dobrze po angielsku, a jeśli chcesz, pożyczę ci samochód.

Dla Jake’a było to doświadczenie przerażające. Już przedtem był w złym stanie emocjonalnym, a nigdy dotąd nie widział takiego okrucieństwa. Jak w jakiejś potwornej przeróbce szkółki jeździeckiej Brook Farm oglądał szkielety, kulawe, często ślepe, oszalałe z pragnienia, powłóczące kopytami po padokach dla uczniów lub ciągnące niemożliwe do uniesienia ciężary po ulicach lub w kamieniołomach, bite, aż padały, po czym biciem znów zmuszane do pracy.

Przez pięć dni odwiedził wszystkie adresy podane mu przez pannę Blenkinsop, wręczając łapówki, zdobywając informacje, dopytując o wielkiego czarnego konia z białym pyskiem i jedną wysoką białą skarpetką. Nikt go nie widział. Ze ściśniętym do bólu żołądkiem, zupełnie rozbity, wracał co wieczór do taniego hotelu bez klimatyzacji, z karaluchami na ścianie i całkowitym zakazem alkoholu. Piątego wieczoru nie oparł się pokusie obejrzenia transmisji z konkursu indywidualnego na igrzyskach i włączył czarno-biały telewizor. Przy wjeździe Billy’ego na tor obraz skakał, ale jak na złość poprawił się, kiedy Rupert na Zemście przejechał dwie heroiczne kolejki i wygrał brąz. Ludwig zdobył złoto na swojej wielkiej

klaczy hanowerskiej o imieniu Clara. Carol Kennedy, amerykański jeździec numer jeden, wywalczył srebro.

Przygnieciony rozpaczą i nienawiścią Jake poszedł do swojej klitki i przeleżał do świtu na łóżku, paląc papierosy. Niemal skończyły mu się pieniądze i adresy. Dzisiaj z pustymi rękami wraca do domu. Około siódmej chyba przysnął, bo obudził go telefon.

Była to panna Blenkinsop.

— Nie rób sobie nadziei, ale być może znalazłam twojego konia. Wprowadza spore zamieszanie w kamieniołomie — i podała mu adres. — Jeśli to on, nie jedź tam sam, bo się zorientują, że ci zależy i podbiją cenę do nieba. Zadzwoń do mnie, przyjadę i będę się targować.

W pierwszej chwili Jake nie był pewny, wałach o wielkim pysku był żałośnie chudy i tak mocno przyprószony warstwą białego pyłu, kiedy chwiejnym krokiem, raz do przodu, raz do tyłu, ciągnął ciężki wóz kamieni, że nie dało się odróżnić białego pyska ani białej skarpetki. Potem poganiacz pięć razy uderzył go biczem w zapadnięte boki, aż pojawiło się pięć ciemnych pręg i koń ze wściekłym rżeniem obrócił się i kłapnął pyskiem na woźnicę, ukazując po drugiej stronie białe oko.

„To on! — pomyślał Jake podniecony. — Prędzej złamią mu grzbiet niż ducha!”

Panna Blenkinsop z dużym trudem przekonała arabskiego właściciela do rozstania się z Macaulayem. Chociaż agresywny, koń był najsilniejszym zwierzęciem, jakiego Arab posiadał, i mógł jeszcze przez pół roku pracować. Jednak wyjątkowo brzydka Angielka oferowała cenę tak wysoką, że nie sposób było odmówić. Za te pieniądze kupi pół tuzina innych końskich wraków.

Kiedy Jake podjechał furgonetką panny Blenkinsop, okazało się, że Macaulay się w niej nie zmieści, więc Jake bardzo powoli poprowadził go

ulicą pełną pojazdów i ludzi.

Macaulay ze zmęczenia dwa razy niemal upadł na ziemię, a kilka razy otarli się o śmierć, kiedy obok przemknęli wzbogaceni na ropie Arabowie w wielkich limuzynach. Jednak koń nie okazywał strachu — był już zbyt zobojętniały. Jake'a poruszyło to, że wierzchowiec wydawał się go rozpoznawać z czasu, kiedy opatrywał jego rany po pobiciu przez Ruperta w Madrycie. Gdy Jake podszedł do niego, koń spojrzał na niego nagle rozbłysłymi oczami i krótko prychnął na powitanie.

Wieczorem, kiedy już możliwie jak najwygodniej ulokował konia, Jake zjadł kolację z panną Blenkinsop, która zasłoniła okna i postawiła na stole butelkę starej madery. Po dwóch kieliszkach Jake stwierdził, że jest pijany. Po arabskim jedzeniu makaron z serem, którym poczęstowała go Angielka, smakował wspaniale.

Jake zawsze z trudem zdobywał się na podziękowania, gdyż obawiał się uznania tego za objaw słabości.

— Nie wiem, jak ci dziękować — wymamrotał w końcu.

— Nie dziękuj — odparła panna Blenkinsop. — Zrób coś. Po powrocie do Anglii opowiedz o tym. Potrzebujemy pieniędzy, nie współczucia, oraz przepisów zabraniających sprzedaży koni na Bliski Wschód.

— Gdyby udało mi się z powrotem wprowadzić Macaulaya na tor — powiedział Jake — byłaby to dla ciebie najlepsza reklama i na pewno pieniądze popłynęłyby strumieniem.

— Jest w bardzo kiepskim stanie. Myślisz, że ci się uda?

Jake wzruszył ramionami.

— Jest młody. Moja babka wyleczyła kiedyś klacz ze złamaną nogą, owinęła ją bandażem z żywokostem. Klacz potem wygrała cztery wyścigi. Na pewno zrobię, co się da.

Przez chwilę zatopiony w myślach wpatrywał się w swój kieliszek, po czym podjął:

— Miałem kiedyś konia o imieniu Żeglarz. Przyjechał do mnie półżywy, a w końcu bardzo dobrze sobie poradził.

Kiedy Jake z Macaulayem wrócili do Anglii, wieści o srebrnym medalu drużynowym dla Wielkiej Brytanii, wygranym dzięki doskonałemu przejazdowi Billy’ego, nie wytrąciły go z równowagi.

24

KRÓLOWIE WRÓCILI DO DOMU. Po wykańczającej trzydziestogodzinnej podróży z Kolumbii na lotnisko Stansted Byk i Zemsta pod opieką Tracey i Pulpeta wyspały się na podwórku pułkownika Roxborough. Następnego dnia dziewczyny zawiozły konie na Heathrow, na spotkanie z Billym i Rupertem. Musiały trochę poczekać, gdyż na lotnisku panowało gorączkowe podniecenie. Wszędzie kręcili się reporterzy i kamerzyści, policja powstrzymywała wielki tłum. Wielka Brytania nie zdobyła na igrzyskach aż tylu medali, by nie czuć wielkiej dumy także z brązu i srebra w skokach.

W końcu około szesnastej całą grupą wyruszyli do Penscombe, w doskonałych nastrojach, po drodze racząc się kilkoma butelkami szampana. Tracey wkrótce zaczęła się śmiać szczekliwym głosem hieny, jedynie Pulpet miała smutną minę. Za kilka godzin Rupert znów większość czasu zacznie spędzać z Helen. Próbowała się pocieszać, że przecież pojadą jeszcze na kolejne konkursy. Za Cirencester Rupert został zatrzymany za przekroczenie prędkości. Policjant z poważną miną wyjął notes, po czym poprosił o autografy. Na widok ciężarówki z napisem „Rupert Campbell-Black i Billy Lloyd-Foxe, Wielka Brytania” przechodnie zaczynali wiwatować. Nawet Rupert był poruszony powitaniem, coraz gorętszym w miarę zbliżania się do domu. Na wjeździe do Chalford na ulicach stał szpaler ludzi wiwatujących, powiewających flagami brytyjskimi i trzymających transparenty z napisami: Billy i Rupert, dobra robota! Niech żyją Byk i Zemsta!

Rupert zerknął na przyjaciela.

— Może pojedziemy do domu wierzchem?

Billy pokiwał głową, gdyż wzruszenie nie pozwalało mu wydobyć głosu z gardła.

Konie wciąż były zmęczone, ale szczęśliwe, że wypuszczono je z samochodu i że znalazły się na znajomym terenie. Byk co chwilę przystawał na środku głównej ulicy w Chalford, wywołując zachwycone okrzyki gapiów i fotoreporterów.

Wiwaty towarzyszyły im przez całe pięć kilometrów do domu. Rupert i Billy jechali konno przodem, a za nimi Tracey i Pulpet w samochodzie, trąbiąc na wiwat. Trzy kilometry przed domem spotkali Henriettę, jedną z młodszych stajennych, która wyszła im na spotkanie z uszczęśliwionym Borsukiem i Mavis — oba psy miały przywiązane do obroży czerwone, białe i niebieskie kokardy. Billy posadził Mavis w siodle przed sobą, a suczka od razu zaczęła z zapałem wylizywać jego słoną twarz, wskutek czego Byk musiał sam trafić do domu, bo Billy jedną ręką trzymał mocno Mavis, a drugą wycierał oczy. Jednak wierzchowcowi to nie przeszkadzało. Obwieszony girlandami kwiatów w drodze między Chalford i Penscombe przybrał pewnie dobre kilka kilogramów od wszystkich cukierków, marchewek i cukru, którymi po drodze częstowali go wielbiciele.

Rupertowi Penscombe jeszcze nigdy nie wydawało się tak piękne jak w to złociste wrześniowe popołudnie. Podziwiał widok na dolinę zmiękczony i rozmyty przez leciutką błękitną mgiełkę oraz wielkie jasnokremowe połacie powojnika. Na wieży kościoła w Penscombe lśnił kurek. Nagle na spotkanie wyszła im wiejska orkiestra — muzycy spoceni w czerwonych tunikach nieco fałszywie odegrali *Land of Hope and Glory*.

— Tego już naprawdę za wiele! — powiedział Billy, na pół ze śmiechem, na pół ze łzami, kiedy orkiestra z hałasem zatrzymała się przed nimi, odwróciła i poszła przodem, grając *Rule Britannia*. Wieś udekorowano jak

na królewskie wesele: flagi na każdym domu, wielki banner w poprzek ulicy z napisem: Witamy naszych czterech bohaterów. Fotoreporterzy biegli chodnikami, trzaskając zdjęcia. Przy pomniku ofiar wojny czekał na nich burmistrz, podał im rękę i odczytał przemówienie powitalne z kartki, którą Zemsta usiłował zjeść. Rupert rozglądał się za Helen. „Nawet nie chciało się jej do mnie wyjść” — pomyślał wściekły.

I nagle zobaczył ją na chodniku w żółtej sukience bez rękawów, z Marcusem na rękach, z niespokojną miną, niepewną, jak zostanie powitana. Rupert od razu zeskoczył z siodła i zaczął ją namiętnie całować, uważając jednak, by nic nie zrobić Marcusowi. Fotoreporterzy oszaleli.

— Pokaż medale, Rupe! — wołali.

Rupert więc supernonszalanckim gestem wyjął medale z kieszeni i zawiesił je na szyi Marcusa. Jednak kiedy wziął go na ręce i próbował przytulić, mały zesztywniał i rozpłakał się na całe gardło, więc Rupert podał go z powrotem Helen. Ta z niedowierzaniem spojrzała na Ruperta. Hilary spędziła tyle czasu, obrzydzając jej męża, że już zapomniała, jaki jest przystojny nawet po długiej podróży samochodem i jeszcze dłuższym locie. Wśród tych histerycznie wiwatujących tłumów, roześmiany i dowcipkujący, znów przypominał jej boga. Dopiero w tej chwili zaczęła do niej docierać cała waga jego osiągnięcia.

Wzięła do ręki brązowy i srebrny medal i zaczęła je oglądać z ciekawością.

— Udało ci się, naprawdę ci się udało! Och, Rupercie, jak ja za tobą tęskniłam! — Nagle uświadomiła sobie, że mówi prawdę. Zdała sobie też sprawę, że od zajścia w ciążę trzymała go za bardzo na dystans.

— Naprawdę? — zapytał Rupert, poważniejąc.

— Naprawdę. Czy możemy spędzić trochę czasu razem i spróbować zacząć od nowa?

Rupert znów zaczął ją całować. Czuł się nieskończenie szczęśliwy.

— Ale zwolnisz Thrillary.

Helen zgromiła go wzrokiem, po czym zachichotała.

— Nie jesteśmy aż tak blisko, trochę za bardzo lubi przewodzić.

— Jest gorszą szowinistyczną męską świnią ode mnie — stwierdził Rupert.

Następnego dnia po całym zamieszaniu Billy z zawstydzeniem stwierdził, że nie może usiedzieć w miejscu i przygniata go poczucie zawodu. Po sprawdzeniu koni postanowił zrobić sobie dzień wolny i większą część przedpołudnia spędził, otwierając pocztę. Srebrny medal zaowocował napływem niezliczonych ofert darmowych przekąsek dla koni, uprzęży, derek i bryczesów. Producent ciężarówek proponował mu sporą sumę za kampanię reklamową w prasie. Kilka stacji telewizyjnych podsuwało obietnice sutych wynagrodzeń za prawa do sfilmowania jego biografii.

— Będę musiał przejść na zawodowstwo — powiedział półżartem do sekretarki, panny Hawkins.

Może jego przygnębienie wynikało z faktu, że wśród płynących zewsząd gratulacji zabrakło listu od wspaniałej dziewczyny, którą spotkał w pubie Pod Złotym Lwem. Otwierając każdy nowy list, miał nadzieję, że to od niej, ale skoro nie poznał imienia dziewczyny, i tak by się nie dowiedział, czy to faktycznie ona. Po raz tysięczny wyrzucał sobie, że w odpowiedniej chwili nie zdobył się na większą odwagę.

— Jakiś Jamie Henderson z gazety poprosił o wywiad — powiadomiła go panna Hawkins. — Wpisałam go na niedzielę, pomyślałam, że może zabierzesz go do pubu na lunch, bo przyjeżdża aż z Londynu. Zresztą to jedyny możliwy dzień, bo już w poniedziałek wyjeżdżasz do Aten, Portugalii i Niemiec.

Była zachwycona, że chociaż raz Billy dorównał popularnością Rupertowi.

— Jego lordowska wysokość jeszcze w łóżku? — zdziwiła się. — Czyżby przeżywali drugi miesiąc miodowy?

Kiedy nastrój nadal nie chciał mu się poprawić, Billy uznał, że może to widok szaleńczo zakochanego Ruperta i Helen tak na niego działa. Helen zgodziła się zatrudnić nianię. Rupert z kolei zgodził się częściej bywać w domu i więcej czasu spędzać z rodziną. Billy cieszył się ich szczęściem, ale to tylko uwypuklało jego własną samotność. Jaki sens ma bycie zdobywcą, kiedy nikogo się nie zdobyło?

W dniu wizyty Jamiego Hendersona Billy wstał wcześnie z powodu upału, potrenował konie, które tego potrzebowały, potem wypuścił Byka na powietrze, żeby się nacieszył pięknym dniem. Strumień płynący dnem doliny niemal ginął pod naręczami wiązówki, a jadąc do domu, Billy słyszał, jak Borsuk wyje przy wtórze dzwonów kościelnych.

W ramach kampanii zbliżania się Helen i Rupert z Marcusem właśnie wyjeżdżali na lunch, kiedy Billy stanął w drzwiach wejściowych.

— Będziemy jedli w Paington-Laceys — powiedziała Helen — więc ty i dziennikarz macie dom dla siebie. Nie musicie wyjeżdżać na lunch, w spiżarce jest kurczak na zimno i sałatka ziemniaczana, umyłam sałatę. Wystarczy wylać na nią sos francuski. I nie zostawiaj masła na słońcu — dodała.

— To dziecko podróżuje z większym bagażem niż konie! — dziwił się Rupert, wynosząc do samochodu niebieski nocnik w jednej ręce, paczkę pampersów w drugiej i kilka butelek pod pachą.

— W Paignton-Lacey nigdy nie ma co pić.

Billy wziął od Helen fotelik i położył w tyle. Kiedy machał im do wtóru wrzasków Marcusa i muzyki Vivaldiego z radia samochodowego, Rupert

spojrzał na niego i uniósł oczy do nieba.

Billy wykąpał się, włożył czystą koszulę i dżinsy. Denerwował się, bo nigdy nie wiedział, co powiedzieć dziennikarzom. Usiadł przed domem z karafką likieru Pimm’s i niedzielnymi gazetami, wciąż pełnymi komentarzy o olimpiadzie. „Sunday Express” zamieścił jego zdjęcie, całkiem ładne, a „Telegraph” w tytule napisał o cieniu Ruperta wychodzącym z cienia. To Billy’ego również uradowało. Zdjął koszulę, spróbuje utrwalić olimpijską opaleniznę.

Karafka likieru skończyła się dziwnie szybko. Teraz dolina wydawała się jeszcze piękniejsza. W sadzie czerwieniały jabłka, psy dyszały na trawnikach, w astrach brzęczały owady. Wrzesień to przepiękny miesiąc. dlaczego nie ma go z kim dzielić?

Spojrzenie Billy’ego przyciągnął szmaragdowy volkswagen, który zatrzymał się na drodze biegnącej grzbietem doliny w kierunku Penscombe. Billy zerknął na zegarek. Jamie Henderson się spóźniał.

Rozległ się dzwonek do drzwi, a po nim wściekłe szczekanie. Potem odezwał się głos:

— Spokojnie, leżeć. Nie jestem wrogiem.

Billy poszedł do hallu. Po wejściu z oślepiającego słońca potrzebował kilku sekund, żeby rozpoznać sylwetkę w drzwiach. W białych krótkich spodenkach i czerwonej koszuli, z włosami wyzłoconymi słońcem, długimi nogami i doskonałym ciałem zwieńczonym cudownym biustem stała w nich dziewczyna z pubu Pod Złotym Lwem.

— Przywiozłam ci frezje — powiedziała. — Co prawda powinnam przywieźć goździki odmiany Słodki William.

Billy otworzył usta i znów je zamknął.

— Chyba śnię — powiedział powoli. — Ale proszę, nie budź mnie.

Dziewczyna podeszła i bardzo delikatnie uszczypnęła go w nagą rękę.

— Nie śpisz, skąd. Czyż nie obiecałam, że znów się spotkamy?

— Wiem, ale nie wierzę w to szczęście. Chodź do kuchni, zrobię ci coś do picia. Miałem karafkę likieru Pimm’s, ale wypiłem wszystko, czekając na jakiegoś nudnego dziennikarza, który chciał przeprowadzić ze mną wywiad.

— To ja.

— Co powiedziałaś?

— To ja. Janey Henderson.

— O Boże, nasza sekretarka wpisała „Jamie”. Spodziewałem się faceta. Naprawdę jesteś dziennikarką?

Dziewczyna pokiwała głową i wyciągnęła do niego ręce dłońmi do góry.

— Zobacz, mam na rękach ślady atramentu.

Billy wyjął jabłko, ogórka i pomarańczę i zaczął je kroić. Janey podziwiała jego szerokie plecy w kolorze mahoniu.

— Ale się opaliłeś! Pewnie w Kolumbii. Przy okazji gratuluję, oglądałam cię w telewizji.

— To nie ja, to zasługa Byka. Byłem przerażony i zupełnie przestałem myśleć. On sam mnie poprowadził. Wezmę jeszcze tylko trochę mięty. — Billy wyszedł przez okno z kuchni, pobiegł na grządki z ziołami i wrócił. — Wiesz, nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę jesteś dziennikarką?

Janey uśmiechnęła się szeroko.

— I to całkiem dobrą. — wzięła od niego miętę, zaczęła odrywać listki i wrzucać je do dzbanka.

— O rany — powiedział Billy. — Powinienem skojarzyć twoje nazwisko?

— Raczej nie, skoro nie czytasz mojej gazety. Chcą zamieścić duży artykuł o tobie.

— Nie czytam za dużo — powiedział ze skruchą Billy. — Helen, żona Ruperta, zawsze oskarża nas o intelektualne lenistwo.

— Umiesz odczytać przepis na butelce Pimmsa, to mi wystarczy.

— Wyjdziemy na dwór?

Janey się zawahała, nie chciała się zarumienić od gorąca i błyszczeć od potu.

— Możemy przestawić ławkę w cień — dodał Billy.

— Chcieli dać mi fotografa, ale powiedziałam, że zepsuje mi występ. — sposób, w jaki jej spojrzenie wędrowało przy tych słowach po jego twarzy i ciele, sprawił, że Billy poczuł nagłą falę gorąca i podniecenia.

Janey usiadła w cieniu, Billy w słońcu i zaczęli rozmawiać o Byku.

— Naprawdę go uwielbiam — powiedział Billy. — Za jego starania, poza tym jest piękny.

— Tak jak ty — odparła Janey.

Teraz Billy nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Czy to prawda, że zastanawiasz się nad przejściem na zawodowstwo?

Billy przytaknął.

— Spróbowałem sił na olimpiadzie, więc nie mam już powodu, by się z tego wycofać. Poza tym nie mogę wciąż mieszkać z Rupertem, mam dwadzieścia siedem lat.

— Nie jest wam trudno we trójkę?

— Mnie nie, ale im pewnie czasami tak.

— Nie przeszkadzają im twoje późne powroty i to, że przywozisz dziewczyny?

— Ostatnio niewiele ich było.

— A co z Lavinią Greenslade?

Zanim odpowiedział, dolał jej drinka do szklanki.

— Kiedy wyszła za Guy, bardzo mnie to zdołowało, ale przynajmniej miałem się czego uchwycić, konie. Po naszym rozstaniu miałem najlepszy sezon w życiu.

— Już ci przechodzi?

Billy wyłowił z napoju plasterek jabłka.

— Tak, przeszło mi w pubie Pod Złotym Lwem jakieś sześć tygodni temu. Dokładnie rzecz biorąc, było to sześć tygodni i trzy dni.

Billy przysunął się do Janey i wziął ją za ręce.

— Nie wiedziałem, jak cię odnaleźć. Za każdym razem, kiedy w Kolumbii udzielałem wywiadu, chciałem tylko powiedzieć, że mam wiadomość dla dziewczyny z pubu pod Złotym Lwem. Nawet trochę przypominasz lwa i że chciałbym ją prosić, żeby wróciła. Więcej czasu myślałem o tobie, niż przejmowałem się zawodami.

Nagle uderzyła go potworna myśl.

— Nie masz męża ani narzeczonego, co?

Janey pokręciła głową.

— A przy okazji, z sukienki udało się sprać popiół.

Billy niechętnie puścił jej dłonie.

— Rozmawiasz z wieloma ludźmi?

— W zeszłym tygodniu z Robertem Redfordem, dwa tygodnie temu z Cassiusem Clayem.

Billy poczuł, że robi mu się słabo.

— Ale nie poznałaś ich w pubie? — upewnił się.

Skończyli likier i wciąż nie mogli się nagadać. Billy nigdy jeszcze nie czuł tak silnego pociągu. Janey lśniła, poza tym umiała rzucać na niego tak zalotne spojrzenia i zerkać spod rzęs, że Billy’emu z pożądania kręciło się w głowie.

Z powodu upału zjedli lunch w kuchni. Początkowo Billy usiadł naprzeciw dziewczyny, potem przeszedł na drugą stronę i zasiadł obok.

— Masz zapewne setkę rodzeństwa?

— Tak, jestem najmłodsza. Wszyscy inni już są po ślubie, matka straciła nadzieję, że się mnie pozbędzie.

— To bzdura. Ile masz lat?

Janey zamilkła na chwilę.

— Dwadzieścia cztery.

Żadne z nich nie zjadło wiele, ale wypili jedną butelkę muscadeta i zaczęli kolejną.

— Mam nadzieję, że artykuł się uda — westchnęła Janey. — Moje notatki nie są za dobre. Jak długo tu mieszkasz? — zapytała.

— Od dwudziestego pierwszego roku życia, chociaż wcześniej czasami przyjeżdżałem tu na wakacje. Już wtedy uwielbiałem to miejsce. Jeśli się z Rupertem pokłóciliśmy, szedłem w dolinę, dalej ciągnie się łąka ze stawkiem. Szukałem tam zimorodka.

— Jaki on jest?

— Rupert? Och, świetny. Znamy się dobrze, prawie jak w małżeństwie.

Janey odłożyła długopis i notatnik, po czym zwodniczo swobodnym tonem zagadnęła:

— A jakie jest jego małżeństwo? Tak prywatnie.

— Bardzo szczęśliwe — odparł stanowczo Billy. Znał dziennikarzy, wiedział, że zawsze próbują wyciągnąć coś z niego na temat Ruperta.

— Teraz na pewno oboje są pod wielką presją. Helen ma małe dziecko i nie może jeździć z Rupertem, a za nim dziewczyny biegają.

— Poradzili sobie z tym, a jeśli poznałaś Helen, to widziałaś, jaka jest oszałamiająca. Nikt by jej nie zostawił. Zresztą po każdym jego powrocie zawsze przeżywają miesiąc miodowy.

Rany, miał nadzieję, że nie wkopał Ruperta, ale z jakiegoś powodu chciał przekonać Janey, że małżeństwo ze skoczkiem nie jest niemożliwe.

— Czy możemy iść do Byka?

— Umiesz jeździć? — zapytał Billy.

— Próbowałam, ale kiedy koń zaczyna biec, nie mogę utrzymać się w siodle.

Billy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ja cię nauczę.

Tymczasem słońce już się zniżało i świeciło prosto w oczy.

— Może pójdziemy na twoją polankę? — zaproponowała Janey.

— Dobrze — zgodził się Billy. — Zostaw swój notes, nie będziesz go potrzebować.

Nie było najlżejszego powiewu, ale upał nieco zelżał; popielate jesiony wydawały się drżeć w cichym powietrzu. Krowy położyły się na trawie, a źrebięta na rozległym polu próbowały zmieścić się wszystkie w szopie, żeby uciec przed muchami.

Kiedy szli, ich dłonie muskały się co jakiś czas. Janey czuła dotyk ścierniska na stopach w sandałach. Ścieżka się zwęziła, więc dziewczyna wysunęła się naprzód, a Billy podziwiał jej długie, gładkie i opalone nogi. Na widok ud poniżej białych szortów zaschło mu w gardle.

— Zawsze przychodzę tutaj, kiedy jest mi bardzo dobrze albo bardzo źle, na przykład kiedy wyrzucili mnie z reprezentacji brytyjskiej albo kiedy wytypowali na igrzyska.

Janey rzuciła mu kolejne długie spojrzenie i zerwała jeżynę.

— A jak się czujesz teraz?

— Nie jestem pewny, to zależy od ciebie.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Zeszli do wąskiego strumyka zarośniętego niezapominajkami i firletkami, jak zauważyła, niemal

wyschniętymi.

„W przeciwieństwie do mnie” — pomyślała Janey.

Dotarli do przejścia nad ogrodzeniem. Po prawej mieli porośniętą mchem starą ścieżkę prowadzącą wzdłuż zagajnika topoli.

— A niech to! — zawołał Billy, spoglądając na drogę. — Zarosła pokrzywami. Poparzą cię — dodał, kiedy Janey przeszła górą na drugą stronę. — Przeniosę cię.

— Nie! — pisnęła Janey, odsuwając się od niego.

Gdyby tylko w zeszłym tygodniu trzymała się diety i osiągnęła swoją wagę pięćdziesięciu siedmiu kilogramów, pozwoliłaby mu się unieść. Ale sześćdziesiąt cztery kilogramy to już za dużo, Billy nabawi się przepukliny.

— Zawróćmy — powiedział Billy zrezygnowany.

— Nie — sprzeciwiła się Janey. — Chcę zobaczyć tę zaczarowaną polanę, na której uwodziłeś wszystkie swoje fanki z klubu kucyków i Lavinię Greenslade.

Billy odebrał to jako odmowę i podupadł na duchu. Janey przyszła tu tylko po to, żeby potem o tym napisać. Pobiegła ścieżką. Trzydzieści metrów dalej po lewej zobaczyła otoczoną wierzbami sadzawkę o zielonych brzegach, całkowicie ukrytą w zielonym półmroku. Zapomniała o pokrzywach.

— Auu! — jęknęła, opadając na brzeg, czując łzy pod powiekami. Na brązowej skórze nóg pokazały się białe bąble.

— Aniołku — zmartwił się Billy — powinnaś mi była pozwolić, żebym cię tutaj przyniósł. Twoje biedne piękne nogi. Poczekaj, przyłożę ci liść szczawiu.

Zebrał garść zielonych gładkich liści i zanurzył je w wodzie.

— Boże, jak to boli! — zawołała Janey przez zaciśnięte zęby.

Billy położył się obok niej.

— O tutaj. — Janey wskazała zewnętrzną część prawej łydki i wewnętrzną stronę kostki. — Tak jest lepiej, jeszcze trochę wyżej.

Billy, cmokając ze współczuciem, przesuwał liście szczawiu do kolan.

— Nie powinienem cię tu przyprowadzać.

— Ależ jak najbardziej powinieneś — powiedziała Janey cicho. — Jeszcze trochę wyżej.

Jego dłoń dotarła już do wewnętrznej części lewego uda. Palce miał bardzo delikatne, dziewczyna czuła wilgotny chłód liści na zaczerwienionej skórze.

— Wyżej — wyszeptała.

Jakby z własnej woli palce Billy’ego powędrowały wyżej i wypuściły liście szczawiu, kiedy napotkały wilgotny meszek włosów łonowych rozdzielonych wyjątkowo skąpymi majtkami. Uniósł wzrok i napotkał jej uśmiech.

— Wejdźcie do zaczarowanego lasu, wy, którzy macie odwagę — odezwała się drwiąco. — No już, tylko w ten sposób uleczysz moje oparzenia.

— Chryste, Janey — wymamrotał Billy, przesuwając dłońmi po wilgoci między jej nogami.

Po chwili przesunął się nieco wyżej, otoczył ją ramionami i zaczął całować niemal z szacunkiem, a ona oddała pocałunki, językiem wprawnie pieszcząc jego język i wnętrze ust. Billy odnalazł dłonią jej wspaniałe pełne piersi o sutkach twardych jak orzeszki i poczuł, jak pod dotykiem jego ręki zsuwającej się na dół dziewczyna wciąga powietrze. Miała dokładnie tyle ciała, ile trzeba. Pieścił jej nagie plecy.

„Boże — pomyślał z niedowierzaniem — ta cudowna dziewczyna naprawdę mnie pragnie. Boże, proszę, nie pozwól mi tego zepsuć”.

Drżącymi palcami rozpiął guziki jej koszuli i przytulił twarz do pełnego dekoltu, wdychając jej zapach.

— Moje oparzenia na górze potrzebują więcej troski — powiedziała Janey z lekkim śmiechem, więc Billy wsunął dłoń pod bieliznę i znalazł jej łechtaczkę, równie twardą jak sutki.

— Proszę, jeszcze, proszę, proszę... — wyjęczała, po czym drgnęła i westchnęła głośno z zadowoleniem, a on poczuł jej pulsowanie.

— Wejdź we mnie, pragnę cię — powiedziała po chwili.

— Jeszcze nie.

Jego doświadczenie w uprawianiu seksu na powietrzu podpowiadało, że zawsze nerwowe spoglądanie za siebie, czy ktoś się nie zbliża, prowadziło do zbyt szybkiego końca. Ona jednak nie chciała go słuchać. Usiadła, piersi jej się trzęsły, i z wprawą rozpięła mu pasek. „Piekielnie ciężko pozbyć się dżinsów — pomyślał. — To jak wydobywanie kobiety z opakowania". Penis wystawał przez rozporek bokserek, więc jemu też trudno było je zdjąć.

Po wszystkich swoich londyńskich kochankach Janey nagle zauważyła doskonałe ciało Billy'ego, jego szerokie bary, płaski brzuch i niewiarygodnie umięśnione pośladki i uda — efekt jazdy konnej.

— Boże, jaki ty jesteś silny! — powiedziała.

Billy odpowiedział śmiechem.

— Powinnaś zobaczyć Ruperta. Ten tak potrafi ścisnąć konia nogami, że biedne zwierzę jęczy. Nie wytrzymam ani sekundy — ostrzegł, czując, jak mięśnie jej pochwy zaczynają go ściskać, jej dłonie pieszczą go po pośladkach i poruszają się w rytm jego poruszeń. — Przepraszam, nie mogę się powstrzymać.

Przez kilka sekund leżał na niej, czując cudowne ciepło. Potem stoczył się na ziemię, wyrwał garść trawy i wytarł Janey.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

— Mam nadzieję, że nie narwałeś pokrzyw.

— Wciąż tak cię boli?

— Już dużo lepiej. Zaczynam rozumieć tę zasadę bólu i przyjemności. Może de Sade jednak miał nieco racji...

Billy wyjął jej z włosów zielonego żuka.

— Przepraszam, że tak szybko skończyłem.

— Obraziłabym się, gdyby było inaczej, bo to by źle świadczyło o moim seksapilu. Zresztą ja już doszłam, kiedy mnie głaskałeś, więc mogłam sobie pozwolić na wielkoduszność.

Billy spojrzał na swój penis.

— Zły robotnik wini narzędzia — powiedział.

Zapalił papierosa dla siebie i dziewczyny, żeby odgonić komary. Janey oparła się na łokciu i popatrzyła na niego spod półprzymkniętych powiek.

— Jak to się dzieje, że tak tanio się sprzedajesz, chociaż jesteś megagwiazdą?

Billy wzruszył ramionami.

— Zawsze polowałem w parze z Rupertem.

— I?

— Żadna raczej na mnie nie spojrzy, kiedy on jest w pobliżu, więc to zwykle on zdobywa dziewczyny.

— A ja słyszałam coś innego. — Janey przesunęła dłonią po czarnych włosach na jego piersi. — Dla mnie jesteś oszałamiający.

— A ja nie poznaję wielu dziewczyn takich jak ty. Nie chciałem się spieszyć.

Ujął w dłoń jej pierś.

— Jesteś taka piękna. — poczuł, jak penis znów mu sztywnieje. — Chyba tym razem lepiej mi pójdzie. Chyba że zjadają cię komary?

— Wolałabym, żeby zjadło mnie coś innego...

— Och — zamruczała, kiedy Billy odwrócił się i zabrał do pracy — och słodki, słodki Williamie, to już jest runda honorowa.

Billy zaśmiał się i kontynuował.

Kiedy wyruszyli do domu, wielkie czerwone słońce wisiało nad szczytami koron topoli w zagajniku jak balon, który za chwilę pęknie. W kierunku lasu leciały gołębie.

— Helen i Rupert wrócili — zauważył Billy. — Chodź się przywitać.

Janey pokręciła głową.

— Muszę jechać do domu.

— Nie możesz! — zaprotestował przerażony. — Dopiero przyjechałaś!

Janey zachichotała.

— Mów tak jeszcze. W tej chwili z nikim się nie spotykam. Helen i Rupert to praktycznie rodzina.

— Nie możesz tak sobie odjechać. — Billy zrobił minę małego chłopca, którego rodzice zostawiają w szkole z internatem po pierwszych odwiedzinach. — Jutro wyjeżdżam do Lizbony. Poza tym jeszcze o niczym nie rozmawialiśmy. Może pojedziesz ze mną?

— Mam pracę.

— Napiszesz do mnie? Pierwszego października wracam na Konkurs Konia Roku.

— A ja wracam z Ameryki trzeciego albo czwartego. Zostaw numer w dziale artykułów.

— Proszę, nie jedź, jeszcze nie.

— Było idealnie — powiedziała Janey. — Teraz trudno by mi było pójść z tobą i zaczynać rozmówki towarzyskie. Muszę wrócić do Londynu i zapisać to wszystko, zanim zapomnę.

— Ale nie pisz o wszystkim.

— Nie, polana to nasz sekret. Do zobaczenia na Wembley.

Tym Billy musiał się zadowolić. Nie mógł iść prosto do domu. Szedł półprzytomny, oglądając zachód słońca i ukazujące się gwiazdy. Nie wierzył w to, co się właśnie zdarzyło. W dzieciństwie też nie wierzył, że ktoś tak wyjątkowy jak Rupert wybrał go na przyjaciela.

Wszedł do kuchni, gdzie zastał Helen dość demonstracyjnie sprzątającą resztki posiłku i podgrzewającą butelkę mleka dla Marcusa.

— Przepraszam, Helen, lunch był doskonały.

— Borsuk ma inne zdanie. Właśnie zwymiotował większość kurczaka i sałatki na dywan w naszej sypialni. Zostawiłeś otwartą spiżarnię, lodówkę i zamrażalnik, a masło na słońcu. Zakochałeś się?

Następnego dnia wyjechali do Portugalii, Grecji, a potem do Niemiec, po czym wrócili prosto na Konkurs Konia Roku w Wembley. Były to najdłuższe cztery tygodnie w życiu Billy’ego. Kiedy nie mógł dodzwonić się do Janey, o mało nie przyleciał z powrotem. Bez końca rozmawiał o niej z Rupertem.

— Wiesz, że jestem beznadziejny w zaliczaniu dziewczyn. Chcę się z nią ożenić.

Rupert wyglądał, jakby w niego piorun strzelił.

— Nie możesz! Przecież jej nie znasz.

— Spędziłem z nią cały dzień.

— I nawet jej nie przeleciałeś?

— Przeleciałem — odparł nadąsany Billy — i było fantastycznie.

Rupert zrobił jeszcze bardziej potępiającą minę.

— W takim razie to zwykła dziwka, skoro na pierwszej randce poszła z tobą do łóżka. Właściwie to nawet nie była randka. Przyjechała zrobić z tobą wywiad i wszystko z ciebie wyciągnęła. Poczekaj, aż ukaże się jej

artykuł. Billy Lloyd-Foxe to nie tylko srebrny medalista w skokach, ale także złoty zawodnik w łóżku.

— Odwal się! — warknął Billy wściekle. — Dlaczego sprowadzasz wszystko do swojego obrzydliwego poziomu?

25

NATYCHMIAST PO PRZYJEŹDZIE Billy zadzwonił do działu wiadomości w gazecie Janey, ale dowiedział się tylko, że wyjechała. Jej wywiad z Jackiem Nicholsonem się przeciągnął — Billy przygnębiony zadawał sobie pytanie, w jakiej formie przeprowadzała ten wywiad — i Janey miała wrócić pod koniec tygodnia.

Teraz zaczął się piąty dzień Konkursu Konia Roku, a po Janey nie było śladu. Jakieś pięćdziesiąt razy dziennie chodził pod tablicę ogłoszeń dla zawodników w nadziei na wiadomość od niej. Na widok ciemnobrunatnej grzywy w tłumie za każdym razem czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Jego obawy, że Janey była dla niego tak miła tylko dla dobrego wywiadu, wzrosły niepomiernie po rozmowie z Joanną Battie i Dudleyem Diplockiem.

Zapytał ich, czy ją znają.

— Jasne — odparła Joanna. — To gwiazda tej gazety. Dzisiaj lata na paralotni, jutro jedzie czołgiem na bitwę, a pojutrze robi wywiad z księciem Karolem. Wysoka półka.

— Bardzo ładna — stwierdził Billy.

— Bardzo — potwierdził Dudley z drapieżnym śmiechem. — Z tego, co słychać, nieźle się puszcza. Ludzie z prasy twierdzą, że doszła na szczyt na leżąco.

— Albo raczej na siedząco — poprawiła Joanna. — Janey jest zbyt wyzwolona, żeby godzić się na pozycję misjonarską.

Billy poczuł, że robi mu się niedobrze.

— Naprawdę?

— No cóż, powiedzmy, że jest świetną dziennikarką i jak większość z nich nie przejmuje się sposobem, w jaki zbiera informacje. Dobrze jej płacą. Mam wrażenie, że zarabia jakieś dwadzieścia kawałków rocznie, prawda, Joanno?

Po bezsennej nocy Billy zaczął rozmowę z Rupertem w czasie treningu. Rupert się wściekł, co go mocno uspokoiło.

— Na miłość boską! Pamiętasz, co wygadywali o tobie i o mnie? Nawet to, że jesteśmy gejami. Wiesz, że to wszystko bzdury. Wymyślają je, żeby mieć się czym podniecać. Rany, Zemsta naprawdę zwolnił. Chyba muszę mu zabić drzwi boksu na głucho, żeby mi go wielbiciele nie dokarmiali.

W tej chwili wszedł Humpty Hamilton w jasnoniebieskiej pikowanej kamizelce.

— Cześć, słodki Williamie! — przywitał się i zaśmiewając się, poszedł dalej.

Następny pojawił się Driffield.

— Dzień dobry, kochanku wszech czasów! — zawołał kpiąco. — Czytałeś gazety?

W końcu, kiedy Billy oddawał Tracey wodze Byka, na padok wjechała Lavinia.

— Hej, słodki Williamie — powitała go lekko kwaśnym tonem. — No to zaliczyłeś podbój.

Billy z walącym sercem pobiegł do kiosku.

— Słodki Williamie! — powitał go sprzedawca, podając mu gazetę. — Dzisiaj tak podniosłeś mi sprzedaż, że masz numer gratis.

Billy schował się za kolumnę. Artykuł Janey był w środku, z wielkim nagłówkiem „Słodki William” oraz zdjęciem Billy’ego pod wyjątkowo korzystnym kątem.

„Kiedy pojechałam na spotkanie z Billym Lloydem-Foxem — napisała Janey — zawiozłam mu bukiet frezji. Właściwie powinnam mu dać goździki odmiany »Słodki William«, bo to z pewnością najmilszy mężczyzna, jakiego poznałam”. Potem następowały peany na cześć jego urody w typie Jeana-Paula Belmonda, jego roli w zdobyciu srebra drużynowego i zwycięstwa w Pucharze Króla. Artykuł kończył się słowami: „Wszyscy znamy jego troskę o zwierzęta, jego doskonałe umiejętności jeździeckie, jego uśmiech pojawiający się nawet w chwili gorzkiej porażki. Jak przyznaje, w zeszłym roku bardzo cierpiał, kiedy jego długotrwały związek z Lavinią Greenslade się zakończył, a Lavinia wyszła za francuskiego amanta, Guy de la Toura. Od tego czasu jedyną kobietą w życiu Billy’ego jest Mavis, jasna kundelka, która towarzyszy mu cały czas, skośnymi oczami rzucając wyjątkowo niechętne spojrzenia ku wszelkim gościom płci żeńskiej. Billy mieszka z Helen i Rupertem Campbellami-Blackami, a jego uspokajająca i pogodna natura na pewno bardzo dobrze działa na ich przeżywające wstrząsy małżeństwo. Jednak Billy z typową dla siebie skromnością twierdzi, że wszystko zawdzięcza Rupertowi (łącznie z pieniędzmi, jak dodaje z uśmiechem). Bardzo także chwali szefa ekipy, służbistę Malise’a Gordona, oczywiście również Byka, na którym przejechał czystą rundę w zawodach drużynowych i dzięki któremu wygrał srebro dla Wielkiej Brytanii. Zdobył srebro, ale serce ma ze złota. Nie słyszałam o nim ani jednego złego słowa od innych sportowców. Po spędzeniu siedmiu godzin w jego towarzystwie mogę jedynie powiedzieć: Billy, proszę, oddaj mi moje serce. Nasze biuro przyjmuje przesyłki przez całą dobę”.

Billy z niedowierzaniem przeczytał kilka razy artykuł, a raczej list miłosny. Pobiegł do telefonu. W mieszkaniu nikt nie odbierał, w redakcji dowiedział się, że Janey wróciła wieczorem poprzedniego dnia i w

pośpiechu kończyła artykuł o Nicholsonie, więc zapewne wyłączyła telefon. Bill nie mógł znieść niepewności, musiał ją zobaczyć. Zawiadomił Ruperta, że na kilka godzin jedzie do Londynu.

— Tylko wróć na czas — odparł Rupert z szerokim uśmiechem. — Jak widać, lepiej ci idzie w łóżku, niż myślałem. I o co chodzi ze wstrząsami w moim małżeństwie? Przecież niczym nie trzęsę.

Billy wziął taksówkę do mieszkania Janey. Dzwonił długo, zanim drzwi się otworzyły. W porównaniu z poprzednim spotkaniem, kiedy dziewczyna zachwyciła go swoją brązową karnacją, teraz wyglądała blado, pod oczami miała cienie, nie miała też tego szyku — przypominała pokój, z którego sprzątnięto świąteczne dekoracje.

— Billy — powitała go — jak wspaniale cię widzieć.

Chociaż z jej głosu trudno byłoby się tego domyślić.

— Przepraszam, że tak cię nachodzę, ale piekielnie się za tobą stęskniłem.

Janey cofnęła się nerwowo.

— Kochany, strasznie mi przykro, ale nie mogę robić przerw. Redakcja chce artykuł jutro przed południem, więc przesiedzę całą noc.

— Ale przecież pięć minut nie zrobi różnicy...

— Naprawdę nie mogę. Mózg zupełnie mi przestał pracować, muszę się skupić i przełamać.

— Ten artykuł o mnie bardzo mi pochlebił, to takie miłe z twojej strony.

Janey uśmiechnęła się i nagle znów zaczęła przypominać tamtą dziewczynę, która przyjechała do Penscombe.

— Puścili go dopiero dzisiaj? Pewnie specjalnie trzymali na czas zawodów. Wysłałam im tekst kilka tygodni temu.

„Może ona już nic do mnie nie czuje” — pomyślał Billy. Bardzo chciałby zapytać ją o wywiad z Jackiem Nicholsonem, ale powiedział tylko:

— Jutro ostatni wieczór zawodów. Pójdziesz potem ze mną na kolację?

— Nie wiem, mam się spotkać z jakimś posłem na wstępny wywiad. O której kończysz?

— O jedenastej, ale w poniedziałek wylatuję do Waszyngtonu, Nowego Jorku i Toronto, a koniecznie muszę cię zobaczyć.

— Teraz musisz iść, ale naprawdę postaram się jutro z tobą spotkać.

— Zostawię ci bilet przy wejściu. Janey, ko...

Ale ona już zamknęła drzwi. Billy poczuł, jak zalewa go czarna rozpacz. Janey nie ucieszyła się na jego widok, wręcz przeciwnie, wydawała się niemile zaskoczona, miała poczucie winy wypisane na twarzy i unikała jego wzroku. Jeśli faktycznie złożyła artykuł kilka tygodni temu, pewnie przez ten czas poznała w Stanach kogoś innego.

Za zamkniętymi drzwiami mieszkania Janey Henderson wpadła w takie samo przygnębienie. Próżność nie pozwalała jej wyjaśnić Billy’emu, że od czterdziestu ośmiu godzin jest już w domu na diecie cud, żeby w sobotę wieczorem wyglądać dla niego olśniewająco. Billy zastał ją w najgorszej możliwej chwili — pochłonięta pisaniem, nie ubierała się, nie kąpała i nie używała dezodorantu przez cały ten czas. Była przekonana, że od mięsnej diety ma nieświeży oddech. Od czasu ich ostatniego spotkania nie goliła nóg, włosy miała brudne, na pewno dostała łupieżu, poza tym nie mogła spojrzeć mu w oczy, gdyż widział ją z niewyregulowanymi brwiami i bez makijażu. Jej rudy kot, Harold Evans, rano zwymiotował na dywanik w łazience, a ona nie miała czasu posprzątać. Mieszkanie wyglądało jak śmietnik, gdyż w trakcie jej nieobecności sprzątaczka się zwolniła, a sąsiad, który przychodził karmić Harolda Evansa, nie sprzątał kuwety. Na pewno nie wyglądało to na gniazdko miłości.

Janey wiedziała, że powinna wrócić do pracy i zabrać się za Jacka Nicholsona, jednak zamiast tego przeczytała ostateczną wersję artykułu o

Billym. Właściwie go okłamała, gdyż przekazała poprawki przez telefon dopiero poprzedniego wieczoru. Całkiem dobrze jej wyszedł, a sam Billy wyglądał nawet jeszcze lepiej teraz niż w podniszczonej kurtce z Barboura. Na pewno uganiają się za nim stada dziewczyn, nie może okazać, że jej zależy — w ciągu ostatnich dziesięciu lat zbyt często pragnęła i traciła. W rzeczywistości miała dwadzieścia dziewięć lat — kolejne kłamstwo. Czy Billy jeszcze kiedykolwiek jej zaufa, gdy się dowie?

Janey Henderson pochodziła z szanowanej rodziny z klasy średniej. Jej ojciec pracował w reklamie, a łagodna, zrelaksowana matka zajmowała się domem, wychowywała dzieci i zachęcała je do robienia kariery, lecz nigdy nie nauczyła ich żadnych prac domowych. Janey, najmłodsza z rodzeństwa, odniosła największe sukcesy. Miała duży temperament, który czasami wpychał ją w kłopoty, ale mieszczańskie wychowanie sprawiało, że panicznie bała się plotek. Przyzwyczajona do uwielbienia w domu, oczekiwała go również od kochanków, więc kłamała, żeby ich zadowolić, a kiedy zaczynali narzekać i wpadali w gniew, porzucała ich i przenosiła się do kolejnego, którego przez kilka tygodni mogła utrzymywać w złudzeniu, że jest doskonała. Ojciec ją uwielbiał, więc jeśli miała kłopoty z wynajmującymi, rachunkami lub wkurzonym szefem, biegła do niego. W dawnych czasach zawsze potrafił sypnąć forsą, ale od kiedy jego agencja padła w czasie kryzysu w 1973 roku, nagle bardzo zbiedniał.

Janey Henderson pociągała władza. Jako dziennikarka wciąż spotykała nowych ludzi, często były to gwiazdy. Znała wielu bogatych i sławnych, marzyła o takim życiu, jakie prowadzili. Umiała pisać, chociaż szło jej to powoli, jak również doskonale potrafiła słuchać i oddzielić znaczące detale. W swingujących latach sześćdziesiątych jako nastolatka korzystała z większej tolerancji społecznej, a w życiu zawodowym zrobiła karierę dzięki ruchowi kobiecemu. Widziała, jak jej przyjaciółki próbują się wybić,

podnosząc swoją samoświadomość i ciśnienie mężom, a potem ich rzucają i wiodą życie wyjątkowo nieszczęśliwych samotnych matek. W wieku dwudziestu dziewięciu lat Janey zdała sobie sprawę, że najbardziej potrzebny jest dobry mężczyzna. Chciała ułożyć sobie życie i mieć dzieci. Widziała piękny dom Ruperta i założyła, że służba, ziemia i nieograniczone zapasy alkoholu to normalne elementy życia zawodnika. Poza tym marzyła o tym, żeby zająć się poważniejszym pisaniem. Jeśli wyjdzie za mąż za Billy'ego, będzie mogła wybierać, czym się chce zająć i pisać jeden artykuł na miesiąc, a nie dwa lub trzy na tydzień, a może nawet zacznie pisać książki.

Janey Henderson pogrążyła się w zamyśleniu, ale po chwili widok pustej kartki w maszynie do pisania i bałagan w pokoju przywróciły ją do rzeczywistości. Na kolejny wieczór nie miała zaplanowanego wywiadu z deputowanym. Jeśli w południe ma wysłać artykuł, doprowadzenie mieszkania do porządku i siebie, by wyglądać jak bóstwo, potrwa do późnego wieczora.

Harold Evans łaskotał ją sierścią w nogi, mruczeniem domagając się obiadu.

— Muszę cię zabrać z tej dziury, Haroldzie — powiedziała Janey, biorąc go na ręce. — Nie chciałbyś zamieszkać w Gloucestershire?

Na Wembley zaś Billy pogrążał się w rozpaczy, chociaż Rupert przyniósł dobre wiadomości o potencjalnym sponsorze.

— Zagadał mnie, żeby wybadać teren. Powiedział, że aby się utrzymać w branży, potrzebowałbyś przynajmniej pięćdziesięciu tysięcy rocznie.

— A skąd on tyle bierze?

— Robi karmę dla kotów.

— Ale Byk nie będzie musiał tego jeść?

— Nie, ale może będzie musiał zmienić imię na Smakołyk Charliego albo coś w tym stylu.

— Boże, co to za gość?

— Przerażający. Włosy jak strzecha, bransoletki z inicjałami, niebieskie wieczorowe koszule z falbankami, mocny uścisk dłoni, udawany amerykański akcent, co drugie zdanie zwraca się do ciebie po imieniu.

— A jak się nazywa?

— Kevin Coley. Raczej pasuje do okoliczności, całego siebie wkłada w swoje produkty.

Billy błysnął zębami w uśmiechu.

— Co z tego będzie miał?

— Lepszą pozycję w towarzystwie. Zarobił już, co trzeba, teraz chce się zabrać za rozrywki z wyższej półki i nawiązać przyjaźnie w wyższych klasach. Według niego masz ogromną charyzmę.

— Chociaż ktoś tak uważa — stwierdził Billy ponuro. — Ale to nie potrwa długo, jeśli Byk nadal będzie przewracał przeszkody.

— Chyba powinieneś z nim pogadać — podpowiedział Rupert. — Nie ma co kręcić głową na pięćdziesiąt tysięcy rocznie. Twoja matka pożyje jeszcze co najmniej dwadzieścia lat. No i mam wrażenie, że chcesz się żenić?

— Po dzisiejszej wizycie wydaje mi się, że ona nie będzie mnie chciała.

Billy był przekonany, że Janey nie pojawi się następnego wieczoru. Nawet jego horoskop był niejasny: ostrzegał Ryby, żeby uważały na fajerwerki i planowanie podróży na wieczór.

To Wembley należało do Niemców. Niesieni entuzjazmem po podwójnym złocie na igrzyskach przez cały tydzień szli jak burza, zwyciężając we wszystkich konkursach oprócz pucharu „Sunday Times”, który wygrał Rupert. Ostatniego dnia widzowie bardzo pragnęli zwycięstwa

Brytyjczyków. Najważniejszym konkursem był Victor Ludorum złożony z dwóch rund. W drugiej rundzie jeźdźcy z czystym przejazdem skakali na czas, walcząc o sześć tysięcy funtów.

W pierwszej rundzie zarówno Rupert, jak i Billy przejechali bez zrzutek, chociaż Billy miał dużo szczęścia. Byk trącał wszystkie przeszkody, na jednej stacjonacie drążek zaczął się chwiać na boki jak metronom, jednak nie spadł. Tłumy oszalały.

Za każdym wjazdem na arenę Billy i Byk byli witani owacjami. Ale kiedy Dudley Diplock zapowiadał ich jako wielki duet olimpijski — Billy Lloyd-Foxe na Byku — koń unosił dwa kopyta w kierunku trybuny komentatora i „zarabiał” punkty karne. Po długim sezonie był już zmęczony. Dzisiaj jednak jakby się ożywił.

— Musisz wygrać — przekonywał go Billy — musimy zrobić wrażenie na Janey, jeśli przyjedzie.

Teraz Billy siedział na trybunie dla zawodników, przyglądając się drugiemu przejazdowi Ruperta. Zemsta również był już nieco zmęczony. Dwa razy spłaszczył skoki, na kombinacji zdobył osiem punktów karnych, zrzucił też cegłę z muru. Na zjeździe z toru Rupert pogłaskał wierzchowca pocieszająco, pamiętając o zarzutach okrucieństwa, świadomy skierowanych na niego kamer telewizyjnych.

Billy spotkał się z nim na padoku.

— Niech no tylko znajdzie się z powrotem w stajni — zazgrzytał zębami Rupert. — Już ja mu pokażę!

— Ma za sobą ciężki rok — zaprotestował Billy. — Przypomnij sobie, jak dobrze mu poszło w pucharze „Sunday Times”.

Miał nadzieję, że miesiąc miodowy Ruperta i Zemsty jeszcze się nie skończył.

Kiedy wskoczył na siodło i ruszył przeskoczyć na rozgrzewkę kilka przeszkód, słyszał poetyckie zachwyty Dudleya Diplocka nad czystym przejazdem Ludwiga.

— To ten Dudley Moore — powiedziała do koleżanki tęga kobieta, wychylając się przez barierkę. — Od lat tu komentuje.

Billy wpadł w rozpacz. Janey najwyraźniej nie przyjdzie. W głowie miał kompletną pustkę, nie pamiętał toru ani liczby kroków między przeszkodami. Byk trącił drążek przeszkody.

— Na miłość boską, unieśże te kopyta! — warknął Billy z nietypową dla siebie irytacją.

Byk rzucił mu spojrzenie męczennika i przekuśtykał kilka kroków. Kiedy Billy znów nakierował go na przeszkodę, usłyszał, jak ktoś woła go po imieniu.

— Hej, Williamie!

Przyszła. Jej cudowne włosy, tak szylkretowe i rozwichrzone, jak je widział w Penscombe. Miała na sobie czarną w szare paski jedwabną koszulę typu rugby z białym kołnierzykiem i bardzo obcisłe czarne spodnie.

Billy stwierdził, że nie jest w stanie stłumić cielęcego uśmiechu, który pojawił mu się na twarzy. Skierował konia przez padok w stronę dziewczyny.

— Udało ci się! Boże, wspaniale! Wyglądasz odjazdowo. Deputowany się obraził, że go odrzuciłaś?

— Wściekł się.

— Nic dziwnego.

— Podobno Rupert już skończył — powiedziała. — Właśnie mijałam stoisko z batami, ostrogami, butami i dziwnymi skórzanymi przedmiotami, jak w magazynku dziwki. Nie wiem, co wy wyprawiacie na tych zawodach, naprawdę nie wiem...

Billy się roześmiał, a Janey pogłaskała Byka.

— Przepraszam, że wczoraj byłam taka oficjalna, ale zawsze jestem paskudna, kiedy pracuję.

— Skończyłaś?

— Tak. — rzuciła mu zalotne spojrzenie. — Nie był ani w połowie tak pochlebny jak ten o tobie.

— Numer czterdzieści trzy! — zawołał steward padoku. — Gdzie jest numer czterdzieści trzy?

— Billyyyy! Wołają cię! — krzyknął Hans Schmidt.

— Ostatnie wezwanie, numer czterdzieści trzy!

— Chyba cię wołają — powiedziała Janey.

Billy wrócił na ziemię.

— O Boże, faktycznie! Nie ruszaj się, zaraz wracam!

— Chcę cię zobaczyć!

— Skończ te pogawędki przy kawce — pogonił go Rupert — i jedź na start.

— O, dzięki Bogu. Rupe, to jest Janey. Możesz jej kupić coś do picia i zająć się nią do mojego powrotu?

— Miło mi — przywitała się Janey. — Słyszałam, że w kombinacji miałeś punkty karne. Jakie to przykre.

„Proszę — modlił się Billy, wjeżdżając na tor — niech się tylko w nim nie zakocha”.

Teraz musiał się skupić. Jednak radość krążyła mu w żyłach, a Byk skakał idealnie, nie dotykając drążków. Kiedy Billy jako jedyny reprezentant Wielkiej Brytanii zaliczył drugi czysty przejazd, tłum oszalał.

— Dobra robota — powiedziała Janey. Siedziała z Rupertem na trybunie dla zawodników, trzymając w dłoni dużą wódkę z tonikiem. — Byłeś wspaniały i oklaskiwali cię mocniej niż Rolling Stonesów — zachichotała.

— Zapytałam Ruperta, co to za grubas z miarką. Powiedział mi, że to budowniczy toru. Zapytałam, co on takiego zbudował, bo nie widzę budynków. Terminologia skoków naprawdę jest zadziwiająca. Co to takiego okser, do licha? — najwidoczniej polubiła się z Rupertem, który na ogół nie przepadał za żartami z jego dyscypliny.

Do finału przeszło sześciu zawodników: trzech Niemców, Obojczyk, hrabia Guy i Billy. Pierwszy jechał Ludwig — bardzo szybko i czysto. Oprócz niego nikt nie przejechał bez zrzutki, dopóki nie nadeszła kolej na Hansa Schmidta.

— Te niemieckie konie są takie opanowane. Aż trudno uwierzyć, że mogą tak szybko biegać — stwierdziła Janey.

— Spójrz, jak długie kroki stawiają. Dwa razy dłuższe niż Byk — zauważył Rupert.

Niewiarygodne, ale Hans jeszcze skrócił czas Ludwiga o dwie sekundy, ścinając zakręty.

— Billy już nie da rady tego pobić? — zapytała Janey.

— Raczej nie. Byk po prostu nie jest wystarczająco szybki.

Hans zjechał z toru z szerokim uśmiechem na okrągłej twarzy.

— Powodżenia — powiedział do Billy’ego podjeżdżającego do startu.

— Billy Lloyd-Foxe na Byku, nasz srebrny medalista olimpijski, reprezentant Wielkiej Brytanii — oznajmił Dudley, próbując przebić się przez wiwaty.

— Chyba paskudnie się skacze i jednocześnie załatwia — stwierdziła Janey.

Wiwaty towarzyszyły Bykowi, kiedy podjeżdżał do startu. Z puchatym paskiem ogłowia na nosie, przypominającym kleks pianki do golenia, koń kłusował na swoich krótkich, mocnych nogach, odsuwając dolną wargę,

strzygąc uszami, chłonąc aplauz. Billy pogłaskał wierzchowca, czuł się jak średniowieczny rycerz przed turniejem o rękę Janey.

„Jeśli wygra, wszystko będzie dobrze i oświadczy mi się” — powiedziała sobie Janey, zaciskając kciuki. Odezwał się dzwonek i zaczęły się okrzyki. Doping nasilił się przy pierwszej przeszkodzie i rósł stale przy każdym kolejnym czystym skoku. Billy jechał, jakby walczył o życie. Kierując konia na ostatnie dwie przeszkody — okser i wielki mur — zerknął na zegar i uświadomił sobie, że ma szansę. Wiwaty osiągnęły siłę grzmotu, ludzie powstawali z miejsc i jednym ciągłym wrzaskiem prowadzili go do mety. Byk przeskoczył okser i mur, niemal wpadł na ścianę toru, ale Billy go powstrzymał.

Oczy dziesięciu tysięcy widzów zwróciły się na zegar. Billy obrócił się i dłońmi zasłonił oczy. Odsunął je, kiedy dach zatrząsł się od wielkiego wrzasku — wygrał o jedną dziesiątą sekundy. Kolejne sceny były warte Pucharu Świata: ludzie przeskakiwali przez barierki na arenę, biegli do niego, wiwatując, i głaskali Byka. Widzowie rzucali na tor kapelusze, poduszki i torebki.

Rupert spojrzał na Janey.

— Był wspaniały, prawda? — powiedziała.

— Ty go kochasz, co? — zapytał.

Janey pokiwała głową i wyjęła chusteczkę.

— Cóż, dbaj o niego.

Billy i Byk przy wtórze kolejnych ogłuszających wiwatów wjechali na arenę po rozetkę. Potem orkiestra odegrała *Małego białego byka*, a Byk, bardzo zadowolony z tego, że znalazł się w centrum uwagi, dwa razy okrążył arenę, trzymając się w świetle reflektorów. Potem Billy podjechał do Janey.

— Byłeś niesamowity! — powiedziała. — Nigdy nie byłam tak dumna. A twój wierzchowiec to najsłodszy koń na świecie.

Ludzie ze wszystkich stron podchodzili z gratulacjami, ale Billy patrzył tylko na Janey.

— Słuchaj, muszę wracać na arenę na paradę. Poradzisz sobie? Jak ci się siedzi z Rupertem?

— Świetnie, ale ty jesteś od niego znacznie atrakcyjniejszy.

Billy się zarumienił.

— Widocznie stara się powstrzymać.

Parada kończąca Konkurs Konia Roku z pewnością jest najbardziej emocjonujacym punktem kalendarza jeździeckiego. Uczestniczył w niej słynny Stroller, kuc, który wygrał srebro na olimpiadzie, dwa konie z policji, które wykazały się niezwykłą odwagą w czasie incydentu z IRA, za nimi szły kuce, zwykłe konie wierzchowe, do polowań, konie ciężkie i w końcu olimpijczycy.

Potem Malise lekko drżącym z emocji głosem odczytał przepiękny wiersz Ronalda Duncana *Do konia*. Janey znów łzy pociekły po policzkach. „Wchodzę właśnie w cudowny, olśniewający, romantyczny, kolorowy świat” — pomyślała, wypiwszy przedtem trzy duże wódki z tonikiem na pusty żołądek.

Kiedy Billy wjechał na padok, podszedł do niego mężczyzna, w którym z opisu Ruperta od razu rozpoznał Kevina Coleya.

— Bill Lloyd-Foxe? — zapytał, mocno potrząsając ręką Billy’ego. — Kev Coley.

Jego biżuteria niemal oślepiła Billy’ego.

— Zdaje się, że Rupe o mnie wspomniał.

— Oczywiście — odparł Billy, powstrzymując śmiech. — Był pod wrażeniem.

— Ja też jestem pod wrażeniem dzisiejszej wygranej. Świetna robota, Bill, świetna robota. Mogę omawiać warunki. Może zjemy razem kolację?

Billy poczuł, jak serce ucieka mu w pięty.

— Szczerze mówiąc, nie jestem sam...

— Przyprowadź ją — powiedział władczo Kev. — Moja żona, Enid, jest na trybunie. Dziewczyny sobie pogadają, a my omówimy interesy.

Nagle przerwała im starsza pani z twarzą we łzach.

— Och, panie Lloyd-Foxe, przeczytałam w gazecie, że chce pan przejść na zawodowstwo. Nie sprzeda pan Byka, prawda?

Billy uśmiechnął się do niej.

— Oczywiście, że nie.

— Kupiłam mu miętusy. — kobieta wyjęła z torebki paczkę cukierków pokrytą pudrem.

— Rany, jakie to miłe — powiedział Billy.

— Niech się pani nie przejmuje — powiedział Kevin Coley. — Jeśli Billy zostanie zawodowcem, nie będzie musiał sprzedawać Byka.

Billy zastał Janey w przyczepie, poprawiała makijaż. Tracey rozwiesiła już rozetki na sznurku w oknie.

— Kochanie, to było niewiarygodne, popłakałam się!

Nie może go zbyt mocno ściskać.

— Skarbie, czy nie masz nic przeciwko temu, że pójdziemy na kolację z moim potencjalnym sponsorem?

— Nie, tak, mam. Chcę być z tobą sama i zobaczyć, jak dochodzi mój zdobywca. — przesunęła dłoń w dół i dotknęła jego penisa.

Nagle do Billy’ego dotarło, że jeśli ożeni się z tą wspaniałą dziewczyną, będzie mógł z nią spać każdej nocy przez resztę życia.

— Możemy to zrobić później — powiedział. — To oznacza, że jeśli dobiję z nim targu, będę mógł ci się oświadczyć.

Dołączył do nich Rupert w ciemnym garniturze, pachnący wodą kolońską.

— Słyszałem, że idziesz na spotkanie z gościem od medalionów — powiedział i dodał po cichu do przyjaciela: — czy mógłbyś w razie czego powiedzieć Helen, że poszedłem z wami wszystkimi na kolację? Co prawda jestem pewny, że ona o nic nie zapyta.

— A dokąd chcesz się urwać? — odparł pytaniem Billy.

— Pamiętasz tę drobną niedokończoną sprawę o imieniu Tiffany Bathgate? — a widząc niezadowoloną minę Billy'ego, Rupert dodał: — zresztą i tak chciałem się usunąć, gdybyście z Janey chcieli skorzystać później z przyczepy.

O czwartej nad ranem Billy leżał w ramionach Janey w podwójnym łóżku u niej w domu. Właśnie skończyli się kochać, a Billy podziwiał panujący wokół porządek. Na łóżku leżała czysta granatowa pościel, a trzy bukieciki frezji na stoliku nocnym zagłuszyły wszelkie zapachy kota. Co to za doskonała, zdolna dziewczyna.

— Au! — westchnął cicho, starając się nie obudzić Janey, kiedy Harold Evans zaczął łapami ugniatać mu żołądek.

— Billy — odezwała się Janey — muszę ci coś powiedzieć. Obiecujesz, że mnie za to nie znienawidzisz?

Billy poczuł zimny dreszcz. Zaraz ta cudowna, lekka bańka mydlana pęknie.

— Mam dwadzieścia dziewięć lat, a nie dwadzieścia cztery — przyznała się Janey.

Billy z ulgi wybuchnął śmiechem.

— I to wszystko? Mogłabyś mieć nawet czterdzieści cztery. A czy małżeństwo z młodszym nie będzie poniżej twojej godności?

26

BILLY STWIERDZIŁ, że bardzo trudno mu powiadomić Helen o swoim planowanym ślubie. Rupert nie stwarzał problemów, wręcz przeciwnie, on i Janey poczuli olbrzymią ulgę, stwierdziwszy, że się polubili, ale nie spodobali sobie nawzajem. Może byli zbyt do siebie podobni. Po tym, jak znalazł Billy'emu sponsora, który umożliwił mu ożenek z Janey i założenie własnej stajni, czuł, że cały plan to jego dzieło i dzięki temu uniknął jakiejkolwiek zazdrości.

Jednak musiało jeszcze minąć trochę czasu. Billy będzie musiał znaleźć sobie miejsce do zamieszkania i chociaż może być im trudno współpracować, jeśli przejdzie na zawodowstwo, Rupert był pewny, że coś wymyślą. Finansowo też nie będzie mu lekko, ale on sam nie chciał rezygnować ze sportu amatorskiego, dopóki za cztery lata, w Los Angeles, nie spróbuje powalczyć o złoto.

Helen była jednak zdruzgotana wiadomością. Bez Billy'ego jej bardzo chwiejne małżeństwo z pewnością się rozsypie. Billy wspaniale odnosił się do Marcusa, zawsze potrafił śmiechem wyciągnąć Ruperta z kiepskiego nastroju. Obie kobiety zbytnio się też nie polubiły. Gdy Billy i Rupert wrócili z wyjazdu do Stanów, Billy przywiózł Janey na weekend. Każda z kobiet była zaskoczona klasą drugiej. Janey w ogóle nie oczekiwała, że Helen będzie tak piękna, Helen nie spodziewała się, że Janey będzie tak seksowna. Janey nigdy nie wkładała stanika, nosiła ubrania zawsze nieco za ciasne, gdyż nie udawało się jej utrzymać diety, i nigdy nie dopinała ostatnich guzików koszul i sukienek. Helen z kolei zawsze zapinała się pod szyję. Po sześciu latach pracy w prasie Janey uodporniła się na wszelkie

sensacje i w czasie piątkowej kolacji bawiła zarówno Ruperta, jak i Billy’ego niedyskretnymi i całkowicie wyssanymi z palca opowieściami o życiu seksualnym najważniejszych osób w państwie.

Helen zadała sobie wiele trudu, by przygotować doskonałą kolację: naleśniki z krabami w sosie serowym, udziec jagnięcy i pyszne lody z pigwy. Jeśli chce się zdobyć reputację doskonałej kucharki — uznała Janey — najlepszą strategią jest podawanie maleńkich porcji, jak to zrobiła Helen, bo wszyscy poproszą o dokładkę. Po całodniowym poście Janey umierała z głodu i brała po dwie dokładki, chwaląc Helen bez opamiętania. Wszyscy sporo pili. Janey upiła się radośnie.

Rupert stwierdził, że miło jest znaleźć kobietę o tak dobrym apetycie. Nigdy nie przepadał za Lavinią, uznawał ją za słabą. Janey była twarda i zabawna. Billy’emu będzie z nią dobrze.

Helen i Janey podzieliła również zazdrość zawodowa. Janey zapytała Helen o jej powieść. Helen odparła, że idzie jej bardzo wolno.

— Podchodzę do tej kwestii naukowo, wiesz — powiedziała — i nie zamierzam robić ustępstw na rzecz jakości.

— Może spróbujesz dziennikarstwa? — podsunęła Janey.

Helen odparła, że nie potrafiłaby się do tego zmusić. Nigdy nie czytała „Post”, ale słyszała, że to gazeta goniąca za sensacją. Janey nie umknął przytyk, odparła więc, że z jej doświadczenia wynika, iż autorzy, którzy w ogóle są coś warci, po prostu piszą.

— Moja książka ukaże się wiosną — powiedziała. — Zbiór wywiadów. Rozmowa z tobą, kochanie, będzie akurat na samym końcu — dodała, zwracając się do Billy’ego.

Młodzi zakochani nie mogli utrzymać rąk z dala od siebie. Helen z nostalgią przypominała sobie czas, kiedy ona i Rupert zachowywali się tak samo. Próba odnowienia uczuć po olimpiadzie nie trwała zbyt długo.

Zniesiono na dół Marcusa na karmienie. „Jak tacy piękni rodzice mogą mieć tak szpetne dziecko?” — zastanawiała się Janey. Jednak wiedząc, że tym sposobem najłatwiej wkradnie się w łaski Helen, zapytała, czy może podać Marcusowi butelkę.

— Billy mówił, że chcecie zatrudnić nianię.

— Tak — odparła Helen. — Będę mogła więcej czasu spędzać z Rupertem.

Musi spróbować polubić tę pewną siebie, seksowną osobę.

— Tak bardzo się cieszę, że wychodzisz za Billy’ego — wyznała, kiedy zostały same. — Jest kochany, ale i wrażliwy. Będziesz o niego dbała, prawda?

— Rupert powiedział to samo. Dziwne — odparła Janey. — Mam raczej nadzieję, że to on będzie dbał o mnie.

Pozostali członkowie gospodarstwa uznali Janey za wspaniałą. Pokochały ją psy, Marcus, panna Hawkins, pani Bodkin, dla której Janey zostawiła pięciofuntowy napiwek. Jednak zdarzył się i kiepski moment, kiedy Janey przebierała się do kolacji w sobotę wieczorem. Nie chciało jej się iść do toalety na końcu korytarza, więc przystawiła krzesło do umywalki i przykucnęła nad nią, żeby się wysikać. Na to weszła Helen z zamiarem pościelenia łóżka. Zesztywniała z przerażenia. Jej irytacja jeszcze wzrosła, kiedy Rupert uznał całe zajście za bardzo zabawne. Janey, wrażliwa jak radar, wyczuła, że Helen jej nie akceptuje.

— Trochę z niej sztywniara, taka w halkach lub, jakby to ona powiedziała, w gorsecie, prawda? — zagadnęła Billy’ego. — Na pewno idzie do łóżka w rękawiczkach.

Billy skwitował uwagę śmiechem, ale nie dał się wciągnąć w obmawianie Helen.

— Musimy się rozejrzeć za własnym domem — powiedziała Janey.

Rupert przekonał Helen, by wydać w Penscombe przyjęcie na cześć Billy’ego i Janey. Twierdził, że tak pięknie odnowiony przez nią dom warto pokazać, poza tym od ślubu nie urządzali żadnych spotkań. Nie będzie musiała nic robić, zamówią obsługę, a skoro salon nie pomieści tańczących, wynajmą dach namiotowy do ogrodu. Przyjęcie odbędzie się w połowie grudnia, tuż przed zawodami świątecznymi w Olympii, kiedy wszyscy cudzoziemscy zawodnicy będą w kraju.

Nastąpiły zażarte kłótnie nad listą gości. Sprzeczali się, czy zaprosić całe bractwo jeździeckie.

— Ale nie Malise’a, Grahama ani pułkownika Roxborough. Nie chcę starych — zaprotestował Rupert.

— Malise musi być! — sprzeciwiła się Helen. — Jest taki kulturalny.

— Nie wykazał się kulturą, kiedy na Pucharze Narodów tydzień temu Ivor Braine poszedł w miasto. Jeśli przyjedzie, każe mi iść wcześnie spać, bo za rok mam zawody.

— Powinieneś go zaprosić — wtrącił Billy. — Inaczej będzie mu bardzo przykro.

— Ech, no dobrze, ale nie ma mowy o Jake’u Lovellu. Jego tłusta żona nie zmieści się w drzwiach.

Kiedy dodali jeszcze przyjaciół Janey z prasy oraz większość sław, z którymi przeprowadziła wywiady, a które i tak znały Ruperta i Billy’ego, jak również arystokratycznych przyjaciół Ruperta, lista gości liczyła niemal trzysta osób. Rupert przejrzał ostateczną wersję.

— Spałem praktycznie z wszystkimi kobietami, które zapraszamy. Mam od tego déjà vu — powiedział do Billy’ego

— Nie spałeś z Hilary.

— Ona nie jest zaproszona!

— A owszem, jest. Według pani B. ostatnio często tu bywa.

Wściekły Rupert ruszył na poszukiwanie Helen.

— Jeśli ona przyjdzie na przyjęcie, to ja się zmywam!

— Zaprosiliśmy wszystkich twoich przyjaciół — powiedziała Helen. — Moich też możemy chyba zaprosić?

— Przyniesie to odrażające dziecko i zacznie na środku sali wyciągać swojego trójkątnego cycka.

— Hilary to nie tylko dobra malarka, ale też bardzo inteligentny, troskliwy człowiek.

— Bzdura! — rzucił Rupert. — W takim razie zaproszę wszystkich stajennych!

— Nie możesz! — odparła przerażona Helen. — Wszyscy się upiją.

Tydzień przed przyjęciem, kiedy Rupert i Billy byli w Amsterdamie, opiekunka, Marie-Claire, poślizgnęła się w hallu i boleśnie stłukła sobie kość ogonową. Następnego dnia Hilary poślizgnęła się, niosąc Germaine, ale na szczęście zachowała równowagę. Helen nagle zdecydowała się wyłożyć hall i schody bladozieloną wykładziną w kolorze awokado, pasującą do jasnoróżowo-zielonej tapety. Robotnicy pracowali po godzinach, niezadowolone psy siedziały rzędem na podkładce z pinezkami. Wszystko skończono i uprzątnięto w przeddzień przyjęcia, tuż przed powrotem Ruperta i Billy’ego.

Helen właśnie położyła Marcusa spać, kiedy przyjechali zawodnicy i narobili hałasu, krzycząc, trzaskając drzwiami ciężarówek i prowokując psy do szczekania. Dlaczego, do licha, aż tak hałasują? Helen musiała przez cały kwadrans uspokajać Marcusa i z powrotem go usypiać. Zeszła do kuchni akurat w chwili, kiedy Rupert wchodził tylnymi drzwiami. Na włosach miał śnieg.

— Cześć, kochanie — powiedział, całując ją. — Wszystko dobrze? Widziałem, że namiot już stoi. Będą wszyscy, Niemcy, drużyna francuska,

Włosi, wszyscy Irlandczycy. Bilety wyprzedane.

— Idź się napić. W hallu czeka na ciebie niespodzianka — powiedziała Helen.

Rupert wyszedł; nastąpiła długa chwila ciszy. Nowa wykładzina była tak miękka, że Helen nie słyszała kroków wracającego Ruperta. Wszedł, twarz miał pozbawioną wyrazu.

— Podoba ci się?

— Nie wiedziałem, że Marcus może aż tak wymiotować — powiedział Rupert. — To dokładnie kolor groszku z puszki Heinza i bekonu. Co ty zrobiłaś, do jasnej cholery?

Helen zesztywniała.

— To kolor pistacjowy.

— Jutro dopiero będzie pisk, jak wylejemy na niego czerwone wino — odparł Rupert.

— Te schody były śmiertelną pułapką! — warknęła Helen.

— W takim razie szkoda, że twoja przyjaciółka Hilary nie spadała z nich częściej. Zakryłaś kamień z Cotswolds!

— Stopnie były niebezpieczne, a za kilka miesięcy Marcus zacznie chodzić.

— Na widok tej wykładziny od razu ucieknie z domu.

— Wszystkim się podoba! — Helen mówiła coraz głośniej. — Pani Bodkin, Marie-Claire...

— Tak, bo im płacisz. Komu jeszcze się podoba? Pewnie Thrilary. Pasuje do jej cery.

Goście bawili się doskonale. Rupert i Billy na powitanie podawali im koktajl na szampanie, a po półtorej godzinie nieprzerwanego picia na czczo wszyscy się upili. Janey, oszałamiająca w przezroczystej czarnej sukience, tak spodobała się zagranicznym jeźdźcom, że Billy nałożył na nią lonżę i

zataczając się ze śmiechu, prowadził ją za sobą. Ich szczęście było zaraźliwe. Nawet Driffield nie mógł znaleźć powodu do narzekania.

Jedynie Helen, w bezcennej delikatnej ciemnozielonej sukience z łódkowym dekoltem ukazującym szczupłe białe ramiona, wydawała się spięta. Nie urodziła się do brylowania na salonach, poza tym była boleśnie świadoma obecności wszystkich kobiet z przeszłości Ruperta. Nie mogła też znieść widoku ciemnych kółek przypominających symbole olimpijskie na meblach oraz popiołu z papierosów i plam po winie na nowej wykładzinie.

Rupert próbował ją namówić, żeby się rozluźniła i zaczęła bawić, jednak po kolacji sam uznał, że może zapomnieć o obowiązkach gospodarza. Goście wiedzieli, gdzie dostaną drinka, więc od tego czasu co chwilę porywał na parkiet kolejne piękności.

Hilary przyjechała spóźniona. Uzbrojona w przenośne łóżeczko przeszła hallem, roztrącając międzynarodowe gwiazdy jeździectwa, i weszła na schody.

— Prosto do sypialni mojej żony — stwierdził Rupert kwaśno.

W tej chwili minęła go Helen, niosąca butelkę dla dziecka.

— Czy to dla Hilary?

— Marcus płacze.

— Powinnaś go była wysłać do pani Bodkin. Gdzie, do cholery, jest Marie-Claire?

— Godzinę temu zniknęła w krzakach z jednym Francuzem i odtąd jej nie widziano — warknęła Helen. — Mówiłam, że drinki są za mocne.

Na górze Helen wzięła Marcusa na ręce i poszła do sypialni, gdzie zastała Hilary czeszącą włosy.

— Jak ty pięknie wyglądasz! — powiedziała zaskoczona.

Hilary była u fryzjera, który ułożył jej ciemne włosy w zmierzwione wężowe skręty wokół twarzy. Nałożyła róż na policzki i czarną kredkę na powieki, miała na sobie powiewną czarno-czerwoną sukienkę z falbaniastym dołem i okrągłe kolczyki w uszach.

— Nawet nie przypuszczałam, że możesz wyglądać tak pięknie! — dodała Helen z autentycznym zdziwieniem.

— Chciałam udowodnić twojemu cholernemu mężowi, że nie jestem zupełnym niechlujem. Nawet ogoliłam pachy. — uniosła ramiona, ukazując gładką skórę. — I nienawidzę siebie samej.

— W każdym razie ja to doceniam — pocieszyła ją Helen.

— Jak się rozwija impreza? — zapytała Hilary, zlewając się szczodrze perfumami Miss Dior należącymi do Helen.

— Sądząc z hałasu, bawią się jak szaleni. Imprezy to nie moja bajka.

— Rupert nie powinien cię do nich zmuszać. Co powiedział na wykładzinę?

— Zjechał ją.

„Dlaczego rozmowa zawsze schodzi na Ruperta?” — zadała sobie pytanie Helen.

Zeszły na dół, gdzie zabawa nabierała tempa. Ludwig dmuchał w róg myśliwski. Billy, szczęśliwy i pijany, migdalił się z Janey na sofie, a obok nich skuliła się zrezygnowana Mavis.

— Chodź zatańczyć, Helen — powiedział Humpty Hamilton.

Na głowie miał tweedową czapkę Ruperta założoną daszkiem do tyłu.

— Nie poznałeś jeszcze Hilary, prawda? — zapytała Helen.

W tej chwili z parkietu zszedł Rupert, prowadząc potarganą blondynkę.

— Wieczór — powitał zimno Hilary.

— Czyż nie wygląda pięknie? — zapytała Helen.

Rupert zmierzył Hilary wzrokiem.

— Jak kuzynka Jake’a Lovella.

W tej chwili pijany Hans podszedł do nich chwiejnym krokiem i porwał Helen do tańca.

— Pani Helen, macie piękny dom. I pani jest piękną kobietą — westchnął. — Szczęściarz z Ruperta.

Przed nimi w wieczornym zmierzchu majaczył hrabia Guy jak mokry ręcznik owinięty wokół Marie-Claire. „Więc to jest ten Francuz” — pomyślała Helen, zastanawiając się, czy powinna im przeszkodzić.

— Biedna Lavinia. — Hans pokręcił głową. — Na pewno teraz żałuje, że nie wyszła za Billy’ego. A on znalazł sobie piękność. Co za cudowna dziewczyna.

— Tak, jest bardzo miła.

— Wie pani, że Ludwig daje Billy’emu konia w prezencie ślubnym? I to bardzo dobrego. Mandrykę.

Hrabia Guy miał rękę do łokcia schowaną pod sukienką Marie-Claire. „Ona naprawdę nie nadaje się do opieki nad Marcusem” — pomyślała Helen. W kącie zobaczyła Hilary tańczącą z Malise’em, rozmawiali z ożywieniem. To dobrze, tych dwoje powinno się dogadać.

Impreza trwała. W drodze do domu miejscowy przedstawiciel koła psów myśliwskich przejechał przez przyogrodowy mur. Pulpet zwymiotowała na klomb. Helen tańczyła z Billym, którego włosy wirowały wokół niej.

— To superimpreza, aniołku. Nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny. Tak wspaniale przyjęłaś Janey, wciąż jeszcze to przeżywa. O, spójrz, Hilary tańczy tango z Ludwigiem. Naprawdę bardzo seksownie dzisiaj wygląda, a jak wiesz, nie jestem jej wielbicielem.

Billy wrócił do Janey. Korzystając z okazji, by na moment się wymknąć, Helen postanowiła sprawdzić, co u Marcusa. Jej piękny dywan pokrywały plamy po winie. Czy goście nie mogliby już sobie pójść, żeby ona mogła

doprowadzić dom do porządku? W hallu Rupert rozmawiał z Hansem i dwoma Włochami. Nie było po nim widać, kiedy za dużo wypił, jedynie oczy zaczynały mu się świecić. Teraz lśniły jak szafiry w świetle latarek włamywacza.

— Dokąd idziesz? — zapytał, nie odwracając się.

— Sprawdzę, co u Marcusa.

— Jeśli się nie zamknie, pójdę na górę i wsadzę mu w tyłek kij do krykieta.

Trzęsąc się z wściekłości, Helen pobiegła na górę. Rupert wygaduje takie okropieństwa tylko po to, żeby rozbawić innych, a przecież Marcus jest taki słodki!

Pomimo hałasu na dole chłopiec twardo spał.

Słysząc wybuch wrzawy i krzyki z dołu, Helen wybiegła na korytarz. Przechyliwszy się przez poręcz, usłyszała, jak Rupert mówi do pobladłej Pulpet:

— No już, kochana, idź po niego.

— Pani C.-B. to się nie spodoba.

— Będzie musiała to przełknąć.

Pulpet otworzyła drzwi. Helen dojrzała wirujące płatki śniegu, po czym dziewczyna znikła.

— Nie możesz, Rupercie! — powiedziała Janey, na pół ze śmiechem. — Nie bądź draniem, nie na nową wykładzinę Helen. I tak już ją zniszczyliśmy.

Helen wróciła do pokoju i zgasiła światło przy łóżku Marcusa. O czym oni rozmawiali? Przypudrowała nos i przyczesała włosy. Boże, jest taka zmęczona. Gdyby mogła się położyć i poczytać *Mansfield Park*. W tej chwili dobiegły z dołu kolejne krzyki i odgłosy zamieszania. Przez moment wydawało jej się, że śni, gdyż w hallu stał Zemsta, a Rupert wskakiwał na

jego grzbiet. Po chwili Rupert wjechał do salonu przy wtórze ogłuszających wiwatów i wybuchów śmiechu. Wściekła zbiegła na dół.

— Co ty wyprawiasz, do cholery? — wrzasnęła.

W ogólnym śmiechu nikt jej nie usłyszał.

— Dwadzieścia pięć funtów, jeśli przeskoczysz sofę! — zawołał hrabia Guy.

— Mówisz i masz! — odkrzyknął Rupert i od razu przeskoczył kanapę, o mało nie strącając żyrandola.

— Rupert! — wrzasnęła znów Helen. — Co tu robi koń?!

Nagle zapadła cisza.

— Nie ma imprezy bez Zemsty — odparł Rupert i z powrotem przeskoczył przez sofę.

— Wyprowadź go stąd! — zawołała Helen histerycznie. — No już! Już!

— Dobrze — odpowiedział Rupert, ale w wyjściu na korytarz koń, na pewno zdenerwowany otoczeniem, załatawił się na podłodze, co zostało powitane wybuchami śmiechu.

— Chyba daje znać, że nie podoba mu się twoja nowa wykładzina — powiedział Rupert.

Helen wrzasnęła z przerażenia i pobiegła na górę, do sypialni, rzuciła się na łóżko i wybuchnęła głośnym płaczem. Jak on mógł jej to zrobić, jak on mógł, jak mógł!

U stóp schodów Malise natknął się na Hilary. Oboje już odbyli długą rozmowę na temat małżeństwa Campbellów-Blacków i wiedzieli, po czyjej stronie stoją.

— Idź do niej — powiedział Malise. — Od razu. A ja znajdę kogoś, żeby tu posprzątał.

Hilary zastała Helen zapłakaną, skuloną na łóżku.

— Nie wytrzymam tego, nie wytrzymam! Dlaczego on mnie tak poniża?

— Nie wiem, kochana. — Hilary pogłaskała ją po włosach. — To potwór, wciąż ci to powtarzam. Jesteś wykończona. Weź tabletkę i idź spać.

Kiedy pomogła szlochającej Helen się rozebrać i sięgała po jej koszulę leżącą pod poduszką, do sypialni wszedł Rupert.

— Wynoś się — powiedział do Hilary. — Mogłem się spodziewać, że tu będziesz.

— Przed chwilą dałam twojej żonie tabletki nasenne. Zostaw ją.

— Nie może iść spać, jest gospodynią.

— Po czymś takim nie jest się już gospodynią. Jak mogłeś jej to zrobić? Nigdy nie spotkałam takiego gbura.

— To był żart, poza tym się założyłem — odparł Rupert tonem bez wyrazu. — Cały bałagan już sprzątnięty, nie ma ani śladu. A teraz się wynoś.

— Zostań, proszę — wyszlochała Helen.

— Nie zostawię cię, dopóki nie zaśniesz, kochana — powiedziała Hilary.

— Na miłość boską! — wybuchnął Rupert i wybiegł z pokoju.

Zaskakujące, ale Helen ze zmęczenia zasnęła niemal natychmiast. Hilary odczekała jeszcze kilka minut, złożyła jej ubranie i doprowadziła do porządku pokój i siebie. Zgasiła światło, cicho zamknęła drzwi i zajrzała obok, do pokoju Marcusa, a potem do Kate. Na korytarzu zastała Ruperta czekającego z kieliszkiem w ręce. Jego nienawiść była niemal namacalna.

— Wszyscy śpią mimo tego, co wyrabiasz — powiedziała.

Na dole zabrzmiały dźwięki marsza, orkiestra grała *Post horn gallop*. Rupert przystanął, pochylił się i pogłaskał Borsuka, który cały się trząsł. Nie znosił hałasu, więc położył się tu na zbyt małym dla niego posłaniu jednego z terierów.

— Jak to jest, że rozczulasz się nad psem, a zaniedbujesz Helen? Co ona ci zawiniła?

Rupert się wyprostował.

— Była szczęśliwa, dopóki nie pojawiłaś się ty i nie zaczęłaś wciskać tych feministycznych bzdur.

— Nieprawda. Poznałam ją, kiedy omal nie umarła, a ciebie przy niej nie było.

— Akurat utknąłem w najgorszej śnieżycy tej zimy, nie mogłem nic na to poradzić.

— Narzekasz, że nie ma przyjaciół, a kiedy sobie kogoś znajduje, to ich obrażasz. Traktujesz mnie tak, jakbym nie istniała.

— Może nie istniejesz. Nie cierpię kobiet, które robią z siebie supermenki, a ty nie cierpisz mnie — odparł Rupert, podchodząc do niej, wdychając ostry, koci zapach jej ciała — bo twój mąż, niezguła, nie zaspokoiłby nawet chomika.

— Nie waż się obrażać Crispina! — zawołała Hilary.

— Dlatego zatruwasz cudze małżeństwa — dokończył Rupert. — W każdym razie trzymaj się z dala od Helen, do cholery.

— Przyda się jej kilku sojuszników.

— Ale nie takich jak ty. — Rupert przybrał szyderczy ton. — Wiem, w co pogrywasz. Podobało ci się rozbieranie Helen, co? Jest piękna, prawda? A ty latasz za nią tak szybko, jak tylko poniosą cię twoje obrośnięte nogi, ty przeklęta lesbo. Ale jej się to nie spodoba, ona nie lubi takich rzeczy.

Hilary wymierzyła mu mocny policzek. Niewiele myśląc, Rupert odpowiedział jeszcze mocniejszym. Hilary wybuchnęła płaczem. Chwilę później, nie wiadomo jak, znalazła się w jego ramionach, a Rupert całował ją, zmuszając do rozchylenia ust. Wyrywała się gorączkowo, bijąc go pięściami po plecach, znacznie szerszych i bardziej umięśnionych niż u Crispina. Nagle jednak rozluźniła się i odpowiedziała jeszcze bardziej namiętnymi pocałunkami.

— Nienawidzę cię! — wyszlochała.

— Nieprawda. Pożądasz mnie z całych sił. Pragniesz mnie od pierwszej chwili, kiedy mnie zobaczyłaś w szpitalu w Gloucester. To dlatego przez cały ten czas tak się kręciłaś wokół Helen.

— Jesteś brutalny.

— Oczywiście. — Rupert chwycił jej włosy i pociągnął do tyłu, żeby znów ją pocałować. Kciukami gładził ją po ogolonej skórze pod pachami, a palce dłoni rozpostarł na jej plecach.

— Wielki postęp — powiedział cicho.

Odsłonił okno, na parapecie leżało dziesięć centymetrów śniegu, wciąż padało.

— Nie możemy! — Hilary próbowała się odsunąć. — Nie możemy tego zrobić Helen.

— Zaraz zrobimy coś jeszcze gorszego — wyszeptał Rupert szatańsko. — Jutro jadę na polowanie. Pozbądź się Crispina po obiedzie, niech zabierze Germaine na sanki, wystarczy godzina.

27

NIEZDOLNY ZMIERZYĆ SIĘ Z ZAMIESZANIEM towarzyszącym wystawnym weselom, Billy ożenił się z Janey w urzędzie stanu cywilnego w Gloucester na początku stycznia, tym samym rezygnując z rozlicznych prezentów ślubnych, które tak bardzo przydają się młodej parze zakładającej gospodarstwo. Rupert był drużbą. Helen czuła się zawiedziona, że nie pofatygowali się po błogosławieństwo do kościoła w Penscombe, ale przez cały pierwszy wspólny rok z Janey Billy uważał, że bogowie i tak mu błogosławią. Nigdy wcześniej nie był tak szczęśliwy.

Tuż przed ślubem Janey wynegocjowała lukratywną umowę ze swoją gazetą. Zgodnie z nią miała przeprowadzić serię pikantnych wywiadów na całym świecie, co umożliwiło jej podróżowanie z Billym na zawody na koszt gazety. Z Antwerpii do Paryża, dalej do Madrytu, Aten, Nowego Jorku — jej przenośna maszyna do pisania obrastała w naklejki linii lotniczych, Janey zaś rozmawiała z prezydentami, gwiazdami rocka i sławnymi uciekinierami przed urzędem skarbowym.

Kiedy zbliżał się termin odesłania cotygodniowych artykułów, zdarzały się spięcia. Spocona, ze łzami w oczach, podenerwowana Janey waląca w klawiaturę w jakimś hotelu za granicą raczej nie pomagała Billy’emu wyspać się przed ważnymi zawodami. Poza tym, nieuleczalnie spóźnialska, narażała się innym członkom drużyny, którzy przez nią spóźniali się na kolacje i przyjęcia. Zakochany po uszy Billy nie zwracał na to uwagi. Jego konie odnosiły sukcesy. Mandryka, hanowerski kasztan, którego dał mu w prezencie ślubnym Ludwig von Schellenberg, wyjątkowo szybko wspinał się w rankingach i zapowiadał się na równie świetnego konia jak Byk — a

raczej Moggie Meal Al, jak go przemianowano. Billy nieco się krzywił na tę zmianę, ale nie za bardzo. Pięćdziesiąt tysięcy Kevina Coleya rocznie wynagrodziło mu to nowe imię, zresztą w stajni stał przecież ten sam Byk.

W pierwszym roku po ślubie Janey i Billy mieli pieniędzy pod dostatkiem. Pensja Janey plus diety, stałe wygrane Billy'ego, darowizny sponsora — wszystko to dawało sumę stu tysięcy funtów rocznie. I chociaż Billy zawsze stawiał Rupertowi drinki i przekazywał swoje nagrody Helen na utrzymanie (o ile nie wydał ich na uczczenie zwycięstwa) — to wciąż Rupert płacił za gaz, prąd, telefon i ogrzewanie w Penscombe.

Podczas pobytu w Anglii Billy i Janey mieszkali z Helen i Rupertem, niejasno napomykając o poszukiwaniu domu. W końcu znów ogromna hojność Ruperta wobec przyjaciela umożliwiła im wynajęcie Lime Tree Place, uroczego, lecz zniszczonego siedemnastowiecznego domku na terenie Penscombe, który właśnie się zwolnił, pod warunkiem że go odnowią. Trzeba było uzyskać pozwolenie na rozbudowę domu o kuchnię, jadalnię, dwie sypialnie i pokój dziecinny. W wieku dwudziestu dziewięciu lat Janey miała nadzieję, że niemal od razu doczeka się dziecka. Z czasem zamienią porośnięte mchem, zagrzybione budynki gospodarcze w stajnię na kilkanaście koni. Helen odwiedziła ich tam, podkreślając wagę przestrzeni do przechowywania rzeczy i konieczność wyburzenia ścian. Zainspirowana urodą Penscombe Janey uznała, że nie będzie szczędzić na niczym.

Janey i Billy przeżyli pierwszy rok zupełnie bez wysiłku. w domu dzięki wprowadzonej przez Helen organizacji wszystko działało jak w zegarku, więc bryczesy Billy'ego prasowano, koszule prano, a czerwone płaszcze i fraki odbierano z pralni. panna Hawkins z kolei pilnowała rozsyłania formularzy na zawody i płacenia rachunków oraz wpisywania terminów spotkań do kalendarza.

Zdaniem Janey zbyt wiele czasu spędzali z Kevinem i Enid Coleyami, którzy przylecieli na kilka konkursów międzynarodowych i zawsze pojawiali się na Wembley, w Crittleden i Olympii. Billy próbował znaleźć dla niego usprawiedliwienie, tłumacząc, że sponsor po prostu szczyci się sukcesami koni Billy'ego, a zwłaszcza Moggie Meal Ala, który zajął drugie miejsce w mistrzostwach Europy w Paryżu. A jeśli nawet Kevin pouczał Billy'ego, jak powinien jeździć, a Malise'a, jak kierować drużyną, Billy wiedział, że Malise świetnie poradzi sobie z tym na własną rękę. W prezencie ślubnym Coleyowie dali im wielkiego porcelanowego pudla podnoszącego nogę przy latarni. Janey napisała do Enid wylewny list z podziękowaniami, po czym schowała pudla do komórki.

Zbyt często bywali również zapraszani do Château Kitsch, jak Janey nazywała zamek Kevina w stylu pseudo-Tudorów w Sunnigdale, gdzie zabawy przybierały bardzo swobodny obrót i gdzie można było znienacka wylądować w podgrzewanym basenie. Jednak w drodze do domu mogli się pośmiać z elektrycznych ropuch, które wieczorem oświetlały podjazd, albo z ogromnego podświetlanego logo z kotem Moggie Meal Cat przed drzwiami wejściowymi — po naciśnięciu dzwonka kot puszczał oko i mruczał — albo z przycisku w jaskini Kevina, który po wciśnięciu odsuwał biblioteczkę z dziełami zebranymi Dickensa i Scotta, odsłaniając barek zawierający wszelkie możliwe alkohole.

Zaprawiona w bojach dziennikarskich Janey nawet Billa zapędziłaby w kozi róg przy butelce. Pewnego wieczoru, wyglądając przez okno, Helen zobaczyła, jak wracają do domu, zataczając się ze śmiechu, a Billy udaje, że przy każdym kasztanie podnosi nogę.

— Billy jest porcelanowym pudlem Kevina — wyjaśniła Janey. — Boże, nogi mi odpadają! Skończyła się nam benzyna i piechotą idziemy ze Stroud.

Helen żywiła mieszane uczucia wobec Janey. W ostatecznym rozrachunku nie można było jej nie lubić. Janey była towarzyska i cudownie obrazoburcza w swoim stosunku do skoków, ale odrobinę zbyt skłonna do plotkowania. Każdy powierzony jej sekret natychmiast rozszedłby się po całym Penscombe i trafił do prasy. Poza tym była wyjątkową bałaganiarą. Chodziła po domu ze swoim kotem, Haroldem Evansem, siedzącym jej na ramieniu jak papuga. Zwierzę mrużyło oczy wskutek dymu z papierosów, a Janey zostawiała po sobie popiół, brudne filiżanki i po południu kieliszki.

Helen, osoba zasadnicza, nie mogła się pogodzić z faktem, że Janey używa jej perfum, kosmetyków i pożycza ubrania. Doszło nawet do żenującej sytuacji, kiedy Helen z Rupertem wyjechali na weekend, a Janey pożyczyła sobie sukienkę na kolację u Coleyów i rozdarła ją tak, że nie dało się jej naprawić.

Jeszcze gorzej było wtedy, kiedy Helen z białą twarzą zeszła na dół i oznajmiła, że zginęło jej futro z norek, prezent od Ruperta na drugą rocznicę ślubu. Chciała dzwonić na policję, ale Janey zaproponowała, żeby najpierw poszukały w domu.

— Czy to nie futro leży w łazience na dole? — zapytała dwie minuty później dość swobodnym tonem. — Pewnie pani Bodkin przyniosła je do naprawy, ha, ha, taki żarcik.

Na nieszczęście Janey zostawiła w kieszeni trzy papierki po cukierkach i program sztuki Michaela Frayna, granej w Bath. Helen się zdenerwowała, ale nie odważyła się, by zrugać Janey. Zamiast tego poszła do kościoła i pomodliła się o więcej tolerancji.

Janey czasami gotowała, ale przy okazji robiła w kuchni taki bałagan, że Helen dwa razy dłużej doprowadzała potem kuchnię do porządku. Denerwowało ją także to, że Janey wypożyczała książki na jej kartę

biblioteczną, czytała je w wannie lub zapominała oddać, albo, co gorsza, gubiła gdzieś za granicą. Helen, która nigdy nie przetrzymywała książek z biblioteki i zawsze przedłużała terminy, denerwowała się i dodatkowo krzątała, żeby nadrobić zaniedbania Janey.

Obecność Billy'ego i Janey z jednej strony pomagała Rupertowi i Helen — Rupert okazywał większą tolerancję w towarzystwie innych — jednak z drugiej ich szczęście podkreślało wszelkie niedoskonałości małżeństwa drugiej pary.

Rupert szalał z zazdrości o miłość, jaką Helen okazywała Marcusowi.

— Ja się nim delektuję! — mawiała Helen.

„Jakby Marcus był poczwórną wódką z tonikiem" — kpiła Janey.

Rupert zazdrościł też przyjacielowi jego zrelaksowanych, hedonistycznych relacji z Janey. Kiedy Helen nadużyła przy mężu alkoholu? Kiedy ostatnio się śmiali? Słyszał wybuchy śmiechu dochodzące z sypialni Billy'ego i Janey, a pani Bodkin wciąż znajdowała pod ich łóżkiem puste butelki.

Zdaniem Helen Janey wydobywała z Billy'ego jego najgorsze cechy. Zachęcała go do coraz częstszego picia, zakładów, jadania na mieście, a nie w domu. Billy, bardziej emocjonalny i fizycznie mniej wytrzymały od Ruperta, nie radził sobie z takim nadmiarem rozrywek.

Z równowagi wyprowadzała ją także aura nieskrępowanej seksualności, jaką emanował ich związek. Billy i Janey często wymykali się do łóżka. Poza tym wystarczyło spojrzeć na rzeczy Janey wiszące na sznurku. Pani Bodkin zaciskała z dezaprobatą usta tak, że niemal nikły, na widok czarno-czerwonych fig bez krocza, staników z otworami na piersi, stringów, pasków do pończoch i kabaretek. Janey, roztargniona i bezmyślna, zostawiła nawet wibrator w niepościelonym łóżku — znalazła go pani Bodkin.

— Billy ma problem z kręgosłupem, to narzędzie do masażu — wyjaśniła lekko, jednak nie przekonała pani Bodkin, która uznała ją za zdzirę.

Odczucia obu kobiet wobec siebie nawzajem były ambiwalentne. Janey zazdrościła Helen urody, Helen wyglądała oszałamiająco nawet w czepku kąpielowym, poza tym Billy nigdy nie pozwolił powiedzieć na nią złego słowa. Zmotywowana dziennikarską sławą i sukcesem Janey, Helen wróciła do pracy nad powieścią.

— Opowiada o tym tak, jakby pisała *Hamleta* — narzekała Janey.

Złościło ją niepomiernie, że Helen zawsze wydawała się lekceważyć jej pracę dziennikarską. Nigdy nie komentowała jej artykułów, nawet jeśli zajmowały kilka szpalt. Kiedy Janey napisała wywiad z Kissingerem zatytułowany *Jesteś tak dobry, jak twoje ostatnie dzieło*, który zdobył ogólny poklask, nagabywana o opinię Helen powiedziała tylko, że według niej Janey nie ujęła całej wielkości Kissingera. Wychowana w duchu purytańskim uważała, że nie wolno wygłaszać pustych pochwał. Jednak w tym przypadku obowiązek zamienił się w przyjemność.

— Ale ona nie chce być niemiła — protestował Billy.

— A owszem, chce, chłopczyku — odparła Janey ponuro.

Helen zaś zazdrościła Janey jej seksapilu. Czasami martwiło ją, że Billy, Rupert i Janey tak dużo czasu spędzają wspólnie za granicą. Rupert nie starał się rozproszyć jej obaw, gdyż dzięki temu Helen nie zaczynała podejrzewać go o kontakty z Hilary.

W połowie lat siedemdziesiątych zmieniło się i jeździectwo, i Rupert. Skoki nabrały popularności, pojawili się sponsorzy, nagrody były coraz większe. Przedtem sezon trwał od kwietnia do października, teraz można było skakać przez cały rok, gdyż coraz więcej zawodów rozgrywano pod dachem i wieczorem, więc jeźdźcy byli zajęci w dzień i w nocy. W początkach

kariery Rupertowi zdarzało się wyskoczyć do Argentyny, by pograć w polo, albo do Longchamps na wyścigi lub na narty do Kloster. Teraz skoki stały się pasją pochłaniającą jego cały czas. Zawsze na torze eksploatował swoje konie tak intensywnie, że po roku nie nadawały się już do zawodów, więc wciąż szukał nowych. W czasie pobytu w domu szkolił konie lub je sprzedawał. Tak bardzo zawziął się, by nie zostać zawodowcem, że konie wypełniły mu całe życie.

Pulpet jeździła z nim, adorując go, zaspokajając jego potrzeby fizyczne, cierpiąc, ale nie obrażając się, jeśli Rupert akurat zainteresował się kimś innym. A przy rzadkich okazjach, kiedy wracał do Gloucestershire, czekała na niego Hilary, kłótliwa, zrzędliwa i nienasycona, lecz nieodparcie budząca w nim fascynację.

Po przyjęciu na cześć Janey i Billy'ego Helen usunęła się w cień i całą swoją ambicję przelała na dom, spędzając czas na usuwaniu śladów innych kobiet z życia Ruperta, jak to określiła Janey. Dużo wydawała na stroje i fryzjera, zajęła się również działalnością dobroczynną. Hilary jej nie pomagała. Miała swoje powody, żeby namawiać Helen do porzucenia Ruperta.

— Jesteś zdolną pisarką, którą niszczy szowinistyczna świnia. Praktycznie sama wychowujesz dziecko. Jak on cię wspiera w opiece nad Marcusem? — pytała.

— Dając mi ogromne pieniądze — przyznała szczerze Helen.

— Pokolenie naszych rodziców poświęcało karierę dla małżeństwa — mówiła Hilary. — Tobie nie wolno tak robić. Nie można jednocześnie być szczęśliwą w małżeństwie, dobrą matką i robić karierę.

Helen miała nadzieję, że jednak jest dobrą matką. Z pewnością uwielbiała swoje dziecko. Marcus już chodził, jego pierwszym słowem było „mama". Miał kilka zębów. Wyrastał na ślicznego chłopca, nieśmiałego, o

wielkich poważnych oczach i burzy tycjanowskich kędziorów. Rupert zawsze namawiał Helen, by je obcięła. Przy ojcu Marcus tracił pewność siebie, gdyż Rupertowi nie podobały się ślady lepkich palców na czystych białych bryczesach ani fakt, że Marcus reagował wielkim wrzaskiem, jeśli tylko zbliżył się do konia. Pod nieobecność ojca spokojny i pogodny Marcus przejmował nastawienie matki, lecz po jego powrocie zamieniał się w płaczliwe, roszczeniowe dziecko.

Kolejnym źródłem niezgody były psy. Po przeczytaniu kilku artykułów w „Guardianie” Helen przeraziła się, że Marcus zarazi się od nich jakąś bliżej nieokreśloną chorobą oczu, więc chciała trzymać je na dworze. Rupert stanowczo odmówił. Psy były tutaj przed nią, zauważył zimno, przy okazji uświadamiając sobie, że od narodzin Marcusa psy jako jedyne naprawdę cieszyły się z jego powrotów do domu. W obojgu zaczęły narastać żal i pretensje.

Billy martwił się postępującym rozpadem małżeństwa Ruperta i szeroko omawiał je z Janey. Pewnego gorącego wieczoru pod koniec lipca, w przeddzień wyjazdu do Aachen, leżeli w łóżku w Penscombe, opróżniając butelkę moeta.

— Do licha — powiedziała Janey — jak ktoś o urodzie Helen może być jednocześnie tak spięty? Gdybym to ja tak wyglądała...

— Wyglądasz — zapewnił ją Billy, przytulając się do jej miękkich pośladków i rękami sięgając do piersi.

— Myślisz, że pasowałaby mi fryzura Helen? — zapytała Janey.

— Wolałbym, żebyś nieco obcięła swoją dżunglę.

— Myślisz, że się rozejdą?

— Nie. Wydaje mi się, że w głębi serca wciąż się kochają. Poza tym Helen za bardzo boi się świata poza domem, a Rupert nie uznaje rozwodu.

Żeni się dla dzieci i po to, żeby ktoś prowadził mu dom. Rozrywki szuka poza małżeństwem.

— Mam nadzieję, że ty tak nie myślisz!

— Nie — odparł Billy, przesuwając dłonią po jej gładkim brzuchu.

Janey wciągnęła brzuch.

— Muszę schudnąć. Sądzisz, że przestała być dla niego atrakcyjna fizycznie?

— Trudno powiedzieć. Kilka lat temu o mało nie zabił włoskiego dyplomaty, który się przystawiał do Helen. Uważa ją za swoją własność, a jest bardzo zaborczy.

— Jest dobry w łóżku?

— Ma fiuta jak kij baseballowy. W szkole przerzucał nim bułki przez cały pokój.

— Szczęściara z tej Helen. — Janey usiadła poruszona tą myślą.

— Czy nie jestem dla ciebie za mały? — zapytał Billy niespokojnie.

Janey wdrapała się na niego, przytrzymując się metalowej ramy nad zagłówkiem. Łóżko zatrzeszczało przeraźliwie.

— Absolutnie nie. Zobacz, jak dobrze mi wychodzi anglezowanie.

28

HILARY BYŁA PIERWSZYM POWAŻNYM ROMANSEM Ruperta od czasu, gdy poznał Helen. Był to typowy związek miłości i nienawiści. Pomimo ciągłego powtarzania, że wszyscy mężczyźni to świnie, sama Hilary w łóżku zamieniała się w zwierzę — nienasycona, prawie nimfomanka. Zbyt rzadko się kąpała, była flejtuchem, choleryczką, a Rupert musiał ją całować, żeby zamilkła, a potem sam przyciął jej paznokcie, żeby nie zdrapała mu skóry z pleców. Nie znosił jej hipokryzji — mimo romansu z nim wciąż przyjaźniła się z Helen.

Tą zdobyczą nigdy nie pochwalił się Billy'emu, wiedząc, jaką odrazą zareagowałby przyjaciel. Pójście do łóżka z Hilary przypominało zjedzenie wieprzowiny w cieście, kiedy umiera się z głodu, a potem odkrywa, że termin przydatności dania do spożycia minął miesiąc temu.

— Jeśli choćby piśniesz słowo Helen, uduszę cię — powtarzał często, a ona wiedziała, że to nie żart, co jednak nie powstrzymywało jej przed podejmowaniem ryzyka.

Wieczorem przed wyjazdem do Aachen Rupert ją wystawił i nie przyjechał, więc Hilary zadzwoniła wściekła do Penscombe i przez telefon zaczęła na niego wrzeszczeć. Rupert, który akurat leżał w łóżku z Helen, czytając swój horoskop w „Harper's", przez minutę trzymał słuchawkę przy uchu, po czym powiedział spokojnie:

— Porozmawiaj o tym z Helen. Akurat jest tutaj.

Hilary była zmuszona wziąć się w garść i wymyślić od ręki zaproszenie dla Helen i Ruperta na kolację za trzy tygodnie, co oznaczało, że czekają ją wysiłek i koszty.

Niezależnie od wszelkich swoich pretensji Hilary szalała, kiedy Rupert traktował ją coraz bardziej szorstko i nie okazywał chęci, by razem z nią zamieszkać. Jej fascynacja częściowo wynikała z faktu, że tak rzadko się widywali — ledwie kilka godzin w miesiącu.

Hilary była przekonana, że gdyby mieli dla siebie więcej czasu, mogłaby go omotać. Podczas zawodów w Aachen pod koniec lipca poleciała do Niemiec, zostawiając dzieci z anielsko cierpliwym Crispinem. Wymyśliła, że potrzebuje samotności, by malować. Po zawodach w Aachen Rupert wysłał Pulpeta do domu z Billym i końmi, powiedział, że wyjeżdża szukać koni i wróci za dzień albo dwa. Cały tydzień wyżywał się na Pulpecie z powodu poczucia winy i nerwów związanych z przyjazdem Hilary. Razem pojechali samochodem do hotelu w Schwarzwaldzie, który wybrała Hilary. Wycieczka okazała się katastrofą. Rupert przeleciał Hilary, ale potem przeżywał koszmar, kiedy musiał rozmawiać z nią przy obiedzie, chodzić z nią po lesie lub na powitanie dnia rano słyszeć jej pospolity, niezadowolony głos. Po czterdziestu ośmiu godzinach pokłócili się i wrócili osobnymi samolotami.

W tym czasie Pulpet wróciła do domu o dobę wcześniej z Billym i Janey. Zastali Anglię dotkniętą suszą. Słońce paliło ziemię dzień po dniu; młode drzewa i kwiaty więdły, zielona dolina w Penscombe przestała być zielona; potoki wyschły ledwie do strug, liście żółkły. W Gloucestershire zabroniono podlewania ogrodów i mycia samochodów, przebąkiwano o kurtynach wodnych i racjonowaniu wody.

Gdy wrócili, Janey i Billy padli do łóżka na szesnaście godzin, by dojść do siebie po podróży. Pulpet i Tracey z kolei musiały wstać o szóstej rano, po czterech godzinach snu, żeby oporządzić konie. Kiedy przez telefon dotarła wiadomość, że Rupert wraca wieczorem, Pulpet zdwoiła wysiłki. Rupert zwykle wracał do domu w bojowym nastroju, żeby przypomnieć

wszystkim, że on tu rządzi, krytykował wszystko, co zrobiła Pulpet, a potem miał do niej pretensje, że się obraża.

Późnym popołudniem upał wcale nie zleżał. Większość koni stała w boksach, które chroniły je przed muchami, wypuszczano je dopiero wieczorem. Najnowszym nabytkiem Ruperta był Arcturus, siwy irlandzki ogier. Miał duży potencjał, ale jego występ w Aachen był słaby. W czarnym bikini i espadrylach, związawszy przetłuszczone włosy w kucyk, Pulpet gawędziła z koniem, nakładając na niego pasy, by zwiększyć muskulaturę.

— Odwal się, kochanie — powiedziała, kiedy Arcturus trącił ją w plecy. — Wieczorem wraca twój pan, na pewno będzie chciał, żebyś wyglądał świetnie. Mam nadzieję, że mu przeszło i nie będzie się na nas złościł, Arcy. Nie chciałeś przecież zrzucić tego ostatniego triplebara, a ja nie chciałam pomylić mapy przy wyjeździe. Wiesz, Arcy, on potrafi być okropny. Gdyby nie był tak słodki, kiedy mu na tym zależy, pewnie nie przełknęlibyśmy jego złych humorów.

— Pewnie nie — odezwał się głos za jej plecami. — Ale dzisiaj jestem słodki.

Arcturus gwałtownie podrzucił głową, a Pulpet o mało nie zemdlała, upuściła bat i oblała się gorącym rumieńcem.

— Myślałam, że wrócisz dopiero wieczorem — wymamrotała.

— Tak sądzę, bo pewnie ubrałabyś się odpowiednio.

— Przepraszam. — Pulpet zdjęła z wierzchowca źdźbło słomy i zaatakowała zgrzebłem lśniący już bok. — Ale to się nie zdarza często.

— Wyglądasz bardzo atrakcyjnie. — Rupert pociągnął ją za włosy związane w koński ogon. — Nie chcę tylko, żeby Phillips coś sobie wyobrażał.

Phillips, pomocnik ogrodnika, durzył się bez wzajemności w Pulpecie.

— Ty jesteś moją własnością — dodał Rupert.

Pulpet zalała fala tak wielkiego szczęścia, że pod powiekami zapiekły ją łzy.

— Hej — powiedział Rupert, znów delikatnie pociągając ją za włosy — nie wydajesz się zadowolona.

— Ależ nie, skąd! — wierzchem dłoni dziewczyna otarła twarz, zostawiając na niej smugę brudu. — Myślałam tylko, że byłeś na mnie zły, ale jeśli na twój powrót przygotuję wszystko, jak należy, to przestaniesz się złościć.

— Wszystko wygląda, jak należy — ocenił Rupert. — Idę się przebrać. Skończ z Arcym, a potem pójdziemy na pole i obejrzymy źrebaka Gemini.

I odszedł, a za nim Borsuk i dwa teriery.

Pulpet drżącymi rękami nałożyła Arcturusowi siana i dolała wody, po czym pędem rzuciła się na strych i gorączkowo umyła twarz. Ech, ta okropna smuga błota na policzku! A chciała przecież umyć włosy przed jego powrotem. Pewnie wciąż śmierdzą papierosami, bo Billy i Janey całą drogę palili. Pulpet wzięła szybki prysznic, dwa razy umyła się pod pachami i trzy razy między nogami, po czym obsypała się taką ilością talku, że zaczęła kichać. Zdążyła jeszcze włożyć spłowiały pomarańczowy T-shirt i spódnicę, która przylegała do jej mokrej skóry, kiedy z dołu zawołał ją Rupert. Gdy schodziła tyłem po drabinie prowadzącej do jej mieszkania na strychu, Rupert już czekał. Wsunął dłonie pod jej spódnicę i wbił kciuki w pulchne pośladki.

— Nie! — pisnęła.

Miał na sobie tylko stare jeansy, a pachniał drogą francuską wodą kolońską, której nazwy Pulpet nie umiałaby nawet wymówić. Nagle zabrakło jej tchu.

— Nie tutaj — powiedziała z trudem. — Przecież Phillips i pani Campbell-Black...

— W Londynie. Chodź. Dlaczego się przebrałaś? W tym bikini wyglądałaś sexy.

— Za gruba — wymamrotała Pulpet, wciągając kalosze.

— A to po co?

— Żmije — wymamrotała. — W zeszłym tygodniu Phillips zabił jedną przy korcie tenisowym. I dla ochrony przed pokrzywami i ostem.

Kiedy szli spalonymi słońcem polami — Rupert z aparatem Hasselblad, który wygrał w Aachen — opadały na nich pomarańczowe liście kasztanów, widzieli osty już pokryte białym puchem i zwiędnięty zagajnik grabów posadzony przez Ruperta na wiosnę. Ziemia była spękana. Z daleka słyszeli syrenę strażacką.

— Jeśli nie spadnie deszcz, będziemy mieli kłopoty — powiedział Rupert. — W Crittleden dojdzie do morderstwa.

Pokrzywy porastające ścieżkę do ukrytego stawu Billy’ego, które wcześniej miały ponad półtora metra wysokości i zamykały się nad nią, teraz skurczyły się do około trzydziestu centymetrów i na pewno nie zagrażały nogom Pulpeta. Staw niemal wysechł. Między piersiami dziewczyny i spod jej pach spływały strużki potu. Czuła, jak wali jej serce.

— Które konie zabierasz do Rotterdamu? — zapytała.

— Pytałaś pięć minut temu. Jesteś rozproszona — zadrwił Rupert.

Kiedy dotarli do końca ścieżki, wziął dziewczynę za rękę i skręcił w prawo.

— Gemini jest na łące przy dębach — zareagowała szybko Pulpet.

— Później ją obejrzymy — odparł Rupert. — Teraz mam bardziej naglące plany. — otoczył ramieniem jej talię, po czym przesunął dłonią do góry i ścisnął jej lewą pierś. — Bardzo naglące. — po czym ją puścił.

Dotarli do potoku płynącego dnem doliny, otoczonego podmokłymi łąkami. Tutaj było bardziej zielono, a brzegi ginęły w kępach trędownika i

niezapominajek. Od zewnętrznego świata odcinał je krąg jesionów, tworząc zalaną słońcem polanę. Z drogi nikt by ich nie dojrzał.

— A jeśli ktoś przyjdzie polem?

— To własność prywatna, więc postraszę ich sądem. — Rupert uniósł dłoń i starł pot z jej twarzy. — Tęskniłem za tobą, Pulpecie — powiedział łagodnie. — Zdejmij ubranie.

W jej oczach błysnęło wahanie, jednak zdjęła pomarańczową koszulkę i ukazała pełne piersi opadające lekko i zakończone ostro sutkami.

— Oprzyj się o to drzewo — polecił Rupert, nastawiając światłomierz w aparacie.

Pulpet odruchowo uniosła rękę do włosów, żeby je rozpuścić.

— Nie, zostaw je związane. Chcę widzieć twoją twarz.

— Nie pomalowałam się.

— I dobrze. Unieś ramiona nad głowę i oprzyj się o pień. Pięknie. Boże, masz świetne cycki. A teraz odwróć się bokiem. Trzymaj tak ramiona, pięknie.

Pstryknął jeszcze jedno zdjęcie, po czym podszedł do niej, przesunął dłońmi po jej piersiach i pocałował ją. Pachniał pastą do zębów i zwierzęcym pożądaniem. Pulpet otoczyła go ramionami i odpowiedziała tak gwałtownym pocałunkiem, że o mało się nie przewrócili.

— Spokojnie — wyszeptał. — Jeszcze nie skończyłem.

Rozwiązał sznurek jej spódnicy, która opadła na ziemię. Pulpet wyszła z niej, wtedy Rupert zsunął jej majtki. Mysie włosy były przyciśnięte do skóry, zmierzwił je rękami. Potem rozsunął różowe wargi. Po udach ściekała wilgotna, błyszcząca strużka.

— O tak, stój w rozkroku. Kochana, nie wstydź się. Gdybyś tylko wiedziała, jak fantastycznie wyglądasz. A teraz się obróć. Nie spinaj pośladków. Odpręż się.

Usłyszała jeszcze dwa trzaśnięcia. Czekała, przywierając do szorstkiej kory drzewa, z wyschniętym gardłem i sercem walącym o żebra. Potem poczuła na plecach ciepłą dłoń. Rupert nawet się nie spocił.

— Piękny tyłek — powiedział cicho, przesuwając palcami po szczelinie w dół, aż dotarł do ciepłej, lepkiej wilgoci między jej nogami.

— Boże — powiedział, manewrując dłonią zwinną jak łasica. — Zapraszasz całą sobą.

Przypomniał sobie ataki złości Hilary, jej pocałunki, które były jak ssanie odkurzacza, ostre zęby i drapiące ręce. Przypomniał sobie chłodną niechęć Helen i porównał ją z ekstatyczną, pełną wdzięczności łagodnością Pulpeta.

— Może ty też zdejmiesz ubranie? — zaproponowała, odwracając się i całując go namiętnie, jednocześnie odpinając zamek jego jeansów, a potem zsuwając mu bokserki. W końcu opadła na kolana, wtuliła twarz w blond włosy porastające jego krocze i zaczęła ssać z taką radością, z jaką dziecko ssie lizaka.

— Spokojnie, skarbie. Nie chcę jeszcze dojść do końca. — Rupert odwrócił się i zdjął spodnie, a Pulpet chwyciła aparat.

— Teraz moja kolej, ja zrobię ci zdjęcia!

Chichocząc, zaczęła robić mu zdjęcia, kiedy się odwrócił. Po czym znów go złapała w obiektyw, gdy podchodził do niej na pół roześmiany, na pół rozgniewany.

Zrównał się z nią, popchnął ją na trawę, rozsunął nogi i zaczął całować. Dziewczyna wiła się, spięła, jęknęła z rozkoszy. Zdaniem Ruperta — cudownie szybko. Hilary zajmowało to ostatnio coraz więcej czasu, prawie tyle, ile poczcie doręczanie listów i przesyłek przed świętami. Rupert odwrócił się, położył i pociągnął Pulpeta na siebie, czuł, jak jej spięte, ale śliskie mięśnie ściskają go, widział piersi kiwające się jak balony na

imprezie po otwarciu drzwi wejściowych. Dziewczyna naprawdę była wspaniała.

Słońce zachodziło za zagajnikiem jesionów, kiedy skończyli, nasyceni i wyczerpani. Pulpet opłukała się w strumyku, płosząc drobne rybki. Kiedy wracali zalaną słońcem doliną, Rupert wyjmował jej z włosów ziarna trawy.

— Nie ma już czasu na oglądanie źrebaka Gemini — powiedział. — Muszę jechać rozdawać nagrody na konkursie florystycznym w Cheltenham.

Na podwórku powitali ich Tracey i Phillips.

— Pani Campbell-Black dzwoniła z Londynu — powiedziała Tracey. — Nie mogłam cię znaleźć. Oddzwonisz do niej?

— Byłem w dąbrowie, robiłem zdjęcia źrebakowi Gemini — odparł Rupert z zimną krwią.

— Ciekawe — wymamrotał zazdrosny Phillips w kierunku pleców Ruperta. — Trawa była tam kiepska, więc rano przenieśliśmy źrebaki w inne miejsce.

Rupert wyjechał do Rotterdamu dwa dni później. Dzień przed jego powrotem Helen pojechała do Cirencester na zakupy. Na targu wpadła na Hilary, kupującą ser na kolację, do której wydania została zmuszona, a która miała się odbyć dzień później.

— Rupert wraca? — zapytała. — Co prawda niezbyt się przydaje na przyjęciach, wciąż wygłasza faszystowskie uwagi, a potem zasypia. Ale kupiłam dziesięć wędzonych pstrągów i nie chcę zamieszania z liczbą gości.

Helen, którą Hilary coraz bardziej irytowała, odparła, że z Rupertem nigdy nic nie wiadomo, ale według niej przyjdzie na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

— Dopilnuj, żeby się pojawił — powiedziała Hilary. — Poproszę jeszcze grubszy kawałek dolcelatte.

Po powrocie ze Szwarcwaldu Hilary zdała sobie sprawę, jak bardzo będzie jej brakowało Ruperta, który wnosił tyle życia w jej monotonną codzienność. Musi go odzyskać. Byłoby zbyt okrutnym żartem losu, gdyby nie przyszedł na kolację.

Helen zostawiła Hilary i poszła do fotografa odebrać zdjęcia, które zleciła wywołać z filmów leżących na szafce Ruperta. Przy poprzedniej bytności w domu Rupert zrobił kilka zdjęć Marcusowi i Helen nie mogła się ich doczekać. Pan Wise, fotograf, akurat wyszedł, lecz nie zdążył sprawdzić zamówienia, jak to zwykle robił. Lubił przeglądać fotografie Campbellów-Blacków, gdyż często pojawiały się na nich słynne osoby lub ciekawe miejsca za granicą.

Susza w ogóle nie zniechęcała miłośników wycieczek. Tkwiąc w wakacyjnym korku w drodze powrotnej do Penscombe, Helen nie mogła się oprzeć, by nie zerknąć na zdjęcia. Znalazła jedno piękne z Marcusem, chociaż wolałaby, żeby Borsuk nie lizał go po twarzy, potem fotografię różowego salonu i zdjęcie jednego z terierów oraz Arcturusa. Dlaczego Rupert zawsze fotografuje zwierzęta? Kolejne przedstawiało śliczną grządkę ziół i dolinę, teraz całą żółtą. A to na pewno źrebak Gemini. Helen skończyła oglądać jeden zestaw i wyciągnęła zdjęcia z drugiego. Pierwsza rzuciła się jej w oczy fotografia pulchnej dziewczyny bez stanika. Pan Wise na pewno dał jej niewłaściwe zdjęcia. Następne przedstawiało dziewczynę w całości, na rozstawionych nogach, w ohydnie prowokacyjnej pozie. Helen przyjrzała się uważniej i zamarła. Dziewczyna przypominała Pulpeta. Helen przejrzała jeszcze cztery zdjęcia, wszystkie obrzydliwe. Tak, to na pewno Pulpet. Kolejne zdjęcie robione pod kątem ukazywało mężczyznę

bez głowy, ale jego ciało było zdecydowanie znajome. Na następnym stał z całą pewnością Rupert, nagi, w pełnej okazałości, zanoszący się śmiechem.

Sekundę później Helen z ogłuszającym trzaskiem wyrżnęła swoim porsche w samochód przed sobą. Mocno uderzyła się w głowę, a maska samochodu spłaszczyła się jak nos buldoga w kreskówce.

— Patrz, jak jedziesz! — wrzasnął kierowca samochodu przed nią. Rzucił się do jej auta. Zastał Helen szlochającą i w pośpiechu zbierającą rozsypane zdjęcia, zanim ktoś je zobaczy.

Rupert przyleciał z Rotterdamu o osiemnastej następnego dnia, zmęczony, ale znów jako zwycięzca. Zostawił stajennym konie. Phillips wyjechał po niego na lotnisko morrisem Helen i oznajmił mu radośnie, że dzień wcześniej pani Campbell-Black rozwaliła porsche. „Dobrze mu tak, łajdakowi — pomyślał na widok wściekłej miny Ruperta. — Nie trzeba było brykać z Pulpetem po lasach”.

Helen chodziła po swoim pokoju, zastanawiając się, jak, do licha, zacząć rozmowę z Rupertem. Jakimś cudem w ciągu czterech lat małżeństwa nigdy nie przyłapała go na zdradzie. Podejrzewała inne kobiety: Marion, Janey, Granię Pringle, kilka jego byłych, ale nigdy nie brała pod uwagę Pulpeta, która miała niełądną pospolitą twarz, tłuste nogi i mówiła londyńskim slangiem. To był wstrząs, nie potrafiła się uspokoić. Czuła też obrzydzenie — robienie zdjęć dziewczynie na polach Campbellów-Blacków, gdzie mógł ich zaskoczyć przypadkowy przechodzień. Żałowała, że nie ma przyjaciółki, przed którą mogłaby wylać swoje żale, ale Janey wciąż jeszcze była w drodze z Rotterdamu razem z Billym, a zresztą zwierzanie się jej nie było bezpieczne. Mogłaby zadzwonić do Hilary, ale ona tylko by skomentowała: „A nie mówiłam”. Wciąż cierpiała na oślepiający ból głowy po wczorajszym zderzeniu porsche, a pod włosami na czole pojawił się wielki siniak.

Zazwyczaj oszalałe szczekanie oznajmiło powrót Ruperta. Wyjątkowo zamiast pójść do stajni, wszedł prosto na górę do sypialni.

— Podobno rozwaliłaś mój samochód. Jak się czujesz?

— Doskonale, dziękuję. — Helen wyjrzała przez okno, drżąc ze wzburzenia i nie chcąc odwracać wzroku.

— Jak to się, do cholery, stało?

— Tkwiłam w korku, przeglądałam zdjęcia w drodze do domu. — obróciła się gwałtownie i podała mu koperty. — Ciekawe. Spójrz.

Rupert wziął je nonszalancko do ręki. kiedy czuł się osaczony, oczy mu ciemniały, traciły przezroczystość i blask.

— Myślałem, że zrobiłem ładne zdjęcia Marcusowi. O, to dobre, to też, a tutaj świetne zdjęcie Borsuka. O, a tu jest Arcy. Boże, co za piękny koń. Szkoda, że tutaj zamknęłaś oczy. — Nagle gwizdnął cicho. — Kto to?

— Doskonale wiesz, kto to! — wrzasnęła Helen. — To ta dziwka, Pulpet!

— Widocznie Phillips pożyczył mój aparat. Boże, ta dziewczyna ma ciało.

— To ty robiłeś te zdjęcia — syknęła Helen — i ręka ci nie zadrżała, czego nie można powiedzieć o Pulpecie, kiedy to ona uwieczniała cię na fotografiach.

Rupert przejrzał zdjęcia, grając na zwłokę.

— A ten gość bez głowy? Ma fujarę jak wieża na poczcie.

— To twoje! — zachłysnęła się Helen. — I chyba nie zaprzeczysz, że na następnym zdjęciu jesteś ty!

— Obawiam się, że to prawda — przyznał Rupert, po czym popełnił kardynalny błąd, roześmiał się.

Helen straciła cierpliwość.

— Jak śmiałeś z nią spać!

— A kto powiedział, że z nią spałem?

— Nie wygłupiaj się. Janey i Billy pewnie o tym wiedzą. Jak mogłeś, jak mogłeś!

Rupert podrapał się za uchem i spojrzał na nią z namysłem.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Owszem! Jak cholera!

— Pieprzyłem ją, bo była w domu, kiedy wróciłem, i mnie chciała.

Helen się skuliła.

— Poza tym jest cudowna w łóżku.

— A ja zapewne nie?

— Nie, moja kochana. Jeśli chcesz znać prawdę, przypominasz mrożonego kurczaka. Posuwanie ciebie to jak wpychanie kiełbasy do brojlera. Zawsze się boję, że wylecą podroby.

Helen zabrakło słów.

— Nigdy nie widzę żadnej reakcji, nie okazujesz przyjemności, w ciągu czterech lat małżeństwa nigdy sama o to nie poprosiłaś. Jeśli cię pragnę, muszę usiąść na ulicy z miską jak żebrak. Mam już tego dość. Za każdym razem, kiedy odrobinę rozchylasz nogi, zachowujesz się tak, jakbyś czyniła mi wielką łaskę. To nie twoja wina. Twoja cholerna matka wdrukowała to w ciebie. Zawsze zachowuj się jak dama. Boże!

Helen wbiła w niego wzrok, zbyt oszołomiona, by zdobyć się na reakcję. Przyglądała się, jak Rupert się rozbiera, odsłaniając żylaste, pięknie opalone ciało, tak straszliwie przypominające te zdjęcia. Przez jeden przerażający moment Helen miała wrażenie, że Rupert na nią skoczy, ale on poszedł pod prysznic, skąd po pięciu minutach wyszedł, dużym różowym ręcznikiem wycierając włosy.

— Zrozumiałaś? — zapytał. — Nie dostaję seksu w domu, więc szukam go poza domem.

— Musisz ją zwolnić — powiedziała Helen zbielałymi wargami. — Nie mogę się z nią widywać po tych obrzydliwych zdjęciach.

— A co w nich takiego obrzydliwego? Kodakowi najwyraźniej się podobały. Dziewczyna ma ładne ciało i, co ważniejsze, w ogóle się go nie wstydzi. Mogłabyś się od niej kilku rzeczy nauczyć.

Poszedł do garderoby, wyjął smoking i białą koszulę.

— Dokąd się wybierasz? — zapytała Helen tępo.

— Na kolację. Hilary nas zaprosiła, nie pamiętasz? Bardzo prosiłaś, żebym zdążył.

Jeśli Rupert zechciał, potrafił się ubrać błyskawicznie.

— Nie możesz tak sobie iść na kolację po tym wszystkim — wyszeptała wciąż oszołomiona Helen.

— Dlaczego nie? Darmowe drinki są znacznie lepsze niż wysłuchiwanie twojej histerii, w którą za chwilę wpadniesz. Nie lubię, jak rzuca się we mnie książkami, a ta butelka perfum jest niepokojąco duża. Nie powinnaś też się przebrać? — zawiązywał krawat, ze zmarszczonymi brwiami spoglądając w lustro.

— Nie masz zamiaru przeprosić za to, co zrobiłeś z Pulpetem?

Rupert zręcznie przerzucił krawat przez pętlę.

— Mam przepraszać za twoje niedociągnięcia?

Teraz srebrną szczotką zaczesywał wciąż wilgotne włosy na skronie i nad uszami. Wziął do ręki marynarkę.

— Nie rób sobie kłopotu z czekaniem. Powiem Ortrud, czy kogo tam mamy w tym tygodniu, że masz migrenę.

Helen nie mieściło się w głowie, że tak wielki występek można potraktować tak lekko. I te okropności, które jej nagadał. Czy naprawdę jest tak kiepska w łóżku? Czy to wszystko jej wina?

Kiedy tylko Rupert wyszedł, rzuciła się na łóżko i zaniosła płaczem. Nie po raz pierwszy żałowała, że pokój Marcusa jest obok ich sypialni. Po kilku sekundach mały zaczął stukać w drzwi i wołać ją. Gdzie się podziewa Ortrud, do cholery? Uderzanie w drzwi przybrało na sile.

— Mamusiu, mamusiu!

Helen założyła ciemne okulary i otworzyła drzwi; Marcus niemal upadł na podłogę. Miał na sobie niebiesko-białą piżamę w paski, przytulał do siebie fioletowego skunksa, którego Rupert przywiózł mu z Aachen.

— Mamusia płacze — powiedział z powątpiewaniem.

Helen wzięła synka na ręce.

— Mamusię boli głowa. — uderzyła się dłonią w skroń, po czym głową skunksa w okno. — Mamusia uderzyła się w samochodzie. Dlatego płacze.

Marcus chyba przyjął to wyjaśnienie. Helen nerwowo sprawdziła, czy z nosa nie cieknie mu wąska strużka śluzu, która zawsze zapowiadała atak astmy (zwykle wywoływanej obecnością Ruperta), ale nie zobaczyła niczego.

— Bajka — oznajmił Marcus stanowczo.

„Nie dam rady” — pomyślała Helen.

— Ortrud! — zawołała w stronę parteru.

Jednak Ortrud na wieść, że Helen zostaje w domu, umknęła do pubu Pod Wesołą Kozą w Stroud na spotkanie ze znajomymi.

Po wyładowaniu na Helen wściekłości wynikającej z poczucia winy Rupert nie bawił się dobrze na kolacji u Hilary. Pomimo autorytatywnych uwag wygłaszanych do Helen, Hilary nie przeszkadzało, że jednej zaproszonej osoby brakowało i Rupert przyszedł sam.

— Co się jej stało? — zapytała.

— Migrena — odparł Rupert krótko.

— Masz na myśli kłótnię — wycedziła Hilary kątem ust. — Napij się na pocieszenie wina z czarnego bzu. Crispin robił.

Rupert pogardliwie rozejrzał się po poważnych kobietach z wystającymi brzuchami ukrytymi pod sukienkami w etniczne wzory i po brodatych mężczyznach, wyraźnie skrępowanych w uroczystych smokingach. Gdyby nie była to rocznica ślubu Hilary i Crispina, zapewne nie zgodziliby się tak wystroić. Oprócz Ruperta wszyscy przynieśli prezenty.

Hilary posadziła go do kolacji po swojej prawej stronie. Naprzeciwko niego nie było żadnej przyzwoicie wyglądającej kobiety, z którą mógłby poflirtować albo puszczać do niej oko. Na kolację podano obrzydliwego wędzonego pstrąga, potem potrawkę z zająca — niewiarygodne menu jak na sierpień. Biorąc pod uwagę kiepskie umiejętności kulinarne Hilary, w potrawce pewnie pływały jeszcze resztki sierści.

— Co się dzieje? Nie błyszczysz jak zwykle — zagadnęła Hilary cicho, muskając dłonią jego dłoń, kiedy podawała mu galaretkę z czerwonej porzeczki.

Rupert nie odwzajemnił gestu.

— Co się naprawdę stało Helen? — kontynuowała Hilary. — Wczoraj czuła się dobrze.

— A teraz czuje się źle — odparł Rupert, po czym odwrócił się na prawo, do Niemki z warkoczami upiętymi wokół głowy.

— Praca z końmi to zapewne samotne życie — powiedziała kobieta.

— Nie — odparł Rupert. — Jest tłoczno.

Co za idiota z niego, że narobił na własnym progu. Teraz będzie musiał zwolnić Pulpeta, a Arcy i pozostałe konie, które za nią przepadały, w środku sezonu zostaną nieszczęśliwe. Nietrudno było znaleźć stajenną, ale tak dobrą jak Pulpet to praktycznie niemożliwe. Poza tym po co, do cholery, pakował się w romans z Hilary? Teraz czuł do niej obrzydzenie.

— Nie cierpię psuć atmosfery.

Rupert czuł się coraz bardziej poirytowany widokiem pozbawionych makijażu twarzy lśniących w migotliwym świetle świec. Kobieta siedząca na prawo od niego poszła do łazienki. Crispin wyszedł zrobić kawę, zapewne bezkofeinową. Ze ścian straszyły afektowane, ponure obrazy Hilary. W końcu Hilary nie mogła dłużej tego znieść.

— Helen dowiedziała się o nas, tak?

Rupert zmrużył oczy.

— O kim?

— O nas przecież. O tobie i o mnie.

Rupert roześmiał się krótko.

— Nie, ale dowiedziała się o kimś innym.

— Nie rozumiem.

— Helen odkryła, że posuwam kogoś innego.

— Dawno?

— Nie, dziesięć dni temu.

Hilary aż się zachłysnęła.

— Ty draniu! Ty pieprzony draniu — syknęła. — Nabierasz mnie. Nie wierzę ci.

— O czym tak szepczecie? — obok nich stanął Crispin. — Przepraszam, kochanie, że tyle mi to zajęło, przewijałem Germaine. Rupercie, jeszcze kawy?

Rupert spojrzał na dłonie Crispina, których ten na pewno nie umył.

— Nie, dzięki. — wstał. — Muszę lecieć. Cudowny wieczór, ale wstałem dzisiaj o czwartej, poza tym nie lubię zostawiać Helen na zbyt długo.

„Przedtem jakoś mu to nie przeszkadzało” — pomyślała z wściekłością Hilary.

— To zadzwoń do niej — zaproponowała. —Choć na pewno już śpi. Szkoda kończyć imprezę.

— Jaką imprezę? — odparł Rupert tak cicho, że tylko Hilary go usłyszała. — Nasza prywatna impreza już się skończyła.

— Co się stało z twoim porsche? — zapytał Crispin, widząc, jak Rupert wciska swoje długie nogi do mini morrisa.

— Helen miała wczoraj stłuczkę — odparł Rupert i odjechał.

Wrócił do domu kwadrans przed północą. W oknie Ortrud paliło się światło, u Pulpeta nad stajnią również. Zapewne wszyscy w domu wiedzieli, że wyjechał po głośnej awanturze z Helen. Powędrował do stajni, wciąż panował niemiłosierny upał. Księżyc w pełni przyćmiewał światło gwiazd; konie poruszały się niespokojnie. Arcturus podszedł do drzwi swojego boksu. Rupert dał mu marchewkę, którą zabrał z wystawnego półmiska Hilary po drodze do wyjścia.

— Chciałbym być ogierem tak jak ty — powiedział. Arcy zatoczył oczami i skubnął Ruperta, który poklepał go po pysku. — Pewnego dnia, kiedy będziesz już sławny, pozwolą ci pieprzyć każdą klacz, jaką zechcesz. Dlaczego ja nie mogę tego robić?

Rupert wiedział, że Pulpet będzie na niego czekała, ale poszedł prosto do domu. Nie miał ochoty spać w pokoju gościnnym, który miał opinię nawiedzonego, a on nie wypił tyle, by się nie bać duchów.

Po położeniu Marcusa Helen wykąpała się, przemyła oczy, umyła głowę i nałożyła powiewną koszulę nocną z czarnego jedwabiu ze sklepu Janet Reger, którą dostała od Ruperta na Gwiazdkę, ale nigdy jej nie nosiła, gdyż nie miała odpowiednio pełnego biustu. Teraz leżała w wielkim łóżku przy zgaszonym świetle, a przez okna wlewał się blask księżyca. Kiedy Rupert cichutko przeszedł obok drzwi, zawołała go. Wszedł czujnie, spodziewając się awantury. Włosy lśniły mu srebrzyście.

— Przepraszam — powiedziała Helen zdławionym głosem. — To wszystko moja wina.

Rupert, absolutnie zaskoczony, poczuł niewiarygodne wzruszenie.

— Dobrze rozumiem, dlaczego pociąga cię Pulpet — mówiła dalej Helen. — Jestem beznadziejna w łóżku. Wychowano mnie na okropną sztywniarę, ale tak bardzo cię kocham. Nie zniosę myśli, że mogłabym cię stracić. Postaram się, moja gra wstępna będzie lepsza niż uwertury Rossiniego — próbowała zażartować, ale głos jej się załamał.

Rupert usiadł i przyciągnął Helen do siebie.

— Nie, to moja wina — powiedział, gładząc ją po nagich ramionach. — Od jutra Pulpet nie będzie tu pracować. Zapłacę jej za odejście, żebyś już nie musiała jej oglądać. To chyba też wina mojego wychowania. Wierność nie była silną stroną naszej rodziny, ale naprawdę cię kocham.

— Kupię sobie seksowną czarną bieliznę jak Janey, poczytam o seksie i nauczę się, jak doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

— Już to robisz. Przecież zawsze cię pragnąłem, tylko zmęczyłem się ciągłym próbowaniem zdobycia kogoś, kto mnie nie chciał.

Tej nocy poczęli Tabithę.

29

DOM BILLY’EGO I JANEY stopniowo nabierał kształtu, a chociaż Billy stanowczo odmówił budowania basenu i kortu tenisowego, wyposażono go we wszelkie inne luksusy.

— Jeśli sezon będzie dla mnie udany, a ty przysiądziesz do pisania, do końca przyszłego roku powinniśmy wyjść z długów, plus minus kilka butelek Bellsa — powiedział Billy do Janey po przeprowadzce w październiku.

Jednak nie miał pojęcia, że będą musieli płacić tak astronomiczne rachunki. Nie dostali żadnych prezentów ślubnych, więc trzeba było kupić wszystko: od zgniatarki do czosnku po pralkę. Matka Billy’ego, bardzo zamożna, mogłaby im pomóc, ale nie polubiła Janey, która porównywała ją do starego buta z tweedową cholewką lub, w momentach większej życzliwości, do przebranego za drag queen cesarza Wespazjana. Pani Lloyd-Foxe miała duży nos i gęste siwe kędziory, które lepiej pasowałyby do mężczyzny. Uważała Janey za zdzirę i zgadzała się z Helen, że synowa używa przesadnego stylu w swoich artykułach. Tydzień wcześniej Janey opisała swoje małżeństwo, podając za dużo szczegółów z życia prywatnego. Większość czytelników, łącznie z Billym, uznała to za zabawne, ale pani Lloyd-Foxe nie doceniła poczucia humoru synowej.

— Jak się mają kochana Helen i słodziutki Marcus? — pytała podczas każdej rozmowy telefonicznej, wiedząc, że wyprowadzi tym Janey z równowagi.

Pani Lloyd-Foxe miała córki, które rodziły dzieci z taką samą łatwością, jak kury znoszą jajka. Jak często przypominała jej teściowa, teraz to Janey

powinna szybko urodzić syna.

— Wtedy mały Lloyd-Foxe podtrzyma nazwisko rodowe.

Helen, cierpiąca na lekkie mdłości, ale znacznie bardziej szczęśliwa od czasu pogodzenia się z Rupertem, cieszyła się niepomiernie perspektywą kolejnego dziecka. Janey również chciała zajść w ciążę i od ślubu z Billym przestała brać pigułkę. Jednak co miesiąc było to samo. Szła do lekarza, który powtarzał jej, że to dopiero początki i doradzał przedmuchanie jajowodów.

— Poza tym sporo jeździłaś po świecie — dodał. — Może zrób sobie przerwę w pracy, pobaw się w dom, zajmij Billym i zacznij wić gniazdo. Spróbujcie ograniczyć współżycie do połowy miesiąca, między twoimi miesiączkami.

Janey rzeczywiście znudziło się podróżowanie po świecie. Miała dość życia na walizkach, wywiadów z gwiazdami pop i politykami. Chciała zostać w domu, przyglądać się, jak okoliczne lipy żółkną, a wczesnym rankiem iść na grzyby.

Pozostała jeszcze kwestia wydatków, olbrzymich i niepokrytych, bo Janey pogubiła rachunki. Zbyt wiele kolacji w Tiberio albo Maximie, które Janey lub Billy fundowali reszcie drużyny. Inna korespondentka zawodów konnych, zazdrosna o to, że Janey weszła jej w drogę, doniosła wydawcy sportowemu o niepotrzebnych wydatkach. Mike Pardoe, naczelny gazety, niemal dostał zawału na widok kwoty wydanej przez Janey i wezwał ją do siebie z Gloucestershire.

Kiedyś Pardoe był jej kochankiem. Teraz, spoglądając na tę przystojną, czujną twarz wilka, Janey pomyślała, że Billy jest znacznie milszy.

— Te wydatki to jakiś żart! — powiedział Pardoe. — Jak, do cholery, udało ci się tyle przehulać w Atenach? Kupiłaś jakąś wyspę grecką?

— Ale artykuł się udał, sam mówiłeś.

— Ostatnio jakość ci spadła. Większość tekstów wygląda tak, jakbyś pisała je piórem maczanym w winie i w pokoju hotelowym. Masz wrócić do redakcji na Fleet Street, gdzie będę miał cię na oku i dam ci tematy, których potrzebuję. Dobrze piszesz, Janey, ale zeszłaś na manowce.

— Chcę pisać dziennik spoza miasta, coś jak „Pamiętnik prowincjonalnej damy” — zaprotestowała Janey.

— A kto to przeczyta?

Janey wpadła we wściekłość. Spojrzała na lodówkę redaktora, pełną alkoholi, na skórzaną kanapę, na którą kochanek kładł ją wiele lat temu i którą niedawno obito na nowo lśniącą czarną skórą. Nie chciała wracać do szalonego, niepewnego życia sprzed czasów Billy’ego, kiedy rano trzęsła się z zimna na peronie w drodze do pracy, w sukience z poprzedniego wieczoru, a wszyscy wiedzieli, że nie spędziła nocy w domu.

Wyszła z redakcji i poszła na lunch ze znajomym wydawcą książek. Opowiedziała mu, że chce napisać książkę o mężczyznach i obecnej sytuacji w wojnie płci.

— Zatytułuję ją „Notatki z frontu Y”.

— Dobry pomysł — przyznał znajomy. — Miła odmiana po tych feministycznych bzdurach wylewających się z prasy. Idź na całość, rozwodnicy, niewierni, mężczyźni prowadzący dom. Czy mężczyzna w społeczeństwie po rewolucji seksualnej jest lepszy w łóżku? Niech to będzie tak ostre, zabawne i kontrowersyjne, jak tylko się da. Wypłacę ci dwadzieścia jeden tysięcy zaliczki.

Po zakrapianym lunchu nie do końca trzeźwa Janey poszła do Pardoe i wręczyła wypowiedzenie.

— Wrócisz — powiedział naczelny. — Jeśli kiedykolwiek skończysz książkę, w co wątpię, to ja sprawię, że odniesie ona sukces.

— Wątpię — odparła Janey — bo na pewno w niej wystąpisz, ale z próżności nie pozwiesz mnie do sądu.

W jej rodzinie ojciec utrzymywał matkę, dlaczego więc Billy nie miałby utrzymywać jej? Po powrocie z Hamburga Billy dowiedział się, że Janey rzuciła pracę, ale dostała dużą zaliczkę na poczet książki.

— Będę przyzwoitą żoną, jak Helen — mówiła Janey.

Billy odparł, że woli żony nieprzyzwoite i chociaż podoba mu się pomysł zamieszkania w chatce drwala, jak Czerwony Kapturek, ma jednak nadzieję, że nie pojawi się zbyt wiele wilków przebranych za babcie. Nieco zaniepokoiły go też dodatkowe rachunki: oprócz pięćdziesięciu tysięcy za remont dostali dziesięć tysięcy wymiaru podatku i trzy tysiące podatku VAT dla Janey. Nagle okazało się, że nie mają z czego ich zapłacić.

— Daj je Kevowi — powiedziała Janey lekko. — Od tego w końcu jest.

Jednak wszystkie zmartwienia finansowe poszły w zapomnienie w gorączce przeprowadzki, podziwianiu mebli, które tak pięknie prezentowały się na kamiennych podłogach i rozpalaniu ognia w kominku w salonie, przycinaniu wciąż kwitnących róż i powoju oraz wieszaniu zasłon. Potem nadeszły rozkoszne chwile przebudzenia we własnym łóżku i własnej sypialni, wyglądanie na świat pomiędzy lipami w dolinie. Jak mogli nie czuć się szczęśliwi i nie cieszyć się życiem w tym zaczarowanym zakątku?

Kiedy Billy zaczął jeździć na zawody sam, Janey początkowo za nim tęskniła, ale podobało jej się urządzanie mieszkania, perspektywa dłuższego spania zamiast wstawania o piątej i jazdy samochodem przez górskie przełęcze lub naprawiania zepsutego samochodu na oblodzonych drogach. Nadeszła wyjątkowo surowa zima, do domu wciskał się wiatr prosto z Kanału Bristolskiego, ale Janey po prostu nastawiała centralne ogrzewanie

na maksymalną temperaturę i leniwie zastanawiała się nad książką. Nie wolno poganiać muzy, trzeba jej dać czas na odsłonięcie tajemnic.

Rupert straszliwie tęsknił za przyjaciółmi po ich wyprowadzce. Wraz z nimi z domu zniknęły radość i śmiech. Heroicznie próbował być dobrym mężem. Helen równie mocno starała się w seksie, ale nie było jej łatwo przy mdłościach i ociężałości związanej z ciążą. Borsukowi najbardziej brakowało Mavis. Przy każdym wyjeździe Ruperta pies uciekał do nowego domu. Kiedy przyjeżdżał po niego Rupert, zastawał zakłopotanego psa leżącego przed kominkiem z zamkniętymi oczami, udającego, że skoro nie widzi pana, to go tam nie ma.

W ramach poprawiania stosunków Janey zaprosiła Keva i Enid Coleyów na pierwszą kolację w nowym domu. Wielkiego chińskiego pudla wyniesiono ze skrytki, odkurzono i postawiono na honorowym miejscu w salonie. Niestety, dzień wcześniej Janey spryskała cały piekarnik środkiem czyszczącym i zapomniała go zmyć, więc kiedy wyjęła kaczkę, kuchnię wypełniły trujące opary, kaczka zaś zamieniła się w spieczony skwarek wielkości strzyżyka. Rozległ się głośny wybuch śmiechu, a Billy’ego wysłano do Stroud po chińszczyznę. Może i dobrze. Kiedy Billy sprawdził musztardę, którą Janey postawiła na stole, odkrył, że była to maść dla koni odstraszająca owady.

— Janey to bardzo atrakcyjna dziewczyna — skomentowała Enid Coley w drodze do domu — ale nie wiem, czy dobra z niej gospodyni.

Przed świętami kłopoty zaczęły się mnożyć. Byk zbił sobie kopyto przed zawodami na Olympii, a Billy’emu nie udało się ani razu wygrać na pozostałych koniach. Wysłał kartkę z życzeniami do kierownika banku i uznał, że spróbuje zwrócić się do rodziców, którzy już wcześniej zaprosili ich na święta.

— Tylko na dwa dni — odpowiedziała stanowczo Janey pani Lloyd-Foxe. — Nie możemy zostawić koni.

Wizyta nie za bardzo się udała. Janey, która zawsze zostawiała zakupy na ostatnią chwilę, była zmuszona do wydania fortuny na świąteczne prezenty, czym zszokowała oszczędnych rodziców Billy’ego. Zamiast czeku, którego gorąco wyczekiwali, dostali od nich wyjątkowo brzydkie srebra rodowe. Lloydowie-Foxowie mieszkali w domu zwanym „Makings”, tak zimnym, że Janey nie mogła się zmusić, by wstać wcześniej niż w południe, a i wtedy przenosiła się przed kominek. Matka Billy’ego nie zachowywała się zbyt taktownie, bezustannie poruszając temat dzieci. Jakie to smutne, kiedy na partyjkach brydża nie można się pochwalić bliskimi narodzinami małego Lloyda-Foxe’a. Jak miło, że kochana Helen wykazuje się rozsądkiem i spodziewa drugiego dziecka.

— Wyprasuję Billy’emu koszule — powiedziała, wchodząc do sypialni i podnosząc je z podłogi. — Wiem, które lubi. I zrobię wam szarlotkę, weźmiecie do domu. Billy tak uwielbia ciasta.

— Wsadzę ci je w tyłek, jeśli się nie zamkniesz — wymamrotała Janey.

Z czystej złośliwości Janey zostawiła bałagan w pokoju i nie zgasiła ognia, nie zadając sobie trudu, by rozstawić dwa łóżka, które po przyjeździe zsunęli razem. Billy był jedynym źródłem centralnego ogrzewania w domu. A kiedy w południe i o osiemnastej Janey dryfowała w kierunku wódki, matka Billy’ego zaciskała mocno szczęki. Wyczerpana gotowaniem chętnie przyjęłaby pomoc Janey i jej pochwałę. W końcu, drugiego dnia świąt, Billy poprosił ojca o pożyczkę.

Pan Lloyd-Foxe zaczął coś mamrotać z wahaniem, w końcu powiedział, że rok był ciężki, musiał oszczędzać, a chociaż miał dwadzieścia wolnych tysięcy, podzielił je między siostry Billy’ego — Arabellę i Lucindę.

— Uznałem, że potrzebują ich bardziej niż ty i Janey, skoro oboje pracujecie.

Janey nawet nie pocałowała teściowej na pożegnanie. Dopiero po ich wyjeździe pani Lloyd-Foxe odkryła, że synowa zamalowała literę „L” na znaku przy wjeździe.

Po świętach rachunki napłynęły rzeką. Billy, który nigdy w życiu nie płacił za gaz, telefon lub prąd, nie miał pojęcia, że tyle to kosztuje. Zobaczył również wyciąg z konta bankowego, bardziej ognisty niż przedświąteczny szał zakupów Janey.

— Naprawdę wydałaś sześć dych na poduszkę dla matki?

— Szkoda, że nie przydusiłam nią tej czarownicy — odparła Janey.

Urząd skarbowy i budowlańcy domagali się zapłaty. Kolejnym niemiłym wstrząsem była wiadomość, że zaliczka za książkę została podzielona na trzy części: siedem tysięcy przy podpisaniu umowy, kolejne siedem po przesłaniu maszynopisu i siedem po publikacji.

— Jak myślisz, kiedy im ją prześlesz? — zapytał Billy.

Pierwotnie miał to być marzec, ale Janey, która zrobiła dopiero kilka luźnych notatek, stwierdziła, że nie ma nadziei, by skończyła wcześniej niż latem, co oznaczało, że książka na pewno nie ukaże się jesienią.

Janey również nie miała pojęcia o astronomicznych kosztach utrzymania i wożenia stada koni. Nie przydawała się nawet do pomocy organizacyjnej. Wciąż zapominała o wysyłaniu formularzy zgłoszeniowych, więc Billy czasami jechał ponad trzysta kilometrów na zawody, po czym na miejscu dowiadywał się, że nie został wpisany na listę. Czasami udawało mu się przekonać organizatorów w ostatniej chwili, lecz czasami nie. Był jednym z najlepszych jeźdźców w Anglii, jednak w przeciwieństwie do Ruperta nie miał wrodzonego talentu. Musiał sporo pracować i wciąż trenować, żeby osiągać naprawdę dobre wyniki. Janey nie rozumiała również

temperamentu Billy’ego, jego braku pewności siebie, tego, że potrzebował absolutnego spokoju przed ważnymi konkursami. Kłótnie i żądania pieniędzy burzyły jego koncentrację akurat wtedy, kiedy potrzebował dystansu, poza tym przy ślicznej żonie i ciepłym łóżku w domu spędzał mniej czasu w krytej ujeżdżalni i coraz częściej wstawał późno.

W marcu wrócił do domu z trzytygodniowego wyjazdu za granicę. Rozpaczliwie stęsknił się za Janey i specjalnie zadzwonił do niej z Southampton z wiadomością, że wróci do domu na kolację, dodając nieśmiało, że cały dzień nic nie jadł. Kiedy instalował konie w stajni Ruperta, z kuchni dobiegł cudowny zapach wołowiny po burgundzku. Zaczął się zastanawiać, czy Janey ugotuje mu coś dobrego. Przy drzwiach wejściowych potknął się o stos butelek po mleku. W domu unosił się odór kota, a nie zapach potrawki, a kiedy wlał resztki whisky do szklanki i zaniósł ją do zlewu, żeby dolać wody, znalazł w nim stos brudnych naczyń. Jak wyjaśniła Janey, zmywarka się popsuła, a nikt jeszcze nie przyszedł jej naprawić. Po powrocie do salonu zauważył ciemne kółka na eleganckim georgiańskim stoliku, który dostali od Helen w prezencie ślubnym. Dom przypominał Penscombe z czasów przed przybyciem Helen. Teraz jednak bałagan działał mu na nerwy. Miał za sobą ciężki tydzień, prawie nic nie zarobił. Próbował zignorować stos nieruszonych brązowych kopert na stoliku. Nie było już whisky, jedynie wódka, ale bez toniku.

— Dolej sobie soku pomarańczowego.

— Umieram z głodu.

— Przepraszam, kochanie. Zapomniałam zrobić zakupy, a kiedy zadzwoniłeś, było już za późno. Chodźmy do restauracji.

— To cholernie kosztowne. Zjem płatki.

Billy czuł, jak żołądek skręca mu się boleśnie. Zastanawiał się, czy nie dostanie wrzodów. Rano wstał wcześnie. Poszedł na górę. W kredensie nie

było nic do jedzenia, ani na górze, ani w szufladach.

— Mam jakieś czyste koszule albo bryczesy?

— Boże! — Janey złapała się za głowę. — Zostawiłam je w pralni w Stroud. Pralka też się zepsuła.

— O której otwierają?

— Wpół do dziewiątej.

— Muszę wyjechać o szóstej.

— Kochanie, naprawdę bardzo cię przepraszam. Słuchaj, daj mi swoje bryczesy i koszule, upiorę je ręcznie. Potem wysuszymy je przy kominku, wstanę wcześnie i uprasuję.

— Nie trzeba, pożyczę coś od Ruperta. Tym razem wyjeżdżam tylko na parę dni.

— Strasznie cię przepraszam — powiedziała Janey, nagle zauważając dwa niewysłane formularze w miejscu na listy. Wsunęła je szybko pod inne papiery.

— Zrobię ci dobrego drinka.

Po dwóch szklaneczkach wódki z sokiem pomarańczowym, która nawet nie smakowała tak źle, Billy nabrał otuchy na tyle, by otworzyć brązowe koperty.

— Janey, kochanie — powiedział pięć minut później — naprawdę musimy zacisnąć pasa. Te rachunki są przerażające.

— Nie możesz się przejechać do Château Kitsch? Harold Evans złapał dzisiaj ziębę na rabacie ziół i wrócił z pyskiem pełnym koperku i pietruszki. Poza tym narzeka na wątrobę.

Billy spojrzał na nią zaniepokojony.

— Byłaś z nim u weterynarza?

Janey zachichotała.

— Nie, narzeka na to, że dostaje za mało wątróbki.

Billy uśmiechnął się, ale nie dał się zepchnąć z tematu.

— Skarbie, musimy ograniczyć wydatki. Nie potrzebujemy basenu. Nie stać nas na zaliczkę, nie mówiąc już o kwocie do zapłaty za całość.

Janey zrobiła nadąsaną minę.

— A tak miło ci będzie wskoczyć do niego, kiedy wrócisz z zawodów.

— W Gloucestershire można się tak bawić jedynie przez trzy miesiące w roku.

— Próbuję oszczędzać. Pani Bodkin chorowała na grypę, więc zaniosłam jej dzisiaj bukiet żonkili bez liści, bo są o dziesięć pensów tańsze.

— Ale tak naprawdę nie oszczędzamy na wydatkach domowych, prawda? Na lodówce stoi jakieś pięć otwartych puszek z kocią karmą, która już pleśnieje, a Mavis naprawdę nie potrzebuje codziennie połówki kurczaka. Strasznie się roztyła.

— Borsuk często wpada na obiad. Wiesz, jak Helen głodzi psy.

— Będziemy musieli ograniczyć pracę pani Bodkin do połowy dnia w tygodniu — stwierdził Billy, ignorując zmarszczone brwi Janey. — I zrezygnować z usług panny Hawkins. Możesz zająć się moją pocztą od fanów.

— Fanów? — powtórzyła oburzona Janey. — A co z moimi fanami?

— Tylko na trochę, zanim nie wyjdziemy na prostą.

Janey prawie wpadła w histerię.

— Muszę skończyć książkę! Mam ją oddać w lipcu. Nie mam czasu na nic innego, piszę codziennie! Wstaję o ósmej, dopiero przed chwilą skończyłam. Głupio nie wykorzystać, kiedy natchnienie się pojawi.

Nie dodała, że większość dnia spędziła przy kawie, a później przy whisky z jednym z robotników budowlanych. W końcu, tłumaczyła sobie, musi poznać poglądy drugiej strony, żeby mieć materiał do swojej książki.

— Wiem, kochanie — powiedział uspokajająco Billy. — Mówię tylko, że teraz nie możemy myśleć o przebudowie domu.

— Zwróć się do Keva — powiedziała Janey, wlewając mu do szklanki resztkę wódki. — Niech ten orangutan trochę nam pomoże. Zrobię ci jajecznicę. — i poszła w kierunku kuchni.

— Wiesz — odezwała się po chwili, wystawiając głowę przez drzwi — Helen dała mi dzisiaj rozdział swojej książki do przeczytania.

— Dobra?

— Nie potrafi pisać dość bezpośrednio. Powiedziała do mnie: „Janey, powiedz mi naprawdę szczerze, co myślisz", co oznacza, że miałam przekonująco skłamać. Ale dowiedziałam się czegoś znacznie zabawniejszego. Bardzo się zaprzyjaźniła z nowym proboszczem. Podobno po przylocie z Genewy w zeszłym tygodniu Rupert zastał w domu spotkanie wielkopostne, wszyscy, łącznie z Borsukiem, medytowali z zamkniętymi oczami.

Billy wybuchnął śmiechem.

— Rupe mi wspominał.

Poszedł do kuchni, starając się omijać wzrokiem bałagan, jak również skorupki jajek, które Janey wrzucała do wielkiego pudła, na wielki stos skorup z około stu innych jajek. To zapewne stamtąd dochodził dziwny zapach. Billy wziął do ręki dzbanek do kawy stojący na komódce i spojrzał na cenę.

— Boże, kawa jest naprawdę droga. Od dzisiaj piję tylko alkohol.

Janey podeszła do niego i objęła ramionami.

— Naprawdę cię kocham — powiedziała. — Nie martw się o pieniądze, mam butelkę St. Emiliona.

Po trzech dużych wódkach i butelce wina problemy jakby straciły na znaczeniu. Billy znów zacznie zwyciężać, a pod jego nieobecność Janey

zasiądzie na serio do pisania. Wkrótce wydobędą się z kłopotów.

Nadeszła wiosna, po ciężkiej zimie tym bardziej wyczekiwana. Lasy wypełniły się fiołkami, zawilcami, pierwiosnkami i śpiewem ptaków. Postaci z utworów Chaucera zaczęłyby planować pielgrzymkę, Janey zaś kupowała ubrania. Widok czosnku niedźwiedziego wzbudził w niej tęsknotę za mocno zakrapianymi obiadami w Soho. Wiedziała, że małżeństwo z Billym jest czymś znacznie cenniejszym i trwalszym, ale brakowało jej żartów i plotek. Często dzwoniła do matki, coraz trudniej było jej usiąść do pisania. W redakcji przywykła do cotygodniowego poganiania, częstych listów od wielbicieli, spotykania się na imprezach z czytelnikami, którzy mówili jej komplementy.

Na wieś nie docierała popołudniowa poczta, popołudniówka „Evening Standard” ani sygnał radia Capital. Janey nie mogła przystosować się do zwolnionego tempa życia. Gloucestershire było sennym hrabstwem, więc Janey zaczęła zapadać w popołudniowe drzemki. Poddała się przedmuchaniu jajowodów, co nie było nawet bolesne, ale miało na nią większy wpływ, niż przypuszczała. Wpadła w przygnębienie, a do napięcia przedmiesiączkowego zaczęła się dokładać depresja pomiesiączkowa, kiedy Janey stwierdzała, że nie zaszła w ciążę.

Pewnego dnia odwiedzła ją matka Billy’ego ze swoją znajomą. Dom wyglądał przerażająco, nie było ciasta, tylko stary chleb, brakowało dżemu, a imbryk zapychały fusy. Pani Lloyd-Foxe poszła za Janey do kuchni.

— Jakieś wiadomości? — zapytała.

Janey pokręciła głową, ale ze zdenerwowania przypaliła tosty.

— Cóż za piękny widok — powiedziała znajoma, wyglądając przez okno.

— Jedyny widok, jaki mi się podoba — powiedziała Janey — to widok mnie samej.

Napłynęły kolejne rachunki; było to rozliczenie podatkowe Janey, po którym Billy uświadomił sobie, że jako jej mąż musi zapłacić dodatkowo piętnaście tysięcy podatku i trzy tysiące VAT.

Przy każdych zakupach Janey miała wrażenie, że wszędzie widzi ubranka dziecięce i jest jedyną bezdzietną osobą na świecie. Codziennie mierzyła sobie temperaturę i zapisywała ją na odwrocie kartki świątecznej. Mieli się kochać przy każdym skoku temperatury. Jednak albo Janey zapodziewała gdzieś kartkę, albo Billy'ego akurat nie było.

W maju Helen urodziła córkę, której dano na imię Tabitha. Rupert uczestniczył w porodzie, chociaż według Helen więcej czasu spędził, robiąc słodkie oczy do pielęgniarek i sprawdzając, jak działa aparatura, ale przynajmniej był przy niej. Od pierwszej chwili, w której ujrzał Tabithę, a ona otworzyła niebieskie oczka, Rupert przepadł. Była faktycznie idealnym dzieckiem. Gaworzyła, śmiała się i niemal od początku przesypiała całe noce. Jeśli się budziła, Rupert wstawał bez marudzenia, okazując słodycz i cierpliwość, których Helen nigdy by się po nim nie spodziewała.

Jeśli chodzi o Ruperta, była to miłość stulecia. Miał kogoś, kogo pokochał całą duszą i kto odpowiedział mu uwielbieniem. Pierwsze słowo córeczki brzmiało „tata", a pierwsze kroki były skierowane do Ruperta. Zanim zaczęła chodzić, domagała się krzykiem, by wsadzić ją na kucyka i jeszcze głośniej krzyczała, kiedy zdejmowano ją z siodła. Rupert zrobiłby dla niej wszystko. Karmił ją, bawił się z nią godzinami, przyglądał się, kiedy spała — pulchna, różowa, z blond włoskami, urocza. Początkowo zachwycona tą odmianą Helen stopniowo zaczęła się coraz bardziej irytować i w rezultacie jeszcze bardziej zbliżyła do Marcusa, który w wieku dwóch lat nie rozumiał, dlaczego ojciec go nie uwielbia, nie przynosi prezentów i nie bierze na kolana. W końcu, kiedy Ruperta nie było w pobliżu, mały zaczął bić i szczypać Tab i zasypywać jej łóżeczko

zabawkami. Pewnego dnia Rupert zastał go na podduszaniu Tab poduszką i dał mu takiego klapsa, że chłopiec upadł. Dwie godziny później Marcus dostał najcięższego ataku astmy w życiu. Wyzdrowiał, ale przez ten czas Rupert zdążył już wyjechać na kolejne zawody.

Chrzest wyprowadził Janey z równowagi. Została matką chrzestną, ale cała ceremonia zrobiła na niej wrażenie pierwotnego plemiennego rytuału płodności. Stawiła się cała rodzina Campbellów-Blacków, zachwytom nad cudownym dzieckiem nie było końca. Pani Lloyd-Foxe przesłała dziewczynce piękny srebrny dzbanek.

Po uroczystości Janey się upiła i przepłakała całą noc.

Billy wpadł w rozpacz.

— Jesteśmy dopiero półtora roku po ślubie, skarbie. Pójdę do lekarza, może to moja wina.

30

ZAWODNICY SZYKOWALI SIĘ do mistrzostw świata, które w lipcu miały się odbyć w Les Rivaux w Bretanii. Reprezentacja brytyjska miała liczyć tylko sześciu zawodników. Uznając za pewnik, że Billy się zakwalifikuje, Kevin Coley zarezerwował duży namiot w Les Rivaux, zamierzał przylecieć ze wszystkimi swoimi najważniejszymi klientami.

Był dopiero maj, więc Billy nie przejmował się kwalifikacjami. Na pewno wkrótce odzyska formę. Byk pokonał wirusa i wrócił na tor. Z punktu widzenia Kevina Coleya kolejnym ważnym wydarzeniem był duży konkurs w Westerngate w Midlands, pod koniec maja. Fabryka karmy Moggie Meal leżała ledwie kilkanaście kilometrów dalej. Kevin Coley wynajął duży namiot na terenie zawodów, w którym mieli pojawić się wszyscy jego ważniejsi pracownicy, w najlepszych ubraniach, i poznać klientów.

Gwoździem programu miał być Billy i występ jego koni: Moggie Meal Ala, Moggie Meal Kitcha — Kitchenera i Moggie Meal Dicka — Mandryki. Goście byli również ciekawi pięknej i sławnej żony Billy’ego, której artykuły wiele kobiet uznawało za wyjątkowo odważne.

Westerngate leżało ponad sto kilometrów od Penscombe. Billy miał występować codziennie. Kevin i Enid Coleyowie było rozczarowani, że w czwartek i piątek Janey pracuje, ale cieszyli się na wspólny lunch w sobotę.

— Muszę tam jechać? — narzekała Janey.

— To ważne — tłumaczył Billy. — Zawdzięczamy im chleb.

— Raczej kiepskiej jakości, jeśli o mnie chodzi. Nie cierpię przerywać pisania, kiedy dobrze mi idzie — skłamała Janey.

— Przyjadę po ciebie w piątek wieczorem — powiedział Billy — pojedziemy rano. Ale będziemy musieli wcześnie wyjechać, bo około wpół do dwunastej startuję.

W poniedziałek przed zawodami Billy poszedł do Kevina z prośbą o dwadzieścia tysięcy funtów zaliczki, żeby spłacić niektórych wierzycieli. Kevin zastanawiał się przez chwilę.

— Dobrze, Billy, pomogę ci.

— To bardzo miłe — odparł Billy z westchnieniem ulgi.

— To nie tyle miłe, ile raczej cholernie hojne. Ale nie dam ci aż tyle. Dostaniesz dwa tysiące, żeby nie stracić motywacji.

Twarz Billy’ego się wydłużyła.

— Resztę musisz wygrać. Ogranicz picie i schudnij. To brutalny świat. Liczę na ciebie na mistrzostwach. Zarezerwowałem namiot w Les Rivaux, więc zacznij wygrywać i wejdź do reprezentacji.

Billy wolałby, żeby Kevin nie dokonał rezerwacji, bo było to kuszenie losu.

Wydawało się, że wciąż prześladuje go pech. W Fontainebleau z powodu kaca zapomniał sprawdzić, czy Tracey wkręciła hacele do podków Kitchenera. Koń poślizgnął się przy samym starcie, co wyeliminowało go na resztę sezonu, a Billy’emu zostały tylko Byk i Mandryka. Kiedy zadzwonił do domu, Janey wyraziła współczucie, ale ponieważ jej okres spóźniał się o cztery dni, poddała się ukrytym nadziejom.

W środę wieczorem Billy wrócił do domu z Fontainebleau i stwierdził, że Janey uprała trzy pary bryczesów i cztery białe koszule ze swoją szkarłatną jedwabną apaszką, więc ubrania wyszły w różowe smugi, jak niebo o świcie. Tylko ze zmęczenia Billy nie zrobił dzikiej awantury.

— Nie wiem, czym się przejmujesz, ja straciłam doskonałą apaszkę! — odwrzasnęła Janey. — Haruję tutaj, masz szczęście, że w ogóle uprałam ci

koszule! Może byś tak coś wygrał, wtedy będzie cię stać na pralnię!

Billy znów poczuł przeraźliwy, kłujący ból w brzuchu, ostatnio bardzo częsty. Jedynym ratunkiem wydawała się duża szklaneczka whisky.

Poszedł na górę z myślą, że może znajdzie czyste koszule, ale zamiast tego zobaczył piękny zagłówek nad łóżkiem w pokoju gościnnym.

— Skąd się to wzięło?

— Kupiłam kilka tygodni temu.

— I zapłaciłaś?

— Jeszcze nie. — Janey unikała wzroku męża.

— Kupujesz jakieś pieprzone zagłówki, kiedy mnie nie stać na buty do jazdy?

— Może kupowałbyś tanie wino, zamiast płacić trzy funty za butelkę? Dlaczego wciąż stawiasz drinki wszystkim dookoła, oddajesz im własne koszule, nawet jeśli są zafarbowane na różowo? Jak mówiłam, może wreszcie zaczniesz wygrywać? Mam dość ciągłego ustępowania miejsca przeklętym koniom!

Billy poszedł na górę. Kiedy Janey ruszyła za nim, zastała go leżącego w łóżku, w piżamie zapiętej po szyję. Chociaż odwrócił się twarzą do ściany, poczuła zalatujący od niego zapach alkoholu.

— Billy — powiedziała przepraszająco.

Billy nie odpowiedział, ale wiedziała, że nie śpi. Jednak nic nie było w stanie zniszczyć jej uniesienia. Okres spóźniał się o osiem dni.

Obudziwszy się w środku nocy, stwierdziła, że Billy leży nieruchomo jak trup, jakby popełnił samobójstwo, więc obudziła go w panice, on rozespany otoczył ją ramionami, zapominając o wieczornej kłótni.

Billy wyjechał do Westerngate, kiedy Janey jeszcze spała, ale wrócił w piątek wieczorem w znacznie lepszym nastroju. Byk zdobył drugie miejsce w ważnym konkursie, więc może wreszcie zaczęło mu się powodzić.

Janey była zachwycona.

— Kto cię pobił?

— O dziwo, Jake Lovell. Wrócił do gry.

— Kto to?

— Znasz Jake’a. Och, zapomniałem, pewnie się nie spotkaliście. Był pewniakiem na igrzyska w Kolumbii, miał dwa najlepsze konie, ale jeden dostał ataku serca w Crittleden. Przerażający pech. W ogóle nie powinien był skakać. A Rupert uparł się, żeby dostać drugiego.

— I niewątpliwie osiągnął cel — dodała Janey. — Zawsze zdobywa wszystko, co zechce.

— Owszem. To był Zemsta. Należał do teścia Jake’a. Rupert złożył mu ofertę nie do odrzucenia, więc Jake został bez koni. Teraz wrócił w świetnej formie. Cieszę się, miałem wyrzuty sumienia w związku z tą sprawą.

Podniesieni na duchu drugim miejscem Billy’ego lekko sobie popili.

— Tak się cieszę, że jutro przyjeżdżasz — powiedział Billy. — Wszyscy bardzo chcą cię poznać, a ja chcę się tobą pochwalić.

Janey nie miała ochoty wystawiać się na pokaz. Czuła się ociężała i spuchnięta; może to pierwsze oznaki ciąży. W oczekiwaniu na macierzyństwo, żeby zakryć okrągłości — teraz jej okres spóźniał się już o dziesięć dni — nosiła zafarbowaną koszulę Billy’ego i nic więcej.

— Podobają ci się krótkie włosy? — zapytała, podnosząc wzrok znad kolumny z modą w „Daily Mail”.

— U Mavis tak. Mogę dzisiaj wieczorem przyciąć twoją dżunglę?

Było to całkiem erotyczne doświadczenie. Billy kupił jej pismo pornograficzne do poczytania, położył ją na ręczniku na łóżku i ogolił za pomocą swojej maszynki oraz wielkiej ilości mydła i ciepłej wody. Krzywiąc się na wszelki wypadek, gdyby ją zaciął. Janey czytała opowiadanie o wiktoriańskiej gosposi i jej zwierzchniku, zbyt

nonsensowne, by je zrozumieć, pełne błędów drukarskich i anachronizmów, które odczytywała na głos:

— „Chciałbym zamknąć na kłódkę twoje spichrze”, powiedział proboszcz, a jego rozgrzana szóstka uniosła się...

Jednak wkrótce opowiadanie zaczęło na nią działać. Janey uznała, że libido to nie jest odpowiednie narzędzie do oceny literatury.

— Boże, wyglądasz fantastycznie — powiedział Billy, kiedy zmył z niej pianę i włosy.

Janey zerknęła na swoje ciało.

— Jak łysy brojler.

— Wspaniale będzie w ciebie wejść. Czy kiedykolwiek pozwoliłaś innym swoim facetom, żeby cię ogolili? — zapytał Billy, wskakując na nią. — Możemy przedłużyć grę wstępną?

Jednak Janey, która doszła do końca szybko, chciała już mieć seks z głowy. Nagle poczuła się bardzo zmęczona, więc podnieciła go gwałtownymi podrzutami ciała, a potem opowieścią o tym, jak Pardoe wziął ją kiedyś latem na tylnym siedzeniu swojego jaguara.

Od razu potem Janey zasnęła. Billy leżał jeszcze długo i martwił się. Mandryka za ostro wyhamował dzień wcześniej, trzeba będzie pojechać do Westerngate i zająć się tym. Janey obudziła się rano z kacem, czując, jak penis Billy’ego dotyka ją w plecy, a jego dłoń gładzi jej ogolone krocze.

— O której powinniśmy wyjechać?

— Najpóźniej o dziesiątej. Nie wpisałem się na listę, poza tym obiecałem Kevinowi, że stawimy się na drinki przed lunchem.

Janey nie miała ochoty na seks, ale postarała się wprowadzić w nastrój, fantazjując o tym, że jest uczennicą w stroju gimnastycznym, którą zatrzymał bardzo surowy dyrektor szkoły w koloratce. Po chwili do sali weszła żona dyrektora i oboje postanowili ją wziąć.

— Opowiedzieć ci coś, żeby cię podkręcić? — zapytał Billy.

— Nie trzeba — odparła Janey, zatopiona w fantazji o dyrektorze szkoły. — Już niemal kończę.

Po chwili zalała ją fala przyjemności, teraz już marzyła o tym, żeby znów zasnąć.

— Wyglądasz fantastycznie — powiedział Billy — może by tak sześć na dziewięć?

Janey jednak nie mogła znieść myśli o wielkim fiucie w gardle.

— Nie mogę, Billy, mam kaca. Proszę, zostań we mnie. Chcę poczuć, jak dochodzisz.

Potem oboje zasnęli. Obudzili się za pięć dziesiąta.

— Co robisz? — zapytał Billy, kiedy wszedł do łazienki pięć minut później.

— Myję głowę.

— Nie możesz. Musimy jechać.

— Będziesz musiał trochę przyspieszyć albo pojedziesz beze mnie.

— Nie mogę! — odparł Billy przerażony. — Oni na ciebie czekają. Dobrze ci w tych włosach. Przecież to tylko pokaz, wszyscy chcą zobaczyć ciebie, nie twoją fryzurę.

— Wiem, co zaczną gadać, że nie wygląda tak atrakcyjnie jak na zdjęciu. W rzeczywistości nie ma na czym oka zawiesić — warknęła Janey, która stała nachylona nad wanną, masując głowę szamponem. — Muszę podtrzymać mój wizerunek publiczny. To ty chciałeś seksu.

Wyjechali dopiero po jedenastej.

— Da się trochę przyspieszyć — syknęła Janey, wychodząc z domu.

— Można też się nie spóźniać — odwarknął Billy.

— Grzywka mi się rozdzieliła.

Według Billy’ego koszulka rugby w paski z przybrudzonym białym kołnierzem, dżinsy dzwony i stara kurtka dżinsowa nie nadawały się na tę okazję, ale jakiekolwiek uwagi spowodowałyby dalsze dwadzieścia minut spóźnienia. Ziejąc irytacją, pojechali do Westerngate. Po drodze Janey usiłowała się umalować, złoszcząc się na Billy’ego na każdym zakręcie. Ruch był okropny. Trzydzieści pięć minut stali na głównej ulicy w Broadway, czekając, aż dwóch mężczyzn wyładuje dywan.

Billy wciąż spoglądał na zegarek.

— Kev wpadnie w szał. Nie zdążę się wpisać.

Żołądek bolał go niemiłosiernie.

Dojechali o wpół do drugiej. Billy pobiegł prosto do sekretarza konkursu, by próbować go przebłagać, a Janey zostawił zaparkowanie samochodu na parkingu sponsorów. Nieopodal stał okropny namiot firmy Moggie Meal, a z baneru mrugał równie okropny kot. Boże, szedł do niej Kevin Coley, w garniturze koloru babeczki karmelowej. Był wściekły.

— Hej, Kev — powiedziała Janey nonszalancko. — Okropne korki.

— Gdzie Billy, do cholery? Tym razem już przegiął i organizatorzy chcą go zdyscyplinować. Zamknęli listę zgłoszeń, zawodnicy już oglądają tor. A to oznacza, że zapewne nie wystartuje w konkursie królewskim ani w Aachen, a cholerne mistrzostwa coraz bliżej.

— Poszedł porozmawiać z sekretarzem. Na pewno dopuszczą go do konkursu, przecież ludzie przyszli głównie zobaczyć Byka.

— Nie bądź taka pewna. Na ciebie też czekaliśmy, opóźnialiśmy lunch, w końcu piętnaście minut temu zaczęliśmy jeść. Nie staracie się.

Janey z wielkim trudem powstrzymała się, by na niego nie wrzasnąć. Sytuacja niewiele się poprawiła, kiedy pojawił się Billy z przepraszającą miną i zawiadomił ich, że dopuszczono go do konkursu, więc musi iść na tor.

— Do zobaczenia później, kochanie — powiedział do Janey. — Idź coś zjeść.

Janey z zaciętą miną nie zwróciła na niego uwagi.

Kevin Coley niezbyt delikatnie ujął ją pod ramię.

— Chodź do namiotu, naprawisz co nieco z tego, co zepsułaś. I uśmiechnij się, na miłość boską. Za to ci płacę.

W namiocie zastali klientów i personel objadających się pieczenią wołową i homarami. Większość z nich już była wstawiona. Wokół roiło się od klonów Kevina z gęstymi czuprynami, w lekkich jasnych garniturach. Ich żony też gremialnie ubrały się w beże i pastele. Sporo z nich nałożyło kapelusze — na sam tył głowy, ukazując z przodu zbyt wiele włosów — oraz wysokie obcasy, które utykały w macie z rafii i miękkiej ziemi pod nią.

Enid Coley w brązowym kostiumie w kratkę i żółtej koszuli z kokardką jak u kota nie była jedyną, która z dezaprobatą mierzyła wzrokiem koszulę i dżinsy Janey.

„Nie obchodzi mnie to, nie obchodzi mnie to — powtarzała sobie Janey. — Okres spóźnia mi się o jedenaście dni, będę miała dziecko”.

Dzieci Coleyów, czyli szprotki, jak nazywał je Billy, wykarmione butelką, biegały wokół i przeszkadzały wszystkim.

„Nigdy nie pozwolę, by moje dzieci tak się zachowywały” — pomyślała Janey. Kevin posadził ją między dwiema dyrektorskimi żonami, które jadły truskawki ze śmietaną.

— Ogrody nie są tak ładne jak w Pałacu Buckingham — mówiła jedna.

— Nie — odparła druga — chociaż w Buckingham za pierwszym razem w ogóle nie zauważyłam tylu ludzi.

W tej chwili weszła Helen — w płóciennym kostiumie w kolorze przybrudzonej bieli i ciemnobrązowych kozaczkach na płaskim obcasie wyglądała jak milion dolarów.

— Bardzo przepraszam, że nie zdążyłam na lunch. Dostaliście wiadomość, prawda? Tak trudno być punktualnym, kiedy ma się małe dzieci — powiedziała do Kevina i Enid, którzy zrobili miny, jakby właśnie dostali po buziaku pod jemiołą. Zaróżowiona z przyjemności Enid zabrała Helen na obchód co ważniejszych klientów. Helen była dla nich uprzedzająco grzeczna. Na widok Janey rozpromieniła się.

— Janey, jak miło! Nie wiedziałam, czy zdołasz się wyrwać.

Później Janey siedziała z Helen na trybunie dla zawodników, przyglądając się konkursowi głównemu. Podobała się jej koszula i dżinsy, które na siebie włożyła, dopóki nie zobaczyła kostiumu Helen — francuskiego i wartego co najmniej trzysta funtów. Wcześniej, kiedy przechadzały się w tłumie, oczy wszystkich mężczyzn zwracały się na Helen, więc Janey zdjęła dżinsową kurtkę, żeby pokazać piękny biust — jednak oni nadal patrzyli na Helen. Cholera, dlaczego Billy nie może dorobić się takich pieniędzy jak Rupert, żeby ona mogła się porządnie ubrać? Wciąż była wściekła na Kevina, który siedział po jej drugiej stronie. Na trybunie obok, na miejscach wcześniej przez niego zarezerwowanych, zasiedli wszyscy jego klienci, którzy teraz klaskali, wrzaskiem witali każdy upadek zawodników, wiwatowali przed końcem przejazdu, wstawali i trzaskali zdjęcia ku irytacji widzów siedzących za nimi.

— Kev jest nie do wytrzymania, prawda? — wyszeptała Janey do Helen. — Na pewno farbuje sobie włosy na klacie.

— Według mnie jest czarujący — odparła zaskoczona Helen.

Billy wciąż czuł okropny ból w żołądku, jakby wielka pięść ściskała mu wnętrzności. Jedynym lekarstwem było kilka szybkich podwójnych drinków w barze, kiedy Kevin zasiadł na widowni.

— Te tabletki na kaca, które mi dałeś, niewiele pomagają — wymamrotał do Ruperta, kiedy wrócili na padok.

— Nic dziwnego — odparł Rupert. — To tabletki przeciwbólowe na kręgosłup. Wiesz, uważam, że Tab naprawdę szybko się rozwija. Dzisiaj się do mnie uśmiechnęła, a dzieci zaczynają się uśmiechać dopiero w wieku trzech miesięcy.

— Szczęściarz. Do mnie Janey się nie uśmiecha.

Billy nagle przypomniał sobie wygolone łono Janey. Pod wpływem nagłej żądzy pomachał do niej. Janey go zignorowała.

Trasa była ciężka. Ludwig miał przejazd bez zrzutki. Dwóch Amerykanów, którzy niedawno przyjechali do Europy i przyzwyczajali się do tutejszych torów, przygotowując się na mistrzostwa świata, również przejechało czysto. Kiedy Billy na Byku pojawił sie na linii startu, przywitał ich jak zwykle potężny ryk tłumu. Goście Kevina wstali, szykując się do robienia zdjęć.

— Może mój mąż nie jest najlepszym jeźdźcem w kraju, ale na pewno najbardziej lubianym — stwierdziła Janey, rzucając jadowite spojrzenie Kevinowi, który nerwowo szarpał swój wąsik i bawił się bransoletką z inicjałami.

— Dawaj, Billy! Dawaj, Byku! — wrzeszczeli widzowie. Oni również nie przyjęli do wiadomości nowego imienia wierzchowca.

— Nie mogę na to patrzeć! — powiedziała Janey i odwróciła się do Helen, żeby porozmawiać o dżinsach z prostymi nogawkami.

Billy skakał pięknie i bez zrzutki aż do przedostatniej przeszkody, kiedy z trybuny firmy Moggie Meal rozległ się ogłuszający wrzask kibiców. Koń stracił koncentrację, skoczył nad słupkiem, a nie drążkiem, zahaczył o niego przednią nogą i przekoziołkował. Goście Moggie Meal zaczęli krzyczeć jeszcze głośniej i trzaskać migawkami aparatów.

Billy wyszedł z upadku bez szwanku, udało mu się nawet utrzymać wodze w ręce. Wstał i pobiegł za koniem. Omal nie wpadł na flagę, wyrwał

ją z ziemi i z udawanym gniewem zaczął wymachiwać nią w kierunku Byka, który cofnął się przerażony. Billy wybuchnął śmiechem, rzucił flagę, zerwał garść trawy i podał wierzchowcowi, a widownia zawtórowała wybuchami wesołości. Billy wskoczył na siodło i kłusem wyjechał z toru, uśmiechając się szeroko.

„Dwa kawałki poszły w błoto — pomyślała Janey. — Nie wiem, z czego się tak cieszy".

Billy wszedł na trybunę, cmoknął Helen na powitanie i usiadł między nią a Janey.

— Sorki, Kev — powiedział.

Janey wyczuła zapach whisky, miała tylko nadzieję, że nie dotarł on do Kevina. Po dwóch minutach Billy się podniósł.

— Kto ma ochotę na drinka?

— Ja nie — powiedział stanowczo Kevin Coley.

— Ja też nie — dodała Helen, wstając. — Muszę zadzwonić do Bergity. Czy ktoś ma drobne?

— Bardzo proszę. — zarumieniony Kevin Coley podał jej monety. — To autentyczna dama — powiedział, kiedy Helen szła do wyjścia między rzędami siedzeń, dziękując wszystkim, którzy wstawali, by ją przepuścić.

— W przeciwieństwie do mnie — wymamrotała pod nosem zirytowana Janey.

— Szkoda, że częściej nie pojawia się na konkursach. Ale to taka troskliwa matka — mówił dalej Kevin.

Janey z kamienną twarzą wbiła wzrok w padok, na którym czarnowłosy zawodnik szedł w kierunku stajennej o długich mysich włosach, prowadzącej dużego siwka.

— Przystojny facet. Kto to? — zapytała Billa.

— To Jake Lovell — odparł Billy. — Opowiadałem ci o nim wczoraj wieczorem. A stajenna to jego szwagierka, Fenella Maxwell. Rano wygrała konkurs juniorów, a ma dopiero szesnaście lat. Jest świetna. Jake dobrze ją wyszkolił. Ładna, prawda?

— To z pewnością bardzo atrakcyjna młoda dama — przyświadczył Kev.

— Dziwne, że widzisz to pod trądzikiem — zadrwiła Janey.

— Miau! — odparł Kevin.

— Ech, wypchaj się tą swoją karmą — warknęła Janey.

Poszła na dół do toalety. Naprawdę musi przestać być wiedźmą. W świetle jarzeniówek spojrzała na swoje odbicie: wyglądała strasznie z podbitymi, podpuchniętymi oczami. Miała nadzieję, że mdłości nie będą jej dokuczały przez dziewięć miesięcy. Usiadła na toalecie i poczuła nagłe ciepło w kroczu. Wsunęła palec między nogi, a potem przycisnęła go do lśniącej, białej ściany toalety. Niemożliwe. Wsunęła palec głębiej w pochwę. Znów przycisnęła palec do ściany, na której odbił się kolejny ciemnoczerwony ślad. Jęknęła, czując łzy spływające po policzkach. Załamała się. Boże, czerwona wstęga niepłodności. Co za ironia losu; przed ślubem wręcz marzyła o takich czerwonych śladach na toalecie; cały czas prześladowała ją obawa, że zajdzie w ciążę. Teraz się przekonała, dlaczego miesiączkę nazywano przekleństwem: to przekleństwo bezdzietności. Oparła się o ścianę i rozpłakała.

Dwadzieścia minut później wyszła z toalety, ukrywając się za okularami słonecznymi. Przy wyjściu czekał na nią Kevin.

— Gdzie ty się podziewałaś, do cholery? Bill cię szukał. Zaraz skacze Moggie Meal Dick. Prosił, żebym ci przekazał. O co chodzi? — Uniósł jej ciemne okulary. — Dlaczego płaczesz?

— Nie, nic takiego.

— Martwisz się o pieniądze?

Wargi Janey zadrżały.

— Myślałam, że jestem w ciąży. Dziesięć dni spóźnił mi się okres. Właśnie odkryłam, że to pomyłka.

— Od jak dawna się staracie?

— Jakieś półtora roku, właściwie od ślubu.

— Może to nie twoja wina.

Janey roześmiała się gorzko.

— Według teściowej owszem.

Kevin spojrzał na nią z namysłem.

— Enid chodzi do doskonałego ginekologa, poproszę, żeby dała ci jego namiary.

Mandryka został zdyskwalifikowany z czterema punktami karnymi. Rupert zajął pierwsze miejsce, Jake Lovell drugie. Jak zauważono, przy ceremonii dekoracji obaj mężczyźni z kamiennymi twarzami wpatrywali się w przestrzeń przed sobą i nie zamienili ani jednego słowa.

Helen pojechała do domu z Rupertem.

— Janey naprawdę powinna zająć się Billym. Zelówki odpadają mu przy butach, dzisiaj miał brudną koszulę, a według Kevina to przez Janey tak mocno się spóźnili.

Rupert pokręcił głową.

— William bez wątpienia nie ożenił się z rozsądku.

31

BILLY PONOWNIE WYJECHAŁ ZA GRANICĘ. Nie chciał zostawiać Janey w stanie przygnębienia ani tracić okazji spania z nią w środku miesiąca, kiedy miała największą szansę, by zajść w ciążę. Kusiło go, żeby wrócić na noc, ale po prostu nie było go na to stać. Janey obiecała, że postara się nie martwić i skupi na książce.

Skupienie przychodziło jej z wielkim trudem. Wpadał urzędnik skarbowy, budowlańcy i prześladowcy od ściągania VAT-u — wszyscy domagali się pieniędzy. Janey tłumaczyła, że Billy wyjechał, a ona pod jego nieobecność nie ma prawa wystawiać czeków, ale strach wracał wielkimi falami. Nie podobało się jej spojrzenie, jakim człowiek od VAT-u zmierzył ich meble. Dni wlokły się niemiłosiernie. Po pracy do osiemnastej była zmęczona i gotowa na poczwórną wódkę. Przerażały ją długie wieczory.

Poszła odwiedzić Helen i poskarżyła się jej na nudę. Helen zaproponowała, żeby Janey włączyła się w prace charytatywne. Może niech się zapisze do Komitetu Wspomagania Ziemian w Potrzebie?

Janey odparła ostro, że byłoby to noszenie drewna do lasu, a nudzi się tylko dlatego, że ma tak dużo pracy.

Na trzeci dzień po wyjeździe Billy’ego Janey spróbowała napisać rozdział o uczniach. Nie udało się. Nie znała żadnych uczniów, jej bracia już skończyli szkołę. Powinna jechać do Eton albo Harrow albo do miejscowego gimnazjum i porozmawiać z kimś, ale takie badania zajmują czas i zawsze kosztują.

Sporządziła listę swoich kochanków — zbyt wielu — w nadziei, że znajdzie w niej natchnienie. Nie znalazła. Potem podarła listę, żeby Billy jej

nie znalazł, bo pewnie by się zdenerwował. Dom wyglądał strasznie. Janey szła z jednego pokoju do drugiego w poszukiwaniu wolnej przestrzeni na stole. Pisała już w sypialni, kuchni, salonie, a nawet w jadalni, i wszędzie zostawiała bałagan. Pomijała tylko przyszły pokój dziecięcy. W ogóle tam nie wejdzie, żeby się nie rozpłakać.

Ogród wyglądał pięknie, pełen malw, róż i wiciokrzewu zwieszającego ciężkie pędy w ciepłym czerwcowym powietrzu. Lipy obsypały się żółtymi kwiatami, napełniając powietrze słodkim, oszałamiającym aromatem. „Lipy to granice mojego więzienia” — pomyślała. Znów zerknęła na umowę z wydawnictwem. Zadrżała. Kontrakt opiewał na siedemdziesiąt tysięcy słów, a ona tak naprawdę nie napisała jeszcze ani jednego. Wydawca wydzwaniał i mówił, że z przyjemnością przyjedzie i omówi to, co napisała do tej pory.

Żałowała, że nie pojechała do Aten z Billym, próby pisania szły marnie. Wyjdzie, wypieli ogródek frontowy i przemyśli sobie sprawę żonatych mężczyzn. Jednak po wypieleniu dwóch klombów z lwią paszczą uznała, że może lepiej tylko pomyśli o pieleniu, a jej podświadomość zacznie pracę.

Za jej plecami przysiadła Mavis, ostentacyjnie niezadowolona. Wyjście na dwór oznacza spacer, a nie pielenie ogródka. Nadszedł Harold Evans i wytarzał się w kocimiętce. Mavis pogoniła go bez przekonania. kot wskoczył na drzewo z ogonem nastroszonym jak szczotka do ubikacji.

Po półgodzinie Janey zerknęła na zegar w kuchni. Dwie po szóstej. Hura! Czas na drinka. Janey weszła do domu i nalała sobie wódki. Dwa i pół centymetra wysokości w szklance? Pięć centymetrów? Ech, w większości to i tak lód. Nie zadała sobie trudu, żeby dodać cytryny, ale dolała toniku.

Boże, co za zmarnowany dzień. Próbowała zastanowić się nad małżeństwami, w których obie strony robią karierę. Naprawdę niełatwa sytuacja, na przykład i jej, i Billy’emu przydałby się ktoś, kto by się nimi

zajął. Janey rozejrzała się po kuchni i doznała wstrząsu na widok bałaganu. Posprząta przed powrotem Billy’ego. Wzięła do ręki gazetę. Zobaczyła doskonały artykuł jednej ze swoich rywalek, co wprawiło ją w jeszcze większe przygnębienie. Przynajmniej w telewizji leciał akurat jeden z filmów z serii *Cała naprzód* — poprawi sobie nastrój.

Usłyszała jakieś głosy, ale było to tylko dwóch robotników przechodzących obok domu, zmęczonych i zaczerwienionych od przebywania na słońcu. Szli do domu na kolację, może też na piwo, zasłużyli na to. Szczęściarze. Rozpaczliwa świadomość kolejnego zmarnowanego dnia spadła na nią jak kamień.

Po trzech wódkach Janey poczuła ssący głód. Zrobiła sobie omlet z sześciu jajek z ziołami, a skorupki wrzuciła do pudła, którego wciąż jeszcze nie opróżniła. Chciała podzielić się z Mavis omletem, który zamienił się w jajecznicę, ale Mavis nie miała ochoty na zioła, więc Janey w końcu zjadła wszystko sama. Jajka przywarły do patelni; później ją umyje. Przesunęła dłońmi po włosach, na ramiona posypał się łupież. Nie myła głowy od Westerngate. Boże, ale się zaniedbała. Zaryglowała wszystkie drzwi i nalawszy sobie kolejną wódkę, już miała włączyć telewizor, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Kto, do licha, mógłby się dobijać o tej godzinie? Na pewno to jakiś gwałciciel błąkający się po lesie lub, co gorsza, komornik. Zignorowała dźwięk. Mavis szczekała z całej siły, znów rozległ się dzwonek. Janey przerażona odsunęła zasuwkę i o parę centymetrów uchyliła drzwi.

— Kto tam? — zapytała, wpatrując się w szczelinę. Owionął ją zapach Paco Rabanne.

— To ja, Kevin.

Widziała światło odbijające się w jego medalionie.

— Wejdź — powiedziała cicho. — Wzięłam cię za urzędnika podatkowego albo gwałciciela. Albo za obu, o ile znam moje szczęście.

Ulga na widok Kevina ustąpiła miejsca panice. Który pokój wygląda najmniej fatalnie i w którym można go przyjąć?

— Pracuję — powiedziała, kierując się do salonu. — Niestety, sprzątam dopiero na powrót Billy’ego.

— Widzę — stwierdził Kevin.

W salonie panował chłód, gdyż okna wychodziły na północ. Stały w nim suche kwiaty, kominek zalegały trzymiesięczne pozostałości ognia, filiżanki po kawie, kocie i psie miski. Janey przeszył dreszcz, gdy sobie to uświadomiła.

— Spróbujmy w kuchni.

Kevin poszedł za nią, marszcząc nos. Wyglądał zadziwiająco w czarnym aksamitnym garniturze, białej koszuli rozpiętej do pępka, z trzema medalionami, ze świeżo umytymi jasnymi włosami.

— Wyglądasz inaczej — powiedziała Janey.

— Zgoliłem wąsy.

— Faktycznie — wymamrotała Janey z roztargnieniem. — Fakt, takie wąsy warto golić na lato.

— Rano rozstałem się z twoim mężem w Atenach. Musiałem przylecieć tutaj na spotkanie, pomyślałem sobie, że zajrzę.

— Co u niego?

— Nie najlepiej. Moggie Meal Al stracił koncentrację od czasu tego upadku w Westerngate. Moggie Meal Dick wciąż zbiera po cztery punkty karne.

— Który to?

Kevin zmarszczył brwi, spochmurniał jeszcze bardziej na widok filiżanek i brudnych butelek po mleku oraz zlewu pełnego naczyń.

— Cały czas pracuję — wyjaśniła znów Janey.

Kevin spojrzał znacząco na szklankę z nieroztopionymi kostkami lodu, wciąż jeszcze w połowie zapełnioną.

— Czego się napijesz? — zapytała Janey.

— Wytrawnego białego wina.

— To bądź tak miły i przynieś je ze spiżarni, ja muszę lecieć do ubikacji.

Na górze Janey spojrzała na siebie z rozpaczą. Na głowie miała mop, czerwoną twarz, oczy pomniejszone po wódce i z braku makijażu. Stare spodnie i skurczona koszulka opinały jej biust i pośladki. Przemyła się ściereczką pod pachami, spryskała krocze wodą kolońską, nałożyła podkład na twarz, ale nie udało się jej rozczesać grzebieniem splątanych włosów. Podeszła do maszyny i napisała jednym palcem: „Nie powinien tak wpadać”.

Na dole Kevin wyszedł ze spiżarni z butelką wina, minę miał nieprzeniknioną.

— Jak rozumiem, nie podoba się wam nasz prezent ślubny.

Janey zbielała.

— Och nie, skąd! Wstawiliśmy go tam, gdyż eee... matka Billy’ego przyjechała na kolację, a miała pudla, który, hm, umarł, nie chcieliśmy jej smucić.

Bezradnie wzruszyła ramionami. Zawsze warto spróbować. Potem trzeba było znaleźć korkociąg, kieliszek i umywalkę niewypełnioną brudnymi naczyniami, w której można byłoby go umyć.

— W łazience na dole jest umywalka — powiedziała Janey, po czym, zaniepokojona, że mogła zapomnieć o wyciągnięciu korka, chwyciła kieliszek i pobiegła na dół. Jednak wszystko było w porządku, nie zapomniała o korku.

— Dlaczego kupujecie Whiskas zamiast Moggie Meal? — zapytał Kevin, spoglądając na kolejną miskę Harolda, w której zbierały się muchy.

— Przepraszam, Kev. Wiem, kiepska ze mnie żona, ale ledwie nauczyłam się imion koni Billy'ego, kiedy ty je wszystkie pozmieniałeś, a w sklepie we wsi skończyła się karma Moggie Meal. Kiedy piszę i nie jem przez cały dzień, zapominam o całym świecie.

Kev uniósł brwi na widok patelni oblepionej jajecznicą.

— Jak idzie książka?

— W porządku. Dotarłam do żonatych.

— Billy jest modelem?

— Billy jest za miły. Większość znanych mi żonatych mężczyzn to dzieciaki, rzucają się na wszystko, co się rusza.

Zastanawiała się, czy Kevin używa nie tylko suszarki, ale i prostownicy i czy tę oliwkową opaleniznę zawdzięcza samoopalaczowi. Mimo wszystko facet wyglądał dobrze, a płaski brzuch podkreślał szeroki pasek od Gucciego.

Marzyła o kolejnym drinku, ale Kevin wysączył dopiero jedną czwartą kieliszka. Nie pił wiele, gdyż wtedy zaczynał bełkotać. Janey jak zaczarowana wpatrywała się w jego połyskujące złote spinki do koszuli i medaliony.

— Nie boisz się siedzieć tu sama? — zapytał.

— Mam alarm połączony z domem Ruperta, ale ponieważ Harold wciąż go uruchamiał, w końcu go wyłączyłam.

— Nieźle się wystraszyłaś na mój widok.

— Wzięłam cię za komornika. Nie mam ochoty na chłopców z pałkami — zachichotała niezręcznie.

Kevin wstał i przeszedł się po kuchni.

— To śmietnik, a ty wyglądasz okropnie. Nigdy nie pozwoliłbym, żeby Enid doprowadziła do takiego stanu i siebie, i dom.

Janey wpadła w furię. Wstała i przechyliła butelkę, ale nic z niej nie wyciekło.

— Trzeba by odkręcić — poradził Kevin.

— Czy ty uważasz — mówiła ze złością Janey — że gdybyś wszedł do domu Sołżenicyna, to zastałbyś go ścierającego kurze albo wkładającego naczynia do zmywarki, albo gotującego? Na pewno ma jakąś panią Sołżenicyn, która jak burłacy na Wołdze ciągnie cały ten kram, przynosi mężowi samowar i kawior, żeby go uspokoić i przepisuje jego książki, a poza tym sprząta. Chryste!

— Enid się mną zajmuje.

— No pewnie! Z taką kasą, jaką zarabiasz, ona nie musi pracować. W ogóle nie przejmuje się pieniędzmi, tak jak Helen. Obie mogą spędzić cały dzień na myciu włosów, depilowaniu nóg, medytacji nad kolorami ścian i wybielaniem mężom gaci.

— Moja mama pracowała, a codziennie myła podłogę w kuchni.

— I co z tego? — warknęła Janey. — Nie pisała książek. Pisarze myślą cały czas o pisaniu, a nie o myciu toalety, a jeśli martwią się o pieniądze, to nie mogą pisać.

— Byłoby lepiej — powiedział Kevin — gdybyś zamiast wypisywać bzdury o płci przeciwnej, co tylko wyprowadza cię z równowagi, rzuciła tę książkę i więcej czasu poświęciła Billy’emu. W Atenach wyglądał jak włóczęga, bryczesy miał pospinane agrafkami, koszule zafarbowane na różowo, garnitur w plamy i dziury w butach. — Wziął do ręki koperty ze stosu i szybko je przerzucił. — Te listy powinny być wysłane kilka tygodni temu. Flejtuch z ciebie — ciągnął, odwracając się do niej — a poza tym

masz nadwagę. Gdybyś była moją żoną, wysłałbym cię na kurację odchudzającą.

— To akurat cholernie droga impreza — odpaliła Janey, oblewając się rumieńcem. — Wolę założyć kłódkę na lodówkę. Usiłuję napisać książkę.

— Za dużo pijesz. Billy też. Traci umiejętność trzeźwej oceny. Jeśli nie będzie uważał, nie zakwalifikuje się na mistrzostwa świata.

— Pewnie ma dość tego, że wciąż siedzisz mu na karku.

— Nie powinnaś się tak odzywać do sponsora swojego męża — powiedział Kevin, podnosząc się i odstawiając w połowie niedopity kieliszek. — Cóż, idę.

Janey była wstrząśnięta. Przyzwyczaiła się do kłótni z Billym, które kończyły się w łóżku, więc teraz poczuła się kompletnie zbita z tropu kierunkiem, w jakim potoczyła się ta rozmowa.

— Nie dokończysz wina?

— Nie, dziękuję. Prześpij się, a kiedy wytrzeźwiejesz, pogadamy normalnie.

— A co było nienormalnego w tej rozmowie? — zapytała nadąsana Janey, niepewnym krokiem idąc za Kevinem do drzwi.

Przy wyjściu Kevin odwrócił się do niej i wcisnął pięść w jej brzuch na sekundę przed tym, zanim Janey szybko go wciągnęła.

— Boże, twój zamek naprawdę ledwie wytrzymuje! Wrócę w czwartek i zabiorę cię na kolację — powiedział.

„To wszystko wina Billy’ego — myślała Janey trzy dni później, goląc nogi. — Powinien był mnie uprzedzić, że Kevin wpadnie”. Cholerny nadęty dupek. Łazienka wyglądała, jakby ogolono w niej owcę, ale na ciele Janey nie został ani jeden niepotrzebny włosek. Włosy łonowe zaczęły odrastać jak u źle wyskubanego kurczaka, więc też je wygoliła. Od wizyty Kevina zjadła jedynie trzy grapefruity i wypiła dwie butelki wody mineralnej.

Sprzątnęła dom, umyła głowę i pomalowała paznokcie, a całe ciało natarła balsamem. Nie mogła opowiedzieć Billy’emu o wizycie Kevina, gdyż od trzech dni nie dzwonił, co również źle wróżyło. Billy zawsze do niej telefonował po wygranej.

A niech tam, zostanie dobrą żoną, będzie miła dla sponsora Billy’ego, poza tym Kev na pewno się jej przyda przy pisaniu rozdziału o nuworyszach. Gardziła Kevinem Coleyem, a jednak wysprzątała sypialnię, na jednej szafce nocnej postawiła róże, a na drugiej, pod Biblią, położyła sponsorowaną przez niego książkę o rasach kotów. Miała wrażenie, że sporo schudła, ale też liczne tabletki na odchudzanie drażniły jej nerwy. Powtarzała sobie, że tego wieczoru na pewno nic się nie zdarzy, ale od czasu pierwszej randki z Billym na Wembley nie czuła się tak podenerwowana. Kev nie uprzedził jej, o której przyjdzie, zapewne zjadł lekką kolację i pojawi się o piątej.

Przyjechał o dwudziestej.

— Przepraszam, pomyliłem adres — powiedział, kiedy otworzyła drzwi, i odwrócił się.

— Kevin, piłeś?

Odwrócił się z powrotem z szerokim uśmiechem na twarzy.

— To naprawdę ty? Wyglądasz zupełnie inaczej niż dama sprzed trzech dni. — przez chwilę się jej przyglądał. — No no... — powiedział, otaczając ramieniem talię Janey. — Wyglądasz ślicznie, całkiem jak stara Janey.

Przez moment przesuwał palcami po krągłościach nad białymi spodniami.

— Mogłabyś jeszcze stracić kilka kilogramów i nadal wyglądać super, ale jesteś na dobrej drodze. Cały dom pachnie świeżością.

Według Janey w powietrzu unosił się jedynie zapach perfum Paco Rabanne, tłumiący wszelkie inne.

— Jadę z tobą tylko po to, żeby porozmawiać o moim rozdziale o żonatych mężczyznach — uprzedziła.

Kevin przyjechał mercedesem w kolorze piaskowym, w którym z magnetofonu grzmiał Frank Sinatra z płyty *Songs for Swinging Lovers*. „Boże, słucha takich staroci, pewnie jest stary — pomyślała Janey. Te sczesane do przodu włosy prawdopodobnie zakrywają liczne zmarszczki. Wygrzewający się w wieczornym słońcu miejscowi chłopcy, gawędzący i śmiejący się, odprowadzali ich wzrokiem. — Jutro pani Bodkin i Helen dowiedzą się o wszystkim”

— Piękne tereny — zauważył Kev. — Urocze, staroświeckie Cotswold.

Miał na sobie biały garnitur, czarną koszulę i ciężki medalion. „Jeśli nie zdejmuje tego w łóżku, może podbić partnerce oko” — pomyślała z przerażeniem Janey. Ciekawe, że tak się dla niej postarał. Billy zwracał uwagę na to, żeby jego garnitury w miarę dobrze na nim leżały, ale nic więcej. Był pozbawiony próżności i między innymi za to go kochała.

Kev zabrał ją do drogiej restauracji w Cheltenham. W kartach nie podano cen, a chociaż zachowywał się jak pozer i bardzo nieuprzejmie traktował kelnerów, pstrykając na nich palcami, narzekając na nieschłodzone wino i z zasady odsyłając potrawy do kuchni, obsługa traktowała go z niekłamaną uniżonością.

— Jak utrzymujesz taką formę? — zapytała, spoglądając na niego.

— Dużo ćwiczę. Razem z Enid zapisaliśmy się do klubu, który przyjmuje członków tylko z polecenia. Kiedy mogę, gram w golfa. W weekendy biegam. Rano ćwiczę z hantlami.

Janey zachichotała.

— A może podrzucasz Enid?

— Nie wygłupiaj się — odparł chłodno Kevin.

Przy pierwszym daniu Janey poddała się i zamówiła wielkie szparagi ociekające masłem.

— Niedobrze — zgromił ją Kevin. — To co najmniej trzysta kalorii.

— No to co — odparła Janey, pożądliwie wpychając do ust główkę szparaga. — Jutro wracam do grapefruitów.

Kevin zjadł melona, zostawił wiśnie w likierze, po nich przyszła kolej na dobrze wysmażony stek z fasolką szparagową i sałatką. Janey zauważyła, że zostawił też cebulkę. Poczuła nagłe zmęczenie — zapewne za mało wypiła. Miała dosyć rozmowy o produktach i potencjale wzrostu. Nagle, kiedy już uznała wieczór za nieodwołalnie stracony, Kevin zamówił kolejną butelkę sancerre. Podeszli do nich jego kumple, na których Janey wyraźnie zrobiła wrażenie.

— Zajmuję się nią w czasie nieobecności Billy’ego — powiedział do nich Kev, puszczając oko.

Nagle Janey zaczęła dobrze się bawić. Nie ma nic lepszego niż podniecenie towarzyszące początkowi możliwego romansu. Kev wciąż na nią zerkał, zatrzymywał na niej spojrzenie o sekundę dłużej, niż to konieczne, jakby ją pieścił wzrokiem. Był twardy i pozytywny, przy tym dokładnie wiedział, dokąd zmierza.

— Masz ochotę potańczyć? — zapytał, podpisując rachunek.

Janey pokręciła głową, zawstydzona oszałamiającą falą napięcia, jaka się przez nią przetaczała. Przy wyjściu z restauracji zachwiała się, a Kev złapał ją pod ramię.

— Przepraszam. Nie możesz wymagać, żeby dziewczyna jednocześnie odchudzała się i piła.

Po gorącym, słonecznym dniu nastała krótka, pełna rosy noc. Trwały sianokosy. Nad polami unosił się zapach miodu, siana i schnącego nawozu.

— Będziesz pierwszym mężczyzną od czasu mojego ślubu z Billym — powiedziała Janey w drodze do domu.

— Tego się spodziewałem.

— To jak pierwszy raz z facetem.

Kevin położył jej na udzie doskonale wypielęgnowaną dłoń. Brylant w grubej złotej obrączce na jego trzecim palcu zalśnił w świetle księżyca.

— Pragnę cię, odkąd się poznaliśmy, ale ty zawsze tak cholernie się wywyższałaś.

— A nie jestem damą, jak Helen?

— Raczej snobką. Zawsze kręciłaś na mnie nosem i krytykowałaś, ona nigdy by tego nie zrobiła.

— Przepraszam. Chyba nie podobało mi się, że Billy jest od kogoś zależny.

Kevin zdjął jej z prawego nadgarstka jedną z dwóch bransoletek i rzucił jej na kolana.

— Nie brzęcz.

— Ty brzęczysz za dwóch — odparła.

W domu Mavis chodziła za Janey krok w krok jak pełna dezaprobaty przyzwoitka. Kevin poszedł do toalety, Janey weszła do kuchni. Było gorąco, więc otworzyła lodówkę, wyjęła kawałek lodu z tacki i przesunęła po sutkach, żeby się uniosły. Potem nalała sobie dużego drinka na uspokojenie. W tej chwili do kuchni wszedł Kev, wyjął jej szklankę z ręki i wylał do zlewu.

— Już nie potrzebujesz takiego dopingu — powiedział.

„Nienawidzę go — pomyślała Janey. Jest całkowitym przeciwieństwem Billy’ego”.

Mavis, która całą zimę doskonale służyła jako termofor, była zaskoczona, kiedy Kevin próbował zamknąć przed nią drzwi sypialni.

— Ona zawsze może tu wejść — zaprotestowała Janey.

— Już nie — odparł Kevin, wypychając psa stopą na korytarz.

— Dobrze byś się dogadał z Helen — westchnęła Janey.

— Nie uznaję zwierząt w sypialni. Au! — wrzasnął Kev, kiedy Mavis capnęła go zębami za kostkę.

Janey z trudem powstrzymała chichot. W domu nie było plastra, więc w końcu Kev rozebrał się i wszedł do łóżka z kostką ciasno owiniętą chusteczką Billy'ego.

— Mam nadzieję, że budzik chodzi — powiedział. — O wpół do dziesiątej mam spotkanie w Bristolu.

Janey spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek.

— A nie chcesz mnie przypadkiem odesłać, żebym nabrała temperatury pokojowej?

Położyła dłoń na jego penisie unoszącym się powoli i już miała stwierdzić, że potencjał wzrostowy Kevina nie wygląda źle, ale uznała, że to go nie rozbawi. On skomentował jej wygolone krocze dopiero po wszystkim.

— Golisz się?

— Billy mnie goli.

— Zatem związek kwitnie?

— Tak — odparła Janey.

Bardzo przyjemnie było kochać się z kimś tak pachnącym, wypudrowanym i smakującym Gold Spotem (zapach, który Janey lubiła mniej), ale wszystkie perfumy Arabii nie były w stanie zagłuszyć pierwotnego odoru zabójcy z dżungli. Pod całą pozłotą Kev był dzikusem, drapieżcą równie bezwzględnym jak Rupert.

Janey wstydziła się, że śpi z Kevinem w łóżku jej i Billy'ego. Ale podobało się jej, że nie musi wstawać i wracać do domu. Kev przywiózł

tylko małą walizeczkę, a w niej czystą koszulę, szczoteczkę i pastę do zębów w kosmetyczce oraz maszynkę do golenia. „Jest zupełnym przeciwieństwem Billy’ego — pomyślała jeszcze raz Janey. — Może dlatego mi się podoba i może tego właśnie potrzebuję”.

Billy zadzwonił dzień później. Nie było najlepiej. Tęsknił za nią. Miał wrócić w niedzielę.

— Czy Kev do ciebie zadzwonił? To dobrze. Wczoraj Mandryka był trzeci, ale Byk jakoś nie może się rozruszać. W przyszłym tygodniu dam mu odpocząć przed mistrzostwami. Jak idzie praca nad książką?

— Dobrze — odparła Janey, która w tej kwestii nie zrobiła nic. Poczuła się winna, ale i bezpieczniejsza.

Kev nie pozwoli jej umrzeć z głodu.

— A przy okazji, gdzie byłaś wczoraj wieczorem? — zapytał Billy.

Janey zaczęła się gorączkowo zastanawiać.

— Na kolacji z Helen.

— Miło.

Janey odłożyła słuchawkę i natychmiast zatelefonowała do Helen z propozycją kolacji w miejscowym bistro. Przed wyjściem zadzwonił jeszcze Kev, co dodatkowo dodało jej animuszu. Czekała cały dzień, zastanawiając się, czy zadzwoni. Przy kolacji bez apetytu grzebała widelcem w talerzu.

— Nie jesteś w ciąży, co? — zapytała Helen.

— Nie. Okropnie przytyłam, więc skorzystałam z wyjazdu Billy’ego i zrobiłam sobie dietę. Dzięki Bogu, żołądek mi się chyba skurczył.

— Nawet nie wspominaj mi o diecie — westchnęła Helen. — Rupert nie pije do samych mistrzostw. Stracił pięć kilogramów, wygląda fantastycznie, ale niestety zrobił się złośliwy.

Helen wyjątkowo się otworzyła i zaczęła się zwierzać. Rupert kupił jej strój gimnastyczny i chciał, żeby się przebrała za uczennicę.

— Ale nie potrafię. Od razu kolana mi się trzęsą, zaczynam się bać, że naprawdę zacznie się uganiać za uczennicami.

Pamiętając opowieści Billy'ego o Tiffany Bathgate, Janey uznała, że Rupert już się za nimi uganiał.

— A ja bym chciała, żeby Billy czasami obejrzał się za inną — powiedziała leniwie. — Byłoby zabawnie powalczyć o niego.

Janey w ogóle nie zajmowała się książką, ale dom błyszczał. Chociaż kobiety się do tego nie przyznają, kiedy w ich życiu pojawia się nowy mężczyzna, prawie zawsze zaczynają się zastanawiać, jakim byłby mężem. Janey Coley brzmiało okropnie. Nie mogłaby nosić takiego nazwiska.

W sobotę rano otworzyła nad parą kopertę z wyciągiem z konta, przeraziła się tym, co na nim zobaczyła, pospiesznie zakleiła ją z powrotem, wyszła do sklepu i kupiła sobie białe ogrodniczki, płócienną białą spódnicę i dwa T-shirty w paski. Pogoda była prześliczna, więc położyła się na słońcu. Zawsze może powiedzieć Billy'emu, że pisała w ogrodzie.

W sobotę po południu przyjechał Kev i ją przeleciał. Oboje byli trzeźwi, a przyjemność była jeszcze bardziej intensywna. Janey straciła cztery kilogramy i zaczynała znów czuć się piękna. Po wszystkim leżeli objęci ramionami.

— Billy dzwonił? — zapytał Kevin.

— Tak, kiepsko mu idzie. Czasami wolałabym, żeby gorzej przyjmował przegraną.

— On wciąż przegrywa — powiedział brutalnie Kevin. — Trzeba to powiedzieć otwarcie.

— Jak sobie poradzimy w Les Rivaux? Billy jest taki kochany, niczego nie będzie podejrzewał, ale nie jestem pewna, czy Enid da się nabrać.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Janey o mało nie zemdlała. Był to członek partii torysów zbierający głosy do wyborów uzupełniających.

— Właśnie się przebieram, zaraz wychodzę! — zawołała Janey przez okno. — Ale możecie liczyć na mój głos.

— Muszą jakoś wypromować tego cholernego Callaghana — stwierdził Kevin.

Przy następnym dzwonku musieli przerwać gorące zbliżenie. Janey niepewnym krokiem podeszła do okna. Tym razem byli to laburzyści.

— Nie musicie mnie przekonywać, macie mój głos jak w banku! — zawołała.

— To już koniec — powiedział Kevin. — I tak muszę jechać.

Janey była przerażona smutkiem, jaki czuła przy rozstaniu z nim.

Wzięli wspólną kąpiel.

— Szczerze mówiąc, za mała ta wanna — powiedział Kev, wycierając się. — Gdybyś widziała moje jacuzzi w Sunnigdale. Pewnego dnia je zobaczysz.

Nieco pocieszona Janey włożyła nowe białe ogrodniczki, które ledwie zakrywały jej biust. Świeżo umyte włosy spadały na brązowe ramiona. Ścieląc łóżko, odruchowo zdejmowała z niego włosy, szukając dowodów obecności Kevina i chichocząc pod nosem. Przekonała go, żeby przed wyjazdem jeszcze się napił. Siedzieli w salonie, kiedy na zewnątrz rozległy się kroki. Janey podeszła do okna.

— Teraz zapewne liberałowie... O Boże, to Billy!

— Nic się nie dzieje — odparł Kev ze spokojem. — Billy wspominał, że jesteś w kiepskim stanie, prosił, żebym wpadł cię pocieszyć. Byłem akurat w okolicy.

Janey gorączkowo przygładziła włosy w lustrze.

— Czy wyglądam, jakbym przed chwilą wyszła z łóżka? — zapytała.

— Zawsze tak wyglądasz — roześmiał się Kev.

Billy był uszczęśliwiony, widząc ich razem. Martwiło go, że się nie lubią, więc teraz był zadowolony, że jednak nie jest tak źle. Wyglądał okropnie — wymęczony, rozczochrany, z przekrwionymi oczami. Zalatywał curry i alkoholem.

„Przydałby mu się Gold Spot” — pomyślała Janey.

— Jak poszło na końcu? — zapytał Kevin.

— Źle. Wszyscy się szykują na mistrzostwa, ostra konkurencja. Będziesz miał szczęście, jeśli cokolwiek zarobisz. Kochanie, masz tu Arpege. — obok perfum Billy postawił butelkę whisky.

— Twoja żona jest na diecie — odparł Kev. — Wygląda świetnie, prawda?

— Wystrzałowo — odparł Billy. — Dom również. — rozejrzał się wokół. — Naprawdę pięknie. Napracowałaś się. Muszę się wykąpać i przebrać.

— Napij się najpierw — zaproponowała Janey, nalewając mu whisky.

Bała się, że Kev zostawił w sypialni swoją biżuterię. Billy z wdzięcznością przyjął szklankę — wszystko, byle odwlec moment otwarcia brązowych kopert i wyciągu z konta. Porozmawiali o mistrzostwach świata. Billy miał zamiar zabrać Mandrykę lub Byka.

— Byk, mam na myśli Moggie Meal Ala, trochę się przemęczył. Dam mu dwa tygodnie odpoczynku.

32

BOGOWIE, KTÓRZY W PIERWSZYM ROKU MAŁŻEŃSTWA pobłogosławili Billy’emu, w drugim chyba wycofali swoje poparcie. Tydzień później, po startach na południu, zadzwonił z radosną wiadomością, że zwyciężył w poważnych zawodach i wygrał samochód wart pięć tysięcy. Rano chciał zajrzeć do Londynu, gdzie o dziesiątej miał wizytę u ginekologa Enid, u którego robił jakieś badania. Potem jechał na zawody, po południu skakał, a po konkursie miał wracać prosto do domu. Tracey przyjedzie ciężarówką. Ponieważ samochód wciąż jeszcze się docierał, niestety, oboje wrócą pewnie w środku nocy.

— Ale naprawdę czuję, że szczęście się do mnie uśmiechnęło, kochanie.

Janey spędziła popołudnie w łóżku z Kevinem, więc cieszyła się z późnego powrotu Billy’ego. O północy zadzwonił telefon. Dzwonił Billy z budki.

— Billy!

— Tak, kochanie.

— Gdzie jesteś?

— Na drodze z Penscombe do Birdlip.

— Wszystko dobrze?

— Nie wiem. Wracałem do domu, nagle wyskoczył na mnie mur.

— Boże!

— Chyba byłem trochę pod wpływem. Samochód nadaje się tylko na złom.

— Nie ruszaj się stamtąd — poleciła Janey. — Jadę po ciebie.

Szalejąc z niepokoju, pojechała po męża w szlafroku. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się jej w oczy, była sterta metalu. Boże, jakim cudem Billy wyszedł z tego żywy? W tej chwili zobaczyła Billy'ego, który siedział na murku i śpiewał:

Billy Lloyd-Foxe na murze siadł,

Billy Lloyd-Foxe z muru spadł

i żaden koń Kevina ani ludzi sznur nie sprawią,

by Billy znów wskoczył na mur.

Był pijany w sztok. Trzeba zabrać go do domu, zanim przyjedzie policja i sprawdzi poziom alkoholu.

— Billy Lloyd-Foxe wskoczył na mur... — podjął Billy.

— Przestań, wsiadaj do samochodu.

Musiała go zaciągnąć, gdyż nogi się pod nim uginały. Kiedy dotarli do domu, Janey pomogła mu wejść na górę. Blady i roztrzęsiony Billy padł na łóżko. Na czole miał wielkiego siniaka.

— Muszę się odlać.

Podniósł się, chwiejnym krokiem podszedł do szafy, otworzył ją i chciał wejść.

— Billy! Toaleta jest po drugiej stronie.

— A faktycznie. — Cofnął się o dwa kroki, potem zrobił jeden do przodu i zatoczył się w kierunku toalety.

— Nie wiedziałam, że tak długo można sikać — powiedziała Janey, kiedy wrócił.

— Dotąd mój rekord wynosił minutę pięćdziesiąt pięć sekund. Rupert mierzył mi czas. — Billy znów padł na łóżko.

Janey uklękła przy nim.

— Co się stało?

Spojrzał na nią mętnym wzrokiem.

— Byłem u lekarza.

— I co powiedział?

— Że to moja wina, nie twoja. Mam bardzo mało plemników w spermie. Pokazał mi pod mikroskopem, ani jednej kijanki w zasięgu wzroku.

Zwiesił głowę.

— Według niego powinniśmy poważnie rozważyć adopcję.

Janey otoczyła go ramionami.

— Och, aniołku, tak mi przykro. Ale to nic. Oczywiście, że możemy adoptować.

— Chciałem, żebyś urodziła moje dzieci. Tak bardzo o tym marzyłaś, a ja nie mogę ci tego dać. Boże!

Janey niezmiernie żałowała Billy'ego, ale jednocześnie czuła ulgę ze względu na siebie. Cholerna teściowa będzie miała się z pyszna. Położyła go do łóżka. Po paru sekundach Billy zasnął. Obudził się z potwornym bólem głowy. Poszedł do lekarza, który stwierdził, że Billy ma wstrząs mózgu i zalecił tydzień odpoczynku. Billy zignorował zalecenie i następnego poranka wyjechał z Rupertem do Aachen.

Natychmiast po jego wyjeździe Janey zadzwoniła do Kevina. Wyrzucając sobie nielojalność, opowiedziała mu o samochodzie i plemnikach. Czuła się w pewien sposób oszukana przez życie. Wyszła za gwiazdę, która natychmiast po ślubie zaczęła spadać z firmamentu. Nawet jej nie zaświtało w głowie, że to właśnie ona ponosiła niemal wyłączną odpowiedzialność za jego upadek. Zapomniała już, w jaką depresję wpadała przedtem, na Fleet Street, zmieniając kochanków jak rękawiczki, rozpaczliwie czekając na telefon, często nie wiedząc, co ze sobą zrobić w weekendy. Pamiętała tylko zabawy i przyjęcia. Sączone jej w ucho insynuacje Kevina osiągały cel powoli, ale pewnie.

— Kochana, Billy nie jest dla ciebie wystarczająco twardy. Jesteś jak piękna lilia, która kwitnie tylko podwiązana do mocnego palika. On jest za słaby, przecież jego znak zodiaku to Ryby. Dał się całkowicie zdominować Rupertowi, zupełnie nie radzi sobie na własną rękę. Nigdy nie wydobędzie się z tego bałaganu. Teraz też przegina, wszyscy tak mówią.

Dla odmiany Kevin radził sobie świetnie, dyrygował nią, w restauracji płacił zwitkami pięciofuntówek. Janey wręcz podejrzewała, że wstawił ją do budżetu jako koszt.

Billy zadzwonił z Aachen, wydawał się przygnębiony i lekko wstawiony.

— Kochanie, nie przejmuj się dziećmi. Obiecuję, że po mistrzostwach wszystko jakoś załatwię. Strasznie za tobą tęsknię. Szkoda, że cię tu nie ma.

Janey błagała, żeby nie dzwonił do niej więcej.

— To straszne, gdy słyszę, w jakim jesteś stanie. Wytrącasz mnie z równowagi, nie mogę pracować. Wiem, że wkrótce znów zaczniesz zarabiać.

Z lekkim poczuciem winy Janey zostawiła Mavis z panią Bodkin i poleciała do Hiszpanii z Kevem. Billy miał wrócić w niedzielę, ona dotrze do domu w sobotę w południe. Podświadomie czuła, że jeśli pogorszy ich sytuację finansową, doprowadzi do konfrontacji. Kev nigdy nie wspomniał o stałym związku, był na to zbyt zmienny w swych upodobaniach, jednak romans zdecydowanie nabierał rumieńców.

Billy wrócił w sobotę z głową ciężką jak ołów. W domu panowała cisza, zapewne Janey poszła z Mavis na spacer. Z trudem otworzył drzwi wejściowe, które blokował stos listów na wycieraczce. Ze zmęczenia dopiero po chwili zorientował się, że wśród nich były jego własne listy i pocztówki z Aachen, a także telegram, który wysłał z wiadomością, że wraca wcześniej — również nieprzeczytany. W domu panował wielki porządek. Harold Evans, łaskocząc sierścią, ocierał mu się o nogi. Jednak

po Janey nie było ani śladu. Billy poczuł, że robi mu się słabo z przerażenia. Czyżby ją porwano? Zamordowano? Nalał sobie dużą whisky i zadzwonił do pani Bodkin.

— Janey wyjechała do Norfolk po materiały do książki — powiedziała pani Bodkin — spała u matki. Dzisiaj wraca. Mavis jest u mnie. Sprawuje się idealnie. Chcesz po nią przyjechać?

Ulga ustąpiła przytępionej złości. Pani Bodkin chyba coś ukrywała, była też poruszona i cedziła słowa z dezaprobatą. Kochała Billy'ego, którego uważała za przemiłego i bardzo troskliwego dżentelmena. Nie powinien był żenić się z tą ladacznicą.

Po kolejnych dwóch drinkach Billy usłyszał podjeżdżający pod dom samochód. Janey biegła podjazdem w spłowiałym fioletowym T-shircie i różowych spodniach z krótkimi nogawkami. Szylkretowe włosy niewiarygodnie zjaśniały jej od słońca (Billy nie rozpoznał farby), była znacznie bardziej opalona i szczuplejsza. Poczuł w żołądku skurcz pożądania i ból w pęcherzu. Teraz nade wszystko marzył o tym, żeby ją przelecieć.

— Kochanie, jak cudownie! Miałeś przyjechać jutro! — zawołała Janey. — Muszę do łazienki.

„Chyba nie była u matki" — pomyślał Billy. Na wizyty u matki nigdy się nie malowała i nie używała perfum.

— Przywiozłam ci truskawki z Norfolk, kochanie — skłamała. W rzeczywistości kupiła je w Cheltenham, jadąc z lotniska, na wypadek, gdyby potrzebowała alibi.

Weszli oboje do domu.

— Bardzo blado wyglądasz — zauważyła nagle Janey. — Co się stało?

— Przysłałem ci telegram. Nie przeczytałaś.

Odwrócił się, nagle czując przemożną chęć, by się rozpłakać. Janey otworzyła telegram drżącymi rękami. Czyżby dowiedział się o niej i Kevie? Wygładziła papier i przeczytała: „Mandryka złamał nogę. Musieliśmy go zastrzelić. Wracam. Całuję, Billy”.

Odwróciła się przerażona do Billy’ego.

— Aniołku, tak mi przykro! — Podeszła do niego i objęła za drżące ramiona. — Jak to się stało?

— To moja wina. Źle wyskoczył, wpadł na górny drążek, zaplątał się w pozostałe... i tyle. To było straszne. — wykrzywił twarz jak mały chłopiec, który za chwilę się rozpłacze. — To był wspaniały koń. Wiem, miał swoje wady, ale był bardzo odważny.

— Chodź do łóżka — powiedziała Janey łagodnie. — Zajmę się tobą.

Na górze Billy położył się na niej, przeleciał ją szybko i natychmiast potem zasnął.

— Nie ma wyjścia — orzekł Billy następnego ranka. Musiał się zmierzyć z wizją ruiny swojej kariery. — Na mistrzostwa świata biorę Byka. Przynajmniej Kev nie wisi mi nad głową i daje trochę oddechu. Bóg jeden wie, co powie na temat Mandryki.

Potem wyjechał na dwa dni do Crittleden, skakał tam na koniach klasy B i C. Popołudnie drugiego dnia Janey spędziła w łóżku z Kevinem, ale więcej rozmawiali, niż się kochali. Według Kevina Billy był pijany, kiedy skakał na Moggie Meal Dicku. Dlatego źle podprowadził go do przeszkody, na której koń złamał nogę. Wszyscy o tym mówili.

Kevin wyjechał na długo przed powrotem Billy’ego, więc Janey miała mnóstwo czasu, żeby zmyć z siebie perfumy i makijaż, przebrać się i grzecznie usiąść do maszyny.

— Jak poszło? — zapytała.

— Nieźle. Masz tu „Tatlera”, Rupert mi go dał. Zamieścili zdjęcie Tab i Helen. Rupert jest tak dumny, że wykupił chyba cały nakład.

Billy poszedł na górę i przebrał się w szlafrok, przewiązał się krawatem, gdyż pasek zginął wiele lat temu. Nie było śladu kolacji, więc nalał sobie drinka i zabrał się za otwieranie brązowych kopert ze stosu korespondencji. Zadrżał. Wiedział, że Janey była przygnębiona, bo nie mogła zajść w ciążę i zapewne potrzebowała pocieszenia, ale jej rachunki za ubrania były niebotyczne. Jak zdołała wydać pięćdziesiąt funtów na fryzjera? Przecież nawet nie ścięła włosów. Nalał sobie kolejnego drinka i usiał na kanapie.

— Kochanie, musimy porozmawiać o pieniądzach.

Janey jednak była pochłonięta gazetą.

— Zobacz, Mike Pardoe, a tutaj matka Ruperta. Doskonale się trzyma. Musi być już po pięćdziesiątce.

Billy spróbował jeszcze raz.

— Właśnie przejrzałem czeki. Bank ostrzega, że nie pokryje już żadnych innych. Wkrótce nie dam rady wykarmić koni.

— No jasne! — odparła Janey z udawanym przerażeniem. — Oczywiście, konie przede wszystkim.

— Jak myślisz, kiedy skończysz książkę?

— Skąd mam wiedzieć? O, jakie słodkie zdjęcie Tab. Helen wygląda wspaniale. Jest cholernie fotogeniczna. A tutaj Caroline Manner. Co za brzydkie dziecko.

— Ostatnio mówiłaś, że skończysz w lipcu.

— Październik jest bardziej prawdopodobny.

— Czyli w tym roku książka się nie ukaże?

— Nie. O, spójrz, Henrietta Pollock się zaręczyła. Biedaczek.

Billy poczuł, jak żołądek mu się ściska. Miał nadzieję, że uda mu się przekonać kierownika obietnicą zapłaty czternastu tysięcy przed świętami.

Spróbował ponownie.

— Naprawdę nie możemy tak żyć. Mamy trzydzieści tysięcy debetu, dwadzieścia tysięcy zaległości podatkowych, pięćdziesiąt jesteśmy winni budowlańcom, facet od VAT-u grozi nam pozwem sądowym, a ty po prostu wywalasz pięćdziesiąt funtów na fryzjera i dwieście pięćdziesiąt na ubrania. Oczekujesz, że tego nie zauważę? Bierzesz mnie za kompletnego idiotę?

— Nie za kompletnego idiotę. Szkoda, że rozbiłeś samochód. O, Ainsley Hibbert. Pofarbowała się na blond. Ten facet obok niej też jest niezły.

— Janey, słyszałaś chociaż słowo z tego, co mówiłem?

— Tak. Mamy całkiem spory dług, jakieś sto tysięcy. Trzeba będzie zwrócić się do mamusi, prawda? Nie pozwoli, żeby synek umarł z głodu.

Billy z trudnością panował nad sobą.

— Jeśli nie możesz skończyć książki, może wróciłabyś do dziennikarstwa, żeby zapłacić najpilniejsze rachunki?

Janey wstała.

— Muszę wstawić kolację.

— Nie chcę kolacji. Jeśli według ciebie mogę jeszcze jeść...

— Ale pić nadal możesz. Może byś tak coś wygrał? Trudno mieć męża nieudacznika.

Billy objął się rękami za głowę.

— Dlaczego zawsze próbujesz mnie poniżyć?

— Jesteś mały — odpaliła Janey. — Mówiłeś, że ostatnio sporo schudłeś.

— Na miłość boską, czy nie możemy raz porozmawiać poważnie? Jeśli się postaramy, na pewno uda się nam z tym uporać.

— Pożycz od Ruperta.

— Sam teraz nie ma za wiele.

— Tak, bo buduje sobie basen w domu — odparła Janey, wychodząc z pokoju.

Dwie minuty później Billy poszedł za nią i objął ją ramionami.

— Aniołku, nie możemy sobie pozwolić na kłótnie.

Janey zaśmiała się gorzko.

— A mnie się wydawało, że tylko na kłótnie możemy sobie pozwolić.

Zadzwonił telefon. Billy poszedł odebrać.

— Halo? Tak, rozumiem. Tak, oczywiście, rozumiem. Bardzo to miłe, że dałeś mi znać. W każdym razie powodzenia. — bardzo powoli odłożył słuchawkę, kiedy się do niej odwrócił, wyglądał, jakby przybyło mu dwadzieścia lat.

— To Malise. Odpadłem z drużyny na mistrzostwa świata. Chciał mi powiedzieć osobiście, żebym nie dowiedział się z jutrzejszych gazet. Zamiast mnie pojedzie Jake Lovell.

Janey zadała sobie pytanie, co powie Kev, który już wynajął namiot w Les Rivaux, zaprosił swoich klientów na koszt firmy, bo chciał urządzić tam wieczór pełen cmokania i zachwytów?

33

CHOCIAŻ WYBÓR DO REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ łączył się z ogromnym prestiżem, była to rywalizacja tylko z amatorami. Z kolei mistrzostwa świata odbywające się co dwa lata między igrzyskami gromadziły amatorów i zawodowców, dlatego zawodnicy bardziej pragnęli w nich wygrać. Mistrzostwa uważano za prawdziwy test umiejętności jeździeckich, gdyż w ostatniej rundzie czwórka finalistów skakała na koniach rywali.

Poza tym coraz więcej zawodników było zmuszonych do przejścia na zawodowstwo.

— Jaki ma szensz — powiedział Ludwig do Dudleya Diplocka w czasie wywiadu — rywaliżowacz na igszyszkach, szkoro wielu najlepszych żawodników nie mosze w nich uczesztniczycz i tylko ogląda je w telewizji?

W połowie lipca we wtorkowy poranek Jake mocno zdenerwowany wyruszył z Fen i Tanyą do Les Riveaux. Poprzedniego wieczoru załadowali ciężarówkę sianem, suchą paszą i wiórami na ściółkę. Kierowali się na prom w Southampton. Tory z dziećmi miała wyjechać później samochodem z przyczepą. Wszystko zaplanowali do ostatniego szczegółu, łącznie z dużym dzbankiem sorbetu cytrynowego dla Macaulaya. Mimo wszystko podróż okazała się koszmarna. Temperatura wzrosła do trzydziestu stopni. Trybula na skraju drogi ustąpiła miejsca barszczowi, który wznosił się do szarego pochmurnego nieba, podświetlone promieniami słońca kwiatostany przypominały tabletki alka seltzer. Jake prowadził, Tanya była nawigatorką, Fen zaś podawała im filiżanki z czarną kawą.

W miarę jak zbliżali się do wybrzeża, niebo ciemniało. W porcie Fen zapodziała gdzieś papiery weterynaryjne koni, musieli przeszukać całą ciężarówkę, aż w końcu znalazła je tam, gdzie powinny być przez cały czas — w paszportach koni. Przez ten czas uciekły im dwa promy, a konie, którym udzielił się niepokój ludzi, zaczęły rzucać się w przyczepie i tłuc kopytami. Po kolejnej zwłoce zdecydowano, że prom wypłynie pomimo ciemniejącego nieba i dużych, spienionych fal. Na środku kanału złapał ich sztorm, promem rzucało tak mocno, że nowy kuc Fen, młoda i niedoświadczona Desdemona, w panice o mało nie zniszczyła swojego boksu.

Fen, po kilku awanturach, które zrobił jej Jake za zgubienie papierów, dodatkowo wytrącona z równowagi widokiem dwóch ciężarówek z cielakami, które muczały żałośnie, wystawiając nieszczęśliwe pyski przez kraty, poszła do kierowcy i z kolei jemu zrobiła awanturę za to, że nie napoił zwierząt.

W końcu o siódmej dopłynęli do Francji i ruszyli w drogę do Les Rivaux. Jake wściekał się na wszystko, co spowalniało ich jazdę, ale Fen, która pierwszy raz jechała do Francji, nie mogła powstrzymać entuzjazmu, kiedy wschodzące słońce oświetliło sady, obrzeżone topolami rzeki i odbijający się w jeziorze wspaniały zamek, na pół ukryty za drzewami. Dziewczyna z wielkim rozczarowaniem powitała wiadomość, że jej idol, Billy Lloyd-Foxe, nie zakwalifikował się do mistrzostw. W Westerngate Billy postawił jej drinka; to nic nie znaczyło, gdyż Billy stawiał wszystkim. Ale może szczęśliwym trafem na mistrzostwach pozna jakiegoś przystojnego Francuza, który porwie ją do swojego zamku i będzie z nią uprawiał seks do utraty tchu za okiennicami pomalowanymi szarą farbą.

Te marzenia brutalnie przerwał głośny huk. Ciężarówka zatoczyła się złowieszczo. Jake cudem zdołał sprowadzić ją na pas wolnego ruchu i

pomimo przeraźliwego pisku opon dobiegającego ze wszystkich stron uniknąć zderzenia. Pękła im opona — w efekcie spowodowali gigantyczne korki. Wściekli Francuzi, którzy zapewne spóźniali się właśnie na obiad, trąbili bez przerwy, co bynajmniej nie pomagało Jake'owi się uspokoić. Kiedy przyjechała pomoc drogowa i odholowała ich na pobocze, przemknęła obok szeroka granatowa ciężarówka ze znajomym szmaragdowym napisem: Rupert Campbell-Black, Wielka Brytania. Rupert nawet nie próbował się zatrzymać i pomóc, tylko pogardliwie zatrąbił i pojechał dalej.

O trzeciej nad ranem, po wielu filiżankach kawy, wreszcie wjechali na parking dla ciężarówek — tam zaś stwierdzili, że dwa przydzielone im boksy zajęły konie Ruperta, a trzeci boks koń kogoś o nazwisku Dino Ferranti.

— To numer trzy w Stanach — powiedział Jake.

Pomimo niezliczonych utarczek Fen uwielbiała Jake'a. Wiedziała, że przed mistrzostwami nie potrzebował dodatkowego stresu. Jake zamierzał umieścić konie w innych stajniach i załatwić wszystko rano, ale Fen, przepełniona opiekuńczym oburzeniem, zdecydowała się wyciągnąć z łóżka nową stajenną Ruperta, Dizzy.

Nietrudno było znaleźć przyczepę Ruperta, chociaż stała na uboczu, pod dębem. Wszystkie światła w środku były zapalone, a dobiegające z przyczepy wybuchy śmiechu tak bardzo zakłócały ciepłą letnią noc, że nawet gwiazdy wydawały się spoglądać z dezaprobatą.

Otworzywszy gwałtownie drzwi, Fen zobaczyła Ruperta, Ludwiga i ospałego, bardzo przystojnego chłopaka o jasnych włosach, szarych oczach i oliwkowej cerze — wszyscy grali w rozbieranego pokera. Dizzy, jedynie w stringach, leżała na ławce. Inna piękna ciemnowłosa dziewczyna siedziała na kolanie Ruperta, miała na sobie jedynie jego koszulę w paski.

Ludwig został już tylko w bokserkach, kapeluszu do konnej jazdy i jednej skarpetce. Ospały chłopak był tylko w dżinsach, a Rupert, który wciąż nie pił, palił jointa i jako jedyny był kompletnie ubrany. Wszyscy byli porządnie wstawieni, śmiali się głośno i jednym okiem oglądali film porno, w którym pulchna rudowłosa kobieta wyczyniała niemożliwe do opisania rzeczy z leżącym na plecach Mikołajem.

Fen zerknęła na ekran i oblała się głębokim rumieńcem, po czym pospiesznie odwróciła oczy, gdyż pierś jednej z brunetek wypadła z prążkowanej koszuli.

— *Bon soir* — powiedział Rupert. — *Asseyez-vous*[1]. Miejsce z tyłu kosztuje pięćdziesiąt pensów.

— No chodź, kochana — powiedział powoli przystojniak. Mówił z silnym południowym akcentem, oczy miał skośne jak kot syjamski. — Usiądź mi na kolanach.

— Nie, chocz do mnie — wtrącił Ludwig, wstając i trzaskając bosymi piętami.

— Jesteście obrzydliwi! — krzyknęła Fen. — A co więcej — dodała, zwracając się do Ruperta — ty i jakiś palant zwany Dino Ferranti zajęliście nasze stajnie!

— Hej, skarbie, chodź no tutaj — powiedział Amerykanin, wyciągając długie, opalone ręce.

— Musicie znaleźć inne miejsce na swoje osły — stwierdził Rupert. — Nie poznałaś jeszcze Dina Ferrantiego?

— Nie i nie mam ochoty! — zawołała Fen, tracąc cierpliwość. — Patrz! — wrzasnęła, machając dokumentami przed nosem Ruperta. — *Numero quatre-vingt et un, deux, trois, quatre.* Jasne jak *nez* na *votre visage!*[2]

— Nie wiedzieliśmy, że to wasze stajnie — powiedziała Dizzy z nadąsaną miną.

— Pewnie nie umiesz czytać jak większość stajennych Ruperta.

— Zachowuj się — ostrzegł Rupert.

— W takim razie chodźcie zabrać swoje konie. Gdyby starczyło wam przyzwoitości, żeby zatrzymać się na autostradzie i nam pomóc, przyjechalibyśmy wszyscy jednocześnie i nie byłoby tego głupiego zamieszania. Nigdy jeszcze nie widziałam ludzi tak pozbawionych chęci współpracy.

— A co mam zrobić? — zapytał Rupert. — Mam zaśpiewać? To Billy śpiewa na imprezach, ale on odpadł przez twojego przeklętego szwagra.

Fen nie dała się sprowokować, odwróciła się i zeszła po schodach.

— Dobrze, skoro nie chcecie przenieść swoich koni, to je wypuszczę.

— Bez głupich pomysłów! — warknął Rupert. — Pożałujesz tego! Dino, teraz ty rozdajesz.

— Kto to? Nawet niezła — powiedział Amerykanin, pociągając whisky z butelki i podając ją Ludwigowi.

— Szwagierka Jake’a Lovella — wyjaśnił Rupert.

— Co to za gość?

— Beznadziejny. Spina się z byle powodu, moja żona nazwałaby go przewrażliwionym. Chyba przejęła to sztywniactwo od niego.

Pięć minut później Dino przegrał kolejkę i musiał zdjąć spodnie.

Wstał, żeby rozpiąć zamek, i wyjrzał przez okno.

— Piękna noc — powiedział z tym swoim charakterystycznym akcentem. — Przy księżycu jest jasno jak w dzień. O, patrzcie, Wielki Wóz. Nie wiem, czy eee... mam omamy, czy ee... właśnie widzę siwka tuż za oknem.

Ludwig niepewnie wstał i również wyjrzał.

— To Snakepit i jakisz inny koń — powiedział. — Ta mała Maxwellówna jednak je wypuszczyła. Rupert, rusz tyłek.

Dino Ferranti zaczął się śmiać.

— A niech mnie!

Rupert jednym ruchem odepchnął od siebie brunetkę i wypadł z przyczepy. Boso pobiegł po trawie.

— Wracaj! — wrzasnął za Fen.

Fen kłusowała dalej, trzymając się w bezpiecznej odległości.

— Dopiero, jak obiecasz, że zwolnisz nasze stajnie!

Pomimo miesięcznej abstynencji i dwóch mil codziennego joggingu Rupert nie mógł jej dogonić. Zaczął kląć.

— Ojoj! — zawołała Fen. — Tak się wyrażasz przy damie? Jeśli nie obiecasz, puszczę je luzem w lesie. Potrzebują wakacji, mieszkanie u takiego brutala to na pewno nic przyjemnego.

Przez pięć minut, które Rupertowi wlokły się jak cała wieczność, Fen jechała powoli naprzód, aż wjechała pod ciemny baldachim lasu.

— No i jak? — zapytała.

— Dobrze, przeniesiemy konie — zgodził się Rupert. — A teraz oddaj mi je, ty potworze.

— Żebyś mnie przejechał? Zabiorę je z powrotem i przywiążę przed waszą stajnią.

— Pozwę cię do sądu!

— My cię pozwiemy za zajęcie naszych stajni! — odkrzyknęła Fen i zatoczywszy szerokie koło, odjechała galopem, na odchodne rzucając głośno przez ramię: — Kiepskiej nocy!

Stajenni nie mają szansy się wyspać. Dwie i pół godziny później Fen musiała zwlec się z łóżka, żeby oporządzić i wypuścić konie. Po dniu postu spowodowanego chorobą morską umierała z głodu. W drodze powrotnej do samochodu wpadła na stajenną Humpty’ego, Bridie. Po kilku minutach rozmowy o koniach postanowiły zjeść razem śniadanie.

— Cholernie ciężka trasa — stwierdziła Bridie, spoglądając na ziemię, spękaną i złuszczoną jak wielkie brązowe puzzle. — Zero widoków przez deszcz. Będzie pasowało lordowi Campbellowi-Blackowi — zniżyła głos. — Przeciąża wszystkie swoje konie, widziałam je w Crittleden w zeszłym roku. Właśnie wrócili z zawodów królewskich i z Aachen. Arcturus leżał w boksie, był tak wyczerpany, że wzięłam go za martwego. Ale on żył, był tylko bardzo zmęczony. Od stycznia nie miały przerwy. Arcy nie może jechać, dopóki nie nafaszerują go lekami. Kiedy przestają działać, bardzo cierpi.

— A na kim Rupert pojedzie na mistrzostwach?

— Bierze Snakepita — odparła Bridie.

Fen jęknęła.

— No tak, to podobne do Ruperta, żeby wystawić najtrudniejszego konia.

— W stajni musi go trzymać dwóch ludzi, jeden do czyszczenia, drugi do pilnowania. Kopie jak krowa. Już przetrącił jednego z psów Ruperta.

— Może nie dotrze do finału.

— W takiej formie, w jakiej jest, nie może przegrać.

Poszły do namiotu jadalni. Fen nakładała sobie dżem morelowy na czwartego rogalika, kiedy Bridie zapytała, czy widziała Dina Ferrantiego.

— Wczoraj wieczorem, przez chwilę — odparła zimno Fen.

— Nie uważasz, że jest powalający? — zapytała, wzdychając Bridie. — Biodra wąskie jak u węża, wspaniałe bary, twarz zdeprawowanego anioła. I tak doskonale się ubiera...

— Kiedy go widziałam, nie miał na sobie zbyt wiele — odparła Fen, po czym opowiedziała całą historię.

Birdie spojrzała na nią przestraszona.

— Ale chyba nie wypuściłaś koni Ruperta?

— Owszem.

— I dosiadłaś Snakepita?

— Tak.

— Nie zaczął się stawiać chyba dlatego, że się go nie bałaś. Wiesz, Rupert też jest powalający według mnie. Gdyby tylko kiwnął palcem, poleciałabym na niego.

— A ja nie. To absolutny palant.

Cztery godziny później Ludwig i Dino Ferranti, obaj w ciemnych okularach i ze straszliwym kacem, który w południowym słońcu był jeszcze bardziej dotkliwy, szli powoli do stajni na trening. Zatrzymali się na widok Isy Lovella, ledwie sześcioletniego, który kłusował na Macaulayu po padoku.

— OK, Fen! — zawołał przeraźliwym akcentem z Birminghamu. — Podnieś! — po czym podjechał do stacjonaty i bez wysiłku przeskoczył drążek znajdujący się na wysokości metra sześćdziesięciu.

Dino Ferranti nie wierzył swoim zapuchniętym, niedospanym oczom.

— Spójrz tylko!

— Lepiej nie — odparł Ludwig. — Szkoro ten dzieczak tak dobsze szkacze, niedługo będę muszał oddacz tytuł mistsza.

Przystanęli i przyglądali się przez kilka minut, chłopiec pokonywał kolejne przeszkody.

— To ta sama dziewczyna co wczoraj w nocy — zauważył Dino.

— Ha! — odpowiedział Ludwig. — Panna Maxwell, stajenna Jake’a Lovella. Może Jake będzie szkakał na tym koniu. Wydaje szę znajomy. Nie, niemoszliwe.

— Świetnie wygląda — zauważył Dino.

Les Rivaux to jeden z najpiękniejszych portów morskich Bretanii. Zawody odbywają się około półtora kilometra za miastem, od strony lądu półkolem

otacza je las, do którego Fen chciała wypuścić konie Ruperta. Od przodu rozciąga się morze. W dniu pierwszego konkursu — rozgrzewki do zawodów — morze przypominało macicę perłową rozłożoną na platynowobiałym piasku.

— Za wielu cudzoziemców — odezwała się z dezaprobatą sporych rozmiarów turystka angielska, kiedy dwóch Włochów omal nie spadło z koni na widok Dizzy, stajennej Ruperta, przejeżdżającej obok w obcisłym turkusowym T-shircie i bez stanika.

W Les Rivaux już roiło się od zawodników: Holendrzy w skórzanych marynarkach, Portugalczycy o ciemnych oczach i z nerwów szczękający zębami, argentyńscy generałowie, Amerykanie w słomkowych kapeluszach i ciemnych okularach. Rozbrzmiewał różnojęzyczny gwar, nasycając otoczenie atmosferą luksusu i lekkiej tajemnicy. Powietrze wciąż było ciężkie od upału, a chociaż jaskółki latały nisko, a krowy kładły się w trawie, nie zanosiło się na deszcz, który mógłby zmiękczyć stwardniałą ziemię.

Na pierwszy konkurs przyszły tłumy. Był to przejazd na szybkość. Większość zawodników miała w nim dosiadać koni, które później pojadą w mistrzostwach świata. W konkursie popołudniowym zawodnicy będą jechali na koniach rezerwowych.

Po okolicy rozeszła się już pogłoska, że Jake Lovell będzie skakał na jednym z dawnych koni Ruperta. Jake nie dawał się wciągnąć w spekulacje, Fen też nie, a kiedy Rupert zobaczył Tanyę prowadzącą Macaulaya i Desdemonę na padok, przez minutę wpatrywał się w znajomego dużego czarnego konia z wielkimi kopytami i brzydkim białym pyskiem, ale nie skomentował tego ani jednym słowem.

O sile nerwów Ruperta świadczył fakt, że nic nie mogło wpłynąć na jego przejazd. Jak zawsze szydził i drwił z innych jeźdźców, co pomagało mu się

zmotywować, po czym pojechał tak, że rywale wpadli w panikę. Nie tylko osiągnął zawrotną prędkość, ale też, sądząc z tego, jak musiał siłowo zapanować nad Snakepitem i utrzymać go na torze, dosiadał prawdziwego szatana.

Guy de la Tour, gwiazda, w której francuscy widzowie pokładali największe nadzieje, przejechał wolniej, ale stylowo i został nagrodzony burzą oklasków. Za nim jechał Ludwig, już bez kaca, ale pomimo długich nóg swojej klaczy, Clary, nie zdołał dogonić Ruperta.

Szybkość nie była mocną stroną Macaulaya, który skakał zbyt wysoko i ostrożnie. Jake był całkowicie usatysfakcjonowany wolnym, ale czystym przejazdem, który dał mu jedenaste miejsce.

Największymi faworytami Pucharu Narodów byli Amerykanie, więc widzów ciekawiło, jak ich konie pojadą na francuskim torze. Ani najlepszy jeździec — Carol Kennedy — ani amazonka numer dwa, rudowłosa Mary Jo Wilson, jeszcze nie doszli do siebie i dostali po osiem i cztery punkty karne.

Zainteresowanie skupiło się zatem na Dinie Ferrantim, który dosiadał młodego rudego kasztana czystej krwi o imieniu Człowiek Prezydenta. Dino dotąd nie skakał w Europie, ale nawet Fen, która znów pokłóciła się z nim na padoku, gdyż jego stajenny rozebrał stacjonatę tuż przed tym, jak dziewczyna miała ją przeskoczyć, musiała przyznać, że jeździ świetnie. Formaliści mogliby mu zarzucić, że siedzi w siodle po kowbojsku i trochę za bardzo z tyłu, ale był elastyczny i giętki, a przy skoku potrafił tak się unieść, że całkowicie pozbawiał konia swojego ciężaru, po czym lądował gładko po drugiej stronie przeszkody.

Z rozwianą grzywą i, według amerykańskiej mody, z długim, powiewającym ogonem, Człowiek Prezydenta skakał po torze jak królik. Na trybunach zapanowała konsternacja, widzowie mieli zdziwione miny,

kiedy zegar pokazał czas przejazdu i okazało się, że Dino pobił Ruperta o trzy sekundy.

— Świetna robota! — rozległy się okrzyki, kiedy zjeżdżał z toru.

— Bardzo dobra wróżba na dalszy ciąg zawodów — dodał Humpty. — Ładne zwierzę. Po kim?

— Wspaniale, nasza pierwsza wygrana! — powiedziała Mary Jo, podbiegając do Dina i obejmując go. — Rupert będzie drugi, Ludwig trzeci, a Guy czwarty.

— Przepraszam! — wysoki głos przebił się przez chór pochwał. — Ja jeszcze nie jechałam!

— *Soixante six!* — zawołał steward konkursu. — *Numero soixante six*[3].

— *Je suis ici*[4]! — zawołała Fen, nasuwając toczek na nos i galopem wjeżdżając na tor.

Desdemona miała ledwie półtora metra wzrostu, niewiele więcej od kuca. Jej ojcem był ogier czystej krwi, matką klacz pony do gry w polo. Desdemona była skoczna i szybka, potrafiła osiągnąć zadziwiające przyspieszenie między przeszkodami, ale tak jak jej amazonka miała znacznie więcej odwagi niż umiejętności technicznych.

Ludwig, Dino, Rupert i Guy stali odwróceni do toru, śmiejąc się i żartując, podziwiając urodziwą Mary Jo. Nagle usłyszeli wiwaty z trybun, odwrócili się i zobaczyli drobną klaczkę frunącą nad torem. Desdemona odwróciła się w powietrzu nad bramką, zaliczyła podwójnego oksera, po czym pełnym galopem przeskoczyła nad murem, mijając go ledwie o centymetry. Jake zasłonił dłońmi oczy, a Fen pognała w kierunku kombinacji.

Spoglądając przez palce, Jake zobaczył, jak Fen pokonuje kolejne trzy przeszkody, podskakując niczym piłeczka pingpongowa. Poprawiła czas Dina o jedną dziesiątą sekundy, wpadła na metę i z rozpędu przegalopowała

jeszcze pół areny, zanim zdołała się zatrzymać. Zaróżowiona na twarzy z emocji, uniosła palce w dyskretnym, ale doskonale widocznym znaku zwycięstwa w kierunku grupy zgromadzonej wokół Mary Jo i zjechała z mety. Darklis i Isa wrzeszczeli jak opętani.

Jake zmył jej głowę za brak odpowiedzialności, wytknął, że mogła przewrócić konia. Po chwili jednak jego twarz złagodniała.

— Ale to był doskonały przejazd — przyznał.

Wzywano zwycięzców. Fen z podniesioną głową wjechała na arenę. Dino się z nią zrównał. W białej koszuli, czarnym żakiecie i obcisłych białych bryczesach, ze świeżo umytymi włosami ułożonymi pod siatką Fen w niczym nie przypominała rozzłoszczonego dziecka, które poprzedniego wieczoru wpadło do przyczepy Ruperta.

— Pani, najwyraźniej cię nie doceniłem.

Fen nie zwróciła na niego uwagi.

— Kiedy się złościsz, wyglądasz naprawdę ładnie, ale wolałbym, żebyś się uśmiechnęła.

— Uśmiechnę się, jak dostanę swoją rozetkę.

— A ja myślałem, że jesteś stajenną Jake’a Lovella.

— Jestem. Tak jak Isa i Darklis. Wszyscy pracujemy.

— Pojedziesz na mistrzostwach na tym kucyku?

Fen z czułością pogładziła Desdemonę.

— Nie. Jestem za młoda.

— Dzięki Bogu — odparł Dino, mierząc ją wzrokiem. — Ale to chyba tylko kwestia czasu.

Wieści o rozbieranym pokerze u Ruperta i wycieczce Fen z jego końmi przy księżycu rozeszły się po wiosce zawodników jak pożar. Konkurencją były dla nich tylko opowieści o piciu Billy’ego oraz spekulacje dotyczące tego, czy koń Jake’a, zgłoszony pod imieniem Pokrzyk, był naprawdę

Macaulayem. Nieco później włoski jeździec znalazł w swojej stajni wiadro otrąb, którego nie wstawił tam nikt z jego obsługi — inni zawodnicy natychmiast wpadli w panikę, bojąc się sabotażu. Na całym terenie wzmocniono ochronę. Amerykanie i Niemcy wynajęli strażników z rottweilerami. Nawet Rupert zatrudnił mężczyznę, który w nocy sypiał przed boksem Snakepita.

— Boi się, że Fen znów go wypuści — orzekła Dizzy. — Na pewno byś nie zabrała tego konia — dodała, zwracając się do Fen — gdybyś wiedziała, co to za swołocz. Wart swojego pana. Nie wiem, co mu odbija.

Rupertowi brakowało Billy'ego. W każdych ważniejszych zawodach do tej pory miał go przy sobie, razem chodzili w miasto, dyskutowali o swoich pomysłach i rozmawiali o problemach. Duma nie pozwalała Rupertowi zwrócić się o radę do Malise'a, zresztą ten strzeliłby mu wykład, a potem by się złościł, że Rupert go nie posłuchał. Helen z kolei nie znała się na koniach i tak naprawdę nie interesowała się tym.

Rupert był w szczytowej formie. Chciał popływać w morzu, ale uznał, że mogłoby go to rozproszyć przed Pucharem Narodów, który miał się odbyć dzień później. Marzył o drinku, ale przysiągł sobie, że nie tknie ani kropli do końca mistrzostw. Francuzki uganiały się za nim, o ile to możliwe, jeszcze bardziej niż Angielki, ale takie jednonocne przygody coraz mniej go zadowalały, a przyjazd Helen zapowiedziany na następny dzień sprawi, że skończy się i to. Był zły na Helen, że nie przywiezie dzieci. Lavinia de la Tour zaproponowała im wizytę w zamku swego męża, prawie pięćdziesiąt kilometrów dalej, ale Helen zbyt się przejmowała francuską kuchnią, psami ze wścieklizną oraz wpływem upałów na delikatną skórę Marcusa. Tab, którą Rupert bardzo chciał się pochwalić, była według Helen za mała na wyjazd.

Rupert nigdy wcześniej nie denerwował się przejazdem, ale w finale nie miał ochoty jechać na Macaulayu. Obserwował obozowisko Lovellów — piękne dzieci, mówiące przerażającym akcentem z Birminghamu, nieustraszone, kłębiące się wokół koni Jake’a, czyszczące je, zaplatające im grzywy, całujące zwierzęta, bawiące się im pod nogami jak przy wielkich psach. Nie widział jeszcze tak zrelaksowanych koni i tak zadowolonych dzieci. Porównał z nimi przerażonego Marcus. Przysiągł sobie, że nie pozwoli, by Tab wyrosła na kogoś takiego jak jej brat.

Ciągnęło go do Dina, którego poznał na zawodach na Florydzie, oraz do Ludwiga — bogaci i piękni ludzie sukcesu zwykle lubią przebywać w towarzystwie sobie podobnych.

Dino nieco przypominał mu Billy’ego, był tak samo wyluzowany i miał specyficzne poczucie humoru. Jednak w wieku dwudziestu sześciu lat Dino był bardziej zahartowany i ambitny. Przewyższał też Billy’ego próżnością — dbał o swoje pastelowe jedwabne koszule, piękne garnitury, drogie pachnidła i popielatoblond włosy, które musiały się układać perfekcyjnie, niezależnie od tego, ile razy przeczesywał je palcami. Pod tym niemal kobiecym rozmarzeniem Dino skrywał żelazną wolę i siłę fizyczną, które pozwalały mu, jak Rupertowi, balować do piątej rano, a potem wystartować na zawodach tak, że rywalom rzedły miny.

Dziadek Dina był włoskim imigrantem, który uwielbiał kwiaty i założył małą fabrykę perfum. Wynalazł zapach pod nazwą Ecstasy, równie znany i wciąż popularny na rynku jak Joy, Arpège czy Chanel nr 5. Jego syn, Paco, sprytnie wykorzystał talent ojca do budowy milionowego imperium jako prezes i założyciel korporacji Ferranti produkującej perfumy, wody kolońskie, po goleniu i mydła i sprzedającej je na całym świecie. Później rozszerzył działalność o inżynierię. Trzech jego starszych synów posłusznie poszło w ślady ojca i podjęło pracę w firmie, ale jego faworyt, Dino,

najmłodszy i najprzystojniejszy, zbuntował się. Od dzieciństwa interesował się jedynie końmi, jeździł na swoich kucach oraz na koniach wyścigowych ojca, nawet jeśli później dostawał za to lanie. W nadziei, że wkrótce wyrośnie z tej obsesji, Paco pozwalał synowi jeździć do woli. Odetchnął z ulgą, kiedy Dino w wieku siedemnastu lat dorósł metra osiemdziesięciu, gdyż taki wzrost uniemożliwiał mu zostanie dżokejem. Przy wzroście metr osiemdziesiąt siedem nie mógł również startować w wyścigach z przeszkodami, więc zwrócił się ku skokom, ale w Stanach nie mógł zarobić w tym sporcie zbyt dużo. Bracia narzekali, że cuchnie stajnią i przy jego wizytach w domu pod pretekstem pilnowania imperium Ferrantich uciekali na delegacje.

W walce o zyski Dino rozpoczął studia ekonomiczne w Massachusetts Institute of Technology. Na egzaminach końcowych pierwszego roku błyszczał. Jego desperacja ujawniła się dopiero pod koniec studiów, kiedy na ostatni egzamin Dino przyszedł pijany, w smokingu, i wszedł do sali w chwili, gdy studenci sięgali po długopisy. Wymachując opróżnioną do połowy butelką ginu, chodził po sali i proponował alkohol zszokowanym studentom, którzy gorączkowo usiłowali go uciszyć — aż dotarł do swojej ławki i bez przytomności padł obok.

Jego wyniki były tak doskonałe — same najwyższe oceny — że wykładowcy przymknęli oko na ten wybryk. Dino został przewodniczącym roku na kolejny rok. Paco był tak uszczęśliwiony, że kiedy Dino miał wyjechać do domu na wakacje, na campusie wylądował samolot — prezent od ojca za sukcesy na studiach

Dino przyleciał do domu, pocałował matkę, podziękował ojcu, po czym poprosił o chwilę rozmowy w cztery oczy w bibliotece.

— Tato, ekonomia to nie dla mnie.

Paco oniemiał.

— Ale tak doskonale ci idzie!

— Nie chciałem cię skompromitować, oblewając egzaminy, chyba ja też nie znoszę przegrywać. Ale nie chcę reszty życia spędzić w biurze. Masz od tego innych synów. Ja będę skakał.

Paco westchnął.

— Jeszcze ci nie przeszło? Nie możesz robić jednego i drugiego?

— Konie wymagają pracy przez całą dobę, tak jak firma. Wiem, że jestem świetnym jeźdźcem. Chcę się zmierzyć z najlepszymi zawodnikami na świecie. Tylko takie życie mnie interesuje.

— Ty mnie pytasz o pozwolenie czy informujesz?

— Informuję — odparł Dino łagodnie. — Jeśli mi pomożesz, będę ci dozgonnie wdzięczny. Jeśli nie, poradzę sobie sam.

— Nie zarobisz w ten sposób na życie.

— W Europie to możliwe. — w oczach ojca dojrzał smutek. — Nie przegrałem. Nie umrę z głodu. Ale nigdy sobie nie wybaczę, jeśli nie spróbuję.

Paco z namysłem spojrzał na swojego ulubieńca.

— Masz same piątki z egzaminów z wyjątkiem tego, na który przyszedłeś pijany. Nigdy nie sądziłem, że aż tak tego nie znosisz. To naprawdę wymaga odwagi. Może faktycznie spróbuj. Wiesz, proponuję ci umowę: przez pierwsze pięć lat będę ci pomagał, więc będziesz mógł zostać w Stanach.

Pięć lat później, niemal co do dnia, Dino przyjechał do Les Rivaux.

Mistrzostwa świata zaczynają się Pucharem Narodów. Dwudziestu jeźdźców z najmniejszą liczbą punktów karnych przechodzi do kolejnego etapu złożonego z trzech wyczerpujących konkursów indywidualnych. Czterech zawodników z najmniejszą średnią liczbą punktów karnych awansuje do finału. Po konkursach następuje obowiązkowy dzień przerwy,

po czym rozpoczyna się finał, w którym najpierw każdy z zawodników skacze na własnym koniu, a potem po kolei na koniach trzech rywali.

Wielka Brytania startowała w Pucharze Narodów ze zmiennym szczęściem. Rupert przejechał dwie olśniewające i czyste kolejki na Snakepicie. Humpty, próbując zrobić wrażenie na nowym sponsorze, całkowicie zawalił, kończąc swoje dwie rundy wynikiem ponad dwudziestu punktów karnych. Driffield przejechał czysto, po czym w drugiej rundzie kompletnie się rozsypał. Jake w pierwszej kolejce złapał osiem punktów karnych, w drugiej zaś przejechał czysto.

Amerykanie skakali doskonale, Niemcy także — zajęli oni pierwsze i drugie miejsce, a Brytyjczykom zostało ledwie trzecie. W rezultacie do półfinału przeszło czterech Amerykanów, czterech Niemców, Rupert, Jake, Obojczyk, Piero Fratinelli, najlepszy Włoch, dwóch Meksykanów oraz, ku radości widzów francuskich, Guy de la Tour.

Przed trzecim i ostatnim konkursem w półfinale Ludwig i Rupert tak bardzo wyprzedzili punktowo pozostałych, że praktycznie bez wysiłku mogli się dostać do czwartej rundy. Przejazd składał się z dziesięciu wyjątkowo wysokich przeszkód, które trzeba było pokonać na czas. Rupert miał osiem punktów karnych, Ludwig dwanaście, co zapewniło im miejsca w finale. Dino przejechał czysto. Został jeszcze tylko Jake i hrabia Guy.

— Na pewno zostaniesz ty, ja, Ludwig i Guy — powiedział Rupert do Dina, wjeżdżając na padok. — Czwórka zawodników z różnych krajów. Doskonale.

Jake, poirytowany pewnością Ruperta, że nie dostanie się do finału, był gotów przenieść Macaulaya przez przeszkody, jeśli będzie to konieczne.

— Musisz wygrać tę rundę, chociażby po to, żeby się zakwalifikować — powiedział Malise, głaszcząc wierzchowca, kiedy Jake wjeżdżał na start.

Macaulay najwyraźniej postanowił przyprawić swoich fanów o zawał serca. Chodził w tę i z powrotem, udając, że boczy się z powodu tłumów, wierzgając i dziwnie przemieszczając się między przeszkodami — jednak mimo wszystko zaliczył czysty przejazd, na końcu wyrzucając nogi w końskim odpowiedniku znaku zwycięstwa.

Widzowie sięgnęli po kalkulatory, sprawdzając, czy Jake przeszedł do finału. Na start wjechał Guy, który punktami wyprzedzał i Jake'a, i Dina. Roześmiany, przystojny, dodatkowo nakręcał się aplauzem ogromnego tłumu widzów, zwłaszcza rodaków. Czuł biegnące od nich fale uwielbienia i podziwu, owiewające go jak gigantyczna suszarka.

Przy przedostatniej przeszkodzie, ogromnej stacjonacie, która pokonała wszystkich oprócz Macaulaya, imponujący czarny wałach Guy o imieniu Charlemagne uderzył mocno w drążek. Widzowie wstrzymali oddechy, jednak drążek się utrzymał. Niestety, Guy popełnił błąd i rozejrzał się wokół jak Orfeusz — i zamiast utratą Eurydyki zapłacił za to utratą miejsca w mistrzostwach. Zdekoncentrował się, źle podprowadził Charlemagne'a do kombinacji, koniowi zabrakło rozpędu na odpowiednio wysokie przeskoczenie pierwszej przeszkody, więc drugą i trzecią rozbił. Widownia jęknęła chórem. Zawodnicy i ich stajenni zaczęli gorączkowo stukać w kalkulatory.

— To gorsze niż matura z matematyki — jęknęła Fen.

W tej chwili do Jake'a podszedł Malise, ledwie powstrzymując szeroki uśmiech.

— Wchodzisz do finału — powiedział.

Amerykanie stłoczyli się wokół Dina, poklepując się nawzajem po plecach.

— Jesteśmy w finale!

Zawodnicy nie ośmielali się zbyt jawnie okazywać zadowolenia wobec takiego pognębienia Francuzów. Finansowo oraz z punktu widzenia morale gospodarze zawodów powinni mieć w finale przynajmniej jednego reprezentanta. Oszołomieni widzowie nawet nie klaskali. Komentator z wrażenia zapomniał przetłumaczyć na angielski informację o tym, że Rupert, Dino, Ludwig i Jake zakwalifikowali się do finału.

Dino i Jake postanowili pominąć przejazdy próbne, chcieli dać koniom odpocząć przed finałem. Razem wjechali na padok. Będą mieli do podziału dwadzieścia tysięcy franków, ale olbrzymiego pucharu nie da się podzielić. Puchar przypominał urnę.

— Boże, nie da się go przełamać na pół — stwierdził Dino. — Jake, ty go zatrzymaj. To na pewno urna pogrzebowa.

„Cholera, mimo wszystko pojadę jednak na tym czarnym szatanie” — pomyślał Rupert.

---

[1] *Bon soir. Asseyez-vous* (fr.) — Dobry wieczór. Proszę siadać.

[2] *Numero quatre-vingt et un, deux, trois, quatre*. Jasne jak *nez na votre visage*! (fr.) — Numer 81, 82, 83, 84. Jasne jak nos na twojej twarzy.

[3] *Numero soixante six* (fr.) — Numer sześćdziesiąt sześć.

[4] *Je suis ici* (fr.) — Tu jestem.

34

KWALIFIKACJA DO FINAŁU TO JEDNO, ale rozmyślanie o nim przez dwa dni to coś zupełnie innego. Ludwig miał szczęście. W reprezentacji niemieckiej panowała sympatyczna i przyjazna atmosfera, zawodnicy razem jedli, pili, zwiedzali, opalali się i trenowali. Wszyscy jednogłośnie kibicowali Ludwigowi, gdyż liczyło się zwycięstwo ich kraju. Dino był tak samo wspierany przez drużynę amerykańską.

Malise westchnął, też chciałby tak zjednoczyć reprezentację brytyjską. Jednak Rupert, Humpty i Drieffield byli indywidualnościami napędzanymi interesem własnym i ambicją oraz szaleńczą zazdrością. Jake Lovell z kolei jako samotny wilk, który na zawodach trzymał się na uboczu, nie przejmował się tworzeniem więzi grupowych. Poprzednio to Billy spajał drużynę, zwłaszcza dobrze wpływał na Ruperta. Teraz, pod jego nieobecność, temperamenty wrzały i rozgorzała niechęć. Driffield działał wszystkim na nerwy swoim ciągłym narzekaniem. Humpty wpadł w rozpacz, wiedząc, że niedawno zdobyci sponsorzy na pewno nie ucieszą się z jego nieobecności w finale. Rupert i Jake nie skrywali wzajemnej wrogości. „Co za ironia. Każdy z nich bardziej ucieszy się z pognębienia drugiego niż z własnego zwycięstwa” — myślał Malise.

Mimo wszystko, próbując uparcie stworzyć jakieś poczucie jedności, Malise uparł się, by cała drużyna i ich żony, łącznie z Fen, wyszła na kolację dla uczczenia dwóch finalistów brytyjskich. Następnego dnia czekał ich obowiązkowy odpoczynek, więc nawet ewentualny kac nie miał znaczenia.

Jake od razu odmówił, twierdząc, że nie znajdą opiekunki do dzieci. Jednak po powrocie do hotelu stwierdzili, że żona właściciela, która poprzednio przydzieliła im okropne pokoje wychodzące na hałaśliwą ulicę, nagle z wieczornej gazety dowiedziała się, że gości potencjalnego mistrza świata. Uznała więc, że dla monsieur Lovella znajdzie się wszystko co najlepsze. Razem z mężem natychmiast zwolnią swoją cichą sypialnię z oknami od podwórka, a Jake i Tory będą mieli podwójne łóżko i prześpią wygodnie dwie noce, które pozostały do ciężkiej próby.

Malise mieszkający w tym samym hotelu usłyszał słowa gospodyni. Skorzystał z okazji i zapytał, czy w takim razie madame byłaby łaskawa zająć się dziećmi przez jeden wieczór. Ku wściekłości Jake'a madame z radością się zgodziła. Darklis z Isą zjedzą obiad w kuchni i obejrzą sobie „Dźwięki muzyki" w telewizji. Kwestią otwartą pozostawało to, który z obu mężczyzn — mąż czy Jake — miał w tej chwili większą ochotę udusić madame.

Ponieważ najpierw musieli się przenieść, Fen, Jake i Tory dotarli na kolację ostatni. Restauracja na skraju miasta zajmowała cały parter osiemnastowiecznego zamku nad ujściem rzeki. Jaśniejący winobluszcz pokrywał ściany i niemal zarastał okiennice. Bladoczerwone geranium kaskadą spadało do brunatnozielonej wody.

— Czujecie zapach wina i czosnku? — westchnęła Fen w ekstazie. — Jake, rozchmurz się. Zawsze to jakaś odmiana po hamburgerach i marsach.

Na ich powitanie wstali Malise, opalony i elegancki w lnianym kremowym garniturze i granatowym krawacie w groszki oraz pułkownik Roxborough, pocący się w szarej flaneli. Jednak przedtem Rupert odwrócił się do Humpty'ego.

— Idzie książę nie z tej bajki i dwie siostry Kopciuszka — skomentował.

— Rupert! — powiedziała błagalnie Helen, oblewając się rumieńcem. — Dzień dobry, Jake. Gratuluję. Tak się ucieszyłam, kiedy wszedłeś do finału.

— Jak powiedziała aktorka do biskupa, miło, że wszedłeś — rzucił Rupert. — Jake, to naprawdę przywilej. Od wielu lat moja żona nie podnieciła się tak z powodu mężczyzny. Ja na pewno jej już nie podniecam.

Helen przyjechała do Les Rivaux po długiej przerwie na zwiedzanie jakiejś katedry, więc nie była świadkiem przejazdu Ruperta, który pozwolił mu wejść do finału. Pokłócili się, gdyż Helen odmówiła seksu, upierając się, że przed kolacją musi umyć głowę.

— Nieprawda, cieszę się bardzo, że jesteś w finale. Wspaniale, że mamy dwóch Brytyjczyków.

— Tobie będzie trudno wybrać, Helen. Komu kibicujesz, nam czy Jankesom? — zapytał Humpty.

— Zwłaszcza kiedy się widzi Dina Ferrantiego — dodała żona Humpty’ego, Doreen. — Uroda jak z bajki.

— Siadajcie — zaprosił Malise. — Jake, ty koło Doreen, Fen między mną a Rupertem, Tory po drugiej stronie Ruperta.

— Tory będzie potrzebować długiej łyżki — rzuciła Fen, rzucając Rupertowi gniewne spojrzenie.

— Punkt — przyznał Rupert ze śmiechem.

— Co pijecie? — zapytał pułkownik Roxborough. — Rupert, ty wciąż jesteś abstynentem?

— Tylko do soboty, potem pójdę na całość. Boże, umieram z głodu.

Zerknął w bok na stolik, przy którym kelner dużym nożem kroił bagietkę.

— Wyobraźcie sobie, że to mógłby być czyjś fiut — powiedział z udawanym przerażeniem.

Starając się nawiązać rozmowę, chociaż znów poczuła się jak osiemnastoletnia grubaska, Tory zapytała Ruperta o Tabithę.

— Wszystko dobrze — odparł Rupert i dalej ją ignorował, rozmawiając przez stół z pułkownikiem Roxborough o porażce hrabiego Guy i gapiąc się na ponętną brunetkę przy innym stoliku.

Jake chętnie uratowałby Tory, ale jego samego unieruchomiła Doreen Hamilton. Uodporniony na świat zewnętrzny zalewającymi go na przemian falami uniesienia i przerażenia Jake patrzył na plasterek cytryny w szklance ginu z tonikiem i liczył pestki: wygra, nie wygra... wygra. Musi mieć przynajmniej trzy pestki. W cytrynie pani Hamilton były dwie: wygra, nie wygra. Ogarnęło go przygnębienie. Potem spojrzał na szklankę pułkownika Roxborough: dwa plasterki, dwie pestki na górze. Pochylił głowę: trzy na dnie, razem liczba nieparzysta. Obezwładniła go fala ulgi, wygra. Doreen Hamilton spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

— Co ty robisz?

Jake uśmiechnął się szeroko.

— Liczę pestki w cytrynie. Liczba nieparzysta oznacza wygraną, parzysta porażkę.

— To nieuczciwe, zaczynasz od liczby nieparzystej, więc masz większe szanse skończyć na nieparzystej. Powiedz mi — kobieta ściszyła głos — jak się zachowa Macaulay, kiedy dosiądzie go Rupert?

— Mam nadzieję, że jak najgorzej.

Rupert nie taił znudzenia towarzystwem.

Nieprzerwana paplanina Doreen dała Jake’owi szansę rozejrzenia się wokół. Helen, smutna i rudowłosa, przypominała mu jesień. Na twarzy rozmawiającego z nią Malise’a widać było uniesienie. „Ha, to tak się sprawy mają... Na pewno z Malise’em byłoby jej znacznie lepiej” — pomyślał Jake. Malise by się nią zaopiekował. Jednak jego zasady i

staroświeckie wychowanie nie pozwolą mu na jakiekolwiek próby zdobycia Helen.

— *Soupe de bonne femme* — odczytał Driffield, spoglądając w kartę. — Co to jest *bonne femme*?

— Dobra kobieta — wyjaśnił Rupert. — Czyli absolutnie nikt się nią nie zainteresuje.

W końcu przyniesiono jedzenie i kilka butelek wina.

— Na pewno ośmiornica jest z puszki — marudził Driffield.

— Szkoda, że jak Fen nie wziąłem przystawki — stwierdził smutno Humpty, spoglądając na swój kawałek pasztetu wielkości pudełka zapałek.

— Muszę przyznać, że umieram z głodu — powiedziała Fen, nabijając anchois na widelec.

Rupert jadł borowiki, uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Fen.

— Daję franka za twoje myśli.

— Miałam nadzieję, że może okażą się trujące.

— Nawet gdyby były trujące, do finału wyzdrowieję, nie bój się. Naprawdę ci się wydaje, że ta skacząca skromność ma ze mną jakiekolwiek szanse?

— Wbije cię w ziemię — warknęła Fen. — I nie przezywaj go tak.

— Nie ma nerwów na duże konkursy, załamie się.

— W Olympii cię pobił.

— Ale duży konkurs jest tutaj.

Przez sekundę Rupert patrzył prosto w oczy Fen. Nagle dziewczyna poczuła, jakby rzucał na nią urok.

— Za kilka lat ty będziesz nie do pobicia — powiedział ciszej.

— Duży komplement dla siostry Kopciuszka.

— Słyszałaś, co? Przepraszam.

Niemal rzeczowo, jakby sprawdzał konia, przejechał palcem po jej policzku. Dziewczyna skrzywiła się, świadoma trądzikowych krostek na skórze.

— Te krostki znikną, kiedy zaczniesz regularnie uprawiać seks. Młodzieńczego tłuszczyku też się niedługo pozbędziesz — powiedział. — Powinnaś zatrudnić się u mnie, puszczałbym cię na wszystkie zawody dla seniorów. Jesteś na to gotowa, ostatnio wygrałaś w pięknym stylu. Jake niepotrzebnie cię chowa.

— Jak Zemstę? — odpaliła Fen. — Niełatwo zapominam — dodała, lekko się czerwieniąc.

— Zemsta zdobył dwa medale — odparł Rupert. — Mówię poważnie. Stworzylibyśmy doskonałą drużynę. Nie tylko w łóżku.

Mówił niemal do swojej marynarki, żeby nie słyszał go nikt oprócz Fen.

— A Helen? — syknęła dziewczyna. — Zapewne cię nie rozumie?

Przez minutę światło świec zamigotało na drapieżnej, zimnej twarzy. Po chwili Rupert zaśmiał się, co przywróciło mu ludzki wygląd.

— Przeciwnie, to ja jej nie rozumiem. Używa zbyt długich słów.

Fen parsknęła śmiechem, lecz kiedy jego śmiech przygasł, a spojrzenie wciąż ją taksowało, stwierdziła z przerażeniem, że żołądek się jej kurczy pod wpływem dojmującego, bezradnego pragnienia.

Kelner zabrał jej przystawkę niemal nietkniętą.

— Co za marnotrawstwo! — stwierdził z naganą Humpty.

Kotleta de volaille Fen też nie zjadła.

Jake, pogrążony w rozmowie o koniach innych zawodników z Doreen i pułkownikiem Roxborough, również wypił znacznie więcej, niż zjadł. Nagle, zerknąwszy w bok, zobaczył Fen wpatrzoną w Ruperta, dziwnie znieruchomiałą. Widział to spojrzenie u klaczy stojących naprzeciw ogierów — przerażone, ale i podniecone seksualnie. Jake z kolei czuł takie

samo przerażenie, ale pozbawione podniecenia, kiedy zabierano mu Zemstę. Rupert nie zabierze Fen.

Przerwał jedzenie i zaczął się bawić nożem do steku. Helen także zauważyła, co się dzieje, i nagle przerwała rozmowę z Malise'em o Prouście.

— Równie dobrze mógłbyś mi proponować przejście do Rosjan! — mówiła gniewnie Fen. — Poza tym nie podoba mi się, jak traktujesz konie.

— Nie masz zielonego pojęcia, jak traktuję konie. Słuchasz plotek.

— Podlizujesz mi się, bo masz nadzieję, że mnie olśnisz, a ja będę wtedy szpiegować Jake'a i donosić tobie.

Jednak było to tylko bezradne przekomarzanie się zauroczonej dziewczyny.

Helen odwróciła się do Tory.

— Jak się nazywa koń, na którym Jake pojedzie w finale? — zapytała.

„Boże, powinna wiedzieć. Jest żoną finalisty" — pomyślała Fen.

— Nazywa się Pokrzyk — wymamrotała nerwowo Tory.

— Ale w stajni wołamy na niego Macaulay — dodała Fen.

— Jakie to dziwne — powiedziała Helen. — Rupert miał kiedyś konia o tym imieniu. Moje panieńskie nazwisko to Macaulay, koń dostał imię na moją cześć.

Twarz Ruperta przypominała maskę.

— To ten sam koń — wycedziła wolno Fen, oddzielając każde słowo.

— Niemożliwe — dziwiła się Helen. Odwróciła się do Ruperta. — Mówiłeś, że miał guza mózgu i zmarł.

— Nie mówiłem — odparł Rupert tonem, od którego Fen przebiegł dreszcz.

Teraz już wszyscy zaczęli słuchać.

— Sprzedałem go szejkowi Kalilowi, który dwa lata temu kupił sześć koni.

— I odkupiłeś go od Kalila? — zapytała Helen Jake’a.

— Nie — odparł on beznamiętnie. — Znalazłem go w kamieniołomie.

— Ciągnął wóz pełen kamieni — dodała Fen — i umierał z głodu. Tam się koni nie karmi i nie daje im wody, tylko każe pracować, nawet w największy upał, aż padną. A kiedy upadną, bije się je i zmusza, żeby wstały.

Na policzku Ruperta zadrgał mięsień.

— Znów nasłuchałaś się bajek — powiedział do Fen.

— Mamy zdjęcia — syknęła Fen, której gniew wzmacniało jeszcze poczucie winy i złość na samą siebie za to, że Rupert tak ją pociągał. — Jake uratował mu życie. Wiem, że wyśmiewacie się z jego cygańskich lekarstw, ale one działają. Macaulayowi też pomogły. Została z niego skóra i kości, ledwie chodził, Jake przez dwa lata doprowadzał go do porządku.

Helen miała przerażoną minę.

— Rupercie, czy to prawda?

Rupert wzruszył ramionami.

— Skąd mam wiedzieć? Jeśli kupujesz każdą łzawą historyjkę, to twój problem. Przy prowadzeniu stajni muszę liczyć pieniądze, nie mogę zapewnić każdemu koniowi, który idzie do ludzi, że do końca życia będzie traktowany jak książę.

— Sprzedałeś go na Bliski Wschód! — krzyknęła Fen, skacząc na równe nogi i przy okazji przewracając swój kieliszek z winem. — Wiedziałeś, jak to się skończy! Powinieneś się wstydzić!

Wybuchnęła płaczem i wybiegła z restauracji.

Zapadła cisza. Rupert wziął nóż i widelec i zabrał się za swój stek.

— Co ją napadło? — zapytał Driffield, przeglądając desery w karcie.

— Może coś jej zaszkodziło — rzucił przypuszczenie Ivor.

— Nastolatki — stwierdził pułkownik Roxborough. — Zmienne nastroje, temperamenty grają. Moja córka też przez to przechodziła. Taki wiek. Ile ona ma lat? — zapytał Tory.

— Szesnaście — mruknęła Tory ze wzrokiem wbitym w talerz. Nie znosiła scen, bardzo jej było szkoda Fen, ale czy mała naprawdę musiała zareagować tak przesadnie?

— Pewnie jest zmęczona — powiedział Malise.

— Musi się porządnie wyspać — powiedziała łagodnie Doreen Hamilton.

— Ktoś powinien ją porządnie przelecieć — rzucił Rupert.

Nie zauważył, że Jake wstał i kulejąc, poszedł wzdłuż stołu. Stał teraz za plecami Ruperta.

— Coś ty powiedział?

Rupert nawet nie odwrócił głowy.

— To, co słyszałeś.

— Tak, słyszałem. — oczy Jake’a lśniły jak dwie śmiercionośne wilcze jagody, a poszarzała twarz odbijała się od zmierzwionych czarnych włosów.

— Zostaw ją, ty bękarcie.

— Chyba nie mnie trzeba tak nazwać. Moi rodzice przynajmniej mieli ślub i to kościelny, w przeciwieństwie do twoich.

— Rupert! — wybuchnął Malise.

— Nie wciągaj w to moich rodziców! — syknął Jake. — Ostrzegam cię, trzymaj się z dala od Fen!

— Bo co? — zapytał przeciągle Rupert. — Wpadła ci w oko? Gdybyś chodził do kościoła, to byś wiedział, że to nie uchodzi. Nie pożądaj siostry żony bliźniego swego i tak dalej.

Jake błyskawicznie chwycił kołnierz koszuli Ruperta, a drugą dłonią złapał ze stołu nóż do chleba. Szarpnął Ruperta do tyłu i przyłożył nóż do jego opalonej szyi.

— Zamknij ten swój parszywy pysk — warknął. — Jeśli dotkniesz ją chociażby jednym brudnym paluchem, poderżnę ci gardło, ty cholerny sadysto — powiedział i bardzo powoli przeciągnął nożem po gardle Ruperta.

Nikt się nie ruszył, nikt się nie odezwał. Wszystkie oczy utkwione były w ostrzu odbijającym światło świec.

Nagle Helen zachłysnęła się szlochem.

— Jake — powiedział łagodnie Malise — daj mi ten nóż.

— Nic się nie dzieje, pułkowniku Gordon — odparł Jake, nawet na niego nie patrząc. — Tym razem to ostrzeżenie, Rupert, ale słyszałeś, co mówię, trzymaj się od niej z daleka. Następnym razem nie ujdzie ci to na sucho.

Rzucił nóż, który upadł na plamę wina przy kieliszku Fen, co upodobniło plamę do kałuży krwi, po czym nierównym krokiem wyszedł z restauracji.

— Nic ci nie jest? — zapytała przerażona Helen.

Rupert zerwał się na równe nogi, gotów rzucić się w pogoń, ale Malise był szybszy. Jednym skokiem zagrodził mu drogę.

— Nie — powiedział ostro. Miał wrażenie, że stoi przed wściekłym psem gotowym rzucić się na każdego. — Nigdzie nie idziesz. Sam się o to prosiłeś.

Rupert spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— On właśnie próbował mnie zabić!

— Tego akurat łatwo uniknąć — odparł Malise. — Nie prowokuj go.

— Cholernie kiepska forma — stwierdził pułkownik Roxborough. — Facet nie umie pić. Nalejmy sobie brandy, chyba wszystkim się przyda.

— Zamówię naleśniki *suzette* — powiedział Driffield.

Rupert z nieruchomą twarzą usiadł na krześle.

Malise rozejrzał się po obecnych.

— Nikomu ani słowa o tym, co zaszło. Prasa nie może się o tym dowiedzieć. Rupert starał się być miły dla Fen, ona zareagowała zbyt emocjonalnie, bo jest przywiązana do Macaulaya. Jake zareagował przesadnie, bo chce chronić i ją, i konia. Prawda, Tory?

Oblewając się szkarłatem, Tory wymamrotała, że Jake zapewne denerwuje się finałem, więc lepiej pójdzie zobaczyć, co się z nim dzieje. Podziękowała za doskonałą kolację i wyszła z restauracji, po drodze przewracając krzesło.

— Słonica Tory spakowała kufer i pożegnała się z cyrkiem — powiedział Rupert.

Fen biegiem dotarła aż do stajni. Zapadł zmrok, a wielki księżyc w pełni o poznaczonej smugami, morelowej tarczy spoglądał na nią z wyrzutem. Jak mogła tak się zachować?

Dziewczyna poszła prosto do boksu Macaulaya. Koń powitał ją radośnie. Podczas gdy ona wypłakiwała mu się w czarną grzywę, on przeszukiwał jej kieszenie.

— Mac, tak mi przykro! Nie powinnam cię obciążać, sam masz mnóstwo na głowie, ale strasznie narozrabiałam. Niepotrzebnie się odzywałam. Teraz Malise nigdy nie wybierze mnie do reprezentacji.

Stopniowo, pod wpływem cichego, głębokiego współczucia nieruchomo stojącego konia, jej szloch ucichł.

— Jesteś kochany — powiedziała zdławionym głosem. — Proszę, zrzuć pojutrze tę świnię.

Na zewnątrz rozległy się kroki. Jake, Malise, Rupert? Nie była w stanie rozmawiać, więc cofnęła się w ciemność za koniem. Górna połowa drzwi boksu otworzyła się cicho, lecz zza potężnego konia Fen nie widziała, kto

to zrobił. Usłyszała tylko, jak coś uderza w wiadro z wodą, po czym drzwi zamknięto i zaryglowano.

Cholera. Będzie musiała przespać tu noc.

Żarłoczny Macaulay rzucił się natychmiast do drzwi. Fen usłyszała chrupanie. Gorączkowo wyszarpnęła mu spod pyska wiadro.

— Nie, kochanie, tego nie wolno jeść. Nie wiemy, co to jest.

Koń parsknął i zaczął za nią chodzić po boksie.

Nagle górna część drzwi otworzyła się ponownie.

— Kto to? — zapytała przerażona Fen.

— Co ty tu, do licha, robisz? — zapytał Jake.

— Rozmawiam z Macaulayem.

— Raczej nie dajesz mu spać. Wszystko w porządku? — zapytał łagodniej.

— Tak, ale spójrz, co mu ktoś wrzucił do boksu. — Fen uniosła wiadro.

Jake zapalił zapałkę, spojrzał i gwizdnął.

— Jezu Chryste!

— Co to jest?

— Buraki, niewymoczone — odparł ponuro. — Ktoś chce go wyeliminować.

— Rupert — odgadła Fen.

Jake pokręcił głową.

— Wciąż siedzi w restauracji. Może któryś z jego fanów, chociaż to nie w stylu Ruperta. Za łatwo byłoby do niego trafić. On najchętniej upokorzyłby mnie w finale przed wszystkimi. To raczej sprawka jakiegoś niemieckiego fanatyka albo Jankesa. Brytyjczycy nie podkładają sobie nawzajem świni. Mimo wszystko będziemy spać przed boksem na zmianę. Dzisiaj ja tu zostanę, ty wracaj i śpij z Tory w tym wielkim łóżku.

— Powinieneś się wyspać.

— Padam na nos, zasnąłbym nawet na gwoździach.

W pokoju hotelowym Helen Campbell-Black, wciąż w jasnoszarej halce, drżącą dłonią zmywała makijaż, odwracając głowę w różne strony, żeby widzieć się pod różnymi kątami w dwuskrzydłowym lustrze. Rupert leżał już w łóżku i oglądał nagranie Clary na wypożyczonym wideo. Co chwilę zatrzymywał taśmę i studiował dokładnie kąt, pod jakim Ludwig dosiadał konia lub położenie jego rąk. Każdą przeszkodę Rupert puszczał po kilka razy. W końcu podniósł się, nagi przeszedł przez pokój i zmienił kasetę na nagranie Dina skaczącego na zawodach na Florydzie, jego wierzchowcem był Człowiek Prezydenta. Koń był wtedy młody i niedoświadczony, każdą przeszkodę brał z wielkim zapasem, gdyż jeszcze nie nauczył się podwijania nóg pod siebie. Manny, jak nazywał go Dino, będzie wymagał trochę pracy w finale. Dino starannie podprowadzał go pod każdą przeszkodę. Szkoda, że nie ma nagrania kurdupla na Macaulayu.

Helen sięgnęła po kolejny słoiczek, żeby zmyć makijaż z oczu, zerknęła w lustro i zauważyła w nim odbicie Ruperta zwróconego do niej plecami. Stracił jakieś pięć kilogramów. Zawsze miał doskonałą figurę, teraz jednak jego ciało składało się z samych twardych mięśni. Wydawał się płonąć energią i niepokojem. „Jestem żoną najbardziej pożądanego mężczyzny na świecie, dlaczego więc w ogóle go nie pożądam?” — pomyślała rozpaczliwie. Od czasu afery z Pulpetem ze wszelkich sił starała się go przyciągać, ale za każdym razem miała wrażenie, jakby Rupert wciskał guzik „stop”, zamieniając ją w kamień i pozbawiając wszelkiej spontaniczności.

Zastanawiała się, czy Rupert próbował podrywać Fen, czy tylko prowokował Jake’a. Wiedziała, że groźba Jake’a i nóż w najmniejszym stopniu go nie wystraszyły. Malise zlekceważył zajście jako zwykłą pijacką burdę, ale Helen przerażał wyraz zaciekłej nienawiści w spojrzeniu Jake’a.

Jak tylko mogła, odwlekała pójście do łóżka, modląc się, by Rupert zasnął. Jednak kiedy wreszcie wyszła z łazienki, stwierdziła, że Rupert wyłączył telewizor i leżał na łóżku, przeglądając najnowsze zdjęcia dzieci, które przywiozła z Anglii. Zdjęcia Marcusa praktycznie przerzucił, nie patrząc, ale słodką twarzyczkę Tab obserwował pod każdym możliwym kątem. Może Tab okaże się jedyną kobietą w jego życiu, którą będzie umiał kochać bez zastrzeżeń i pogardy dla niej i dla siebie.

— Zdejmij koszulę — polecił, nawet nie unosząc wzroku.

Helen westchnęła i posłuchała.

Rupert przyciągnął ją do siebie, nie zadając sobie trudu, żeby ją pocałować. „Będę wewnątrz zupełnie sucha — pomyślała w panice. — A on jest tak wielki, że będzie mnie bolało". Jej umysł i ciało od razu zesztywniały. Penis Ruperta nagle skojarzył się jej z wielkimi kamiennymi rzygaczami, twardymi i brzydkimi, wystającymi ze ścian katedry.

— Co się dzieje? — Rupert rozsunął jej nogi.

— Nie mogę zapomnieć tej chwili, kiedy Jake groził ci nożem.

— I co tak cię w tym poruszyło? — zapytał drwiąco. — Podkręcił cię Jake jako macho, czy myśl, że zostaniesz bogatą wdową?

— Przestań! — powiedziała Helen niemal z płaczem.

— Czy też może byłaś zazdrosna o Fen?

— To jeszcze dziecko. — Helen wciągnęła powietrze, kiedy jego palce wsunęły się w nią. — To nie w porządku.

— Wobec niej czy wobec ciebie? — zapytał Rupert. — Słuchaj, naprawdę myślisz, że chciałbym zagadywać tłustą krościatą uczennicę w innym celu niż drażnienie tego podskakującego prawiczka? I udało mi się. Dzisiaj nikt u Lovellów nie będzie mógł zasnąć.

— A co z Macaulayem?

— Kiedy był u mnie, jakoś cię nie obchodził. Teraz ta nagła troska o jego los wydaje się nieco spóźniona.

Po czym ją wziął. Helen leżała na plecach, niezdolna do jakiejkolwiek reakcji. Po kilku minutach skończył. Była pewna, że myślał o Fen.

Była spięta i przybita, wiedziała, że nie należy wracać do tematu, lecz mimo wszystko musiała jeszcze raz ostrzec Ruperta, żeby trzymał się z dala od Fen. Jake najwyraźniej tracił kontrolę, kiedy chodziło o szwagierkę. Rupert nie odpowiedział, Helen miała nadzieję, że tym razem faktycznie wziął sobie do serca jej słowa, ale po pięciu minutach uświadomiła sobie, że zasnął twardo.

Rupert się nie pomylił, u Lovellów nikt nie spał. Fen, leżąca na skraju łóżka, nie mogła wyrzucić Ruperta z głowy.

— *Nienawiść moją pierwszą pokochałam* — wyszeptała do siebie jak Helen przed pięciu laty.

Tory leżała na przeciwnym brzegu łóżka. Martwiła się o Jake’a. Przed finałem taka awantura na pewno nie pomoże mu się skoncentrować. Poczuła się jeszcze bardziej winna, kiedy przeniknęło ją nagłe uczucie zazdrości o Fen, młodszą siostrę, piękniejącą z dnia na dzień. Rupert, który jej okazywał wyłącznie pogardę, zadał sobie trud, żeby zagadnąć Fen. ona również dostrzegła nienawiść na twarzy Jake’a trzymającego nóż przy szyi Ruperta. Próbowała sobie wytłumaczyć, że Jake zaciekle broni wszystkiego, co uważa za swoje, zwłaszcza rodziny. Chciała zdławić obawę, że Jake zakochał się w Fen.

Po kilku godzinach głębokiego snu Jake’a obudziło szczekanie rotweillera pilnującego koni Ludwiga. Nienawiść do Ruperta nie pozwoliła mu znów zasnąć.

Następnego dnia rano wieść o groźbie z użyciem noża rozeszła się po terenie zawodów, pomimo wszelkich wysiłków Malise’a.

Przy czyszczeniu koni Fen stwierdziła, że jeszcze nigdy nie zagadywało jej tylu ludzi. Wszyscy chcieli zerknąć na być może przyszłą mistrzynię. Nagle każdy stajenny i jeździec niemiecki, amerykański i angielski znalazł chwilę, żeby przystanąć i poplotkować, zapytać o to, jak się jej układa z Macaulayem, jak się na nim jeździ, jaki ma temperament. Gdy widzieli małych Lovellów bawiących się obok wierzchowca, dochodzili do wniosku, że jest łagodny jak owieczka.

Koło południa podjechał Dino Ferranti.

— Cześć — powiedział.

— Odwal się — odparła Fen, mocniej przyciskając szczotkę do boku konia.

— Uroczy koń, twój tyłek też wygląda uroczo, kiedy go czyścisz. Jak się dzisiaj miewa?

— Doskonale — warknęła Fen.

— Naprawdę go polubiłem. Jake jest mądry, nie za często na nim skacze, prawda? Oszczędza go na najważniejszy konkurs. Nigdy wcześniej nie słyszałem o tym koniu.

Fen odwróciła się do niego zaróżowiona z wysiłku i gniewu.

— Przymilasz się, bo masz nadzieję czegoś się dowiedzieć? Nie rób sobie nadziei, nie powiem ci nic o Macu.

— Kochana, naprawdę reagujesz zbyt nerwowo. Podziwiam twojego szefa. Zjadłabyś ze mną dzisiaj kolację?

— Nie, dzięki.

— Ani słowa o Macaulayu, obiecuję. Potrzebuję tylko chwili odpoczynku przy atrakcyjnej dziewczynie.

— Po co mam ci pomagać w odpoczynku? Jesteś naszym rywalem.

„To naprawdę ciacho” — pomyślała niechętnie. Wysoki i rozluźniony Dino opierał się o drzwi z szerokim uśmiechem. Pokręcił głową.

— Powinnaś gdzieś wyjść. Skoki to nie tylko siedzenie w komórce na uprząż. Trzeba się rozerwać. Poza tym — dodał z szelmowskim uśmieszkiem — umieram z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co zaszło wczoraj wieczorem. Czy Jake naprawdę groził Rupertowi nożem? Chyba o żadną dziewczynę we Francji mężczyźni nie walczą tak jak o ciebie.

— Zamknij się — odparła Fen, rumieniąc się. — Nie chcę o tym rozmawiać. A teraz, proszę, odejdź.

Po południu wszyscy finaliści próbowali się odstresować. Zostawiając Helen zwiedzanie domu, w którym Proust spędził dzieciństwo, Rupert ścigał się z hrabią Guy i Lavinią i trzy razy wygrał, co wydawało się dobrym prognostykiem. Horoskop z „Evening Standard”, który przysłano samolotem specjalnie dla wróżb Patricka Waltersa, przepowiadał Skorpionom weekend pełen wrażeń i sukcesów. Rupert czuł więc, że może oddać się rozrywkom. Drużyna niemiecka spędzała razem czas na pływaniu i opalaniu. Amerykanie polecieli zwiedzać Paryż. Jake zabrał Tory, Fen, Tanyę i dzieci na piknik na bretońskiej wsi. Nad wijącą się rzeką znalazł idealne miejsce ocienione migotliwym zagajnikiem srebrzystych topoli. Tory i Tanya zasnęły, dzieci kąpały się w rzeczce i plotły wianki ze stokrotek dla Fen. Jake poszedł z lornetką na łąkę, ciesząc się mnogością dzikich kwiatów i motyli. Znalazł bardzo rzadkiego storczyka, uzupełnił zapasy ziół, a potem, ku swojej radości, odkrył kępę wrotyczu, więc miał talizman do włożenia w lewy but na następny dzień.

Zapadła noc. Jake i Tory rozgościli się wygodnie w pokoju, zaś Fen z misiem Lesterem zajęła pozycję w śpiworze przed boksem Macaulaya. Słyszała tylko konie przestępujące z nogi na nogę i kroki strażnika przed boksem Snakepita. Ciemnogranatowe niebo było usiane gwiazdami. „Za dużo ich, wyglądają jak moje pryszcze” — pomyślała Fen. Ostatnio liczba

krost na jej twarzy się podwoiła — to zapewne nadchodząca klątwa. Może dlatego jest taka poirytowana.

Teraz w samotności mogła się oddać rozmyślaniom o Rupercie i Dinie. Miała mętlik w głowie. Przez ostatnie trzy lata Jake dawał jej tyle zajęć, że nie miała czasu na mężczyzn, oprócz wzdychania z daleka do Billy'ego Lloyda-Foxe'a. Teraz opadły na nią wszelkie możliwe tęsknoty. Gdyby była podobna do Helen, gdyby mogła wkroczyć na mistrzostwa z lśniącymi włosami, wykąpana, w pięknej wyprasowanej sukni, po ośmiu godzinach snu. Nie znosiła Ruperta i Dina, który zaprosił ją na kolację tylko po to, żeby zaciągnąć ją do łóżka, ale to zdarzenie uświadomiło Fen, ile traci, poświęcając wszystko koniom. Szkoda, że nie jest bardziej zmęczona, może by zasnęła. W tej chwili spięła się na dźwięk zbliżających się kroków. Od razu jednak rozpoznała znajomy zapach wody kolońskiej — to był Dino.

— Nie mogę spać. Nie ma sensu leżeć i rozmyślać o torze, więc przyszedłem sprawdzić, czy nikt nie próbuje skrzywdzić Manny'ego.

— Nikt — odparła Fen.

— Może się napijesz? — zapytał, wyciągając butelkę z kieszeni. — To burbon. Przez cały wieczór napiłem się tylko dwa razy. Boże, chciałbym się urżnąć. Mogę z tobą porozmawiać przez kilka minut?

Zsunął się po ścianie stajni i usiadł obok niej, zginając długie nogi pod ostrym kątem. W słabym świetle Fen widziała jego doskonały profil.

— Denerwujesz się?

Pokiwał głową.

— Gadam jak harcerz, ale nie chciałbym zawieść drużyny, byli dla mnie wspaniali, oraz ani konia, ani taty i mamy. Oni też mnie wspierali. Pewnie nikomu te pieniądze nie przydadzą się bardziej niż Jake'owi. Dlaczego on tak bardzo nienawidzi Ruperta?

Fen opowiedziała, jak Rupert prześladował Jake’a w szkole oraz przy każdej okazji obrzucał go obelgami, o tym, jak podstępem odebrał mu Zemstę i jak okrutnie potraktował Macaulaya.

— Faktycznie, to chyba wystarczyłoby, żeby znienawidzić każdego — stwierdził Dino, podając jej butelkę burbona. Z uznaniem zauważył, że Fen nie zadała sobie trudu, by wytrzeć szyjkę butelki, zanim wzięła ją do ust.

— Jake ma dylemat — wyjaśniła Fen. — Chce pokonać Ruperta, ale gryzie się straszliwie tym, że Macaulay może stracić całą pewność siebie, kiedy tylko Rupert go dosiądzie. Pewnie czuje się paskudnie. Ta sytuacja przypomina zamianę żon w miesiącu miodowym. Już sama myśl, że ukochana żona prześpi się z trzema innymi mężczyznami, jest wystarczająco potworna, ale jeszcze gorsza jest obawa, że ci obcy spodobają się jej bardziej niż mąż.

Dino się roześmiał.

— Tak, to chyba dobre porównanie. Ja też mam mieszane uczucia w stosunku do Ruperta. Naprawdę go lubię, bawi mnie, a raczej bawił, dopóki nie poznałem jego żony.

— Co z jego żoną? — zapytała Fen z udawaną swobodą.

— Jest piękna. Naprawdę przepiękna. A on wciąż prowadza się z dziewczynami. Na zawodach na Florydzie ganiały za nim stadami, rzucały się na niego. Wyobrażałem sobie, że ożenił się z rozsądku z jakąś nieatrakcyjną krową. Dzisiaj byłem z nimi na kolacji. Jak można zdradzać kogoś takiego? Chryste, nie pozwoliłbym jej odejść od siebie ani na moment, a on traktuje ją jak śmiecia, wciąż ją krytykuje. To obrzydliwe. Czy ona nie ma przy sobie nikogo innego? Może mieć wszystkich.

Fen nagle poczuła ogromne przygnębienie. Tylko dlatego, że Rupert zdradzał Helen na prawo i lewo, przestawało się ją uważać za konkurencję.

— Nigdy nie słyszałam o innych mężczyznach w jej życiu. Chyba za bardzo boi się Ruperta, oni zresztą też. Kiedyś jakiś Włoch za długo z nią tańczył i zaczął się kleić do Helen, Rupert przerzucił go przez cały pokój.

— Jest jak pawian hamadriada.

— Jak kto?

— To wielkie pawiany, które żyją na pustyni w Abisynii. Bardziej zajmują się odstraszaniem innych samców od swoich żon niż seksem z samicami. Właściwie, kiedy nie mają konkurencji, to zaniedbują żony. Mówię ci, kiedy pojadę do Wielkiej Brytanii na zawody w Crittleden, uderzę do Helen. Ona nie zasługuje na takie traktowanie.

— Ciekawe, czy Jake w ogóle zasnął — powiedziała Fen.

— Raczej nie. Pewnie czuje się jak Henryk V w przeddzień bitwy pod Agincourt. Chyba już pójdę i wezmę coś na sen. Dobranoc, skarbie, jutro o tej porze będziemy oblewać zwycięstwo albo zalewać się z rozpaczy.

Leżąc bezsennie w pokoju hotelowym, Jake spojrzał na zegarek. Była trzecia w nocy. Za czternaście godzin okaże się, czy porwał najpotężniejszych. Zdrowa noga bolała go, bo nie dał jej odpocząć we śnie. Na myśl o przejechaniu trasy na Snakepicie czuł, jak oblewa się zimnym potem. Wiedział, że nie starczy mu siły, żeby przytrzymać konia. Jeśli spadnie i dozna kontuzji, nie zostanie w stajni żaden jeździec.

Zdawał sobie sprawę, że Tory obok również nie spała. Dzięki Bogu, wiedziała, kiedy trzymać język za zębami.

— Tory — odezwał się, wyciągając do niej rękę.

— Tak — odpowiedziała, otaczając go ramionami. — Chcesz porozmawiać? Albo zapalić światło i poczytać?

Poczuła, jak w ciemności pokręcił głową.

— Będzie dobrze. Konie zawsze cię słuchają. Wygrasz.

— Chciałbym jechać na Żeglarzu.

— On by się tobą opiekował, ale pewnie za bardzo myślałby też o innych. Macaulay nie ma tak miękkiego serca.

Tory przesunęła dłonią po jego zapadniętym brzuchu, na końcu dotknęła jego penisa.

— Czy to pomoże?

— Być może, ale ze mnie nie będziesz miała dzisiaj pożytku.

— Nie potrzebuję.

Sprężyny łóżka zaskrzypiały, kiedy Tory przesunęła się w dół. Po chwili Jake poczuł ciepły, miękki dotyk jej ust i nieskończenie czuły język. Wiedział, że żona to lubi, więc nie musieli się spieszyć.

— Dobrze zrobiłem, że ożeniłem się z tobą — wymamrotał.

Tory poczuła obezwładniającą falę szczęścia. W ciągu ośmiu lat małżeństwa usłyszała od męża pewnie tyle samo komplementów, ale kiedy już je wypowiadał, były dla niej bezcenne. Wstydziła się straszliwie uczucia zazdrości o Fen.

Rupert wstał i włożył ubranie.

— Dokąd idziesz? — zapytała Helen.

— Na spacer. Nie mogę spać, za gorąco.

— Kochanie, potrzebujesz odpoczynku. Iść z tobą?

— Nie, śpij.

Kwadrans później przystanął przy Fen śpiącej z misiem w ramionach, z długimi włosami rozrzuconymi wokół głowy, lekko wilgotnymi. Zastanawiał się przez chwilę, czy jej nie obudzić, ale uznał, że dziewczyna musi się wyspać. Wpisał ją na listę na później. Otulił ją śpiworem. Fen mocniej ścisnęła misia i wymamrotała przez sen:

— Nie zapomnij o wkrętach.

Kiedy Rupert wszedł do przyczepy, śpiąca Dizzy lekko się poruszyła, uśmiechnęła i otworzyła ramiona. Rupert wsunął się w jej objęcia.

Ludwig von Schellenberg siłą woli zmusił się do przespania ośmiu godzin.

35

NADSZEDŁ ŚWIT. Pierwszy dzień mistrzostw świata. Rano miało się odbyć kilka niższej rangi zawodów, żeby pozostali uczestnicy mieli co robić, ale ogólna uwaga skupiała się na czterech finalistach.

W boksach zawrzała praca — stajenni zaplatali koniom grzywy i ogony, czyścili je i dawali sobie nawzajem dobre rady. Panował niespotykany upał. W przyczepie Jake oglądał algierski program dla dzieci, próbując opanować zdenerwowanie, i zastanawiał się, czy uda mu się nie zwrócić śniadaniowej herbaty i suchego tosta. Tory smażyła jajka na bekonie i kiełbaski dla dzieci (prawdopodobnie do wieczora nikt nie będzie miał czasu zrobić im porządnego posiłku), jednocześnie prasowała przynoszące szczęście skarpetki, bryczesy, koszulę, krawat i czerwony żakiet, który Jake miał na sobie na każdym etapie zawodów. W wyczyszczonym do połysku lewym bucie leżał już nowy kwiat wrotyczu. Jake widział rano srokę, ale potem pocieszył się spotkaniem z czarnym kotem — dopóki Driffield nie powiedział mu, że we Francji czarne koty przynoszą pecha. Butelki po mleku, puszki i skorupki jajek w koszu na śmieci zaczęły śmierdzieć. Fen zagłębiła się w słowniku niemieckim.

— Po niemiecku nie można zawołać „prr”. Będziesz musiał używać słów *Dummkopf*, *Lieberlein* i *Achtung*.

— Albo *auf Wiedersehen*[1] — dodał Jake — kiedy Clara mnie zrzuci i pogalopuje w stronę zachodzącego słońca.

— Amerykanie zamiast „prrr” i „wio” mówią pewnie „prrio” — mówiła dalej Fen.

— Pamiętasz ten czerwony T-shirt, który miałaś na sobie w Olympii, kiedy Zemsta wygrał? — zapytał Jake.

— Mam go tutaj — odparła Fen.

— Mogłabyś włożyć go dzisiaj po południu?

Fen nie miała na to ochoty, panowało nieznośne gorąco, poprzedniego dnia za mocno się opaliła, a czerwona koszulka będzie się gryzła z jej cerą. Jednak to dzień Jake'a, nie można być egoistką.

— Jasne — odparła.

Bardzo podnosiły go na duchu liczne telegramy z życzeniami. Wielka Brytania nadzieję pokładała w Rupercie, ale Jake poruszył ogromne pokłady życzliwości. Widzowie najwyraźniej z radością powitali jego powrót na szczyt. Nadeszły telegramy od księżniczki i pułkownika z koszar w Knightsbridge, którzy jakoś dowiedzieli się o tym, że ich Macaulay jest u Jake'a. Najbardziej ucieszyła go wiadomość od panny Blenkinsop z Bliskiego Wschodu. Wiedział, że jej, tak jak jemu, największą radość sprawi świadomość, że świat dowie się o sukcesie konia, którego Rupert odrzucił. Po każdym zwycięstwie Macaulaya Jake skrupulatnie odliczał dziesięć procent nagrody i wysyłał do panny Blenkinsop na jej szpital dla koni. Jeśli dzisiaj wygra, szpital dostanie tysiąc funtów.

Jeśli wygra.

— Boże! — zawołał. Wypadł z przyczepy, przebił się przez tłum reporterów i popędził do łazienki, gdzie zwymiotował śniadanie.

— Idźcie sobie, do cholery! — zawołała Fen do dziennikarzy. — Przed zawodami nie ma sensu z nim rozmawiać.

Reporterzy musieli zadowolić się wywiadami z Darklis, która uśmiechała się do nich wielkimi czarnymi oczami ze swojego miejsca na beli siana.

— Tatuś wymiotował dzisiaj już cztery razy. Chyba nie smakuje mu francuskie jedzenie. Ja je uwielbiam. Co wieczór jemy stek i frytki.

W końcu trzeba było obejrzeć tor, co jeszcze bardziej dobiło Jake’a. Przeszkody okazały się znacznie większe, niż oczekiwał. Rów z wodą wydawał się szerszy niż kanał. Ciemnogranatowe, burzowe niebo sprawiało wrażenie, że dotyka ogromnego, górującego nad otoczeniem muru w kolorze krwi, pod drążkami stacjonaty Jake mógł stanąć. Idący obok niego Malise skrzywił się na widok aksamitek gryzących się z fioletowymi petuniami i szkarłatnym geranium w doniczkach stojących po bokach przeszkód. Jak Francuzi ze swoim doskonałym wyczuciem koloru, jeśli chodzi o stroje, mogą tak nieszczęśliwie dobierać barwy w ogrodzie?

Podeszło do nich dwóch angielskich reporterów.

— Gyppo, naprawdę zagroziłeś Rupertowi nożem?

— Spadajcie — powiedział Malise. — Jake musi się nauczyć toru. Chyba chcecie, żebyśmy wygrali? Tu będzie trudno — dodał do Jake’a, spoglądając na odległość między stacjonatą a kombinacją. — Masz miejsce na pół kroku, nie zdążysz się rozpędzić. Będziesz musiał użyć palcata.

— Macaulay nigdy nie potrzebuje palcata — odparł Jake, gorączkowo szczękając zębami. Paraliżowała go perspektywa skakania przez te przeszkody na Snakepicie, nie wspominając już o Człowieku Prezydenta. Wydawało się to absolutnie niemożliwe.

Rupert szedł z pułkownikiem Roxborough, założył ciemne okulary, ale mimo bretońskiego upału nie miał nakrycia głowy. Wydawał się absolutnie nieświadomy wrażenia, jakie wywierał na Francuzkach. Drużyna niemiecka szła razem, podobnie jak Amerykanie. Hrabia Guy, w białym garniturze od Yves’a Saint Laurenta, odbierał wyrazy współczucia. Już pogodził się z porażką, więc tylko filozoficznie wzruszał ramionami. Przynajmniej nie będzie musiał pięć razy przejeżdżać toru w tym upale, a konie odpoczną przed zawodami w Crittleden, które miały się odbyć za tydzień.

Na padoku Ivor Braine, otoczony przez dziennikarzy, swoim akcentem z Yorkshire przekonywał ich, że według niego Jake wymachiwał nożem dlatego, że stek był zbyt twardy.

— Szkoda, że Siodlastemu Samowi nie udało się dotrzeć do finału — powtórzył Humpty po raz tysięczny.

Driffield sprzedawał konia jednemu z Meksykanów, śrubując cenę do niebotycznego poziomu.

— Szkoda, że nie wymieniamy się żonami — stwierdził Rupert. — Chętnie dosiadłbym pani Ludwig, chociaż przy pani Lovell postawiłbym granicę.

Po raz kolejny zatęsknił za Billym. Nigdy tak bardzo nie potrzebował jego porady i głupich żarcików, które pomagały mu zapanować nad napięciem. Billy zadzwonił już o dziesiątej rano, życząc mu powodzenia. Najwyraźniej był pijany.

Rupert zapytał o Janey. Billy roześmiał się gorzko.

— Ona przypomina mokre drewno. Jeśli jej nie pilnujesz, gaśnie.

Rupert postanowił, że po powrocie zabierze Janey na lunch i powie jej, żeby wzięła się w garść.

Pomimo braku reprezentanta Francji finał przyciągnął ogromną widownię. Na trybunach nie było wolnego miejsca, przy linach zgromadził się gęsty tłum. Malise westchnął. Jeśli zwycięży Wielka Brytania, wszelkie nagłośnione utarczki między zawodnikami pójdą w zapomnienie. Przyglądał się Rupertowi, chłodnemu jak lód, przeskakującemu ogromne przeszkody na Snakepicie. Jake gdzieś się zapodział, zapewne znów wymiotuje.

O czternastej wjechali finaliści, każdy prowadzony przez osobną orkiestrę. Ludwig jechał pierwszy, gdyż to on bronił tytułu. Dosiadał potężnej Clary, której żółte ogłowie było dopasowane do żółtych tasiemek

wplecionych w grzywę. Klacz była koloru dębowych liści jesienią, szeroka pierś przypominała komin parowca. Niewzruszona pomimo tłumów rozglądała się oczami pełnymi mądrości i życzliwości.

Następny jechał Dino na szczupłym Człowieku Prezydenta o nogach długich jak u źrebaka. Tego samego rudokasztanowego koloru co Clara, wydawał się jednak o połowę mniejszy. Dino siedział w siodle zupełnie rozluźniony jak książę, który wpadł z wizytą, ale jego oliwkowa skóra była nieco bledsza niż zwykle. Kapelusz zsunął mu się na nos, jakby kpił z całej ceremonii.

Jako kolejny zawodnik wjechał Rupert, mrużąc oczy w słońcu. Od razu skierowały się na niego kamery i zabrzmiały wiwaty wielkiej grupy kibiców. Rupert siedział nieruchomo, podczas gdy podenerwowany Snakepit pląsał, przewracał oczami i szarpał głową.

W końcu pojawił się Jake z twarzą białą jak czoło Macaulaya. Jego koń szedł pewnie, unosząc wielkie kopyta i ciesząc się z wiwatów. Czwórka jeźdźców jak rada wojenna stanęła przed lożą prezydenta. Połączone orkiestry utworzyły za nimi lśniący, szkarłatno-złoty kwadrat. Les Rivaux przygotowało imponujący spektakl. Flagi zwisały bezwładnie z masztów, nieporuszane wiatrem, szkarłatne mundury, pióropusze żołnierzy odcinały się od błyszczącego mosiądzu instrumentów, wciąż podlewana szmaragdowa trawa, iskrząca się kroplami wody, kontrastowała z lasem tworzącym duszną, ciemnozieloną, nieruchomą plamę. W oddali zaś migotało szafirowe morze. Orkiestry zaczęły grać hymn narodowy. Każde uderzenie talerzy i werbli przyprawiało Snakepita i Człowieka Prezydenta o nerwowe podskoki. Macaulay i Clara stały posągowo nieruchome na obu krańcach rzędu.

Fen, obolała po czyszczeniu konia, z palcami zesztywniałymi od zaplatania grzywy, w przepoconej czerwonej koszulce, czekała na powrót

Macaulaya na padok. Była bardziej zdenerwowana niż zwykle. Tego dnia miała odegrać poważniejszą rolę. Z trójką pozostałych stajennych miała spędzić czas konkursu w oddzielonej części padoku i przekładać siodło Jake'a na kolejne konie, których ten miał dosiadać. Niedaleko niej stała Dizzy, bez stanika, olśniewająca w różowym T-shircie i różowych wstążkach w świeżo umytych jasnych włosach. „Kiedyś będę wyglądać tak dobrze jak ona" — przysięgła sobie Fen, po czym zgromiła samą siebie za tak egoistyczne myśli i znów przyjrzała się wysokim przeszkodom. Jake musi być przerażony. Po pustym już torze kręciły się postawne kobiety z taśmami, po raz ostatni sprawdzając drążki.

— Postawiłem stówę na Campbella-Blacka — odezwał się cicho pułkownik do Malise'a. — Zapewne on będzie konkurował z Ludwigiem, Amerykanin będzie trzeci, a Lovell nie załapie się na podium. Brakuje mu odporności.

Na widok czerwonych strojów zawodników Helen wspomniała dzień, w którym po raz pierwszy zobaczyła Ruperta na polowaniu.

„Kochany Boże, proszę, odbuduj moje małżeństwo i daj mu wygrać, ale tylko jeśli tak będzie dobrze, Boże" — wysłała modlitwę.

Tory, siedząca z Darklis i Isą w części areny przeznaczonej dla zawodników, modliła się o to samo, ale bez żadnych zastrzeżeń czy warunków.

— Ciekawe, kiedy tatuś znów będzie grubszy — powiedziała Darklis.

Na start wjechał Ludwig. Zapadła cisza. Gdy zawodnik mijał lożę prezydenta, przy której zdjął kapelusz, reszta niemieckiej drużyny, popijająca szampana, wstała i uniosła ręce w hitlerowskim pozdrowieniu, niemal przyprawiając pułkownika Roxborough o apopleksję — jego purpurowa twarz dorównała kolorem goździkowi w klapie.

Na torze słychać było tylko parskanie konia, tętent kopyt i nieubłagane tykanie zegara. Kołysząc szerokim zadem, Clara, uosobienie rzetelności, przejechała czysto. Malise zapalił cygaro.

— Przynajmniej wiemy, że da się to zrobić — powiedział.

Wjechał Dino, który mówił coś cicho do swojego młodego wierzchowca.

— Ładny koń — stwierdził Malise.

„I przystojny jeździec” — pomyślała Helen siedząca niedaleko.

Człowiek Prezydenta, który był znacznie drobniejszy, wydawał się jechać dwa razy szybciej. Akrobatyczne podskoki Dina i jego niemal francuska elegancja w połączeniu z urodą wkrótce wywołały entuzjazm widzów. On również przejechał bez zrzutki.

Następny wjechał Rupert, mocno trzymając wodze wyrywającego się Snakepita, co tak denerwowało konia, że przez cały czas walczył o uwolnienie głowy. Jakimś cudem on również przejechał czysto i w granicach czasu. Snakepit galopem przeciął linię mety, potężnie wierzgnął dwa razy i o mało nie stratował grupy fotoreporterów.

— Niech Bóg prowadzi tych, którzy pojadą następni — westchnął Malise.

— Trzydzieści tysięcy i ani pensa mniej — powiedział Driffield.

Fen po raz ostatni pogłaskała i pocałowała Macaulaya.

— Powodzenia. Pamiętaj, że jesteś najlepszy i masz się za co mścić.

Jake nagle poszarzał.

— Nie mogę wystartować.

— Owszem, możesz. Zrobisz to dla Macaulaya i panny Blenkinsop.

— Zaraz zwymiotuję.

— Nie. Nie otwieraj ust i jedź.

— *Numero quatre!* — zawołał rozdrażniony steward.

Jake wjechał na linię startu wyraźnie rozbity. Wyglądał tak, jakby pierwszy raz w życiu siedział na koniu. Zrzucił drążek z pierwszej przeszkody, do drugiej podjechał pod zupełnie niewłaściwym kątem, Macaulay potknął się i o mało nie upadł. Potem uderzył w trzecią.

„Dwanaście punktów karnych. Przepadł” — pomyślała z rozpaczą Tory.

— No to przewalił — powiedział przeciągle Dino.

— Boże — westchnęła Fen, z przygnębieniem patrząc na zegar, na którym migały kolejne dziesiąte części sekundy.

Jake zatrzymał Macaulaya, pogłaskał go po szyi, powiedział do niego kilka słów i znów ruszył.

— Nie umie nawet jechać na własnym koniu — skomentował szyderczo Rupert. — Tylko przez przypadek dostał się do finału.

— Dostanie punkty karne za czas — powiedział pułkownik Roxborough.

Jake znów ruszył, nieco chaotycznie, po czym przejechał resztę z dziesiątki przeszkód bez zrzutki, ale nie był w stanie się skupić. Dostał jeszcze półtora punktu karnego za czas.

Pokręcił głową, podjeżdżając do Fen.

— Świetny start, co?

— Poczekaj, to dopiero początek — odparła Fen.

Kiedy Jake zeskoczył z konia, Fen zdjęła siodło, gdyż miała je przenieść na Snakepita, którego Jake dosiadał w kolejnej rundzie.

— Masz trzy minuty, żeby go rozgrzać — powiedziała, zerkając na zegarek.

— Według mnie on potrzebuje ochłody.

Stajenna Ludwiga przyszła po Macaulaya, który odszedł bardzo niezadowolony, odwracając głowę w kierunku Jake’a i spoglądając na niego z wyrzutem. Jake podszedł do Snakepita, koń położył uszy na głowie i łypnął na niego złowrogo.

— Teraz dostaniesz nauczkę — syknęła do niego Dizzy.

Na oddzielonym padoku Macaulay kilka razy skoczył gwałtownie, o mało nie zrzucając Ludwiga. Nie podobała mu się dyscyplina narzucona przez niemieckiego jeźdźca. Koń wszedł na start z wyrazem męczennika na białym pysku.

— Wygląda jak stary osioł — zachichotała Fen. — Słodki, prawda?

Jednak pomimo dezaprobaty Macaulay dobrze pojechał pod Ludwigiem i nie zaliczył ani jednej zrzutki.

— Ciekawe, czego może dokonać ten koń pod porządnym jeźdźcem — zadrwił Rupert.

Dino pojechał na Clarze. Zdenerwowany, niewiele jej pomógł, ale za każdym razem, kiedy źle nią pokierował, jej doskonały trening wybawiał go z kłopotów, a klacz wybijała się na potężnych nogach i przelatywała nad przeszkodami jak helikopter.

Jake nie chciał oglądać przejazdu Ruperta na Człowieku Prezydenta. Zaznajamiał się ze Snakepitem. Kilka minut poświęcił na drapanie go za uszami, głaskanie po spoconej, pokrytej pianą szyi. Rozmawiał z nim cicho, karmiąc cukrem. Przy wyzwaniu, jakie stanowił nowy koń, ciekawość wzięła u Jake’a górę nad zdenerwowaniem.

Nagle Jake wskoczył na siodło, postanawiając, że wydłuży koniowi wodze i nie będzie ciągnął głowy. Wciąż do niego mówił. Snakepit był tak krótki w kłębie, że siedziało się na nim jak na skraju zbocza, które w każdej chwili może się zapaść, zamieniając w gruzowisko. Przez jedną z dwóch pozostałych minut Jake jechał cicho po padoku, głaszcząc konia i mówiąc do niego, po czym najechał na przeszkodę, nie ciągnąc za wodze. Snakepit nagle jakby zapałał do niego sympatią.

— Jak uważasz?

— Bardzo dobrze — odparła Fen. — To musi być dla niego miła odmiana, jak weekend na Riwierze po pracy w fabryce.

Wiwaty na trybunach oznajmiły, że Rupert na Człowieku Prezydenta przejechał czysto, używając jednak brutalnej siły i przymusu. Koń był wytrącony z równowagi.

Jake wjechał na start. Snakepit szarpnął głową, lecz kiedy stwierdził, że nikt go nie powstrzymuje, przestał ciągnąć i zafundował jeźdźcowi jeden z najłatwiejszych przejazdów w życiu.

Kiedy podjechali do stacjonaty, Jake ze zdenerwowania wstrzymał go o krok za wcześnie, lecz Snakepit, szczęśliwy z nowo uzyskanej swobody, zdobył się na wysiłek i z łatwością przeskoczył przeszkodę.

— Cholera — powiedział Rupert. — Gdybym ja tak zrobił, to by się zatrzymał.

— Wygląda na zupełnie odmienionego — stwierdził Malise zadowolony. To on upierał się, żeby zakwalifikować Jake’a na mistrzostwa, więc bardzo mu zależało na jego dobrych przejazdach.

Pułkownik chrząknął.

— I tak wygram zakład.

Pod koniec drugiej rundy wszyscy mieli czyste konta, oprócz Jake’a, który zarobił piętnaście i pół punktu. Widzowie zaczynali się nudzić. Chcieli kłopotów, upadków, przewróconych przeszkód i mocnych wrażeń. Teraz Ludwig miał pojechać na Snakepicie.

— Nie byłem pefny, czy na nim pojechacz. Mam szonę i dżeczi — powiedział Ludwig do Jake’a — ale po tfoim przejeżdże chyba nie będę miał szadnych problemów.

Jednakże Snakepit miał odmienne zdanie na ten temat. Nie odpowiadał mu twardszy, bardziej sztywny styl jazdy Niemca, który podobnie jak

Rupert nie chciał mu dać swobody w trzymaniu głowy. Koń zatem celowo zrzucił drążek i przewrócił drugą przeszkodę w kombinacji.

Rupert bez problemu przejechał czysto na Clarze.

Jake, który rozgrzewał się na Człowieku Prezydenta, nie oparł się pokusie i rzucił spojrzenie na Dina jadącego na Macaulayu.

— Szef ekipy amerykańskiej powiedział, żeby przed rowem z wodą porządnie smagnąć Maca — powiedziała z mściwą satysfakcją Fen.

Dino nie zdjął także ostróg.

— Boże, czuję się jak na słoniu bojowym — wymamrotał Dino pod nosem. — Czy on w ogóle ma hamulce?

Macaulay niezadowolony wmaszerował na start. „Nie jestem osłem, który wozi dzieci na plaży” — zdawał się mówić. Po czym odmówił skoku przez stacjonatę. Kiedy jeździec smagnął go mocno palcatem, przeskoczył, ale kolejną przeszkodę — mur — rozwalił.

— Jozue pod murami Jerycha — stwierdziła Fen. — Ooo świetnie, Dino znów go uderzył.

Nad rowem z wodą Macaulay nagle się zatrzymał, po czym zupełnie bez wysiłku przeskoczył niską kępę drzew i wylądował w środku rowu, rozbryzgując wodę wokół i kompletnie mocząc jeźdźca, a w końcu pochylił się i zaczął pić. Widzowie, zwłaszcza dzieci Lovellów, wybuchnęli śmiechem.

Dino skończył przejazd i zjechał z toru z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Nie oczekiwałem prysznica — powiedział do kolegów z drużyny.

— Chyba właśnie stracił szansę na mistrzostwo — wymamrotała Fen. — Umie przegrywać.

Człowiek Prezydenta był przestraszony, wytrącony z równowagi i zdezorientowany. Ujeżdżony i szkolony przez Dina, rzadko jeździł pod innymi zawodnikami. Teraz jednak podobały mu się delikatne dłonie i

pieszczotliwy, melodyjny głos człowieka w siodle. Naśladując akrobatyczny styl jazdy Dina, Jake zdołał zachęcić konia do pięknego, czystego przejazdu.

— O cholera — stwierdził Dino, kręcąc głową. — A myślałem, że Manny będzie chciał się zemścić za to, co mi zrobił Macaulay.

Zaczęła się ostatnia runda. Emocje znów wzrosły, widzowie przebudzili się z drzemki.

— To jak konkurs dla dzieci — narzekał pułkownik Roxborough. — Nigdy nie puściłbym na coś takiego mojego Baskerville Boya. Rupert ma zero punktów, Ludwig osiem, Dino jedenaście, Jake piętnaście i pół, ale przed nim najłatwiejsza runda — powiedział Malise zajęty obliczeniami na kalkulatorze.

Pierwszy pojechał Ludwig na Człowieku Prezydenta. Młody koń był porządnie zmęczony i zdezorientowany. W poprzednich trzech rundach dał z siebie wszystko i miał już dość. Jak Snakepit, wolał delikatność poprzedniego jeźdźca. Pomimo doskonałej taktyki Ludwig zarobił osiem punktów karnych.

— Alleluja! — zawołała Fen, podbiegając do Jake’a, który właśnie wsiadał na Clarę. — Ludwig ma o pół punktu karnego więcej od ciebie!

Jazda na Clarze przypominała prowadzenie lamborghini. Przy najlżejszym dotknięciu klacz wyskakiwała do przodu. Jake nigdy jeszcze nie widział takiego przyspieszenia. Ten koń wymuszał pokorę. Widzowie znów zaczęli się nudzić. Rupert wydawał się oczywistym zwycięzcą, bo miał już trzy czyste przejazdy.

— Ojojoj — powiedziała Fen bez cienia współczucia — Snakepit poniósł Dina.

Snakepit, który już do reszty stracił cierpliwość, galopem przemierzał tor, zrzucając praktycznie każdą przeszkodę — zakończył przejazd z

dwudziestoma czterema punktami karnymi.

— Właściwie to cholernie dobrze mu poszło, że w ogóle utrzymał się w siodle — przyznała Fen, kiedy Snakepit wyniósł jeźdźca z areny.

— Chyba wygrałem zakład — powiedział pułkownik Roxborough.

— Zanosi się na wygraną Brytyjczyków — odparł Malise, żałując, że nie potrafi bardziej się cieszyć.

— To był kiedyś koń Ruperta — mówił zadowolony z siebie pułkownik. — Pewnie przejazd będzie tylko formalnością.

Macaulay jednak miał inne zdanie. Rupert uznał, że nie będzie go rozgrzewał, gdyż koń przebiegł już trzy rundy, zresztą na widok podchodzącego do niego jeźdźca Macaulay położył uszy po sobie, zarżał wściekle, rozpoznając dawnego pana, i rzucił się na niego z prędkością kobry. Rupert uskoczył w ostatniej chwili.

— Nie patrz na to — poradziła Fen Jake’owi. — Niepotrzebnie się zdenerwujesz. Skoncentruj się na Clarze.

— Rupert chyba potrzebuje pomocy — stwierdził pułkownik Roxborough.

Przy wjeździe na tor Humpty, Malise, Driffield, pułkownik Roxborough, Dizzy i Tracey stali przy głowie Macaulaya, przytrzymując go ze wszystkich sił za uzdę. Zasłonili mu Ruperta wskakującego na siodło, ale koń i tak od razu poznał, z kim ma do czynienia. Zadrżał jakby z przerażenia, położył uszy, w białej głowie widać było tylko białka oczu. Jednak otoczony przez sześć osób nie mógł się wyrwać.

— Jadą — powiedział pułkownik Roxborough. — Powodzenia.

Odskoczyli wszyscy, a Macaulay wystrzelił przed siebie. Kiedy tylko wjechał na start, stanął dęba, kopiąc wielkimi kopytami i skrzywił się w złowrogim grymasie. Potem opadł na wszystkie cztery nogi.

— Patrzcie! — zawołała zachwycona Fen. — On nas nie zawiedzie!

Nie zwracając uwagi na brutalnie ściągającego wodze Ruperta, Macaulay zaczął wierzgać jak na rodeo, wyginając grzbiet, zataczając koła w powietrzu i starając się zrzucić jeźdźca.

— Nadawałby się do baletu — stwierdziła Fen.

Ivor tak długo miał usta otwarte ze zdziwienia, że w końcu wleciała w nie mucha. Nawet Driffield przerwał targi o konia.

— Zróbcie coś! — zażądała rozpaczliwie Helen, zwracając się do Malise'a. — On go zabije!

— Przy odrobinie szczęścia... — wymamrotała Fen.

— Dobry Boże! — mówił przygnębiony Jake — nie powinienem był narażać na to Macaulaya.

Zadziwiające, że Rupertowi tak długo udało się utrzymać w siodle. Z pyska Macaulaya leciała krew i bryzgi piany. Było wyraźnie widoczne, że wielki czarny koń, rozjuszony jak byk na korridzie, ma w tej chwili tylko jeden cel: pozbyć się jeźdźca.

Rupert wbił ostrogi w jego boki i z głośnym trzaskiem uderzył konia biczem.

— Nie dasz rady mnie ruszyć, ty czarny gnoju — powiedział przez zaciśnięte zęby.

— *Oh la la, quelle dommage!*[2] — zawołała zachwycona Fen. — Dobrze, Macaulay!

Dino zerknął na nią z ukosa.

— Chyba nie za bardzo mu kibicujesz — powiedział przeciągle.

W tej chwili koń wykonał ostatni wściekły podskok i Rupert wyleciał z siodła jak z procy. Na szczęście puścił wodze. Sekundę później Macaulay uspokoił się i ruszył za nim w pościg po torze. Rupert nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Schował się za mur, ale Macaulay pobiegł za nim, rżąc gniewnie i odsłaniając zęby. Widzowie szaleli.

— Zatrzymajcie go! — krzyczała Helen. — Zróbcie coś!

Rupert biegł teraz w kierunku oksera i dających osłonę krzaków, po czym wyjrzał spomiędzy błękitnych kwiatów cynerarii, przypominał byczka Fernando. Jednak Macaulay był sprytny i nie dał się zwieść. Kłusem obiegł przeszkodę, gdyż z drugiej strony chronił Ruperta jedynie drążek, i ruszył na wroga. Wsunął głowę pod drążek i kłapnął zębami ledwie o kilkanaście centymetrów od Ruperta.

Rupert wybiegł z oksera i pogalopował w kierunku kombinacji, chroniąc się za jej trzecią częścią, którą był triplebar, ledwie o dwieście pięćdziesiąt merów oddalony od padoku.

— Powinien przerzucić się na lekkoatletykę — powiedziała Fen. — Na pewno dostałby się na mistrzostwa.

Malise podszedł do głównego stewarda zawodów.

— Musicie wysłać ludzi na tor, żeby odwrócić uwagę konia — powiedział.

— Mam ich wysłać na śmierć? — odparł pytaniem steward. — Zawodnik nie przekroczył jeszcze limitu czasu.

Rozległ się pisk oznajmiający dyskwalifikację zawodnika. Widzowie omal nie oszleli. Macaulay obchodził wokół triplebar, usiłując sięgnąć zębami Ruperta, wściekle wymachując ogonem i trzęsąc się z gniewu.

— On chyba nie lubi Ruperta — stwierdził Ivor Braine.

— Nic dziwnego — odparł Humpty. — Należał do niego.

Na tor weszło czterech żandarmów złowróżbnie trzymających broń w pogotowiu. Macaulay odwrócił się, szykując się do kolejnej szarży. Rupert chwycił drążek z przeszkody — ciężki, wielki niczym kłoda drzewa z tradycyjnych szkockich zawodów — i zaczął wymachiwać nim w kierunku zbliżającego się konia.

Steward zawodów podbiegł do Jake’a.

— Mister Jake, może niech pan idzie po swojego konia.

W tej chwili Macaulay stanął dęba i uderzył Ruperta, minął go ledwie o kilka centymetrów, ale za to wytrącił mu z dłoni drąg.

Rupert cofał się, teraz nie miał już żadnej ochrony.

Jake wszedł na arenę, bez konia był tak mały, że wręcz niezauważalny.

— Teraz patrz — powiedziała Fen do Dina.

Macaulay odwrócił się, by zadać ostateczny cios, a wtedy Jake wsadził palce do ust i gwizdnął. Koń zatrzymał się raptownie, przez moment patrzył na Ruperta, jakby żałując, że nie może dokończyć dzieła, po czym odwrócił się i pokłusował przez tor. Rżąc radośnie, doskoczył do Jake'a i zaczął go trącać w brzuch i lizać po twarzy. Widzowie, dotąd sparaliżowani strachem, nagle wybuchnęli zbiorowym śmiechem.

— Dobra robota — powiedział cicho Jake.

Nawet nie chwytając Macaulaya za uzdę, odwrócił się i zszedł z areny. Koń szedł za nim, trącając go co chwila w żebra, jakby pytając, czy dobrze sobie poradził.

Malise odwrócił się do pułkownika Roxborough.

— W szeregach toskańskich zerwały się wiwaty — zacytował [3].

— Właśnie straciłem stówę, a mistrzostwo przeszło nam koło nosa. Nie wiem, z czego tak się cieszysz.

— Jeszcze chwila cierpliwości — powiedział Malise.

Rupert zszedł z toru z kamienną twarzą. Podbiegła do niego Helen.

— Kochanie, wszystko w porządku?

— Nie, cholera — odparł Rupert ze złością, odpychając ją. — Idę złożyć skargę. To był sabotaż.

Otoczyli go żądni sensacji dziennikarze.

— Co teraz zrobisz, Rupe?

— Wniosę skargę. Konia powinno się natychmiast zabić. Jest niebezpieczny. Jake specjalnie go wystawił, żeby zmniejszyć moje szanse.

Z gniewu ledwie mógł mówić. Na padoku wrzało. Malise przepchnął się do niego przez tłum.

— Złożę skargę! — powiedział Rupert.

Malise pokręcił głową.

— Nie obronisz tego. Macaulay nie jest trudniejszy niż Snakepit. Innym zawodnikom nie sprawił żadnych problemów, przy dzieciach Lovellów zachowuje się jak baranek.

— W takim razie Jake go tak wytrenował. Widziałeś, jak go odwołał, mógł to zrobić wcześniej. Już raz próbował mnie zabić, to była druga próba.

Reporterzy chciwie notowali każde słowo.

— Zawody jeszcze się nie skończyły, Rupert — powiedział Malise, zniżając głos. — Jake musi pojechać na Clarze.

— Do diabła z nim! — warknął Rupert. — Jeśli sędziowie nie uznają mojej skargi, pozwę go o usiłowanie morderstwa! — Krzyknął, po czym sztywnym krokiem odszedł w kierunku swojej przyczepy.

Jake wjechał na start, trzymając wysoko ręce i siedząc sztywno, starając się naśladować styl jazdy Ludwiga.

— Aż wstyd prosić cię, żebyś pomogła mi pobić swojego pana — powiedział.

— Och, Clara, proszę, przejedź czysto! — powiedziała Fen.

Na oczach widzów najpierw omal nie doszło do tragedii, która zakończyła się komedią, komentator musiał najpierw przywołać publiczność do porządku. Po czterech rundach Ludwig miał szesnaście punktów karnych, Dino trzydzieści pięć, a Rupert Campbell-Black został wyeliminowany. Po trzech przejazdach Jake miał o pół punktu karnego mniej od Ludwiga. Jeśli chce wygrać, nie może sobie pozwolić na żadną

zrzutkę. Ruszył kłusem. Clara przepłynęła nad pierwszą przeszkodą, potem drugą i trzecią. Przy kolejnej trąciła drążek kopytem, ale ten szczęśliwie się utrzymał. Ludwig, palący nerwowo papierosa, stał tyłem do toru, a reszta jego drużyny opisywała mu na bieżąco, co się dzieje.

Fen zamknęła oczy i lekko poruszała wargami.

— Co robisz? — zapytał Dino.

— Proszę Boga, żeby pomógł Jake'owi — odparła Fen, nie otwierając oczu.

— To trochę nie w porządku wobec Jake'a — odpowiedział Dino. — On chyba sam sobie poradzi.

Malise nagle odwrócił się do Driffielda.

— Na miłość boską, przerwij tę transakcję i patrz!

Jake, sam na torze, czuł się jak w innym świecie. Uświadamiał sobie jedynie radość płynącą z jazdy na tym przepięknym koniu, na którym mógłby zapewne przeskoczyć trybuny, a nawet wieżę Eiffla. Skierował się do rowu z wodą.

— Leć, *Lieberlen* czy *Dummkopf*, czy jak tam mówią Niemcy — powiedział.

Clara wybiła się potężnie, zadowolona, że dosiada jej doskonały jeździec. Jake widział niebieską wodę płynącą pod nimi i uniesione, niespokojne twarze fotografów — jednak udało mu się znaleźć idealne tempo i przeskoczył bezpiecznie. Zerwały się wiwaty, jednak po krótkiej chwili widzowie ucichli. Zostały mu jeszcze trzy części kombinacji i ogromny triplebar. Pod wpływem nerwów zbyt wcześnie poderwał Clarę przy pierwszej części kombinacji. Klacz przeskoczyła przeszkodę, niemal dotykając jej brzuchem, więc przy kolejnej Jake zwrócił konia na lewo, dając mu miejsce na jeszcze jeden krok — tym razem po zeskoku znaleźli się w miejscu idealnym do przeskoczenia ostatniej części. Przeszli.

— Jedzie jak w bajce — cieszył się Malise. — Dawaj, Jake!

Widzowie nie byli w stanie dłużej się powstrzymywać i zaczęli wiwatować. Triplebar wydawał się ku nim nadlatywać. Jake spiął klacz i wyskoczył. Drążki przesunęły się w dole.

„Koniec — pomyślał w ekstazie. — Jestem mistrzem świata”.

Wokół zerwała się burza oklasków i wiwatów, pojawiły się flagi angielskie, a Jake zjechał z toru, nie przestając głaskać klaczy.

— Wygrał! — wrzasnęła Fen, objęła Tory, a potem zarzuciła ramiona na szyję Dina i pocałowała go.

Dino skorzystał z okazji i odpowiedział pocałunkiem.

— To niemal rekompensuje trzecie miejsce — powiedział.

Drużyna brytyjska, oprócz Ruperta, szalała.

Malise i pułkownik Roxborough wyrzucili kapelusze w powietrze. Jake zjechał z toru i ześlizgnął się z siodła prosto w ramiona Tory. Na sekundę przytulili się do siebie bez słowa. Jake czuł na policzku ciepłe łzy Tory, a na plecach deszcz poklepywań.

W dłonie wciśnięto mu wielką butelkę szampana. Jake otworzył ją, zrobił prysznic najbliżej stojącym, po czym wszyscy upili po łyku.

Nie było tylko Malise’a i Ruperta, którzy obradowali na osobności z sędzią komisji międzynarodowej. Rupert krzyczał aż zbyt płynnym francuskim, Malise próbował go uspokoić. Jednak według Francuza nie dało się obronić skargi. Zasady nie zakazują wystawiania trudnego wierzchowca. Macaualay wyraźnie nie polubił Ruperta, ale przy wszystkich innych zawodnikach zachowywał się dobrze, z kolei Snakepit sprawił problemy wszystkim oprócz Jake’a. Jake był niekwestionowanym zwycięzcą i należy rozpocząć ceremonię dekoracji. Mamrocząc pod nosem, że doniesie na Jake’a do Brytyjskiej Federacji Sportów Konnych, Rupert wypadł z namiotu.

— Dokąd idziesz? — zapytał Malise.

— Nie wracam po tę beznadziejną nagrodę! — warknął Rupert.

— Chłopcze drogi — powiedział Malise łagodnie, odciągając go na bok. — Przykro mi. Miałeś pecha. Spotkało cię wielkie rozczarowanie, pewnie też się przestraszyłeś.

— Bzdura — odparł Rupert. — Ograbiono mnie.

— Chyba mocno pobiłeś Macaulaya, że tak na ciebie zareagował.

— To był mój koń, co kogo obchodzi, jak go traktowałem?

— Przede wszystkim obchodzi to Królewskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, Międzynarodową Federację Jeździecką, nie wspominając już o Brytyjskiej Federacji Sportów Konnych. Nie poprawi ci to wizerunku. Nie trzeba ci chyba nagłośnienia łzawej historii o sprzedaży Macaulaya na Bliski Wschód, głodzenia go i wysłania do kamieniołomu.

— I ty w to wierzysz?

— Wierzę — odparł Malise — a ta historia może cię zrujnować. Prasa bardzo chętnie rzuci się na ciebie, a wiesz, jak wyczuleni są Anglicy na punkcie okrucieństwa wobec zwierząt. To naprawdę wymaga charakteru, ale idź na arenę i trzymaj język za zębami. Na pewno zapunktujesz.

Na tor znów weszły orkiestry, ale tym razem wymęczone konie już nie miały siły przejmować się werblami i talerzami. Ludwig uścisnął Jake’owi rękę.

— Dobra robota, pszyjacielu, dobra robota.

— Clara to świetnie wyszkolony koń. Ty powinieneś był wygrać — odpowiedział Jake.

— A ty odbiłesz szę po kiepskim starcie, to waszniejsze.

Do Jake’a podbiegł Dudley Diplock.

— Wspaniale! Absolutnie wspaniale! — zawołał, szerokim łukiem obchodząc Macaulaya. — Czy mogę z tobą porozmawiać zaraz po rozdaniu

nagród?

Rupert wjechał na końcu, widzowie ze współczucia powitali go niemal największymi wiwatami. Urodą przewyższał Roberta Redforda, przejechał trzy spektakularne, czyste rundy, poza tym większość kobiet na pewno to jemu życzyła zwycięstwa.

Jake wyjechał naprzód, pozostali ustawili się za nim. Kiedy orkiestra zaczęła grać hymn, odsłonił głowę. Włosy miał zlepione od potu, na czole czerwoną pręgę odciśniętą przez kask. Jakby w oszołomieniu odbierał kolejne rozetki, które w końcu pokryły ogłowie Macaulaya prawie w całości, ledwie zostawiając mu kawałek pyska. Sam dostał fioletową szarfę, która nie pasowała do jego szkarłatnego płaszcza, oraz olbrzymi wieniec laurowy do założenia na szyję wierzchowca, który Macaulay próbował zjeść. Potem, ku głębokiemu zażenowaniu Jake'a, podchodziły do niego kolejno piękne dziewczyny w zielonych kostiumach i podawały nagrody: złoty medal, wazon z Sèvres, serwis do herbaty z Limoges, srebrną tacę, wielką butlę szampana, ogromny srebrny puchar i wreszcie czek na dziesięć tysięcy funtów. Pozostali zawodnicy dostali tylko po rozetce i znacznie mniejsze czeki.

— Czy możemy dostać po takiej dziewczynie na pocieszenie? — zapytał Dino.

Kiedy książę Philip podszedł i podał mu rękę, Jake w euforii zapomniał o nieśmiałości i zdobył się na wypowiedzenie kilku zdań. Macaulay, zdając sobie sprawę z obecności fotografów i kamer telewizyjnych, wysunął penisa i ani myślał go schować.

— Wypisz, wymaluj Rupert — stwierdziła Fen.

Przy zjeździe z areny Jake wpadł na czekającego Dudleya Diplocka.

— Czy mogę osobiście uścisnąć kopyto Macaulaya? Jak, do licha, udało ci się go tego nauczyć? — dodał, ściszając głos. — Dziesięć lat czekam,

żeby ten gnój, Campbell-Black, wreszcie dostał nauczkę. Cały światek jeździecki złoży się na medal dla ciebie.

Jake stopniowo uświadamiał sobie, że większość jego otoczenia bardziej cieszyła się pognębieniem Ruperta niż jego zwycięstwem. Po wywiadzie telewizyjnym dla Dudleya, w którym nie wykazał się elokwencją, ale promieniał radością i wdzięcznością dla Macaulaya, Tory, całej rodziny i Malise'a, dołączył do niego sam Malise. Ani on, ani Jake nie należeli do wylewnych, ale na sekundę padli sobie w ramiona.

— Byłeś wspaniały — powiedział Malise dziwnie schrypniętym głosem. — Przepraszam, że nie podszedłem wcześniej, ale byłem z Rupertem. Chciał złożyć skargę.

— Nie ma się na co skarżyć — stwierdził Dudley.

— Właśnie — odparł Malise. — Ale dotąd nigdy go to nie powstrzymywało. Na szczęście nikt go nie słuchał. Jednak czuje się upokorzony, więc może lepiej nie zajmować się tym incydentem. Chodź — dodał do Jake'a — wszyscy chcą z tobą rozmawiać.

— Kto?

— Przede wszystkim dziennikarze zagraniczni.

— Chcę odprowadzić Maca do stajni. Nie mam im nic do powiedzenia. Wygrałem, czy to nie wystarczy?

Malise spojrzał na niego. Czyżby w jego wzroku błysnęło współczucie?

— Może jeszcze to do ciebie nie dotarło — powiedział — ale nic nie będzie teraz takie samo. Jesteś supergwiazdą, mistrzem świata. Musisz się zachowywać, jak przystało na gwiazdę.

Po drodze minęli zapłakaną Helen Campbell-Black. Zarówno Malise, jak i Jake mieli nadzieję, że Rupert nie będzie się mścił na niej za porażkę. Kiedy przeciskali się do zatłoczonego namiotu prasy, uszczęśliwieni kibice

brytyjscy, rozebrani do pasa, łącznie z Humptym, Ivorem Braine’em i Driffieldem, już zaczynali popijawę.

— Cholerny wyczyn! Dałeś palantowi popalić! — powiedział Driffield, podając Jake’owi kieliszek, do którego Ivor z rozmachem nalewał szampana.

— Trzy razy hura na cześć mistrza! — zawołał Humpty. — Hip, hip, hurra!

Wszyscy dołączyli do wiwatu, który niemal zwiał dach namiotu.

— Lovell na premiera! — wrzasnął jakiś kibic i otworzywszy kolejną butelkę szampana, sprawił prysznic wszystkim uczestnikom konferencji prasowej.

Jake’a na ramionach poniesiono do stołu z mikrofonami. Tam posadzono go na krześle i zasypano pytaniami. Dziennikarzom zagranicznym odpowiadał przez tłumacza.

Mówił, że jest niezmiernie szczęśliwy, ale też bardzo, bardzo zmęczony. Przed mistrzostwami raczej się nie sypia. Wygrał, bo dopisało mu szczęście. Macaulay to doskonały koń, może ustępuje klasą pozostałym, ale ma za sobą rok wypoczynku. Najlepiej wyszkolonym koniem jest Clara. Nie zaliczyła ani jednej zrzutki, powinna otrzymać specjalną nagrodę.

Dziennikarze nadal domagali się informacji o Macaulayu.

Jake ostrożnie odpowiedział, że zawsze podobał mu się ten koń, a kiedy Rupert go sprzedał, odnalazł go i kupił.

— Czy celowo zgłosił go pan do zawodów, żeby podkopać Ruperta? — zapytał reporter „Paris Match”.

Jake przechwycił spojrzenie Malise’a.

— Ależ oczywiście, że nie. Nie miałem pojęcia, że tak zareaguje na Ruperta.

— Czy wiedziałeś, że Rupert go sprzedał, bo był agresywny? — zapytała Joanna.

Jake spojrzał na nią z nagłym rozbawieniem w poważnych czarnych oczach.

— Kto jest agresywny? — zapytał. — Rupert czy koń?

Rozległy się śmiechy.

Przyjęcie z okazji zwycięstwa trwało do czwartej nad ranem, ale Rupert i Helen zrezygnowali z niego i polecieli do domu.

Wkrótce po mistrzostwach zostały tylko koleiny i krąg nagiej ziemi na skraju padoku, tam gdzie przez cały tydzień pełni entuzjazmu stajenni zrywali garściami trawę w nagrodę dla zjeżdżających z trasy podopiecznych.

---

[1] *Dummkopf, Lieberlein, Achtung, auf wiedersehen* (niem.) — idiota, kochany, uwaga, do widzenia.

[2] *Quelle dommage* (fr.) — Jaka szkoda.

[3] T.B. Macaulay, fragment poematu *Horatius* w przekładzie Katarzyny Krawczyk.

36

TYDZIEŃ PO POWROCIE ZAWODNIKÓW z mistrzostw świata Billy pojechał do Londynu, gdzie miał przemawiać na obiedzie związku autorów piszących o sporcie. „Gdyby wiedzieli, że się nie zakwalifikuję, to by mnie pewnie nie zaprosili” — pomyślał sarkastycznie. Janey potrzebowała samochodu, żeby pojechać na zakupy („Tylko po jedzenie na rynek, to znacznie tańsze” — powiedziała szybko), więc podrzuciła go na dworzec. Billy, niezdolny do czytania „Horse and Hound”, zapewne pełnego artykułów o mistrzostwach, kupił do pociągu „Private Eye” — ta gazeta zawsze wprawiała go w dobry nastrój, chyba że akurat zamieściła niepochlebny artykuł o Rupercie. Czekając na peronie, otworzył gazetę. Poczytał sobie o rozlicznych perwersjach seksualnych hiszpańskiej rodziny królewskiej, potem jeszcze bardziej rynsztokowy tekst o przywódcy związkowym i kucu z kopalni. Nagle poczuł, że serce przestaje mu bić. Początek kolejnego artykułu brzmiał: „Była bywalczyni łóżek na Fleet Street, Janey Henderson, zwolniona z pracy za wygórowane wydatki na delegacjach, próbuje teraz napisać książkę o mężczyznach. Pomimo encyklopedycznej wiedzy w tej dziedzinie Janey poczuła, że musi przeprowadzić dalsze badania i niedawno wróciła z czterodniowej wycieczki do Marbelli w towarzystwie odrażającego rekina branży kociej karmy, Kevina Coleya. Jej sympatyczny mąż, Billy Lloyd-Foxe, musi przymykać najczęściej pijane oko na te ekscesy, gdyż Coley jest jego sponsorem wartym pięćdziesiąt tysięcy rocznie”.

Billy poczuł, jak wstrząsają nim dreszcze. To niemożliwe. To nieprawda. Nie Janey. Przecież ona zawsze wyśmiewała się z Keva. „Private Eye”

wszystko pomylił, przecież wciąż ktoś ich pozywa za oszczerstwa. Billy jeszcze raz przeczytał artykuł, słowa zaczęły mu się rozmywać przed oczami. Nie usłyszał nawet nadjeżdżającego pociągu. Konduktor poklepał go po ramieniu.

— Billy, czy to nie twój pociąg?

— Tak, nie... nie wiem. Nie. — Billy wstał, przecisnął się przez wysiadających ludzi, wybiegł z dworca i zatrzymał pierwszą taksówkę.

— Do domu poproszę.

— Dobrze, proszę pana.

W domu nie było nikogo. Janey jeszcze nie wróciła z zakupów. Billy wcisnął guzik ponownego wybierania na jej telefonie, żeby sprawdzić ostatnie połączenie. Był to numer biura Kevina Coleya. Czując odrazę do samego siebie, Billy otworzył górną szufladę jej komody. Janey zaczęła pisać list, który potem zgniotła.

„Drogi Kevie, dzisiaj się nie spotkamy, więc piszę. Boże, tęsknię za tobą. Wracam do rzeczywistości po Marbelli. Znasz jakieś ładne i odległe miejsce, w które można wysłać Billy’ego?”

Billy jęknął z przerażenia. Nogi trzęsły się pod nim tak bardzo, że ledwie mógł na nich ustać. Butelka z brzękiem uderzyła o szklankę i whisky rozlała się na dywan. Billy jednym gładkim haustem przełknął całego drinka i pobiegł do Ruperta. Zastał go na podwórku sprzedającego konia jakiemuś Amerykaninowi. Rupert rzucił jedno spojrzenie na przyjaciela, po czym powiedział do kupca:

— Przepraszam, muszę iść. Jeśli jest pan zainteresowany kupnem, proszę zadzwonić później. — po czym położył rękę na ramieniu Billy’ego i zaprowadził go do domu. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi salonu, Billy wybuchnął:

— Wiedziałeś, że Kevin Coley posuwa Janey?

— Tak.

— Skąd, do jasnej?

— Helen widziała ich na obiedzie w Cheltenham, poza tym pani Bodkin coś tam wspomniała. Pani Greenslade w Les Rivaux widziała ich wysiadających razem z samolotu.

— „Private Eye” napisało o nich duży artykuł. Dlaczego mi nie powiedziałeś?

— Miałem nadzieję, że Janey wróci rozum — odparł Rupert, nalewając przyjacielowi dużego drinka. — Boże, gdybyś ty donosił Helen o wszystkich moich skokach w bok, już by jej tu nie było. Zapewne dla Janey to nic wielkiego. Nudzi się.

— Z jednym wyjątkiem, nie miała żadnych ograniczeń — powiedział załamany Billy. — Przedtem była przygnębiona, ale przez ostatnie trzy tygodnie bardzo się ożywiła, myślałem, że książka dobrze jej idzie, a to Kevin. Co mam robić, do cholery?

— Walnij go w nos.

— Nie mogę, to bardzo drogi nos, pięćdziesiąt kafli rocznie.

— Znajdź sobie innego sponsora.

— To nie takie proste. Jestem teraz znacznie mniej interesujący dla sponsorów niż dwa lata temu.

— Bzdura. Jeździsz tak samo dobrze, tylko straciłeś kontrolę nad sobą. — Rupert spojrzał na zegarek. — A nie powinieneś być teraz w Londynie i wygłaszać przemówienie?

Billy zbladł.

— Nie mogę!

— Owszem, możesz. Nie ma sensu tego przeżywać, bo wtedy naprawdę wszyscy zobaczą, że nad sobą nie panujesz. Zawiozę cię.

Billy jakimś cudem przetrwał lunch i wygłosił przemówienie. Miał wrażenie, że widzowie spoglądają na niego ciekawie, zastanawiając się, jak sobie radzi jako rogacz. Siedzący w pierwszym rzędzie dziennikarz miał w kieszeni egzemplarz „Private Eye”.

Co gorsze, wieczorem razem z Janey musieli pojechać na jakieś beznadziejne przyjęcie taneczne w klubie golfowym Keva w Sunnigdale. Billy nie zdradził się przed Janey, że wie o wszystkim. Jak w dzieciństwie, wyobrażał sobie, że jeśli będzie siedział cicho i naciągnie kołdrę na głowę, to włamywacz uzna, że śpi i sobie pójdzie. Jak zauważył, Janey w ogóle nie narzekała na to, że muszą wyjść, jak to kiedyś robiła. Wyglądała olśniewająco w białej wyciętej sukience z mereżką. Przyćmiewała wszystkie pozostałe uczestniczki przyjęcia. Mężczyźni zerkali na nią i zagadywali Kevina, prosząc, żeby ich przedstawił. Billy zastanawiał się, ilu z nich przeczytało artykuł w „Private Eye” i pił.

Enid Coley była twardsza. Najpierw próbowała zasłonić dekolt Janey orchideą i paprocią w srebrzystym papierze — Janey w nieuprzejmy sposób odmówiła przypięcia kwiatu — a potem zaczekała na spokojniejszą muzykę. Wtedy podeszła do Janey z kieliszkiem wina, który trzymała tak, jakby chciała umyć głowę — i wylała wino na włosy Janey.

— Co ty wyprawiasz, do cholery? — zapytał Billy.

— Lepiej zapytaj, co ona wyprawia — syknęła Enid. — Zajrzyj do portfela mojego męża, zobaczysz ładne zdjęcie swojej żony. Odkąd wyjechałeś, cały czas za nim lata.

— Przestań ją obrażać, ty zdziro.

— Nie nazywaj mnie tak. Gdybyś na chwilę wytrzeźwiał, coś byś z tym zrobił.

Billy wziął za rękę ociekającą winem Janey, która nie była w stanie wykrztusić słowa, i wyszedł z klubu. Janey odezwała się dopiero

kilkanaście kilometrów za Sunningdale.

— Przepraszam, Billy. Kiedy się dowiedziałeś?

— Na dworcu przeczytałem „Private Eye”.

— Boże, to musiało być okropne.

— Niezbyt przyjemne.

— Poza tym nakłamali. Nie zwolnili mnie, sama odeszłam. Kev był nawet zadowolony, bo nigdy dotąd nie opisano go w „Private Eye”.

Billy zatrzymał samochód. W świetle latarni Janey widziała jego smutne oczy.

— Kochasz go?

— Nie wiem, ale on jest silny, a ja słaba. Chyba potrzebuję kogoś, kto utrzyma mnie na prostej drodze.

— Ostatnio raczej nie to robił — zauważył Billy. — Kocham cię. To wszystko moja wina. Nie powinienem był tak często cię zostawiać, wpadać w długi i tak bardzo zajmować się końmi. Pewnie było ci bardzo ciężko, bez dzieci, z książką na głowie i bez pieniędzy. Zdobędę je skądś, obiecuję. Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

W poniedziałek Kevin Coley wezwał do siebie Billy’ego.

— Mam za sobą paskudny weekend. Ze zmartwienia nie spałem całą noc — powitał go.

— Przykro mi. Co to za zmartwienie? — zapytał Billy.

— Zastanawiałem się, jak ci to powiedzieć. Nie mogę cię dłużej sponsorować. Pozostało mi tylko się wycofać.

— Szkoda, że twój ojciec nie zrobił tego samego czterdzieści lat temu — zauważył Billy.

Kevin nie zrozumiał żartu, za bardzo zależało mu, żeby powiedzieć wszystko, co zamierzał.

— Umowa wygasa w październiku, nie będę jej przedłużał. Przez ostatnie pół roku wygrałeś ledwie trzy tysiące. Za dużo na tobie tracę.

— I posuwasz moją żonę.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Wtedy próbowałem dać mu w pysk — opowiadał potem Billy Rupertowi — ale ze złości nie trafiłem. Ma zamiar przestawić się na Driffielda.

— I dobrze — skwitował Rupert. — Jeden gnój wart drugiego.

Wygrana w mistrzostwach świata z dnia na dzień uczyniła z Jake'a Lovella gwiazdę. W gazetach ukazały się mocno podkolorowane opisy jego dzieciństwa w taborze cygańskim. Kobiety zachwycały się jego ciemną, tajemniczą urodą. Młodzi jeźdźcy naśladowali jego pełen rezerwy sposób bycia, zakładali złote kółka do uszu i nosili krótkie i zwichrzone włosy. Stopniowo Jake zaczynał mówić o swoim pochodzeniu i przyznawał otwarcie, że jego ojciec był handlarzem koni i kłusownikiem, a matka kucharką w szkole. Sponsorzy go ścigali, właściciele koni błagali, by na nich jeździł. Jego upór, by nie przejść na zawodowstwo, ogromna niechęć do udzielania wywiadów („Jestem jeźdźcem, a nie mówcą") czyniły go jeszcze ciekawszym. Kibicom podobało się, że jego stajnia wciąż była interesem raczej rodzinnym, w którym pomagała Tory i dzieci. W sierpniu Fen pod opieką Malise'a wygrała europejskie mistrzostwa juniorów i chociaż Jake wciąż powstrzymywał jej karierę, zaczynała zdobywać reputację w sporcie.

Co najważniejsze, Jake dał bodźca dyscyplinie, która w Wielkiej Brytanii zaczynała popadać w niełaskę i tracić miejsca w rankingach. Kibice lubią bohaterów. Fakt, że Gyppo Jake pobił reprezentantów wszystkich innych krajów w mistrzostwach świata, bardzo ożywił zainteresowanie skokami.

Teraz, gdziekolwiek skakał, Jake był zapowiadany jako mistrz świata, co jeszcze wzmagało stres, gdyż oczekiwano od niego doskonałych wyników, ale również pozwoliło mu uwierzyć w siebie. Przez resztę roku oraz dużą część wiosny przegalopował na Macaulayu przez całą Europę jak Attyla, szturmem zdobywając wszystkie ważne nagrody. Dwa nowe konie, Laurel i Hardy, również osiągały dobre wyniki. Laurel — piękny, nieśmiały i nerwowy gniadosz, który podskakiwał, jeśli owad wystawił głowę z ziemi na padoku, doskonale radził sobie w zawodach na czas. Hardy — duży siwek rasy cob — był niepoprawnym łajdakiem, ale fenomenalnie skakał. Z każdym z nich widzowie mogli się utożsamić.

Ale największą miłość budził Macaulay. Podczas gdy inni jeźdźcy przy każdej zmianie sponsorów musieli zmieniać koniom imiona na coraz bardziej niedorzeczne, Macaulay wciąż pozostawał taki sam, chodził za swoim panem bez prowadzenia za uzdę, osoby wręczające nagrody trącał wyczekująco, a na wiwaty widzów odpowiadał serią energicznych kopnięć.

W listopadzie Jake został sportowcem roku. Macaulay towarzyszył mu w studiu telewizyjnym i przeszedł samego siebie, kiedy wysunął penisa i pokazywał go przez cały program, nadepnął na stopę Dudleya Diplocka i zjadł szarfę ofiarowaną Jake’owi. Po raz pierwszy widzowie mieli okazję zobaczyć, jak Jake zanosi się śmiechem, co jeszcze bardziej ich zachwyciło.

Wściekły z powodu upokorzenia na mistrzostwach świata i złej prasy, którą wywołała informacja o sprzedaży Macaulaya na Bliski Wschód, Rupert postanowił przyczaić się na kilka miesięcy i przeczekać. Sześć swoich najlepszych koni przewiózł przez Atlantyk i podbudował sobie morale, wygrywając zawody w Calgary, Toronto, Waszyngtonie i Madison Square Garden.

Helen zawsze wzdychała z żalem, że jej rodzice nie mają możliwości, by poznać swoje wnuki. Rupert wziął sobie jej słowa do serca. Zawiózł całą

rodzinę, łącznie z nianią, na Florydę, gdzie zostawił ją u państwa Macaulayów, a sam ruszył na zawody i „zabawić się”, jak to kwaśno ujęła jego teściowa. Pobyt u rodziców z dwójką dzieci zniszczył jedno ze złudzeń Helen. Nawet jeśli z Rupertem układało się jej źle, nie mogła już biec do mamy po wsparcie. Cała rodzina ucieszyła się z powrotu do Penscombe w listopadzie.

Dwa tygodnie po wyjeździe Ruperta do Ameryki Billy wyjechał w fatalną podróż do Amsterdamu. Tam kompletnie pijany spadł z konia, usiadł na piasku na padoku i zaniósł się śmiechem, podczas gdy jeden z jego nowych koni hasał wokół, nie dając się złapać. Historia wkrótce przedostała się do większości angielskich gazet. Po powrocie do domu Billy stwierdził, że Janey odeszła, zabierając wszystkie swoje ubrania, manuskrypt, Harolda Evansa, a co najgorsze — Mavis. Billy wpadł pijany do mieszkania, w którym mieszkała z Kevinem, i próbował ją przekonać do powrotu. Janey tak bardzo mu dokuczała i wpadła w taką histerię, że w końcu Billy podbił jej oko i wyszedł z Mavis na rękach.

Tydzień później otrzymał pismo od prawników Janey z zarzutem agresywnego zachowania i zakazem zbliżania się do niej. Następnego dnia Byk, który od kilku tygodni był apatyczny i stracił formę, przeszedł badanie krwi. Jak się okazało, miał anemię, a na dodatek złapał jakiegoś wirusa — weterynarz zalecił mu trzymiesięczną przerwę w skokach.

Billy szukał zapomnienia w alkoholu, wyprzedawał konie i meble, żeby spłacić wierzycieli i kupić kolejne butelki whisky, odsunął się od ludzi. Zwolnił również Tracey, gdyż nie mógł sobie pozwolić na opłacenie pracownika. Tracey nie odeszła. Nikomu innemu nie pozwoliła opiekować się Bykiem. Powiedziała, że będzie żyła z zasiłku i poczeka, aż Billy odzyska formę.

Rupert po powrocie, kiedy odkrył, co się stało z przyjacielem, był wstrząśnięty. Gdy rozmawiali przez telefon w czasie jego pobytu w Stanach, Billy udawał, że wszystko jest w porządku i że układa mu się z Janey. Teraz siedział w opustoszałym domu, w otoczeniu pustych butelek, posiwiały i postarzały o dziesięć lat. Rupert natychmiast zaczął proces reha-Billy-tacji, jak to nazwał, polecił Helen przygotować stary pokój Billy'ego w Penscombe, wysłał przyjaciela na detoks do kliniki i zaczął szukać nowego sponsora.

Helen, chociaż bardzo zmartwiona stanem Billy'ego, w cichości ducha się cieszyła. Janey nigdy nie przypadła jej do gustu. Teraz, kiedy Billy znów z nimi zamieszka, będą się bawili jak za dawnych czasów.

Jednak nie było tak samo. Przypominało to powrót syna, który wyjechał na wojnę kwitnący, pełen zapału i pewny siebie w kolorowym mundurze, a wrócił w granatach i czerwonej chuście rannego i kuśtykał po domu, podpierając się laską. Billy nieustannie mówił o Janey, Mandryce i swoich porażkach. Przestał pić. Uspokoił się, posmutniał i okazywał im żałosną wdzięczność. Rupert po raz kolejny zadziwił Helen swoją życzliwością i delikatnością.

Pewnego wieczoru na początku grudnia Helen, rozmawiająca z ogrodnikiem Higginsem, usłyszała krzyki dochodzące z krytej ujeżdżalni. Zajrzawszy przez otwarte drzwi, zastała Billy'ego, który prowadził po arenie upartego ośmioletniego gniadosza czystej krwi o imieniu Trębacz. Rupert kupił go w Stanach. Nie mogąc się z nim dogadać, przekazał Trębacza przyjacielowi. Teraz wrzeszczał na niego, gdyż Billy nie mógł się zdobyć na to, by przeskoczyć na Trębaczu szereg przeszkód. Wszystkie miały więcej niż półtora metra.

Billy trząsł się jak galareta.

— Nie mogę, po prostu nie mogę, Rupe! — jęczał. — Daj mi jeszcze kilka tygodni.

— Rusz tyłek i skacz, do cholery! — wrzasnął Rupert. — To nie wakacje!

— Rupercie, nie zmuszaj go — zaczęła Helen.

— A ty się nie wtrącaj! — powiedział Rupert ze złością, odwracając się do niej.

Helen uciekła do salonu i próbowała zająć się czytaniem suplementu literackiego do „Timesa”. Dwadzieścia minut później Rupert wszedł do pokoju, poszarzały i drżący nawet bardziej niż Billy w ujeżdżalni.

— Co się stało? — zapytała z przerażeniem Helen.

Rupert nalał sobie sporą porcję czystej whisky i wypił ją jednym haustem.

— Przeskoczył je — powiedział. — Przeskoczył je pięknie i czysto z sześć razy. Przepraszam, że na ciebie krzyknąłem, ale nie mogę mu pokazać, jak się o niego boję.

Znalezienie Billy’emu sponsora okazało się problemem. Odejście Janey, porażki w zawodach i alkoholizm zawodnika były tak szeroko omawiane w mediach, że Billy będzie musiał najpierw pokazać się na torze trzeźwy i zacząć zwyciężać, zanim ktokolwiek zgodzi się go sponsorować.

— Do końca roku możesz jeździć dla mnie — powiedział Rupert.

— Mam swoją dumę — odparł Billy. — Już i tak narobiłem problemów tobie i Helen.

Billy wrócił do sportu na przedświątecznych zawodach w Olympii. Nie był to najlepszy wybór, gdyż miejsce to przywoływało wspomnienia zarówno o Lavinii Greenslade, jak i o Janey. Zawodnicy i stajenni powitali go przyjaźnie i byli dla niego mili, wiedział jednak, że za plecami

komentują to, jak się postarzał, mówią, że stracił werwę i że już nie wróci na szczyt.

Nigdy jeszcze nie miał takiej ochoty się napić jak półtorej godziny przed pierwszym dużym konkursem. Rupert, który obserwował go przez cały czas jak przyzwoitka i odciągał od barów, został zatrzymany, żeby udzielić szybkiego wywiadu. Tracey oprowadzała Trębacza po torze. Billy widział klientów baru na torze popijających podwójne drinki, klepiących się nawzajem po plecach, zanoszących się śmiechem. Przecież jeden kieliszek mu nie zaszkodzi — jeden szybki podwójny na uspokojenie. Jeśli pojedzie tak zdenerwowany, młody Trębacz wyczuje jego niepewność. Rupert dawał mu teraz kieszonkowe. Wyjmując ostatnie pięć funtów z kieszeni, Billy już wchodził do baru, kiedy ktoś za nim się odezwał:

— Hej, Billy, jak wspaniale znów cię tu widzieć.

W pierwszej chwili nie rozpoznał nieco pulchnej, ale wyjątkowo ładnej szatynki o długich włosach związanych z tyłu czarną wstążką jak u młodego Mozarta.

— Jestem Fen, Fenella Maxwell. Co u ciebie? — dziewczyna podeszła i pocałowała go w oba policzki. — Startujesz w następnym konkursie?

Billy pokiwał głową.

— Ja też. Malise przekonał Jake’a, żeby mi pozwolił. Umieram z przerażenia.

— To jest nas dwoje — odparł Billy, wciąż wpatrując się w dziewczynę.

— Rupert mówił, że jedziesz na świetnym nowym koniu.

— O tak, naprawdę jest wspaniały. Inna sprawa, czy dam radę przeprowadzić go przez tor.

Nagle przypadła do nich grupa podnieconych nastolatek.

— To Fen! — zapiszczały, odpychając Billy’ego. — Dasz nam autograf? Co u Desdemony?

Podpisując ich notesy swoim świeżo wyrobionym, imponującym zawijasem, który ćwiczyła w czasie długich podróży ciężarówką, Fen zobaczyła, że Billy się oddala.

— Proszę — powiedziała do nastolatek. — A nie chcecie też jego autografu?

Dziewczyny pytająco spojrzały na Billy'ego, po czym uprzejmie podsunęły mu notesy.

— Kto to? — wymamrotała jedna z nich, kiedy odchodziły, oglądając podpis Billy'ego.

— Billy jakiśtam — odparła jej koleżanka, również przyglądająca się autografowi. — Czy to nie on jeździł na Byku?

— To najlepszy jeździec w Anglii! — zawołała za nimi Fen.

Billy z żalem pokręcił głową. Fen ujęła go pod ramię.

— Mówiłam, że najwyższy czas na powrót — powiedziała. — Chodź, obejdziemy tor.

Tor wydawał się ogromny. Billy usiadł na trybunie dla zawodników, ściskając w garści colę i zastanawiając się, jak, do cholery, inni są w stanie namówić wierzchowca do przeskoczenia przez tak wysokie przeszkody. Ku wielkiej irytacji Ruperta Jake Lovell przejechał na Macaulayu pięknie i czysto, podobnie jak Fen na Desdemonie.

— Jak widać, sprzyja im szczęście — powiedział Malise. — Czas, żebyś przywrócił równowagę, Billy.

Pomimo dusznego gorąca panującego w arenie Billy zaczął się trząść. Czuł, że biała koszula pod czerwonym płaszczem przemaka od potu. Kiedyś czuł podniecenie i zdenerwowanie, a nie to zimne uczucie ciężaru w żołądku przyprawiające o mdłości i zawroty głowy. Czy wszyscy to widzą? Wsiadając na Trębacza, Billy zauważył dwóch młodych zawodników wymieniających ploteczki. Obaj mieli fryzury à la Jake Lovell. Kiedyś

podziwiali Billy’ego i na pewno obserwowaliby jego przejazd na nowym koniu. Teraz jednak szybko skinęli mu głowami i wrócili do rozmowy.

Billy przekroczył jedną przeszkodę na torze treningowym. O mało nie spadł, więc dał sobie spokój. Boże, wywołują jego numer. Przed oczami zamajaczyła mu twarz Ruperta.

— Chyba mam zainteresowanego sponsora. Jakiś Victor Block z Midlands. To milioner, dorobił się na Cutie Cup, robi staniki i gorsety. Może będziesz musiał przechrzcić Byka na Miseczkę B, ale facet jest sporo wart. Siedzi na widowni, więc niech ci może koń nie odmówi trzy razy przy pierwszej przeszkodzie.

— Jeśli w ogóle do niej dojadę — odparł Billy głucho.

— Na miłość boską, Billy, pospiesz się — warknął steward zawodów. — Następnym razem nie siedź tak długo w barze.

Wjeżdżając na start, Billy poczuł, jak ogarnia go panika. Nie powinien był się godzić na te zawody. Siodło było twarde, zupełnie nieznajome, w nogi chwycił go skurcz, pozbawiając je siły. Nie potrafił przylgnąć do skóry siodła i stopić się z nią w jedno, dłonie na wodzach były pozbawione czucia, ciężkie, bez żadnej elastyczności. Kiedyś Billy od razu przejmował rytm kroków konia, teraz podskakiwał na siodle jak worek cementu.

— A oto Billy Lloyd-Foxe na Dougallu. Wspaniale, absolutnie wspaniale znów cię widzieć, Billy. Przywitajmy go gromkimi oklaskami!

Oklaski, chociaż niepewne, zdenerwowały niedoświadczonego Trębacza. Pierwsza przeszkoda wznosiła się przed nimi jak wieża. Billy desperacko usiłował utrzymać równowagę, trzymając sztywno wodze, przeszkadzając koniowi, wybijając go z rytmu. Trębacz trącił drążek, który zadrżał, ale nie spadł.

— Boże! — jęknęła Tracey, wbijając sobie paznokcie w dłonie. — Och, niech pojedzie lepiej, a nie gorzej!

— Czy to jego miałbym sponsorować według ciebie? — zapytał Victor Block. — Nie wygląda zachęcająco.

— Zaczekaj — odparł Rupert, starając się nie okazywać ogromnego niepokoju.

Trębacz podjechał do drugiej przeszkody, szarpiąc głową. Billy poczuł, że koń się uspokaja, ocenia wysokość przeszkody, unosi się w powietrze i z wielkim wysiłkiem prześlizguje nad przeszkodą.

— Wybacz! — powiedział zaskoczony Billy, śląc w niebo modlitwę dziękczynną.

Teraz już trzymał wodze swobodniej, gniadosz przyspieszył, stawiając na rozjeżdżonym piasku długie, niezgrabne kroki. Nagle Billy poczuł, że wraca do niego dawna pewność siebie. Przeszkoda za przeszkodą uciekały w tył. Teraz wreszcie jechał, pomagając koniowi, a nie przeszkadzając mu. Trębacz skakał wspaniale, serce Billy'ego pęczniało z wdzięczności. Nie zważał na rosnący aplauz. Wybił się do skoku za daleko od muru, ale jej krwawa czerwień przemknęła pod nim — Trębacz przeskoczył ją z zapasem trzydziestu centymetrów.

— Co za koń, co za koń! — musiał go wstrzymać przed podwójnym okserem, ostatnią przeszkodą. Na moment wróciło zdenerwowanie, ale teraz już dał koniowi możliwość dostosowania tempa. Przeskoczyli czysto. Rozległy się grzmiące wiwaty.

Billy skoncentrował się na doskonale czarnych splotach Trębacza, żeby nie stracić kontroli. Zawrócił konia i pojechał do wyjścia. Po drodze minął Guy de la Toura, który uśmiechał się do niego szeroko.

— Dobra robota, *mon ami*, dobra robota — powiedział, podjechał do Billy'ego, podał mu rękę, przechylił się w siodle i pocałował w oba policzki.

Widzowie znów zaczęli wiwatować. Billy, syn marnotrawny, powrócił.

Pan Block odwrócił się do promieniejącego Ruperta.

— Chyba miałeś rację. Zostanę jego sponsorem. Ale będę musiał zorganizować całą stronę finansową, więc na razie niech jeździ dalej.

W kolejnej rundzie Jake miał najlepszy czas, Rupert był drugi, Guy trzeci, a Fen czwarta. Billy, nie chcąc przemęczyć młodego konia, był piąty. Kiedy Jake wjeżdżał z powrotem na arenę po rozetkę i puchar, a za nim kolejni zawodnicy, Rupert odwrócił się do Billy’ego.

— Musiałem ściągnąć cię z powrotem na tor — powiedział. — Ktoś z nas musi przełamać szczęśliwą passę tego cholernego cygańskiego bękarta.

37

KAŻDA DOBRA PASSA KIEDYŚ SIĘ KOŃCZY. Po pełnym sukcesów marcu, kiedy zgarnął całą pulę nagród w Antwerpii, Dortmundzie i Mediolanie, Jake przyjechał na wielkanocne spotkanie w Crittleden, na którym na ogół miał pecha od czasu śmierci Żeglarza. Przez dwa tygodnie poprzedzające zawody ciągle padało i tor znów przypominał Sommę.

Na pierwszym dużym konkursie Macaulay, który prawdopodobnie był już nieco zmęczony, poza tym nie lubił skakać w ulewie, poślizgnął się przy trzeciej części kombinacji, uderzył piersią w drążki i przekoziołkował. Zdrowa noga Jake'a posłużyła za bufor między ziemią a półtonowym zwierzęciem. Widzowie do dzisiaj przysięgają, że słyszeli przerażający trzask łamanych kości. Macaulay zdołał od razu wstać, nie depcząc przy tym jeźdźca, po czym otrząsnął się z resztek kolorowych drążków i podpór. Większość koni uciekłaby galopem, ale Macaulay, czując, że stało się coś złego, delikatnie trącał swojego pana, spoglądając na niego z poczuciem winy i niepokojem, a potem odwracając się za siebie ze spryskanym błotem pyskiem, jakby mówił: „Nie widzicie, że potrzebna pomoc?".

Humpty Hamilton pierwszy dopadł leżącego.

— No już, Gyppo, zbieraj się — powiedział żartobliwie. — Mamy tu konkurs skoków.

— Moja cholerna noga — wycedził Jake przez zęby, po czym zemdlał.

Odzyskał przytomność, kiedy nadeszli ratownicy z karetki. Zwykle w takich sytuacjach luźno chodzący koń bardzo przeszkadza, ale Macaulay bardzo go pocieszył, stojąc nieruchomo, podczas gdy Jake chwycił go za wielką nogę, żeby powstrzymać krzyk. Koń spoglądał na niego ze

wzruszającą troską. Trzymał się jak najbliżej, kiedy pobladłego Jake’a, zagryzającego z bólu wargi, zanoszono do ambulansu.

Fen rzuciła jedno spojrzenie na izbę przyjęć w szpitalu w Crittleden i zadzwoniła do Malise’a przebywającego akurat w Londynie.

— Jake złamał zdrową nogę — wyszlochała do słuchawki. — Ten szpitalik chyba nie powinien się tym zajmować.

Malise zgodził się z nią, przyjechał, porozmawiał z kilkoma osobami, po czym Jake został natychmiast przewieziony do szpitala Motcliffe w Oksfordzie. Prześwietlenie wykazało zmiażdżenie rzepki i pięć złamań nogi. Najlepszy specjalista ortopeda w kraju przebywał akurat za granicą, ale świadomy, że od niego zależy los bohatera narodowego, przyleciał od razu i przeprowadził sześciogodzinną operację. Później poinformował czekających dziennikarzy, że jest w miarę zadowolony z wyniku, ale być może konieczna będzie kolejna operacja.

Odchodzącej od zmysłów Tory udało się zorganizować opiekę dla dzieci i dojechać do szpitala w chwili, kiedy Jake wyjeżdżał z sali operacyjnej. Przez pierwsze dwie doby podawano mu silne środki przeciwbólowe. Półprzytomny, z rosnącą gorączką, wciąż majaczył.

— Czy ktoś z jego krewnych służył w marynarce? — zapytała siostra oddziałowa, lekko zakłopotana. — Wciąż mówi o jakimś żeglarzu.

Tory pokręciła głową.

— Żeglarz to był koń — wyjaśniła.

— Kiedy znów będę jeździł? — brzmiało pierwsze pytanie Jake’a po odzyskaniu przytomności.

Malise stał się oparciem dla Tory. To on i specjalista ortopeda, Johnnie Buchannan, powiedzieli Jake’owi o tym, co go czeka, gdyż Tory nie mogła się zdobyć na odwagę.

Johnnie Buchannan usiadł ostrożnie na brzegu łóżka pacjenta, starając się nie wstrząsać złamaną nogą, podniesioną na wyciągu.

— Jest pan bardzo popularny — zaczął, obrzucając wzrokiem masę kwiatów w pokoju i stojące przed drzwiami kosze wypełnione kopertami, które czekały na otwarcie. — Od czasu, kiedy był u nas James Hunt, nie widziałem takiej korespondencji.

Jake, z twarzą poszarzałą i ściągniętą z bólu i zdenerwowania, nawet się nie uśmiechnął.

— Kiedy znów będę mógł jeździć?

— Nie chcę pana przygnębiać, ale na pewno nie wcześniej niż za rok.

— Co takiego? — wyszeptał Jake pobielałymi wargami. — To koniec. Nie wierzę! — nagle wpadł w histerię. — Mogę już wstawać i iść do domu! — spróbował się podnieść i ściągnąć nogę z wyciągu, ale tylko wydał stłumiony okrzyk bólu i opadł ze łzami bólu i frustracji.

— Boże, to niemożliwe — wymamrotał. — Muszę przecież pracować.

Malise wyjął papierosa z pudełka przy łóżku, włożył Jake’owi do ust i zapalił.

— Omal nie straciłeś tej nogi — powiedział łagodnie. — Gdyby nie Johnnie, nigdy byś już nie chodził, nie wspominając o jeździe. Druga noga, osłabiona po polio, nie utrzymałaby ciężaru ciała. Musisz najpierw porządnie wyleczyć tę nogę.

Jake pokręcił głową.

— Nie chciałem wyjść na niewdzięcznika. Tylko że ja z tego żyję. Jeśli nie będę jeździł, będę zrujnowany.

— Nie — odparł Johnnie Buchannan. — Jeśli kość dobrze się zrośnie, wyjdzie pan do domu za pięć lub sześć miesięcy i będzie pan mógł prowadzić stajnię z wózka. Jeśli nie strzeli pan żadnej głupoty i poważnie

podejdzie do rehabilitacji, za rok o tej porze być może znów będzie pan jeździł.

Jake spojrzał na nich, nie chcąc okazywać przepełniającej go rozpaczy. Wzruszył ramionami.

— No dobrze, i tak nic nie zrobię. Powiedzcie Fen, żeby wypuściła konie. Przyda im się wypoczynek.

— Czy nie idziesz za daleko? — zapytał Malise.

— Nie — odparł Jake ponuro. — Kto będzie na nich jeździł?

Dla pracoholika, jakim był Jake, niemal gorsza od bólu okazała się przymusowa bezczynność. Leżąc w łóżku, godzina po godzinie przyglądał się, jak listki wysuwają się powoli z ostrych zielonych pąków jaworów, a rzędy żonkili uginają pod uderzeniami zimnego wiatru. Nie miał nic do roboty. Rozpaczliwie tęsknił za domem, za Tory i dziećmi, Fen i końmi oraz Wilkiem. szpitalna sytuacja, w jakiej się znalazł, przejmująco przypominała mu czas, który spędził w dzieciństwie w szpitalu, chory na polio. Matka rzadko go wtedy odwiedzała. Może miała wyrzuty sumienia, że nie zadała sobie trudu, by go zaszczepić?

Przy swoim pedantycznym, pełnym rezerwy i skrytym charakterze nie mógł się pogodzić z całkowitą zależnością od pielęgniarek. Krępował go rytuał mycia gąbką w łóżku i podawania kaczki. Leżał w tej samej pozycji, z nogą zawieszoną na wyciągu, i nie mógł spać. Stracił apetyt. Marzył o tym, żeby zobaczyć dzieci, ale Tory trudno było je przywozić, gdyż szpital leżał sto dwadzieścia kilometrów od domu. Kiedy zaś już je przywoziła, Jake czuł się tak zmęczony i osłabiony, że nie mógł wytrzymać ich gwaru dłużej niż przez kilka minut i wkrótce zaczynał na nie powarkiwać. Chętnie poprosiłby Tory, żeby przyjechała się nim zająć, ale duma mu na to nie pozwalała, poza tym Tory i tak miała już pełne ręce roboty przy dzieciach i prowadzeniu stajni.

W piątek rano odwiedziła go Fen. Przepełniony rozpaczą Jake potraktował ją tak niegrzecznie, że dziewczyna wyszła zapłakana. Męczony wyrzutami sumienia był w kiepskim nastroju, kiedy po południu wpadł Malise i przyniósł mu trzy powieści Dicka Francisa, biografię słynnego konia Red Ruma, butelkę brandy oraz najnowszy numer „Horse and Hound”.

— Dali cię na okładkę — powiedział do Jake’a. — A wewnątrz jest relacja z wypadku. Piszą o tobie naprawdę miłe rzeczy.

— Pewnie uważają, że się już skończyłem — odparł Jake nadąsany. — Ale dziękuję.

— Mam dla ciebie propozycję.

— Jestem żonaty — warknął Jake.

— Chodzi o Fen. Skoro ty nie możesz jeździć, to może ją puść na zawody.

— Nie wygłupiaj się. Jest za młoda.

— Ma siedemnaście lat — odparł Malise. — Pamiętasz Pat Smythe i Marion Coakes? Jest naprawdę dobra, potrzebuje tylko doświadczenia za granicą.

— Nie chcę, żeby woda sodowa uderzyła jej do głowy. Zresztą jest wyjątkowo roztargniona. Jeśli jej nie powiem, co ma robić, zapomni własnej głowy.

— Twoje konie nie sprawiają trudności — przekonywał Malise. — Macaulay ją uwielbia. Jeździła na Laurelu i Hardym, a Desdemona ostatnio chodzi jak w zegarku.

— Nie — upierał się Jake, sięgając po papierosa.

— Ale dlaczego? Doprowadziłeś swoje konie do szczytowej formy, masz dwójkę stajennych, którym musisz płacić. Dlaczego chcesz to wszystko zmarnować i leżeć tutaj, zamartwiając się? Daj jej spróbować. To twoja uczennica, ty ją prowadziłeś. Nie wierzysz w nią?

Jake poprawił się nieco, sycząc z bólu.

— Kiepsko, co?

Jake pokiwał głową.

— Możesz mi nalać?

Malise wlał trochę brandy do papierowego kubka.

— Będziesz miał czym się zająć. Fen może do ciebie dzwonić co wieczór, niezależnie od tego, dokąd pojedzie.

— A dokąd miałaby jechać?

Malise nalał sobie również jednego na odwagę.

— Do Rzymu. Potem wróci na królewskie zawody w Windsorze, potem pojedzie do Paryża, Barcelony, Lucerny i Crittleden.

— Nie! — powiedział Jake z naciskiem.

— Dlaczego nie?

— Jest za młoda. Nie puszczę młodej dziewczyny za granicę samej z takimi wilkami jak Ludwig, Guy czy Rupert.

— Ja się nią zajmę. Osobiście dopilnuję, żeby o dwudziestej trzeciej była w łóżku, sama. Fen potrzebuje kilku wyjazdów za granicę, żeby nabrać pewności siebie.

— A jak pojedzie do Rzymu? Zapewne prywatnym samolotem Ruperta?

— Griselda Hubbard ma ciężarówkę na sześć koni. Może bez problemu zabrać dwa albo trzy twoje.

— Griselda Hubbard! — zawołał oburzony Jake. — To już szczyt!

— Pan Punch wyrósł na całkiem dobrego konia — zauważył Malise.

— Ale nie z Griseldą w siodle. Fen jest znacznie lepsza.

— No właśnie — przytaknął Malise. — Dlatego chcę ją tam zabrać.

W Mill House Fen starała się odpędzić od siebie najczarniejsze myśli i pocieszyć Macaulaya. Od upadku Jake’a minął niemal tydzień, a koń wciąż nie mógł się uspokoić. Nie chciał jeść, nocami chodził po boksie. Kiedy

tylko na moście rozlegał się dźwięk ciężarówki albo kroki na podwórku, podbiegał do drzwi i rżał z nadzieją, po czym odwracał się rozczarowany. Odkąd Jake uratował go na Bliskim Wschodzie, koń się z nim nie rozstawał nawet na jeden dzień. Fen próbowała go wypuścić na dwór z pozostałymi końmi, ale on tylko stał przy bramie, drżąc pod derką i czekając, żeby go wpuszczono z powrotem. „Biedny Mac — myślała Fen — i ja też biedna". Od czasu mistrzostw świata często myślała o Dinie Ferrantim z nadzieją, że latem spotka go znów na torze. Teraz, skoro Jake kazał jej wypuścić konie ze stajni i wyjazdy za granicę zostały odwołane, będzie musiała zadowolić się zabraniem Desdemony na jakieś błahe miejscowe zawody, według Jake'a leżące w granicach jej możliwości.

Po południu zadzwonił atrakcyjny dziennikarz, którego poznała w Olympii, z propozycją wyjazdu do Cherbourga na imprezę w sobotni wieczór. Fen musiała odmówić, tak jak wciąż odmawiała spotkań i imprez, gdyż w stajni co chwilę coś się działo. Teraz, kiedy Jake leżał w szpitalu, musiała wziąć na siebie wielokrotnie większą odpowiedzialność. Hardy, który nażarł się wiosennej trawy, nagle dostał ciężkiego ataku kolki. Zaprowadzony z powrotem do stajni od razu upadł na ściółkę, a kiedy nie mógł wstać, Fen tak się przestraszyła, że musiała zadzwonić po weterynarza. Niejakim pocieszeniem był fakt, że gdy następnego ranka przyszła do już zdrowego konia, ten nie próbował jej jak zwykle ugryźć, ale delikatnie trącił głową i polizał w dłoń.

Na dodatek Jake zachowywał się wyjątkowo nieznośnie, kiedy odwiedzała go w szpitalu. Wiedziała, że to skutek depresji, ale czasami trudno było zdobyć się na wyrozumiałość. W końcu jeszcze był to trzeci wolny wieczór w tygodniu dla Sarah, nowej stajennej. Sarah była świetną stajenną i wyjątkowo atrakcyjną dziewczyną z długimi czarnymi włosami, które nigdy się nie przetłuszczały, oraz z nieskazitelną kremową cerą, której

nigdy nie oszpecił pryszcz. Była również twarda. Odrzuciła propozycję pracy u Guy de la Toura, gdyż oferowano jej za niską pensję. U niego oczekiwano pracy dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, a w nagrodę można było dać się przelecieć hrabiemu, jeśli miał na to ochotę. Zamiast tego Sarah przyjęła propozycję Jake'a.

— Twój szwagier — powiedziała do Fen — ma swoje nastroje i woli czworonogi od ludzi, ale przynajmniej uczciwe płaci i daje dużo wolnego.

„Chyba że się jest jego rodziną" — pomyślała ponuro Fen, odprowadzając wzrokiem wystrojoną Sarah, która swoim błękitnym sportowym wozem jechała na imprezę.

Znów wróciły do niej słowa Dina o tym, że trzeba się rozerwać, a nie tylko siedzieć w magazynku na uprząż. Miała dość cholernych koni. Chciała się zabawić.

Z kuchni napłynął cudowny aromat zapiekanki z kurczaka. Fen zerknęła na zegarek i z zaskoczeniem stwierdziła, że jest wpół do dziesiątej. W domu zastała Tory układającą koperty w stos. Siostra cały wieczór spędziła, odwołując występy na zawodach i układając rachunki w kolejności od najbardziej pilnych.

— Biedactwo, wyglądasz na wykończoną — powiedziała do Fen. — Napijmy się przed kolacją.

— A stać nas na to? — zapytała Fen, zerkając na rachunki.

— Chyba tak — odparła Tory. — Na razie jeszcze tak. Denerwuje mnie tylko to, że zapłaciliśmy już z góry za stajnie na konkursach zagranicznych, a teraz nie będziemy z nich korzystać.

Fen otworzyła butelkę czerwonego wina, nalała do dwóch kieliszków, po czym skuliła się przy piecu. Chociaż był już koniec kwietnia, nadal panował chłód. Wilk, który tęsknił za panem jeszcze bardziej niż Macaulay, wskoczył jej na kolana.

— Jak tam Mac? — zapytała Tory, odsączając brokuły.

— Wciąż nie chce jeść. Cały rytm dnia mu się zawalił. Auć! — pisnęła Fen, gdyż Wilk na dźwięk samochodu na podjeździe zeskoczył jej z kolan, długimi pazurami drapiąc ją w uda. Pies wybiegł tylnymi drzwiami i ujadając gorączkowo, pognał na podwórko.

— Kto to może być? — zdziwiła się Fen.

— Wilk go zna — odparła Tory. — Przestał szczekać.

— Mogę wejść? — rozległ się głos Malise'a.

— Cholera — wymamrotała Fen. — Pomyśli, że już zjadłyśmy i będzie nas zanudzał godzinami.

— Dzień dobry — powiedziała Tory, rumieniąc się ze swoją zwykłą nieśmiałością. — Trafiłeś idealnie. Właśnie otworzyłyśmy butelkę. — nalała do trzeciego kieliszka.

Malise usiadł przy długim, porysowanym stole, ciesząc się ciepłem, podziwiając rysunki dzieci i wycinki zdjęć koni z gazet na tablicy korkowej, obok pokaźnej liczby rozetek z tego roku, które już nie mieściły się w magazynku na uprząż. Spojrzał na stos kopert.

— Napracowałaś się.

— Odwołuję zawody — powiedziała Tory. — Może uda się odzyskać chociaż część pieniędzy. Zostań na kolacji — poprosiła. — Mamy mnóstwo jedzenia.

— Na pewno nie wystarczy — bronił się Malise.

— Tory zawsze gotuje dla całej armii i zawsze pysznie — wtrąciła Fen.

Malise nagle uświadomił sobie, że cały dzień nic nie jadł.

— W takim razie z przyjemnością zostanę.

— To tylko kurczak — powiedziała przepraszająco Tory.

— Ja wyjmę — zaofiarowała się Fen. „Cała Tory" — pomyślała, wyjmując z piecyka cztery ogromne pieczone ziemniaki i dużą niebieską

brytfannę zapiekanki.

— Ładna kuchnia — powiedział Malise, kładąc masło na ziemniaka. — Jak się miewa Macaulay?

— Jest zrozpaczony — westchnęła Fen. — Brakuje mu zawodów. Gdy tylko usłyszy dźwięk telefonu, leci z pola do stajni.

— To pyszne, Tory — pochwalił Malise. — Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak zgłodniałem. A przy okazji, właśnie wracam od Jake'a.

— Miło, że go odwiedziłeś. Jak się czuje?

— Nieciekawie, jest sfrustrowany i znudzony.

— Wciąż go tak bardzo boli? — zapytała Tory.

— Owszem, ale podsunąłem mu coś, co pomoże mu zapomnieć o nodze. Fen, jutro sprowadź konie do stajni. Jake zgodził się puścić cię na zawody.

— Biedny Jake — mówiła Fen. — Rano u niego byłam, wyglądał okropnie. Co mówiłeś? — zamarła z marchewką na wpół uniesioną do ust.

— Jake puścił cię na zawody.

— Jakie? — wyjąkała Fen.

Malise się roześmiał.

— W Rzymie, Paryżu, Windsorze, Barcelonie, Crittleden i Lucernie. Tak na początek.

Fen otworzyła buzię i znów ją zamknęła. Odwróciła się do Tory.

— To prawda? — zapytała.

Siostra objęła ją ze śmiechem.

— Skoro Malise tak twierdzi, to pewnie tak.

— Ale nie stać nas na to.

— Właśnie że stać. Pojedziesz w drużynie brytyjskiej, więc koszty zawodów my ponosimy, a jeśli jestem dobrym prorokiem, to wkrótce zaczniesz zarabiać.

Fen spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Dziękuję — wydusiła z siebie, po czym skoczyła na równe nogi, potknęła się o Wilka i wybiegła na podwórko, mamrocząc, że musi powiedzieć o tym Macaulayowi.

— Boże, wybacz — modliła się, zatapiając twarz w grzywie wierzchowca — kiedy mówiłam rano, że chcę rzucić skoki, wcale tak nie myślałam.

Następnego dnia Fen załadowała Macaulaya na ciężarówkę i zawiozła do Oxfordu. Nie pytając nikogo o pozwolenie, wypuściła go na Woodstock Road i przejechała przez szmaragdowy, gładki jak stół bilardowy szpitalny trawnik, beztrosko depcząc klomb ciemnoczerwonych kwiatów, po czym podjechała prosto do okna sali Jake’a.

Jake, zatopiony w ponurych rozmyślaniach, na widok wielkiego białego pyska z białkiem oka spoglądającego na niego przez szybę uznał, że ma zwidy. Na szczęście był to akurat okres spokoju, siostra oddziałowa wyszła na obiad, pacjenci odpoczywali, a ładna siostra Wutherspoon, fanka skoków, przesunęła łóżko do samego okna. Spotkanie Jake’a z koniem poruszyło wszystkich. W pierwszej chwili Macaulay nie wierzył, że widzi pana, rżał uszczęśliwiony, po czym przytulił pysk do piżamy Jake’a i zaczął go lizać po twarzy i piżamie swoim wielkim, różowym, szorstkim językiem. Przez moment Jake nie mógł wydobyć z siebie głosu, ale w końcu jego twarz nabrała nieco koloru, kiedy zaczął karmić Macaulaya winogronami, czekoladą i jabłkiem. Wieść wkrótce rozeszła się po szpitalu i w sali zebrał się tłum pielęgniarek, które przyszły pogłaskać, a nawet zrobić sobie zdjęcie z mistrzem świata, uszczęśliwionych radością na twarzy Jake’a. Jego powolny powrót do zdrowia i depresja martwiły wszystkich. W samym środku zgromadzenia do sali weszła siostra oddziałowa i pielęgniarki uciekły. Na szczęście ona też lubiła skoki.

— Na ogół nie pozwalamy na odwiedziny poza wyznaczoną porą, panie Lovell, ale dla Macaulaya chyba możemy zrobić wyjątek.

Po dwudziestu minutach Fen zapakowała Macaulaya z powrotem na przyczepę, a sama wróciła do Jake’a. Dziękowała mu wielokrotnie za to, że pozwolił jej jechać i obiecała dzwonić co wieczór.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— W piątek rano. Grisel po mnie przyjedzie.

Przed wyjazdem wpadła do niego jeszcze raz, w drodze do domu z wycieczki do Londynu. Jake, zajęty udzielaniem jej końcowych porad, nie zauważył nawet, że Fen nie zdjęła chustki z głowy.

— Rzym jest trudny — ostrzegł. — Drążki szybko spadają z zaczepów, a wieczorem drzewa wokół areny rzucają cień na drążki, wtedy bardzo łatwo o błąd. Macaulay ma dość słaby wzrok. Jeśli nie będziesz przekonana, nie skacz. Nie spodoba ci się tam, mnóstwo południowców z pistoletami, którzy podszczypują dziewczyny. Nie noś pieniędzy ani paszportu w torebce, bo cię okradną na ulicy, a wszystkie wygrane składaj od razu do sejfu w hotelu.

— Jeśli jakiekolwiek będą — powiedziała Fen głucho.

— Billy Lloyd-Foxe podobno też wrócił do reprezentacji — mówił dalej Jake. — Jeśli będziesz miała problemy, idź do niego, nie do Malise’a. On jeździ, wie, o czym mówi.

— Byłam bardzo niedobra — powiedziała Fen, kiedy trzy godziny później wróciła do Mill House i zastała Tory w kuchni cerującą szczęśliwe skarpetki siostry. — Kupiłam trzy pary spodni, trzy koszule, dwie sukienki i bikini. Obiecuję, że wszystko oddam w nagrodach. A kiedy mijałam plakat Janey Lloyd-Foxe w metrze, reklamowała swoją kolumnę w gazecie, to narysowałam na nim wąsy i dopisałam pod spodem „suka”.

— Mam tylko nadzieję, że nikt cię nie widział — powiedziała zaniepokojona Tory. — Spójrzmy, co tam nakupiłaś.

— Poszłam jeszcze do fryzjera — dodała Fen mimochodem. — Założyłam chustkę, bo bałam się, że Jake’owi odpali. Trochę się przyklepały.

Zdjęła chustkę. Tory zagapiła się na nią z otwartymi ustami. Rano Fen wyszła z domu z ciemnymi włosami niemal do pasa, teraz były rozjaśnione pasemkami i ścięte ledwie do kilku centymetrów. Wiły się w kędziorach wokół głowy i schodziły w dół na kark. Przez ostatnie dziesięć dni, odkąd dowiedziała się o wyjeździe, Fen przeszła na ostrą dietę i teraz ważyła najwyżej pięćdziesiąt kilogramów. Po diecie sałatkowej krostki jej znikły, nowa fryzura podkreślała coraz wydatniejsze kości policzkowe, lśniące, skośne niebieskie oczy i długą, szczupłą szyję.

— Przepraszam — Fen zwiesiła głowę — ale myślałam, że tak będzie łatwiej.

„Z pewnością nie będzie jej łatwiej utrzymać facetów na odległość” — pomyślała Tory. Malise będzie musiał się przestawić na rolę przyzwoitki. Nagle, z ukłuciem bólu i radości jednocześnie, uświadomiła sobie, że Fen już nie jest dzieckiem, jej małą siostrzyczką. Niemal od rana wyrosła na piękność.

— Wyglądasz wspaniale — powiedziała z bojaźnią. — Masz niesamowitą fryzurę.

Fen uśmiechnęła się z ulgą.

— Griselda zacznie się do mnie kleić!

38

FEN RZADKO DARZYŁA KOGOŚ TAKĄ ANTYPATIĄ jak Griseldę Hubbard. Umówiwszy się z nią na wpół do szóstej, Griselda podjechała jeszcze po ciemku, za piętnaście piąta, kiedy Fen karmiła Desdemonę i Macaulaya. Nie dała się zaprosić na kawę, siedziała, bębniąc palcami w kierownicę swojej wielkiej ciężarówki, spoglądając na nieskazitelnie posprzątane podwórko tak, jakby to był chlew, wywołując panikę Fen i rujnując kompletnie jej wyliczony co do minuty harmonogram przygotowań. Macaulay nie znosił zbyt wczesnego wsiadania do samochodu, Sarah również nie dała się pogonić przy suszeniu włosów.

— Jeśli ich nie wysuszę, będę miała siano na głowie — powiedziała w odpowiedzi na gorączkowe prośby Fen.

— Co to jest, do licha? — zapytała Griselda, kiedy Fen wniosła do ciężarówki wielki słój landrynek cytrynowych, który zajął sporą część bardzo niewielkiej przestrzeni w schowku.

— Macaulay dostaje je w nagrodę, kiedy dobrze skacze.

— Optymistka — mruknęła Griselda lekceważąco. Była nie tyle gruba, ile mocno zbudowana, jak bulterier, miała ogromne tłuste uda opięte rudymi dresami oraz twarz o twardych rysach z trwałą na krótkich ciemnych włosach, małe czarne oczy i całkiem widoczny wąsik nad górną wargą. Wyglądała na wiek zupełnie nieokreślony, między trzydzieści a czterdzieści pięć lat, a w rzeczywistości liczyła sobie dwadzieścia osiem.

— Nie usiądę przy niej — wymamrotała Sarah.

Georgie, stajenna Griseldy, była tak szczupła i żylasta jak Griselda solidna. Miała ostry nos, załzawione niebieskie oczy i długi ciemnoblond

warkocz na plecach. Ładowanie okazało się kłopotliwe. Griselda miała cztery konie, ze swoją gwiazdą, Panem Punchem, od strony zewnętrznej.

— Nie pozwolę, żeby ten brutal stanął obok Punchiego — powiedziała, kiedy Fen zaczęła prowadzić Macaulaya po rampie.

— On nawet muchy nie skrzywdzi! — zaprotestowała Fen.

— Punchie to nie mucha — odparowała Griselda. — A Rupert Campbell-Black mówi coś innego. Postaw Desdemonę obok Punchiego.

— Desdemona się boi. Lepiej postawić ją między Makiem a Hardym, Mac zawsze wchodzi pierwszy.

— Słuchaj, jeśli masz ze mną jechać — powiedziała Griselda — musisz przestrzegać moich zasad.

Prowadziła jak prawdziwy kierowca tira. Bez mrugnięcia okiem staranowała dwa krzewy bzu, starannie pielęgnowane przez Tory na trawniku przy bramie. Fen drżała o bezpieczeństwo Desdemony i Macaulaya, kiedy Griselda na autostradzie wyprzedzała jednego tira za drugim. Dojechały do terminalu promowego dwie godziny za wcześnie, co oznaczało długie czekanie. Fen uparła się, żeby nakarmić swoje konie przy dokach, a wtedy ku wielkiej irytacji Griseldy Pan Punch i reszta jej koni zaczęła również domagać się posiłku. Fen z kolei zdenerwowała się na widok kolejnej ciężarówki pełnej zdezorientowanych, spragnionych i beczących cieląt. Kierowca wyjaśnił, że wiezie je na ubój.

— Dlaczego nie można ich zabić w Anglii? — zapytała Fen.

— Przepisy wspólnotowe — odparł kierowca.

— Nie bądź taka sentymentalna — wtrąciła Griselda. — Przecież jadasz mięso.

Na morzu zjadły obiad w restauracji na promie. Griselda zamówiła duży stek.

— Potrzebuję paliwa jako jedyna, która cokolwiek tu robi.

Fen, która umierała z głodu, wzięła solę z grilla, co wydawało się nieco mniej krwiożerczym posiłkiem. Kiedy tylko przyniesiono jej danie, Griselda celowo poprosiła ją, żeby zeszła na dół i sprawdziła, co u koni.

Przez całą trzydniową podróż okazywała Fen jeszcze większą pogardę niż stajennym. Kazała jej służyć za nawigatorkę, a potem wściekła się, kiedy Fen, spoglądająca przez okno na różowo-białe jabłonie i zastanawiająca się, jak, u licha, zdoła przeskoczyć na Desdemonie wszystkie te wysokie przeszkody, które mijały, dwa razy wskazała wjazd na niewłaściwą autostradę.

Co kilkadziesiąt kilometrów Griselda kazała Sarah lub Fen robić sobie kolejną filiżankę mocnej czarnej kawy z trzema łyżeczkami cukru.

Jake zawsze zatrzymywał się po drodze, żeby nakarmić i napoić konie. Griselda wolała posuwać się do przodu.

— Jeśli będziemy się ociągać i napychać je trawą, do nocy nie zdążymy do Fontainbleau. Kto ma ochotę na landrynkę?

— To cukierki Macaulaya! — warknęła Fen.

— I tak wszystkich nie zje. Nic dziwnego, że taki z niego grubas.

— Faktycznie lubi dogryzać innym — mruknęła Sarah do Fen — pewnie wciąż coś podgryza, skoro taka gruba. Co za krowa.

— Podobno ma chłopaka — odparła Fen.

— Ciekawe, skąd go wytrzasnęła.

Wreszcie po dwóch dniach wjechały do Rzymu w porze, kiedy w całym mieście dzwoniły dzwony na Anioł Pański. Fen poczuła się przytłoczona urodą kościołów, posągów, jezior odbijających żółto-turkusowe niebo oraz wielką półokrągłą kopułą Bazyliki świętego Piotra. Po ulicach przewalały się tłumy ludzi spacerujących, plotkujących i fotografujących wszystko. Ruch był przerażający. Griselda jednak jechała dalej, nie zważając na nic, wychodząc z założenia, że jeśli uderzy w ferrari, to jej ciężarówce raczej

nic się nie stanie. Siedząca przy oknie Sarah była obiektem ciągłych zaczepek.

— Zawsze chciałam zakończyć życie w Rzymie — powiedziała zadowolona.

— I tak się stanie, jeśli Griselda nie zwolni — odparła Fen. — Spójrz, jaki piękny park! — Przez szczelinę między domami widziała stary amfiteatr porośnięty na obwodzie palmami.

— To właśnie tor zawodów — wyjaśniła Sarah. — Podobno jest najpiękniejszy na świecie.

Stajnie, należące do koszar, były wspaniałe, duże i przestrzenne boksy umożliwiały koniom wyglądanie na podwórko.

— O, jest Snakepit i Byk — powiedziała Sarah. — Czyli Rupert z Billym już przyjechali.

Fen nagle poczuła zdenerwowanie i zaczęła się zastanawiać, co powiedzą na jej nową fryzurę.

— Cześć! — przywitała się Dizzy, wychodząc z boksu Snakepita. — Przylecieliśmy samolotem, mieliśmy szczęście. Jak podróż? Bardzo ciężka?

— Wspaniała — skłamała Fen, gdyż w pobliżu była Griselda.

— Gdzie mieszka reprezentacja? — zapytała Griselda.

— W hotelu Apollo, zaraz za rogiem — odparła Dizzy.

— Idę — powiedziała Griselda. — Pewnie będziesz chciała rozmieścić konie, Fen. Georgie, możesz zanieść moje walizki do taksówki? I pamiętaj, żeby zamieść pakę dla koni i sprzątnąć kabinę.

— Suka — stwierdziła Fen, oburzonym spojrzeniem obrzucając potężne plecy oddalającej się Griseldy, za którą biegła Georgie, uginając się pod ciężarem walizek. — Wrócimy inaczej — dodała do Sarah — choćbyśmy miały ponieść konie na plecach.

Po sprawdzeniu pustych boksów, czy nie ma w nich wystających gwoździ i drzazg, wysypały je wiórami, po czym nakarmiły i napoiły konie. Macaulay jednak miał ochotę na coś innego. Padł na ziemię, podwijając pod siebie nogi jak wielbłąd, i zaczął się tarzać.

— Boże, jaka jestem zmęczona! Mogłabym spać na ziemi — powiedziała Fen.

— Gdzie zjemy kolację? — zapytała Sarah.

— Za rogiem jest miła trattoria — powiedziała Dizzy.

— Mogę iść z wami? — poprosiła Fen.

— Nie możesz — wpadł jej w słowo Driffield, który sprawdzał swoje konie. — Mieszkasz w Apollo, jak reszta drużyny, i masz z nimi jadać. Chodź, weźmiemy razem taksówkę.

— Masz na myśli to, że razem zapłacimy — wymamrotała Fen pod nosem, świadoma skąpstwa Driffielda. — Co drugą noc możesz spać w pokoju, a ja w ciężarówce — dodała do Sarah.

— Malise na to nie pójdzie — ostrzegł Driffield. — Dostałaś się do reprezentacji i musisz się zachowywać jak jedna z nas.

Hotel Apollo okazał się rozległą żółtą willą o łuszczących się stiukowych ścianach. Ściany korytarza pokrywały stiuki przedstawiające Apolla w różnych przebraniach uwodzącego nimfy, zaskoczone panny i flecistów o włochatych nogach. Mieli do dyspozycji rozchwianą windę, ale Fen wolała wejść szerokimi barokowymi schodami do pokoju na drugim piętrze, który okazał się szczytem luksusu.

Tymczasem na dole, w barze Malise, skrywając rozczarowanie, że Helen w tym roku nie przyjechała do Rzymu, rozmawiał z Billym i Rupertem.

— Potrzebuję waszej pomocy — mówił z niezwykłym żarem. — Fenella Maxwell nie ma jeszcze osiemnastu lat. Tory i Jake boją się panicznie, że uwiedzie ją jakiś południowiec, obiecałem im, że będziemy jej pilnować.

— Tory przesadza — stwierdził Rupert. — Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby Fen musiała się oganiać od wielbicieli.

— Biedny Jake — dodał Billy, spoglądając w swoją colę. — Cholerny pech z tym wypadkiem i to akurat wtedy, kiedy udało mu się wejść na szczyt.

— Muszę mu wysłać kartkę z życzeniami, żeby nie wracał do zdrowia — powiedział przeciągle Rupert. — W zeszłym roku usiłował mnie zabić, pamiętasz?

— Szkoda, że mu się nie udało — powiedział Driffield złośliwie.

Billy tęsknie wspomniał stare czasy, kiedy drinki przed kolacją stanowiły najmilszą część dnia — wtedy czciło się wygraną albo pocieszało po słabym przejeździe. Zaczynało się od piwa dla zaspokojenia pragnienia, a potem szło kilka dużych whisky, nastrój się poprawiał, czekało się na egzotyczne dania podlane dużą ilością wina i kolacja kończyła się kilkoma kolejkami brandy. Życie otaczała różowa mgiełka utkana kwiatami jaskrów. Teraz wszystkie posiłki były przeraźliwie jednakowe, a towarzysze przy stole zachowywali się coraz bardziej głupio lub agresywnie. Pierwszy ból po odejściu Janey ustąpił miejsca tępej, ogłupiającej samotności. Billy nagle stwierdził, że wszystkie zawody są takie same, pokoje hotelowe bezosobowe, podróże ciągną się w nieskończoność. Poprzednio urozmaicały je awantury wszczynane wspólnie z Rupertem albo towarzystwo Janey.

Miejsca, które odwiedzał, przypominały mu o niej i o radosnych wspólnych chwilach. Co wieczór widział, jak pozostali zawodnicy dzwonią do domu, do rodzin i opowiadają o swoich sukcesach i porażkach. On nie miał do kogo dzwonić, nikogo nie obchodziło, czy wygrał, czy przegrał, oprócz wierzycieli, których sukcesywnie spłacał. Pieniądze z każdej drobnej wygranej przekazywał panu Blockowi, który zatrzymywał to,

czego Billy potrzebował na życie, odliczał swoją część i przekazywał resztę do urzędu skarbowego. Właściwie, jeśli uda mu się wrócić do formy i wygrać jakieś pięć porządnych konkursów, będzie w stanie spłacić wszystkie długi. Po tym, jak Janey wniosła pozew o rozwód, matka Billy'ego, nie tając swojej ulgi, przyszła mu z pomocą — dała synowi niezbyt wiele, ale kwota była wystarczająca, by zapłacić najpilniejsze rachunki. Rupert zachował się wspaniale. Spoglądając na niego — dumnego ojca pokazującego Malise'owi zdjęcia rocznej Tabithy — Billy poczuł falę gwałtownej wdzięczności za jego wsparcie i życzliwość. W przeciwieństwie do większości innych Rupert nigdy nie namawiał go do picia.

Jego zamyślenie przerwał głos Malise'a.

— Mam nadzieję, że powrót tutaj nie przygnębi cię za bardzo — powiedział cicho. — Lubię ten hotelik, chociaż jest nieco staroświecki.

Billy się uśmiechnął.

— Nie, wszystko w porządku. — to również należało do gry. Trzeba udawać pogodę, nie pokazywać, że ma złamane serce.

Wskazał jakąś groteskową postać na fryzie biegnącym wokół baru.

— Co przeskrobał ten biedak?

— Zgwałcił matkę Apollina. Został przykuty do skały, żeby ptaki wydziobywały mu wątrobę.

— Prawie jak moja w dawnych czasach — odparł Billy.

— Jeszcze coli? — zapytał Malise.

— Nie, dziękuję. — Billy spojrzał na potężną Griseldę Hubbard w czerwonym dresie. Co za obrzydliwie brzydka świnia, i już obgaduje biedną, małą Fen.

— W ogóle nie radzi sobie z mapami, poza tym wciąż próbowała mnie przekonać, żebyśmy się zatrzymały na popas dla koni. Gdybym jej

posłuchała, jeszcze nie przejechałybyśmy Francji. Jake chyba zwariował, żeby takiemu mięczakowi pozwolić jeździć. Za tydzień czy dwa konie wejdą jej na głowę. Nie ma w ogóle poczucia hierarchii, traktuje swoją stajenną jak równą, a nawet lepszą od siebie. Tylko patrzeć, a stajenna i oba konie wprowadzą się do niej do hotelu na telewizję.

— Mam nadzieję, że dostaniemy tu jedzenie angielskie — wymamrotał posępnie Driffield, bawiąc się pustym kieliszkiem i rozglądając się wokół z nadzieją, że ktoś postawi mu drinka.

Rupert i Malise omawiali spadającą oglądalność.

— Powinni zwolnić Dudleya, to palant. Potrzebujemy na torze jakiegoś prawdziwego ciacha.

— I kto to mówi — parsknął Driffield.

— Nie fanki, nie kogoś walczącego o uwagę, tylko pięknych zawodniczek.

— Jak Lavinia — podsunął Malise.

— Nie była ani dość dobra, ani dość ładna — stwierdził Rupert.

— Ehm... — chrząknął Billy.

— Poza tym wyszła za żabojada. Mam na myśli kogoś w rodzaju Ann Moore albo Marion Coakes. Kogoś, z kim utożsamią się wszystkie nastolatki uwielbiające kucyki. To one zapełniają trybuny i ściągają swoich rodziców.

— Może Fenella Maxwell? — zastanawiał się Malise.

— Gdyby straciła jakieś pięć kilogramów i większość wyprysków...

— Dzięki, Rupert! — rozległ się przenikliwy głos.

Wszyscy się odwrócili.

— Mamma mia! — powiedział Billy.

— Chryste! — zawołał Rupert. — Faktycznie wyrosłaś.

Fen świdrowała ich spojrzeniem dużych oczu jak u fauna, w koszulce koloru morza wpuszczonej w takie same szorty, w espadrylach na długich, gładkich, brązowych nogach. Jej ścięte na jeża jasne włosy były jeszcze wilgotne po prysznicu. Gładkich brązowych policzków nie znaczył ani jeden wyprysk, tylko delikatny róż. Wyglądała jak czujny, ale przepiękny ulicznik.

„Boże, jak ja mam być przyzwoitką kogoś takiego, i to w Rzymie?” — pomyślał Malise.

Z uwagi na późną porę poszli prosto na kolację. Ivor Braine i, co dziwne, Driffield obaj starali się usiąść obok Fen. Ivor kruszył w dłoni kawałki chleba i gapił się na nią z otwartymi ustami. Cała drużyna, oprócz Griseldy, która najwyraźniej poczuła się przyćmiona, byli dla niej nadzwyczaj mili, pytając o nogę Jake’a, konie i o to, jak się zadomowiła piękna Sarah. Kelnerzy błyskali zębami i kartami dań i wciąż dolewali jej chianti. Od początku diety Fen nie tknęła alkoholu, więc teraz nagle poczuła lekki zawrót głowy.

— Umieram z głodu — powiedziała do Driffielda. — Chyba już nigdy nie spojrzę na grapefruita ani na sałatę.

— Ile schudłaś?

— Dla Ruperta za mało.

Siedzący po przeciwnej stronie stołu Rupert roześmiał się i uniósł w jej kierunku szklankę.

— Przesadziłem. Wyglądasz niezwykle apetycznie. Nie trać ani grama więcej.

— Ja poproszę *fettucine* — odezwała się kwaśno Griselda — a potem *abbacchio al forno*.

— Co to? — zapytał Ivor.

— Jagnię pieczone w całości — odparła Griselda, której ślinka napływała do ust.

„Zapewne jedno z tych jagniąt, które przywieziono tutaj promem — pomyślała Fen. — Cholerni mięsożercy”. Nagle straciła apetyt.

— A co to jest *ucelletti*?

— Małe śpiewające ptaki z rusztu — wyjaśniła Griselda. — Bardzo dobre.

— Boże, co za barbarzyński kraj — powiedział Billy. — Dziwne, że nie robią zapiekanki z tych wszystkich bezpańskich kotów, które biegają po ulicach.

— Mają za mało ciała — odparł Rupert.

W tej chwili podszedł do nich kurier z dwoma telegramami dla Fen. Jeden był od Jake’a i Tory z dziećmi. Kiedy dziewczyna otworzyła drugi, zachłysnęła się i oblała rumieńcem, jednak nie zdążyła schować go do koperty na tyle szybko, by Driffield nie zdołał go przeczytać.

— „Gratulacje i powodzenia. Do zobaczenia latem. Dino Ferranti” — odczytał na głos. — Bratamy się z wrogiem? Co prawda mogło ci się trafić gorzej. Podobno jego ojciec to prawdziwy krezus.

— To nic — wymamrotała Fen. — Poznaliśmy się na mistrzostwach świata i trochę porozmawialiśmy. Zastanawiam się, skąd wie, że jestem w reprezentacji.

Rupert patrzył na nią przez stół z niebezpiecznym błyskiem w oku.

— Co za chytry lisek — powiedział. — W Les Rivaux wyrabiał chyba nadgodziny, bo oprócz ciebie jak szalony biegał za Helen.

— Nie tak bardzo, jak Macaulay za tobą — zaczął Driffield, ale na widok błysku gniewu na twarzy Ruperta przestał. — Przepraszam, niebezpieczny temat.

— Dino — powiedział Rupert, przechylając się i dolewając Fen do kieliszka — latał za Helen nawet w Stanach. Kiedy była u matki, podobno wydzwaniał całymi dniami, próbując namówić ją na randkę.

Fen poczuła, że cały jej dobry nastrój ulatuje. Widząc jej minę, Billy odezwał się szybko:

— Nie znam Dina, ale nie wyobrażam sobie, żeby za kimś latał. Wydaje się zbyt wyluzowany na takie wysiłki.

Kolacja ciągnęła się długo. Fen stwierdziła, że nie jest w stanie dokończyć swojego spaghetti.

— Czy z Billym wszystko w porządku? — zapytała cicho Driffielda. — Stracił całą energię, a włosy ma nawet bardziej siwe niż w Olympii.

— Od tamtej pory nie zaliczył porządnej wygranej — odparł Driffield. — Malise trzyma go w drużynie z powodów sentymentalnych.

— Wciąż jest bardzo atrakcyjny.

— Kto? — zapytał Rupert.

Przez całą kolację jego spojrzenie uciekało do Fen. Nie spotkała przedtem mężczyzny, który potrafiłby gapić się z takim wyrachowaniem i bez żenady jak kot na gniazdo ptaków, które napadnie, kiedy nadejdzie czas.

— Nikt — odparła szybko i odwróciła się do Ivora. — Opowiedz mi o swoim nowym koniu. Naprawdę ma na imię John?

— Chyba straciłeś słuchaczkę, Ivor — zauważył Rupert pięć minut później.

Fen zasnęła twardo z głową opartą na czerwonej macie z rafii.

39

TRZY DNI PÓŹNIEJ FEN DOTARŁA DO ETAPU, kiedy ma się ochotę wrzeszczeć. Tydzień był serią porażek. Przypomniała sobie ostrzeżenie Jake’a, że jego pierwsze zawody z reprezentacją Wielkiej Brytanii zaczęły się katastrofalnie, ale to było jeszcze gorsze. Nie ośmieliła się nawet do niego zadzwonić.

Pierwszego dnia zgłosiła Desdemonę do wyścigu dla koni, które nigdy dotąd nie skakały w Rzymie. Klaczka pogoniła jak wicher, potraktowała trasę z absolutną pogardą, przelatywała nad przeszkodami wyższymi od siebie i dotarła do mety, o kilka sekund wyprzedzając pozostałe konie. Zachwycona Fen natychmiast zeskoczyła z siodła i otoczyła ramionami szyję Desdemony, ku radości widzów.

Zawodnicy drużyny brytyjskiej byli mniej zadowoleni.

— Ty kretynko — powiedział Rupert, kiedy Fen z błyszczącymi oczami sprowadzała Desdemonę z toru. — Właśnie straciłaś tysiaka.

— Ale przecież wygrałam! — zachłysnęła się Fen.

— Owszem, ale zdyskwalifikowałaś konia, zsiadając przed zjazdem z areny.

— Boże! — zawołała Fen. — Des, tak mi przykro! Nie pomyślałam. Co powie Jake?

— Lepiej mu nie mów. Im mniej wie, tym lepiej — podsunął pogodnie Ludwig, który jako zwycięzca z szerokim uśmiechem wjeżdżał na arenę po nagrodę.

Tego samego dnia w ważniejszym konkursie Fen popełniła dwa głupie błędy, co zdyskwalifikowało Macaulaya z wyścigu. Drugiego dnia, gdy

startowały sztafety, Fen została zmuszona do biegu w parze z niechętnie nastawioną Griseldą, gdyż Rupert zawsze jeździł z Billym, a Ivor z Driffieldem.

— Ja jej pokażę! — pieniła się Fen, czekając na Desdemonie z wyciągniętą po pałeczkę ręką, podczas gdy Griselda kłusowała w jej stronę po czystym i zaskakująco szybkim przejeździe na Panu Punchu. Jednak Desdemona miała inny pogląd na sprawę. Pan Punch kilka razy uszczypnął ją mocno w czasie podróży, więc teraz, widząc, jak szybko do niej podjeżdża, uskoczyła gwałtownie z drogi, a Fen zgubiła pałeczkę.

— Co za okropny język! — powiedział roześmiany Rupert, który stał niedaleko. — Jak dobrze, że ci mili Włosi nie rozumieją, co Griselda mówi do Fen.

Z mocnym postanowieniem odkupienia błędów w dużych wieczornych zawodach Fen pojechała tak mocno, że kiedy Macaulay uznał, że nie podoba mu się przeszkoda w kształcie willi rzymskiej i zaczął hamować, Fen wyleciała z siodła jak z procy i przekoziołkowała mu nad głową, co skończyło się wieloma siniakami.

Poprzedniego dnia Malise zorganizował zwiedzanie. Pojechali do Bazyliki świętego Piotra i zobaczyli posąg świętego Piotra o kamiennych stopach wytartych od pocałunków pielgrzymów.

— Byłem tu z Janey — powiedział cicho Billy do Ruperta. — Przysiągłem, że do końca naszego wspólnego życia pocałuję ją więcej razy niż ci wszyscy pielgrzymi ten posąg. Może dlatego odeszła. — starał się mówić żartobliwie, ale Fen usłyszała rozpacz w jego głosie.

Przesądni jeźdźcy chcieli zobaczyć fontannę di Trevi.

— Piękna, prawda? — odezwała się Fen, podziwiając trytony z brązu, bogów i boginie, dzikie konie i spadający potok migoczącej wody.

— Brakuje jedynie Rossana Brazziego — stwierdził Driffield.

— Kto to? — zapytała Fen.

— Grał w *Trzech monetach w fontannie*. Boże, jaka ty jesteś młoda. Jak myślisz — dodał, spoglądając na swoje drobne — czy pens irlandzki też zadziała?

— Nie, to przynosi pecha — odparł Rupert, wrzucając pięćdziesiąt pensów. — Zapewne po zmierzchu zakradniesz się tutaj i wyłowisz ją, Driffield.

Fen wrzuciła dziesięciopensówkę.

„Proszę, fontanno, daj mi tu wrócić z naprawdę miłym chłopakiem, który będzie mnie kochał tak bardzo jak ja jego” — błagała.

Otworzywszy oczy, zobaczyła przy sobie Billy’ego. On też wrzucił do fontanny pięćdziesiąt pensów. Przyglądał się, jak moneta opada na dno i osiada na brązowo-srebrnej podłodze. Poruszał ustami, twarz miał zapadniętą, a w świetle słońca włosy jeszcze bardziej połyskiwały siwizną.

„Chciałby wrócić do Rzymu z Janey — pomyślała Fen. — Biedak, naprawdę biedak”.

W zawodach popołudniowych nie poszło jej lepiej. Teraz zaś o dwudziestej trzeciej wysłano ją do łóżka; Malise uspokajająco zapewniał ją, że nie ma się czym przejmować, wkrótce się opanuje, a teraz powinna się wyspać. Ale jak spać przy dobiegających z ulicy odgłosach zabaw i imprez?

Nastroju nie poprawił jej fakt, że Sarah i Dizzy umówiły się z dwoma amerykańskimi gwiazdami tenisa przybyłymi na zawody rozgrywane równolegle z konkursem skoków. Stajenne przyszły do pokoju Fen, żeby wziąć prysznic, umyć głowę i przebrać się, a potem wyszły w doskonałych nastrojach. Obie wyglądały olśniewająco.

Fen wyszła na balkon. „Jestem w najpiękniejszym mieście świata. Wiosna w pełni, na ulicach pełno zakochanych par, które się całują, trzymają za ręce, pieszczą się, leżą na trawnikach...” — pomyślała. Kiedy

tylko wychodziła, szli za nią przystojni Włosi o palących czarnych oczach, pogwizdując i podszczypując ją w pośladki, ale Rupert, Billy i Malise pilnowali jej tak surowo, że nie zdołała się do nich zbliżyć. Nawet tego wieczoru na przyjęciu zagadnął ją fantastycznie przystojny francuski tenisista. właśnie zapraszał ją na kolację, kiedy podszedł Rupert i kazał mu spadać.

— Co mówiłeś? — zapytał Francuz.

Rupert więc powtórzył mu po francusku jeszcze mocniejszymi słowami, na co Francuz zbladł i wycofał się. No właśnie, jeszcze to. Na mistrzostwach świata Rupert zagadywał ją bardzo niedwuznacznie, ale teraz traktował ją jak wyjątkowo nudną dziewięciolatkę, którą musiał się zaopiekować. Teraz na pewno razem z Billym wyszli na imprezę.

Fen wiedziała, że powinna się rozebrać i iść spać. Było jednak tak gorąco i duszno, że postała jeszcze na balkonie, przyglądając się światłom mrugającym na terenie Villi Borghese. Nawet księżyc owinął się złocistym lureksowym szalem chmurki, jakby on też wybierał się na zabawę.

„Nic w nadmiarze” — brzmiało motto Apollina wyrzeźbione nad drzwiami wejściowymi do hotelu. „A mnie widocznie nie uda się dostać niczego nawet w ilości umiarkowanej — pomyślała nadąsana Fen. — Proszę, Apollo, obiecuję, że nie będę niczego nadużywać. Pomóż mi tylko trochę się zabawić” — błagała.

Jakby w odpowiedzi na tę modlitwę zadzwonił telefon. Fen rzuciła się do słuchawki.

— *Buona notte.*

— Cześć — odezwał się cichy głos — czy to Fen?

— Kto mówi? — zapiszczała, czując, jak jej serce wali.

— Dino. Dino Ferranti.

Fen nagle usiadła na łóżku.

— Halo, halo — powtórzył Dino, ale ona nie mogła wydobyć z siebie słowa. — Fen?

— Tak — wyjąkała. — Jak cudownie cię słyszeć.

— Stęskniłem się, kochana. Dostałaś mój telegram?

— O tak, bardzo miłe z twojej strony. Skąd wiedziałeś?

— Mam swoich szpiegów. Jak ci idzie?

— Niespecjalnie, jeszcze nic nie wygrałam.

— Nie martw się, to paskudny tor. Czy Rupert się do ciebie dobiera?

— Wręcz przeciwnie, wszyscy mnie traktują tak, jakbym była nosicielką tyfusu.

— I tak powinno być — stwierdził Dino.

— Gdzie jesteś?

— W Rzymie.

— W Rzymie! — wiedziała, że musi zachować spokój, ale nie potrafiła opanować radości w głosie.

— Właśnie wpadłem, żeby obejrzeć konia. Jutro wracam. Pewnie już późno i nie miałabyś ochoty gdzieś wyjść, co?

— Ależ bardzo chętnie!

— To wpadnę po ciebie za pół godziny.

Fen nigdy dotąd tak szybko nie myła włosów i nie brała kąpieli. Dzięki Bogu, jeszcze nie zakładała swojej nowej różowej sukienki ani różowych butów, gdyż oszczędzała je na specjalną okazję.

— Wszystko w nadmiarze! — oznajmiła swojemu promiennemu odbiciu, pryskając perfumami ze strefy wolnocłowej na promie wszędzie wokół: na buty, pod kolanami, za uszami i na swój busz.

Miała nadzieję, że Dino nie zniechęci się do niej z powodu krótkich włosów. Żałowała, że nie wystarczyło jej czasu na pomalowanie paznokci u nóg.

Postanowiła nie jechać windą, żeby nie wpaść na Malise’a. Ukradkiem zeszła szerokimi schodami, przytrzymując się poręczy. Kolana się pod nią uginały. Za dwie minuty zobaczy Dina.

Cholera! Na dole stał Rupert z Driffieldem, oglądając drogie swetry w szklanej wystawie. Fen uciekła na górę i wyjrzała przez balustradę. A niech to! Wciąż tam sterczą. Będzie musiała pójść na bezczelnego. Przecież może wyjść na drinka z Dinem. Zeszła na dół i właśnie przekradała się po marmurowej podłodze ku drzwiom wejściowym, kiedy Rupert i Driffield odwrócili się i zgięli ze śmiechu.

— Co jest? — zapytała Fen, mijając ich i unosząc nos do góry.

— Prima aprilis! — powiedział Rupert.

Fen nie zwróciła na nich uwagi i szła dalej.

Rupert dogonił ją i poklepał po ramieniu.

— Prima aprilis.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Stęskniłem się za tobą, kochana. Mówi Dino Ferranti.

Fen spojrzała na niego zdziwiona.

— On już tu jest? Gdzie?

Rupert spojrzał na nią zmrużonymi w szparki oczami, na jego przystojnej twarzy błąkał się okrutny uśmieszek.

— Z tego, co wiem, to w Ameryce.

— Nieprawda — odparła cierpliwie Fen. — Jest w Rzymie. Właśnie do mnie dzwonił.

— Przyjechał obejrzeć konia, a cała brytyjska drużyna traktuje cię tak, jakbyś była nosicielką tyfusu.

Z twarzy Fen odpłynęła cała krew.

— To byłeś ty — wyszeptała.

— No pewnie. I co, nauczyłem się od żony amerykańskiego akcentu?

Fen spojrzała na niego z pogardą.

— Ty gnoju. Jak mogłeś?

Rupert wzruszył ramionami.

— Płacisz frycowe. — zmierzwił jej włosy. — No chodź, postawię ci drinka.

— Zapomnij! — krzyknęła, wybuchnęła płaczem i pobiegła na górę.

Kiedy zdyszana i zapłakana dotarła na drugie piętro, z windy wyszedł Rupert.

— No już, to tylko żart.

— Dla mnie nie! — Fen pobiegła korytarzem, ale kiedy gorączkowo szukała klucza w torebce, Rupert ją dogonił.

— Aniołku, przepraszam. nie sądziłem, że tak cię to dotknie.

— Idź sobie! — wyszlochała. — Nienawidzę cię!

— Pssst — powiedział, biorąc ją w ramiona. — Obudzisz Griseldę i będzie kłopot.

— Przestań — protestowała, waląc go pięściami w pierś, z policzkami zalanymi łzami.

Ale Rupert był dla niej o wiele za silny. Zaczął całować jej drżące usta. przez moment Fen zaciskała zęby, po czym nagle świadoma jego ciepła i życia stopniała i odpowiedziała pocałunkiem. Jej ręce mimo woli przesunęły się na jego mocne ramiona, palce wplotła w gęste lśniące włosy.

— Co wy, do cholery, wyprawiacie? — rozległ się głos.

Fen o mało nie upadła. Rupert ani drgnął.

— A jak to wygląda? — zapytał ostro.

Przestał całować Fen, ale nadal zakrywał ją swoimi ramionami.

— Słuchaj, Malise, to tylko i wyłącznie moja wina, nie jej. Podpuściłem ją, udawałem kogoś innego. Potem poszedłem za nią na górę i eee... trochę się jej ponarzucałem.

— A ona raczej nie stawiała oporu — powiedział zimno Malise.

— To mój nieodparty urok — odpalił Rupert, puścił Fen, otworzył drzwi pokoju i podał jej torebkę, która upadła na dywan. — Idź spać, kochanie. Ja to załatwię.

Malise był w smokingu, właśnie wrócił z teatru. Stali, mierząc się z Rupertem twardymi spojrzeniami.

— No i — odezwał się cicho Rupert — co z tym zrobisz?

— Tym razem nic — odpowiedział Malise. — Ale podziękuj swoim szczęśliwym gwiazdom czy też horoskopom Patrika Walkera, że przyłapałem was na korytarzu. Jeśli to się powtórzy, do końca roku wyeliminuję cię z drużyny.

Rupert nie wyglądał na skruszonego.

— Jest taka słodka, że prawie tego warta — odparł.

Billy, który zapomniał zgłosić się na kolejny dzień zawodów i właśnie wrócił z biura, wpadł we wściekłość, kiedy się dowiedział, co się stało.

— Ty cholerny palancie! — wrzasnął na Ruperta. — Nie widziałeś, jak się rozpromieniła, kiedy dostała telegram? Szaleje za tym chłopakiem, a ty wyciąłeś jej obrzydliwy numer. Kompletnie nie rozumiesz uczuć innych. Jesteś jak jakiś cholerny harcerz na opak, codziennie musisz zrobić komuś świństwo. — po czym wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami. Natychmiast zadzwonił do Fen.

— Jeśli to Rupert, to spadaj.

— Nie Rupert. Wszystko w porządku?

— Idealnie — odparła Fen zdławionym głosem.

— Potrzebujesz ramienia, żeby się wypłakać?

— I znów narazić się Malise’owi! Nie, dziękuję bardzo — powiedziała Fen z tłumionym szlochem i odłożyła słuchawkę.

Do rana jej żal stwardniał w zimną wściekłość skierowaną przeciwko Rupertowi. Zdradziła Jake’a, jak mogła tak się całować i, co gorsza, jeszcze się tym napawać? Dziewica nimfomanka. Z kamienną twarzą i w ciemnych okularach na podpuchniętych oczach poszła popracować przy koniach.

Malise przyszedł popatrzeć, po czym zaprosił ją na kawę.

„Może nawet odeśle mnie do domu” — pomyślała Fen ponuro.

Malise jednak chciał jej tylko powiedzieć, że nie została wybrana do Pucharu Narodów. Ivor Braine naciągnął mięsień na plecach, więc do drużyny wejdzie Rupert, Billy, Driffield i Griselda.

Fen ze zwieszoną głową przypominała Malise’owi przebiśnieg.

— Przepraszam, jestem beznadziejna.

— Nie jesteś, przecież pierwszego dnia wygrałaś.

— Nie wydaje ci się, że popełniłeś błąd i powinieneś mnie odesłać?

— Masz pewności siebie tyle co ślimak — odparł Malise. — Uważasz mnie za kiepskiego szefa ekipy, skoro według ciebie wybrałem kogoś, kto jest słaby.

Fen posypała sobie cappuccino czekoladą.

— Czym się radować? — zacytowała posępnie. — Czy wraca z podboju?[1]

— Oj, jeszcze ich podbijesz. Słuchaj, jeździsz naprawdę bardzo, bardzo dobrze. Jak mi się wydaje, nawet lepiej niż Jake na swoim pierwszym świetnym przejeździe w Madrycie na Żeglarzu. Ale tutaj wszystko jest ci obce. Macaulay też, nie ma Jake’a, który by ci podpowiadał każdy ruch, Griselda się wyżywa, a Rupert i reszta najchętniej by cię poderwali.

Fen zarumieniła się i zagryzła wargę.

— Rupert to naprawdę kiepski wybór — odezwał się Malise. — Przyznaję, jest atrakcyjny. Ale Helen już i tak musi się godzić z jego wyskokami, poza tym wiesz, jak Jake go nie cierpi.

— Nie miałam zamiaru... to nie tak — wyjąkała Fen.

— Nie chcę wymówek — przerwał jej Malise. — Rupert wziął na siebie pełną odpowiedzialność, co nie zmienia faktu, że nie powinnaś znajdować się poza pokojem ubrana jak na przyjęcie godzinę po tym, jak poszłaś spać. Chcesz się przejść do Kaplicy Sykstyńskiej?

Po południu odbywały się dwa duże konkursy. Pierwszy był rozgrywany w systemie pucharowym, drugi, zwany Puissance, testował skoczność, a sponsorował go jeden z głównych producentów samochodów we Włoszech.

— Macaulay jest w złym nastroju — ostrzegła Sarah, kiedy Fen weszła na teren zawodów. — Stoi obrażony w boksie.

— Chyba ma dość porażek — odparła Fen. — Pojadę nim w Puissance.

Sarah spojrzała na nią przerażona.

— Myślisz, że to dobry pomysł? Jake nigdy nie skakał na nim w takim konkursie, a wysokie skoki to nie jego domena. Podłoże jest twarde jak skała.

— No to co — powiedziała Fen. — Przygotuj go.

Konkurs pucharowy przed Puissance składał się z dwóch torów w kształcie litery „U”, każdy o dziewięciu przeszkodach, ustawionych obok siebie. Zawodnicy skakali na wyścigi parami na obu torach, najeżdżając od strony zewnętrznej, potem zawracając i kończąc od wewnętrznej. Jeźdźcy na prawym torze mieli na sobie żółte szarfy dla odróżnienia. Do zawodów stanęło dwudziestu czterech zawodników. W pierwszej rundzie Fen wygrała walkowerem, a potem zdobyła z trudem remis — z Guy de la Tourem, Ludwigiem i Rupertem. Drugi remis obejmował Piera Fratinellego, syna właściciela firmy samochodowej i pupilka widowni.

Pierwszy pojedynek stoczyła z Griseldą i z wielką radością pokonała ją o kilka długości konia. To były zawody idealne dla Desdemony, skocznej i

zwinnej jako kot. W końcu jej ojciec nie na darmo wygrał zawody Cesarewitch.

Hrabia Guy, jej kolejny przeciwnik — przy obiedzie nieco przesadził z winem — pojechał nieostrożnie, zrzucił pierwszą przeszkodę, więc Fen mogła zaoszczędzić energię Desdemony, gdyż wygrała czystym przejazdem. Ludwig wyeliminował Ruperta, Piero Fratinelli, niestety, wygrał z Billym. Fen jednak nie miała czasu litować się nad nim, gdyż założyła żółtą szarfę i z powrotem wjechała na arenę, żeby rozegrać pojedynek z Ludwigiem.

— Jedną nagrodę nam zabrał, nie pozwolimy mu na to drugi raz — powiedziała do Desdemony.

Przystojny Ludwig już czekał na arenie, przerzucając się docinkami z resztą drużyny niemieckiej, która, wyeliminowana, siedziała na widowni. Odwrócił się i obdarzył Fen olśniewającym, lecz nieco protekcjonalnym uśmiechem.

— Ach, miss Fenella, czała pszyjemnoszcz po mojej sztronie. Pięknie pani w żółtym.

— Owszem — wymamrotała Fen — i mam zamiar znów założyć szarfę w finale.

Ludwig ruszył ułamek sekundy po niej. Fen wyskoczyła do przodu, pociągając Desdemonę za uszy, poganiając ją jak na wyścigach, pokonując przeszkody z absolutną pogardą dla zasad bezpieczeństwa. Na zakręcie zleciał jej z głowy kask.

„Boże, mam nadzieję, że nie spadnie na głowę” — pomyślał Billy z niepokojem.

Ludwig doganiał ją na swoim wielkim koniu stawiającym długie kroki. Na środkową część toru wjechali łeb w łeb.

— Leć, Des! — krzyknęła Fen.

Desdemona ujrzała padok i krew w niej zagrała. Klacz stuliła bojowo różowe uszy i prześlizgnęła się przez metę o długość nosa przed Ludwigiem.

— Fotokomórka! — zawołali chórem Niemcy z widowni.

— Wygraliśmy! — powiedział Rupert z szerokim uśmiechem, pokazując im znak zwycięstwa.

Ku radości widzów Piero pokonał Obojczyka. Na stadionie wrzało. Fen wciąż miała na sobie żółtą szarfę i jechała prawym torem. Musiała poczekać, zataczając koła na Desdemonie, aż Piero odzyska oddech.

— Numer trzydzieści jeden! — wywołał steward zawodów.

— Powodzenia — powiedział Rupert, podając jej kask. — Przynajmniej wiemy, że nie uderzyło ci do głowy.

Fen nie zwróciła na niego uwagi i wjechała na start, na którym czekał Piero na dużym ciemnogniadym koniu czystej krwi o imieniu Dante, kupionym za miliony lirów i prawie niespoconym.

„A ja mogę do śmierci czyścić Desdemonę i nigdy nie doprowadzę jej do takiego połysku” — pomyślała z żalem Fen. Jednak drobna klaczka stanęła na starcie, dumnie unosząc uszy i machając ogonem do wtóru wiwatów.

„Dawid i Goliat” — pomyślał Billy. Piero spojrzał w dół na Fen, uśmiechnął się i zdjął kask na powitanie sędziów. Fen się ukłoniła. Potem z południową szarmancją Piero ujął ją za rękę i pocałował.

— *Bella, bella, bella!* — wołali widzowie.

— Zarumieniła się, niech ją — powiedział ciepło Driffield.

Billy spojrzał na niego zdziwiony. Boże, nawet Driffield był pod urokiem Fen.

Piero i Fen ustawili się na starcie, Desdemona podgryzała kantar i rzucała pełne dezaprobaty spojrzenia na sąsiada, jakby mówiła „Nie próbuj oszukiwać”. Opadła czerwona chorągiewka — ruszyli.

— Dawaj, aniołku! — krzyczała Fen przy pierwszych trzech przeszkodach. Dotarła do zakrętu i zobaczyła wielką czarną sylwetkę już zawracającą.

Piero ją wyprzedził.

— Leć, Des! — wrzasnęła Fen, przetaczając się po przeszkodach jak rozpędzone ferrari. Widownia oszalała.

— Piero! Piero! Piero! — wzniósł się w niebo grzmiący krzyk.

Piero, wyprzedzający ją o jedną przeszkodę, obejrzał się, sprawdzając, czy na pewno prowadzi. Fen chwyciła palcat i przejechała nim po spoconym boku Desdemony. Rozgniewana klacz włączyła dopalanie, a jednocześnie gniady Dante tylnym kopytem zawadził o drążek. Drążek spadł, a Fen dogoniła rywala. Skończyła na czysto, udało się. Desdemona, wściekła z powodu uderzenia, zaczęła wierzgać, niemal zrzucając Fen z siodła.

— Przepraszam, aniołku — powiedziała Fen, ściągając wodze. — To było niepotrzebne, ale wolałam nie ryzykować. Jesteś absolutną gwiazdą!

Miała nadzieję, że widownia nie zlinczuje jej za pokonanie ich bohatera, ale twarz Malise’a mówiła wszystko.

— Przełamałaś złą passę. Doskonała runda.

— Wspaniale! — powiedział Billy, ściskając dziewczynę. — Szła jak marzenie!

— Nieźle jak na początek — powiedział Rupert. — To co, pogodzimy się?

— Nie — odparła Fen i odeszła, żeby rozgrzać Macaulaya do konkursu Puissance.

Wieczorem po powrocie do hotelu zadzwoniła do Jake’a.

— Jak przypuszczam, wreszcie coś wygrałaś — powiedział kwaśno — bo inaczej byś nie dzwoniła.

— Zgadza się — odparła Fen. — Przedtem tak wszystko zawalałam, że bałam się dzwonić. Desdemona wygrała w pucharach. Pokonałam Ludwiga, a potem Piera w finale.

Jake chrząknął.

— Jak się miewa Macaulay?

— Doskonale. Mam dwie nowiny, jedną dobrą, jedną złą.

— Na miłość boską, chyba nic mu się nie stało?

— Zła wiadomość jest taka, że zgłosiłam go do Puissance.

— Co takiego?

Mimo dzielącej ich odległości Fen się skuliła.

— Ale dobra wiadomość jest taka, że wygrał.

Przed dwie minuty Jake obrzucał ją wszelkimi możliwymi wyzwiskami.

— Ile skoczył? — zapytał w końcu.

Fen zachichotała.

— Dwa metry osiemnaście i to z łatwością. Mógłby skoczyć jeszcze wyżej. Jake, on się tak cieszy, a my znów zarabiamy. Wiesz, jak uwielbia wygrywać. Po każdym skoku wierzgał z radości, potem uparł się, żeby zrobić dwie rundy honorowe, a na końcu zjadł goździka prezydenta. Ale czuje się świetnie — dodała szybko. — Sama spłukałam mu nogi i położyłam balsam chłodzący, za godzinę lub dwie rozchodzę go trochę. Naprawdę zupełnie odmienił mu się nastrój.

— Ile wygrałaś?

— Jeszcze nie obliczyłam, wiesz, jak mi idą rachunki. Jakieś trzy tysiące. Ale najlepsze jest to, że wygrałam mały samochód, będę mogła wszędzie cię wozić, jak już wyjdziesz ze szpitala. A w ogóle jak się czujesz?

Jake nie chciał rozmawiać o sobie, ale z tonu jego głosu Fen wyczuła, że jest bardzo zadowolony.

[1] W. Shakespeare, *Juliusz Cezar*, tłum. Maciej Słomczyński, Kraków 2001 (przyp. tłum.).

40

WIECZOREM W AMBASADZIE BRYTYJSKIEJ odbyło się przyjęcie, na którym drużyna wreszcie wymknęła się spod czujnej kontroli Malise’a. Darmowy bilet od ministra sztuki na Otella z Placidem Domingiem w Teatro dell Opera okazało się zbyt silną pokusą. Przedtem jednak Malise wygłosił drużynie ostrą mowę.

— To pierwszy Puchar Narodów w tej serii. Jeśli wygramy, bardzo podniesiemy morale, zatem dzisiaj żadnego ostrego picia, o północy wszyscy mają być w pokojach. Ty będziesz jedynym trzeźwym — zwrócił się do Billy’ego — więc proszę, żebyś pilnował Fen. O jedenastej ma być we własnym łóżku, a nie u Ruperta.

Billy pokręcił głową.

— Poważnie? Sądzisz, że Rupert mnie posłucha?

Rupert przyszedł na przyjęcie w nowym garniturze — jasnoniebieskim, uszytym przez jednego z najbardziej znanych projektantów włoskich, który zwykle projektował stroje damskie, ale w tym wypadku uległ, gdyż słusznie założył, że Rupert będzie doskonałą reklamą jego firmy.

„Każdy inny wyglądałby jak szalony pedzio, zwłaszcza w ametystowej koszuli i krawacie” — pomyślał Billy. Jednak garnitur w połączeniu z męskim wyglądem Ruperta, podkreślonym błękitem jego oczu i szerokimi barami, wywołał olśniewający efekt.

Wszystkie dziewczyny na przyjęciu prześcigały się w proponowaniu mu wędzonego łososia i szparagów oraz dolewaniu szampana.

— Biorą mnie za amerykańskiego tenisistę — powiedział, kiedy przepchnął się przez tłum do przyjaciela. — Trzy razy skomplementowały

mój backhand i serw. A jedyne, co chciałbym sobie zaserwować — dodał, ściszając głos — to Fenella Maxwell.

— Na miłość boską! — warknął Billy.

— Ona tego chce — powiedział cicho Rupert. — Wczoraj wieczorem zachowywała się jak klacz w rui. Poza tym mam jeszcze niezałatwioną sprawę ze skaczącym prawiczkiem.

— Biedak leży w łóżku z połamaną nogą, to ci nie wystarczy?

— Williamie, gość dwa razy próbował mnie zabić, raz nożem, a raz Macaulayem. Mam zamiar się odegrać.

Rzucił spojrzenie przez salę tam, gdzie Fen rozmawiała z włoskim ministrem sztuki, mniej więcej trzy razy starszym od niej. Wydawała się blada i zmęczona.

— Zobacz, jak ten obleśny południowiec ślini się na jej widok. Zagadam te dwie dziewczyny, wtedy ona poczuje się zazdrosna i sama się na mnie rzuci.

— Twoja próżność nie zna granic. Boże, ale bym się napił.

— Te dwie wyglądają na takie, które mają w domu towar. Chodź.

Dziewczyny były z pewnością bardzo ładne, jedna blondynka, druga ruda.

— Na pewno gracie w tenisa — zachichotała ruda. — Wyglądacie niemożliwie zdrowo.

— Nie — odparł Rupert bez uśmiechu.

— No to co robicie?

— Jeżdżę konno — powiedział Rupert, po czym dodał po chwili: — z dużymi sukcesami.

Rozmowa przeniosła się na małżeństwo.

— Billy jest w separacji i absolutnie dostępny — oznajmił Rupert. — A ja jestem żonaty i też dostępny.

— Żonie nie przeszkadza?

— Nie.

— A żona pracuje zawodowo?

— Nie, jak również nie pali, nie pije i nie uprawia seksu.

Dziewczyny roześmiały się hałaśliwie. Billy się odwrócił. Na zewnątrz zapadał zmierzch. Kamienna nimfa w sukience spadającej z ramienia leżała w wysokiej trawie na tle ciemniejącego cisu. Wokół pomarańczowych drzew w donicach krążyły robaczki świętojańskie. Woda z fontanny spływała po szarozielonych stopniach obrzeżonych jasnoróżowym geranium.

„Nie zniosę tego” — pomyślał przygnębiony. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zaprosić Fen na kolację we dwoje.

Dziewczyna nie wyglądała na zbyt zadowoloną, zwłaszcza teraz, kiedy blondynka najwyraźniej zawzięła się na Ruperta. Obie pracowały w ambasadzie jako sekretarki — jak wyjaśniła blondynka — i uwielbiały życie w Rzymie.

Jej ruda koleżanka podeszła do Billy’ego stojącego przy oknie.

— Przykro mi z powodu twojego małżeństwa — powiedziała. — Sama jestem w separacji. Jeśli ktoś przez to nie przechodził, to nie wie, jakie to paskudne przeżycie.

Łzy żalu nad sobą błyszczące w jej oczach Billy wziął za litość nad nim.

— Kiedy się rozeszliście? — zapytał.

— Pół roku temu — odparła i zaczęła opowieść.

Kwadrans później przerwał im Driffield, który podszedł do nich ponury jak chmura gradowa.

— Mam inwalidę — powiedział z niesmakiem. — Mój koń nie może postawić nogi na ziemi. Właśnie obejrzał go weterynarz, według niego to

wrzód. — porwał kieliszek szampana z tacy niesionej akurat przez kelnera. — Gdzie Malise?

— Poszedł do opery.

— To się zabawi.

— O Boże! — odezwała się Griselda, która właśnie do nich dołączyła. — Czyli Fen musi pojechać. Tylko tego nam trzeba!

— Po południu poszło jej świetnie — zauważył Driffield.

— Pójdę jej powiedzieć — zaoferował się Billy. Rozejrzawszy się wokół, zauważył jednak, że Fen zniknęła. Zajrzał do innych pomieszczeń, przeciskając się przez głośny tłum, potem sprawdził jeszcze ogród, w którym dosłyszał śmiech dochodzący zza krzewu róż.

— Odwal się! — powiedział ktoś, kiedy Billy zajrzał za krzak. Obejmowało się tam dwóch eleganckich młodych mężczyzn.

W szatni nie było płaszcza Fen. Szatniarz potwierdził, że dziewczyna w różowej sukience i różowych butach właśnie wyszła z ministrem sztuki. Założył, że to jego córka.

— Nie córka — powiedział ponuro Billy.

— Szczęściarz — skwitował szatniarz.

Billy wrócił do Ruperta i opowiedział mu, co zaszło. Rupert, który wypił już półtorej butelki szampana, wzruszył ramionami.

— Ech, dobrze, przy nim nic jej się nie stanie. Nie wyglądał na takiego. W każdym razie te tutaj — wskazał głową dwie sekretarki — są bardzo chętne. Zjemy wszyscy kolację, a potem pojedziemy do nich.

— Ja nie chcę — zaprotestował Billy. — Muszę znaleźć Fen.

— Wróci wcześnie do hotelu — uspokoił go Rupert — słyszała gadkę Malise’a. Rano była naprawdę skruszona.

Przy kolacji dziewczyny zachowywały się coraz mniej poważnie, a Billy’ego ogarniała coraz głębsza rozpacz. Kiedy poszli do ich mieszkania,

skierował się do łazienki. Rozsypany puder, masa kosmetyków, rajstopy i figi wiszące nad wanną, pnącza schnące z braku podlewania i na pół wypity gin z tonikiem boleśnie przypomniały mu Janey. Marzył o powrocie do hotelu. Ruda była ładna, ale najwyraźniej wolałaby wskoczyć do łóżka z Rupertem.

— Twój przyjaciel jest dobry, nie?

Na ścianach pokoju dziewczyny wisiały plakaty z Robertem Redfordem i Sylvestrem Stallone'em. Łóżko było bardzo wąskie.

— Zwykle nie robię tego pierwszej nocy — powiedziała, z szelestem zsuwając z siebie jedwabną jasnożółtą sukienkę. Jej nagie ciało nie było już tak ładne, piersi opadły jak nie do końca wypełnione torebki z piaskiem.

— Bardzo mi przykro — powiedział później Billy, spoglądając na swój obwisły, pozbawiony życia penis.

— Nie jestem dla ciebie atrakcyjna? — zapytała z pretensją dziewczyna.

— To twoja uroda tak mnie przytłoczyła — skłamał Billy. — A jutro mam ważne zawody, to nigdy nie pomaga.

Rękami i językiem dał jej rozkosz, ale kobieta odrzucona przez męża potrzebowała potwierdzenia, że mężczyźni wciąż jeszcze nie mogą się jej oprzeć. Billy czuł jej „absolutne zrozumienie", ale wyobrażał sobie plotki, które obiegną ambasadę następnego dnia.

„Kochana, w ogóle mu nie stanął. Nic dziwnego, że żona go zostawiła".

Kwadrans przed północą Rupert był również gotów wracać do domu.

— Byłoby super, gdybyście nam załatwili bilety na jutro — powiedziała blondynka, kiedy wychodzili. — Zadzwonicie, prawda?

— Prawie mi nie wyszło — powiedział Rupert w taksówce. — Położyła się całkiem naga na łóżku i powiedziała: „No chodź, zobaczymy, czy jesteś taki dobry, jak mówią". Impotencja musi być straszna.

— Oby tylko Fen była już w hotelu! — powiedział Billy.

Jednak ku jego przerażeniu klucz do pokoju numer osiemdziesiąt osiem wciąż wisiał w recepcji.

— Boże! — powiedział Rupert — Malise wysiada z taksówki. Idź, powiedz mu o Driffieldzie. Wezmę klucz, pobiegnę na górę i zaczekam w jej pokoju. Dołączysz, jak tu się uspokoi.

— Opera się udała? — zapytał Billy Malise'a.

— Magiczna — odparł Malise. — Na ostatnim akcie płakałem jak dziecko.

Nawet chyba nie zwrócił uwagi, że zegar w hallu wskazywał wpół do pierwszej.

— Pierwsze Wydanie nie może jechać — powiedział Billy. — Weterynarz mówi, że to wrzód.

— Cholera — odparł Malise. — Fen będzie musiała skakać. Wie już?

— Jeszcze jej nie mówiliśmy — powiedział Billy — żeby nie robić jej nadziei, bo może chciałeś, żeby Driff skakał na Anakondzie.

Malise pokręcił głową.

— Macaulay ma większe szanse. Odprowadziłeś Fen do łóżka, prawda?

Billy z lekkim rumieńcem pokiwał głową.

— Na pewno już śpi.

— Dobry chłopak. Powiem jej rano.

Coraz bardziej wściekli Billy z Rupertem siedzieli w pokoju Fen. Rupert popijał słabe brandy z nietkniętej butelki kupionej przez Fen w strefie wolnocłowej, Billy pił jedną paskudną kawę z torebki po drugiej.

O wpół do czwartej usłyszeli poruszenie na zewnątrz.

— *J'ai perdu mon clef*[1], klucz, no wiesz... to, czego święty Piotr, ten z całowaną stopą, miał w nadmiarze — odezwał się przenikliwy głos — więc gdyby ktoś był tak miły i wpuścił mnie do pokoju...

Rupert w mgnieniu oka znalazł się przy drzwiach. Stała przed nimi Fen oraz zaspana pokojówka w szlafroku.

— *Grazie* — powiedział Rupert do pokojówki i wciągnął Fen do środka. — Co masz na swoją obronę, do cholery?

Fen miała rozczochrane włosy, brązową skórę oblewał rumieniec. Oczy jej lśniły, białka miała zaczerwienione, wzrok rozmyty. Miała na sobie piękną szarą jedwabną koszulę ledwie sięgającą do ud, a różową sukienkę trzymała w ręce.

Pokłoniła się im nisko.

— *Buona notte*, a może raczej *buon giorno*, nie pamiętam. Chyba... yk! Pomyliłam pokoje. — wycofała się w kierunku drzwi.

— Chodź no tutaj — syknął Rupert. — Gdzieś ty się podziewała, do jasnej?

— Naprawdę chcecie wiedzieć? Bawiłam się. W Rzymie rób to, co Rzymianie. — otworzyła drzwi wiodące do korytarza i zachwiała się z ręką na klamce.

Rupert złapał ją za kark, wprowadził z powrotem do pokoju i posadził na łóżku. Potem zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni.

— No już. Gadaj, co się działo.

Fen spojrzała na nich wielkimi oczami.

— Wyszłam z ministrem sztuki. Uroczy i wyjątkowo dystyngowany pan. Nazwał mnie dziełem sztuki i kupił mi w Puccim tę śliczną koszulę.

Wstała, zakręciła się w piruecie i znów padła na łóżko.

— Z przykrością zawiadamiam panów, że straciłam dziewictwo. I nie ma sensu iść go szukać w biurze rzeczy znalezionych, bo już nie wróci. Pierwszy raz trzeba odbyć z ekspertem, prawda? „Po południu przeskoczyłam ponad dwa metry, panie ministrze, więc skok w to łoże z baldachimem to dla mnie pestka” — powiedziałam do niego.

Billy poczuł przytłaczający smutek.

— Ty mała zdziro — wycedził Rupert. — Poderwałaś go i poszłaś do łóżka dla koszuli za sześćdziesiąt tysięcy lirów.

— To lepsze niż nic, a przy was i tak nic nie użyłam. Zresztą — Fen nagle ogarnęła wściekłość — jeśli ja jestem zdzirą, to kim ty jesteś? Latasz na imprezy, podrywasz maszynistki, a na Helen wygadujesz niestworzone rzeczy! Masz przepiękną żonę i cudowne dzieci, a tak się zachowujesz! Jesteś najbardziej zepsutym człowiekiem, jakiego znam!

Rozległo się walenie w ścianę z pokoju obok, ktoś krzyknął po niemiecku.

— Zamknij się! — odkrzyknęła Fen, odpowiadając uderzeniem w ścianę.

Jej oczy błysnęły na widok brandy.

— Chcę się napić.

Billy wstał.

— Wystarczy ci już na dzisiaj — powiedział stanowczo. — Chodź, połóż się. Pomogę ci się rozebrać.

Fen odsunęła się od niego.

— Nie, nie, nie mogę dać się rozebrać dwa razy w jeden wieczór. — po czym znów chwiejnie pochyliła się w stronę Billy’ego. — Kochany Williamie, nie rób takiej smutnej miny. Do ciebie też nieoczekiwanie przyjdzie prawdziwa miłość, tak jak się to zdarzyło mnie — stanęła na palce i próbowała go pocałować, ale to zadanie okazało się za trudne. Padła na łóżko i zasnęła.

— To nie jest zabawne — stwierdził Rupert.

— Wiem — przytaknął Billy.

— Co ty robisz, do jasnej? — zapytał Rupert, kiedy Billy zaczął rozpinać dziewczynie koszulę.

— Szkoda by było, gdyby zarzygała Pucciego — powiedział Billy.

— Piękne ciało — uznał Rupert. — Przypomina mi Saville Minor. Zapewne nie wypada nam wykorzystać okazji?

— Nie wypada — odpowiedział Billy, nakrywając Fen kołdrą.

Poprzez koszmarny ból i inne dolegliwości — czy ktoś wbija jej w mózg rozżarzone do czerwoności pogrzebacze? — przebił się dźwięk dzwonów. To na pewno karetka, zabierze ją do szpitala, żeby tam umarła.

Jednak był to tylko telefon. Fen wyciągnęła rękę, zrzuciła telefon z szafki, po czym odebrała.

— Dzień dobry, Fen, przepraszam, że cię budzę — odezwał się rześki głos. — Wyspałaś się?

— Tak — wyskrzypiała Fen.

— Przy okazji gratuluję pierwszego pucharu. Driffield wypadł. Dzisiaj skaczesz.

— Co takiego? — wymamrotała przerażona Fen.

— Straciłaś mowę, co? — zaśmiał się Malise. — Do zobaczenia w stajni za jakąś godzinę. Przeskoczysz kilka przeszkód na Macaulayu.

Fen rozłączyła się i jęknęła. Wstała, pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

— Niech ktoś wyłączy te cholerne dzwony — jęknęła. — To nie po chrześcijańsku tak hałasować.

Jej bryczesy, które dzień wcześniej zaniosła do pralni, wciąż jeszcze wisiały na balkonie. Otworzywszy okiennice, Fen skrzywiła się z bólu, gdyż światło słoneczne uderzyło ją jak pięścią. Cofnęła się niepewnie do łóżka, wzięła telefon i wybrała numer Billy’ego.

— Billy, to ja, Fen... tak mi się wydaje. Wezwij karetkę.

Billy się roześmiał.

— Aż tak źle?

— Nigdy jeszcze tak mnie nie bolało.

— Za kilka minut zejdę do ciebie.

Zastał ją bladą i roztrzęsioną.

— Tutaj leży ta, której imię napisano w szampanie[2] — jęknęła. — Zabierz mnie do najbliższej apteki i powiedz mi, jak po włosku jest alka seltzer. Muszę skakać, Billy. Prędzej przeskoczę przez ten balkon...

— Wypij to. Paskudztwo, ale powinno pomóc. — Billy podał jej w kubku do zębów likier Fernet Branca.

— Fuj, okropne! Zaraz zwymiotuję.

— Nic podobnego. Głowa w górę i oddychaj głęboko.

— Myślisz, że jest jakaś szansa na to, że obsługa toru zastrajkuje? — zapytała Fen.

Billy spojrzał na jej posiniaczone uda, zastanawiając się, czy to ślady po miłosnych uszczypnięciach ministra sztuki. Fen chyba się domyśliła, co mu chodzi po głowie. Zaczerwieniła się.

— Poobijałam się przy upadku z Macaulaya.

Nie poprawiła jej samopoczucia nagła fala upałów, która opanowała Rzym. Kiedy trzy godziny później dreptała po torze z Billym, temperatura wzrosła do ponad trzydziestu stopni. Słońce wydawało się zsyłać wszystkie promienie tylko na jej głowę. Żadnego cienia. Kolorowe paliki tańczyły jej przed oczami.

— Dokąd poszłaś wczoraj wieczorem, Fen? — zapytała napastliwie Griselda, kiedy obie oglądały wysoki mur.

— Nie pamiętam nazwy, ale jadłam małże — odparła słabo Fen.

— Tor zaplanowano tak, żeby jeźdźcy musieli myśleć przy każdym kroku — wyjaśnił Malise przy wielkiej przeszkodzie z wodą, w której pływały lilie wodne, a nazywano ją bidetem. — Trzeba skakać bardzo precyzyjnie. Bramka jest tylko cztery i pół kroku przed kombinacją, ale Macaulayowi wystarczą pewnie cztery, Fen. Dobrze się czujesz?

— Dobrze — odparła Fen, chwytając się przeszkody. — To przez upał.

„Biedaczka, denerwuje się tak samo jak Jake” — pomyślał Malise, spoglądając na jej pozieleniałą twarz.

Do Pucharu Narodów stanęło osiem drużyn. Po triumfie poprzedniego dnia Fen została przywitana owacjami, kiedy wjeżdżała na start z Rupertem i Billym po bokach.

Grane przez orkiestrę hymny narodowe ciągnęły się w nieskończoność.

— To ciebie Bóg powinien dzisiaj chronić, a nie naszą łaskawą królową — powiedział Rupert kątem ust.

Zawodnicy brytyjscy skakali ze zmiennym szczęściem. Rupert bez wysiłku przejechał czysto rundę, co widzowie powitali owacjami, chociaż była to najbardziej oddana swoim zawodnikom widownia w Europie.

Oblewająca się potem, szczękająca zębami i zastanawiająca się, czy znów zwymiotuje, Fen czuła się zbyt kiepsko nawet na to, żeby ucieszyć się z tego, że Griselda niemal spadła z konia przy bidecie i zaliczyła dwanaście punktów karnych. Zjechała z toru, wściekle szarpiąc głową Pana Puncha.

Wielka Brytania zajmowała trzecie miejsce, kiedy nadeszła kolej na Fen.

— Skup się na stabilnym, czystym przejeździe — powiedział jej Malise. — Żebyśmy mogli zrezygnować z przejazdu Griseldy.

Fen czuła się jak chrześcijanka na rzymskiej arenie, którą cesarz, kierując kciuk w ziemię, kazał dobić. Sama na torze, przytłoczona widownią, która zamieniła się w morze głów, widziała już skradające się w jej kierunku lwy.

Macaulay, zawsze poczuwający się do odpowiedzialności za jeźdźca, który go dosiadał, zrozumiał, że musi pomóc Fen. Na widok jego skupionych oczu przy każdym skoku Billy uświadomił sobie, że to koń prowadzi Fen. Miał już zrobić pięć kroków po bramce, po czym zmienił zamiar i przebiegł cztery, przeskoczył z łatwością kombinację, jednak przy okazji Fen zgubiła strzemię. Koń zwolnił odrobinę, żeby dziewczyna mogła

je znaleźć, i przeszedł zakręt. Przez moment Fen wydawała się zdziwiona, po czym skręciła ostro w prawo, na wielki żółty mur. Później miliony razy wracała do tej chwili pamięcią. Ktoś zawołał z padoku, ale było już za późno. Fen zebrała wodze i przeskoczyła mur, po czym rozejrzała się zdziwiona w poszukiwaniu kolejnej przeszkody. Przed sobą widziała triplebar z czerwoną chorągiewką po lewej stronie. Podnieceni działacze machali do niej rękami, a z widowni niósł się jęk współczucia. I wtedy do Fen dotarło: pomyliła kolejność.

Zwiesiła głowę, powstrzymując łzy, z pobladłą twarzą zjechała z areny.

— Cholerna idiotka — powiedział Rupert.

— No to całkowicie nas pogrążyłaś — powiedziała Griselda z ustami pełnymi hot doga.

Fen ześlizgnęła się z Macaulaya, poluzowała popręg i podała mu landrynki, przepraszając go szeptem.

— Pech — powiedziała Sarah. — A tak dobrze ci szło.

Podszedł do niej Malise.

— Mam nadzieję, że to się nie powtórzy w drugiej rundzie — powiedział ponuro.

— Nie wolno mi płakać, nie wolno mi płakać — powtarzała sobie Fen, po czym pobiegła do łazienki i zwymiotowała po raz piętnasty tego dnia.

Po powrocie zastała wszystkich w nieco lepszych nastrojach, zwłaszcza pana Blocka, sponsora Billy’ego, który przyleciał na Puchar Narodów. Billy na Trębaczu przejechał czysto, wyskakując znad przeszkód jak diabełek z pudełka. Pod koniec pierwszego etapu Niemcy prowadzili, za nimi byli Włosi, a Anglicy ze Szwajcarami znaleźli się razem na trzecim miejscu.

Fen nie mogła zdobyć się na to, by zasiąść na trybunie dla zawodników, przysiadła więc na odwróconym do góry dnem wiadrze, pod gęstym

baldachimem koron pinii, obejmując głowę rękami. Podszedł do niej Macaulay, prowadzony przez Sarę, i trącił ją głową.

— Biedaczek — powiedziała apatycznie Fen. — Cholerny upał.

Macaulay tęsknie spojrzał na przechodzącego sprzedawcę lodów.

— Kup mu — powiedziała Fen do Sary. — Zasłużył.

W tej chwili podszedł Rupert, trzymając się z daleka, gdyż Macaulay zatoczył oczami i groźnie tupnął kopytem.

— Mam nadzieję, że na przyszłość nie spijesz się i nie dasz uwieść południowym staruchom tuż przed konkursem — powiedział złośliwie.

Słońce już zaczęło się zniżać, przesiewając ukośne promienie przez gałęzie drzew, rzucając zdradliwe cienie na przeszkody, zwłaszcza na stacjonatę.

Rupert ze zwykłym zapałem skoczył w drugiej rundzie tak samo doskonale jak w pierwszej. Niestety, pechowo uderzył drugi drążek stacjonaty i dostał cztery punkty karne. Zjechał z toru wściekły.

— Koń jechał wspaniale, ale przy stacjonacie po prostu nie widział, na co najeżdża. Złożę skargę.

Niemcom i Włochom nie poszło lepiej. Nieprzyzwyczajeni do upału i ciężkiego toru wszyscy byli już zmęczeni. Griselda skończyła drugiego hot doga i wjechała na start.

— Jak ona może tak się opychać przed konkursem? — dziwiła się Fen.

— Nerwy ma tak otłuszczone, że przestały działać — wyjaśniła Sarah. — O, wpadła do bidetu. Zobacz, ma na sobie lilie wodne!

— Zachowujesz się niepatriotycznie — zgromił ją Billy. — Ona jest po naszej stronie.

Przyłożył dłoń do czoła Fen.

— Lepiej się czujesz?

— Po tym, jak spieprzyłam? Nieszczególnie.

Billy wzruszył ramionami.

— Każdemu się zdarza.

Wskutek upadku Griselda dostała kolejne cztery punkty karne.

— Tym razem tylko przejedź. Nic więcej — pożegnał ją Malise przed wjazdem na start.

Fen nigdy jeszcze nie było tak niedobrze.

— Biała chorągiewka po lewej, biała chorągiewka po lewej — powtarzała sobie nieustannie.

Jakoś udało się jej pokonać pierwsze siedem przeszkód, razem z najtrudniejszą stacjonatą. Jednak kiedy podjeżdżała do kombinacji, jakaś dziewczynka wypuściła z ręki balonik z helem; z okrzykami żalu przyglądała się, jak balonik przelatuje tuż przed oczami Macaulaya. Ten spojrzał na niego zdezorientowany, skrócił krok, stwierdził, że ma przed sobą przeszkodę i wyskoczył z wysiłkiem, niemal zrzucając Fen. Dziewczyna zgubiła wodze, ale rozpaczliwie uczepiła się grzywy — dzięki temu nie spadła na drugiej przeszkodzie, lecz jej stopa wpadła w strzemię. Przy wielkim skoku wierzchowca przez ostatnią przeszkodę Fen tym razem straciła równowagę i spadła na ziemię. Ponieważ jednak jej stopa była uwięziona, Macaulay pociągnął ją jeszcze po wybojach przez kilka metrów, zanim uświadomił sobie, co się stało i się zatrzymał. Podbiegło do niej dwóch ludzi z obsługi i uwolniło. Krew lała się jej z nosa na białą koszulę, krawat i bryczesy. Fen stanęła chwiejnie na nogi i rozejrzała się błędnym wzrokiem w poszukiwaniu Macaulaya.

— Muszę wsiadać, muszę skończyć.

Koń stał obok. Jego biały pysk wydawał się na przemian przybliżać i oddalać. Fen podeszła do niego chwiejnie i próbowała wspiąć się na siodło, ale ponieważ koń miał prawie metr osiemdziesiąt, było to jak wspinaczka na Matterhorn.

— Podsadźcie mnie! — krzyknęła histerycznie do obsługi. — Czas mi się kończy!

Stewardzi łamaną angielszczyzną próbowali jej wyjaśnić, że nie powinna wsiadać, jednocześnie rozglądali się rozpaczliwie w poszukiwaniu ratowników medycznych. Akurat kiedy jeden z nich podbiegł do nich, Fen udało się włożyć nogę w strzemię i podciągnąć się na siodło. Krew wciąż płynęła jej z nosa.

Nie zwracając uwagi na powstrzymujących ją ludzi, Fen skierowała się na ostatni szereg przeszkód.

— Ściągnijcie ją — powiedział Billy biały jak jego koszula. — Zabije się.

Widzowie krzyczeli w przerażeniu. Fen straciła tyle krwi, że wyglądała jak ubrana w czerwień. Jakoś udało się jej przeskoczyć kolejne dwie przeszkody. Rozejrzała się zaskoczona, chwiejąc się w siodle. Został jej tylko okser. Na szczęście Macaulay przejął kontrolę. Widział już padok, chciał tam jak najszybciej wrócić. Szybko objechał oksera, z Fen leżącą mu na szyi, i zniósł ją ostrożnie z areny.

Malise, Billy i Rupert pobiegli do niej.

— To tylko z nosa — wymamrotała Fen w zakrwawioną grzywę Macaulaya. — Miałeś rację, między bramką a kombinacją było cztery i pół kroku...

Kiedy zdjęli ją z siodła, zemdlała.

— Wezwijcie karetkę! — powiedział Billy zmartwiony. — Musimy ją zabrać do szpitala. Jadę z nią.

— Nie bądź kretynem! — odparli Rupert i Malise chórem. — Musisz skakać.

---

[1] *J’ai perdu mon clef* (fr.) — Zgubiłam klucz.

[2] Aluzja do napisu na nagrobku poety Johna Keatsa w Rzymie: „Tu leży ten, którego imię napisano na wodzie” (przyp. tłum.).

41

W SZPITALU ZDECYDOWANO SIĘ ZATRZYMAĆ FEN NA NOC. Po badaniach okazało się, że był to jedynie silny krwotok z nosa i lekkie wstrząśnienie mózgu. Kiedy Billy wpadł do niej w odwiedziny, zastał ją w czystym białym szlafroku, skuloną w łóżku, z czerwonymi oczami i opuchniętą twarzą odwróconą do ściany.

— Fen, to ja, Billy.

— Jak się czuje Macaulay?

— Kwitnie. Widziałem, że dostał swoje pięć landrynek. Przyniosłem ci to.

Podsunął jej pod nos bukiet żółtych róż.

— Dzięki. — zgarbiła się jeszcze bardziej i podciągnęła kołdrę pod oczy.

Billy włożył róże do umywalki i usiadł na łóżku.

— Jak się czujesz?

Fen rozejrzała się. Oczy miała spuchnięte od płaczu, wargi obrzmiałe i posiniaczone od upadku na ziemię.

— Okropnie.

Billy uśmiechnął się do niej.

— Wyglądasz tak, jakbyś machnęła dziesięć rund z Henrym Cooperem.

— Bardzo miło, że przyszedłeś, ale chcę być sama.

— Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Idealnie — odparła ostro Fen.

Billy wstał. Już był przy drzwiach, kiedy usłyszał stłumione łkanie. Wrócił znów do łóżka i objął Fen.

— Tak mi wstyd! — wyjęczała dziewczyna, kryjąc twarz na jego ramieniu. — Zachowałam się okropnie! Ale miałam dość tego, że wszyscy mnie pilnujecie jak dzieciaka. Chociaż dziecko byłoby bardziej odpowiedzialne. Dwa razy odpadłam w Pucharze Narodów, zawiodłam was wszystkich, Macaulaya, Jake'a, Malise'a, całą drużynę i kraj!

— Fen — Billy głaskał ją po włosach — mogę ci coś powiedzieć?

— Nie, ja chcę się wygadać. Wczoraj was okłamałam. Przechwalałam się, bo byłam pijana i miałam dość. Umberto, ten minister sztuki, był przemiły, ale dwa miesiące temu umarł mu partner. Bardzo za nim tęskni. Chciał tylko o nim rozmawiać. On gadał, ja słuchałam, a jak się słucha, to się sporo pije. Nie dotknął mnie nawet palcem, tylko pocałował w rękę. Ale kiedy wróciłam, a Rupert tak mnie zmieszał z błotem, od razu uznał, że się puściłam, a przecież wiemy, co on wyprawia, byłam zazdrosna o to, że zagadywałeś tę rudą i straciłam panowanie nad sobą. Ale naprawdę, nie spałam z nim.

Przez minutę Billy'emu z ulgi zabrakło słów.

— Dlatego niech Malise nie wyzywa Umberta na pojedynek ani nic w tym guście.

— Raczej tego nie zrobi. Umberto dał mu bilet na występ Placida Dominga — powiedział Billy.

— Nie żartuj sobie! — załkała Fen. — To nie jest śmieszne!

— A więc wciąż jesteś nietknięta.

Fen żałośnie pokiwała głową.

— Nie mam czym się pochwalić, wszystko psuję.

— Z wyjątkiem Umberta.

— Daj spokój — jęknęła Fen.

Nagle uświadomiła sobie, że Billy przyszedł do niej w butach i bryczesach spryskanych jej krwią. Zdjął biały krawat, a czerwony żakiet

zmienił na granatowy sweter z dziurą na łokciu, jednak zapomniał zdjąć ostrogi.

— Przyszedłeś prosto z zawodów. Niepotrzebnie robiłeś sobie kłopot. Przykro mi, że poplamiłam ci bryczesy.

— Fenello — powiedział Billy łagodnie — gdybyś na moment zamknęła buzię, to chciałbym coś ci dać.

Włożył rękę do kieszeni, po czym położył na łóżku czerwoną rozetkę oraz mały srebrny posążek wilczycy karmiącej Romulusa i Remusa.

— Co to jest?

— Wygraliśmy.

— Jakim cudem? Griselda miała dwanaście punktów, a ja odpadłam.

Billy uśmiechnął się szeroko.

— Niemcy się rozsypali, a ja zaliczyłem kolejny czysty przejazd.

Fen otworzyła usta i znów je zamknęła, po czym objęła go za szyję.

— Ależ to wspaniale! I jeszcze przy panu Blocku! Tak bardzo się cieszę!

— Malise chodzi jak kot z Cheshire, który właśnie połknął kanarka.

Fen wzięła do ręki rozetkę.

— Wciąż jest na mnie wściekły?

— Wręcz przeciwnie. Teraz uważa, że zachowałaś się bardzo dzielnie, w ogóle stając do zawodów. Rupert powiedział mu, że wczoraj zatrułaś się ostrygą, ale mimo wszystko przyszłaś, skoro nikt inny nie mógł pojechać.

— Rupert to powiedział? — zapytała Fen z niedowierzaniem. — To wyjątkowo miłe z jego strony.

Billy roześmiał się.

— Rupert uwielbia wygrywać, więc teraz Malise uważa cię za bardzo waleczną.

— Wcale tak nie jest — wymamrotała Fen. — Idiotka ze mnie. — znów spojrzała na rozetkę, kolorem przypominającą plamy krwi. — Nie

przyczyniłam się do zwycięstwa, nie zasłużyłam na nią.

— Zasłużyłaś na tę, którą dostał Ludwig, więc masz tę w zamian.

Z oczu Fen znów poleciały łzy.

— Aniołku, proszę, nie płacz. — Billy przyciągnął ją do siebie. Jej łzy przemoczyły mu koszulę. Był ciepły, solidny jak skała i niósł pocieszenie, nie potrafiła się od niego oderwać.

Weszła pielęgniarka, przypominając, że wizyta się skończyła i Fen powinna odpocząć.

Billy spojrzał na nią.

— *Duo momenti*, *grazie*. — po czym odwrócił się do Fen. — Jutro rano przyjadę po ciebie.

— Czy możesz mi przywieźć jakieś ubranie? Najlepiej burkę.

— A wieczorem zabiorę cię na kolację i będę traktował jak dorosłą.

Następnego dnia przed południem ze szpitala wyszła bardzo blada i przygaszona Fen. Billy przywiózł jej ubrania, ale w pośpiechu zabrał bawełnianą koszulę nocną z różową panterą, myśląc, że to sukienka. Usta i nos Fen były wciąż podpuchnięte i zasiniałe.

— Nie patrz na mnie, wyglądam okropnie.

Pielęgniarki zapakowały jej zakrwawione ubrania do torby.

— Mam nadzieję, że nas nie zatrzymają — powiedziała Fen.

— Niestety, taksówkarze strajkują — powiedział Billy, biorąc ją pod ramię — więc musimy złapać autobus do Villa Borghese.

— Auć! — zawołała Fen, kiedy przechodzący Włoch uszczypnął ją w pośladek.

z hałasem nadjechał autobus, głośno warkocząc.

— Pohukiwanie w Rzymie jest zakazane — zauważyła Fen.

— Bo to zła wróżba dla sów — dokończył Billy, kiedy wciskali się do środka.

Przez przynajmniej dziesięć sekund stali oddzielnie, po czym Billy przepchnął się do niej.

— Wszystko dobrze?

— Potrzebuję temperówki do łokci, poza tym sześciu facetów mnie zaczepiło.

Drzwi autobusu zamknęły się, wpychając do środka kolejne dziesięć osób i przyciskając Fen do Billy'ego. Dziewczyna odchyliła się od niego zażenowana, ale to nic nie dało, gdyż tłum znów ją do niego przygniótł, Fen puściła rzemień, którego się trzymała i wpadła mu w ramiona. Billy ją objął.

— Złożę skargę w Ruchu Wyzwolenia Sardynek — wymamrotała.

— A ja nie — odparł Billy. — Wyluzuj.

Fen spojrzała na Billy'ego, dostrzegła czułość w jego oczach i odwróciła wzrok. Ale znów poczuła emanujące od niego uspokajające ciepło, rozluźniła się więc i spędzili tak resztę drogi. Fen modliła się, żeby Billy nie poczuł walenia jej serca.

„On kocha Janey — powtarzała sobie ze złością. — Po prostu jest jedynie miły".

Reszta dnia minęła jak we śnie. Wszyscy oprócz Griseldy byli dla niej serdeczni. Malise puścił ją z Desdemoną na drobniejszy konkurs, żeby przywrócić jej pewność siebie, i z radością powitał jej czwarte miejsce. Fen miała poczucie nierealności, kiedy z trybuny dla zawodników obok pana Blocka obserwowała Grand Prix, w którym zmagali się Piero, Rupert, Ludwig, Obojczyk, Billy i Griselda. Billy, zmotywowany podwójnym czystym przejazdem z poprzedniego dnia, odzyskał dawny ogień i pewność siebie. Jechał na złamanie karku i wyprzedził wszystkich o trzy sekundy. Rupert był drugi.

— Po co cię, do cholery, ściągałem z powrotem, skoro teraz z tobą przegrywam — mamrotał, kiedy wjeżdżali na arenę.

W stajniach zaczęto już pakowanie. Griselda przyglądała się pracującej Georgie.

— Jeszcze ta cholerna podróż powrotna — narzekała. — Głupia Maxwellówna znów pomyli mapy. Miejmy nadzieję, że Malise dostał nauczkę i nie wybierze jej do drużyny.

Billy, który wężem spłukiwał nogi Trębacza, spojrzał na nią gniewnie.

— Już ją wybrał na konkursy w Paryżu i Lucernie.

— Boże, nie mów! Do końca miesiąca mam ją znosić? Muszę powiedzieć Malise'owi, żeby załatwił jej podwózkę z kimś innym.

Rupert, karmiący popcornem Snakepita, rzucił spojrzenie Billy'emu i uniósł brwi.

Billy kiwnął głową.

— Już załatwił — odparł Rupert. — W tygodniu sprzedałem dwa konie, więc my ją zabierzemy.

— A Sarah? — zapytała rozzłoszczona Griselda.

— Bardzo ładna — przyznał Rupert. — W każdej chwili może liczyć na łóżko w mojej ciężarówce pod warunkiem, że podzieli się nim ze mną.

Griselda była wściekła.

— Co za żmija! Po cichu załatwiła sobie wszystko sama i nie pisnęła ani słowem! I kto teraz dołoży się do benzyny i autostrad! Mogłam się spodziewać, że wytnie mi taki numer.

— Nie wie jeszcze, że wraca z nami — powiedział słodko Billy — a ponieważ bardzo lubicie z Georgie czuć się swobodnie w swoim samochodzie, na pewno nie chciałaby wam przeszkadzać.

— No cóż, nie zdziwię się, jeśli przez pomyłkę zaprowadzi was do Rumunii — powiedziała ze złością Griselda.

Billy pożegnał się z panem Blockiem, który wracał do Londynu samolotem.

— Dobra robota, chłopcze — powiedział, energicznie ściskając mu rękę. — Bardzo się cieszę z takiego obrotu rzeczy. Daleko zajdziemy.

Potem Billy odszukał Malise’a.

— Słuchaj, wiem, że powinienem postawić dzisiaj kolację i z przyjemnością zapłacę rachunek, chciałbym zjeść z wami, ale pomyślałem, że pójdę z Fen w jakieś spokojniejsze miejsce — zarumienił się. — Chyba trzeba ją nieco pocieszyć.

Wiedząc, że dziewczyna wstydzi się posiniaczonej twarzy, Billy zabrał ją do małej i ciemnej restauracyjki podobnej do jaskini, a tam usiedli w osobnej salce z dala od reszty. Fen wciąż była zagubiona, więc Billy zamówił dla niej zwykłe risotto z masłem i parmezanem i karmił ją łyżką jak dziecko.

— Jestem z ciebie taka dumna! — powtórzyła Fen po raz setny. — Ale dla ciebie to żadne święto, skoro ja nie mogę jeść, a oboje pijemy tylko colę.

Billy położył rękę na jej dłoni. Było to tak miłe uczucie, że nie cofnął ręki.

Potem powędrowali brukowanymi rzymskimi uliczkami wśród ruin, w których czaiły się cienie, i oświetlonych fontann, aż znaleźli kamienną ławkę na uboczu. Tam Billy bardzo, bardzo delikatnie pocałował obolałe usta Fen.

— Tak się cieszę, że nie poszłaś do łóżka z tym południowcem — powiedział.

Przesunął dłonią po jej policzku. Jaka to ulga, że nie musiała cofać głowy, żeby nie widział jej krost.

— Billy, kocham się w tobie od trzynastego roku życia.

— We mnie? — zdziwił się Billy.

— Tak jak wiele innych dziewczyn, ale ty byłeś zbyt skromny albo zbyt miły, żeby to zauważyć. Ogólnie uważa się, że Rupert nadaje się na przelotną przygodę, ale w tobie dziewczyny widzą kandydata na męża. Nie, żebym się oświadczała albo coś w tym stylu — dodała, oblewając się gwałtownie rumieńcem.

Billy znów ją pocałował. Nie była pewna, co się robi z językiem, więc naśladowała Billy'ego.

— Jesteś przesłodka — zamruczał — ale jestem dla ciebie za stary, poobijany i zgorzkniały. Nie potrzebujesz faceta z trzeciej ręki.

— Bzdura! — zaprotestowała Fen. — Popatrz na antyki. Są z trzeciej, czwartej albo piątej ręki, a ceni się je znacznie wyżej niż wszystko, co nowe.

Poszli do hotelu przez ciepłą, przesyconą zapachami noc. Espadryle Fen zgrzytały na żwirze.

Billy otworzył drzwi pokoju Fen.

— Zapukam do ciebie za dwadzieścia minut, kiedy się tu uspokoi.

Fen szybko się wykąpała, umyła zęby i spryskała perfumami. Choć noc była ciepła, Fen cała się trzęsła. Gdyby miała większe piersi... Janey była wyjątkowo obdarzona przez naturę w tym względzie. Fen spojrzała na misia Lestera i odwróciła go twarzą do ściany.

— Nie chcę cię zdemoralizować.

Ogarnięta nieśmiałością, świadoma obrzmiałej twarzy, zgasiła światło i dopiero wtedy wpuściła Billy'ego do pokoju.

— Myślisz, że uda nam się znaleźć łóżko? — zapytał, przyciągając do siebie drżącą dziewczynę. — No już, nie ma się czego bać.

— Tak się zawsze mówi o żmijach. Billy, wiem, że nie jestem taka wyrafinowania ani piękna, ani błyskotliwa, ani inteligentna, ani seksowna

jak Janey. Po niej każda wyda ci się gorsza.

— Psst — powiedział Billy, gładząc ją po karku. — I kto tu czyni porównania?

— Ja, bo pewnie każda kobieta, z którą idziesz do łóżka, przypomina ci o niej, a to boli.

Billy znalazł łóżko i pociągnął Fen za sobą.

— Teraz absolutnie nic mnie nie boli. Ciebie za to może zaboleć.

— Od tak dawna jeżdżę, że chyba straciłam błonę dziewiczą. Nigdy nie mogłam jej wyczuć.

Drobnymi rękami z wahaniem przesuwała po jego piersi.

— Wciąż się boisz? — wyszeptał.

Fen nie mogła wydobyć z siebie ani słowa; Billy pocałował ją w górną wargę.

— Nie będę się spieszył. Mamy całą noc.

Tak bardzo starał się nie popędzać dziewczyny ani jej nie przestraszyć, że nawet się nie zastanawiał, czy on sam da radę. Poczuł jednak zadziwiającą radość, kiedy jej dłonie ostrożnie zjechały po jego brzuchu w dół.

— O, czuję go — powiedziała. — Jest wspaniały, taki silny jak Krzywa Wieża w Pizie. Podoba ci się, kiedy tak przesuwam palcami po nim?

— To cudowne — wymamrotał Billy.

— Nie boli?

— Jeśli dotykasz tak delikatnie jak teraz, to jest niebiańskie uczucie.

Fen była tak podniecona, że żadne z nich w końcu nie odkryło, czy faktycznie miała jeszcze błonę dziewiczą, czy już nie. Oplatając go jak małpka, jechała na nim lekko, cały czas prosząc o więcej i więcej. W końcu Billy zapomniał o delikatności i wszedł w nią z całą siłą.

— To było magiczne, naprawdę magiczne — wyszeptała Fen, kiedy skończyli.

— Naprawdę? Naprawdę tak myślisz?

— W ogóle nie bolało — powiedziała, wtulając się w niego.

— Zobacz — odparł Billy — brytyjska flaga powiewa na maszcie.

Nagle zaczął śpiewać lekko drżącym głosem:

— *Boże, chroń królową, niech nam żyje królowa*...

Z pokoju obok dobiegło wściekłe walenie w ścianę.

Fen westchnęła uszczęśliwiona. „Billy znów śpiewa” — pomyślała.

Kolejne tygodnie były dla Billy’ego objawieniem. Janey emanowała seksapilem, ale on zawsze miał wrażenie, że chociaż lubiła seks, to bardziej dla własnej przyjemności i podbudowania ego. Nigdy nie czuł się naprawdę przez nią pożądany. Przy Fen czuł się tak, jakby znalazł klucz do raju. Pod każdym jego dotknięciem dziewczyna drżała z pragnienia. Cały czas chciała go dotykać, uwielbiała wszystko, co się z nim wiązało, a wszystko, co jej ofiarował, było idealne. Nigdy jeszcze nie szedł do łóżka z osobą tak pozbawioną egoizmu — zawsze myślała o jego przyjemności, kiedy był zmęczony, masowała mu kark, godzinami była gotowa go głaskać i pieścić.

Bez końca rozmawiali o koniach, ale w przeciwieństwie do pozostałych jeźdźców Fen mogła godzinami omawiać sposoby poprawienia wyników koni Billy’ego, a nie czekała tylko, żeby sprowadzić rozmowę na własne sprawy.

Kiedy zainstalowali Macaulaya i Desdemonę w Fontainebleau, spędzili tam dodatkowy dzień, wędrując po lesie, a wieczorem poszli na wspaniałą francuską kolację, która miała jej powetować to, że w Rzymie mogła jeść tylko risotto. Następnie polecieli do domu po Laurela i Hardy’ego oraz dwa nowe konie Billy’ego kupione przez pana Blocka — i zabrali je do Windsoru. Potem był Paryż, Barcelona i w końcu Lucerna. Brytyjscy jeźdźcy byli niepokonani. Trębacz skakał wspaniale, tak samo Desdemona i

Macaulay. Reszta drużyny doskonale zdawała sobie sprawę, co się dzieje z Fen i Billym.

— Przegoniłeś mnie — powiedział z wyrzutem Rupert, ale mimo wszystko cieszył się szczęściem przyjaciela.

Malise przymykał oko, również zadowolony. Bardzo lubił Billy'ego i martwił się jego depresją i brakiem pewności siebie. Poza tym cieszył się sukcesami drużyny. Billy i Fen byli zakochani w sobie po uszy. Przy ludziach zachowywali dyskrecję, ale wystarczyło spojrzeć, jak Billy nosi jej walizki, a ona zwraca się do niego po radę, jak trzymają się blisko siebie, mówią jednym głosem i śmieją się ze swoich żarcików. Fen wprowadziła lepszy nastrój do całej drużyny. W Lucernie Humpty zastąpił Griseldę, cała trójka, Ivor, Driffield i Humpty, szalała za Fen. Dziewczyna została maskotką drużyny, która zjednoczyła się jak nigdy dotąd. Tym razem Puchar Narodów nie przeszedł im koło nosa.

Fen leżała w kąpieli z pianką, a od ściany pokoju hotelowego w Lucernie odbił się korek szampana.

— Za twoje pierwsze Grand Prix. — Billy wlał szampana do kubka od mycia zębów i podał jej.

— Nie wypiję całej butelki — zaprotestowała Fen, podczas gdy Billy opuścił klapę toalety i usiadł, przyglądając się dziewczynie.

— Co się dzieje? — zapytał. — Nie cieszysz się, że wszystkich pobiłaś?

— Czuję się, jakby był koniec wakacji.

Billy podszedł i uklęknął przy Fen, namydlił jej piersi i pocałował wilgotny kark.

— Kochanie, to dopiero początek. Jedziemy do domu, ale zobaczymy się w przyszłym tygodniu w Crittleden, potem na konkursach królewskim i międzynarodowym.

Fen spuściła wzrok. Mydło zaczynało się rozpuszczać, tworząc pianę.

— Wiem, ale to już nie to samo...

— Będzie jeszcze lepiej, zobaczysz. No chodź, musimy się pospieszyć. Malise chce nas zabrać na kolację, wychodzimy za dwadzieścia minut.

Fen nie powiedziała Billy'emu, że po południu przyszedł do hotelu telegram od Janey z gratulacjami kolejnego podwójnego czystego przejazdu w Pucharze Narodów. Rupert podarł wiadomość, zanim Billy ją zobaczył.

— Teraz najmniej mu tego potrzeba. Ty też nic mu nie mów — uprzedził dziewczynę.

Fen nic nie powiedziała, ale była przerażona. Oboje z Billym unikali rozmów o Janey. Jak przy złamanej kostce — mieli wrażenie, że jeśli się na niej nie stanie, to nie boli.

Oprócz nagrody finansowej Grand Prix Fen jako najlepsza amazonka zawodów wygrała długie futro. Namiętnie przeciwstawiała się noszeniu futer, ale kiedy Billy ją wytarł po kąpieli, nie mogła się oprzeć pokusie — włożyła je na nagie ciało, ciesząc się dotykiem jedwabnej podszewki na rozgrzanej skórze.

Billy przerwał zawiązywanie krawata i podszedł do niej.

— Boże, jakie to seksowne. Wystarczy, że na ciebie spojrzę, a już...

Ujął jej twarz w dłonie; była taka piękna. Siniaki i opuchlizna znikły.

— Nie masz pojęcia, ile ci zawdzięczam — powiedział. — Przywróciłaś mi wiarę w życie. Nigdy nie sądziłem, że znów będę się budził z nadzieją, czekając, co przyniesie dzień.

Fen rozchyliła poły futra tak, by poczuć jego penis wbijający się w jej pępek. Oparła głowę na piersi Billy'ego

— Nie chcę, żebyś poczuł się stary, ale nigdy tak naprawdę nie miałam ojca. Mój rodzony zmarł, kiedy miałam osiem lat, ale na długo przedtem rozwiódł się z mamą, pułkownik Carter był palantem, a Jake, chociaż wspaniały, nie jest typem, do którego można się przytulić, bo jest zbyt

surowy. Oprócz psów, koni, świnek morskich i chomików jesteś dla mnie nie tylko pierwszym ojcem, ale i pierwszą osobą, którą jestem w stanie pokochać.

Billy spojrzał w dół i uświadomił sobie, że nigdy, przenigdy nie wolno mu jej zranić.

— Wiem, że podrywam małolatę, ale nic na to nie poradzę — wymamrotał w jej włosy.

Rupert, stęskniony za Tabithą, tuż po Grand Prix w Lucernie poleciał do domu. Tab, która skończyła rok, mogła już przejść kilka kroków, ale zwykle posuwała się na czworakach, bokiem jak krab, wystawiając jedną nóżkę. Miała na sobie niebieską piżamę, która spadała jej z ramienia. Na widok ojca stojącego w drzwiach tak się ucieszyła, że zabrakło jej słów.

— Mój aniołek! — zawołał Rupert, chwytając ją ze stada podnieconych psów i podnosząc wysoko nad głowę, aż dziewczynka zaniosła się śmiechem. Była różowa, jasna i piękna.

— Tatuś przywiózł ci mnóstwo prezentów.

Jednak dla Tab najlepszym prezentem był powrót ojca. Mała wtuliła się w niego jak kociak.

Helen ostrożnie wyszła na korytarz, prowadząc za rękę Marcusa.

— Cześć, kochanie — powiedziała, całując go. — Jak podróż?

— Doskonale. Zdobyliśmy Puchar Narodów, a Billy wrócił do formy. Boże, naprawdę świetnie skacze.

— Bardzo się cieszę. Nie zaczął znów pić, co?

— Nie, skąd. Żyje wodą perrier i miłością.

— Miłością? — powtórzyła zaskoczona Helen

— Tą małą Fenellą Maxwell. Chyba nie mógł lepiej trafić.

— Ale ona nie ma nawet osiemnastu lat, to jeszcze dziecko.

— On też. A ona matkuje mu jak stara klacz. Naprawdę wspaniale się dobrali, wreszcie ma kogoś, z kim może porozmawiać o koniach.

— W przeciwieństwie do mnie — powiedziała gorzko Helen. — Jutro idę z Janey na lunch — dodała.

Po sześciusetkilometrowej drodze z Lucerny Billy i Fen zatrzymali się w pobliżu wybrzeża i dopiero następnego dnia w południe wsiedli na prom. Stajenne jadły lunch. Billy wynajął kabinę na trzy godziny i wziął Fen do łóżka, tak samo jak ona bojąc się czekającego ich rozstania. Dotarli do Gloucestershire w czasie zachodu słońca. Był to jeden z tych magicznych wieczorów, kiedy otwiera się oba okna w ciężarówce, a powietrze jest ciężkie od zapachu bzu i dzikiej róży.

Fen siedziała przytulona do Billy’ego, trzymając rękę na jego udach, nie ukrywając ich romansu. Do Penscombe zostało im tylko kilkanaście kilometrów. Kiedy tam dojadą, pożyczy samochód Ruperta i zawiezie Macaulaya i Desdemonę do Mill House — na miejscu powinna być około północy.

Tracey spała twardo z tyłu. Sarah opróżniała lodówkę. Konie Billy’ego i Ruperta zaczęły przestępować z nogi na nogę i rżeć, rozpoznając znajome zapachy.

— Czy wyświadczysz mi wielką przysługę? — zapytał Billy ze wzrokiem utkwionym w drodze przed nimi. Fen czuła jego napięcie.

— Jasne.

— Zostaniesz ze mną na noc? Rano sam cię odwiozę.

Fen ze szczęścia odebrało mowę. Billy jej potrzebuje, naprawdę jej potrzebuje. Pocałowała go w policzek.

— Zastanawiałam się, czy zdołam się z tobą pożegnać dzisiaj wieczorem.

— Zadzwoniłem z Lucerny do pani Bodkin, poprosiłem, żeby posprzątała dom i pościeliła łóżko. Jestem dorosły. Nie mogę wiecznie mieszkać z Helen i Rupertem, poza tym — zerknął na zegarek — przynajmniej od siedmiu godzin się nie kochaliśmy. Nie będą ci przeszkadzać rzeczy Janey?

— Nie, jeśli tobie to nie przeszkadza — odparła Fen.

Ze stajni Ruperta Fen zadzwoniła do Tory.

— Jestem już u Ruperta, ale padam z nóg. Helen zaprosiła mnie na nocleg, nie masz nic przeciwko? Billy albo ktoś inny odwiezie mnie rano.

— Pójdę do piekła za te kłamstwa — powiedziała do siebie, odkładając słuchawkę.

Kiedy rozlokowali konie, był już zmierzch. Po dniu został tylko szafranowy poblask na horyzoncie. Billy, który znał ścieżkę prowadzącą skrajem lasu, prowadził Fen, trzymając ją za rękę, podczas gdy Mavis biegła przodem, goniąc króliki. Noc była ciepła, pełna zapachu wiciokrzewu i bzów rosnących wzdłuż ścieżki.

— Przepiękne miejsce — zachwyciła się Fen. — Boże, masz szczęście, że tu mieszkasz.

W bramie Billy otoczył ją ramieniem, przytrzymując jak balonik, który może w każdej chwili ulecieć.

— Wszystko dobrze — powiedziała Fen cicho. — Jestem tu po to, żeby się tobą zająć.

Otworzył drzwi wejściowe. Mavis wystrzeliła do przodu, piszcząc z podniecenia. Billy zapalił światło, wszedł do kuchni i postawił walizki na ziemi. Fen weszła za nim.

— Pięknie tu — powiedziała.

— Pani B. naprawdę się napracowała — odparł Billy. — Boże, szkoda, że nie możemy się napić.

— Zrobię kawę — zaoferowała Fen, biorąc do ręki czajnik.

— Jesteś głodna?

Dziewczyna pokręciła głową.

— No to chodźmy do łóżka. Chcę ciebie i przy okazji pozbędę się duchów przeszłości.

Fen wyszła na korytarz. Za drzwiami po przeciwnej stronie słyszała podniecone popiskiwanie i drapanie.

— Mavis zamknęła się w pokoju.

Dziewczyna otworzyła drzwi i zapaliła światło, po czym zamarła w przerażeniu. Przed kominkiem, szczupła, piękna i groźna w czarnej koszulce bez rękawów i obcisłych spodniach z czarnej skóry stała Janey.

— Cześć, Fen — odezwała się z krzywym uśmiechem. — Niezwykle miło z twojej strony, że zajęłaś się Billym podczas mojej nieobecności, ale teraz poproszę o zwrot.

Fen zachłysnęła się szlochem, odwróciła na pięcie i wybiegła z kuchni, po drodze wpadając na Billy'ego.

— Zobaczyłaś ducha?

— Nie, żywego człowieka. Idź do salonu, sam zobaczysz.

Biegnąc przez ogród, słyszała, jak Billy ją woła, ale się nie zatrzymała. Pobiegła dalej lasem. Raz potknęła się, upadła i pokaleczyła sobie ręce, ale nawet nie poczuła bólu. Przystanęła dopiero przy drzwiach domu Ruperta. Były otwarte. Wypadł z nich szczekający pies. Z kuchni wyszedł Rupert z dużą whisky w jednej ręce i listem w drugiej.

— Cześć, mała. — po czym spojrzał na jej brudne, podrapane ręce i wstrząśniętą twarz. — Aniołku, co się stało?

— To przez Janey, czekała na nas w domu.

— Skąd ona się tam wzięła, do cholery? — Rupert zaprowadził Fen do kuchni i nalał jej dużego drinka.

— Niczego nie chcę — powiedziała Fen, marszcząc twarz w kolejnym ataku szlochu.

— Kochana, tak mi przykro. On jej nie przyjmie z powrotem.

— Owszem, przyjmie, na pewno. Ja byłam tylko na pocieszenie.

— Bzdura, był z tobą szczęśliwy jak nigdy dotąd.

— Nie zniosę tego, naprawdę tego nie zniosę!

Helen, która kładła dzieci do łóżek, usłyszała ruch na dole i zeszła. W kuchni zastała Ruperta z blondynką w ramionach.

— Och, najmocniej przepraszam — powiedziała sarkastycznie. — Nie chciałam przeszkadzać.

— Nie wygłupiaj się, to Fen. Ta suka Janey wróciła.

Fen odwróciła się do Helen.

— Bardzo przepraszam za kłopot — wyszlochała — ale nie miałam dokąd pójść.

Zadzwonił telefon. Wciąż obejmując Fen jednym ramieniem, Rupert odebrał.

— Tak, jest. Nie najlepiej. Co się dzieje, do cholery? Dobrze, do zobaczenia. Idzie tutaj — powiedział, odkładając słuchawkę. — Wytrzyj oczy i wypij.

Billy przybiegł dziesięć minut później. Rupert zostawił ich samych. Fen uniosła zapłakane oczy.

— Och, Billy.

— Fen, kochana. — Billy przyciągnął ją do siebie. — W życiu bym nie przypuszczał, że ona wróci.

— Musisz się z nią jakoś dogadać. To wciąż twoja żona.

— Nie wiem, czy chcę do niej wrócić. Bez niej znacznie mi lepiej.

— Musisz coś wiedzieć. Janey przysłała ci dwa telegramy, jeden do Paryża, drugi do Lucerny. Rupert je podarł.

Billy przez chwilę przetrawiał tę wiadomość, po czym odezwał się z goryczą:

— Odezwała się dopiero wtedy, kiedy znów zacząłem wygrywać. Janey lubi się podpinać pod gwiazdę, ale wątpię, czy obchodzi ją naprawdę to, kim jest ta gwiazda.

Objął ją mocniej.

— Idę z nią porozmawiać. Zostaniesz tutaj? Rupert się tobą zajmie, a ja przyjdę rano. Chcę ci powiedzieć, że jesteś najsłodszą osobą, jaką miałem szczęście w życiu poznać.

W tym czasie Rupert wyszedł na taras, gdzie zastał Helen przyglądającą się gwiazdom, które zaczęły się ukazywać na niebie i słabemu odbiciu księżyca między liliami wodnymi na jeziorze.

— Skąd, do licha, Janey wiedziała, że Billy dzisiaj wraca?

— Być może ja jej powiedziałam, chociaż nie sądzę. Wczoraj byłam z nią na obiedzie. Miała na sobie stary krawat Billy’ego. Na pewno jej powiedziałam, że Billy jest szczęśliwy z Fen.

Rupert odwrócił się do niej z wściekłością.

— Co takiego?

— Bardzo się martwiła, powiedziała, że ma wyrzuty sumienia, bo Billy jest sam, zaczął pić i kiepsko mu idzie.

— Doskonale wiedziała, że dobrze mu idzie, bo wysłała do niego telegramy.

— A potem zrobiła smutną minę i powiedziała, że ma nadzieję, że kiedyś Billy znajdzie kogoś miłego... więc opowiedziałam jej o Fen.

— Ty idiotko, podpuszczała cię, żeby się czegoś dowiedzieć.

— Nie mów tak do mnie, proszę.

— Wyrządziłaś Billy’emu niedźwiedzią przysługę. Ledwie wydostał się z bagna, ty go znów w nie wepchnęłaś.

W tej chwili na taras wyszedł Billy.

— Zajmiesz się nią?

— To ty powinieneś to zrobić — warknął Rupert — i wyrzucić tę zdzirę.

Rupert przez pół nocy rozmawiał z pogrążoną w rozpaczy Fen.

— Przepraszam, nudzę cię, ale tak bardzo go kocham. Widziałam ją. Wiem, że chce do niego wrócić, potrafi zdobyć każdego, a Billy jest prostolinijny i zgodzi się ją przyjąć. Zabawne, tak bardzo chciałam się zakochać, ale nigdy nie przypuszczałam, że to tak boli. Życie to nie książki sióstr Pullein-Thompson, prawda? Książki zawsze dobrze się kończą.

Helen nie mogła spać. Dlaczego Rupert zawsze znajduje czas dla innych, dla Fen, Billy'ego, Tab — tylko nie dla niej? Z drugiej strony wiedziała, że to jest kara.

— Boże — modliła się — co ja zrobiłam? Powiedziałam Janey o Fen nie po to, żeby ją podpuścić, tylko żeby dała mu spokój.

42

NASTĘPNEGO DNIA ZACZĘŁO PADAĆ, deszcz zmył resztki radości z kwiatów, strącił puchate głowy dmuchawców, przygniótł trybulę do ziemi, zmusił do milczenia kukułki i zamienił wszystkie tory do jazdy w trzęsawiska. Fen miała wrażenie, że wciąż jest przemoczona i zmarznięta, drżąca i nieszczęśliwa, zwłaszcza w nocy, kiedy brakowało Billy'ego, żeby ją ogrzać i otoczyć miłością. Znów sypiała z misiem Lesterem, mocząc go łzami i codziennie zasypiając na nim z płaczem. W dzień jedynym antidotum była praca. Fen błagała Malise'a, by wyłączył ją z dziewięciodniowych zawodów w Aachen, gdyż Billy miał tam również jechać, zapewne z Janey. Zamiast tego Malise zostawił Billy'ego, dając mu kilkutygodniowy urlop na uporządkowanie spraw małżeńskich. Billy przecież został zawodowcem, więc nie pojedzie na igrzyska do Los Angeles, a Malise postanowił już zacząć przygotowywać swoją drużynę do olimpiady. Biorąc pod uwagę obecną formę zawodników, Fen, Rupert i Ivor Braine mieli zapewnione miejsca w reprezentacji. Czwarte miejsce wciąż czekało na Jake'a, jeśli jego noga zagoi się na czas.

Fen próbowała ukryć przed nim swój miłosny zawód, kiedy odwiedziła go w szpitalu po powrocie z Lucerny.

— Zobacz, wygraliśmy! — powiedziała rześko, rzucając na białą kołdrę torbę pełną rozetek.

Jake rzucił jedno spojrzenie na jej twarz.

— Kto to, ten drań Campbell-Black? Mówiłem, że tak się to skończy. Zabiję Malise'a, jak go zobaczę.

Fen podeszła do okna, tłumiąc łzy.

— To nie Rupert. To Billy.

— Billy! — Przez moment Jake nie był w stanie zdobyć się na odpowiedź. — Co się stało? Chyba nie jesteś...?

— Nie, skąd. Janey wróciła.

— Boże. Pewnie ta wiedźma dowiedziała się, że dobrze mu idzie, i postanowiła skorzystać z okazji.

— Coś w tym rodzaju.

Jake kochał Fen, ale z wściekłości na Billy'ego i Janey oraz przerażenia na widok ściągniętej twarzy dziewczyny wyrzucił swoją złość na nią. Miał potem do siebie wielkie pretensje. Żałował, że nie umie jej pocieszyć, jednak przepełniała go tylko chęć zemsty. Świat otwarcie nie sprzyjał im obojgu.

Fen przeczekała potok wyzwisk i wyrzutów, po czym padła, szlochając, na łóżko.

— Jake, nic nie mogłam na to poradzić. Nie chciałam się zakochać.

Jake pogłaskał ją po ramieniu.

— Przepraszam za ten wybuch. Po prostu nie znoszę, jak cierpisz. Nie powinienem był cię tam puszczać.

— Nigdy nie byłeś zakochany? Nigdy nie skrzywdziła cię kobieta?

— Kobieta nigdy.

„W każdym razie od czasu samobójstwa matki" — pomyślał.

— Nawet Tory?

— Tory muchy nie skrzywdzi.

Stopniowo, po kolejnych konkursach — w Aachen, Calgary, Wolfsburgu — przybywało rozetek. Co zabawne, przez pierwsze tygodnie najbardziej pomógł dziewczynie Rupert. Wieczorami na wyjazdach zagranicznych nie pozwalał jej zaszywać się w ciężarówce i wypłakiwać oczu, lecz wyciągał na kolacje z resztą drużyny. Dla niego Fen stanowiła część życia Billy'ego,

zatem należało ją chronić, troszczyć się o nią, a czasami zganić. Nigdy dotąd nie przyjaźnił się z kobietą. Według niego kobiety należało ścigać, zaciągać do łóżka i odrzucać. Co jakiś czas nachodziła go ochota, by powtórzyć ten schemat w stosunku do Fen, gdyż miał na nią ochotę, poza tym może pomógłby jej zapomnieć o bólu, ale powstrzymywał go rzadki u niego przypływ altruizmu.

Fen była zdezorientowana. Przyzwyczajona do tego, by nie znosić Ruperta, odkrywała w nim teraz niespodziewaną delikatność, zwłaszcza kiedy rozmawiał o córeczce.

Billy odwiedził Ruperta zaraz po swoim powrocie do Anglii.

— Co u Fen? — brzmiało jego pierwsze pytanie.

— Zabrałem ją wczoraj na kolację.

— Z drużyną?

— Nie, sam.

— Po co?

— Żeby ją pocieszyć.

— I co, pocieszałeś ją w pozycji horyzontalnej?

— Chciała rozmawiać. Wciąż za tobą szaleje.

— O Boże — powiedział Billy, starając się nie okazać zadowolenia.

— Ale ten głupi impas może się skończyć dopiero wtedy, kiedy ona znajdzie sobie kogoś innego.

Billy z przerażeniem odkrył, że ta perspektywa jest dla niego okropna.

— Może masz rację — powiedział jednak.

— Na pewno. Zwłaszcza jeśli jak głupek upierasz się, że Janey do ciebie pasuje.

Billy nie był pewny. Po powrocie do domu spędził z Janey całą noc, uprawiając seks i zacierając wyrzuty sumienia i pretensje. Następnego dnia uparł się, żeby odwieźć Fen — bladą, milczącą i otępiałą — do Mill House.

Kiedy przy pożegnaniu objął ją ramionami, czuł niemal, jak do niego lgnie. Powiedział, że zawsze będzie ją uwielbiał — co jednak brzmi inaczej, niż „kochać”.

Po powrocie stwierdził, że Janey przejrzała mu portfel, znalazła zdjęcie Fen i wpadła w histerię.

Billy próbował przemówić jej do rozsądku.

— Przez cały czas małżeństwa nawet nie spojrzałem na inną kobietę. Potem ty wniosłaś pozew o rozwód. Chciałem o tobie zapomnieć.

— Mogłeś przyjść i zabić Keva.

— To nie w moim stylu. Kiedy raz próbowałem go uderzyć, nie trafiłem.

— Była lepsza w łóżku ode mnie?

— Inna — odparł dyplomatycznie Billy.

— Posuwałeś ją w naszym łóżku?

Billy pokręcił głową.

— Ale miałeś taki zamiar, bo wróciliście tu razem.

— Gdybym tego nie zrobił, wzięłabyś mnie za wyjątkowego mięczaka.

Janey widziała, że Billy faktycznie się zmienił. Znikły plamy na twarzy, zaczerwienienie i kwaśny oddech zalatujący whisky. Teraz był to mężczyzna opalony, szczupły, umięśniony, twardszy, mniej cierpliwy, ale i znacznie bardziej atrakcyjny.

— Nie wolno ci się z nią więcej widywać — powiedziała Janey, nalewając sobie kolejną wódkę z odrobiną toniku.

— To niemożliwe. Przecież jesteśmy w tej samej drużynie. Gdybym pracował w biurze albo był inżynierem czy architektem, poszukałbym pracy w innej części kraju, jednak ja umiem tylko skakać. Po twoim odejściu nie byłem zdolny do niczego, ona podniosła mnie z rynsztoka, przywróciła pewność siebie, odwagę i seksualność. Przez ostatni miesiąc wygrałem dwadzieścia tysięcy.

— To co mam zrobić, poprosić, żeby z nami zamieszkała?

— Chcę ci tylko wytłumaczyć, że to nie jest takie proste. Nie możesz tak po prostu zniknąć z mojego życia na niemal rok, a potem oczekiwać, że nic się nie zmieniło.

— Skończyłam książkę — powiedziała Janey. — I zaproponowano mi trzydzieści tysięcy za prawa do serialu. A wydawca zlecił mi kolejną, więc nie będziesz już musiał tak dużo pracować, kochanie.

„Ona mnie nie słucha — pomyślał w rozpaczy Billy. — Nigdy nie słucha, chyba że ma nadzieję na dobrą historię".

Nastąpiły wybuchy histerii. Janey otwierała listy nad parą, liczyła chusteczki — „może jakiejś używała" — i sprawdzała włosy w wannie: „są bardziej kręcone od moich".

— To włosy łonowe, na miłość boską — powiedział Billy.

Janey zachowywała się całkowicie irracjonalnie. Sama oszukała Billy'ego, zdradziła go, wystawiła na pośmiewisko, ale nie potrafiła uwierzyć, że Billy nie wymyka się na spotkania z Fen przy każdej możliwej okazji.

Jej paranoiczna zazdrość dotyczyła nie tylko Fen, ale wszystkich pozostałych znajomych. Co myślą o niej teściowa, Helen, Rupert, Malise? Janey lubiła być w centrum uwagi, a odzyskanie ich szacunku zajmie sporo czasu i wysiłku. Znajomi zakładali się, że zgoda nie potrwa długo.

Fen zobaczyła się z Billym dopiero pod koniec lipca w Crittleden. Rupert ostrzegł ją, że Janey również będzie, dlatego Fen przyjechała w ostatniej chwili, akurat żeby zdążyć obejść tor przed dużym konkursem — Złotym Pucharem Crittleden — dającym zwycięzcy piętnaście tysięcy funtów. Na torze zastała spore zamieszanie. W walce o rozgłos właściciel toru, Steve Sullivan, wstawił nową przeszkodę, którą jeźdźcy uznali za niemożliwą do przeskoczenia. Nazwano ją fosa. Składała się z dwóch trawiastych zboczy.

Konie miały wspiąć się na pierwsze z nich, pobiec górą, zbiec do połowy wysokości, przeskoczyć rów z wodą o głębokości dziewięćdziesięciu centymetrów, wskoczyć na drugie zbocze, wspiąć się na górę, przejechać grzbietem i zjechać po drugiej stronie. Tam czekała na nie mała, niespełna metrowa przeszkoda oddalona o kilka kroków.

Bojąc się, że zawodnicy załadują konie na ciężarówki i pojadą do oddalonego o piętnaście kilometrów Pripley Green, gdzie odbywały się inne ważne zawody, Steve Sullivan ujawnił dane toru godzinę przed zawodami. Kiedy zawodnicy zobaczyli fosę, wybuchła awantura.

— Ja tego nie skaczę — oświadczył Rupert.

— Ani ja — dodał Billy.

— Jeśli konie przeskoczą fosę, nie dadzą rady przy kolejnych przeszkodach — powiedział Ivor Braine.

— Pamiętacie zbocze w Lucernie? — zapytał Humpty. — Zaraz za fosą ustawili okser. Konie traktowały go jak zbocze i wszystkie się przewracały. Jednego z holenderskich koni trzeba było zastrzelić. Nie zaryzykuję Saddlebacka Sama.

— Rów ma prawie metr głębokości — powiedział Billy. — Jeśli koń w niego wpadnie, to już nigdy w życiu nie przeskoczy przez wodę.

— To bardzo łagodne wzniesienie — zaprotestował Steve Sullivan. — I nie jest śliskie. Przeskoczą je bez problemu, prawda, Obojczyku? — zwrócił się do Irlandczyka.

— Pewnie. Nie przewiduję jakichś większych problemów — powiedział Obojczyk.

— Widzicie! — zakończył Steve. — Wczoraj wieczorem przejechałem ten tor na mojej starej klaczy. Przeskoczyła fosę, nawet się nie zastanawiając.

— Ona nadaje się już tylko na karmę dla kotów — warknął Rupert. — Nawet jeśli złamie nogę, to nie ma znaczenia. A my jeździmy na koniach z najwyższej półki. Nie zaryzykuję konia wartego sto tysięcy dla cholernej fosy.

Poszedł do Malise'a i złożył skargę — ten przyszedł obejrzeć tor.

— Według mnie da się to przeskoczyć, to normalna przeszkoda na polowaniu.

— Te konie nie jeżdżą na polowania — odparł Rupert.

Billy naradzał się z panem Blockiem.

— Nie po to przez osiem miesięcy pracowałem nad Trębaczem, żeby zepsuć to wszystko w jedno popołudnie. Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli się wycofam?

— Rób, jak uważasz, chłopcze — odparł pan Block. — Mnie też się to nie podoba. Pierwszy koń sobie poradzi, ale kiedy kolejne rozdepczą murawę, to zbocze zamieni się w ślizgawkę.

Sponsor Steve'a Sullivana, gigant papierosowy Fuma, włożył jednak duże pieniądze w zawody i chciał, żeby się odbyły. W biurze zawodów rozdzwoniły się telefony. Steve zaproponował, żeby zamiast fosy ustawić wysoki mur.

— To nie będzie fair — zaprotestował Rupert. — Mur to nie zbocze.

— Faworyzuje małe konie — dodał Humpty. — Im wystarczą dwa kroki od dołu zbocza do bramki.

Hrabia Guy uznał fosę za *vraiment dangereuse*[1]. Ludwig przytaknął.

— To jakasz wasza angielszka obszeszja na zawodach, Steve, zawsze musicie miecz foszę. A gdzie zamek, szłoń i park szafari?

Na Steve'a Sullivana biły siódme poty. Nigdy dotąd nie spotkał się z buntem zawodników. Jeźdźcy stali w ponurym szeregu na zboczu, z rękami na biodrach.

Fen w milczeniu przeszła resztę toru. Dzień był pozbawiony słońca, cichy, pochmurny, ale parny, a trawa zieleniła się po niedawnych burzach. W powietrzu latały chmary komarów. W końcu dotarła do fosy i stanęła na górze, uderzając palcatem o buty, spoglądając na kolegów z dezaprobatą. Kask zsunęła na nos.

„Dorośli mężczyźni, no i Griselda, a robią takie zamieszanie — pomyślała. — Prychają jak rozzłoszczone koty”.

Rupert podszedł i cmoknął ją na przywitanie.

— Cześć, aniołku, akurat zdążysz dołączyć do pikiety. Mamy zamiar dać nauczkę Steve’owi.

W tej chwili jeden z członków ekipy telewizyjnej w białej czapce garnizonowej i obcisłych różowych spodniach podbiegł do zawodników.

— Chłopcy, chłopcy, musimy zaczynać! — zawołał, skokiem omijając sporą hałdę błota. — Zakończyły się wyścigi samochodowe, za chwilę wchodzimy na wizję.

— Wracaj na swój muchomorek, krasnalu — powiedział Rupert.

— Krasnal, ale bogaty, przystojniaku — zachichotał w odpowiedzi. — Chcemy wiedzieć, czy będziecie skakać.

Jeźdźcy zbili się w gromadę.

Fen stała kawałek dalej. Zauważyła Billy’ego, przez sekundę wpatrywali się w siebie. Billy stwierdził, że dziewczyna bardzo schudła, bryczesy wisiały na niej luźno. Fen odsunęła się szybko, potknęła o bramkę i przewróciła słupek. Podnosząc się, usłyszała słowa Ruperta skierowane do człowieka z BBC:

— OK, wchodźcie na wizję. Będziemy skakać.

Fen pobiegła na padok, gdzie Sarah rozgrzewała Desdemonę.

— Co się dzieje? — zapytała stajenna.

— Burza w pucharze wody — odparła Fen. — Będziemy skakać, ale sądząc z błysku w oczach Ruperta, coś się szykuje.

— Może zadzwoń do Jake’a.

— Nie, on by mi kazał się wycofać.

Na widowni ludzie przekazywali sobie najświeższe plotki, często sprzeczne. Widzieli zawodników zebranych nad fosą, zapowiadały się najtrudniejsze zawody tego roku. Wielu widzów przyjechało z daleka specjalnie na ten konkurs. Na widowni zapanowało podniecenie, a wjazd pierwszego zawodnika — Ruperta — powitano wielkimi brawami. Rupert teatralnym, zamaszystym gestem zdjął kask przed sędziami i pokłusował na spienionym, spoconym i wierzgającym Snakepicie wokół areny, w oczekiwaniu na sygnał oznaczający początek transmisji telewizyjnej i start.

Ruszył. Popędził po szmaragdowej trawie, skakał doskonale, pokonał wszystkie przeszkody czysto i dojechał do fosy.

— Teraz im pokaże, jak się to robi — powiedział pułkownik Roxborough.

— Raczej nie — odparł Malise ponuro.

Wszyscy na trybunie dla zawodników wstali z miejsc i wstrzymali oddech. Rupert podjechał kłusem do wysokiego zbocza, potem w ostatniej chwili niemal w miejscu zatrzymał Snakepita, o mało nie wyrywając mu zębów, i objechał przeszkodę, ignorując krzyki: „Źle jedziesz!” — w końcu powoli zjechał z areny.

Na zawody zgłoszono trzydzieści pięć koni. Kolejnych dwudziestu jeźdźców celowo omijało fosę lub kończyło przejazd przed nią. Przez kilka pierwszych kolejek widzowie byli bardzo zdziwieni, potem, kiedy zdali sobie sprawę, że są świadkami strajku i celowego sabotowania konkursu, zaczęły się gwizdy i gniewne okrzyki. Na trybunie honorowej, wyłożonej

czerwonym chodnikiem i tapetą firmy Sanderson, Steve Sullivan szalał z wściekłości.

— Dranie! Co za dranie! I to ten palant Campbell-Black pociąga za sznurki!

Malise z bezbrzeżnym niesmakiem przyglądał się widowisku.

— Zachowują się jak banda dokerów i robotników — powiedział pułkownik Roxborough bliski apopleksji, przełykając ostatnie winogrona ze stojącej obok misy Lalique'a. — Większość skoczków chętnie wyrzuciłaby Beechersa z Grand National, ale nie strajkują z tego powodu.

— Nie może pan przycisnąć Billy'ego, panie Block? — powiedział błagalnie Steve.

— Jeśli chodzi o konie, to ufam ocenie Billy'ego — odparł sponsor. — W przyszłym tygodniu są kolejne zawody.

Malise zszedł na padok. Za przykładem innych jeźdźców Billy właśnie zjechał z areny przy wtórze gwizdów widzów. Unikał wzroku Malise'a.

Ze skoczków brytyjskich pozostali jedynie Driffield, Ivor i Fen.

— Robicie idiotów z sędziów i ludzi — powiedział z gniewem Malise do swojej drużyny. — Jeśli nie podoba się wam tor, nie skaczcie, ale nie sięgajcie po takie niskie sztuczki. Chcecie naprawdę dobić ten sport?

Skuszony piętnastoma tysiącami nagrody Driffield o mało nie uległ.

Jednak hrabia Guy i Ludwig zrobili to samo, więc jak mógł się kłócić ze specjalistami? Dudley Diplock w loży komentatorów BBC wpadł w rozpacz. Zewsząd dzwoniły telefony.

— Nie możemy wrócić do tenisa? — błagał kogoś przez telefon. — Albo do wyścigów samochodowych, albo krykieta? Na pewno gdzieś rozgrywają się mistrzostwa hrabstwa.

Kolejny telefon.

— Siedź tam, Dudders — powiedział wydawca z redakcji sportowej. — To świetna historia, z newsroomu właśnie kazali przypilnować Campbella-Blacka, zrób z nim później wywiad. Jak się zdaje, to on tym kieruje.

Driffield zjechal z toru.

— Teraz ty, kochana — powiedział Rupert do Fen. — Dojedź normalnie do zbocza. Nie przejmuj się widownią, tylko Włosi rzucają butelkami — a potem skończ. Federacja Sportów Konnych nie może zawiesić nas wszystkich.

Jake leżał w łóżku szpitalnym, czekając na telefon. Pięć razy sprawdził w centralce, w której pracowała jego znajoma, przydzielono mu bezpośrednią linię, ale nikt nie zadzwonił. Był wściekły na Fen. Może zobaczyła Billy'ego — zauważył go, kiedy jeźdźcy obchodzili trasę — i z wrażenia zapomniała zadzwonić. Teraz zaś najwyraźniej miała zamiar dołączyć do strajku organizowanego przez Ruperta. Fosa wyglądała na bardzo niebezpieczną. Jake będzie zły, jeśli Fen ją przeskoczy i równie zły, jeśli ją ominie. Z butelki po napoju Lucozade stojącej na stoliku przy łóżku nalał sobie do papierowego kubka dużą whisky.

Wokół jego łóżka zebrały się pielęgniarki.

— Właśnie powiedzieli w radiu, że zawodnicy strajkują.

— Biedny staruszek Dudley — powiedział Jake, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

— To najczarniejszy, najdziwniejszy dzień skoków — mówił Dudley — na start wjeżdża młoda Fiona, to znaczy Fenella Maxwell na Esmeraldzie, to znaczy na Desdemonie, naprawdę świetnej klaczce, która ma za sobą całe lato doskonałych występów. Ciekawe, czy dołączy do strajku.

Widownia wyła, wrzeszczała i tupała.

— Skacz! Skacz! Skacz! — krzyczeli widzowie, tupiąc ogłuszająco i klaszcząc miarowo.

— Każdy by się zdenerwował, zwłaszcza tak młody jak Esmeralda. Co zrobi Fiona? — mówił Dudley.

Fen uniesieniem palcata pozdrowiła sędziów, po czym rzuciła spojrzenie na morze wrzeszczących głów. W tej chwili u stóp Desdemony wylądowała puszka.

— Może byście przestali tak hałasować! — krzyknęła do widzów. — chciałabym zrobić tę trasę!

Usłyszała ją ledwie garstka, pozostali uznali, że odpowiada im wyzwiskami i wzmogli wrzaski. Pod nogami konia wylądowała kolejna puszka. Fen odwróciła się i pogroziła pięścią.

— Nic jej nie będzie? — zmartwił się Billy.

— Na pewno sobie poradzi, twarda jest — odparła Janey, rzucając mu wściekłe spojrzenie.

Fen ledwie dosłyszała dzwon. Pogłaskała szyję Desdemony i ruszyła przepełniona gniewem. Przeskoczyła mur, przeskoczyła okser, stacjonatę, podwójną stacjonatę, drogę, ledwie omijając dwie kolejne puszki po piwie, po czym przeleciała nad bramką. Wjechała w zakręt, oddalając się od padoku, i pojechała w kierunku fosy, jednak w przeciwieństwie do innych nie okrążyła jej, lecz wjechała na zbocze. Desdemona w podskokach wspinała się na trawiasty stok. Zawodnicy najpierw zobaczyli jej jasne uszy nad grzbietem, potem czoło, a na końcu przednie nogi wbiegające na górę.

— Cholera jasna! — parsknął Rupert.

— Zdrajczyni! — zagrzmiała Griselda.

— Łamistrajk! — dorzucił Driffield.

— Łajza! — dodał Humpty.

— No i dostanie te piętnaście kawałków — westchnął niepocieszony Driffield.

— Jeszcze nie skończyła — powiedział Rupert.

— Głupia gęś — stwierdziła Janey. — Musiała się pokazać. A niech się zabije.

Kiedy Fen wjechała na szczyt stoku, na widowni zapadła cisza, jakby nagle wyłączono radio. Klaczka truchtała grzbietem, starannie wybierając drogę w dół, nad samą wodą przystanęła. Fen dała jej chwilę na przyjrzenie się fosie.

— To już zatrzymanie — oceniła Griselda.

— Nie cofnęła się — sprzeciwił się Billy.

Desdemona wesoło przeskoczyła na drugi brzeg, Fen zachwiała się w siodle i musiała się chwycić grzywy, podczas gdy klacz wspinała się na górę. Jakimś cudem zeszła z grzbietu, zebrała się w sobie i z łatwością przeskoczyła poręcz. Przez sekundę na widowni panowała cisza, potem rozległy się ogłuszające wiwaty.

— Odjazdowo! — zawołał Billy. — Doskonale, mała!

Rupert i Janey jednocześnie odwrócili się do niego oburzeni.

— Z kim trzymasz?

— Z tymi, co mają jaja i doskonale jeżdżą — odpalił Billy nadąsany.

— Moja piękna — wyszeptał Steve Sullivan.

Pułkownik połknął ostatnie ciemne winogrono w całości, ze skórką i pestkami.

— Ta dziewczyna pojedzie do Los Angeles, bo inaczej ja będę miał coś do powiedzenia na ten temat!

— Zgadzam się — przytaknął Malise.

— Suuuper, absoluuutnie wspaniale! — wrzasnął Dudley z loży komentatorów. — Doskonale, Felicity! Fantastyczny przejazd!

Jake nagle uświadomił sobie, że ściska rękę siostry przełożonej. Wrzask na stadionie rósł do poziomu ogłuszającego huku — widzowie dopingowali Desdemonę na ostatniej prostej. Klacz beznamiętnie przeskoczyła ostatnie przeszkody. — Zdawała się mówić, po czym z pożegnalnym wierzgnięciem zjechała z toru, machając ogonem.

Jake odwrócił się do pielęgniarki, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Boże, widziała pani? Napijmy się.

— Wie pan dobrze, że w szpitalu alkohol jest zakazany, panie Lovell.

— Do diabła z zakazami — odparł Jake, drżącą ręką sięgając po drugi kubek i wlewając do niego resztę whisky.

— No dobrze, zdrowie — powiedziała siostra, stukając się z nim kubkiem.

— Niech nikt się do niej nie odzywa! — zarządził Rupert.

— Bojkotować ją — poparła go Janey.

Zjeżdżającą z toru Fen otoczył tłum, w którym wyraźnie brakowało pozostałych zawodników. Desdemona znikła pod natłokiem głaszczących ją rąk.

Przecisnęła się do niej Sarah.

— Fen, gratulacje! Tak się bałam! — wytarła łzy z oczu. — Nikt się do nas więcej nie odezwie — dodała.

Fen spojrzała na trybuny dla zawodników, z których spoglądał na nią rząd zagniewanych twarzy.

— Strajkują na poważnie — powiedziała frywolnie. — No cóż, nie będę nakładać worka pokutnego. — ale straciła dobry nastrój.

— Cholera jasna — odezwał się Billy, wstając — nie przesadzajcie z tą małostkowością.

— Siadaj! — rozkazał Rupert.

— Nie próbuj się do niej odezwać! — dodała ze złością Janey.

Nie zwracając uwagi na okrzyki protestu, Billy zszedł po kamiennych schodach, przeskoczył barierkę i przecisnął się do Fen.

— Doskonale, księżniczko. Dałaś nam wszystkim po nosie.

Fen podskoczyła, zbladła i spojrzała na jego kochaną, tak znajomą twarz z uśmiechniętymi oczami o skierowanych w dół kącikach i siwiejących włosach, w których błyszczało słońce. Nigdy jeszcze tak bardzo jej nie kusiło, by zeskoczyć z Desdemony i paść mu w ramiona.

— Billy — odezwała się ochryple — tęsknię za tobą.

Billy nie miał czasu odpowiedzieć.

Podbiegł do nich Dudley Diplock, wymachując mikrofonem. Ludzie rozstępowali się przed nim — w końcu to telewizja — i ścieśniali za jego plecami, machali rękami do kamery, próbując wejść w obiektyw. Dziennikarze tłoczyli się wokół.

— Fen, gratulacje!

Z areny dobiegł ogłuszający wiwat. Fen obróciła się w siodle. Obojczyk przeskoczył fosę, ale zrzucił drążek. Fen wciąż prowadziła. Właśnie miał startować Ivor.

— Jeśli ty mogłaś to przeskoczyć, Fen — powiedział z podziwem — to chyba też mogę spróbować.

Po czym reszta jeźdźców bez problemów skakała przez fosę.

Hans Schmidt przejechał bez zrzutek na swoim nowym koniu o imieniu Papa Haydn i o jedną dziesiątą sekundy pokonał czas Fen. Jednak chociaż dostał piętnaście tysięcy i puchar, zdjął ze swojego konia wieniec laurowy i założył go na szyję Desdemony. Widzowie powitali ten gest oklaskami.

— Biorę pieniącze — powiedział Hans, całując Fen — ale tobie należy szę wieniec.

Fen przejechała dwie rundy honorowe przy wielkich wiwatach widzów.

Znów doskoczył do niej Dudley.

— Co skłoniło cię do skoku wbrew innym jeźdźcom?

Fen uśmiechnęła się szeroko.

— Nie lubię, kiedy mężczyźni dyktują mi, co mam robić. Według mnie zachowali się jak banda mięczaków.

— Wojowniczka z ciebie — stwierdził Dudley. — Nie martwisz się, że zniechęcisz do siebie innych?

Fen wzruszyła ramionami.

— Gdyby chcieli, mogli to przeskoczyć.

— Jake cię zachęcił, prawda?

— Nie dzwoniłam do niego — wyznała Fen. — Bałam się, że zakaże mi startu. Przepraszam, Jake! — powiedziała do kamery.

— Na pewno wszyscy państwo wiedzą — dodał Dudley — że szwagier Fiony i mistrz świata, Jake Lovell, leży w szpitalu z połamaną ręką.

— Nogą — poprawiła łagodnie Fen.

— Nogą. Wszyscy życzymy ci powrotu do zdrowia, Jake, i mamy nadzieję wkrótce znów oglądać cię na torze. To na pewno najlepsza motywacja.

— Trzeba to oblać — stwierdziła siostra przełożona. — Chyba wykończyliśmy pańską whisky, panie Lovell, ale powinnam jeszcze mieć kropelkę brandy.

Janey piła przez cały dzień. Kiedy z Billym wrócili do przyczepy, od razu sięgnęła po butelkę wódki.

— Cholera, dlaczego od razu wyskoczyłeś do niej z gratulacjami przed całą prasą i telewizją? — zapytała.

— Co ludzie powiedzą? — odparł pytaniem Billy, próbując obrócić sprawę w żart.

— Zaczną gadać, że wciąż za nią latasz!

— Naprawdę zaczną, jeśli będziesz tak wrzeszczeć.

— A może w tej emocjonującej chwili umówiłeś się z nią na randkę?

— Nie.

— Albo wyznałeś, że bardzo za nią tęsknisz?

— Powiedziałem jej tylko, że świetnie pojechała. Zasłużyła na to. Nie cierpię, kiedy ludzie zaczynają kogoś prześladować tylko dlatego, że brakuje im odwagi, by stawić komuś czoło samodzielnie. Wiele lat temu zachowałem się tak wobec Jake'a, wciąż się tego wstydzę i nie mam zamiaru powtarzać błędów z przeszłości.

— Pewnie na jej widok od razu jej zapragnąłeś!

Billy spojrzał na Janey, twarz miała czerwoną i wykrzywioną z gniewu.

— Na miłość boską — warknął — to ty mnie rzuciłaś niemal na rok!

— Wiedziałam, że niedługo mi to znów wypomnisz!

— Nie wypominam — powiedział Billy ze zmęczeniem — ale skoro ja wybaczyłem ci Keva, czy ty możesz zapomnieć o Fen?

— Zostawiłam Keva, bo to się wypaliło, znudził mnie. A ty i Fen przeżywaliście najlepszy okres. Skąd mam wiedzieć, że to koniec? A może w nocy leżysz obok mnie, ale tęsknisz za jej ciałem?

Billy nalał wody do czajnika i odkręcił gaz. Czuł się zmęczony, głodny, marzył o drinku. Dobijała go myśl, że Trębacz też mógł przeskoczyć fosę, a wtedy zdobyłby piętnaście tysięcy. Ale nic by się nie liczyło, gdyby Janey chociaż odrobinę go wspierała.

— Skąd mam wiedzieć, że skończyłeś z Fen? — Janey wybuchnęła głośnym szlochem.

Billy podszedł do niej i objął.

— Będziesz musiała mi zaufać, to ciebie kocham i zawsze kochałem. Poszedłem do Fen, bo umierałem z samotności, a ty nie pomożesz nam wrócić do siebie, jeśli co pięć minut będziesz o niej wspominać.

— Wiem — zaszlochała Janey. — Nie rozumiem, jak wciąż ze mną wytrzymujesz.

Janey nabrała nowego nawyku, według Billy’ego pod wpływem Keva: nastroje pogody i życzliwości przeplatały się u niej teraz z okresami intensywnego picia, po czym zaczynało się obrzucanie go wyzwiskami i porcelaną, a potem samobiczowanie i skrucha. Billy był wykończony. Miał za sobą wyjątkowo ciężki rok. Zastanawiał się czasami, czy wystarczy mu siły na udźwignięcie problemów ich obojga. Trzymając w ramionach zapłakane, bezwładne ciało Janey, tonące w oparach wódki, Billy spojrzał za okno na dęby w Crittleden rysujące się na tle pustego niebieskiego nieba i nagle poczuł przytłaczającą tęsknotę za Fen, za jej radością, niewinnością i życzliwością. Dzisiaj wyglądała uroczo, kiedy zarumieniona, z wyzywającą miną i zuchwałym spojrzeniem niebieskozielonych oczu czekała, aż pozostali jeźdźcy zwrócą się przeciwko niej. Nagły gwizdek czajnika sprawił, że oboje podskoczyli.

---

[1] *Vraiment dangereuse* (fr.) — naprawdę niebezpieczną.

43

— POWIEDZ, GDZIE JEST COVENTRY — westchnęła Fen. — Za górami i lasami. Czy dojadę tam przy świecy? Jedź, bo już nie jesteś z nami...[1]

Był to ostatni wieczór trzydniowego konkursu wschodniego Yorkshire. Fen leżała w łóżku ze swoim misiem Lesterem przy boku, nasłuchując deszczu denerwująco bębniącego o dach samochodu. Znów nie mogła zasnąć. Nawet nowa książka Dicka Francisa nie pomogła oderwać się od rzeczywistości. Dziewczyna odłożyła książkę i sięgnęła po pamiętnik z podniszczonym zdjęciem Billy'ego wsuniętym między kartki września i października. Billy na zdjęciu śmiał się i mrużył oczy w słońcu Lucerny.

W przyszłym tygodniu zawody w Wembley. Ostatnie sześć tygodni było bardzo ciężkie. Po Crittleden zawodnicy brytyjskiej drużyny dotrzymali słowa i bojkotowali Fen. Tam, gdzie się pojawiała, ci, którzy dotąd byli jej przyjaciółmi, udawali, że jej nie znają lub odwracali się do Fen plecami. Wiedziała, że za tym stoi Rupert. Kiedy zerwała z Billym, okazał jej wyjątkową życzliwość, a ona sprzeciwiła mu się publicznie i upokorzyła, zadając cios jego próżności. Pozostali zawodnicy na ogół albo bali się Ruperta, albo zazdrościli Fen błyskawicznej kariery, dlatego chętnie poszli za jego przykładem.

Jednak nie wszystko wyglądało tak czarno, jak nazwisko Campbella-Blacka. Noga Jake'a wreszcie zaczęła się goić. Wkrótce po Wembley miał wyjść ze szpitala, a na wiosnę znów jeździć. Zwycięstwo w Crittleden o ile rozjuszyło jeźdźców, o tyle wywołało zachwyt widzów. Wieści o ostracyzmie, jaki dotknął Fen, przeciekły do prasy, która stanęła po stronie

dziewczyny. Praktycznie z dnia na dzień rozdzwoniły się telefony z gazet, czasopism i stacji telewizyjnych z prośbami o wywiad. Rzeką napływały zaproszenia na wystąpienia z okazji kolacji, otwarcia sklepów, do szkółek jeździeckich, prośby o przekazanie ubrań na aukcje charytatywne. Wszędzie, gdzie się pojawiła, wyrastali jak spod ziemi łowcy autografów. Pisali do niej dorośli wielbiciele i dziewczynki z prośbą o zdjęcie lub pomoc przy kucyku.

Fen idealnie nadawała się na nową bohaterkę dla wiecznie żądnych nowości ludzi. Ze szczupłą, chłopięcą figurą, budzącą wręcz podejrzenia o anoreksję, z rozczochranymi włosami chłopca okrętowego i o tęsknej, wyjątkowo fotogenicznej twarzy ulicznika, była prawdziwym dzieckiem swoich czasów. Jake przyciągał widzów tajemniczością, Fen zaś niezdolnością do ukrywania uczuć. Kipiała ze złości, wpadała w otchłanie rozpaczy lub ze szczęścia unosiła się nad ziemią. Jej z natury przyjacielskie nastawienie do świata budziło powszechną sympatię.

Fen jednak, chociaż mile połechtana taką uwagą i podziwem, całą energię skierowała na konie, a przejmowała się tylko i wyłącznie Billym.

Konie skakały doskonale, oprócz Hardy’ego, który stawał się coraz bardziej narowisty. Był za silny i skoczny, a odkąd na początku miesiąca poniósł ją na zawodach w Lancaster, przeskakując przez dwa rzędy harcerek siedzących spokojnie przy arenie, Fen się go bała, a on o tym wiedział. Jeśli jeszcze bardziej się znarowi, będzie stanowił duże zagrożenie dla Jake’a, kiedy ten powróci do skoków.

Teraz konie absolutnie zajmowały jej cały czas. Tylko w długich podróżach lub kiedy wreszcie padała na łóżko, zwykle po północy, pozwalała sobie na powrót myślami do Billy’ego.

Między stajennymi plotkowano, że małżeństwo Lloydów-Foxe’ów nie układa się zbyt dobrze. Tracey opowiadała Dizzy, która powtórzyła to

Sarah, a ta z kolei opowiedziała Fen, o długich nocnych kłótniach, o tym, jak Janey otwierała na autostradzie walizkę Billy'ego i wyrzucała jego ubrania przez okno, gdyż uznała, że Billy jedzie za szybko, o tym, jak Janey uciekła z imprezy Federacji Sportów Konnych na wieść, że przyjedzie tam Fen, o tym, jak Billy chodzi blady i spięty oraz złości się na stajennych, co było dla niego nietypowe.

Fen czepiała się więc okruchów nadziei. Wiedziała, że Billy za wszelką cenę próbuje ratować swoje małżeństwo, ale mimo woli liczyła dni do październikowych zawodów w Wembley, kiedy przez tydzień zamieszkają pod jednym dachem.

Następnego wieczoru Billy bardzo zmęczony wrócił do domu z zawodów w Lizbonie. Po raz pierwszy od pogodzenia się Janey nie towarzyszyła mu na wyjeździe. Została w domu, żeby napisać artykuł o zawodnikach polo. W pierwszej chwili Billy z ulgą oderwał się od kłótni i histerii, ale po krótkim czasie powróciły dręczące go demony. Wybaczył Janey przygodę z Kevem, ale nie mógł powstrzymać mdlącego, obezwładniającego strachu, który ogarniał go za każdym razem, kiedy Janey nie odbierała telefonu. Z przerażeniem wyobrażał sobie wtedy, że przebywa z jakimś przystojnym zawodnikiem polo. Przypomniał sobie jej pierwszy wywiad, który z nim przeprowadziła, jak mówiła z podziwem: „W ostatniej *chukka*[2], niewiarygodne! Jesteś niesamowity. Jakie masz wspaniałe mięśnie. Mogę dotknąć? Gra w polo na pewno wymaga odwagi".

Razem z Rupertem dotarli do Penscombe akurat wtedy, gdy wielkie, czerwone wrześniowe słońce opadało za bukowym lasem. Drzewa dopiero zaczęły się czerwienić, lecz wokół morwy na środku podwórka leżał już krąg żółtych liści, a w powietrzu unosił się zapach wilgoci. Po rozładowaniu koni i zainstalowaniu ich w stajni Billy postanowił przejść się w zmierzchu do domu, to tylko niespełna kilometr. Potrzebował kilku

minut, żeby przygotować się na spotkanie z Janey. W jakim nastroju ją zastanie? Czy tęskniła? Czy przerzuciła szuflady w poszukiwaniu dowodów jego winy? Drżał na myśl o Wembley, gdyż obecność Fen wywoła kolejne awantury.

Rosa już się bieliła na trawie, niebieski dym z niezliczonych ognisk stapiał się z wilgotnymi oparami unoszącymi się nad potokiem płynącym środkiem doliny.

Kiedy zbliżał się do domu, usłyszał krzyk kosa, a złociste dalie w ogródku przed drzwiami już traciły kolor w gęstniejącym półmroku. Billy znów poczuł mdlące przeczucie złego. Okna domu były ciemne.

Boże, gdzie ona się podziewa? Wiedziała, że wieczorem wróci do domu. Ruszył biegiem, ślizgając się na mokrych liściach i błocie. Trzasnął furtką — to powinno dać zawodnikowi polo szansę wskoczenia w spodnie. Nie wolno mu tak myśleć. W tej chwili zobaczył biegnącą ku niemu i radośnie szczekającą Mavis. Drzwi frontowe stały otworem. Janey musiała wyjść w pośpiechu. Billy postawił walizkę na żółtych płytach w korytarzu, żeby pogłaskać Mavis, która uszczęśliwiona skakała wokół niego.

— Billy, kochanie, to ty? — zawołała Janey.

Przytłoczony ulgą Billy zdołał wychrypieć:

— Tak.

— Jestem w salonie!

Zastał ją przy maszynie, miała na sobie tylko jego bezrękawnik i szkarłatne figi.

— Myślałem, że cię nie ma — wymamrotał.

Janey wstała i podbiegła do niego.

— Kochanie, przepraszam! Ale tak dobrze mi szło, że nawet nie chciało mi się zapalać światła.

— Zepsujesz sobie oczy — powiedział Billy. — Przepraszam, że ci przeszkadzam. Pracuj dalej.

— Ależ skąd, przecież jesteś. Jak ci poszło?

Billy rozpiął torbę, wyjął garść rozetek i rzucił je na stół.

— Wspaniale! — powiedziała Janey, układając je. — Dwa pierwsze miejsca, trzy drugie, jedno trzecie, jedno czwarte i dwa piąte.

— Pierwsze to Grand Prix, poza tym sporo nagród, piękny zegar kuchenny, telewizor i obsceniczny porcelanowy byk z wielkim fiutem. Zostawiłem je u Ruperta, przyniosę rano.

Patrząc, jak pochyla się nad rozetkami, jak jej piersi falują pod bielizną, Billy poczuł, że jego penis się unosi. Chciałby uwolnić się od tego ciągłego pożądania. Ostatnio seks był nieco mniej intensywny, bo Janey często zasypiała pijana; jednak jeśli dzisiaj unikną kłótni przed pójściem do łóżka, może mu się uda.

Janey uniosła wzrok, źle odczytując wyraz jego twarzy.

— Przepraszam, że tak okropnie wyglądam, ale wcześniej zabrałam Mavis na spacer do lasu, przemoczyłam sobie spodnie, więc je zdjęłam, a nie chciało mi się szukać innych.

— Wyglądasz ślicznie.

— Dzisiaj jestem dobrą żoną — mówiła dalej Janey. — W piecyku jest zapiekanka. Wyprasowałam ci wszystkie koszule. Niestety, nieidealnie, niektóre kołnierzyki zawijają się gorzej niż ogon Mavis... poza tym przyniosłam z pralni twój smoking.

Billy ucieszył się z jej dobrego nastroju, ale po chwili poczuł ukłucie strachu. Ostatnim razem widział ją w takim uniesieniu i promieniejącą, kiedy nie miało to nic wspólnego z jego powrotem — wtedy zaczynał się jej romans z Kevem. Marzył o drinku, żeby stłumić obawy.

Janey odgadła jego myśli.

— Napijmy się.

Billy poszedł za nią do kuchni, zaskakująco czystej. Janey wyjęła dwie szklanki, ale zamiast sięgnąć po wódkę dla siebie, wyjęła z lodówki kartonik soku pomarańczowego. Nalała do szklanek i podała mu jedną.

— Nie pijesz wódki?

— Nie. Mam coś, co trzeba uczcić.

— Sprzedałaś książkę do Stanów?

— Nie. Na kilka miesięcy rzucam alkohol. — stuknęła się z nim szklankami.

Nie sposób było nie zauważyć jej błyszczących oczu. Billy nie mógł już na nią patrzeć. Podszedł do komody i zaczął przerzucać stos listów.

— Dokładnie przez siedem i pół miesięca — uściśliła Janey.

— Co takiego?

— Na tyle rzucam alkohol.

— Dlaczego? — zapytał Billy ze znużeniem.

— Bo jestem w ciąży.

Billy upuścił listy.

— Z twoim dzieckiem — powiedziała cicho Janey. — Naszym dzieckiem.

— Skąd wiesz? — wymamrotał.

Przeżyli już tyle fałszywych alarmów.

— Dzisiaj potwierdził mi to James Benson.

— Jest pewny?

— Najzupełniej.

Billy odwrócił się z niedowierzaniem. Janey podbiegła do niego, otoczyła ramionami i przytuliła twarz do jego ramienia.

— Boże — powiedział — cudownie. Boże, jakie to cudowne! Jak cię mogę przytulić, żeby cię nie skrzywdzić?

— Jak tylko zechcesz. To dopiero szósty tydzień.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jedziesz do Bensona?

— Nie chciałam, żebyś się przejmował. Powiedziałam sobie, że jeśli uda mi się utrzymać język za zębami, dopóki nie zrobię testu, to wyjdzie na dobre. To tak jak ty, kiedy sobie obiecałeś, że napijesz się dopiero po spłaceniu wszystkich rachunków.

— Już je spłaciłem. Lizbona pomogła mi wszystko zakończyć. Aniołku, jestem taki szczęśliwy!

— Na pewno? — zapytała Janey niepewnie. — Nie myślisz — zająknęła się — nie myślisz, że chcę cię złapać na dziecko?

Ujęła jego twarz w dłonie i stwierdziła, że jest mokra od łez.

— Tak mnie dobiły moje wyniki badań — wymamrotał Billy. — czułem się jak ostatnia łajza, że nie mogę dać ci dziecka. Kochanie, jestem taki szczęśliwy, to najlepsza nowina w moim życiu. Możemy zadzwonić do mojej matki? Będzie przeszczęśliwa.

— Tak myślisz? — zapytała Janey powątpiewająco. — Nie okazuje mi przesadnej sympatii.

— Ależ oczywiście.

— Aha, powiedziałam Helen — dodała Janey. — Dzwoniła po południu, a ja akurat byłam tak poruszona, że musiałam o tym komuś powiedzieć.

— Ucieszyła się?

— Tak jakby. Znasz Helen. Powiedziała coś w rodzaju „To będzie dla ciebie bardzo pozytywne doświadczenie, Janey. W końcu jesteś wciąż w wieku rozrodczym”. Krowa.

Billy uśmiechnął się szeroko.

— Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Boże, to cudowne!

Zadzwonił telefon. Billy doskoczył do niego.

— Cześć, zgadnij... A, już wiesz — powiedział lekko zawiedziony. — Pewnie Helen ci powiedziała. Tak, prawda? Jeszcze nie zszedłem na ziemię.

— Rupert się bardzo cieszy — powiedział Billy, odkładając słuchawkę. — Chciał przynieść szampana, ale powiedziałem, że się zmarnuje, więc zaproponował jakiś wyjątkowo mocny towar, który sprzedał mu Guy.

Janey zachichotała.

— Nie, dla nas to już przeszłość. Teraz jesteśmy odpowiedzialnymi przyszłymi rodzicami. Chodźmy za to do łóżka.

Fen z Sarah przyjechały do Wembley w niedzielę tuż przed północą. Fen ledwo żyła. Od tygodni nie spała ani nie zjadła porządnego posiłku. Jake pomagał tyle, ile mógł, ale na odległość. Po upadku z Hardy'ego wciąż bolały ją plecy. Na samą myśl o skakaniu przez cały tydzień na czterech różnych koniach w ważnych konkursach ciągnących się do późnego wieczoru Fen czuła się jeszcze bardziej zmęczona.

Następnego poranka, w drodze do rejestracji, wyjrzała przez czerwone firanki i zobaczyła Billy'ego idącego po torze do zawodów. Miał na sobie stare zielone sztruksy i tweedowy płaszcz. Zaśmiewał się z jakiegoś żarciku Ruperta. Wydawał się szczęśliwy, beztroski i znacznie młodszy. Serce Fen ścisnęła tęsknota. „Nie przeszło mi" — pomyślała w panice. W namiocie biura zastała Humpty'ego i Griseldę, którzy odwrócili się do niej plecami. Boże, ile jeszcze potrwa ten cyrk?

Wczesnym wieczorem niespodziewanie wpadła na Billy'ego. Zachowywał się bardzo przyjaźnie, ale dziwnie unikał jej wzroku, zasypał ją pytaniami o Jake'a i konie, dwa razy pytał o Laurela i pogratulował Fen serdecznie, zupełnie nie w swoim stylu. Wydawało się, że chce przed nią uciec, a to wprawiło ją w jeszcze większe zmieszanie i przygnębiło bardziej niż bojkot ze strony innych jeźdźców.

Zawędrowała do stajni. Górna część drzwi do boksu Macaulaya była zamknięta, żeby wielbiciele nie mogli go karmić i wyrywać włosów z grzywy na pamiątkę. Fen wsunęła się do boksu i szybko zamknęła za sobą drzwi. Macaulay zarżał radośnie, ale nie wstał, więc ona usiadła przy nim na słomie i zaczęła głaskać go po grzywie, wciąż jeszcze sfalowanej po warkoczykach, które miał zaplecione po południu

Wieczorem czekały ją dwa konkursy: sztafeta w kostiumach i puchar „Sunday Timesa” z nagrodą dziesięciu tysięcy funtów. Fen nie zgłosiła się do sztafety w obawie, że nikt nie będzie chciał być jej partnerem. Z zewnątrz dobiegły ją wybuchy śmiechu. Dziewczyna wstała i wyjrzała przez szczelinę w przyczepie. Billy i Rupert, zataczając się, dreptali właśnie na start, w siatkowych pończochach, na dziesięciocentymetrowych obcasach, w płaszczach i spódniczkach, z kokosami wypychającymi ich swetry. Rupert w nienagannej blond peruce przedstawiał Margaret Thatcher, a Billy z mopem na głowie był panią minister, Shirley Williams. W boksie obok Fen słyszała, jak Sarah szykuje Hardy’ego do pucharu „Sunday Timesa”. Westchnęła i znów usiadła obok konia. Zaczęła zapadać w drzemkę, kiedy usłyszała za drzwiami stukot kopyt i podniecony głos.

— Zgadnij, o czym się teraz plotkuje. — to była Dizzy.

— O czym? — zapytała Sarah, podchodząc do drzwi.

— Gdzie Fen? — zapytała Dizzy.

— Chyba w samochodzie, od jakiegoś czasu jej nie widziałam. No już, gadaj!

— Janey Lloyd-Foxe jest w ciąży.

Fen konwulsyjnie zacisnęła dłoń na grzywie Macaulaya.

— Boże! — zawołała Sarah. — Kiedy się dowiedziałaś?

— Hrabia Guy, Billy, Rupert i Driff właśnie byli się zarejestrować. Hrabia Guy docinał Billy’emu, że słyszał *très interessant*[3] pogłoski, Billy

się zaczerwienił, zrobił zadowoloną minę i przyznał, że Janey będzie miała dziecko. Oczywiście hrabia Guy był rozanielony. Nie podobało mu się, kiedy Billy rozszedł się z Janey, bo bał się, że Billy znów zacznie biegać za Lavinią. W każdym razie gratulowali sobie nawzajem, kiedy cholerny Driffield powiedział: „A kto jest ojcem? Kevin Coley?". Wtedy Billy dał mu w szczękę i Driffield przeleciał przez namiot. Potem Billy rzucił się na Driffa i zaczął go dusić. Wrzeszczał: „Odszczekaj to, ty draniu!" i inne miłe rzeczy.

— Niezłe — powiedziała Sarah.

— Rupert z hrabią Guy odciągnęli Billy'ego, a Driffield zagroził, że wystąpi o zawieszenie Billy'ego. „Nie przejdzie, powiedział Billy. Regulamin Federacji Sportów Konnych nie mówi nic o wyeliminowaniu przeciwnika przed zawodami, tylko w trakcie".

Obie stajenne zaczęły chichotać.

— W każdym razie — ciągnęła Dizzy — Malise kazał Driffieldowi przeprosić. Driffield powiedział, że to tylko żart; Billy, Rupert i Guy wyszli bez rejestracji, więc pięć minut później wrócili, kiedy Driffield już sobie poszedł. Chyba teraz on, a nie twoja biedna szefowa, jest kolejnym kandydatem do bojkotu.

— Boże — westchnęła Sarah — Fen się załamie, kiedy to usłyszy. Billy chyba szaleje za Janey, skoro rzucił się na Driffa. I dobrze, że ktoś to w końcu zrobił, to jadowita żmija.

— Myślałam, że Billy nie może mieć dzieci — zauważyła Dizzy. — Myślisz, że to dziecko Keva?

Fen jak lunatyczka wyszła z boksu Macaulaya.

— Fen — zachłysnęła się Dizzy, cofając się na cierpliwie czekającego Arcturusa. — Nie wiedziałyśmy, że tu jesteś.

— Jak widać — powiedziała Fen — bo inaczej nie trzymałabyś na zimnie konia Ruperta. Cały dzień tylko plotkujecie.

Nie zadając sobie nawet trudu, żeby zamknąć drzwi boksu Macaulaya, odeszła chwiejnym krokiem. „Billy będzie miał dziecko” — mamrotała do siebie drżącymi ustami. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza, ale dotarła w końcu do samochodu, weszła i zamknęła za sobą drzwi na zamek.

Po kilku minutach usłyszała pukanie.

— Fen, to ja, Sarah. Zawodnicy już idą obejrzeć tor.

— Nie obchodzi mnie to — zaszlochała Fen. — Zostawcie mnie.

— Proszę. Przykro mi, że słyszałaś to wszystko, ale Hardy jest gotowy, wiem, że chciałaś na nim skakać w tym konkursie.

— Idź sobie!

— Wpuść mnie. Chcę ci pomóc.

Fen nie odpowiedziała. Leżała na łóżku, wstrząsana konwulsyjnym szlochem, drżąc jak stary pies. Nie mogła już sobie poradzić. Nie widziała przed sobą żadnej przyszłości, była tylko nicość. Światło na końcu tunelu zgasło, oba końce zablokowano, nadzieja znikła.

— Och, Billy, Billy — jęknęła.

W tej chwili usłyszała, że ktoś szarpie za klamkę drzwi, rozległy się głosy, potem znów ktoś szarpnął, siłą otworzył drzwi i kabinę zalało światło.

— Idź sobie! — wrzasnęła Fen. — Ja już nie daję rady, nie wytrzymam więcej!

W drzwiach stanął mężczyzna.

— Billy! — wychrypiała ogarnięta szaleńczą nadzieją. — Billy!

— Niestety nie, kochanie — powiedział przeciągły głos. — Będziesz musiała zgodzić się na zastępcę.

Był to Dino Ferranti.

Fen opadła znów na łóżko.

— Ja pieprzę, zostaw mnie samą!

— Nie da się pieprzyć samodzielnie, to fizycznie niemożliwe — powiedział Dino, siadając na łóżku i przyciągając ją do siebie. — No już, skarbie, cicho, cicho... — gładził ją po włosach wilgotnych od łez, czując przy sobie jej przemoczoną koszulę i sweter. Był przerażony kruchością jej ciała.

— Kocham go tak bardzo, że chyba oszaleję!

— Już nic nie mów. — stopniowo udało mu się ją uspokoić.

— Co mam teraz robić? — powtórzyła Fen drżącym głosem.

Dino oderwał ręcznik kuchenny z rolki, wytarł jej oczy i podał drugi kawałek, żeby wydmuchała nos.

— Przed tobą skacze dwunastu zawodników. Ubierzesz się i przejedziesz ten tor.

— Na pewno nie.

— Na pewno tak. Wyobraź sobie, że coś takiego stałoby się w Los Angeles. Przecież nie mogłabyś po prostu odmówić występu. Każdy konkurs to próba generalna przed tym dniem, prawda?

— Los Angeles jest za dziesięć miesięcy — warknęła Fen. — A ja mam problem z przetrwaniem kolejnych pięciu minut. — Teraz drżała gwałtownie.

Dino nalał jej kieliszek brandy.

— Napij się.

— Nie chcę.

— No już. Otwórz usta. — niemal wlał jej alkohol do gardła.

— Drań — powiedziała Fen, ale wypiła.

— A teraz zrzucaj te ciuchy.

jak ojciec zdjął jej koszulę i krawat, ubrudzone szminką i mascarą.

— Ta koszula przynosi mi szczęście, krawat też — jęknęła Fen, zakrywając piersi rękami.

— Dzisiaj nie za bardzo zadziałały — stwierdził Dino. — Spróbuj innego połączenia. — podał jej czystą koszulę.

— Nie będę skakać! — zbuntowała się Fen. — Nie na Hardym. Jest koszmarny, a ja nie obejrzałam toru.

— Masz jeszcze czas, żeby obejrzeć ostatnie trzy przejazdy — odpalił Dino. — No już, wkładaj marynarkę, pożyczę ci okulary.

— Nienawidzę cię — powiedziała Fen. — Naprawdę cię nienawidzę.

Przez moment Dino stał za jej plecami, podczas gdy ona sprawdzała w lustrze, jak wygląda — i wtedy uderzył ją kontrast między jej delikatną figurą o bladej twarzy i podpuchniętych oczach a Dinem — brązowym jak masło orzechowe, niedorzecznie eleganckim w czarnej jedwabnej koszuli i bladoszarym garniturze. Odkąd się ostatnio widzieli, pofarbował sobie kosmyki na siwo.

— Piękna i Bestia — stwierdziła Fen.

Wieść o ciąży Janey i znokautowaniu Driffielda szybko rozeszła się po padoku.

Fen wyszła z samochodu i trafiła prosto w rój reporterów. Dino bezlitośnie wszystkich rozpędził. Nie, Fen nie będzie z nikim rozmawiać ani rozdawać autografów. Otoczył ją ramieniem i przepchnął się przez tłum.

— Kim jest ten facet z nią? — zapytał dziennikarz z „Expressu”. — Twarz jest znajoma.

— Chyba aktor — odparła dziewczyna z „Mirror”.

Jakimś cudem udało im się jeszcze obejrzeć dwa przejazdy.

— Uważaj na mur — ostrzegła Sarah. — Dużo było na nim błędów, a kombinacja jest w dziwnej odległości. Niektórzy robili przed nią trzy kroki,

potem zmieniali zdanie i podrywali konie za wcześnie i wtedy wpadali na trzeci element.

— Ty na pewno wszystko o tym wiesz — warknęła Fen.

— Naprawdę bardzo przepraszam — powiedziała ciszej Sarah. — Tak się cieszę, że przyszłaś.

— Nie przyszłabym — powiedziała Fen, rzucając jadowite spojrzenie w kierunku Dina — gdyby pan Mussolini nie wpadł do mnie i nie ustawił. Dlaczego nie mogę spokojnie robić, co ja chcę?

Na start wjechała Mary-Jo Wilson, najlepsza amazonka amerykańska, wyjątkowo atrakcyjna dziewczyna o kasztanowych włosach. Zrzuciła cegłę z muru, na drugiej części kombinacji zrzuciła drążek, a potem zahaczyła o trzeci. Z widowni uniósł się jęk zachwytu.

— Co ci mówiłem? — powiedział Dino. — Cześć, Mary-Jo! — zawołał, kiedy zjechała z areny.

— Dino! — odkrzyknęła dziewczyna, rozjaśniając się. — Nie wiedziałam, że jesteś w Europie.

— Ile czystych? — zwróciła się Fen do Sarah.

— Tylko cztery.

Dino zdjął ciemne okulary z twarzy protestującej Fen.

— Ale mam wciąż czerwone oczy.

— Wyobraź sobie, że jesteś białym szczurem.

Fen przez wiśniowe zasłony wjechała na jaskrawo oświetlony tor.

— I oto Fenella Maxwell — powiedział wniebowzięty Dudley Diplock. — Tuż po doskonałym drugim miejscu w pucharze Crittleden, na Hardym.

Widzowie, poprzednio bardzo zawiedzeni, kiedy Fen nie wjechała w wyznaczonej chwili, gdyż założyli, że zrezygnowała, powitali ją zachwyconymi i zaskoczonymi okrzykami.

— Cholerna niesprawiedliwość — wymamrotała Griselda. — Dlaczego dla niej zmienia się zasady?

— Bo jest gwiazdą — odparł Billy. — To dla niej przyszli widzowie.

Cechą wielkiego sportowca jest fakt, że umysł potrafi pokonać przeszkody i jeszcze poprawić występ. Po dwóch niepewnych skokach, przy których jej fani jęczeli i niemal zdarli farbę z drążków, Fen przeszła na autopilota. Hardy, który mógł potrzymać swobodnie głowę i pokazać swoją prawdziwą wartość, przejechał czysto. Crittleden nie było tylko przypadkiem.

— Dzięki Bogu, że nie przeszłam tego toru — powiedziała Fen, zjeżdżając. — Tak bym się przestraszyła, że cofnęłabym się z linii startowej.

— Przy pierwszych dwóch bramkach spieprzyłaś — powiedział do niej Dino.

— Nie rób z siebie drugiego Jake’a — odparła lodowato Fen. — Wracam do samochodu.

— Nie wracasz — odpalił Dino, łapiąc ją za kark. — Pojedziesz w finale.

Zabrał ją na widownię dla zawodników, skąd mogli obejrzeć pierwsze przejazdy. Wszyscy wokół go zagadywali.

— Gdzie masz konie? — zapytał Hans Schmidt.

— Przyjeżdżają pojutrze. Może w Victor Ludorum pojadę na Mannym.

W tej chwili wywołano numer Billy’ego. Za plecami Fen i Dina Janey Lloyd-Foxe przyciągała wszystkie spojrzenia — wyglądała olśniewająco w czerwonej wełnianej sukience od Laury Ashley.

— Myślałby kto, że to ósmy miesiąc — wymamrotała Fen.

Janey rozmawiała z Doreen Hamilton. Mówiła wolniej niż zwykle, więc Fen słyszała każde słowo.

— Tak, Billy jest przeszczęśliwy. Powiedziałam mu wieczorem, w nocy nie mógł spać. To będzie dla niego wspaniała motywacja, mówi, że teraz skacze za dwóch. Traktuje mnie, jakbym była ze szkła, nie pozwala mi nawet podnieść ścierki do kurzu.

— I tak nigdy tego nie robiła — powiedziała Fen do siebie, ściskając palcat tak mocno, że aż kostki palców jej zbielały.

— Kiedy masz termin? — zapytała Doreen.

— W czerwcu. Billy ma wtedy konkurs królewski i międzynarodowy, ale chce oba odwołać.

Tor zaczął się rozpływać przed oczami Fen.

— Och, jedzie mój najdroższy! — powiedziała Janey, kiedy na tor wjechał Billy skaczący jako pierwszy. Na twarzy miał szeroki uśmiech. — Przyszłe ojcostwo mu służy, nie sądzisz?

Dino położył dłoń na kolanie Fen.

— Nie zwracaj uwagi — poradził. — Ona cię podpuszcza.

Trębacz przejechał tor w niewiarygodnie krótkim czasie. Janey głośno wyrażała podziw.

— Nigdy nie widziałem, jak jeździ — powiedział Dino. — Jest cholernie dobry. Nikt go nie przebije.

Miał rację. Zarówno Ludwig, jak i Obojczyk pojechali wolniej. Wjechał Rupert, jak zwykle powitany histerycznymi okrzykami dziewcząt. Cała część widowni zajęta przez członkinie klubu kucyków oklaskiwała go na stojąco.

— Niesamowite, że ktoś aż tak przystojny może być takim draniem — powiedział Dino. — Jak kos, który jednocześnie wyśpiewuje najwspanialsze trele i narobi ci na głowę. Boże, jakie przyspieszenie. Powinni go wypuszczać z bloków.

Snakepit galopował po torze, niemal nie zauważając przeszkód. Przeskakiwał je bez wysiłku jak kamyki, którymi puszcza się kaczki.

— Od mistrzostw świata bardzo się poprawił — stwierdził Dino, kiedy Rupert o dwie sekundy poprawił wynik Billy'ego. — Rany, nie można go nie podziwiać.

— Ja tam mogę i to z łatwością — odparowała Fen.

Radośnie przesuwając ręką po stalowoszarych warkoczykach grzywy Snakepita, Rupert wyskoczył spomiędzy czerwonych zasłon, płosząc wierzchowca Fen.

— Patrz, jak jedziesz, baranie — parsknęła dziewczyna.

— A co, wjechałem na coś? — warknął Rupert. — a jeśli twój guru Lovell powie ci, jak pobić ten czas, to ja jestem Holendrem.

— To by było świństwo wobec Holendrów! — odkrzyknęła Fen przez ramię. — Niektórzy z nich są mili.

— Pamiętaj, jeśli wydaje ci się, że jedziesz za szybko, to przyspiesz! — zawołał za nią Dino.

Nagle Fen przypomniała sobie, jak Rupert szydził w Rzymie z jej katastrofalnych występów w Pucharze Narodów i twierdził, że kobiety nigdy nie wytrzymują presji.

— Do diabła z Rupertem — powiedziała do siebie — do diabła z Janey Lloyd-Foxe i tym jej paskudnym dzieciakiem. Jeśli mam się zabić, to dlaczego nie na torze?

Skłoniła się krótko w kierunku księżniczki siedzącej w loży honorowej, po czym skręciła wierzchowcem i galopem przejechała start. Hardy, przyzwyczajony do ciągłej kontroli i mocnego trzymania za wodze, przez chwilę był zdziwiony, po czym stanął na wysokości zadania. Przy pierwszej przeszkodzie Fen wyrównała czas Ruperta, wychyliła się do przodu, niemal dotykając rękami rzemienia na nozdrzach konia. Potem przeskoczyła

stacjonatę, zadziwiająco szybko zmieniła kierunek i przeleciała nad bramką.

„Boże, wzięła moje słowa dosłownie” — pomyślał Dino z nagłym przestrachem. Fen pędem pokonała kolejną przeszkodę, potem mur i już czekała na potrójny triplebar. Najeżdżała zbyt szybko, wpadnie na drążki. Przez moment poddała się panice, ale wtedy Hardy przejął kontrolę, trzema doskonałymi skokami pokonał przeszkodę i galopem przeniósł Fen przez linię finiszu. Z ogłuszającego wrzasku widzów, którzy wstali z miejsc, domyśliła się, że pobiła Ruperta. Teraz problemem było tylko, jak się zatrzymać. Z boku toru wybiegły jej na spotkanie rzędy niebieskich hortensji. Hardy skręcił ostro, poślizgnął się na tylnych nogach i stanął.

Fen zjechała z toru zadowolona, że nawet Dino pozbył się swojego zwykłego spokoju.

Ludwig poklepał ją po plecach.

— Doskonale. Nigdy jeszcze nie widziałem takiego przejazdu.

Za nim podszedł Guy — i nagle wszyscy brytyjscy zawodnicy, oprócz Ruperta i Griseldy, podawali jej ręce i ściskali. Bojkot się skończył.

„Czy było warto?” — zastanawiała się Fen, odbierając od księżniczki czerwoną rozetkę oraz ogromny srebrny puchar, jeszcze bardziej migoczący w świetle reflektorów. Czy warto było nie spać, pokonywać przeciwności i mieć złamane serce dla tego momentu chwały? Kiedy księżniczka wracała do swojej loży, Fen podziwiała jej doskonałe nogi w cielistych rajstopach. Nagle rozległ się przeraźliwy warkot werbli. Snakepit spłoszył się i wyskoczył z Rupertem przed siebie, zostawiając lukę między Fen a Billym, który zajął trzecie miejsce. Dziewczyna odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Olbrzymim wysiłkiem woli, znacznie większym niż ten, którego wymagała wygrana, zdołała się uśmiechnąć.

— Bardzo się cieszę, że będziesz miał dziecko — powiedziała.

Zanim Billy zdołał odpowiedzieć, na arenie zapadła ciemność, tylko jeden reflektor oświetlił Fen i siwka Hardy’ego. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że nikt nie wychodzi, nie słychać było trzasku podnoszonych siedzeń ani zamykanych drzwi czy kroków na betonowych schodach. Panowała cisza, po której wzniósł się w niebo wielki wiwat, a kiedy orkiestra zaczęła grać *Chcę czerwone róże dla niebieskiej panny*, widzowie zaczęli śpiewać i klaskać do rytmu. Pozostali jeźdźcy zjechali, Fen została sama. W świetle reflektora ruszyła na rundę honorową, którą Hardy przebiegł swoim cudownym, pozbawionym wysiłku, długim galopem. Widzowie wiwatowali tak głośno, że dziewczyna zrobiła jeszcze jedno okrążenie. „Billy mnie pewnie nie kocha, ale oni owszem. Mogłabym tak objeżdżać tę arenę do końca życia” — pomyślała.

Przy zjeździe złapał ją Dudley, wymachując mikrofonem. Wyglądał, jakby trzymał włochaty czarny lizak.

— Suuuper, absolutnie suuuper! Dzisiaj naprawdę pokazałaś wszystkim panom siłę dziewcząt! — wybuchnął grzmiącym śmiechem. Chyba za dużo wypił w namiocie z drinkami. — Harvey pojechał wspaaniale. Na pewno jesteś zadowolona.

— Tak, pojechał wspaniale i jestem zadowolona.

— Jest teraz pewniakiem na olimpiadę.

— Z końmi nigdy nic nie wiadomo — odparła Fen.

— Pewnie ciężko ci wybrać między nim a Esmeraldą.

Fen przez moment spoglądała na niego z namysłem.

— Ona ma na imię Desdemona, on ma na imię Hardy, a ty, Dudley, mógłbyś zdjąć ten głupi kapelusz, kiedy rozmawiasz z damą. Chociaż, jak cię znam, to pewnie uważasz mnie za mężczyznę.

„Boże, nie powinnam była tego mówić” — pomyślała.

Kątem oka za kucami szetlandzkimi i słynnymi emerytowanymi końmi wyścigowymi, które zbierały się na paradę, widziała już czyhających reporterów.

— Doskonale, Fen, to było magiczne. Umówmy się na drinka w tygodniu! — wrzasnął ktoś.

Dudley omal nie wyskoczył ze skóry, a nad Fen pokazała się pożądliwa twarz Moniki Carlton, która mijała ją ze swoimi kucami walijskimi.

— Jedne drzwi się zamykają, inne otwierają — powiedziała Fen, rzucając jej słaby uśmiech.

Dudley miotał się wokół, żegnając z widzami i przypominając o transmisji zawodów Puissance następnego dnia. Fen próbowała przemknąć za straganem z jedzeniem, ale reporterzy byli starymi wygami. Od razu otoczyli ją kordonem, odcinając drogę ucieczki.

— Co powiesz na wiadomość, że żona Billy’ego Lloyda-Foxe’a spodziewa się dziecka?

— Bardzo się cieszę jego szczęściem.

— Nie powiesz nic więcej?

— Jeśli dziecko będzie podobne do ojca, to wyrośnie na wspaniałego człowieka.

— A jeśli będzie podobne do Janey, to już nie?

— Tego nie powiedziałam. — Fen rozpaczliwie rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy. — Ledwie ją znam.

— Bardzo lubiłaś Billy’ego, prawda?

— Trudno go nie lubić — powiedziała Fen, wybuchając płaczem. — On nie ma wrogów.

Wokół widziała tylko świdrujące oczy i gorączkowo piszące długopisy.

— Zostawcie mnie — zaszlochała.

Na notatniki padł cień.

— Spadajcie — powiedział zimno Dino, chwycił za kołnierze dwóch dziennikarzy stojących najbliżej i szarpnięciem odsunął ich z drogi. — Odwalcie się, lećcie łomotać na tych swoich maszynkach. Słyszeliście, co pani powiedziała? Zostawcie ją.

---

[1] Fen recytuje stary angielski wierszyk dla dzieci, zmieniając Babylon na Coventry. Nawiązuje w ten sposób do angielskiego wyrażenia frazeologicznego (wysłać kogoś do Coventry) oznaczającego ostracyzm (przyp. tłum.).

[2] Część meczu polo (przyp. tłum.).

[3] *Très interessant* (fr.) — bardzo interesujące.

44

KIEDY WESZLI DO SAMOCHODU, Dino bez entuzjazmu obejrzał zawartość lodówki.

— Jedno czarne awokado, pół puszki fasoli, wieprzowina w cieście, która powinna już iść do kosza. Masz dwie możliwości — zwrócił się do Fen — rozpłakać się i iść spać albo wybrać się ze mną na kolację. Umieram z głodu.

— Nie jestem głodna, poza tym powinnam zadzwonić do Jake’a.

— Sarah do niego zadzwoniła. Powiedział, że chyba ci odbiło, skoro najpierw narażałaś konia na złamanie karku, a potem, kiedy był wykończony, zrobiłaś dwie rundy honorowe.

Fen się skrzywiła.

— I to jest cała pochwała, na jaką mogę liczyć.

Dino zabrał ją do włoskiej restauracji przy głównej ulicy Kensington. Przez okno Fen widziała zakurzone, żółknące platany trącane kroplami deszczu i zakochane pary pod parasolami. Uwięziona w gorącym, pozbawionym powietrza, za to pełnym napięcia Wembley, zapomniała o świecie zewnętrznym. Przy stoliku obok para trzymała się za ręce. Fen wsłuchiwała się w wesoły gwar, szczękanie butelek chianti, zdjęcia Koloseum na ścianach, uprzejmych kelnerów. Przypomniała sobie wieczór w Rzymie z Billym, kiedy miała twarz posiniaczoną po upadku, a on łyżeczką podawał jej do ust risotto. Zapragnęła go tak bardzo, że zabrakło jej tchu.

— O czym myślisz? — zapytał Dino.

— Że powinnam być na oddziale intensywnej terapii, a nie marnować twoje pieniądze.

— To moje pieniądze — powiedział Dino, biorąc do ręki menu. — Ja dla ciebie zamówię.

— Bolognese z grapefruita wystarczy — odparła Fen, jednym łykiem opróżniając połowę kieliszka wina.

— Skąd tak dobrze znasz włoski? — zapytała, kiedy Dino złożył zamówienie.

— Może dlatego, że jestem Włochem.

— Raczej Amerykaninem.

— Tylko adoptowanym. W głębi duszy jestem prostym, żałosnym włoskim kochankiem.

— A dlaczego zrobiłeś sobie siwe pasemka?

— Słyszałem, że lecisz tylko na starszych facetów, jak Billy, więc uznałem, że będę miał większe szanse, jeśli będę wyglądał na dojrzałego. Poza tym — uśmiechnął się szeroko — chyba mi z tym do twarzy.

— Pasuje — przyznała Fen. — Wyglądasz cholernie atrakcyjnie, ale jeszcze za wcześnie, żeby sobie żartować na temat mojego złamanego serca.

Dino położył opaloną, starannie wypielęgnowaną dłoń na jej dłoni.

— Dlaczego nie dałaś znać, że dostałaś mój telegram?

— Nie byłam pewna, czy to od ciebie.

— Ale przecież się podpisałem?

— Nie wiesz, jaki paskudny numer wyciął mi Rupert w Rzymie.

Dino na sekundę zacisnął dłoń na jej ręce.

— Nie, nie to — uspokoiła go Fen. — Wysyłali mnie spać wcześnie jak przedszkolaka, więc kiedy siedziałam w pokoju i umierałam z nudów, zadzwonił Rupert, udając ciebie, i zaprosił mnie na kolację.

— Poszłaś?

— Czy poszłam? Pobiłam rekord świata w kąpieli, myciu włosów i ubieraniu. A potem, kiedy zbiegłam na dół, zastałam Ruperta i Driffielda bardzo zadowolonych z kawału.

Dino miał na twarzy mieszaninę samozadowolenia i współczucia.

— Faktycznie paskudny żarcik. Byłaś rozczarowana?

— Totalnie załamana. Po tym wszystkim uznałam, że telegram to też żarcik Ruperta, więc nie odpisałam i nie podziękowałam ci.

— Gdybyś napisała, przyjechałbym znacznie prędzej.

— A ja może nie zaczęłabym niczego z Billym. Myślisz, że kiedykolwiek mi przejdzie? — zapytała żałośnie.

— No pewnie. Tylko wytrzymaj.

Kelner przyniósł zamówienie: pół tuzina krewetek śródziemnomorskich dla każdego i wielką miskę majonezu mocno doprawionego czosnkiem.

Dino zamówił kolejną butelkę i z niewiarygodną zręcznością zaczął obierać krewetki, zanurzać je w sosie i podawać Fen.

— Mmm, są naprawdę wyśmienite. Czy kobiety też rozbierasz tak fachowo?

— Znacznie bardziej fachowo, przy czym nie odrywam im głów i nóg.

Fen uświadomiła sobie, jak bardzo przystojny jest Dino. „Oczywiście jeśli się to lubi” — dodała w myślach pospiesznie.

— Czy kiedykolwiek zaciągnąłeś do łóżka Helen Campbell-Black?

Dino błysnął zębami.

— Kilka razy poszliśmy na obiad, ale ona nie zjadła nigdy więcej niż jedno danie, a i z tego połowę, bo zawsze chciała mnie zabrać do jakiejś galerii sztuki. Powiedziałem jej: „Kochana, mnie nie interesuje kultura, tylko seks”.

— Nie udało ci się z nią skręcić w stronę jakiegoś dużego łoża?

Dino pokręcił głową.

— Cały czas chodziła przestraszona. Kiedy tylko położyłem jej rękę na plecach, żeby ją przeprowadzić przez ulicę, ona rzucała się na oślep przed siebie, prosto pod samochód. Jeśli próbuje się wobec niej czegokolwiek więcej, od razu uruchamia się alarm.

— W samochodzie Ruperta?

— Nie, w jej głowie. Jest tak piękna, że można na nią patrzeć godzinami, ale chyba przypomina wazę z epoki Ming: piękna, lecz pusta.

— O rany, zjadłam wszystkie krewetki! — zorientowała się Fen.

— I dobrze. — Dino przesunął palcami po wewnętrznej stronie jej ręki, pieszcząc delikatnie, niemal z roztargnieniem, jakby była psem. — Zabawne, ale podobasz mi się. Zawsze mi się podobałaś.

Fen odsunęła się.

— Nie mów tak. Nie jestem gotowa na takie propozycje.

— To nie propozycja. To stwierdzenie faktu.

— Chociaż nie jestem tak piękna jak Helen?

Dino zmierzył ją wzrokiem.

— Mogłabyś nieco przytyć — powiedział — ale nie jest źle.

Fen zauważyła, że oczy zaczynają mu się kleić. Pewnie jeszcze nie przyzwyczaił się do zmiany strefy czasowej.

— Jak się miewa Manny?

— Doskonale, znacznie lepiej ode mnie. Bardzo urósł i zmężniał. Sporo wygrał w tym roku, ale w lipcu ojciec miał atak serca. Teraz jest lepiej, ale przez kilka tygodni nie jeździłem.

— Dlaczego przyjechałeś tak nagle, na koniec sezonu?

— Chcę pracować z jednym gościem, chyba najlepszym trenerem na świecie. Przez kilka miesięcy przechowam konie w jego stajni, trochę poskaczę w Europie, a w kwietniu spróbuję sił w pucharze świata. Potem

wracam do Stanów na przygotowania olimpijskie. Chyba tak samo jak ty marzę o złocie.

— Co to za trener? Znam go?

— Nikt go nie zna za dobrze. Jest dość niedostępny. — Dino uśmiechnął się konfidencjonalnie. — Wyznam ci, że podoba mi się jedna z jego amazonek. Wymyśliłem sobie, że jeśli u nich zamieszkam i będę się z nią wciąż stykał, może będę miał u niej większe szanse.

Fen zgarbiła się w krześle, znów przygnębiona. Spuściła wzrok na małe kotleciki jagnięce, które im właśnie przyniesiono i zdjęła poczerniałą gałązkę rozmarynu, która na nich leżała. Billy złamał jej serce, ale żadna dziewczyna nie cieszy się, kiedy atrakcyjny chłopak, który wrócił do niej po jakimś czasie, od razu ucieka do innej, zanim zdołało się spróbować i znów wokół niego zakręcić. Dino w Anglii bardzo by się jej przydał, gdyby potrzebowała pary na imprezę lub oficjalną kolację. Z nadąsaną miną nasypała sobie zbyt dużo soli na brzeg talerza i przyglądała się, jak nasiąkając sosem miętowym sól zielenieje.

— Nie chcę już pić — powiedziała niechętnie. — Jutro o dziewiątej mam zawody.

Nie zważając na jej słowa, Dino nalał jej do kieliszka.

— Poznałeś ją na zawodach? — zapytała.

— W zeszłym roku na mistrzostwach świata.

Fen nagle uniosła wzrok i ze zdziwieniem stwierdziła, że Dino się śmieje.

— Boże, ale z ciebie głuptas, Maxwell. Na zawodach wygrywasz, ale spostrzegawczością dorównujesz kretowi.

— Nie rozumiem — wymamrotała Fen.

Dino znów ujął ją za rękę, odwrócił dłonią do góry i delikatnie przesunął kciukiem po linii serca.

— Po południu widziałem się z Jake’em. Według niego fantastycznie sobie radzisz, ale w stajni przydałby się facet, żeby skakać na niektórych koniach. W zamian za to pomoże mi z Mannym po wyjściu ze szpitala.

Fen nagle znów poczuła łzy pod powiekami.

— A więc według niego sobie nie radzę?

— Wręcz przeciwnie, uważa, że szkoda cię zmarnować. Też chciałby, żebyś zdobyła złoto. Pomaga mi tylko dlatego, że nie mam szansy cię pobić.

Dwa tygodnie później Fen siedziała na łóżku Jake’a w szpitalu.

— To naprawdę wkurzające — narzekała. — Wszyscy, ale to wszyscy, Tory, dzieci, stajenne, konie, nawet Wilk po uszy zakochali się w Dinie Ferrantim. Jak dobrze, że w przyszłym tygodniu już wracasz i przywrócisz normalność, zanim wszyscy polecą za nim do Ameryki.

Wstała i zaczęła nerwowo kręcić się po pokoju. Zaglądała do kartek z życzeniami zdrowia, których były setki, skubała winogrona i próbowała się nie denerwować, kiedy Jake posykiwał z bólu. Ze ściągniętą, spoconą twarzą i zaciśniętymi zębami Jake walczył, zginając i prostując nogi — jedną złamaną, drugą niesprawną po chorobie — by wzmocnić mięśnie. Fen mimowolnie zauważyła, jak kruche i słabe wydają się te nogi. Zastanawiała się, czy Jake jeszcze w ogóle wsiądzie na konia, nie wspominając o zwycięstwach.

— Fizjoterapeuta ostrzegał, żeby nie przesadzać — powiedziała z wyrzutem.

— Fizjoterapeuci nie dbają o medale — odparł Jake, odsuwając zlane potem włosy z oczu.

— Tory planuje kolację na Święto Dziękczynienia, żeby zrobić niespodziankę Dinowi i przypomnieć mu dom — ciągnęła Fen. — Sarah po raz pierwszy w historii od rana się maluje. Tylko patrzeć, jak Desdemona

zacznie sobie podwijać te różowe rzęsy. Nie wiem, dlaczego Dino musi być taki cholernie czarujący dla wszystkich i zawsze. O rany, dostałeś kartkę od księżniczki! Jesteś gwiazdą. Cieszysz się na powrót do domu?

— Oczywiście — wydyszał Jake, na moment opierając się o wezgłowie łóżka.

— Już bardzo czekamy na twój powrót — powiedziała Fen.

Żadne z tych stwierdzeń nie było do końca prawdą. Jake, który od pięciu miesięcy marzył tylko o wyjściu ze szpitala, teraz czuł, jak ogarnia go ślepa panika na myśl o stawieniu czoła światu. Uczenie się chodzenia od początku wyczerpywało wszystkie jego siły. Wciąż upadał, podnosił się z trudem i poddawał czarnym przeczuciom, że żadna z nóg nie wzmocni się na tyle, by mógł chodzić, a jemu nie wystarczy odwagi, żeby znów wsiąść na konia.

Co noc śniły mu się spadające drążki i olbrzymie konie upadające z wysokości na jego nogi. Budził się z krzykiem, zalany łzami i uspokajał dopiero wtedy, kiedy przychodziła pielęgniarka. Po swojej początkowej wrogości czuł niemal niewolniczą wdzięczność dla pielęgniarek i siostry przełożonej, które doprowadzenie go do pełnej formy przyjęły za punkt honoru. Kiedy pozwalała im praca, zwłaszcza w nocy, gawędził z nimi godzinami i stopniowo otwierał się przed nimi tak, jak nigdy wcześniej nie otworzył się przed nikim w domu ani na zawodach. Polubił zwłaszcza jedną jasnowłosą pielęgniarkę, siostrę Wutherspoon, która przynosiła mu świeże wiejskie jajka i zawsze wpadała pokazać się, promienna i pachnąca perfumami, kiedy wychodziła na randkę. Jake tłumił w sobie nieśmiałe podejrzenie, że może odwzajemnia jego zainteresowanie. Godne pożądania pielęgniarki nie zwracają uwagi na cholerycznych inwalidów takich jak on.

Poza tym nie czuł się na siłach, by wracać do codziennego kieratu związanego z prowadzeniem stajni, długich wyjazdów na zawody i

przeczesywania kraju w poszukiwaniu nowych koni. Tęsknił za dziećmi, ale nie był pewny, czy zniesie ich głośne zabawy, a także psie oddanie poczciwej Tory o lśniącej twarzy i siedemdziesięciokilogramowym ciele, kiedy kręciła się po Mill House, dbając o wszystkich.

Najchętniej spędziłby dwa miesiące, ciesząc się słońcem na plaży na Hawajach, gdzie siostra Wutherspoon w spódniczce z trawy spełniałaby wszystkie jego zachcianki. Spódniczki z trawy nie zdałyby egzaminu w Warwickshire, gdyż Macaulay je zjadał. Jake cieszył się tylko, że na miejscu będzie Dino, który weźmie na siebie część obowiązków.

Fen z kolei przepełniały mieszane uczucia. Po pięciu miesiącach praktycznie samodzielnego prowadzenia stajni była bliska wyczerpania, ale podtrzymywała ją nadzieja na powrót Billy'ego oraz poczucie, że jest niezastąpiona i doskonale sobie radzi. Teraz pojawił się Dino i przejął od niej przynajmniej połowę obowiązków. Wszyscy wydawali się bardziej zadowoleni, a Fen nie mogła się pozbyć zazdrości. Czuła, jakby zdegradowano ją z przewodniczącej szkoły do zwykłej uczennicy, a po powrocie Jake'a znajdzie się z powrotem w przedszkolu.

Irytowało ją to, że wszyscy w domu, gdy trzeba było podjąć jakąś decyzję, zwracali się do Dina. Nie mogła przyczepić się do jego pracy, mimo że kładł się bardzo późno, jak wszyscy wstawał o szóstej i przynajmniej siedem lub osiem godzin spędzał w siodle, trenując nie tylko swoje konie, ale i nowe konie Jake'a. Miał dziwne pomysły co do karmienia swoich koni, przyjechał ze skrzynią witamin i suplementów, ale w nocy, kiedy tylko mieli kłopot z jakimś koniem, natychmiast zrywał się z łóżka.

I pomimo opinii leniwego playboya zadziwiająco dobrze radził sobie z pracami domowymi. Pewnego wieczoru Fen o mało nie zemdlała, kiedy po

powrocie do domu z wywiadu dla stacji ATV w Birminghamie zastała go prasującego sobie koszule.

— Co ty wyprawiasz? — zapytała zaskoczona. — Tory może to zrobić.

— A niby dlaczego? Ona i tak jest już wykończona.

Fen przyglądała się, jak sprawnie Dino przesuwa żelazkiem po zakładkach niebieskiego jedwabnego rękawa przy mankiecie.

— Gdzie ty się tego nauczyłeś?

— Na studiach. Wszystkie pieniądze wydawałem na konie. Nie mogłem sobie pozwolić na oddawanie koszul do pralni, a nie cierpię pogniecionych ubrań, więc uznałem, że lepiej się nauczyć prasować.

— Pewnego dnia będzie z ciebie doskonała żona — powiedziała Fen.

W tej chwili pojawiła się Darklis w różowej koszuli nocnej i z niezadowoloną miną.

— Hej, Fen. Widzieliśmy cię w telewizji. Dino, przyjdziesz? Obiecałeś mi poczytać *Zielone jajka na szynce*. Dino zabierze mnie do Disneylandu — dodała, zwracając się do Fen. — No chodź, Dino.

— Przyjdę, jak skończę prasowanie — odparł Dino, nie poddając się presji małej.

W korytarzu Fen natknęła się na Tory w szlafroku, zaróżowioną po kąpieli.

— Właśnie widziałam, jak Diana Ferranti biedzi się nad żelazkiem — powiadomiła ją Fen.

— Jest wspaniały, prawda? — westchnęła Tory. — Okropnie bolała mnie głowa, a on po prostu wziął wszystko na siebie. Doskonale gotuje. Boże, jakie zapachy! Jak miło, kiedy mężczyzna zauważa różnicę między rozmarynem a bazylią. Jake mógłby zjeść psią karmę.

— Zaczynam się zastanawiać, czy Dino nie interesuje się więcej Basilem niż Rosemary — zauważyła Fen.

Wyszła na podwórko, żeby sprawdzić konie. Noc była bardzo zimna i rozgwieżdżona. Wczesny przymrozek powlókł kamyki na podwórku pozłotą i usztywnił złociste liście wierzby, które trzeszczały pod nogami i już zaczynały blokować rynsztoki w stajni. Poprawiając derki, zaglądając do wiader z wodą i sprawdzając bandaże, Fen szukała błędów Dina. W pewien bolesny sposób chłopak przypominał jej Billy'ego, lecz Billy był kochający i pełen entuzjazmu, a Dino emanował kocim chłodem i dystansem. Był znacznie twardszy i bardziej krytycznie nastawiony do świata niż Billy. Doskonale widział wady Fen, lecz podczas gdy Jake wdeptywał ją za nie w błoto, Dino raczej ją uciszał.

Ledwie tydzień wcześniej przyłapał ją, kiedy krzyczała na Sarah za to, że podała Hardy'emu nieprawidłową karmę — koń miał być na diecie. Dino próbował ją uciszyć, wtedy Fen zaczęła krzyczeć także na niego, na co on z całym spokojem zaprowadził ją do pustego boksu i zamknął podwójne drzwi, po czym przytrzymał, dopóki się nie uspokoiła.

— Jak stajenne mają mnie szanować, skoro ty wciąż ze mnie kpisz? — zapytała go potem gniewnie.

— Przed ważnym zawodami skaczą wokół ciebie i cackają się z tobą, więc w domu traktuj je przyzwoicie, do cholery.

A najbardziej irytowało ją to, że chociaż przy kolacji po pucharze „Sunday Timesa" Dino powiedział, że bardzo mu się podoba, od przeprowadzki do Mill House nie kiwnął długim, opalonym palcem w jej kierunku. Może wspólne mieszkanie zniechęciło go do niej. Co prawda Fen nie dbała o to, gdyż wciąż beznadziejnie tęskniła za Billym. Jednak drażniły ją ciągłe telefony od dziewczyn mówiących z miękkim, pieszczotliwym amerykańskim akcentem. dwa razy po pracy wyjechał gdzieś i wrócił dopiero o świcie. Fen czasami płakała przed snem. Zastanawiała się wtedy, czy Dino, który zajmował niebieski pokój na końcu korytarza, słyszy ją,

wracając do swojego pokoju. Ogólnie rzecz biorąc, Dino zachowywał się dziwnie jak na mężczyznę, który podobno przyjechał do Anglii dla niej.

Fen stała w boksie Desdemony i czochrała jej sierść, gdyż w ciągu dnia klacz przebywała na dworze. Dziewczyna podała jej ostatniego miętusa. Wyjrzała przez otwartą górną połowę drzwi. Wokół kurka na dachu owijał się mały, srebrzysty sierp księżyca w nowiu. Fen obróciła w kieszeni pięćdziesięciopensówkę i westchnęła. Zdała sobie sprawę, że nie ma co życzyć sobie powrotu Billy'ego.

— Księżycu — powiedziała — daj mi złoto.

Tydzień później Jake wrócił do domu. Było piękne październikowe popołudnie. Sylwetki drzew rysowały się ostro na granatowym tle nieba, granatowego po deszczu, ale już pogodniejącego. Na podwórku nie było ani źdźbła trawy, każdy centymetr uprzęży lśnił. Tylko konie Dina i czwórka nowych, które wciąż jeździły na zawody, przebywały w boksach. Pozostałe wypuszczono na pola, które szachownicą zajmowały teren za stajnią.

Jednak zwierzęta czuły, że coś się dzieje. Cały dzień były nerwowe, prychały na siebie i rżały, nie mogły się skupić na trawie, lecz stały przy ogrodzeniu. Dopiero teraz, tuż przed przyjazdem Jake'a, wszystkie galopem pobiegły do Macaulaya, Afryki i jej źrebaka, które pasły się na górnym polu. Darklis i Isa nie wrócili jeszcze ze szkoły, chociaż wielki transparent z napisem „Witamy w domu, tatusiu", który namalowali z pomocą Sarah i Dina, wisiał już między dwiema największymi wierzbami nad bramą wjazdową. Poprzez szum potoku Fen usłyszała dźwięk samochodu na moście. Sarah rzuciła się do przodu, żeby podnieść kilka liści wierzbowych, które opadły na ziemię. Wilk, również przez cały dzień niespokojny, zaszczekał podniecony. Kiedy samochód wjechał na podwórko, pies wyskoczył przed siebie i zaczął histerycznie drapać w drzwi samochodu.

— Jesteś! — zawołała Fen i pobiegła do przybyłych. — No już, spokojnie — powiedziała, łapiąc Wilka za obrożę i dopiero wtedy otworzyła drzwi. — Nie chcesz chyba przewrócić pana.

Jednak kiedy pies przekonał się, że to naprawdę Jake, na kilka sekund znieruchomiał. Potem uniósł głowę i zawył kilka razy przejmująco, przyprawiając słuchaczy o dreszcz. Jake zauważył, że po szorstkich, brązowych policzkach psa spływają łzy.

— No już, dobry pies — powiedział łagodnie Jake.

Wilk podszedł bliżej i położył łeb na kolanie pana, bijąc ogonem po chudych, drżących nogach, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w cud. Jake głaskał Wilka po głowie, ścierając mu łzy. Nikt się nie odzywał. Kiedy Jake spróbował wysiąść, Dino podszedł, gotów pomóc.

— Cześć — powiedział. — Jak dobrze, że wróciłeś. Nawet słońce wyszło na twoje powitanie.

Jake pokiwał głową. Twarz miał nieruchomą, nie był w stanie wymówić słowa.

— Chodź odpocząć, kochanie — powiedziała Tory.

— Chcę zobaczyć konie.

— Powoli — powiedziała łagodnie. — Masz dość wrażeń na jeden dzień.

— Podajcie mi kule — warknął Jake.

— Proszę — powiedziała Fen.

Jake z trudem pokuśtykał po żwirze. Poślizgnął się raz i upadł na kolana. Fen już rzucała się na pomoc, ale Dino chwycił ją za ramię.

— Stój — powiedział ostro.

Sam starał się ukryć zaskoczenie na widok Jake’a, którego po raz pierwszy zobaczył w świetle dnia. Szary z wyczerpania, przeraźliwie wychudzony Jake musiał zrobić dwie dodatkowe dziurki w pasku, żeby przytrzymywały mu spodnie.

— O Boże — powiedziała Fen, kiedy Jake znów się potknął.

— Musi to zrobić sam — powiedział do niej Dino.

Upłynęła chyba cała wieczność, zanim Jake dotarł do bramy, oparł się o nią, dysząc, i próbował złapać oddech. Z dużym wysiłkiem otworzył ją i wszedł do wewnątrz, po czym znów się zatrzymał. Pole wznosiło się do samego nieba, znaczone jedynie kilkoma pomarańczowymi bukami i cytrynowożółtymi jesionami. W zasięgu wzroku ani jednego konia. Jake uniósł palce do ust i gwizdnął. Zapadła długa cisza. Już miał znów zagwizdać, kiedy nagle na szczycie pagórka ukazały się czarny, ciemnobrązowy, kasztanowy, gniady, siwy i deresz. Skokiem przesadziły ogrodzenia okolicznych pól. Zbiegły galopem w dół, ich grzywy i ogony powiewały na wietrze. Rzuciły się do Jake’a w takim pośpiechu, jakby finiszowały na derbach. Hardy wysforował się naprzód, rozpychając pozostałe, rżąc zazdrośnie.

— Zabiją go — wyszeptała Sarah.

— Stratują go! — zawołała przerażona Tory.

— Zabierzcie go! — krzyknęła Fen. — Dino, zrób coś!

Jednak jakimś cudem kilka metrów przed Jake’em konie nagle zwolniły i chociaż te z tyłu wpadały na biegnące z przodu, ale wszystkie się zatrzymały tuż przed Jake’em. Stały wpatrzone w niego, po czym nagle głośno zarżały i z niewiarygodną delikatnością zaczęły go trącać i pocierać pyskami po twarzy, płaszczu i rękach. Chwilami wzbierała w nich zazdrość, wtedy kładły uszy po sobie i szczypały się nawzajem lub parskały ostrzegawczo. Hardy, zgodnie ze swoim charakterem, polizał Jake’a, po czym skubnął go mocno w rękaw płaszcza, pokazując, kto tu wciąż rządzi.

— Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem — powiedział Dino, spuszczając wzrok na zapłakaną twarz Fen. Poczuł jej dłoń w swojej,

uścisnął ją lekko. Fen spojrzała na swoją rękę, podskoczyła, zarumieniła się gwałtownie, wyrwała dłoń i otarła nią oczy.

— Kogoś brakuje — zauważyła Sarah.

— Tego wielkiego — podpowiedział Dino.

W tej chwili zobaczyli Macaulaya stojącego na szczycie pagórka, przypominał ojca Bambi z bajki. Jake gwizdnął jeszcze raz, Macaulay pędem zbiegł w dół, jak kolejka górska, która wymknęła się spod kontroli. Biegł tak szybko, że pozostałe konie rozstąpiły się, żeby ich nie stratował. Kiedy dotarł do Jake’a, wściekłymi piskami odpędził resztę, po czym natychmiast odwrócił się do pana i przycisnął do jego twarzy wielki biały pysk. Jake otoczył ramionami szyję konia i oparł się na nim. Ramiona mu się trzęsły.

— Myślisz, że wszystko z nim dobrze? — zapytała zaniepokojona Fen.

— Zostawmy go — odparł Dino. — Najlepiej czuje się sam z końmi.

45

MIMO POCZĄTKOWYCH OBAW Fen radziła sobie z powrotem Jake’a łatwiej, niż przypuszczała, gdyż obaj z Dinem zaskakująco dobrze się dogadywali. Dino nie zwracał uwagi na czarne nastroje Jake’a i jego gryzący sarkazm, którego nie brał do siebie.

— Jake’a wciąż coś boli — wyjaśnił Fen. — Musi się wziąć w garść. Wyżywa się na otoczeniu, żeby nabrać pewności siebie.

Razem pracowali nad końmi, zwłaszcza nad Hardym i Macaulayem.Jake wydawał polecenia, kuśtykając po podwórku najpierw na dwóch kulach, potem na jednej, a pod koniec listopada już tylko z laską. Ćwiczył niezmordowanie i bez przerwy. Pan Buchannan był zachwycony postępami i obiecywał, że przy odrobinie szczęścia do lutego Jake wsiądzie na konia.

Wieczorami po kolacji, zamiast padać na kanapę przed telewizorem, Jake i Dino rozmawiali przy butelce wina. Dino na ogół zadawał pytania, ale chociaż Jake odkrywał przed Dinem wszystkie sekrety cygańskiej medycyny, Dino odpłacał mu informacjami o najnowszych odkryciach weterynaryjnych i dietetycznych w Stanach. Wkrótce wszystkie konie Jake’a dostawały witaminy.

— Jak przechodzą obok, słyszę grzechot — mówiła Fen poirytowana.

Dino zachęcił Jake’a do zmiany diety, żeby szybciej wrócił do szczytowej formy. Fen z wielkim zaskoczeniem obserwowała, jak Jake, który zwykle ledwie zdołał wypić filiżankę bardzo mocnej i słodkiej kawy na śniadanie, teraz siadał do posiłku złożonego z plastrów jabłka, suszonych moreli, śliwek i marchewki, a po nich wypijał koktajl wielowitaminowy, który przygotowywał Dino.

— Mimo wszystko to Dino bardziej korzysta z jego wiedzy — stwierdziła Fen z oburzeniem pewnego wieczoru. — Poczekaj tylko, w końcu Amerykanie zdobędą złoto drużynowo, a Dino indywidualnie. Wtedy pożałujecie.

— Nie bądź małoduszna, Fen — powiedziała łagodnie Tory. — Dino robi to także dla Jake'a. Zobacz, Jake wygląda znacznie lepiej, poza tym dobrze mu robi świadomość, że do czegoś się przydaje.

Fen z trudem przyjmowała również krytykę Jake'a. W końcu przez zeszły rok zarobiła więcej niż on przez całą swoją karierę, miała dość tego, że Dino bronił Tory. Teraz też była zła, bo Dino znów zrugał ją za to, że traktuje Tory jak niewolnicę.

— Zostawiacie jej całe zmywanie. Dlaczego, do cholery, Jake nie kupi zmywarki?

— Ale ona jest zadowolona — zaprotestowała Fen.

— Mówisz o niej tak, jakby była opóźnionym w rozwoju dzieckiem.

Dino był wyjątkowo poruszony kolacją na Święto Dziękczynienia, którą Tory przygotowała specjalnie dla niego.

— Skąd miałaś przepis na ciasto z dyni? — zapytał zaskoczony. — Jest lepsze niż u mnie w domu.

Tory poróżowiała.

— Zadzwoniłam do Helen Campbell-Black — wyjąkała.

Fen i Jake popatrzyli na nią z niedowierzaniem. Musiała naprawdę uwielbiać Dina, skoro dla niego poprosiła o pomoc osobę z obozu nieprzyjaciela.

W tym okresie pocieszały Fen jedynie odnoszone sukcesy. Wygrała dwa ważne konkursy krajowe. Wszystkie gazety typowały ją jako pewną reprezentantkę Wielkiej Brytanii na igrzyska w Los Angeles. Dostawała coraz więcej listów od fanów. Codziennie wydzwaniali dziennikarze,

oczekując od niej natychmiastowej opinii na wszelkie możliwe tematy: mężczyzn, ubrań, diety, jedzenia. Niemal każdego dnia jakiś reporter przyjeżdżał do Warwickshire, prosząc o wywiad. Jej twarz spoglądała z każdej wystawy kiosku. Z natury Fen nie była zarozumiała, lecz nie mogła oprzeć się niemiłemu wrażeniu, że choć cały świat zewnętrzny ją podziwia, to w domu raczej nikt jej nie szanuje. Jake i Dino uważali, że należy wykonywać swoje obowiązki — ona też powinna to robić, jak wszyscy inni.

Pewnego popołudnia pod koniec listopada Fen i Sarah spędziły kilka ciężkich godzin, ćwicząc Desdemonę i Macaulaya na zawody w Olympii. Wjeżdżając na podwórko, zastały Dina, który tuż po trudnej sesji w ujeżdżalni wyprowadził Manny'ego na dwór, żeby ochłonął.

Z kuchni wyszła Tory z rękami w mące.

— Dino, dzwoniła jakaś Mary-Jo. Jest w Dorchester. Możesz oddzwonić?

— Jasne, zaraz. — Dino podał wodze Luise, swojej stajennej, i poszedł do domu.

— Szczęściara z tej Mary-Jo — westchnęła Sarah.

— Kto to jest? — zapytała Tory. — Pytała o nogę Jake'a, wydawała się bardzo miła.

— To pewnie Mary-Jo Wilson — odpowiedziała Fen, zeskakując z siodła. — Amerykańska cudowna amazonka. Ruda grzywa, idealnie zawiązane krawaty, szpilki z brylantem i biały goździk w klapie. Według mnie przesadnie elegancka. Na pewno w łóżku ujeżdża faceta bokiem.

— Ale też bardzo ładna, w typie Helen Campbell-Black — powiedziała Sarah nie bez złośliwości. — Dino najwyraźniej lubi rude.

— Wydawała się naprawdę miła — powtórzyła Tory zupełnie bez złośliwości.

Dino wrócił na podwórko.

— Przepraszam, że tak późno ci mówię — powiedział do Tory — ale nie będę dzisiaj na kolacji.

— Mam ci zostawić coś na ciepło? — zapytała Tory.

— Mary-Jo na pewno już się o to zatroszczyła — warknęła Fen, po czym natychmiast pożałowała swoich słów.

Dino rzucił jej kwaśne spojrzenie.

— To jakaś miła odmiana — powiedział bez złości i poszedł dopilnować karmienia Manny’ego.

— Dlaczego jesteś dla niego taka niegrzeczna, Fen? — zapytała Tory z wyrzutem.

— Bo woda sodowa uderzyła mu do głowy.

— Jak już się spotka z Mary-Jo, nie tylko woda im uderzy — zachichotała Sarah.

— Nie bądź obrzydliwa — warknęła Fen.

Była w ponurym nastroju, zwłaszcza kiedy Dino wrócił następnego rana akurat na śniadanie, po czym ziewał cały dzień i był w tak fatalnej formie, że Hardy trzy razy go zrzucił.

Tydzień później Dino załadował konie na samochód i zabrał je na zawody do Wiednia, które stanowiły kwalifikację do pucharu świata. Fen była tak przekonana, iż zabrał ze sobą Mary-Jo, że zadzwoniła do hotelu Dorchester, gdzie usłyszała, że panna Wilson wymeldowała się w ranek wyjazdu Dina, a miała wrócić dwunastego grudnia, kiedy i on miał pojawić się w domu. Fen przez kolejne kilka dni oczami wyobraźni widziała Dina z Mary-Jo w ramionach, tańczącego *Nad pięknym modrym Dunajem* w wiedeńskiej sali balowej.

Dino wrócił zgodnie z zapowiedzią dwunastego grudnia po bardzo udanych zawodach. Manny najwyraźniej się poprawił pod kierunkiem

Jake’a. Zakwalifikował się do Pucharu Świata, trzeciego wieczoru wygrał duży konkurs, a w Grand Prix zajął drugie miejsce. Jake był zachwycony. „To go najbardziej rusza. Naprawdę woli ćwiczyć konie w domu, niż skakać na zawodach” — pomyślała Fen.

Dino przywiózł zabawki dla dzieci, jedwabne apaszki dla stajennych, piękny luźny czarny sweter dla Tory, który ukrywał jej tuszę, a Jake’owi podarował nową uprząż, która na kontynencie była ostatnim krzykiem mody. Jednak dla Fen chyba nie miał nic. „Pewnie dlatego, że przed wyjazdem byłam dla niego taka okropna” — pomyślała dziewczyna przybita i uciekła na podwórko. Noc była bardzo zimna. Woda w korycie już zamarzła, kamienie pokrywała cienka warstwa lodu. W magazynku na uprząż Fen zastała zmęczoną Louise wieszającą uprzęże Dina, które czyściła w drodze powrotnej.

— Biedna, pewnie ledwie żyjesz.

Louise pokiwała głową.

— Pewnie, ale to był doskonały konkurs. Jak się wygrywa, to zawsze trochę mniej się czuje zmęczenie.

— Jak poszło Mary-Jo? — zapytała Fen, bawiąc się pasiastą rączką szczotki dla koni.

— Nieźle — odparła Louise, jakby obecność Mary-Jo była najbardziej naturalną rzeczą na świecie. — Ma problemy z Melchiorem, on wciąż zrzuca drążki. Tym razem jednak koń skakał doskonale i zakwalifikował się do pucharu. Mary-Jo martwi się, że nie dostanie się do reprezentacji na igrzyska, zwłaszcza że Dino na pewno pojedzie. Jednak konkurencja jest ostra, Mary-Jo ma już dwadzieścia sześć lat, za cztery lata będzie pewnie miała dzieci, więc to dla niej ostatnia szansa. Szkoda, że nie może tu przyjechać na tydzień lub dwa i pracować dla Jake’a. W Ameryce też są

świetni trenerzy, ale Jake wyjątkowo umie sobie poradzić z trudnymi końmi.

— W takim razie może powinien zgłosić się na szefa ekipy amerykańskiej — warknęła Fen, rzuciła szczotkę i wyszła na zimną noc.

Chodziła po podwórku w swetrze i dżinsach, niepomna na upływ czasu i temperaturę. Do rzeczywistości przywołał ją głos Tory. W kuchni zastała Dina, który już przebrał się w szary kaszmirowy sweter i szare sztruksy, pił dużą whisky z wodą i opowiadał Tory o Wiedniu. Sosnowy stół zaścielały rozetki i zdjęcia.

— To piękne miasto. Poszliśmy na cmentarz, gdzie leżą wszyscy wielcy muzycy, Mozart, Brahms, Beethoven, Haydn. Najbardziej poruszający jest grób Schuberta. Spójrz — podał Tory zdjęcie — to rzeźba z nagrobka. Schubert przybywa do nieba, anioł wkłada mu na głowę wieniec laurowy, bo na ziemi nikt nie docenił jego geniuszu.

— W przeciwieństwie do ciebie — wtrąciła kwaśno Fen. — Ciebie za to wszyscy doceniają, Dino.

— Nie wszyscy. — Dino nie zmienił wyrazu twarzy, ale szybko pozbierał zdjęcia.

— Kochanie, chyba zmarzłaś na kość — powiedziała Tory. — Weź gorącą kąpiel. Wyjeżdżam z Isą na przedstawienie Darklis. Kolacja jest w piekarniku, gulasz i pieczone ziemniaki. A w spiżarni jest szarlotka, jeśli masz ochotę.

Jake na dwa dni wyjechał do Irlandii obejrzeć konie. To, że czuł się na siłach, by tam pojechać, uznano za wielki krok naprzód, jednak Fen nie potrafiła się zdobyć na zjedzenie kolacji z Dinem i Louise.

— Dzięki. — Przeszła przez kuchnię. — Nie jestem głodna. Życz Darklis powodzenia.

Poszła do siebie i padła na łóżko. Starając się nie poddać zmęczeniu i przygnębieniu, zaciągnęła niebiesko-białe kretonowe zasłonki. Butelki z szamponem i odżywką, których użyła do umycia włosów na przyjazd Dina, wciąż jeszcze nie były zakręcone, mokry ręcznik leżał na łóżku, suszarka wciąż była podłączona do prądu. Ogrzewanie było włączone, jednak Fen się trzęsła. Postanowiła wziąć kąpiel. Rozebrała się już, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — chwyciła mokry ręcznik.

— Ja. — Dino wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Fen odwróciła się do lustra.

— Chcę wziąć kąpiel.

— Przyniosłem ci drinka. — postawił na toaletce dużą wódkę z tonikiem.

Zapadła chwila milczenia. Dino wziął do ręki panią Tiggy-Winkle o twarzy z ostu, w czepku i różowej sukience, stojącą obok wszystkich porcelanowych figurek koni na półce z książkami.

— Całkiem zgrabne.

— Jake zrobił to dla mnie kilka lat temu.

Fen usiadła na stołku przy toaletce. Z ciemnoczerwonego ręcznika wyłaniały się jej nagie, szczupłe ramiona. Spoglądała podejrzliwie.

Dino zauważył włączoną suszarkę.

— Wychodzisz?

Fen pokręciła głową.

— Myłam włosy.

W pokoju zaczynało się robić cieplej. Dlaczego więc zęby wciąż jej szczękają?

— Mam dla ciebie prezent — powiedział Dino, wyjmując z kieszeni spodni kwadratowe czarne pudełko i otwierając je.

Fen otworzyła buzię na widok złotego łańcuszka z prześliczną literą „F”, wysadzaną perłami i szmaragdami. Założył go jej na szyję, zapinając zamek nieco drżącymi rękami.

— No więc... — powiedział.

Fen spojrzała na jego odbicie. Zauważyła, że opalenizna Dina blednie, oczy syjamskiego kota lekko się mrużą, jak zawsze, kiedy był bardzo zmęczony.

— Jest piękny — wyszeptała, przesuwając palcami po naszyjniku. — To najpiękniejszy prezent, jaki w życiu dostałam, absolutnie najpiękniejszy. Nigdy go nie zdejmę. Dziękuję, bardzo dziękuję. Myślałam — głos jej zadrżał — że specjalnie o mnie zapomniałeś, bo byłam taka niemiła dla ciebie.

Wstała, żeby się odwrócić, ale Dino złapał jej gołe ramiona i niezwykle delikatnie, powoli pocałował ją w lewy obojczyk. Nagle Fen poczuła, jak żołądek się jej ściska, a między udami wzmaga się tętno.

— Jak mógłbym o tobie zapomnieć — powiedział z wyrzutem. — Przecież myślę tylko o tobie.

Teraz nosem przesuwał po jej szyi, muskając ustami płatki uszu.

— Szczerze mówiąc, jeśli nie rozepnę rozporka i nie wejdę w ciebie, to niedługo skończę w szpitalu dla obłąkanych.

— Naprawdę? Czy po prostu jesteś miły?

— Miły? Boże, wystarczająco długo się powstrzymuję.

Obrócił ją do siebie. Fen patrzyła na niego niepewna i drżąca.

— Dino, nie wiem. Jestem tak poraniona, że został mi tylko kawałek serca.

— Mojego serca wystarczy dla nas obojga. Kochanie, nie skrzywdzę cię. Pomogę ci poczuć się lepiej.

Powoli odsunął jej ramiona zaciśnięte na ręczniku i otoczył nimi swoją szyję. Fen czuła pod palcami jego potężne mięśnie.

— Pocałuj mnie — wyszeptał.

Fen dotknęła go niepewnie ustami. Kiedy Dino odpowiedział pocałunkiem, poczuła, jakby miała zasłabnąć z radości. Najpierw dotknął jej górnej wargi, potem dolnej, potem wsunął język między jej zęby. Jedną ręką nakrył pierś Fen, przesuwając powoli, czule palcami, zapowiadając rozkosz.

— Kochana Fen, powiedz mi, co cię nakręca.

— Ty — jęknęła. — Proszę, nie przestawaj.

Jednak kiedy pociągnął ją na łóżko i zaczął całować bardziej namiętnie, przesuwając dłońmi po jej ciele, Fen kątem oka zauważyła zdjęcie Billy’ego stojące przy łóżku. Pomyślała o Janey, potem o Mary-Jo Wilson, która zeszłej nocy leżała przy Dinie, poddając się, bez wątpienia w ekstazie, tym samym pieszczotom jego wprawnej ręki. Nie mogła tego znieść. Tym razem chce mężczyzny, który będzie w całości należał do niej i którym nie będzie musiała się dzielić.

Odsunęła się od niego gwałtownie.

— Hej, o co chodzi?

— O ciebie. Niezły skoczek z ciebie. Najpierw kręcisz się wokół mnie, potem po pierwszym telefonie lecisz do Londynu, a potem jedziesz do Wiednia z Mary-Jo. Ciekawe, kto przyjechał do Dina? No tak, racja, jasne, to Mary-Jo!

Dino na sekundę zacisnął dłoń na jej ramieniu. Potem rozejrzał się po pokoju — po plakatach ze Snoopym, porcelanowych figurkach koni, spojrzał na misia Lestera i worek na piżamę w kształcie wielbłąda, a na końcu na podniszczone zdjęcie Billy’ego Lloyda-Foxe’a w skórzanej ramce.

— Wciąż dzieciak z ciebie, wiesz? — powiedział gorzko. — Chyba dorosłaś tylko do tego, żeby przespać się z takim starym misiem jak Billy Lloyd-Foxe.

— Drań — syknęła Fen i niewiele myśląc, mocno uderzyła Dina w twarz. — Nie wspominaj o Billym.

Dino wzruszył ramionami.

— I jak dzieciak uciekasz się do walki fizycznej. Niestety, ja jestem dorosły. Pięć lat temu skończyłem dwadzieścia jeden lat, mam potrzeby normalnego faceta. Jeśli uważasz, że zachowam czystość, a ty będziesz zapalać kolejne świeczki przed ołtarzykiem na cześć Billy'ego, to bardzo się mylisz.

— To nie jest żaden ołtarzyk! — wrzasnęła Fen. — Jesteś taki sam jak Rupert i Jake! Żaden z was nie rozumie, co to znaczy miłość!

— Mogę ci tylko powiedzieć — odparł Dino — że pragnę cię bardziej niż jakiejkolwiek innej dziewczyny w życiu, ale jestem hedonistą, a nie średniowiecznym rycerzem, który zachowuje czystość dla niemożliwej do spełnienia miłości. Nie lubię też sypiać sam. Ogrzewanie w tym domu pozostawia wiele do życzenia. Jeśli więc nie zmienisz zdania, to poszukam rozrywki gdzie indziej.

I z tym ją zostawił. Po chwili Fen usłyszała trzask drzwi jego samochodu i zgrzyt żwiru pod kołami. Wybuchnęła płaczem i rzuciła się na łóżko.

46

KOLEJNE DNI BYŁY FATALNE. Fen i Dino prawie nie rozmawiali ze sobą. Fen wstawała przed świtem. Dino zmienił zwyczaje — wstawał po obiedzie, a wieczory spędzał, trenując konie w krytej ujeżdżalni. Wydawało się niemożliwe, że w tak małym domu udaje się im unikać spotkania. Dino zachowywał się uprzejmie, ale obojętnie. Już nie zamykał jej w boksach.

W piątek rano Fen, Dino, Louise i Sarah mieli wstać o wpół do czwartej, żeby godzinę później wyjechać na konkurs do Amsterdamu. W czwartek przed wyjazdem „Sunday Express” przysłał fotografa i reportera do Mill House, żeby przeprowadzić wywiad z Fen. Wieczorem dziewczyna miała jechać na kolację do hotelu Savoy, gdyż była jedną z nominowanych do nagrody Sportowiec Roku. Organizatorzy obiecali przysłać po nią samochód, który pod koniec wieczoru miał ją szybko odwieźć do Warwickshire, żeby trochę się przespała przed wyjazdem do Amsterdamu.

Reporter „Sunday Express” był podstarzałym lubieżnym czarusiem, który uznał Fen za uroczą i przypochlebiał się jej bezwstydnie w nadziei na soczyste niedyskrecje. Po obiedzie ugotowanym przez Tory fotograf zrobił zdjęcia Desdemony i Macaulaya w najbardziej korzystnych pozycjach, starając się ukryć ich nadwagę po sześciotygodniowym wypoczynku, potem zaś obfotografował podwórko, dom i kuchnię, w której Tory ustawił przy kuchence, a Fen zasadził przy kuchennym stole, żeby na tle rozetek udawała, że wypełnia formularze zgłoszeniowe.

— Zastanawiam się nad zatrudnieniem sekretarza, który odpisywałby na listy fanów — powiedziała Fen, która do obiadu wypiła trzy kieliszki wina.

— Nic dziwnego — odparł dziennikarz. — Wszystkie dziewczynki w Anglii chcą być podobne do ciebie.

— Mam tylko nadzieję, że nie zaczną się zachowywać tak jak ona — odezwał się głos.

Wszedł Dino, nieogolony, ziewający, z nabiegłymi krwią oczami. Nalał sobie dużą whisky.

— Czy to twoje śniadanie? — warknęła Fen.

— Nie, na śniadanie już jedną wypiłem — odparł Dino. — Dzień dobry — powiedział do reportera i powlókł się w kierunku stajni.

— To Dino Ferranti, prawda? — zapytał dziennikarz, dolewając Fen do kieliszka. — Przystojny mimo tego zarostu. Przypomina gwiazdę rocka. Twój najnowszy podbój?

— Skąd — odparła ostro Fen. — Pracuje z Jake’em. Szczerze mówiąc, nawet na bezludnej wyspie prędzej dałabym się poderwać gorylowi niż jemu!

— Strata czasu — odparł Dino, wracając do pokoju. — Goryle to w większości geje. Ktoś widział „Horse and Hound” z tego tygodnia?

— I nie podsłuchuj, do cholery — powiedziała Fen. — Chodźmy do salonu, tam będzie spokojniej.

Było już ciemno, kiedy pożegnała dziennikarza. Przed domem czekała ciężarówka załadowana benzyną, wodą i zapasami dla ludzi i koni. Powinna się pospieszyć. Samochód ma przyjechać o wpół do szóstej. W kuchni przy stole zastała Dina, Tory i Sarah, którzy sprawdzali spis rzeczy zabieranych do Amsterdamu. Fen spojrzała na tablicę z wiadomościami — dzwonili do niej ATV, „Woman’s Own” i Malise Gordon. Wzięła do ręki słuchawkę i nagle zauważyła czarną sierść pokrywającą jej bladoróżowy sweter z angory, suszący się na ręczniku nad kuchenką.

— Cholera jasna! — zawołała, rzucając słuchawkę na widełki.

Tory zaniepokojona uniosła wzrok.

— Co się stało?

— Mój różowy sweter. Muszę go jutro zabrać, a ty nawet nie potrafisz trzymać kotów z dala od niego!

Dino spojrzał na nią znad stosu papierów weterynaryjnych.

— Uspokój się — powiedział cicho. — Tory ugotowała obiad dla twojego wielbiciela z gazety, a tobie nawet nie wystarczyło dobrego wychowania, żeby jej podziękować. Wyprasowała wszystkie nasze rzeczy na jutro i odebrała pranie z pralni, a dodatkowo zapakowała nam jedzenia na miesiąc. Nie ma czasu, żeby bronić twojego bladoróżowego sweterka — zakończył z sarkazmem — przed kotami.

Fen straciła cierpliwość.

— Przez pięć miesięcy sama ciągnęłam ten cholerny interes, a teraz nikt mi nie pomoże! — wrzasnęła i wybiegła z kuchni. Dziesięć minut później wróciła z ociekającą po myciu głową. — Kto używał mojej suszarki?

— Ja — powiedziała Tory przepraszająco — suszyłam Darklis.

— Spaliłaś ją! Jak mam teraz wysuszyć głowę?

— Wsadź ją do piecyka — powiedział Dino — i najlepiej nie zapalaj gazu! Te twoje wygrane za bardzo ci do niej uderzyły! Wiemy, że jesteś najlepszą amazonką w Anglii, wzorem do naśladowania dla wszystkich pensjonarek, ale mamy tego dość. Doskonale wiesz, że nie odważyłabyś się tak traktować Tory, gdyby Jake tu był!

— Ale go nie ma! — odwrzasnęła Fen i wybiegła z kuchni.

— A niech to — powiedziała zmartwiona Tory, spoglądając przez okno na ostatnie pomarańczowe błyski słońca.

Fen była tak wściekła, że wyjechała do Londynu, nie żegnając się z nikim. Nałożyła czarną taftową sukienkę bez pleców do czarnych szpilek, czarnych pończoch i naszyjnika od Dina. Kupiła ją latem w Paryżu i nie

miała jeszcze okazji, by się w niej pokazać. Kiedy weszła na przyjęcie przed galą, na które stawili się wszyscy znani sportowcy, komentatorzy sportowi i tłum reporterów, kilka głów odwróciło się w jej kierunku. Dziewczyna podeszła do Dudleya Diplocka opartego o kominek, już podpitego, i pokazała plecy reszcie gości. Sukienka z tyłu miała dekolt sięgający niemal do pośladków. Kiedy pięć minut wcześniej Fen się odwróciła, wszyscy patrzyli na nią z otwartymi ustami. Był to jeden z tych wieczorów, kiedy jej wygląd naprawdę się liczył, może dlatego, że emanowała nieskrywaną obietnicą, albo dlatego, że bardzo chciała zapomnieć o Dinie i wszystkim, co zostawiła w domu.

— Co oznacza „F”? — zapytał słynny tenisista.

— „Frywolna” — odparła Fen słodko — pisane szmaragdami i perłami.

— Dobrze powiedziane! — stwierdził tenisista,

Rozległ się wybuch śmiechu.

Wkrótce zaroiło się wokół niej od dziennikarzy. Wciąż wypytywali ją o Billy’ego i Dina, ale ona odpowiadała, że poślubiła swoją karierę i nie ma zamiaru się rozwodzić. Sporo wypiła i z pewnym trudem przeszła krótki odcinek do jadalni. Stwierdziła, że posadzono ją między słynnym piłkarzem, który miał trwałą na jasnych włosach i sztuczną opaleniznę, o imieniu Garry, a olimpijczykiem, zawodnikiem w pchnięciu kulą. Jego brzuch wylewał się nad stołem. Kiedy Fen narzekała, że nie widzi księżniczki, podniósł ją nad głowę do wtóru głośnych wiwatów.

Ponieważ większość gości trenowała jakąś dyscyplinę sportową, na przystawkę podano szynkę parmeńską i melona, którego piłkarz Garry uznał za wyjątkowo dziwaczny owoc.

— Masz chłopaka? — zapytał Garry.

— Nie.

— Tak myślałem. Jazda konna to substytut seksu.

— Cóż za oryginalne stwierdzenie — odparła uprzejmie Fen, ugniatając kulki ze swojej niezjedzonej bułki i rzucając nimi w Dudleya.

— Logiczne. Zabawne, większość z nich przypomina konie, ale ty nie.

— Głupoty gadasz — uciszył go olimpijczyk.

— Pojedź ze mną do domu — zaproponował Garry. — Żona jest u matki. Zapewnię ci więcej zabawy niż koń.

— Tak myślisz? — odparła Fen.

Nagle oślepiły ją błyski fleszy, które rozbłysły wokół spóźnionego gościa — wysokiego, ciemnego mężczyzny o bardzo szerokich ramionach, w brudnej kurtce bomberce, granatowej koszuli bez krawata, w dżinsach i adidasach. Był wyjątkowo przystojny, miał opaloną, brutalną twarz o ciężkich powiekach, wydawał się w ogóle niezmieszany faktem, że jako jedyny z mężczyzn na sali nie ma na sobie smokingu. Samolot z Rzymu się spóźnił, nie miał czasu się przebrać.

Na jego widok szereg kelnerek, truchtających jak w komedii muzycznej, niemal upuścił wielkie owalne tace z wołowiną. Jedna ładna brunetka z emocji podała olimpijczykowi pięć plastrów wołowiny, nie odrywając zachwyconego wzroku od gościa. Inne natychmiast pobiegły do kuchni i po kilku sekundach nowo przybyły miał przed sobą sześć talerzy z szynką parmeńską i melonem oraz kilka bardzo dużych kieliszków rumu Bacardi, które ustawił w rzędzie, zaśmiewając się cały czas, pokazując piękne białe zęby, wśród których było kilka złotych. Na matowym tle czarno owłosionej klatki piersiowej wisiał złoty medalik ze świętym Krzysztofem.

— Kto to? — zapytał olimpijczyk.

— Enrico Mancini — odparła Fen. — Najszybszy kierowca na świecie.

— Nie lubię rajdowców — stwierdził z dezaprobatą Garry. — Mają się za Bóg wie kogo. Jazda po pętlach na tym samym torze nie wymaga chyba wielkich umiejętności.

„Wygląda na bardziej szorstkiego niż Rupert, ale obaj zachowują się tak, jakby świat do nich należał” — pomyślała Fen, przyglądając się, jak Enrico Mancini żartuje z dwójką komentatorów telewizyjnych.

Teraz rajdowiec błyskawicznie nabijał na widelec szynkę parmeńską, wzrokiem przeczesując salę w poszukiwaniu zapewne znajomych.

— Wspaniała ta wołowina — powiedziała Fen. — Nie wiem, jak oni ją przyrządzają w tak wielkich ilościach.

Upiła spory łyk czerwonego wina, zerknęła przez stół na Enrica Manciniego i stwierdziła, że ten się w nią wpatruje. Boże, spojrzeniem zdzierał z niej sukienkę. Dziewczyna szybko odwróciła wzrok, po czym po pięciu sekundach znów spojrzała. Wciąż się gapił, wpatrywał się w nią wyjątkowo intensywnie poprzez żółte chryzantemy w doniczce. Wołowina nagle przestała Fen smakować. Dziewczyna upiła kolejny łyk wina. Położyła łokieć na stole, ale ręka ześlizgnęła się jej jak posmarowana oliwą. Kiedy po chwili Fen znów zerknęła na Enrica, ten przesunął kwiaty i uśmiechał się do niej. Siedział rozparty leniwie na krześle. Potem posłał jej całusa. Fen zarumieniła się i uśmiechnęła.

— Jedz mięso, Fenello — powiedział piłkarz. — Bo nie doczołgasz się do Los Angeles.

— Nie, dziękuję, najadłam się już — odparła Fen, odkładając nóż i widelec na talerz.

— Szkoda marnować — uznał ciężarowiec i zaczął wybierać plastry mięsa.

Dudley Diplock podszedł niepewnym krokiem, żeby porozmawiać, i zaczął długą opowieść o pułkowniku Roxborough.

— Wspaniale — odezwała się Fen po pięciu minutach, kiedy wydało się jej, że należy coś odpowiedzieć.

— Powiedziałem, że miał udar — powiedział Dudley.

— Och, przepraszam, tak mi przykro, źle usłyszałam. Kto miał udar?

— Pułkownik Roxborough. Ale podobno wyjdzie z tego.

Fen widziała, jak Enrico Mancini pisze coś na odwrocie wizytówki leżącej przy jego miejscu.

— Chyba masz spore szanse na nagrodę w kategorii pań — powiedział Dudley.

— Dla rodziny to katastrofa — odrzekła Fen, myśląc, że wciąż rozmawiają o udarze pułkownika Roxborough.

— Nagroda, Fen! Jeśli ją dostaniesz, zaraz po wręczeniu pogadamy sobie przed kamerą. Powodzenia!

— Dzięki, Dudley — odparła Fen.

Kieliszek znów miała pełny. Ktoś przyniósł jej dużą brandy, a ładna ciemnowłosa kelnerka z nieco rozczarowaną miną podawała jej wizytówkę oznaczającą miejsce Enrica Manciniego. Na odwrocie Enrico napisał „Wyjdziesz potem ze mną?”.

Fen uniosła wzrok. Enrico wciąż wpatrywał się w nią ze znaczącym, badawczym, wyjątkowo pewnym siebie uśmiechem. Uniósł brwi. Fen pokręciła głową.

— Nie mogę — powiedziała bezgłośnie.

— Czarne czy białe? — zapytała kelnerka.

— Białe. Nie, przepraszam, czarne.

— Muszę do toalety — powiedział piłkarz.

Fen oderwała kilka winogron w cukrze, zawinęła w serwetkę i włożyła do torebki dla Darklis i Isy. Nagle poczuła ciepłą dłoń przesuwającą się po jej plecach i zmysłowo błądzącą po kręgosłupie.

— Słowo „nie mogę” nie istnieje — usłyszała schrypnięty południowy głos.

Obróciła się gwałtownie. Enrico usiadł na miejscu piłkarza. Miał oczy koloru czarnej melasy i niewiarygodnie zmysłowe usta w kształcie przypominającym oponę samochodową. „Ciekawe, czy po trzech okrążeniach, kiedy się zużyją, też je zmienia” — pomyślała Fen i zachichotała.

— Dlaczego się śmiejesz? — zapytał cicho. — Nie wydajesz się śmieszna.

— Ty też nie jesteś śmieszny — wymamrotała Fen. — Po prostu się denerwuję.

— I masz powody — odparł Enrico. — Nie uciekniesz mi. Od bardzo dawna cię pragnę.

— Od jakiejś godziny — podpowiedziała Fen, zerkając na zegarek.

— Nie, nie, widziałem cię w telewizji w maju, jechałaś na Desdemonie, pobiłaś mojego kolegę, Piera Fratinellego. Jego ojciec zajmuje się moim samochodem. Potem spadasz z Macaulaya i dosiadasz znów, chociaż masz wstrząs mózgu. Powiedziałem sobie, że muszę poznać tę dziewczynę. Jest nie tylko piękna, ale i dzielna. Bardziej pociąga mnie odwaga niż uroda. Ty i ja będziemy wspaniali w łóżku.

— Widziałeś mnie w Rzymie? — zdziwiła się Fen.

— Oczywiście. To jedyny powód, dla którego jestem tu dzisiaj. Dowiedziałem się, że też będziesz. Idziemy?

— Nie możemy — odparła Fen.

Brwi miał niebywale czarne, a włosy gęste, głos silny i rozkazujący. „Niebiosa, jak zdołam nie pójść z nim do łóżka?” — pomyślała Fen w panice.

— Dlaczego nie?

— To trochę nieładnie wyjść przed przemówieniami i nagrodami.

— Dam ci moją osobistą nagrodę — powiedział Enrico, wbijając wzrok w jej piersi. — Znacznie lepszą niż te tutaj.

— Poza tym o jedenastej muszę wracać do Warwickshire. O wpół do piątej wyjeżdżam do Amsterdamu.

Enrico spojrzał na duży elektroniczny zegarek i wcisnął jakiś guziczek.

— Ile to kilometrów?

— Prawie dwieście.

— W nocy zajmie mi to godzinę i dziesięć minut, nie więcej. Wyjedziemy z Londynu o trzeciej. Jeśli wyjdziemy teraz, będziemy mieli cztery godziny. Niedługo, ale wystarczy na pierwszy raz, który powinien być krótki, namiętny, wyjątkowy i zostawić pragnienie na kolejny raz.

Na szczęście rozległy się werble i ogłoszono, że wręczenie nagród rozpocznie się za dwie minuty. Fen, chwiejąc się, poszła do toalety. Była dość zaniedbana, cała zarośnięta. Ogarnięta nagłym podnieceniem wylała na siebie pół flakonu Diorissimo, po czym powędrowała do stolika, a tam Garry kłócił się zaciekle z Enrikiem o miejsce, które rajdowiec mu zajął. Fen opadła na swoje krzesło, światła przygasły. Garry, jeszcze bardziej wstawiony, został odsunięty na bok, narzekając głośno, uciszany zewsząd syknięciami. Enrico nalał Fen kolejny kieliszek wina.

— Co znaczy słowo „hedonista”? — zapytała Fen olimpijczyka.

— Nie mam pojęcia.

— Ja też nie, ale dzisiaj mam zamiar tym być.

Nie słyszała ani słowa z przemówień, gdyż w półmroku panującym w ich kącie czuła dłoń Enrica wędrującą po jej plecach, stanowczą, ciepłą, mocną, z rozstawionymi palcami i twardymi opuszkami kciuków. Teraz palce te sięgały do przodu sukienki.

— Nie wolno.

— Muszę — odparł, przechylając się obok, żeby zgasić cygaro.

— Auć! — pisnęła Fen, kiedy ugryzł ją w ramię.

Teraz jego dłoń wolno przesuwała się w dół i docierała do pośladków. Fen odskoczyła, kiedy rozbłysły światła. Księżniczka przy wtórze grzmiących oklasków wręczała nagrodę Sportowiec Roku dla mężczyzn innemu słynnemu piłkarzowi, który powiedział, że jest „absolutnie w siódmym niebie, naprawdę” i uniósł nagrodę jak puchar piłkarski.

Kiedy księżniczka wyczytywała nazwiska kobiet nominowanych do nagrody, Enrico zaczął całować Fen, a ona czuła na policzku jego zarost. Zalatywało od niego zwierzęcym zapachem niemytego ciała. Był jak ogier. Nieuważnie odpowiedziała mu pocałunkiem.

Teraz jego dłoń wsunęła się między jej nogi. Gdyby światła znów nie rozbłysły, Fen podejrzewała, że mógłby wziąć ją od razu, w tym ciemnym kącie.

Wiwaty się nasiliły. Ktoś poklepał ją w ramię.

— Wybrali cię — wyszeptał olimpijczyk.

— Odwal się — warknął Enrico.

Fen wywinęła mu się akurat w chwili, kiedy znalazł ją reflektor.

— Chodź tutaj — naglił Enrico.

Rozległy się oklaski.

— Doskonale, Fen! — wołał Dudley Diplock. — No chodź. Wygrałaś!

Zebrani pomagali jej przejść między stolikami. Fen gorączkowo poprawiała i obciągała sukienkę i ścierała rozmazany pod oczami makijaż.

— Płacze biedaczka — powiedziała jakaś otyła kobieta. — Ma dopiero osiemnaście lat, sława jej jeszcze nie zepsuła

Fen potknęła się na schodach. Dudley ją podtrzymał.

— Dzień dobry ponownie. Gratulacje — powiedziała ze śmiechem przedstawicielka rodziny królewskiej.

Fen ścisnęła nagrodę — model srebrnego pióra na srebrnej stronie. W końcu ogłuszające wiwaty ucichły. Fen sięgnęła po mikrofon, uśmiechając się niemądrze.

— Nie miałam pojęcia, naprawdę. Nie potrafię powiedzieć, jak mnie to zaskoczyło. Dziękuję bardzo dziennikarzom sportowym za tę wspaniałą nagrodę. To wszystko dzięki koniom. Mam dobre konie i doskonałego szwagra, Lake'a Jovella, nie, znaczy Luke'a Jovella — rozpaczliwie rozłożyła dłonie — przepraszam, to przez emocje i tę cudowną gościnność.

Widzowie śmiali się i klaskali.

Dudley chciał przeprowadzić z nią wywiad, ale ona myślała tylko o tym, żeby wskoczyć do łóżka z Enrikiem. Widziała go przy stole, jak niecierpliwie bębnił palcami po blacie. Nie należał do tych, których można przetrzymywać w nieskończoność.

Wychodząc, zagadnęła jednego z techników BBC.

— Czy może pan przekazać, że nie będę potrzebować samochodu, który miał mnie zawieźć do Warwickshire?

— Jasne, skarbie.

— Czy mam zadzwonić do domu? Będą mnie oczekiwać około pierwszej.

— Nie — odparł Enrico.

Mieszkanie miał całe w bieli, z puszystym dywanem grubym jak siano na łące, wielkimi białymi kanapami i ścianami pełnymi luster. Wszędzie wisiały jego zdjęcia z wygranych zawodów lub w towarzystwie prezydentów i królów.

— To małe mieszkanko — powiedział, przyciemniając światła. — W Rzymie mam naprawdę ładne.

W salonie zdjął z niej sukienkę, potem rajstopy i bieliznę. Następnie nakierował na nią lampy, tak że jej sylwetka odbiła się stukrotnie w lustrach

na ścianach, jakby brali udział w zbiorowej orgii. Fen żałowała, że twarz ma tak różową i ogorzałą jak jabłko w porównaniu ze szczupłym, białym ciałem. W pierwszym odruchu zakryła dłońmi piersi i włosy na łonie, ale była zbyt pijana, żeby jej to naprawdę przeszkadzało.

— Bardzo się zastałam — wymamrotała. — Czy możemy najpierw zrobić sobie długą rozgrzewkę?

Enrico potrząsnął butelką Moet Chandon, po czym otworzył ją i spryskał szampanem całe ciało Fen. Potem wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni, gdzie na wielkim owalnym łożu zaczął wylizywać bardzo powoli i dokładnie każdy centymetr jej ciała, aż w końcu Fen wiła się i piszczała z rozkoszy i pożądania. „Boże, ma fiuta jak salami” — myślała. Sporo bzdur opowiada się o tym, że rozmiary męskiego członka nie mają znaczenia w seksie. Jednak kiedy mężczyzna jest tak wyposażony jak Enrico, ma zręczne dłonie i nieodparty seksapil, a dziewczyna jest tak doskonale nasmarowana jak jeden z jego samochodów, rezultaty muszą być porywające. Dla Fen była to najwspanialsza godzina w życiu. „Jednonocna przygoda może być olśniewająca” — wymamrotała do siebie po wszystkim.

Błędnym wzrokiem spojrzała na zegarek przy łóżku, czerwony i mrugający jak jej oczy.

— Boże, za piętnaście trzecia! Muszę lecieć! — zawołała, zrywając się.

Enrico wyciągnął rękę.

— Zostań ze mną. Odpuść sobie Amsterdam.

— Nie mogę. Samochód jest już gotowy, bilety zarezerwowane. Muszę jechać.

Enrico przechylił się, pocałował ją i przesunął dłońmi po jej ciele.

— Jak mały uczniak, co? Następnym razem spróbujemy analnie.

— Nie jestem pewna — wymamrotała Fen, wyrywając mu się. — Przed czwartą muszę być w domu.

Autostrady były puste. Fen podniecał niemal jeszcze bardziej sposób, w jaki Enrico prowadził swoje ferrari i stłumiony, ale potężny warkot silnika. W ogóle nie odczuwało się szybkości, dopiero kiedy przy wyprzedzaniu innych nocnych kierowców dziewczyna rzuciła okiem na szybkościomierz, stwierdziła, że jadą sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Niemal się nie odzywali. Duża dłoń Enrica spoczywała między jej udami.

Zapytał, jak długo będzie w Amsterdamie i gdzie się zatrzyma. Kiedy wróci, on będzie w Nowym Jorku, ale wróci do Londynu na ostatni dzień zawodów w Olympii i przyjdzie popatrzeć, jak Fen jeździ. Umówili się, że ona zostawi dla niego bilet w kasie.

Dowiózł ją do domu pięć po czwartej. Byliby o czwartej, gdyby nie to, że pięć minut spędzili na moście, na włączonym silniku, a Enrico całował ją leniwie, językiem łaskocząc jej usta.

— Szczęśliwej podróży, skarbie — powiedział, wysadzając ją przy bramie głównej.

„Chwała Bogu, Jake jeszcze nie wrócił” — pomyślała Fen. Szła ścieżką po żwirze chrzęszczącym pod obcasami butów. Sowy pohukiwały, a Psia Gwiazda właśnie opadała do swojej budy za łąką Potta.

Na podwórku wrzała gorączkowo praca. Sarah i Louise zakładały opaski i pokrowce na ogony koni, zmieniały derki. Tory sprawdzała jeszcze po raz ostatni samochód.

Fen niezauważona zakradła się do kuchni i wpadła prosto na Dina, wciąż w tej samej koszuli w kratę, w dżinsach i swetrze, które miał na sobie przy jej wyjeździe. Najwyraźniej w ogóle się nie kładł, twarz miał pobladłą z gniewu.

— Gdzie ty byłaś, do diabła?

— Akurat nie poszłam do diabła, wręcz przeciwnie. — Fen uświadomiła sobie, że alkohol jeszcze z niej nie wywietrzał. — Właśnie odkrywałam znaczenie słowa „hedonizm” i zgadzam się, że to znacznie lepsze niż celibat.

Przez moment miała wrażenie, że Dino ją uderzy.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś, do cholery? Dzieci, Tory i stajenne oglądały rozdanie nagród, tak się wszyscy cieszyli, trzymali dla ciebie butelkę szampana na powitanie. Chociaż ty chyba i tak ostro popiłaś, sądząc z tego, jak upadłaś na schodach. A potem po prostu zniknęłaś, nawet nie pofatygowałaś się, żeby odwołać samochód.

— Odwołałam, powiedziałam jednemu facetowi z BBC.

— Zapewne był pijany jak ty. Nic nikomu nie przekazał. Nikt nie spał, nie wiedzieliśmy, czy ładować konie. Odchodziliśmy od zmysłów ze strachu.

„Enrico sprawił, że też odchodziłam od zmysłów” — pomyślała z rozmarzeniem Fen.

Zegar w korytarzu wybił czwartą piętnaście.

— Za piętnaście minut wyjeżdżamy — powiedział Dino.

— Nie martw się, zdążę.

W tej chwili weszła Tory.

— Fen, gdzie ty się podziewałaś?

— Coś mnie zatrzymało — odparła Fen, radośnie zmierzając w kierunku drzwi — bardzo pilnie. Przepraszam, że się o mnie martwiliście.

Łóżko jeszcze nigdy tak jej nie kusiło. Zdążyła ledwie odświeżyć się szybkim prysznicem i przebrać, kiedy usłyszała warkot samochodu. Cholera jasna! Zgarnęła wszystko z toaletki i umywalki do torby, rzuciła na wierzch Lestera i zbiegła na dół.

47

TO NIE BYŁA MIŁA PODRÓŻ. Na rogatkach Southampton Fen nagle dopadł gigantyczny kac, który wbił się w nią milionem młotków. Przeprawę na kontynent mieli ciężką. Fen cały czas spędziła, biegając między ładownią, gdzie uspokajała przerażonego Hardy’ego, dopóki mogła wytrzymać zapach spalin, a damską łazienką. Wskutek bliskiego kontaktu z zarostem Enrica jej twarz pokryły czerwone plamy upodabniające ją do salami.

Dino, Louise i Sarah, odrażająco obojętni, poszli na obiad i nawet nie kupili jej brandy na bolący żołądek. Kiedy ciężarówka, która po ferrari Enrica wydawała się niemiłosiernie wlec, przemierzała kolejne kilometry, Fen poddała się depresji, którą zwykle powoduje silne zmęczenie. To wszystko było snem. Nie powinna była dać się zaciągnąć do łóżka. Nigdy go już nie zobaczy.

O dwudziestej trzeciej byli w Amsterdamie, o północy konie stały już nakarmione w stajniach, a oni dotarli do hotelu. Louise spała w samochodzie, a Sarah, Fen i Dino w hotelu. Dino ostentacyjnie niósł walizki Sarah, ale nie Fen. Na ich spotkanie wyszedł kierownik i powitał ich bezbłędną angielszczyzną.

— Panno Maxwell, panie Ferranti, na pewno jesteście bardzo zmęczeni. Czy chcieliby państwo coś zjeść? Możemy przygotować kanapki.

— Na pewno chętnie się napiję — odparł Dino, przeciągając się po długiej drodze. — Za chwilę zejdziemy na dół.

Portier zabrał ich na górę. Najpierw dotarł do pokoju Fen i otworzył drzwi — dziewczynę prawie powalił niebiański zapach. Do pokoju niemal

nie dało się wejść, gdyż zastawiały go bukiety róż, gardenii i wielkie naręcza frezji i hiacyntów. Poczuła się tak, jakby z mroźnej nocy weszła do podgrzewanej oranżerii.

— Jak pięknie! — powiedziała zaskoczona.

— Boże! — zawołała Sarah — ktoś chyba ogołocił wszystkie kwiaciarnie w Beneluksie. Cała Interflora zebrała się w jednym pokoju. Kto je tu przysłał?

Fen podniosła małą kopertę leżącą na łóżku i wyjęła z niej kartkę. „Słodka Fen, byłaś wspaniała. Do poniedziałku umrę. Całuję mocno, E.”

— Pokaż! — Sarah wyrwała jej kartkę.

— Oddaj! — pisnęła Fen, próbując odebrać liścik i jednocześnie powstrzymać wypływający na usta rozanielony uśmiech.

— Kto to jest „E”, do licha? — dopytywała Sarah. — Książę Edward? Edgar Lustgarten? Ethelred Bezradny? Edward Fox, Enry Higgins, Eamonn Andrews? No już, powiedz, kto to! Kim jest „E”?

— Nie powiem ci — odparła Fen. — Nie zdradzę ci.

W drzwiach stanął Dino.

— Jeśli chcemy jeszcze zdążyć do restauracji... o Boże.

— Fen ma nowego chłopaka — zachichotała Sarah. — Jego imię zaczyna się na „E”.

— Jak ekstrawagancki, a na dodatek przesadny i wyjątkowo głupi — warknął Dino.

— Nieprawda! — odparła Fen, zakładając frezję za ucho i tańcząc po pokoju. — Jak „edonista”.

W czasie konkursu Fen skakała źle. Po prostu w ogóle nie myślała o koniach. Nie mogła jeść, nie mogła spać, gdyż w nocy wdychała ciężki aromat kwiatów, który przywodził jej na myśl wyrazisty, niepokojący obraz Enrica. Mężczyzna nie ma prawa być aż tak przystojny. Odkrył w niej

miejsca erogenne, o których istnieniu sama nie wiedziała. Zerkała na zegarek zaskoczona, że minęła dopiero minuta.

W sobotę wieczorem Enrico zadzwonił z Nowego Jorku. Kierownik przyniósł jej telefon do stolika, gdzie z Dinem i Louise próbowali świętować wygraną Dina w ważnym konkursie, jedząc wspólnie kolację, chociaż niezbyt udaną. Połączenie było bardzo słabe.

— Nie mogę się doczekać, kiedy znów będę cię trzymał w ramionach, *cara* — powiedział Enrico, po czym przeszedł do omawiania wszystkich niewyobrażalnych rzeczy, jakie chciał z nią robić, kiedy się znów spotkają.

Fen dziwiła się, że telefon nie poczerwieniał. Ona dla odmiany czerwieniała coraz bardziej, świadoma, że Dino z kamienną twarzą i bez słowa słucha tego, co mówi Enrico.

Po powrocie Jake porządnie zmył jej głowę. Chociaż dotarli do domu po północy, musiała wstać o świcie, po czym Jake kazał jej skakać na nowym i wyjątkowo trudnym koniu w krytej ujeżdżalni, bez wodzy, bez strzemion i z założonymi rękami. Fen spadła cztery razy i w końcu, siedząc na ziemi, zaczęła wrzeszczeć na Jake’a.

— Nie zrobisz z siebie idiotki w Olympii — warknął.

— Pewnie Tory i Dino mnie szpiegowali!

— Nie musieli. Ktoś z komitetu olimpijskiego był w Amsterdamie. Powiedział, że gdyby Chrystus wjechał do Jerozolimy na ośle tak, jak ty jeździłaś na Laurelu i Hardym przez ten tydzień, to zasłużyłby na ukrzyżowanie.

W tym roku Fen odpuściła sobie rozrywki świąteczne związane z końcem sezonu na konkursie w Olympii. Co wieczór odbywały się imprezy w przyczepach i na stoiskach targowych. Dino chodził na wszystkie, co wieczór z inną dziewczyną i celowo się upijał. Fen nie chodziła wcale, gdyż chciała pięknie wyglądać dla Enrica, co było trudne z powodu długich jazd,

braku powietrza i z niewyspania. Nawet kiedy wreszcie padała na łóżko, nie mogła zasnąć z powodu hałasu na zewnątrz.

Jak zwykle krążyły plotki. Rupert Campbell-Black kupił wspaniałego nowego konia z Ameryki o imieniu Rock Star, co go podobno kosztowało dwieście tysięcy dolarów. Z drugiej strony jego małżeństwo się chwiało. Helen udało się zrobić zakupy świąteczne i ani razu nie zajrzeć do Olympii. Dla odmiany Lloydowie-Foxe'owie byli przeszczęśliwi. Janey zaczęła pisanie książki o depresji poporodowej pod tytułem *Melancholia narodzin*. Noga Jake'a zdrowiała, lecz nikt nie wierzył, że uda mu się pojechać do Los Angeles. Fen wykazywała drastyczny spadek formy, tak jak Dino Ferranti. Obojczyk, mimo codziennych wizyt w „namiocie whisky", w każdym konkursie znajdował się na podium.

Dni mijały. Fen z przerażeniem zauważyła, że wskutek złej diety na jej twarzy znów pojawiają się pryszcze. Enrico, ponieważ nie wiedział, gdzie się zatrzymała, przesyłał jej kwiaty na adres Federacji Sportów Konnych. Później grupy rozchichotanych nastolatek przynosiły je do jej samochodu, który według Dina zaczął przypominać karawan.

Wreszcie nadszedł ostatni dzień zawodów. Wieczorem miał przyjechać Enrico.

— Jak myślisz? — zapytała Fen, balansując na łóżku w samochodzie tak, żeby widzieć dolną połowę swojego ciała w lustrze naprzeciwko. Przymierzała nowe białe bryczesy z lśniącego materiału, szyte na miarę.

— Odjazdowe — odparła Sarah, która czyściła uzdę Hardy'ego. — Najseksowniejsze, jakie w życiu widziałam. Masz w nich nogi do nieba. Ale musisz włożyć majtki.

— Nie, zepsują cały efekt.

— A jeśli ci pękną, to zepsują ci całą reputację.

Fen pochyliła się i naciągnęła spodnie do granic wytrzymałości, po czym wyjęła z pudełka żakiet do jazdy konnej i odpakowała go z bibuły.

— A jak wyglądają razem? — zapytała triumfalnie, kiedy się w niego wcisnęła. Żakiet był ciemnofioletowy, chociaż regulamin dopuszczał tylko czarne lub granatowe; podszyty różowym jedwabiem, przylegający do ciała, sięgał do kości biodrowych i doskonale pasował do białych bryczesów.

Sarah gwizdnęła.

— Nie ujdzie ci to na sucho, jest za krótki. Pułkownik Roxborough dostanie kolejnego udaru.

— Zaczekaj tylko — powiedziała Fen — na pewno zapoczątkuję nową modę. Za kilka miesięcy wszyscy będą je nosić.

— No, chyba że ma się tyłek jak Griselda — zauważyła Sarah.

— Ale to wygląda naprawdę seksownie!

— Jasne. Tylko że bardziej przypominasz chłopczycę z „Figaro” niż zawodniczkę. Federacji to się nie spodoba.

Według Fen ważne było tylko to, czy spodoba się Enricowi.

— Ale nadal uważam, że powinnaś włożyć majtki — upierała się Sarah. — Co jeszcze kupiłaś?

Lekko zażenowana swoją rozrzutnością Fen wyjęła jasnoniebieski kombinezon z mnóstwem zamków i dopasowane kolorem jasnoniebieskie skórzane kozaczki.

— Super — westchnęła z zazdrością Sarah. — Chyba poszły na to wszystkie twoje zeszłoroczne nagrody. O rany, muszę iść szykować Hardy’ego.

— A gdzie Dino? — zapytała Fen niedbale, nagle czując chęć potwierdzenia, że jej nowy strój do jazdy nie jest niestosowny.

— Gra w pokera z Ludwigiem, Rupertem i Billym. Chyba w ogóle nie kładł się spać.

Fen niepotrzebnie się martwiła. Jej strój wywołał sensację, trzask migawek fotoreporterów i gwizdy wszystkich pozostałych zawodników, oprócz Dina i Griseldy, którzy oboje zrobili miny pełne głębokiej dezaprobaty.

— Grasz ołowianego żołnierzyka w teatrzyku dla dzieci? — zapytał jedynie Dino.

Akurat kiedy Fen obchodziła tor przed ostatnim konkursem, już zrozpaczona, że Enrico się nie pojawi, on wszedł i wywołał jeszcze większą sensację. W czerwonej koszuli, czarnym płaszczu z wielkim karakułowym kołnierzem i centymetrowym zarostem przyszedł w towarzystwie dziewczyny i innego mężczyzny. Dziewczyna, mocno opalona, o włosach z pasemkami spiętych w kok, miała w uszach złote kółka, a na sobie długie, miękkie futro, przez które natychmiast trafiłaby na czarną listę ruchu obrońców praw zwierząt. Mężczyzna, także blondyn, miał ciemne okulary i jasnoniebieski kombinezon identyczny jak ten, który kupiła Fen, a w ręce jasnoniebieską torebkę.

„Cholera — pomyślała Fen — czyli nie mogę włożyć dzisiaj mojego kombinezonu, bo będziemy wyglądać jak bliźniaczki”. Enrico, który odebrał w kasie bilety zostawione przez Fen, mościł się z wielkim hałasem. Młodziutkie uczennice ze szkółek jeździeckich, a także ich rodzice w markowych ubraniach, już po kilku głębszych, spoglądali na niego zdziwieni.

— Patrz, Enrico Mancini — odezwał się Rupert. — A co to za dzierlatka przy nim?

— Anna-Fabiola Caraccio — wyjaśnił Dino. — Koleżanka Mary-Jo, a ten facet z nimi to pedzio, Ralphie Walcott, projektant.

„E jak Enrico” — pomyślał Dino. To by wyjaśniało ten głęboki warkot silnika na moście. Widział, jak Fen pokraśniała, przelotnie pomachała ręką do Enrica i dała znak, że dołączy do niego po pierwszej rundzie. „Cholera, cholera, cholera, cholera” — Dino pogrążał się w coraz głębszym przygnębieniu.

Fen wyjątkowo cieszyła się, że wylosowała pierwszy numer. Chociaż niemal nie pamiętała toru, bo obchodziła go nieuważnie, udało się jej przekazać swoje uniesienie już zmęczonemu koniowi, który przejechał, nie dotykając żadnej przeszkody. Rozległy się głośne oklaski widzów. Nie zadając sobie trudu, by pogłaskać konia, Fen rzuciła wodze Sarah i pobiegła. Obserwujący ją z trybuny dla zawodników Dino zobaczył, jak biegnie po schodach. Jej krótkie jasne włosy lśniły, a na widok błyszczących białych bryczesów odwracały się wszystkie głowy. Zobaczył, jak Enrico wstaje, całuje ją w ręce i usta, a potem, ponieważ siedzący z tyłu narzekali, że nie widzą przejazdu Driffielda, siada i sadza sobie Fen na kolana.

— Już myślałam, że nie przyjedziesz — powiedziała Fen.

— *Carissima* — zamruczał Enrico jak jeden z jego samochodów — to przez ten ruch. Głupi ludzie zatrzymują się na światłach. Potem staliśmy w kolejce do wejścia. Ralphie musiał oddać torebkę do przeszukania. Dużo nam umknęło? To był piękny przejazd, a ty wyglądasz niesamowicie seksownie w tych spodniach. — przesunął dłonią po wewnętrznej stronie jej uda i zatrzymał ją w jej kroku.

Widząc niezadowolone spojrzenia otoczenia, zwłaszcza z loży królewskiej, Fen zsunęła się z jego kolan.

— Idziemy na imprezę — powiedział Enrico. — Nie przebieraj się, przyjdź tak jak teraz. Możesz już iść?

— Nie — odparła Fen niezadowolona, że musi zostać — mam jeszcze jeden przejazd, a może się okazać, że przejdę do finału.

— Odpuść sobie — powiedział Enrico, znów kładąc dłoń w jej pachwinie.

— Nie mogę — odparła Fen, przypominając sobie, ile wydała rano. — Za wysoka stawka.

— Nie bądź głupi, Enrico — wtrąciła piękna dziewczyna. — Trochę samokontroli. Ty też byś nie odpuścił w środku Grand Prix.

— To te spodnie tak mnie nakręcają — powiedział Enrico.

Na start właśnie wjechał Obojczyk, ale nikt z siedzących wokół Fen i Enrica nie zwrócił na niego uwagi. Czerwona z zażenowania Fen przeszła na miejsca dla zawodników.

— Wrrrrum, brrrum — zakpił Rupert. — Wysoko mierzysz. Enrico ma gorszą reputację nawet ode mnie. Uważaj, żeby nie zostawił ci śladów na dłużej.

Dino najpierw z niezwykłą u niego agresją pogonił swojego konia na start, potem zaś przejechał beznadziejną rundę i złapał tyle punktów karnych, że nie przeszedł dalej. Tylko szesnastu jeźdźców zakwalifikowało się do drugiej rundy. Pierwsza pojechała Fen i przejechała czysto. Od razu poszła do Enrica. Z przerażeniem stwierdziła, że znów robi zamieszanie i denerwuje wszystkich, gdyż zaczął wychodzić w środku przejazdu Billy’ego.

— Skończyłaś, nie? — zapytał.

— Okropnie cię przepraszam, ale jeszcze nie. Powinnam skończyć za jakieś trzy kwadranse, ale muszę jeszcze skakać w finale i potem się przebrać.

— Nie przebieraj się. Chcę cię taką jak teraz — powiedział Enrico, zatrzymując się i całując ją.

— Na miłość boską, rusz się, Rico — warknął Ralphie uwięziony w środku rzędu i poganiany zewsząd, żeby usiadł.

— Idźcie na imprezę — powiedziała Fen — a ja do was dołączę.

— Tak lepiej — stwierdził Enrico. — Daj jej adres, Ralphie.

— Na pewno nie będzie elegancko i mogę przyjechać w tym ubraniu? — upewniła się Fen.

— *Si* — odparł Enrico, znów sięgając ręką do jej krocza. — Chodź i przyjdź i dojdź tak jak teraz.

Fen z zamętem w głowie wróciła na miejsca dla zawodników. Skończyła się druga runda. pracownicy techniczni wybiegli ze szczotkami, żeby wygładzić piasek. Orkiestra grała kolędy.

— *Przybądźcie, wszyscy wierni*... — podśpiewywał Rupert.

— Gdzie Dino? — zapytała Fen. Rozglądając się po torze finałowym, nagle poczuła się zdenerwowana i niepewna. potrzebowała jego porady.

— Gdzieś zniknął — odparła Sarah. — Chyba bardzo się zdenerwował swoim przejazdem.

Fen pokłusowała na Hardym po padoku, próbując go ożywić. Czuła się tak, jakby dosiadała kłody. Tym razem koń nawet nie próbował wyswobodzić głowy. Kiedy wywołano jej numer, zobaczyła Dina wchodzącego na trybunę dla zawodników. Miał na sobie garnitur, włosy mokre po prysznicu. Musiał się faktycznie zezłościć, skoro nawet nie podszedł życzyć jej powodzenia. Nagroda wynosiła dziesięć tysięcy.

Jechała pierwsza, więc mogła jedynie przejechać czysto i tak szybko, żeby pozostali popełnili błędy. Hardy bez wątpienia był wyczerpany, po raz pierwszy Fen musiała go mocno poganiać. Pierwsze cztery przeszkody pokonała bez większego wysiłku, potem za ostro przytrzymała go przed triplebarem. Nie mogąc przeskoczyć i nie chcąc wpaść na przeszkodę, koń skręcił. Fen szarpnęła go do tyłu, najechała prosto na przeszkodę i skoczyła

z odległości prawie trzech metrów — ledwo przeskoczyła. Została im tylko kombinacja, ale Hardy już się posypał. Przy pierwszej części wyskoczył za wcześnie, więc Fen musiała się rzucić do przodu, z wielkim wysiłkiem próbując uwolnić go od swojego ciężaru i nie targać za pysk. Niestety, okazało się to za ciężką próbą dla jej nowych bryczesów. Już unosząc się w powietrzu, uświadomiła sobie przerażający trzask — materiał rozdarł się jej na pośladkach. Nie mogła nic na to poradzić, jechała zbyt szybko. Musiała przeskoczyć pozostałe dwie części, za każdym razem rozdzierając bryczesy bardziej, aż w końcu odsłonił się cały jej tył — a żakiet był za krótki, by go zakryć.

Kiedy przejeżdżała przez linię finiszu, cała trybuna zawodników wstała, wiwatując. Na widowni zapanował chaos — część podpitych widzów wrzeszczała i śmiała się, część jęczała z zażenowania i współczucia. Fotografowie nie mieli skrupułów — pobiegli do przodu i rozemocjonowani trzaskali zdjęcie za zdjęciem.

Gorączkowym szarpnięciem zatrzymując Hardy’ego przed kaskadą różowych chryzantem, Fen sięgnęła dłońmi za siebie, by ocenić wielkość szkody. Natrafiła na spory kawał odsłoniętego ciała, zakryła rękami oczy i dała się unieść koniowi, który ruszył stępa przez arenę.

Technik toru podbiegł do niej z płaszczem, lecz Dino był szybszy. Przeskoczył nad żywopłotem z czerwonych poinsencji przed trybuną dla zawodników, ruszył przez piasek, złapał nieco oszołomionego Hardy’ego, zerwał z siebie szarą marynarkę, narzucił na szlochającą Fen i sprowadził ją z areny.

Reporterzy biegli za nimi ze wszystkich stron.

— Świetny widok — ocenił Rupert, który miał skakać następny, a w tej chwili śmiał się do łez. — Teraz wiem, dlaczego to się nazywa kombinacja.

— Odwal się — warknął Dino.

Ściągnął Fen z siodła, zostawił konia Sarah, a sam poprowadził dziewczynę przez tłum. Fen nawet nie wiedziała, kiedy znaleźli się z powrotem w samochodzie.

— Ty cholerna idiotko! — wrzasnął Dino, zamykając za sobą drzwi — dlaczego nie założyłaś majtek?

Fen patrzyła na niego osłupiała, z oczami pełnymi łez, niezdolna wykrztusić z siebie słowa. Dino sam sobie udzielił odpowiedzi.

— Bo chciałaś pouwodzić tego swojego nowego chłoptasia, tak? To ci od razu powiem, że to nie jest facet dla ciebie.

— Skąd wiesz?

— Posuwał kiedyś moją byłą. Mówiąc otwarcie, zostawił jej wszy łonowe, więc jak widzisz, południowy kochanek naprawdę może okazać się parszywy.

— To nie jest śmieszne!

— Dziwię się, że umówił się z tobą na drugą randkę — mówił z furią Dino. — Jego motto brzmi: przelecieć i zapomnieć. To cholerny mafioso. Naprawdę uważasz, że w ten sposób zapomnisz o Billym? Nie mógł nawet zaczekać, aż skończysz konkurs?

— Musiał iść na imprezę.

— No pewnie. A zanim ty tam dotrzesz, pewnie już poderwie jakąś kolejną idiotkę.

— Jesteś po prostu zazdrosny! — wrzasnęła Fen — bo on jest przystojny!

Dino zaczerpnął powietrza, próbując się uspokoić.

— Mówię tylko, że facet jest zły, szalony, głupi, okrutny i pozbawiony wrażliwości. Ale jeśli koniecznie chcesz się sama o tym przekonać, nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy cię rzuci. Teraz idź się przebrać. Jesteś pewnie piąta, musisz odebrać pieniądze.

— Nie wracam na arenę!

— Nie bądź mięczakiem. Wracaj, śmiej się z tego, a ludzie będą ci jedli z ręki. Odsłoniłaś tyłek, więc musisz umieć się z tego śmiać. A potem jedziemy do domu.

— Nie jadę do domu! — zawołała Fen. — Jadę na imprezę do Enrica. A jutro rano mam nagranie w BBC. Sama trafię do domu.

Rozległo się stukanie do drzwi. To była Louise.

— Fen, Sarah mówi, że czekają na ciebie!

— Nie idę! A ty wyjdź — dodała do Dina. — Chcę się przebrać.

— Musisz się zmienić — odparł Dino brutalnie — w przyzwoitą dziewczynę. Kiedy cię poznałem, byłaś naprawdę słodkim dzieciakiem. Zastanawiam się, gdzie on się podział.

— Wynoś się! — wrzasnęła Fen. — Wynoś się z mojego życia!

Kiedy tylko Dino wyszedł, wybuchnęła płaczem. Co za potwór, jak on mógł jej to wszystko powiedzieć? Nie mogła się doczekać, kiedy Enrico pocieszy ją swoim podziwem, a w łóżku pomoże zapomnieć o smutku i upokorzeniu. Ale co ma na siebie włożyć? Bryczesy nadawały się do wyrzucenia. Nie może się ubrać tak samo jak Ralphie. Miała tylko czarne dżinsy i białą koszulę, ale nie czuła się na siłach nosić bieli. Przerzuciła ubrania Sarah w szufladzie i znalazła czarny T-shirt. To musi wystarczyć. Będzie wyglądać blado, interesująco i skromnie. Poprzednim razem podobała się Enricowi w czerni.

Wiedziała, że powinna wrócić na arenę, powinna też zadzwonić do Jake’a, powinna sprawdzić, czy Hardy dobrze się czuje, jednak myślała tylko o tym, żeby dotrzeć na imprezę, zanim Enrico pomknie dalej. Nie wierzyła w słowa Dina, uznała, że to zwykła zazdrość. A jednak zasiały one w jej duszy wątpliwości.

Uporczywe stukanie w drzwi rozpraszało ją. Imprezowy makijaż tylko podkreślił zmęczone oczy, nie zakrył też krostek, których liczba wzrosła już do trzech. Przerażona myślą, że wskutek niejedzenia ma nieświeży oddech, szczotkowała zęby tak mocno, że poczuła krew w ustach.

Po wyjściu z samochodu wpadła prosto w rój dziennikarzy, którzy zarzucili ją pytaniami o Dina, Enrica i jej spodnie. Bez Dina nie potrafiła się ich pozbyć. Była zmuszona wybiec z hali i wmieszać się w tłum widzów wracających do domu, którzy gapili się na nią i wytykali ją palcami. W mieście trwały imprezy świąteczne, więc nie mogła znaleźć taksówki. Nie znała za dobrze Londynu. Ruszyła w kierunku Eaton Square, gdyż taki adres podał jej Ralphie. Było przeraźliwie zimno. Po półgodzinie, przemarznięta do szpiku kości, w butach na obcasach, Fen dotarła do Knightsbridge i wreszcie znalazła taksówkę.

Ledwie zdążyła przypudrować zaczerwieniony nos i trzy krostki, kiedy taksówka przystanęła. Serce jej zamarło, gdyż drzwi otworzyła jej zupełnie pijana dziewczyna o jaskraworóżowych włosach dopasowanych kolorem do spodni. Wyszywana cekinami kamizelka ledwie zakrywała jej sutki.

— Cześć — powiedziała tępo.

— Czy jest Enrico?

Dziewczyna roześmiała się głupkowato.

— Gdzieś tam jest. Wejdź.

Poprawiwszy sobie makijaż, na ile zdołała, Fen weszła do dużego, słabo oświetlonego pokoju, w którym ludzie o zamglonych spojrzeniach prowadzili bezsensowne rozmowy. Wszyscy byli wystrojeni i efektowni. Fen rozpoznała nawet kilka znanych aktorek. Dwie kobiety obściskiwały się w kącie, mężczyzna w spódniczce baletnicy i tweedowym płaszczu spał na sofie. Nie było śladu po Enricu.

Znalazła go w drugim pokoju, w kącie, z Fabiolą na kolanach, jedną rękę trzymał pod jej spódnicą, drugą przesuwał w górę jej uda. Rozmawiał z dwiema innymi dziewczynami. Fen podeszła do niego z bijącym sercem.

— Cześć, Enrico.

— Fenella. — zrzucił z kolan Annę-Fabiolę i podszedł do niej.

Przez minutę trwała w ciepłym, pewnym uścisku, kiedy przycisnął ją do piersi. Czuła jednak odór potu, a w jego oddechu, kiedy ją pocałował — whisky i czosnek.

Enrico puścił Fen i zaprowadził ją do Anny-Fabioli, która uśmiechała się, jakby była nieobecna. Dwie dziewczyny rywalizujące o względy Enrica spojrzały lekceważąco na Fen, która poczuła, że musi się napić.

— Co się stało z twoimi bryczesami? — zapytał Enrico. — Chciałem, żebyś w nich przyszła.

— Rozdarły się przy skoku — odparła Fen przygnębiona. — Przed dziesięciotysięczną widownią. To było straszne.

Lecz Enrico nie był zainteresowany. Rozmawiał z Ralphiem, który właśnie podszedł. Kombinezon miał rozpięty niemal do kroku, odsłaniając różową, gładką klatkę piersiową. W końcu Fen sama musiała znaleźć sobie coś do picia. Kiedy wróciła, Enrico odpiął wszystkie guziki koszuli Anny-Fabioli i bawił się jej piersiami.

— Jest śliczna, prawda? — zwrócił się do Fen. — Masz ochotę też się z nią zabawić?

Fen zachłysnęła się szlochem i odwróciła. Nagle pożałowała, że nie jedzie z Dinem i Sarah do domu, do oazy realności i rozsądku. Była wyczerpana, trzeźwa, rozpaczliwie potrzebowała pociechy, zdawała sobie sprawę, że wygląda okropnie i nie jest w stanie konkurować z dziewczynami kręcącymi się wokół Enrica. Zdziwiła się, kiedy ten poszedł

za nią, zabrał ją na górę, otworzył drzwi kilku pokoi i w końcu znalazł pustą sypialnię. W drzwiach nie było zamka.

— Nie możemy! — zaprotestowała oburzona Fen. — Ktoś może wejść.

— Miejmy nadzieję, że wejdzie — odparł Enrico. — Jesteś bardzo seksowna, *cara*. Trzeba się tobą podzielić.

Po chwili leżał już rozebrany. Klatkę piersiową pokrywały mu zmatowiałe włosy jak u małpy, a penis podniósł się jak groteskowy włoski młynek do pieprzu. Kiedy Fen uklękła nad nim, w nozdrza uderzył ją zapach niemytego ciała. Nagle przypomniała sobie ostrzeżenie Dina o wszach. Kiedy Enrico chwycił ją za rękę, o mało nie zwymiotowała.

— No chodź, uczniaku, tym razem ty mnie popieść.

Ręką przesuwał między jej pośladkami. Wszystko było obrzydliwe, całe uniesienie poprzedniego razu znikło. Najchętniej by uciekła, ale nie miała dokąd pójść, a do Warwickshire nie jeździły już pociągi. Zresztą i tak musi zostać, bo rano ma nagranie programu. Ktoś walnął w drzwi. Fen szybko owinęła się prześcieradłem. Byli to Ralphie i Anna-Fabiola.

— Chodźcie do nas — powiedział Enrico, wyciągając ramiona.

Fen zeskoczyła z łóżka, chwyciła ubranie i przemknęła obok nich. Resztę nocy spędziła na małej kanapie w pokoju służącej, który miał przynajmniej zamek w drzwiach. Myślała tylko o tym, by wrócić do Mill House i opowiedzieć Dinowi, jaką zrobiła z siebie idiotkę.

Z trudem wzięła się w garść i przed dziesiątą była w studiu BBC. Miała wziąć udział w programie dla dzieci, nie mogła ich zawieść. Wyszedł do niej bardzo zażenowany producent, który wyjaśnił, że do Londynu przyjechał doktor Seuss, więc musieli przerobić program i, niestety, nie będą jej dzisiaj potrzebować. Oczywiście telewizja zwróci jej wszystkie wydatki i wypłaci wynagrodzenie, na pewno pozostaną w kontakcie. Fen doskonale zdawała sobie sprawę, że mężczyzna kłamie, widział zdjęcia jej

podartych bryczesów we wszystkich porannych gazetach, więc bał się, że Fen może zdemoralizować młodzież.

Całą drogę do domu Fen siedziała w kącie przedziału pociągu, umierając ze wstydu, skulona, w ciemnych okularach, z podniesionym kołnierzem płaszcza, przyglądając się biznesmenom przeglądających gazety i zaśmiewających się ze zdjęć. Nagłówki były przewidywalne: „Do góry dnem” — to był „The Sun”, „Śmiała Fen” — głosił tytuł w „Mirror”.

Tory wyszła po nią na dworzec w Warwick, miała mocno zaczerwienione oczy. Fen przypuszczała, że to z powodu jej okropnego zachowania.

— Bardzo przepraszam, że nie zadzwoniłam — wyjąkała. — Ale strasznie się przejęłam tymi bryczesami. Kiedy wróciła reszta?

— Około trzeciej nad ranem — odpowiedziała Tory, zapalając silnik land-rovera.

Siedzący z tyłu Wilk podczołgał się do Fen, machając ogonem, i przytknął szorstki pysk do jej policzka. Ma przynajmniej jednego przyjaciela. Przez pierwsze kilometry nie odzywały się. Dzień był szary i ponury, jedynymi plamami koloru były ostatnie czerwone liście buków i jasne źdźbła trawy rosnące wzdłuż drogi.

— Czy Dino bardzo się wściekał? — wyjąkała w końcu Fen.

Zapadła cisza.

— Wyjechał — powiedziała w końcu Tory.

— Wyjechał? — zapytała Fen. — Dokąd? — nagle poczuła się tak, jakby wyskoczyła z samolotu i stwierdziła, że jej spadochron się nie otworzył.

— Do Stanów.

— Nie — wyszeptała Fen.

— Wyjechał po południu, załadował konie i swoje rzeczy.

— Ale dlaczego? — zapytała zrozpaczona Fen.

— Nie powiedział — odparła Tory i wybuchnęła płaczem.

— Czy... czy zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

— Tylko tyle, że pewnie zobaczycie się w Los Angeles.

— Nic więcej?

— Podarował mi zmywarkę — zaszlochała Tory. — Przywieźli ją pół godziny po jego wyjeździe.

48

NIECO WCZEŚNIEJ, W LISTOPADZIE, Helen Campbell-Black siedziała w poczekalni Jamesa Bensona, przeglądając w „Country Life” ogłoszenia o domach na sprzedaż i zastanawiając się leniwie, ile warte jest Penscombe. Zerknąwszy na swój złoty zegarek, uznała, że przed wizytą nie ma już czasu na kolejne szybkie podmycie w łazience. Wydawało się to absurdalne, że po urodzeniu dwójki dzieci nadal tak bardzo żenowały ją sprawy związane z dolną częścią ciała. Poprawiła się lekko na skórzanej sofie. Podrażnienie było naprawdę dokuczliwe, a jej zamartwianie się nim bynajmniej nie ułatwiało sprawy. Za oknem poczekalni stadko szpaków, wygłodzonych po tygodniu silnych mrozów, przepychało się wokół karmnika. Do przodu wyskoczył drozd, czujnie złapał okruch, który spadł na sztywną, pobieloną szronem trawę i zabrał go do bezpiecznego schronienia na pobliskim jesionie. Helen podziwiała jego kolorową pierś i błyszczące oczka. Jakie to dziwne, że w języku angielskim ten ptak i jej dolegliwość mają tę samą nazwę [1].

„Co za piękna kobieta” — pomyślała pielęgniarka, wprowadzając Helen do gabinetu. Gdyby doktor Benson miał zapomnieć o przysiędze Hipokratesa dla pacjentki, to tylko dla niej. Zawsze kazał umawiać Helen jako ostatnią przed przerwą obiadową, żeby mieć dla niej więcej czasu. I chociaż podobno był znajomym jej męża, nigdy nie mówił o nim inaczej niż „ten gnój Campbell-Black”.

Tym razem badanie nie zmieniło w żaden sposób opinii doktora Bensona.

— Obawiam się, że to nie jest drożdżyca — powiedział. — To tryper.

— Co takiego?

— Tryper. Rzeżączka.

Przez sekundę miał wrażenie, że Helen zemdleje.

— Co takiego? — zachłysnęła się.

— Rzeżączka — powtórzył łagodnie.

— Ale to niemożliwe, nie spałabym z nikim oprócz... — przerwała.

— Na pewno nie, ale niezależnie od tego, co pani słyszała, naprawdę nie zaraża się nią przez siadanie na ubikacji.

— Czyli jedynie... — zaczęła.

— Kiedy ostatnio współżyła pani z Rupertem?

Helen spróbowała się opanować i poszukać w pamięci.

— Jakieś dwa tygodnie temu.

— Pewnie wtedy się pani zaraziła, chociaż przez długi czas choroba może nie dawać objawów. Proszę się nie martwić, to się łatwo leczy.

Helen zaczęła płakać. Benson podszedł do kredensu i nalał szklankę ginu z tonikiem, dodając nawet lód i cytrynę. Dopiero po kilku minutach Helen wzięła się w garść na tyle, by to wypić, jakby bała się zarazić szklankę. Doktor Benson chętnie wziąłby ją w ramiona i pocieszył, ale wciąż słyszał stukot maszyny do pisania za drzwiami, a z czwórką dzieci w szkołach prywatnych nie mógł sobie pozwolić na zrujnowanie świetnej kariery.

— Nie wierzę — powiedziała Helen zdławionym głosem. — Czuję się zbrukana. Gdzie Rupert mógł...

— ...to złapać? — Benson wzruszył ramionami. — Jakaś przelotna przygoda na wyjeździe zagranicznym. — po czym na widok jej twarzy dodał: — Wie pani, z dala od domu, tęskni za żoną, musi uczcić zwycięstwo. Dla niego to nic nie znaczy. Powinien do mnie przyjść od razu po powrocie. Będzie też musiał przez jakiś czas powstrzymać się od seksu.

— Nie wierzę — powtórzyła Helen ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, drżąc spazmatycznie.

Benson był zaskoczony. Takie reakcje spotykał tylko u ludzi, których zawiadamiał o śmiertelnej chorobie ich dzieci albo których musiał powiadomić, że mają raka.

— Dostanie pani serię zastrzyków z penicyliny. Nie ma się czym martwić. — odwrócił się do swojego biurka. — Przepiszę też pani leki uspokajające i nasenne, żeby przetrwała pani kilka najbliższych dni. Proszę się nie przejmować, to się może zdarzyć każdemu.

— Czuję się zbrukana — wyszeptała Helen. — Jak Rupert mógł mi to zrobić?

— Prawdopodobnie nie wiedział. No już, umówimy się na zastrzyki, a potem zabiorę panią na lunch.

— Nie. — Helen poderwała się i odsunęła od niego bojaźliwie. — Nie mogę narzucać nikomu swojego towarzystwa, skoro o tym wiem.

Na konfrontację z Rupertem Helen musiała poczekać do późnego wieczora następnego dnia, jednak wszyscy w domu wyczuwali, że coś się święci. Stajenne, pani Bodkin, niania Charlene wiedziały, że Helen pojechała do przystojnego doktora Bensona i wróciła z pobielałą twarzą, po czym zamknęła się w swojej sypialni i wybuchnęła histerycznym płaczem.

— Nie tknęła obiadu ani kolacji — powiedziała Charlene. — Nawet nie przyszła powiedzieć dzieciom dobranoc.

— Może czeka ją wycięcie macicy, bo ma raka — rzuciła podekscytowana pani Bodkin.

— A może kolejne dziecko — dodała Dizzy — co oznacza, że jeszcze dziewięć miesięcy musi spędzić z tym bucem, nie może go zostawić.

— Jeśli tak, to ja się zwalniam. Nie będę się zajmować trójką dzieci — oświadczyła Charlene. — Co myślicie o pracy w PR?

Rupert wrócił z Hamburga około dwudziestej pierwszej. Zdał sobie sprawę, że coś się stało, kiedy Helen nie zeszła się przywitać, chociaż

dawno minęły już dni, kiedy na jego widok zbiegała i rzucała mu się w ramiona.

— To wszystko brudne do prania — powiedział do Charlene siedzącej przy stole w kuchni, najlepszym miejscu do podsłuchiwania ewentualnej awantury.

Niania czytała „Daily Mail” i jadła jogurt.

— Zobacz, co przywiozłem Tab — powiedział Rupert, dumnie pokazując piękną niemiecką lalkę w stroju ludowym. — Instrukcja twierdzi, że ona umie wszystko, może tylko nie krzyczy w trakcie orgazmu.

— Wspaniała — odparła Charlene. — A co przywiozłeś Marcusowi?

— Słodycze — odparł Rupert bez emocji. — Chyba zostawiłem je w samochodzie. Lepiej dam mu je rano.

— Drań — powiedziała do siebie Charlene.

— Gdzie Helen?

— U siebie.

— Dobrze się czuje?

— Nie ma szampańskiego nastroju.

— Wiesz, o co chodzi?

— Cały tydzień chodziła podenerwowana. Wczoraj pojechała do doktora Bensona i wróciła w okropnym stanie.

— O rany — Rupert nalał sobie dużą whisky — pójdę do niej.

Jego spojrzenie padło na przepis, który Helen przypięła do tablicy. Wypisana jej charakterem pisma nazwa dania brzmiała: „Jak zrobić krewetki i kiwi w sosie majonezowym z likierem pernod”. Wyjął długopis i napisał pod spodem: „Proszę, nie rób tego”.

Charlene zachichotała, więc Rupert zaczął opowiadać jej o sukcesach swojego nowego konia, Rock Stara.

— To naprawdę najwyższa klasa. Jeśli nie zdobędę na nim złota, to rezygnuję z kariery.

Kiedy po godzinie i kilku whisky poszedł na górę, zastał drzwi sypialni zamknięte.

— Wpuść mnie.

— Idź sobie! — wrzasnęła Helen.

— Wyważę drzwi albo, jeśli wolisz, odstrzelę zamek.

Po długiej chwili Helen otworzyła drzwi.

— Boże, wyglądasz, jakby cię pociąg przejechał. — Rupert nigdy nie widział jej w takim stanie.

— Wczoraj byłam u Jamesa Bensona.

— Słyszałem. Oczekujemy czworaczków?

— Nie żartuj sobie — syknęła. — Mam rzeżączkę.

— Naprawdę? — zapytał Rupert przeciągle, a jego ciemnoniebieskie oczy nagle przybrały nieobecny wyraz. — Na przyszłość musisz bardziej uważać, z kim skaczesz do łóżka.

— Przestań! — wrzasnęła Helen. — Doskonale wiesz, że sypiam tylko z tobą!

— Wcale nie wiem — odparł zimno Rupert. — Mało cię widuję, a twoja wyjątkowa niechęć do wyjazdów ze mną za granicę sugeruje raczej coś przeciwnego.

— Ty draniu! — zawyła Helen. — Złapałeś to od którejś z tych twoich dziwek!

— Daj spokój, nie masz na to żadnego dowodu. Ja na pewno też mam rzeżączkę, ale to ty mnie zaraziłaś.

— Nie próbuj zrzucać tego na mnie! Od naszego ślubu nawet nie spojrzałam na innego mężczyznę.

— A Dino Ferranti? — zapytał cicho Rupert. — Od sześciu tygodni jest w Anglii. Ludzie mówią, że większość wieczorów spędza na wyjazdach.

— Nie widziałam się z Dinem ani z nikim innym — odparła Helen. — To ty mnie zaraziłeś i wiesz o tym. Zostawię cię i zabiorę dzieci.

— Bierz sobie Marcusa! — wrzasnął Rupert — ale jeśli spróbujesz zabrać Tab, będę cię ścigał przez wszystkie sądy w tym kraju!

To była kropla, która przelała kielich goryczy. Doprowadzona do furii Helen wyciągnęła rękę, ale Rupert uchylił się do tyłu i po policzku przejechały mu jej długie, bezbarwne paznokcie. W tej chwili drzwi się otworzyły.

Był to Marcus, rozczochrany, z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami, opadającą bluzą od piżamy.

— Tatusiu, plosę, psestań ksyceć, plosę.

Tuż za nim weszła Tabitha, dla odmiany bez spodni od piżamy i bez pieluszki, której się pozbyła.

— Tatuś! Tatuś! — zawołała radośnie, biegnąc do niego. — Tatuś wlócił! — po czym na widok krwi na jego twarzy dodała: — Tatuś ma ałka.

— Biedny tatuś faktycznie ma ałka — powiedział Rupert, wyjmując z pudełka na toaletce kilka chusteczek i tamując krwawienie. Po czym wziął Tab na ręce i wyszedł z pokoju.

— Jak się zdaje, ty i Borsuk to moi jedyni zwolennicy. — Helen opanowała się nadludzkim wysiłkiem. — Tatuś zaciął się przy goleniu — wyjaśniła Marcusowi, po czym mówiła dalej, że wszyscy się kochają, a ona czuje się doskonale, wszystko po to, żeby nie dopuścić do ataku astmy.

Jednak z nosa Marcusa już ciekł rzadki śluz, pewna oznaka ataku. Chłopiec zaczął mieć trudności z oddychaniem. Boże, to jej wina, bo zamknęła się w pokoju i nie przyszła powiedzieć mu dobranoc. Pewnie słyszał, jak płacze.

— Marcusie, proszę, uspokój się.

Po chwili położyła go sobie na brzuchu na kolanach i zwiniętymi dłońmi uderzała go po delikatnych żebrach, by wypchnąć z oskrzeli zalegającą wydzielinę, tak jak nauczył ją fizjoterapeuta. Marcus połknął jej tyle, że w końcu zwymiotował na dywan. Kiedy Helen go położyła, uspokoiła, poczytała książkę i posprzątała, było już po północy.

W pokoju Ruperta nadal paliło się światło. leżał na łóżku rozciągnięty, pogrążony w twardym śnie, z uśpioną Tab w ramionach. Na łóżku i podłodze walały się porozrzucane zdjęcia Rock Stara. Ojciec i córka byli do siebie wyjątkowo podobni w swojej jasnej urodzie i beztrosce. Helen próbowała zabrać Tab do łóżeczka, ale wtedy mała zesztywniała i przywarła do ojca, więc Helen dała spokój.

Wróciła do swojej sypialni, ze znużeniem połknęła kilka tabletek mogadonu i spróbowała racjonalnie zastanowić się nad swoim małżeństwem. Tkwiła w pułapce. Chętnie zostawiłaby Ruperta, ale dokąd pójdzie? Na pewno nie wróci do rodziców. Napięcie panujące w ciągu dwóch letnich miesięcy na Florydzie w czasie zeszłorocznego pobytu pozbawiło ją złudzeń. Poza tym jak mogłaby pozwolić sobie na płacenie astronomicznych rachunków za leczenie Marcusa w Stanach? Jeśli odejdzie, zabierając dzieci, pozbawi je wielu rzeczy: Penscombe, doliny, basenu, biwakowania w lesie, kortu tenisowego, koni, nart, życia na wysokim poziomie, gromady służby, nie wspominając o bibliotece i obrazach, które zapewne docenią później. Wszystko to musiałaby zamienić na dwupokojowe mieszkanie. Janey miała przynajmniej swoją pracę i potrafiła na siebie zarobić. Helen nie miała nic. Jej powieść, mówiąc szczerze, stanowiła na razie tylko zbiór luźnych notatek. Helen wylewała swoje emocje w dzienniku, czasami zostawiała go nawet na wierzchu w nadziei, że Rupert przeczyta i uświadomi sobie, jak jest nieszczęśliwa.

Jednak on czytał tylko Dicka Francisa i „Horse and Hound”. Może on też jest nieszczęśliwy i źle traktuje Marcusa tylko dlatego, że w ten sposób daje upust swojej frustracji.

A przecież ona ma dopiero dwadzieścia siedem lat. Czy ta emocjonalna ślepa uliczka to wszystko, co ją w życiu czeka? Fakt, zdarzały się chwile zadowolenia, kiedy Rupert był poza domem, co trwało jedenaście miesięcy w roku, które przeplatały się z momentami rozpaczy takiej jak teraz, kiedy Rupert poniżał ją publicznie, uganiając się za innymi kobietami — a teraz zaraził ją rzeżączką.

Ma dopiero dwadzieścia siedem lat. Marzy o miłości, ale po sześciu i pół roku małżeństwa z Rupertem czuła, że stała się taka, jaką on ją często określał: nudna, sztywna, zimna i wycofana. Rupert tak bardzo wyssał z niej pewność siebie, że chyba nie potrafiłaby zatrzymać przy sobie innego mężczyzny. Wiedziała, że przyciąga ludzi w typie Malise’a, Dina i Jamesa Bensona, ale była przekonana, że gdyby już zaciągnęli ją do łóżka, od razu straciliby całe zainteresowanie.

Po tabletkach nasennych Helen spała jak zabita i następnego dnia zeszła na dół dopiero o jedenastej. Zastała Marcusa zajadającego się słodyczami, w otoczeniu papierków po cukierkach porozrzucanych wokół.

— Skąd je masz? — zapytała z gniewem.

— Tatuś mi przywiózł.

Helen wściekła wpadła do magazynku na uprząż.

— Dałeś Marcusowi cukierki!

— Zawsze mnie rugasz, że nie przywożę mu prezentów, a kiedy pamiętam, to masz pretensje.

— Wiesz, że dzieciom wolno jeść słodycze dopiero po obiedzie. Jak mam je wychować, skoro ty wciąż podkopujesz mój autorytet?

— Jaki autorytet? Wychowujesz jęczącego, chorowitego beksę.

— On się tak zachowuje, bo się ciebie boi.

Przez kilka kolejnych tygodni trwały kłótnie. Helen dalej malowała dom na różne kolory, wydawała fortunę na tapety i tkaniny.

— Pewnego dnia obudzę się cały oklejony tapetą Laury Ashley — mamrotał Rupert.

Jak przewidział doktor Benson, Helen i Rupert wyleczyli się z rzeżączki. Rock Star dalej wygrywał, budząc wielkie zainteresowanie. Na konkursie świątecznym w Olympii o mało nie wygrał walkowerem.

W ostatnią niedzielę, przed Bożym Narodzeniem Janey i Billy leżeli w łóżku, czytając gazety.

— Boże! — zawołała Janey — widziałeś to?

— Cholera! — powiedział Billy — myślisz, że to prawda?

— Na pewno. I sprawdzone, bo inaczej nie podjęliby ryzyka. Helen oszaleje.

Campbellowie-Blackowie jedli pieczoną wołowinę na niedzielny obiad. Rupet kroił właśnie dokładki, kiedy zawołano go do telefonu. Helen posprzątała talerze dzieci, podała im szarlotkę z bitą śmietaną, po czym usadowiła się z niedzielnymi gazetami, żeby poczekać, aż Rupert wróci. Zerknęła na gazetę z samej góry stosu. Był to wyjątkowy szmatławiec, ale trzeba go przeczytać. Na stronie szóstej jakaś gwiazdka o imieniu Samantha Freebody wyliczała swoich kochanków. Zdzira. Helen poczytała o wyczynach zboczonych księży i lubieżnych czarownic, po czym wróciła do strony szóstej i zamarła, gdyż wpatrywała się w duże zdjęcie Ruperta w kąpielówkach, leżącego na plaży, mrużącego oczy w słońcu, ze szklanką w ręce i palmami w tle.

„Jeden z moich najbardziej elektryzujących romansów — pisała Samantha Freebody — dotyczył międzynarodowego asa skoków przez przeszkody, Ruperta Campbella-Blacka. Kręciłam film w Portugalii, a on

przyjechał na pięć dni z drużyną brytyjską. Poznaliśmy się na przyjęciu. Absolutnie zauroczyła mnie jego uroda — jasne włosy i niebieskie oczy — oraz aura wyjątkowej pewności siebie. Tego dnia wygrał konkurs, a kiedy się poznaliśmy, nabrał ochoty, by przejeździć całą noc. Początkowo mu się opierałam, nie chciałam wydać się zbyt łatwa. Jednak ogromne ilości szampana i euforia wygnały nas na plażę. O drugiej w nocy kochaliśmy się namiętnie pod gwiazdami, dopóki nie zaczęły nas opryskiwać fale ciepłej wody. Przez resztę tych pięciu dni nie rozstawaliśmy się i kochaliśmy się co noc. W ciągu dnia szłam mu kibicować na zawody. Po pięciu dniach zdecydowaliśmy się zakończyć naszą idyllę. On musiał jechać dalej na zawody, ja skończyć film. Poza tym on był żonaty, a jego żona oczekiwała drugiego dziecka. Uczciwie było oddać go żonie. Jednak naprawdę cieszyłam się naszym szalonym, pełnym uniesienia seksem".

— Dasz mi zejść? — zapytał Marcus po raz drugi.

— Mogę zejść? — poprawiła go Helen automatycznie, wstała i wyjęła Tab z wysokiego krzesła. — Skarby, idźcie pooglądać telewizję.

Na górze zamknęła się w łazience i zaczęła wymiotować. Kiedy po długiej chwili wyszła, Rupert czekał przy drzwiach.

— Co się dzieje? Jakbym widział Jake'a Lovella przed zawodami.

— Spójrz na to — wychrypiała Helen, podając mu gazetę.

Rupert przebiegł artykuł wzrokiem, jego twarz nawet nie drgnęła.

— Bzdury, nie wierz w ani jedno słowo.

— Daty się zgadzają. Tuż przed urodzeniem Tab byłeś w Portugalii.

— Nie zwracaj uwagi — powiedział Rupet. — Ta dziewczyna zrobi wszystko, byle o niej pisali.

— Nie rozumiem cię! — zawołała Helen. — Jeśli ktoś krytykuje twoją jazdę, to się wściekasz.

— Bo jazdą zarabiam na życie i to się liczy. Nie pieprzę dla zarobku.

— Mnie by nabrała. Ona widocznie tak robi.

— Ciekawe, ile jej zapłacili — powiedział Rupert, biorąc do ręki gazetę.

— Nie pozwiesz jej?

— A po co? — Rupert wzruszył ramionami. — Jeśli zostawisz błoto, żeby wyschło, to można je sczyścić. A co zrobiłaś z pieczenią? Zjadłbym jeszcze jedną dokładkę.

— Naprawdę możesz jeść po przeczytaniu czegoś takiego? — zawołała Helen z oburzeniem. — A jak ja mam sobie z tym poradzić? Matki będą się ze mnie wyśmiewać w przedszkolu, pani Bodkin, Charlene i stajenne będą plotkować do utraty tchu.

— Na pewno będą się doskonale bawić.

— Jak mam się pokazać w sklepie we wsi?

— Zamów dostawę do domu — poradził Rupert.

Sytuacja się nie poprawiła, kiedy tydzień później najważniejszy felietonista „Sunday Times” skrytykował Samanthę Freebody za ujawnianie imion i nazwisk.

„Jak się czuje biedna żona Ruperta Campbella-Blacka i jego dzieci?”

Jednak to wywołało znacznie gorszy skutek. Wszyscy ci, którzy nie zdążyli przeczytać artykułu, pospieszyli do biblioteki. Dwa dni później Janey zadzwoniła do Ruperta z życzeniami noworocznymi.

— I na miłość boską, schowaj „Private Eye” — poradziła. — Nominowali cię do tytułu „Drań Roku”.

— Chwała Bogu, że mamy już tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty — odparł Rupert. — Oprócz kupienia Rocky’ego to nie był najlepszy rok.

Wieczorem Rupert zastał Helen w salonie zajętą korespondencją. Wolałby, żeby zrezygnowała ze swojej ostatnio ulubionej fryzury z upiętymi włosami, co upodabniało ją do starej matrony.

— Szukasz nowego męża? — zapytał.

Helen nie odpowiedziała. Rupert przeszedł przez pokój i pocałował ją w kark.

— Przepraszam, że zaraziłem cię rzeżączką i poszedłem do łóżka z Samanthą Freebody. To wszystko moja wina. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Ale im bardziej mnie odrzucasz i odsuwasz się od moich spraw, tym się robi gorzej. No już, wstań.

To niespodziewane wyznanie całkowicie rozbroiło Helen.

— No już, już — powiedział Rupert, przyciągając ją do siebie — wszystko dobrze. Spróbujemy jeszcze raz? Odwołam dwa najbliższe konkursy i zabiorę cię za granicę. Charlie Masters zaproponował nam swój dom pod Nairobi. Możemy wylegiwać się na słońcu, będziesz miała miesiąc miodowy, jakiego jeszcze nie przeżyłaś.

— *I uleczę rany moje duszne*[2] — zacytowała smutno Helen.

— Rany twoje brzuszne? — zapytał Rupert. — Byłaś znów u Bensona?

Helen z lekkim uśmiechem pokręciła głową.

— Tak lepiej — stwierdził Rupert. — Strasznie dawno się nie uśmiechałaś.

— A co z dziećmi?

— One nie jadą — powiedział stanowczo Rupert. — Ani psy, tylko ty i ja, sami. A zaczynam dzisiaj od zabrania cię na kolację.

Zadzwonił dzwonek, była to Janey. Billy wyjechał na jakiś wieczorny konkurs do Warwickshire i nie miała co ze sobą zrobić.

— Przyjedź się napić — zaprosił Rupert. — Helen i ja właśnie próbujemy wszystko naprawić.

— Najwyższy czas — stwierdziła Janey.

Była w świetnym nastroju i tryskała chęcią plotkowania. Podobno po wyjeździe Dina Ferrantiego Fenella Maxwell zeszła na psy. Fen chyba nie za bardzo wychodzą kontakty z mężczyznami, dodała z satysfakcją. Janey

już złamała swoje postanowienie niepicia w czasie ciąży, ale przynajmniej ograniczyła się teraz tylko do wina.

Pół godziny później Helen nie wierzyła własnym uszom, kiedy usłyszała, jak Rupert mówi do Janey:

— A może pojedziesz z nami na kolację?

Poszła na górę i usiadła na łóżku. Przez dziesięć minut targała nią wściekłość. Potem opanowała się i nakazała sobie spokój. W końcu Janey faktycznie została sama.

Na dole stwierdziła, że Tabitha weszła do salonu i narobiła w nim bałaganu. Poprzestawiała wszystkie ozdoby, wyrzuciła zawartość torebki Janey — na podłodze leżał stos biletów autobusowych, karteczki ze starymi numerami telefonów, długopisy, mascara i brudny grzebień. Potem Tab zaczęła wrzaskiem domagać się słodyczy i poczytania książeczki przez tatę. Kiedy jej powiedziano, że tatuś wyjeżdża, zaczęła się krzyczeć jeszcze głośniej. Rupert wziął ją pod pachę i zaniósł na górę do Charlene.

— To dziecko wprowadza większy zamęt niż koparka — stwierdziła Janey, wrzucając rzeczy do torebki. — Nie musisz się obawiać, że Rupert zostawi cię dla innej. Żadna macocha nie zajmie się tym potworkiem.

Helen przeraziła się, kiedy poczuła radość z tego, że Janey narzeka na Tab.

Rupert nie zadał sobie trudu, by zarezerwować stolik, ale jak zwykle natychmiast znaleziono dla nich najlepsze miejsce. Goście trącali się łokciami i spoglądali na nich. „Patrzcie, kto przyszedł. To on, prawda? Na żywo wygląda jeszcze lepiej”.

Helen żałowała, że nie umyła głowy.

— Dokąd jedziecie na swój drugi miesiąc miodowy?

— Do Kenii — odparła Helen.

— Znajomi rodziców właśnie pojechali tam na safari. Mają na imię Dick i Fanny, wyobrażacie sobie!

„Janey zawsze potrafiła rozbawić Ruperta” — pomyślała Helen z nutką zazdrości.

— Słyszeliście o najnowszej historyjce Samanthy Freebody? — mówiła dalej Janey, wyciskając cytrynę na wędzonego łososia. — Jaka jest różnica między Samanthą Freebody a KitKatem?

— Jaka? — zapytał Rupert.

— W KitKacie masz tylko cztery paluszki waflowe.

Rupert wybuchnął śmiechem. Helen dołączyła do niego, rumieniąc się gwałtownie.

— Wczoraj wieczorem Billy wpadł na nią przy otwarciu jakiegoś centrum sportowego — ciągnęła Janey. — Chciał ją ominąć, ale ona doskoczyła do niego i mówi: „Masz dziurę w swetrze”. Na to Billy odparł od razu: „A ty masz dziurę między nogami, ale różnica polega na tym, że ja nie opisuję swojej dziury w całej prasie”. Ona ma fioła na punkcie sławy, stara zdzira. Billy mówi, że przyszłaby na otwarcie wszystkiego, nawet koperty.

„Omawiając tę okropną sprawę otwarcie, Janey w jakiś sposób ułatwia nam poradzenie sobie z nią” — pomyślała Helen. Teraz Janey zaatakowała Ruperta.

— Traktujesz Helen potwornie.

— Nie przypominam sobie, żebyś ty zawsze była dla Billy’ego przesadnie miła — odparł Rupert zimno.

— Ale to było raz. Musiałam sobie udowodnić, że Billy to naprawdę jedyny mężczyzna w moim życiu. Teraz jestem z nim na dobre i na złe.

„Janey jest naprawdę miła — pomyślała Helen. — Bezpośrednia, ale bardzo mnie popiera”. Sytuacja, w której rozmawiano o niej otwarcie,

sprzeczano się i broniono jej, była dla niej tak nowa, że Helen wypiła więcej niż zwykle. Przy kawie Helen poszła do toalety.

— Wszystko w porządku? — zapytali oboje z troską, kiedy wróciła.

— Rupert właśnie zaproponował, żebyśmy z Billym na trochę dołączyli do was w Kenii — powiedziała Janey.

— Ale... ale myślałam, że to miesiąc miodowy — wyjąkała Helen.

Rupert nie patrzył jej w oczy.

— Miesiące miodowe należy spędzać w towarzystwie — orzekła Janey. — Helen i ja pojedziemy z wami, jeśli obaj obiecacie, że nie powiecie ani słowa o koniach.

---

[1] *Trush* (ang.) — drozd; drożdżyca.

[2] Fragment utworu A. Tennysona *Idylle królewskie* w przekładzie Katarzyny Krawczyk (przyp. tłum.).

49

DOM CHARLIEGO MASTERSA, położony kilka kilometrów za Nairobi, był idealny. Z otwartymi balkonami, ze ściankami z papirusu, lamparcimi skórami zamiast dywanów, wielką wanną wpuszczoną w podłogę, wygodnymi łóżkami i armią uśmiechniętych afrykańskich chłopców, którzy nie tylko świetnie gotowali, ale i nie zwracali najmniejszej uwagi na najdziwniejsze wyczyny Anglików.

Ogród, porośnięty bujną jakarandą, brachychitonem oraz słodko pachnącymi bylinami mieścił także kort tenisowy i basen obrzeżony palmami. Wokół zaś rozciągał się busz. Helen miała wrażenie, że dom stoi tu tylko z uprzejmości natury, gdyż w każdej chwili może go przejąć dżungla. Od samego początku wyjazd był katastrofą. Helen i Rupert nigdy nie mieli ani chwili dla siebie. Billy i Rupert całe ranki grali w tenisa lub pływali, po czym zjadali wielki obiad podlany ogromną ilością alkoholu i szli spać albo się opalać, następnie znów grali w tenisa lub pływali, potem następowała obfita kolacja, znów drinki i wyjazd do nocnych klubów w Nairobi. Billy pił, nie za dużo, ale na urlopie zrobił sobie wolne od abstynencji.

Helen, wykończona nerwowo, miała ochotę spać, być rozpieszczaną i poddawać się najdelikatniejszym zalotom oraz rozmawiać z Rupertem. Próbowała przekonać Ruperta do kolacji we dwoje, ale Billy i Janey zawsze się przyłączali. Poza tym głęboko żenował ją fakt, że Rupert i Billy chodzili po ogrodzie nago, z penisami podskakującymi jak gumowe diabełki wieszane przez ludzi na lusterkach samochodowych. Była pewna, że Janey nosi bikini tylko ze względu na ciążę.

Martwiła się również o dzieci — właściwie głównie o Marcusa. Codziennie z miejscowej poczty dzwoniła do domu, co zabierało mnóstwo czasu i wyjątkowo irytowało Ruperta.

Na dodatek, wkrótce po Ruperta i Billy’ego przyjeździe do Kenii rozeszła się pogłoska o ich wizycie, więc rozdzwoniły się telefony z zaproszeniami na imprezy. Gazety prosiły o wywiady, telewizja kenijska chciała przysłać ekipę. Radość, z jaką Rupert przyjmował każdy taki telefon, świadczyła o tym, że wcale nie miał ochoty oderwać się od codziennych spraw.

Po długim, suto zakrapianym obiedzie, kiedy Rupert z Billym pojechali na safari, Helen otworzyła się nieco przed Janey.

— Naprawdę już nie wiem, co robić. Nasze małżeństwo się rozpada. Rupert po prostu nie chce spędzać ze mną czasu. Mam wrażenie, że wszystko, co robię, działa mu na nerwy.

Janey nalała sobie kolejny kieliszek wina.

— Chcesz też?

Helen pokręciła głową.

— No dobrze, tylko troszkę.

Zabrały kieliszki na taras. Gwałtowna ulewa zmyła ziemię, a nad drzewami jakarandy rozciągała się tęcza.

— Chyba jesteś zbyt uległa — powiedziała Janey. — Wiesz, Billy był uroczy, ale zanim odeszłam do Keva, niespecjalnie się mną przejmował.

— Billy zawsze był troskliwy — sprzeciwiła się Helen.

— Ale zbyt chętnie uciekał z kumplami do pubu zamiast wracać do mnie do domu. Może spróbuj wzbudzić w Rupercie zazdrość. Mocno mu dokopał Dino Ferranti. Wspominał Billy’emu nawet o tym, że mógłby założyć ci podsłuch w telefonie.

Helen zdziwiła się.

— Nie miał żadnego powodu, poszłam z Dinem kilka razy na obiad, ale to wszystko.

— Ha — stwierdziła Janey — Rupert zdaje sobie sprawę, jak kruchą rzeczą jest posiadanie. Nie wyobraża sobie, by ktoś umawiał się z cudzą żoną bez złych intencji, bo wszystkich sądzi według siebie.

— Co mam zrobić? Nie możemy tak żyć.

— Nie odchodź, dopóki sobie kogoś nie znajdziesz. Skoro masz być samotną matką, niech ci chociaż za to płacą. Gdybyś zostawiła Rupe'a, nie mogłabyś sobie pozwolić na takie sukienki ani remont domu co dwa lata. Poza klatką małżeńską jest bardzo zimno.

Na dworze panował taki upał, że wróciły do sypialni Janey i Billy'ego. Helen usiadła na łóżku i natychmiast rozległ się głośny odgłos puszczanych gazów. Purpurowa zerwała się na równe nogi.

— To nie ja!

Janey wybuchnęła śmiechem.

— Usiadłaś na moim wibratorze.

Helen łyknęła wina.

— Skoro tak wam się układa w seksie — powiedziała — dlaczego używasz wibratora?

— Wibratory są wspaniałe — westchnęła Janey — i naprawdę ożywiają związek. Billy, chociaż cudowny, nie jest niezawodny.

Na dworze cykady zaczęły swój nieustanny świergot, a żaby skrzeczały leniwie i lubieżnie.

Janey spojrzała w lustro na swoją gładką, brązową twarz.

— Boże, wyglądam jak wiedźma. Tyle zmarszczek!

— Nie masz zmarszczek — odparła Helen — a teraz, kiedy nie palisz, pozbyłaś się też tych drobnych zmarszczek wokół ust.

— Na pewno będę je miała później jako karę za wszystkich mężczyzn, którym obciągałam — powiedziała żałośnie Janey.

Helen wstrząśnięta odwróciła się. Co za okropne słowa! Ona raz próbowała to robić z Rupertem, ale wzbudziło to w niej takie obrzydzenie, że nigdy więcej tego nie powtórzyła. Z rozpaczą uświadomiła sobie, ile lat świetlnych została za Janey, jeśli chodzi o życie seksualne. Musi spróbować ją dogonić. Rumieniąc się jeszcze mocniej, upiła kolejny łyk wina i spojrzała na pozbawione oczu afrykańskie maski na ścianie.

— Czy... czy naprawdę lubisz to robić mężczyznom? — zapytała.

Janey wzruszyła ramionami.

— Tego trzeba się nauczyć. Whisky i martini też nie smakują za pierwszym razem. Jeśli szybko połykasz, to jest w porządku. Kiedyś powiedziałam Billy'emu: „Szkoda, że nie można tego pić z tonikiem albo jeszcze lepiej z lodem i cytryną!". Problem z seksem polega na tym, że to, co wydaje się niesamowicie podniecające w fantazjach, wcale nie musi takie być w rzeczywistości. Straszliwie podnieca mnie myśl o seksie analnym, nawet o biczu. Kiedy jednak kochany Billy tego spróbował, wcale mi się nie podobało.

Wieczorem wszyscy poszli na pełną alkoholu imprezę, która przeciągnęła się do ósmej rano. Następnego dnia ani Rupert, ani Billy nie mieli ochoty na tenisa, więc tylko wylegiwali się przy basenie.

Helen założyła ciemne okulary i duży kapelusz oraz kostium w kolorze limonki. „Tak schudła, że lepiej wygląda w ubraniu" — pomyślała Janey krytycznie.

Janey codziennie rano zaczynała kolejną dietę i rezygnowała z niej przy obiedzie, kiedy Rupert otwierał butelkę, a z kuchni napływały aromaty dań gotowanych przez Abdula. Jej skóra nabierała złotawego odcienia

brzoskwini. Była w czwartym miesiącu, zresztą Billy’emu bardziej się podobała nieco okrąglejsza.

Po skończeniu „Guardiana” z poprzedniego dnia Helen z wysiłkiem czytała *Zbrodnię i karę*. Janey przeglądała „Vogue”, Rupert przerzucał strony „Horse and Hound”, szukając swojego nazwiska. Billy czytał powieść pornograficzną, przerzucając strony w poszukiwaniu opisów scen seksualnych. Jomo, tutejszy chłopiec, wolno i równo zmiatał płatki kwiatów jakarandy i resztki po odchodach ptaków. Powój spływał szafirową kaskadą po ogrodzeniu kortu, rywalizując z niebem o to, kto będzie bardziej niebieski.

— Próbowałeś tego? — zapytał Billy, podając książkę Rupertowi.

— Kiedyś w Solihull w czasie zawodów królewskich.

— Pokażcie — powiedziała Janey.

— Nie wolno! — odparł Billy — bo będziesz chciała wrócić do łóżka na resztę przedpołudnia. A został ci tylko tydzień na złapanie opalenizny.

— Billy nie skończył *Historii O* — powiedziała Janey, oddzierając sobie skórkę z pięty — bo między stronami brała go taka chętka, że wciąż się na mnie rzucał.

Rupert wstał, by nalać sobie drinka. Miał szerokie ramiona, był opalony i sprężysty jak jego konie — tak oceniła Janey. Lekko zsunęła uda z leżaka, żeby ciało opadło w dół i wyglądało na szczuplejsze.

— Bikini to paskudztwo — odezwała się. — Kiedy się je zdejmie, wygląda się tak, jakby nadal miało się je na sobie.

— No to zdejmij — powiedział Billy leniwie, nie unosząc wzroku znad książki.

Janey napotkała taksujące spojrzenie Ruperta.

— No dobrze — odparła i zdjęła bikini.

Jej piersi były miękkie, miodowe i dojrzałe, zaokrąglony brzuch przypominał figę, krocze miała wygolone, więc była gładka jak różowa kula bilardowa. Helen, zmartwiała z wrażenia i zazdrości, nie mogła oderwać od niej wzroku. Billy uniósł spojrzenie i stwierdził, że Rupert gapi się na Janey z uniesionym penisem. W tej samej chwili stwierdził, że i on ma podobną erekcję.

— Boże, czuję się jak w mieście katedralnym, same wieże — powiedział, przewrócił się na brzuch i wrócił do książki.

— Ty też zdejmij kostium — powiedział Rupert do Helen, nie odwracając głowy.

— Nie mogę, łatwo się opalam.

— To się nasmaruj. — Janey podała Helen olejek, przy czym jej piersi się zakołysały.

— Nie trzeba — warknęła Helen.

— Zdejmij — powtórzył rozkazującym tonem Rupert.

— Nie! Co pomyśli Jomo? Janey jest tu gościem, może sobie pozwalać. Ja nigdy nie potrafiłabym spojrzeć Abdulowi w oczy, kiedy będę z nim omawiać desery.

Helen wróciła do *Zbrodni i kary* i przeczytała całą stronę, nie rozumiejąc ani słowa. Abdul wyjątkowo długo opróżniał popielniczki i zbierał zamówienia na drinki.

„Nie mogę tego zrobić, nie mogę! — myślała Helen w panice. — Nie mogę zdjąć ubrania przy nich wszystkich. Poza tym — dodał bardziej realistyczny głos wewnętrzny — mam brzydsze piersi od Janey”.

Janey nie chciało się ubierać do późnego lunchu, który zaczął się od sałatki nicejskiej. Na jej lewą pierś spadł spory kawałek tuńczyka. Rupert zdjął go łyżką. Wszyscy, łącznie z Abdulem, wybuchnęli niepowstrzymanym chichotem, oprócz Helen, która czuła w żołądku wielką

ołowianą kulę zakłopotania. Zdając sobie z tego sprawę, Billy próbował przekonać Janey, by się ubrała, jednak atmosfera robiła się coraz bardziej elektryzująca.

— Idę zrobić sobie sjestę — oznajmiła Janey, która wymieniała przeciągłe spojrzenia z Rupertem. W domu, na widok swojej zarumienionej twarzy i przekrwionych oczu, poczuła irytację z powodu swojego wyglądu i zaczęła się zastanawiać, jak mogła z nim tak flirtować.

Nagle Billy podszedł do niej od tyłu, złapał jej nasmarowane olejkiem piersi w dłonie i zaczął całować w kark, wsuwając ręce między jej nogi.

— Boże, ale jesteś podniecona — powiedział.

Od razu rzucili się na łóżko, nie zadając sobie trudu, by zamknąć drzwi.

Helen poszła do swojej sypialni tuż obok. Mimo gorąca trzęsła się konwulsyjnie. Kiedy dobiegły ją krzyki i jęki Janey, zamknęła szybko okno. Wszedł Rupert z zaczerwienioną, pozbawioną uśmiechu twarzą.

— Boże, jak tu gorąco. Dlaczego, do cholery, zamknęłaś okno? — otworzył je, przez kilka minut słuchał Janey i Billy’ego, uśmiechając się lekko.

Helen marzyła, żeby zaczął ją delikatnie i czule pieścić — nie dlatego, że tego pragnęła, ale dlatego, że zauważyła mroczne, drapieżne spojrzenie, jakim nagle zaczął mierzyć Janey. Umrze, jeśli Rupert zacznie z nią romans.

— Rupercie, kocham cię, naprawdę.

— To dlaczego tego nie pokazujesz?

— Bo ciężko mi to okazywać, skoro wciąż się na mnie złościsz.

— Na miłość boską! — Rupert wyszedł, trzaskając drzwiami.

Wrócił po zmroku, kiedy Helen przebierała się do kolacji. Złapał ją z irytacją, Helen się uchyliła.

— Właśnie się wykąpałam, poza tym na kolację przychodzą Mountleyowie.

— Więc Campbellowie-Blackowie nie przyjdą, hura. Po co ich zapraszałaś, do cholery? — zapytał i sam sobie odpowiedział: — bo oni już dwa razy nas zaprosili, poza tym będziesz mogła przez cały wieczór przerzucać się z nimi nazwiskami pisarzy.

Profesor Mountley miał koło pięćdziesięciu lat, był Amerykaninem i wykładał literaturę angielską na uniwersytecie w Nairobi. Jego nieco młodsza żona była zaprzysięgłą fanką skoków konnych.

— Ona wie więcej o moich koniach niż ja — stwierdził Rupert.

Wszyscy usiedli na tarasie, przyglądając się gruchającym gołębiom i wielkim gwiazdom oraz nasłuchując szelestu nocnych stworzeń. żaby bulgotały jak kociołek czarownicy, pawiany gadały gorączkowo, a dźwięk pompy wodnej przypominał zbliżającego się lwa.

— Zaczynam rozumieć, dlaczego dzieci uchodźców wojennych tak się bały krów — powiedziała Janey.

— Miło tutaj — rzekł profesor Mountley, unosząc kieliszek w kierunku Helen.

— Miło wciąż tutaj być — dodała Janey. — Na pewno już jakiś lampart się szykuje, żeby mnie połknąć.

— Wiedzieliście, że guźce prowadzą przykładne życie małżeńskie? — zapytała pani Mountley.

— Nic dziwnego, że nie ma ich w Gloucestershire — odparł Rupert.

Obaj z Billym utrzymywali ostre tempo picia. Janey nieco spasowała w obawie o dziecko i dlatego, że nie chciała poczerwienieć po alkoholu. Po długim seksie, drzemce, trzech alka seltzerach i kąpieli czuła się doskonale. Miała we włosach kwiat plumerii, na sobie białą, marszczoną, lekko przezroczystą koszulę, przez którą można było dojrzeć zaróżowione od

słońca piersi. Świadoma uwielbienia Billy’ego, podziwu profesora i nieskrywanego pożądania Ruperta czuła się coraz bardziej podniecona.

Przed kolacją Helen zaproponowała jej niebieską lub limonkowozieloną tunikę. Według niej kobiecie w ciąży będzie wygodniej. „Wygodniej, też coś!” — sarkała Janey do Billy’ego. Gdyby Helen nie była zupełnie pozbawiona złośliwości, Janey uznałaby, że to celowe działanie.

— Dzisiaj Billy czytał o orgiach — odezwała się Janey do profesora Mountleya.

— Janey! — upomniała ją Helen.

— W Stanach nazywamy to terapią grupową — odpowiedział profesor z nerwowym śmiechem.

Po chwili rozgorzała dyskusja na temat orgii.

„Nie zniosę tego — pomyślała Helen. — Chciałam spędzić kulturalny wieczór, omawiając z profesorem *Wojnę i pokój*, a oni potrafią tylko rozmawiać o seksie”. Prostacy. Kilka dni wcześniej Helen pożyczyła Janey swoją ukochaną książkę *Bohater naszych czasów*, a Janey upuściła ją w wannie podczas kąpieli. Rupert półgłosem rozmawiał z Janey; Helen gorączkowo próbowała odczytać z ich ust, co mówią.

Czując jej niepokój, Billy pogłaskał ją po ramieniu.

— Wszystko jest pod kontrolą.

Mountleyowie wyjechali około północy, kiedy pozostali wciąż jeszcze siedzieli przy stole. Profesor wyjeżdżał z wielką niechęcią, lecz pani Mountley niedawno została babcią i miała wrażenie, że sprawy zdecydowanie wymykają się spod kontroli.

Helen odprowadziła gości, po czym stanęła na balkonie, wdychając upajający aromat ciepłej ziemi, plumerii, kurzu i żarzących się węgli. Za ogrodzeniem ogrodu błyskały oczy przyczajonych zwierząt, jednak

zwierzęta w domu napełniały ją znacznie większym strachem. Zdeterminowana, by zniszczyć ten dziwny urok, wróciła do jadalni.

— Nie wiem, jak wy, ale ja padam z nóg.

Rupert spojrzał na nią z długim cygarem w białych zębach.

— Napijmy się jeszcze — powiedział, wstając i dolewając wszystkim brandy — a potem chodźmy do łóżka... — przerwał na moment — razem.

Helen zaśmiała się nerwowo.

— Razem?

— Pewnie, dlaczego nie?

Janey wstała z nagle rozbłysłymi oczami.

— Wasza sypialnia czy nasza?

— Wolę po domowemu — odparł Rupert — poza tym nasze łóżko jest większe.

Leniwie podszedł do Janey i zaczął ją całować. Zmartwiała z przerażenia Helen przyglądała się, jak Rupert wyjmuje różową pierś spod białej koszuli i gładzi ją delikatnie, po czym rozpina zamek jej spodni. Helen rzuciła pełne paniki spojrzenie na Billy’ego, ale stwierdziła, że ten zafascynowany obserwuje rozwój sytuacji.

Janey ze śmiechem podążyła do sypialni. Billy pobiegł za nią z radosnym okrzykiem. Rupert odwrócił się do Helen i wyciągnął rękę.

— Chodź, kochana, bo ucieknie ci pierwszy akt.

Helen spojrzała na niego osłupiała.

— Nie możemy! Co powie służba?

— Odesłałem ich do domu kilka godzin temu. — Rupert złapał ją za ramię.

W drzwiach sypialni Helen zaparła się o futrynę. Billy, już rozebrany, siedział na łóżku, popijając brandy, przyglądając się Janey, która nałożyła kapelusz Helen. Śmiał się podniecony, widać było jego wielką erekcję.

Janey stała przed lustrem, odrzucając włosy do tyłu, pryskając sobie piersi najdroższymi perfumami Helen i podrzucając biustem, żeby piersi błysnęły w świetle. Helen obróciła się, żeby uciec, ale Rupert zacisnął dłoń na jej ramieniu z siłą imadła.

— Nie uciekniesz. Nie bądź taką cholerną nudziarą. Może wreszcie dowiemy się, co cię kręci. — popchnął ją w kierunku łóżka, przekręcił klucz w zamku i schował go do kieszeni. Obrócił się do Billy'ego i dodał: — To trudniejsze niż ładowanie Snakepita do samochodu.

Billy zdjął kapelusz i odwrócił się do Helen.

— Chodź, kochana, będzie fajnie. Nikt nie chce cię zjeść.

— Wszyscy chcą ją zjeść — odparł Rupert, zsunął majtki Helen, uniósł jej sukienkę i jedwabną różową halkę, po czym zaczął całować ją po włosach w kroku. Helen wyrywała się gorączkowo, ale on przycisnął dłoń do jej pośladków.

Helen przechwyciła spojrzenie Janey siedzącej naprzeciw — było drwiące i lekko pogardliwe.

— Chodź, pomóż mi ją rozebrać — powiedział Rupert do Janey.

Zdjął z niej czarną sukienkę i halkę, a Janey rozpięła różowy stanik.

— Piękna bielizna — stwierdziła. — Od Janet Reger?

Helen jedną dłonią zakryła żałośnie mały biust, a drugą włosy na dole.

— Nie mogę, nie mogę! — mówiła błagalnie do Ruperta. — Naprawdę nie mogę!

— Nie bądź taką sztywniarą — syknął Rupert. — Chcesz ze mnie zrobić kompletnego idiotę? Masz, jest twoja — dodał, wziął ją na ręce i rzucił na łóżko między Janey a Billy'ego. Z wprawą najszybszego lowelasa pozbył się spodni i położył na łóżko obok Janey.

Wtedy ręce i nogi stworzyły jedną ruchomą plątaninę. Helen leżała pod Rupertem ze szklistymi oczami, rozwichrzonymi włosami, mniej więcej tak

aktywna jak trup, świadoma, że Rupert jednocześnie miętosi piersi Janey. Janey zaś, zdeterminowana wspiąć się na wyżyny sztuki, weszła na Billy'ego, wierzgając jak mustang, wyginając grzbiet z rozkoszy, wijąc się w dłoniach Ruperta.

Potem zmienili miejsca. Pomimo zamkniętych oczu Helen wiedziała, że Billy jest w niej. Był znacznie solidniejszy i cięższy, ale delikatniejszy niż Rupert.

— Nie boli cię, prawda, aniołku? — wyszeptał jej prosto w ucho, przesuwając dłońmi po jej ciele. — Jesteś taka piękna. Proszę, spróbuj się tym cieszyć.

Helen nie odpowiedziała, leżała sztywna z przerażenia, z zaciśniętymi zębami i powiekami. Billy, jej tak kochany, drogi przyjaciel. Jak mógł jej to zrobić? Jednak Billy przyglądał się Janey wyginającej się na Rupercie. Boże, wyglądała wspaniale! Był z niej taki dumny!

— Dochodzę! — zawołał nagle Rupert, którego twarz się ściągnęła.

— Ja też! — dodała Janey, piszcząc i rzucając się.

„Może udaje, ale to piękne przedstawienie" — pomyślał Billy. Chwilę później wytrysnął w Helen. Spojrzawszy w dół, zobaczył dwie łzy spływające spod zamkniętych powiek.

— Nie płacz, aniołku. Proszę, nie płacz.

Popłynęły kolejne łzy.

„Boże, nie powinniśmy byli jej zmuszać" — pomyślał.

Stoczył się z Helen i przytulił ją do siebie. Rupert pocałował Janey przeciągle, po czym wysunął się z niej i powiedział do niej cicho:

— Sprawdź, czy uda ci się rozruszać Helen.

— Przesuń się — powiedziała Janey do Billy'ego, spychając go na lewą stronę łóżka. — Teraz nasza kolej.

Końcówkami palców przesunęła po udach Helen, która jęknęła przerażona, odsunęła się od Janey i zaczęła szukać wzrokiem drogi ucieczki. Jednak Billy i Rupert po obu stronach blokowali jej wyjście.

— Nie, nie, nie! — szlochała, podczas gdy palce Janey nieustępliwie zaczęły się w nią wsuwać. Czuła na brzuchu jej piersi, a język Janey na swoich piersiach.

— Jezu — wymamrotał Billy — za minutę znów dojdę.

— Proszę, nie bój się, Helen — wyszeptała Janey, pieszcząc ją. — Tak dobrze się bawimy, chcemy, żebyś też się cieszyła.

„Nie dam rady dłużej — pomyślała Janey pięć minut później. — Nic dziwnego, że Rupert narzeka na jej oziębłość. Potrzeba doby, żeby ją rozmrozić". Rupert, znudzony rolą obserwatora, zszedł z łóżka i od tyłu wszedł w śliskie ciepło Janey tak, by jednocześnie móc oglądać Helen. Wyciągnął rękę i stwierdził, że mimo starań Janey Helen jest wysuszona jak gardło maratończyka.

„Jest do niczego" — pomyślał.

Rupert znalazł się za Janey i Helen nagle zauważyła drogę ucieczki. Odepchnęła Janey na lewo, wytoczyła się spod niej i zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, zeskoczyła z łóżka i na oślep pobiegła przez pokój. W kieszeni spodni Ruperta znalazła klucz.

— Wracaj tutaj! — krzyknął Rupert.

Teraz jednak sprzyjało jej szczęście. Podniecony Rupert nie zamknął drzwi zbyt dokładnie. Zanosząc się histerycznym płaczem, Helen wypadła z pokoju, z trzaskiem zamknęła drzwi i przekręciła klucz akurat w chwili, kiedy Rupert na nie wpadł. Najchętniej uciekłaby prosto w noc, jednak kiedy wyszła na taras, stwierdziła, że księżyc zaszedł i zapadła atramentowa ciemność. Usłyszała suchy kaszel lamparta, zdecydowała się pójść do trzeciej sypialni. Na łóżku nie było pościeli. Skulona pod narzutą,

niewidzącym wzrokiem wpatrując się w biblioteczkę, przeleżała, drżąc, do świtu. Gdyby jej tabletki nasenne nie były w szafce w łazience, do której mogła się przedostać tylko przez sypialnię, połknęłaby je wszystkie. Przez cały czas bała się, że nagle wpadnie wściekły Rupert i zaciągnie ją do komnaty tortur.

Jednak pozostali dobrze się bawili.

— Dorosła poszła spać — powiedziała Janey.

— Wszystkie ręce na fiuta! — zawołał Rupert, dolewając do szklanek.

Bawili się tak do samego rana.

50

NASTĘPNEGO DNIA, ZADZWONIWSZY DO DOMU, Helen dowiedziała się, że Marcus leży w łóżku z anginą i temperaturą prawie czterdziestu stopni. Poczuła ogromną ulgę, gdyż była to doskonała wymówka, by mogła od razu wracać do domu, a jednocześnie przytłoczyło ją z tego powodu poczucie winy.

Ostatnio Marcus coraz częściej miewał anginę. Antybiotyki przestawały działać, a chłopiec był tak wycieńczony, że Helen zgodziła się na propozycję Jamesa Bensona, żeby od razu wyciąć małemu migdałki.

— Są wielkie jak kule do bilarda, znacznie lepiej będzie się czuł bez nich. Operacja nie wyleczy astmy, ale choroby wynikające z zakażeń migdałków dodatkowo go osłabiają. W Motcliffe w Oksfordzie jest bardzo dobry specjalista, Marcus spędzi w szpitalu zaledwie cztery lub pięć dni.

— A będę mogła przy nim być?

— Szczerze odradzam. Ostatnio miała pani chyba dużo stresu. — Benson miał wrażenie, że nigdy nie widział jej w tak złym stanie. — Proszę zostawić go specjalistom, którzy przeprowadzają pięćdziesiąt takich operacji w tygodniu.

— Czyli inaczej mówiąc, nie sprawdzam się jako matka — powiedziała Helen.

— Nie, skąd — zapewnił ją Benson. — Raczej jest pani za dobra.

— Na pewno zeszły rok był bardzo ciężki. Myśli pan, że jego astma mogła się z tego powodu nasilić?

Benson wzruszył ramionami.

— Zapewne. Dzieci są jak radary. Marcus na pewno zdaje sobie sprawę, jak bardzo nieszczęśliwa jest pani z Rupertem.

„Chwała Bogu, że nie zabraliśmy dzieci do Kenii” — pomyślała Helen.

— Rupert nie będzie chciał, żebym była z Marcusem w szpitalu.

— Niech pani tego nie robi. Proszę go odwiedzać w dzień, jak najbardziej, ale potem wracać do domu i porządnie się wyspać.

Na początku marca, w przeddzień operacji usunięcia migdałków u Marcusa, Helen i Rupert poszli wieczorem na duży bal w Londynie, na którym zbierano fundusze dla partii torysów. Zwykle Rupert odrzucał takie zaproszenia, lecz, co zaskakujące, raczej popierał Margaret Thatcher, nową panią premier. Uważał też, że jeśli torysi mają się utrzymać przy władzy, trzeba im pomagać.

— Gdyby socjaliści dorwali się do władzy i wprowadzili podatek dla najbogatszych, nie mogłabyś sobie pozwolić na prywatną operację Marcusa.

Pojechali z kilkoma ministrami i ich żonami. Dla Helen wieczór był koszmarem. Z zapadniętymi oczami, szczuplejsza niż zwykle, siedziała w czarnej sukience, którą znów trzeba było zwęzić. Wiedziała, że psuje innym zabawę, ale potrafiła myśleć tylko o Marcusie w białym szpitalnym łóżku i nożu chirurga, który rano wbije się w jego gardło. Wokół przy stolikach siedziały rozgadane, eleganckie kobiety flirtujące z mężczyznami o gładko zaczesanych włosach. Przy ich stoliku brunetka w brylantach, strzelająca oczami wokół, która długo i namiętnie tańczyła z Rupertem, trzymała dyskretnie za rękę ministra torysów, jednocześnie prowadząc ożywioną rozmowę z jego żoną.

„Oni wszyscy tylko o jednym” — pomyślała Helen z rozpaczą.

Rupert właśnie schodził z parkietu, rozglądając się wokół w poszukiwaniu świeżych talentów. Do licha, właśnie podchodzi do Amandy

Hamilton, podziwianej żony ministra spraw zagranicznych. Ona uśmiecha się do niego, a on prowadzi ją do tańca. Kobieta musi mieć już ze czterdzieści lat, ale jest atrakcyjna. To dzięki niej Rollo, jej mąż, odnosi kolejne sukcesy, ona zna wszystkich i ściśle przestrzega kalendarza imprez towarzyskich.

Rupert poznał już Amandę Hamilton na przyjęciu w czerwcu i szybko zaprosił ją na obiad.

— Nie mogę — powiedziała wtedy swoim przenikliwym, wysokim głosem. — W przyszłym tygodniu jest Ascot.

— No to w kolejnym.

— Nie, potem są zawody tenisowe.

Rupert był lekko zbity z tropu. Amanda wyjaśniła, że konkurs na Wimbledonie trwa przez dwa tygodnie, a ona do czternastej każdego dnia musi zająć miejsce na centralnym korcie.

Potem tłumaczyła cierpliwie, że jedzie z Rollem do Stanów, następnie do Goodwood i do Szkocji.

Teraz, trzymając ją w ramionach w półmroku sali balowej, kiedy orkiestra grała *Ten facet się w tobie kocha*, Rupert podziwiał jej okrągłe ramiona, białe jak magnolie. Nagle otworzyły się boczne drzwi i na parkiet weszła kolejna para. Na krótko na miękką, delikatną jak szkocka mżawka twarz Amandy Hamilton padło ostre światło. Kobieta nie odwróciła się, gdyż jej pozbawiona zmarszczek i wad uroda nie musiała chować się w półmroku.

— Jak minął Wimbledon? — zapytał Rupert.

— Było ciekawie. Ten Amerykanin, który prawie wygrał, jest naprawdę rozpuszczony, ale faktycznie umie grać. Podziwiam taką motywację. Wydaje się dziwne, że nikomu nie przeszkadzają wyskoki malarzy, muzyków czy aktorów, podczas gdy tenisiści, w końcu również swego

rodzaju artyści, mają się godnie zachowywać. Przypomina ciebie. Ostatnio miałeś sporo złej prasy, prawda?

— Zauważyłaś? — zapytał Rupert.

— Utarczki z sędziami, przygody z gwiazdkami, znęcanie się nad końmi.

Rupert wzruszył ramionami.

— Nad żoną też się znęcasz? Dlatego wygląda tak nieszczęśliwie?

Rupert zerknął na Helen siedzącą sztywno ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

— A jak myślisz? — zapytał.

— Wygląda tak, jakby dentysta borował jej tylny ząb, a wcześniej zapomniał podać znieczulenie.

Rupert uśmiechnął się szeroko.

— Dla mnie to nie jest zabawne. Dlaczego wciąż tak źle ją traktujesz, skoro jest taka piękna?

— Rzuciła mnie na czas postu.

— Nie powinieneś mieć do niej pretensji, skoro sam rzucasz się na wszystko, co nosi spódniczkę albo spodnie. W tej chwili dziewczyny już chyba nie noszą spódniczek.

— Coś bardzo się interesujesz moją karierą. — jego dłoń zaczęła delikatnie zataczać koła na jej plecach.

— Zadziwia mnie, że ktoś o tak wielkich zaletach godzi się z tym, że świat widzi jego tak odrażający wizerunek.

— Wiem, co myślą o mnie przyjaciele, inni się nie liczą.

Amanda Hamilton pokręciła głową tak, że w jej ciemnych włosach zamigotały perłowe grzebyki.

— Kiedyś znudzisz się jazdą konną i nabierzesz ochoty, by zająć się czymś poważniejszym.

— Na przykład wspólną wycieczką do Paryża.

— Rollo powiedział, że chyba mężczyźni powinni się czuć obrażeni, jeśli Rupert C-B nie zainteresuje się ich żonami.

Rupert objął ją mocniej i przesunął rękę wyżej, aż napotkał nagie ciało.

— Za nic nie chciałbym obrazić Rolla — powiedział cicho.

— Mógłby ci bardzo pomóc. Myślałeś o tym, żeby zająć się polityką?

— Nie.

— Nadawałbyś się. Masz wygląd, silną osobowość, magnetyzm i błyskotliwość.

Rupert odpowiedział śmiechem.

— Ale brakuje mi inteligencji. Moja żona twierdzi, że prostak ze mnie.

— Masz zdrowy rozsądek, słyszałam też, że doskonale sobie radzisz z przemówieniami.

— Znacznie lepiej idzie mi przemawianie w trakcie kolacji i to do jednej osoby, najlepiej do ciebie. Kiedy pójdziesz ze mną na kolację?

— Jutro jedziemy do Gstaad. O, muzyka się skończyła. — kobieta klasnęła parę razy w ręce i odwróciła się do swojego stolika.

Rupert złapał ją za ramię.

— Zaczekaj. Za sekundę znów się zacznie.

— Nie — odparła Amanda z łagodną stanowczością. — Przetańczyliśmy już wystarczająco dużo czasu. Wracaj i zajmij się swoją biedną żoną. Oboje musicie przyjść do nas na kolację w przyszłym miesiącu, kiedy Rollo wróci z Moskwy.

— Nie, dziękuję. Nie mam ochoty na bliższą znajomość z twoim mężem.

Amanda uśmiechnęła się i pogłaskała go po policzku.

— Pomyśl, czy nie zająć się polityką. Mówię poważnie.

Rupert wbił w nią spojrzenie. Nie uśmiechał się.

— Poważnie — podkreślił — interesuje mnie tylko zdobycie złota.

Dwa dni później Jake Lovell szedł długimi korytarzami szpitala Motcliffe, żeby przywitać się z siostrą oddziałową w nadziei, że zobaczy również anielską siostrę Wutherspoon. Przez jakąś głupią freudowską pomyłkę w kalendarzu lub może dlatego, że tak bardzo zależało mu na tym, by lekarz pozwolił mu znów jeździć — na wizytę u pana Buchannana przyjechał pięć godzin za wcześnie. Według sekretarki pan Buchannan właśnie operował i będzie można do niego wejść najwcześniej o szesnastej.

Ten dzień był pełen znaków. Od południa poprzedniego dnia padał śnieg, więc rano razem z Tory musieli odkopywać samochód. Przy wyjeździe z Warwickshire drogę przecięły mu dwie sroki. Na drodze przez Oksford napotkał nieparzystą liczbę zielonych świateł. Z parkingu do drzwi wejściowych miał pięćdziesiąt jeden kroków. W windzie było jedenaście osób. Według jego horoskopu aspekt Wenus był dobry, czekał go dzień rozstrzygający. Miał nadzieję, że będzie to rozstrzygnięcie na korzyść. Miał dość załamań. Przysiągł sobie, że jeśli Johnnie Buchannan pozwoli mu znów jeździć, dostanie się do drużyny olimpijskiej. Do konkursu indywidualnego ósmego września miał równo pół roku.

Pielęgniarki na oddziale przywitały go jak dawno niewidzianego brata.

— Jak dobrze chodzisz! W tym tempie pobijesz Sebastiana Coe w wyścigu na osiemset metrów.

W szpitalu było bardzo ciepło. Na dworze wciąż padał gęsty śnieg, zacierając kontury drzew i kładąc się czystą warstwą na trawniku. W gęstniejącej bieli lśniły pomarańczowe światła latarni ulicznych. Czując się oddzielony od rzeczywistości, Jake zapytał o siostrę Wutherspoon.

— Wzięła dwa dni urlopu — powiedziała Joan, krościasta i pulchna przyjaciółka siostry Wutherspoon. — Ale była wściekła, że się nie spotkacie. Zostawiła ci numer, gdybyś chciał zadzwonić do niej do domu — dodała, ciesząc się na myśl o ewentualnym wyswataniu Jake’a.

Jake schował kartkę z numerem do kieszeni. Musi jakoś przeczekać pięć godzin — może zaprosi pielęgniarkę na obiad. W drodze do telefonu minął sale prywatne. Dobiegał z nich nieludzki, zwierzęcy odgłos, jakby królika złapano w sidła. Krzyki się nasilały i stawały coraz bardziej przerażające.

Jake szedł dalej. Wyszedł zza rogu i o mało nie został zbity z nóg przez wielkiego niedźwiedzia wyskakującego z sali.

— Co, do cholery? — warknął.

W tej chwili uświadomił sobie, że to kobieta w obszernym jasnym futrze, z twarzą zalaną łzami. Wydawała się oszalała z przerażenia.

— Przepraszam — wyjąkała. — Nie wiem, co robić. Marcus tak okropnie krzyczy. Coś chyba poszło nie tak.

Jake rozpoznał Helen Campbell-Black.

— Gdzie on jest? — zapytał, przekrzykując wrzaski.

— Tutaj. Przed chwilą wycięli mu migdałki. Miałam przyjść później, ale chciałam być przy nim, kiedy wróci z sali operacyjnej.

Jake wziął ją pod ramię.

— Chodźmy do niego.

Marcus wciąż krzyczał. Był blady jak poduszka, a biała koszula nocna, spryskana krwią, przypominała śmiertelny całun. Jake łagodnie pogładził rude włosy dziecka.

— Wkrótce zaśnie.

— Nie mogą mu dać czegoś przeciwbólowego?

— Właśnie dostał końską dawkę morfiny. Przy przełykaniu pewnie czuje się tak, jakby ktoś bił go młotkiem w głowę.

Wrzaski stopniowo cichły, zamieniając się w wielki, rozdzierający szloch, aż w końcu Marcus zapadł w niespokojny sen.

— Teraz będzie dobrze — powiedział Jake, poprawiając mu kołdrę.

— Na pewno? Dlaczego tak krzyczał?

— Od razu po operacji lekarz musi wybudzić pacjenta, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. To samo przechodziliśmy z Darklis i Isą. Kiedy obudzili się później, czuli się doskonale. Darklis była w świetnym nastroju, wieczorem już zajadała się lodami i galaretką z malinami. A kiedy się obudziła, zapytała, kiedy znów będzie miała wycinane migdałki.

Helen patrzyła na niego oszołomiona, jakby tylko w połowie rozumiejąc to, co mówił.

— To... To Jake, prawda? Jake Lovell? — zapytała wolno. — Nie poznałam cię.

— Nie byłaś w stanie poznawać znajomych.

Nagle Helen podskoczyła gwałtownie, gdyż z korytarza znów dobiegł wrzask.

— Nie martw się — powiedział uspokajająco. — To kolejne dziecko wraca z operacji. Wszystkie tak krzyczą.

Obudzony Marcus znów zaczął płakać. Helen pospieszyła do niego.

— Aniołku, proszę, uspokój się.

Po kilku sekundach chłopiec znów zasnął. Odczekali kwadrans — każdy odgłos wydawał się stokroć głośniejszy: klakson za oknem, śmiech pielęgniarki, nawet śnieg gromadzący się na parapecie za oknem — lecz Marcus się nie obudził. Jake zerknął na zegarek.

— Chodź, postawię ci drinka.

— Nie mogę go zostawić.

— Możesz. Porozmawiam z moją znajomą, Joanie. Jeśli mały chociażby piśnie, zadzwonią do nas do pubu i od razu tu przybiegniesz.

Na dworze wciąż padał śnieg. Ciężkie płatki jak gęsi puch przygniatały krzewy ligustru w ogrodzie szpitalnym, osiadały na kołnierzu futra Helen, na noskach jej skórzanych kozaków i sklejały jej rzęsy. Jake szedł powoli.

Podłoże było zdradliwe, a on nie może sobie pozwolić na upadek, nie dzisiaj. Dotarli do parkingu, kiedy Helen powiedziała:

— Nie mogę iść, przepraszam.

Jake poprowadził ją do swojego land-rovera, a tam posadził na rzemieniu z ogłowia i egzemplarzu magazynu jeździeckiego. Śnieg przysłonił wszystkie okna. Jake mówił tylko: „No już, cicho” — delikatnie, niemal z roztargnieniem, gładząc ją po ramieniu. Stopniowo najsilniejszy atak płaczu mijał i Helen już tylko szlochała.

— Tak cię przepraszam! — powtarzała. — Jaka ze mnie kretynka. Przepraszam, wybacz mi.

— Jeśli nie chcemy oboje zamarznąć — powiedział Jake — powinniśmy znaleźć ten pub.

Helen spojrzała na niego — miał na sobie tylko cienką kurtkę i przemoczone buty.

— Bardzo przepraszam — powtórzyła drżącym głosem. — Nie mogę tak wejść do pubu.

Jake podał jej torebkę.

— No to przypudruj się.

W pubie Jake znalazł dla Helen miejsce przy kominku i poszedł zamówić potrójne brandy. W lustrze nad barem zobaczył Helen wpatrzoną niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. „Chryste — pomyślał — to ona powinna znaleźć się w szpitalu”. Zaniósł kieliszki do stolika i podał jej jeden.

— Jestem wiernym bernardynem przedzierającym się przez śnieg, żeby przynieść ci zapasy — powiedział.

Helen się nie odezwała.

— No pij, pomoże ci.

Jake zauważył, że jej drogie kozaki luźno leżą na łydkach, a spódnica, podtrzymywana jedynie zamszowym paskiem, wymagała już kolejnej przeróbki. Helen łyknęła, skrzywiła się, zachłysnęła i znów upiła. Niestety, smak brandy bardzo przypominał jej ostatnią noc w Kenii.

— Gdzie Rupert?

— Pojechał na narty.

— Niepotrzebnie, tu ma mnóstwo śniegu. Kiedy wraca?

Helen wzruszyła ramionami.

— Za pięć dni, może za tydzień.

— I zostawił cię, żebyś sobie sama z tym wszystkim radziła?

— Powinnam wracać — powiedziała niespokojnie Helen.

— Nie, nie powinnaś. Zadzwonią, jak się mały obudzi.

— Biedaczek, wciąż chorował — powiedziała. — Taki był rozemocjonowany, kiedy szedł do szpitala. Dostawał prezenty, wszyscy dla odmiany przejmowali się bardziej nim niż Tab, wszyscy oprócz Ruperta oczywiście.

— Powinien zostać na oddziale. Wśród innych dzieci zapomni o tym, że go gardło boli. Darklis i Isa nie chcieli wracać do domu.

Wciąż wchodzili ludzie, otrząsając śnieg z butów. Po przeciwnej stronie kominka dwójka studentów delektowała się piwem i jajkami po szkocku smażonymi w panierce. Włosy Helen lśniły w świetle ognia. Nagle spod jej ciemnych okularów znów zaczęły płynąć łzy.

— O Boże — wyszeptała zdławionym głosem.

— Nie martw się.

— Nie mam chusteczek.

Jake zaczął przynosić jej pojedyncze serwetki z sąsiednich stolików i podawać. Kelnerka, która próbowała trzymać stoliki w gotowości dla ludzi

przychodzących na lunch, z dezaprobatą westchnęła, stawiając nowe serwetki.

— Czy podać kartę, proszę pana? — zapytała znacząco.

— Tak, później, ale na razie poproszę jeszcze dwie duże brandy, dobrze? — Jake podał jej pięć funtów i dodał: — Proszę zatrzymać resztę.

Kelnerka spojrzała z ciekawością na Helen, przypuszczając, że ktoś w szpitalu zmarł. Potem spojrzała na Jake'a. Jego twarz wydawała się znajoma, zwłaszcza te ciemne, ponure oczy. Na pewno widziała go w filmach *Poldark* albo *Jamaica Inn*.

— Kim jest ten gość przy kominku? — zapytała koleżankę. — W czym on grał?

— Może to piosenkarz. Nie, zaczekaj, to skoczek! Jeździ konno. To ten, który złamał nogę. Doktor Millett nam opowiadał. Bali się, że będą musieli ją amputować, ale on naprawdę walczył i udało mu się. Jak on się nazywa... Rupert Lovett, Jack Lovett?

— Jake Lovell — poprawiła pierwsza kelnerka.

— Proszę, panie Lovell — powiedziała, stawiając brandy na stole. — Ile wody dolać? Czy mogę poprosić o autograf dla siostrzenicy? Ona uwielbia konie.

Jake nabazgrał swoje imię i nazwisko na odwrocie bloczka rachunków i odwrócił się znów do Helen. Zaciekawiło go czysto teoretycznie, dlaczego jest w tak kiepskim stanie. Nigdy nie podziwiał jej urody — uważał ją za zbyt chudą, delikatną i wyrafinowaną, poza tym jej związek z Rupertem sprawiał, że w jego oczach była przegrana. Jednak teraz coś go do niej przyciągało, tak jak kiedyś do Macaulaya i wszystkich istot terroryzowanych przez Ruperta. Ponieważ od prawie roku nie jeździł, nie znał wszystkich aktualnych plotek. Oczywiście czytał o Samancie

Freebody, ale to się wydarzyło zbyt dawno temu, by wywołać teraz taką traumę.

— To piękny dzieciak — powiedział.

Na twarzy Helen pojawił się cień uśmiechu.

— Jest wyjątkowo inteligentny. Jeszcze nie ma czterech lat, a zaczyna czytać.

— Rupert już wsadził go na konia?

— Mały ma alergię na konie.

— Chyba urodził się w niewłaściwej rodzinie, co? Na pewno nie ma alergii na ojca?

— Rupert uważa go za mięczaka — odparła gorzko Helen. — Już nie może się doczekać, kiedy wyśle go do szkoły.

— Dokąd pójdzie?

— Do St. Augustine, jeśli Rupert postawi na swoim.

— Boże, nie wysyłajcie go tam — powiedział Jake przerażony.

— Jaki był Rupert w szkole? — zapytała Helen.

— Taki jak teraz, inkwizytor.

Helen spojrzała na niego nieco przytomniej.

— Zawsze tak go nie znosiłeś?

— Od dwudziestu lat.

— Miał okropne dzieciństwo — powiedziała Helen. — Matka tak naprawdę go nie kochała.

— Co świadczy o jej dobrej intuicji — odparł Jake.

Podeszła do nich kelnerka, tym razem szeroko uśmiechnięta.

— Czy mogę przyjąć zamówienie? I czy mogę poprosić o autograf dla córki szefa?

— Poproszę stek zapiekany z cynaderkami, frytki i kalafior w sosie serowym — powiedział Jake.

— Ja niczego nie chcę — zaprotestowała Helen.

— Nie wygłupiaj się. Jeszcze butelkę czerwonego wina — Jake zwrócił się do kelnerki. — Musisz jeść — powiedział po chwili. — Kiedyś też się głodziłem, zanim nie nawrócił mnie Dino Ferranti. Zawsze twierdził, że większość depresji powoduje zmęczenie i niedojadanie.

— Lubiłam Dina — przyznała Helen. — Był bardzo sympatyczny.

— Wszyscy go lubiliśmy — potwierdził Jake. — Fen tęskni za nim jak diabli, ale duma nie pozwala się jej do tego przyznać.

Przyniesiono zamówienie. Jake rzucił się na danie tak, jak tylko chudzi ludzie potrafią. Helen nagle stwierdziła, że jednak mimo wszystko jest głodna. Była to wyjątkowo smaczna zapiekanka z wołowiny i cynaderek, a do sosu pieczeniowego dodano wina.

Jake z aprobatą pokiwał głową.

— Jak się ma Rocky?

— Rupert uważa, że to najlepszy koń, na jakim jeździł.

— Sporo za niego zapłacił.

— A jak Macaulay?

Twarz Jake’a złagodniała.

— To coś innego. Po śmierci Żeglarza przysiągłem sobie, że nigdy nie polubię tak bardzo żadnego konia. Ale Macaulay naprawdę mnie podbił. Gdyby umiał czytać, sam by sobie radził. Nie jest pewnie koniem klasy światowej, ale tak bardzo się stara i wkłada w skoki tyle serca...

— Nie przepada za Rupertem.

Jake uśmiechnął się szeroko.

— To też nas łączy.

Po dobrym początku Helen nie była w stanie skończyć obiadu. Zaróżowiona wyglądała tak, jakby miała gorączkę.

— Powinnam wracać.

— Zadzwonię i sprawdzę — zaproponował.

Kiedy wrócił, stwierdził, że zniknęła. Myślał, że uciekła, ale zobaczył jej koszyk z egzemplarzem *Braci Karamazow* i numerem „Guardiana”. Kiedy wróciła, zauważył, że podpudrowała zarumienione policzki i przygładziła rozczochrane włosy. Wiedział, że to nie dla niego — po prostu odruch kobiety, która lubi zawsze wyglądać perfekcyjnie.

— Wszystko dobrze — powiedział, wstając. — Wciąż jeszcze śpi. Wszyscy uważają, że prześpi co najmniej kilka godzin. — dolał jej do kieliszka.

— Jesteś dla mnie życzliwy — powiedziała powoli; miał wrażenie, jakby po raz pierwszy tak naprawdę go zauważyła. — Co ty tu robisz?

Jake opowiedział jej o wszystkim.

Helen znów przygniotło poczucie winy.

— To dla ciebie ważny dzień, przepraszam! Tak bardzo mnie pochłonęły własne problemy, że o nikim innym nie myślałam. Masz nadzieję, że pojedziesz do Los Angeles?

Jake odpukał.

— Tak, jeśli Johnnie Buchannan pozwoli mi jeździć. Mam pół roku na powrót do formy.

— Zabierzesz Macaulaya?

— Chciałbym, chociaż Hardy teoretycznie jest lepszy. Dobrze jeździ z Fen, ale wciąż się buntuje i jest nieprzewidywalny. Boże, gdybym tak miał rok do dyspozycji!

Spoglądając na niego, Helen nagle zobaczyła, jak budzi się w nim ten uparty, napędzający go do działania fanatyzm sportowca, który chce sięgnąć po olimpijskie złoto.

— Buchannan ostrzegł mnie, że może już nigdy nie wsiądę na konia. Obiecałem, że jeśli mnie naprawi, to przywiozę mu medal. Gadam jak

wojownik, co?

Nagle przerwał, zarumienił się lekko, uświadamiając sobie własną obsesję, jakby chciał ją ukryć.

Helen spojrzała na czarne włosy, grube ciemne rzęsy i szczupłą, czujną twarz. Nagle skrzywiła się i dotknęła skroni.

— Co się dzieje?

— Miewam bóle głowy. Zaczynają się normalnie, potem przechodzą na zęby, a następnie pojawiają się w uszach.

— Nerwoból — stwierdził Jake. — Z napięcia.

Było mu jej naprawdę szkoda. Przypominała lisiczkę uciekającą przed psami, przyczajoną w paprociach na moment odpoczynku, by odzyskać oddech. Za minutę znów zerwie się do biegu, czujna, przerażona, że ją zabiją. Ale Rupert jej nie zabił. Całkowicie zniszczył w niej poczucie własnej wartości.

Wychodzili z pubu wciąż w padającym śniegu ograniczającym widoczność, więc widzieli tylko zamglone sylwetki wież Oksfordu.

— Piękne miasto — odezwała się cicho Helen. — Siedziba przegranych spraw i zapomnianych wierzeń, niepopularnych imion i niemożliwej wierności.

— Nie można być wiernym Rupertowi — powiedział Jake oschle.

Chodnik był tak śliski, że Jake powinien się jeszcze bardziej bać upadku. Jednak po winie udało mu się przejść całą drogę bez poślizgnięcia i potknięcia.

Helen nie mogła się nadziwić, że Marcus tak szybko wraca do zdrowia. Kiedy piątego dnia przyjechała, by zabrać go do domu, zastała go bawiącego się przepięknym modelem cyrku. Byli tam klauni, figurki psów w krezach, treser, a nawet balerina w różowej spódniczce, którą można było

posadzić na kłusującego konia z różowym pióropuszem. Wszystkie pielęgniarki zebrały się wokół, bawiąc się z małym.

— Jakie to piękne! — powiedziała zachwycona Helen. — Kto ci to dał?

— Dake.

— Dake? — zdziwiła się Helen.

— Dake z bolącą nogą. Teraz jest lepiej. Chcę zobaczyć Dake’a.

— O kogo mu chodzi?

— To Jake Lovell — wyjaśniła ciepło siostra Wutherspoon. — Wpadł wczoraj wieczorem w drodze do Warwickshire, przywiózł ze sobą ten cyrk. Marcus był trochę niespokojny, bo czekał już na powrót do domu. Siostra Tethers, która miała dyżur, musiała się zająć bardzo chorym dzieckiem. Jake kilka godzin bawił się z Marcusem.

— Jakie to miłe — powiedziała Helen. — Naprawdę bardzo, bardzo miłe.

— W poniedziałek wieczorem pan Buchannan pozwolił mu jeździć. Chyba Jake jeszcze nie zszedł na ziemię.

— Tak bardzo się cieszę! — powiedziała Helen. — Pamiętał o Marcusie.

— Chcę zobaczyć Dake’a! — żądał Marcus.

51

ZIMA NIE CHCIAŁA USTĄPIĆ, ale w końcu śnieg stopniał, pokazały się tojady i przebiśniegi. Helen przyglądała się, jak psy Ruperta depczą jej krokusy, łamiąc ich kruche główki. Stwierdziła, że przeszkadza jej to mniej niż kiedyś.

Chodziła na długie samotne spacery po lesie, a wtedy jej myśli zbyt krążyły wokół Jake'a Lovella. Często wyjmowała atlas drogowy; uświadamiała sobie wtedy, jak daleko jechał przez śnieg, by podarować Marcusowi cyrk. Przypominała sobie, jak nie zdenerwowały go jej łzy i jak przemarznięty, siedząc w samochodzie, głaskał ją po ramieniu.

Przyglądając się wiośnie przebijającej się z bolesną powolnością, zastanawiała się, jak mu podziękować za obiad i zabawkę dla dziecka. Nie chciała pisać, bo list mogłaby otworzyć jakaś sekretarka. Może Jake powiedział Tory o obiedzie, ale jeśli nie, to mogłaby go postawić w niezręcznej sytuacji. Listy osobiste zawsze przyciągają uwagę, kiedy przybywają do domów prywatnych. Pamiętała, ile ich przychodziło do Ruperta przez wszystkie te lata — zwykle w jaskrawych kopertach, czasami z napisem „SWALK”[1] na odwrocie — i jaką miała ochotę je otworzyć. Wiedziała, że Janey nie miałaby żadnych skrupułów.

Rozmawiając z nią kiedyś w kuchni i przeglądając najnowszy numer „Horse and Hound”, zaskoczona znalazła zdjęcie Jake'a. Podpis pod spodem informował, że Jake wraca na arenę na wielkanocnym konkursie w Crittleden. Autor artykułu pisał, że czytelnicy z pewnością radośnie przyjmą powrót tego doskonałego, lecz bardzo tajemniczego zawodnika. Najwyraźniej sportowiec już wrócił do zdrowia po jednym z najcięższych

wypadków w historii skoków i nauczył się chodzić dzięki swojej żelaznej woli i determinacji. Dalej wychwalał jego bardzo ze sobą związaną, kochającą rodzinę i tłumaczył, że Jake nie odniósł sukcesów międzynarodowych na miarę pozostałych skoczków brytyjskich, gdyż wolał występować w kraju, by wieczorami wracać do domu. Malise Gordon jest podobno zachwycony jego powrotem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, selekcjoner ma nadzieję, że Jake stanie do kwalifikacji na igrzyska w Los Angeles.

— Dobrze, że Jake Lovell wrócił, prawda? — zagadnęła Helen.

— Rupert chyba tak nie uważa. — Janey wzięła czasopismo od Helen. — Zawsze uważałam go za przystojniaka. Jak Heathcliff z *Wichrowych Wzgórz* ukrywa cygańską namiętność pod maską absolutnej kontroli. Poza tym nabrał pewności siebie. Wczoraj oglądałam z nim wywiad. mówiąc o swoim powrocie, zdołał złożyć całe zdanie. Poza tym już nie robi wrażenia nadąsanego i obrażonego na cały świat, tylko chłodnego i pełnego rezerwy.

— Słyszałaś może jakieś plotki o jego romansach?

— Nie, pod tym względem ma nieskazitelną reputację. Wystarczy spojrzeć na Tory, od razu widać, że facet nie ma zbyt wysokich wymagań.

— Pewnie interesuje go tylko wejście na szczyt — stwierdziła Helen.

— Być może — odparła Janey z namysłem. — Jednak mężczyźni wyjątkowo trudni do zdobycia mają w sobie coś, czemu trudno się oprzeć, a tego nie można powiedzieć o twoim drogim mężu.

Helen sama się dziwiła, że po tej przerażającej nocy w Kenii wciąż potrafiła przyjaźnić się z Janey. Może dzięki jej zdolności, by przechodzić do porządku dziennego nad najtrudniejszymi sprawami, bez prób usprawiedliwiania lub przeprosin za odrażające zachowanie. Jednak Rupertowi Helen nie potrafiła wybaczyć. Oboje mijali się w domu, nie rozmawiając ze sobą. Byli jak dwie złote rybki w szklanej kuli.

Tydzień przed Wielkanocą po raz pierwszy od wielu dni wyszło słońce. Helen chodziła po domu, gasząc światła, gdyż w pokojach nagle bardzo pojaśniało. Na polach zauważyła drobne czerwone pączki dzikich róż, na zamglonym niebie śpiewały skowronki. „Może umiałabym uciec — pomyślała Helen, wsłuchując się w ich dziwne pogwizdywania. — Może obijam się o szybę, która tak naprawdę nie istnieje”.

Następnego dnia wpadł proboszcz na herbatę, by porozmawiać o zbiórce funduszy na wieżę kościoła. Wchodząc do domu ze stajni, Rupert zastał Helen modlącą się z pastorem w salonie.

— Boże! — powiedział przerażony i od razu się wycofał.

Pastor, który miał białą brodę i cuchnął, wstał, postękując.

— Szkoda, że nie możemy dotrzeć do pani męża — powiedział z westchnieniem. — Chyba mu ciężko.

— On ma raczej inne zdanie na ten temat — powiedziała szybko Helen. — Ale bardzo dziękuję.

Zaniosła naczynia po herbacie do kuchni, gdzie zastała Ruperta z Tab jedzącą czekoladowe jajko. Wspólnie czytali *Dandy*.

— Wesołych śniąt! — powitała ją Tab.

Helen z niezadowoleniem stwierdziła, że mała nie powinna jeść czekoladowych jajek przed Wielkanocą, ale się nie odezwała.

Rupert podniósł wzrok.

— Czy twój znajomy z Hollywood już sobie poszedł?

Helen schyliła się nad zmywarką i zaczęła układać w niej filiżanki i spodki.

— Pomyślałam sobie, że w sobotę mogłabym przyjechać do Crittleden.

— Rocznica twojego pierwszego konkursu — powiedział Rupert. — Wzruszające.

— Umówiłam się na lunch z Godboldami — mówiła dalej Helen, wkładając noże do zmywarki — więc mogłabym potem wpaść na tor. Może przyleciałabym też do Rzymu na kilka dni.

Rupert wydawał się lekko zaskoczony.

— Jak sobie życzysz — powiedział.

Po raz pierwszy od lat Helen z podnieceniem czekała na Crittleden i długo planowała garderobę na zawody. Chociaż pochmurny, kwiecień był suchy, więc nie będzie potrzebowała kaloszy. Wybrała zatem kostium w prążki, białą jedwabną koszulę, popielaty krawat i szary kapelusz.

Po bardzo lekkim lunchu u Godboldów, na którym prawie nic nie zjadła, przyjechała do Crittleden akurat w chwili, kiedy zawodnicy obchodzili tor przed największym konkursem. Rupert spacerował z Obojczykiem i Billym. Jake, wciąż mocno kulejąc, szedł obok Fen. Wydawał się drobny, przejęty i bardzo blady. Oboje milczeli. Fen była od niego zaledwie o kilka centymetrów niższa.

Idąc na padok, Jake czuł narastające mdłości. Ludzie zewsząd machali do niego, kiwali mu głowami i klepali po plecach, on jednak ledwie to zauważał. Dlaczego, do licha, nie wybrał sobie mniejszych zawodów na wielki powrót?

Podbiegła do niego dziewczynka z prośbą o autograf.

— Później — warknął.

Z niewyspania i głodu poczuł zawroty głowy, otoczenie wydawało się coraz bardziej odległe. Przez ostatni tydzień nie dosypiał, drzemał jedynie i budził się z wrażeniem, że spada, potem długo leżał, w wyobraźni przeskakując przeszkody, widząc, jak rosną coraz wyżej i wyżej, niemożliwe do pokonania. Mijały długie godziny, nadchodził świt, a popielniczkę wypełniał stos niedopałków.

Niebo szarzało. Jake zaczął się trząść.

— Wszystko dobrze? — zapytała Sarah. — Nie martw się. W domu skakałeś doskonale. Mac się tobą zaopiekuje.

Macaulay próbował pocieszyć Jake’a na swój sposób, zrzucając mu kapelusz, ale za swoje trudy usłyszał tylko przekleństwa. Kiedy Jake wsiadł, koń spróbował znów — lekkie wierzgnięcie, które kiedyś zawsze wywoływało wybuch śmiechu — ale teraz o mało nie zrzucił jeźdźca i wywołał tylko kolejny potok wyzwisk. Żeby jeszcze bardziej zniszczyć w nim pewność siebie, Rupert skakał na Rock Starze na torze ćwiczebnym, najeżdżając niewłaściwie, tak żeby koń musiał mocno uderzyć się w przednie nogi i na konkursie podnosił je wyżej. „Boże, na żywo to naprawdę piękny wierzchowiec” — uznał Jake. Kasztanowy ogier, pełen utajonej siły ras amerykańskich, o mięśniach prężących się pod skórą jak zwoje stalowych kabli.

Jake przeskoczył kilka przeszkód, po czym, kiedy Macaulay omal nie zrzucił go z siodła, zjechał na padok zewnętrzny, usilnie starając się opanować nerwy. Nagle minął Helen Campbell-Black, która wyglądała jak dżentelmen z miasta, zupełnie nie na miejscu w tym prążkowanym kostiumie.

— Dzień dobry — powiedziała z uśmiechem, podchodząc do niego.

Jake kiwnął krótko głową, zatoczył koło i wjechał z powrotem na padok.

Fen już na niego czekała.

— Twoja kolej — powiedziała. — Powodzenia.

— Powodzenia! — rozległo się ze wszystkich stron.

Kiedyś od razu po wjeździe na tor Jake się uspokajał. Napięcie było niezbędnym elementem przed startem, gdyż pomagało mu się skoncentrować, ale to było w czasach, kiedy jego ciało było sprawne i elastyczne, a nie zesztywniałe z bólu. Teraz czuł się jak dziecko ze szkółki na pierwszym występie. A jeśli naprawdę ktoś go przeklął? To tu padł

Żeglarz. W zeszłym roku w Crittleden pogruchotał sobie nogę. Nieszczęścia chodzą trójkami. Co go czeka dzisiaj?

Macaulay świadomy przerażenia Jake’a na dźwięk dzwonka nagle zdecydował się wziąć sprawy w swoje wielkie kopyta. Popędził do pierwszej przeszkody i przesadził ją z łatwością. Jake chwycił się jego grzywy i jakimś cudem utrzymał się w siodle. Jechał na oślep, zawierzając koniowi. Przez cały czas widzowie patrzyli w napięciu. Nikt nie dopingował okrzykami, gdyż nie chcieli rozpraszać Macaulaya, ale kiedy koń z wielkim zapasem przeskoczył ostatni triplebar, rozległy się gromkie wiwaty, które chyba rozproszyły chmury, gdyż nagle na niebie pojawiło się słońce.

Stojąca obok toru Fen w pierwszym odruchu uściskała Malise’a.

— Udało mu się! — wydobyła z siebie z trudem. — Udało się! Będzie dobrze.

Kiedy Jake zmierzał do wyjazdu z toru, jak zwykle z nieprzenikniona twarzą, wiwaty jeszcze się nasiliły, widzowie wstawali z miejsc i podchodzili do barierek. Helen dołączyła do aplauzu. Czuła się niedorzecznie przygnębiona. Jake prawie jej nie zauważył, a potem potraktował bardzo obcesowo.

— Świetny przejazd — pochwalił Malise.

Jake pokręcił głową.

— To był beznadziejny przejazd i wiesz o tym, ale przynajmniej skończyłem, lecz raczej to zasługa Macaulaya.

Ludzie tłoczyli się z gratulacjami, co go mocno zdziwiło. Wydawali się naprawdę cieszyć z jego powrotu. Ale on nie był jeszcze gotów na przyjmowanie wyrazów uwielbienia i podziwu. Chciał zostać sam na sam z Macaulayem i podziękować mu. Zjeżdżając cicho z padoku, zobaczył

Helen Campbell-Black. Świadomy tego, jak ją wcześniej potraktował, podjechał bliżej.

— Dzień dobry.

Helen uniosła wzrok.

— O, dzień dobry — odparła od niechcenia.

Zapadła chwila ciszy.

— Macaulay dobrze pojechał — wymamrotała z trudem. — Bardzo się cieszę.

— Jak się czuje Marcus? — zapytał Jake.

— Doskonale, dużo lepiej. Od dawna chciałam ci podziękować za obiad i cyrk, który mu przywiozłeś. Bardzo miłe, że nadłożyłeś tyle drogi. — teraz już naprawdę mówiła głupoty.

— Nie ma za co — powiedział Jake.

Po kolejnej chwili milczenia Helen uniosła wzrok, ich spojrzenia się spotkały.

— Mam też twoją chusteczkę — powiedziała, różowiejąc — a Marcus cały czas bawi się w cyrk. Całkowicie go zdobyłeś.

Jake milczał, ale nadal się w nią wpatrywał. Macaulay zaczął przebierać nogami. Helen uniosła drżącą rękę i pogłaskała konia po czarnej szyi.

— Jedziesz do Rzymu? — zapytała, gorączkowo szukając tematu.

— Nie. A ty?

— Tak.

— Nie jedź.

— Co... co takiego? — spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie jedź. Wymyśl coś. Kiedy Rupert wyjeżdża?

— Za tydzień w poniedziałek koło południa. Leci samolotem.

— Dobrze. Po południu będziesz w domu?

— Tak.

— Zadzwonię do ciebie — powiedział i odjechał.

Helen wpadła w panikę. Czy sobie to wszystko wymyśliła? Czy Jake naprawdę tak powiedział? Od soboty w Crittleden do poniedziałkowego wyjazdu Ruperta przez dziewięć dni wpadała na zmianę w podniecenie, przerażenie, zamartwiała się i nie dowierzała.

W ogóle nie zwracała uwagi na to, co się dzieje wokół na zebraniach rozmaitych komitetów i przyjęciach. Jeśli było nudno, myślała tylko o Jake'u. Jednak na sobotniej kolacji u Amandy Hamilton, kiedy Helen, promienna w złocistopomarańczowej tafcie, nagle stała się obiektem zalotów dwóch przystojnych torysów, właściwie za nim nie tęskniła. Amanda była dla niej wyjątkowo miła i prosiła o pomoc we wciągnięciu Ruperta do polityki.

„Może to nie taki zły pomysł — pomyślała Helen. — Mogłoby się wiele zmienić". Przez większość czasu Rupert przebywałby w Anglii, nie musiałby wyjeżdżać o trzeciej nad ranem i może wreszcie przestałby mieć pretensje o rzekomą wyższość intelektualną Helen.

Rupert z wielką ulgą przyjął wiadomość, że Helen nie jedzie do Rzymu. Amanda Hamilton wybierała się tam na turniej tenisowy ze znajomymi. Nie szło mu z nią. Jak powiedział Billy'emu, przypominała meble do samodzielnego składania, znacznie trudniejsze do złożenia, niżby się wydawało. Panicznie bojąc się rozgłosu, odmówiła nawet wspólnego lunchu. Jednak zafascynowała go bardziej niż którakolwiek inna kobieta w ciągu ostatnich lat, zawziął się, że wkrótce zdobędzie.

W poniedziałek samochód Ruperta nie odpalił, więc Helen zawiozła go na lotnisko. Wracając powoli do Penscombe, podziwiała bladozielone liście dzikich wiśni. Dobrze, że nie będzie jej w domu, kiedy Jake zadzwoni.

Wszedłszy do domu, zanurzyła twarz w wielkim bukiecie białego bzu, który napełniał zapachem cały hall. Marcus wybiegł jej na spotkanie,

pokazując rysunek wesołego miasteczka, który namalował w przedszkolu.

— Jakieś wiadomości? — zawołała Helen do Charlene, która siedziała w kuchni.

— Nie. A nie, zaraz, kłamię, dzwoniła pani Bacon w sprawie jarmarku.

— Nikt więcej? Na pewno nie wychodziłaś do ogrodu?

— Nie, całe popołudnie byłam tutaj!

Helen była tak pewna, że Jake będzie o nią bardziej zabiegał. „Dlaczego pani Bodkin nie wyrzuca suchych kwiatów?” — pomyślała, chodząc niespokojnie po salonie, przestawiając ozdoby, nawet powarkując na Marcusa. Próbowała zająć się książką. Minęło pół godziny. Zadzwonił Malise w nadziei, że złapie jeszcze Ruperta. Zadzwoniła Janey poplotkować, potem kierowniczka przedszkola Marcusa, żeby porozmawiać o letnim kiermaszu. Helen potraktowała je obie z nietypową dla siebie szorstkością. Potem zadzwoniła matka Charlene i plotkowała przez dwadzieścia minut. Może Jake tkwi w budce, próbując się dodzwonić,a może zgubił jej numer. Co za przekleństwo mieć numer zastrzeżony. Pozbawione nadzoru niani dzieci wbiegły do salonu. Tab od razu chwyciła brzoskwiniowe jedwabne zasłonki w lepkie paluszki.

— Charlene! — wrzasnęła Helen. — Na miłość boską, skończ rozmowę!

Pojawiła się Charlene ze zbolałą miną.

— Dzwoniła mama. Babcia ma raka jelita grubego.

— Boże! — powiedziała ze skruchą Helen — bardzo mi przykro.

Zadzwonił telefon, Helen podskoczyła odebrać.

— Halo!

— Helen?

— Tak.

— Tu Jake. Przepraszam, że wcześniej nie zadzwoniłem, ale zawody strasznie się przeciągnęły.

Zapadła cisza. Helen bezmyślnie przyglądała się Tab, która dreptała w kierunku stołu nakrytego jasnoniebieską serwetą, na której stały ulubione ozdoby Helen.

— Słuchaj, wiem, że mówię ci o tym w ostatniej chwili, ale jutro będę przejeżdżał w pobliżu. Może zjemy razem obiad?

— Nie wiem. Tab, zostaw serwetę. Zostaw, mówię!

— Podjechać po ciebie?

— Nie! — Helen niemal krzyknęła. — Tab, mówię, zostaw to!

— Znasz pub Czerwonego Słonia w Willacombe?

— Tak.

— To do zobaczenia o pierwszej.

— Dobrze. Zaraz, zaczekaj...

Jednak Jake już odłożył słuchawkę.

Helen podbiegła do córki i wyrwała z jej paluszków figurkę dalmatyńczyka z porcelany z Rockingham.

— Mówiłam, nie ruszaj!

Wzięła Tab na ręce. Nagle poczuła wielkie szczęście, więc zaczęła wirować z małą i pokrywać ją pocałunkami. Dziewczynka piszczała z radości.

— Cukielki! — zażądała, wyczuwając dogodny moment.

— Och, niech ci będzie — zgodziła się Helen. — Skoro naprawdę chcesz się pozbyć zębów...

Przeglądając kalendarz po nieprzespanej nocy, Helen z przerażeniem odkryła, że jest umówiona na obiad charytatywny organizacji walczącej z okrucieństwem wobec dzieci. Jako wiceprzewodnicząca okręgu miała do odegrania kluczową rolę w nakłonieniu darczyńców, by sięgnęli do kieszeni i specjalnie w tym celu miała wygłosić przemówienie po obiedzie.

Przewodnicząca była bardzo niezadowolona, kiedy Helen zadzwoniła do niej z wiadomością, że nie dotrze na obiad. Wyjaśniła, że Charlene musi nagle wyjechać na pogrzeb, więc ona sama będzie musiała zostać w domu i zająć się dziećmi.

— Przecież któraś ze stajennych może z nimi zostać? Bardzo na ciebie liczymy. Twoje nazwisko jest na afiszu, ludzie przyjadą specjalnie dla ciebie. Wszyscy chcą cię zobaczyć.

— Davino, przepraszam, ale naprawdę nie mogę ich zostawić.

— A Janey Lloyd-Foxe?

— Wyjechała. — przerażające, z jaką łatwością przychodziło jej kłamanie. — Naprawdę, nie wybaczyłabym sobie, gdyby Marcus dostał ataku astmy pod moją nieobecność.

Jednak przewodnicząca nie ustępowała. Zadzwoniła ponownie o wpół do dwunastej, kiedy Helen brała kąpiel.

Charlene odebrała, zanim Helen zdołała dobiec do telefonu.

— Dzień dobry, pani Paignton-Lacey, pani C-B właśnie się kąpie.

— Daj mi to! — ociekająca wodą Helen wyrwała jej słuchawkę.

— Zawsze bierzesz kąpiel przed południem? Kto odebrał?

— Charlene.

— Myślałam, że pojechała na pogrzeb.

— Właśnie wyjeżdża.

— Wiesz, chyba znalazłam rozwiązanie dla twoich problemów. Niania Angeli Pitt jest dyplomowaną pielęgniarką, z przyjemnością przywiezie do ciebie maluchy Angeli i zajmie się też twoimi.

— To bardzo miłe — odparła Helen, zauważając, że drzwi sypialni są otwarte, a Charlene prawdopodobnie jest w pobliżu. — Ale niestety odpowiedź brzmi „nie”. — kopnięciem zamknęła drzwi.

— Ależ to absurd. Przecież dyplomowana pielęgniarka lepiej się nim zajmie.

— Lepiej niż własna matka? — powiedziała ostro Helen. — Skoro mamy mówić o znęcaniu się nad dziećmi, to chyba powinnam na pierwszym miejscu stawiać dobro moich dzieci. Dziękuję za pomoc, Davino, ale proszę, nie próbuj układać mi życia. — i odłożyła słuchawkę.

Zerknąwszy na swoje odbicie w łazienkowym lustrze, Helen poczuła się zdziwiona i poruszona własną odwagą. Jednak nagle dopadła ją panika. A jeśli Davina zadzwoni znów po jej wyjeździe, a odbierze Charlene? Albo Marcus naprawdę dostanie ataku astmy? Przerażona tą wizją zadzwoniła do pubu i zapytała, czy może zostawić wiadomość dla pana Lovella. Po długiej przerwie kierownik odparł, że nie ma rezerwacji na nazwisko Lovell, chociaż ma czterech panów Smithów i pięciu panów Brownów, którzy zarezerwowali stoliki na lunch. Helen się rozłączyła. Może Jake w ogóle się nie pojawi.

Słysząc Helen podśpiewującą w łazience *Mam ochotę na miłość*, Charlene pomyślała, że pani Campbell-Black zachowuje się bardzo dziwnie. Poprzedniego dnia puszki z jedzeniem dla Borsuka schowała do zmywarki, a tampony do lodówki. Nawet kiedy Tabitha bawiła się jej szminkami, nie wpadła we wściekłość, jak by to zrobiła normalnie.

Teraz zaś weszła do kuchni w nowym srebrnym kombinezonie i lśniących czarnych kozakach, ze spływającym na plecy długim rudym warkoczem.

— Wygląda pani fantastycznie — stwierdziła Charlene ze szczerym podziwem. — Jak kosmonautka. Powinna pani polecieć na Księżyc. „I tak wygląda, jakby miała za chwilę odlecieć ze szczęścia” — pomyślała.

— Naprawdę ci się podoba? — zapytała Helen nieśmiało, rozpaczliwie pragnąc potwierdzenia.

— Doskonale. Bardzo panią wyszczupla. Szkoda pani na ten obiad — dodała podstępnie Charlene. „Poza tym zadusi ich wszystkich tymi drogimi perfumami — pomyślała. — Chyba się w nich wykąpała”.

Wszedł Marcus.

— Mamusia ładna. Wychodzisz? — zrobił smutną minę.

— Tylko na obiad, zebrać pieniądze dla dzieci, które nie mają tyle szczęścia co ty. Muszę już iść. Nie wrócę późno.

„Bóg mnie pokarze za te wszystkie kłamstwa” — pomyślała.

Jej przerażenie wzrosło w drodze do restauracji, kiedy minęła dwa samochody najwierniejszych członków organizacji spieszących w przeciwną stronę, już spóźnionych na jedną szklaneczkę sherry. Helen zerknęła w lusterko z nadzieją, że nie zaczerwieniła się zbyt mocno. Ze zdenerwowania cały ranek biegała do toalety. Bardzo ciężko będzie iść do toalety w tym kombinezonie, musiałaby go zdjąć w całości. Dojechała do Czerwonego Słonia. nigdzie nie było widać land-rovera Jake’a.

Jake czekał przy barze, dopijając już drugą whisky. Przez chwilę miała wrażenie, że pocałuje ją w policzek, ale on poprzestał na uścisku dłoni.

— Chcesz się napić tutaj czy od razu wchodzimy?

Przy barze siedzieli biznesmeni, patrząc na nią, gdyż jej twarz wydawała się im znajoma i próbowali ją rozpoznać.

— Chodźmy od razu do środka.

Rupert zawsze wywoływał zamieszanie, wchodząc do restauracji, więc Helen dziwiła się, że Jake potrafi się wślizgnąć niepostrzeżenie. Dotarli do stolika w kącie, nie budząc niczyjego zainteresowania. Na stole stał bukiet ciemnofioletowych irysów w niebieskim wazonie.

— To pewnie niezbyt eleganckie, ale może wolisz siedzieć tyłem do sali? — zapytał Jake.

Helen pokiwała głową.

Poprosiła o kieliszek białego wina, więc Jake zamówił od razu całą butelkę i kolejną whisky dla siebie. Helen nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Przedtem łatwo się im rozmawiało, bo wylewała przed nim swoje żale, więc był to właściwie monolog. Teraz siedziała naprzeciwko niego, rozmowa szła bardzo opornie.

Marcus czuje się lepiej. U Darklis i Isy wszystko w porządku. Oboje czuli, że nie wypada im wspominać o Tory i Rupercie. Helen nie miała ochoty pytać o konie, żeby nie zdradzać swojej całkowitej ignorancji. Jake czuł się podobnie, jeśli chodziło o kino, teatr i książki. Pogoda była doskonała, więc omówienie jej zajęło im ledwie pół minuty. Uprzejmy kelner przyniósł karty. Helen, nie patrząc, wybrała stynkę, której nie znosiła, oraz grillowaną jagnięcinę z cukinią.

Właściwie jeszcze nie spojrzała mu w twarz. Wino jakoś nie dodawało jej śmiałości. Rozpaczliwie szukając tematu, pochwaliła się, że na sobotniej kolacji poznała połowę gabinetu cieni torysów. Poniewczasie uświadomiła sobie, że strzeliła gafę, gdyż Jake zapewne żarliwie popiera lewicę. Rozmowy nie ułatwiło przyniesienie dań. Zapadało długie milczenie. Jake nie uśmiechał się i mówił bardzo niewiele. Helen zaczynała się załamywać. Czuła coraz większe przygnębienie. Nie ma uroku, pewnie go nudzi, tak jak nudzi Ruperta i Dina. Spojrzała na srebrzyste ryby w panierce; widziała ich szkliste, wpatrzone w nią oczy.

Nagle Jake przechylił się przez stół, wziął od niej nóż i widelec, złożył je razem i kiwnął na kelnera.

— Czy może pan zabrać talerze i przynieść drugie danie? Ale bez pośpiechu.

— Czy coś nie smakuje, proszę pana?

— Nie, nie. Po prostu nie jesteśmy zbyt głodni.

Helen wbiła wzrok w swoje dłonie, gorączkowo mnące obrus.

— Przepraszam — wymamrotała. — Co za marnotrawstwo.

Jake wyciągnął rękę i bardzo delikatnie zaczął gładzić ją po policzku.

— No już — powiedział cicho — już dobrze. Wszystko w porządku, kochana. Denerwuję się tak samo jak ty.

— Naprawdę? — Helen zaskoczona uniosła wzrok.

— Pewnie nawet bardziej. Panicznie się bałem, że odmówisz. Dopiero o szóstej zebrałem się na odwagę, żeby zadzwonić. Najpierw kręciłem się przy budce, żeby wziąć się w garść.

— A ja myślałam, że już nie zadzwonisz.

— A ja myślałem, że pewnie rano wszystko odwołasz, więc zamówiłem stolik na nazwisko Smith i wyjechałem z samego rana, żebyś nie mogła do mnie zadzwonić.

— A kiedy spanikowałam i zadzwoniłam, żeby odwołać rezerwację, dowiedziałam się, że nie mają takiego nazwiska, więc przestraszyłam się jeszcze bardziej, bo myślałam, że nie przyjedziesz.

Nagle oboje zaczęli się śmiać. Potem Helen opowiedziała Jake’owi o utarczce z Daviną i obiedzie charytatywnym.

— A ty jaką wymówkę wymyśliłeś?

— Powiedziałem, że jadę oglądać konia. Tory patrzyła na mnie tak, jakbym nagle zaczął szczekać. Na razie nie stać nas nawet na trójnogiego osła.

— A ja zostawiłam całą stynkę.

— Nie ma znaczenia, tutejsze koty się ucieszą. Mogę zapalić?

W świetle zapałki Helen zobaczyła jego piękne, namiętne usta o pełnej górnej wardze. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że Jake ma oczy nie czarne, ale ciemnozielone, koloru koszuli, którą miał na sobie.

— Naprawdę masz w sobie cygańską krew?

— Tak. Mój ojciec był czystej krwi Romem. W wieku sześciu lat uciekłem do taboru. Po śmierci matki próbowałem go odnaleźć, przez trzy lata mieszkałem u Cyganów, aż w końcu dopadła mnie opieka społeczna i wysłała do domu dziecka.

— Czyli naprawdę nie masz rodziny?

— Teraz już mam, a kiedy widzę matkę Tory i to, co zrobiła córce, dochodzę do wniosku, że i tak nie trafiłem najgorzej.

— Jak się mieszkało w taborze?

— Bywało zimno i zawsze mieliśmy wrażenie, że gliniarze nas przesuwają z miejsca na miejsce. Ale podobało mi się. Wiele się nauczyłem. jak rozpoznać dobrego konia i tego, że całą przyrodę można traktować jak wielką aptekę. A przy okazji... — włożył rękę do kieszeni i wyjął buteleczkę zielonoszarego płynu.

— Dla ciebie. Na nerwobóle.

Helen wzięła ją z niedowierzaniem.

— Pamiętałeś! Co to jest?

— Wyciąg z lulka. W stanie czystym to śmiertelna trucizna. Crippen użył go do zamordowania żony.

Helen zrobiła zaniepokojoną minę.

— Ale to bardzo mocno rozcieńczony roztwór. Doskonale uspokaja i uśmierza ból. Spróbuj, ale trzymaj w bezpiecznym miejscu.

Helen, poruszona do żywego, spróbowała obrócić sprawę w żart.

— Czy jadasz też jeże?

— Nie — odparł zimno Jake — ani nie przywiązuję ich do pali jak twój mąż.

„A niech to, zdenerwowałam go” — pomyślała Helen.

— A wiesz, że przy łagodnych ludziach jeże kładą igły po sobie? — odezwał się Jake i uśmiechnął niespodziewanie.

„Boże, jest naprawdę przystojny” — pomyślała Helen. Czuła się tak, jakby siedziała na szczycie zaśnieżonej góry, ze związanymi rękami i nogami, i rzucała się w przepaść, niezdolna sterować ani się zatrzymać.

— Przepowiadasz przyszłość?

Jake wzruszył ramionami.

— Trochę. Tak naprawdę ta sztuczka opiera się na oszustwie. Dłoń zdradza styl życia: to, czy jest szorstka, czy wypieszczona, czy paznokcie są obgryzione. Szuka się raczej tego, co zdradzają oczy i usta.

Helen wyciągnęła rękę. Jej pierścionek zaręczynowy, o wiele za luźny, oczkiem przekręcił się do wnętrza dłoni. Przez moment duże szafiry i szmaragdy zamigotały w świetle. Jake przez chwilę przyglądał się jej dłoni.

— Widzę, że w twoje życie wkroczył niski, ciemny nieznajomy.

— Tak uważasz?

— Ja to wiem.

— Zostanie w nim?

— To zależy od ciebie. — lekko przesunął palcem po linii serca. — Niezależnie od twojej opinii jesteś naprawdę namiętną osobą.

Z drugim daniem nie poszło im lepiej niż z pierwszym, ale ponieważ mieli teraz wiele wspólnych tematów, wypili wkrótce drugą butelkę wina.

— Naprawdę chciałeś się ze mną umówić w Crittleden?

— Nie, za bardzo przejmowałem się powrotem na tor.

— Dlaczego zmieniłeś zdanie?

— Nagle zapragnąłem cię jak szalony.

Helen oblała się rumieńcem.

— Od kiedy zabrałeś mnie do pubu na obiad, wciąż o tobie myślę. Początkowo uważałam, że to wdzięczność, ale teraz nie jestem pewna.

Jake odpiął jeden z zamków jej kombinezonu.

— Ładne. Czy to dokądś prowadzi?

— Tylko do kieszeni.

— Miłe. Chciałbym zamieszkać u ciebie w kieszeni.

Helen spojrzała na jego dłoń przy swoim obojczyku, mimowolnie pochyliła się i pocałowała ją, po czym poczerwieniała jeszcze bardziej.

— Nie miałam takiego zamiaru — powiedziała przerażona.

— Wiem. Zmusiłem cię do tego siłą woli.

Siedzieli dalej niepomni ziewających kelnerów spoglądających na zegarki i ostentacyjnie zastawiających stoły po obu stronach sali. Widząc, jak Helen się powoli rozluźnia, a jej wielkie oczy tracą smutny wyraz, Jake nie mógł od niej oderwać wzroku. Zawsze uważał, że jej uroda jest przeceniana. Teraz rozkwitała na jego oczach. Z minuty na minutę wydawała się coraz piękniejsza.

W łazience Helen z zaskoczeniem przyjrzała się swojej twarzy. Trudno jej było uwierzyć, że nie zamieniła się w kogoś innego. Opuszczenie kombinezonu do połowy, żeby się załatwić, zajęło jej długą chwilę, gdyż wciąż rozpinała niewłaściwe zamki. Uświadomiła sobie, że jest naprawdę wstawiona. Zerknąwszy na zegarek, z przerażeniem stwierdziła, że jest za kwadrans czwarta.

Cieszyła się, że w butach bez obcasów jest przynajmniej dwa centymetry niższa od Jake’a. W drodze do samochodu Jake położył dłoń na jej gołym karku. Była to ciepła i uspokajająca dłoń. Miło było iść z kimś tego samego wzrostu. Rupert zawsze nad nią górował.

— Muszę wracać — powiedziała z żalem. — Już jestem bardzo spóźniona.

Jake otworzył jej drzwi samochodu.

— Przejedź kilka mil drogą na Penscombe — powiedział. — Po lewej będzie las. Zaczekaj tam na mnie.

Las był pełen pierwiosnków i fiołków. Przez jedną pełną strachu chwilę Helen myślała, że źle trafiła albo że Jake nie przyjedzie. W końcu jednak pojawił się na szczycie pagórka, wlokąc się za ciągnikiem wiozącym bele siana. Na jej widok gestem rozpaczy uniósł dłonie znad kierownicy.

Momentalnie wyskoczył z samochodu, poprowadził ją do zagajnika. pod ich stopami trzaskały orzeszki bukowe. Potem, kiedy Helen potknęła się o gałąź jeżyn, Jake złapał ją, pociągnął za wielki buk, oparł o pień, ujął jej twarz w dłonie i obserwował jej piegi, rzęsy i żółte plamki w oczach.

— Nawet Helena Trojańska nie była tak piękna — wyszeptał i bardzo delikatnie pocałował ją w usta.

Helen cieszyła się, że ma za plecami pień buku. Przy nikim innym tak bardzo nie uległa. Nie miała ochoty go odpychać, wręcz przeciwnie, chciała, żeby trzymał ją tak zawsze. Jednak kiedy oderwali się od siebie, żeby zaczerpnąć powietrza, jakiś chochlik podsunął jej pytanie:

— To nie dlatego, że jestem żoną Ruperta?

Na moment jego twarz pociemniała z wściekłości jak wtedy, kiedy groził nożem Rupertowi.

— Nie chcę nic, co należy do niego — powiedział przez zęby, zaciskając dłonie na jej ramionach tak mocno, że Helen się skrzywiła. — Zrozum to dobrze. Rupert zatruwa wszystko, czego tylko tknie. Miarą tego, co do ciebie czuję, jest fakt, że cię pragnę, pomimo, że jesteś jego żoną.

Tym razem pocałował ją naprawdę mocno, a ona odpowiedziała pocałunkiem, niemal chciała, by popchnął ją na ziemię i wziął na buczynie. Jednak Jake odprowadził ją do samochodu, twarz miał zaciętą.

— Nie jesteś zły? — wymamrotała. — Dzisiaj było tak przyjemnie. Przebywanie z Rupertem powoduje, że człowiek wpada w sceptycyzm i zaczyna kwestionować pobudki wszystkich wokół.

— Moich intencji nie musisz kwestionować. Jeśli chodzi o ciebie, jestem absolutnie bezpośredni. Nie mogę tylko znieść myśli, że ten gnój ma cokolwiek z tobą wspólnego.

Otworzył drzwi, a kiedy Helen wsiadła, przechylił się, zapiął jej pas i przelotnie pocałował ją w czoło.

— Wiesz, że to dopiero początek?

— Naprawdę? — Helen ogarnęła fala szczęścia.

Jake pokiwał głową.

— Ale nie mogę sobie pozwolić na pośpiech. Mam zbyt wiele do stracenia.

— Masz na myśli Tory i dzieci?

— Nie — odparł powoli — mam na myśli ciebie. Nie chcę cię przestraszyć. Jedź ostrożnie. Zadzwonię jutro po południu.

Dobrze, że w drodze do domu Helen nie napotkała żadnych przedstawicieli drogówki kryjących się na poboczu. Dwa razy zgubiła drogę, poza tym na zgodę kupiła dla Charlene frezje, a dla dzieci słodycze. Naprawdę stacza się w wielkim stylu. Pięć po siedemnastej, nucąc ze szczęścia, weszła do domu.

— Przepraszam za spóźnienie, obiad przeciągnął się niemożliwie. Wszyscy paplali o sponsorowanych maratonach pływackich i kiermaszach. Skarby, co tam jecie na kolację? Hamburgery i frytki? Pyszności.

„Zwykle na widok fast foodu Helen odbija” — pomyślała Charlene, wkładające frezje do wody. Na pewno nie wypiła tylko jednej sherry do golonki.

Wieczorem Charlene poszła na wino z Dizzy, która tym razem nie poleciała do Rzymu.

— Ale obiecaj, że nikomu nie powiesz! Obiecaj!

— Obiecuję.

— O rany — powiedziała z bojaźnią Dizzy kwadrans później. — Nie posądzałam staruszki o coś takiego. Jesteś pewna?

— Na pewno nie rozmawiała o zaniedbanych dzieciach. Pani Paignton-Lacey w drodze do domu podrzuciła protokół ze spotkania. Pani C-B wróciła dopiero dwie godziny później.

— Chryste! — stwierdziła Dizzy. — I dobrze. Czas, żeby ktoś dał nauczkę temu draniowi. Ciekawe, kto to jest.

— Musi być naprawdę wyjątkowy, bo wróciła do domu, prawie unosząc się nad ziemią. Po obiadkach z Ferrantikiem nigdy tak nie wyglądała.

---

[1] SWALK — *sealed with a loving kiss* — zapieczętowane czułym pocałunkiem (przyp. tłum.).

52

NASTĘPNEGO DNIA PO POŁUDNIU Helen wysłała Charlene z dziećmi na majówkę, żeby móc spokojnie porozmawiać z Jake’em bez obawy, że ktoś ją podsłucha. Jednak stopniowo, w miarę upływu czasu, czuła, że uniesienie z niej ucieka jak powietrze z przebitej opony. Stojący w hallu zegar wybił piętnastą, szesnastą, siedemnastą, osiemnastą. Popołudnie minęło. Dzieci wróciły, zmęczone i niesforne, a czując jej przygnębienie i rozkojarzenie, zachowywały się gorzej niż zwykle. Helen spojrzała na zabawki porozrzucane w pokoju dziecięcym i zaczęła je chować, licząc „kocha, nie kocha”. Zapewne Jake zrezygnował. Może Tory narobiła zamieszania, kiedy wrócił do domu, więc uznał, że nie warto podejmować ryzyka.

Wieczór mijał boleśnie powoli. Helen nie była w stanie się skupić na jakiejkolwiek czynności. Przeraziły ją własne myśli samobójcze. Przecież nie mogła tak szybko się zakochać. Sam Jake powiedział, że to dopiero początek. W jej życie wkroczył niski, ciemny nieznajomy. Jak mógł tak ją zranić? Jak mógł przyprawić ją o taką niepewność i rozpacz?

O północy zabrała psy na ostatni spacer. Jak na ironię, wieczór był piękny, ze złotym, niemal pełnym księżycem otoczonym mglistą, różowomorelową poświatą. Porastające skraj lasu wielkie cyprysiki Lawsona wznosiły się jak wieże katedralne, przypominając niemal rzeźby. Idąc po szarych, wykoszonych trawnikach, mijając ciche posągi, widziała kolorowe plamy ostatnich żonkili. Odbicie księżyca w jeziorze zmącił przepływający karp, a potem Borsuk, który napił się wody. Było tak jasno, że Helen widziała niebieskie i zielone kamienie w swoim pierścionku

zaręczynowym. Czy nie ma szansy na żadną ucieczkę, na chwilę oddechu od małżeństwa?

Zrozpaczona zawróciła w stronę domu. Spojrzała w okna swojej sypialni — widać było różowo-żółte zasłony jej wielkiego łoża, w którym wkrótce położy się sama. Wchodząc do środka, usłyszała telefon. Jest po północy, więc to na pewno Rupert. Nigdy nie miał poczucia czasu. Helen przygotowała się psychicznie na rozmowę i podniosła słuchawkę.

— Helen! Możesz rozmawiać? Tu Jake.

Helen wybuchnęła płaczem. Dopiero po minucie Jake zdołał powiedzieć słowo.

— No już, nie płacz, skarbie. Proszę, nie płacz, bo się załamuję. Nie mogłem zadzwonić. Hardy był chory przez całe popołudnie, miał potworny atak kolki. Od drugiej mamy tu weterynarza, dopiero skończył operować. Okazało się, że połknął gwóźdź; już się baliśmy, że padnie.

— Boże, to straszne. Czy wyzdrowieje?

— Jeszcze się nie obudził, ale według weterynarza wyjdzie z tego.

— Tak mi przykro, pewnie bardzo się martwiłeś.

— Nie mogłem dotrzeć do telefonu. Aparat jest w magazynku, a weterynarz i Fen cały czas byli w boksie Hardy’ego, tuż obok. Nie mogę długo rozmawiać, doktor wciąż tu jest, ale muszę jutro się z tobą zobaczyć chociaż na pięć minut.

— Ciężko ci będzie się wyrwać, skoro Hardy jest chory. Podjadę w pobliże.

— To by mi bardzo pomogło. Skarbie, nie płacz już.

Następnego dnia spotkali się na piętnaście minut.

Jake wydawał się ogromnie zmęczony, w ogóle się nie kładł. Jak powiedział, Hardy wciąż z trudem stoi na nogach, ale poczuł się na tyle dobrze, że rano ugryzł weterynarza, więc chyba się wyliże. Przyglądając się

jego twarzy, kiedy opowiadał jej o koniu, Helen poczuła głębokie zawstydzenie. „On naprawdę go kocha — pomyślała. — Rupert nigdy nie potrafił pokochać konia, a właściwie nikogo”. Wczoraj w nocy zapewne cierpiał tak samo jak ona, gdyż nie mógł zadzwonić, a ona powitała go histerią.

Spacerowali po bukowym lesie, wdychając aromat czosnku niedźwiedziego. Wilk biegł przed nimi, a Jake zbierał dzwonki, które pies połamał, żeby Helen mogła dodać im kilka dni życia, zabierając do domu.

Usiedli na zwalonym pniu. Helen zwiesiła głowę, ściskając w dłoni kwiatki. Tego dnia upięła włosy do góry, Jake powoli wyjmował każdą spinkę z osobna, aż w końcu włosy lśniącą rudą kaskadą spłynęły jej na plecy.

— Nie upinaj ich. Wyglądasz tak, jaka byłaś, zanim... — przerwał — zanim cię poznałem.

Po chwili odezwał się bardziej żywo:

— Słuchaj, musimy sobie coś wyjaśnić. Jesteś żoną skoczka na tyle długo, by wiedzieć, że przy koniach zawsze coś się może zdarzyć. Nie mogę ci na sto procent zagwarantować, że zadzwonię albo przyjadę o konkretnej porze.

— Wiem — odparła Helen drżącym głosem — ale tak bardzo brakuje mi pewności siebie.

— Wiem o tym — powiedział, wsuwając dłoń pod jej podbródek i unosząc twarz do góry. — Chcę ci ją przywrócić, ale musisz dać mi szansę i pamiętać, że jeśli nie zadzwonię albo nie przyjadę, to tylko dlatego, że naprawdę nie mogę. Wczoraj szalałem z niepokoju o Hardy’ego, ale sto razy omal nie zaryzykowałem i nie podniosłem słuchawki, chociaż to było szaleństwo, bo mogła odebrać Tory. Trudno nam znaleźć czas na spotkania, nie komplikując wszystkiego. No dobrze, koniec wykładu, nie będę cię

całował, bo w ciągu ostatniej doby wypaliłem pewnie ze sto papierosów, a nie chcę cię zniechęcić, zanim w ogóle zaczniemy.

— Nie zniechęcisz mnie, naprawdę! — rzuciła mu się w ramiona na pół z płaczem, na pół ze śmiechem.

Jake trzymał ją przez długi czas w objęciach, w milczeniu gładząc ją po włosach. W końcu się odezwał:

— Jutro na trzy dni wyjeżdżam do Bath i Wells. Może przyjedziesz? Moglibyśmy pójść na kolację.

— Byłoby wspaniale.

— Albo zarezerwuję pokój w jakimś hotelu.

Poczuł, że Helen sztywnieje.

— Nie wiem...

Jak ma wyjaśnić, że tak bardzo jej na nim zależy, że nie może znieść myśli, iż mógłby ją zostawić już teraz? Wiedziała, że to w końcu nastąpi, kiedy Jake się zorientuje, jak kiepska jest w łóżku.

— Dlaczego nie wiesz?

— Nie znamy się wystarczająco dobrze.

Jake się roześmiał.

— Nie ma lepszego sposobu, żeby się bliżej poznać.

Następnego dnia zadzwonił, żeby podać jej nazwę hotelu i godzinę, o której powinien tam dotrzeć. Nie miał zamiaru jej zmuszać, ale uważał, że powinni jak najszybciej pójść do łóżka — nie tylko dlatego, że pragnął Helen jak nikogo innego, ale miał też wrażenie, że nie uda mu się przywrócić jej pewności siebie, dopóki nie zrozumie wszystkich zahamowań, które ją ograniczają. Kilka razy słyszał pogłoski o oziębłości Helen, ale nie wierzył w nie. Oziębłość to wielkie uproszczenie, pogardliwe określenie kierowane przez mężczyzn do kobiet, które fizycznie już ich nie

kochają. Według niego Helen została kiedyś skrzywdzona, ale nie była oziębła.

Chciałby siedzieć z nią godzinami, rozmawiać, uspokajać, dawać poczucie bezpieczeństwa. Miał jednak bardzo mało czasu. Jeśli chce wyjechać do Los Angeles, nie może ani na sekundę odpuścić. Dlatego tak nalegał na spotkanie w hotelu.

O zmierzchu Helen samotnie siedziała w swojej sypialni. Nie było wiatru. Owce nawoływały jagnięta, pisklęta jaskółek pod dachem piszczały nagląco na rodziców, żeby pospieszyli się z przynoszeniem owadów do gniazda. Białe kwiaty wiśni jaśniały w świetle lamp. Ostry, przykry zapach czosnku niedźwiedziego niemal tłumił delikatny, słodki aromat różowych klematisów zwisających za oknem sypialni. Różowe adidasy Helen na czubkach pożółkły od pyłku jaskrów po popołudniowej włóczędze polami.

„Jutro o tej porze będę w łóżku z Jake’em” — pomyślała.

Nigdy w życiu tak się nie bała. Żałowała, że nie może się modlić, ale jak miałaby prosić Boga o to, by w łóżku lepiej jej poszło z kimś innym niż mąż? Wciąż jeszcze nie zaplanowała wymówki na następną noc. Charlene wychodzi, więc będzie musiała poprosić którąś ze stajennych, żeby zaopiekowała się z dziećmi. Dotąd zawsze zostawiała numer telefonu, żeby w razie konieczności można było się z nią skontaktować, ale przecież nie poda im numeru do motelu Nirwana. No i jak zdoła przemycić walizkę do samochodu? Będzie musiała wysłać dzieci na kolejną majówkę.

Co gorsza, siedziała na łóżku, nożyczkami do paznokci przycinając włosy w kroczu, kiedy weszła Charlene z wyprasowanymi ubraniami i Helen musiała szybko udać, że obcina sobie paznokcie u nóg. Zresztą po co miałaby przycinać sobie włosy, skoro porastały one właśnie źródło jej problemów? Wciąż brzmiały jej w uszach słowa Ruperta: „Jesteś jak

mrożony kurczak. Za każdym razem, kiedy wsuwam w ciebie rękę, spodziewam się, że wyjmę podroby”.

Schudła tak, że Jake pójdzie do łóżka z żywą reklamą organizacji zajmującej się głodującymi. Migrena ją oślepiała, więc zażyła lekarstwo Jake’a. Stopniowo ból zaczął ustępować, a Helen poczuła się lepiej. Jeśli Jake’owi uda się wyleczyć jej głowę, może uda mu się także ją roztopić.

Jednak od tej chwili zaczęły działać jakieś złe moce. Wyjeżdżając z Penscombe następnego dnia, Helen odkryła, że dostała okres. Z przejęcia zapomniała, że powinien właśnie nadejść.

Spojrzała na zegarek. Za późno, żeby dzwonić do Jake’a, który był na zawodach. Mogła zadzwonić do motelu i zostawić wiadomość, że nie da rady przyjechać, ale w takim razie nie spotkają się, a tego nie zniesie. Będzie musiała pojechać, może na szybkiego drinka — Jake nie zechce jej w tym stanie — i wróci do domu.

Panował upał, miała na sobie tylko żółtą sukienkę bez rękawów, żółte sandały i białą jedwabną chustkę chroniącą fryzurę. Jadąc szybko na spotkanie, czuła tak dojmujące skurcze podbrzusza, że ledwie zauważała piękny wieczór, zieleń dookoła, trybulę bujnie porastającą skraj drogi i zapach czosnku niedźwiedziego silniejszy niż zwykle, przywodzący na myśl rozpasanego Dionizosa pędzącego jej śladem.

Czekając na Jake’a, siedziała, drżąc w hallu hotelowym, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Udając zaczytanego w wieczornej gazecie, portier obserwował ją leniwie. „Zawsze można poznać, kiedy przyjeżdżają pierwszy raz — pomyślał. — Bawią się nerwowo włosami, pryskają perfumami, przeglądają w lusterkach, a potem ze strachem zerkają na drzwi. A jeśli nie przyjdzie? A jeśli wejdzie ktoś znajomy?” Widywał już żony czekające tu na kochanków i spotykające swoich mężów z innymi kobietami. Portier ponownie spojrzał na Helen. Wyglądała w porządku, ale

za chwilę z nerwów wyskoczy przez sufit. O, właśnie wysypała na podłogę zawartość torebki. Podszedł, żeby pomóc, podczas gdy Helen padła na kolana, gorączkowo zbierając karty, klucze, monety, szminki i lakier. W tej chwili do motelu wszedł Jake z płaszczem przewieszonym przez ramię. Był opalony, zadowolony i ani trochę niezakłopotany.

— Hej, kochanie — powiedział, pomagając jej wstać i całując w policzek. — Czy opiekunka przyjechała? Mam za sobą paskudny dzień w biurze. Niestety, mój ojciec zadzwonił, w przyszłym tygodniu chce nas odwiedzić.

„Jak każde inne małżeństwo” — pomyślała z podziwem Helen. z wielkim trudem powstrzymała chichot, kiedy Jake wpisał ich do książki meldunkowej jako pana i panią Driffield.

— Nie, poradzimy sobie — powiedział do portiera, który zaproponował zaniesienie walizek na czwarte piętro, a kiedy wsiedli do windy, dodał pod nosem: — Niech mnie, jeśli dam mu napiwek za nic.

Kiedy w pokoju otworzył walizkę, okazało się, że ma w niej tylko szczoteczkę i pastę do zębów, butelkę ginu i dużą butelkę toniku.

— To chyba wystarczy na wszelkie ewentualności — powiedział, przynosząc z łazienki dwie szklanki. Potem na widok jej żałosnej miny odstawił je na komodę i wziął Helen w ramiona, próbując uspokoić jej gorączkowe drżenie.

— Kochanie, proszę, wyglądasz tak, jakbyś szła na krzesło elektryczne.

Helen wybuchnęła płaczem. Dopiero po kilku sekundach zdołała przemówić, ale Jake powiedział za nią:

— Dopadła cię klątwa.

— Skąd wiesz? — zapytała z niedowierzaniem.

— Widziałem oznaki. Cały tydzień byłaś podenerwowana, przedwczoraj piersi miałaś obrzmiałe i wielkie cienie pod oczami. Fen zawsze mówi, że

tylko tuż przed okresem ma porządny biust.

Helen zadziwił jego zmysł obserwacji. Jake bardzo delikatnie założył jej włosy za uszy i zdjął kolczyki.

— Proszę, przestań płakać. Jeśli nie chcesz, nie musimy nic robić.

Nalał pół na pół ginu i toniku do szklanek i jedną podał Helen.

— Boli cię?

Pokiwała głową.

— Gin najlepiej pomaga. Napij się. Chodź, połóż się — powiedział, zdejmując jej sandałki na szpilkach. — Odpręż się. Mamy przed sobą wiele godzin. — położył się obok niej i wypił pół swojego drinka.

— Nie musisz zostawać — wyjąkała Helen. — Może nie chcesz... skoro nie będzie seksu.

Na moment jego twarz spochmurniała.

— Co to ma, do cholery, znaczyć? Naprawdę uważasz, że chcę od ciebie tylko seksu?

— Nie wiem. Rupert chce tylko tego. — słowa wypłynęły jej z ust, zanim zdołała się powstrzymać.

— Ile razy — powiedział ze znużeniem — mam ci powtarzać, że nie jestem Rupertem?

— Wiem, że nim nie jesteś — powiedziała drżącym głosem Helen — ale nawet gdybyś był albo gdybym nie miała okresu, to niczego by nie zmieniło. Do niczego ci się nie przydam. Jestem beznadziejna w seksie. Jestem oziębła.

— Kto tak powiedział?

— Rupert. Twierdzi, że po prostu mnie to nie interesuje.

— Raczej on cię nie interesuje.

Pomimo gorąca czuł gęsią skórkę na jej ramionach. Wciąż drżała spazmatycznie. Jake sięgnął po szklankę, podał jej, skłonił do upicia dużego

łyka, potem drugiego i trzeciego.

— No już, opowiedz mi o tym.

Wtedy zwierzenia polały się rzeką: upokorzenia, drwiny, ciągłe żądania seksu, kiedy tylko Rupert wracał do domu, mimo jego nieustannych zdrad, potem rzeżączka i na końcu Samantha Freebody.

— To nie wszystko, prawda? — zapytał Jake. — Co się stało w Kenii?

— Skąd wiesz, że coś się stało? — wyszeptała Helen.

— Szósty zmysł. Mów. Nie powinniśmy mieć sekretów.

Podniósł jej szklankę do ust, żeby upiła kolejny łyk ginu.

— Nie umiem o tym mówić — wyszeptała Helen.

— Mów. To pomoże, naprawdę.

Opowiedziała mu więc o rozwiązłej zabawie z Billym i Janey. Wiele razy przerywał jej wybuch płaczu tak gwałtownego, że Jake nie mógł zrozumieć słów.

— Potem Rupert traktował mnie tak, jakbym go zawiodła albo bardzo obraziła tym, że do nich nie dołączyłam. Nie mogłam. Po prostu nie mam tego w sobie.

Jake przechylił jej głowę do tyłu, odsunął z czoła mokre włosy i wytarł łzy chusteczką.

Helen westchnęła przeciągle.

— Przepraszam, że cię nudzę.

Jake przytulił ją mocno.

— Biedactwo, moje przestraszone maleństwo. Naprawdę trafiłaś na niewłaściwe podwórko, prawda?

Żółta sukienka nie miała zamka, więc Jake zdołał zsunąć ją przez głowę Helen, po czym położył ją znów na kołdrze.

— Wciąż cię boli?

— Jeszcze trochę.

— Następnym razem coś ci na to przywiozę. Niedługo gin zacznie działać.

Pod jedwabną halką czuł jej mocno napięte mięśnie brzucha. Jednak kiedy zaczął ją gładzić lekko, łagodnie, tymi swoimi magicznymi dłońmi, które umiały uspokoić najbardziej przerażonego konia, Helen powoli zaczęła się rozluźniać. Po nieprzespanych nocach była tak zmęczona, że jego śpiewny głos, dotyk rąk i gin przyprawiły ją teraz o senność. Ledwie sobie uświadomiła, że Jake zsuwa jej halkę i rozpina stanik. Potem zaczął całować jej usta — niemal wbrew sobie odpowiedziała pocałunkiem, najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej i mocniej. Jego dłoń wciąż gładziła ją po brzuchu.

— Jesteś taka piękna — powiedział cicho.

— Jestem chuda.

— Nie, jesteś doskonała.

Po korpulentnej Tory kruchość Helen była dla niego niewiarygodnie erotyczna. Chociaż raz czuł się jak wielki mężczyzna.

Z wilgotnymi policzkami, szeroko otwartymi oczami, rozmazanym tuszem i włosami spadającymi rudą masą na ramię była niewiarygodnie wzruszająca. Jake znów ją pocałował, po czym przesunął dłoń w dół, tym razem pieszcząc, zatoczył kółko na włosach łonowych, wsunął rękę pod figi, znalazł łechtaczkę i bardzo delikatnie zaczął ją pieścić. Helen spięła się, a potem rozluźniła.

„Nie jest oziębła” — pomyślał triumfalnie. Powoli, powoli, jak motyl wyłaniający się z kokonu, Helen wydawała się mu poddawać. Westchnęła głęboko, z zadowoleniem. Po minucie z uśmiechem otworzyła oczy.

— Oziębła, co? — zamruczał w jej włosy.

— To było cudowne — powiedziała urywanym głosem.

— Prawda? — spojrzał na nią z miną absurdalnie zadowoloną z siebie.

— Ale przecież ty nie przeżyłeś żadnego seksu — powiedziała nagle zmartwiona.

— Nieważne. Mogę zaczekać do następnego razu. Warto zaczekać.

Jego brak egoizmu, przenikliwość i życzliwość przypieczętowały miłość Helen do Jake’a.

— To najwspanialszy seks w moim życiu — powiedziała.

— W moim też — powiedział Jake, całując zagłębienie w jej szyi.

Trzy dni później wziął ją po raz pierwszy na łące na skraju lasu Bifield, niedaleko starego obozowiska cygańskiego, gdzie jego praojcowie zapewne często bywali tu z jego pramatkami. Silna ulewa przygniotła dla nich trawę i rozproszyła chmary owadów, ale wciąż panował upał. Kochali się z uniesieniem. Dopasowali się idealnie i pomimo tego, co mówiła Helen, Jake poczuł czysty triumf: to żona Ruperta leżała pod nim, to przez niego drżała w ekstazie. Jeszcze raz odniósł sukces tam, gdzie Rupertowi się nie udało.

Tymczasem w Rzymie niemal w tej samej chwili Rupert Campbell-Black doświadczał identycznego poczucia triumfu, leżąc po raz pierwszy z Amandą Hamilton. Rock Star przejechał dwa razy czysto trasy w Pucharze Narodów, nadrabiając brak formy Fenelli Maxwell i pieczętując zwycięstwo Wielkiej Brytanii. Tego dnia Amanda wyjątkowo opuściła finał debla męskiego, żeby zagrać mieszanego singla z Rupertem. Jak na kobietę czterdziestoletnią miała doskonałe ciało o pełnych piersiach, wąskich biodrach i długich nogach. Jej wiek zdradzała jedynie skóra na udach i obojczyku. Na szyi wciąż miała perły. Rytmicznie się poruszając, zachowując doskonałą kontrolę, Rupert prowadził ją do orgazmu.

Nagle jej twarz ściągnęła się w skupieniu i po chwil Amanda krzyknęła w ekstazie.

— Wreszcie!

— Kochana — powiedział Rupert z czułym uśmiechem.

— Wreszcie sobie uprzytomniłam — powiedziała Amanda. — To twój kuzyn Charlie Cameron ożenił się z siostrzenicą Rolla, Antonią Armitage. Przed tym małżeństwem nazywała się Antonia Luard.

Gdyby to była każda inna kobieta, Rupert by ją uderzył.

53

PRZEZ PIERWSZE CZTERY TYGODNIE Helen i Jake cieszyli się niemal nienaturalną swobodą. Rupert i Fen jeździli na konkursy zagraniczne z reprezentacją Wielkiej Brytanii — podążyli tą samą trasą z Rzymu do Fontainebleau, Paryża i Lucerny, na której rok wcześniej Fen tak radośnie romansowała z Billym. Teraz takie harce nie były jej w głowie. Chodziła wcześnie spać, uważnie wysłuchiwała porad Malise'a, pilnie trenowała, jednak wykazywała niepokojący brak formy. Coraz bardziej denerwowała się, że w końcu nie dostanie się do drużyny wyjeżdżającej do Los Angeles i już nie zobaczy Dina. To był jej jedyny cel.

W Anglii natomiast Jake osiągał szczytową formę. Macaulay, szczęśliwy, że może znów nosić swojego pana, skakał doskonale. Hardy, który doszedł do siebie po operacji, wciąż skakał nieco chaotycznie, ale miewał i dobre dni. Jake we wszystkich konkursach niszczył konkurencję. Ciągle jednak męczyły go obawy, że z powodu długiej nieobecności na torze selekcjonerzy o nim zapomnieli. Ile jeszcze musi osiągnąć, żeby się obudzili i zwrócili na niego uwagę?

Jego niepokoje w dużej mierze, chociaż niecałkowicie, łagodziła obsesja związana z Helen. Jeżdżąc po kraju na zawody, opuszczał dom na trzy albo cztery noce w tygodniu. Sarah była za granicą z Fen. Hannah, nowa młoda stajenna Jake'a, na szczęście zadurzyła się w jednym z irlandzkich zawodników i większość nocy sypiała w stogach siana lub na tyłach samochodu Irlandczyka. Helen, mająca volvo do dyspozycji, mogła przemknąć autostradami na spotkanie i gdy tylko było to możliwe, spędzali razem noce w jego samochodzie lub w jej volvo. Czasami nocowali w

hotelach. Mimo niechęci Jake’a Helen często płaciła — skoro ma pieniądze, to dlaczego nie? Odkąd się z nim związała, nie czuła żadnych wyrzutów sumienia z powodu niewierności wobec Ruperta ani wydawania jego pieniędzy.

Natomiast czuła się winna zaniedbywania dzieci. Ale wracała tak promienna, beztroska, radosna i obładowana prezentami — miała nawet dropsy czekoladowe dla Borsuka — że wszyscy w domu też rozkwitali. Jako kompletna nowicjuszka w sprawach sercowych Helen żyła w błogiej nieświadomości, że całe otoczenie domowe zdawało sobie sprawę, iż coś się dzieje i obstawiało zakłady, kim jest jej wybranek.

Dwudziestego ósmego maja Jake wrócił do Mill House po trzydniowych zawodach w Cheshire, na których wygrał wszystkie ważne konkursy, a nocami kochał się z Helen. Za trzy dni, jednocześnie pierwszego dnia zawodów w Lucernie, Komitet Olimpijski ogłosi listę końcową zawodów, z których w połowie lipca zostanie wyłoniona finałowa piątka. Jake wrócił do domu zdruzgotany. Chora noga bardzo go bolała, chociaż zapewne bardziej z nadmiaru seksu niż skoków przez przeszkody. Kiedy wychodził z samochodu, słońce zachodziło. Tory wybiegła z domu, żeby go powitać. Ze swoją potężną figurą i okrągłą lśniącą twarzą, po wiotkiej Helen, przypominała matrioszkę powiększoną o dwa rozmiary. Jake miał nadzieję, że jej radość wynika z faktu, że go wybrano, ale ona po prostu ucieszyła się z jego powrotu. Ze zmęczenia nawet nie potrafił sensownie odpowiedzieć na jej pytania. Kiedy poszedł do kuchni, dzieci w piżamkach wybiegły mu na spotkanie, obejmując i obsypując pocałunkami oraz pytaniami o wyjazd. Świadoma, że hałas działa mu na nerwy, Tory wysłała je, by oglądały telewizję. Jake nalał sobie drinka.

— Jak poszło Fen w Pucharze Narodów?

Tory modliła się, żeby o to nie zapytał. Nie chciała go denerwować od razu po powrocie.

— Oba jej przejazdy odpadły z klasyfikacji.

— Cholera. Co się stało?

— Zadzwoniła cała zapłakana. To raczej nie wina Desdemony, Fen twierdzi, że to przez nią. Pewnie zadzwoni do ciebie po Grand Prix.

Jake wrzucił do whisky kilka kostek lodu i wyszedł na podwórko przyglądać się, jak konie idą spać. Macaulay, który zdążył się już wytarzać, przygotowywał się do snu. Hardy wciąż się kręcił. Zawsze ciężko mu było się usadowić nawet we własnym boksie. Kiedy Jake szedł wzdłuż rzędu boksów, konie podchodziły do drzwi, żeby go przywitać. Tego wieczoru jednak nie poprawiły mu nastroju. Dlaczego Malise jeszcze nie dzwonił?

Wszedł do magazynku na uprząż.

— Kolacja! — zawołała Tory z kuchni.

— Za minutę będę! — odkrzyknął.

Szybko chwycił słuchawkę telefonu. Czekając na połączenie z Helen, zauważył łuszczącą się farbę na drzwiach. Jeśli odbierze Charlene, to odłoży słuchawkę.

— Helen? Tu Jake.

— Kochanie! — warto było usłyszeć radość w jej głosie. — Gdzie jesteś?

— W domu. Nie mogę rozmawiać. Chcę ci tylko powiedzieć, że tęsknię za tobą.

Nagle zauważył Tory w drzwiach.

— Zadzwonię jutro. Do widzenia.

— Kochanie! — zawołała Tory — mogłam zadzwonić!

— Wydawało mi się, że zostawiłem portfel w aucie Humpty’ego. Po lunchu poszedłem z nim na drinka.

— Twój portfel jest w kuchni, głuptasie — powiedziała Tory. — Naprawdę jesteś zmęczony. Jakie to miłe, że nosisz w nim moje zdjęcie, chociaż wyszłam na nim paskudnie. Naprawdę tęsknisz za mną na wyjazdach?

— Oczywiście.

Zdjęcie było ilustracją do artykułu o żonach skoczków, który niedawno opublikował kolorowy dodatek do „Sunday Timesa”. Na jednej stronie zamieszczono dwa zdjęcia: jedno przedstawiało Tory — pulchną, różową i z entuzjazmem wieszającą rozetki w kuchni, a drugie Janey Lloyd-Foxe, absurdalnie seksowną w sukience ciążowej. Drugą stronę w całości zajmowało zdjęcie niewiarygodnie pięknej Helen stojącej na tarasie w Penscombe, wpatrzonej w dolinę. Zostało zrobione, zanim się poznali i to dla tego zdjęcia Jake pojechał do kiosku po drugi egzemplarz pisma.

W kuchni dziękował Bogu, że Hannah, Isa i Darklis jedli z nimi kolację. Dzieci kłóciły się o to, które usiądzie obok niego.

— Oboje możecie siedzieć przy tacie — powiedziała Tory, kładąc na stole długi bochenek chleba czosnkowego.

Darklis namalowała w szkole obrazek i teraz z dumą pokazała go Jake’owi.

— To ty i Macaulay w Los Angeles, tatusiu.

Obaj z Macaulayem stali na podium, mieli na szyjach złote medale, a z ich ust wypływały chmurki z napisami: „Boże, chroń królową”.

— Chyba troszkę na to za wcześnie, ale dziękuję — powiedział Jake.

Tory podała pieczoną wołowinę, a dzieci nałożyły sobie zbyt dużo ziemniaków. Hannah machała rozetkami wygranymi w tym tygodniu, które następnego dnia zostaną przypięte do tablicy korkowej. Jake zastanawiał się, czy ten miesiąc spędzony z Helen nie był snem.

Nagle zadzwonił telefon. W pierwszej chwili spanikowany Jake pomyślał, że to Helen, ale to Malise dzwonił z Lucerny.

Po dwóch minutach Tory wstawiła porcję Jake'a do piekarnika. Po dziesięciu minutach rozdała resztę wołowiny jako dokładki, wiedząc, że Jake nie będzie już chciał jeść.

— Tak — mówił, zgarbiony nad telefonem, dziwnie znieruchomiały. — Tak, rozumiem. Dobrze. Tak.

— Przyda się jeszcze jedna butelka — stwierdziła Hannah.

— Nie wiem, czy mamy — odparła Tory. — Po co?

— Żeby świętować albo zalać robaka.

W końcu Jake odłożył słuchawkę, twarz miał jak chmura gradowa. Potem uśmiechnął się i objął ramionami Tory.

— Fen była trzecia w Grand Prix.

— Dzięki Bogu! — westchnęła Tory.

Zapadła długa chwila ciszy. Wszyscy czekali.

— Jestem na liście finałowej na igrzyska. Malise chce, żebym jutro leciał do Lucerny z Hardym i Macaulayem.

Tory obudziła się o czwartej nad ranem. wyciągnąwszy rękę, stwierdziła, że Jake'a nie ma w łóżku. Był w gabinecie, z popielniczką pełną niedopałków. Na zewnątrz było jasno, kosy kręciły się po trawniku jak klerycy w zakątkach katedry.

— Kochanie, co ty wyprawiasz?

— Nie mogłem spać.

— Z emocji?

Jake smutno pokręcił głowę.

— Myśli kłębią mi się w głowie.

Tak długo czekał na ten telefon, w końcu zwątpił, czy Malise w ogóle zadzwoni. Teraz to nastąpiło, powinien się cieszyć, a myślał tylko o tym, że

przynajmniej przez dwa tygodnie nie zobaczy Helen. Ta perspektywa go przerażała.

Rano jednak widział już sprawy inaczej i kiedy do niej zadzwonił, mówił zupełnie rzeczowo. Helen wydawała się zdruzgotana i nie zdołała ukryć rozczarowania.

— Kochanie, jestem szczęśliwa ze względu na ciebie, ale nie uda nam się spotkać na tydzień w Yorkshire. To okropne.

— Wyjeżdżam tylko na dziesięć dni.

— To cała wieczność! Rupert wróci z zawodów królewskich i międzynarodowych. Czy moglibyśmy spotkać się dzisiaj po południu?

— Będzie ciężko. — Jake wydawał się zdystansowany, jakby już był w Lucernie. — Mam ogrom roboty, brakuje nam rąk do pracy, bo Fen i Sarah są za granicą, a czeka nas wypełnianie mnóstwa papierów.

Ponieważ był przesądny, na wszelki wypadek niczego jeszcze nie przygotował.

— Zadzwonię później — obiecał.

Do dziewiętnastej nie znalazł chwili, żeby dopaść do telefonu. Po podwórku lub kuchni wciąż się ktoś kręcił, więc w końcu skłamał, że jedzie po papierosy do pubu. Telefon w pubie był zepsuty, więc musiał podjechać do budki na High Street, budząc zaciekawienie miejscowych. Helen odchodziła od zmysłów.

— Kochanie, szaleję z niepokoju! Wyobrażałam sobie, że coś się stało.

— Przepraszam, ale miałem pełne ręce roboty.

— Zobaczymy się wieczorem?

— Nie mogę.

— Przyjadę.

— Od wielu dni nie byłem w domu, mam naprawdę mnóstwo pracy. Z samego rana wyjeżdżamy.

Nagle sąsiad zapukał w szybę, chcąc pogratulować mu kandydowania do drużyny olimpijskiej.

— Dlaczego dzwonisz z budki? — zapytał sąsiad.

— Telefon w domu się popsuł — powiedział Jake.

— To zadzwoń od nas.

— Prawie skończyłem. — Jake gwałtownie zamknął drzwi. — Kochanie, przepraszam, ktoś już mi puka w szybę. Słuchaj, zadzwonię do ciebie od razu po przylocie do Lucerny.

— Rozumiem — odparła Helen sztywno. — Masz czas tylko dla tych swoich cholernych koni.

— Nie bądź taka.

— Myślałam, że jesteś inny — zaszlochała Helen. — Ale zachowujesz się tak samo jak Rupert.

— Nic dziwnego, skoro ty się tak zachowujesz.

Odłożył z trzaskiem słuchawkę.

Miejscowi bywalcy pubu z ciekawością obserwowali Jake’a, który wyszedł z budki, poszedł ulicą, oddalając się od swojego samochodu, niemal dał się przejechać, przechodząc przez ulicę, po czym znów wolno wrócił do budki.

Przy kolacji był niespokojny, warczał na dzieci, prawie nie jadł.

— Wszystko w porządku? — zapytała Tory, zbierając naczynia.

— Przepraszam. — Jake ze skruchą położył rękę na jej plecach. — To chyba nerwy.

— I zmęczenie — dodała Tory, wyrzucając resztki szynki i pieczonych ziemniaków do kosza. — Dzisiaj idziesz wcześnie spać.

— Na pewno, obiecuję, ale na ulicy spotkałem Hugh Masseya. Mówił, że ma nagranie zeszłorocznego konkursu w Lucernie. Obiecał, że mi pokaże.

— Tylko wracaj szybko — poprosiła Tory.

Jake poszedł na górę pod pretekstem zabrania kluczyków do auta. Darklis nakryła go w łazience.

— Czemu myjesz zęby, tatusiu?

— Bo szynka mi weszła — skłamał Jake.

Darklis z obrzydzeniem spojrzała na swoją twarz w lustrze.

— Jak urosnę, to nikt się ze mną nie ożeni.

— Ja się z tobą ożenię, skarbie — powiedział Jake, całując ją w głowę.

— Ty już masz żonę — odparła ponuro Darklis.

„Mam dwie” — pomyślał sarkastycznie.

Helen czekała na parkingu przy pubie Pod Kozą i Butami, pięć kilometrów dalej. Wsiadła do jego samochodu i przebyli jeszcze kilometr drogą, po czym zjechali w bok. Helen rzuciła mu się w ramiona.

— Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam. Nie pozwól mi tak się zachowywać. Po prostu nie mogłam znieść twojego wyjazdu.

— Już cicho, kochanie, cicho — mówił Jake.

W końcu udało mu się ją uspokoić.

— A teraz — odezwał się w końcu — powiem ci coś, a ty słuchaj. Musimy pogodzić się z faktem, że przez następne dwa miesiące będę bardzo zajęty. Potrzebujemy pieniędzy. Fen straciła formę, trzeba się nią zająć. Nadal mam sporo do zrobienia przy Hardym. Poza tym stanę na uszach, żeby wejść do reprezentacji. Egoistycznie powiem, że jeśli mnie nie wybiorą, to przez resztę życia będę miał do siebie pretensje, że straciłem taką okazję przez własne lenistwo. W przeciwieństwie do twojego męża nie jestem urodzonym jeźdźcem. Od samego początku muszę walczyć, żeby nie odpaść. Fen, dzieci, stajenne, a przede wszystkim Tory musieli wiele poświęcić. Po ostatnim wypadku przeczołgałem się przez piekło, ale udało mi się tylko dzięki nim. Jestem im winien mój wyjazd na igrzyska i chcę tam pojechać. — jego twarz złagodniała, uniósł rękę i pogładził ją po

policzku mokrym od łez. — Dopóki cię nie poznałem, myślałem, że to moja największa życiowa ambicja. Daj mi te trzy i pół miesiąca do zakończenia igrzysk. No już. To najdłuższa mowa, jaką wygłosiłem w życiu.

— Zgodzę się na wszystko — powiedziała Helen drżącym głosem. — Myślałam, że mnie rzuciłeś.

— Jesteś jak Macaulay, wciąż potrzebujesz akceptacji — roześmiał się Jake.

— To właśnie nas różni — powiedziała powoli Helen. — Moje małżeństwo to czyściec, tobie wszystko się w nim układa. Wychodzimy z zupełnie innego punktu startowego.

Zapadła cisza. Jake był zbyt prawdomówny, by zaprzeczyć jej słowom.

— Mam polecieć do Lucerny? — zapytała Helen z nagłą nadzieją.

— Nie. Nie chcę, żeby cokolwiek mnie rozpraszało.

I to musiało jej wystarczyć.

Rupert zadzwonił następnego wieczoru. Był w połowie drogi do Lucerny.

W sobotę Rocky wygrał Grand Prix.

— Jak idzie Fen? — zapytała Helen.

— Katastrofalnie. Malise powinien ją odesłać z powrotem do juniorów, nie wiem, dlaczego tego nie robi. Ale co się dziwić, zupełnie mu odbiło. Właśnie ściąga Jake’a Lovella. Powiedziałem mu, że Jake Lovell nie umiałby zrobić skoku na burdel.

W Lucernie Jake jeździł raz lepiej, raz gorzej. Macaulay, który nie latał od czterech lat, kiedy Jake przywiózł go zagłodzonego z Bliskiego Wschodu, najwyraźniej obawiał się, że wraca do kamieniołomów i szalał w samolocie. Spocony, jakby miał gorączkę, drżał przerażoniy w klatce, wystraszonymi oczami błagając pana, by go nie porzucał. Wyjątkowo przypominał mu Helen.

Po przylocie do Lucerny Macaulay z żałosną radością powitał starych przyjaciół: Fen, Sarę i Malise’a. Jeszcze bardziej ucieszył go widok Desdemony. żeby sprawdzić, czy to naprawdę ona, przeciągnął Jake’a przez połowę podwórka stajni. Konie zetknęły się nozdrzami, podmuchały na siebie nawzajem, lecz Macaulay wciąż był niespokojny. Dopiero kiedy Desdemona przyłożyła swój pysk do jego szyi, jakby broniąc go przed wszystkimi, zaczął się powoli uspokajać. Jednak przez cały tydzień nie odzyskał formy.

Pomny, że do Los Angeles czeka ich długi i męczący lot, a Macaulay szybko tracił oddech, Jake zaś potrzebował konia, który poradzi sobie w zasnutym smogiem Los Angeles, po wielu dyskusjach, które stoczyli on i Malise, Jake postanowił wycofać go z konkursu. Serce mu pękało. Nade wszystko chciał zdobyć medal na Macaulayu, jednak konie zawsze były najważniejsze, a Jake nie chciał narażać wierzchowca na kolejną traumatyczną podróż samolotem. Już zorganizował mu powrót do domu samochodem.

Oznaczało to, że wszystkie nadzieje spoczęły na lśniących, lecz podrygujących nerwowo szarych barkach Hardy’ego, który chwilami radził sobie wspaniale, ale równie często potrafił ponieść Jake’a albo zrzucić wszystkie przeszkody, jeśli tak mu się podobało. W Lucernie po kiepskim starcie w dwóch konkursach zajął drugie miejsce, a w pierwszej rundzie Pucharu Narodów pojechał wzorowo. W drugiej rundzie zatrzymał się przy przeszkodzie z wodą, a Jake wylądował w stawie, sypiąc wyzwiskami i ściskając w ręce uzdę, podczas gdy Hardy brykał sobie wesoło jak Dzwoneczek z bajki, nie dając się złapać. Kiedy się nauczył, jak wysuwać głowę z uprzęży, bardzo to polubił i zrobił to samo w zawodach szybkości następnego dnia.

Rupert dobijał Jake’a drwinami przy każdej okazji, ale Jake nie dał się sprowokować. Czerpał cichą satysfakcję ze świadomości, że znacznie lepiej idzie mu ujeżdżanie żony Ruperta. o mało się nie roześmiał, kiedy pewnego ranka Rupert podał mu kopertę zawierającą namiętny list miłosny od Helen. Na szczęście była na tyle przewidująca, że napisała adres na maszynie i wysłała list z Londynu.

W końcu Hardy uciszył wszystkich swoich krytyków, zajmując drugie miejsce w Grand Prix, zaraz za Ludwigiem. Ogólnie jednak Jake miał wrażenie, że jego występy w tym tygodniu nie zwiększyły jego szans, by wyjechać na igrzyska.

Po Lucernie pojechał do Birminghamu na zawody królewskie, następnie do Aachen, potem były kolejne konkursy w Anglii i wreszcie, pod koniec lipca, w Crittleden. Po tych zawodach miano ogłosić skład reprezentacji olimpijskiej. Jake był spięty i bardzo tęsknił za Helen, lecz miał mnóstwo na głowie.

Z kolei Helen nie miała się czym zająć, więc obsesyjnie myślała o Jake’u. Miała wrażenie, jakby wciąż przewijał się jej przed oczami program telewizyjny z nim w roli głównej. Jego twarz nawiedzała ją w snach. Nocami rzucała się w łóżku, tęskniąc za dotykiem jego rąk na swoim ciele. Wmówiła nawet sobie, że Jake będzie znacznie lepszym ojcem dla dzieci, zwłaszcza dla Marcusa. Rupert wrócił z Lucerny i zabrał dzieci do wesołego miasteczka. Tam wsiadali na wszystkie najbardziej przerażające karuzele. Tabitha cieszyła się każdą minutą, Marcus zaś szalał z przerażenia i w końcu, kiedy byli na samym szczycie diabelskiego młyna, zwymiotował nie tylko na spodnie Ruperta, ale i na siedzącą pod nimi parę, która nie przyjęła tego z wyrozumiałością. Rupert wrócił wściekły z bladym, roztrzęsionym Marcusem i radosną Tabithą, która opowiadała wszystkim

naokoło, co się zdarzyło. Tego wieczoru Marcus dostał najcięższego ataku astmy w życiu.

Kiedy Helen udało się go uspokoić i położyć do łóżka, pod poduszką syna znalazła figurkę psa pochodzącą z modelu cyrku podarowanego chłopcu przez Jake’a.

— Chcę, żeby tu był Dake — zamruczał powoli Marcus. — Lubię Dake’a, bardzo.

— Ja też, kochanie, bardzo — westchnęła Helen.

Tydzień później Janey urodziła pięknego, ciemnowłosego chłopca, który ważył trzy i pół kilograma i na szczęście wyglądał jak wykapany Billy. Nadano mu imiona Christopher William, które skrócono do Christy. Rodzice szaleli z radości.

Przyglądając się, jak Billy zamienia się w świeżo upieczonego ojca zakochanego w dziecku, Helen na nowo przeżywała brak zainteresowania Ruperta Marcusem. Miała jednak powody do wdzięczności wobec małego Christy’ego. Jako oddana matka chrzestna zyskała idealne alibi. Popołudniami i wieczorami mogła powiedzieć Charlene, że wyskakuje do Janey i jej niemowlęcia, po czym wpadała do nich na dwie minuty, przynosiła bukiet kwiatów i czasopismo dla kobiet, pozachwycała się małym i już mogła biec na randkę.

W czasie zawodów królewskich zdołała zapewnić im wspólne popołudnie. Zostawiwszy Ruperta skaczącego na kilku konkursach, Jake wyjechał z Birminghamu i przejechał ponad sto kilometrów do Penscombe. Charlene zabrała dzieci na balik, więc mieli dom dla siebie.

Jake był bardzo podenerwowany. Źle się czuł, kochając się z Helen na terytorium Ruperta. Myślał o Mill House, wilgotnym, z łuszczącą się farbą, podartymi tapetami i bałaganem w przytulnych pokojach, przez osiem lat dewastowanych przez dzieci i zwierzęta. Teraz patrzył na gustowny dom,

zieloną dolinę, kort tenisowy, basen i ogród spowity zapachem róż, imponujący w pełni lata. Ostentacyjna doskonałość otoczenia wprawiała go w zakłopotanie. Mimo wszystko jednak najbardziej przytłaczała go rozpaczliwa potrzeba zobaczenia Helen oraz — chociaż niechętnie się do tego przyznawał — poczucie triumfu, kiedy kochali się w łożu Ruperta. Helen zadziwiała go swoją namiętnością i brakiem zahamowań.

— Nigdy nie przypuszczałam, że mi się to spodoba — powiedziała. — Jedynym problemem z pozycją sześć na dziewięć jest to, że partnerzy nie mogą sobie nawzajem mówić, jak bardzo im dobrze.

— Następnym razem położymy się normalnie, żebyś mogła mówić — zakpił Jake.

— Zarozumialec — powiedziała Helen i przetoczyła się na brzuch.

Jake całował jej piegowate ramiona, delikatnie gryzł płatki uszu.

— Jake... kocham cię — odezwała się stłumionym głosem Helen z twarzą w poduszce.

W dolinie zarżał koń, gdzieś daleko zaszczekał pies.

— Ja też cię kocham — powiedział Jake.

Leżąc obok niej, paląc papierosa — nie przejmował się zapachem dymu, bo Rupert miał wrócić dopiero następnego dnia — Jake dodał:

— Nigdy jeszcze nikomu tego nie powiedziałem.

— Nawet Tory?

Pokręcił głową.

— No to dlaczego się z nią ożeniłeś?

— Bo była bogata i kupiła mi pierwszego konia.

— W ogóle jej nie kochałeś?

— Nie tak jak kocham ciebie. Jest bardzo dobrą żoną, ale jakoś nikt z nas jej nie docenia. Dopiero Dino nam to uświadomił. Naprawdę się nią przejmował, a ona go uwielbiała.

— Dino mnie też lubił — powiedziała nagle nadąsana Helen.

Jake usiadł i spojrzał na nią z szerokim uśmiechem.

— Naprawdę jesteś zazdrosna o Tory!

Potem, widząc w jej oczach ból i przygnębienie, przyciągnął ją do siebie. Helen przytuliła się do niego jak dziecko proszące o bajkę na dobranoc, żeby odpędzić strachy czające się w ciemności, i poprosiła:

— Opowiedz mi o Cyganach.

Jake objął ją ramieniem.

— Jeśli dziewczyna zdradzi swojego chłopaka, on odcina jej nos albo ucho albo tnie policzki, więc uważaj. Jeśli zdradzi żona, przywiązuje się ją do koła i puszcza to koło, albo goli jej głowę.

— O rany — powiedziała Helen nerwowo — jakie to okrutne.

— Jeśli chłopak chce się ożenić, to wysyła dziewczynie chusteczkę w groszki. Jeżeli przy następnym spotkaniu dziewczyna ma ją na sobie, to wiadomo, że chce za niego wyjść.

Zaskoczona bólem, jaki poczuła przy tych słowach, Helen zapytała:

— Dałeś taką Tory?

— Tak. Najtańszą, z czerwonej bawełny. Wtedy tylko na taką mogłem sobie pozwolić. Tory wciąż trzyma ją w szkatułce na biżuterię. — Spojrzał na zegarek. — Boże, muszę lecieć.

— Proszę, nie idź.

— O siódmej mam konkurs, wcześniej muszę obejść tor, a teraz, przy największym tłoku, powrót zajmie mi godzinę. I tak już jechałem jak szatan.

— Czy narażam twoją karierę?

— Tak — odparł, całując ją.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi, a psy zaczęły ujadać.

— Boże, kto to?

Helen wtuliła się w Jake’a.

— Nie ruszaj się, może sobie pójdzie.

Dzwonek znów się odezwał, wraz z głośniejszym szczekaniem.

Helen nago przemknęła korytarzem i schowana za klematisem porastającym okno w pokoju gościnnym wyjrzała na zewnątrz. Po minucie wróciła z chichotem do sypialni. Jake się ubierał.

— Widzę tylko słomiany kapelusz.

— Może lepiej zejdź i odeślij tego kogoś — poradził Jake.

Helen owinęła się wielkim rdzawym ręcznikiem i zeszła na dół. W drzwiach stały dwie starsze kobiety. Jedna z nich trzymała aparat fotograficzny.

— Już się bałyśmy, że pani wyszła — powiedziała pierwsza z nich, ta w słomkowym kapeluszu.

— Kąpałam się — odparła Helen. — Słucham panie?

— Przyjechałyśmy przeprowadzić wywiad dla czasopisma „Kochająca Matka”. Panna Taylor — kobieta w słomkowym kapeluszu wskazała kobietę z aparatem — zrobi zdjęcia.

— Och! — Helen zamarła z przerażenia.

Teraz przypomniała sobie, że istotnie ktoś dzwonił i umówił się z nią już kilka tygodni temu. Jake zadzwonił zapewne chwilę później i dlatego zapomniała wpisać spotkanie do kalendarza. Nagle poczuła spermę Jake’a spływającą jej między nogami. Cofnęła się szybko, ściskając nogi, z nadzieją, że kobiety nie zauważą jej podniecenia i nie poczują zapachu seksu.

— Proszę wejść — odezwała się słabo. — Bardzo przepraszam. Rano Rupert wyjeżdżał w pośpiechu na konkurs — skłamała — zwykle bardzo pilnuję terminów.

Panna Crabtree roześmiała się wesoło.

— Och, potrzeby wielkiego człowieka muszą być spełniane. — weszła do hallu. — Cóż za piękny dom.

Helen zastanawiała się gorączkowo, jak, do licha, ma wyprowadzić Jake’a na dwór? Nagle spłynęło na nią natchnienie.

— Proszę na taras, stamtąd jest przepiękny widok. Może się panie czegoś napiją?

Panna Crabtree spojrzała na zegarek.

— Dopiero wpół do piątej. Chętnie napijemy się herbaty.

— Herbaty, oczywiście.

Helen pomknęła do kuchni, nastawiła czajnik i pobiegła tylnymi schodami na piętro, trochę przerażona, trochę rozbawiona. Zastała Jake’a już ubranego. właśnie próbował spuścić z wodą niedopałek papierosa.

— Pozbyłaś się ich?

— Nie, przyjechały zrobić ze mną wywiad, bo jestem oddaną matką i żoną.

Jake wyszczerzył zęby.

— To może niech przeprowadzą wywiad ze mną.

— Zamilcz. Na razie wygoniłam je na taras, a ty możesz przemknąć bocznymi drzwiami.

Helen się ubrała, po czym zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Zadzwoń wieczorem.

Pobiegła na dół i zadzwoniła do Charlene. W tle słychać było hałas zabawy.

— Przywieź natychmiast dzieci, ktoś chce zrobić im zdjęcia.

— Nie mogę, jest środek podwieczorku, a potem będą magik i Tom i Jerry.

— Dobrze, to przywieź je najszybciej, jak się da.

Herbata niemal się skończyła, a jedyne herbatniki w domu miały kształt zwierząt i kolorową polewę. Wszystkie filiżanki były w zmywarce, której nikt nie włączył. Helen postanowiła porozmawiać o tym z Charlene. Właśnie wycierała filiżanki, kiedy do kuchni weszła panna Crabtree.

— Na dworze jest upał, pomyślałam, że przyjdę pani pomóc. Tu jest cudownie chłodno, jak zwykle w starych domach.

Helen w panice uświadomiła sobie, że Jake w każdej chwili może zejść tylnymi schodami do kuchni. I gdzie, do licha, podziała się panna Taylor?

— Ile lat mają pani dzieci?

Helen próbowała się skupić.

— Hm... cztery i dwa.

— Cudowny wiek.

— Niedługo wrócą, poszły na kinderbalik. Pomyślałam, że najpierw porozmawiamy w spokoju.

— Mam nadzieję, że pani nie przeszkadza to, że panna Taylor poszła na górę do toalety.

Helen jęknęła z przerażeniem.

— Och, sprawdzę tylko, czy jest tam czysty ręcznik! — wybiegała kuchennymi drzwiami, kiedy usłyszała kroki na bocznych schodach.

— Proszę sobie usiąść w salonie — poprosiła pannę Crabtree. — Tam jest bardzo chłodno. Przyniosę herbatę.

— Może najpierw lepiej będzie zaparzyć herbatę w imbryku — powiedziała panna Crabtree z wesołym śmiechem, nie ruszając się z miejsca ani na krok.

Potknąwszy się o Action Mana i starego misia leżącego na schodach, Jake z impetem wpadł do kuchni. Ku zdziwieniu Helen niósł wiadro i ścierkę. Helen spojrzała na niego rozpaczliwie.

— No dobra, pani C-B — powiedział z silnym londyńskim akcentem. — Skuńczyłem. Wszyskie łokna na górze, nawet tyn mały lufcik pud dachym. Myślołem, że wypodne i sie zabije.

— Oooch, — Helen nie potrafiła wydobyć z siebie nic więcej. — Ehm... Ile się należy?

Jake podrapał się po głowie.

— Pitnoście funtów — powiedział. — Dużo tych okiyn.

Helen wyjęła banknot pięciofuntowy i dziesięciofuntowy ze słoika z pieniędzmi na wydatki domowe.

— Proszę. Bardzo dziękuję.

Panna Crabtree wzięła sprawy w swoje ręce i zrobiła herbatę.

— Może się pan napije? — zwróciła się do Jake’a. — Przy myciu okien można się mocno zgrzać, chociaż... — zawiesiła głos. Sprzątacz nawet nie tknął okien na parterze.

— Nie, dzięki — odparł Jake. — Musze iść.

— Tu jeszcze zostało sporo smug — wtrąciła się panna Crabtree.

— Jo myłem tylko dwa pientra — odparł Jake. — Na dole myje pani Bodkin. Kiedy mam przyjść, psze pani? Za misionc?

Helen pokiwała głową, bojąc się odezwać.

— No to do widzenia. — Jake kiwnął głową w kierunku panny Crabtree.

— Odprowadzę pana — wymamrotała Helen.

Za tylnymi drzwiami oboje skulili się ze śmiechu.

— Nie miałam pojęcia, że jesteś tak dobrym aktorem! — powiedziała Helen, kiedy Jake wsunął pieniądze z powrotem do jej kieszeni.

Jake znów ją pocałował.

— Zadzwonię wieczorem po konkursie.

W kuchni do panny Crabtree dołączyła panna Taylor.

— Piękny dom. Gdzie nasza gospodyni?

— Poszła odprowadzić czyściciela okien. Ci Amerykanie naprawdę nie zwracają uwagi na pochodzenie, wie pani? Była dla niego tak urocza jak dla nas.

54

W MIARĘ ZBLIŻANIA SIĘ OSTATNIEGO DNIA KWALIFIKACJI OLIMPIJSKICH w Crittleden Jake stawał się coraz bardziej nerwowy. Hardy coraz rzadziej miewał ciężkie dni, a Fen wygrała na Desdemonie kilka konkursów. Jednak Griselda Hubbard również osiągnęła zadziwiającą formę, a dwoje młodych jeźdźców, także z listy finałowej, Ralph Naylor i Fiona McFadden, skakało doskonale mimo presji w Aachen, tak że kilka gazet domagało się włączenia ich do reprezentacji. Rupert i Ivor Braine przez cały rok reprezentowali wyrównany poziom, więc mogli być pewni klasyfikacji.

Fen była mocno przygnębiona, gdyż Joanna Battie napisała dość ostry artykuł pod tytułem „Fen spoczęła na Laurelu”, w którym wytknęła jej, że od zeszłorocznego konkursu na Wembley dziewczyna nie wygrała żadnych poważnych zawodów, poza tym Desdemona jest za drobna na tor olimpijski. Zdając sobie sprawę, jak gorąco Fen pragnęła pojechać, Jake martwił się o nią bardziej niż o siebie.

Ruperta z kolei irytowało wahanie Helen, która nie mogła się zdecydować, czy pojedzie do Los Angeles. Jako wymówki użyła argumentu, że smog w mieście może zaszkodzić choremu na astmę Marcusowi, ale w rzeczywistości chciała najpierw się przekonać, czy Jake zakwalifikuje się do reprezentacji. Jeśli nie, to ona też zostanie. Rupert próbował przekonać Amandę Hamilton, żeby na kilka dni przyleciała do niego, więc zależało mu na tym, by Helen podjęła decyzję.

Tor na ostatnim przejeździe był niepotrzebnie wysoki. Przed przejazdem Jake’a wielu zawodników zaliczyło sporo punktów karnych — Griselda

dwanaście, Ivor osiem. Fen miała jedną odmowę, gdyż za szybko najechała na przeszkodę, oraz zrzucone dwa elementy kombinacji. Zawodnicy narzekali, że przeszkód nie da się pokonać. Wtedy wjechał Jake i udowodnił, że się mylą, gdyż przejechał bezbłędnie. Zachęceni jego przykładem Rupert, Obojczyk i Ludwig również przejechali czysto. Jednak w finale Jake tak pogonił Hardy'ego na długiej prostej do ostatniej przeszkody, że wygrał na czas.

— Doskonale — powiedziała Fen, desperacko usiłując okazać entuzjazm. — Teraz na pewno cię wybiorą.

Jake pokręcił głową. Bał się, że nie jeździ wystarczająco dobrze. Na olimpiadzie potrzebni będą zawodnicy, na których można polegać. Selekcjonerzy udali się na naradę, zawodnicy nerwowo czekali na obiecany komunikat. Po godzinie obgryzania paznokci Jake i Fen, którzy następnego ranka brali udział w odbywającym się wcześnie rano konkursie w Stoneleigh, postanowili wyjechać. Jeśli zostali wybrani, wkrótce się dowiedzą, jeśli nie, to i tak ta informacja nie będzie miała znaczenia.

Utknęli w przerażających korkach, jakby wszyscy ruszyli na urlop. Nikt w samochodzie nie miał ochoty na rozmowę. Po godzinie stania na M4 zdecydowali się zjechać z autostrady i pojechać na skróty. Znudzona muzyką z kaset Sarah włączyła radio.

Fen z nieszczęśliwą miną wyglądała przez okno na rozciągające się pola, po deszczu pociemniałe do koloru czerwonego złota. Czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze Dina? Czy kiedykolwiek będzie szczęśliwa? Półuchem słuchała wiadomości o dwudziestej. Pani premier Margaret Thatcher spędzi kilka dni w Balmoral w trakcie letniej przerwy w obradach rządu. Rosjanie wystrzelili kolejnego satelitę. Bezrobocie wzrosło wskutek wejścia na rynek pracy absolwentów.

— Komitet Olimpijski do spraw skoków konnych ogłosił dzisiaj wieczorem skład reprezentacji na igrzyska w Los Angeles — powiedział spiker.

Wszyscy w samochodzie zamarli. Fen złapała za rękę Sarah, a drugą zacisnęła.

— Proszę, proszę, Boże...

— W skład pięcioosobowej reprezentacji wejdą następujący jeźdźcy i konie: Rupert Campbell-Black na Rock Starze, Griselda Hubbard na Panie Punchu — Sarah jęknęła — Ivor Braine na Johnie — spiker zaszeleścił kartkami — oraz Jake Lovell z Hardym i Fenella Maxwell z Desdemoną.

Jake zawył z radości i o mało nie zjechał z drogi. Jadący za nimi kierowca, który próbował ich wyprzedzić, zatrąbił wściekle.

Sarah i Fen bez słowa padły sobie w ramiona, a potem Sarah uściskała Jake’a. Wszyscy zaczęli wrzeszczeć na całe gardło:

— Kalifornio, nadjeżdżamy!

Jake podjechał do sklepu w najbliższej wsi i kupił butelkę wina.

— A to na koszt firmy — powiedział właściciel, wkładając mu do torby kolejną butelkę. — Właśnie słyszałem w radiu. Gratulacje.

Zjechali na skraj pola i przyglądając się, jak słońce zachodzi, wypili Muscadeta z kubków, a konie wypuścili na trawę.

— Wasze zdrowie — wzniosła toast Sarah. — Jestem z was dumna!

Nagle Fen podniosła się chwiejnie i poszła uściskać Desdemonę. Jake zobaczył, że plecy się jej trzęsą. Otoczył ją ramieniem.

— Co się dzieje?

— Nic, jestem po prostu szczęśliwa.

— No to nie musisz płakać.

— Znów zobaczę Dina! — śmiejąc się i płacząc jednocześnie, Fen brudnymi rękami otarła spływające po twarzy łzy. — Pewnie ma już milion

nowych dziewczyn, ale przynajmniej będę miała okazję go przeprosić.

— Tęsknisz za nim, prawda?

Fen pokiwała głową.

— W każdej chwili. Ale ty tego nie zrozumiesz, bo nigdy nie byłeś zakochany.

Po ogłoszeniu składu reprezentacji Malise napisał do wszystkich pięciu zawodników i potwierdził ich wybór. Mieli jeszcze raz wystąpić jako drużyna na konkursie w Dublinie na początku sierpnia, a potem dać odpocząć koniom, które następnie pod koniec miesiąca polecą do Los Angeles.

Zostawiwszy Rock Stara w domu na odpoczynek, Rupert poleciał z resztą najlepszych koni do Francji na konkursy w Deauville i Dinard. miał wrócić w poniedziałek wieczorem. Był pełen pogardy dla reszty reprezentacji.

— Uczennica, idiota, lesba-babochłop i Cygan inwalida. Chyba będę musiał ich ponieść przez tor — powiedział do Amandy Hamilton.

Nie ucieszył się też, kiedy Helen zdecydowała się jednak pojechać do Los Angeles.

Helen siedziała na tarasie, popijając białe wino, wdychając zapach lewkonii i w gasnącym świetle czytając George’a Herberta:

Kto by przypuszczał, że serce przywiędłe

Jeszcze się znów zazieleni... [1]

No właśnie, kto? Po Kenii Helen nigdy by nie uwierzyła, że jeszcze będzie szczęśliwa i tak głęboko zakocha się w Jake’u, że jej największym marzeniem będzie zostać drugą panią Lovell. Ale nic nie wskazywało na to, że Jake również tego pragnie. Wiedziała, że ją kocha, i do końca igrzysk musi jej to wystarczyć.

Rupert miał wrócić z Dinard dopiero następnego dnia, a Charlene z dziećmi wyjechała na całą noc, więc Jake powiedział, że być może wpadnie — ale tylko być może, niech się go nie spodziewa. W przeddzień wyjazdu do Dublina miał pełne ręce roboty z załadunkiem samochodu. Rupert poszedł na łatwiznę i poleciał samolotem, zostawiając dowiezienie koni stajennym.

Helen tylko umyła głowę i się wykąpała. Od Jake'a przejęła wiarę w przesądy — jeśli się zrobi na bóstwo, on na pewno nie przyjedzie. Wpatrzona w księżyc płynący jak ćma po czystym niebie wydała okrzyk radości na widok wyraźnie widocznej nad miodowym murem sylwetki samochodu Jake'a zjeżdżającego do Penscombe.

Pobiegła do łazienki, umyła zęby, spryskała się perfumami i zrzuciwszy bieliznę wskoczyła do wanny. Uniosła żółtą sukienką, tę samą, którą miała na sobie, gdy pierwszy raz się kochali, a którą Jake lubił — pospiesznie się podmyła, drżąc z podniecenia.

Zostawiając ślady stóp w wannie, Helen wyskoczyła i uczesała włosy. Jake powiedział, że podoba mu się bez makijażu, więc nie czuła się zmuszona do ciągłego malowania. Przeciągnęła się z rozkoszą i podeszła do okna, po czym zamarła z przerażenia, gdyż ledwie pięć minut po pierwszym samochodzie, jak zwykle zbyt szybko, nadjeżdżało niebieskie porsche Ruperta.

W tej chwili usłyszała zgrzyt kół na żwirze, psy zaszczekały i pobiegły na dół. Helen otworzyła drzwi i wpadła prosto w ramiona Jake'a.

— Co się dzieje?

— Rupert jedzie zaraz za tobą, widziałam na drodze. Co robimy?

— Nic — odparł Jake, myśląc gorączkowo. — Idź i zmyj perfumy. Musimy pójść na bezczelnego. Udawaj, że po prostu wpadłem z wizytą.

— Lepiej chodźmy na taras — zaproponowała Helen. — Tam już się robi ciemno, Rupert nie zobaczy, że się rumienimy.

Jake poszedł za nią, przesuwając palcami po jej plecach.

— Trudno, najwyżej się dowie. Kiedyś będzie musiał — powiedział.

Helen znieruchomiała. Obróciła się i spojrzała prosto w oczy Jake’a.

— Naprawdę? — wyszeptała.

Jake odpowiedział jej spojrzeniem prosto w oczy, nie uciekając wzrokiem.

— Tak — odparł. — Wiesz, że prędzej czy później to nastąpi. Po igrzyskach byłoby łatwiej.

Helen przysunęła się do niego.

— Naprawdę tak myślisz?

— Tak, chyba zawsze tak myślałem. Tylko nie mówiłem.

Zdążył przytulić ją na moment, kiedy na podjeździe znów zazgrzytały opony, a psy ponownie się rozszczekały.

— Nie dam rady — powiedziała Helen w nagłej panice.

— Ja to zrobię. Tylko przynieś mi drinka. Szkocką, poczwórną, jak najszybciej.

Helen pobiegła do kuchni bezszelestnie, gdyż dywan tłumił odgłos jej bosych stóp.

Rozległ się trzask — to Rupert zamknął za sobą drzwi wejściowe. Był w złym humorze. specjalnie wrócił do Londynu, żeby spędzić noc z Amandą, tymczasem ona po dwóch faktycznie wspaniałych godzinach wyjechała do Sussex, gdyż podobno musiała odwieźć córkę na jakieś tańce.

— Helen! — zawołał. — Tab, wróciłem! Gdzie się wszyscy podziali?

Jake czekał na tarasie.

— Helen! — zawołał znów Rupert, już bardziej zniecierpliwionym tonem.

— Jest w kuchni — powiedział Jake.

— Kto to? — Rupert wyszedł na taras i zatrzymał się w pół kroku, zmrużonymi oczami wpatrując się w Jake’a. Włosy mu pojaśniały od francuskiego słońca, miał na sobie niebieski T-shirt z czerwonym napisem „I love LA” na piersi.

Nagle na Jake’a spłynęło natchnienie.

— Piękny macie dom — powiedział. — Przedtem widywałem go tylko z drogi.

— Na końcu podjazdu stoi doskonała brama, na pewno sam trafisz, nie muszę cię odprowadzać — odparł Rupert zimno.

— Wpadłem — ciągnął Jake — z nadzieją, że może już wróciłeś. W tym tygodniu dostałem list od Malise’a. Uznałem, że skoro obaj się zakwalifikowaliśmy, a zależy mi na zwycięstwie drużynowym tak samo jak tobie, to będziemy mieli większe szanse, jeśli zakopiemy topór wojenny, przynajmniej na jakiś czas.

I wyciągnął rękę.

Rupert oniemiały spojrzał na wyciągniętą ku niemu dłoń. Przypomniał sobie chwilę upokorzenia na mistrzostwach świata. Przypomniał sobie bunt Fen w czasie strajku w Crittleden. Przypomniał sobie również Jake’a w sypialni szkoły St. Augustine — przerażonego malca kulącego się przed płonącymi zapałkami. A oto teraz Jake wystawił białą flagę i proponuje zawarcie pokoju.

Dłoń nadal tkwiła w powietrzu. Rupert ujął ją na krótko.

— Dobrze. Nie ufam ci ani trochę, Gyppo, ale ze względu na złoto dla drużyny zawiesimy wrogość na czas igrzysk. A potem — dodał z uśmiechem — dopiero skopię ci tyłek! Napijmy się. Helen! — wrzasnął.

— Tak — odparła Helen słabo.

— Poszła po lód — wyjaśnił Jake. — Pewnie czeka, czy pozwolisz mi się napić.

— Miałeś szczęście, że mnie zastałeś. Dzisiaj w ogóle nie miałem wracać. Czego się napijesz?

— Poproszę szkocką.

W tej chwili w drzwiach stanęła Helen, ściskając w dłoniach tacę z jedną już gotową szklanką whisky, karafką oraz drugą pustą szklanką i wiaderkiem z lodem. Spojrzała na nich przerażonym wzrokiem, jak królik złapany w świetle reflektorów, który nie widzi drogi ucieczki.

— Hej — powitał ją Rupert — postanowiliśmy, że się jednak nie pozabijamy. Znasz Helen, prawda?

Biorąc od niej szklankę, Jake przez sekundę zastanawiał się, czy przez Ruperta nie przemawia ironia. Potem uznał, że egotyzm i pogarda wobec jego osoby sprawią jednak, że Rupert nie potrafi wyobrazić sobie, by Helen coś z Jakiem łączyło. Mimo wszystko dobrze, że na balustradzie stał tylko kieliszek Helen, do połowy wypełniony.

Jake upił porządny łyk whisky i o mało się nie zachłysnął. Boże, była naprawdę mocna — i dobrze.

Rupert odmierzył sobie whisky na dwa palce i nalał do szklanki.

— Po Dublinie rzucam — powiedział. — Chcę stracić sześć kilogramów do igrzysk.

— Nie mogę sobie pozwolić na schudnięcie — powiedział Jake. — Jak ci poszło w Dinard?

— Cholernie dobrze.

— A jak Rocky?

— Też cholernie dobrze. Wciąż mi się wydaje, że może osiągnąć światowy poziom, boję się tylko, że za szybko to zrobi i potem się załamie.

Helen oszołomiona nalała sobie kolejny kieliszek wina. „Nie wierzę — mówiła do siebie. — Oto dwóch mężczyzn, którzy się nie znoszą, rozmawiają nie tylko uprzejmie, ale z pasją”. Jake nawet drgnięciem powieki nie zdradził zdenerwowania ani najlżejszego zainteresowania Helen, lecz omawiał z Rupertem drużynę, słabości zawodników, atuty przeciwników na zawodach oraz tych zawodników, których będą musieli obejrzeć. Pytał Ruperta o klimat w Los Angeles, możliwe problemy z oddychaniem i formą, prosił o poradę. Rupert wyjaśnił, że od razu po zawodach w Dublinie leci do Los Angeles, żeby obaj z Rockym mogli się zaaklimatyzować. To na pewno da mu przewagę nad pozostałymi zawodnikami brytyjskimi, którzy wylecą dwa tygodnie później.

„Jeśli Rupert pojedzie do Los Angeles, to ja i Jake będziemy mieli dwa tygodnie swobody” — pomyślała Helen. Zadziwił ją jego refleks. Nigdy nie przypuszczała, że może wytłumaczyć swój przyjazd propozycją zawarcia pokoju. Przepełniała ją wdzięczność, że udało się im uniknąć scen. Żałowała, że nie pamięta dokładnie słów Jake’a wypowiedzianych przed przyjazdem Ruperta, ale wpadła w panikę. Mówiąc, że Rupert i tak się dowie, czy Jake chciał dać do zrozumienia, że ma zamiar się z nią związać, a zostawić Tory? Czy po prostu chodziło mu o to, że tego typu sprawy zwykle wychodzą na jaw i Rupert w końcu coś zwęszy? Na pewno Jake miał na myśli pierwszą możliwość. Spoglądając na jego twarz — ciemną, skupioną, pogrążającą się w cieniu, w miarę jak słońce chowało się za buki, a jednak chwilami nagle oświetloną promieniem przebijającym się przez liście — Helen widziała na niej tylko jedno: żarliwe zainteresowanie słowami Ruperta. „Cholerne konie. Czy kiedyś się od nich uwolnię?” — pomyślała.

Jake chciał wyjechać po drugim drinku. Był już lekko wstawiony, gdyż pił na pusty żołądek, więc bał się jakiegoś fałszywego kroku. Zerknął na

zegarek i odstawił szklankę.

— Muszę jechać. Przepraszam, że tak was najechałem. Do widzenia i dziękuję — dodał niedbale do Helen.

Rupert odprowadził go do drzwi. Nad zastarzałą antypatią przeważyła chęć zaimponowania Jake'owi.

— Masz ochotę zobaczyć stajnie? — zapytał.

— Dobrze — odparł Jake. — Tylko na dwie minuty.

Godzinę później Helen usłyszała jego odjeżdżający samochód, a do domu wszedł Rupert.

— Umieram z głodu. Mam jechać po coś na wynos?

„Ja bym chciała się stąd wynieść" — pomyślała żałośnie Helen. Tak się cieszyła z przyjazdu Jake'a, a teraz nie wiedziała, kiedy się znów zobaczą, zwłaszcza że z samego rana wyjeżdżał do Dublina.

Nie mogła się oprzeć, by nie zagadnąć o niego Ruperta.

— Zadziwiające, że tu przyjechał, prawda?

— Na pewno zrobiliśmy na nim wrażenie — przyznał Rupert, zabierając kluczyki. — Powiedział, że chce zakopać topór wojenny, choć raczej wolałby wbić mi go w czaszkę. Nie ufaj draniowi. Zapewne wpadł w nadziei, że coś podpatrzy albo podsłucha, żeby móc potem naśladować. Zapytał mnie, jak ma jechać do Warwickshire, nie miał pojęcia, gdzie to jest. Pokazałem mu drogę na Sapperton. Był tak wcięty, że przy odrobinie szczęścia wjedzie w jakiś mur. Masz ochotę na chińszczyznę czy coś indyjskiego?

W następny piątek zrozpaczona Helen siedziała przy stole, ściskając w zmarzniętych dłoniach filiżankę czarnej kawy. Od czasu wyjazdu do Dublina Jake zadzwonił tylko raz, zdołali porozmawiać dwie minuty, zanim mu przerwano. Obiecał zadzwonić, lecz nie zadzwonił. Najwyraźniej zmienił zdanie.

— List do pani. — Charlene podała jej grubą kopertę. — Wysłany z Dublina. Niech pani uważa, może to bomba?

Helen już miała ją zrugać za wścibstwo, kiedy rozpoznała charakter pisma Jake’a. W kopercie była złożona jedwabna granatowa chusteczka w grochy.

— Śliczna, proszę pani — stwierdziła Charlene. — Granat pasuje do wszystkiego.

Helen zbielała i zajrzała do koperty raz jeszcze. Wewnątrz nie było nic więcej. Nakrapiana chusteczka — Jake daje znać, że chce się z nią związać na stałe.

— Wyglądała na zupełnie oszołomioną — powiedziała potem Charlene do Dizzy.

Helen ze śmiechem skoczyła na równe nogi.

— Jadę do Dublina — powiedziała. — Chcę obejrzeć... e... mojego męża w pucharze Aga Khan.

Puchar Aga Khan, wspaniałą nagrodę, wręcza się zwycięzcom Pucharu Narodów na konkursie w Dublinie. Całe miasto schodzi się na tor, wszystkie irlandzkie dzieci, które kiedykolwiek siedziały na koniu, marzą o tym, by pewnego dnia zakwalifikować się do reprezentacji gospodarzy. Dla Brytyjczyków była to ostatnia okazja do występu drużynowego przed igrzyskami. Wszyscy zawodnicy byli podenerwowani, zastanawiając się, którego z nich Malise nie dopuści do startu. W końcu okazało się, że będzie to Griselda, która naciągnęła mięsień w pachwinie („Zapewne uganiając się za jakąś pokojówką” — stwierdził Rupert), ale do olimpiady miała na pewno wyzdrowieć.

W czwartek wieczorem drużyna brytyjska poszła na jeden z owianych legendą bali towarzyszących konkursowi. Bez kontroli Malise’a (który nieroztropnie poszedł na kolację do ambasady brytyjskiej) i chcąc się

rozluźnić po nerwowym okresie czekania na ogłoszenie składu drużyny, zawodnicy upili się do nieprzytomności, zwłaszcza Jake, po czym nago wykąpali się w Liffey. Następnego dnia żaden z nich nie był w stanie trenować.

Jake, który w ogóle nie poszedł spać, poranek spędził na gorączkowych próbach dodzwonienia się do Helen z biura prasowego. Z dużym trudem przypomniał sobie, a potem wykręcił jej numer. Wciąż słyszał dziwny dźwięk. W końcu zaciągnął do aparatu Obojczyka.

— Czy to sygnał, że telefon jest zajęty, czy zepsuty?

— Jasne — odparł Obojczyk uspokajająco. — To coś pomiędzy jednym a drugim.

— Chryste! — wrzasnął Jake, chwytając się za głowę, która pękała z bólu.

Z jednej strony musiał koniecznie porozmawiać z Helen i sprawdzić, jak zareagowała na granatową chusteczkę w grochy, którą wysłał jej, kiedy się upił. Z drugiej strony truchlał z przerażenia na myśl, jaką reakcję łańcuchową może wywołać. Żaden z telefonów nie działał. Obojczyk, który rozmawiał z mężczyzną w jaskrawym garniturze w kratkę i wydawał się znać wszystkie konie na konkursie, postawił Jake’owi kolejnego drinka.

— Drinki to naprawdę paskudztwo — powiedział zadowolony. — Ale jedyne lekarstwo na ich złe skutki to pić więcej.

Jake spojrzał na zegarek, zastanawiając się, czy dotrze dalej niż na padok.

— Chyba powinniśmy iść na tor — ponaglił Obojczyka. — Spóźnimy się i to bardzo.

— Nie martw się — odparł ten. — Nie mamy jeszcze toru — głową wskazał mężczyznę w jaskrawym garniturze w kratkę stawiającego następną kolejkę. — To jest konstruktor toru.

Ogólnie rzecz biorąc, drużyna brytyjska skakała żałośnie. Pozielenieli na twarzach, szczękając zębami, snuli się między przeszkodami, starając się za wszelką cenę utrzymać równowagę, zamiast mierzyć odległości, mrużąc oczy w oślepiającym słońcu, ku uciesze radosnych widzów irlandzkich, którzy nieraz widzieli już sabotaż wobec drużyn gości.

Ivor spadł przy pierwszej i trzeciej przeszkodzie, a potem przekroczył limit czasu. Fen zrzucała wszystkie możliwe drążki. Rupert zdołał przejechać na Rockym jedynie z dwudziestoma punktami karnymi, co było dla niego najgorszym wynikiem w życiu.

— Na miłość boską, weźcie się w garść — powiedział Malise, wyjątkowo spięty — bo w ogóle wyeliminują nas z zawodów.

Nagle Jake spojrzał na trybunę dla VIP-ów, znaną w Dublinie pod nazwą „Kieszeń”. Poczuł, jak serce mu zamiera — siedziała tam uśmiechnięta, promienna Helen. Miała na sobie biały kostium, a włosy, których nie miała czasu umyć, przewiązała jedwabną granatową chusteczką w grochy. Podjęła jego wyzwanie.

— O, dobrze, Helen jednak przyjechała — powiedział Malise bardzo zadowolonym tonem i pospieszył do Kieszeni. — Powodzenia! — zawołał przez ramię do Jake’a.

Zapominając w ogóle o skupieniu, Jake wjechał na start. Udało mu się zdjąć kask przed sędziami i na dźwięk dzwonu ruszyć, ale ten wysiłek okazał się zbyt wielki. Hardy przy pierwszej przeszkodzie zatrzymał się gwałtownie, a Jake poszybował w powietrzu. Hardy szybko wyślizgnął się z ogłowia i radośnie zaczął kłusować po torze, aż w końcu przekroczył limit czasu.

Jake siedział na ziemi, wstrząsany bezradnym śmiechem. Kiedy w końcu, kulejąc, zszedł z toru, Malise wyglądał jak chmura gradowa.

— Naprawdę nie ma się z czego śmiać!

— Chyba nie wykreśli nas z reprezentacji? — zapytała Fen z przerażeniem.

Jake pokręcił głową, po czym się skrzywił. Potrafił jedynie powtarzać sobie: „Przyjechała! Ma na sobie chusteczkę”.

Irlandczycy zdobyli puchar Aga Khan.

— Absolutnie nie ma sensu teraz z wami rozmawiać — powiedział wściekły Malise. — Ale jutro chcę, żeby wszyscy, łącznie ze stajennymi, żonami i przybudówkami przyszli do mnie o dziewiątej rano. Jeśli ktoś nie dotrze, wyrzucam go.

Jedyną możliwą reakcją był kolejny, jeszcze bardziej szalony bal, na którym dopadła ich nieunikniona reakcja organizmu.

— Klin w żadnym wypadku nie pomoże mi na kaca — narzekała Fen do Ivora, który deptał jej po palcach na parkiecie. — Naprawdę, jeśli Rupert nie zdejmie ręki z pleców tej dziewczyny, niedługo połaskocze ją w pięty.

Muzyka przestała grać.

— Idę do siebie.

— Nie idź — poprosił Ivor. — Nie będę miał z kim tańczyć.

— Idź i pogadaj z Griseldą — poradziła Fen, całując go w czoło. Nie potrafiła sobie poradzić z kipiącą wokół wesołością. W takie wieczory tęskniła za Dinem bardziej niż kiedykolwiek. Dość niepewnym krokiem pokonała salę balową i wyszła bocznymi drzwiami, szukając Jake’a, żeby powiedzieć mu dobranoc. Kilku Irlandczyków wołało ją, próbując namówić do powrotu na parkiet, ale nie chciała. Ostatnio pozbawiona emocji twarz Fen trzymała mężczyzn na dystans tak samo jak kiedyś twarz Helen.

Dziewczyna ruszyła korytarzem do pogrążonej w półmroku biblioteki, w której znajdowała się tylko jedna para. Stali pod lampką punktową, rozmawiając przyciszonymi głosami, całkowicie skupieni na sobie

nawzajem. Byli podobnego wzrostu. Fen poczuła, jak krew ścina się jej w żyłach. Chyba ma przywidzenia.

Mężczyzna pocieszał kobietę.

— Cierpliwości, skarbie, proszę.

— Szaleństwem było przyjeżdżać tutaj — powiedziała ona cicho. — Nie mogę znieść twojej nieobecności chociażby przez chwilę ani samotnego pójścia spać dzisiaj wieczorem.

Teraz mężczyzna gładził ją po twarzy i przyciągnął do siebie.

— Kochanie, daj mi tylko przetrwać igrzyska, a potem zaczniemy planować, obiecuję.

— Naprawdę obiecujesz?

— Obiecuję. Wiesz, że cię kocham. Dostałaś chusteczkę. — pochylił głowę i pocałował ją.

Fen jęknęła i uciekła. Zapomniała o płaszczu, uciekła z budynku i pobiegła ulicami do pokoju hotelowego. Helen i Jake — to niemożliwe! Pewnie dlatego Jake ostatnio bywał taki nieprzewidywalny. w jednej chwili wycofany samotnik, za chwilę rozhuśtany emocjonalnie i nietypowo dla siebie pełen entuzjazmu, poza tym strasznie rozproszony. Pewnie nie zwróciłby uwagi, gdyby podała Desdemonie kawior.

Fen zawsze wielbiła Jake’a i uważała jego małżeństwo z Tory za jedyną stałą, bezpieczną rzecz, której mogła być pewna, a nawet może pewnego dnia odtworzyć we własnym życiu. Teraz cały świat się jej zawalił. A co z Tory? Co z Isą i Darklis? Co ważniejsze — jak zareaguje Rupert, kiedy się dowie? Nie cofnie się nawet przed morderstwem.

---

[1] Fragment wiersza George’a Herberta w przekładzie Katarzyny Krawczyk (przyp. tłum.).

55

NASTĘPNEGO PORANKA NA NARADZIE U MALISE’A stawili się wszyscy, chociaż nieco bladzi i drżący. Malise nie poprosił nikogo, by usiadł. Jak zwykle nienaganny w oliwkowozielonym tweedowym płaszczu i eleganckim krawacie gromił ich wzrokiem, jakby byli bandą nastolatków złapanych na paleniu papierosów za budynkiem szkoły. Wczorajsza furia ustąpiła miejsca zimnemu gniewowi.

— Przynajmniej wiemy, że jeszcze nie osiągnęliśmy szczytowej formy — powiedział. — Nigdy jeszcze nie widziałem tak przerażających pokazów. Skakaliście jak nowicjusze. Wątpię, żeby któreś z was spało przedtem dłużej niż godzinę. Potraktowaliście Komitet Olimpijski jak bandę idiotów.

— Trzy dni w szklanym domu — wymamrotał Rupert.

— Zamknij się — warknął Malise. — Biorąc pod uwagę, na jakim koniu siedziałeś, twój przejazd był najgorszy. Podobno byle jaka próba generalna oznacza dobrą premierę, ale było to żałosne.

Po czym nagle uśmiechnął się lekko. Fen pomyślała, że jak na swój wiek to naprawdę wyjątkowo atrakcyjny mężczyzna.

— A teraz — powiedział — znajdźcie sobie jakieś wygodne miejsca, pokażę wam filmy z poprzednich igrzysk.

Jake oparł się o drzwi, nie chciał usiąść, chcąc patrzeć na Helen siedzącą na jednym z krzeseł, na którego poręczy przysiadła Dizzy. Helen była blada, miała podkrążone oczy, a ciemnorude włosy zaczesane do tyłu związała na karku niebieską chusteczką w grochy. W oczach Jake’a nigdy nie wyglądała tak pięknie. Czuł, że wpadł po uszy, ledwie mógł się skupić

na wyprostowanych oszczepnikach, sprinterach i ubłoconych pięcioboistach oraz Anne Moore odbierającej srebrny medal.

Malise zatrzymał wideo.

— Chyba nie muszę wam mówić nic więcej. Jeśli naprawdę zdobędziecie medal, zwłaszcza złoty, to będzie najwspanialsza chwila w waszym życiu. A jeśli go nie zdobędziecie, gdyż mieliście kiepski dzień albo koń miał kiepski dzień, albo nerwy was zjadły, to nie ma problemu. Jednak jeśli potem, wspominając ten dzień, powiecie sobie: „Przegrałem, gdyż za dużo wypiłem, nie dość trenowałem, za późno poszedłem spać albo nie dość ciężko trenowałem", będziecie tego żałować do końca życia.

„Gada zupełnie jak Jake" — pomyślała Helen.

Malise przesunął wzrokiem po pięciu zawodnikach.

— Jesteście chyba najstarszą reprezentacją, jaką dotąd wysłaliśmy, oprócz Fen. Czyli macie duże doświadczenie, jednak upał może was pokonać, może to również oznaczać, że to wasza ostatnia szansa występu na olimpiadzie.

Odwrócił się do stajennych, Helen i raczej cichego ojca Griseldy, który siedział na poręczy fotela obok matki Ivora.

— Rodzinom, stajennym i żonom mam do powiedzenia to samo. Przez najbliższy miesiąc spróbujcie wspiąć się na szczyt altruizmu. Zawodnicy będą nerwowi, poirytowani i roszczeniowi. W miarę zbliżania się konkursu mogą też oddalać się od was, żeby nabrać dystansu i pokonać stres. Trzeba się z tym pogodzić. Muszą zachować spokój, gdyż tylko w ten sposób nie przekażą nerwów koniom. Nie wysuwajcie nadmiernych żądań. Te żony i rodziny, które nie pojadą do Los Angeles, nie powinny oczekiwać regularnych telefonów. Czasy są trudne, często względy bezpieczeństwa utrudniają dostęp do telefonu.

Malise spojrzał na Jake'a.

— Przykro mi, że nie ma tu Tory — powiedział z uśmiechem — ale akurat ona nie musi tego słyszeć. Zawsze wzorowo cię wspierała.

Helen zagryzła wargi. Poczuła bolesne ukłucie zazdrości. Musi się postarać nie wywierać nacisku na Jake’a.

— No dobrze, to wszystko — zakończył energicznie Malise. — Jeszcze jedno: chcę wrócić do domu z dwoma złotymi medalami.

Odkupiwszy siebie i swój kraj wygraną w Grand Prix wieczorem następnego dnia, Rupert poleciał z Rockym prosto do Los Angeles, by dać sobie i koniowi niemal miesiąc na aklimatyzację.

Dwa tygodnie później przyleciał z powrotem do Anglii pod pozorem przymiarki stroju olimpijskiego oraz uporządkowania spraw administracyjnych — jednak w rzeczywistości na spotkanie z Amandą Hamilton. Umówili się w jej domu w Kensington. Dla Ruperta był to znaczący krok naprzód, jak to, że w środku sierpnia udało mu się ją ściągnąć ze Szkocji, gdzie miała szykować lunche dla partnerów do polowania dla męża i zabawiać jego współpracowników z gabinetu.

Mijając chodniki pełne turystów i spoglądając na damskie nogi, nieskrywane pod spódnicami i spodniami, Rupert uświadomił sobie, że dziwne, jak jego energia seksualna niemal całkowicie skupiła się na Amandzie. Fakt, że często nie chciało się jej stroić, umyć głowy czy pomalować na ich spotkanie, tylko wzmacniał jego ciekawość, podobnie jak fakt, że zawsze była zajęta dziećmi, komitetami lub karierą Rolla, a dla Ruperta miała bardzo mało czasu. Musiał walczyć o każdy jej kolejny krok. Przyzwyczajony był do zbyt chętnych dziewczyn, zawsze wykąpanych, uperfumowanych i wystrojonych, drżących z oczekiwania, więc Amanda stanowiła zaskakującą nowość. Znali tych samych ludzi i stosowali te same reguły. Była to również pierwsza kobieta, której nie mógł zastraszyć.

Dom w Rutland Gate był pełen alarmów antywłamaniowych. Amanda przyjechała do Londynu, tłumacząc się, że w południe musi się stawić na osiemdziesiątych urodzinach cioci Augusty. Miała spędzić noc w mieście i następnego dnia rano lecieć na północ.

Jak wyjaśniła mężowi, zawsze dobrze jest nagle wpaść do domu, żeby sprawdzić służbę i nie pozwolić się jej rozleniwić.

Służba — para Filipińczyków, która porzuciła pracę u członka rodziny królewskiej, gdyż mieli tam za dużo butów do czyszczenia — była bardzo niezadowolona z nagłego najazdu pani Hamilton. Wieczorem mieli zamiar urządzić imprezę w piwnicy. Amanda ułagodziła ich jednak, zgadzając się na imprezę i oznajmiając, że nie będzie potrzebowała kolacji.

Po kolacji w Barnes, według Amandy bezpiecznym miejscu, gdyż „na przedmieściach nigdy nie widuje się znajomych”, krótkiej, bo Rupert nie pił, niezauważeni zakradli się do domu. Zabawa na dole trwała w najlepsze.

— Czy Rollo pozwie mnie za wtargnięcie na teren prywatny? — zapytał Rupert, zdejmując krawat.

Amanda nie odpowiedziała śmiechem.

— Wiesz, że nie może pozwolić sobie na skandal — powiedziała, wkładając kolczyki z brylantami do szkatułki na biżuterię. — Czy Helen leci z tobą do Los Angeles w przyszłym tygodniu?

— Tak — powiedział Rupert. — Chyba poszła do jakiegoś terapeuty małżeńskiego, który jej poradził, żeby zainteresowała się moją pracą.

— Dobrze — powiedziała Amanda, macając ziemię w doniczkach przy oknie. — Dlaczego służba nie ma zielonego pojęcia o podlewaniu?

— A dlaczego to dobrze? — zapytał poirytowany Rupert z głową wewnątrz koszuli.

— Bo w tej chwili nie potrzeba ci głośnego rozwodu. Partia przyjmie cię znacznie lepiej, jeśli będziesz miał piękną i oddaną żonę.

— I tak doskonale sobie poradzę — powiedział Rupert, skacząc na nią.

— Robienie tego w łóżku Rolla wydaje się niesmaczne.

— Ale nierobienie niczego jest jeszcze gorsze.

Potem Amanda leżała w ramionach Ruperta, myśląc — ale nie mówiąc na głos — jak miło spędzić razem całą noc. Pomimo ostrzeżeń głosu rozsądku coraz bardziej go lubiła. Rupert był rozpieszczony i wyjątkowo paskudny, ale potrafił ją rozbawić, no i ta jego uroda...

— Jeśli zdobędziesz złoto, kończysz karierę?

— Masz na myśli zawieszenie bata na kołku? Może. Nie da się do końca życia jeździć konno.

— A co z Helen? Naprawdę uważam, że jeśli chcesz zająć się polityką, to niepotrzebny ci rozwód.

— Jeśli tylko zdołam zatrzymać psy, Tab i dom, to mnie nie przeszkadza. Helen może sobie wziąć Marcusa, pierwsze wydania literatury i van Dycka.

— Obiecasz, że poważnie zastanowisz się nad wejściem do polityki po igrzyskach? — naciskała Amanda. — Naprawdę podbiłeś premiera. Jeśli sir William przystąpi do wspólnego rynku, to od jesieni zwolni się bezpieczne miejsce w Gloucestershire. Nie możesz wciąż skakać z kwiatka na kwiatek. Starzejący się playboy to naprawdę żałosny widok — mówiła dalej, kładąc się na poduszce. — Stopniowo zaczyna dryfować w kierunku brzydszych dziewczyn, zdobycie ich zajmuje mu trzy noce zamiast jednej, a czasami po jednej nocy to one uznają, że go nie chcą. Masz trzydzieści jeden lat.

— I uważasz, że taki los mnie czeka? — zapytał ozięble Rupert.

Amanda Hamilton spojrzała na urodziwą, ale zdeprawowaną twarz oraz cudownie wysportowane, umięśnione i opalone ciało. Jej twarz złagodniała.

— Jeszcze długo nie, ale nieudane małżeństwo w połączeniu z zawodem niewymagającym wysiłku intelektualnego naprawdę ci nie służy.

Rupert ujął jej twarz w swoje dłonie.

— Pewnie ty nie zdecydowałabyś się na rozwód? Razem byłoby nam wspaniale.

Amanda się zarumieniła.

— Jestem dla ciebie za stara, poza tym Rollo ma swoją karierę, no i musimy wykształcić czwórkę dzieci. Pewnie wszystkie pójdą na studia.

— Ja je wykształcę — zaoferował się Rupert. Zerknął na zdjęcie najstarszej córki Amandy, Georginy, stojące na kominku w srebrnej ramce. Już miał powiedzieć, że chętnie nauczyłby dziewczynę życia, ale w porę ugryzł się w język. Amanda nie lubiła tego typu żartów.

Teraz jednak Rupert znów jej zapragnął. wstał i ruszył na obchód pokoju, poszukując jakichś nowości. Może wziąć ją na siedząco w różowym fotelu? Wtedy jego spojrzenie padło na olbrzymie lustro nad kominkiem.

— Co robisz? — zapytała Amanda. — To siedemnastowieczne zwierciadło, prezent ślubny od babci Rolla. Jest w rodzinie od wielu lat.

— Chcę nas widzieć — powiedział Rupert, uginając się pod ciężarem lustra. Postawił je na oparciach fotela, który przyciągnął do łóżka.

— Widzisz się? — zapytał Amandę.

— Ani trochę.

— Przechylę odrobinę do przodu. — Rupert powkładał za lustro jasnoniebieskie i różowe poduszki z jedwabiu.

— Na miłość boską, uważaj! — ostrzegła Amanda, jednak szybko zajęła się tym, co zobaczyła w lustrze.

Stare szkło bardzo ją upiększało, nadając ciepły odcień skórze i złocisty blask twarzy. Amanda podziwiała swoje opadające piersi i zaokrąglenie talii przechodzącej w biodra.

— To cudowne — powiedział Rupert, kładąc się za nią w łóżku. Był tak opalony, że Amanda miała wrażenie, że leży w łóżku z czarnoskórym. Zafascynowana przyglądała się, jak jego długie palce gładzą jej brzuch, a

potem wsuwają się w ciemne włosy między nogami. — Spójrz, jaka jesteś piękna — powiedział cicho, rozsuwając delikatne płatki jej warg sromowych. Amanda uniosła pośladki i wciągnęła jego penis do ciepłej, śliskiej pochwy.

Jęknęła.

— Dobrze, prawda?

Rupert uniósł jej prawą nogę i odsunął ją, trzymając za wewnętrzną stronę uda tak, by widzieć miejsce, w którym się w nią wsuwa całą imponującą długością członka wjeżdżającego jak pociąg do tunelu.

Szaleńczo podniecona Amanda wygięła się, czując, jak jego palce pieszczą ją coraz szybciej.

— No już, kochanie, już.

Dochodząc do końca, oboje usłyszeli głośny trzask. Amanda krzyknęła, a lustro przechyliło się do przodu, uderzyło w drewniane podłokietniki fotela i spadło na podłogę, rozbijając się na tysiące kawałków.

— Zobacz, co zrobiłeś! — powiedziała z gniewem. — Rollo mnie zabije!

Nagle usłyszała czyjeś głosy. Podpici, ożywieni Filipińczycy biegli schodami do góry.

— Przesuń fotel i leć do łazienki — powiedziała ostro Amanda, narzucając koszulę nocną.

— Nic się nie stało, Conceptione — usłyszał jej głos. — Niestety, lustro spadło ze ściany, pewnie sznurek zetlał. — szybko przesunęła szklankę Ruperta za doniczkę. — Przynieś mi odkurzacz. Nie, sama posprzątam, nic mi nie jest. Wracaj do gości.

Trzy minuty później Rupert usłyszał szum odkurzacza. Wciąż jeszcze przesuwając nim po podłodze, Amanda otworzyła drzwi łazienki.

— Możesz już wyjść.

Rupert widział, że jest wściekła.

— Zapłacę — powiedział.

— Nie chodzi o pieniądze! — jęknęła. — To siedem lat nieszczęść! A Georgie zdaje akurat maturę, poza tym niedługo wybory!

Rupert wyjrzał przez kraty w oknach na żółknącą trawę Ogrodów Kensingtońskich.

„A moje złoto?” — pomyślał posępnie.

Od razu po powrocie z Dublina rozpoczęła się przedolimpijska gorączka. Telefon się urywał — dzwonili urzędnicy, prasa, producenci wyrobów jeździeckich, zainteresowani sponsorzy, którzy słyszeli, że po igrzyskach Jake i Fen mogą przejść na zawodowstwo.

Jako mniej zamożni od Ruperta musieli do końca zabierać konie na zawody. Pomiędzy nimi zaś czekały ich niekończące się badania medyczne zarówno koni, jak i jeźdźców. Jake i Fen gnali do Londynu na przymiarki strojów olimpijskich, a potem do sklepu po marynarki i bryczesy.

Fen była wściekła, że nie pozwolono jej włożyć granatowego żakietu.

— Czarny jest ciężki — mówiła. — Zresztą przecież nie jadę na pogrzeb.

— Zmienisz zdanie — odparł Jake — kiedy zobaczysz przeszkody.

Jake był tak zagoniony, że nie miał czasu zadzwonić do Helen, która pomimo ostrzeżeń Malise’a wpadła w taką panikę, że zadzwoniła do niego do stajni.

— Kochanie, to ja. Dlaczego nie dzwonisz? Udaj, że to pomyłka, i oddzwoń do mnie, jak tylko znajdziesz chwilę.

Jake niemal z ulgą powitał jej wyjazd z Rupertem do Los Angeles, gdyż zyskiwał nieco oddechu i możliwość skupienia się na najpilniejszych sprawach. Dzień mijał mu na wytężonej pracy, wieczorami jednak martwił się o przyszłość.

Ich finanse wciąż były niepewne. Bank potrzebował Mill House, stajni i udziałów posiadanych przez Tory jako zabezpieczenia. Kierownik banku był dumny z Jake’a i jego niewiarygodnego powrotu po wypadku, często chwalił się znajomością z nim w klubie golfowym, lecz Jake nie miał złudzeń — to przyjazne nastawienie zniknie, gdy pojawią się jakiekolwiek problemy finansowe.

Teraz, jako członek reprezentacji olimpijskiej, był znacznie atrakcyjniejszym klientem dla banku, zwłaszcza że uganiało się za nim pół tuzina sponsorów. Żaden z nich jednak mu się nie spodobał, wiedział, że jeśli wróci bez medalu, ich entuzjazm zniknie. Zresztą widział, jak sponsorzy niemiłosiernie wywierają presję na Billym, Humptym i Driffieldzie, którzy musieli brać wolne, by jeździć na otwarcie zakładów, na imprezy i pogawędki z ważnymi klientami tuż przed zawodami. Jake wiedział, że nie potrafi czarować ludzi i brakuje mu opanowania, by radzić sobie z takim brakiem prywatności. Bał się jak ognia zależności od kogoś obcego. Byłby to powrót do szkółki jeździeckiej Brook Farm i pani Wilton. Sponsorzy, którzy kupili konia, zawsze mogą go zabrać, tak jak zrobił to pułkownik Carter z Zemstą.

Jake marzył o złocie i pokonaniu Ruperta. Jednak tak samo mocno pragnął Helen, jej chłodnego, szczupłego ciała i niewiarygodnej, rozpalonej żądzy, którą w niej wzbudził. Przy koniach lub rodzinie potrafił się wyłączyć i zapomnieć o niej, lecz w nocy wracała jeszcze bardziej dojmująca tęsknota.

Ale jakim cudem miałby utrzymywać dwa domy? Jeśli Helen odejdzie od Ruperta, ten już dopilnuje, by nie dostała złamanego grosza. Nawet jeśli uda się jej zdobyć pracę w wydawnictwie, będzie musiała zatrudnić opiekunkę do dzieci, jeśli Rupert pozwoli jej zabrać dzieci, co wydaje się mało prawdopodobne. A jeśli Jake zostawi Tory, to on straci dzieci, Fen i

Mill House, nie wspominając o samej Tory i nieprawdopodobnym wsparciu, jakie mu zapewnia. Musiałby znaleźć kogoś innego. No i jak podzieliliby konie? Czy on dostanie przód Macaulaya, Tory tył, jak w teatrzyku dla dzieci?

Poza tym martwiła go sama Helen. Jak twierdziła, jest gotowa żyć skromnie, ale po sześciu latach z Rupertem przyzwyczaiła się do sprzątaczki codziennie przychodzącej do domu, opiekunek do dzieci, ogrodników opiekujących się dopieszczonym ogrodem, nie wspominając o kwiatach i szampanie w czterogwiazdkowych hotelach, w których się zatrzymywała na wyjazdach. Jak poradzi sobie ze skromniejszym życiem? Sama siebie porównywała do rośliny doniczkowej, która usycha w cieplarni, chociaż na zewnątrz lekki deszcz rosi ziemię. Czy roślina cieplarniana wytrzyma wichury i śniegi świata na zewnątrz?

Jake próbował rozmawiać o tym z Helen, ale ona w swojej niepewności odczytywała te próby jako wycofanie się ze związku. Nie przemyślał sobie wszystkiego, kiedy upojony szampanem wysłał jej z Dublina granatową chusteczkę.

Jakby w odpowiedzi na modlitwy na dzień przed wyjazdem do Los Angeles odebrał telefon od Garfielda Boysona, właściciela imperium wideo. Boyson był przyjacielskim, twardym mężczyzną, który od dziecka uwielbiał konie i nie musiał się martwić o pieniądze.

— W południe będę przejeżdżał przez pana wieś — powiedział niewyraźnie, gdyż dzwonił z telefonu w samochodzie. — Może się napijemy?

— Nie mam czasu — odparł Jake. — Jutro wyjeżdżamy.

— Na to znajdzie pan czas — powiedział Boyson. — Do zobaczenia w pubie Pod Strzemieniem za pół godziny.

„Wymyka się do pani C-B” — pomyślała kwaśno Fen, kiedy Jake zniknął bez słowa wyjaśnienia. Chłopcy ze wsi przystawali przy lśniącym rolls-roysie Boysona, w którym szofer ucinał sobie drzemkę w sierpniowym słońcu. W barze Boyson siedział na krześle, którego oparcie ciasno przylegało do jego szerokiego torsu. Popijał potrójną whisky i zagryzał ją frytkami, a jego oczy, ukryte w fałdach tłuszczu, spoglądały bystro i życzliwie.

— Witam, chłopcze, czego się napijesz?

— Soku pomidorowego. Pracuję — powiedział Jake z naciskiem i zapalił papierosa.

— Lepiej to rzuć — poradził Boyson. — Klimat w Los Angeles naprawdę dobija ludzi o słabych płucach.

— Słyszałem.

— Może sosu worcester? — zapytała barmanka. — O, to ty, Jake. Nie widziałam, kiedy wszedłeś. Co u ciebie?

— Praca — odparł Jake.

Barmanka spojrzała na ścianę, na której dumnie wisiała jedna z rozetek zdobytych przez Macaulaya na mistrzostwach świata.

— Mam nadzieję, że z Los Angeles też jakąś dostaniemy — powiedziała.

Jake zwrócił się do Boysona.

— Na pewno nie zaprosił mnie pan tutaj tylko po to, żeby mi doradzać rzucenie palenia.

Boyson roześmiał się ochryple.

— Nie. Siadaj, chłopcze. Od jakiegoś czasu obserwuję twoją karierę. Podziwiam twoją determinację, walkę o powrót. Podziwiam też tę twoją zadziorną szwagierkę.

— Mężczyźni zazwyczaj ją podziwiają. — Jake bez uśmiechu zerknął na zegarek.

— Rupert miał rację co do ciebie — powiedział Boyson. — Według niego tak samo brakuje ci uroku, jak i wzrostu.

— Dzięki — odparł Jake, wychylając resztę soku i wstając.

— Siadaj — powstrzymał go Boyson, machając tłustą ręką z sygnetami. — Nie potrzebuję specjalisty od PR. Nie będę cię prosił o zagadywanie klientów i otwieranie sklepów. Chcę tylko trochę ci ułatwić.

— A co pan będzie z tego miał?

— No dobrze, przejdźmy do konkretów. Moje nazwisko na twoich koniach: Boyson Macaulay. Boyson Hardy. Nie wygląda źle.

— Nie! — zaprotestował Jake.

— Minuta. Za to biorę na siebie twoje rachunki, wydatki podróżne i dam ci nową ciężarówkę z moim nazwiskiem. W Crittleden zauważyłem, że twój samochód już się rozpada. Mogę ci nawet kupić konie.

— A jeśli zaczniemy przegrywać?

— Podpiszemy umowę na trzy lata, bez możliwości rozwiązania. Każdemu zdarza się tracić formę, koniom też. Wiem o tym. Ty jednak zawsze dotąd pracowałeś z końmi drugiej klasy i doprowadzałeś je do szczytowej formy. Jestem ciekaw, co zrobisz z koniem w rodzaju Rocky’ego lub Clary.

Boyson zamówił kolejne drinki, dla Jake’a zamiast soku dużą whisky. Jake wychylił ją, nie zauważając, co pije.

— Zacznie mi pan rozkazywać i mówić, jak mam jeździć.

— Nie. Może czasami zdarzy mi się z tobą nie zgodzić, ale to ty będziesz szefem. Nie oczekuję, żebyś mi radził, jak prowadzić firmę.

— Jakie warunki ma pan na myśli?

— Około siedemdziesięciu pięciu tysięcy rocznie oraz oczywiście dodatkowo samochód i jakieś nowe konie.

Mózg Jake’a zaczął nagle pracować w przyspieszonym tempie. „To ta wielka chwila” — pomyślał z podnieceniem, chociaż twarz miał nadal nieruchomą.

— Nie za wiele jak na konie.

— Może być więcej, jeśli zgodzisz się na jeszcze jedną rzecz.

— Jaką?

— Mam piętnastoletniego syna, miły chłopak, ale nie ożeniłem się z jego matką, jeśli wiesz, co mam na myśli.

— Aż za dobrze. Miałem ten sam problem.

— Wiem. To jeden z powodów, dla których możemy się dogadać. Szaleje za końmi, chciał jeździć na wyścigach, ale jest za wysoki. Przyda ci się trzecia osoba w stajni, trochę ci ulży. To dobry chłopak, podziwia cię, powiesił sobie twoje zdjęcie na ścianie i twierdzi, że jesteś jedynym zawodnikiem, którym warto się przejmować.

— A jeśli okaże się słaby?

— Nie — odparł Boyson. — Uwierz mi. Matka mu niedawno zmarła. Potrzebuje rodziny.

— Zastanowię się — obiecał Jake.

— Jedź najpierw do Los Angeles. Wiem, że miałeś duże wydatki, stajnia przez miesiąc będzie praktycznie zamknięta. Konie będą potrzebowały czasu na powrót do formy, więc nie martw się tym, jak zdołasz to wszystko utrzymać. Wróć z medalem, to dobijemy targu.

— A jeśli nie zdobędę medalu?

— Będziemy musieli jeszcze raz to przemyśleć.

— Nie lubię przekupstwa, panie Boyson.

— Mów mi Garfield. A ja nie lubię przegranych.

— Dlaczego w takim razie nie wybrałeś Ruperta?

— Bo wciąż ładował się w kłopoty. Za wiele skandali. Nie rozumiem, po co mu to, skoro ma tak piękną żonę.

— A ja jestem czysty jak łza — powiedział Jake, wstając.

— Przynajmniej dyskretny — odparł Boyson. — Nie udało mi się nic na ciebie znaleźć.

Opuszczali Anglię w przepiękny dzień. Tory pomagała Fen się spakować, Jake siedział w kuchni, sprawdzając papiery. Sarah wyleciała ze Stansted z Hardym i Desdemoną dwa dni wcześniej. Jake i Fen dołączą do niej akurat wtedy, kiedy konie skończą kwarantannę i dotrą do wioski olimpijskiej.

W drodze do kuchni Tory znalazła na schodach Wilka z nieszczęśliwą miną, czuł, że tym razem nie jedzie.

— Ja też nie jadę, piesku — powiedziała, głaszcząc go po szorstkiej głowie. — Będziemy musieli zaopiekować się sobą.

Jake wyjrzał przez okno na rudawe budynki stajni. Wierzby nad stawem już zaczynały lekko żółknąć, a potok wysechł do wąskiej strużki. Poprzedniego wieczoru oglądał klucz odlatujących dzikich gęsi przecinający niebo. Teraz jaskółki szczelnie obsiadły przewody telegraficzne.

— Patrz, jak równo usiadły — powiedziała Darklis. — Co one robią?

— Szykują się do odlotu — wyjaśnił Jake.

Może on też powinien się tak szykować. Kiedy wróci, jaskółek już nie będzie. Z dojmującym smutkiem, przewidując, jak bardzo będzie tęsknił, zapatrzył się na brązowe pola i stajnię, w której konie wyglądały nad połówkami drzwi, świadome, że coś się dzieje. Wszystkie oprócz Macaulaya, który obrażony obrócił się tyłem.

Gdyby tylko mógł sobie pozwolić na zabranie Tory i dzieci. Jeśli zgodzi się na sponsorowanie przez Boysona, będzie w stanie je zabierać. Tory nie musiałaby wtedy tak ciężko pracować. Mogłaby pozwolić sobie na nowe

ubrania — ona i dzieci. W tej chwili Jake poczuł w kieszeni wrotycz, który Helen specjalnie dla niego kazała zrobić ze złota — na szczęście. Dał Helen chusteczkę — nie może się teraz wycofać.

Do kuchni weszła Tory.

— Fen jest gotowa, powinniście niedługo wyjeżdżać — powiedziała. — Mógłbyś zjeść obiad. Zrobiłam ci zapiekankę i kanapki na drogę. Nawet postawiłam się i kupiłam do nich wędzonego łososia.

Jake z lekkim uśmiechem pokręcił głową.

— Wieczorem będziemy jedli kolację w hotelu. — mieli samolot o świcie następnego dnia. Obrócił się do Darklis: — Idź powiedzieć Fen, że za dziesięć minut wyjeżdżamy.

Kiedy tylko córka wyszła, Jake przygarnął do siebie Tory i ujął w dłonie jej zmęczoną, życzliwą nieumalowaną twarz, odgarniając z czoła pozlepiane mysie włosy, których nie miała czasu umyć.

— Nie rób tego — wymamrotała w jego ramię. — Wyglądam okropnie. Idę na dietę, jak wrócisz, będę szczupła.

Jake otoczył ją ramionami, czując przy sobie jej uspokajające, ciepłe ciało.

— Nie spodziewam się telefonów — powiedziała niezupełnie pewnym głosem. — Malise uprzedził mnie, jak wyglądają połączenia z Los Angeles. Dzwoń, kiedy będziesz mógł, a my wszyscy będziemy o tobie myśleć.

Przez sekundę trwali przytuleni. Nagle Jake pożałował, że Tory nie jest jego matką, mądrą i kochającą, do której zawsze może wrócić, chociaż już związał się z Helen. Z nieprzyjemnym przeczuciem pomyślał, że może widzi Tory po raz ostatni.

— Szkoda, że nie możesz ze mną jechać.

— Też bym chciała. Zabierz mnie następnym razem.

— Kocham cię — powiedział szczerze i po raz pierwszy. Po igrzyskach będzie musiał wszystko uporządkować.

Kiedy wyszli na podwórko, zauważył, że Tory płacze. Chcąc odwrócić jego uwagę, odezwała się:

— Musisz się pożegnać z Macaulayem.

Macaulay stał odwrócony tyłem do drzwi. Słysząc zbliżającego się Jake’a, położył uszy po głowie. Jake wszedł do boksu.

— Przepraszam, staruszku. Wiem, jak się czujesz. Jestem tak samo zawiedziony.

56

— LĄDUJEMY ZA DWADZIEŚCIA MINUT — oznajmiła stewardesa. — Czy mogę prosić o osiem autografów dla załogi?

Fen pobiegła do łazienki, desperacko próbując się umalować na wypadek, gdyby Dino wyszedł na lotnisko. Kiedy wróciła, wciąż znajdowali się nad pustynią, a Ivor zmagał się z szybką krzyżówką w „Daily Mirror", którą zaczął w chwili wylotu z Heathrow. Jake wydawał się coraz bardziej spięty. Może zastanawia się, czy wyjdzie po nich Helen.

Nagle pojawiło się pod nimi Los Angeles. Fen nagle poczuła, jak jej zmęczenie znika, kiedy spojrzała na olbrzymią turkusową połać oceanu i platynowe plaże. Widziała nawet połyskującą białą pianę przyboju. Teraz lecieli nad rozległą szachownicą ulic, domów, ogrodów i jaskrawoniebieskich basenów oraz drapaczy chmur lśniących w południowym słońcu, przeplatanych wielką siecią autostrad przypominających arterie. Horyzont przesłaniała gęsta, brudnawa, szarobrunatna zasłona smogu.

Jake bawił się swoim złotym kwiatem wrotyczu, starając się opanować nerwy. „To kraj Dina. Udało mi się!" — pomyślała w uniesieniu Fen.

— Widzę Roberta Redforda i Kaczora Donalda! — zawołała, przechylając się przez Ivora.

— Gdzie? Gdzie? — zapytał ten, wyglądając przez okno.

— Wracaj do krzyżówki — powiedziała Fen uspokajająco. — Może nawet uda ci się ją skończyć, zanim przejdziemy przez cło.

Po wyjściu z samolotu uderzyła ich niby obuchem fala obezwładniającego kalifornijskiego upału.

— Upieczemy się! — jęknęła Fen.

— Nie damy rady tu skakać — powiedział Jake do siebie.

Odprawa celna wydawała się trwać dłużej niż sam lot. Na zewnątrz czekał na nich Rupert jedynie w adidasach, poszarpanych szortach dżinsowych i czapce bejsbolówce. Był tak opalony, że czarnoskóra obsługa lotniska wydawała się przy nim niemal biała.

— Witam w LA — powiedział drwiąco. — Wielki Mal jest na spotkaniu, więc w ramach jego programu solidarnościowego przyjechałem was powitać. Kontrole bezpieczeństwa to koszmar.

— Konie dotarły bez problemu? — zapytał Jake.

— W końcu tak. Klatki nie pasowały, musiały czekać na załadunek parę godzin, lot trwał trzydzieści trzy godziny — powiedział Rupert. Na widok przerażonej twarzy Jake’a dodał: — Ale dobrze się czują i wszystkie zakończyły kwarantannę. Hardy już ugryzł Malise’a, więc na pewno nic mu nie jest.

— Możemy jechać prosto do stajni?

Rupert spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Masz na to siłę?

Fen czasami wolałaby, żeby Jake mniej przejmował się pracą. Marzyła o kąpieli i nowym ubraniu na wypadek, gdyby Dino jednak się pojawił.

Z okien wynajętego przez Ruperta samochodu widzieli palmy, których nie poruszał nawet najlżejszy powiew wiatru.

— Czy to godziny szczytu? — zapytał nerwowo Ivor.

— To jeszcze nic — odparł żywo Rupert, od środka jezdni wymijając cadillaca, a potem wjeżdżając tuż przed pontiaca. — Jak już się przebijecie przez korki w godzinach szczytu, tor do zawodów indywidualnych wyda się wam bułką z masłem.

— A jak daleko jest ze stajni do wioski olimpijskiej? — zapytał Jake.

— To kolejny drobny problem — powiedział Rupert. — Jakieś półtorej godziny autobusem olimpijskim.

— Cholera! — powiedział Jake, wymieniając z Fen zmartwione spojrzenie.

— Mam szczęście — powiedział Rupert z lekkim samozadowoleniem. — Razem z Helen mieszkamy u znajomych w Arcadii, ledwie pięć minut od padoków.

— Ładny dom? — zapytała Fen, świadoma, że Jake zaczyna mieć dość.

— Okropnie cicho — powiedział Rupert beztrosko. — W nocy słychać jedynie plusk, kiedy przejrzałe awocado wpada do basenu.

Do stajni nie można się było przyczepić. Były przestronne, dobrze wietrzone, z automatycznie otwieranymi drzwiami, klimatyzacją w boksach i wodą na dachu, żeby utrzymywać temperaturę osiemnastu stopni. Nie dopuszczano do nich dziennikarzy, a stajenni spali w pokojach na górze.

Sarah, która pofarbowała włosy na czerwono, biało i niebiesko, powitała ich z radością.

— Fantastyczni ludzie — powiedziała do Fen. — Właśnie umówił się ze mną meksykański zawodnik o imieniu Jesus.

Desdemona jeszcze bardziej ucieszyła się na widok Fen, wydawała się maleńka w wielkim boksie. Przytulając ją i sprawdzając, czy nie ma sińców i zadrapań oraz starając się nie zdradzić drżenia głosu, Fen zapytała:

— A czy przyjechała już drużyna amerykańska?

— Dzisiaj rano przyjechały Mary-Jo i Lizzie Dean. Carol Kennedy i pan Ferranti — Sarah mrugnęła do Dizzy wyglądającej nad dolną połową drzwi — przyjadą jutro wieczorem.

— Cześć, Fen — powiedziała Dizzy. — Dino pokonał w tym roku wszystkich. Manny od trzech miesięcy nie zaliczył ani jednej zrzutki i jest faworytem do złota w konkursie indywidualnym.

— Więc uważaj, panie Campbell-Black — dodała Sarah.

— Bądź patriotką, kochana — zwróciła jej uwagę Dizzy.

Obie zdążyły już opalić się na złoto. Dizzy miała na sobie szorty we wzór flagi brytyjskiej. Przy dziewczynach Fen poczuła się bardziej niepozorna i zmęczona niż zwykle. W tej chwili wszedł Malise, jak zwykle elegancki w kremowym garniturze i kapeluszu słomkowym ze starą tasiemką szkoły w Rugby.

— Dotarliście. Nie siedźcie tu zbyt długo, musicie się przespać. Kiedy będziecie gotowi, zabiorę was do wioski olimpijskiej i dostaniecie smycze z identyfikatorem. Najlepiej w nich śpijcie, bo od jutra będziecie musieli stale je nosić.

Po półtoragodzinnej jeździe autobusem bez klimatyzacji, który po prostu wyrzucił ich przed sektorami męskimi i żeńskimi w wiosce olimpijskiej, Jake, już wiedział, dlaczego Rupert wolał zamieszkać w Arcadii. Po otrzymaniu identyfikatora, który zawierał jego nazwisko, zdjęcie, obywatelstwo i zawody, w jakich miał uczestniczyć, musiał się przebić przez wyjątkowo ścisłe kontrole bezpieczeństwa. Znalezienie pokoju trwało bardzo długo, gdyż na każdym piętrze ochrona sprawdzała, dokąd idzie. W końcu znalazł swój pokój i stwierdził, że dzieli go nie z Ivorem, lecz z dwoma ciężarowcami, którzy na szczęście wyszli na miasto. Oprócz trzech łóżek w pokoju stały trzy małe komody, szafa, był prysznic, kuchenka gazowa i lodówka. Piecyka nie wstawiono, zapewne w obawie, że ktoś włoży do niego głowę.

Jake był zlany potem, ale nie tylko z powodu upału. Wyjrzawszy na zewnątrz, nagle uświadomił sobie liczbę furgonetek ochrony przemierzających wolno alejki wśród wypalonych na żółto trawników porośniętych palmami oraz helikopterów i samolotów nad głową —

wszystko to należało do największej operacji związanej z bezpieczeństwem, jaką kiedykolwiek zorganizowano w czasie pokoju.

Twardziele przy wjeździe, pod bronią i mówiący z niemieckim akcentem, nagie jak w urzędzie korytarze, ochrona na każdym piętrze, atmosfera strachu i anonimowości rozstrajały go i przypominały o pobycie w domu dziecka.

Przytłoczony tęsknotą za domem i klaustrofobią Jake zaczął się rozpakowywać. Pod pięknie uprasowanymi koszulami i nową czerwoną marynarką znalazł stos telegramów i kartek z życzeniami, których wcześniej nie widział. Był tam także list od Tory.

„Kochanie, jeszcze nie wyjechałeś, a ja już za tobą tęsknię. Przeczytasz ten list w Los Angeles przed największą przygodą życia. Nie bój się i bardzo proszę, odżywiaj się dobrze. Nie martw się, jesteś wciąż mistrzem świata i najlepszym jeźdźcem na świecie. Ucałuj Hardy’ego. Masz też prezenty od dzieci. Przesyłam ci całą moją miłość, Tory”.

Jedna z paczek zawierała czarnego porcelanowego kota z podkową na szyi — na szczęście. W drugiej Jake znalazł szczoteczkę do zębów ze szklaną bańką na końcu, a w środku maleńką Myszkę Miki; na końcu szczoteczki był dzwoneczek, który dzwonił podczas mycia zębów.

Jeden z telegramów był od Garfielda Boysona, kolejny od Eleanor Blenkinsop. Znacznie pocieszony Jake rozebrał się, wziął prysznic i zasnął kamiennym snem po raz pierwszy od wielu tygodni.

— Paskudnie — narzekała Fen następnego poranka. — Jestem w pokoju z Griseldą i wielką dyskobolką o niepewnej orientacji seksualnej, która całą noc chrapała. Na korytarzach roi się od ochrony. Przydałby mi się ochroniarz w pokoju, tylko że my trzy ledwie się tam mieścimy. Griselda już robi słodkie oczy do jakiejś umięśnionej rowerzystki z pokoju obok, a

po drugiej stronie trzy amazonki co chwilę mówią, że muszą zadzwonić do mamy — zachichotała.

Tego dnia liczyło się jedynie to, że zobaczy Dina.

Nastrój poprawiły im jeszcze kolejne telegramy czekające na dole, chociaż Jake poczuł się lekko zbity z tropu, kiedy dostał trzy długie, dość histeryczne listy od Helen, która pisała, że bardzo za nim tęskni i prosiła, by jak najszybciej się z nią skontaktował. Potem poszli zwiedzać wioskę olimpijską. Jake czuł się przerażony samym hałasem i wielkością obszaru. Mieli do dyspozycji sklepy sportowe, fryzjerów, kina i teatry, sauny, baseny, nawet dyskotekę — oraz niezliczone sklepy z pamiątkami, a wokół kręciły się ekipy telewizyjne. Jake oczekiwał czegoś w rodzaju zacisza klasztornego. W tym domu wariatów ciężko będzie się skupić i oderwać od świata.

Fen z niemal jeszcze większym przerażeniem zobaczyła plakaty z Dinem w sklepie z pamiątkami. Na jednym, wspaniale opalony, wyglądał niewiarygodnie przystojnie w bladoszarej koszuli. Na drugim skakał na Mannym w czerwonej marynarce amerykańskiej reprezentacji z niebieskim kołnierzem. Zatrwożona przyglądała się, jak dwie amerykańskie gimnastyczki kupują oba plakaty.

— Patrz — odezwał się Jake, próbując odwrócić jej uwagę — Sebastian Coe.

— A tam jest Daley Thompson — dodała Fen z nabożną czcią.

Potem poszli na spotkanie zwołane przez Malise’a. Według planu, jaki im przedstawił, od jutra reprezentacja ma wstawać o czwartej rano, jechać do stajni i od szóstej do ósmej trenować konie, po czym zostawić je na odpoczynek w czasie największego południowego upału. Następnie stajenni będą chodzić z nimi przez godzinę lub dwie, żeby się rozluźniły w chłodzie wieczoru. W ciągu dnia zawodnicy będą mieli na ogół czas dla siebie z

wyjątkiem ewentualnych spotkań lub konferencji prasowych. Mogą również pojechać na imprezy plażowe, przyjęcia, wycieczki do Disneylandu, Hollywood lub Las Vegas. Malise chciał, żeby się odstresowali, dobrze bawili, trzymali razem i zbierali siły na konkursy. Uroczyste otwarcie igrzysk miało się odbyć w niedzielę, tydzień później w poniedziałek zaplanowano konkurs indywidualny, a w następną niedzielę zawody drużynowe.

Wieczorem, jak mówił im Malise, Eriksonowie — gospodarze Ruperta i Helen — zapraszają drużyny brytyjską i amerykańską do siebie na grilla. Ta informacja wprawiła w panikę zarówno Fen, jak i Jake’a. Jake chciał zobaczyć Helen, ale bał się tego spotkania. Pamiętał koszmar w Dublinie, kiedy cały czas się zastanawiał, czy Rupert czegoś nie podejrzewa. Nie chciał powtórki w Los Angeles.

Fen najpierw jakieś pięćdziesiąt razy wzięła prysznic, a potem nie mogła się pomalować. Trzęsła się tak bardzo, że eyeliner zeskakiwał jej z rzęs i podjeżdżał na powiekę. Ze szminki w ogóle zrezygnowała. Założyła nowe luźne ogrodniczki Andy Pandy w różowe paski i jasnoróżowy T-shirt.

Griselda, która wymieniała coraz bardziej namiętne spojrzenia z rowerzystką z pokoju obok, wymówiła się zmęczeniem po locie i nie wybierała się na przyjęcie. Na szczęście po dwóch kolejnych przejażdżkach pozbawionym klimatyzacji autobusem Malise wynajął samochód dla drużyny. Jako że Eriksonowie mieszkali ledwie pięć minut od stajni, po drodze na grilla zawodnicy postanowili wpaść do koni. Na ziemi kładły się już cienie palm, ale wciąż panował nieznośny upał. Nawet Desdemona wydawała się apatyczna.

— Pewnie wciąż dochodzi do siebie po podróży — uspokajał Malise.

„Może Dino też nie doszedł jeszcze do siebie po podróży” — pomyślała Fen i nagle odechciało się jej przyjęcia. Jednak w tej chwili minął ich Carol

Kennedy w ciemnych okularach — w takim razie Dino przynajmniej przyjechał do miasta. Fen weszła głębiej do boksu i gorączkowo sprawdzała, jak wygląda.

Na zewnątrz wpadła na Ruperta, który zahamował przed jej wielkimi ogrodniczkami, zerknął do wewnątrz i zapytał, czy upadła tak nisko, że musi nosić rzeczy po Tory, czym bynajmniej nie podniósł samooceny dziewczyny.

— Chodź — powiedział. — Malise już się zbiera. Ale nie ma co liczyć na kolację przed północą, bo Suzy Erikson jest kompletnie niezorganizowana.

— Jest Mary-Jo — powiedziała Fen, kiedy dotarli do samochodu wynajętego przez Malise’a.

Mary-Jo miała na sobie biały T-shirt z hasłem „Carol Kennedy na prezydenta” wypisanym dużymi niebieskimi literami. Z bliska okazało się, że ma czerwone oczy i wygląda na przejętą.

— Moje dziecko — zatroskał się Malise — co się stało?

— To Dino — zaszlochała Mary-Jo.

— Co mu się stało? — zapytała strwożona Fen.

— W samolocie Manny zaczął szaleć, prawdopodobnie coś go ukąsiło. To był samolot Dina i on pilotował. Dino chciał lądować awaryjnie na pustyni, ale miał też na pokładzie konie Carola, bał się, że wszystkich zabije, bo podłoże było bardzo skaliste... więc musiał zabić Manny’ego.

— Boże! — powiedział Rupert wstrząśnięty. — Przecież mogli dać mu coś na uspokojenie.

— Próbowali, ale nic nie działało.

— Gdzie jest Dino? — zapytał Malise.

— Wyładował dwa konie Carola i zawiózł ciało Manny’ego do domu.

— Na jakim koniu pojedzie? — zapytał Jake, który wydawał się zdruzgotany.

— Na żadnym — odparła Mary-Jo z płaczem. — Manny był naszą gwiazdą, ale też jedynym koniem Dina. Ojciec Dina chorował, więc Dino nie zajmował się ostatnio końmi.

— Czy teraz w ogóle nie przyjedzie na igrzyska? — zapytała szeptem Fen.

— Powiedział Carolowi, że tego by nie zniósł, pracował na to ciężko i długo. Uwielbiał Manny'ego. Próbowałam się do niego dodzwonić, ale jego mama powiedziała, że nie jest w stanie rozmawiać, jest zbyt rozbity.

— Może przecież pojechać na cudzym koniu — zastanawiał się Rupert. — To z pewnością wasz najlepszy zawodnik.

Mary-Jo zdobyła się na słaby uśmiech.

— Dzięki — powiedziała.

— No prawie — ustąpił Rupert.

— Dino by tego nie zrobił, nie zabrałby komuś konia na tym etapie, kiedy wszyscy włożyli w trening tyle wysiłku.

— Trochę szalone — stwierdził Rupert. — Gdybym był waszym szefem, dałbym mu jednego z koni Carola.

— Bardzo mi przykro — powiedział Malise. — Jutro do niego napiszę. To naprawdę przerażające.

— Ale dla nas wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności — powiedział Rupert cicho, kiedy Mary-Jo odeszła poza zasięg głosu, żeby przekazać wiadomość Ludwigowi i Hansowi.

— Nie musiałeś tego mówić — uciszył go ostro Malise. — Dino na pewno był jednym z faworytów do złota.

— No właśnie — przyznał Rupert. — Chodźmy coś zjeść.

— Ja chyba wrócę — odezwała się Fen nienaturalnie piskliwym głosem. — Nagle dopadło mnie zmęczenie. W końcu w Anglii jest czwarta nad ranem.

— Daj spokój, kochana — odparł Rupert. — Chodź, zobaczysz, jaki to wspaniały dom. Mają nawet jacuzzi w budzie dla psa. Kilka drinków, dobry stek i będziesz mogła góry przenosić.

— Naprawdę, mam dość — powiedziała Fen, nagle bardzo pobladła.

— Jesteś pewna? — pytał Jake, również wstrząśnięty wiadomością o Mannym. — Pojadę z tobą.

— Nie, poradzę sobie.

W wiosce olimpijskiej Fen musiała wejść na swoje piętro po schodach, gdyż zawodnicy z Ghany, którzy nigdy wcześniej nie jechali windą, przez cały dzień wozili się nią dla zabawy. Pomimo rzekomego zmęczenia po podróży Griselda, chwała Bogu, chyba wyszła, bo nie było jej w pokoju. Fen padła na łóżko, czując, że igrzyska przestały cokolwiek dla niej znaczyć. Nawet jeśli pojedzie beznadziejnie w poniedziałek czy w sobotę, to co z tego.

— Biedny Dino — szeptała do siebie — och biedak, biedak Dino.

Oszołomiona wyjęła przybory do pisania. Papeteria z Kaczorem Donaldem nie wydawała się odpowiednia, tak jak pocztówka ze sportowcem biegnącym ze zniczem olimpijskim. Fen wydarła kartkę z kalendarza — zimowy grudniowy dzień w przyszłości, kiedy życie już nie będzie miało znaczenia.

„Najdroższy Dino — napisała — właśnie dowiedziałam się o Mannym. Nie przychodzi mi do głowy nic innego oprócz tego, że mi przykro. Ja też go kochałam. Wiem, co teraz czujesz. Nie potrafię powiedzieć nic o moim zachowaniu zeszłej zimy oprócz tego, że za wszystko przepraszam. Całuję, Fen”.

Po czym zbiegła na dół i wysłała list, żeby nie mieć czasu na zastanawianie.

Eriksonowie mieszkali w pięknym domu, niegdyś otoczonym farmą, na której uprawiano awocado, a teraz zamienioną w wyrafinowany ogród, w którym klematisy, powoje i bugenwille wspinały się na każde drzewo. W oddali wznosiły się góry o szczytach pokrytych śniegiem, często poczerniałe od chmur burzowych lub deszczowych, lecz rzadko wpływające na pogodę w dolinie.

Rupert wszedł do domu i pocałował piękną gospodynię, z którą kiedyś łączyły go intymne stosunki. Kobieta miała na sobie ociekające wodą żółte bikini i popijała margaritę.

— Helen jest przy basenie — powiedziała Suzy Erikson. — Wiesz może, ilu ludzi się spodziewamy, żebym uprzedziła Annunciatę?

— Drużyna amerykańska nie przyjdzie — powiedział Rupert. — Ani nasze zawodniczki, chociaż Griseldę trudno nazwać kobietą.

Po czym opowiedział Suzy o Dinie. Gospodyni była wstrząśnięta.

— Biedny Dino! I nasze szanse na złoto przepadły. To przykre, naprawdę bardzo przykre.

— Co takiego? — zapytała Helen, stając w drzwiach.

Miała na sobie bardzo skąpe granatowe bikini, które osiem miesięcy temu w Kenii uznałaby za absolutnie nieprzyzwoite, a włosy związane granatową chustką w grochy. Po raz pierwszy Rupert widział ją opaloną, brąz podkreślał bursztynowe oczy Helen i cudownie szczupłe ciało.

— Co jest przykre?

— Twój kochanek miał wypadek — powiedział przeciągle Rupert.

— Co takiego? — zapytała zaskoczona Helen. — O czym ty mówisz? — zbielałymi palcami chwyciła za klamkę u drzwi.

Na szczęście Rupert odwrócił się akurat do tacy z drinkami i nalewał do szklanek wodę mineralną.

— Jego najlepszy koń dostał ataku w samolocie, trzeba go było zastrzelić. Obawiam się, że nie przyjedzie na igrzyska. Przykre, co?

— Został ranny? — zapytała Helen, starając się powstrzymać drżenie głosu.

— Według Mary-Jo ma tylko złamane serce.

Helen jak we śnie znalazła skórzaną sofę przy kominku i usiadła na niej gwałtownie.

— Mogę prosić o coś do picia?

Myśli jak oszalałe kłębiły się w jej głowie. Gdzie jest Jake? Czy już poleciał do domu, nie kontaktując się z nią? Czy konie aż tyle dla niego znaczą? Miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

— Manny był zapewne ubezpieczony — powiedziała Suzy Erikson, oglądając swoje plecy w długim lustrze. — Zastanawiam się, czy zrobić sobie lifting pośladków.

— Ja ci je pomasuję — zaoferował się Rupert, wsuwając dłoń pod jej pośladki.

— Jeśli on nie przyjedzie — powiedziała Helen drżącym głosem — Fen będzie musiała skakać za niego.

Rupert puścił Suzy i spojrzał na nią poirytowany.

— Aż tak odleciałaś? Od kiedy to Fen jeździ w drużynie amerykańskiej? Mówię o Dinie Ferrantim, twoim wielbicielu, pamiętasz? Czego się napijesz?

— Biedny Dino — powiedziała Helen, trzęsąc się jak liść na wspomnienie okropnej gafy, którą niemal popełniła.

Rupert pił z Suzy przy basenie, kiedy przybyli Jake, Malise i Ivor. Pojawiło się również kilka przystojnych, opalonych na złoto kalifornijskich

par. W niebieskozielonej wodzie baraszkowała urocza blondynka. Helen leżała w hamaku, wciąż w bikini. Chciała pokazać Jake’owi, jak dobrze wygląda.

— Cześć, Ivor — wstała z leżaka i cmoknęła go. — Jak podróż?

Ivor poczerwieniał i wymamrotał coś w rodzaju „fajno”. Potem Helen podobnie przywitała Malise’a, co dało jej idealną wymówkę, żeby pocałować także Jake’a. Przysuwając twarz do jego twarzy, wyszeptała:

— Kocham cię — prosto w jego ucho.

Zapach rozgrzanego ciała, olejku do opalania i perfum Femme rozgrzał mu zmysły do czerwoności. Jake znów poczuł się zaskoczony jej zadziwiającą urodą. Opuściły go wszystkie wątpliwości. Jak zdoła żyć bez niej? Poczuł się tak, jakby przez celuloid wszedł prosto do hollywoodzkiej opery mydlanej i poderwał główną bohaterkę. Jednak nie udało mu się z nią porozmawiać. Malise postanowił zdławić w zarodku romans, który z przygnębieniem podejrzewał już w Dublinie, usiadł w hamaku i zajął Helen rozmową. Ivor wkrótce wskoczył do basenu i zaczął się zaśmiewać do utraty tchu, bawiąc się z blondynką i dużą żółtą gumową kaczką. Jake’a uratował gospodarz, Albie, Anglik pracujący w Stanach, uwielbiający skoki, który znał chyba wszystkie konie, jakie Jake w życiu posiadał.

Przybyli kolejni goście, wszyscy urodziwi. Jake żałował, że Kalifornijczycy są tak wysocy, gdyż przy nich czuł się jak karzeł. Rupert nie pił, a nadmiar energii wyładowywał w deblu mieszanym na korcie.

— Żaden z ciebie dżentelmen — narzekała brunetka, która grała przeciwko Rupertowi, kiedy musiała uskoczyć przed jego piorunującym serwem. — Dżentelmeni dają fory damie, kiedy serwują.

Jake z chęcią wskoczyłby do basenu, ale wstydził się swojego bladego, drobnego ciała, nie wspominając już o odsłanianiu poznaczonych bliznami,

poranionych nóg. Helen wciąż rozmawiała z Malise’em, do którego dołączył teraz jakiś reżyser filmowy.

— Muszę iść do kuchni, sprawdzić, czy wszystko w porządku — powiedział Albie. — Chodź, poznam cię z Paulem i Meryl. On pisze scenariusze, a ona gra w filmach.

Paul i Meryl byli uprzejmi, ale wyraźnie znacznie bardziej zainteresowani tym, by Meryl dostała główną rolę, a scenariusza Paula nikt nie zmienił. Pozostali dołączyli do nich. Jake czuł się niezręcznie. To wyśnione miejsce wprawiało go w głęboką depresję — wiedział, że nigdy nie stworzy Helen podobnego raju.

Zawędrował do salonu, wziął do ręki najnowszy numer pisma „Horse and Hound”, zastanawiając się, czy nie wezwać taksówki, żeby wrócić do wioski olimpijskiej. Malise chyba na dobre przykleił się do Helen. A do tego nic nie wskazywało na to, że gospodarze podadzą wreszcie coś do jedzenia.

— Upał ci przeszkadza? — zapytała Suzy Erikson, siadając z podwiniętymi nogami obok niego na skórzanej kanapie.

— Trochę.

— To wskocz do basenu.

— Wolę się przyglądać.

— Właśnie widzę. Jesteś najzabawniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam.

— Poza tym — dodał Jake sarkastycznie — kiepsko wyglądam.

Suzy przesunęła po nim spojrzeniem.

— Tego bym nie powiedziała. Z pewnością masz to coś.

— Tak, pustą szklankę.

— Doleję.

— Nie, dziękuję. Jutro wstaję o czwartej, żeby potrenować.

— A potem?

— Mamy sporo wolnego czasu.

— To podjadę do wioski i pojedziemy w góry.

— Zabierzesz całą drużynę?

— Nie, tylko ciebie — powiedziała cicho gospodyni.

— Czyżbyś próbowała mnie poderwać?

— Zgadza się. Nie słyszałeś o tym, jakie są mieszkanki Kalifornii? A dla mnie jesteś bardzo atrakcyjny...

— I żonaty — dodał Jake.

— Żona nierozsądnie postępuje, puszczając cię tu samego.

— Gdybyśmy mogli sobie na to pozwolić, to by tu przyjechała.

— Tęsknisz za domem, co?

Jake wzruszył ramionami.

— Trochę.

— Dobrze mi idzie pomoc w tych sprawach. Naprawdę chciałabym spędzić z tobą trochę czasu.

Jake nagle poczuł, jak to wspaniale być nieodpowiedzialnym. Spojrzał na pozbawioną skrupułów drobną twarz o lśniących kocich oczach, okoloną długimi ciemnymi włosami, skręconymi i lśniącymi jak grzywa Macaulaya. Kobieta przebrała się już i pod beżową sukienką na ramiączkach było doskonale widać jej ponętne ciało o wysokich, pełnych piersiach. Jake’owi przyszło do głowy, że miło byłoby pojechać razem w góry, zostawiając za sobą wszystkie problemy.

— To jedna z najprzyjemniejszych ofert, jakie mi złożono — powiedział — ale przyjechałem do Los Angeles skakać na koniu, a nie wskakiwać pięknym paniom do łóżek. Tam siedzi mój szef ekipy, bardzo przestrzega abstynencji.

— Z Rupertem kiepsko mu poszło — odparła ze śmiechem Suzy.

— Rupert jest inny, on się nigdy nie denerwuje. Ja muszę nabrać dystansu do wszystkiego.

— Jeśli się stresujesz, mam doskonałego psychiatrę. Według niego trzeba czuć jednocześnie gniew i spokój.

— Powinien porozmawiać z Hardym, moim koniem — stwierdził Jake.

— Suzy — odezwał się ostry głos — Annunciata pyta, czy chcesz zacząć podawać dania z „Gambetty".

Była to Helen.

— Och, powiedz jej, tak dobrze ci to idzie.

— Nie, ty jej powiedz — odparła Helen — goście są głodni.

Suzy wyszła, a Helen przyniosła Jake'owi kolejną whisky.

— Co za beznadziejna gospodyni. Nie dba nawet o drinki dla gości. To nimfomanka.

— Szkoda — odparł Jake — a już miałem nadzieję, że to mój urok osobisty.

— Czego chciała? — zapytała Helen szybko.

— Zabrać mnie w góry.

Helen pobladła.

— A ja bardzo uprzejmie odmówiłem — ciągnął Jake — gdyż istnieje tylko jedna kobieta, którą chcę zabrać gdziekolwiek. Wyglądasz tak pięknie, że szkoda to psuć fochami.

— Flirtowałeś z nią.

— Chciałem zmylić Malise'a i Ruperta, tobie zresztą też nieźle szło w hamaku.

— Gdzie Fen?

— Wpadła w rozpacz z powodu Dina.

Helen opowiedziała Jake'owi o tym, że pomyliła go z Dinem.

— Nie wyobrażasz sobie, jak przesadnie zareagowałam. O mało nas nie wydałam.

— A co Rupert na to?

— Nie jestem pewna. Prawdopodobnie wydaje mu się, że zmartwiłam się nieobecnością Dina.

— Niech dalej tak myśli. Jednak musimy być ostrożni — opowiedział jej o możliwym kontrakcie z Boysonem. — Jeśli mnie zasponsoruje, niemal rozwiąże wszystkie nasze kłopoty. Ale do czasu podpisania umowy muszę być czysty.

— Możemy się spotykać w ciągu dnia, Rupert wciąż wychodzi.

Jake pokręcił głową.

— To zbyt ryzykowne. Tutaj wszyscy cię znają z widzenia. Wszędzie kręcą się dziennikarze żądni nowej sensacji. Nie chciałbym im jej dostarczać. Musisz po prostu wytrzymać do końca igrzysk.

Usta Helen zadrżały.

— Nie wiem, czy wytrzymam.

— Musisz — powiedział Jake ostrzej, niż zamierzał. — Gra idzie o zbyt wysoką stawkę, całą naszą przyszłość.

Padł na nich cień, był to Rupert. Zanim którekolwiek zdołało się odezwać, zawołał w kierunku korytarza:

— Na miłość boską, Suzy, czy możemy dostać kolację? Zaraz zemdleję!

— Jeśli chcesz guacamole, zerwij sobie awocado z ogrodu — poradziła Suzy, wchodząc swobodnym krokiem i machając widelcem z trzema zębami. — Jest mięso, ryba miecz, łosoś, wędzony kurczak i ryba lucjan, więc się najesz. Za dwie minuty będzie gotowe.

— Zawsze możemy wrzucić na grilla Jake’a — zażartował Rupert.

Jake wstał.

— Już to kiedyś zrobiłeś — powiedział tonem, od którego Helen dostała gęsiej skórki. — W St. Augustine, o ile pamiętasz. — po czym, kulejąc, odszedł porozmawiać z Malise’em.

— Tak źle o nim mówiłeś przed jego przyjazdem, że wiedziałam, iż mi się spodoba — powiedziała Suzy.

Jake zasnął w końcu o trzeciej nad ranem i po godzinie wstał, trzęsąc się z nerwów i kaca. Malise mknął pasem dla ruchu szybkiego i transportu zbiorowego, a nieprzyzwyczajony do wzmocnionych hamulców, za każdym razem, gdy zwalniał, auto wydawało przeraźliwe piski, jakby zarzynano świnię. Co gorsza, siedząca między Jake’em a Fen Griselda w czasie drogi z ponurą miną zjadła dwie wielkie kanapki ze smażonym jajkiem.

Bardzo delikatnie rozgrzewając Hardy’ego w już obezwładniającym upale, Jake zauważył, że Rock Star, koń Ruperta, ledwie się poci. Podczas gdy on sam czuł się otumaniony i rozbity z braku snu, Rupert był w świetnej formie pomimo późnego pójścia spać. Przyjeżdżając wcześniej do Stanów, nie tylko dał koniom czas na przyzwyczajenie się do upału i wilgotności powietrza, ale i przestawił własny organizm na nową strefę czasową.

Fen z Desdemoną szły obok Jake’a.

— Jest bardzo przygnębiona — powiedziała.

„Jak jej pani” — pomyślał Jake, patrząc na podpuchnięte oczy dziewczyny. Nie odezwał się jednak. Ivor martwił się Johnem.

— Czuję się tak, jakbym siedział na kłodzie.

Wokół zawodnicy z innych krajów skakali na mokrych koniach przez ogromne przeszkody, lądując na wyraźnie bardzo twardej ziemi.

Później Malise zwołał kolejne zebranie. Rupert przyszedł w jasnoniebieskim dresie, jak Rock Star, niemal niespocony mimo sześciokilometrowego biegu plażą.

— Wielki problem na igrzyskach to zbyt wczesne osiągnięcie formy szczytowej — zaczął Malise. — Teraz, skoro już przyjechaliście, zapewne czujecie się w obowiązku przygotować siebie i konie do zawodów. Widzicie, jak inne drużyny skaczą przez najróżniejsze przeszkody, może podejrzewacie, że dostali jakieś przecieki, ale zapewniam was, nikt naprawdę nie wie, jak wygląda tor, dopóki nie obejdziemy go w przyszły poniedziałek. Na waszym miejscu skupiłbym się na treningach na płaskim terenie i możliwie jak najmniej skakał. Niech konie odpoczną, a wy się zrelaksujcie i dobrze bawcie.

— Ja mogę się bawić z Fen — powiedział Rupert, który również zauważył jej czerwone oczy.

Wychodząc ze spotkania, natknęli się na Ludwiga i Hansa, którzy właśnie oglądali basen olimpijski.

— Wiecie, sze szbudowao go szpeczjalnie na olimpiadę? — powiedział Hans.

— Ją też — zauważył Rupert, kiedy minęła ich, nie oglądając się, wyjątkowo atrakcyjna i kształtna blondynka z drużyny rumuńskich lekkoatletów. — Założę się, że przed zakończeniem olimpiady ją zaliczę.

— Ile? — zapytał szybko Ludwig.

— Sto dolców.

— Zgoda.

Przed wpadnięciem w całkowitą rozpacz uratowała Fen ceremonia otwarcia igrzysk, która odbywała się po południu. Dotąd goście raczej cynicznie podchodzili do rozpętanej przez Amerykanów gorączki, zwłaszcza Rupert, który doprowadzał Helen do furii swoimi pogardliwymi uwagami. Jednak jakoś parada Antoniusza i Kleopatry, dziewczyny w króciutkich szortach, niosące srebrne baloniki, osiemdziesięciu pięciu

pianistów grających grzmiąco *Porgy and Bess* oraz prezydent z przylepionym do twarzy uśmiechem wprowadzili atmosferę święta.

Przed uroczystością w drużynie wybuchła awantura. Rupert usunął z niebieskiego swetra logo olimpiady i zwęził nogawki spodni tak, że przypominały rurki. Fen skróciła spódniczkę. Griselda tak przytyła, że wciąż rozpinały się jej guziki, a opięta na niej spódniczka straciła wszystkie plisy. Ivor jak zwykle zamówił sobie za krótkie spodnie, które sięgały mu do kostek, za to blezer tak duży, że zwisał na nim jak fartuch.

— Wszyscy oprócz Jake'a wyglądacie żałośnie — warczał Malise. — Miejmy nadzieję, że zginiecie w tłumie reszty reprezentacji brytyjskiej.

Po całym imponującym otwarciu wydawało się, że na lekkoatletów nikt nie zwróci uwagi, jednak teraz zaczęli wchodzić — kraj za krajem, witani głośnymi wiwatami zaskakująco ożywionego i radosnego tłumu. Meksykanie szli w wielkich kapeluszach, Afrykanie w strojach narodowych, Francuzi w eleganckich ubraniach, a Anglicy bardzo formalnie, w strojach ostro odróżniających mężczyzn i kobiety.

— Widać, że Rupert był w wojsku — stwierdziła Fen, spoglądając na jego proste jak struna plecy.

Jake możliwie jak najbardziej starał się ukryć fakt, że kuleje.

— Dzięki Bogu, że skaczemy w Arcadii, a nie przed takim wielkim tłumem — powiedziała Fen, spoglądając na niezmierzone morze głów.

Głośne wiwaty powitały Chińczyków i Rumunów; widzowie wstali z miejsc. Potem weszli Amerykanie, niefrasobliwi i rozdokazywani, wtedy w niebo wzniosły się najgorętsze oklaski. Wszyscy Amerykanie mieli na sobie dresy, więc kobiety i mężczyźni wyglądali podobnie, w przeciwieństwie do innych drużyn. Szli radośnie, zupełnie nie trzymając szeregów ani rzędów, podskakując i machając. Wszyscy mieli aparaty, wkrótce zaczęli robić zdjęcia sobie nawzajem, innym zawodnikom i trybunom, po czym

przepychali się na przeciwległy kraniec rzędu, żeby sfotografować mamę na widowni.

Kiedy czarnoskóra biegaczka wbiegła na stadion ze zniczem olimpijskim, nie było wiadomo, czy uda się jej dotrzeć do celu, gdyż drużyna amerykańska blokowała jej drogę, trzaskając migawkami jak fotoreporterzy.

— Bracia Marx rządzą — powiedział Rupert.

W końcu jednak ogień przywieziony z Grecji zapłonął i po nieskończonych przemówieniach w niebo poszybowały tysiącami gołębie pokoju.

— Mam nadzieję, że ci to przemówi do rozumu — syknęła Fen do Ruperta — i przestaniesz prześladować Jake’a.

Potem wstała piękna piosenkarka i zaczęła piosenkę *Reach out and touch someone*. Zawodnicy zaczęli padać sobie nawzajem w ramiona, całować i ściskać ręce. Fen została wycałowana przez Ludwiga, hrabiego Guy i Ruperta oraz trzykrotnie przez Ivora.

— Boże, idzie Griselda — powiedział Rupert. — Spadam. Są jakieś granice.

— Mówiłem, żebyś nie malowała oczu — powiedział Jake, kiedy Fen je wytarła.

Nagle to do niej dotarło: ideał olimpijski. Pomimo ataków, komercjalizacji, szowinizmu i złamanego serca znalazła się w Los Angeles, niosąc własną pochodnię dla Wielkiej Brytanii przed tą wspaniałą, przyjazną, głęboko wzruszoną i pełną podziwu publicznością.

Na kilka minut Fen zapomniała o rozpaczy z powodu Dina oraz Jake’a i Helen, gdyż uświadomiła sobie ogrom swojego sukcesu — w wieku dziewiętnastu lat została wybrana do reprezentacji narodowej. Przecież bez zawodników nie byłoby konkurencji. Gdyby nie było ludzi przygotowanych

na uczciwą i honorową przegraną, nie byłoby także zwycięzców. Prawdziwa wielkość polega na tym, by powstać po upadku.

— Czy to nie jest najwspanialsza chwila? — wyszeptała do Jake’a, który tylko pokiwał głową, zbyt wzruszony, by mówić.

— Będzie jeszcze lepiej, kiedy wrócimy do domu ze złotem drużynowym oraz złotem, brązem i srebrem w konkursie indywidualnym — powiedział Rupert. — O, patrzcie, moja Rumunka. — przepchnął się przez tłum i złapał dziewczynę.

Zawodniczka przez moment spoglądała na niego lekko skośnymi oczami w nieruchomej słowiańskiej twarzy, po czym tłum popchnął ich na siebie i Rupert zaczął ją całować.

— Dotarł do pierwszej bazy — powiedział Jake, zastanawiając się, czy Helen patrzy.

— Ludwig przegra zakład — dodała Fen. — Słyszysz, jak urywa się żelazna kurtyna?

Po uroczystości spotkali się z Helen, która siedziała na widowni z Eriksonami.

— Wspaniałe, prawda? — powiedziała Fen. — Musisz być dumna z tego, że jesteś Amerykanką.

Ogarnięta nagłą tolerancją, gdyż nieobecność Dina na igrzyskach jeszcze bardziej uświadomiła jej cierpienie towarzyszące zakochaniu, odsunęła się, żeby zapoznać się z Eriksonami i przeprosić za to, że nie przyszła do nich na grilla. Jake i Helen mieli chwilę czasu dla siebie.

— Cały czas na ciebie patrzyłam — wyszeptała Helen z rozjarzonymi oczami. — Czułam cię w każdej chwili, taka jestem dumna, że udało ci się tutaj dotrzeć, pomimo tylu przeciwności. Wiedziałam, że o mnie myślisz.

Jake znów poczuł przytłaczający ciężar jej miłości.

57

DO KONKURSU INDYWIDUALNEGO ZOSTAŁO IM OSIEM DNI, które musieli jakoś wypełnić. Przypominało to wakacje ze świadomością wojny, która może wybuchnąć w każdej chwili. Griselda oblewała się potem i robiła się coraz bardziej nerwowa. Fen więdła. Ivor zasnął na plaży i obudził się z połową twarzy spaloną na czerwono. Jake, który miał ciemniejszą karnację, radził sobie lepiej. Po raz pierwszy w życiu był naprawdę brązowy. Wciąż wydzwaniała do niego Suzy Erikson. Rupert jeździł na narty, wyścigi, surfował, uganiał się za Miss Rumunii i grywał w pokera z Ludwigiem, hrabią Guy, Carolem Kennedym i Obojczykiem, ku niezadowoleniu szefów ekip, według których członkowie reprezentacji powinni trzymać się razem. Przy każdej partii stawiali puste krzesło dla Dina, on jednak nie przyjechał.

Do Fen docierały strzępki wiadomości o nim. Dzień po zastrzeleniu Manny’ego w „Los Angeles Times” ukazał się duży artykuł zatytułowany „Cierpienie Dina Ferrantiego”. Carol Kennedy przez krótką chwilę rozmawiał z nim przez telefon.

— Chyba wciąż jest w szoku — powiedział potem. — Zaproponowałem mu Whittiera, ale jego to po prostu nie obchodzi.

Fen kilkadziesiąt razy dziennie zaglądała do przegródki na korespondencję w wiosce olimpijskiej, w nadziei, że między telegramami i kartkami znajdzie list od Dina.

Jake bardzo źle sypiał. Ciężarowcom tak sprzykrzyło się jego ciągłe palenie, że na papierosa kazali mu wychodzić na korytarz. Czasami Jake w ogóle się nie kładł, tylko całą noc oglądał telewizję. Kiedy Ivor odkrył, że

przez dwadzieścia cztery godziny można oglądać kreskówki, Malise'owi z wielkim trudem udawało się zapędzić i jego do łóżka.

Malise zorganizował drużynie wycieczkę do Disneylandu. Fen musiała trzymać Ivora za rękę w zamku strachu i w czasie bitwy z piratami oraz uspokajać, kiedy zbyt go poniosło po uściśnięciu dłoni Myszki Miki. Fen zafascynowana przyglądała się postawnym Amerykanom ze sporą nadwagą, którzy zajadali się hamburgerami, hot dogami i lodami, po czym z pełnymi ustami życzyli jej miłego dnia.

— Widziałeś kiedyś takich grubasów? — wyszeptała do Jake'a. — Jak myślisz, czy w żyłach Griseldy płynie krew ludzi z Los Angeles?

— Nie — odparł Rupert, który ją dosłyszał. — Griselda jest zbyt nieprzyjemna. Bardziej przypominają mi twoją żonę, Jake.

Przez sekundę Fen miała wrażenie, że Jake skoczy Rupertowi do gardła.

— Nie daj się sprowokować — prosiła, kładąc szwagrowi rękę na ramieniu. — Przecież on to robi specjalnie.

Na każdym kroku otaczali ich łowcy autografów — na ogół ogarnięci chwilową obsesją olimpijską Amerykanie, którzy nie mieli pojęcia, kim są członkowie drużyny. Jedyną rozpoznawalną osobą był Rupert — ze względu na urodę, piękną amerykańską żonę i wcześniejsze sukcesy na torach w Stanach.

— Znam cię! — zawołała jakaś czarownica z niebieskimi włosami, kiedy wyjeżdżali z Disneylandu. — Jesteś w telewizji?

— Nie, w szortach — warknął Rupert.

Rupert biegał co rano, wkrótce dołączyła do niego Miss Rumunii. Najwyraźniej sytuacja się rozwijała. Po tygodniu Rupert pokazał Ludwigowi jasnoniebieskie figi.

— Na metce jest napisane „Wyprodukowano w Rumunii".

— Skąd mam wiedzieć? — wątpił Ludwig. — Nie znam rumuńskiego. Może tam napiszano cosz zupełnie innego, na pszykład „wyprodukowano w Losz Angelesz”?

— To Miss Rumunii wyprodukowano w Los Angeles — poprawił Rupert.

— A jak tam u niej z angielskim? — zaciekawił się Hans.

— Nijak, bo go nie ma, dzięki Bogu — odparł Rupert. — Ale według niej nasze zdegenerowane kapitalistyczne zwyczaje są fantastyczne!

Ośmiodniowe oczekiwanie ciągnęło się bez końca. Hardy i Desdemona dochodzili do siebie, a Jake i Fen z drżeniem oczekiwali na końcowe ogłoszenie trójki zawodników, którzy wystartują w konkursie indywidualnym. Jako że Amerykanie w każdej dyscyplinie medale zbierali garściami i co chwilę rozbrzmiewał *Gwiaździsty sztandar*, komentatorzy wspięli się na szczyty szowinistycznej histerii i zapomnieli o istnieniu innych krajów. Brytyjczycy tym bardziej zacisnęli zęby i postanowili wygrać.

W piątek dla rozrywki urządzili sobie zawody próbne — dwie rundy i finał. Carol Kennedy na swojej ciemnobrązowej klaczy o imieniu Scarlett O’Hara pobił wszystkich o pięć sekund.

— Albo to kretyn, albo ta klacz jest w niewiarygodnej formie — stwierdził Rupert. — Jeśli to drugie, to mamy kłopot.

Hardy, świeży i pełen energii po długim wypoczynku, w pierwszej rundzie miał zrzutkę, lecz i tak Jake był z niego bardzo zadowolony. Rocky skakał doskonale. Oprócz jednego drobnego błędu w finale nie zrobił ani jednego fałszywego kroku. Desdemona również świetnie się spisała, zajęła czwarte miejsce, szybując nad przeszkodami jak kiedyś, co nieco dodało ducha Fen.

— No dobrze — powiedział Malise — do konkursu indywidualnego przystąpią Rupert, Jake i Fen.

Fen nie ośmieliła się spojrzeć na Griseldę.

Jednakże w sobotę Fen zastała w stajni Sarah ze smutną miną. Desdemona nie mogła postawić tylnej nogi, zapewne ją sobie zbiła.

Fen, Sarah i Jake nie spali całą noc, okładając nogę konia lekarstwami, próbując zmniejszyć opuchliznę i wyprowadzając ją na próbny spacer. Rano Fen miała wrażenie, że klacz czuje się dobrze, jednak weterynarz brytyjski i weterynarz reprezentacji amerykańskiej mieli inne zdanie i poszli naradzić się z Malise'em. Fen miała wrażenie, że na nią nikt nie zwraca uwagi.

— Noga jest sztywna i spuchnięta. Może nawet kość jest pęknięta — powiedział Amerykanin.

— Potrzebuje tygodniowego wypoczynku — przytaknął weterynarz brytyjski.

— Tydzień?! — zawołała zrozpaczona Fen. — Wtedy nie pojadę nawet w konkursie drużynowym!

— Raczej tak — odparł Amerykanin. — W piątek znów ją zbadam, może dokonacie cudu, ale niestety jutro na pewno nie wolno jej skakać.

Dla Fen, wykończonej po nieprzespanej nocy, tego było już za wiele.

— Cholerni biurokraci! — krzyknęła. — Nie odróżniacie konia od swojego łokcia! Dajcie coś przeciwzapalnego, nic jej nie będzie. Często jest rano zesztywniała.

Zdenerwowany weterynarz amerykański oskarżył Fen o to, że traktuje konia jak maszynę. Jake i Sarah stanęli w jej obronie, po czym wywiązała się gorsząca kłótnia, której z uciechą przysłuchiwali się stajenni i zawodnicy, gorączkowo tłumaczący sobie słowa uczestników. W końcu

Malise niemal siłą wyprowadził Fen ze stajni i poszli na kawę w cichym kącie brytyjskiego fanklubu.

— Musisz się wziąć w garść — powiedział do niej.

— Nie mam już czego brać w garść — jęknęła Fen. — Desdemona jest zdrowa, to moja klacz, więc chyba wiem!

— Zrozumiesz, kiedy obejrzysz jutro tor — powiedział łagodnie Malise. — W Pucharze Narodów i Grand Prix dałaś sobie radę, ale atutem Desdemony jest prędkość, a nie przeskakiwanie wielkich, zniechęcających przeszkód, przy których naprawdę musiałaby się mocno wytężyć. Wiem, że kochasz tego kuca, ale nie mogę pozwolić ci na start, jeśli będziesz się denerwować i poganiać ją przez całą trasę.

— Wszyscy wciąż gadają o tym, że wygrana nie jest ważna, a liczy się udział. Ja nawet nie mogę w tym uczestniczyć!

— Masz jeszcze dużo czasu.

— Ale mogę już nie znaleźć tak dobrego konia jak Des.

— Jeśli jutro jej nie wykończysz, będziesz miała szansę wystartować na niej na kolejnych dwóch olimpiadach. Jak mogłabyś spojrzeć sobie w oczy, gdybyś uparła się na niej skakać i w końcu ją straciła, jak biedny Dino?

Kiedy tylko wspomniał to imię, Fen położyła głowę na stole i wybuchnęła płaczem.

— Naprawdę bardzo, bardzo się starałam trzymać. Trzy razy zabrałam Ivora do Disneylandu. Ale miałam wielką nadzieję, że zobaczę Dina. Kiedyś byliśmy dość blisko.

Malise pogłaskał ją po ramieniu.

— Wiem, jak bardzo na niego czekałaś. I jeszcze to. Paskudne.

— Mogę jechać do domu?

Malise pokręcił głową.

— Umowa przewiduje inaczej. Wciąż jesteś zawodniczką rezerwową. Jeśli komukolwiek coś się stanie, pojedziesz wtedy na jego koniu. Jutro będę potrzebował twojej pomocy w trakcie zawodów, żeby podtrzymywać innych na duchu. Griselda się do tego nie nadaje. Wciąż jest obrażona, że nie ją wybrałem.

— Chyba żartujesz — powiedziała Fen. — Przez ostatnie kilka miesięcy byłam pogodna jak trup.

— Chciałbym też, żebyś zajęła się Jake’em i pomogła mu okiełznać nerwy. Jak myślisz, tak bardzo tęskni za Tory? — Malise uniósł brwi.

Fen miała wrażenie, że jego pytanie ma drugie dno.

— Tak — odparła — na pewno.

Tego samego popołudnia Rupert ścigał się z Ludwigiem i Guy. Jake złamał dane sobie przyrzeczenie, uległ błaganiom Helen i zawiózł ją w góry. Kiedy szukali dzikich kwiatów, przypomniał sobie piknik, na jaki zabrał Tory i dzieci dzień przed mistrzostwami świata. Znalazł wtedy kępkę wrotyczu. Teraz ten złoty kwiatek od Helen w kieszeni na piersi miał odstraszać zło.

Helen nudziło, że Jake martwił się o Fen.

— Jest bardzo młoda, będzie miała jeszcze niejedną szansę.

— W młodości tak się nie myśli — odparł Jake — a ona ma za sobą dwa ciężkie lata. Najpierw straciła Billy’ego, zbojkotowali ją ludzie z drużyny, straciła Dina, potem Dino nie przyjechał na zawody, a teraz to. Jest mimo wszystko bardzo dzielna, prawie nie narzeka.

„Ja potrzebuję cię znacznie bardziej!” — o mało nie krzyknęła Helen. Miała już dość całej rodziny Lovellów. Była zazdrosna o Fen i nie mogła słuchać Suzy wciąż rozpływającej się nad urodą Jake’a. Według niej Jake opierał się jej urokom tylko dlatego, że jest szaleńczo zakochany w Tory.

Po wielu dniach rozłąki Helen chciała wyżalić się ze swoich kłopotów. Teraz jednak widziała, jak bardzo Jake się od niej oddalił. Miała wrażenie, że otoczył się kokonem oddzielającym go od świata zewnętrznego. Nie interesowały go wiadomości, sztuki i koncerty, na których była w Hollywood ani oburzające zachowanie Ruperta. Nie domyślała się, że wrażliwość, z jaką Jake słuchał jej przez całe lato i z jaką się z nią kochał, ma swoją drugą stronę, a mianowicie straszliwe zdenerwowanie i podatność na stres przed ważnymi zawodami.

W końcu, zmęczeni spacerem, opadli na trawę. Jake oparł głowę na jej brzuchu. Milczał, wpatrując się w ośnieżone szczyty odcinające się od burzowego nieba i napawając się chłodnym powietrzem, aż w końcu zasnął. Helen go obudziła, nie chcąc tracić cennych chwil, które mogli poświęcić na pieszczoty.

— Jake, czy ty naprawdę mnie kochasz?

— Oczywiście.

— W tej chwili nie bardzo mi to okazujesz.

Jake podniósł się i oparł na łokciu, oczy miał skryte w cieniu.

— Nie rozumiesz, że kocioł emocjonalny w czasie igrzysk może mnie albo zniszczyć, albo wynieść na szczyt? Nie mogę sobie pozwolić na rozproszenie. — ujął ją za rękę i położył sobie na kieszeni na piersi, tak by poczuła złoty kwiat wrotyczu. — Ale przez cały czas mam cię przy sercu.

— Miałam nadzieję, że cię motywuję — jęknęła Helen.

— Owszem — przyznał Jake. Po czym na wspomnienie Dublina dodał: — Ale także rozpraszasz. Jutro powinienem się skoncentrować, nie chcę spędzić całego dnia, martwiąc się, czy mi się coś nie wymknie i czy nie zdradzę się przed Rupertem.

— Nie chcesz mnie tutaj?

— Oczywiście, że chcę. Nie oczekuj tylko, że będę do ciebie machał i uśmiechał się w ciągu dnia. Ludzie mają mnie za gbura i choleryka, ale ja przed zawodami potrzebuję się skupić. Jeśli będę się martwił jeszcze i o ciebie, to mi tylko dołoży stresu. — Na widok jej nierozumiejącej miny dodał: — Gra idzie o wysoką stawkę, o całą naszą przyszłość.

— W czasie zawodów jestem zawsze taka samotna — powiedziała Helen nadąsana. — Niemal się cieszę, że jutro przyjeżdża mama.

Przyciągnęła do siebie Jake’a.

— Proszę, pocałuj mnie. Tak bardzo cię pragnę.

Jake mógł się zdobyć tylko na pocałunki, czym wprawił ją w głębokie zaniepokojenie. Kiedy na początku małżeństwa Rupert za nią szalał, zawsze ciągnął ją do łóżka przed zawodami, po zawodach, a często także w trakcie, w przyczepie.

Wieczorem po drodze z wyścigu Rupert wpadł do wioski olimpijskiej po listy. Jeden z nich został wysłany z Pertshire. Jak zwykle ostrożna Amanda nie użyła swojego papieru; przeprosiła go jednak za to, że zachowała się „tak podle”, kiedy zbił zwierciadło, przyznawała, że bardzo za nim tęskni. Jutro mieli go wszyscy oglądać, życzyła mu powodzenia. We wrześniu wróci do Londynu.

Rupert, tak samo ostrożny, podarł list i już miał go wrzucić do kosza, ale jeszcze raz poskładał go z kawałków, by sprawdzić, czy Amanda naprawdę to wszystko napisała. Czuł się niedorzecznie zadowolony i zastanawiał się, po co, do licha, zabawiał się z Miss Rumunii. Powinien wrócić do Arcadii i przespać się, bo o wpół do ósmej mają obejrzeć tor.

Malise Gordon nie był pobożny, ale w nocy przed konkursem indywidualnym modlił się. Musi z godnością znieść przegraną i nie dokuczać trójce zawodników, jeśli zepsują występ; musi zachować spokój, nie przekazywać im swoich obaw i zmartwień. Ivor ma dobrego konia, nie

poddaje się nerwom, ale brakuje mu ognia. Jake jest rozpaczliwie niedospany, może się załamać. Rupert przesadza z pewnością siebie, a Rocky ma za wiele energii. Jeśli trafi im się dobry dzień, mogą być niezwyciężeni, ale Malise miał obawy. Poczuł się niewiarygodnie wzruszony, kiedy Fen przysłała mu kartkę z życzeniami, przedstawiającą czarnego kota. „Dla najlepszego szefa reprezentacji na świecie — napisała wewnątrz. — Przed nami jeszcze długa walka. Uściski, Fen”.

58

JAKE SPAŁ NIESPOKOJNIE, DRĘCZYŁY GO PÓŁSENNE KOSZMARY. Był na uroczystym otwarciu igrzysk, nagle piosenkarka zamieniła się w Helen, która szlochała do mikrofonu, że Jake jej nie kocha. Potem znalazł się na padoku, strzemiona mu pękały, ogłowie spadało z konia. Wreszcie przyśniło mu się, że Hardy dostał na torze ataku serca. Leżał w oślepiającym słońcu, nad jego ciałem zbierały się muchy — i nagle zamienił się w Żeglarza. Jake obudził się, krzycząc, zlany potem. Jeden z ciężarowców przybiegł do niego, wielką dłonią głaskał go po ramieniu, drugi zapalił papierosa i mu podał. Poprzedniego dnia obaj zdobyli srebro i złoto, więc mogli sobie pozwolić na wielkoduszność. Było już wpół do czwartej, więc uznali, że nie ma sensu, by Jake szedł spać na godzinę, więc zaproponowali herbatę i pogawędkę, żeby się uspokoił. Jake wolałby zostać sam, ale wzruszyła go ich troska.

Ciężarowcy już zapadali w sen, kiedy Jake, jak we śnie, włożył nowe skarpetki, białe bryczesy i koszulę oraz drżącymi palcami zawiązał krawat. Był cały w bieli, jak panna młoda, ale potem włożył jeszcze lśniące brązowe buty do jazdy konnej i wcisnął się w nową czerwoną marynarkę z czarnymi aksamitnymi klapami i małą flagą brytyjską na kieszonce. Nadszedł ten dzień — tak jak nadchodził dzień powrotu do szkoły lub wykonania wyroku.

— Powodzenia — mruczeli zaspani ciężarowcy. — Zobaczymy cię na podium. Pokaż im wszystkim.

— Powodzenia — pożegnali ich zapaśnicy, kiedy Jake poszedł po Ivora. — Na miłość boską, dbaj o niego.

— Powodzenia — powiedział ochroniarz przy drzwiach na końcu korytarza, po raz pierwszy od przyjazdu uśmiechając się do nich. — Dobrego dnia.

Dobrze, że wstali wcześnie, gdyż kiedy tylko wzeszło słońce i oblało jasnoszafranowym blaskiem góry Santa Monica, na autostradach dojazdowych zaczęły się tworzyć korki, a na stadion wlewały się rzeką tłumy entuzjastów skoków ze wszystkich krajów, głównie jednak Amerykanów, niosąc kapelusze, termosy, lodówki turystyczne, piwo w puszkach, kanapki, radia, a nawet małe przenośne telewizory, żeby przetrwać długie oczekiwanie. Wszędzie pełno było koników sprzedających bilety, a żeby dostać się do stajni, zawodnicy musieli przecisnąć się przez tłum łowców autografów oraz sprzedawców coca-coli, gumy do żucia, hamburgerów, hot dogów i pamiątek.

— Jeśli ktoś jeszcze podsunie mi plakat Dina, zacznę wrzeszczeć — powiedziała Fen.

O siódmej rano trybuny się zapełniły. Wisiało nad nimi zamglone, szarawe niebo zapowiadające upał. Wielu widzów nie umiałoby odróżnić łba konia od jego ogona, ale pod wpływem gorączki olimpijskiej chcieli na własne oczy zobaczyć, jak Amerykanie zdobywają kolejne złoto.

O wpół do ósmej zawodnicy i szefowie ekip obeszli tor, pogłębiając już ciemną opaleniznę. Na tor nie wpuszczono nikogo innego, nawet dziennikarzy. Jednak członków rodziny królewskiej żadne ograniczenia nie obowiązywały.

— Dzień dobry, Dudley! — zawołał książę Philip do Dudleya Diplocka kręcącego się przy wejściu. — Obszedłeś już tor?

— Nie, sir.

— No to chodź, chodź — zachęcił książę, przechodząc przez kordon strażników.

Dudley w podskokach pobiegł za nim.

— Spójrzcie na ten tłum — odezwał się Ivor przytłumionym głosem.

— Spójrzcie na ten tor — dodał Jake, spoglądając na przeszkody, których wielkości nie zdołały ukryć nawet kaskady kwiatów i ozdób.

— Odlot — szepnął Carol Kennedy, spoglądając na kombinację.

Postawiono dwie nietypowe przeszkody: jedną z jasnych i ciemnych bloczków w kształcie hot doga, a drugą przypominającą łódź z żaglami po bokach — konie miały przeskakiwać nad dziobem.

— Matko Boska, to dopiero paskudztwo! — skomentował Obojczyk, patrząc na hot doga.

Nawet Rupert dziwnie zamilkł po kilkakrotnym mierzeniu odległości między przeszkodami.

— Wszyscy już pokonywaliście wyższe przeszkody — pocieszał ich Malise, kiedy spoglądali na wielki okser.

— Ale nie cały tor takich przeszkód — odparł Ivor.

Fen nagle ogarnęło poczucie winy — i ona chciała przejechać ten tor na Desdemonie! Przeszkody były po prostu za duże, niemożliwe, by nawet Hardy je pokonał. Nagle poczuła strach o Jake’a. Chętnie zostałaby przy nim, żeby dodać mu odwagi, ale Malise powiedział jej, żeby siedziała na trybunie dla zawodników i uważnie obserwowała pierwsze przejazdy, aby móc służyć poradą kolegom.

Jake, pomimo upału zmarznięty i szczękający zębami, trzymał się z boku i do nikogo się nie odzywał. Miał startować pod koniec, co przyprawiało go o dodatkowy stres. Nagle zatęsknił za Tory, jej cichym zrozumieniem, ona nie zważała na jego powarkiwanie. Przechodząc przez kontrolę bezpieczeństwa do stajni, usłyszał okrzyk, podbiegła do niego Helen. Wyglądała olśniewająco w zielonej tunice w stylu greckim i wielkim

białym kapeluszu obwiązanym niebieską chustką w grochy. Kilka metrów za nią stała spora kobieta w średnim wieku o szczęce buldoga.

— Kochanie — zawołała Helen — wszędzie cię szukałam! Chciałam ci życzyć powodzenia i poznać z mamą.

Jake spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Co takiego?

— Poznać z mamą. Tyle jej o tobie opowiadałam.

— Nie bądź głupia — warknął Jake — w tej chwili nie chcę nikogo poznawać. — obrócił się na pięcie.

Helen była oszołomiona.

— Jest trochę spięty — wyjaśniła matce. — Później się poznacie.

Przed pierwszym przejazdem wszyscy stłoczyli się na trybunie dla zawodników, na stadionie zapadła cisza. Kiedy wjechał pierwszy zawodnik, przez tłum przebiegło westchnienie. Był to Hans Schmidt — jak zwykle w przekrzywionym zawadiacko kasku, z czym jednak kłócił się zacięty wyraz twarzy, Papa Haydn, ciemnogniady hanowerczyk, był mu całkowicie podporządkowany. Jednak po chwili rozległy się jęki drużyny niemieckiej, w miarę jak koń zrzucał drążki na drugim okserze, który nigdy nie był mocną stroną Niemców, potem kolejne na trzeciej i czwartej przeszkodzie i nie przyspieszając, zamoczył kopyto w wodzie. Zdenerwowany nietypowo kiepskim przejazdem Papa Haydn zdemolował łódź i hot doga, zrzucił drążek w wielkim triplebarze stojącym najdalej od padoku, po czym uderzył w pierwszy element kombinacji i ostatecznie zebrał trzydzieści sześć punktów karnych.

— A on jest piątym jeźdźcem na świecie — wymamrotał Obojczyk drżącym głosem.

— Nerwy go zjadły, bo jechał pierwszy — odparł Rupert.

Napięcie towarzyszące poprawianiu przeszkód dodatkowo zestresowało hrabiego Guy, bo miał jechać drugi. Przy trzeciej przeszkodzie zaliczył pierwszą zrzutkę, potem czysto przeskoczył rów z wodą, ale jechał tak szybko, że nie zdołał się zatrzymać, więc zrzucił drążki w łodzi, hot dogu, wielkim okserze i dwóch ostatnich elementach kombinacji. Po nim startował jeździec z Japonii, który ruszył w stylu kamikadze, zdeterminowany dokończyć przejazd za wszelką cenę, a zjechał przy głośnych oklaskach z zadziwiającym wynikiem pięćdziesięciu pięciu punktów karnych. Jeden z dwóch młodych Irlandczyków zdołał poprowadzić swoją brzydką brązową klacz tak, by osiągnąć najlepszy wynik — dwadzieścia cztery punkty. Zastępczyni Dina, Lizzie Dean, załamała się pod ciężarem oczekiwań i zaliczyła dwadzieścia punktów karnych.

— Lepiej się po tym chodzi, niż jeździ — wymamrotał Ivor, zielony jak awocado z ogrodu Suzy Erikson.

Upał męczył coraz bardziej, kolejno startowali zawodnicy z Hiszpanii, Szwajcarii, Włoch i Kanady. Nawet jeśli nie stresował ich tor, to ich koncentrację niszczyło zachowanie widzów, którzy przy każdym czystym przeskoku krzyczeli, dopingując zawodnika.

Wjechał Ludwig, powitany z zainteresowaniem, gdyż przedstawiono go jako zdobywcę złota z poprzedniej olimpiady oraz wicemistrza świata. Clara wyglądała na okaz zdrowia, kłusowała po padoku, lśniącymi uszami łowiąc odgłosy tłumu. Wkrótce stało się jasne, że jest w doskonałej formie, kiedy starannie wybierała drogę między przeszkodami, ze sporym zapasem przeskoczyła rów z błękitną wodą, ale potem zwolniła i pierwsza przeskoczyła czysto przez łódź. Jednak wiwaty i wrzaski, które powitały ten wyczyn, całkowicie wytrąciły ją z równowagi. Mocno potrząsnęła hot dogiem, wpadła na okser i zrzuciła szeroki triplebar, kończąc przejazd z

ośmioma punktami karnymi. Zawodnicy klaskali ze współczuciem, kiedy Ludwig zjeżdżał, kręcąc z żalem głową. „A jednak to najlepszy dotąd przejazd” — pomyślała Fen. Jak widać, nie zanosiło się na ani jeden czysty przejazd. Próbowała sobie przypomnieć, jak Ludwig najechał na łódź, żeby móc to przekazać Jake’owi. Przyglądając się kolejnym zrzutkom Meksykanina, Jesusa, czuła coraz większe mdłości z nerwów o szwagra.

Co gorsza, kiedy Ivor poszedł do stajni rozgrzać Johna, ktoś przysunął się bliżej i Fen stwierdziła, że obok niej siedzi Helen i pani Macaulay.

— To szwagierka Jake’a, Fenella — przedstawiła ją Helen. — A to moja mama.

Fen i pani Macaulay kiwnęły sobie obojętnie głowami. Fen zastanawiała się, czy Helen opowiedziała matce, co naprawdę łączy ją i Jake’a. Helen patrzyła na odwrócony od niej profil Fen.

— Jake wydaje się bardzo spięty — zagadnęła. — Chciałam go poznać z mamą.

— W tej chwili mógłby co najwyżej spotkać się ze Stwórcą.

— Naprawdę bardzo cierpi. Wszystko przez ten stres — przyznała Helen.

— Tęskni za Tory — odparła Fen. — Rano próbował się do niej dodzwonić, ale wszystkie linie były zajęte.

— Myślałam, że to małżeństwo z rozsądku — powiedziała Helen sztywno.

— Boże, skąd! — odrzekła Fen. — Szaleje za nią, pamiętasz, jak się zdenerwował w Disneylandzie, kiedy Rupert zażartował z jej tuszy.

— I nigdy nie skacze w bok? — Helen nie mogła się oprzeć pokusie, by nie zapytać.

— Och, nie bardziej niż większość zawodników — skłamała gładko Fen. — Znasz ich. Za wiele okazji do zdrady, by nie skorzystać. Jake jednak zawsze wraca do Tory.

Na widok ściągniętej cierpieniem twarzy Helen Fen uznała, że posunęła się za daleko. „Pójdę do piekła za brak serca, ale skoro nie ma Dina, a ja nie startuję, to co za różnica? Już jestem w piekle” — pomyślała.

— O, spójrzcie, wjeżdża Mary-Jo — odezwała się pani Macaulay. — Przykro mi, Helen, ale ja kibicuję właśnie jej, a nie Brytyjczykom.

Na pięć minut kręcący się przez cały poranek widzowie zaprzestali wędrówek po przekąski i napoje. Podniesiona na duchu ich zapałem i histerycznym entuzjazmem oraz zdeterminowana, by wygrać, Mary-Jo na Balthazarze zaliczyła cztery punkty karne, gdyż uderzyła tylko hot doga, i wyszła na prowadzenie. Czerwona jak jej żakiet, uśmiechnięta od ucha do ucha, wyrzuciła kask w powietrze i złapała go ze zręcznością mażoretki, po czym galopem zjechała z toru przy owacjach na stojąco.

Nie mogąc znieść widoku zadowolenia na twarzy pani Macaulay, Fen poprosiła Helen o przypilnowanie jej miejsca i zeszła na dół pocieszyć Ivora, który miał niedługo wystartować. Upał był porażający. Dygnitarze w koralowych blezerach i białych kapeluszach oblewali się potem, a kolorowe flagi zwisały smętnie na tle ośnieżonych gór.

Fen dotarła do Ivora akurat w chwili, kiedy przejeżdżała obok zawodniczka szwajcarska, cała we łzach, gdyż cztery lata pełne nadziei zdruzgotały trzy odmowy konia przy pierwszej przeszkodzie

Ivorowi nie poszło lepiej. Ogarnięty tremą pojechał jak nowicjusz. Nie pomogła mu też zapowiedź, w której przedstawiono go jako Ivora Braine’a z Wielkiej Brytanii na Johnie. Widzowie, rozśmieszeni faktem, że ktoś nazwał konia imieniem, którym oni określają ustęp, wybuchali gromkim śmiechem i witali go drwiącymi okrzykami. Całkowicie wytrącony z równowagi John przy hot dogu trzykrotnie odmówił skoku.

— Och nie, Johnie, nie — skwitował Rupert i poszedł na padok rozgrzać Rocky’ego, jak zwykle każąc Dizzy ustawiać przeszkody w niewłaściwej

odległości, żeby Rocky w każdą uderzył i poczuł ból.

— Nauczy się ostrożności — dodał.

Większy niż zwykle krzyk z widowni obwieścił, że na start wjechał Carol Kennedy i za chwilę rozpocznie przejazd.

— To dopiero przystojniak — powiedziała pani Macaulay. — Amerykańscy mężczyźni mają w sobie coś.

— To gej, mamo — warknęła Helen.

Chociaż przyzwyczajona do wybuchów emocji widzów amerykańskich, nawet Scarlett O'Hara zdenerwowała się hałasem. Uderzyła w hot doga, potem zapowiadało się, że przejedzie czysto, ale kiedy po skoku przez ostatni element kombinacji z trybun rozlegały się gromkie wiwaty, klacz założyła, że to koniec trasy. Carol z wielkim trudem zdołał naprowadzić ją z powrotem na podwójny okser, w którym zrzuciła ostatni drążek. Mimo to Carol miał tylko osiem punktów karnych i razem z Ludwigiem zajął drugie miejsce.

— To prawdziwy książę, prawda? — powiedziała jakaś dziewczyna stojąca za Helen, kiedy na start wjechał Rupert. — Widziałam go w telewizji wczoraj wieczorem. Trzeba to Brytyjczykom oddać, mają klasę.

W każdym calu elegancki Rocky był zdecydowanie najpiękniejszym koniem zawodów. Pod lśniącą bursztynową sierścią mięśnie napinały mu się jak węże. Tanecznym krokiem wszedł na arenę, długie uszy czujnie postawił, słysząc tyle nowych dźwięków i ludzi. Mieszanina naturalnego wdzięku z wybuchową energią, jaką emanował, była niezapomniana.

— Na miłość boską, nie przyspieszaj — ostrzegł go Malise.

Rocky był najlepszym koniem zawodów, ale nigdy dotąd nie występował przed tak wielką widownią, w takim hałasie, nie widział aż tylu falujących rzędów czapek przypominających wielką wolierę. Przednie nogi go bolały, gdyż przez Ruperta poobijał je na przeszkodach. Machał gniewnie ogonem.

Był straszliwie zgrzany i wytrącony z równowagi. Rupert zrobił dwa kółka, żeby go uspokoić. Wierzchowiec wyginał grzbiet i szarpał głową.

„Ten koń ma za wiele energii i nie został jeszcze odpowiednio wyszkolony” — pomyślała Fen.

Dwie minuty później Rupert zjechał z mety z niewiarygodnym wynikiem dwudziestu ośmiu punktów karnych. Zawodnicy i komentatorzy oniemieli z zaskoczenia.

— Praktycznie Rocky Horror Show — wymamrotała Fen pod nosem, po czym zawstydzona własnym brakiem patriotyzmu, rzuciła z ukosa spojrzenie na Helen i panią Macaulay. Zaskoczona zobaczyła, że żadna z nich nie wygląda w najmniejszym stopniu na zmartwioną.

— Muszę iść poszukać Jake’a — powiedziała, wstając.

— Życz mu szczęścia — poprosiła Helen. — Nie zapomnij! — zawołała za odchodzącą Fen.

Obojczyk miał za chwilę wjeżdżać na tor. Zbliżał się do czterdziestki, miał za sobą wyczerpującą karierę i pozostali zakładali się już, czy prędzej wykończy go alkohol, czy wiek. Tego dnia, pomimo trzech dużych whisky, nie wydawał się odczuwać upału, a jego duży gniady wałach, Christy Mahon, również wyglądał świeżo. Oni także przejechali z ośmioma punktami karnymi.

— Dobra robota! — zawołała Fen, kiedy zawodnik zjeżdżał z areny. — Cholernie dobry przejazd!

Znalazła Ivora ze łzami na twarzy, przygnębionego jak nigdy.

— Gdzie Jake? — zapytała.

— W toalecie, wymiotuje.

— Za dwadzieścia minut startuje. Na miłość boską, idź po niego.

Jake skulił się nad toaletą, z przygnębieniem wpatrując się w białe wnętrze. Nie jadł śniadania ani kolacji poprzedniego dnia, więc teraz

wymiotował już tylko żółcią. Czuł się paskudnie, drżał na całym ciele. Boże, jak brakowało mu Tory.

Ktoś walił w drzwi. Był to Ivor.

— Jake, wszystko w porządku?

Jake jęknął.

— Fen mówi, że to ci pomoże. — Ivor pod drzwiami wsunął do kabiny brandy.

— Uspokój się — odezwał się głos Malise'a. — Za kilka godzin będzie po wszystkim.

— Kiedy skaczę?

— Jeszcze czterech.

— Jakieś czyste przejazdy?

— Nie. Rupert nałapał punktów jak w partii krykieta — odparł ponuro Malise.

„Zatem wszystko zależy ode mnie" — pomyślał Jake.

Wypił brandy. O dziwo, alkohol go uspokoił i nieco zagłuszył strach. Na zewnątrz czekała Fen.

— Słuchaj teraz, wszyscy dotąd potykali się na hot dogu. Wydaje mi się, że powinieneś wcześniej wyjechać z zakrętu, dać Hardy'emu nieco więcej czasu, żeby go ocenił i zrobił pięć kroków.

— Dzisiaj ma chyba dobry dzień, tylko raz mnie uszczypnął — dodała Sarah.

Hardy nie był piękny, ale jego tęgi, nakrapiany zad i kłąb lśniły jak polerowana cyna, ogon był bielszy niż śnieg na górach, a warkoczyki ozdobione czerwonymi nitkami były najstaranniej zaplecione.

Jake uśmiechnął się krótko, kiedy Sarah włożyła koniowi watę do uszu.

— Dobrze go przyszykowałaś — pochwalił. — Wygląda świetnie.

— Powodzenia — powiedziała Fen.

— Nie muszę ci tego mówić — dodał Malise — wszystkie nasze nadzieje spoczywają na tobie.

Jake klepnął wierzchowca w zad i wjechał do tunelu. Fen udało się dopaść miejsca obok Helen, kiedy Jake wjeżdżał na start.

— To Jake, o którym ci opowiadałam — powiedziała Helen do matki. — O mało nie skończył kariery, bo w zeszłym roku miał ciężki wypadek.

Po niemal trzech godzinach zawodów widzowie byli już zmęczeni. Widzieli występy wszystkich Amerykanów i powoli zaczęli wymykać się na lunch.

„To się dzieje naprawdę” — pomyślał Jake, kłusując ku pierwszej ogromnej przeszkodzie. Czując irytację konia, który nie lubił być powstrzymywany siłą, poluzował wodze. Hardy przeskoczył pierwszą przeszkodę, przeskoczył drugą i kolejną, wyrzucił nogi do tyłu i przeskoczył też nad rowem z wodą z kilkoma centymetrami zapasu. Łódź nie nastręczyła mu żadnych problemów. Idąc za radą Fen, zakręcił ostro, zrobił pięć kroków, a nie cztery, jak większość zawodników, nabrał odpowiedniego rozpędu i lekko pokonał hot dog.

Hardy był pierwszym koniem, który poradził sobie z tą przeszkodą, co wywołało tak ogłuszające wrzaski radości, podniecenia i entuzjazmu na widowni, że usłyszał je nawet przez watę w uszach i na chwilę stracił opanowanie. Zagalopował, wpadł na wielki okser i rozwalił wszystkie cegły w murze.

— Cholera! — powiedziała Helen.

— Helen Macaulay! — upomniała ją zgorszona matka.

— Mamo, od sześciu lat jestem Helen Campbell-Black.

— Tym gorzej.

Fen uznała, że nawet lubi panią Macaulay.

Tymczasem Jake niemal zatrzymał konia, gładził go i uspokajał, tak jak na mistrzostwach świata uspokajał Macaulaya.

— Głupek zarobi punkty za czas — skomentował Rupert.

— Wie, co robi — odparł ostro Malise.

Jake ruszył kłusem, po czym zaczął skakać nad pozostałymi przeszkodami. Zakończył przy ogłuszających wiwatach.

— Doskonale. Wspaniale! — powiedział Malise z miną znacznie raźniejszą niż dziesięć minut wcześniej. — Uratowałeś nas. Masz jedenaście punktów.

Pozostało ledwie trzech zawodników. Dwóch pojechało beznadziejnie, ale nadzieje Brytyjczyków nieco zmącił Nigeryjczyk na wielkim czarnym wałachu, który galopem i z szerokim uśmiechem przemierzył tor. Ku radości widzów przy każdej przeszkodzie wyskakiwał z siodła, lecz udało mu się przejechać czysto prawie wszystkie przeszkody oprócz rowu i hot doga.

Malise wyjął kartę z wynikami.

— Mary-Jo ma cztery punkty karne, Carol, Ludwig, Obojczyk i Nigeryjczyk po osiem, a ty jedenaście, Jake.

Teraz nastąpiła męcząca trzygodzinna przerwa przed drugą rundą. Zakwalifikowało się do niej dwudziestu zawodników. Ivor został wyeliminowany, Rupert ledwie przeszedł, Jake zajął piąte miejsce. W kolejnej rundzie miało być mniej przeszkód, za to były trudniejsze.

— Chodźmy coś zjeść — zaproponował Malise.

— Ja zostaję i zajmę się Rockym — powiedział ponuro Rupert.

— Muszę trzymać Obojczyka z dala od alkoholu — powiedział Paddy, stajenny.

Ivor z rozpaczy nie mógł wydobyć słowa.

— Rupert przesadził z pewnością siebie, tobie jej brakowało. Zdarza się najlepszym — pocieszył go Malise.

W drodze na obiad Jake nagle zachwiał się osłabiony przez upał, brak snu, niedojadanie i brandy.

— Skaczesz najwcześniej za trzy godziny — powiedział stanowczo Malise — idź się przespać na łóżko Sarah.

— Nie wygłupiaj się — odparł Jake, ocierając czoło. — Za nic nie zasnę.

— To się chociaż połóż.

Jake wyciągnął się na wąskim łóżku na poddaszu stajni i po kilku sekundach zasnął.

Druga runda była znacznie trudniejsza. Temperatura przekroczyła trzydzieści stopni, zamieniając stadion olimpijski w buchający żarem piec. Konie, poprzednio rozgrzane, po przejechaniu torów i powrocie do stajni uznały, że dzień pracy się skończył i nie rozumiały, dlaczego znów się je wyprowadza. Większość z nich była już zmęczona.

Nawet ogromny tłum jakby się przerzedził, gdyż widzowie chronili się przed słońcem w przedsionkach i oglądali skoki na ekranach.

Gryząc paznokcie, Fen przyglądała się, jak kolejni zawodnicy walczą z przeszkodami. Ludwig w przerwie przećwiczył Clarę. wielka klacz nałapała mnóstwo punktów karnych.

Jake obudził się i rozgrzewał Hardy’ego, kiedy Mary-Jo wjeżdżała na start. Z toru widział uginające się trybuny, gdyż widzowie tłumnie wracali na miejsca, aby dopingować swoją bohaterkę. Mary-Jo zdobyła cztery punkty karne. Jake słuchał wiwatów, które narastały i po pewnym czasie dotarły chyba aż do Nowego Jorku, potem zapadła cisza i rozległ się zbiorowy jęk. Cztery punkty — czyli ma już osiem. Potem znów rozległy się wiwaty i zaczęły przybierać na sile. Musi się skupić na Hardym. Nagle

wzniósł się przygniatający wrzask, na który Hardy pomimo waty w uszach zareagował nerwowym podrygiwaniem.

Rozglądając się wokół, Jake widział wyrzucane w górę czapki, które unosiły się nad trybunami jak kawałki popcornu. Mary-Jo zdobędzie złoto, chyba że Carol, Obojczyk lub Nigeryjczyk przejadą bez punktów karnych. Jake na pewno jej teraz nie dogoni. Wiwaty trwały, aż w końcu Mary-Jo wyjechała z tunelu, ocierając łzy, po czym zniknęła w tłumie rozentuzjazmowanych fanów.

Carol Kennedy z ośmioma punktami jechał następny i znów miał pecha. Skakał pewnie i czysto, kiedy nagle na pierwszy element podwójnej przeszkody padł cień helikoptera, utrudniając ocenę odległości. Dzielna Scarlett O’Hara zrzuciła oba drążki, ale już nic więcej przez cały przejazd. Widzowie wpadli w ekstazę, zaczęli tupać i wrzeszczeć. Carol miał teraz szesnaście punktów karnych i duże szanse na srebro.

Na start wjechał Rupert. Tylko cudem mógł zdobyć brąz. Wciąż płonął wściekłością, zdecydowany przejechać bezbłędnie i pokazać wszystkim, jak należy skakać. Przerażony bezgranicznie Rocky, zataczając oczami i tocząc krwawą pianę z pyska, skakał dobrze, dopóki nie dotarł do triplebara oddalonego od padoku, tam zaczął zwalniać. Rupert uniósł bicz. Rocky wyskoczył za wcześnie, wpadł na przeszkodę, zburzył ją, upadł i zrzucił jeźdźca. Rupert utrzymał wodze i nie odniósł obrażeń, lecz dopiero po kilku sekundach zdołał dosiąść przerażonego konia, który zupełnie już wytrącony z równowagi po kolejnych zrzutkach zarobił osiem punktów karnych.

— Pech — powiedział Obojczyk czekający na swoją kolej.

Rupert jednak minął go z pobladłą, złowrogą miną. W przerwie Obojczyk wypił tyle, by zyskać odwagę, ale za dużo, by móc trzeźwo ocenić odległości. Wiedział, że to jego ostatnia szansa na medal. Irlandczycy nie mieli tylu jeźdźców, by stworzyć drużynę, ale kochał

swojego starego konia i z radością przywiózłby do domu medal. Przeżegnał się i pomodlił do Matki Boskiej, po czym wjechał na start. Matka Boska wysłuchała, delikatnie poprowadziła konia i jeźdźca przez tor. Obojczyk skakał jak natchniony, zrzucił tylko jeden drążek, co dało mu drugie miejsce.

Widownia oszalała. Obojczyk od wielu lat bawił ich swoimi występami, był bardzo lubianym zawodnikiem. Żegnały go gromkie wiwaty. Irlandia miała srebrno, ale Amerykanie złoto i brąz.

— Zapomnieli, że jest jeszcze Jake i Nigeryjczyk — powiedziała wściekła Fen.

— Wszystko w porządku? — zwróciła się do Jake'a. — Pewnie czujesz się znacznie gorzej, kiedy stawka jest tak wysoka.

Jake pokiwał głową, nie mogąc wydobyć głosu. Jeśli będzie miał cztery punkty karne, zdobędzie brąz, a jeśli przejedzie bezbłędnie, będzie srebro. Przy tak ogłuszających wrzaskach widowni w żaden sposób nie uda mu się zmusić Hardy'ego do koncentracji.

— Wyjmij mu watę z uszu — polecił Sarah.

— Jesteś pewien? — zapytała spłoszona stajenna. — Hardy zwariuje.

Podszedł do nich Malise i poklepał wierzchowca.

— Chyba się nie uspokoją — powiedział. — Ja bym już wjeżdżał. Zaufaj swojej intuicji.

„Jeśli zdobędę medal — pomyślał Jake, czekając i spoglądając na rozentuzjazmowane twarze na widowni — dostanę od Boysona siedemdziesiąt pięć tysięcy rocznie". Pomyślał o Tory i dzieciach oglądających go w domu. Pomyślał o Helen, którą tak niełądnie niedawno potraktował.

— Proszę wjeżdżać — powiedział steward w koralowym blezerze.

Od tej chwili Jake myślał już tylko o swoim wierzchowcu. Wjechał powoli na środek areny, obrócił się w kierunku loży prezydenckiej, w której siedział prezydent, miłośnik koni, książę Philip i księżniczka Anna, zdjął kask przed sędziami, ukazując nagłą bladość opalonej twarzy. Powiedział coś do konia. Hardy wysunął jedną nogę w przód i skłonił się nisko przed księżniczką, księciem i prezydentem. Na widowni zerwały się entuzjastyczne oklaski. Widzowie mieli już złoto dla swojego kraju, mogli zdobyć się na wielkoduszność. Ten Cygan ze swoimi sztuczkami na pewno nie zagrozi zwycięstwu Mary-Jo.

— Czyż to nie słodkie? — zwróciła się Helen do pani Macaulay.

Jake uniósł wzrok na chłodne, ośnieżone szczyty gór w oddali i morze wpatrzonych w niego twarzy, spokojnie założył kask i zaczekał, aż tłum się uspokoi.

Wiwaty stopniowo ucichły. Jake dotknął flagi brytyjskiej na czapraku, a potem złotego kwiatka w kieszonce na piersi. Hardy wciąż stał. Słyszał już hałas widowni, lecz przekonał się, że mu to nie zagraża.

— Głupi pozer — powiedział Rupert do Ludwiga.

— Szkoda, że nie mamy żadnych bezbłędnych przejazdów — powiedział Dudley Diplock.

W końcu, kiedy ciszę przerywały tylko trzaski migawek i szmer stutysięcznego tłumu, który próbował się uspokoić, Jake kopnął piętami Hardy’ego do kłusa. Żaden z nich nie wydawał się zmęczony. Kiedy pokonali bez zrzutek dwie pierwsze przeszkody, a potem trzecią, a następnie radośnie przefrunęli nad wodą, widzowie uświadomili sobie, że Hardy dobrze się bawi. Zaczęli znów wiwatować i dopingować go tupaniem i klaskaniem.

„Naprawdę mnie lubią” — wydawał się mówić Hardy, unosząc nogi i z machnięciem ogona szybując nad hot dogiem.

— Ale teraz ci się spodoba, słuchaj, jak cię oklaskują — powiedział Jake, kiedy Hardy przefrunął nad okserem niczym jaskółka.

— Trochę wolno jedzie — powiedziała Fen siedząca przy Malisie na skraju trybuny dla zawodników.

— Tak — odparł Malise — ale co to za przejazd, to czysta poezja. Dawaj, Jake!

Jakby ich słysząc, Jake przynaglił Hardy'ego i szybciej przeskoczył przez kombinację. Został im ostatni okser.

— Nie mogę na to patrzeć! — powiedziała Fen. Z głową w rękach czekała na głuchy trzask spadających drążków. Zamiast tego usłyszała westchnienie, długą chwilę ciszę, ekstatyczny okrzyk Helen po prawej stronie i wznoszące się pod niebo wiwaty.

— Udało mu się! Jedyny czysty przejazd! — zawołał Malise, wyrzucając kapelusz w powietrze. Kapelusz upadł i zanim ktokolwiek się po niego schylił, został zdeptany przez widzów.

Wszyscy wstrzymali oddech, trwały gorączkowe obliczenia. Jake zerknął na zegar. Zmieścił się w czasie prawie idealnie. Nawet jeśli Nigeryjczyk pojedzie bezbłędnie, on i tak ma brąz. Opuścił wodze na kark konia, uniósł obie dłonie do nieba w podwójnym pozdrowieniu i zjechał z areny wzdłuż szpaleru wiwatujących widzów, uśmiechając się szeroko.

— Cholera, cudnie! — krzyczała Fen ze łzami w oczach, po czym uściskała Malise'a, którego twarz lśniła w słońcu od łez.

— To najbardziej zaskakujący zwrot wypadków — mówił szybko Dudley Diplock w loży komentatorów. — Nikt nie przypuszczał, że Gyppo Jake wróci w tak wielkim stylu. To niemal cud.

— Chodźmy mu pogratulować — powiedzieli jednocześnie Malise i Fen, ale Helen ich wyprzedziła. Przeskoczywszy przez rząd siedzeń przed sobą, pobiegła schodami na spotkanie Jake'a. Rude włosy powiewały za nią.

— Kochanie, kochanie, kochanie! — powiedziała, chwytając go za rękę.

Jake spojrzał na nią. Na jego twarz wróciły kolory, był niewiarygodnie szczęśliwy, przystojny jak nigdy dotąd i już nie próbował ukrywać uczuć.

— Udało się nam — powiedział z niedowierzaniem. — Naprawdę się nam udało! — Niesiony euforią zwycięstwa pochylił się i pocałował Helen, a ona odpowiedziała pocałunkiem, przywierając do niego.

Uwięziona w tłumie na widowni Fen spojrzała na panią Macaulay.

— Twój szwagier — powiedziała oskarżycielsko matka Helen.

— Tak — odparła Fen równie oskarżycielsko — mąż mojej siostry.

Po prawej widziała Ruperta zbielałego z gniewu, przeciskającego się w kierunku Jake’a i Helen. Na szczęście w tej chwili podbiegła do Hardy’ego Sarah, ze łzami radości, oraz reszta brytyjskich stajennych. Za nimi podeszli Obojczyk, Amerykanie i Niemcy, poklepując Jake’a po plecach i gratulując wylewnie. Hrabia Guy przyniósł ogromnego szampana.

Od tej chwili Jake miał wrażenie, że świat przesłoniła mgła. Cieszył się z radości Malise’a i podskakującej Fen, z mieszaniną radości i żalu dowiedział się, że Nigeryjczyk, ostatni w kolejce, z nerwów zaliczył dwadzieścia punktów karnych, co ostatecznie dawało Jake’owi srebro, a Obojczykowi brąz.

Ze wszystkich stron otaczali go fotoreporterzy i wyciągały się ręce, by pogłaskać Hardy’ego.

— Nie rozumiem, dlaczego nikogo jeszcze nie ugryzł — dziwiła się Sarah. — Teraz jako medalista, rozpoczyna chyba nowy rozdział.

Przeszkody rozmontowano, a wielkie konie rasy clydesdales wciągnęły na środek podium. Mary-Jo, Jake i Obojczyk wjechali na arenę, a za nimi trójka ich stajennych. Sarah dostała wyjątkowo entuzjastyczne brawa za urodę i czerwono-biało-niebieskie włosy. Stajenni przytrzymali konie, a jeźdźcy weszli na podium. Jake z trudnością powstrzymał się od śmiechu

na widok dziewcząt wchodzących zabawnie sztywnym, szerokim krokiem, niosących pudła z rozetkami — przypominały mu sprzedawców pamiątek kręcących się po widowni.

Pochylił głowę, kiedy żona prezydenta zawiesiła mu na szyi srebrny medal. Od razu go dotknął, sprawdzając, czy jest prawdziwy. Miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi, tak mocno biło. Mary-Jo płakała bez skrępowania, kiedy trzy flagi wspięły się na maszty, a orkiestra zagrała *Gwiaździsty sztandar*. Obojczyk nie miał przy sobie chusteczki i musiał wycierać zaczerwieniony nos w połę marynarki.

— Doskonała robota — powiedział książę Philip, ściskając ręce wszystkim, ale najdłużej Jake’owi. — Jedyny bezbłędny przejazd — dodał. — Może być pan bardzo dumny.

— Dziękuję, sir.

Oszołomiony Jake z ulgą wrócił do Hardy’ego, którego ledwie było widać spod rozetek z długimi tasiemkami. Chętnie zostałby przy nim, ale porwano go na konferencję prasową. Zanim reporterzy skończyli przepytywać Mary-Jo, Jake zdążył wypić co najmniej półtorej butelki szampana.

— Szkoda, że nie zdobyłeś złota, Jake — powiedział reporter z „Los Angeles Times”.

— Szczerze mówiąc, bardzo się cieszę ze srebra. Jako Cygan tradycyjnie rysuję nim krzyżyk na dłoniach ludzi, więc to dla mnie najwłaściwszy medal — powiedział Jake, budząc wesołość dziennikarzy. — Mimo wszystko — ciągnął, spoglądając na gąszcz kamer, notesów i dyktafonów — szkoda, że Dino Ferranti musiał się wycofać, bo Mary-Jo i ja bylibyśmy zapewne o oczko niżej.

— Wiesz, dlaczego tak dobrze ci poszło? — zapytał człowiek z „Daily Telegraph”.

— Bardzo wspierała mnie drużyna — odparł Jake, po czym zaczął dziękować wszystkim od rodziny, przez Malise’a, po pielęgniarki i lekarzy w szpitalu Motcliffe.

— Jakieś plany na przyszłość? — zapytał „New York Times”.

— Idę zadzwonić do żony, a potem się upić.

Przed budynkiem Dudley przecisnął się do niego przez tłum wielbicieli.

— Gratulacje, Jake. Doskonały, doskonały występ. W loży komentatorów mamy dla ciebie wolną linię telefoniczną, chcielibyśmy nagrać cię w chwili przekazywania wiadomości żonie, jeśli można.

— Nie można — odparł Jake. — Nieczęsto dzwoni się do żony z taką wiadomością. Niektóre sprawy wymagają prywatności.

Wszedł do loży i zatrzasnął drzwi.

— Oczywiście, panie Lovell — powiedziała telefonistka. — Gratulacje.

Połączono go niewiarygodnie szybko.

— Jake, och, Jake! — Tory śmiała się i płakała tak mocno, że ledwie ją słyszał. — To cudowne! Obaj byliście cudowni. Cała wieś przyszła do nas oglądać wasz przejazd. Wypili wszystko, co było w domu, a teraz trwa tu superimpreza. Jesteśmy z ciebie dumni!

— Hardy to twoje dziecko — odpowiedział Jake. — To ty go dla mnie wychowałaś.

— Skakał cudownie, a ten jego ukłon! No i jedyny czysty przejazd! Porozmawiaj z dziećmi.

— Ile wygrałeś? — zapytał Isa.

— Zabierzesz mnie do Disneylandu? — to była Darklis.

Jake poprosił do telefonu Tory.

— Tęsknię za tobą — powiedział. — Chcesz przyjechać na zawody drużynowe?

— Och, bardzo chętnie. A stać nas na to?

— Teraz chyba tak — odparł Jake.

— Przy okazji, Boyson właśnie dzwonił — powiedziała Tory. — Uznał, że dotrzymałeś swojej strony umowy, więc on dotrzyma swojej. O, słuchaj, słuchaj tylko — powiedziała zdławionym głosem. — Dzwonią dzwony w kościele, nikt nie śpi. Bawią się na ulicy, pub jest otwarty, dzwonią na twoją cześć. Słuchaj!

Jake usłyszał słaby dźwięk dzwonów po drugiej stronie. Ze wzruszenia nie mógł nic więcej powiedzieć.

— Zadzwonię jutro — powiedział. — Kocham cię.

— Ja też cię kocham — odparła Tory.

— Wszystko dobrze? — zapytała Fen, kiedy Jake, ocierając oczy, wychodził z loży.

Pokiwał głową.

— Wspaniale. Dzwonią dzwony w kościele.

„Może jednak jakoś się ułoży” — pomyślała Fen.

59

JAKE ZOSTAŁ ODWIEZIONY DO WIOSKI OLIMPIJSKIEJ radiowozem policyjnym na sygnale.

— Przepraszam — powiedział przy bramie, półprzytomnie szukając identyfikatora. — Gdzieś się zapodział.

— W porządku, panie Lovell, wiemy, kim pan jest — odparł ochroniarz. — Gratuluję.

Brytyjscy lekkoatleci powitali go entuzjastycznie.

— Dobra robota! — powiedzieli Sebastian Coe i Daley Thompson, klepiąc go w plecy.

Ciężarowcy ponieśli go na ramionach przez wioskę olimpijską. Wszyscy stawiali mu drinki. Przebierając się do kolacji w małym pokoju, Jake spojrzał w lustro — i znalazł swój identyfikator tam, gdzie go zostawił, czyli na szyi, pod koszulą.

— Jesteś supergwiazdą — powiedział, dźgając palcem w swoje odbicie, zadowolony, że oba palce wskazujące się spotkały, dowodząc jego trzeźwości. Chętnie wyszedłby poświętować cicho z Sarah i Fen. Chciałby, żeby Tory była przy nim, uczestniczyła w jego triumfie. Nigdy nie zaznał tak wielkiego szczęścia.

Zdeterminowany, by nie okazać miażdżącego rozczarowania, Rupert nie miał nastroju, by świętować zwycięstwo. Chciał odejść ze skoków w pełni chwały, gładko przejść z siodła do polityki, oraz być może w ramiona Amandy. Miesiące treningów i abstynencji na nic się zdały. I chociaż Rocky skakał jak świnia z odmrożeniami, a Rupert zbił go później na kwaśne jabłko — jednak w głębi duszy wiedział, że to nie była wina wierzchowca.

Po powrocie z Las Vegas ze skrawkami listu Amandy w kieszeni uświadomił sobie, że nie powinien był do późna rozmawiać z ludźmi na imprezie u Suzy. Ma trzydzieści jeden lat, a nie osiemnaście. W końcu, kiedy o drugiej nad ranem wrócił do sypialni, gdzie zastał Helen oddychającą wyjątkowo głęboko, udającą sen, Rupert — zawsze gotów do drzemki — nie mógł zasnąć. Leżał i myślał o Amandzie.

A teraz miał iść świętować srebrny medal, który ten kurdupel zdobył przez przypadek. Po zawodach Malise jeszcze bardziej go zdenerwował.

— To się koniom zdarza i im mniej powiemy o twojej dzisiejszej wpadce, tym lepiej. Teraz skupmy się na złocie dla drużyny. Masz sześć dni, żeby doprowadzić Rocky’ego do porządku, a o wpół do dziesiątej dzisiaj wieczorem chcę cię widzieć na paradzie.

— Po co?

— Dla uczczenia srebrnego medalu Jake’a.

— Jestem już umówiony — odparł ozięble Rupert. — Zabieram Helen i jej matkę do Ma Maison.

— Tam właśnie wszyscy idziemy.

— To drogie miejsce — powiedział niechętnie Rupert. — Nie wyobrażam sobie, żeby komitet olimpijski pokrył koszty takiej ekstrawagancji.

— Już opłacone — odparł Malise z cichą satysfakcją, której później pożałował. — Garfield Boyson zadzwonił z Anglii i zagwarantował, że zapłaci rachunek.

Twarz Ruperta przybrała ten dziwnie martwy wyraz, który zwykle zwiastował kłopoty. Garfield Boyson już się z nim kontaktował, właściwie był to jedyny sponsor, z jakim Rupert mógłby współpracować. Gdyby przez kolejne dwa lata pokrywał jego wydatki, Rupert mógłby odpuścić nieco i uczestniczyć tylko w najlepszych, prestiżowych zawodach i stopniowo

coraz więcej czasu poświęcać polityce. Teraz zaś Jake sprzątnął mu sponsora sprzed nosa.

— Miałeś nie pić do końca zawodów drużynowych — powiedziała Helen, kiedy Rupert, z włosami jeszcze mokrymi spod prysznica, ale już w szarej koszuli w prążki i białych spodniach, nalał sobie sporą porcję whisky.

— Na razie niewiele mi to pomogło — powiedział Rupert, dolewając wody z kranu. — Muszę się jakoś podtrzymać na duchu, czeka mnie najwyraźniej pieprzony wieczór.

Helen z wielkim trudem próbowała opanować uniesienie. Rupert powiedział jej, że za ten wieczór płaci Boyson, zatem musiał zostać sponsorem Jake'a, co z kolei dawało nadzieję, że Jake będzie mógł sobie pozwolić na to, by zostawić Tory i ożenić się z nią.

— Powinno być miło — powiedziała. — Nigdy nie byłam w Ma Maison. Mama nie może się doczekać, żeby poznać całą drużynę, wiem, że ona i Malise się polubią.

— Powinna mu się spodobać — odparł Rupert. — Ma doświadczenie jako czołgista na wojnie.

Helen siedziała tyłem do Ruperta, lecz szczupłe prawe ramię miała zgięte na plecach, zmagając się z zamkiem sukienki, który zaczepił o włosy.

— Pozwól. — Rupert podszedł do niej, odsunął jej świeżo umyte włosy na bok i zasunął do szyi wąski złoty zamek. Spojrzał na jej odbicie w lustrze, wdychając zapach perfum Femme, bijący od jej ciepłego, świeżego po kąpieli, podnieconego ciała. Helen miała na sobie ciemnozłotą sukienkę bez dekoltu, z długimi rękawami, opadającą do kostek i otulającą ciało. Długie włosy rozdzieliła na boki i podpięła dwoma złotymi grzebieniami. Na sekundę Rupert złapał ją długimi palcami za talię, po czym przesunął je do piersi. Uświadomił sobie, że Helen nie ma na sobie stanika ani nawet

halki, rzecz u niej niesłychana. Czując, jak się spina i odsuwa, zacieśnił uścisk.

— Nie widziałem tej sukienki. Kiedy ją kupiłaś?

— Dawno temu, ale na żadną wielką okazję, po prostu mi się spodobała.

— Na pewno. Świetnie wyglądasz, powiem, zbyt świetnie.

— Co to ma znaczyć? — powiedziała Helen ostrzej. — W Ma Maison zawsze roi się od gwiazd filmowych, a ty zawsze zarzucasz mi, że zbyt surowo wyglądam.

— Tym razem jest inaczej. — Rupert zerknął na zegarek. — Właściwie, jeśli spóźnimy się na aperitif, mamy czas na... — zaczął rozpinać zamek sukienki.

— Nie! — żachnęła się Helen, odsuwając się od niego, omal nie przewróciła się o toaletkę i w desperackim uniku zrzuciła kilka flakoników na podłogę.

— Jestem gotowa i umalowana — powiedziała, próbując obrócić sprawę w żart — i obiecałam mamie, że się z nią spotkamy o wpół do dziesiątej. Nie możemy jej zostawić samej w restauracji.

— Jak ona tam dotrze? — zapytał Rupert. — Na miotle?

Dzięki szczodrości Boysona posiłek w Ma Maison przeszedł ich oczekiwania. Na stole drużyny brytyjskiej stały srebrne platery, srebrzyste puchary na niekończące się butelki szampana, białe róże i lilie w otoczeniu srebrnych liści, w srebrnej misie na środku stołu, oraz dwie srebrne figurki koni po bokach na srebrzystym satynowym obrusie.

Jake’a powitano jak bohatera. Przejście przez restaurację zajęło mu długą chwilę, gdyż zatrzymywali go goście, ściskając rękę, chcąc dotknąć srebrnego medalu połyskującego w świetle świec. Grupa angielskich aktorów, którzy po południu byli świadkami jego zwycięstwa, teraz wznosiła toasty, zapraszając go do swojego stolika.

— Co to za ludzie? — zapytał Fen, kiedy w końcu dotarł do reszty drużyny brytyjskiej.

— Michael Caine, Susan George, Roger Moore i inni — odpowiedziała.

— Aha. Fakt, twarze wydawały się znajome.

W tej chwili podeszła do nich piękna dziewczyna, poklepała Ruperta po ramieniu i podała mu kartkę i długopis.

— Czy mogłabym pana prosić? — zapytała i obdarzyła go olśniewającym uśmiechem.

— Ależ bardzo chętnie — odparł Rupert, biorąc od niej długopis.

— Czy może pan poprosić Jake’a Lovella o autograf?

Jake już sporo wypił i pogrążył się w euforii. Z jednej strony przyjmował pochwały, lecz z drugiej myślami wracał na tor, pokonywał jeszcze raz każdą przeszkodę, czuł przepełniającą go miłość do tego kapryśnego, bystrego konia, który wreszcie zamknął usta krytykom i osiągnął sukces.

Fen zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzyma. Od czwartej była na nogach, cały czas przy Jake’u, jednocześnie wciąż modliła się o powrót Dina. Teraz, obserwując promieniejącą szczęściem Helen, świadoma faktu, że Rupert i Jake byli coraz bardziej pijani, przeczuwała nadciągającą katastrofę.

— Czy mogę usiąść obok ciebie? Pojedziemy jutro do Disneylandu? — zapytał Ivor.

Przybyli ostatni goście — Suzy i Albie Eriksonowie.

— Kochanie — Suzy powitała Jake’a pocałunkiem w usta — to było rewelacyjne. Teraz nie masz już wymówki, by odrzucać moje zaloty.

Fen rzuciła spojrzenie w kierunku Helen, która patrzyła na Suzy z nieskrywaną niechęcią.

— Właśnie dostaliśmy ostrzeżenie o trzęsieniu ziemi — powiedział pogodnie Albie.

„Zacznie się przy tym stole” — pomyślała Fen.

Kelner dolał im szampana.

— Zdrowie Jake’a! — Wzniósł toast Malise.

Wszyscy oprócz Jake’a i Ruperta unieśli srebrne puchary.

— Za Hardy’ego! — powiedział Jake, wypijając połowę szampana, po czym lekko przymglonymi oczami spojrzał w stronę Helen, uniósł ku niej puchar, przesłał jej pocałunek i wypił resztę.

„Pomocy!” — pomyślała Fen.

— Myślisz, że w niedzielę tor będzie tak samo trudny? — zapytała Ruperta, gorączkowo starając się odwrócić jego uwagę.

Rupert spojrzał na nią i dopiero teraz zauważył, jak mizernie wygląda Fen.

— Wszystko dobrze, skarbie?

Fen pokiwała głową.

— Przykro mi z powodu Rocky’ego. Pewnie trudno ci dojść do siebie.

Rupert wzruszył ramionami.

— Wiesz, kogo najbardziej mi brakuje?

— Billy’ego — odgadła Fen. — Ja też za nim tęsknię.

Gospodarz podszedł do nich ze specjalnym na tę okazję menu, które Fen cierpliwie musiała wyjaśnić Ivorowi.

— Czysta zupa na cześć czystego przejazdu Jake’a, potem muszle świętego Jakuba w szampanie, to przegrzebki, a następnie *gâteau* Hardy. Na miłość boską, Ivorze, przestań gapić się na Goldie Hawn!

W miarę upływu czasu Rupert zaczął wyładowywać swój gniew, krytykując Amerykanów, co irytowało zarówno Helen, jak i jej matkę.

— Olimpiada zeszła na psy — mówił — teraz to wojna technologiczna Wschodu z Zachodem. Amerykanie mają lepszy doping, lepsze komputery

wykrywające błędy, lepszych psycholog do pracy z zawodnikami. Cały duch amatorskiego sportu dawno uleciał.

Pani Macaulay omawiała z Albim ceny nieruchomości, a Helen zdołała nakierować rozmowę z Malise'em na Jake'a.

— Oczywiście jestem rozczarowana, że to nie Rupert zdobył medal, ale jeśli ktokolwiek na niego zasłużył, to na pewno Jake.

Malise pokiwał głową.

— Po tak ciężkim wypadku to naprawdę zakończenie jak z bajki.

— Lubisz go, prawda?

Malise uśmiechnął się niechętnie.

— Jest kapryśny, ale trudno nie podziwiać jego determinacji. Ma wielkie szczęście, że rodzina tak bardzo go wspiera.

— Czy Tory nie jest dość nudna?

— Ależ skąd — odparł ostro Malise. — To ona zapewnia mu spokój. Muszę przyznać, że nigdy nie spodziewałem się, że Jake zdobędzie srebro, oczekiwałem raczej, że się załamie.

— Ale się nie załamał. Udało mu się bez niej — upierała się Helen, w podnieceniu ugniatając kulki z chleba.

— Wspierała go przez ostatnie dziesięć lat — powiedział łagodnie Malise.

Po przeciwnej stronie stołu zapanowało poruszenie — przybyła Joan Collins, którą właśnie obejmował Rupert.

— Helen, kochana — Malise zniżył głos — znam cię na tyle długo, by dać ci dobrą radę. Nie igraj z ogniem, zwłaszcza olimpijskim. Przygaś go do końca igrzysk.

Helen oblała się gorącym rumieńcem.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Owszem, wiesz — odparł poważnie Malise. — Utrzymanie tej grupy w jako takiej jedności przyprawia mnie o ból głowy, nie dokładaj mi jeszcze, powodując dodatkowe problemy.

Joan Collins, niezwykle wiotka w czarnej koronkowej sukni, szła wzdłuż stołu.

— Dzień dobry, Jake. Nie znamy się, ale chcę ci pogratulować przejazdu. Pracowałam w studiu, ale na drugą połowę wstrzymaliśmy zdjęcia. Brytyjczycy oszaleli.

Zwróciła się do Helen.

— Kochana, co u ciebie? — jej oczy rozjaśniły się na widok złotej sukienki. — Co za zbieg okoliczności, też wpadła mi w oko. Widziałam ją wczoraj u Giorgia, ale potem zobaczyłam cenę. Masz szczęście, że twój bogaty mąż płaci za twoje wydatki. Daj mi znać, kiedy ci się znudzi.

Helen znieruchomiała.

— Chyba już się jej znudził — odezwał się Rupert i bębniąc palcami o blat, rzucił Helen spojrzenie przez stół. — Taka tam stara sukienka — dodał ciszej.

— Oj, daj spokój — powiedziała Fen. — Naprawdę jej pasuje.

Suzy, która otwarcie flirtowała z Jake’em, wstała, by pójść do toalety. Pani Macaulay natychmiast zajęła jej miejsce. Jake stwierdził, że spotyka go kara nieproporcjonalna do grzechów — jej wielka czerwona twarz wydawała się mieć dodatkową parę oczu na czole. Chyba faktycznie porządnie się upił. Pani Macaulay zaś po wypytaniu go o Tory, dzieci, dom i konie przekonała się, że chociaż Jake jest najwyraźniej pijany, gdyż wciąż nazywa ją panią Campbell-Black, jego małżeństwo jest znacznie szczęśliwsze od związku Helen z potworem, który wciąż opluwał Amerykę.

— Relacje telewizyjne są absolutnie jednostronne — mówił Rupert. — Widzowie amerykańscy w ogóle nie zdają sobie sprawy z obecności

zawodników innych państw.

Helen rozpaczliwie zwróciła się do Malise’a.

— Czyż Los Angeles nie jest fascynującym miastem? — zapytała. — Taka eklektyczna mieszanka praktyczności i dziwactwa.

— Opowiadasz pierdoły — warknął Rupert.

Malise zmarszczył brwi, pani Macaulay spurpurowiała.

— Przy damie nie używa się takiego języka.

— A skąd przypuszczenie, że ona jest damą? — zapytał przeciągle Rupert. — Chyba nie ze względu na pochodzenie?

Pani Macaulay wstała.

— Nie dam dalej się obrażać.

— No to sobie idź — poradził Rupert.

Jedynie elokwencja Malise’a, błagania Helen i przybycie *gâteau* Hardy — imponującego ciasta z lodami w kształcie siwego konia — skłoniły panią Macaulay do pozostania.

Rupert wrócił do znęcania się nad drużyną amerykańską.

— To same roboty. Mary-Jo jest robotem, Carol Kennedy to robot, Dino Ferranti...

— Nie jest! — krzyknęła Fen.

— Podoba ci się, co? Mojej drogiej żonie też. Faktycznie jest droga. Ty przynajmniej zarabiasz na siebie, a ona to pasożyt.

— Nie wiedziałem, że Helen ma pasożyty — powiedział zaskoczony Ivor.

Wybuchł śmiech, co na chwilę zmniejszyło napięcie.

— W Hollywood Bowl jest jutro świetny koncert — powiedziała Helen do Malise’a — poza tym grają *Hamleta* po rosyjsku. Chętnie bym to zobaczyła.

— Na mnie nie licz — oznajmił Rupert. — Czemu nie „Czarny królewicz” w urdu? Jedyny pożytek z tej muszli koncertowej to użyć jej jako muszli do puszczania pawia.

Fen opanowała chęć chichotu.

— W „Rialto” leci bardzo ostry film — powiedziała Suzy, poirytowana tym, że straciła miejsce obok Jake’a i zdecydowana wrócić do gry. — Może wszyscy się jutro tam wybierzemy?

— Mojej żony seks nie interesuje — powiedział bez ogródek Rupert.

Jake od jakiegoś czasu go obserwował, oczy miał zmrużone, prawą dłonią niedbale bawił się nożem.

— Nic dziwnego — odparł — skoro to ty jesteś jej mężem...

Rupert uniósł wzrok. zapadła krępująca cisza. Przerwała ją Fen.

— Jutro z Ivorem jedziemy zwiedzać domy gwiazd filmowych — powiedziała desperacko. — Zobaczymy grób Rudolfa Valentino i...

Rupert położył jej dłoń na ramieniu.

— Przestań, kochana — powiedział cicho. — Jake coś mówił.

— Może dasz jej chwilę spokoju? — powiedział Jake.

— Jaki spokój masz na myśli, spokój wieczny?

Zapadła kolejna niemiła chwila ciszy.

— Tylko dlatego, że pojechałeś dzisiaj jak pijany zając — powiedział Jake — i sam skopałeś możliwości najlepszego konia w tej klasie, nie musisz się wyżywać na niej. — drżał jak lampart gotowy do skoku.

— Ojej — odezwał się pogardliwie Rupert — ze srebrem nieco urośliśmy, co?

— Zamknij się! — wrzasnął Jake.

— Podali ci ludzki hormon wzrostu, co? — szydził Rupert. — Kurduplowi trafił się łut szczęścia i teraz robi z tego wielkie halo. Cygan,

też mi coś! Jesteś zwykłym palantem, którego matka puszczała się na prawo i lewo, więc nawet nie pamiętała, kto jest twoim ojcem.

Jake wziął nóż do ręki.

— Nie! — zagrzmiał Malise.

Nagle w restauracji zapadła cisza.

— Ty kurduplu — powiedział łagodnie Rupert — u mnie mógłbyś co najwyżej mocować siatkę do tenisa.

Helen skoczyła na równe nogi, przewracając kieliszek z winem.

— Przestań! — zawołała. — Jesteś o niego zazdrosny, więc musisz wszystko psuć!

— Ruszasz mu na ratunek? — zadrwił Rupert.

— Idę! — powiedziała Helen. — Malise, dziękuję, przepraszam was bardzo — dodała i wybiegła z restauracji, potrącając stoliki, oślepiona łzami.

— Pokroisz wreszcie to ciasto? — zapytała Griselda.

Rupert dogonił Helen przed restauracją. Stali obok siebie bez słowa, podczas gdy portier podprowadzał ich samochód. Helen ze zdziwieniem patrzyła, jak czarująco Rupert rozmawia z Michaelem Caine’em, który zatrzymał się przy nich i zaprosił na przyjęcie następnego wieczoru.

— Zamknij się — warknął w samochodzie, kiedy poprosiła go, żeby zwolnił. — Chcę się opanować, żeby dotrzeć do domu, a tam musimy szczerze porozmawiać.

W domu Eriksonów służba już poszła spać. Rupert, chociaż pijany, zdołał wyłączyć alarm, po czym udał się do salonu i nalał sobie whisky. Helen poszła w kierunku schodów.

— Dokąd idziesz?

— Spać. Mam cię dość jak na jeden dzień.

„Ostrożnie” — upomniała samą siebie. Ostrożnie. Jednak wszystko to, co mówili jej Malise i Fen o Tory i o tym, by nie wywoływać wstrząsów, jeszcze pogłębiło jej desperację.

— Chodź tutaj — rozkazał Rupert.

Nie mogła go nie posłuchać. Rupert znów przybrał dziwnie martwy wyraz twarzy, który zawsze zwiastował kłopoty.

Helen zdjęła złote szpilki, bo mogłyby przeszkadzać w szybkiej ucieczce, i opadła na białą, przytulną sofę Suzy, pokrytą sztucznym futrem.

— Powinieneś się wstydzić — powiedziała cicho. — Przecież kiedy wygrałeś brąz, pewnie też urządzili kolację na twoją cześć.

— Zaraz, minutę. Ostatnio bardzo bronisz Jake’a Lovella, prawda? Objęłaś go przy zjeździe z toru, dzisiaj się za nim ujęłaś. Co się dzieje?

Helen wzięła głęboki oddech, świadoma, że popycha wielki głaz na skraj przepaści, w każdej chwili głaz może się stoczyć i zmiażdżyć niewinnych ludzi, którzy staną mu na drodze.

— Co się dzieje? — powtórzył Rupert.

Jeden z grzebieni Helen wypadł z włosów, które rozsypały się wokół jej twarzy. Spoglądając na jej złocistą opaloną twarz, migoczące złote ciało i lśniące włosy, Rupert nagle pomyślał, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak ponętnie, niemal prowokująco, mimo widocznego przerażenia.

— Wyglądasz świetnie. Tak jak mówiłem wcześniej, zbyt dobrze. Nie mów mi, że wreszcie znalazłaś sobie mężczyznę?

— Owszem — odparła Helen z lekką satysfakcją.

— Kto to?

— Jake — wyszeptała. — Jake Lovell.

— Co ty powiedziałaś?

— Słyszałeś.

— Jake Lovell! — Rupert wybuchnął śmiechem całkowicie pozbawionym wesołości. — Chcesz mi wmówić, że prowadzasz się z tym żałosnym pokraką?

— Nie nazywaj go tak!

— Pokraka — przedrzeźniał Rupert — żałosna cygańska pokraka. Czyżbyś w ten sposób wspierała niepełnosprawnych? To ma sens, pewnie lepiej się z tym czujesz. W niedzielę funta na ofiarę, dzień w miesiącu na obiadek dobroczynny, raz w roku zbiórka na głównej ulicy na potrzebujących, a w końcu skok do łóżka z kaleką. Pani Campbell-Black naprawdę udziela się charytatywnie. Oj tak!

— Jesteś odrażający! — zawołała Helen. — Ściągasz wszystko do swojego beznadziejnego poziomu!

— Raczej ty tu chyba coś pociągnęłaś.

— Nawet w takiej chwili potrafisz tylko żartować!

— Och, kochana, uwierz mi, w ogóle mnie to nie bawi.

— Kocham go! — wyszlochała Helen, kryjąc twarz w dłoniach — a on kocha mnie.

Rupert dolał sobie whisky, po czym niemal spokojnym głosem, od którego po plecach Helen przebiegły ciarki, zapytał:

— Od jak dawna to trwa?

— Od lutego, kiedy Marcus był w szpitalu. Martwiłam się jak szalona. Jake przyjechał na kontrolę nogi. Troszczył się o mnie i bardzo mi pomógł, a ja potrzebowałam tego po wycieczce do Kenii. — Helen popatrzyła mu prosto w oczy.

Rupert wbił w nią spojrzenie, jakby rzucał wyzwanie, by kontynuowała temat. W końcu Helen pierwsza spuściła wzrok.

— To dlatego tak się ciągasz po konkursach jak suka w rui. Niewiarygodne. Czyli jednak się myliłem, przypuszczając, że Janey cię

podnieci. Nigdy nie sądziłem, że kręci cię kaleki karzeł.

— Jake nie jest karłem! — zawołała Helen. — Ma metr siedemdziesiąt!

— O, proszę, nawet go zmierzyłaś. Całego?

Przez kilka sekund Rupert przemierzał pokój, próbując opanować targającą nim wściekłość.

— I musiałaś akurat wybrać faceta, który zawsze się na mnie rzucał? Pamiętasz, jak próbował mnie zabić przed mistrzostwami świata? Jemu w ogóle na tobie nie zależy. On chce się tylko na mnie zemścić.

— Nieprawda. On chce się ze mną ożenić.

Głaz poleciał w dół, nabierając rozpędu.

— Ożenić? — powtórzył Rupert, szczerze zdziwiony. — Jak?

— Jak tylko się rozwiedzie.

— I zostawi tę tłustą bogatą krowę dla ciebie?

— Tak — wyszlochała Helen. Skoro Jake tak powiedział, to musi być prawdą.

— Pewnie tego wieczoru, kiedy wróciłem z Dinard, a on był w domu i pieprzył coś o wybaczeniu i solidarności drużynowej, przyjechał po to, żeby cię przelecieć, przepraszam, żeby się z tobą kochać?

Helen straciła cierpliwość.

— Tak, zgadza się. A co powiesz na temat Pulpeta, Dizzy, Marion, Samanthy Freebody i tej, która podarowała mi rzeżączkę, nie wspominając o całej reszcie? Nigdy nie byłeś mi wierny!

— Byłem — odparł Rupert — dopóki nie zapomniałaś o wszystkim z wyjątkiem tego zaślinionego smarkacza i przestałaś ze mną jeździć na zawody. On ma cię w nosie — mówił dalej. — Przecież w Disneylandzie o mało mnie nie zabił, kiedy wspomniałem o tuszy Tory. Po zdobyciu medalu od razu poleciał do niej dzwonić. Nie zniszczysz tego małżeństwa. A co jest takiego wyjątkowego w tym Lovellu?

— Lepiej jeździ! — wrzasnęła Helen, wstając — i jest znacznie lepszy w łóżku!

Rupert uderzył ją tak mocno, że przeleciała przez pokój, po czym podniósł i znów uderzył. Helen, szlochając, padła na szklany stół, rozlewając whisky Ruperta na białą sofę.

— I z czego będziecie żyli? On nie ma pieniędzy. Może ci tylko dać nazwisko, kochana.

— Ma sponsora! — wycharczała Helen.

— Miał — powiedział Rupert, zabierając kluczyki od samochodu. — Warunkiem było unikanie skandali. Teraz gość tkwi po szyję w bagnie.

— Dokąd jedziesz? — wyszeptała Helen wargami, które już zaczynały puchnąć.

— Znajdę twojego kochasia i tak mu złoję skórę, że zobaczy gwiaździsty sztandar. A potem powieszę go na literach Hollywood za ten jego drogocenny medal.

— Nie! — zawołała Helen. — Nie, proszę!

Jednak Rupert już wybiegł. Helen usłyszała tylko pisk opon i ryk silnika.

Drżąc jak w gorączce, pobiegła do telefonu i po kilku nieudanych próbach zdołała dodzwonić się do wioski olimpijskiej. Odebrał ochroniarz. Nie, nie może obudzić Jake’a w środku nocy. — usłyszała. — On poszedł już spać, dzieli pokój z dwoma ciężarowcami, którzy jutro mają zawody i potrzebują snu. Na drzwiach wywieszono kartkę „Nie przeszkadzać”.

— Proszę! — wyszlochała Helen. — Mówi jego żona. Muszę z nim rozmawiać, zdarzył się okropny wypadek.

Ochroniarz zastanawiał się przez chwilę.

— Dobrze, pójdę po niego — powiedział w końcu.

Helen wydawało się, że minęła cała wieczność, zanim Jake podniósł słuchawkę, a ona siedziała, wpatrując się w resztki whisky skapujące na

różowawy dywan.

— Tory, kochanie, co się stało? Wszystko dobrze? Czy coś stało się z dziećmi?

Helen usłyszała w jego głosie ogromny niepokój. Rozpłakała się jeszcze mocniej.

— To nie Tory, to ja, Helen. Tylko w ten sposób mogłam się z tobą skontaktować. Była w takiej histerii, że Jake dopiero po minucie domyślił się, co do niego mówi.

— Spokojnie, kochanie. Powiedz mi, co się dzieje.

— Rupert wie o wszystkim. Od dawna nas podejrzewał. — to nie była prawda, ale jakoś bardzo poprawiało opowieść. — Przy kolacji się zdradziliśmy. Jedzie do wioski.

— Skrzywdził cię?

— Nie. Tak. Trochę. Nic mi nie jest, ale on chce cię zabić.

Jak we śnie Jake przyglądał się grupie angielskich kolarzy, pijanych i nagich, bardzo delikatnie i uprzejmie prowadzonych przez ochroniarzy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie poprosić ich o pomoc. Nawet w środku nocy było tu wystarczająco dużo strażników, żeby obronić go przed pułkiem Rupertów. Wtedy jednak Rupert zapewne wróciłby do Arcadii i zabił Helen.

— Przepraszam! — wyszlochała. — Nie chciałam nas zdradzić. Tak się boję!

— Skarbie, musisz się uspokoić. — Jake czuł się tak, jakby mówił do dziecka, a samego siebie oglądał w czarno-białym filmie, ogłuszony alkoholem, ale dziwnie trzeźwy. Miał wrażenie, że to się przydarzyło komuś innemu.

— Wciąż masz na sobie tę złotą sukienkę? Dobrze. Zdejmij ją i przebierz się w jakiś strój codzienny. Spakuj walizkę, weź rzeczy na kilka dni,

paszport, kartę płatniczą i kredytową, ciemne okulary i jak najwięcej gotówki, tyle, ile zdołasz. Przyjadę po ciebie.

— Jake, przepraszam.

— W porządku, ale pospiesz się.

Dwadzieścia minut później Rupert wpadł do wioski olimpijskiej, kolejne dziesięć minut zajęła mu przepychanka z ochroniarzami, którzy nie chcieli go przepuścić nie tyle ze względu na alkohol, ile na widoczne wzburzenie — był zdolny do wszystkiego. W końcu jednak wpuścili go do środka, a wtedy Rupert zaczął pukać do wszystkich pokoi na trzecim piętrze, aż dotarł do pokoju Jake’a. Ciężarowcy, którzy od dawna już spali, nie ucieszyli się, kiedy ich zbudził, miotając się po pokoju, zaglądając pod łóżka, pod prysznic, a nawet do lodówki.

W końcu zajrzał do szafki Jake’a. Paszport i kosmetyki zniknęły, tak jak wszystkie ubrania, oprócz czerwonej marynarki, bryczesów, białej koszuli, krawatów i butów, wciąż wiszących w szafie. Na komodzie stały zdjęcia Tory i dzieci. Jake chyba zostawił za sobą wszystko, co do tej pory było w jego życiu najważniejsze.

60

RUPERT WRÓCIŁ DO DOMU ERIKSONÓW — zastał w nim wszystkie światła zapalone i kręcących się policjantów. Suzy i Albie, którzy wrócili podpici, na widok otwartych drzwi, przewróconych krzeseł, rozlanej whisky, bałaganu w pokoju Helen i wyłączonego alarmu od razu uznali, że ktoś się do nich włamał. Rupert pobiegł do góry, jednym spojrzeniem obrzucił rozrzucone ubrania i papiery. Cała gotówka zniknęła. Wrócił do salonu.

— Ukradziono tylko jedno. Jake Lovell uciekł z moją żoną.

— Naprawdę? — zapytała zdziwiona Suzy. — W ogóle nie wydawał się nią zainteresowany.

— Jest lepszym aktorem niż ona — odparł Rupert. — To trwa od lutego. Właśnie urządziliśmy sobie chwilę szczerości. — spojrzał na dywan i kanapę. — Przepraszam za tę whisky.

Był bardzo blady, co przy opaleniźnie nadawało jego twarzy zielonkawy odcień, ale wydawał się całkowicie nad sobą panować.

— Annunciata też chyba sobie poszła — dodał Albie, wchodząc do salonu i zdejmując krawat.

— O nie! — Suzy zmartwiła się tym znacznie bardziej niż odejściem Helen. — Jutro zaprosiłam na lunch czternaście osób!

— Bez Helen już tylko trzynaście — powiedział ponuro Rupert.

Po odjeździe policji opowiedział, co się wydarzyło. W jakiś sposób swobodne, niedbałe podejście gospodarzy do całej sprawy pomogło mu odzyskać trzeźwość umysłu.

— Muszę przyznać, że od czasu przyjazdu Jake’a Helen wyglądała olśniewająco — powiedziała Suzy. — A kiedy tylko z nim rozmawiałam, ona wpadała we wściekłość. Przykro mi, Rupercie. Nawet jeśli żona cię znudziła, to niekoniecznie ma się ochotę, by ktoś inny ją sprzątnął sprzed nosa, zwłaszcza jeśli jest to największy wróg.

Spokój Ruperta dziwił ją i przyprawiał o dreszcz niepokoju. Może to wciąż skutek szoku.

— Mogę zadzwonić od was do paru osób? — zapytał Rupert. — W Anglii jest teraz wtorek przed południem.

— Oczywiście — odparła Suzy. — Idź do gabinetu. — nie mogła się doczekać, aż będzie mogła omówić całą sprawę z Albim.

Dyszący żądzą zemsty Rupert był zdecydowany pozbawić Helen wszystkiego. Zadzwonił do Amandy Hamilton do Szkocji. Być może szczęśliwym zbiegiem okoliczności odebrał Rollo. wyjaśnił mu, co się stało. Rollo okazał współczucie i zgodził się z Rupertem, że Jake i Helen mogą próbować zabrać dzieci. Bez problemu zgodził się, by Charlene, Marcus i Tab przylecieli do Szkocji i zaczekali tam, aż Rupert wróci z Los Angeles.

— Bardzo mi przykro — zakończył Rollo. — Porozmawiaj jeszcze z Amandą.

Amanda wydawała się szczerze wstrząśnięta.

— Kochanie, tak mi przykro. Jak się czujesz?

— W porządku — odparł Rupert — ale mogli sobie wybrać lepszą porę, bo w niedzielę jest konkurs drużynowy. Prasa będzie miała używanie. Dlatego właśnie chcę oszczędzić tego Tab — przerwał na chwilę — i oczywiście Marcusowi.

— Wczoraj już o tym wiedziałeś? To dlatego Rocky tak kiepsko pojechał?

— Nie — wpadł jej w słowo Rupert — to była moja wina.

Następnie zadzwonił do swojej sekretarki, panny Hawkins, i polecił jej zablokować wszystkie karty płatnicze, kredytowe, zakazać bankom uznawania czeków oraz zamknąć konta Helen u Petera Jonesa, w Harrodsie, Hatchard i Cavendish House w Cheltenham. Ostrzegł też, że jeśli ktokolwiek z domowników, zwłaszcza Charlene lub pani Bodkin czy stajenne albo ogrodnicy, przekażą cokolwiek prasie, zostaną zwolnieni.

Wrócił do salonu z ponurym uśmiechem na twarzy.

— Podetnę im skrzydełka.

— Będę musiała zaczekać do rana i spróbować namierzyć Annunciatę — powiedziała Suzy z obrażoną miną. — Pewnie przeniosła się do tego swojego okropnego chłopaka.

W rzeczywistości Annunciata miała dość pracy dla Suzy, braku wolnego, bałaganu (Suzy nie sprzątała ubrań, po prostu zostawiała je na podłodze) oraz posiłków, których wymagano o wszelkich porach dnia i nocy. Nigdy też nie wiedziała, dla ilu osób ma gotować.

Zresztą było to tylko zajęcie na lato, dziewczyna nie miała czasu obejrzeć żadnych zawodów, nawet przejazdu pana Lovella, który zdobył srebro. Obudzona głośną kłótnią Campbellów-Blacków Annunciata podkradła się na górę i podsłuchała wszystko. słyszała, jak Rupert uderzył Helen i wyjechał w noc, a rozhisteryzowana Helen dzwoniła do Jake’a Lovella. Wtedy weszła do pokoju i zapytała ją, czy pomóc jej w pakowaniu.

— Pytała nawet, czy mamy papier toaletowy — opowiadała później przez telefon swojemu przysadzistemu amerykańskiemu chłopakowi. — Taka przerażona, ale pamiętała o wałkach i suszarce do włosów.

Amerykański chłopak Annunciaty wydedukował, że Rupert wróci do domu, kipiąc wściekłością i poradził jej, żeby jak najszybciej się wyniosła. W końcu to tylko praca na lato, a wystarczyło mu bystrości, by się

domyślić, że Annunciata może sprzedać tę historię na tyle dobrze, by nie musiała pracować przez kilka kolejnych lat.

Po uczcie na cześć zwycięzcy Tory padła do łóżka o piątej nad ranem, ale ze szczęścia nie mogła zasnąć. Jake zdobył srebro. Nigdy nie widziała go tak promiennego, jak na konferencji prasowej. Teraz, dzięki Boysonowi, będzie mógł pozwolić sobie na konie, o których marzył, i on, i Fen nie będą musieli tak ciężko pracować, Jake znajdzie więcej czasu dla dzieci, o czym tak marzył, nie będą też martwić się o finanse. Nie czuła zmęczenia, kiedy o siódmej wstała i musiała zawieźć do szkoły zaspane, kapryszące dzieci. Cały dzień odbierała telefony z gratulacjami dla niej i dla Jake'a. Napływały kwiaty i telegramy. Wieś wpadła w eufori; już planowano uroczyste powitanie bohatera.

Tory cztery razy oglądała przejazd Jake'a w telewizji śniadaniowej, w podsumowaniu wydarzeń olimpijskich, potem puściła go sobie na wideo, kiedy zmywała kieliszki i szklanki z poprzedniego wieczoru. Nie chciało się jej gotować obiadu. Od wyjazdu Jake'a była na diecie i straciła pięć kilogramów.

Ze śpiewem na ustach pojechała po dzieci. „Jake niedługo wstanie" — pomyślała.

W końcu uznała, że nie pojedzie do Los Angeles. Zanim zdoła sobie wszystko zorganizować, będzie już piątek. Po całonocnym locie zostanie jej tylko pół dnia do konkursu, a potem już trzeba wracać. Znajdą się inne okazje.

Zadzwoniła do niej matka. Tory ze szczęścia zapomniała chłodno ją potraktować. W końcu minęło dużo czasu, odkąd pułkownik Carter odebrał im Zemstę. Wczorajszy medal chyba mu udowodnił, że Jake jeździ lepiej od Ruperta.

Znalazła nawet chwilę, by podejść do Macaulaya, dać mu dwa jabłka i opowiedzieć o triumfie jego pana. Prace domowe mogły wyjątkowo poczekać. Był piękny wrześniowy dzień, sadzawkę przy młynie ledwie marszczył delikatny wiatr, zwisające nad nią zielone kurtyny wierzby lekko się kołysały.

Dzieci były wyjątkowo marudne, kiedy przyjechała je odebrać. Darklis zgubiła but, ale jak stwierdziła, tylko jeden, to lepsze niż zgubić dwa. Isa został pobity na placu zabaw za przechwalanie się ojcem. Tory posadziła je przed telewizorem. Nagle, kiedy odcinała tłuszcz z kotletów cielęcych na kolację, dopadło ją wielkie zmęczenie. Położy dzieci do łóżek i naleje sobie wódki z tonikiem. A potem może Jake zadzwoni. Poczuła kolejną falę szczęścia.

Nagle dobiegły ją odgłosy kłótni z salonu. Ku wściekłości Darklis Isa przełączył jej film *The Sullivans* na telegazetę, gdyż chciał przeczytać wyniki zawodów na igrzyskach.

— Mamo! — zawołała Darklis — Isa mnie bije!

— Przestań, Isa! — nakazała Tory.

— Zawsze na mnie! — odkrzyknął Isa. — Mamo, mamo, chodź szybko, piszą coś o tacie!

Tory wsunęła kotlety pod grill i pobiegła do salonu.

— Srebrny medalista Jake Lovell — przeczytała poprzez uspokajający dźwięk filmu — zniknął z wioski olimpijskiej. Nie widziano go od wczorajszej nocy. Według „Los Angeles Times” wyjechał z Helen Campbell-Black, żoną Ruperta Campbella-Blacka, również członka reprezentacji oraz brązowego i srebrnego medalisty z roku 1976.

Miała wrażenie, że śni. To niemożliwe. Ktoś coś pomylił. Przecież jeszcze wczoraj Jake powiedział przez telefon, że ją kocha. O ekran telewizora obijała się ćma.

— Co to znaczy, mamusiu? — zapytał Isa. — Dokąd tatuś pojechał?

— Nigdzie, kochanie — odparła Tory nieswoim głosem. — To jakaś pomyłka. Tatuś by tego nie zrobił.

Nacisnęła przycisk kasujący telegazetę, ale po kilku sekundach znów włączyła wiadomości olimpijskie.

— Mamo! — zaprotestowała Darklis — ja chcę oglądać film!

— Srebrny medalista Jake Lovell — przeczytała znów Tory — zniknął z wioski olimpijskiej.

Dopiero po kilku sekundach dotarł do niej dzwonek telefonu. Pobiegła odebrać. To na pewno Jake, zaraz jej powie, że to jakaś okropna pomyłka.

— Czy pani Lovell?

— Tak.

— Dzwonię z „The Sun” — zabrzmiał ten niski głos, który zwykle obwieszczał kłopoty lub zadawał trudne pytania. — Chcę tylko zapytać, czy może pani skomentować ucieczkę pani męża z Helen Campbell-Black.

— Nie wiem, o czym pan mówi — odparła Tory i rzuciła słuchawką.

Telefon znów zadzwonił. Tym razem był to dziennikarz z „The Mirror” z tym samym pytaniem. Potem znów zadzwonił ktoś z „The Sun”. Tory zdjęła słuchawkę z widełek i zaczęła się trząść.

— Mamo, mamo, w piecyku się pali! — Darklis, która poszła do kuchni w poszukiwaniu ciastek, zastała płonące kotlety, a mrożony groszek zamienił się w zieloną maź.

— Mamusiu, mamusiu! — zawołał Isa, wybuchając płaczem — mówią o tatusiu!

Z ekranu spoglądał na nich surowo Martin Bell, z jasnymi włosami rozwianymi przez wiatr w Los Angeles. Potwierdzał właśnie, że Jake faktycznie zniknął z wioski olimpijskiej, a Helen z domu w Arcadii, gdzie przebywała z mężem. Według reportera „Los Angeles Times”, który

rozmawiał z pokojówką, Helen uciekła po kłótni z Rupertem, bezpośrednio po kolacji w restauracji Ma Maison dla uczczenia srebrnego medalu Jake’a. Malise Gordon, szef ekipy brytyjskiej, zaapelował do Jake’a o powrót na konkurs drużynowy.

Tory wróciła do rzeczywistości, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Była to sąsiadka, pani Irvine.

— Słyszałam w radiu — powiedziała. — Tak mi przykro. Zrobię dzieciom kolację i zajmę się telefonami, żebyś miała trochę spokoju.

— To na pewno jakaś pomyłka — odparła Tory.

„Biedaczka. Chyba nie mogła w to uwierzyć, więc wezwałam lekarza” — mówiła później mężowi pani Irvine.

W tej chwili zadzwonił dzwonek do drzwi — był to lokalny przedstawiciel „Daily Mail”. Potem zaczęli się zjeżdżać inni jak szarańcza z teleobiektywami na kamerach, próbując wejść przez drzwi frontowe, drzwi tylne, nawet okna, kręcili się po wsi, chcieli przekupić stajennych, sąsiadów, handlarzy, za wszelką cenę próbując zdobyć informacje.

Tory usiłowała dodzwonić się do Los Angeles, ale wszystkie linie były zajęte.

„To jakiś koszmar” — mówiła do siebie. Jake nie rzuciłby jej ot tak, przecież prosił, żeby przyleciała do Stanów, w niedzielę, na konkurs drużynowy, dla niego niemal ważniejszy niż indywidualny, a już na pewno ważniejszy dla Malise’a.

Zaniepokojony jej spokojem i brakiem akceptacji dla faktów lekarz dał jej środek uspokajający. Tory wciąż powtarzała, że nawet gdyby Jake miałby ją rzucić, to na pewno nie zostawi koni i dzieci, zwłaszcza w środku olimpiady. Musiała się trzymać tej nadziei.

Jednak o dziesiątej zadzwonił Malise.

— Niestety, w tej chwili nic więcej nie wiem. Jak mi się wydaje, Jake i Helen wyjechali razem, przynajmniej tak powiedziała Rupertowi. Krew zawrzała. Rupert był wściekły po tym, jak złoto przeszło mu koło nosa. Przez cały wieczór zatruwał życie wszystkim wokół, groził, że pobije Helen, dlatego ona poprosiła o pomoc Jake'a. Pewnie uznał, że powinien ukryć ją w bezpiecznym miejscu, dopóki Rupert się nie uspokoi.

Kiedy Tory zaczęła dostrzegać prawdę, dotarło do niej, że Malise mówi jak ginekolog, który oznajmia jej, że urodziła martwe dziecko.

— Nie ma się czym martwić — mówił dalej. — Wróci na konkurs drużynowy.

Jake jednak nie wrócił. Trwał drugi tydzień igrzysk. Widzowie byli już nieco znudzeni opowieściami o bohaterskich wyczynach i sukcesach, chcieli porządnego skandalu. Rupert, jego piękna amerykańska żona oraz jej romantyczny cygański kochanek byli doskonałym przerywnikiem.

„Rzuciła go dla garści srebra" — oburzał się „New York Times".

Wszyscy znajomi Jake'a i Ruperta odnowili stare konflikty. Jake był prześladowany przez Ruperta, dwadzieścia dwa lata później zemścił się, pokonując Ruperta na igrzyskach, a potem uciekając z jego żoną.

W Los Angeles nie było lepiej niż w Mill House. Po artykule w „Los Angeles Times" opisującym kłótnię Helen z Rupertem i jej ucieczkę wokół zaroiło się od dziennikarzy. Jak armia zabójczych mrówek w horrorach przenikali przez, wydawałoby się, zamknięte na klucz drzwi, okna, nawiedzali wioskę olimpijską, dom Eriksonów, stajnie i tory do treningów.

Ich główny cel, Fen, była całkowicie zdruzgotana.

— Muszę jechać do Tory — błagała Malise'a w środę rano. — Teraz, kiedy naprawdę to do niej dotarło, jest w strasznym stanie. Angielska prasa nie zostawiła na Jake'u suchej nitki, muszę pomóc Tory. Puść mnie do domu.

— Nie możesz — powiedział jej Malise, który właśnie był świadkiem rozpadu swojej drużyny. — Jeśli Jake nie wróci, będziesz musiała pojechać na Hardym.

Gdziekolwiek poszła, Fen musiała wysłuchiwać miażdżących dla Jake'a komentarzy. Gonili ją dziennikarze. Przy każdym jej treningu na Hardym tor oblegali fotoreporterzy i ciekawscy gapie.

Rupert cierpiał znacznie mniej. Po pierwsze, mógł się skryć w domu Suzy, otoczonym siatką pod napięciem i uzbrojonym w alarmy. Po drugie, trudno zagadywać tygrysa ludojada. Rupert był w wybuchowym nastroju i nawet dziennikarze trzymali się od niego z daleka.

— Jake zrobił swoje dla kraju — powiedział Billy'emu przez telefon — niestety, w tym wypadku okazało się, że to Helen. Nadzwyczajne. Przez siedem lat nawet nie spojrzała na innego mężczyznę, ale od pięciu miesięcy według Dizzy zupełnie zmieniła styl.

— Chyba kiepsko z nim — powiedział Billy do Janey, kiedy odłożył słuchawkę. — Jak myślisz, może powinienem tam polecieć? BBC zaoferowało mi opłacenie biletu i porządne wynagrodzenie, jeśli pomogę Dudleyowi komentować konkurs drużynowy.

— Nie, nie powinieneś — warknęła Janey. — Rupertowi zbierało się od lat. Nie zostanę sama z Christym, jest jeszcze taki mały... „Ani nie puszczę cię do Los Angeles do Fenelli Maxwell" — dodała w duchu.

Minęła doba, a Jake nie dał znaku życia. We wtorek rano Fen trenowała na Hardym na jednym z dużych padoków. zwykle o tej porze przypadał on drużynie niemieckiej, ale ci chętnie wymienili się z Brytyjczykami, żeby przechytrzyć prasę i dać Fen odrobinę prywatności. Dochodziła dziesiąta, słońce już paliło. Hardy, który tęsknił za Jakie'em, był podenerwowany. W poniedziałek i wtorek zasypano go pochwałami, a teraz nagle nikt nie chciał podziwiać konia, którego pan naraził cały naród na hańbę.

Kłusując powoli i trzymając wodze lewą ręką, Fen przypominała sobie przerażające przeżycia ostatnich dwóch dni. Co chwilę pojawiały się nowe plotki. Jake’a i Helen widziano w Anglii, we wszystkich możliwych częściach Ameryki, w samolocie na Bermudy. Jake zapuścił wąsy, założył sztuczną brodę. Helen przefarbowała się na blond, na czarno, w ogóle ścięła włosy. Poprzedniego wieczoru Malise z niewzruszoną miną znów zaapelował w telewizji do Jake’a o powrót.

— Będziemy skakać jako drużyna i zachowywać się jak dżentelmeni.

— Ma na myśli Griseldę? — zapytał Rupert.

„Rupert chroni się za swoimi sarkastycznymi uwagami, żeby nikt nie widział jego rozpaczy i upokorzenia” — pomyślała Fen. Malise też wydawał się całkowicie wytrącony z równowagi. Fen przepłakała całą noc. Chciałaby pomóc Tory. „Cholerna Helen Campbell-Black, mogła poczekać chociaż do końca igrzysk” — pomyślała.

Włosy Fen były zupełnie mokre pod czapką, podobnie jak T-shirt. Wodze wyślizgiwały się jej ze spoconych rąk. Nagle rozpaczliwie zatęskniła za Dinem. Nigdy jeszcze nie potrzebowała go tak bardzo. Mogłaby wtulić się w jego ramiona i przespać cały rok. Jednak nie wolno jej myśleć o nim ani o Helen, bo poczuje się jeszcze gorzej. Musi zachować spokój i przygotować się psychicznie na niedzielę. Może Jake jakimś cudem wróci.

— Och, Hardy, gdzie twój pan? — westchnęła.

Z daleka widziała zawodników niemieckich, którzy w chmurze kurzu wyjeżdżali ze stajni, żeby za chwilę przejąć od niej padok. Musi stamtąd zniknąć, zanim pojawią się dziennikarze. „A po południu, zabiorę Ivora do Disneylandu” pomyślała ze znużeniem.

Hardy wyczuł jej rozproszenie, zarżał radośnie i poniósł ją na przełaj przez padok.

— Na miłość boską, ty cholerny uparciuchu! — zawołała Fen, bezskutecznie szarpiąc za wodze — dokąd ty się wybierasz, do jasnej?

Hardy przystanął. Fen uniosła wzrok i zachłysnęła się, gdyż przed nią, z letnią derką Hardy’ego w rękach, wysoki i złocisty jak jesienna topola, stał Dino Ferranti.

— Cześć, Hardy, kochany — powiedział przeciągle, niezbyt pewną dłonią gładząc cętkowany pysk konia. — Tak się cieszę, że mnie nie zapomniałeś i cieszę się, że twoja pani cały czas używa języka budowlańców.

Dino miał za sobą długie, bardzo ciężkie dziewięć miesięcy, ale wszystko to poszło w niepamięć, kiedy uniósłszy wzrok, zobaczył niedowierzanie, zachwyt i radość na twarzy Fen, które nie zostawiły mu żadnych wątpliwości co do jej uczuć.

— Znów jesteś blondynem — wymamrotała Fen.

— Tak. Siwe włosy jakoś mi nie pomogły.

— Och, Dino! — zawołała Fen i zeskoczyła z siodła prosto w jego ramiona.

Dino pocałował ją tak gwałtownie, że ona również nie miała wątpliwości co do jego uczuć.

— Kocham cię — bełkotała bezładnie. — Tęskniłam za tobą. Byłam taka nieszczęśliwa!

— Ja też — jęknął Dino. — Boże, kochanie, byłem taki głupi.

Kiedy Dino przycisnął ją do siebie, Fen poczuła jego drżenie i wystające żebra pod niebieską jeansową koszulą.

— Strasznie schudłeś. Strasznie schudłaś — powiedzieli jednocześnie i wybuchnęli śmiechem, ale po chwili śmiech Fen przeszedł w płacz.

— To okropne.

— Wiem, tak bardzo mi przykro, kochanie. — Dino ujął jej twarz w dłonie, pocałował w czoło i nos, potem w policzki mokre od łez, po czym znów odnalazł jej usta.

— Nie, nie — zaprotestowała Fen, kiedy Dino ją w końcu uwolnił. — Okropne było to, co się stało z Mannym. Dostałeś mój list?

— Dostałem tyle listów, ale tak się odseparowałem od świata, że dopiero wczoraj go przeczytałem. Tak bardzo cię potrzebowałem. Chyba jednak bałem się naszego spotkania, bałem się, że jesteś na mnie zła albo nie czujesz tego samego. Stchórzyłem więc i uciekłem do domu lizać rany. Potem dowiedziałem się o ucieczce Jake'a z Helen. Pomyślałem, że możesz mnie potrzebować tak samo jak ja ciebie. Prawda? No to przyjechałem.

— Tak się cieszę — powiedziała Fen, przytulając twarz do jego piersi. — Marzyłam, żeby się z tobą zobaczyć, tylko to mnie napędzało do startów, chciałam się dostać do reprezentacji. Kiedy Mary-Jo powiedziała, że nie przyjedziesz, miałam ochotę umrzeć. Nie znikniesz znów, prawda? Życie bez ciebie jest nie do zniesienia.

— Nie dasz rady się mnie pozbyć. — Dino znów miał ją pocałować, ale zamiast tego zawołał: — auć!

Hardy, który chciał im przypomnieć, że zaniedbują srebrnego medalistę, ugryzł Dina w ramię.

Po czym cała trójka podskoczyła gwałtownie, kiedy rozległ się za nimi chóralny śpiew:

— *Dlaczego urodżył szę taki przystojny, dlaczego w ogóle szę urodżył*[1].

Obrócili się gwałtownie — za ich plecami przystanęła cała drużyna niemiecka i zaśmiewała się do łez.

— Najwyszszy czasz, pszyjaczele — powiedział Ludwig.

Przy wejściu do stajni natknęli się na grupę dziennikarzy.

— Jakieś wiadomości od Jake'a?

— Nie — warknęła Fen.

— Jak Tory to znosi?

— Dzisiaj z nią nie rozmawiałam.

— Dokąd wyjechał?

— Nie wiem.

Och, jak dobrze było mieć znów przy sobie Dina, który potrafił się ich pozbyć.

— Spadać! Do widzenia. Spieprzajcie, no już! — powiedział ostro, popychając przed sobą Fen i Hardy’ego do wewnątrz.

— Dino, Dino Ferranti — zareagował szybko jeden z reporterów. — W zeszłym roku mieszkałeś u Jake’a, prawda? Jaki on jest?

— Najlepszy — warknął Dino. — Nie tylko jako zawodnik, ale i człowiek. Skoro zrezygnował z konkursu, musiał mieć ważny powód, rozumiecie? Pewnie chciał ochronić Helen przed tym draniem, jej mężem.

W drodze do boksu Hardy’ego Dino znów zaczął całować Fen.

— Daj mi go — powiedziała Sarah, przejmując konia. — Teraz nie jesteś w stanie się nim zająć. Dino, zabierz ją stąd, zasłużyła na wolne popołudnie. Zawsze to jakaś odmiana po wycieczkach do Disneylandu z Ivorem.

Dino wziął Fen pod ramię.

— Mieszkam u Carola Kennedy’ego, parę kroków stąd. Chodźmy tam, przynajmniej będziemy mieli trochę spokoju.

— Powinnam się wykąpać — sprzeciwiła się Fen, która nagle uświadomiła sobie, jak jest spocona.

— Ja cię wykąpię — obiecał Dino. — To będzie bardzo długa kąpiel.

Fen się zaczerwieniła.

— Dino! — zawołał ktoś.

Była to kobieta w średnim wieku, żylasta i umięśniona, z tych lepiej wyglądających w bryczesach niż w letniej sukience, którą miała na sobie.

— Myśleliśmy, że nie przyjedziesz — powiedział jej mąż.

— Zmieniłem zdanie.

— Naprawdę przykro nam z powodu Manny’ego.

— Tak, to było trudne.

Zapadła cisza. Para z ciekawością spojrzała na Fen, którą Dino wciąż trzymał mocno za rękę. Zdając sobie sprawę, że jest pewnie spocona i zaczerwieniona po pocałunkach, Fen zwiesiła głowę. Dino puścił ją, złapał za włosy na karku i bardzo delikatnie uniósł jej głowę.

— Nie poznaliście Fenelli Maxwell — powiedział swoim najbardziej przeciągłym głosem — mojej przyszłej żony.

Fen o mało nie upadła, po czym spojrzała na niego tak zaskoczonym i niespokojnym spojrzeniem, że Dino puścił jej włosy i pocieszająco otoczył ramieniem.

— Naprawdę? — zapytała z trudem.

— Naprawdę — odparł ze śmiechem Dino.

— Twoja przyszła żona — powiedziała kobieta zaskoczona, ale i zachwycona. — Czy to prawda, Fenello... eee... Maxwell?

— Szwagierka Jake’a Lovella, chociaż z uprzejmości tego nie powiedzieliście — dodał Dino. — Jest w reprezentacji brytyjskiej.

— Gratulacje — powiedział mąż, ściskając dłoń Fen. — Kiedy się zaręczyliście?

Dino zerknął na zegarek i znów się zaśmiał.

— Jakieś piętnaście sekund temu — odparł. — Teraz już może szesnaście.

— O rany! To może nie najlepszy sposób na odprężenie przed superważnymi zawodami — powiedział Dino — ale z pewnością

najprzyjemniejszy.

Wysunął się z Fen i opadł na kwiecistą pościel. Dom Carola Kennedy’ego stał niedaleko domu Suzy Erikson. przed okno widzieli góry.

— Tak się zrelaksowałam, że już chyba nigdy nie wstanę — powiedziała Fen.

— Przy tym trzęsieniu ziemi na pewno skala Richtera się skończyła — odparł Dino. — Bałaś się?

— Nie tak bardzo, jak przypuszczałam.

— Ja też nie. Nawet gdyby nam nie wyszło, to nieważne, mamy całe życie, żeby to wyprostować. Będziemy mieli dużo dzieci? Mój tata marzy o wnukach.

Fen przewróciła się na brzuch.

— Na pewno chcesz się żenić?

— A ty nie? — przestraszył się Dino.

— Najbardziej na świecie. Ale nie chcę, żebyś czuł się złapany w potrzask.

— Chcę wpaść w potrzask. Zrobisz ze mnie uczciwego człowieka.

Dino oparł się na łokciu i przesunął dłonią po jej ciele, gładząc płaski brzuch.

— Muszę cię podkarmić.

— Przepraszam, że tak podle zachowałam się w Anglii.

— Ja też traktowałem cię wrogo. Ty byłaś poobijana i nieswoja po Billym, a ja zareagowałem zbyt nerwowo i odsunąłem się daleko, żeby cię nie przytłoczyć.

— Ale ta cała kretyńska sprawa z Enrikiem — zaprotestowała Fen. — Auć! Wbijasz paznokcie w moje cycki!

— Gdyby to był ktokolwiek inny, to by mnie nie obeszło, ale to prawdziwy drań. Nie, nieprawda. Gdyby to było ktoś inny, to bym go zabił

z zazdrości.

— Od twojego wyjazdu w ogóle nie umówiłam się z żadnym facetem.

— Nawet żonatym? — zapytał Dino.

Fen zachichotała.

— Też nie. A ty?

— Hm... no cóż, próbowałem seksu, żeby zapomnieć o tobie, ale to nie pomagało. Wiedziałem, że nie pokocham żadnej innej, więc rzuciłem się w pracę. Snułem fantazje o tym, że zdobędę złoto i wtedy cię uwiodę, żebyś znów mnie pokochała.

Fen wtuliła się w niego.

— Nie potrzebowałeś do tego złota. Boże, czuję się winna, że jestem tak szczęśliwa, chociaż wokół wszystko się wali.

Wiedziała, że powinna zadzwonić do Tory, ale nie mogła się zdobyć na to, by stawić czoło światu zewnętrznemu. Spojrzała na długie, szczupłe, oliwkowe ciało Dina, napawając się znów widokiem jego gęstych blond włosów, oczu jak u syjamskiego kota i szerokich, uśmiechniętych ust.

— Nigdy nawet nie marzyłam, że trafi mi się taki przystojniak — powiedziała pokornie. — W dodatku ty z wiekiem przystojniejesz. Jak myślisz, powinnam zadzwonić do Malise’a? Może już się boi, że za chwilę zniknie mu cała drużyna?

— On wie. — Dino bardzo delikatnie zaczął gładzić wewnętrzną stronę jej uda. — Chciałem najpierw wyczuć grunt, więc od razu pobiegłem do niego. To on mi powiedział, gdzie jesteś. Przypuszczał też — uśmiechnął się krzywo — że poszłaś się upić.

— Nieprawda! — oburzyła się Fen, ale kiedy Dino przesunął dłoń w órę i zaczął wsuwać w nią dwa palce, jęknęła i dodała: — No, może trochę.

— Chodź tutaj — powiedział Dino, pochylając się i całując ją. — Potrzebuję kolejnej dawki.

W końcu to on przypomniał jej o telefonie do Tory. Fen słyszała telefonistkę zapowiadającą rozmowę z Los Angeles.

— Jake, czy to ty? — głos Tory drżał nadzieją.

— Niestety, to tylko ja, Fen. Wszystko dobrze? Nie, strasznie mi przykro, nic o nim nie wiadomo. Jak znoszą to dzieci?

— Radzimy sobie bardzo dobrze — odparła Tory nienaturalnie rzeźkim głosem. — Mam tylko nadzieję, że Jake nie załamie się pod naciskiem prasy i jednak wyjdzie z ukrycia. — rozpłakała się.

— Proszę, nie płacz — błagała Fen, czując łzy pod powiekami. — Pamiętasz Dina? Dina Ferrantiego? Dzisiaj przyjechał. Porozmawiaj z nim. — podała mu słuchawkę.

Dino był bardzo życzliwy, ale też praktyczny. Czy w domu jest co jeść? Czy ktoś pomaga jej przy dzieciach i koniach? Kto rozmawia z dziennikarzami?

— Wszyscy są cudowni — powiedziała Tory — ale i bardzo zakłopotani. Tak się szczycili tym srebrnym medalem, planowali wielką imprezę powitalną, a teraz nie wiedzą, co robić.

— Powiedz im, żeby zrobili powitanie na cześć Fen. Aniołku, proszę, nie płacz. — uniósł dłoń typowo włoskim gestem rozpaczy. Po czym powiedział: — Słuchaj, wieczorem wsiadam w samolot, dobrze?

— Och nie — wyszeptała zdruzgotana Fen. — Nie możesz! Potrzebuję cię.

— Jutro będę u ciebie — ciągnął Dino. — Nie wyjeżdżaj po mnie, zadzwonię z Heathrow. Wszystkim się zajmę. Cóż, może jeszcze wróci, trzeba mieć nadzieję.

Odłożył słuchawkę i przytulił Fen.

— Nie mogę tego znieść, zwłaszcza tak szybko po tym, jak cię odnalazłam. Potrzebuję cię tak samo jak Tory — zaszlochała Fen. —

Przepraszam, egoistka ze mnie.

Dino pozwolił się jej wypłakać, gładził po włosach i trzymał w ramionach.

— To najgorsze, co musiałem w życiu zrobić — powiedział w końcu — ale skoro mam wejść do twojej rodziny, to mam obowiązki wobec nich wszystkich. W tej chwili wszystko się kłębi, ale jeśli Jake nie stawi się na zawody w niedzielę, to rozpęta się piekło. Naprawdę zmarnował wszystkie możliwości, jakie zdobył z medalem. Prasa go zlinczuje za to, że zawiódł swój kraj, nie masz też pojęcia o mściwości Ruperta. Zamkną się przed nim wszystkie drzwi. Prawdopodobnie zostanie zawieszony na dziesięć lat.

— Biedak — powiedziała przygnębiona Fen — co mu strzeliło do głowy, żeby tak wszystko zepsuć?

Dino odsunął jej wilgotne włosy z czoła i pocałował.

— Zapewne się zakochał, wiemy, jakie to silne uczucie. Helen była całkowicie zdesperowana, za wszelką cenę chciała uciec od Ruperta. Jake’owi nagle zachciało się kogoś reprezentacyjnego, żeby pasował do jego nowej pozycji gwiazdy, a może przy okazji chciał dobić Ruperta. To najsłodsza zemsta. Mimo wszystko wydaje mi się, że to wina Helen. Niezależnie od tego, jak Rupert podpuszczał Jake’a dla zabawy, to ona w końcu wszystko wygadała. Przyznała się Rupertowi, wiedząc, że Jake nie będzie miał innego wyjścia, jak odejść z nią. Ale niezależnie od tego, co się zdarzy, Jake ma przechlapane. Rupert ich zrujnuje.

Zerknął na zegarek Fen.

— Muszę zarezerwować bilet.

Kiedy odłożył słuchawkę telefonu, Fen objęła go ramionami.

— Nie sądziłam, że to możliwe, ale kocham cię teraz jakiś milion razy więcej niż godzinę temu. jednak jeszcze nie mówiłabym o nas Tory.

Szczęście innych potrafi popchnąć ludzi do desperackich kroków, jeśli im samym się nie wiedzie.

---

[1] Popularna piosenka biesiadna, śpiewana też na meczach (przyp. tłum.).

61

JAK W MICIE O ATREUSZU, reprezentację brytyjską spotykały coraz to nowe niepowodzenia. Pomimo wszelkich starań Desdemona wciąż nie mogła skakać, co oznaczało, że jeśli Jake nie wróci, Fen będzie musiała pojechać na Hardym.

— To mizogin — mówiła Fen rano, kiedy koń zrzucił ją po raz drugi. — W tym stanie nawet nie wyjadę z nim z padoku.

— No cóż, i tak potrzebujemy kogoś najgorszego, kogo będzie można odrzucić — powiedziała Griselda, ruszając na Panu Punchu i idealnie przeskakując kombinację.

„Suka — pomyślała Fen. — Niech cię dopadną ropuchy i zaraza”.

Wypowiedziała to życzenie w złą godzinę. Wieczorem po powrocie do wioski olimpijskiej zastała Griseldę chwiejnym krokiem wychodzącą z toalety, zieloną jak słoń po zjedzeniu grzyba z książek o Babarze.

— Wymiotowałam piętnaście razy — oznajmiła, padając na łóżko.

— Za wiele rowerzystek — wymamrotała Fen pod nosem. — Wezwać lekarza?

— Nie — jęknęła Griselda — nic mi nie będzie.

Jednak późnym wieczorem gorączka skoczyła jej do czterdziestu stopni i zabrano ją do szpitala z podejrzeniem zatrucia pokarmowego.

— No to zostało nas troje — powiedział Rupert następnego dnia rano w czasie ostatniego treningu przez zawodami przypadającymi na następny dzień. Pomimo pozorów lodowatej obojętności był w rozsypce. Wciąż kipiała w nim wściekłość na Helen i Jake’a, żrąca jak żółć. pomimo ogromnych ilości whisky wypijanych co wieczór dla uspokojenia od ich

zniknięcia niemal nie sypiał. Do tej pory alkohol nie wpływał na jego refleks, ale całonocne oglądanie filmów z Humphreyem Bogartem na pewno mu się nie przysłużyło. W nieubłaganym słońcu Los Angeles Rupert kłusował w kierunku stacjonaty, akurat kiedy Meksykanin Jesus postanowił przegalopować mu w poprzek drogi jakieś dziesięć metrów za przeszkodą. Rocky na moment spanikował, wyskoczył za wcześnie i przednimi nogami uderzył mocno w ciężki drążek, zrobił salto w powietrzu i upadł, przygniatając Ruperta.

Zanim Fen, Malise i Jesus dopadli do leżących, Rocky już stanął na nogi. Otrząsnął się energicznie i oddalił się kłusem. Rupert próbował się podnieść, jęknął i opadł na ziemię, chwytając się za bark.

— Co się stało? — zapytał Malise, padając na kolana.

— Moje ramię — powiedział Rupert przez zaciśnięte zęby. — Zwichnięte. Zabierzcie mnie od razu do szpitala, niech nastawią. Jezu!

— *Si* — odparł Meksykanin — jestem tutaj.

Przez sekundę na twarzy Ruperta zamigotał cień uśmiechu.

— Nie ty — powiedział. — Wzywałem starszy model.

Malise pojechał z Rupertem na izbę przyjęć. Rupert leżał na noszach z szarozieloną twarzą, kroplami potu na czole i górnej wardze, przez całą drogę przeklinając pod nosem. Sam widok jego wykrzywionej twarzy sprawiał, że Malise’owi robiło się niedobrze.

— Przynajmniej nie jest złamane — powiedział lekarz po prześwietleniu. — Bez problemu je nastawię. Wypadnie pan z gry tylko na kilka dni.

Malise i Rupert wymienili spojrzenia. Rupert odwrócił się do lekarza.

— Nie chcę znieczulenia.

— Nie wygłupiaj się — powiedział Malise.

— Nie potrzebuję go. Jak sobie radzono przed wynalezieniem chloroformu? Nie chcę stracić jutro refleksu.

— Jutro nie skaczesz — oznajmił Malise.

— A jaki mamy wybór?

— Poprosić Jake’a, żeby wrócił.

— Wie, że jeśli zbliży się do toru na bliżej niż pięćdziesiąt kilometrów, to on też tu skończy — powiedział Rupert. — W kostnicy.

— Ma pan pojęcie, jak będzie bolało nastawianie bez znieczulenia? — zapytał lekarz.

— Tak — odparł Rupert. — W domu lekarz nastawił mi kiedyś ramię po polowaniu i dotrwałem do końca dnia.

— Byłeś wtedy młodszy — zwrócił mu uwagę Malise.

— To drugi raz — powiedział lekarz.

— Wiem. — Rupert odrzucił do tyłu głowę i zacisnął zęby. — Chodź tu, kochana — dodał zwracając się do pięknej pielęgniarki spoglądającej na niego z litością i podziwem — potrzymaj mnie za rękę.

Miał już powiedzieć, że trzeci raz też by to zrobił, ale zemdlał, kiedy lekarz zabrał się do pracy.

— Przynajmniej nie będę myślał o mojej zbłąkanej żonie — stwierdził, kiedy odzyskał przytomność. Jednak pomimo regularnych zastrzyków morfiny cierpiał z bólu jak nigdy dotąd.

O siedemnastej Malise zwołał konferencję prasową.

— Reprezentacja brytyjska liczy obecnie tylko troje jeźdźców. Jeden z nich, Rupert Campbell-Black, doznał dzisiaj bardzo poważnej kontuzji, ale jest zdecydowany jutro wystartować. Chcę jeszcze raz zaapelować do Jake’a Lovella, żeby poważnie zastanowił się nad powrotem. Wielka Brytania go potrzebuje. Rupert zgodził się nie wyciągać żadnych konsekwencji.

Fen spała niewiele lepiej niż Rupert. Wcześniej wydawało się jej, że teraz, po powrocie Dina, wszystko się ułoży, a tymczasem ona czuła się jeszcze

bardziej zdenerwowana. Czy on w ogóle tu był? Czy naprawdę ją kocha i chce się z nią ożenić? Czuła się głęboko zawstydzona zazdrością o to, że pojechał zająć się Tory. „Gdyby naprawdę cię kochał — szeptał złośliwy głos w głowie, kiedy o czwartej nad ranem się ubierała — nie mógłby się od ciebie oderwać”. Tak długo była nieszczęśliwa, że nie potrafiła uwierzyć, że los się odmienił. Za kilka godzin stanie przed największym wyzwaniem swego życia, na które czuła się całkowicie niegotowa. Musi się skupić. Enrico rzucił ją natychmiast po tym, jak poszli do łóżka. Może Dino zrobi tak samo?

— Powiedz mi, że jestem głupia — powiedziała do misia Lestera, wiążąc krawat.

Lester jednak nie odpowiedział.

— Miłego dnia — powiedziała do niego, wychodząc z pokoju. — Mój dzień raczej taki nie będzie.

Malise stał przy samochodzie. Pozieleniały Ivor siedział już na tylnym siedzeniu.

— Spałem jak suseł — powiedział.

— Szczęściarz — odparła Fen.

Podbiegli do nich dziennikarze.

— Jakieś wiadomości od Jake’a?

— Nic — odparł ponuro Malise. — Startuje tylko trójka zawodników. Już za późno, by go zgłosić.

Rupert cieszył się, kiedy nastał poranek. Zawsze wydawało mu się, że potrafiłby wytrzymać tortury, ale teraz nie był już taki pewny. Prawdopodobnie lekarz nastawiając ramię, uszkodził mu jakiś nerw.

O wpół do szóstej wziął kąpiel. gorąca woda pomogła mu się odprężyć, ale po kwadransie stwierdził, że nie może wyjść. Najlżejsze poruszenie i próba podniesienia się kończyły się straszliwym bólem w ramieniu. Minęło

kolejne pół godziny, a on po każdej nieudanej próbie opadał z powrotem do wody. Bał się bardzo, że się poślizgnie. Lewą stopą wyciągnął korek i postanowił zaczekać, aż emaliowana powierzchnia wyschnie, żeby łatwiej było mu się na niej zaprzeć. Zbliża się chyba wpół do siódmej. Za godzinę zawodnicy będą obchodzić tor. Będzie musiał wrzasnąć do Suzy, pewnie skacowanej — i zapewne nie zdoła jej dobudzić. Chciało mu się płakać z bólu i frustracji. Gdyby tylko zdołał doczołgać się do swojego pokoju, mógłby zrobić sobie kolejny zastrzyk z morfiny. Wtedy usłyszał dzwonek do drzwi, potem kolejny. Znów próbował się podnieść. Usłyszał, jak otwierają się drzwi pokoju Suzy.

— Suzy — wycharczał. W korytarzu rozległy się głosy. To zapewne Malise przyszedł go szukać.

— Nie ma go w pokoju, pewnie bierze kąpiel — mówiła zaspana Suzy.

Chwała Bogu, nie zamknął się na klucz. Suzy zabębniła w drzwi.

— Ktoś do ciebie, Rupe!

— Kto, do cholery? — zapytał.

— To ja! — odezwał się cudownie znajomy głos i w drzwiach stanął Billy.

Przez moment Rupert patrzył na niego osłupiały.

— Boże, jak ja cię potrzebuję! — powiedział drżącym głosem.

— Wiem. Strasznie mi przykro z powodu Helen.

— Nie, do pomocy przy wyjściu z tej cholernej wanny — wyjaśnił Rupert. — Ale podaj mi najpierw morfinę. Jest na komodzie w moim pokoju.

Ukłucie igły wbijającej się w ramię było najcudowniejszym uczuciem w życiu.

— Jak udało ci się wyrwać ze szponów Janey? — zapytał.

Billy uśmiechnął się szeroko.

— Powiedziałem jej, że czasami woda jest gęstsza od krwi.

— Mamy dobry numer startowy — powiedział Malise. — Czternasty na szesnaście.

Pozostali zawodnicy okazywali im współczucie i życzliwość.

— Mogą sobie na to pozwolić — odparł Rupert. — Według nich już przepadliśmy.

— Kim są faworyci? — zapytała Fen.

— Amerykanie, Niemcy, Szwajcarzy — wyjaśnił Rupert. — Mamy jedną szansę na milion. A ja postawiłem pięć stów.

— Dopilnujcie, żeby Fen nie czytała żadnej gazety — syknął Malise. — Mieszają Jake’a z błotem.

— I dobrze — odparł Rupert. Rzucając Malise’owi spojrzenie z ukosa, dodał: — Nie liczy się zwycięstwo, tylko to, żeby zostać wdeptanym w ziemię.

Widok Billy’ego niebywale podniósł reprezentację na duchu.

— Nie mógłbyś startować? — zapytał Ivor.

— Będę komentował z Dudleyem — wyjaśnił Billy — w całkowicie nieobiektywny sposób.

— Przynajmniej nie pomylisz imion i nazwisk — pocieszyła się Fen.

— Miło mi to słyszeć, Fiono — odparł Billy. — Jak się trzyma Rupe? — zapytał ciszej.

— Nie chce rozmawiać ani o Helen, ani o Jake’u, co najwyżej rzuca jakieś złośliwe uwagi. Może przy tobie się trochę otworzy. Pewnie przeżywa katusze, ale nie do końca wie, czy to urażona ambicja, czy duma, czy też nagle sobie uświadomił, że ją kocha.

O wpół do ósmej poszli oglądać tor. Wszyscy zgodnie uznali przeszkody za największe w historii skoków. Fen mogła swobodnie przejść pod

drążkiem, nie dotykając go głową. Z bliska po raz pierwszy uświadomiła sobie wielkość przeszkód.

— W tym rowie z wodą mogłyby się odbywać zawody pływackie — stwierdziła.

Ivor otworzył usta szerzej niż kiedykolwiek przedtem.

— Ten tor jest nawet gorszy niż w konkursie indywidualnym!

Przed nimi przeszła spacerowym krokiem drużyna amerykańska. W białych koszulach z krótkimi rękawami i w bryczesach, opaleni na mahoń, wysocy i długonodzy jak rasowe konie, roześmiani, emanujący spokojną pewnością siebie, wyglądali tak, jakby całe życie karmiono ich brzoskwiniami i stekami. Widzowie nagrodzili ich burzą oklasków. Drużyna niemiecka równie zgodnie mierzyła krokami odległości. Jednak po raz pierwszy Fen poczuła prawdziwą jedność drużyny brytyjskiej. Tor już przypominał piekarnik. „Jak przyjdzie kolej na mnie — pomyślała Fen — będzie to piekarnik rozgrzany maksymalnie”.

— To przysporzy największych trudności — powiedział Malise, spoglądając na przeszkodę przypominającą wielki brązowy kapelusz. — Jest zupełnie nowa, będziecie musieli naprawdę ostro najeżdżać, a zaraz za nią jest wielka brama.

— Przynajmniej nie ma hot doga — pocieszył się Ivor. — Od tych kwiatów dostaję kataru siennego.

Rupert oderwał kwiat plumerii i podał go Fen.

— Wyrzucą cię za niszczenie toru, zanim jeszcze wystartujesz — powiedziała.

Malise miał rację, przeszkoda w kształcie kapelusza okazała się trudna dla wszystkich. Ludwig, jadący jako zwiadowca drużyny niemieckiej, miał przejechać czysto, ale na kapeluszu o mało się nie przewrócił i zakończył przejazd z szesnastoma punktami karnymi.

— Kolejna szansa na kolejnych igszyszkach — powiedział markotnie, zjeżdżając z toru. — Mam doszczy pokażywania, że umiem pszegrywacz.

Kapelusz pokonał Kanadyjczyków, Australijczyków, Włochów i Francuzów. Meksykanin Jesus zaliczył przy nim nieprzyjemny upadek. Pierwsza zawodniczka amerykańska, Lizzie Dean, przeskoczyła kapelusz, ale wpadła na kolejną przeszkodę i przy kombinacji złapała osiem punktów karnych.

— Nie mogę na to patrzeć. Straciłam całą pewność siebie — powiedziała Fen. — Jedyna dobra rzecz to komentarze Billy'ego. Kiedy tylko ktoś obcy zaliczy zrzutkę, on krzyczy „hurra".

— Za trzy kwadranse startujesz — ostrzegł Malise. — Lepiej idź rozgrzać Hardy'ego. Przy okazji, dostałaś kwiaty. Są w magazynku.

Uśmiechnął się lekko, kiedy Fen ruszyła biegiem w kierunku stajni oddalonych o kilkaset metrów. Tam czekały na nią dwa tuziny bladoróżowych róż z karteczką: „Dla drogiej Fen. Powodzenia, kocham cię, Dino".

— Jak udało mu się je tu przesłać? — dziwiła się Fen.

— Kupił je Carol Kennedy — wyjaśniła Sarah. — Obiecał Dinowi, że ci je dostarczy. Przestań się uśmiechać jak kot z Cheshire, to nie pora na martwienie się płcią przeciwną.

— Skoro je dostałam — powiedziała Fen, wstawiając kwiaty do wiadra z wodą — mogę przestać się w ogóle martwić.

Ponieważ reprezentacja brytyjska liczyła troje jeźdźców, startowali oni w drugiej kolejce, po przejeździe pierwszych zawodników z innych krajów. Hans Schmidt zrzucił tylko dwa drążki z ośmioma punktami, po czym Mary-Jo pokazała wszystkim, jak się jeździ, zaliczając wspaniały bezbłędny przejazd.

— Ivor powinien nabrać odwagi — powiedziała Fen, która na moment zeskoczyła z Hardy’ego, żeby oglądać przejazd.

Ivor wjechał na start, mrugając nerwowo. Trybuny były wypełnione do ostatniego miejsca. Po złocie dla Mary-Jo w konkursie indywidualnym i jej dzisiejszym czystym przejeździe emocje sięgały zenitu.

— Zawsze podziwiałem intelektualne podejście Ivora do sportu — powiedział Rupert siedzący w cieniu na trybunie dla zawodników. — Teraz zdjął kask przed sędziami... czy uda mu się jeszcze znaleźć głowę?

Po wtorkowej katastrofie Ivor zaczął dobrze, jechał z żelazną determinacją. Łódź, kapelusz, olbrzymi mur, szeroki rów z wodą — wszystko pokonał bez problemu. Nagle dwa razy bez powodu przystanął przed stacjonatą.

— No to koniec — stwierdził Rupert. — Dizzy, chodźmy do łóżka.

— Na miłość boską, bierz bat, Ivor! — wrzeszczał Billy z loży komentatorów ku uciesze zaskoczonych widzów. — Jeszcze jedna odmowa i cała drużyna kończy zawody!

Szkarłatny na twarzy Ivor, jakby go usłyszał, wyjął z buta bat i kilka razy porządnie smagnął Johna.

— Wielki Boże! — powiedział Malise.

John przeskoczył przeszkodę, po czym machając gniewnie ogonem, jechał dalej — zrzucił tylko środkowy drążek kombinacji, resztę przeszkód zaliczył bezbłędnie.

— Cudownie. Świetnie, Ivor! — mówił rozemocjonowany Billy do mikrofonu. — Wiecie, że ten koń kosztował go tylko tysiąc funtów?

— Dziesięć punktów karnych plus jeden za czas. Całkiem dobrze — podsumował Malise.

Fen wiedziała, że musi wyłączyć wszelkie emocje i doprowadzić się do stanu lodowatego spokoju. Na Desdemonie skakała zwykle najlepiej, kiedy

była zła, ale Hardy potrzebował zrównoważonego jeźdźca. Po swoich medalowych przygodach w poniedziałek był nieco zmęczony, więc przynajmniej będzie skakał ostrożniej i nie będzie szarpał głową. Za przykładem Jake'a wyjęła watę z uszu konia i podjechała do wejścia na tor, żeby Hardy mógł zobaczyć przejazd poprzednika. Był to widok zarówno imponujący, jak i przerażający. Carol Kennedy przejechał czysto i zjechał żegnany gromkimi oklaskami, co oznaczało, że pod koniec trzeciej rundy Amerykanie mają dwanaście punktów karnych i zapewne będą mogli odrzucić przejazd Lizzie Dean. Okrzyki i amerykańskie flagi powiewające na widowni płoszyły Hardy'ego, który zaczął nerwowo podskakiwać.

— Masz bardzo mało czasu — ostrzegł Malise. — Nie trać go na zakrętach. Ale pamiętaj, najważniejsze, żebyś po prostu przejechała, za wszelką cenę. Jeśli cię zdyskwalifikują, to odpadamy.

— Potrafisz pocieszyć — stwierdziła Fen.

— Powodzenia — dodał Rupert.

Fel poczuła, że motyle w jej brzuchu zaczynają szaleć, teraz strach uderzył w nią z całą siłą.

— Nie dam rady — powiedziała, szczękając zębami. — Nie mogę skakać przed taką wielką widownią.

— Oszem, dasz radę. — Rupert zdrową lewą ręką ścisnął ją za udo. — No, kochanie, przefruniesz nad tymi przeszkodami. Hardy już to robił, zostaw to jemu.

— Jesteś pewny? — Fen spojrzała na niego wzrokiem małej dziewczynki.

Rupert się uśmiechnął.

— Całkowicie.

Kiedy wjechała na tor, nagle wszystko znikło. Nie było już strachu, lejącego się z nieba oślepiającego żaru, świadomości dwustu tysięcy

obserwujących ją oczu oraz milionów widzów przed telewizorami.

Billy, który pił kolejną whisky, podziwiał szczupłą postać w czarnym żakiecie, jasne włosy wymykające się spod kasku i różową różę z bukietu od Dina w butonierce.

— To z pewnością najpiękniejsza amazonka na świecie — zaczął. — Dosiada Hardy'ego, na którym jej szwagier, Jake Lovell, po doskonałym przejeździe zdobył w poniedziałek srebrny medal. Jedź, kochana!

— Mówiłem ci, żebyś nie wspominał o Jake'u — syknął Dudley, dłonią zakrywając mikrofon — i nie nazywaj Fiony „kochaną"!

Dźwięk dzwonu przyniósł ulgę i zatrzymał wszystkie procesy myślowe. Nagle Fen przestała się denerwować.

— Teraz jesteśmy już tylko ty i ja, kochany — wyszeptała do Hardy'ego po pierwszych czterech przeszkodach, które pokonał bez problemu, wyrzucając piasek za sobą, jadąc po śladach kopyt poprzedników. Fen uspokoiła go nieco przed najazdem na kapelusz. Hardy zmierzył go wzrokiem i odbiwszy się potężnie, przeskoczył z dużym zapasem. Wrzask tłumu wybił go z koncentracji, a mgiełka nad bramą utrudniała ocenę odległości. Fen zbyt wcześnie go poderwała, koń kopnął w przeszkodę, po czym uderzył w mur, zabolało go — błysnął oczami, położył uszy po sobie, powiewając ogonem jak rozzłoszczony kot.

„Teraz się rozsypie" — pomyślał zrozpaczony Malise.

Fen jednak uspokoiła konia i jechała dalej, skacząc nad przeszkodami, nie dotykając ich więcej.

— Spójrzcie tylko! — zawołała zachwycona Sarah. — On naprawdę chce skakać!

Przy najeździe na ostatnią przeszkodę Hardy zaczął się popisywać i wierzgnął porządnie. Widzowie wybuchnęli śmiechem. Hardy znów

wierzgnął. Leniwie wzniósł się nad przeszkodą, po czym kopnął ją mocno. Drążek podskoczył, przez sekundę trząsł się, ale w końcu opadł na miejsce.

— Jednak Bóg nam sprzyja — stwierdził Malise.

— Świetnie — powiedział Rupert, kiedy Fen zsunęła się z wielkiego konia i objęła go za szyję, odwołując wszystkie obraźliwe słowa, jakimi go kiedyś obrzuciła.

— Do następnego razu — stwierdziła Sarah.

Nadeszła kolej ostatnich zawodników każdej drużyny. Peter Colegate, zastępujący Dina, ku zaskoczeniu wszystkich zaliczył piętnaście punktów karnych, więc to jego przejazd odrzucono. Hans Schmidt przejechał bezbłędnie.

Jednak tym razem wszyscy czekali na przejazd Ruperta. Fen poprawiła mu krawat i zapięła mosiężny guzik czerwonej marynarki, której poła owijała kontuzjowane prawe ramię.

— Jak się czujesz? Bardzo boli?

— Tak, ale właśnie dostałem kolejny zastrzyk, jestem na takim haju, że pewnie mógłbym na rękach przenieść Rocky’ego przez cały tor.

Wjeżdżając na start, Rupert nawet drgnieniem powieki nie dał po sobie znać, że wie o kamerach śledzących jego twarz, by sprawdzić, czy odejście Helen miało na niego jakiś wpływ. Poranne komentarze prasowe mieszające Jake’a z błotem nie miały z nim nic wspólnego, gdyż Rupert w ogóle nie rozmawiał z dziennikarzami.

Lewą dłonią trzymał lekko wodze. Nie miał przy sobie bata. Widząc jego ramię na temblaku i wiedząc, że zanosi się na najtrudniejszy przejazd w historii, widzowie zaczęli go entuzjastycznie dopingować.

Rupert puścił wodze i zdjął kask, złote włosy zalśniły mocniej niż jakikolwiek medal. Ból był porażający. Nawet najlżejszy ruch konia sprawiał, że całe ramię podskakiwało, ale Rupert nie dał poznać, jak cierpi.

Rocky był życzliwym i szlachetnym koniem, wyczuł, że coś się zmieniło. Może to bezradność Ruperta przy treningu, a może brak bata, co się dotąd nie zdarzało. Nagle na jego urodziwym złocistym pysku pojawiła się troska; koń postanowił wziąć na siebie odpowiedzialność. „Dzisiaj ja się tobą zajmę — wydawał się mówić. — Może sobie uświadomisz, jakim byłeś draniem, może poczujesz wyrzuty sumienia za wszystkie te baty, które dostałem od ciebie”.

Na pierwszych dwóch przeszkodach Rupert z wielkim trudem utrzymał równowagę, potem się przystosował. Rocky skakał ostrożnie, z zapasem ledwie centymetrów. Teraz biegł w kierunku rowu z wodą — pokonał przeszkodę. Potem przeskoczył nad kapeluszem i bramą, po czym skierował się ku kombinacji.

— Rupert to bez wątpienia najlepszy jeździec na świecie! — wołał Billy z budki komentatorów. — Proszę spojrzeć na te silne mięśnie nóg, nawet się nie przesuwa w siodle. Dawaj, Rupert!

Przez jedną cudowną chwilę wydawało się, że Rupert przejedzie bezbłędnie, jednak przy ostatniej przeszkodzie Rocky wyciągnął za daleko nogę i w przeciwieństwie do Hardy’ego zrzucił drążek. Zjechał z toru przy najgłośniejszych jak dotąd oklaskach widowni.

Billy wyskoczył z loży, żeby mu pogratulować.

— Czekaj! — jęczał Dudley. — Skaczą jeszcze Japończycy i Portugalczycy!

— To było niesamowite! — powiedział Billy, podbiegając do Ruperta. — Bóg jeden wie, jakim cudem ci się to udało.

— Powinienem przejechać czysto — odparł Rupert, kopnięciem uwalniając prawą stopę ze strzemienia, po czym krzywiąc się i zagryzając wargę, zsunął się z grzbietu wierzchowca.

— Doskonały przejazd, Rupercie — przyznał Malise, spoglądając na tabelę wyników. — Jankesi mają dwanaście punktów, Niemcy szesnaście, Szwajcarzy osiemnaście, a Francuzi dwadzieścia. My dwadzieścia dwa, mamy piąte miejsce — dodał z cichą satysfakcją.

— Nie powinien pan skakać, ale cieszę się, że pana zobaczyłem. Gratuluję — odezwał się głos. Był to lekarz ze szpitala.

Rupert uśmiechnął się, ale na widok jego bladej, spoconej twarzy lekarz machnął swoją walizeczką.

— Pomyślałem, że po południu przyda się panu coś mocniejszego.

— Potrzebuję wielkiej whisky — odparł Rupert.

— Ale nie za wielkiej — dodał Malise.

62

PÓŹNIEJ FEN NIE POTRAFIŁA PRZYPOMNIEĆ SOBIE, czy jadła jakiś obiad. Ivor nie zdając sobie z tego sprawy, równym tempem i z namaszczeniem zjadł dwa steki. Billy również przyszedł, przerzucając się żarcikami z Rupertem i podtrzymując drużynę na duchu. Wiedzieli, że nie wygrają, gdyż różnica punktów była zbyt duża, ale czuli cichą satysfakcję. Na razie wychodzili z zawodów z honorem.

Książę Philip, stary znajomy Ruperta, przyszedł im pogratulować.

— Naprawdę imponujące. Doskonale sobie wszyscy radzicie! Nie wiem, Rupert, po co w ogóle używasz rąk do jazdy.

— Muszę wrócić do Dudleya, trochę jeszcze popodpuszczam — powiedział Billy, wstając. — Mówi mi, że powinienem wykazywać więcej entuzjazmu przy przejazdach zawodników z innych krajów. Powodzenia. Rupert, uważaj na siebie.

Rupert uniósł dłoń. Żałował, że Billy nie może zostać. Czuł, że dopada go straszliwe zmęczenie i ból odzywa się z całą mocą.

— Może mi pan coś dać? — zapytał lekarza.

— Poczekajmy jeszcze trochę, dam panu zastrzyk tuż przed startem, bo inaczej za wcześnie przestanie działać. Nie odważę się na dwie dawki, bo padnie pan na torze.

Kiedy zawodnicy wrócili na drugą rundę, okazało się wkrótce, że po pierwszej rundzie konie były wyczerpane. Pomimo ciemnych chmur na horyzoncie i odległych grzmotów słońce świeciło jasno, nagrzewając stadion do ponad czterdziestu stopni.

Do drugiej rundy zakwalifikowały się tylko cztery drużyny, jednak oznaczało to niemal czterdzieści przejazdów. Amerykanie, którzy zdążyli już uwierzyć, że nie mogą przegrać, oczekiwali miażdżącego zwycięstwa. Znudzeni przejazdami zawodników zagranicznych, wrzeszczeli i histerycznie oklaskiwali własnych zawodników, a ich szowinizm dorównywał tylko komentarzom Billy'ego.

— Miły facet, zasługuje na to — powiedział, kiedy Ludwig przejechał na czysto, niszcząc nadzieje Brytyjczyków, ale bez skrępowania cieszył się, kiedy Mary-Jo nieoczekiwanie zakończyła przejazd z dwunastoma punktami karnymi, Lizzie Dean zrzuciła dwa drążki i zaliczyła odmowę, a pierwsi zawodnicy z Francji i Szwajcarii skończyli przejazdy z ogromną liczbą punktów karnych.

Ivor wjechał na start na fali uniesienia po pierwszej rundzie, więc zdobył tylko osiem punktów.

— Doskonale! — skomentował Billy. — Naprawdę doskonale. Po tym przejeździe Wielka Brytania wspięła się na trzecie miejsce, Niemcy zaś są tuż za Amerykanami.

Zapowiadał się pojedynek na śmierć i życie, więc widzowie zaczęli ponownie zajmować miejsca na trybunach, które wkrótce były pełne.

— Potrzebuję kolejnego zastrzyku — powiedział Rupert.

— Nie możemy ryzykować — odparł lekarz.

Carol Kennedy znów przejechał czysto i znów tuż po nim startowała Fen.

— Amerykanie mają trzydzieści jeden punktów, my trzydzieści — powiedział Malise.

Fen miała nerwy w strzępach. Poprzednio było niewiele do stracenia, teraz jednak mieli szansę na medal. Jeśli Hardy zacznie zrzucać drążki, wszystko stracone.

— Pocałuj mnie, Hardy, zanim umrę ze strachu — powiedziała.

W Anglii transmitowano tylko drugą rundę zawodów. Dino po raz setny sprawdził, czy wideo jest gotowe do nagrania przejazdu Fen i czy na taśmie jest dość miejsca.

— Tory! — zawołał w stronę sypialni — Fen zaraz skacze! Chyba powinnaś to zobaczyć.

Z trudem mógł znieść widok Fen na arenie, tak małej i bezbronnej. Widział, jak Rupert gładzi ją po ręce, dodając odwagi. Drań wyglądał niemożliwie atrakcyjnie, a ręka na temblaku dodawała mu romantycznego uroku. Co gorsza, komentował Billy Lloyd-Foxe. Co on, do jasnej, robi w Stanach?

— Wjeżdża Fenella Maxwell, to jej druga runda w reprezentacji Wielkiej Brytanii — mówił Billy. — Ma dopiero dziewiętnaście lat, a już z pewnością jest naszą najlepszą i najpiękniejszą amazonką, wybrana Osobowością Roku 1979. Fen, kochana, jedź!

— Zamknij się, Billy! — wrzasnęli jednocześnie Janey i Dino w różnych częściach Anglii.

— Proszę, tylko bez krzyków — modliła się Fen, gdyż Hardy kręcił się niespokojnie. — Proszę, nie rozpraszajcie go. Dajcie nam przejechać. Hardy, kochany mój, skup się.

Nagle Hardy uznał, że będzie się zachowywał i zaczął skakać przez przeszkody, jakby to były kłody leżące na ziemi.

— Niech to będzie czysty przejazd, proszę, daj mi przejechać bez zrzutki — modliła się Fen z coraz większą nadzieją.

Jednak Hardy zupełnie nieoczekiwanie przeskoczył mur z tak dużym rozpędem, że nie miał już miejsca na rozbieg przed rowem i wylądował z chlupotem w wodzie. Fen poczuła na twarzy krople wody. Hardy był cały mokry, czego nie znosił. Stulił uszy i zaczął machać ogonem.

— No to koniec — jęknął Rupert. — Teraz już na pewno nie przeskoczy stacjonaty, za blisko podjechał.

Zdecydowany udowodnić mu, że się myli, Hardy wyskoczył w górę jak kot, niemal wspinając się na przeszkodę jak po drabinie, po czym machnął wesoło ogonem i już był po drugiej stronie.

Dino otoczył ramieniem Tory.

— Dawaj, Fen! — krzyczała Darklis.

— Nie rozglądaj się! — dodał Isa. — Tata cię zabije! — przerwał nagle, uświadamiając sobie, co powiedział, i z zażenowaniem spojrzał na matkę. — To znaczy, na miłość boską, pospiesz się!

Fen pogalopowała do ostatniej przeszkody i... pokonała ją.

— Hurra! — wrzasnął Billy, tupiąc nogami w loży komentatorów.

W ogłuszającym aplauzie Fen nie od razu zdała sobie sprawę, że ma też punkt za przekroczenie limitu czasu.

Po raz kolejny wszyscy wyjęli kalkulatory.

— W takim razie mamy trzydzieści pięć punktów karnych, niezłe szanse — podsumował Malise. — Niemcy mają trzydzieści cztery punkty, Amerykanie trzydzieści. Ale nie możemy osiąść na laurach. Włosi mają trzydzieści dziewięć punktów, a nie jechał jeszcze Piero Fratinelli.

Rupert się martwił, gdyż tym razem morfina nie działała tak, jak powinna. Ledwie zdołał jako tako rozgrzać Rocky’ego, gdyż każdy krok był torturą. Nie było sensu ryzykować upadek i odpaść z gry już na rozgrzewce. Siedział w magazynku na przewróconym do góry dnem wiadrze, trzymając się rękami za głowę. Nie odważył się iść do punktu pierwszej pomocy w obawie, że zabronią mu startu.

— Da pan sobie radę? — zapytał lekarz.

— Pewnie — odparł Rupert — ale mam nadzieję, że się pospieszą.

Hans Schmidt miał osiem punktów.

— Dla nas to dobrze — mówił Billy w loży komentatorów.

Po czym Piero Fratinelli zniweczył ich nadzieje, gdyż przejechał bezbłędnie.

— To już znacznie gorzej — westchnął Billy. — Ale to jednak dobry przejazd.

Uśmiechnął się do Fen, która na trybunie dla zawodników gryzła paznokcie, i wytarł czoło.

Wjechał Peter Colegate, który zastępował Dina. Amerykanie na widowni wpadli w histerię. Na trybunach pojawiły się amerykańskie flagi, a duży gniadosz krwi angielskiej, który w młodości wygrał kilka gonitw, przemierzał tor.

— Jeśli dojdzie do jazdy na czas, to nikt go nie prześcignie — stwierdził Billy.

Jednakże wyścigowe doświadczenie konia obróciło się przeciw niemu. Wyczuwając napięcie jeźdźca, słysząc histeryczne okrzyki widowni, przypomniał sobie młodość i pogalopował w kierunku końcowych przeszkód, z łatwością przeskoczył różowy mur, potem przyspieszył i zwalił obie części oksera, słysząc zaś jęk widzów, ledwie pokonał ostatni wielki triplebar.

— Hurra! — zawołał Billy do mikrofonu. — Dla nas to cudownie, chociaż może Amerykanie są innego zdania.

Carol Kennedy odwrócił się do Fen, kręcąc głową.

— Nasz wspólny przyjaciel przejechałby bezbłędnie.

— Jaki jest wynik? — zapytała Fen Malise’a.

— Włosi mają czterdzieści punktów, Amerykanie trzydzieści osiem, Niemcy czterdzieści trzy.

Przez moment spoglądali na siebie.

— Co oznacza, że jeśli Rupert przejedzie czysto, mamy złoto, jeśli złapie cztery punkty, mamy srebro, a przy ośmiu będzie finał, ale tego już Rupert nie wytrzyma.

Rupert wjechał na start.

— Wjeżdża Rupert Campbell-Black na Popstarze — oznajmił Dudley. — Ma zwichnięte ramię, które wczoraj nastawiano. Napięcie jest nie do zniesienia, ale wydaje mi się, że czeka nas popis niebywałego męstwa.

— Męstwa nigdy nie brakowało Campbellom-Blackom — dodał Billy. — Jeden z przodków Ruperta walczył po stronie króla w wojnie domowej i mimo tortur, jakim poddali go okrągłogłowi, nawet nie pisnął.

Okrutny upał wydawał się spływać na czarny aksamitny kask Ruperta. Kolorowe drążki i ozdoby kwiatowe migotały mu przed oczami. Oficjele w koralowych swetrach wydawali się tańczyć, przeszkoda w kształcie kapelusza sama podskakiwała i opadała, czerwono-niebieska łódź odpływała. Ból był nie do zniesienia. Jeśli Rocky’emu zachce się harców, Rupert przegra. Jakimś cudem udało mu się zdjąć kask, ale ponieważ Rocky zaczął się przesuwać w bok, nałożenie go z powrotem na głowę nie lada wyczynem.

Gdzie, do cholery, podziała się pierwsza przeszkoda? Przez jedną pełną paniki chwilę Rupert nie mógł sobie przypomnieć. Spojrzał na morze twarzy, wyjątkowo ciche, czapki i kapelusze przypominały miliony dziobów. Nagle w przerażającej halucynacji, zamieniły się w dzioby skierowane ku niemu, gotowe zadziobać go na śmierć. Rupertowi pociemniało przed oczami, zachwiał się, po czym siłą woli zmusił się, by spojrzeć na jasne warkoczyki Rocky’ego. Zdrowa ręka podskakiwała mu gorączkowo jak u masturbującego się chłopaka. Ta myśl go rozbawiła. Chwała Bogu, jest pierwsza przeszkoda. Rupert ruszył kłusem.

— Jedzie Rupert — oznajmił Billy drżącym głosem. — Uosobienie wszystkich naszych nadziei.

Rocky, świadom wyjątkowo kiepskiego stanu swego jeźdźca, źle najechał na pierwszą przeszkodę, uderzył ją mocno, pociągając ramię Ruperta. Wszyscy widzowie co do jednego skrzywili się współczująco. Kolejny skok był niemal równie niefortunny — Rupert zgubił strzemię i przekrzywił się w siodle. Potem szarpnął konia za głowę nad łodzią, a przy lądowaniu Rocky mocno się pochylił.

— Boże, to musiało boleć — jęknął Billy.

Na podjeździe do kapelusza Rupertowi udało się znaleźć strzemię i utrzymać w siodle.

— Może powinien zrezygnować — powiedziała Fen ze współczuciem. — To musi przeraźliwie boleć.

Nagle, w przypływie nieugiętej odwagi, Rupert przeskoczył przez przeszkodę i skierował się ku wodzie. Jechał jak opętany, wylądował z zapasem ponad pół metra. Tłum nagrodził go okrzykami najpierw podziwu, a potem zaczął się niepokoić — Rupertowi szło trochę za dobrze. Nagle zwycięstwo Amerykanów zaczęło się oddalać. Teraz Rupert skręcił ku kombinacji — trzy szerokie przeszkody z czerwonej cegły otoczone jaskrawozielonymi kępami paproci. Przy pierwszej części dał swobodę Rocky’emu, który przeskoczył wysoko i zostawił sobie za mało miejsca przed drugim elementem. Genialnym przesunięciem w siodle Rupert skręcił koniem w prawo, dając mu dodatkowo miejsce na jeden krok więcej przed pokonaniem przeszkody, a potem od razu skręcił nim w lewo, znów dając mu miejsce. Rocky uderzył kopytem w drążek ostatniej przeszkody, niemal nieodróżnialny od otaczającej je zieleni, ale drążek nie spadł.

Zagrzmiały spontaniczne brawa.

— Bogowie wiecznie żyjący — mamrotał Malise pod nosem — dzisiaj nam sprzyjają.

— To był naprawdę doskonały popis jeździectwa — przyznał Billy. — Jedź, Rupert. Nie mogę już patrzeć, Dudley, ty mów dalej.

Tylko trzy przeszkody dzieliły Wielką Brytanię od medalu. Być może dlatego wszystkie wydawały się wyższe od trybuny głównej.

Rocky skakał majestatycznie, ale Rupert uświadomił sobie, że musi przyspieszyć. Nie może sobie pozwolić na punkty karne za czas. Poprzez mgłę bólu widział ostatnie trzy przeszkody, na zmianę oddalające się i zbliżające. Nie uda mu się ocenić odległości, a nie da rady galopować z jedną ręką.

— Może albo najechać ostrożnie i zaryzykować punkty za czas, albo zaryzykować zrzutką — mówił Billy. — Jak znam Rupe’a, wybierze to drugie.

Rupert tak właśnie zrobił — pędem najechał na pierwszą przeszkodę.

— Spokojnie! — mówił Malis gorączkowo.

— Za szybko! — wołała Fen. — Boże, dopomóż!

Rupert przeskoczył pierwszą przeszkodę idealnie co do centymetra.

— Będzie dogrywka o brąz! — zawołał z podnieceniem Billy.

Rupertowi jakimś cudem udało się przeskoczyć zdradliwą podwójną stacjonatę.

— Mamy srebro! — wrzasnął Billy. — Rupe, dawaj!

Rocky zebrał się w sobie, mocno odbił i poszybował w powietrzu nad triplebarem, wskakując prosto do podręczników historii. W loży komentatorów zapanowało pandemonium. Billy ściskał Dudleya, obaj wrzeszczeli jednocześnie. Dizzy wybuchnęła płaczem.

— Strasznie przepraszam, wasza wysokość! — powiedziała Fen, uświadomiwszy sobie, że ściska księżniczkę Annę. Nagle usłyszała za sobą

zdławione rżenie, to Ivor wydawał z siebie dźwięki starego muła.

— Mamy złoto! — wrzeszczała Fen, podskakując. — Mamy złoto!

Kiedy Rupert spacerowym krokiem zjeżdżał z toru, cały stadion nagrodził go owacją na stojąco. Wiwaty trwały pełne pięć minut. Widzowie byli rozczarowani, że to nie ich drużyna wygrała, to naturalne, ale jednak uczcili pokaz tak wyjątkowego męstwa.

Rupert podjechał do Malise'a, twarz miał bez wyrazu.

— Warto było? — zapytał.

Malise uśmiechnął się do niego szeroko.

— Warto było, wyjątkowo. Absolutnie niesamowite. — Zaskoczony brakiem reakcji Ruperta, dodał: — Przejechałeś bezbłędnie. Mamy złoto.

Rupert pokręcił głową. megafony potwierdziły jego zwycięstwo. Nadal zachowywał całkowity spokój, nie uśmiechał się, nie klepał radośnie Rocky'ego po szyi, jak to zwykle robił. Ręka mu nawet nie drżała. Zsunął się z siodła, pogłaskał konia szybko i na moment oparł czoło o szyję pokrytą czerwono-złotą satyną. Wokół niego zbierali się wiwatujący ludzie.

— Rupert, wspaniale! Pokazałeś im!

Rupert odsunął się i niepewnym krokiem ruszył do tunelu. wielbiciele szli za nim, wiwatując. Malise przecisnął się do niego.

— Zostawcie go — warknął na gapiów, nagle tracąc cierpliwość. — Nie rozumiecie, przez jaki stres przechodzi?

— Już dobrze — powiedział łagodnie do Ruperta.

Rupert odwrócił się, z jego oczu płynęły łzy.

— Przygłup, uczennica i rogacz — powiedział. — Stawiliśmy czoło wszystkim.

— I zwyciężyliście — powiedział Malise.

W połowie tunelu Rupert oparł się o ścianę i zamknął oczy, starając się powstrzymać łzy.

— Przepraszam — powiedział. — Ostatnie dni były ciężkie. Za dużo używek, niewiele snu. O Chryste.

— Słuchaj — powiedział Malise, głaszcząc go po zdrowym ramieniu — przez te lata rzadko się zgadzaliśmy, lecz dzisiaj muszę ci to oddać, bez wątpienia dałeś największy popis odwagi, jaki w życiu widziałem. Przy tobie inni zawodnicy wyglądają jak dzieciaki ze szkółki jeździeckiej. Nikt z widzów na stadionie czy przez telewizorami nigdy tego nie zapomni.

Rupert pociągnął nosem i wierzchem dłoni wytarł łzy.

— Myślisz, że Jake by mnie pokonał?

— Drogi chłopcze, dzisiaj nikt by cię nie pokonał.

Rupert wyciągnął zdrową rękę i chwycił Malise’a.

— Zawsze sprawiałem ci kłopoty — powiedział drżącym głosem — ale ty też jesteś najlepszy.

„Dziwne, chwile największej radości przychodzą z najmniej oczekiwanej strony” — pomyślał Malise.

Nagle Rupert wyraźnie się rozjaśnił.

— Postawiłem pięć stów na naszą wygraną — powiedział. — Chyba wygrałem fortunę.

Kasztan, tarant i ciemny gniadosz wmaszerowały dumnie na arenę, stawiając uszy, błyskając oczami, jakby wiedziały, że są najlepsze na świecie. W siodłach siedzieli Rupert i Ivor w czerwonych marynarkach, a pośrodku Fen w czerni. Na nowo uświadomiwszy sobie, że drużyna miała o jednego zawodnika mniej niż pozostałe, tłum znów powitał ich grzmiącymi oklaskami. Wokół powiewały flagi brytyjskie.

Na wprost wielkiego tłumu nieustraszona trójka wyszła...[1] — zacytował Malise.

— Mamo — powiedziała Georgina Hamilton w Szkocji — musisz mnie poznać z Rupertem. Wiem, jest stary i bardzo zdemoralizowany, ale jest niewiarygodnie przystojny. A podobno zawsze lepiej zacząć ze starszym mężczyzną.

Tabitha, której pozwolono posiedzieć dłużej, podskakiwała na kolanach Amandy.

— Tatuś skacze! — powiedziała. — Tatuś dobrze skacze!

— Naprawdę świetnie mu poszło, skarbie — przyznała Amanda. Starając się panować nad zachwytem, odwróciła się do Rolla. — Jeśli ten wyczyn nie zapewni Rupertowi mandatu w wyborach, to już nic nie pomoże.

— Jest odlotowy — przyznała Georgina. — Obiecaj, że mnie przedstawisz.

„Jak dobrze, że Georgina za tydzień jedzie do internatu” — pomyślała Amanda.

— Chcę mamusię. Kiedy przyjedzie mamusia? — powtórzył Marcus po raz setny tego dnia.

— Jestem z niej taka dumna — powiedziała Tory. — Pojechała cudownie. Jaka szkoda, że to wspaniałe zwycięstwo zmąciła ta druga sprawa. Jake pewnie bardzo żałuje, że w tym nie uczestniczy.

— Teraz nie mógłby wrócić — odparł Dino. — Zapewne nie chce robić jeszcze większego zamieszania. Jeśli wróci, to później.

Malise szedł za nimi swoim wojskowym krokiem, unosząc się pół metra nad ziemią. Na widok Dizzy i Sarah w szortach we wzór flagi brytyjskiej widownia zaczęła znów wiwatować.

Nawet stojąc na środkowym, najwyższym stopniu podium, Fen była nadal niższa niż Carol Kennedy

— Dino będzie z ciebie dumny — powiedział Carol, całując ją.

— Udałoby się wam, gdyby on startował — odparła Fen.

Carol wzruszył ramionami.

— Wam byłoby jeszcze łatwiej, gdybyście mieli Jake’a.

— Niekoniecznie — odparła Fen. — Nigdy wcześniej nie tworzyliśmy tak zgranej drużyny.

Podeszła do nich żona premiera w jasnoniebieskiej sukience. Fen pochyliła głowę, żeby pierwsza dama powiesiła jej na szyi medal na różowo-niebiesko-zielonej tasiemce. Jakby czytała brajlem, uniosła dłoń i dotknęła złota, przesuwając palcem po figurze kobiety ze snopkiem zboża po jednej i lekkoatletą po drugiej.

— Zdobyliśmy złoto — powiedziała z niedowierzaniem.

— Złoto drużynowe jest najlepsze — odparł Rupert.

Przyglądali się, jak brytyjska flaga wspina się na biały maszt poruszna przez podmuchy wiatru. Hymn narodowy nigdy nie brzmiał tak pięknie.

— *Boże, chroń*... — zaczęła Fen, ale nagle stwierdziła, że nie może dalej śpiewać. Łzy zaczęły spływać po jej policzkach. Rupert położył dłoń na jej ramieniu i uścisnął uspokajająco.

— Co robimy wieczorem? — zapytał.

— Powinieneś iść się położyć — odparła Fen.

— A może jakiś naprawdę odlotowy seks? — zaproponował Rupert.

Fen wybuchnęła śmiechem.

— Zawsze cię pragnąłem — dodał Rupert, całując ją.

— Odwal się! — zawył Dino, rzucając poduszką w telewizor.

— Szczęściara — stwierdziła Georgina Hamilton — jest bardzo ładna. Wiesz, pewnie ona go teraz pocieszy po odejściu Helen.

Amanda Hamilton sama była zaskoczona tym, jak mocno przeszkadzał jej uścisk Ruperta i Fen. Wiedziała, że to emocje towarzyszące zwycięstwu, jednak Fen naprawdę była bardzo ładna. Amanda rzuciła okiem na swoje

odbicie w lustrze i wciągnęła brzuch. Ostatnio jada za dużo owsianki. Przed powrotem Ruperta musi przejść na dietę.

— Wiele w życiu widziałem — powiedział Malise do księcia Philipa, ocierając łzę, kiedy zawodnicy galopowali wokół areny, a za nimi goniły jak ogony komet taśmy rozetek — wliczając w to wojnę, ale to najwspanialsze chwile w moim życiu. Wtedy jest się dumnym z bycia Brytyjczykiem.

— Rupert Campbell-Black naprawdę pokazał, co to znaczy jeździć — przyznał książę Philip.

Jake Lovell w podrzędnym motelu niedaleko lotniska Kennedy'ego, z szybko kurczącymi się funduszami, postanowił nie zapalać kolejnego papierosa, gdyż zostało mu tylko pół paczki. Leżał z Helen w ramionach, oglądając telewizję.

— Hardy to twój koń — zaszlochała Helen. — Ty też powinieneś walczyć o złoto.

— Już jestem zwycięzcą, bo mam ciebie — odparł Jake. W sercu jednak czuł ołów. Helen nie może zdać sobie sprawy z tego, co dla niej poświęcił, bo nigdy sobie nie wybaczy.

Dino ułożył Tory spać, sprawdził, czy wzięła obie tabletki nasenne. Jej apatia go martwiła, miał wrażenie, że byłoby lepiej, gdyby wściekała się na Helen i Jake'a. Potem położył dzieci. Darklis była tak rozemocjonowana, że zażądała bajki. Za każdym razem, kiedy Dino próbował przeskoczyć fragment książki lub ze zmęczenia opuszczał słowo, poprawiała go. Isę z kolei zastał zapłakanego. Dlaczego ojciec odszedł z Helen? Dlaczego gazety nazywają go zdrajcą i dezerterem? Co to znaczy zdrada? Kto się teraz zajmie mamą? Czy to on coś zrobił?

Dino pocieszał go, jak mógł. Sam nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań, ale wiedział, że odejście Jake’a nie ma nic wspólnego z Isą, był też pewien, że po zakończeniu igrzysk Jake będzie chciał znów zobaczyć dzieci. W końcu mały zasnął.

Była druga nad ranem. Mill House wydawało się bardzo zimne po upałach w Stanach. Dino miał wrażenie, że z lata przeniósł się prosto w jesień. Dopadło go zmęczenie wywołane zmianą czasu, poczuł się wykończony. Po raz setny zadał sobie pytanie, czy nie oszalał i nie przesadził z donkiszoterią, przyjeżdżając tak nagle do Europy, by zająć się Tory.

Dotąd unikał wchodzenia do pokoju Fen, gdyż rozpaczliwie za nią tęsknił. Teraz jednak chciał ją sobie przypomnieć, więc otworzył drzwi i wciągnął lekki zapach jej perfum oraz stęchlizny i wilgoci, jakie panują w nieużywanych pomieszczeniach. Wszystkie porcelanowe konie zniknęły z półki, a także misie z parapetu, które go kiedyś wypełniały. Może to jego wina, gdyż w czasie tej wielkiej kłótni powiedział jej, żeby dorosła. Bardziej podobał mu się ten pokój tak, jak wyglądał wcześniej — z wyjątkiem zdjęcia Billy’ego Lloyda-Foxe’a, które też znikło.

Choć wiedział, że nie powinien tego robić, otworzył górną szufladę komody i znalazł plik wycinków prasowych i zdjęć spiętych różowym spinaczem. Wszystkie dotyczyły jego samego. Poczuł się nieco lepiej. Mimo wszystko chyba oszalał, by zostawić ją samą w towarzystwie Ruperta i Billy’ego. Wrócił do salonu i otworzył butelkę wina. Czuł się wykończony, ale nie senny. Jego zegar biologiczny wciąż się nie przestawił.

Włączył telewizor i rozciągnął się na kanapie. Teraz nadawano konferencję prasową. Wejście Malise’a i drużyny brytyjskiej powitały owacje i oklaski. Rozległy się wystrzały korków od szampana.

Mówił głównie Rupert, siedzący obok Fen ze zdrową ręką na oparciu jej krzesła, w sposób przypominający posiadacza. Wyglądał świetnie; nikt by nie odgadł, że wcześniej płakał. Od odejścia Helen stracił kolejne kilka kilogramów, ale dzięki temu jego arogancka twarz nabrała większej finezji niż kiedykolwiek wcześniej.

— Nie, nikt z nas nie będzie się wypowiadał o mojej żonie ani szwagrze Fen, więc nie chcemy żadnych pytań na ten temat — powiedział. — Chyba udowodniliśmy, że potrafimy sami zdobywać medale. Ivor miał najtrudniejsze zadanie, jechał pierwszy i musiał rozeznać teren. Skakał naprawdę dobrze. Fen musiała pojechać na innym koniu, a on potrafi pokazać fochy, naprawdę. Jest dla niej za silny, ale Fen udało się nad nim zapanować. Chciałbym przypomnieć, że Fen ma dopiero dziewiętnaście lat i jest to dla niej pierwszy występ na igrzyskach.

Fen zarumieniła się, kiedy w pomieszczeniu rozległy się burzliwe oklaski.

— Jestem z nich niewiarygodnie dumny — powiedział Malise. — Dzisiaj wszyscy przeszli na kolejny poziom, a legendarna druga runda Ruperta na zawsze przejdzie do historii skoków.

— To nie tylko nasza zasługa — dodała Fen, wyciągając kieliszek po dolewkę szampana, kiedy oklaski ucichły. — To Malise pomagał nam się zebrać w garść, kiedy się rozsypywaliśmy, Dizzy i Sarah, nasze stajenne, Griselda, która leży w szpitalu, oraz nasze rodziny, które musiały znosić nasze humory i gorączkę igrzysk przez ostatni miesiąc... jak również — dodała wyzywająco — mój szwagier, Jake Lovell.

Ktoś zagwizdał, podchwyciła to reszta, rozległy się gwizdy, buczenie i tupanie nogami oraz nieprzyjazne okrzyki.

— Nie! — przekrzyczała ich Fen. — To on nauczył mnie wszystkiego, co wiem, i on doprowadził Hardy’ego to tego poziomu. Hardy zdobył złoto

i srebro, więc powinniśmy mu podziękować i oddać sprawiedliwość.

— Również — wtrącił leniwie Rupert — za to, że uwolnił mnie od żony.

Przez moment panowała pełna zakłopotania cisza, po czym rozległ się gromki śmiech.

Rupert wziął butelkę i dolał sobie szampana.

— Właściwie wznoszę toast nie tylko za nieobecnych przyjaciół. Doceniamy tych, którzy nas nie opuścili, prawda, aniołku? — pogłaskał Fen po karku.

Nikt z obecnych dziennikarzy nie pozostał obojętny na jego magnetyzm.

— Zauważyliśmy, jak obejmowałeś Fen na podium — odezwał się reporter z „Daily Mail".

— A kto miałby do mnie pretensje? — odparł Rupert wyzywająco.

Fen spojrzała czujnie.

— Nasze konie się przyjaźnią — powiedziała.

— A wy dwoje? — naciskał reporter „Daily Mirror".

— To pytanie jest niepotrzebne — wtrącił ostro Malise. — Oni tu przyszli rozmawiać o medalu.

Człowiek z „Daily Mirror" nie zwrócił na niego uwagi.

— Byłoby miło, gdybyś pocieszyła Ruperta — powiedział.

— Nie byłoby miło — odparła z gniewem Fen. — Wychodzę za mąż za Dina Ferrantiego. — po czym przerażona uniosła dłoń do ust.

Dino wiedział, że dla Ruperta Fen to niedokończona sprawa. Ufał Fen, ale przez ostatnie trzy godziny przechodził wszystkie tortury zazdrości, jakie towarzyszą zakochanemu mężczyźnie.

— Hurra! — zawołał. — Hurra! — po czym, jakby na sygnał, rozdzwoniły się dzwony we wsi.

Dino otworzył okno. Była czysta, gwiaździsta noc. Orion wstawał ze snu nad horyzontem i nakładał buty. Zasłon nie poruszał najlżejszy powiew.

Dźwięk dzwonów musi się nieść kilometrami nad doliną. Jego najdroższa Fen zdobyła złoto. Dotąd mieszkańcy wsi nie wiedzieli, co robić, gdyż odejście Jake’a wstrząsnęło nimi do głębi. Teraz mieli kolejny bohaterski wyczyn do świętowania. Niewiele wsi w Anglii może poszczycić się złotym i srebrnym medalistą.

Obudzona okrzykiem radości Dina Tory naciągnęła kołdrę i poduszkę na głowę, by nie słyszeć dzwonów. Z rozpaczą wspominała, jak rozbrzmiewały na cześć Jake’a ledwie sześć dni temu. „Boże, proszę, proszę, sprowadź go z powrotem”.

Kiedy zadzwonił telefon, przez szaleńczą chwilę poddała się nadziei, po czym wpadła w czarną rozpacz, słysząc, jak Dino mówi:

— Fen, najdroższa, byłaś fantastyczna, jechałaś cudownie. Nigdy nie sądziłem, że będę komuś życzył zwycięstwa nad naszą drużyną, ale ty byłaś wspaniała.

— Dino — odezwała się Fen niepewnie — muszę ci coś powiedzieć. Nie chciałam stawiać cię pod ścianą, ale reporterzy naciskali mnie na konferencji o Ruperta, więc w końcu powiedziałam, że wychodzę za ciebie.

— Wiem — odparł Dino — to najlepszy program, jaki widziałem.

— Widziałeś go? — zapytała zdumiona Fen.

— Nagrałem, więc teraz już nie możesz się wycofać. Nie musimy już umieszczać anonsu w „New York Times”.

Fen zachichotała.

— Jesteś słodki. Nie chciałam łapać cię w pułapkę.

— Kochanie, ile razy mam ci mówić? Słuchaj, wracasz jutro? Mam ciężkie objawy odstawienia.

— Tak — odparła Fen. — Nie zniosę ani minuty dłużej bez ciebie.

— A kiedy wrócisz, zaciągnę cię do najbliższego urzędu stanu cywilnego i weźmiemy ślub. Co, do ciężkiej cholery, robi tam Billy?

— Czyżbyś był zazdrosny?

— Potwornie, dlatego chcę, żebyś wróciła. Nie ufam żadnemu z tych drani.

Przez kilka minut rozmawiali jeszcze w ten sam sposób.

— Powiedziałeś o nas Tory?

— Nie, raczej nie. Ale ona chyba wie. Jest w kiepskim stanie.

Tory, która słuchała z góry, w desperackiej nadziei na okruch pocieszenia, chociażby najmniejszą wiadomość o Jake’u, wróciła do siebie i padła na łóżko. Dopiero po tym, jak Dino sprawdził, czy śpi, dała upust łzom.

---

[1] T.B. Macaulay, *The Lays of Ancient Rome*, w przekładzie Katarzyny Krawczyk (przyp. tłum.).

63

NADESZŁA JESIEŃ, A Z NIĄ CZERWONE ZACHODY SŁOŃCA i mroźne poranki oraz liście zapełniające strumyk przy młynie. Tory żyła i funkcjonowała jak automat. Nie mieli problemów finansowych. Fen wróciła ze Stanów i została powitana jak bohaterka. Razem z Dinem wozili konie na konkursy i próbowali nie afiszować się ze swoim ogromnym szczęściem, przynajmniej w obecności Tory. Dzieci, zwłaszcza Isa, były najpierw zdziwione, a nawet zmartwione zniknięciem Jake’a, ale wkrótce zajęły się szkolnymi sprawami — rozpoczął się nowy semestr, obojgu okazywano większe niż zwykle współczucie i zainteresowanie. Wrócił Dino, którego oboje uwielbiali, razem z Fen zarazili dzieci swoim szczęściem i często zabierali je na wycieczki, by Tory mogła odpocząć. W oczach Tory oni sami przypominali dzieci albo bardzo młodych rodziców z dwójką dzieci. Tory cieszyła się, że Dino i Fen w końcu się zeszli, jednak nie umniejszało to jej własnej rozpaczy.

Zwykle Tory najbardziej lubiła jesień — rąbanie drewna do kominka, robienie sosu chutney, dżemów i wina z dzikiego bzu, załadowywanie zamrażarki warzywami i owocami. W tym roku jednak wszystkiego wydawało się za dużo. Za wiele zielonych pomidorów, za wiele jabłek spadających z drzew. Tory próbowała zbierać, lecz dała za wygraną. Wciąż było jej zimno, wciąż się trzęsła. Nakładała trzy lub cztery swetry, żeby nikt nie zobaczył, jak bardzo schudła, nie domyślił się, że prawie nie je. Będąc sama w domu, płakała, po czym wieczorem kładła się do łóżka i obejmowała równie drżącego Wilka, który tak samo jak ona tęsknił za

Jake’em. Raz przyjechał do niej Malise i próbował pocieszyć, ale wyjechał zniechęcony jej rozpaczą. Sam krył smutek z powodu odejścia Helen.

Chcąc rozerwać Tory, Dino i Fen próbowali namówić ją na wyjazd do Wembley, ona jednak nie potrafiłaby znieść ciekawskich spojrzeń ani natłoku wspomnień. Billy Lloyd-Foxe po doskonałych występach przez cały tydzień zdobył nagrodę Victor Ludorum. Co wieczór Ivor Braine, Fen i Rupert z ręką na temblaku pojawiali się na paradzie końcowej konkursów i prezentowali swoje złote medale, przyjmowane owacjami na stojąco. Rupert przez dwa miesiące nie mógł występować. lekarz w Los Angeles faktycznie naruszył nerw przy nastawianiu barku i konieczna okazała się operacja. To, że zdołał pojechać na zawodach mimo tak okrutnego bólu, tylko dodawało mu magicznego uroku. Prasa donosiła o jego zainteresowaniu polityką. spodziewano się, że przejmie bezpieczne miejsce w parlamencie z okręgu Gloucestershire.

Prasa niezmiennie wypatrywała Jake’a, sprawdzając wszystkie lotniska i wydzwaniając do Mill House z nadzieją na jakieś wiadomości. Jednak nie było żadnych, gdyż Jake w ogóle nie kontaktował się z rodziną. Bóg jeden wie, gdzie byli i z czego żyli z Helen.

W połowie października dziennikarze wypatrzyli Jake’a i Helen na Heathrow, oboje w ciemnych okularach. Żadne z nich nie rozmawiało z prasą. Jake cudem, jakby umiejętność znikania odziedziczył po przodkach, zdołał wymknąć się grupie reporterów, ale nie na długo. Dziennikarze złapali trop i po paru dniach wyśledzili ich w pobliżu Gloucester, w domu znajomego handlarza koni. Jake i Helen znów odmówili rozmów pomimo astronomicznych kwot, jakie oferowano im za wywiady. Dwa dni później w gazetach znów pojawiły się krzyczące nagłówki i zdjęcia Jake’a w ciemnych okularach w urzędzie pracy w Gloucester, gdzie zgłosił się po zasiłek.

Fakt, że Jake znalazł się tak blisko, ale wciąż nie odezwał do Tory, dla Dina przeważył szalę. Widział, jak Tory cierpi każdego dnia, i był gotów pojechać do Gloucester i zbić Jake’a na kwaśne jabłko, lecz Fen udało się go powstrzymać.

— Nie zmusisz go do powrotu, jeśli nie chce. Tory by się na to nie zgodziła.

Po powrocie do Anglii w przerwach między ucieczkami przed prasą Jake dokonywał heroicznych wysiłków, by znaleźć pracę, ale wszystkie drzwi były zamknięte. Kontaktowanie się z Garfieldem Boysonem nie miało sensu, gdyż Jake wywołał skandal, ale dzwonił do wszelkich innych sponsorów, którzy przed igrzyskami usilnie go nagabywali. Odpowiadali mu krytycznymi uwagami albo od razu się rozłączali. Jake przełknął dumę i szukał pracy w szkółkach jeździeckich lub zajęcia jako główny stajenny. Niektórzy z ciekawości umawiali się z nim na rozmowę, po czym i tak go odrzucali — nikt nie chciał skompromitowanego idola.

Czasopismo „Horse and Hound” podało, że w listopadzie Brytyjska Federacja Sportów Konnych rozpocznie dochodzenie dotyczące ucieczki Jake’a z igrzysk. Jake miał się pojawić, by przemówić w swojej obronie. Jeśli nie, ogólnie uważano, że zostanie zawieszony co najmniej na dziesięć lat albo wręcz na zawsze.

Jake byłby w stanie poradzić sobie z tym, gdyby oboje z Helen byli szczęśliwi. Jednak w miarę upływu czasu zaczął uświadamiać sobie w pełni ogrom jej neurozy i egoizmu. Nawet gdyby udało mu się znaleźć pracę, brak pewności siebie nie pozwalał Helen zostawić go chociażby na moment.

Przed igrzyskami rozmawiali tylko o swojej miłości. Jak więzień wojenny Helen marzyła o ucieczce, teraz zaś znalazła się na wolności, ale przy okazji przekonała, że trafiła do ponurej szarej strefy w Europie

Wschodniej. Przez swoją ucieczkę oboje z Jake’em pozbawili się wszystkiego oprócz siebie nawzajem. Zmuszeni do ciągłej bliskości stwierdzili, że nie mają ze sobą wiele wspólnego.

Helen tęskniła za swoim pięknym domem i ogrodem, za dziećmi, zwłaszcza za Marcusem, za książeczką czekową i statusem żony Ruperta. Rupert zablokował jej wniosek o spotkanie z dziećmi, więc powinna dochodzić swoich praw w sądzie, a z braku pieniędzy musiałaby skorzystać z prawnika urzędowego.

Konie były dla Jake’a całym życiem. Bez nich czuł się jak narkoman na odwyku. Tęsknił za Mill House, za dziećmi, Wilkiem — ale najbardziej tęsknił za Tory. A jednak dziwna duma powstrzymywała go przed zadzwonieniem do domu. Był pewien, że wszyscy doskonale radzą sobie bez niego i uznaliby, że kontaktuje się z nimi tylko dlatego, że zabrakło mu pieniędzy albo sobie nie radzi. Wreszcie dotarł do niego cały ogrom jego postępku wobec Tory i kraju, więc zbyt się wstydził, żeby się ujawnić. Przede wszystkim zaś podarował Helen chusteczkę, więc musi trzymać się zasad.

Nie miał do niej pretensji o to, że zmusiła go do odejścia, ale zamknął się w sobie. Widząc, jaki jest przygnębiony, Helen tym bardziej obsesyjnie pogrążała się w zazdrości o Tory, dobrą żonę, która nigdy nie przysparzała kłopotów. Chciałaby, żeby Jake chociaż czasami na nią ponarzekał. A Jake poniewczasie uświadomił sobie, że Tory kochała go dla niego samego. Helen kochała jedynie swój nowy, znacznie bardziej pociągający obraz, jaki stworzył zakochany Jake i jaki za wszelką cenę chciała utrzymać.

Świadomi, że nie powinni narażać na ataki prasy znajomego, który oferował im schronienie, Helen i Jake przenieśli się do kawalerki w Gloucester. Zaczęło brakować im pieniędzy. Opieka społeczna co chwilę wynajdowała nowe powody, by odmówić Jake’owi zasiłku. A on już

sprzedał swoje spinki do mankietów i część biżuterii Helen. Wkrótce zostanie im tylko jego srebrny medal. Cały czas dziennikarze kusili go, oferując ćwierć miliona funtów za wywiad.

Jake przywykł do biedy, ale Helen nie. Próbowała oszczędzać, ale dla niej wizyta u fryzjera dwa razy w tygodniu czy krem do twarzy za piętnaście funtów były czymś normalnym. Była przekonana, że jeśli kupi tańszy krem, Jake ją rzuci. W Los Angeles uciekła, zabierając ze sobą letnie ubrania, teraz więc musiała kupić coś cieplejszego. Z tęsknotą myślała o futrach wiszących w szafie w Penscombe.

Ostatni poniedziałek października zaczął się niefortunnie. Tory wstała i zawiozła dzieci do szkoły, po czym na miejscu, na widok zamkniętych drzwi, zorientowała się, że trwają ferie jesienne. Później ścieląc łóżko, wzięła termofor, odkręciła go i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wylała wodę do szuflady ze swetrami. Przed południem Dino zastał ją zapłakaną w salonie, przerzucającą zawartość odkurzacza, gdyż niechcący wciągnęła do środka ćmę.

— Biedaczka jeszcze żyła — szlochała Tory, gorączkowo przeszukując kurz. — Nigdzie jej nie widzę.

Dino sprzątnął bałagan, po czym posadził Tory na kanapie.

— Kochana, jesteś przemęczona. Fen i ja musimy jechać do Londynu na nagranie programu (zaproszono ich do udziału w programie „This is your life", którego bohaterem był Billy Lloyd-Foxe). Zabierzemy dzieci, żebyś miała spokój przez dobę. Spodoba im się zwiedzanie studia. Hannah się tobą zajmie. Sarah wraca jutro rano, więc nie musisz się przejmować końmi. A jutro po powrocie zabieram cię do lekarza.

— Nic mi nie jest — zaprotestowała Tory.

Wybuch radości dzieci na wieść o wycieczce przygnębił ją jeszcze bardziej. „Nudzą się ze mną — pomyślała rozpaczliwie. Już nie lubią ze

mną przebywać”.

— Obiecaj, że się nią zajmiesz, dobrze? — prosiła Fen Hannah przy wyjeździe.

Zostawiona sama w domu Tory próbowała wziąć się w garść i zabrała się za robienie sosu pomidorowego. Jednak krojąc cebulę przypomniała sobie, jak Jake lubił chutney i wyjadał go łyżką wprost ze słoika, co znów przyprawiło ją o atak płaczu.

Na dzwonek do drzwi podskoczyła. Dlaczego wciąż jeszcze ma nadzieję, że to może Jake? A to była jej matka w nowym kostiumie koloru burgunda, bardzo elegancka, pomimo twarzy zaczerwienionej od ogrzewania w samochodzie.

— Nie płakałam — skłamała Tory, wycierając dłonie w spódnicę.

— Nie, właśnie czuję — odparła Molly, cofając się nieco. — Jedziemy do jakichś nudnych krewnych Bernarda. Bernarda zostawiłam w samochodzie.

„Jakby był śmierdzącym labradorem wożonym w bagażniku” — pomyślała Tory.

— Nie chciałby wejść? — zapytała na głos.

— Nie, bo przy nim nie będziemy mogły poplotkować.

— Chcesz kawy?

Molly znacząco spojrzała na zegarek.

— Mam wrażenie, że pora jest raczej odpowiednia na sherry.

Tory nalała jej kieliszek. Molly wyraziła radość z powodu Fen i Dina. Tory wróciła do krojenia cebuli.

— Wydaje się miłym gościem — ciągnęła Molly — bardzo przystojny i bogaty. Powinnaś była poszukać sobie kogoś takiego. Chcę z tobą poważnie porozmawiać.

Tory zacisnęła zęby.

— Jak widzisz swoją przyszłość? — zapytała Molly. — Fen i Dino nie zostaną tu na zawsze z tobą i dziećmi. Będą chcieli mieć własny dom, może nawet wrócą do Stanów.

Tory spojrzała na nią z przerażeniem.

— Tak myślisz?

— Ja to wiem. Oczywiście z uprzejmości nic nie mówią, ale nie możesz wiecznie ich tu trzymać.

Tory nie odezwała się, ale rozgniotła kawałek cebuli na miazgę.

— I kiedy wystąpisz o rozwód z Jake’em? Przecież on cię porzucił, więc nie powinnaś mieć żadnych problemów. Ojciec Jake’a zrobił to samo z jego matką. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— Mamo, proszę, nie mów tak — głos Tory drżał. — Nie chcę tego słuchać.

— Nie wiem, czym się tak przejmujesz — odparła Molly. — Przecież wiedziałaś, że nigdy cię nie kochał, ożenił się z tobą dla pieniędzy. Czego się spodziewałaś?

Tory spojrzała na stojak kuchenny. Był w odrażającym stanie, pokryty resztkami bekonu, spaghetti, porozwieszanymi ściereczkami i zużytymi torebkami od herbaty. „Tak jak ja — pomyślała. Jestem tak bezużyteczna jak torebka po herbacie”.

— Myślmy pozytywnie — ciągnęła Molly. — Cieszę się, że tyle schudłaś. Wyglądasz kiepsko, ale przynajmniej zyskałaś talię, a nawet kostki. Mimo wszystko nie możesz tak się zapuszczać. Trudno mi się nawet dziwić Jake’owi, że sobie poszedł. Nigdy nie próbowałaś go zatrzymać. Jednak razem z Bernardem ułożyliśmy plan. Wyślemy cię na tydzień do spa. W nowym numerze „Harpers” jest promocja. Nie, żadnych wymówek. Wysłaliśmy już rezerwację. Potraktuj to jak wczesny prezent świąteczny.

Tory najwyraźniej nie zamierzała zaproponować jej kolejnego kieliszka sherry, więc Molly sama się obsłużyła. Zastanawiała się, czy w tej chwili jej córka jest poczytalna.

— Daj spokój — powiedziała — masz dopiero dwadzieścia osiem lat. Jeśli się za siebie weźmiesz, bez trudu znajdziesz kogoś innego, tym razem z twojej sfery.

Po odjeździe matki Tory usiadła i płakała przez długi czas. Wilk usiadł u jej stóp, łapą trącając w kolano, liżąc po twarzy, za wszelką cenę starając się ją pocieszyć.

W końcu jego współczucie przyniosło skutek. Tory musiała jechać do wsi po brązowy cukier do chutney, potem chciała zabrać psa na spacer. Nie przejmowała się obiadem. Kiedy sięgała po płaszcz i portmonetkę, zadzwonił telefon. Jednak to był ktoś do Hannah, która podniosła słuchawkę w magazynku w stajni.

Na podwórku Tory wpadła na Hannah, niecierpliwie przestępującą z nogi na nogę. Jak wyjaśniła stajenna, jej chłopak miał bilety na wieczorny koncert zespołu Rolling Stones. Tory odparła, że oczywiście musi iść na koncert. Jeśli da koniom paszę, to wieczorem Tory sprawdzi jeszcze, czy wszystko z nimi w porządku.

— Na pewno sobie poradzisz? — upewniała się Hannah.

— Na pewno — odparła Tory. — Będę miała trochę spokoju i dom dla siebie.

Nie musiała już prowadzić Wilka na smyczy. Od odejścia Jake’a pies nie opuszczał jej na krok, czekał na nią przed sklepem z niepewnym wyrazem na pysku. Kiedy Tory wyszła z piekarni, oślepiło ją popołudniowe słońce. Nagle wydała stłumiony okrzyk radości na widok czarnowłosego mężczyzny, który obserwował ją z przeciwnej strony drogi. Niestety, natychmiast nadeszło rozczarowanie — to nie był Jake. Ale Wilk

zaszczekał radośnie i rzucił się przez drogę, prosto pod nadjeżdżającą ciężarówkę. Przerażeni przechodnie nie wiedzieli nawet, kto tak krzyczał — pies czy skulona nad nim kobieta.

Rozpoznawszy panią Lovell, przechodnie okazali jej wielką życzliwość. Jakiś mężczyzna zaofiarował się, że odwiezie ją z psem do weterynarza, lecz Wilk zmarł w drodze. Polizał dłoń Tory i ostatni raz zamachał swoim zawiniętym ogonem, jakby przepraszając, że on też ją zostawia, po czym głowa mu opadła.

Weterynarz odwiózł Tory do domu i wykopał dla Wilka grób obok Żeglarza, świnek morskich i chomików dzieci, po czym pochował psa zawiniętego w koc, do którego włożył jego ulubiony stary but. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Tory drżała jak w gorączce, twarz miała pozbawioną koloru, a ubrania zwisały na niej luźno. Uparła się, by poczęstować go herbatą, ale zapomniała nasypać herbatę do imbryka i nawet nie zauważyła, że podaje mu tylko wrzątek i mleko.

— To pies Jake’a — powtarzała. — Powinnam była prowadzić go na smyczy.

— Ktoś tu do pani przyjedzie? — zapytał weterynarz.

— Tak, tak, zaraz wróci reszta.

Hannah, która wyjeżdżała o zmierzchu, przejęta chłopakiem i czekającym ją koncertem, zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Dina i Fen do Londynu. Tory siedziała przy stole kuchennym, skręcając w dłoni ścierkę kuchenną, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w stos pokrojonej cebuli.

— Naprawdę, absolutnie nic mi nie jest — powiedziała. — Sarah będzie tu z samego rana, a ja mam dużo roboty przy sosie.

O dwudziestej pierwszej Tory sprawdziła konie — wszystkie drzemały lub leżały. Dała Macaulayowi jabłko, objęła go, a potem pozamykała górne

drzwi boksów. Potem z latarką poszła na grób Wilka.

— Masz szczęście — powiedziała. — Już za nim nie tęsknisz.

Życie bez Jake’a nie miało najmniejszego sensu. Najmniejszego. Tak jak nie było szansy, by wrócił. Jest bezużyteczna jako matka i jako człowiek. Jeśli stąd zniknie, Jake będzie mógł wrócić do domu z Helen i przejąć stajnię, kiedy Dino i Fen wyjadą do Stanów.

Bardzo długo pisała list pożegnalny, gdyż umysł nie chciał się zmusić do pracy. Tory zgniotła kilka wersji i wyrzuciła je do śmieci. W górnej szufladzie komody Jake’a w sypialni, znalazła klucz do szafki z truciznami. Poszła do magazynku. musiała stanąć na krześle, żeby do niej sięgnąć. Cóż za wybór! Przypomniała sobie, jak Jake pierwszego wieczoru w pubie zapytał, czego się napije. Stał tam wywar z lulka czarnego, którego używał doktor Crippen, oraz szalej, którego Jake często stosował do okładów na obolałe końskie grzbiety. Była to śmiertelna trucizna, ale paraliżowała ciało, pozostawiając do ostatka jasny umysł. Tego Tory nie potrafiłaby znieść. Obok stał pokrzyk wilcza jagoda, czyli belladona — nazwa pasowałaby raczej do Helen niż do niej. Jake powiedział jej kiedyś, że ta butelka wystarczyłaby do wykończenia kilku Rupertów Campbellów-Blacków, pomimo ich fenomenalnej odporności. Tory sięgnęła po tę butelkę.

Następnego poranka Jake szedł w kierunku urzędu ubezpieczeń społecznych, by znów wystąpić o zasiłek. Wyłudzanie pieniędzy było całkowicie przeciwne jego naturze, ale znaleźli się już w rozpaczliwej sytuacji. Do jego stóp upadł kasztan. Jake podniósł go automatycznie i już miał włożyć do kieszeni dla Isy, kiedy uświadomił sobie, że nie ma to sensu i gniewnie cisnął nim w stronę parkingu.

— Cześć, Jake — odezwał się głos.

Obrócił się, marszcząc brwi, oczekując niechęci. Jednak była to Tanya, jego była stajenna, teraz już mężatka, z dzieckiem w wózku. Jake uklęknął,

żeby je podziwiać, łapał drobne rączki, połaskotał malucha, budząc jego śmiech. „Zawsze lubił dzieci — pomyślała Tanya. Pewnie bardzo tęskni za swoimi”. Zwykle jego ogorzała twarz teraz zszarzała, oczy miał mocno podkrążone. Bawełniana marynarka i jeansy były o wiele za cienkie na ten zimny poranek.

— Jest piękny — powiedział Jake, wstając niechętnie.

— Przykro mi z powodu Wilka — powiedziała Tanya.

— Co z nim? — zapytał Jake.

— O Boże, może nie powinnam była ci mówić. Hannah dzwoniła. Wczoraj po południu potrącił go samochód.

Godzinę później Jake wrócił do kawalerki, w której zastał Helen w kiepskim nastroju, malującą sobie paznokcie. Helen właśnie dowiedziała się z „Daily Mail”, że jej mąż wstąpił do partii torysów i niedługo powinien otrzymać miejsce w parlamencie. Torysi w tej chwili kojarzyli się jej z żoną Jake’a, więc niezbyt sympatycznie. Na widok miny Jake’a Helen zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

— Co się stało? — zapytała.

— Muszę jechać do domu. — Helen skrzywiła się, słysząc te słowa. — Zdarzył się wypadek.

— Boże, chyba nie któreś z dzieci?

— Nie, Wilk.

— Wilk? To koń?

— Nie, pies. Wczoraj potrącił go samochód.

— Pies? — zapytała Helen z niedowierzaniem. — Pies! I dlatego chcesz jechać? Gdyby to było dziecko, to bym zrozumiała!

— Dla Tory Wilk był jak dziecko — powiedział Jake i dodał w myślach: „Dla mnie też”.

Helen patrzyła na niego z niedowierzaniem. To jakiś przeklęty spisek Anglików i ich zwierząt.

— Nie rozumiem — powiedziała. — Nie wróciłeś, kiedy Malise kilka razy wzywał cię do startu dla dobra kraju, a teraz lecisz do domu tylko dlatego, że jakiś pies miał wypadek. Po prostu tego nie rozumiem.

Zapadła cisza.

— Jak długo cię nie będzie? — zapytała Helen. — Pewnie potrzebujesz samochodu

Jake spojrzał na zegarek.

— Wrócę na tyle wcześnie, żebyś zdążyła do fryzjera. Jeśli się spóźnię, weź taksówkę.

— Nie mamy pieniędzy, muszę jeszcze zapłacić u fryzjera.

Jake wyjął z kieszeni spory zwitek dziesięciofuntówek.

— Napadłeś na bank? — zapytała zdziwiona Helen.

Jake pokręcił głową.

— Sprzedałem mój medal.

— Och Jake! — jęknęła Helen. — Jak mogłeś! To jedyna rzecz, która nam została, twój łącznik z nieśmiertelnością. Żyjemy tak skromnie, że mogłeś go sobie zostawić.

Jake dał jej osiemset pięćdziesiąt funtów.

— Kup sobie jakieś ubrania na zimę. — Sto pięćdziesiąt zostawił sobie.

Po czym poszedł do znajomego o imieniu Harry, hodowcy psów, i kupił szczeniaka — miniaturkę Wilka, o podobnie pręgowanej, puszystej sierści, nosie jak u mrówkojada i wielkich oczach. Zanim dotarł do mostu w Withrington, szczeniak pięć razy zwymiotował. Kiedy Jake delikatnie wynosił suczkę z samochodu, ona znów zwymiotowała na jego płaszcz. Jake ledwie to zauważył, gdyż niepewny przyjęcia, czuł, jak serce mocno mu bije, a w gardle zasycha.

Na podwórku panowała dziwna pustka, tylko kot stajenny wygiął grzbiet na widok szczeniaka, a konie, zwłaszcza Macaulay, o mało nie wybiły drzwi z radości na widok pana. Drzwi kuchenne do domu stały otworem, ale wewnątrz nikogo nie było. Jake sprał plamę z płaszcza, kusiło go, by pójść na górę i wziąć sweter, ale Helen oszaleje, jeśli wróci w innym ubraniu. Serce wciąż biło mu mocno, kiedy na dzwonek telefonu odruchowo podniósł słuchawkę.

— Halo — powiedział z wielkim trudem.

— Dino — odezwał się głos — tu Malise. — Bardzo, bardzo mi przykro. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy wiadomo coś o Tory.

— Co się stało Tory? — zapytał ostro Jake.

— Kto mówi?

— Jake.

— Co ty tam, u diabła, robisz?

— Co z Tory? — zapytał ponownie Jake z narastającym strachem w głosie.

— Zeszłej nocy próbowała popełnić samobójstwo.

— To jakaś pomyłka.

— Raczej nie — odparł Malise, który już tracił cierpliwość. — Wzięła olbrzymią dawkę jednej z tych twoich przeklętych trucizn. Miała zostać sama do rana, na szczęście Dino i Fen zaczęli się niepokoić, wrócili w nocy i ją znaleźli.

— O mój Boże — wyszeptał Jake. — Czy ona... czy ona...

Malise uświadomił sobie, że był zbyt szorstki.

— Niestety, ona umiera, Jake.

— Gdzie jest?

— W Great Warwickshire.

Jake wziął samochód Fen, gdyż był szybszy, pewnie nikt jeszcze nie jechał nim tak szybko. Biedny szczeniak przetaczał się w tyle jak kulka. Na schodach do szpitala roiło się od reporterów.

— Hej, Gyppo, wreszcie zdecydowałeś się ujawnić? — zawołał człowiek z „Daily Mail”.

— W samą porę. Przyszedłeś zapłacić za pogrzeb? — zapytał reporter „The Sun”.

— Odwalcie się! — warknął Jake.

Jak wyjaśniła recepcjonistka, patrząc na niego dziwnym wzrokiem, pani Lovell leży na oddziale intensywnej opieki na drugim piętrze.

— Nie może pan wnieść tutaj szczeniaka.

Ale Jake już pobiegł, kulejąc, po połyskliwej posadzce, jedną ręką otwierając ciężkie drzwi windy, drugą trzymając szczeniaka. W drodze do góry piesek polizał go po twarzy. „Boże, proszę, nie daj jej umrzeć” — modlił się żarliwie.

— Co ty tu robisz, do cholery? — zapytał go ktoś, kiedy szedł korytarzem.

Zagrodził mu drogę Dino, znacznie wyższy, niemal jak archanioł Michał z płonącym mieczem. Przez sekundę Jake miał wrażenie, że Dino da mu w twarz i przewróci na wózek z narzędziami. Jednak nie cofnął się.

— Chcę zobaczyć Tory.

— Chciej sobie, ale nie wolno. Jest w śpiączce, jej stan się pogarsza, a to wszystko twoja wina, ty cholerny złamasie, to przez ciebie i te twoje pieprzone trucizny. Mój Boże, człowiek nie potraktowałby konia, nawet psa tak, jak ty potraktowałeś ją. Zostawiłeś ją bez słowa, bez kontaktu, żeby zmarniała z rozpaczy!

Przez dwie minuty Dino ciągnął tyradę i obrzucał Jake’a wszelkimi możliwymi wyzwiskami. Jego elokwencję dodatkowo podsycało poczucie

winy — oboje z Fen zostawili Tory samą, nie zdając sobie sprawy z głębi jej desperacji.

Jake odczekał, aż Dino skończy.

— Każde słowo to absolutna prawda — powiedział.

Słysząc głosy, z pokoju Tory wyszła pielęgniarka.

— Jeśli pan chce, proszę wejść, panie Ferranti.

Jake wysunął się do przodu.

— Jestem jej mężem, muszę ją zobaczyć.

Jednak w tej chwili wyszła Fen, powstrzymując łzy. Wtuliła się od razu w ramiona Dina.

— Zobacz, kto się właśnie objawił — powiedział Dino z goryczą.

Fen obróciła się gwałtownie.

— Jake, gdzie ty się podziewałeś? — zaszlochała. — Wróciłeś za późno, ona umiera. Znaleźliśmy ją jeszcze półprzytomną, ale ona nie chce żyć.

Jake nie chciał już więcej słyszeć, więc przecisnął się obok i wszedł do pokoju. W pierwszej chwili wydawało mu się, że ma halucynacje, gdyż na łóżku leżała Fen. Potem uświadomił sobie, że to Tory, która tak mocno schudła od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni. Jej twarz, wciąż zarumieniona po belladonie, dawała złudzenie zdrowia. Długie rzęsy opadały na zapadnięte policzki. Jake miał w tej chwili w głowie tylko jedną myśl: jak pięknie wygląda. Usiadł przy łóżku i ujął ją za rękę. Teraz wydawała się tak drobna i chuda jak dłoń Helen. Chryste, jak mógł jej to zrobić? To on ją zabił, a nie trucizna.

Wszedł lekarz i uznał, że zignoruje śpiącego szczeniaka na kolanach Jake’a. To nie była chwila na przestrzeganie higieny.

— Czy nie możecie czegoś zrobić? — zapytał Jake z rozpaczą.

Lekarz pokręcił głową.

— Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Wzięła końską dawkę, która zabiłaby czworo ludzi. Na szczęście dotarła do nas bardzo szybko, ale i tak jestem zaskoczony, że jeszcze żyje. Oczywiście wypłukaliśmy jej żołądek, ale nie ma w niej woli walki. Prawdopodobnie od wielu dni nie jadła. Obawiam się, że jest niewielka nadzieja, żeby kiedykolwiek odzyskała przytomność. Bardzo mi przykro.

Jake gorączkowo szukał w pamięci. Kiedy mieszkał w taborze, jedna z dziewcząt wzięła belladonę, gdyż rzucił ją kochanek. Stara cygańska babka sporządziła jakieś antidotum albo środek wymiotny i uratowała dziewczynę. Czego ona użyła? To było wiele lat temu. Musi się skupić i przypomnieć sobie, co to było.

— Zostawiła jakiś list? — zapytał Fen.

Fen wyjęła kartkę z kieszeni spodni.

— Zaadresowany do ciebie. Zostawiła ci wszystko. Wiedziała, że dla ciebie liczą się tylko konie, a ty i Helen możecie wrócić tylko wtedy, kiedy ona się usunie.

Jake czytał list.

— Ona cię kochała — powiedziała Fen z goryczą. — Isa, Darklis, ja, konie, Wilk, byliśmy tylko przedłużeniem jej miłości do ciebie. Wiedziała, że jej nie kochasz, ale czuła, że jej potrzebujesz. Wystarczało jej to, że ci ułatwia życie.

— Chryste! — jęknął Jake, chowając głowę w rękach. — Dopiero w Los Angeles uświadomiłem sobie, jak bardzo ją kocham. Potem Helen wydała nas Rupertowi, nie mogłem jej zawieść. Przestraszyłem się, że Rupert coś jej zrobi. Sam się wplątałem w tę popieprzoną sytuację.

— Mogłeś się odezwać — odparła Fen ponuro. — A ty nic, ani słowa do nikogo przez cały ten czas.

— Nie wiedziałem, co powiedzieć. Potraktowałem ją ohydnie. Miałem wyrzuty sumienia. Poza tym podarowałem Helen chusteczkę.

Fen straciła cierpliwość.

— A co z chusteczką, którą podarowałeś Tory? — syknęła. — Zapomniałeś o niej, bo tak ci było wygodniej, co? To tyle na temat cholernej cygańskiej uczciwości. Tory ściskała w ręce tę chusteczkę, kiedy ją znaleźliśmy.

Jake był oszołomiony.

— Zawsze wydawała się taka silna, potrafiła sobie poradzić ze wszystkim. Nie wiedziałem, że aż tyle dla niej znaczę.

Spojrzał na Tory i dotknął jej policzka. Z dreszczem przerażenia poczuł, że jej oddech słabnie. Oboje z Fen podskoczyli, kiedy wszedł Dino.

— Wystarczy tej wizyty — powiedział do Jake’a, nawet nie próbując ukryć pogardy i niechęci.

Nagle Jake otrząsnął się z apatii.

— To moja żona — powiedział — kocham ją.

— Dziwnie to okazujesz — odpalił Dino, przytrzymując drzwi, żeby wyszedł.

Jake delikatnie postawił szczeniaka na ziemi i wstał.

— Tutaj jej nie wyleczą.

— Co ty robisz, do cholery?

— Zabieram ją do domu.

— Ona umiera, do jasnej.

— To niech lepiej umrze w domu, otoczona przez ludzi i zwierzęta, które kocha.

Jake zdjął z łóżka gruby szary koc i owinął nim Tory, po czym ją podniósł. Była tak lekka, że niósł ją bez trudu. Szczeniak, który już uznał Jake’a za nowego pana, zamerdał ogonem i podreptał za nim. Głuchy na

protesty lekarzy i pielęgniarek, gorączkowo starając się przypomnieć sobie nazwę cudownego leku starej Cyganki, Jake ledwie rozpoznał Malise’a, który akurat wychodził z windy.

— A ty dokąd? — zapytał Malise lodowato.

— Do domu.

— A Helen?

— Helen? — Jake zmarszczył brwi. Miał wrażenie, jakby Malise pytał go, czy zakręcił kran w kabinie w chwili, kiedy „Titanic” idzie na dno.

— Tak, Helen — odparł Malise ponuro, stając Jake’owi na drodze i blokując drzwi do windy.

Jake skupił się i podał mu adres w Gloucester.

— Nie wie, co się stało. Czy możesz do niej pojechać, wyjaśnić, zająć się nią i powiedzieć, że przepraszam?

W Mill House Jake ułożył Tory w podwójnym łóżku i rozpalił ogień na kominku. Potem usiadł w fotelu możliwie jak najbliżej i zaczął przerzucać stare książki i zielniki, gorączkowo szukając jakiejś wskazówki, która mogłaby go naprowadzić na ten zapomniany lek.

Po południu wróciły dzieci. Jake tęsknił za nimi, ale szykował się na pełne pretensji dąsy, a nawet wymówki. Niemal rozpłakał się na widok ich niedowierzania i wielkiej radości, że znów jest w domu. Dzieci bez słowa rzuciły mu się w ramiona.

Isa wyraźnie szalał ze zmartwienia o matkę. Darklis była jeszcze na tyle mała, że udało się odwrócić jej uwagę. Szczeniak okazał się darem niebios i wkrótce został przejęty przez dzieci. Jake’a przerażała ich wzruszająca wiara w to, że skoro on wrócił, ich mama wkrótce wyzdrowieje. Macaulay i Hardy też otarły się o śmierć, rozliczne inne konie, psy i członkowie rodziny chorowali, ale Jake ich zawsze potrafił wyleczyć.

— Mamusi już na pewno nie będzie trzeba usypiać — usłyszał Jake słowa Darklis skierowane do Dina.

Tory jednak nie wykazywała żadnych oznak powrotu do zdrowia, stopniowo słabła coraz bardziej. Jake niemal jej nie opuszczał, nie jadł i nie spał. Jego rozpacz była tak widoczna, że Fen i nawet Dino zaczęli to szanować i zostawili go przy Tory. Sami zajęli się dziennikarzami, a także trzymaniem dzieci z dala od Tory, jeśli zaczynały hałasować, chociaż na ogół Jake wydawał się czerpać siłę z ich obecności.

Minęły dwa długie dni. Dino sprowadzał kolejnych lekarzy i specjalistów, którzy przychodzili i kręcili głowami. Już nie proponowali przewiezienia Tory z powrotem do szpitala, nie mogli nic zrobić.

Jake jednak nie zamierzał się poddać. Gdyby to była pełnia lata, a nawet wiosna, rośliny, które mogłyby pomóc Tory, zaczynałyby kwitnąć, a przynajmniej rozwijać liście, więc mógłby je rozpoznać. Z drugiej strony za nic nie zostawiłby jej samej, w obawie, by nie umarła pod jego nieobecność, więc i tak nie poszedłby ich szukać. Godzinami przerzucał strony książek prawą ręką, gdyż lewą trzymał dłoń Tory, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że może odpowie uściskiem i da znak życia.

Nastała północ trzeciego dnia. Na dworze szczekały lisy, płomień na kominku przygasał. Tory niemal przestała oddychać. Serce biło jej tak słabo, że Jake co chwilę myślał, że to już koniec. Twarz miała śmiertelnie bladą, gdyż rumieniec po belladonie dawno zniknął. Gdyby tak chociaż na moment odzyskała przytomność, żeby umarła, wiedząc, jak bardzo Jake ją kocha.

W ostatniej rozpaczliwej próbie sięgnął po najstarszą księgę o zielarstwie. Był wykończony, od dawna czytał drobny druk, więc słowa rozpływały mu się przed oczami.

Jedynym lekarstwem był jaskier, ale to bardzo silny środek wymiotny. Skrajnie wycieńczona Tory nie przetrwałaby tej kuracji. Nie ma sposobu, by ją uratować. Był bezradny.

Jake z rozpaczą wziął Tory w ramiona, próbując ogrzać słabe, zimne ciało. Przypomniał sobie, jak Tory trzymała wodze Afryki, kiedy pierwszego gorącego popołudnia na konkursie w Bilborough pobiegł wymiotować do łazienki — w ogóle nie dała po sobie poznać, że śmiertelnie boi się koni. Przypomniał sobie, jak się upiła i kupiła mu Afrykę, jak nigdy nie narzekała na jego długie wyjazdy, zawsze witała go z radością, celebrowała jego zwycięstwa, ale i potrafiła podnieść go na duchu, dodając wiary po każdej porażce. Wierzył, że Tory zawsze będzie przy nim i w końcu przestał ją doceniać. Teraz wiedział, że ją straci. W końcu znów ją zawiódł, bo nie potrafił sobie nawet przypomnieć nazwy lekarstwa.

— Nie umieraj — powiedział błagalnie po raz tysięczny. — Proszę, nie umieraj.

Położywszy ją delikatnie na poduszkę, zauważył, że ogień niemal wygasł, więc wstał, by dołożyć drewna. Nie zadał sobie trudu, by zasunąć zasłony. Zesztywniały po długim siedzeniu podszedł do okna. Na niebie nie było gwiazd — niebo już przebrało się w żałobę. Nie mógł tego znieść. Rozpaczliwie przycisnął czoło do zimnej szyby. Nie miał pojęcia, jak długo tak stał.

— Jake — odezwał się ledwie słyszalny szept.

Obrócił się przerażony, zlany potem, czując gwałtowne bicie serca. To na pewno jej duch przyszedł go straszyć

— Jake — wyszeptała znów Tory.

Momentalnie do niej dopadł, ujął za ręce, siłą woli próbując zmusić do kolejnego słowa.

— To naprawdę ty? — zapytała Tory.

— Naprawdę ja.

— Wróciłeś — mówiła tak cicho, że musiał się pochylić, żeby ją usłyszeć. — Czy może poszłam do nieba?

— Raczej do piekła — powiedział urywanym głosem — skoro mnie tu znalazłaś. Proszę, nie umieraj. Tak bardzo cię kocham.

— Musisz się ogolić — powiedziała i znów straciła przytomność.

Czując mdłości z przerażenia, Jake musiał czekać, trzymając ją w ramionach. Bał się poruszyć. Najpierw poprosił tylko o czas, by mógł wyznać jej miłość, ale teraz już mu to nie wystarczało i nie poprawiło jego samopoczucia. Chętnie zawołałby Fen i Dina, ale przerażała go myśl, że Tory może umrzeć w każdej chwili, a to może znieść tylko w samotności.

Po dwóch godzinach Tory westchnęła lekko, zadrżała i znów otworzyła oczy.

— Przepraszam, że wzięłam całą twoją belladonę. Nie potrafiłam żyć bez ciebie.

Jake pocałował ją w czoło.

— Ja też nie potrafiłem, tylko nie umiałem wrócić. Proszę, wyzdrowiej. Nie przeżyję bez ciebie.

— Przykro mi z powodu Wilka. Powinnam była trzymać go na smyczy, ale on zawsze chodził przy nodze, odkąd ty... ty... — głos się jej załamał.

— Wiem. Kupiłem ci szczeniaka,

Jake wyjął z koszyka śpiącą suczkę i położył ją obok Tory na łóżku, po czym położył dłoń Tory na puszystej głowie. Szczeniak westchnął z zadowoleniem, polizał nadgarstek Tory, skulił się i znów zasnął. Tory uśmiechnęła się słabo.

— Jest śliczny. Nie chciałam cię zmuszać do powrotu.

— Nie musiałaś. Nie wiedziałem, że wzięłaś belladonę, dopóki nie wróciłem tu ze szczeniakiem. Tanya powiedziała mi o Wilku. Potrzebowałem tylko wymówki, żeby wrócić. Przez cały ten czas tęskniłem za tobą. Proszę, nic już nie mów. Musisz odpocząć.

— Pokażesz mi swoje srebro? — zapytała Tory sennie.

— Sprzedałem je, żeby kupić szczeniaka.

Kiedy otulał Tory kocem, drzwi cicho się otworzyły. Była to Fen. Jake przyłożył palec do ust. Drżąc z nagłej nadziei, Fen na palcach podeszła do łóżka.

— Rozmawiałeś z nią?

— Dwa razy.

— Mówiła przytomnie?

— Całkowicie.

— O mój Boże. Wyzdrowieje?

— Nie wiem. Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić.

Razem spojrzeli na śpiącą Tory. Fen położyła dłoń na ramieniu Jake’a.

— To ty ją uleczyłeś — powiedziała cicho.

Jake na moment uniósł wzrok, twarz miał zalaną łzami.

— Zawiodłem ją — wymamrotał. — Tak bardzo się starałem, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć nazwy tego lekarstwa.

— Ty ślepy, naiwny półgłówku — powiedziała bardzo łagodnie Fen. — Tylko ty mogłeś ją uleczyć. Nie rozumiesz? Tym lekarstwem, którego szukałeś, jest miłość.

Epilog

NASTĘPNEGO POPOŁUDNIA RUPERT CAMPBELL-BLACK poszedł na rozmowę do komitetu wyborczego dla Birdlip i Chalford. Wypadł doskonale. Wszystko poszło gładko z wyjątkiem jednej niezręcznej chwili, kiedy przygłucha stara lady Oakridge, która nigdy nie czytała gazet, zapytała go, czy razem z żoną będzie mieszkał w swoim okręgu wyborczym.

Pozostali z zakłopotaniem wstrzymali oddech.

— Moja żona na pewno będzie mieszkała w okręgu — odparł Rupert z naciskiem.

— Dobrze, dobrze, miło to słyszeć — powiedziała lady Oakridge.

— Ale nie ze mną — dokończył Rupert.

Wszyscy oprócz lady Oakridge stłumili uśmiechy.

— Lepiej mieć żonę — powiedziała lady.

— Całkowicie się zgadzam — przytaknął Rupert — ale, niestety, moja właśnie odeszła, a nie miałem jeszcze czasu znaleźć nowej.

— Facet ma mnóstwo uroku — podsumował lord Oakridge po spotkaniu.

— Poglądy też ma zdecydowane — dodał generał. — Chyba powinniśmy go poważnie wziąć pod uwagę.

— Doskonale sobie poradziłeś — powiedziała Amanda, głaszcząc udo Ruperta, kiedy odwoziła go do Londynu. — Teraz to już pestka.

— Cieszę się, że tak myślisz.— Rupert w głębi ducha zastanawiał się, jak uda mu się znieść wysłuchiwanie narzekań wyborców na jednokierunkowe ulice i kłótnie z sąsiadami. Dwa miesiące bez skoków uświadomiły mu, jak

bardzo tęskni za jeździectwem. Przy odrobinie szczęścia wróci na tor akurat przed konkursem w Olympii.

— Cholera! — powiedziała Amanda, kiedy zatrzymali się pod jej domem przy Rutland Gate. — Conceptione znów zostawiła światło w salonie. Robi się bardzo niedbała.

— Mam nadzieję, że to nie Rollo.

— Rollo jest w Paryżu — wyjaśniła Amanda, otwierając drzwi — zresztą wie, że cię obwożę. Georgina! — zawołała z gniewem, wchodząc do salonu. — Co ty tu, do licha, robisz?

— Reszta klasy pojechała do teatru Old Vic. Nie miałam ochoty, wolałam przyjechać i spotkać się z tobą — odparła Georgina. — Dzień dobry — odwróciła się do Ruperta. — Mama nigdy nie dopuściła, żebyśmy się poznali.

„Chryste” — pomyślał bezradnie Rupert.

W mundurku szkolnym, roztaczając aurę zmysłowej niewinności, stała przed nim kopia Amandy, równie piękna, ale dwadzieścia pięć lat młodsza. „Nie — powiedział do siebie surowo. — Nie wolno!” Teraz, jako prawie już kandydat z ramienia torysów, musi się zachowywać — chociaż niebiosa wiedzą, jak będzie mu trudno przy takich pokusach.

— Jaka to była sztuka? — usłyszał swój głos, przemawiał tonem dobrego wujaszka.

— *Wszystko dobre, co się dobrze kończy* — odparła Georgina z rozmarzonym uśmiechem. — Podobno szykuje się pan na polityka.

— Nie wiem, czy się sprawdzę — odparł Rupert. — Lubię całować tylko dzieci płci żeńskiej powyżej piętnastego roku życia.

— O, super! — ucieszyła się Georgina. — Tydzień temu skończyłam szesnaście lat.

Billy Lloyd-Foxe, który właśnie wrócił z Amsterdamu, z wielką dumą przyglądał się, jak jego piękna żona karmi jego pięknego syna, po czym postanowił nie nalewać sobie kolejnej whisky. Właśnie dochodził do siebie po udziale w programie „This is your life”. Zaproszono do niego wielu ludzi z jego przeszłości, a wszyscy mówili zaskakująco miłe rzeczy.

— Słyszałam dzisiaj niewiarygodną plotkę — powiedziała Janey.

— Jaką?

— Tracey mówiła, że dowiedziała się od Dizzy, a ona od Sarah, która rozmawiała z Bridie. Birdie ma chłopaka intelektualistę i chodzi z nim do opery. Biedna musiała obejrzeć *Parsifala*. Podobno omal nie umarła z nudów.

— No już, gadaj — popędził ją Billy z szerokim uśmiechem.

Janey spojrzała na niego z błyskiem w oku.

— Możesz trzy razy zgadywać, kogo widziała na parterze w teatrze. oboje promienieli i ani trochę się nie nudzili.

— Wiesz, że nie wychodzą mi takie zgadywanki.

— Malise’a i Helen.

— Dobry Boże! — zdziwił się Billy — czy Helen nie jest dla niego za stara?

— Też tak pomyślałam — przyznała Janey. — A Monica Carlton na pewno wyzwie go na pojedynek.

Stan Tory poprawiał się z minuty na minutę, ale Jake, przerażony myślą, że wciąż może ją stracić, nie zostawiał jej na dłużej niż parę sekund.

— Każe jej odpoczywać i liczy każdy kęs, jaki zje, jakby była Macaulayem — mamrotała Fen, ale bardzo cieszyła się ich szczęściem.

Jak stwierdził lekarz — był to cud.

Jednak kilka dni później, kiedy było już wiadomo, że Tory wyzdrowieje, Jake dał się przekonać i zszedł na dół, gdyż przyjechał Garfield Boyson.

— Cóż, chłopcze... — zaczął Boyson.

— Cóż — odparł Jake.

— Nieźle zniszczyłeś sobie karierę, co?

— Nie potrzebuję wypominania.

— Jak rozumiem, skontaktowałeś się ze wszystkimi możliwymi sponsorami, próbowałeś ich namówić do współpracy. Ale do mnie nie dzwoniłeś. Skąd ten brak wiary? Obiecałem, że jeśli dotrzymasz swojej strony umowy, to ja dotrzymam swojej. Zdobyłeś medal, więc moja oferta jest aktualna.

— Federacja mnie zawiesi.

— Z tego co wiem, to nie. Wzięli pod uwagę okoliczności i być może wywiniesz się porządną grzywną.

— Nie interesuje mnie to — odparł Jake. — Nie wracam do skoków. Zostanę trenerem. Nie chcę już zostawiać Tory i dzieci, a Dino i Fen wracają do Stanów.

Wyglądając przez okno w kuchni, zobaczył Fen jadącą przez podwórko. Zatrzymała Macaulaya i zsunęła się z siodła prosto w ramiona Dina. Niewiarygodne, że ktoś może się całować tak długo. Boyson sprowadził go na ziemię.

— W takim razie będziesz potrzebował jeźdźców. Mój chłopak może zostać twoim pierwszym dżokejem.

Jake miał sceptyczną minę. Boyson mówił więc dalej:

— Właśnie obejrzałem źrebię Afryki. Dino mówił, że rano przeskoczył na nim metr osiemdziesiąt.

Jake roześmiał się po raz pierwszy od zdobycia srebrnego medalu.

— Jak rozumiem, dajesz mi do zrozumienia, że klacz i twój syn mogą się szykować na następną olimpiadę — powiedział.